

**COLLEEN  
McCULLOUGH**



**WIENIEC  
Z TRAWY**

KONTYNUACJA POWIEŚCI *PIERWSZY W RZYMIE*





Colleen McCullough



Cykl WŁADCY RZYMU

2

# WIENIEC Z TRAWY



Księgozbiór DiGG



2012









# GŁÓWNE POSTACIE

NOTA: Nawiasy zawierają informacje biograficzne, w klamrach podano używane w tej książce imiona albo zdrobnienia imion postaci. Wszystkie daty są sprzed naszej ery.



## ● *Cepion*

**Kwintus Serwiliusz Cepion** [Cepion]

**Liwia Druza**, jego żona (siostra Marka Liwiusza Druzusa)

**Kwintus Serwiliusz Cepion Młodszy** [Cepion Młodszy], jego syn

**Serwilia Starsza** [Serwilia], jego starsza córka

**Serwilia Młodsza** [Lilia], jego młodsza córka

**Kwintus Serwiliusz Cepion** (konsul 106), jego ojciec, wsławiony sprawą Tolosańskiego Złota

**Serwilia Cepionia**, jego siostra



## ● *Cezar*

**Gajusz Juliusz Cezar**

**Aurelia**, jego żona (córka Rutylii, siostrzenica Publiusza Rutyliusza Rufusa)

**Gajusz Juliusz Cezar Młodszy** [Cezar Młodszy], jego syn

**Julia Starsza** [Lia], jego starsza córka

**Julia Młodsza** [Ju-ju], jego młodsza córka

**Gajusz Juliusz Cezar** [Dziadek Cezar], jego ojciec

**Julia**, jego siostra

**Julilla**, jego siostra

**Sekstus Juliusz Cezar**, jego starszy brat Klaudia, żona Sekstusa



## ● *Druzus*

**Marek Liwiusz Druzus**

**Serwilia Cepionia**, jego żona (siostra Cepiona)

**Marek Liwiusz Druzus Neron Klaudianus**, jego adoptowany syn

**Kornelia Scypionia**, jego matka

**Liwia Druza**, jego siostra (żona Cepiona)

**Mamerkus Emiliusz Lepidus Liwianus**, jego rodzony brat, oddany w adopcję



## ● *Mariusz*

**Gajusz Mariusz**

**Julia**, jego żona (siostra Gajusza Juliusza Cezara)

**Gajusz Mariusz Młodszy** [Mariusz Młodszy], jego syn





### ● **Metellus**

**Kwintus Cecyliusz Metellus Pius** [Prosiak]

**Kwintus Cecyliusz Metellus Numidyjski** [Świnka-Szczecinka], (konsul 109, cenzor 102), jego ojciec



### ● **Pompejusz**

**Gnejusz Pompejusz Strabon** [Pompejusz Strabon]

**Gnejusz Pompejusz** [Pompejusz Młodszy], jego syn

**Kwintus Pompejusz Rufus**, jego daleki kuzyn



### ● **Rutyliusz Rufus**

**Publiusz Rutyliusz Rufus** (konsul 105)



### ● **Skaurus**

**Marek Emiliusz Skaurus**, princeps senatu (konsul 115, cenzor 109)

**Cecylia Metella Dalmatyńska** [Dalmatyka], jego druga żona



### ● **Sulla**

**Lucjusz Korneliusz Sulla**

**Julilla**, jego pierwsza żona (siostra Gajusza Juliusza Cezara)

**Elia**, jego druga żona

**Lucjusz Korneliusz Sulla Młodszy** [Sulla Młodszy], jego syn (z Julilli)

**Kornelia Sulla**, jego córka (z Julilli)



### ● **Bitynia**

**Nikomedes II**, król Bitynii

**Nikomedes III**, jego starszy syn, król Bitynii

**Sokrates**, jego młodszy syn



### ● **Pont**

**Mitrydates VI Eupator**, król Pontu

**Laodike**, jego siostra i żona, pierwsza królowa Pontu (zm. 99)

**Nysa**, jego żona, druga królowa Pontu (córka Gordiosa z Kapadocji)

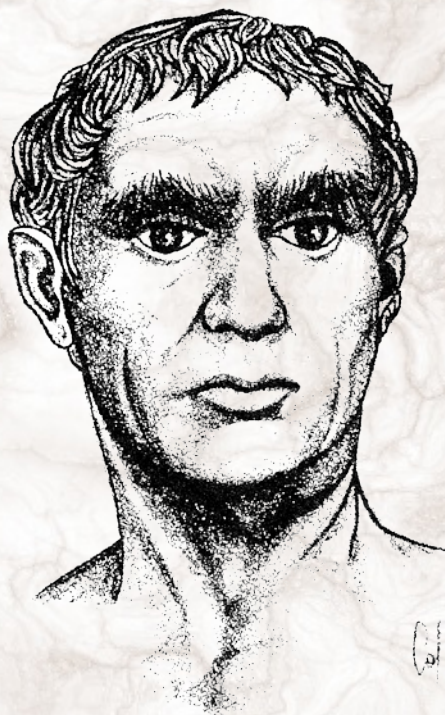
**Ariarates VII Filometor**, jego siostrzeniec, król Kapadocji

**Ariarates VIII Euzebes Filopator**, jego syn, król Kapadocji

**Ariarates X**, jego syn, król Kapadocji







GAJUSZ MARIUSZ

## I



- **N**ajbardziej poruszającą rzeczą od ponad roku - powiedział Gajusz Mariusz - był ten słoń, którego Gajusz Klaudiusz pokazał na *ludi Romani*.

- Prawda, że był cudowny? - ożywiła się Elia, sięgając do misy wielkich zielonych oliwek sprowadzanych z Hiszpanii Dalszej. - Chodził na tylnych nogach! A tańczył na wszystkich czterech! Siadał na biesiadnym łożu i chwycił trąbą jedzenie!

Lucjusz Korneliusz Sulla zwrócił się do żony z pogardliwym wyrazem twarzy:

- Czemu wszystkich tak urzekają zwierzęta udające ludzi? Słonie to najszlachetniejsze w świecie stworzenia, ale zwierzę Gajusza Klaudiusza Pulchera jest parodią zarówno słoni, jak i ludzi!

Chwila ciszy, która nastąpiła po tych słowach, była prawie niezauważalna, ale wszyscy biesiadnicy odczuli ją z przykrością. Potem Julia odwróciła ich uwagę od oszołomionej Elii, roześmiewszy się wesoło.

- Daj spokój, Lucjuszu Korneliuszu! Ten słoń był absolutnym faworytem całego tłumu! I ja go podziwiałam, taki był sprytny i pracowity, a kiedy zadarł



trąbę i zatrąbił do wtóru bębnow, był wprost zdumiewający! Poza tym - dodała - nikt nie miał mu niczego za złe.

- Mnie się szczególnie podobał jego kolor. - Aurelia poczuła, że powinna wesprzeć Julię. - Był różowy!

Lucjusz Korneliusz Sulla zignorował ich wysiłki, obracając się do Publiusza Rutyliusza Rufusa i o coś go zagadując. Julia westchnęła ze smutkiem.

- Chyba już pora nam odejść, Gajuszu Mariuszu, i dać wam cieszyć się winem. Czy pozwolisz?

Mariusz wyciągnął do niej dłoń nad wąskim stołem dzielącym łożę od krzesła Julii. Uniosła swoją, by uścisnąć dłoń męża, i postarała się nie okazać smutku na widok jego skrzywionego uśmiechu. To już tak dawno, a ta twarz wciąż nosi ślady zdradzieckiego udaru! Lojalna i kochająca żona nie przyznawała jednak nawet przed sobą że ten udar zmienił trochę charakter Gajusza Mariusza. Nad wyraz łatwo zapalał się teraz gniewem i był zbyt sztywny w kontaktach z nieprzyjaciółmi.

Wstała, z uśmiechem przeznaczonym tylko dla niego uwolniła dłoń z uścisku Mariusza i położyła ją na ramieniu Elii.

- Chodź, moja droga. Pójdziemy do dzieci.

Elia wstała, Aurelia również. Trzej mężczyźni nie podnieśli się, chociaż przerwali rozmowę na czas odejścia kobiet. Mariusz skinął na służących, by wynieśli krzesła z jadalni, a potem zniknęli i oni. Pozostały tylko trzy biesiadne łoża ustawione w kształt litery C. Dla wygody w rozmowie Sulla przeniósł się z miejsca przy Mariuszu na puste łożę naprzeciw Rutyliusza Rufusa. Obaj widzieli teraz Mariusza i siebie nawzajem.

- Tak więc Świnka-Szczecinka wraca w końcu do kraju - powiedział Sulla, kiedy upewnił się, że jego nie lubiana druga żona nie może już tego usłyszeć.

Mariusz poruszył się niecierpliwie na środkowym łożu, marszcząc brwi, mniej groźnie jednak niż dawniej, bo długotrwały paraliż nadawał lewej połowie tego grymasu nieco żałobny wyraz.

- Jakiej spodziewasz się po mnie odpowiedzi, Lucjusz Korneliuszu? - spytał w końcu.

Sulla zaśmiał się krótko.

- Czemu miałbym spodziewać się innej niż uczciwa? To, co powiedziałem, nie było jednak pytaniem, Gajuszu Mariuszu.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Wymaga to jednak odpowiedzi.

- To prawda - rzekł Sulla. - Zgoda, ujmę to inaczej. Jak się czujesz, gdy Świnke-Szczecinkę odwołują z wygnania?

- Cóż, nie śpiewam radosnych peanów. - Mariusz przeszył Sullę spojrzeniem.

- A ty?

„Oddalają się z wolna od siebie”, pomyślał Publiusz Rutyliusz Rufus. Trzy lata temu - nawet dwa lata temu - nie prowadziliby tak napiętej i ostrożnej



rozmowy. Co się stało? I z czyjej winy?

- Tak i nie, Gajuszu Mariuszu. - Sulla spoglądał w głąb swego pucharu. - Nudzę się - powiedział przez zaciśnięte zęby - a sprawy mogą przybrać interesujący obrót, kiedy Świnka-Szczecinka wróci do senatu. Nie miałem okazji oglądać przedtem tych starć tytanów, jakie toczyliście ze sobą.

- Co do tego, Lucjusz Korneliuszu, czeka cię rozczarowanie. Kiedy Świnka-Szczecinka przybędzie do Rzymu, mnie tu nie będzie.

Sulla i Rutyliusz Rufus naraz usiedli.

- Nie będzie cię w Rzymie? - pisał Rutyliusz Rufus.

- Nie będzie mnie w Rzymie - powiedział Mariusz i wyszczerzył zęby z ponurą satysfakcją. - Przypomniałem sobie właśnie ślub złożony Wielkiej Bogini przed pokonaniem Germanów, że jeśli zwyciężę, odbędę pielgrzymkę do jej sanktuarium w Pesynuncie.

- Gajuszu Mariuszu, nie możesz tego zrobić! - wykrzyknął Rutyliusz Rufus.

- Mogę, Publiusz Rutyliuszu, i zrobię!

Sulla opadł na plecy, śmiejąc się.

- Lucjusz Gawiusz Stychus! - powiedział.

- Kto? - Rutyliusz Rufus zawsze był gotów odbiec od tematu, jeśli była okazja do plotek.

- Nieboszczyk siostrzeniec mojej nieboszczki macochy. - Sulla wciąż uśmiechał się szeroko. - Przed laty wprowadził się do mojego domu, który wtedy należał do macochy. Miał zamiar pozbyć się mnie, niszcząc tę czułość, jaką miała dla mnie Klitumna. Myślał, że gdy obaj będziemy przebywać w jej domu, uda mu się przedstawić mnie w złym świetle. Wyjechałem więc z Rzymu. Osiągnął tyle, że przedstawił w złym świetle wyłącznie siebie, i to bardzo skutecznie. Klitumna miała go dość prawie natychmiast. - Sulla obrócił się na brzuch. - Wkrótce potem zmarł - powiedział z zadumą i westchnął, wciąż się uśmiechając. - Zniweczyłem wszystkie jego plany.

- Jest więc nadzieja, że i Kwintus Cecyliusz Metellus uzna swój powrót za wątpliwe zwycięstwo - powiedział Mariusz.

- Piję za to - rzekł Sulla i wychylił kielich.

Zapadła cisza, którą niełatwo było rozproszyć. Zabrakło dawnej zgody, której nie przywróciły słowa Sulli. Publiusz Rutyliusz Rufus pomyślał, że może owa dawna zgoda wynikała z jej użyteczności na polu bitwy, nie zaś ze szczerzej i głębokiej przyjaźni. Czy jednak mogli zapomnieć o tych wszystkich latach, kiedy walczyli z zewnętrznymi wrogami Rzymu? Jak mogli pozwolić zrodzonemu w Rzymie rozgoryczeniu zatrzeć wszystko, co się działo przedtem? To trybunat Saturnina położył kres dawnemu życiu, to Saturnin, który chciał być królem Rzymu - i ten nieszczęsny udar Mariusza. Potem powiedział sobie: „Nonsens, Publiusz Rutyliuszu! Obydwaj oni są ludźmi stworzonymi do wielkich rzeczy. Nie należą do tych, co lubią siedzieć w domu,



nie sprawując wtedy żadnego urzędu. Dajcie im następną wojnę, w której będą razem walczyć, albo jakiegoś Saturnina wszczynającego rewolucję, a zaczną mruzczyć niczym para kotów myjących sobie nawzajem pyszczki”.

Czas oczywiście uciekał. On sam i Gajusz Mariusz byli już po sześćdziesiątce, a Lucjusz Korneliusz Sulla miał czterdzieści dwa lata. Nie mając zwyczaju zaglądać w zwodnicze głębie zwierciadła, Publiusz Rutyliusz Rufus nie był pewien, jak on sam znosi niedogodności swego wieku, ale wzrok go jeszcze nie zawodził na tę odległość, z której patrzył na Gajusza Mariusza i Lucjusza Korneliusza Sullę.

Gajusz Mariusz przytył na tyle, że przydałaby mu się nowa toga. Jak zawsze był z niego wielki chłop, utrzymujący dobrą formę i proporcjonalnie zbudowany. Przyrost wagi rozłożył się na ramiona, kark, biodra i uda, a także na muskularny z wyglądu brzuch. Dodatkowa masa ciała wygładziła mu do pewnego stopnia twarz, która stała się większa, krągłejsza i z wyższym czołem, dzięki przerzedzeniu się włosów. Rutyliusz Rufus z rozmysłem nie dostrzegał paraliżu lewej strony twarzy, skupił się zamiast tego na tych zdumiewających brwiach, tak samo wielkich, gęstych i nieposłusznych jak zawsze. W iluż to rzeźbiarzach brwi Mariusza budziły burze artystycznych oszołomień! Przyjmując zamówienie na pomnik Mariusza dla jakiegoś miasta albo placu proszącego się o monument, rzeźbiarze Rzymu czy Italii wiedzieli, z czym przyjdzie im się zmierzyć. Ale ten wyraz zgrozy na widok brwi Mariusza pojawiał się zawsze na twarzach sławnych Greków wysyłanych przez Ateny czy Aleksandrię, by wykonali podobiznę owego męża, najczęściej chyba rzeźbionego z ludzi od czasów Scypiona Afrykańskiego! Każdy starał się, jak mógł, ale nawet malowana na desce czy na płótnie twarz Gajusza Mariusza stawała się zawsze tylko tłem dla jego brwi.

Tymczasem zaś najlepszy portret starego druha, jaki Rutyliusz Rufus widział w życiu, został narysowany węglem czy sadzą na ścianie jego własnego domu. Było to tylko kilkanaście kresek; pojedyncza zmysłowa krzywa sugerująca pełną dolną wargę, swego rodzaju błysk w oku - jak się komuś udało zmusić czerń do błyskania? - i nie więcej niż dziesięć kresek na każdą z brwi. A jednak był to Gajusz Mariusz jak żywy, z całą swą dumą i inteligencją jego prawdziwy, nieposkromiony charakter. Jak jednak opisać tę formę sztuki? *Vultum in peius fingere...* Złośliwa karykatura, ale tak dobrze narysowana, że złośliwość przemieniła się w prawdę. Niestety, zanim Rutyliusz Rufus obmyślił sposób zdjęcia tynku ze ściany bez pokruszenia go na tysiąc kawałków, spadł ulewny deszcz i najlepszy z portretów Gajusza Mariusza przestał istnieć.

Żaden jednak malarz bazgrzący po murach bocznych uliczek nie zdołałby zrobić niczego takiego z Sullą. Pozbawiony magii barw Sulla byłby tylko jednym z tysiąca przystojnych mężczyzn o regularnej twarzy, regularnych rysach i tej wrodzonej rzymskości, której Gajusz Mariusz nigdy w sobie nie



niał. Oglądany jednak w kolorze był niepowtarzalny. W wieku lat czterdziestu dwóch nie zdradzał żadnych oznak rzednięcia włosów - i to jakich włosów! Ani rudych, ani złotych, gęstych, wijących się, być może nieco za długich. I te oczy niczym lód z lodowca, koloru najbledszego błękitu, z obwódkami ciemnoniebieskimi niczym burzowa chmura. Dziś wieczorem jego cienkie, uniesione w górę brwi były brunatne, tak jak i długie gęste rzęsy. Publiusz Rutyliusz Rufus widywał go jednak wcześniej w warunkach polowych, wiedział więc, że dziś wieczór użył on swoim zwyczajem stibium. W rzeczywistości brwi i rzęsy Sulli były tak jasne, że widać je było tylko dzięki niezwyklej białości jego skóry, prawie pozbawionej pigmentu.

Kobiety traciły dla Sulli rozsądek, cnotę, rozum. Porzucały ostrożność, doprowadzały do szału swych mężów, ojców i braci, paplały i chichotały, kiedy przechodząc, rzucił na nie okiem. Jakiż to zdolny i inteligentny człowiek! Znakomity żołnierz, któremu wszyscy mogli pozazdrościć dzielności, sprawny administrator i niemalże doskonały organizator. A jednak kobiety były jego zgubą. Tak przynajmniej myślał Publiusz Rutyliusz Rufus, którego miła, lecz pospolita twarz i mysi kolor włosów nie pozwalały odróżnić od miliardów innych mężczyzn. Sulla nie był kobieciarzem ani pożeraczem serc niewieścich. O ile Rutyliuszowi Rufusowi było wiadomo, zachowywał się zawsze z godną podziwu powściągliwością. Bez wątpienia jednak każdy, kto chce wspiąć się na szczyt rzymskiej drabiny politycznej, nie powinien mieć twarzy jak Apollo. Ludzie przystojni i pociągający kobiety budzili nieufność i byli traktowani jak lekkoduchy, zniewieścialcy albo potencjalni przyprawiacze innym rogów.

W zeszłym roku Sulla starał się o wybór na pretora. Wszystko zdawało się przemawiać na jego korzyść. Miał ogromne zasługi wojenne, które wszem wobec rozgłoszono, bo Gajusz Mariusz dopilnował, by wyborcy dowiedzieli się, ile wart był dla niego Sulla jako kwestor, trybun i w końcu legat. Nawet Katulus Cezar, który nie miał powodu, by kochać Sullę po owym zamieszanu w Galii italskiej, kiedy to Sulla wzniecił bunt, by uratować armię Katulusa przed zniszczeniem, wystąpił i chwalił jego służbę w Galii italskiej w roku, w którym ponieśli klęskę germańscy Cymbrowie. Potem, podczas tych niewielu dni, gdy Lucjusz Apulejusz Saturninus zagrażał państwu, to właśnie Sulla, niestrudzony i skuteczny, nakłonił Gajusza Mariusza, by położył temu kres. Kiedy zaś Mariusz wydał rozkaz, Sulla go wykonał. Kwintus Cecyliusz Metellus Numidyjski - którego Mariusz, Sulla i Rutyliusz Rufus nazywali Świnką-Szczecinką - zanim udał się na wygnanie, powtarzał wszystkim znajomym, że pomyślny koniec wojny z królem Jugurtą zawdzięczamy wyłącznie Sulli, a Mariusz bezprawnie przypisuje sobie tę zasługę. Tylko bowiem dzięki samotnym działaniom Sulli został pojmany Jugurta, a każdy wie, że wojna w Afryce trwałaby nadal, gdyby uszedł wolno. Kiedy Katulus Cezar i kilku innych konserwatywnych przywódców senatu zgodziło się ze Świnką-Szczecinką, że



zasługę zakończenia wojny z Jugurtą należy przypisać Sulli, gwiazda Sulli zdawała się wznosić, a jego wybór na jednego z sześciu pretorów wydawał się pewny. Do tego należało dodać godne podziwu zachowanie Sulli - skromność, odmawianie sobie zasług, rzetelność. Do samego końca kampanii wyborczej utrzymywał, że pojmanie Jugurty należy przypisać Mariuszowi, on sam działał zaś pod komendą Mariusza. Takie zachowanie pochwalają zwykle wyborcy, a lojalność wobec dowódcy jest wysoko ceniona na Forum.

A jednak, gdy wyborcy centuriami zgromadzili się w saepcie na Polu Marsowym i centurie, jedna po drugiej, ogłaszały swój wybór, nazwisko Lucjusza Korneliusza Sulli - tak bardzo arystokratyczne i tak bardzo odpowiednie - nie znalazło się wśród sześciu wymienionych. By zaś do niesprawiedliwości dodać obrazę, niektórzy z wybranych mieli tak samo mierne osiągnięcia, jak mierne było pochodzenie ich przodków.

Dlaczego? Zaraz po głosowaniu wszyscy związani z Sullą zadawali mu to pytanie, on jednak nic nie odpowiadał. Wiedział jednak, dlaczego. Nieco później Rutyliusz Rufus i Mariusz także poznali tajemnicę Sulli.

Przyczyna jego klęski miała nazwisko: Cecylia Metella Dalmatyńska, zaledwie dziewiętnastoletnia. I żona Marka Emiliusza Skaurusa, princepsa senatu, który był konsulem w roku pierwszego pojawienia się Germanów, cenzorem w roku, w którym Metellus Numidyjski Świnka-Szczecinka wyruszył do Afryki na wojnę z Jugurtą, i przywódcą kurii od czasów swego konsulatu, czyli od siedemnastu lat. To syn Skaurusa miał poślubić Dalmatykę, ale popełnił samobójstwo po odwrocie Katulusa Cezara spod Trydentu, przyznając, że okazał się tchórzem. A Metellus Numidyjski Świnka-Szczecinka, opiekun swej siedemnastoletniej bratanicy, wydał ją pośpiesznie za Skaurusa, choć między mężem a żoną było czterdzieści lat różnicy.

Nikt oczywiście nie pytał Dalmatyki, co myśli o tym związku, a i ona sama na początku nie była tego pewna. Wydawała się nieco oszołomiona ogromem *auctoritas* i *dignitas* swego męża i rada z opuszczenia burzliwego domu Metellusa Numidyjskiego, gdzie rezydowała wówczas i jego siostra, której seksualne inklinacje i histeryczne zachowanie były prawdziwą udręką dla współmieszkańców. Dalmatyka z miejsca zaszła w ciążę (w wyniku czego *auctoritas* i *dignitas* jej męża wzrosły jeszcze bardziej) i urodziła Skaurusowi córkę. Wtedy właśnie na jakimś przyjęciu wydanym przez jej męża poznała Sullę i ich wzajemne oczarowanie okazało się głębokie, trwałe i unieszczęśliwiające.

Świadom niebezpieczeństwa, jakie sobą przedstawiała, Sulla nie zrobił niczego, by pogłębić znajomość z młodą żoną Skaurusa. Ona jednak uważała inaczej. Kiedy pogruchotane ciała Saturnina i jego przyjaciół spalone zostały z wszystkimi honorami należnymi obywatelom rzymskim, a Sulla zaczął krążyć po Forum i po mieście, dając się poznać i rozpoczynając starania o zdobycie



pretury, Dalmatyka również zaczęła krążyć po Forum i po mieście. Dokądkolwiek poszedł Sulla, tam pojawiała się i Dalmatyka, zawoalowana i kryjąca się za jakimś cokołem czy kolumną, pewna, że nikt jej nie spostrzeże.

Sulla bardzo szybko nauczył się unikać miejsc w rodzaju Portyku Margaritaria, gdzie istotnie można było spotkać kobiety z dobrego domu najniewinniej w świecie nawiedzające sklepy jubilerskie. To ograniczyło szanse Dalmatyki na rozmowę z nim, ale jej postępowanie było dla Sulli wskrzeszeniem dawnego i straszliwego koszmaru - tych dni, gdy Julilla pogrzebała go pod lawiną miłosnych listów, które wsuwała ze swą dziewczyną przy każdej okazji w zanadrze jego togi, w sytuacjach, w których nie śmiał zwracać uwagi widzów na ich poczynania. Cóż, tamto zakończyło się małżeństwem, całkowicie nierozwiązywalnym związkiem *confarreatio*, który przetrwał - gorzki, natarczywy, upokarzający - aż do jej samobójczej śmierci, a był jednym z wielu epizodów w nie kończącej się procesji kobiet pragnących go poskromić.

Sulla zapuścił się więc w wąskie, cuchnące i zatłoczone uliczki Subury, by zwierzyć się, czego bardzo w tej chwili potrzebował, swej jedynej prawdziwej przyjaciółce - Aurelii, szwagierce jego zmarłej żony Julilli.

- Co mam robić? Jestem w pułapce, Aurelio; to znowu Julilla! Nie mogę się od niej uwolnić!

- Cały kłopot w tym, że one nie mają nic do roboty - powiedziała z ponurą miną Aurelia. - Mają niańki do swoich dzieci, spotkania z przyjaciółkami, dobieranymi głównie dla ich talentów do plotkowania, mają krosna, z których nie zamierzają korzystać, i mają zbyt puste głowy, by znaleźć pocieszenie w książkach. Większość z nich nie kocha mężów, bo małżeństwa zawarto z wyrachowania - albo ich ojcowie szukali politycznego poparcia, albo ich mężowie potrzebowali posagów czy też dobrze urodzonych żon. Po roku takiego życia dojrzewają do jakiejś miłosnej intrygi - westchnęła. - Mimo wszystko, Lucjusz Korneliuszu, w miłości mają swobodę wyboru, a czy ją mają w innych dziedzinach? Mądrzejsze spośród nich zadowolają się niewolnikami. Najgłupsze to te, które się zakochują. I tak jest, niestety, w tym przypadku. Ta biedna głupia mała Dalmatyka postradała rozum! A ty jesteś tego przyczyną.

Zagryzł wargę i ukrył swe myśli, wpatrując się we własne dłonie.

- Nie chciałem tego.
- Ja to wiem! Czy jednak podobnie sądzi Marek Emiliusz Skaurus?
- Bogowie, on przecież chyba nic nie wie!
- Powiedziałabym, że wie aż za wiele - parsknęła Aurelia.
- Czemu więc do mnie nie przyszedł? Czy to ja mam iść do niego?
- Właśnie o tym myślę - powiedziała właścicielka czynszowej insuli, powiernica wielu ludzi, matka trojga dzieci, żona nieobecnego męża, stale



zajęta, nigdy nie wścibska.

Siedziała zwrócona bokiem do swego roboczego stołu, rozległej przestrzeni pokrytej całkowicie zwojami papieru, kartkami i pudłami na książki, nie był to jednak bałagan tylko świadectwo rozlicznych zajęć i ogromu pracy.

Sulla pomyślał, że jeśli ona mu nie pomoże, to na nikogo nie może już liczyć, bo jedyna inna osoba, do której mógłby się udać, nie była w tej sytuacji godna zaufania. Aurelia to tylko przyjaciółka, Metrobiusz zaś był także kochankiem z wszystkimi uczuciowymi problemami, jakie wiązały się z tą rolą, i dodatkowymi komplikacjami wynikającymi z jego płci. Kiedy poprzedniego dnia widział się z Metrobiuszem, młody Grek zrobił jakąś złośliwą uwagę o Dalmatyce. Sulla był wstrząśnięty i dopiero wtedy zrozumiał, że o nim i o Dalmatyce musi mówić cały Rzym, bo świat Metrobiusza był bardzo oddalony od świata, w którym on sam się teraz obracał.

- Czy mam się spotkać z Markiem Emiliuszem Skaurusem? - spytał znowu.

- Wolałabym, żebyś spotkał się z Dalmatyką, ale nie widzę sposobu. - Aurelia zacisnęła usta.

Sulla ożywił się.

- Czy nie mogłabyś jej tu zaprosić?

- Oczywiście, że nie! - oburzyła się Aurelia. - Lucjuszu Korneliuszu, jak na człowieka o trzeźwym umyśle, nie popisujesz się rozsądkiem! Czy nie rozumiesz? Marek Emiliusz Skaurus z pewnością kazał śledzić żonę. Twoją białą skórę ratuje dotąd jedynie brak dowodów na poparcie jego podejrzeń.

Wyszczерzył zęby, ale nie w uśmiechu. Opuścił na chwilę maskę i Aurelia ujrzała kogoś, kogo nie znała. Ale - czy naprawdę tak było? Może raczej chodziło o kogoś, kogo wyczuwała już dawniej, ale nigdy przedtem nie widziała. Kogoś pozbawionego cech ludzkich, potwora o długich szponach wyjącego do księżyca. Po raz pierwszy w życiu ogarnęło ją przerażenie.

Jej widoczne drżenie spłoszyło potwora. Sulla znów przywdział maskę.

- Więc co mam robić, Aurelio? Co mogę zrobić?

- Kiedy ostatnio o niej mówiłeś - trzeba przyznać, że to było przed dwoma laty - powiedziałeś, że ją kochasz, chociaż spotkaliście się tylko raz. Całkiem jak Julillę, nieprawdaż? I dlatego tym trudniej to znieść. Ona oczywiście nie wie nic o Julilli, poza tym że miałeś kiedyś żonę, która się zabiła - a to zwiększa jeszcze twoją atrakcyjność. To sugeruje, że jesteś niebezpieczny dla kobiety, która cię pozna i pokocha. Cóż za wyzwanie! Nie, obawiam się, że biedna mała Dalmatyka wpadła beznadziejnie w twoje sieci, choćby i zarzucone mimowolnie. - Przez chwilę zastanawiała się w milczeniu, potem zaś podniosła wzrok. - Nic nie mów i nic nie rób, Lucjuszu Korneliuszu. Zaczekaj, aż Marek Emiliusz Skaurus przyjdzie do ciebie. Dzięki temu wydasz się zupełnie niewinny. Dopilnuj jednak, żeby nie znalazł żadnych dowodów niewierności, choćby i pośrednich. Zakaż swej żonie wychodzić z domu, kiedy w nim przeby-



wasz, na wypadek gdyby Dalmatyka przekupiła kogoś z twych sług, by ją wpuścił. Kłopot w tym, że ty nie rozumiesz kobiet ani ich zbytnio nie lubisz. Nie wiesz zatem, jak sobie radzić z ich najgorszymi wybrykami - one zaś budzą w tobie to, co najgorsze. Jej mąż musi przyjść do ciebie. Bądź dla niego uprzejmy, błagam! Będzie rozdrażniony, jak to starszy człowiek, który ma młodą żonę. Nie rogacz, ale tylko dzięki twej obojętności. Musisz więc zrobić wszystko, co w twej mocy, żeby nie urazić jego dumy. Mimo wszystko jego wpływy dorównują wpływom Gajusza Mariusza - uśmiechnęła się. - Wiem, że on nie zgodziłby się na to porównanie, ale taka jest prawda. Jeśli chcesz zostać pretorem, nie możesz go obrazić.

Sulla przyjął jej radę, ale niestety nie w pełni, i zyskał sobie wroga, bo nie był uprzejmy ani pomocny, ani nie starał się nie urazić dumy Skaurusa.

Przez szesnaście dni po jego rozmowie z Aurelią nic się nie działo, poza tym że wypatrywał szpiegów Skaurusa i zadbał o to, by mu nie dać żadnych dowodów niewierności. Wśród przyjaciół Skaurusa i jego własnych uśmiechano się skrycie i wymieniano znaczące spojrzenia. Zapewne zawsze tak było, tylko przedtem tego nie dostrzegał.

Najgorsze było to, że nadal pragnął Dalmatyki - albo ją kochał, albo był przez nią opętany, albo wszystko to naraz. Jeszcze raz Julilla; ten ból, ta nienawiść, to pragnienie zadawania ciosów każdemu, kto stanął mu na drodze. Od marzeń o kochaniu się z Dalmatyką przechodził w mgnieniu oka do marzeń o skręceniu jej karku i przyglądaniu się, jak kona w plamie księżycowego światła w Cyrcejach... nie, nie, tamto zdarzyło się, kiedy zabił swą macochę! Zaczął otwierać ukrytą szufladę w szafce mieszczącej maskę jego przodka, Publiusza Korneliusza Sulli Rufinusa, flamera *Dialis*. Wyjmował buteleczki z truciznami i pudełko z białym proszkiem... tak zabił Lucjusza Gawiusza Stychusa i siłacza Herkulesa Atlasa. Grzyby? Tak zabił swą kochankę - skosztuj tego, Cecylia Dalmatyńska!

Upłynęło już jednak sporo czasu od śmierci Julilli, przybyło mu doświadczenia i lepiej poznał samego siebie. Nie mógłby zabić Dalmatyki, tak samo jak nie był zdolny zabić Julilli. Z kobietami ze szlacheckich starych rodów nie było innej możliwości, niż doczekać gorzkiego końca. Pewnego dnia doprowadzą z Dalmatyką do końca to, czego w tej chwili nie śmiał rozpocząć.

Potem zjawił się Marek Emiliusz Skaurus i zastukał do jego drzwi, tych samych drzwi, których dotykały kiedyś dłonie tak wielu umarłych i które wciąż ociekały jadem nienawiści. To dotknięcie zatręło duszę Skaurusa i odtąd myślał już tylko o tym, że rozmowa będzie trudniejsza, niż przewidywał.

Usadzony na krześle dla klientów ów dzielny starszy pan przyglądał się spokojnej twarzy swego gospodarza jasnymi zielonymi oczami, które zadawały kłam pobrużdżonej twarzy i pozbawionej włosów czaszce. Jakżeby pragnął nie przybywać tu i nie musieć zniżyć swej dumy do tej sytuacji rodem



ze złej farsy.

- Sądzę, że wiesz, dlaczego tu jestem, Lucjuszu Korneliuszu - powiedział, zadzierając podbródek i patrząc wprost przed siebie.

- Myślę, że wiem - odrzekł Sulla i zamilkł.

- Przychodzę przeprosić cię za zachowanie mojej żony i zapewnić cię, że dopilnuję, by więcej nie sprawiała kłopotu.

A więc zrobił to! I przeżył, nie umarł ze wstydu. Wydawało mu się jednak, że w chłodnym i beznamiętnym spojrzeniu Sulli dostrzega cię wzgardy, być może wyimaginowanej, a jednak to właśnie uczyniło Skaurusa wrogiem Sulli.

- Bardzo mi przykro, Marku Emiliuszu. - Powiedzże coś, Sullo! Ułatw to staremu głupcowi! Nie pozwól mu siedzieć tu z poszarpaną na strzępy dumą! Pamiętaj, co mówiła Aurelia! jednak właściwe słowa nie chciały się nasunąć. Ich zaczątki mieszały się w jego umyśle, a odrętwiały język milczał.

- Lepiej będzie dla wszystkich w to wmieszanych, jeśli opuścisz Rzym - rzekł w końcu Skaurus. - Jedź do Hiszpanii. Słyszę, że Lucjusz Korneliusz Dolabella potrzebuje wsparcia.

Sulla zamrugał z przesadnym zdziwieniem.

- Czy tak? Nie sądziłem, że sprawy aż tak źle stoją. Nie mogę jednak, Marku Emiliuszu, wyrwać się stąd i jechać do Hiszpanii Dalszej. Mam za sobą dziewięć lat w senacie, czas więc starać się o wybór na pretora.

Skaurus zdławił gniew, starając się nadal być miłym.

- Nie w tym roku, Lucjuszu Korneliuszu - powiedział. - W następnym albo za dwa lata. W tym roku powinieneś wyjechać z Rzymu.

- Marku Emiliuszu, ja nie zrobiłem nic złego! - Zrobiłeś, Sullo! Robisz to właśnie teraz, pragnąc pognać tamtego! - Mój termin minął trzy lata temu, mój czas ucieka. Powiniennem stawać do wyborów, muszę więc zostać w Rzymie.

- Przemyśl to sobie, proszę - rzekł Skaurus, wstając.

- Nie mogę, Marku Emiliuszu.

- Jeśli staniesz do wyborów, nie przejdiesz, zapewniam cię, Lucjuszu Korneliuszu. Nie przejdiesz też w następnym roku ani za dwa lata, ani za trzy - powiedział spokojnym tonem Skaurus. - Tyle ci mogę obiecać, wierz mi! Wyjedź z Rzymu.

- Bardzo żałuję, Marku Emiliuszu. Muszę jednak zostać w Rzymie i stanąć do wyborów - odrzekł Sulla.

I na tym stanęło. Choć *auctoritas* i *dignitas* princepsa senatu Marka Emiliusza Skaurusa doznały uszczerbku, zachował aż za wiele wpływów, by uniemożliwić wybór Sulli na pretora. Inni, pośledniejsi od niego, miernoty i głupcy, a mimo to pretorzy, zobaczyli swe nazwiska wpisane w *fasti*.



To od swojej siostrzenicy Aurelii dowiedział się o tym Publiusz Rutyliusz



Rufus, który z kolei przekazał opowieść Gajuszowi Mariuszowi. Było rzeczą oczywistą że princeps senatu Skaurus przeciwstawiał się wyborowi Sulli na pretora, mniej oczywiste było jednak, dlaczego tak się stało. Niektórzy utrzymywali, że przyczyną była namiętność, jaką zapłonęła do Sulli Dalmatyka, ale po długich dyskusjach uznano powszechnie to wyjaśnienie za niedostateczne. Skaurus dał dziewczynie dość czasu (jak mówił), by sama zrozumiała swój błąd, a potem załatwił z nią tę sprawę (grzecznie, lecz stanowczo, jak mówił), i nie robił z tego sekretu wobec przyjaciół ani na Forum.

- Że też musiało się to biedactwu przytrafić! - zwierzał się kilku senatorom, upewniwszy się, że mnóstwo innych kręci się w pobliżu. - Wolałbym, żeby wybrała kogoś innego niż zwykłego sługusa Gajusza Mariusza, ale to podobno przystojny chłop.

Było to dobrze wyreżyserowane, tak dobrze, że eksperci z Forum i członkowie senatu uznali związki Sulli z Gajuszem Mariuszem za prawdziwy powód przeciwstawienia się Skaurusa kandydaturze Sulli. Po bezprecedensowych sześciu konsulatach gwiazda Mariusza przygasła. Najlepsze dni miał już za sobą i nie zdołał nawet uzyskać wystarczającego poparcia, by ubiegać się o wybór na cenzora. Oznaczało to, że Gajusz Mariusz, tak zwany Trzeci Założyciel Rzymu, nigdy nie stanie w szeregu najdostojniejszych mężów konsularnych, z których wszyscy byli cenzorami. Gajusz Mariusz był według rzymskiego schematu skończony, stał się raczej osobliwością niż zagrożeniem i nikt powyżej klasy trzeciej nie wznosił już okrzyków na jego cześć. Rutyliusz Rufus dołał sobie wina.

- Naprawdę wybierasz się do Pesynuntu?

- Dlaczego nie?

- Po co? Mogę zrozumieć Delfy albo Olimpię, albo Dodonę. Ale Pesynunt? To gdzieś w środku Anatolii - we Frygii! To dziura zabita deskami, najbardziej zacofana w świecie! Nie ma tam kropli dobrego wina ani porządnej drogi przez setki mil. Na lewo i na prawo same pastuchy, a dzikusy z Galacji kłębią się na granicy. Słowo daję, Gajuszu Mariuszu! Czy tak ci pilno zobaczyć Battakesa w złotej szacie i z klejnotami wplecionymi w brodę? Wezwij go znów do Rzymu! Jestem pewien, że będzie zachwycony, mogąc odnowić znajomość z naszymi matronami, które nie przestały jeszcze opłakiwać jego wyjazdu.

Zanim Rutyliusz doszedł do końca tej pełnej żaru wypowiedzi, Mariusz i Sulla śmiali się w najlepsze i znikło nagle napięcie towarzyszące im tego wieczoru. Znów czuli się ze sobą swobodnie i znów się zgadzali.

- Chcesz się przyjrzeć królowi Mitrydatesowi - powiedział Sulla tonem bynajmniej nie pytającym.

Mariusz uśmiechnął się, unosząc brwi.

- Dość niezwykle stwierdzenie! Czemu tak sądzisz, Lucjuszu Korneliuszu?



- Bo cię dobrze znam, Gajuszu Mariuszu. Stary z ciebie niedowiarek! Ślubowałeś chyba tylko to, że skopiesz tyłki legionistom i ich trybunom wojskowym. Jest tylko jeden powód, dla którego ciągnąłbyś swe tłuste cielsko w głąb dzikiej Anatolii. Chcesz na własne oczy zobaczyć, co się dzieje w Kapadocji i co król Mitrydates ma z tym wspólnego. - Sulla uśmiechał się rozradowany jak rzadko.

Mariusz zwrócił się z niepokojem do Rutyliusza Rufusa:

- Mam nadzieję, że nie wszyscy tak mnie znają na wylot jak Lucjusz Korneliusz!

Teraz z kolei uśmiechnął się Rutyliusz Rufus.

- Bardzo wątpię, żeby ktoś się czegoś domyślił. Ja pierwszy ci uwierzyłem, stary niedowiarku!

Mariusz zwrócił się mimowolnie (albo tak się wydawało Rutyliuszowi Rufusowi) do Sulli i na powrót zaczęli omawiać jakąś nową wielką strategię.

- Kłopot w tym, że wcale nie możemy polegać na naszych źródłach informacji - mówił z ożywieniem Mariusz. - Chodzi o to, że nikt godny zaufania nie był tam od lat - nikt, na kim mógłbym polegać. Co my właściwie wiemy?

- Bardzo niewiele. - Sulla był całkowicie pochłonięty rozmową. Zorganizowano kilka wypadów w głąb Galacji, króla Bitynii Nikomedesa od zachodu i Mitrydatesa od wschodu. Potem przed kilku laty Nikomedes poślubił matkę małego króla Kapadocji, chyba sprawowała wtedy regencję, i zaczął używać tytułu króla Kapadocji.

- Tak było - potwierdził Mariusz. - Chyba uznał to za niefortunny pomysł, kiedy Mitrydates doprowadził do jej zamordowania i znów osadził chłopca na tronie. Nie ma już króla Kapadocji Nikomedesa! - Zaśmiał się cicho. - Jak też on mógł przypuszczać, że wyjdzie z tego cało, skoro zamordowana królowa była siostrą Mitrydatesa!

- A jej syn nadal tam panuje jako - ach, te ich dziwaczne imiona! Jakiś Ariarates?

- Ariarates VII, dla ścisłości - potwierdził Mariusz.

- Jak myślisz, co się tam dzieje? - spytał Sulla, którego ciekawość została pobudzona wykazaną przez Mariusza znajomością zawiłych wschodnich stosunków.

- Nie jestem pewien. Zapewne nic, poza zwykłymi kłótniami Nikomedesa z Bitynii z Mitrydatesem z Pontu. Bardzo mnie jednak intryguje ten młody król Pontu, Mitrydates. Chciałbym się z nim spotkać. Ma dopiero trzydzieści lat, Lucjusz Korneliuszu, a już opanował najpiękniejsze kraje wokół Morza Euksyńskiego, mając na początku sam tylko Pont. Dreszcz mnie przenika, bo czuję, że przysporzy on Rzymowi kłopotów.

Czując, że najwyższy czas włączyć się do rozmowy, Publiusz Rutyliusz Rufus z hałasem postawił pusty puchar na stoliku i wykorzystał okazję.



- Chodzi ci o to, że Mitrydates ma na oku naszą rzymską prowincję Azję - rzekł, kiwając głową z mądrą miną. - Czemu nie miałby jej pragnąć? To bardzo bogaty kraj i najbardziej cywilizowane miejsce w świecie. Ten kraj był grecki, odkąd Grecy są Grekami! W prowincji Azji żył i tworzył Homer, wyobrażacie sobie?

- Łatwiej bym to sobie wyobraził, gdybyś zaczął przygrywać na lirze - zaśmiał się Sulla.

- Bądźże poważny, Lucjuszu Korneliuszu! Król Mitrydates chyba nie na żarty myśli o naszej rzymskiej prowincji Azji i my też nie dworujemy z tego.

Nie na żarty, dworować; Rutyliusz Rufus przerwał, podziwiając swój kunszt słowa, i stracił szansę zapanowania nad rozmową.

- Nie ma chyba wątpliwości, że Mitrydates jest owładnięty myślą o zapanowaniu nad naszą prowincją Azją - powiedział Mariusz.

- To jednak człowiek Wschodu - rzekł Sulla. - Wszyscy ci wschodni królowie boją się Rzymu. Nawet Jugurta, o wiele bardziej otwarty na Rzym niż jakiś wschodni król, nawet on bał się Rzymu. Przypomnijcie sobie tylko, ile zniewag zniósł Jugurta, zanim zdecydował się na walkę z nami. Zmusiliśmy go do tej wojny.

- Ach, myślę, że Jugurta zawsze planował tę wojnę - oświadczył Rutyliusz Rufus.

- Nie zgadzam się z tym - odparł Sulla, marszcząc brwi. - On chyba marzył o wojnie z nami, ale tylko marzył. To my zmusiliśmy go do wojny, kiedy Aulus Albinus wtargnął do Numidii w poszukiwaniu łupu. Tak właśnie zaczynają się zwykle wszystkie nasze wojny. Jakiś żądny złota dowódca, który nie powinien kierować nawet pochodem przedszkolaków, otrzymuje władzę nad rzymskimi legionami i wyrusza szukać zdobyczy - nie dla Rzymu, ale dla siebie. Karbon i Germanie, Cepion i Germanie, Syllan i Germanie - ta lista nie ma końca.

- Odchodzisz od tematu, Lucjuszu Korneliuszu - zauważył uprzejmie Mariusz.

- Rzeczywiście, przepraszam! - Bynajmniej nie speszony Sulla uśmiechnął się z oddaniem do swego dawnego dowódcy. - Tak czy inaczej, sytuacja na wschodzie jest chyba bardzo podobna do sytuacji w Afryce, zanim Jugurta zdecydował się na wojnę z nami. Wiemy wszyscy, że Bitynia i Pont to odwieczni wrogowie, wiemy też, że zarówno król Nikomedes, jak i król Mitrydates marzą o ekspansji, co najmniej w głąb Anatolii. W Anatolii leżą dwa bogate kraje, na które obaj królowie mają ochotę - Kapadocja i nasza rzymska prowincja Azja. Kto posiada Kapadocję, ten ma łatwy dostęp do Cylicji i bogactwo ziem uprawnych. Posiadanie rzymskiej prowincji Azji zapewnia nieograniczony dostęp do Morza Środkowego, pół setki znakomitych portów i na dodatek bajecznie bogate zaplecze. Któryż król nie chciałby sprawować władzy w obu tych krajach!



- Nikomedes nie martwi mnie wcale - przerwał mu Mariusz. - Musi trzymać się Rzymu rękami i nogami, i wie o tym. Nie sądzę też, żeby - na razie - coś groziło naszej rzymskiej prowincji Azji. Chodzi o Kapadocję.

Sulla skinął głową.

- Zgadza się. Prowincja Azja jest rzymska. A król Mitrydates nie różni się chyba od reszty swoich wschodnich kolegów i nie wyzbył się strachu przed Rzymem na tyle, by napaść na naszą prowincję, choćby i była fatalnie rządzona. Kapadocja nie jest jednak rzymska. Leży w naszej sferze wpływów, ale Nikomedes i młody Mitrydates przyjmują chyba, że jest zbyt odległa i mało ważna dla Rzymu, by o nią toczyć wojny. Z drugiej strony, zachowują się jak złodzieje, kryjąc się za jakimiś marionetkami i krewniakami.

- Nie nazwałbym ukradkowym postępkom małżeństwa starego króla Nikomedesa z królową regentką Kapadocji - mruknął Mariusz.

- Zgoda, ale to nie trwało długo, nieprawdaż? Król Mitrydates był tak oburzony, że zamordował własną siostrę! Osadził jej syna na tronie Kapadocji szybciej, niż zdołałbyś powiedzieć: „Lucjusz Utracjusz”.

- Niestety, to Nikomedes jest naszym oficjalnym przyjacielem i sprzymierzeńcem, a nie Mitrydates - powiedział Mariusz. - Szkoda, że nie było mnie w Rzymie, kiedy się to wszystko działo.

- Ach, daj spokój! - oburzył się Rutyliusz Rufus. - Królowie Bitynii noszą oficjalnie tytuł „przyjaciela i sprzymierzeńca” od ponad pół wieku! Podczas naszej ostatniej wojny z Kartaginą także i król Pontu był oficjalnym przyjacielem i sprzymierzeńcem. Ojciec tego Mitrydatesa stracił jednak szansę na przyjaźń z Rzymem, kupując Frygię od ojca Maniusza Akwiliusza. Rzym nie utrzymuje odtąd stosunków z Pontem. Nie można zresztą czynić „przyjaciółmi i sprzymierzeńcami” dwóch poróżnionych ze sobą królów, chyba że taki status zapobiega wojnie między nimi. W przypadku Bitynii i Pontu senat uznał, że nadanie tytułów obu królom pogorszy tylko ich stosunki. Wyróżniono Nikomedesa, bo Bitynia ma lepsze notowania niż Pont.

- Nikomedes to stary głupiec! - oświadczył zniecierpliwiony Mariusz. - Rządzi od ponad pół wieku, a nie był już dzieckiem, kiedy odsunął od tronu swego tatę. Ma chyba ponad osiemdziesiąt lat i tylko pogarsza sytuację w Anatolii.

- Zachowując się jak stary głupiec, bo chyba to masz na myśli. - Tej uwadze towarzyszyło spojrzenie niemalże fioletowych oczu Rutyliusza Rufusa, bardzo podobne do spojrzeń jego siostrzenicy Aurelii i równie bezpośrednie, choć nie tak twarde. - Nie uważasz, Gajuszu Mariuszu, że ty i ja jesteśmy bardzo bliscy wieku, w którym zostaje się starym głupcem?

- Spokój, spokój, przestańcie stoszyć pióra! - Sulla wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Wiem, o co ci chodzi, Gajuszu Mariuszu. Nikomedes jest sędziwy niezależnie od tego, czy jest zdolny rządzić czy nie - a trzeba przyjąć, że nadal



jest. Jego dwór jest najbardziej zhellenizowany ze wszystkich wschodnich dworów, ale nadal jest wschodni. Oznacza to, że wystarczy jedno jego potknięcie, aby syn usunął go z tronu. Nikomedes pozostaje zatem przebiegły i czujny, ale jest też wiecznie niezadowolony i zawistny. Tymczasem za granicą, w Poncie, rządzi trzydziestolatek - energiczny, inteligentny, agresywny i pewny siebie. Trudno oczekiwać, żeby Nikomedes oddał Mitrydatesowi sprawiedliwość.

- Trudno - zgodził się Mariusz. - Możemy chyba przyjąć, że jeśli dojdzie do wymiany ciosów, będzie to nierówna walka. Nikomedes zdołał jedynie utrzymać to, co miał na początku swego panowania, podczas gdy Mitrydates to zdobywca. Tak, Lucjuszu Korneliuszu, muszę się przyjrzeć temu Mitrydatesowi!

Oparł się na lewym łokciu i spojrzał na Sullę.

- Jedź ze mną Lucjuszu Korneliuszu! Jaką masz alternatywę? Jeszcze jeden nudny rok w Rzymie, paplaninę Świnki-Szczecinki w senacie i Prosiaka pyszniącego się sprowadzeniem swego taty do kraju.

Sulla pokręcił jednak przecząco głową.

- Nie, Gajuszu Mariuszu.

- Słyszałem - powiedział Rutyliusz Rufus, ogryzając paznokcie - że oficjalne pismo odwołujące Kwintusa Cecyliusza Metellusa Numidyjskiego z wygnania na Rodos podpisali starszy konsul Metellus Nepos i nie kto inny jak Prosiak, wyobrażacie sobie! O trybunie ludowym Kwintusie Kalidiuszu, który otrzymał wezwanie do powrotu, ani słyhu! Podpisane zostało przez najmłodszego z senatorów, który jest *privatus* w tej sprawie!

- Biedny Kwintus Kalidiusz! Mam nadzieję, że Prosiak dobrze mu zapłacił - zaśmiał się Mariusz. Spojrzał na Rutyliusza Rufusa. - Nie zmienili się wcale przez te wszystkie lata, nieprawdaż, ten ród Cecyliuszy Metellów? Mnie także mieli za nic, kiedy byłem trybunem ludowym.

- Zasłużenie - odrzekł Rufus. - Interesowałeś się wtedy jedynie utrudnianiem życia wszystkim Cecyliuszom Metellom, którzy zajmowali się polityką. A już myśleli, że mają cię w sidłach! Ależ wściekły był Dalmatyński!

Na dźwięk tego imienia Sulla wzdrygnął się, czując że się rumieni. To był jej zmarły ojciec, starszy brat Świnki-Szczecinki. Co się z nią dzieje, z Dalmatyką? Co jej zrobił Skaurus? Od dnia wizyty Skaurusa Sulla nie widział jej na oczy. Plotka mówiła, że zabronił jej wychodzenia z domu.

- Przy okazji - odezwał się - słyszałem z wiarygodnego źródła, że Prosiak zeni się, i to podobno doskonała partia.

Wspomnienia natychmiast poszły w niepamięć.

- Nic mi o tym nie wiadomo! - Rutyliusz Rufus, który uważał swoje źródła za najlepsze w Rzymie, był nieco zirytowany.

- Niemniej to prawda, Publiusz Rutyliuszu.



- Powiedz mi zatem!

Sulla wrzucił sobie migdał do ust i żuł go przez chwilę, nim przemówił:

- Dobre wino, Gajuszu Mariuszu - powiedziała, napełniając swój puchar ze stojącego pod ręką dzbana, odprawiono już bowiem służących. Potem powoli dolał wody do wina.

- Ach, nie dręczże go już, Lucjuszu Korneliuszu! - westchnął Mariusz. - Publiusz Rutyliusz to przecież największy stary plotkarz w senacie.

- Zgadza się z tym, ale musisz przyznać, że listy, które nam przysyłał do Galii i do Afryki były nadzwyczaj ciekawe.

- Z kim?! - krzyknął Rutyliusz Rufus.

- Z Licynią Młodszą córką naszego pretora miejskiego, Lucjusza Licyniusza Krassusa Oratora.

- Żartujesz! - wykrztusił Rutyliusz Rufus.

- Wcale nie.

- Jest za młoda!

- W przeddzień ślubu skończy szesnaście.

- Obrzydliwość! - warknął Mariusz, ściągając brwi.

- To nie do usprawiedliwienia! - Rutyliusz Rufus był szczerze przejęty. - Odpowiedni wiek to osiemnaście i ani dnia mniej! Jesteśmy Rzymianami, a nie jakimiś wschodnimi porywaczami dzieci z kołysek!

- Cóż, Prosiak ma przynajmniej dopiero trzydziestkę - zauważył Sulla. - A co słychać z żoną Skaurusa?

- Im mniej się o tym mówi, tym lepiej! - parsknął Rutyliusz Rufus. Złość mu już przeszła. - Trzeba jednak podziwiać Krassusa Oratora. W tej rodzinie nie brak pieniędzy na posagi, ale i tak dobrze sobie radzi z córkami. Starsza wyszła za Scypiona Nazykę, a teraz młodsza za Prosiaka, jedyne go syna i dziedzica. Myślałem wtedy, że tamta Licynia miała pecha, wychodząc w wieku siedemnastu lat za takiego gbura jak Nazyka. Wiecie, że jest w ciąży?

Mariusz klasnął w dłonie na rządce.

- Idźcie już do domu! Kiedy rozmowa przeradza się w plotki starych bab, wyczerpaliśmy widocznie inne możliwości. W ciąży, też coś! Powinno się ciebie trzymać w pokoju dzieciennym z kobietami, Publiusz Rutyliuszu!



Na tę ucztę w domu Mariusza sprowadzono wszystkie dzieci i wszystkie już spały, kiedy przyjęcie się skończyło. Jedynie Mariusz Młodszy był u siebie, pozostałych musieli zabrać rodzice. Dwie duże lektyki czekały w uliczce, jedna na dzieci Sulli, Kornelię Sullę i Sullę Młodszego, druga na trójkę Aurelii, Julię Starszą zwaną Lia, Julię Młodszą zwaną Ju-ju i Cezara Młodszego. Kiedy dorośli stali w atrium, rozmawiając cicho, grupa służących wносиła śpiące dzieci do lektyk i ostrożnie układała je w ich wnętrzach.

Człowiek niosący Cezara Młodszego wydał się nieznamy Julii, która



mechanicznie liczyła dzieci. Potem zeszywniała nagle, chwytając Aurelię za rękę.

- Przecież to Lucjusz Dekumiusz! - wykrztusiła.

- Oczywiście, to on - przyznała zdziwiona Aurelia.

- Aurelio, naprawdę nie powinnaś!

- Nonsens, Julio! Lucjusz Dekumiusz jest mi prawdziwą ostoją. Dobrze wiesz, jak wygląda droga do mojego domu. Od siedmiu lat żyję wśród złodziei, rozbójników i bogowie wiedzą czego. Nie często daję się skusić na wyjście z domu, ale kiedy już wychodzę, Lucjusz Dekumiusz z kilkoma braćmi zawsze mnie odprowadza. Cezar Młodszy ma lekki sen, ale kiedy niesie go Lucjusz Dekumiusz, nigdy się nie budzi.

- Z kilkoma braćmi? - wyszeptła ze zgrozą Julia. - Chcesz powiedzieć, że jest tam więcej takich jak on?

- Ależ nie! Mam na myśli jego kolegów z bractwa rozdroży, jego ludzi, Julio. - Miała zagniewaną minę. - Ach, nie wiem, po co przychodzę na te rodzinne obiady, kiedy już wreszcie opuszczam dom! Czemu nie możesz zrozumieć, że świetnie sobie w życiu radzę i robienie wokół tego zamieszania jest zupełnie niepotrzebne?

Julia nic już nie powiedziała, dopóki nie poszli z Gajuszem Mariuszem spać, wyprawivszy służących do ich kwater, zamknąwszy drzwi od ulicy i złożywyszy ofiary trójcy bogów opiekujących się rzymskimi domami: Weście od domowego ogniska, penatom od spiżarni i larowi Familiaris, opiekunowi rodziny.

- Aurelia była dziś nieznośna - powiedziała wtedy.

Mariusz był zmęczony. Odczuwał znużenie o wiele częściej niż dawniej i trochę się tego wstydził. Zamiast więc zrobić to, na co miał ochotę, a mianowicie obrócić się na lewy bok i zasnąć, położył się na plecach, objął żonę lewą ręką i pogodził się z koniecznością rozmowy o kobietach i problemach domowych.

- Doprawdy? - spytał.

- Czy nie mógłbyś ściągnąć Gajusza Juliusza do domu? Aurelia zmienia się w jakąś emerytowaną westalkę, sama nie wiem w co! Zgorzkniała, zrzędliva, bezbarwna! Tak, to odpowiednie słowo, bezbarwna - mówiła Julia. - A ten chłopiec ją wyczerpuje.

- Jaki chłopiec? - wymamrotał Mariusz.

- Jej dwudziestodwumiesięczny syn, Cezar Młodszy. Ach, Gajuszu Mariuszu, on jest zdumiewający! Wiem, że czasem rodzą się takie dzieci, ale nigdy żadnego podobnego nie spotkałam ani o takim nie słyszałam wśród znajomych. Każda matka jest szczęśliwa, jeśli jej siedmioletni syn po pierwszym wyjściu z ojcem na Forum wie, czym są *dignitas* i *auctoritas*. Ale ten malec już to wie, chociaż nigdy nie widział swego ojca! Mówię ci, mężu, że



Cezar Młodszy jest naprawdę zdumiewający. - Ożywiła się, coś jej przyszło na myśl, zaczęła wiercić się i podskakiwać na łóżku. - Ach, rozmawiałam wczoraj z Mucją, żoną Krassusa Oratora. Mówiła, że chwalił się jakimś klientem, który ma syna podobnego do Cezara Młodszego. - Szturchnęła Mariusza w żebra. - Musisz znać tę rodzinę, bo pochodzą z Arpinum.

Prawdę mówiąc, nie słuchał, ale ta sójka w żebra dopełniła tego, co zaczęło się od wiercenia się i podskakiwania. Rozbudził się na tyle, by spytać:

- Z Arpinum? Kto to?

Arpinum było jego miastem rodzinnym, tam leżały ziemie jego przodków.

- Marek Tulliusz Cyncero. Klient Krassusa Oratora i jego syn noszą to samo imię.

- Niestety, znam tę rodzinę. To jacyś nasi krewni. Z tych, co to lubią się procesować! Zagarnęli kawałek naszej ziemi ze sto lat temu i wygrali sprawę w sądzie. Odtąd nie odzywamy się do nich.

Powieki mu opadały.

- Rozumiem. - Julia przytuliła się mocniej. - W każdym razie ten chłopiec ma teraz osiem lat i jest tak bystry, że zamierza studiować na Forum. Krassus Orator przewiduje, że wywoła on nie lada poruszenie. Cezar Młodszy też chyba wywoła nie lada poruszenie, kiedy będzie miał osiem lat.

- Ha! - Mariusz ziewnął potężnie. Znów trąciła go łokciem w żebra.

- Zasypiasz, Gajuszu Mariuszu! Obudź się!

Otworzył szybko oczy i warknął niby to groźnie:

- Chcesz mnie przegonić dookoła Kapitolu?

Zachichotała i znowu spoważniała.

- Cóż, nie spotkałam jeszcze tego chłopca Cyncerona, ale znam swego bratanka, małego Gajusza Juliusza Cezara, i powiadam ci, że on nie jest... normalny. Wiem, że tak się zwykle mówi o ociężałych umysłowo, ale czemu nie miałyby to również oznaczać i czegoś przeciwnego?

- Julio, robisz się z wiekiem coraz bardziej rozmowna - poskarżył się zmęczony mąż.

Julia nie zwróciła na to uwagi.

- Cezar Młodszy nie ma jeszcze dwóch lat, a robi wrażenie, jakby miał sto. Używa wielkich słów i odpowiednio układa zdania, i wie, co te wielkie słowa znaczą!

I nagle Mariusz rozbudził się zupełnie i przestał odczuwać zmęczenie. Uniósł się, by spojrzeć na żonę, na jej poważną twarz miękko rysującą się w słabym płomieniu nocnej lampki. Jej bratanek! Jej bratanek imieniem Gajusz! Proroctwo Marty Syryjki wyjawione mu przy pierwszym jego spotkaniu ze staruchą, w pałacu Gaudy w Kartaginie. Przepowiedziała mu wtedy, że zostanie Pierwszym w Rzymie i że będzie siedem razy konsulem. Dodała jednak, że nie będzie największym z wszystkich Rzymian. Będzie nim bratanek



jego żony, Gajusz! On zaś powiedział wtedy do siebie: „Po moim trupie! Nikt nie zaćmi mojej sławy”. I oto pojawił się ten chłopiec, realny i żywy.

Opadł znów na plecy, bo zmęczenie odezwało się bólem ramion. Zbyt wiele czasu, zbyt wiele energii, zbyt wiele pasji włożył w walkę o miano Pierwszego w Rzymie, by stać spokojnie i patrzeć, jak blask jego imienia zaćmiewa jakiś przedwcześnie rozwinięty arystokrata, który dopnie swego, kiedy on, Gajusz Mariusz, będzie zbyt stary, by się temu przeciwstawić albo nie będzie już żył. Choć bardzo kochał swoją żonę i pokornie przyznawał, że to jej arystokratyczne nazwisko zapewniło mu pierwszy konsulat, wolałby nie widzieć, jak jej bratanek, krew z jej krwi, staje się coraz sławniejszy, aż w końcu usuwa go w cień.

Sprawował dotąd sześć konsulatów, co oznaczało, że czeka go jeszcze siódmy. Nikt z biorących udział w życiu politycznym Rzymu nie wierzył, by Gajusz Mariusz odzyskał kiedyś swą minioną chwałę, te szczęśliwe lata, kiedy centurie wybierały go trzykrotnie *in absentia* w przekonaniu, że jest jedynym człowiekiem zdolnym ocalić Rzym od Germanów. Ocalił ich, a jakie spotkało go podziękowanie? Porażka polityczna w walce z opozycją, dezaprobata, podkopywanie. Wroga działalność Kwintusa Lutacjusza Katulusa Cezara, Metellusa Świnki-Szczecinka Numidyjskiego oraz wielkiego i potężnego stronnictwa w senacie, utworzonego tylko po to, by obalić Gajusza Mariusza. Mali ludzie o wielkich nazwiskach nie mogli znieść myśli, że ich ukochany Rzym został uratowany przez pogardzanego „człowieka nowego” - jakiegoś italskiego wieśniaka, który wcale nie zna greki, jak to ujął przed laty Metellus Świnka-Szczecinka Numidyjski.

Ale to jeszcze nie koniec! Udar czy nie udar, Gajusz Mariusz będzie konsulem po raz siódmy - i przejdzie do historii jako największy Rzymianin w dziejach republiki. Nie zamierza też pozwolić jakiemuś złotowłosemu pięknemu potomkowi bogini Wenus zająć w historii lepszego miejsca od wywalzonego przez niego samego.

- Zajmę się tobą, chłopcze - powiedział na głos i uściśnął Julię.
- Co to ma znaczyć? - spytała.
- Za parę dni wyruszamy do Pesynuntu, ty i ja, i nasz syn także.
- Ach, Gajuszu Mariuszu! Naprawdę? To wspaniale! Jesteś pewien, że chcesz nas zabrać?
- Jestem pewien, żono. Nie obchodzi mnie, co na to powiedzą. Nie będzie nas przez dwa albo trzy lata, a nie zamierzam w moim wieku rozstawać się na tak długo z żoną i z synem. Gdybym był młodszy, może byłoby inaczej. Skoro zaś podróżuję jako *privatus*, nie istnieją żadne formalne przeszkody, bym zabrał ze sobą rodzinę. Płacę sam za siebie. - Parsknął śmiechem.
- Ach, Gajuszu Mariuszu! - Zabrakło jej słów.
- Zobaczymy po drodze Ateny, Smyrnę, Pergamon, Nikomedię i ze sto innych



miejsc.

- Czy Tars także? - spytała ochoczo. - Ach, zawsze chciałam podróżować po świecie!

Czuł jeszcze ból w ramionach, ale ogarniała go znów nieodparta senność. Powieki opadły, usta się rozchyliły. Julia jeszcze przez kilka chwil mówiła, obejmując kolana ramionami. Potem zabrakło jej pochwali i obróciła się z czułym uśmiechem do Mariusza.

- Kochanie, chyba nie...?

Odpowiedziało jej chrapnięcie. Jako dobra żona z dwunastoletnim doświadczeniem pokręciła tylko głową, wciąż z uśmiechem, i obróciła męża na prawy bok.



Stłumiwszy ostatnie tłące się ogniska powstania niewolników na Sycylii, Maniusz Akwiliusz powrócił do Rzymu. W uznaniu zasług zgotowano mu owację w senacie. Nie mógł domagać się triumfu, bo jego przeciwników nie można było uznać za żołnierzy nieprzyjaciela. Wojny domowe i wojny z niewolnikami zajmowały szczególne miejsce w rzymskim kodeksie wojskowym. Polecenie zdławienia powstania było nie mniejszym honorem i nie mniejszym przedsięwzięciem niż walka z nieprzyjacielską armią, wodzowi odmawiano jednak prawa do triumfu. Triumf umożliwiał pokazanie ludowi rzymskiemu zdobyczy wojennych - jeńców, pieniędzy, wszelkiego rodzaju łupów od złotych ćwieków w drzwiach, należących dawniej do jakiegoś króla, do pak cynamonu i kadzidła. Wszystkie te zdobycze wzbogacały skarbiec Rzymu, a lud mógł przekonać się na własne oczy, jak dochodowym przedsięwzięciem jest wojna - jeśli jest się Rzymianinem i jeśli się wygrywa. Wojny domowe i niewolnicze nie przynosiły jednak dochodów, ale wyłącznie straty. Majątek zagrabiony i odebrany wrogom musiał być zwrócony prawowitym właścicielom, a państwo nie mogło domagać się swego udziału.

Wymyślono więc owację. Podobnie jak triumf składała się ona z uroczystego pochodu, wódz nie jechał jednak w starożytnym rydwanie zwycięzcy, nie malował sobie twarzy i nie nosił triumfalnej szaty. Nie słychać było trąb, jedynie mniej natchnione świergotanie fletów, a Wielki Bóg zamiast byka przyjmował owcę, uczestnicząc tym samym wraz z wodzem w uroczystościach niższego rzędu.

Maniusz Akwiliusz był zadowolony z owacji. Po jej odprawieniu zajął znów miejsce w senacie, gdzie jako męża konsularnego - byłego konsula - proszono go o wygłaszanie sądów przed innymi mężami konsularnymi, którzy nigdy nie zaznali atmosfery triumfu ani owacji. Obciążony niesławą, jaką okrył się kiedyś jego ojciec, także Maniusz Akwiliusz nie miał początkowo nadziei na uzyskanie konsulatu. Niektóre fakty bardzo utrudniają życie, kiedy pochodzi się z niezbyt



dostojnego rodu. Bardzo niefortunnym posunięciem była sprzedaż przez ojca Maniusza Akwiliusza, po śmierci króla Pergamonu Attalosa III, ponad połowy terytorium Frygii ojcu Mitrydatesa, obecnego króla Pontu, za złoto, które schował do własnej sakiewki. Zgodnie z prawem obszar ten powinien wejść wtedy wraz z resztą posiadłości Attalosa do rzymskiej prowincji Azji, bo Attalos zapisał swe państwo Rzymowi. Zacošana Frygia, mogąca dostarczyć co najwyżej marnych niewolników, nie wydawała się starszemu Maniuszowi Akwiliuszowi wielką stratą dla Rzymu. Wpływowi ludzie w senacie i na Forum nie wybaczyli mu jednak tego i nie zapomnieli o tym wydarzeniu, kiedy młodszy Maniusz Akwiliusz wkraczał na arenę polityczną.

Zdobycie pretury było prawdziwą walką i pochłonęło większość tego, co pozostało z pontyjskiego złota, jego ojciec nie był bowiem ani oszczędny, ani roztropny. Kiedy więc młodszemu Maniuszowi Akwiliuszowi nadarzyła się złota okazja, chwycił ją bez namysłu. Po tym, jak Germanie pokonali w Galii Zaalpejskiej obu fatalnych wodzów, Cepiona i Maliusza Maksymusa - i już mieli ruszać na Italię doliną Rodanu - to właśnie pretor Maniusz Akwiliusz wystąpił z propozycją wyboru Gajusza Mariusza *in absentia* na konsula, co dawało mu władzę imperialną konieczną do odparcia zagrożenia. Gajusz Mariusz miał potem wobec niego dług wdzięczności - i chętnie spłacał ten dług.

W rezultacie Maniusz Akwiliusz pełnił służbę jako legat Mariusza i przyczynił się do pogromu Teutonów pod Wodami Sekstyjskimi. Przynosząc do Rzymu wieść o tak bardzo pożądanym zwycięstwie, został wybrany na młodszego konsula, gdy na konsula po raz piąty powołano Mariusza. Po roku zakończył swój konsulat i zabrał dwa ze swoich wspaniale wyszkolonych legionów weteranów na Sycylię, aby tam wypalić jątrzący się wrzód powstania niewolników, które od kilku lat zagrażało zaopatrzeniu Rzymu w zboże.

Wróciwszy do domu, powitany owacją zamierzał stawać do wyborów na cenzora, kiedy nadejdzie czas głosowania na dwóch nowych cenzorów. Wpływowi przywódcy senatu mieli jednak własne plany. Sam Gajusz Mariusz stracił swą pozycję w następstwie próby zdobycia władzy w Rzymie przez Lucjusza Apulejusza Saturnina, pozbawiając oparcia Maniusza Akwiliusza. Ten z kolei został postawiony przed sądem do spraw o wymuszenia przez trybuna ludowego Publiusza Serwiliusza Watię, mającego wielkie wpływy i potężnych przyjaciół wśród rycerzy, z których składały się sądy. Watia nie pochodził z patrycjuszy Serwiliuszy, należał jednak do znakomitego rodu plebejskiego i miał zamiar zająć daleko.

Proces odbywał się na Forum w niespokojnej atmosferze. Wpłynęło na to kilka wydarzeń, zaczynając od czasów Saturnina, choć wszyscy mieli nadzieję, że po śmierci tamtego nie będzie już przemocy na Forum ani zabójstw wyższych urzędników. A jednak doszło do użycia przemocy i do zabójstwa, głównie wskutek starań Prosiaka, syna Metellusa Świnki-Szczecinki



Numidyjskiego, o rozliczenie się z niektórymi wrogami jego ojca. Upór Prosiaka w walce o sprowadzenie ojca z wygnania przyniósł mu cenniejszy przydomek niż „Prosiak” - był to teraz Kwintus Cecyliusz Metellus Pius - Pius w znaczeniu „obowiązkowy”. Zakończywszy pomyślnie tamtą walkę, Prosiak Metellus Pius postanowił, że wrogowie Świnki-Szczecinki dostaną za swoje. Dotyczyło to także Maniusza Akwiliusza, niewątpliwie człowieka Mariusza.



Frekwencja w Zgromadzeniu Ludowym była niska. Tylko nieliczni słuchacze otaczali miejsce na dolnym Forum Romanum, wyznaczone przez Zgromadzenie trybunałowi do spraw o wymuszenia.

- Cała ta sprawa jest oczywiście śmieszna - mówił Publiusz Rutyliusz Rufus do Gajusza Mariusza, gdy przyszli posłuchać przebiegu rozprawy w ostatnim dniu procesu Maniusza Akwiliusza. - To była przecież wojna niewolnicza! Nie było chyba żadnych zdobyczy od Lilibaeum aż po Syrakuzy. Obaj wiemy, że ci chciwi Sycylijczycy mieli przez cały czas na oku Maniusza Akwiliusza. Nie mógłby ukryć i miedziaka w garści!

- Prosiak chce się w ten sposób na mnie odegrać. - Mariusz wzruszył ramionami. - Maniusz Akwiliusz dobrze o tym wie. Płaci karę za to, że mnie wspierał.

- I za to, że jego ojciec sprzedał Frygię - dorzucił Rutyliusz Rufus.

- To prawda.

Rozprawa odbywała się według nowej procedury wprowadzonej przez nieboszczyka Gajusza Serwiliusza Glaucję, gdy zwracał te sądy rycerzom, wyłączając z nich senatorów, chyba że byli podsądnymi. W poprzednich dniach powołano w skład sądu pięćdziesięciu jeden najwybitniejszych rzymskich ludzi interesu, oskarżenie i obrona wygłosiły wstępne oświadczenia i przesłuchano świadków. W tym ostatnim dniu oskarżyciel miał przemawiać przez dwie godziny, obrońca przez trzy, i zaraz potem sąd miał wydać wyrok.

Serwiliusz Watia dobrze się spisał jako oskarżyciel publiczny. Był nieprzeciętnym prokuratorem i miał dobrych pomocników, ale było oczywiste, że słuchacze przybyli liczniej niż poprzednio, by wysłuchać adwokatów broniących Maniusza Akwiliusza.

Najpierw przemawiał zezowaty Cezar Strabon, złośliwy młody człowiek znakomicie wyszkolony i posiadający dar wymowy. Po nim wystąpił mówca tak wybitny, że zdobył sobie dodatkowy przydomek Oratora - Lucjusz Licyniusz Krassus Orator. Krassus Orator ustąpił zaś miejsca jeszcze jednemu mówcy z przydomkiem Oratora - Markowi Antoniuszowi Oratorowi. Zdobyć tego przydomka zawdzięczał on nie tylko wystąpieniom publicznym, ale też swej nieporównanej znajomości retoryki. Krassus Orator miał lepsze przygotowanie prawnicze, ale Antoniusz Orator był lepszym mówcą.

- Ledwie o włos - powiedział Rutyliusz Rufus, gdy Krassus Orator skończył, a



Antoniusz Orator zaczął.

Odpowiedziało mu tylko mruknięcie. Mariusz skupił się całkowicie na przemówieniu Antoniusza Oratora, chcąc mieć pewność, że dobrze ulokował pieniądze. Maniusz Akwiliusz nie mógł oczywiście opłacić tej klasy adwokatów i wszyscy o tym wiedzieli. Gajusz Mariusz finansował tę obronę. Zgodnie z prawem i obyczajem, obrońca nie pobierał wynagrodzenia, mógł jednak przyjmować dowody wdzięczności za dobrze wykonaną robotę. Kiedy republika rzymska wkroczyła z wieku średniego w podeszły, przyjmowanie darów przez obrońców było już powszechnie akceptowane. Na początku były to dzieła sztuki i meble, kiedy jednak adwokat cieszył się powodzeniem, miał kłopot z pozbyciem się tych dzieł sztuki i umeblowania. Z czasem przyjęło więc formę upominków w gotówce. Naturalnie, nie mówiło się o tym, a wszyscy udawali, że nic takiego się nie dzieje.

- Krótką macie pamięć, panowie sędziowie! - wołał Antoniusz Orator. - Dalej, cofnijcie się myślą o parę krótkich lat, do tamtych wynędzniałych tłumów Policzonych Głowami na naszym ukochanym Forum Romanum, których brzuchy były równie puste jak ich spiżarnie. Czy nie pamiętacie, jak niektórzy z was - wśród sędziów było z pół tuzina magnatów zbożowych - żądali pięćdziesięciu sestercji za *modius* pszenicy z waszych spichrzów? A tłumy Policzonych Głowami zbierały się, dzień po dniu, i patrzyły na nas, warcząc. Bo Sycylia, nasz kosz chlebowy, była wtedy ruiną prawdziwą *Iliadą* nieszczęść...

Rutyliusz Rufus chwycił Mariusza za ramię i wychrypiął ze zgrozą:

- O to mu chodzi! Oby ziemia pożarła do ostatniego złodziei słów! *Iliada* nieszczęść, także coś! Chyba pamiętasz, Gajuszu Mariuszu, że użyłem tego samego zwrotu, pisząc do ciebie do Galii? Potem musiałem ścierpieć jego kradzież przez Skaurusa! A teraz to określenie funkcjonuje w powszechnym użyciu jako pomysł Skaurusa!

- *Tace!* - powiedział Mariusz, przysłuchując się Oratorowi.

- ...a dodatkowym nieszczęściem było fatalne zarządzanie! Wszyscy chyba znamy tego fatalnego zarządcę, nieprawdaż? - Bystre zaczerwienione oko spoczęło na chwilę na jakiejś szczególnie obojętnej twarzy w drugim rzędzie sędziów. - Nie? Ależ, pozwólcie mi odświeżyć wasze wspomnienia! Młodzi bracia Lukullusowie pociągnęli go do odpowiedzialności i posłali na wygnanie. Mówię oczywiście o Gajuszu Serwiliuszu Augurze. Kiedy ten oto lojalny konsul Maniusz Akwiliusz przybył na Sycylię, od czterech lat nie było tam zbiorów, a pragnę przypomnieć, że Sycylia daje nam połowę naszego zboża.

Pojawił się Sulla. Skinął głową Mariuszowi, po czym zwrócił uwagę na wciąż jeszcze rozżłoszczonego Rutylusza Rufusa.

- Jak idzie proces?

- Któż to wie, skoro chodzi o Maniusza Akwiliusza? - parsknął Rutylusz Rufus. - Ten sąd szuka powodu, żeby go skazać, więc chyba znajdzie jakieś



dowody. Ma to być nauczka dla wszystkich nieroztropnych, którzy chcieliby popierać Gajusza Mariusza.

- *Tace!* - warknął znów Mariusz.

Rutyliusz Rufus odsunął się z zasięgu jego słuchu, pociągając za sobą Sullę.

- I ty nie jesteś ostatnio skory do popierania Gajusza Mariusza, czyż nie, Lucjuszu Korneliuszu?

- Muszę myśleć o własnej karierze, Publiusz Rutyliuszu, a tej chyba nie pomoże popieranie Gajusza Mariusza.

Rutyliusz Rufus skinął głową uznając słuszność tej wypowiedzi.

- Tak, to zrozumiałe. Ale on na to nie zasługuje, przyjacielu! Zasługuje na to, byśmy stali przy nim, my, którzy go znamy i cenimy.

To zabolalo. Sulla zgarbił się i syknął z bólu.

- Dobrze ci mówić! Jesteś mężem konsularnym, miałeś już swój wielki dzień! Ja nie miałem! Nazwij mnie zdrajcą jeśli chcesz, ale przysięgam ci, Publiusz Rutyliuszu, że będę jeszcze miał swój dzień! I niech bogowie bronią tych, co mi staną na drodze.

- Z Mariuszem włącznie?

- Z nim włącznie.

Rutyliusz Rufus nie powiedział już nic więcej, kręcił tylko ze smutkiem głową.

Sulla także milczał przez chwilę, a potem mówił dalej:

- Słyszałem, że nasz obecny namiestnik Hiszpanii Bliższej nie radzi sobie z Celtyberami. Dolabella nie może przyjść mu na pomoc z Hiszpanii Dalszej z powodu Luzytanów. Wygląda na to, że Tytus Dydiusz będzie musiał udać się za swego konsulatu do Hiszpanii Bliższej.

- Szkoda - rzekł Rutyliusz Rufus. - Podoba mi się jego styl, chociaż to człowiek nowy. Nowe rozsądne prawa - i to z krzesła konsula.

Sulla uśmiechnął się szeroko.

- Nie sądzisz chyba, że to nasz kochany starszy konsul Metellus Nepos wymyślił te prawa?

- Ty też tak nie sądzisz, Lucjuszu Korneliuszu. Któryż Cecyliusz Metellus myślał kiedy o naprawianiu państwa zamiast o własnej karierze? Te dwa małe prawa Tytusa Dydiusza są równie ważne jak korzystne. Nie będzie już więcej w Zgromadzeniach pośpiesznie stanowionych praw, bo teraz muszą upłynąć trzy pełne *nundinae* dni między ich ogłoszeniem a ratyfikacją. I nie będzie więcej łączenia nie związanych z sobą spraw, z czego wynikały ustawy chybione i zawiłe. Tak, choćby więcej nic dobrego nie zdarzyło się w tym roku w senacie albo w komicjach, zostaną nam przynajmniej prawa Tytusa Dydiusza - oświadczył z satysfakcją Rutyliusz Rufus.

Sullę nie interesowały jednak prawa Tytusa Dydiusza.

- Wszystko to pięknie i ładnie, Publiusz Rutyliuszu, ale nie o to mi chodziło!



Jeśli Tytus Dydiusz wyrusza do Hiszpanii Bliższej poskramiać Celtyberów, pójdę z nim jako jego starszy legat. Już z nim o tym rozmawiałem i wydawał się więcej niż chętny. To będzie długa i trudna wojna, spory więc może być udział w łupach i sława do zdobycia. Kto wie? Mogę nawet objąć dowództwo armii.

- Już zyskałeś wojenną sławę, Lucjusz Korneliuszu.

- To było kiedyś, a nie teraz! - wykrzyknął z gniewem Sulla. - Wszyscy ci głoszący durnie z pieniędzmi a bez rozumu już o tym zapomnieli. Katulus Cezar wolałby mnie widzieć martwym, bo mogę coś powiedzieć o buncie jego armii, a Skaurus prześladowa mnie za to, czego nie zrobiłem. - Pokazał zęby. - Niech się pilnują, ci dwaj! Jeśli kiedyś uznam, że nigdy mnie nie dopuszczą do kurulnego krzesła, będą żałować, że się urodzili.

„A ja mu wierzę!”, pomyślał Rutyliusz Rufus, czując chłód w kościach. „To niebezpieczny człowiek! Lepiej, żeby się usunął”.

- Idź więc do Hiszpanii z Dydiuszem - powiedział. - Masz rację, to najlepsza droga do pretury. Nowy początek, nowa reputacja. Szkoda jednak, że nie starałeś się o wybór na edyla kurulnego. Taki człowiek teatru jak ty urządziłby wspaniałe igrzyska! Byłbyś potem murowanym pretorem.

- Nie mam pieniędzy na edylat kurulny.

- Wsparłby cię Gajusz Mariusz.

- Nie poproszę. Mogę przynajmniej powiedzieć, że sam doszedłem do tego, co mam. Nikt mi niczego nie dał - sam wszystko zdobyłem.

Te słowa sprawiły, że Rutyliusz Rufus przypomniał sobie plotki, które Skaurus rozpuszczał o Sulli, gdy ten starał się o wybór na pretora: że zamordował swą kochankę, by zdobyć pieniądze na wpis do stanu rycerskiego, a potem zamordował macochę, by uzyskać cenzus senatora. Rutyliusz Rufus puszczał takie plotki mimo uszu, podobnie jak zwykłe pomówienia o stosunki cielesne z matkami, siostrami i córkami, o wykorzystywanie erotyczne małych chłopców i o koprofagię. Sulla mówił jednak czasami takie rzeczy! Można się było potem zastanawiać...

Wśród sędziów zapanowało poruszenie. Marek Antoniusz Orator kończył swą przemowę.

- Stoi przed wami nie byle jaki człowiek! - wołał. - Stoi przed wami Rzymianin z krwi i kości, żołnierz, i to dzielny żołnierz!, patriota wierzący w wielkość Rzymu! Czemu ktoś taki miałby podkradać cynowe miski chłopom, podjadać szczawiową zupę służącym i czerstwy chleb piekarzom? Pytam was, panowie sędziowie! Czyście słuchali opowieści o gigantycznych malwersacjach, o morderstwach, gwałtach i sprzeniewierzeniach? Nie, musieliście wysłuchiwać małoszkowych biadań nad stratą dziesięciu miedziaków, jakiejs książki albo kosza ryb!

Nabrał tchu i nawet jakby urósł, obdarzony wspaniałą postawą wszystkich Antoniuszów, kędzierzawymi kasztanowatymi włosami, budzącą zaufanie



prostoduszną twarzą. Wszyscy sędziowie co do jednego byli nim urzeczeni.

- Ma ich w garści - powiedział ze spokojem Rutyliusz Rufus.

- Ciekaw jestem raczej, co zamierza z nimi zrobić. - Sulla miał czujną minę.

Nagle rozległ się zdławiony okrzyk zdumienia. Antoniusz Orator rzucił się na Maniusza Akwiliusza! Zdarł z niego togę, a potem chwycił oburącz tunikę pod szyją, rozdarł ją tak łatwo, jakby w tym miejscu była wcześniej zszyta, i zostawił Maniusza Akwiliusza stojącego przed trybunałem w samej tylko przepasce biodrowej.

- Patrzcie! - zagrzmiął Antoniusz. - Czy widzicie różowe bezwłose ciało jakiejś *saltatrix tonsa*? Czy widzicie obwisły brzuch jakiegoś żarłoka - domatora? Nie! To, co widzicie, to blizny. Wojenne blizny, całe ich tuziny. Oto jest ciało żołnierza, dzielnego i walecznego męża, Rzymianina z krwi i kości, dowódcy, któremu tak bardzo ufał Gajusz Mariusz, że powierzył mu zadanie obejścia linii wroga i uderzenia nań od tyłu! Oto jest ciało kogoś, kto nie ustępował z jękiem z pola bitwy po cięciu mieczem, draśnięciu włócznią w udo albo gdy kamień wyparł z niego dech! Oto jest ciało kogoś, kto nie dba o rany i nie przestaje zabijać wrogów! - Uniesione ręce obrońcy opadły. - Wystarczy. Tego wystarczy. Wydajcie wyrok - rzekł krótko.

Wydali wyrok. *ABSOLVO*.

- Pozerzy! - parsknął Rutyliusz Rufus. - Jak sędziowie mogą się na to nabrać? Jego tunika rozdziera się jak papier, on zaś stoi potem w przepasce biodrowej, na Jowisza! Czy coś wam to mówi?

- Że Akwiliusz i Antoniusz z góry to ułożyli. - Mariusz uśmiechnął się szeroko.

- I że Akwiliusz nie miał dość odwagi, by stać tam bez przepaski biodrowej - powiedział Sulla.

Kiedy przestali się śmiać, Rutyliusz Rufus zwrócił się do Mariusza:

- Lucjusz Korneliusz wybiera się z Tytusem Dydiuszem do Hiszpanii Bliższej. Co ty na to?

- Myślę, że to najlepsze, co może zrobić - powiedział ze spokojem Mariusz. - Kwintus Sertoriusz staje do wyborów na trybuna wojskowego, chyba więc i on wyruszy do Hiszpanii.

- Nie jesteś zbyt zaskoczony - zauważył Sulla.

- Nie jestem. Ta hiszpańska nowina będzie jutro powszechnie znana. Zwołano zebranie senatu w świątyni Bellony. Damy Tytusowi Dydiuszowi wojnę z Celtyberami. To porządny człowiek, dobry żołnierz i całkiem zdolny wódz, jeśli ma do czynienia z takimi czy innymi Galami. Tak, Lucjusz Korneliuszu, lepiej być legatem w Hiszpanii - to ci się przyda przy wyborach - niż tłuc się po Anatolii z jakimś *privatus*.





*Privatus* wyjechał po tygodniu do Tarentu na statek kurierski do Patraj. Był z początku nieco zagubiony i zdezorientowany, bo jechał z żoną i synem, a nigdy przedtem nie podróżował w takim towarzystwie. Żołnierz rzuca rozkazy swoim nieliniowym i podróżuje jak najszybciej i jak najmniej obciążony. Żony miewają jednak inne pomysły, jak się o tym przekonał Gajusz Mariusz. Julia postanowiła już wcześniej, że zabierze ze sobą połowę domowników, z kucharzem wyspecjalizowanym w gotowaniu dla dzieci, pedagogiem Mariusza Młodszeo i dziewczyną która dokonywała cudów z uczesaniem pani domu. Spakowano wszystkie zabawki Mariusza Młodszeo, jego książki szkolne i prywatną bibliotekę pedagoga, ubrania na wszystkie możliwe okazje oraz rzeczy, o które mogłoby być trudno poza Rzymem.

- Nas troje ma więcej bagażu i liczniejszy orszak niż król Partów przenoszący się na lato z Seleukii nad Tygrysem do Ekbatany - warczał Mariusz, gdy po trzech dniach na Via Latina dotarli zaledwie do Anagnii.

Godził się z tym jednak, dopóki po trzech tygodniach nie przybyli do Wenuzji przy Via Appia, wyczerpani upałem i kłopotami ze znalezieniem gospody dość dużej, by pomieścić ich służących i bagaże.

- Koniec z tym wszystkim! - wrzasnął Mariusz, po odesłaniu do innej gospody mniej potrzebnych służących i bagażu, kiedy został z Julią na tyle sam na sam, na ile było to możliwe w ruchliwej stacji pocztowej. - Albo ograniczysz swe zapędy, Julio, albo odeślę cię z Mariuszem Młodszym na lato do Kyme. Jeszcze długo będziemy w cywilizowanym świecie, nie trzeba nam więc ani połowy tych rupieci! Nie trzeba też tylu ludzi! Kucharz dla Mariusza Młodszeo! Też coś!

Julia była zgrzana, wyczerpana i bliska łez. Jej cudowne wakacje były koszmarem, z którego nie mogła się obudzić. Po tym ultimatum jej pierwszą myślą było skorzystać z możliwości powrotu do Kyme. Potem pomyślała o latach, podczas których nie widziałaby Mariusza, on zaś nie widziałaby swego syna. I o możliwości, że gdzieś w obcym i niepewnym miejscu mógłby go dopaść następny udar.

- Gajuszu Mariuszu, nigdy dotąd nie podróżowałam, chyba że do naszych willi w Kyme albo w Arpinum. A gdy jeździłam z Mariuszem Młodszym do Kyme albo Arpinum, wyglądało to tak samo jak teraz. Rozumiem, o co ci chodzi, i chciałabym cię zadowolić. - Oparła głowę na dłoni, ukradkiem ocierając łzy. - Kłopot w tym, że nie mam pojęcia, jak to zrobić.

Mariusz nigdy dotąd nie pomyślał, że usłyszy od żony takie wyznanie bezradności! Wiedząc, jak ciężko jej to przyszło, porwał ją w ramiona i ucałował w czubek głowy.

- Nie martw się, ja się tym zajmę. Musisz mi obiecać tylko jedno.



- Co tylko zechcesz, Gajuszu Mariuszu!

- Jeśli odeślę coś albo kogoś, z czym albo z kim trudno ci się rozstać, nie będziesz się sprzeciwiać, Julio. Ani jednym słowem, zrozumiano?

- Zrozumiano - odrzekła, wzdychając z zadowolenia i ściskając męża.

Odtąd podróżowali szybko i sprawnie, i zadziwiająco wygodnie, jak się o tym przekonała Julia. Dobrze urodzeni Rzymianie w podróży zatrzymywali się w miarę możliwości w prywatnych willach, czy to należących do przyjaciół, czy też udostępnianych na podstawie listu polecającego. Miało się pewność, że gościnę można będzie odwzajemnić, nie było to więc narzucanie się. Od Benewentu jednak zatrzymywali się najczęściej w gospodach. Julia zdała sobie sprawę, że żadna z nich nie pomieściłaby ich dawnego orszaku.

Upał wciąż był niemiłosierny. Południowy koniec półwyspu był suchy i pozbawiony cienia wzdłuż głównych dróg, ale szybsze tempo, z jakim podróżowali, odmieniało przynajmniej monotonię i częściej dostarczało wytchnienia w kąpielu - w jakiejś rzece nadającej się do pływania albo w jakimś miasteczku o płaskich dachach i murach z suszonej cegły posiadającym łaźnię.

Powitano zatem radośnie skolonizowaną przez Greków żyzną równinę nadbrzeżną wokół Tarentu, a jeszcze radośniej sam Tarent. Nadal było to miasto bardziej greckie niż rzymskie, o mniejszym znaczeniu niż dawniej, kiedy kończyła się tu Via Appia. Obecnie ruch drogowy kierował się przeważnie do Brundyzjum, głównego portu dla odpływających z Italii do Macedonii. Biały i surowy Tarent, skonstrastowany z błękitem morza i nieba, zielenią pól i lasów oraz rdzawoszarymi urwiskami górskimi, witał z deklarowanym zachwytem wielkiego Gajusza Mariusza. Zatrzymali się w wygodnym chłodnym domu głównego etnarchy, choć obecnie był nim obywatel rzymski, który udawał, że woli, by go nazywano duumwirem, nie zaś etnarchą.

Jak w wielu innych miejscach przy Via Appia najznakomitsi obywatele zebrali się, by pomówić z Gajuszem Mariuszem o sprawach Rzymu i Italii, i o napiętych ostatnio stosunkach Rzymu z jego italskimi sprzymierzeńcami. Tarent był kolonią na prawach latyńskich, a jego najwyżsi urzędnicy - dwaj mężowie zwani duumwirami - otrzymywali obywatelstwo rzymskie dla siebie i swoich potomków. Korzenie miasta były jednak greckie. Było ono równie stare lub starsze niż Rzym. Stanowiło kiedyś wysuniętą placówkę Sparty, jej kultury i obyczajów, i nadal utrzymywały się w nim stare spartańskie rygory.

Mariusz widział niechęć mieszkańców Tarentu do młodszego Brundyzjum, co prowadziło do sympatyzowania z italskimi sprzymierzeńcami z niższych warstw społecznych.

- Zbyt wielu sprzymierzonych zginęło, służąc w rzymskich armiach dowodzonych przez wojskowych ignorantów - tłumaczył z przekonaniem Mariuszowi etnarchą. - Ich gospodarstwa podupadają, bo nie zdążyli spłodzić



synów. W Lukanii, Samnium i Apulii nie ma pieniędzy! Sprzymierzeńcy muszą płacić za utrzymanie w polu swoich legionów posiłkowych, które przedtem musieli uzbroić! A po co, Gajuszu Mariuszu? Po to, żeby Rzym utrzymywał drogę między Galią italską a Hiszpanią? Jaką korzyść mają z tego Apulijczycy czy Lukanie? Co im z tego, że Rzym sprowadza pszenicę z Afryki i Sycylii, by napychać rzymskie gęby? Czy to zboże w czasie posuchy trafia do Samnitów? Rzymianie w Italii od lat nie płacą podatków, ale my z Apulii, Kalabrii, Lukanii i Brucjum stale płacimy Rzymowi! Chyba powinniśmy dziękować Rzymowi za Via Appia, Brundyzjum w każdym razie powinno. Czemu jednak Rzym nie przysłała kuratora, by utrzymywać drogę w dobrym stanie? Na pewnym odcinku musiałeś nim jechać - powódź zniszczyła drogę dwadzieścia lat temu! Czy została naprawiona? Nie! Czy zostanie naprawiona? Nie! Tymczasem Rzym wysysa nas, okłada podatkami i werbuje naszych młodych ludzi na swoje zamorskie wojny. Giną tam, a potem jakiś rzymski bogacz wtyka swój but w nasze drzwi i pożera naszą ziemię. Sprowadza niewolników do wypasu stad, trzyma ich w łańcuchach i kupuje nowych, kiedy tamci umrą. Nie wydaje u nas pieniędzy i nie inwestuje. Nikogo z nas nie zatrudnia. Nie mamy ani sestercji z jego zysków. Taki ktoś nie buduje naszej pomyślności, tylko jej szkodzi. Nadszedł czas, Gajuszu Mariuszu, aby Rzym hojnie nas wynagrodził albo pozwolił nam odejść!

Mariusz wysłuchał z niewzruszoną twarzą tego długiego i pełnego emocji przemówienia. Słuchał takich już wcześniej wzdłuż całej Via Appia.

- Zrobię, co będę mógł, Marku Poncjuszu Kleonimie - zapewnił z powagą. - Prawdę mówiąc, od lat starałem się coś zrobić w tej sprawie. Nie osiągnąłem wiele, chyba głównie dlatego, że wielu członków senatu nigdy nie podróżuje tak jak ja, ani nie rozmawia z ludźmi, ani - niech im Apollo pomoże! - nie używa oczu do patrzenia. Wiesz na pewno, że nieraz poruszałem w senacie problem nieszanowania życia rzymskich żołnierzy. Wygląda na to, że skończyły się czasy, kiedy naszymi armiami dowodzili wojskowi ignoranci. Odkąd Gajusz Mariusz, człowiek nowy, pokazał dobrze urodzonym amatorom, jak się dowodzi, senat coraz chętniej oddaje rzymskie armie w ręce wypróbowanych ludzi.

- Wszystko to pięknie, Gajuszu Mariuszu - powiedział cicho Kleonimus - ale nie wskrzesi to naszych zmarłych z popiołów ani nie przysporzy dziedziców naszej ziemi.

- Wiem.

Kiedy ich statek wypłynął na morze i rozwinął wielki kwadratowy żagiel, Gajusz Mariusz oparty o nadburcie patrzył, jak Tarent znika w błękitnej mgłę. Myślał o kłopotliwym położeniu italskich sprzymierzeńców. Może dlatego, że i jego często nazywano Italczykiem, nie-Rzymianinem. Albo dlatego, że nie znosił nieudolności. Jednego był pewien - nadejdzie dzień, gdy italscy



sprzymierzeńcy Rzymu zażądają rozliczenia. Zażądają obywatelstwa rzymskiego dla wszystkich mieszkańców półwyspu, a może i Galii italskiej.

Wybuch śmiechu przerwał te jego rozważania. Oderwał się od nadburcia i spojrzał na syna, który zapowiadał się na dobrego żeglarza. Statek mknął pchany stałym wiatrem od lądu i marny żeglarz już dawno składałby ofiarę Neptunowi. Julia także wyglądała i czuła się doskonale.

- Cała moja rodzina mieszka nad morzem - powiedziała, gdy Mariusz stanął przy niej - a jedynym szczurem lądowym jest mój brat Sekstus, pewnie z powodu tej swojej astmy.

Statek pocztowy do Patraj pływał tym szlakiem stale i zarabiał na pasażerach tyle samo, co na ładunkach, mógł więc zaoferować Mariuszowi kabinę na pokładzie. Niewątpliwie jednak Julia cieszyła się, schodząc w Patraj na ląd. Mariusz chciał płynąć dalej przez Zatokę Koryncką ona jednak nie zamierzała ruszać się z Patraj, póki nie odprawią pielgrzymki do Olimpii.

- To dziwne - mówiła, jadąc na ośle - że największa w świecie świątynia Zeusa kryje się gdzieś w zapadłym kącie Peloponezu. Zawsze myślałam, że Olimpia leży u stóp Olimpu.

- Tak to sobie Grecy wymyślili. - Mariusz wolałby ruszać do Azji, najszybciej jak się da, nie miał jednak serca odmawiać żonie najwyraźniej zaplanowanych przyjemności. Podróże w towarzystwie kobiet nie należały do jego ulubionych rozrywek.

W Koryncie jednak rozchmurzył się. Kiedy Mummiusz przed pięćdziesięciu laty zdobył to miasto, jego skarby trafiły do Rzymu. Miasto do tej pory nie podniosło się z upadku. Domy skupione u podnóża potężnej skały Akrokoryntu były w znacznej części opuszczone i niszczały, a wiatr trząsał ich otwartymi drzwiami.

- To jedno z miejsc, gdzie chciałem osiedlać moich weteranów - mówił Mariusz z dość posępną miną kiedy chodzili po zrujnowanych ulicach Koryntu. - Spójrzcie tylko na to miasto! Aż się prosi o nowych obywateli! Mnóstwo ziemi uprawnej, port po stronie Morza Egejskiego i port po stronie Morza Jońskiego, wszelkie warunki na kwitnące emporium. I czym się to skończyło? Unieważnili moją ustawę.

- Bo ją wprowadził Saturninus - zauważył Mariusz Młodszy.

- Właśnie! I dlatego, że ci głupcy z senatu nie zrozumieli, jak ważne jest dać kawałek ziemi Policzonym Głowami, kiedy się ich zwalnia ze służby. Musisz pamiętać, młody Mariuszu, że Policzeni Głowami nie mają ani ziemi, ani pieniędzy! Otworzyłem dla nich szeregi naszych armii. Przydałem Rzymowi świeżej krwi, bo z tej klasy obywateli nigdy dotąd nie było pożytku. Policzeni Głowami żołnierze pokazali, co są warci - w Numidii, pod Aquae Sextiae i pod Vercellae. Walczyli równie dobrze albo lepiej niż dawni żołnierze - właściciele gospodarstw. Nie można ich jednak zwalniać i kazać im wracać na rzymski



bruk! Muszą dostać ziemię. Wiedziałem, że pierwsza i druga klasa nigdy się nie zgodzą na osiedlenie ich na państwowych gruntach w Italii, ustanowiłem więc prawo osadzania ich w miejscach takich jak to, gdzie brakuje obywateli. Tu można przenieść Rzym do prowincji i związać je z nami na zawsze. Niestety, przywódcy kurii i przywódcy rycerzy uważają Rzym za coś aż tak wyjątkowego, że jego obyczaje i sposób życia nie powinny szerzyć się po świecie.

- Kwintus Cecyliusz Metellus Numidyjski. - Mariusz Młodszy wymówił to z odrazą. Wyrósł w domu, w którym tego nazwiska nigdy nie wymawiano z szacunkiem, zwykle zaś z przydomkiem Świnka-Szczecinka. Miał jednak dość rozumu, by nie używać tego przydomka w obecności matki, która byłaby tym oburzona.

- Kto jeszcze? - spytał Mariusz.

- Marek Emiliusz Skaurus, princeps senatu, i Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus pontifex maximus, Kwintus Lutacjusz Katulus Cezar i Publiusz Korneliusz Scypion Nazyka...

- Bardzo dobrze, wystarczy. Zorganizowali swych klientów i stworzyli stronnictwo zbyt potężne nawet dla mnie. A potem, w zeszłym roku, znieśli większość ustaw Saturnina.

- Jego ustawę zbożową i jego ustawy rolne. - Mariusz Młodszy lubił być chwalony i dobrze rozumiał się z ojcem.

- Z wyjątkiem pierwszej ustawy rolnej o osiedlaniu żołnierzy Policzonych Głowami na wyspach afrykańskich - powiedział Mariusz.

- To mi przypomina, mężu, że mam ci coś do powiedzenia - wtrąciła Julia.

Mariusz spojrzał znacząco w dół na Mariusza Młodszego, Julia jednak ciągnęła dalej z poważną miną.

- Jak długo chcesz jeszcze trzymać na tej wyspie Gajusza Juliusza Cezara? Czy nie mógłby wrócić do domu? Powinien wrócić dla dobra Aurelii i dzieci.

- Potrzebuję go na Kercynie - rzekł krótko Mariusz. - Nie jest przywódcą, ale żadna ustawa rolna nie miała jeszcze lepszego komisarza niż Gajusz Juliusz. Dopóki działa na Kercynie, prace postępują prawie nie ma skarg, a rezultaty są znakomite.

- Ale to tak długo trwa! - protestowała Julia. - Trzy lata!

- I może potrwać jeszcze trzy. - Mariusz nie zamierzał się poddać. - Wiesz, jak wolno pracują komisje rolne. Tyle jest do zrobienia; pomiary, mediacje, odszkodowania, korygowanie ciągłych pomyłek i przełamywanie oporu miejscowych. Gajusz Juliusz robi to bardzo zręcznie. Nie, Julio! Nie mówmy już o tym! Gajusz Juliusz zostanie tam, dopóki nie ukończy pracy.

- Żal mi jego żony i dzieci.





Współczucie Julii było jednak źle ulokowane. Aurelia była zadowolona ze swego losu i wcale nie odczuwała braku męża. Nie chodziło o to, że go nie kochała albo że nie pamiętała o obowiązkach żony. Pod jego nieobecność mogła po prostu wykonywać swoją robotę bez narażania się na jego dezaprobatę, krytykę albo - oby do tego nie doszło! - zakaz robienia tego dłużej.

Kiedy pobrali się i wprowadzili do większego z dwóch apartamentów na parterze insuli - kamienicy czynszowej, która stanowiła jej posag, Aurelia zrozumiała, że jej mąż oczekuje od niej takiego sposobu życia, jakie prowadziłyby w prywatnym domu na Palatynie, gdyby tam zamieszkali: wytwornego, pełnego wdzięku i raczej banalnego. Tego rodzaju życia, jakie krytkowała tak wymownie w rozmowie z Lucjuszem Korneliuszem Sullą. Tak nudnego i pozbawionego wszelkich wyzwań, że jakaś przygoda miłosa stawała się nieuniknioną koniecznością. Zatrwożona i zawiedziona Aurelia przekonała się, że Cezar nie pochwala jej kontaktów z lokatorami zamieszkującymi dziewięć pięter jej kamienicy, że woli, by zatrudniła agentów do zbierania czynszu, i że spodziewa się po niej zamknięcia się w murach jej raczej ciasnej domeny.

Gajusz Juliusz Cezar był jednak arystokratą ze starożytnego rodu i miał dość własnych obowiązków. Związany z Gajuszem Mariuszem przez małżeństwo siostry i przez brak pieniędzy, zaczął swą karierę polityczną w służbie Mariusza jako trybun wojskowy w jego armii, w końcu zaś, po sprawowaniu kwestury i po wstąpieniu do senatu został mianowany komisarzem do spraw osiedlenia Policzonych Głowami afrykańskich weteranów Mariusza na Kercynie w Zatoce Syrty Mniejszej. Wszystkie te obowiązki odciągały go od Rzymu, a zaczęło się to prawie zaraz po jego ślubie z Aurelią. Było to małżeństwo z miłości pobłogosławione dwoma córkami i synem, ojciec nie był jednak świadkiem narodzin żadnego z tych dzieci ani nie oglądał ich dorastania. Z jego krótkich wizyt w domu wynikały cięższe Aurelii, po czym znów wyjeżdżał na całe miesiące, a czasem nawet lata.

Z chwilą gdy wielki Gajusz Mariusz ożenił się z siostrą Cezara Julią, skończyły się kłopoty finansowe rodu Juliuszów Cezarów. Opatrznościowa adopcja najstarszego syna dała wcześniej dwóm pozostałym synom możliwość uzyskania konsulatu. Ów syn znany był odtąd jako Kwintus Lutacjusz Katulus Cezar. Ojciec Cezara (zwany wtedy, długo po swej śmierci, Dziadkiem Cezarem) miał jednak dwóch synów i dwie córki, o których musiał się zatroszczyć, a pieniędzy starczyłoby mu tylko na jedno z tych czworga. Wpadł wtedy na szczęśliwy pomysł i zaproponował niezmiernie bogatemu i żałośnie nisko urodzonemu Gajuszowi Mariuszowi małżeństwo z jedną ze swych córek,



do wyboru. To Mariusz wyposażył obie dziewczyny i dał Cezarowi sześćset jugerów ziemi w Bowillach, aż za wiele, by uzyskać cenzus senatorski. To pieniądze Mariusza usuwały wszelkie przeszkody z drogi młodszej gałęzi rodu Juliuszów Cezarów - gałęzi Dziadka Cezara.

Sam Cezar starał się ze wszystkich sił okazać swoją wdzięczność, nie tak jak starszy brat Sekstus, który odsunął się po ożenku od rodziny. Cezar dobrze wiedział, że bez pieniędzy Mariusza nie dostałby się do senatu i niewiele miałby do zaoferowania swym dzieciom, kiedy przyszłyby na świat. Prawdę mówiąc, gdyby nie pieniądze Mariusza, Cezar nie miałby szans na małżeństwo z piękną Aurelią ze szlachetnego i bogatego rodu, o którą ubiegało się wielu chętnych.

Niewątpliwie, gdyby Mariusz nalegał, znalazłby się dla Cezara i jego żony jakiś dom na Palatynie albo na Karynach. Ojczym Aurelii, Marek Aureliusz Kotta, błagał ją, by użyła części swego wielkiego posagu na zakup domu. Młoda para wolała jednak pójść za radą Dziadka Cezara i zrezygnować z luksusu życia w całkowitym odosobnieniu. Posag Aurelii został zainwestowany w insulę, kamienicę czynszową, w której młoda para miała mieszkać, dopóki rozwijająca się kariera Cezara nie pozwoli mu na kupno jakiegoś *domus* w którejś z lepszych części miasta. Nietrudno było znaleźć lepszą część miasta, bo insula Aurelii wznosiła się w sercu Subury, najgęściej zaludnionej i najuboższej części Rzymu, wepchniętej między Eskwilin a Wiminal - kipiącej masy ludzi wszelkich ras zmieszanych z Rzymianami klas czwartej i piątej oraz Policzonych Głowami.

Właśnie tam jednak, w suburskiej insuli, odnalazła Aurelia swoje powołanie. Gdy tylko wyjechał Cezar i skończyła się jej trzecia ciąża, pogrążyła się duszą i ciałem w zajęciach właścicielki kamienicy. Zwolniła agentów i sama prowadziła księgi, a lokatorzy wkrótce stali się jej przyjaciółmi i klientami. Radziła sobie dzielnie, sprawnie i mądrze ze wszystkim, od morderstw do aktów wandalizmu. Skłoniła nawet kolegium rozdroży, mające siedzibę w jej insuli, do przestrzegania zasad przyzwoitości. Ów klub skupiający miejscowych mężczyzn został zarejestrowany przez pretora miejskiego dla sprawowania opieki nad religijnym charakterem i nad urządzeniami rozdroży leżących u szczytu trójkątnej insuli Aurelii: kapliczki larów rozdroży, fontanny, chodników i jezdni. Nadzorcą tego kolegium i przywódcą gromady jego członków był Lucjusz Dekumiusz, Rzymianin z dziada pradziada, chociaż tylko z klasy czwartej. Gdy Aurelia przejęła zarząd swej insuli, odkryła, że Lucjusz Dekumiusz i jego ludzie stanowią miejscową agencję ochrony, terroryzując właścicieli sklepów i dozorców domów na milę wokoło. Położyła temu kres i przy okazji zaprzyjaźniła się z Lucjuszem Dekumiuszem.

Nie mając dość pokarmu, powierzała wykarmienie swoich dzieci kobietom z insuli. Otworzyła w ten sposób swym nieskazitelnym małym patrycjuszom



drzwi do świata, o którego istnieniu nie mieliby normalnie pojęcia. W rezultacie cała ich trójka na długo przed rozpoczęciem nauki opanowała kilka różnych poziomów greki, hebrajskiego i syryjskiego, kilka języków galijskich i trzy rodzaje łaciny: język swoich przodków, język niższych klas i żargon, którym mówiono tylko w Suburze. Dzieci oglądały na własne oczy życie bywalców spelunek i kosztowały wszelkiego rodzaju jedzenia, jakie smakowało cudzoziemcom, były też po imieniu ze zbirami Lucjusza Dekumiusza z gospody kolegium rozdroży.

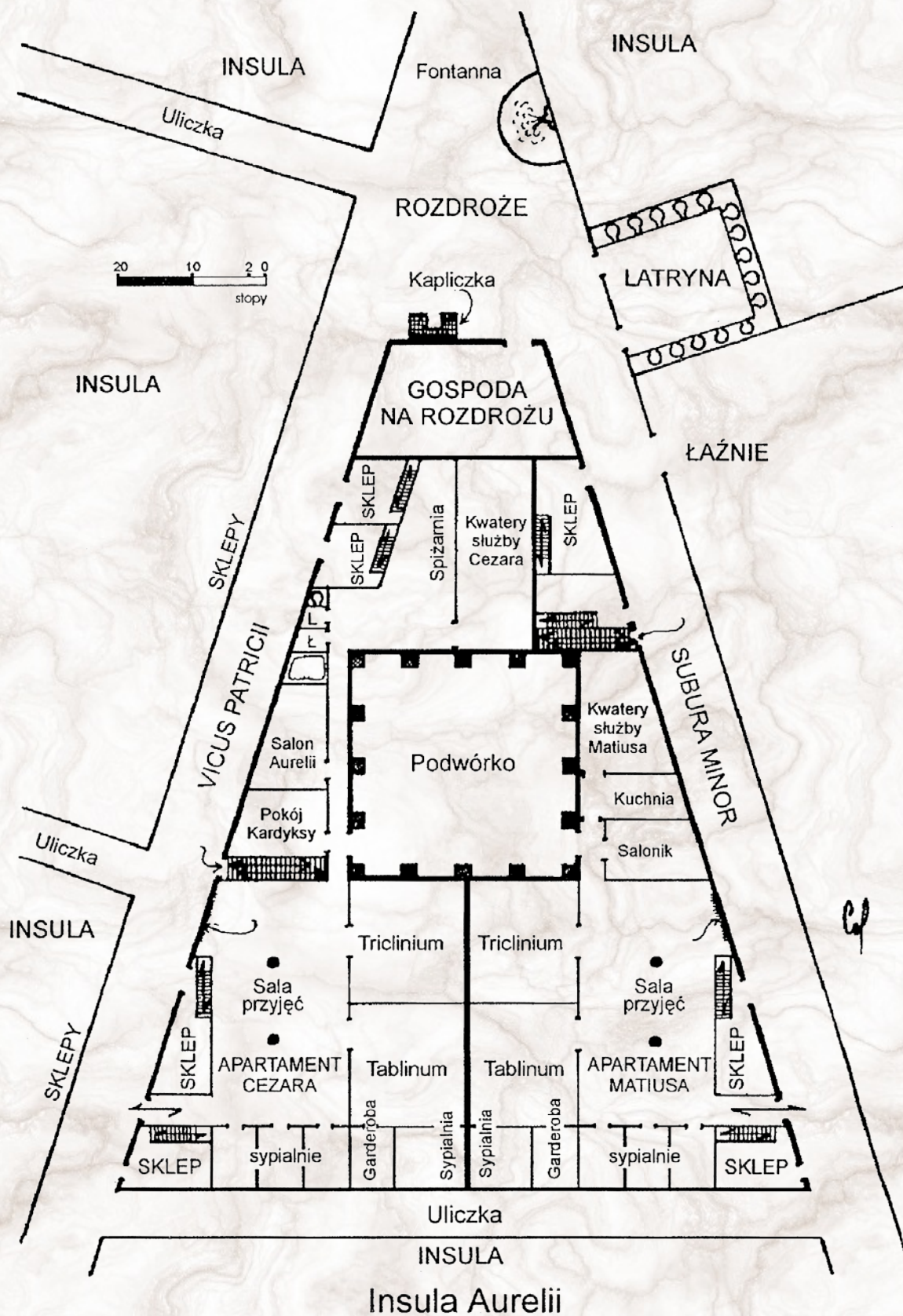
Aurelia była przekonana, że w niczym to im nie zaszkodzi. Nie była jednak obrazoburczynią ani reformatorką i trzymała się twardo zasad swoich przodków. Poza tym żywiła jednak niezmiennie zainteresowanie innymi ludźmi i kochała dobrą robotę. Kiedyś w swej chronionej przed światem młodości wzięła sobie za wzór Kornelię, matkę Grakchów, uważając tę heroiczną i nieszczęśliwą damę za największą Rzymiankę wszech czasów. Osiągnąwszy dojrzałość, trzymała się czegoś bardziej namacalnego i praktycznego - swej kopalni zdrowego rozsądku. Nie widziała zatem niczego złego w wielojęzycznym szczebiotaniu trójki jej nieskazitelnych małych patrycjuszy. Uważała to za znakomitą pomoc w zrozumieniu faktu, że tamci z którymi oni przestają nigdy nie osiągną wyzryn dostępnym im dzięki urodzeniu.

Aurelia lękała się jedynie powrotu Gajusza Juliusza Cezara, męża i ojca, który nigdy właściwie nie był ani mężem, ani ojcem. Bliska zażyłość zrodziłaby pewnie jakieś doświadczenie w tych dwóch rolach, ale Gajusz Juliusz Cezar nigdy nie czuł się ze swą rodziną swobodnie, nie mówiąc już o zażyłości. Jako wysoko urodzona Rzymianka, Aurelia nie wiedziała, i nie chciała wiedzieć, o kobietach, z których usług niewątpliwie korzystał on od czasu do czasu, by zaspokajać potrzeby ciała. Obserwując życie swoich lokatorów, poznała kobiety z innych sfer, które wpadają w szal i mordują z miłości albo z zazdrości o swoich mężczyzn. Wydawało jej się to niepojęte, takie jednak były fakty. Sama dziękowała bogom, że wychowano ją na mądrzejszą i lepiej panującą nad emocjami. Nie uświadamiała sobie, że wiele kobiet z jej sfery również cierpi męki zazdrości i rozczarowania.

Aurelia nie miała wątpliwości, że gdy Cezar wróci na dobre do domu, zaczną się kłopoty. Nie chciała jednak myśleć o tym, zanim do tego dojdzie, a tymczasem cieszyła się swym życiem i było jej wszystko jedno, w jakim języku będą dziś rozmawiać ze sobą jej mali nieskazitelni patrycjusze. Czy to samo nie zdarzało się na Palatynie i na Karynach, gdzie kobiety powierzały wychowanie dzieci niańkom ze wszystkich stron świata? Tyle że tam efekty takiego wychowania ignorowano, wmiatano pod dywan. Tam nawet dzieci brały udział w konspiracji, kryjąc swe uczucia do dziewczyn i kobiet bliższych im niż rodzone matki.



Mały Gajusz Juliusz był jednak szczególnym i bardzo trudnym przypadkiem. Aurelia czuła ciężar tchnienia jakiegoś nieznanego zagrożenia, kiedy tylko miała chwilę czasu, by pomyśleć o swym jedynym synu, jego zdolnościach i przyszłości. Na przyjęciu u Julii wyznała jej i Elii, że dziecko doprowadza ją na skraj szaleństwa, a teraz była rada, że przyznała się do słabości, bo Elia zasugerowała, by oddać Cezara Młodsze pod opiekę wychowawcy.





Aurelia słyszała oczywiście o szczególnie uzdolnionych dzieciach, ale zawsze wyobrażała sobie, że pojawiają się one w rodzinach biednych i skromnych, nie zaś w senatorskich. To do jej stryja i ojczyma, Marka Aureliusza Kotty, przychodzili rodzice takich dzieci, prosząc go o środki na zapewnienie ich szczególnie uzdolnionemu synowi lepszemu startu życiowego niż ten, jaki sami mogli zapewnić. Przyrzekli w zamian, że pozostaną wraz z synem do końca życia jego klientami. Kotta zawsze chętnie wyświadczał im tę przysługę. Cieszył się myślą, że gdy taki chłopiec dorośnie, on sam i jego synowie będą mogli liczyć na usługi kogoś o niezwykłych możliwościach. Kotta był jednak człowiekiem praktycznym i rozsądnym, więc pewnego dnia Aurelia usłyszała, jak mówi do swej żony Rutylii:

- Niestety, tacy chłopcy nie zawsze spełniają oczekiwania. Albo ten ich pierwszy ogień pali się zbyt jasno i wyrastają na mrocznych, chłodnych i obojętnych, albo też stają się zarozumiali lub zbyt pewni siebie, i to ich doprowadza do upadku. Nieliczni okazują się jednak bardzo użyteczni, a ich dokonania stanowią prawdziwy skarb. Dlatego staram się pomagać ich rodzicom.

Aurelia nie wiedziała, co Kotta i Rutyliia (która była jej matką) myśleli o swym szczególnie uzdolnionym wnuku, Cezarze Młodszym, ukrywała bowiem przed nimi, jak mogła, przedwczesną dojrzałość swego syna, nie pokazując go najbliższym. Prawdę mówiąc, starała się ukrywać Cezara Młodszego przed wszystkimi. Czasem jego błyskotliwość budziła w niej dreszcz emocji i marzenia o jego przyszłości. Częściej jednak przyprawiało ją to o przygnębienie. Gdyby знаła jego słabości i wady, radziłaby sobie z nim łatwiej, któż jednak - choćby i matka - zna słabości i wady dwuletniego chłopca? Chciała dowiedzieć się o nim więcej i poczuć się z nim swobodniej, zanim pokaże go światu. Zawsze jednak gdzieś w głębi jej umysłu czaił się lęk, że on sam nie znajdzie w sobie dość siły i niezależności, by poradzić sobie z tym, czym obdarzył go kaprys losu.

Wiedziała, że był wrażliwy. Łatwo go było ugiąć, zaraz się jednak podnosił dzięki jakiejś niezwyklej, niepojętej radości istnienia, której Sama nigdy nie zaznała. Jego entuzjazm był bezgraniczny, a jego umysł tak spragniony informacji, że pochłaniał je równie szybko, jak wielkie ryby pochłaniają morskie żyjątko. Martwiła ją jego ufność, zabiegi o zaskarbienie sobie przyjaźni wszystkich dookoła, jego zniecierpliwienie, gdy mu przypominała, że świat nie służy wyłącznie jemu i że w tym świecie żyje wielu złych ludzi.

To jednak było śmieszne - takie rozterki z powodu dziecka! Rozwój jego umysłu nie miał przecież oparcia w doświadczeniu. Cezar Młodszy był niczym gąbka wchłaniająca wszystko, co w nią wsiąka. Miał oczywiście swoje słabości i wady, jego matka nie wiedziała jednak, czy są trwałe czy przemijające. Był na przykład czarujący, wiedział o tym i bawił się tym, wykorzystując ludzi do



własnych celów; tak postępował choćby ze swą ciotką, szczególnie skłonną do ulegania jego sztuczkom. Aurelia nie chciała, żeby w życiu kierował się czymś tak tajemniczym jak urok osobisty. Sama nie miała go wcale i gardziła tymi, którzy zostali nim obdarzeni, widziała bowiem, jak łatwo im przychodzi zdobycie czegokolwiek i jak nisko to sobie potem cenią. Urok osobisty był cechą lekkoducha, nie zaś przywódcy. Cezar Młodszy będzie musiał z niego zrezygnować, bo na nic mu się przyda tam, gdzie liczą się głównie powaga i prawdziwie rzymskie cnoty. Był też bardzo ładnym chłopcem - jeszcze jedna niepożądana cecha. Czy jednak można zetrzeć piękno z czyjejś twarzy, zwłaszcza wtedy, kiedy tyle było piękna w twarzach obojga rodziców?

Wszystkie te troski mógł uleczyć jedynie czas. Nauczyła się być surową matką dla chłopca. Nie wybaczała mu pomyłek tak łatwo, jak zapominała grzechy jego sióstr. Łatwo jej przychodziły słowa krytyki i szyderstwa. Gdy wszyscy znajomi go chwalili, a siostry wręcz rozpieszczały, ona czuła, że ktoś musi grać rolę Złej Przyrodniej Siostry. Jeśli to musi być ona, jego matka, niech tak będzie. Kordelia, matka Grakchów, nie zawahałaby się.



Znalezienie odpowiedniego wychowawcy dla chłopca, który jeszcze przez całe lata miał prawo pozostawać pod opieką kobiet, nie wydawało się Aurelii zbyt trudnym zadaniem. Nie zamierzała pytać o radę Klaudii, żony Sekstusa Cezara. Poszłaby z pewnością do Julii, gdyby syn Julii korzystał z usług wychowawcy, ale Mariusz Młodszy, który był jedynakiem, chodził do szkoły, gdzie mógł się cieszyć towarzystwem rówieśników. Takie zamiary miała też wcześniej Aurelia wobec Cezara Młodszego. Teraz zdawała sobie sprawę, że to pomysł nie do przyjęcia. Jej syn albo byłby tam przedmiotem żartów, albo byłby przez wszystkich ubóstwiany. Jedno i drugie nie wyszłoby mu na dobre.

Aurelia udała się więc do swej matki Rutylii i do jedyne go brata matki, Publiusza Rutyliusza Rufusa. Wuj Publiusz wielokrotnie już okazał się pomocny. Pomógł jej nawet w zawarciu małżeństwa. To on właśnie, widząc jej listę zalotników oszałamiająco długą i pełną dostojnych nazwisk, wywalczył dla niej prawo wyboru tego, kto się jej spodoba. Tłumaczył, że dzięki temu tylko ona sama może być obwiniana o wybór nieodpowiedniego męża, a jej młodszy bracia unikną tym samym nieprzyjaźni odtrąconych kandydatów.

Zaprowadziła trójkę swoich dzieci na piętro żydowskie, ich ulubione schronienie w zatłoczonym i hałaśliwym domu, a potem udała się do domu swego ojczyma lektyką w towarzystwie Kardyksy, swej galijskiej dziewczyny z ludu Arwernów. Naturalnie Lucjusz Dekumiusz z kilkoma swymi ludźmi miał czekać na nią wieczorem pod domem Kotty na Palatynie, kiedy suburscy drapieżcy zaczną wychodzić na łowy.

Aurelia z takim powodzeniem skrywała dotąd nadzwyczajne zdolności swego syna, że miała trudności w przekonaniu Kotty, Rutylii i Publiusza



Rutyliusza Rufusa o konieczności pilnego znalezienia wychowawcy dla dwulatka. Po wielu pełnych niedowierzania pytaniach i wielu cierpliwych odpowiedziach jej krewni jednak uwierzyli.

- Nie znam nikogo odpowiedniego - powiedział Kotta, przeczesując palcami rzednące włosy. - Twój młodszy bracia, Gajusz i Marek, są teraz w rękach retorów, a mały Lucjusz chodzi do szkoły. Najlepiej byłoby udać się do jakiegoś naprawdę dobrego dostawcy niewolników wychowawców, Mamiliusza Malchusa albo Duroniusza Postuma. Ty jednak nie chcesz niewolnika, więc nie wiem, co ci radzić.

- Wujku Publiusz, milczysz już od dłuższego czasu - zauważyła Aurelia.

- Otóż to! - wykrzyknął ów znakomity mąż bynajmniej nie speszony.

- Czy to znaczy, że znasz kogoś takiego?

- Być może. Chciałbym jednak najpierw zobaczyć się z Cezarem Młodszym i sam go ocenić. Ukrywałaś go dotąd, siostrzenico, i nie mam pojęcia dlaczego.

- To taki słodki malec! - wyraziła swe uczucia Rutylia.

- Są z nim problemy - powiedziała matka tego malca, której twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Chyba już najwyższy czas, żebyśmy wszyscy poznali Cezara Młodszego - rzekł Kotta, który zaczął ostatnio tyć i miał zadyszkę.

Aurelia klasnęła jednak z rozdrażnieniem w dłonie, przenosząc wzrok jednej zaciekawionej twarzy na drugą z taką troską i takim bólem wypisanym na własnej twarzy, że tamci zamarli w zaskoczeniu. Zнали ją od dziecka i nigdy jeszcze nie widzieli jej w sytuacji, która ją przerosła.

- Nie, proszę! - zawołała. - Czy nie rozumiecie? Nie mogę na to pozwolić. Mój syn musi myśleć, że jest zwyczajnym dzieckiem! Jeśli zaczniecie go we trójkę wypytywać i rozwodzić się nad jego odpowiedziami, wpoicie w niego poczucie, że jest kimś ważnym.

Na policzkach Rutylia pojawiły się czerwone plamy.

- Drogie dziecko, to przecież mój wnuk! - powiedziała, zaciskając usta.

- Tak, mam, wiem o tym. Zobaczysz go i wypytasz, o co zechcesz, ale nie teraz! Nie w tłumie! On jest taki mądry! Innym dzieciom w jego wieku nie przyjdą do głowy te pytania, na które on zna odpowiedzi. Proszę, niech wujek Publiusz sam do niego zajdzie na chwilę.

Kotta trącił łokciem żonę.

- To dobry pomysł, Aurelio - powiedział bardzo uprzejmie. - Wkrótce będzie miał urodziny, w połowie kwinktylisa, nieprawdaż? Aurelia zaprosi nas na przyjęcie urodzinowe, Rutylia, i obejrzymy sobie chłopca bez budzenia podejrzeń.

Rutylia skinęła głową tłumiąc gniew.

- Jak sobie życzysz, Marku Aureliuszu. Czy to ci odpowiada, córko?

- Tak - burknęła Aurelia.





Publiusz Rutyliusz Rufus padł oczywiście ofiarą uroku Cezara Młodszeo. Uznał go za cudowne dziecko i nie mógł się doczekać, żeby to powiedzieć jego matce.

- Nie miałem większej uciechy, od czasu kiedy ty wyrzuciłaś wszystkie dziewczyny wybrane przez twoich rodziców i sama wybrałaś Kardyksę - mówił z uśmiechem. - Uznałem cię wtedy za prawdziwą perłę, a dziś widzę, że moja perła zrodziła promień księżycy, a może raczej skrawek słońca.

- Pławisz się w poezji, wujku! Nie o to mi chodziło, kiedy prosiłam, żebyś go zobaczył.

Publiusz Rutyliusz Rufus uznał jednak za konieczne, żeby i ona wszystko zrozumiała. Usiadł z nią na ławce na podwórku w środku insuli. Było to rozkoszne miejsce, bo drugi lokator parteru, rycerz Gajusz Matius miał talent do ogrodnictwa. Aurelia nazywała swoje podwórko wiszącymi ogrodami Babilonu, bo rośliny wychylały się z balkonów na wszystkich piętrach, a wyrastające z gruntu pnącza osiągnęły już w ciągu kilku lat górny skraj prześwitu. Trwało lato i ogród był przesycony zapachami róż, wonnego laku i fiołków, a wszędzie zwisały i rosły w górę kwiaty we wszystkich odcieniach błękitu, różu i fioletu - kolorów tego roku.

- Moja droga siostrzeniczko - zaczął Rutyliusz Rufus z wielką powagą, ujmując jej dłonie i obracając ją tak, by mu spojrzała w oczy. - Musisz postarać się zobaczyć to, co ja widzę. Rzym nie jest już młody, chociaż nie twierdzę, że jest zdziecinniały. Pomyśl sama... dwieście czterdzieści cztery lata rządów królów, a potem czterysta jedenaście lat republiki. Rzym istnieje od sześciuset pięćdziesięciu pięciu lat i staje się coraz potężniejszy. Ile jednak starych rodów daje nam konsulów, Aurelio? Korneliusze, Serwiliusze, Waleriusze, Postumiusze, Klaudiusze, Emiliusze i Sulpicjusze. Juliusze już prawie od czterystu lat nie wydali żadnego konsula, chociaż kilku Juliuszów z tego pokolenia zasiądzie chyba na kurulnych krzesłach. Sergiusze zbiednieli tak bardzo, że utrzymują się z hodowli ostryg. Pinariusze zrobią dosłownie wszystko, żeby się wzbogacić. Wśród plebejuszy dobre urodzenie znaczy jeszcze więcej niż wśród patrycjuszy, jeśli jednak nie będziemy przezorni, Rzym wpadnie w końcu w ręce ludzi nowych - ludzi nie znających swoich przodków i nie mogących się pochwalić rodowodem sięgającym początków miasta, ludzi, którym obojętny będzie przyszły kształt Rzymu.

Uścisk na jej dłoniach zacieśnił się.

- Aurelio, twój syn ma najstarszy i najświetniejszy rodowód. Tylko Fabiusze mogą równać się z Juliuszami spośród rodów, które przetrwały, a Fabiusze od trzech pokoleń muszą korzystać z adopcji, by zasiadać na kurulnym krześle. Prawdziwi Fabiusze są taką rzadkością, że muszą się ukrywać. Oto jednak mamy w Cezarze Młodszym członka starego patrycjatu, ale z inteligencją i siłą witalną człowieka przyszłości. On jest nową nadzieją Rzymu, na którą już



przestałem liczyć. Wierzę bowiem, że jeśli Rzym ma być wielki, muszą nim rządzić ludzie czystej krwi. Nie można tego powiedzieć o Gajuszu Mariuszu, którego kocham i nad którym boleję. W ciągu swej niebywałej kariery wyrządził on Rzymowi więcej szkód niż pół setki najazdów germańskich: te prawa, które powywracał do góry nogami, te tradycje, które zniszczył, te precedensy, które stworzył! Bracia Grakchowie byli przynajmniej starą szlachtą i zabierali się do naprawy Rzymu z pewnym szacunkiem dla *mos maiorum*, niepisanych zasad naszych przodków. Tymczasem Gajusz Mariusz podkopał *mos maiorum* i wydał Rzym na pastwę wilków nie mających nic wspólnego z tą dawną wilczycą, która wykarmiła Romulusa i Remusa.

Jej przykuwające uwagę wielkie jasne oczy wbite były w twarz Rutyliusza Rufusa. Nie czuła, że ściska on boleśnie jej dłonie. Oto wreszcie podsunięto jej coś, czego mogła się trzymać - nic przewodnią przez królestwo cieni, przez które kroczyła z Cezarem Młodszym.

- Musisz uznać znaczenie Cezara Młodszego i zrobić wszystko, co w twojej mocy, by nie zbaczał z drogi wiodącej do prymatu. Musisz mu wskazać cel, którego nikt prócz niego nie osiągnie - zachowanie *mos maiorum* i przywrócenie mocy dawnym zasadom, starej krwi.

- Rozumiem, wujku Publiusz - powiedziała z powagą Aurelia.

- To dobrze! - Wstał, pociągając ją za sobą. - Jutro przyprowadzę ci tego kogoś, o trzeciej. Czeka tu z chłopcem.

I tak mały Gajusz Juliusz Cezar Młodszy przeszedł pod opiekę Marka Antoniusza Gniphona, Gala z Nemausus. Jego dziad z ludu Salluwiów, zapalony łowca głów, napadał na zhellenizowanych mieszkańców nadbrzeżnej Galii Zaalpejskiej, póki wraz z synem nie został pojmany przez oddział zdeterminowanych Massylczyków. Sprzedany jako niewolnik, dziad wkrótce zmarł. Jego syn był dość młody, by znieść przemianę z barbarzyńskiego łowcy głów w służącego w jakimś greckim domu. Wykazał się inteligencją, a kiedy uskładał tyle, że starczyło na wyzwolenie się, poszukał żony i założył rodzinę. Wybrał sobie massylską Greczynkę ze skromnej rodziny i został przychylnie przyjęty przez jej ojca, mimo swej potężnej postury i płomiennorudych włosów. Jego syn Gniphon wyrastał w otoczeniu ludzi wolnych i wkrótce, tak jak ojciec, wykazał chęć do nauki.

Kiedy Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus wyciosywał rzymską prowincję wzdłuż wybrzeża Galii Zaalpejskiej obmywanego przez Morze Środkowe, jednym z jego starszych legatów był Marek Antoniusz. Legat korzystał z usług ojca Gniphona jako tłumacza i pisarza. Po pomyślnym zakończeniu wojny z Arwernami Marek Antoniusz uzyskał dla ojca Gniphona obywatelstwo rzymskie. Był to nie byle jaki wyraz wdzięczności za usługi, ale Antoniusze zawsze mieli szeroki gest. Ojciec Gniphona został członkiem wiejskiej *tribus* Antoniusza. Mały Gniphon wkrótce zaczął zdradzać skłonności do uczenia



innych, a także zainteresowanie geografią, filozofią, matematyką, astronomią i mechaniką. Gdy zatem przywdział męską togę, ojciec wsadził go na statek i wysłał do Aleksandrii, intelektualnej stolicy świata. Tam w zaciszu biblioteki studiował u samego bibliotekarza Dioklesa.

Przeminęły już jednak czasy świetności Biblioteki Aleksandryjskiej, a jej bibliotekarze nie byli Eratostenesami. Kiedy więc Marek Antoniusz Gniphon skończył dwadzieścia sześć lat, postanowił osiąść w Rzymie i tam uczyć innych. Najpierw jako *grammaticus* uczył młodych ludzi retoryki. Potem, znużony pozerstwem dobrze urodzonych młodych Rzymian, założył szkołę dla chłopców. Od samego początku był to sukces i wkrótce mógł bez skrupowania żądać najwyższych opłat. Stać go było na opłacenie czynszu za dwa duże pokoje na cichym szóstym piętrze insuli odległej od tłoku i brudu Subury. Stać go też było na cztery pokoje o piętro wyżej w tym samym pałacu na Palatynie, w których mieszkał ze swymi czterema kosztownymi niewolnikami. Dwaj z nich dbali o jego potrzeby, dwaj inni zaś pomagali mu w prowadzeniu zajęć w jego dwóch klasach.

Kiedy Rutyliusz Rufus złożył mu wizytę, zapewnił ze śmiechem swego gościa, że nie zamierza rezygnować z zyskownego przedsięwzięcia dla opieki nad jakimś dwulatkiem. Rutyliusz Rufus przedstawił mu wtedy spisany według wszelkich reguł kontrakt, zapewniający luksusowy apartament w jeszcze lepszej insuli na Palatynie oraz większe pieniądze, niż przynosiła szkoła. Marek Antoniusz Gniphon nadal śmiał się i odmawiał.

- Rzuć przynajmniej okiem na chłopca - namawiał go Rutyliusz Rufus. - Kiedy ci podsuwają taką przynętę, byłbyś głupcem, gdybyś nawet nie spojrział.

Kiedy nauczyciel poznał Cezara Młodszeo, zmienił zdanie.

- Nie dlatego - mówił do Rutyliusza Rufusa - że jest on tym, kim jest, ani nawet dla jego zdumiewającej inteligencji. Podejmuję się wychowania Cezara Młodszeo, bo go bardzo lubię - i lękam się o jego przyszłość.



- Co za piekielny dzieciak! - mówiła Aurelia do Lucjusza Korneliusza Sulli, kiedy zaszedł do niej w końcu września. - Rodzina składa się, żeby mu wynająć najlepszego wychowawcę, i co się dzieje? Wychowawca dał mu się oczarować!

- Ha! - rzekł Sulla, który nie przyszedł wysłuchiwać litanii - choćby i litanii skarg - na któreś z dzieci Aurelii. Dzieci go nudziły, nawet te czarujące i inteligentne. Jego własne nie nudziły go wcale i to chyba było wyjaśnienie. Przyszedł powiedzieć Aurelii, że wyjeżdża.

- Więc i ty mnie opuszczasz. - Podała mu winogrona z własnego ogrodu na podwórku insuli.

- I to wkrótce, obawiam się. Tytus Dydiusz chce wysłać wojsko do Hiszpanii morzem, a początek zimy to najlepsza pora. Ja jednak pojedę lądem przygotować wszystko na ich przybycie.



- Masz dość Rzymu?
- A ty byś nie miała na moim miejscu?
- O tak.

Poruszył się zniecierpliwiony, zaciskając pięści.

- Niczego się tu nie doczekam, Aurelio!

Ona jednak roześmiała się.

- Ach, tyś jest Koń Październikowy, Lucjuszu Korneliuszu, masz to wypisane na twarzy. Doczekasz się, zobaczysz!

- Nie wszystko zobaczę, mam nadzieję. - Teraz i on się roześmiał. - Chciałbym zachować głowę na karku, nie zaś ją stracić jak biedny Koń Październikowy! I właściwie czemu? Z naszymi obrzędami jest kłopot, bo są tak stare, że nie rozumiemy słów modlitw. Nie wiemy też, czemu zaprzęgamy bojowe rumaki parami do wyścigowych rydwanów i czemu składamy ofiarę z prawego konia zwycięskiego zaprzęgu. A jeszcze ta walka o jego łeb...!

Światło było tak jaskrawe, że źrenice zwięzły mu się do rozmiaru główek od szpilek, co nadało mu wygląd ślepego wróżbity. Obrócił na nią pełne bólu oczy, oczy wróżbity, bo ten ból brał się nie z przeszłości ani z teraźniejszości, ale z wiedzy o przyszłości.

- Aurelio! - wykrzyknął. - Czemu nie jestem szczęśliwy?

Serce jej się ścisnęło, a paznokcie wpiły w dłonie.

- Nie wiem, Lucjuszu Korneliuszu.

- Ani ja...

Cóż więcej mogła zrobić, niż dać mu rozsądną radę?

- Trzeba ci chyba jakiegoś zajęcia.

- Ach, z pewnością- odrzekł oschłym tonem. - Kiedy mam zajęcie, nie mam czasu na myślenie.

- I ja się o tym przekonałam - powiedziała stłumionym głosem, a potem dodała: - Powinno się mieć z życia coś więcej.

Siedzieli w sali przyjęć przy niskim murze ogrodu-podwórka. Rozdzielał ich stolik, na którym stał półmisek dojrzałych purpurowych winogron. Umilkła, ale wciąż patrzyła na niego, chociaż odwrócił od niej wzrok. „Jakiż on jest pociągający!”, pomyślała, czując nagłe ukłucie bólu i żalu nad sobą, których zwykle nie dopuszczała do świadomości. „On ma usta całkiem jak mój mąż i jest piękny. Piękny. Piękny...”

Sulla podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy. Aurelia oblała się rumieńcem. Zmienił się na twarzy. Trudno było powiedzieć, na czym polegała ta zmiana; zdawał się po prostu bardziej sobą. Wyciągnął do niej rękę i nagle twarz rozjaśnił mu czarujący uśmiech.

- Aurelio...

Podążyła mu rękę, wstrzymując oddech i czując zawrót głowy.

- Słucham, Lucjuszu Korneliuszu - zdołała jakoś wymówić.



- Pokochajmy się!

Gardło miała wyschnięte, czuła, że musi przełknąć ślinę albo zemdleje, ale nie była zdolna tego zrobić. Jego palce ściskające jej palce były jak ostatnie pasma wymykającego się życia. Jeśli da im się wymknąć, nie przeżyje.

Nigdy potem nie mogła zrozumieć, skąd on wziął się po jej stronie stołu. Patrzyła z bliska w jego twarz, na połyskujące wargi, na warstwy tęczy w jego oczach niby w głębi polerowanego marmuru. Patrzyła jak urzeczona na mięśnie jego prawej ręki, poruszające się pod osłoną skóry, i czuła, że drży, a raczej dygoce, taka słaba, taka zagubiona...

Zamknęła oczy i czekała, a potem, gdy poczuła dotyk jego ust na swoich, pocałowała go, jakby przez całą wieczność nie zaznała miłości, porwana falą uczuć, których istnienia dotąd nie podejrzewała, oszołomiona, przerażona, uniesiona radością, wypalona...

W następnej chwili rozdzielała ich cała szerokość sali. Aurelia przyciskała się do jaskrawo malowanej ściany, jakby chciała wtopić się w jej płaszczyznę. Sulla stał przy stole, łapiąc oddech, a słońce zapalało ogniem jego włosy.

- Nie mogę! - wykrztusiła.

- Obyś więc nie zaznała spokoju!

Nawet ogarnięty szalonym gniewem starał się nie zrobić niczego, co mogłoby go ośmieszyć w jej oczach. Poradził sobie znakomicie z porzuconą na posadzce togą, a potem, każdym stąpieniem dając jej do zrozumienia, że już nigdy nie wróci, wyszedł dumny, jakby to on był zwycięzcą.



Nie czuł jednak żadnej satysfakcji, bo niepowodzenie wprowadziło go we wściekłość. Szedł do domu ogarnięty taką burzą gniewu, że ludzie umykali mu z drogi. Jak ona śmiała! Jak śmiała siedzieć tam z jawnym głodem w oczach, doprowadzić do pocałunku - i to jakiego pocałunku! - a potem mówić mu, że nie może. Jakby nie chciała tego bardziej niż on!

Należało ją zabić, skrócić ten jej śliczny karczek, przyjrzeć się jej twarzy obrzękłej od działania trucizny, jej fioletowym oczom wychodzącym z orbit, gdy jego palce zaciskają się na jej szyi. „Zabić ją, zabić ją, zabić ją”, mówiło serce, którego bicie rozsadzało mu uszy. „Zabić ją, zabić ją, zabić ją”, mówiła krew tętniąca w nabrzmiałych żyłach na czole. Nieodłączną częścią tego wszystkiego była świadomość, że nie mógłby jej zabić, tak samo jak nie mógł zabić Julilli, Elii, Dalmatyki. Dlaczego? Co takiego miały w sobie, czego nie potrafiły ujawnić Klitumna i Nikopolis?

Kiedy wtargnął do atrium, służący rozpięchli się na sam jego widok, żona bez słowa wycofała się do swego pokoju, a cały dom pogrążył się w milczeniu. Gdy znalazł się w pracowni, podszedł do drewnianej świątynki, w której trzymał woskową maskę swego przodka, flamera *Dialis*, i wyszarpnął szufladkę ukrytą w idealnym biegu schodów. Pierwszym przedmiotem, na jaki



natrafiły jego palce, była buteleczka. I oto leżała w jego dłoni, a jej przejrzysta zawartość kołysała się leniwie w zielonkawym szkle. Patrzył i patrzył.

Nie dałoby się określić czasu spędzonego na przyglądaniu się temu, co trzymał w dłoni. Nie dałoby się też wyłowić z jego umysłu żadnej wyraźnej myśli. Był tylko szalony gniew. A może to był ból? A może żal? A może jakaś straszliwa samotność? Z ognia wpadał w żar, chłód, lodowate zimno. Dopiero wtedy zdołał stawić czoło tej przeraźliwej niemocy, temu, że on, tak rozmiłowany w mordowaniu, które było zarówno pocieszeniem, jak i koniecznością, nie mógł popełnić tego czynu na kobiecie równej mu stanem. Julilla i Elia dostarczyły mu tej przynajmniej przyjemności, że cierpiały z jego powodu. W przypadku Julilli miał też satysfakcję, bo przyczynił się do jej śmierci, nie miał bowiem wątpliwości, że gdyby nie widziała jego schadzki z Metrobiuszem, zapijałaby się dalej winem i wpatrywała się w niego swymi wielkimi pustymi złocistymi oczami z wiecznym milczącym wyrzutem. Ze strony Aureli nie spodziewał się jednak jakiegokolwiek reakcji trwającej dłużej niż jego obecność w jej domu. Nie miał wątpliwości, że gdy tylko opuścił jej dom, pozbierała się z chwilowego załamania i pogrążyła w pracy. Do jutra całkiem o nim zapomni. Taka była Aurelia. Niech szcześnie! Niech ją robaki zeżrą! Złośliwa świnka!

W połowie tych daremnych starczych przekleństw przyłapał się na tym, że klnie, i wyszczerzył zęby w namiastce uśmiechu. To śmieszne, to nedorzeczne. Bogowie nie zważają wcale na ludzkie pragnienia i zawody, on zaś nie należał do tych, którzy potrafią w jakiś mroczny, tajemniczy sposób przemienić swe złowrogie myśli w spełniające się życzenie śmierci. Aurelia wciąż żyła w jego myślach. Musiał się jej pozbyć, zanim wyruszy do Hiszpanii, jeśli ma poświęcić całą energię pilnowaniu swej kariery. Potrzebował czegoś, co zastąpiłoby ekstazę, której zaznałby, zdobywając mury warowni Aurelii. Nie miało znaczenia, że nie zamierzał wcale jej uwodzić, dopóki nie zaskoczył go wyraz jej twarzy - jego pragnienie było od tej chwili tak przemożne, tak przeszywające go na wskroś, że nie mógł się od niego uwolnić.

Rzym, oczywiście. Kiedy już wyruszy do Hiszpanii, wszystko to przeminie, jeżeli teraz znajdzie jakieś zadośćuczynienie. W polu nigdy nie doznawał takich goryczy, być może dlatego, że stale był zbyt zajęty, a może dlatego, że śmierć krążyła wokół niego, albo dlatego, że mógł sobie powiedzieć, że posuwa się naprzód. W Rzymie jednak - a przebywał w tym mieście już prawie od trzech lat - doszedł w końcu do takiego stopnia nudy, którą w przeszłości mogło rozproszyć jedynie jakieś morderstwo, dosłownie lub w przenośni.

Pogrążył się w zadumie. Jakież twarze pojawiały się i znikaly, twarze ofiar i tych, których chciałby zaliczyć do ofiar: Julilla, Elia, Dalmatyka, Lucjusz Gawiusz Stychus, Kliturna, Nikopolis, Katulus Cezar - miło byłoby pozbyć się na zawsze tej wyniosłej wielbłądziej twarzy! - Skaurus, Metellus Świnka-



Szczecinka. Świnka... Sulla wstał z wolna, powoli zamykał ukrytą szufladkę. Wciąż trzymał w dłoni buteleczkę.

Zegar wodny wskazywał środek dnia. Sześć godzin minęło, sześć przed nim. Kap-kap, kap-kap. Czasu było aż nadto, by złożyć wizytę Kwintusowi Cecyliuszowi Metellusowi Numidyjskiemu Świnie-Szczecince.



Po swym powrocie z wygnania Metellus Numidyjski zorientował się, że uczyniono zeń żywą legendę. „Wcale mi jeszcze nie czas umierać, mówił sobie uniesiony radością a oto stałem się częścią historii Forum”. Przypominano sobie dzieje jego homeryckiej kariery cenzora, jego nieulęklą walkę z Lucjuszem Ekwicjuszem, bicie, jakie go wtedy spotkało, odwagę, jaką wykazał, wracając po kolejne razy. Opowiadano sobie historię jego odejścia na wygnanie, jak to jego syn jąkała li... li... liczył ów nie kończący się strumień denarów, a tymczasem słońce zachodziło nad Kurią Hostyliusza, a Gajusz Mariusz czekał na możliwość wymuszenia na nich przysięgi, że będą przestrzegać drugiej ustawy rolnej Saturnina.

„Tak, myślał Metellus Numidyjski, gdy ostatni klient tego dnia został odprawiony, przejdę do historii jako największy z wielkiego rodu, jako kwintesencjonalny Kwintus z Cecyliuszy Metellów”. Rozpierała go duma, był szczęśliwy z powrotu do domu, rad z serdecznego powitania, przepełniony satysfakcją. Tak, wojna z Gajuszem Mariuszem trwała długo, ale teraz dobiegła końca. I to on wygrał, a Gajusz Mariusz przegrał. Nigdy więcej Rzym nie będzie znosił takiego upokorzenia.

Jego rządca zastukał do drzwi pracowni.

- Co tam? - spytał Metellus Numidyjski.

- Lucjusz Korneliusz Sulla chce się z tobą widzieć, *domine*.

Kiedy pojawił się Sulla, Metellus Numidyjski był już w połowie drogi do drzwi, wyciągając ręce do powitania.

- Mój drogi Lucjusz Korneliuszu, jakże mi miło cię widzieć!

- Najwyższy czas, żebym złożył ci moje osobiste uszanowanie - rzekł Sulla, siadając na krześle dla klientów i przybierając wyraz czarującego zakłopotania.

- Napijesz się wina?

- Dziękuję, chętnie.

Stanąwszy przy konsoli z dwoma dzbanami i kilkoma kielichami pięknego Aleksandryjskiego szkła, Metellus Numidyjski obrócił się do Sulli, unosząc brew z nieco figlarną miną.

- To chyba okazja, żeby się napić nie rozwodnionego wina z Chios? spytał.

Sulla pozwolił sobie na uśmiech na znak, że zaczyna czuć się swobodniej.

- Rozwadniać wino z Chios to zbrodnia.

Jego gospodarz zastygł w bezruchu.



- To odpowiedź godna polityka, Lucjuszu Korneliuszu. Nie sądziłem, że należysz do tego gatunku.

- Dajże spokój z wodą Kwintusie Cecyliuszu! - wykrzyknął Sulla. - Przychodzę tu w nadziei, że zostaniemy przyjaciółmi - dodał tonem szczerości.

- Jeśli tak, Lucjuszu Korneliuszu, napijmy się wina z Chios bez wody.

Metellus Numidyjski wrócił do swego roboczego stołu z dwoma kielichami. Postawił jeden po stronie Sulli, drugi po swojej, a potem usiadł, podnosząc kielich w górę.

- Piję za przyjaźń! - powiedział.

- I ja także. - Sulla upił trochę wina i spojrzał prosto w twarz Numidyjskiego.

- Kwintusie Cecyliuszu, wyruszam jako starszy legat z Tytusem Dydiuszem do Hiszpanii. Nie mam pojęcia jak długo to potrwa, ale zanoszi się na kilka lat. Zaraz po powrocie zamierzam stanąć do wyborów na pretora. - Odchrząknął i upił jeszcze trochę wina. - Czy wiesz, dlaczego nie zostałem wybrany poprzednim razem?

W kąciu ust Numidyjskiego pojawił się uśmiech, tak lekki, że Sulla nie umiał powiedzieć, czy był to uśmiech ironii czy po prostu wyraz rozbawienia.

- Tak, Lucjuszu Korneliuszu, wiem.

- I co o tym sądzisz?

- Musiałeś chyba potężnie rozzłościć mojego drogiego przyjaciela Marka Emiliusza Skaurusa tą historią z jego żoną.

- Aha! Nie chodziło więc o moje związki z Gajuszem Mariuszem!

- Lucjuszu Korneliuszu, ktoś tak rozsądny jak Marek Emiliusz nie hamowałby twej politycznej kariery z powodu wojskowych związków z Gajuszem Mariuszem. Nie było mnie tu, ale utrzymywałem kontakty z Rzymem i wiem, że twoje stosunki z Gajuszem Mariuszem nie są ostatnio zbyt zażyłe. To zrozumiałe, skoro nie jesteście już szwagrami. To jednak pech - westchnął - że kiedy już udało ci się rozwieść z Mariuszem, doprowadziłeś omal do rozwodu w domu Marka Emiliusza.

- Nie zrobiłem niczego niegodnego, Kwintusie Cecyliuszu - rzekł Sulla, starając się nie okazać gniewu z powodu tego pouczenia, z każdą chwilą jednak utwierdzając się w przekonaniu, że trzeba zgładzić tę nadętą miernotę.

- Wiem, że nie zrobiłeś niczego niegodnego. - Metellus Numidyjski wypił jednym haustem ostatnie krople swego wina. - Szkoda, że kiedy chodzi o kobiety, zwłaszcza żony, najstarsze i najtęższe głowy doznają zaćmienia umysłu.

Gdy gospodarz zaczął się podnosić, Sulla wstał szybko i podszedł do konsoli, by znów napełnić kielichy.

- Ta kobieta jest twoją bratanicą Kwintusie Cecyliuszu - powiedział odwrócony tyłem, zasłaniając togą stół.

- I dlatego właśnie znam całą tę historię.



Wręczywszy kielich Numidyjskiemu, Sulla usiadł znów na swoim miejscu.

- A czy ty, będąc jej stryjem i bliskim przyjacielem Marka Emiliusza, nie uważasz, że postąpiłem uczciwie?

Wzruszenie ramion, łyk wina, skrzywienie ust.

- Gdybyś był jakimś parweniusem, Lucjuszu Korneliuszu, nie siedziałbyś tu teraz. Ty jednak nosisz stare i świetne nazwisko, jesteś patrycjuszem Korneliuszem, jesteś człowiekiem z najwyższych sfer. - Znów skrzywił się i upił jeszcze trochę wina. - Gdybym był w Rzymie, kiedy wpadłeś w oko mojej bratanicy, popierałbym oczywiście Marka Emiliusza w jego staraniach o uzdrowienie sytuacji. Prosił cię, jak się domyślam, o opuszczenie Rzymu, a ty odmówiłeś. To było nieroztropne!

Sulla zaśmiał się niewesoło.

- Nie sądziłem, że Marek Emiliusz może się zachować mniej honorowo ode mnie.

- Ach, przydałoby ci się kilka lat spędzonych na Forum Romanum! - wykrzyknął Metellus Numidyjski. - Brak ci wyczucia, Lucjuszu Korneliuszu.

- Chyba masz rację - rzekł Sulla, czując, że narzucił sobie najcięższą ze swych życiowych ról. - Nie można jednak powrócić w przeszłość, ja zaś muszę iść naprzód.

- Hiszpania Bliższa z Tytusem Dydiuszem to zdecydowanie krok naprzód.

Sulla raz jeszcze wstał i nalał wina do kielichów.

- Muszę zostawić w Rzymie przynajmniej jednego przyjaciela - powiedział - i chciałbym, a mówię to z głębi serca, żebyś był nim ty. Bez względu na twoją bratanicę i bez względu na twoje związki z pryncypsem senatu. Jestem Korneliuszem, a to oznacza, że nie mogę zostać twym klientem. Mogę być jedynie przyjacielem. Co na to powiesz?

- Powiem... zostań na wieczery, Lucjuszu Korneliuszu.

I tak Lucjusz Korneliusz został na wieczery, miłym spotkaniu w cztery oczy, bo Metellus Numidyjski zamierzał tego dnia jeść samotnie, nieco zmęczony odgrywaniem nowej roli żywej legendy Forum. Rozmawiali o niestrudzonej walce jego syna o zakończenie wygnania na Rodos.

- Nikt nigdy nie miał lepszego syna - oświadczył niedawny wygnaniec, odczuwając już działanie wina, wypił bowiem niemało, a zaczął na długo przed wieczera.

Uśmiech Sulli był uosobieniem czaru.

- Nie mogę temu zaprzeczyć, Kwintusie Cecyliuszu. Prawdę mówiąc, uważam twego syna za mojego dobrego przyjaciela. Mój syn to jeszcze dziecko. Ojcowskie zaślepienie podszeptuje mi jednak, że niełatwo go będzie przewyższyć.

- Ma na imię Lucjusz, jak ty, nieprawdaż?

Sulla zamrugnął zaskoczony.



- Oczywiście.

- To dziwne - powiedział Metellus Numidyjski, bardzo starannie wymawiając te dwa słowa. - Czy najstarszy syn w waszej gałęzi Korneliuszy nie ma na imię Publiusz?

- Mój ojciec nie żyje, Kwintusie Cecyliuszu, więc nie mogę go o to spytać. Nie pamiętam, żeby za życia był dość trzeźwy, by rozmawiać o rodzinnych tradycjach.

- Ach, zgoda, to bez znaczenia. - Metellus Numidyjski zastanawiał się przez chwilę, a potem spytał: - Skoro mowa o imionach, wiesz chyba, że... że Italczyk mówił o mnie Świnka-Szczecinka?

- Słyszałem, jak Gajusz Mariusz używał tych słów, Kwintusie Cecyliuszu - przyznał Sulla z powagą i wyciągnął rękę, by napełnić dwa piękne szklane puchary z równie pięknego szklanego dzbana. „Dobrze się składa, że Świnka-Szczecinka kocha się w szkłe!”

- Oburzające! - Metellus Numidyjski wymówił to słowo dość niewyraźnie.

- Absolutnie oburzające - przyznał Sulla w przyływie dobrego samopoczucia. „Świnka-Szczecinka! Świnka-Szczecinka!”

- Zacieranie tego przezwiska w ludzkiej pamięci zajęło mi wiele czasu.

- Wcale się nie dziwię, Kwintusie Cecyliuszu - rzekł z niewinną miną Sulla.

- Rymowanka z pokoju dziecinnego! Nie zdobył się nawet na nazwanie mnie *cunnus*, ten... ten Italczyk!

Nagle Metellus Numidyjski zaczął walczyć o przybranie pozycji siedzącej, z dłonią na czole i głośno łapiąc oddech.

- Kręci mi się w głowie! Chyba... nie mogę... złapać tchu!

- Oddychaj głęboko, Kwintusie Cecyliuszu.

Metellus Numidyjski posłusznie podjął wysiłki, a potem wykrztusił:

- Źle... się czuję!

Sulla przesunął się ku tyłowi łoża, gdzie leżały jego buty.

- Czy mam ci podać miednicę?

- Służba! Wezwij... służbę! - Chwytając się za pierś, padł na wznak. - Moje... płuca!

Sulla przeszedł tymczasem przed wezgłowie swego łoża i pochylił się nad stolikiem.

- Czy jesteś pewien, że to płuca, Kwintusie Cecyliuszu?

Metellus Numidyjski wiał się w pozycji półleżącej, jedną rękę przyciskając wciąż do piersi, a drugą z palcami zagiętymi jak szpony przesuwając po łożu do Sulli.

- Zawrót... głowy! Nie mogę... oddychać! Płuca!

- Pomocy! - ryknął Sulla. - Szybko! Pomocy!

Sala natychmiast zapełniła się niewolnikami. Sulla okazał zimną krew, posyłając kilku z nich po lekarzy, a kilku innym każąc podeprzeć pana domu



poduszkami.

- To nie potrwa długo, Kwintusie Cecyliuszu - powiedział uspokajająco. Usiadł na skraju łoża, odpychając obutą stopą stolik. Oba kielichy i dzbany do wina i wody spadły na posadzkę, roztrzaskując się na kawałki. - Chwyć mnie za rękę - powiedział do zmęczonego i przerażonego Numidyjskiego. A do jednego z oszołomionych służących: - Sprzątnij ten bałagan, bo jeszcze się ktoś pokaleczy.

Trzymał wciąż za rękę Metellusa Numidyjskiego, gdy niewolnik zmiatał odłamki szkła z posadzki i wycierał rozlaną wodę, prawie samą wodę. Trzymał jeszcze tę rękę, gdy sala znów wypełniła się ludźmi - lekarzami i ich pomocnikami, a kiedy przybył Metellus Pius Prosiak, Metellus Numidyjski nie wypuścił ręki Sulli nawet po to, by ją wyciągnąć do swego niestrudzonego, ukochanego syna.

Sulla trzymał więc rękę Numidyjskiego, Prosiak szlochał w nieutulonym żalu, a lekarze przystąpili do pracy.

- Hydromel z hyzopem i utartym kaparem - wydał polecenie Apollodor z Sycylii, nadal zajmujący czołową pozycję po lepszej stronie Palatynu. - Chyba też upuścimy mu krwi. Praksysie, mój lancet, proszę.

Metellus Numidyjski był jednak zbyt zajęty oddychaniem, by przełknąć miodowy napój, a gdy mu otwarto żyły, popłynęła szkarłatna krew.

- To żyła, jestem pewien, że to żyła - mówił do siebie Apollodor Sycylijszyk, a potem zwrócił się do innych: - Jaka jasna krew!

- On walczy, Apollodorze. Nic dziwnego, że krew jest jasna - powiedział Publiusz Sulpicjusz Solon, Grek z Aten. - Jak myślisz, okład na pierś?

- Tak, trzeba mu położyć okład na pierś - rzekł z powagą Apollodor z Sycylii i strzelił palcami na swego głównego pomocnika. - Praksysie, okład barbatum!

Metellus Numidyjski nadal walczył o złapanie oddechu, bił się w piersi wolną ręką, spoglądał zamglonymi oczami na syna, nie chciał się położyć, ścisnął rękę Sulli.

- Nie posiniał na twarzy - mówił swą wyszukaną greką Apollodor Sycylijszyk do Metellusa Piusa i do Sulli - i tego właśnie nie rozumiem! Z drugiej strony ma wszelkie objawy ostrej choroby płuc. - Wskazał skinieniem głowy swego pomocnika smarującego kawałek wełnianej tkaniny jakąś czarną i kleistą mazią. - To najlepszy z okładów. Wyciągnie szkodliwe elementy. Skrobana zieleń miedziowa, ałun, glejta ołowiowa w odpowiedniej proporcji, suszona smoła, suszona żywica sosnowa, a wszystko to zmieszane z octem winnym i oliwą. Spójrzcie, już gotowe!

Okład był najwyraźniej przygotowany. Apollodor z Sycylii przyłożył go własną ręką do odsłoniętej piersi chorego i stał potem z godnym podziwu spokojem, przyglądając się działaniu barbatum.

Nie pomogło jednak bardziej niż puszczenie krwi czy leczniczy napój.



Metellus Numidyjski z wolna przestawał trzymać się życia - i ręki Lucjusza Korneliusza Sulli. Z poczerwieniałą twarzą i niewidzącymi oczami przeszedł od paraliżu do śpiączki i tak umarł.

Gdy Sulla opuszczał salę, usłyszał, jak mały sycylijski lekarz mówi zaleknionym tonem do Metellusa Piusa:

- *Domine*, trzeba by zrobić sekcję zwłok.

Usłyszał też odpowiedź zupełnie załamanego Prosiaka:

- Co takiego? Wy, greccy nieudacznicy, mielibyście go krajać, po tym jak go zabiliście? Nie! Mój ojciec nie będzie molestowany przed pójściem na stos!

Z oczami utkwionymi w plecach Sulli, Prosiak przepchnął się przez gromadę lekarzy i wszedł za nim do atrium.

- Lucjuszu Korneliuszu!

Sulla odwrócił się, a twarz, którą ujrzał Metellus Pius, była prawdziwym obrazem żalu. Oczy miał pełne łez, które spływały niepowstrzymanie po policzkach.

- Mój drogi Kwintusie Piusie!

Wstrząśnięty Prosiak trzymał się jeszcze na nogach, a jego szloch przycichł.

- Nie mogę w to uwierzyć! Mój ojciec umarł!

- Umarł nagle - rzekł Sulla, kiwając głową. Zaszlochał. - Bardzo nagle! Miał się doskonale, Kwintusie Piusie! Przyszedłem złożyć mu wyrazy szacunku, a on zaprosił mnie na wieczerzę. Czas upłynął nam tak mile! A potem, kiedy było już po wieczerzy... ten cios!

- Ach, dlaczego, dlaczego? - Prosiak znów zaczął zalewać się łzami. - Ledwie wrócił do kraju, nie był jeszcze stary!

Sulla przygarnął czule Metellusa Piusa, opierając jego głowę na swym ramieniu i gładząc prawą ręką jego włosy. W głębi jego oczu, patrzących z tej pocieszanej głowy, odbijała się jednak satysfakcja, a także jakieś wielkie przeżycie. Czy w przyszłości zdoła zrobić coś, co dorówna temu zdumiewającemu doświadczeniu? Po raz pierwszy zaangażował się całkowicie w ekstremum śmierci, był nie tylko jej sprawcą, ale też wykonawcą.

Z *triclinium* wyszedł rządca i ujrzał syna swego zmarłego pana pocieszanego przez jakiegoś męża promienistego niczym Apollo. Zamrugał i pokręcił głową: to tylko wyobraźnia!

- Muszę już iść - rzekł Sulla do rządcy. - Zajmij się nim i wezwij resztę rodziny.

Na zewnątrz, na Clivus Victoriae, Sulla przystanął, przyzwyczajając oczy do ciemności, a potem ruszył, śmiejąc się cicho, ku świątyni Wielkiej Matki. Gdy wypatrzył okratowany wlot kanału, wpuścił w jego czeluść buteleczkę.

- *Vale*, Świnko-Szczecinko! - wykrzyknął i wzniósł ręce do posępnego nieba. - Ach, czuję się lepiej!





- Na Jowisza! - Gajusz Mariusz odłożył list Sulli i spojrzał na żonę.
- Co się stało?
- Świnka-Szczecinka nie żyje!

Subtelna rzymska matrona, o której jej syn myślał zawsze, że chybaby zemdłała, słysząc grubiaństwo większe niż *Ecastor*, nie mrugnęła nawet okiem. Od pierwszych dni swego małżeństwa wiedziała, że tak się mówi o Kwintusie Cecyliuszu Metellusie Numidyjskim.

- Ach, to bardzo smutne! - powiedziała, nie wiedząc, co chciałby usłyszeć jej mąż.

- Bardzo smutne? To prawie zbyt piękne, by było prawdziwe!

Mariusz podniósł zwój i rozpostarł go, a gdy już odcyfrował nie kończącą się bazgraninę, przeczytał Julii jeszcze raz głosem zdradzającym podniecenie.

*Cały Rzym wyległ na ten pogrzeb, największy, jaki w życiu widziałem - chociaż nie interesowałem się zbytnio pogrzebami, odkąd poszedł na swój stos Scypion Afrykański.*

*Prosiak odchodzi od zmysłów z żalu - potwierdził, że zasługuje na przydomek Pius, chodzi bowiem, płacząc i lamentując od jednej bramy Rzymu do drugiej. Przodkowie Cecyliusza Metellusa byli chyba dość pospolitymi ludźmi, bo jeśli chodzi o ich maski, nie ma na co patrzeć. Noszący je aktorzy podskakiwali niby jakieś dziwaczne hybrydy żab i świerszczy, jak zaś zastanawiałem się, skąd pochodzą Cecyliusze Metellowie. W każdym razie to jakiś dziwny ród.*

*Prosiak szuka ostatnio mego towarzystwa, może dlatego, że byłem przy śmierci Świnki-Szczecinki. Skoro zaś jego drogi tata nie chciał puścić mojej ręki, Prosiak jest przekonany, że wszelkie różnice zdań między jego ojcem a mną to już przeszłość. Nie mówiłem mu, że zaproszenie na wieczerzę było sprawą chwilowego nastroju. Interesujące, że przez cały czas, kiedy jego tata umierał, a nawet później, Prosiak nie zająknął się ani razu. Jego wada wymowy pojawiła się zresztą po bitwie pod Arauzjoną nie jest więc wrodzona. On sam mówi, że ma z nią kłopot tylko wtedy, kiedy o niej pamięta albo gdy musi wygłosić mowę. Wyobrażam go sobie, jak prowadzi jakąś ceremonię religijną! Pękałbym ze śmiechu, gdyby zaczynał wciąż od nowa, a wszyscy przestępowaliby z nogi na nogę.*

*Piszę to w przededniu wyruszenia do Hiszpanii Bliższej, gdzie zanosi się na porządną wojnę. Z raportów wynika, że Celtyberowie są w stanie wrzenia, a Luzytanie wszczynają zamieszki w Hiszpanii Dalszej. Mój daleki kuzyn Dolabella odniósł zaledwie kilka drobnych sukcesów i nie udało mu się zdławić rebelii.*

*Wybrano już trybunów wojskowych i Kwintus Sertoriusz popłynie także z Tytusem Dydiuszem. Prawie jak za dawnych czasów, tyle że na czele stoi inny -*



*nie tak wybitny - nowy człowiek, a nie Gajusz Mariusz. Napiszę, kiedy wydarzy się coś ciekawego, a w zamian liczę, że mi opiszesz króla Mitrydatesa.*

- Co właściwie robił Lucjusz Korneliusz na wieczery u Kwintusa Cecyliusza?  
- spytała Julia.

- Chyba zabiegał o jego łaski - burknął Mariusz.

- Ach, nie!

- Czemu nie, Julio? Nie mam mu tego za złe. Świnka-Szczecinka był ostatnio w doskonałym nastroju, a jego wpływy były z pewnością większe niż moje. Wiadomo, że biedny Lucjusz Korneliusz nie mógł wiązać się ze Skaurusem, doskonale też rozumiem, dlaczego nie próbował porozumieć się z Katulusem Cezarem. - Mariusz westchnął i pokręcił głową. - Przewiduję jednak, Julio, że kiedyś w przyszłości Lucjusz Korneliusz ułagodzi swoich przeciwników i będzie z nimi w znakomitych stosunkach.

- Więc już nie jest twoim przyjacielem!

- Chyba nie.

- Nie rozumiem tego. Byliście sobie tak bliscy.

- Tak było. - Mariusz mówił dalej z namysłem. - A jednak, moja droga, ta bliskość nie wynikała ze skłonności umysłów i serc. Stary Cezar czuł wobec niego to samo co ja. Nie ma lepszego niż on do walki przy twoim boku albo kiedy trzeba wykonać jakieś zadanie. Z kimś takim łatwo być w zażyłych stosunkach. Wątpię jednak, by Lucjusz Korneliusz cenił przyjaźń, choćby taką jak moja z Publiuszem Rutyliuszem. Wtedy, wiesz, lubi się czyjeś wady i dziwactwa tak samo jak jego zalety. Lucjusz Korneliusz nie umiałby siedzieć z przyjacielem na ławie, milczeć i cieszyć się tym, że przebywają razem. To obce jego naturze.

- Jaka jest ta jego natura, Gajuszu Mariuszu? Ja tego nie wiem.

- Nikt tego nie wie. Po tych wszystkich latach spędzonych razem nawet nie zaczynam się tego domyślać.

- Chyba mógłbyś się domyślić, ale nie chcesz - stwierdziła Julia, przysuwając się do niego. - Jeśli on w ogóle z kimś się przyjaźni, to z Aurelią.

- Zauważyłem - powiedział sucho Mariusz.

- Nie myśl tylko, że jest coś między nimi, bo nie ma! Myślę tylko, że jeśli Lucjusz Korneliusz odsłonił przed kimś swoje wnętrze, to przed nią.

- Ha! - rzekł Mariusz, kończąc rozmowę.

Zimowali w Halikarnasie, przybyli bowiem do Azji Mniejszej zbyt późno, by podjąć podróż lądem z wybrzeża do Pesynuntu. Zbyt długo zasiedzieli się w Atenach, bo obojgu bardzo się tam podobało, a stamtąd udali się do Delf, by odwiedzić święty okrąg Apollina. Mariusz nie chciał jednak zasięgać rady Pytii.

Zdziwiona Julia spytała, dlaczego.

- Nie należy nękać bogów pytaniami - odrzekł. - Otrzymałem swój przydział



przepowiedni. Gdybym prosił o więcej, mogliby odwrócić się ode mnie.

- Czy nie mógłbyś spytać o Mariusza Młodszeo?

- Nie - odparł Mariusz.

Odwiedzili też Epidauros na Peloponezie, tam zaś, po obowiązkowym podziwianiu budowli i cudownych rzeźb Trazymedesa z Paros, Mariusz spróbował diagnozy ze snu zalecanej przez kapłanów Asklepiosa. Wypił posłusznie jakiś płyn, a potem udał się do dormitoriów przy wielkiej świątyni i tam przespał noc. Niestety, nie zapamiętał żadnych snów, więc kapłani mogli jedynie poradzić mu, by zrzucił nadwagę, zażywał więcej ćwiczeń i nie zadreęczał się myśleniem.

- Szarlatani, jeśli chcesz znać moje zdanie - powiedział z pogardą Mariusz, zostawiwszy bogu w darze wdzięczności cenny złoty puchar zdobiony drogimi kamieniami.

- Rozsądni ludzie, jeśli chcesz znać moje zdanie - odparła Julia, wpatrując się w jego poszerzającą się w pasie sylwetkę.

Był już październik, gdy odpływali z Pireusu na dużym statku pływającym regularnie między Grecją a Efezem. Górzysty Efez nie spodobał się jednak Mariuszowi, który potykał się i sapał na jego bruku, i wkrótce postarał się o miejsca dla rodziny na statku płynącym na południe do Halikarnasu.

Tutaj, w najpiękniejszym z miast portowych w rzymskiej prowincji Azji, Mariusz zatrzymał się na zimę w wynajętej willi z obsługą, wyposażonej w łaźnię z podgrzewaną morską wodą, bo choć słońce świeciło, było za zimno, by się kąpać w morzu. Potężne mury, wieże i twierdze oraz imponujące budowle publiczne nadawały miastu wygląd bezpieczny i niemal rzymski. Rzym nie posiadał jednak budowli tak wspaniałej jak Mauzoleum - grobowiec, który wzniosła po śmierci króla Mauzola jego siostra i żona, Artemizja, nieutulona w żalu.

Późną wiosną podjęto pielgrzymkę do Pesynuntu, nie bez protestów ze strony Julii i Mariusza Młodszeo, którzy chcieli spędzić lato nad morzem, przegrali jednak tę bitwę, co było do przewidzenia. Wszyscy, od najeźdźców do pielgrzymów, korzystali ze szlaku w dolinie Meandru łączącego nadbrzeżną Azję Mniejszą ze środkową Anatolią. Skorzystał z niego i Mariusz z rodziną, podziwiając dobrobyt i wyrafinowanie mijanych okolic. Opuścili fascynujące krystaliczne formacje i źródła mineralne Hierapolis, gdzie się poddaje obróbce czarną wełnę, a sole zawarte w wodzie utrwalają jej pożądany kolor. Przebyli bardzo wysokie i dzikie góry, podążając stale wzdłuż Meandru, i wkroczyli w lasy i pustkowia Frygii.

Pesynunt leżał jednak w głębi płaskowyżu wolnego od otaczających go lasów, zieleniącego się natomiast, gdy tam przybyli, łanami pszenicy. Przewodnik wyjaśnił, że świątynia Wielkiej Matki, podobnie jak większość wielkich świątyń Anatolii, posiada rozległe ziemie i całe armie niewolników i



że jest tak bogata i samowystarczalna jak każde inne państwo. Jediną różnicą jest to, że kapłani rządzą w imieniu bogini i strzegą bogactw przybytku, by zachować jej władzę.

Spodziewali się jakichś drugich Delf, położonych wśród oszałamiających potęgą gór, byli więc zaskoczeni widokiem Pesynuntu leżącego poniżej poziomu płaskowyżu w jaskrawobiałym kredowym wąwozie o stromych ścianach. Święty okrąg leżał w północnym końcu wąwozu, węższym i mniej żyznym niż pozostała część wijąca się przez całe mile ku południowi. Wzniesiony był nad strumieniem, który w końcu urastał w wielką rzekę Sangarius. Miasto, świątynia i budynki świętego okręgu roztaczały aurę starożytności, chociaż obecne budowle były greckie, zarówno pod względem wieku, jak i stylu, a stopnie przed frontem wielkiej świątyni usadowionej na wyniosłości dna doliny tworzyły prawie koliste zagłębienie, w którym zasiadali pielgrzymi spotykający się z kapłanami.

- Nasz kamienny pępek świata jest w Rzymie, Gajuszu Mariuszu - mówił archigallos Battakes. - Oddaliśmy go wam dobrowolnie, kiedy byliście w potrzebie. Z tego powodu Hannibal nie zbliżył się do Pesynuntu, kiedy uciekł do Azji Mniejszej.

Przypominając sobie list Rutyliusza Rufusa o wizycie Battakesa i jego podwładnych w Rzymie, kiedy groziła inwazja Germanów, Mariusz skłonny był patrzeć na kapłana z pewnym rozbawieniem. Battakes wyczuł to natychmiast.

- Czy dlatego się uśmieszasz, że jestem kastratem?

Mariusz zamrugał.

- Nie miałem pojęcia, że nim jesteś, archigallosie.

- Nie można służyć Kubabie Kybele i pozostać nietkniętym, Gajuszu Mariuszu. Nawet jej mążzonek Attis musiał złożyć tę wielką ofiarę.

- Myślałem, że Attis został wykastrowany, bo odszedł do innej kobiety. - Mariusz czuł, że wypada mu coś powiedzieć, a nie chciał wdawać się w rozmowę o usuwanych gruczołach płciowych, chociaż kapłan wyraźnie miał ochotę rozmawiać o swoim stanie.

- Nie, to już greckie ozdobniki tej historii. Tylko we Frygii zachowujemy nieskażoną wiarę i wiedzę o bogini. To my jesteśmy jej prawdziwymi wyznawcami. To do nas przybyła przed eonami z Karchemisz.

Wszedł ze słonecznego światła w podcień wielkiej świątyni, gasząc blask swych szat ze złotogłowiu i migotanie klejnotów.

Stanęli w celli bogini, aby Mariusz mógł podziwiać jej posąg.

- Szczerze złoto - powiedział z zadowoleniem Battakes.

- Jesteś pewien? - spytał Mariusz, przypominając sobie, co przewodnik w Olimpij mówił im o technice wykonania posągu Zeusa.

- Oczywiście!



Naturalnej wielkości posąg na wysokim marmurowym cokole przedstawiał boginię siedzącą na krótkiej ławie. Przy jej bokach siedziały bezgrywe lwy, a ręce bogini spoczywały na ich głowach. Nosiła wysokie, podobne do korony nakrycie głowy, cienką szatę, nie ukrywającą piękna jej piersi, i przepaskę. Za lwem po lewej stali dwaj mali pastuszkowie, jeden dmuchał w zestaw podwójnych piszczałek, drugi trącał struny wielkiej liry. Na prawo od drugiego lwa stał małżonek Kubaby Kybele, Attis, oparty na pasterskiej lasce i w czapce frygijskiej na głowie. Nosił koszulę z długimi rękawami, rozpiętą, by ukazać dobrze umięśniony tors, a nogawki jego długich spodni były rozcięte z przodu i spięte guzikami.

- Interesujące. - Mariusz nie uważał posągu za piękny, choćby i był szczerozłoty.

- Nie jesteś jednak zachwycony.

- Chyba dlatego, że jestem Rzymianinem, archigallosie, a nie Frygijczykiem. - Mariusz odwrócił się i ruszył przez cellę ku wielkim spiżowym drzwiom. - Czemu ta azjatycka bogini tak się interesuje Rzymem?

- Tak jest już od dawna, Gajuszu Mariuszu. Gdyby było inaczej, nie zgodziłaby się oddać Rzymowi kamiennego pępka świata.

- Tak, tak, wiem o tym! To jednak nie jest odpowiedź na moje pytanie. - Mariusz zaczął odczuwać rozdrażnienie.

- Kubaba Kybele nie wyjawia swych powodów, nawet swoim kapłanom - powiedział Battakes, który znów stał się porażającym wzrok zjawiskiem, zszedłszy na prawie koliste stopnie skąpane w słońcu. Usiadł i poklepał marmurowy blok, zapraszając Mariusza, by spoczął obok. - Ona przeczuwa chyba jednak, że Rzym będzie rozszerzał swe wpływy, aż kiedyś zapanuje nad Pesynuntem. Od przeszło stu lat udzielacie jej gościny w Rzymie jako Wielkiej Matce. Z wszystkich cudzoziemskich świątyń tamtą lubi najbardziej. Święte okręgi w Pireusie i w Pergamonie nie obchodzą jej ani w połowie tak jak ten w Rzymie. Ona chyba po prostu kocha Rzym.

- Miło mi to słyszeć - powiedział Mariusz.

Battakes skrzywił się i przymknął oczy. Westchnął, wzruszył ramionami, a potem wskazał miejsce, gdzie nad schodami wznosił się mur osłaniający studnię.

- Czy chciałbyś spytać o coś boginię?

Mariusz pokręcił jednak przecząco głową.

- Miałbym krzyczeć do studni i czekać, aż mi odpowie jakiś bezcielesny głos? Nie!

- Tak właśnie odpowiada ona na pytania.

- Z całym szacunkiem dla Kubaby Kybele, archigallosie, bogowie dość już dla mnie zrobili, jeśli chodzi o przepowiednie. Dalsze stawianie pytań nie byłoby rozsądne.



- Posiedźmy więc chwilę na słońcu, Gajuszu Mariuszu, i posłuchajmy wiatru - zaproponował Battakes, kryjąc gorzki zawód, przygotował bowiem wcześniej kilka ważnych odpowiedzi na pytania.

- Nie przypuszczam - odezwał się nagle po paru chwilach Mariusz - żebyś wiedział, jak można skontaktować się z królem Pontu. Innymi słowy, czy wiesz, gdzie przebywa? Pisałem do niego do Amasei, ale nie dostałem odpowiedzi, a było to przed ośmioma miesiącami. Mój drugi list też do niego nie dotarł.

- On się wciąż przenosi z miejsca na miejsce - odpowiedział kapłan. - Mógł w tym roku wcale nie być w Amasei.

- Czy nie każe sobie doręczać poczty?

- Anatolia to nie Rzym ani rzymskie terytorium. Nawet dworzanie króla Mitrydatesa nie wiedzą gdzie on przebywa, chyba że ich zawiadamia. A rzadko to robi.

- O bogowie! - powiedział oszołomiony Mariusz. - Jak mu się udaje nad wszystkim panować?

- Gdy jest nieobecny, rządzą jego komesowie; to nic trudnego, bo większość miast pontyjskich to greckie miasta-państwa mające własne rządy. Płacą one po prostu Mitrydatesowi tyle, ile żąda. Obszary wiejskie są zacofane i izolowane. Pont jest krajem bardzo wysokich gór biegnących równolegle do Morza Euksyńskiego, co sprawia, że komunikacja między jedną częścią kraju a drugą jest bardzo utrudniona. Król ma wiele twierdz rozrzuconych po górach i utrzymuje co najmniej cztery dwory, jak ostatnio słyszałem - w Amasei, Synopie, Dastejrze i Trapezuncie. Jak mówiłem, on stale przenosi się z miejsca na miejsce i to zwykle bez orszaku. Podróżuje też do Galacji, Sofeny, Kapadocji i Komageny. W tych krajach panują jego krewni.

- Rozumiem. - Mariusz pochylił się, składając razem dłonie między kolanami.

- Chcesz chyba powiedzieć, że może mi się nie udać nawiązanie z nim kontaktu.

- To zależy, jak długo zamierzasz pozostać w Azji Mniejszej - powiedział z obojętną miną Battakes.

- Myślę, że muszę tu pozostać, dopóki nie spotkam się z królem Pontu, archigallosie. Tymczasem złożę wizytę królowi Nikomedesowi. On przynajmniej jest na miejscu. Potem wracam na zimę do Halikarnasu. Wiosną zamierzam udać się do Tarsu, a stamtąd w głąb kraju. Chcę się spotkać w Kapadocji z królem Ariaratesem.

Wymieniwszy te imiona i nazwy, Mariusz zmienił temat. Interesował go, jak mówił, system bankowy świątyni.

- Nie trzymamy pieniędzy bogini na stosach w piwnicach. Powiększamy jej majątek, pożyczając na dobry procent. Pesynunt nie szuka jednak depozytorów, choć niektóre świątynie tak czynią.

- Nie robimy tego w Rzymie - powiedział Mariusz. - Chyba dlatego, że świątynie rzymskie są własnością ludu, a zarządza nimi państwo.



- Państwo może jednak zarabiać pieniądze, czyż nie?  
- Może, ale to prowadzioby do rozrostu biurokracji, a Rzymowi nie zależy na biurokratach. Albo są oni bezczynni, albo zbyt zachłanni. Nasz system bankowy jest w rękach prywatnych, a prowadzą go fachowi bankierzy.  
- Zapewniam cię, że bankierzy świątyni są fachowcami.  
- A co z Kos? - spytał Mariusz.  
- Masz na myśli przybytek Asklepiosa?  
- Właśnie.  
- Ach, to bardzo fachowa operacja! - przyznał nie bez zawiści Battakes. - Teraz jest to instytucja zdolna nawet finansować wojny! Mają oczywiście wielu depozytorów.

Mariusz wstał.

- Dziękuję, archigallosie.

Battakes patrzył, jak Mariusz kroczy w dół stoku ku wspaniałej kolumnadzie nad strumieniem, a potem, gdy upewnił się, że nie zawróci, pośpieszył do swego pałacu, niewielkiej, lecz pięknej budowli wśród gaju.

Tam zasiadł w pracowni do pisania listu do króla Mitrydatesa.

*Okazuje się, Wielki Królu, że rzymski konsul Gajusz Mariusz postanowił spotkać się z Tobą. Prosił mnie o pomoc w ustaleniu miejsca Twego pobytu, a gdy nie otrzymał żadnych wskazówek, oświadczył, że zamierza pozostać w Azji Mniejszej, dopóki Cię nie zobaczy.*

*W jego planach na najbliższą przyszłość są wizyty u Nikomedesa i Ariaratesa. To dziwne, że podejmuje trud podróży do Kapadocji, nie jest bowiem bardzo młody - ani bardzo zdrowy, jak podejrzewam. Dał jednak jasno do zrozumienia, że wiosną wyrusza do Tarsu, a stamtąd do Kapadocji.*

*To niebezpieczny człowiek, o Wielki. Jeśli ktoś taki był sześciokrotnie konsulem Rzymu - a jest to osobistość raczej prosta i nieokrzesa - nie należy go nie doceniać. Szlachetni Rzymianie, których spotykałem dotąd, byli znacznie gładszy w obejściu i bardziej wyrafinowani. Szkoda, że nie miałem okazji spotkać Gajusza Mariusza w Rzymie, gdzie w konfrontacji z równymi mu ludźmi mógłbym go ocenić lepiej niż w Pesynuncie.*

*Pozostaję Twoim oddanym i zawsze wiernym poddanym. Battakes.*

List ten, zapieczętowany i zawinięty w najdelikatniejszą skórę, a potem umieszczony w sakiewce, wręczył Battakes jednemu ze swych niższych kapłanów i kazał mu gnać co koń wyskoczy do Synopy, gdzie przebywa król Mitrydates.





Jego treść nie ucieszyła króla. Siedział, gryząc swe pełne wargi i marszcząc czoło tak okropnie, że dworzanie, którzy musieli być przy nim obecni, a nie mogli się odzywać, błogosławili swój los i współczuli Archelaosowi. Ten musiał dotrzymywać królowi towarzystwa w rozmowie, nie wydawał się jednak zmartwiony. Archelaos był kuzynem króla i pierwszym z jego wielmożów. Był królowi bardziej przyjacielem i bratem niż sługą.

Pod beztruską powierzchownością kryła się jednak taka sama obawa o własne bezpieczeństwo jak u pozostałych ludzi z królewskiego orszaku. Kto myślał, że cieszy się łaskami króla, powinien przypomnieć sobie los wielmożnego Diofantosa. Diofantos także był królowi bardziej przyjacielem niż sługą, a w dodatku prawie ojcem, był bowiem królewskim stryjem.

Archelaos powtarzał sobie jednak, przyglądając się tej energicznej, rozdrażnionej twarzy oddalonej ledwie o kilka stóp, że w tego rodzaju sprawach człowiek nie ma wyboru. Król jest królem i rozkazuje wszystkim innym - albo ich zabija, jeśli ma na to ochotę. Taki stan rzeczy wyostrza umysły żyjących w bliskości kogoś o tak wielkiej energii, kapryśnym usposobieniu, infantyлизmie, błyskotliwości, sile i lęklności. Człowiek może wydostać się z tysiąca groźnych sytuacji wyłącznie dzięki swemu rozumowi. Te niebezpieczne sytuacje pojawiają się jak burze znad Euksynu albo gotują się jak kociołki na rozżarzonych węglach, gdzieś w głębi królewskiego umysłu, albo wyłaniają się z jakiegoś zapomnianego grzechu sprzed dziesięciu lat. Król nigdy nie zapomina krzywd, prawdziwych czy wymyślonych, zostawia je tylko jako argumenty na przyszłość.

- Wygląda na to, że muszę się z nim spotkać - powiedział Mitrydates i dodał:  
- Czyż nie?

Pułapka: co tu odpowiedzieć?

- Jeśli nie zechcesz, Wielki Królu, nie musisz spotykać się z nikim - odrzekł swobodnie Archelaos. - Myślę jednak, że spotkanie z Gajuszem Mariuszem mogłoby być interesujące.

- Zatem Kapadocja, na wiosnę. Niech oceni najpierw Nikomedesa. Jeżeli ten Gajusz Mariusz jest taki groźny, nie polubi Nikomedesa z Bitynii. I niech spotka się wpierw także z Ariaratesem. Zawiadom tego pluskwiaka w moim imieniu, że ma powitać Gajusza Mariusza w Tarsie i osobiście eskortować Rzymianina do Kapadocji.

- Czy zmobilizować armię, tak jak planowano, o Wielki?

- Oczywiście. Czy Gordios nadciąga?

- Powinien dotrzeć do Synopy, zanim śniegi zasypią przełęcz, mój królu.

- Dobrze!

Wciąż zachmurzony Mitrydates wrócił do listu od Battakesa i znów zaczął



gryźć wargi. Ci Rzymianie! Czemu wtykają nosy w nie swoje sprawy? Czemu ktoś tak sławny jak Gajusz Mariusz kręci się po wschodniej Anatolii? Czy Ariarates już ułożył z Rzymianami usunięcie Mitrydatesa Eupatora z tronu i zamianę Pontu w satrapię Kapadocji?

- To była długa i trudna droga - powiedział do kuzyna. - Nie będę się kłaniał Rzymianom.



Miał za sobą rzeczywiście długą i trudną drogę, prawie od urodzenia, był bowiem młodszym synem swego ojca, króla Mitrydatesa V i królewskiej siostry-żony, Laodike. Urodzony w tym samym roku, w którym zmarł w tajemniczych okolicznościach Scypion Emilianus, Mitrydates Eupator miał brata starszego o niecałe dwa lata, Mitrydatesa Chrestosa, nazwanego tak, ponieważ to on był pomazańcem wyznaczonym na króla. Ich ojciec król marzył o powiększeniu Pontu czymkolwiek kosztem, najchętniej jednak kosztem Bitynii, najstarszego i najzawziętszego nieprzyjaciela.

Na początku wydawało się, że Pont zachowa tytuł Przyjaciela i Sprzymierzeńca ludu rzymskiego, przyznany za wsparcie udzielone przez króla Mitrydatesa IV Attalosowi II z Pergamonu w wojnie z królem Bitynii Pruzjaszem. Mitrydates V pozostawał przez jakiś czas w przymierzu z Rzymem, wysyłając wojska przeciw Kartaginie podczas trzeciej wojny punickiej i przeciw spadkobiercom króla Attalosa III z Pergamonu, po ogłoszeniu jego testamentu, w którym zapisywał całe swe królestwo Rzymowi. Wtedy jednak ów Mitrydates V zajął Frygię, wypłaciwszy rzymskiemu prokonsulowi w Azji Mniejszej, Maniuszowi Akwiliuszowi, wielką sumę w złocie do jego prywatnej sakiewki. Tytuł Przyjaciela i Sprzymierzeńca został odebrany, pozostała zaś wrogość między Rzymem a Pontem umiejętnie podsycana przez króla Bitynii Nikomedesa i przeciwnych Akwiliuszowi senatorów w Rzymie.

Nie zważając na wrogość Rzymu i Bitynii, Mitrydates V kontynuował politykę ekspansji, wciągając w swe sieci Galację, a potem ogłaszając się spadkobiercą większej części Paflagonii. Nie podobał się jednak swojej siostrze-żonie, która skrycie marzyła o władaniu Pontem na własną rękę. Kiedy Mitrydates Eupator miał dziewięć lat - dwór przebywał wtedy w Amasei - królowa Laodike zamordowała męża, który był też jej bratem, i osadziła na tronie jedenastoletniego Mitrydatesa Chrestosa. Sama oczywiście była regentką. W zamian za gwarancje nienaruszalności granic Pontu ze strony Bitynii, królowa zrezygnowała z roszczeń Pontu do Paflagonii i uwolniła z zależności Galację.

Mitrydates Eupator nie miał jeszcze dziesięciu lat, gdy uciekał z Amasei w parę tygodni po zamachu stanu dokonanym przez jego matkę. Był przekonany, że i on zostałby zamordowany, nie był bowiem podobny do swego powolnego i posłusznego brata Chrestosa, przypominał natomiast matce jej męża, o czym



coraz częściej wspominała. Całkowicie osamotniony chłopiec uciekł nie do Rzymu albo na któryś z sąsiednich dworów, ale w góry wschodniego Pontu. Nie ukrywał przed miejscowymi swojej tożsamości, błagał tylko o utrzymanie tego w sekrecie. Tamtym pochlebiało, że członek rodziny królewskiej zdecydował się na wygnanie wśród nich, chronili więc Mitrydatesa z fanatycznym oddaniem. Przenosząc się z wioski do wioski, królewicz poznał swój kraj jak nikt dotąd z królewskiego rodu. Przeniknął do miejsc, gdzie cywilizacja zwolniła bieg albo zatrzymała się, albo nigdy nie dotarła. Latem wędrował samopas i polował na lwy i niedźwiedzie, zdobywając sobie wśród swych ciemnych poddanych reputację śmiałka. Żywiły go pontyjskie lasy bogate w jagody, orzechy i soczyste owoce, w sarny i króliki.

Nigdy później nie czuł takiego zadowolenia z życia ani nie był tak uwielbiany przez poddanych, jak podczas tych siedmiu lat ukrywania się w górach na wschodzie Pontu. Przemykając cicho przez lasy różowe i liliowe od rododendronów, pod kołyszącą się, białą akacji, miał w uszach szum spadającej w dół spienionej wody. Tak wyrósł z chłopca na młodzieńca. Jego pierwszymi kobietami były dziewczyny z małych zagubionych wiosek. Swego pierwszego lwa, wielkie grzywiaste zwierzę, zabił maczugą jakby był wcieleniem Heraklesa. Pierwszy zabity niedźwiedź był od niego znacznie wyższy.

Mitrydatydzini byli rośli ludźmi, pochodzącymi od Germano-Celtów z Tracji z niewielką przymieszką krwi perskiej za sprawą dworzana króla Dariusza (albo i samego króla). Przez dwieście pięćdziesiąt lat rządili Pontem. Potem związali się przez małżeństwo z syryjską dynastią Seleukidów, jeszcze jednym germano-trackim rodem królewskim założonym przez macedońskiego wodza Seleukosa, żołnierza Aleksandra Wielkiego. Gdyby w Mitrydatesie odezwała się krew perska, byłby szczupły, łagodny, o jasnej cerze i ciemnych włosach. Mitrydates Eupator był jednak prawdziwym Germano-Celtem. Był bardzo wysoki, wystarczająco szeroki w ramionach, by unieść zabitego dorosłego kozła, a uda i łydki miał dość mocne, by wspinać się na urwiste pontyjskie szczyty.

Mając siedemnaście lat, czuł się mężczyzną na tyle, by wykonać swój plan: posłał skrycie wiadomość swemu wujowi Archelaosowi, o którym wiedział, że nie kocha królowej Laodike, przyrodniej siostry i swojej władczyni. Podczas kilku tajnych spotkań w górach pod Synopą, rezydencją królowej, ułożyli plan działania. Mitrydates spotykał się po kolei z wielmożami, których Archelaos uznał za godnych zaufania, i odbierał od nich przysięgę wierności.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Synopa upadła nie zagrożona z zewnątrz, bo walka o władzę rozegrała się w jej murach. Królowa, Chrestos i lojalni wobec nich wielmoże zostali pojmani bez przelewu krwi. Kiedy krew popłynęła, tryskała spod miecza kata. Kilkoro wujów, ciotek i kuzynów zginęło



na miejscu, Chrestos nieco później, a królowa Laodike ostatnia. Pobożny syn Mitrydates wtrącił matkę do lochu pod murami Synopy, gdzie - jak to mogło się zdarzyć? - ktoś zapomniał o jej karmieniu i zagłodziła się na śmierć.

Nie splamiony matkobójstwem król Mitrydates VI panował samotnie. Nie miał jeszcze osiemnastu lat. Rozpierała go energia, palił się do zdobycia sławy, pragnął ujrzeć Pont daleko potężniejszym od wszystkich sąsiadów, łaknął władania światem, bo jego wielkie srebrne zwierciadło mówiło mu, że nie jest zwykłym królem. Zamiast diademu czy tiary nosił lwią skórę, której wielka zębata paszcza opadała mu na czoło, łeb i uszy okrywały włosy, a łapy wiązały się na piersi. Miał włosy podobne do Aleksandra Wielkiego - tej samej złotawej barwy, równie gęste i równie falujące - więc czesał się w taki sam sposób. Pragnąc zademonstrować swą męskość, nie nosił brody ani wąsów (które były nie do przyjęcia dla Hellenów), ale długie bokobrody. Jakież kontrast z Nikomedesem z Bitynii! Męski, kobieciarz, postawny, pożądlivy, budzący lęk, potężny. Mówiło mu o tym wszystkim jego srebrne zwierciadło, on zaś odczuwał satysfakcję.

Ożenił się ze swoją starszą siostrą, jeszcze jedną Laodike, a potem żenił się z każdą, która mu się spodobała, miał więc tuzin żon i kilkakrotnie więcej nałożnic. Laodike była jego królową, ale - jak jej często mówił - miało to trwać tylko tak długo, jak długo będzie lojalna. Aby wzmocnić to ostrzeżenie, poprosił Seleukidów z Syrii o żonę z ich królewskiego rodu, a że mieli akurat nadmiar księżniczek, otrzymał swoją syryjską żonę, która miała na imię Antiochis. Miał też żonę Nyse, córkę kapadockiego księcia Gordiosa, i wydał jedną ze swych młodszych sióstr (jeszcze jedną Laodike!) za króla Kapadocji, Ariaratesa VI.

Szybko przekonał się, że takie małżeńskie przymierza są niezmiernie użyteczne. Jego teść Gordios uknuł z jego siostrą Laodike morderstwo jej męża, króla Kapadocji. Zadowolona z perspektywy piętnastu lat regencji Laodike osadziła na tronie swego małego synka jako Ariaratesa VII i poddała Kapadocję pod jarzmo swego brata Mitrydatesa. Trwało to, dopóki nie uległa pochlebstwom starego króla Bitynii Nikomedesa, wołała bowiem panować niezależnie od Mitrydatesa i jego łańcuchowego psa Gordiosa. Gordios uciekł do Pontu, Nikomedes zaś przyjął tytuł króla Kapadocji, pozostał jednak w Bitynii i pozwolił swej nowej żonie Laodike rządzić w Kapadocji niepodzielnie, z jednym zastrzeżeniem - by nie działała na korzyść Pontu. Taki układ bardzo odpowiadał Laodike. Jej syn miał już jednak prawie dziesięć lat i jak wszyscy wschodni królowie odkrył w sobie skłonności autokratyczne. Chciał rządzić sam. W starciu z matką stłumione zostały jego żądania, ale nie przekonania. W ciągu miesiąca przedstawił się swemu wujowi Mitrydatesowi w Amasei, a zanim minął kolejny miesiąc, wuj wprowadził go na tron w Mazace jako jedyne go władcę. Armia Pontu była zawsze w stanie gotowości, a armia



Kapadocji nigdy. Laodike została stracona, a jej brat przyglądał się temu beznamiętnie. Bitynia straciła wszelkie prawa do własności ziemskiej w Kapadocji. Mitrydatesa drażniło jedynie to, że dziesięcioletni król Kapadocji, Ariarates VII, odmawiał powrotu do kraju Gordiosowi, utrzymując uparcie, że nie może gościć mordercy swego ojca.

Młody król Pontu poświęcił ledwie drobną część swego czasu mieszaniu się w sprawy kapadockie. We wczesnych latach panowania skupiał się na powiększaniu siły i sprawności wojsk pontyjskich oraz bogactw pontyjskiego skarbcza. Mitrydates umiał myśleć, mimo swych lwich skłonności, manii wielkości i swej młodości.

Z garścią wielmożów, którzy byli też jego krewnymi - wujem Archelaosem, wujem Diofantosem i kuzynami Archelaosem i Neoptolemosem - wsiadł na statek w Amisos, by opłynąć wschodnie wybrzeża Morza Euksyńskiego. Podróżowali przebrani za greckich kupców szukających kontaktów handlowych, co wytrzymało próbę wszędzie, gdzie lądowali. Trapezunt i Rhizos od dawna płaciły daninę królom Pontu i były nominalnie częścią tego królestwa, poza jednak tymi dwoma portami przy bogatych złożach srebra leżała *terra incognita*.

Wyprawa zbadała legendarną Kolchidę, gdzie wpadała do morza rzeka Fazis, a ludzie znad rzeki zanurzali w niej owcze runa, by wyłapywać cząsteczki złota, które niosła z Kaukazu. Przyglądali się górom wyższym nawet niż góry Pontu i Armenii, o stokach stale pokrytych śniegiem, i wypatrywali potomkiń Amazonek, które kiedyś żyły w Poncie na aluwialnej równinie u ujścia Termodontu do morza.

Kaukaz obniżał się z wolna i zaczynały się nieskończone równiny Scytów i Sarmatów, pełne ludów o zwyczajach podobnych do ludów osiadłych i nieco już oswojonych przez Greków, którzy zakładali kolonie na wybrzeżu. Nie oznaczało to poskromienia ich w sensie wojskowym, ale wystawienie na wpływy greckiej kultury - ponętnej, egzotycznej i kuszącej.

Kiedy linię wybrzeża przecięła delta Wardanu, statek wiozący króla Mitrydatesa wpłynął na wody prawie całkowicie odciętego od lądu jeziora Meotis i pozegłował po jego trójkątnym kształcie, odkrywając najpotężniejszą rzekę świata, baśniowy Tanais. Usłyszeli też nazwy innych rzek - Rhy, Udonu, Borystenesu, Hypanisu - i opowieści o wielkim morzu na wschodzie zwanym Hyrkanis albo Kaspium.

Wszędzie, gdzie Grecy zakładali swe handlowe miasta, rosła pszenica.

- Gdybyśmy mieli rynki zbytu, moglibyśmy uprawiać jej więcej - mówił etnarchą Sinde. - Kiedy Scytowie spróbowali chleba, nauczyli się orać i siać.

- Sprzedawaliście przed stu laty zboże królowi Numidii Massynisie - powiedział Mitrydates. - Są jeszcze inne rynki zbytu. Rzymianie będą wkrótce skłonni zapłacić każdą cenę. Czemu sami nie poszukacie rynku na wasz towar?



- Może dlatego, że żyjemy tu w izolacji od świata Morza Środkowego. Podatki, jakich żąda Bitynia za przewóz przez Hellespont, są bardzo wysokie.

- Chyba trzeba będzie zrobić, co się da, by pomóc tym wspaniałym ludziom, nieprawdaż? - zwrócił się Mitrydates do swych wujów.

Obejrzeni jeszcze bajecznie żyzną prawie-wyspę, zwaną przez Greków i Chersonezem Taurydzkim, a przez Scytów Kimmerią, i był to ostatni dowód, jakiego potrzebował Mitrydates. Te kraje dojrzały do podboju i musiały należeć do Pontu. Mitrydates nie był jednak dobrym wodzem i miał dość rozumu, by sobie z tego zdawać sprawę. Żołnierka podobała mu się, nie był też tchórzem, wprost przeciwnie, nie miał jednak pojęcia, co robić z tysiącami ludzi. Przekonał się natomiast, że lubi organizować kampanie i gromadzić wojska. Niech dowodzą nimi inni, lepsi w tym od niego.

Pont rodził oczywiście żołnierzy, ale jego król zdawał sobie sprawę, że ich kwalifikacje pozostawiały wiele do życzenia. Grecy zamieszkujący nadbrzeżne miasta gardzili wojaczką a miejscowi potomkowie perskich szczepów żyjących kiedyś na południe i zachód od Morza Hyrkańskiego, byli tak zacofani, że ich wyszkolenie było niemożliwością. Tak więc, jak większość wschodnich władców, Mitrydates zdany był na najemników. Byli to głównie Syryjczycy, Cylicyjscy, Cypryjczycy i gorącokrwieści obywatele kłótliwych państw semickich znad Palus Asphaltites w Palestynie. Jeśli żołd spóźniał się choćby o jeden dzień, pakowali się i ruszali do kraju.

Zobaczywszy Scytów i Sarmatów, król Pontu postanowił jednak, że te właśnie ludy będą w przyszłości dostarczać mu żołnierzy. Wyszkoli ich jako piechotę i uzbroi na sposób rzymski. Z nimi wyruszy na podbój Anatolii. Najpierw jednak musi ich ujarzmić. Do tego zadania wybrał swego wuja Diofantosa, syna rodzonej siostry swego ojca i wielmożnego Asklepiodora.

Za pretekst posłużyła skarga Greków z Sinde i Chersonezu na najazdy synów króla Skilurosa, nieżyjącego już twórcy scytyjskiego państwa Kimmerii, które nie rozpadło się po jego śmierci. Dzięki wysiłkom Greków z Olbii tamtejsi Scytowie uprawiali rolę, byli jednak wojowniczy.

- Wezwijcie na pomoc króla Pontu Mitrydatesa - radził pewien fałszywy kupiec, opuszczając Chersonez Taurydzki. Podjął się też dostarczenia listu królowi.

Diofantos, wypróbowany wódz z czasów króla Mitrydatesa V, przyjął z entuzjazmem swe zadanie i poprowadził dużą i dobrze wyszkoloną armię na Chersonez Taurydzki następnej wiosny po wizycie Mitrydatesa. Rezultatem był triumf Pontu. Synowie Skilurosa poszli w rozsypkę, jak i śródładowe królestwo Kimmerii. W ciągu pierwszego roku Pont przejął cały Chersonez Taurydzki, ogromne terytorium Roksolanów na zachodzie i greckie miasto Olbię, mocno podupadłe na skutek ciągłych najazdów sarmacko-roksolańskich. W drugim roku Scytowie kontratakowali, ale Diofantos ujarzmił wschodnią



część jeziora Meotis i sindyjskich Meotyjczyków króla Saumakosa. Wybudował też dwie silne twierdze stojące naprzeciw siebie po obu stronach Bosforu Kimmeryjskiego.

Diofantos odpłynął do kraju, pozostawiając swemu synowi Neoptolemosowi sprawy w Olbii i na zachodzie, a drugiemu swemu synowi Archelaosowi uporządkowanie nowego pontyjskiego imperium północnego Euksynu. Zadanie zostało wykonane znakomicie, zdobycze były godne uwagi, zapewnione zostały niewyczerpane rezerwy ludzkie dla wojsk pontyjskich, a możliwości handlowe były niezmiernie obiecujące. Wszystko to oznajmił z dumą Diofantos swemu młodemu królowi, po czym jego młody król, zazdrosny i pełen obaw, zgładził wuja Diofantosa.

Fala wstrząsu przetoczyła się przez wszystkie poziomy dworu pontyjskiego i w końcu dotarła do północnego Euksynu, gdzie synowie Diofantosa płakali ze zgrozy i z żalu, a potem ze zdwojoną energią zabrali się do dokończenia dzieła rozpoczętego przez ich ojca. Neoptolemos i Archelaos maszerowali i żeglowali wzdłuż wschodniego wybrzeża Euksynu, a małe królestwa Kaukazu padały łupem Pontu jedno po drugim, włącznie ze złotodajną Kolchidą i krajami między Fazis a Rhizos.

Armenia Mniejsza - którą Rzymianie zwali Armenia Parva - nie była, prawdę powiedziawszy, częścią właściwej Armenii. Leżała po zachodniej, pontyjskiej stronie rozległych gór ciągnących się między rzekami Araksem i Eufratem. Według Mitrydatesa należała mu się ona, choćby tylko z tego powodu, że jej król uznawał za swych suzerenów raczej królów Pontu niż królów Armenii. Gdy tylko Mitrydates całkowicie przejął wschodni i północny Euksyn, najechał Armenię Mniejszą stojąc osobiście na czele armii. Miał przecucie, że jego obecność będzie konieczna. Nie pomylił się. Gdy wjechał do miasteczka Zimara, które samo siebie nazywało stolicą kraju, cała ludność powitała go z otwartymi ramionami. Król Armenii Mniejszej, Antypater, wyszedł mu naprzeciw w szatach błagalnika. Po raz pierwszy w życiu Mitrydates poczuł się jak prawdziwy wódz, nic więc dziwnego, że Armenia Mniejsza go oczarowała. Patrzył na jej odziane w śnieg szczyty, na kipiące źródlaną wodą potoki, uświadomił sobie jej oddalenie od świata i niedostępność - i postanowił, że tam właśnie umieści swój gwałtownie rozrastający się skarbiec. Natychmiast wydane zostały rozkazy. Warowne skarbcce miało się budować na niedostępnych skałach, na szczytach urwisk nad brzegami zabójczo wartkich rzek. Przez całe lato zabawiał się, wybierając osobiście tę czy tamtą przepaść albo wąwóz. Nim przedsięwzięcie dobiegło końca, ponad siedemdziesiąt twierdz zostało powołanych do życia, a wieść o jego bajecznych bogactwach dotarła do samego Rzymu.

Wtedy to ów nie mający jeszcze trzydziestki, ale już władający rozległym imperium nadzorca oszałamiających bogactw, wódz naczelny tuzina armii



złożonych ze Scytów, Sarmatów, Celtów i Meotów, oraz ojciec gromady synów, Mitrydates VI, król Pontu, wysłał do Rzymu poselstwo z prośbą o przyznanie mu tytułu Przyjaciela i Sprzymierzeńca ludu rzymskiego. Było to w roku, gdy Gajusz Mariusz i Kwintus Lutacjusz Katulus Cezar pokonali ostatnie zgrupowanie Germanów pod Vercellae, Mariusz znał więc przebieg wydarzeń tylko z drugiej ręki, głównie za pośrednictwem listów od Publiusza Rutyliusza Rufusa. Król Bitynii Nikomedes złożył natychmiast w senacie zażalenie. Dowodził w nim, że nie jest możliwe, by Rzym nazywał Przyjaciółmi i Sprzymierzeńcami ludu rzymskiego dwóch królów, którzy są ze sobą stale skłóceni. Wskazywał też, że on sam trwa niezmiennie w przymierzu z Rzymem, odkąd przed pięćdziesięciu laty wstąpił na tron Bitynii. Trybun ludowy wybrany po raz drugi, Lucjusz Apulejusz Saturninus, wziął wówczas stronę Bitynii i w końcu okazało się, że wszystkie pieniądze, jakie wysłannicy Mitrydatesa wypłacili znajdującym się w potrzebie senatorom, zostały zmarnowane. Poselstwu pontyjskiemu udzielono odmownej odpowiedzi i odesłano do kraju.

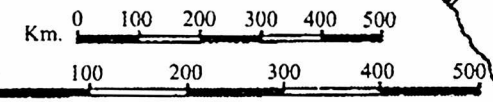
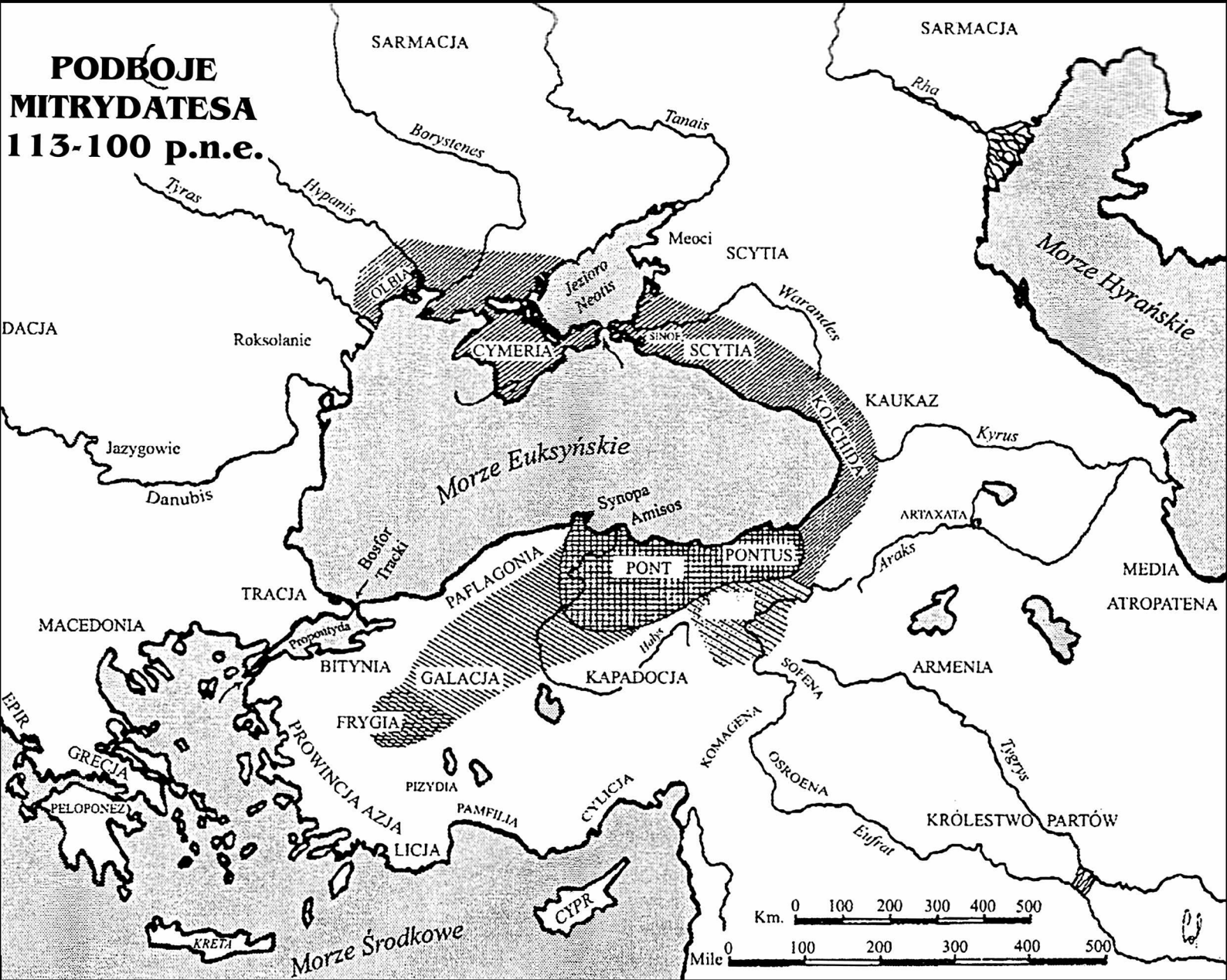
Mitrydates źle zniósł tę wiadomość. Najpierw dostał ataku wściekłości. Przerażony dwór rozpierzchł się, a król ryczał w sali posłuchań, rzucając na Rzym i Rzymian przeraźliwe klątwy. Potem zapadł w jeszcze przeraźliwsze milczenie i przesiedział wiele godzin w samotności na swym królewskim lwim krześle pogrążony w myślach. W końcu zostawił królowej Laodike wiadomość, że ma rządzić królestwem pod jego nieobecność, wyjechał z Synopy i ponad rok nikt go nie widział.

Udał się najpierw do Amasei, pierwszej pontyjskiej stolicy jego przodków, gdzie pochowani byli królowie z dawnych czasów w grobowcach wykutych w skałach gór otaczających miasto. Przez kilka dni chodził tam i z powrotem po korytarzach pałacu, nie zważając na trzęsących się ze strachu służących i na zabiegania o jego względy ze strony dwóch żon i ośmiu nałożnic, które stale tam utrzymywał. Potem, równie nagle jak burza przelatuje przez góry, Mitrydates ocknął się z obłędu i zaczął układać plany. Nie sprowadzał dworzan z Synopy ani nie jeździł do Zeli, gdzie obozowała najbliższa z jego armii. Wezwał natomiast tych wielmożów, którzy mieszkali w Amasei, i kazał przyprowadzić sobie tysiąc wyborowych żołnierzy. Jego polecenia były dobrze przemyślane i wydawane tonem nie dopuszczającym dyskusji ani oporu. Udał się naprzód do Ankyry, największego miasta Galacji, w towarzystwie tylko straży przybocznej, pozostawiwszy żołnierzy wiele mil za sobą. Wielmoże, których wysłał przodem mieli rozkazy przyprowadzić wszystkich wodzów plemion galackich na wielkie zgromadzenie w Ankyrze, gdzie król Pontu zamierzał im przedstawić jakieś ciekawe propozycje.

Galacja była barbarzyńskim celtyckim przyczółkiem na subkontynencie zamieszkałym głównie przez potomków Persów, Syryjczyków, Germanów i



# PODBOJE MITRYDATESA 113-100 p.n.e.





Hetytów. Wszyscy prócz Syryjczyków mieli przynajmniej jasną cerę, jeśli nie włosy, nie tak jednak jasną jak celtyccy imigranci, potomkowie Brennusa II, króla Galów. Przez prawie dwieście lat zajmowali wielki obszar w sercu Anatolii, bogatą i przestronną krainę, i żyli tam na sposób Galów, nie zważając na otaczające ich kultury. Nawet ich kontakty międzyplemienne były słabe, nie mieli zwierzchniego króla i nie byli zainteresowani połączeniem sił w celu podboju dodatkowych terytoriów. Przez jakiś czas uznawali zwierzchnictwo Mitrydatesa V, króla Pontu, ale nic im z tego nie przyszło, i Mitrydatesowi V także, nie płacili bowiem dziesięcin i danin, których żądał Pont, a Mitrydates zmarł, nie zdążywszy wyegzekwować należności. Nikt nie chciał mieć z nimi do czynienia. Jako Galowie byli znacznie groźniejsi niż Frygowie, Pontyjczycy, Bityńczycy czy greccy Jonowie albo Dorowie.

Przywódcy trzech galackich plemion przybyli do Ankyry na wezwanie Mitrydatesa, licząc bardziej na obiecaną wielką ucztę niż na przyszłe kampanie i łupy, które niewątpliwie będzie im obiecywał Mitrydates VI. Król czekał już na nich w Ankyrze - niewiele więcej niż wiosce. Po drodze z Amasei przeszukał kraj, kupując najrzadsze przysmaki i najlepsze wina. Dla galackich wodzów wydano ucztę wspanialszą i bardziej wyszukaną, niż mogła im to wyczarować wyobraźnia. Rzucili się na jadło i napoje, z lubością wpadając w podwójne sidła pełnych brzuchów i szumiących głów.

Gdy zaś leżeli potem pośród pobojuwiska, w jakie zamienili tę ucztę, chrapiąc i podrygując w pijackim odrętwieniu, żołnierze króla Mitrydatesa, wybrani z tysiąca, weszli cicho na dziedziniec między leżących i pozabijali wszystkich. Dopóki ostatni than galacki nie wyzionął ducha, król Mitrydates nie ruszył się ze swego wspaniałego krzesła u szczytu stołu. Siedział, kołysząc nogą przewieszoną przez oparcie, a jego szeroka, gładka, dobrotliwa twarz wyrażała żywe zainteresowanie tą rzezią.

- Spalić ich - powiedział w końcu - i rozsypać popioły na ich krwi. Za rok to miejsce rozkwitnie. Nic tak nie użyźnia gleby jak kości i krew.

Potem ogłosił się królem Galacji. Nie było nikogo, kto by się sprzeciwiał, oprócz pozbawionych przywództwa i rozproszonych Galów.

A potem zniknął, nagle i niespodziewanie. Nawet najstarszy rangą z jego wielmożów nie wiedział, dokąd udał się król ani co zamierza. Zostawił jedynie list nakazujący im uporządkowanie spraw Galacji, powrót do Amasei i zawiadomienie królowej w Synopie, że ma wyznaczyć satrapę dla Galacji jako nowej części Pontu.

W przebraniu kupca, jadąc na lichym gniadym koniu i prowadząc osła niosącego ubrania na zmianę i głupiego galackiego niewolnika, który nie wiedział nawet, kim jest jego pan, Mitrydates zjechał do Pesynuntu.

W świętym okręgu Wielkiej Matki Kubaby Kybele wyjawiał Battakesowi swą tożsamość i wciągnął archigalloś do swojej służby, uzyskując od niego wiele



potrzebnych informacji. Z Pesynuntu udał się doliną Meandru do rzymskiej prowincji Azji.

Chyba nie było miasta w Karii, którego by nie obejrzał ten wielki, ciekawski, wschodni kupiec nieokreślonej branży. Jeździł z miejsca na miejsce, wymierzając od czasu do czasu baty swemu tępemu niewolnikowi, i przypatrywał się wszystkiemu, zapamiętując wszelkiego rodzaju informacje. Wieczerzał w gospodach z innymi podróżującymi kupcami. Włączył się po rynkach w dni targowe, rozmawiając ze wszystkimi, którzy mieli coś ciekawego do powiedzenia. Przechadzał się po nabrzeżach portów Morza Egejskiego, wtykając palce w bele sukna i wachając zapieczętowane amfory. Zalecał się do wiejskich dziewcząt, wynagradzając je szczerze, gdy zaspokajały potrzeby jego ciała. Słuchał opowieści o bogactwach świętego okręgu Asklepiosa na Kos, Artemizjonu w Efezie, sanktuarium Asklepiosa w Pergamonie i o bajecznych skarbach Rodos.

Z Efezu skierował się na północ do Smyrny i Sardes i w końcu przybył do Pergamonu, stolicy rzymskiego namiestnika, lśniącej na swym górskim szczycie niczym szkatuła wysadzana klejnotami. Tu po raz pierwszy zobaczył prawdziwych rzymskich żołnierzy, straż przyboczną namiestnika. Nie uważano prowincji Azji za zagrożoną, więc jej żołnierze rekrutowali się z miejscowych oddziałów posiłkowych i milicji. Mitrydates studiował długo i uparcie wygląd osiemdziesięciu członków tego prawdziwego wojska, zapamiętując ciężar kolczug, krótkie miecze i włócznie o maleńkich ostrzach, dobrze wyćwiczony sposób poruszania się, odpowiedni do lekkiej służby, jaką tu pełnili. Tutaj też ujrzał swą pierwszą togę z purpurowym szlakiem na osobie samego namiestnika. Dostojnik ten eskortowany był przez liktorów w szkarłatnych tunikach, noszących na lewym ramieniu wiązki różeg z zatkniętymi w nie toporami, namiestnik prowincji miał bowiem prawo karania śmiercią. Zdaniem Mitrydatesa zachowywał się on bardzo uniżenie wobec małej grupki mężów w prostych białych togach. Byli to, jak się dowiedział, *publicani*, urzędnicy kompanii, które dzierżawiły pobór podatków w prowincji. Sądząc po sposobie, w jaki przemierzali znakomicie zaplanowane i utrzymane ulice Pergamonu, to oni, a nie Rzym, wydawali się prawdziwymi panami tej prowincji.

Mitrydates nie próbował oczywiście wdawać się w rozmowy z którymś z tych dostojników. Byli oni najwyraźniej zbyt zajęci i zbyt ważni, by zwracać uwagę na samotnego wschodniego kupca. Zapamiętał ich po prostu, gdy przechodzili w otoczeniu małej armii niższych urzędników i pisarzy. Rozmawiał o nich potem z mieszkańcami Pergamonu przy przyjaznych stołach w małych gospodach, na które nie zwracali uwagi *publicani*.

- Wysysają z nas krew. - Słyszał te słowa tyle razy, że uznał je za prawdę, nie za typowe utyskiwania ludzi, którzy narzekają by ukryć swój dobrobyt, jak to



robią bogaci gospodarze albo posiadacze monopolii.

- Jak to? - dziwił się z początku, a wtedy pytano go, gdzie przebywał od śmierci króla Attalosa przed trzydziestu laty. Wymyślił historię o długich podróżach na północ od Morza Euksyńskiego, mając pewność, że jeśli ktoś go spyta o Olbię albo Kimmerię, będzie mógł mówić o tych miejscach jak ktoś, kto je kiedyś oglądał.

- W Rzymie - mówiono mu - jest dwóch bardzo wysokich urzędników zwanych cenzorami. Są wybieralni - czy to nie dziwne? - i muszą przedtem być konsulami, z czego widać, jak bardzo są ważni. W każdej porządnej greckiej społeczności sprawami państwa zajmują się odpowiedni cywilni urzędnicy, a nie ludzie, którzy mogli jeszcze w zeszłym roku dowodzić armiami! Nie jest tak jednak w Rzymie, gdzie cenzorzy mogą być całkowitymi amatorami w swojej dziedzinie. Oni jednak kontrolują wszelkiego rodzaju sprawy państwowe i to do nich należy przez pięć lat zawieranie kontraktów publicznych.

- Kontraktów? - spytał wschodni despota, marszcząc brwi.

- Kontraktów. Takich jak wszelkie inne umowy, tyle że te są zawierane między kompaniami działającymi w danej dziedzinie a państwem rzymskim - wyjaśniał kupiec pergamoński, którego podejmował Mitrydates.

- Chyba za długo przebywałem w krajach rządzonych przez królów - powiedział król. - Czy państwo rzymskie nie ma sług, którzy zapewniliby należyte kierowanie jego sprawami?

- Jedynie wysokich urzędników - konsulów i pretorów, i edylów, i kwestorów - a tych obchodzi tylko jedno, żeby skarbiec Rzymu był pełen. - Pergamoński kupiec zachichotał. - Oczywiście, przyjacielu, często ich główną troską jest napełnienie własnej sakiewki!

- Mów dalej, to bardzo ciekawe.

- Naszej trudnej sytuacji winien jest głównie Gajusz Grakchus.

- Jeden z braci Semproniuszy?

- Z tych właśnie. Ten młodszy. To on wprowadził prawo ściągania podatków z Azji przez specjalnie powołane do tego celu kompanie. Miało to zapewnić państwu jego udziały bez konieczności zatrudniania poborców podatkowych. Z tego prawa wzięli się azjatyccy *publicani*, ludzie, którzy zbierają tu podatki. Cenzorzy w Rzymie ogłaszają ubiegającym się warunki kontraktów. W przypadku podatków z Azji ogłaszają wysokość sumy, którą skarb państwa chce otrzymywać co roku przez następne pięć lat - nie zaś rzeczywistą wysokość sumy pieniędzy zebranych w prowincji Azji. Ustalenie tej sumy pozostawia się kompaniom podatkowym, jako że muszą one mieć jakieś zyski, zanim wpłacą do skarbu państwa zakontraktowane pieniądze. Gromada rachmistrzów siada więc przy liczydłach i kalkuluje, ile też da się wycisnąć z Azji przez pięć lat, a potem składa się ofertę.

- Wybacz, proszę, ale czegoś nie rozumiem. Jakie znaczenie ma dla Rzymu ta



oferta, skoro wysokość sumy, jakiej żąda państwo, już została ustalona?

- Ach! Ależ ta suma, mój drogi, to zaledwie *minimum* tego, co skarb jest skłonny przyjąć! Pomyśl tylko, co się stanie, jeśli każda kompania *publicani* postara się wykalkulować znacząco wyższe pieniądze niż to *minimum* - żeby zadowolić skarb i mieć z tego niezły zysk!

- Już wiem. - Mitrydates świsnął przez zęby. - Kontrakt dostaje ta firma, która, przedstawia najkorzystniejszą ofertę.

- Słusznie.

- Ale czy oferta podaje sumę, która ma być wpłacona do skarbu, czy też całą sumę wraz z zyskiem?

Kupiec zaśmiał się.

- Tylko sumę, która ma być wpłacona do skarbu, przyjacielu! Spodziewany zysk kompanii jest wyłącznie jej sprawą a cenzorzy nie stawiają żadnych pytań, możesz mi wierzyć. Przyjmują oferty i kontrakt dostaje ta firma, która proponuje skarbowi najwyższą stawkę.

- Czy zdarza się, że cenzorzy przyznają kontrakt jakiejś firmie, która nie złożyła najkorzystniejszej oferty?

- Nie za mojej pamięci, przyjacielu.

- I co z tego wszystkiego wynika? Czy kompania zakłada zyski w granicach prawdopodobieństwa, czy też jej ludzie bywają zbytymi optymistami? - spytał Mitrydates, z góry znając odpowiedź.

- A jak myślisz? *Publicani* opierają swoje szacunki, o ile wiemy, na wynikach uzyskanych w Ogrodzie Hesperyd, nie zaś w Azji Mniejszej Attalidów! Jeżeli w najmniejszym choćby okręgu spada produkcja, *publicani* wpadają w panikę, bo suma zgłoszona skarbowi okazuje się wyższa niż to, co zebrali! Gdyby podawali realistyczne oferty, byłoby lepiej! Teraz jednak, o ile nie mamy rekordowych zbiorów, nie padnie nam żadna owca, i sprzedamy wszystko, do ostatniego ogniwa łańcucha, ostatniej stopy powrozu, ostatniego kawałka tkaniny, ostatniej wołowej skóry, ostatniej amfory wina i ostatniego *medimnus* oliwek - no cóż, wtedy poborcy zaczynają naciskać i wszyscy na tym cierpimy - powiedział z goryczą kupiec.

- W jaki sposób naciskają? - spytał Mitrydates, zastanawiając się, gdzie leżą obozy żołnierzy, bo nie napotkał żadnego w swych podróżach.

- Zaciągają najemników z Cylicji, z obszarów, gdzie głodują nawet dzikie owce, i dają im wolną rękę. Widziałem całe okolice sprzedane w niewolę, do ostatniej kobiety i dziecka, choćby kobiety były stare, a dzieci całkiem małe. Widziałem całe pola rozkopane, a domy zburzone w poszukiwaniu pieniędzy. Gdybym powiedział ci wszystko, przyjacielu, co widziałem, kiedy poborcy wyciskali z ludzi pieniądze, płakałbyś gorzkimi łzami! Konfiskują całe zbiory, zostawiając rolnikowi tylko ziarno na następny siew i tyle, żeby przeżył wraz z rodziną. Stada zmniejszają do połowy, ograbiają sklepy. Co gorsza, ludzie



nauczyli się oszukiwać, bo jeśli tego nie robią, zbyt dużo tracą.

- I wszyscy ci poborcy *publicani* są Rzymianami?

- Rzymianami albo Italczykami.

- Italczykami? - Mitrydates żałował teraz, że spędził siedem lat dzieciństwa na ukrywaniu się po lasach. W tej podróży przekonał się, że w jego wykształceniu zabrakło znajomości geografii i ekonomii.

- Właściwie Rzymianami. - Kupiec sam nie był pewien, na czym polega różnica. - Pochodzą z jakichś przedmieść Rzymu zwanych Italią. Poza tym nie ma żadnej różnicy. Kiedy się spotykają, wszyscy zaczynają tokować po łacinie, zamiast używać uczciwej greki, i wszyscy noszą te swoje okropne tuniki bez żadnych fałd i zakładek; pastuch wstydziłby się włożyć coś takiego.

Kupiec pogładził miękką tkaninę swej greckiej tuniki, mając pewność, że doskonały krój pochlebia jego niezbyt okazałej figurze.

- Czy noszą togi? - pytał Mitrydates.

- Czasami. W święta albo gdy wzywa ich namiestnik prowincji.

- Italczyki także?

- Nie wiem. Chyba tak. - Kupiec wzruszył ramionami.

Z takich właśnie rozmów czerpał informacje Mitrydates. Były to głównie litanie wyrazów nienawiści do *publicani* i ich najemników. W prowincji Azji kwitło jeszcze jedno zajęcie, uprawiane znowu przez Rzymian: pożyczanie pieniędzy na taki procent, na jaki nie zgodziłby się nigdy żaden szanujący się dłużnik ani żaden szanujący się wierzyciel. Mitrydates dowiedział się, że udzielający pożyczek byli zwykle urzędnikami kompanii podatkowych, chociaż kompanie nie miały udziału w pożyczaniu pieniędzy. Jak się zdawało, rzymska prowincja Azja była tłustą gęsią, którą Rzymianie skubali i nie interesowali się niczym więcej. Przybywali tu z Rzymu i z jego przedmieść zwanych Italią, uciskali, zdzierali i wymuszali pieniądze, a potem wracali do kraju z wypchanymi sakiewkami, obojętni na los tych, których opuszczali, azjatyckich Dorów, Jonów i Eolów. Nic dziwnego, że byli znienawidzeni!

Z Pergamonu pojechał w głąb kraju, by ominąć mało znaczący trójkąt zwany Troadą, i wyjechał na południowym brzegu Propontydy w pobliżu Kyzikos. Stąd udał się brzegiem do Prusy w Bitynii. Kwitnące i rozwijające się miasto leżało na stoku rozłożystej pokrytej śniegiem góry zwanej Olimpem Myzyjskim. Przystanął tam tylko po to, by stwierdzić, że mieszkańcy nie interesują się poczynaniami swego osiemdziesięcioletniego króla, i pojechał dalej do Nikomedii, gdzie ów król utrzymywał dwór. To również było kwitnące i dość duże miasto, nad którym dominowały świątynia i pałac na niewielkim akropolu, drzemiące nad szeroką i spokojną zatoką.

Było to oczywiście niebezpieczne miejsce dla Mitrydatesa. Istniała nawet możliwość, że na ulicach Nikomedii natknie się na kogoś, kto go rozpozna, jakiegoś kapłana z szeroko rozgałęzionego bractwa Ma albo Tyche, albo



jakiegoś gościa z Synopy. Zatrzymał się więc w jakiejś cuchnącej gospodzie, z dala od lepszych części miasta i owijał się szczelnie płaszczem, ilekroć wychodził. Chciał tylko rozpoznać nastroje ludności, poznać stopień ich oddania królowi Nikomedesowi, dowiedzieć się, na ile szczerze popieraliby swego króla w wojnie - jedynie przypuszczalnej, oczywiście - z królem Pontu.

Resztę zimy i całą wiosnę spędził, wędrując z Heraklei nad bityńskim Euksynem do najodleglejszych części Frygii i Paflagonii i obserwując wszystko, od stanu dróg - podobnych raczej do kolein - do możliwości uprawy zbóż i wykształcenia mieszkańców.

I tak wczesnym latem powrócił do Synopy, czując, że jest wszechpotężny, genialny i że dowiódł swej słuszności. Zastał swą siostrę-żonę Laodike rozprawiającą z ożywieniem, a swoich wielmożów dziwnie milczących. Jego wujowie Archelaos i Diofantos już nie żyli, a jego kuzynowie Neoptolemos i Archelaos byli w Kimmerii. Ten stan spraw uświadomił królowi jego słabe strony i wytrącił go z nastroju triumfu. Zamiast zasiąść na tronie i zaznajomić cały dwór ze szczegółami swej odysei, jak to zamierzał zrobić, obdarzył każdego przelotnym uśmiechem, kochał się z Laodike, dopóki nie poprosiła o litość, odwiedził wszystkich swoich synów i córki oraz ich matki, a potem czekał na rozwój wydarzeń. Był pewien, że coś się dzieje, postanowił więc nie mówić, gdzie przebywał w czasie swej nieobecności, ani nie zdradzać planów na przyszłość, dopóki nie odkryje, co to takiego.

Potem przybył nocą jego kapadocki teść Gordios, żeby potajemnie się z nim spotkać na blankach ponad pałacem. Noc była srebrzysta od księżyca w pełni, wiatr podnosił połyskujące rozbryzgi na powierzchni morza, cienie były czarniejsze niż w najgłębszej jaskini, a światło tego cichego globu na niebie było bezbarwną parodią słońca. Miasto rozciągnięte w poprzek bulwiastego cypla, na którym stał pałac, spało spokojnie. Ciemne mury otaczające domy majaczyły pod nisko wiszącą ławicą chmur.

Król i Gordios spotkali się w połowie drogi między dwoma wieżami strażniczymi. Przykucnęli pod parapetem blanków i zniżyli głosy, by nawet ptak ich nie usłyszał.

- Laodike była przekonana, że tym razem nie wrócisz, o Wielki - powiedział Gordios.

- Była przekonana? - spytał król kamiennym głosem.

- Trzy miesiące temu wzięła sobie kochanka.

- Kogo?

- Twego kuzyna Farnakesa, o Wielki.

Ach, sprytna Laodike! To nie byle jaki kochanek, ale jeden z niewielu mężczyzn z tego rodu, który mógł zasiąść na tronie Pontu bez obawy, że w końcu zastąpi go któryś z nieletnich synów króla. Farnakes był synem brata piątego króla, a także siostry tegoż króla. Był czystej krwi z obu stron - był



doskonały.

- Myślała, że się nie dowiem - powiedział Mitrydates.
- Myślała, że ci, którzy wiedzą, nie ośmielą się mówić.
- Czemu więc ty mówisz?

Gordios uśmiechnął się, a w jego zębach odbił się blask księżyca.

- Królu mój, ciebie nikt nie pokona! Wiem to od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem.

- Wynagrodzę ci to, Gordiosie, przyrzekam. - Król oparł się plecami o mur, pogrążony w myślach. W końcu rzekł: - Ona wkrótce spróbuje mnie zabić.

- I ja tak myślę, o Wielki.

- Ilu mam wiernych mi ludzi w Synopie?

- Chyba znacznie więcej niż ona. Ona jest kobietą, mój królu, i dlatego jest daleko okrutniejsza i bardziej zdradziecka niż mężczyzna. Kto jej uwierzy? Ci, którzy za nią idą robią to dla awansu, ale spodziewają się, że to Farnakes dotrzyma obietnic. Chyba też przypuszczają że Farnakes zabije ją, gdy tylko umocni się na tronie. Większość dworu oparła się jednak ich pochlebstwom.

- Świetnie! Gordiosie, uprzedź wiernych mi ludzi, na co się zanosi. Niech będą gotowi o każdej porze dnia i nocy.

- Co zamierzasz zrobić?

- Niech mnie spróbuje zabić, ta maciora! Znam ją. To moja siostra. To nie będzie nóż ani łuk i strzała. Ona wybierze truciznę. Coś naprawdę wstrętnego, żebym cierpiał.

- O Wielki, pozwól mi ją z miejsca uwięzić razem z Farnakesem, proszę! - wyszeptał gorączkowo Gordios. - Trucizna to zdradliwa rzecz! Co będzie, jeśli mimo wszelkich ostrożności, podsunie ci podstępem cykutę albo wpuści do łóżka żmiję? Proszę, pozwól ich uwięzić! Tak będzie bezpieczniej.

Król jednak pokręcił przecząco głową.

- Potrzebuję dowodu, Gordiosie. Niech więc spróbuje mnie otruć. Niech wybierze trującą roślinę, trujący grzyb albo jadowitego węża, cokolwiek uzna za najlepsze, i niech mi to poda.

- Królu mój, królu mój! - jęczał przerażony Gordios.

- Nie ma powodu do niepokoju, Gordiosie - powiedział król z nieporównanym spokojem, bez odrobiny lęku w głosie. - Nikt tego nie wie, nawet Laodike, że w ciągu tych siedmiu lat, kiedy ukrywałem się przed zemstą mej matki, zdołałem się uodpornić na wszystkie znane światu trucizny, a nawet na nie znane jeszcze światu, takie o których wiem tylko ja. Jestem największym w świecie znawcą trucizn. Mówię to, bo wiem, że to prawda. Czy myślisz, że wszystkie blizny na moim ciele pochodzą od czyjejś broni? Nie, sam się poraniłem, Gordiosie, żeby mieć pewność, że nikt z moich krewnych nie zdoła mnie usunąć z drogi w ten najłatwiejszy sposób - podając truciznę.

- W tak młodym wieku! - zdumiewał się Gordios.



- Trzeba pozostać przy życiu, żeby się zestarzeć! Nikt mi nie wydrze tronu.  
- Ale jak zdołałeś się uodpornić, o Wielki?  
- Weźmy choćby egipską żmiję - podjął król z wyraźną przyjemnością. - Znasz to stworzenie - szeroki kaptur i mały łebek kołyszący się między brzegami kaptura. Sprowadziłem całą ich skrzynię, We wszystkich rozmiarach, i zacząłem od najmniejszych, dając im się kąsać. Tak doszedłem aż do największej, potwora długości siedmiu stóp i grubego jak moje ramię. Kiedy skończyłem, Gordiosie, ten stwór mógł umie ukąsić i nic mi to nie szkodziło! Robiłem to ze żmijami i pytonami, skorpionami i pajakami. Potem zażywałem po kropli każdej z trucizn - cykuty, tojadu, mandragory, wyciągów z jagód i korzeni, muchomorów i innych trujących grzybów - tak, Gordiosie, spróbowałem ich wszystkich! Zwiększałem dawki co jakiś czas, aż w końcu nawet kielich trucizny nie robił na mnie wrażenia. Podtrzymywałem swoją odporność, stale zażywam trucizny i pozwalam się kąsać. I stale łykam odtrutki. - Mitrydates zaśmiał się cicho. - Niech Laodike robi, co zechce! Nie zdoła mnie zabić.

Spróbowała jednak, podczas uczy, którą wydała z okazji szczęśliwego powrotu króla. Zaproszony był cały dwór, więc wielka sala tronowa została zastawiona tuzinami łoży biesiadnych, ściany i słupy przystrojono girlandami z kwiatów, a posadzki usłano wonnymi płatkami. Wezwano najlepszych muzyków z Synopy, zamówiono u wędrowniej greckiej trupy teatralnej wystawienie *Elektry* Eurypidesa i sprowadzono z Amisos sławną tancerkę Anais z Nisibis, która spędzała tam letnie wakacje nad Euksynem.

Chociaż w dawnych czasach królowie Pontu jadali, siedząc za stołem jak ich traccy przodkowie, od dawna przyjęli grecki zwyczaj układania się przy ucztach na biesiadnych łożach. Wyobrażali sobie przy tym, że są doskonałymi przedstawicielami greckiej kultury, prawdziwymi hellenistycznymi władcami.

Jak cienka była ta powłoka hellenizmu okazało się już przy wejściu dworzan do sali tronowej: jeden po drugim padali na twarz przed królem. Jeśli był potrzebny jakiś dodatkowy dowód, został przedstawiony w tej dręcząco przeciągającej się chwili, gdy królowa Laodike z kuszącym uśmiechem podała królowi swój złoty scytyjski puchar, oblizując jego krawędź różowym językiem.

- Napij się z mego pucharu, mężu. - Było to łagodne polecenie.

Mitrydates wypił bez namysłu długim pociągnięciem połowę zawartości pucharu i odstawił go na stolik przed łożem biesiadnym, które dzielił z Laodike. Ostatni łyk wina zatrzymał jednak w ustach, obracając go na języku i wpatrując się w siostrę oczami koloru zielonych winogron z brunatnymi plamkami. Zmarszczył brwi, ale bez gniewu, zastanawiając się chwilę, a potem oczy mu zabłyśły i uśmiechnął się szeroko.

- *Doryknion!* - powiedział uradowany.



Królowa pobladła. Dwór umilkł, bo wymówił to słowo na głos, a powitalna uczta przebiegała do tej pory spokojnie. Król spojrział w lewo.

- Gordiosie!

- Królu mój? - Gordios zsunął się szybko ze swego łoża.

- Podejź, będziesz mi potrzebny.

Laodike, o cztery lata starsza od króla, była bardzo do niego podobna - nic dziwnego w rodzie, w którym bracia poślubiali siostry dość często, by umocnić rodzinne podobieństwo. Wysoka, lecz dobrze zbudowana królowa bardzo dbała o swój wygląd. Złote włosy czesała na sposób grecki, zielonobrazowe oczy podkreślała *stibium*, policzki pudrowała różem, usta malowała karminem, a dłonie i stopy miała brunatne od henny. Biała wstęga diademem przecinała czoło, a frędzlaste jej końce spadały na ramiona. Wyglądała jak prawdziwa królowa i tak właśnie miała zamiar się prezentować.

Teraz wyczytała swój los w twarzy brata i uniosła się, by opuścić biesiadne łoże. Nie dość szybko jednak. Król chwycił ją za rękę, którą się podparła, i pociągnął na poduszki, o które opierała się przedtem, pół leżąc, a pół siedząc przy jego ramieniu. I Gordios już tam był, przykłęknąwszy z jej drugiej strony. Laodike obróciła bezradnie głowę i ujrzała czterech wielmożów prowadzących jej kochanka Farnakesa do króla, który patrzył beznamiętnie na tamtego. Potem znów zwrócił się do niej.

- Nie umrę, Laodike. Ten nędzny wywar nawet mi nie zaszkodzi - uśmiechnął się szczerze rozbawiony. - Zostało jednak aż nadto, żeby zabić ciebie.

Krół ścisnął jej nos kciukiem i palcem wskazującym lewej dłoni i przechylił jej głowę w tył, ona zaś natychmiast rozchyliła usta, bo przerażenie zaparło jej dech i nie mogła się powstrzymać. Małymi porcjami wlewał jej do gardła zawartość pięknego scytyjskiego złotego pucharu, każąc Gordiosowi zatykać jej usta między łykami, sam zaś zmysłowo głaskał ją po szyi, by ułatwić przełykanie. Nie walczyła, uznając to za niegodne. Mitrydatydzini nie bali się śmierci, zwłaszcza wobec szansy zagarnięcia tronu.

Kiedy było już po wszystkim i puchar był pusty, Mitrydates ułożył siostrę na łożu przed przerażonymi oczami jej kochanka.

- Nie próbuj wymiotować, Laodike - uprzedził ją, starając się być miłym - bo musiałabyś to wypić po raz drugi.

Obecni na sali czekali, milczący, nieruchomi i przerażeni. Nikt potem nie umiał powiedzieć, jak długo to trwało, z wyjątkiem króla, ale jego nikt o to nie pytał.

Zwrócił się on do swych dworzaków tonem, jakiego mógłby użyć nauczyciel filozofii dzielący się z nowymi uczniami swoimi poglądami. Dla wszystkich tam obecnych jego wiedza o truciznach była objawieniem, które szybciej niż plotka obiegło Pont, od jednego jego krańca do drugiego, a stamtąd dalej w świat. Gordios udzielił dodatkowych informacji i odtąd słowa „Mitrydates” i



„trucizna” pozostały na zawsze nierozzerwalnie związane w legendzie.

- Królowa - mówił król - nie mogła wybrać niczego lepszego niż *doryknion*, przez Egipcjan nazywany *trychnos*. Wódz Aleksandra Wielkiego, Ptolemeusz, który został później królem Egiptu, przywiózł tę roślinę z Indii, gdzie wyrasta ona podobno do wysokości drzewa, chociaż w Egipcie jest zaledwie krzakiem o liściach przypominających naszą pospolitą szałwię. Po akonicie to najlepsza z wszystkich trucizn - to pewne! Zauważycie, gdy królowa umrze, że aż do ostatniego tchu nie traci się świadomości. Mogę was zapewnić z własnego doświadczenia, że wszystkie zmysły nabierają szczególnej ostrości, że ogląda się świat ważniejszy i ten bardziej fantastyczny, niż można by się spodziewać. Muszę ci powiedzieć, kuzynie Farnakesie, że ona poczuje, jak nigdy przedtem, każde uderzenie twego zbolełego serca, każde drgnienie twoich powiek, każde twoje współczujące westchnienie. To może szkoda, że nie zakosztuje już zbliżenia z tobą. - Spojrzał na siostrę i skinął głową. - Patrz teraz, bo to się zaczyna dziać.

Spojrzenie Laodike skupiło się na Farnakesie, który patrzył uparcie w posadzkę. Wyrazu jej oczu nikt z obecnych nigdy nie zapomniał, chociaż wielu tego próbowało. Były w nim ból i groza, uniesienie i smutek, szeroka i stale zmieniająca się gama uczuć. Nic nie mówiła i wkrótce stało się jasne, że nie może, bo jej wargi z wolna odsłoniły szerokie żółtawe zęby, a jej szyja i plecy wygięły się w łuk. Pojawiły się drobne rytmiczne drgawki, które powoli stawały się coraz rzadsze, ale za to coraz silniejsze, aż przemieniły się w konwulsyjne podrygi głowy, ciała i kończyn.

- To jakiś atak! - krzyknął Gordios.

- Oczywiście, to atak, który ją zabije, czekajcie, a zobaczycie. - Mitrydates przyglądał się temu z zainteresowaniem godnym klinicysty, przeszedłszy samemu podobne doświadczenia, nigdy jednak przed swym wielkim srebrnym lustrem.

- Zamierzam - oznajmił zebrany, gdy konwulsje Laodike przeciągały się - wynaleźć uniwersalne antidotum, magiczny eliksir niweczący działanie każdej trucizny pochodzenia roślinnego, zwierzęcego czy mineralnego. Obecnie muszę codziennie zażywać mieszaninę nie mniej niż stu różnych trucizn, bo inaczej straciłbym na nie odporność. Potem zaś muszę zażywać mieszaninę nie mniej niż stu odtrutek. - Na boku zaś zwierzył się Gordiosowi: - Jeśli nie zażyję odtrutek, nie czuję się dobrze.

- To zrozumiałe, o Wielki - wychrypiął Gordios, dygocąc tak gwałtownie, że król musiał to zauważyć.

- Już niedługo - rzekł Mitrydates.

I nie trwało to długo. Podrygi Laodike wymykały się spod kontroli ciała, w którym gasło życie. Jej oczy zachowywały jednak wrażliwość i świadomość, i zamknęły się, wyczerpane, dopiero w chwili śmierci. Ani razu nie spojrzała na



brata, być może jednak odrętwienie przyszło, gdy patrzyła na Farnakesa, potem zaś mięśnie kontrolujące ruchy oczu odmówiły jej posłuszeństwa.

- Świetnie! - wykrzyknął król i wskazał głową Farnakesa. - Zabić go.

Nikt nie śmiał spytać, jak to zrobić, w rezultacie więc Farnakes zginął znacznie prozaiczniej niż biedna Laodike, bo od miecza. Wszyscy zaś, którzy widzieli śmierć królowej, zrozumieli lekcję. Nie było więcej zamachów na życie Mitrydatesa VI przez wiele długich lat.



Bitynia była bardzo bogata, jak się o tym przekonał Mariusz w drodze z Pesynuntu do Nikomedii. Była górzysta, ale z wyjątkiem masywu Olimpu Myzyjskiego, w pobliżu Prusy, góry bityńskie były niższe, łagodniejsze i bardziej dostępne niż góry Taurusu, liczne rzeki nawadniały tę od dawna zamieszkaną i zagospodarowaną okolicę. Rosło tu dość pszenicy, by wyżywić ludność i armię, wystarczało też na daninę płaconą przez Bitynię Rzymowi. Dojrzewały proch i fasola, a owce udawały się doskonale. Było mnóstwo warzyw i owoców. Mariusz notował w pamięci, że ludzie wyglądają na dobrze odżywionych, zadowolonych i zdrowych. Mijane miasteczka były gęsto zaludnione. Widać było oznaki dobrobytu. Co innego jednak usłyszał od króla Nikomedesa II, kiedy przybył do Nikomedii i rozlokował się w jego pałacu jako honorowy gość. Jak na pałac królewski, ten był dość mały, Julia szybko jednak pouczyła Mariusza, że dzieła sztuki są ogromnie wartościowe, a materiały, których użyto do budowy pałacu, tworzą z niego prawdziwy klejnot architektury.

- Król Nikomedes z pewnością nie jest biedny - powiedziała.

- Niestety! - westchnął król Nikomedes. - Jestem ubogim człowiekiem, Gajuszu Mariuszu! Można się chyba tego spodziewać po władcy ubogiego kraju. Rzym wcale nie ułatwia mi rządów.

Siedzieli na balkonie z widokiem na miasto nad zatoką. Woda była tak spokojna, że wszystko, od gór do budowli nabrzeża, odbijało się w niej niczym w lustrze. Zafascynowany Mariusz pomyślał, że Nikomedia wydaje się zawieszona w powietrzu, a świat rozciąga się tyleż pod nią, co nad nią od parady osłów idących do góry nogami ku chmurom unoszącym się w niebieskim środku zatoki.

- Co masz na myśli, królu? - spytał Mariusz.

- No cóż, choćby tę haniebną sprawę z Lucjuszem Licyniuszem Lukullusem zaledwie przed pięciu laty - powiedział Nikomedes. - Przybył tu wczesną wiosną żądając dwóch legionów posiłkowych na wojnę z niewolnikami na Sycylii, jak powiadał. - W głosie króla pojawiło się rozdrażnienie. - Tłumaczyłem mu, że nie mogę mu dać żołnierzy, bo rzymscy poborcy podatków wywożą moich ludzi jako niewolników. „Wyzwól ich zgodnie z



dekretem senatu, który uwalnia wszystkich sprzymierzeńców zamienionych w niewolników na całym rzymskim terytorium”, mówiłem. „Będę miał armię, a mój kraj znów zazna dostatku”. Czy wiesz, co mi odpowiedział? Że dekret senatu dotyczy niewolników pochodzących z krajów sprzymierzeńców italskich!

- Miał słuszość - rzekł Mariusz, rozprostowując nogi. - Gdyby dekret dotyczył niewolników z krajów Przyjaciół i Sprzymierzeńców ludu rzymskiego, otrzymałbyś oficjalne zawiadomienie z senatu. - Spojrzał bystro na króla spod ściągniętych brwi. - O ile pamiętam, znalazłeś wtedy żołnierzy dla Lucjusza Licyniusza Lukullusa.

- Nie tylu, ilu chciał, ale owszem, znalazłem mu ludzi. Albo raczej sam ich sobie znalazł - powiedział Nikomedes. - Kiedy mu powiedziałem, że brak mi żołnierzy, objechał okolice Nikomedii i wrócił po kilku dniach, żeby mi powiedzieć, że nie zauważył niedoboru ludzi. Tłumaczyłem mu, że widział rolników, nie żołnierzy, on zaś odpowiedział mi tylko, że rolnicy będą świetnymi żołnierzami. Tak się zaczęły moje kłopoty, bo zabrał mi siedem tysięcy ludzi, których zabrakło do wyżywienia kraju!

- Dostałeś ich z powrotem po roku i do tego wrócili z pieniędzmi w trzosach.

- Po roku, w którym niewiele urosło - upierał się król. - Rok niskich plonów, Gajuszu Mariuszu, cofa nas o dziesięciolecie, przy tym systemie danin, które nakłada Rzym.

- Ciekaw jestem, co w ogóle robią w Bitynii poborcy podatków. - Mariusz uświadomił sobie, że król zamierza udowodnić swoje twierdzenie. - Bitynia nie jest częścią rzymskiej prowincji Azji.

- Kłopot w tym - powiedział król ze skrepowaniem - że niektórzy z moich poddanych pożyczali pieniądze od rzymskich *publicani* z prowincji Azji. Czasy są ciężkie.

- A dlaczego czasy są ciężkie, królu? - Mariusz nie ustępował. - Sądziłbym raczej, że po zakończeniu sycylijskiej wojny niewolniczej powinniście się cieszyć dobrobytem. Uprawiasz mnóstwo zboża. Mógłbyś uprawiać więcej. Rzymscy agenci od lat kupują zboże po zaniżonych cenach, zwłaszcza w tej części świata. Prawdę mówiąc, ani wy, ani Azja, nie dostarczacie nawet połowy tej ilości, jaką mają kupować nasi agenci. Główna część z tego, o ile wiem, pochodzi z ziem pod władzą króla Pontu Mitrydatesa.

Ach, to było to! Bezlitosne naciski Mariusza natrafiły na wrzód jątrzący się na ciele Bitynii i jad wytrysnął z rany.

- Mitrydates! - warknął król, odchylając się do tyłu na swym krześle. - Gajuszu Mariuszu, oto żmija na moim podwórku! Oto powód zmierzchu dobrobytu Bitynii! Musiałem wyłożyć sto talentów złota, żeby kupić sobie poparcie w Rzymie, kiedy on zabiegał o tytuł Przyjaciela i Sprzymierzeńca ludu rzymskiego, a nie było mnie wtedy na to stać! To przez niego muszę



utrzymywać armię, a żaden kraj nie może sobie pozwolić na taki wydatek! Popatrz tylko, co zrobił przed trzema laty w Galacji! Urządził rzeź w czasie uczty! Zgładził czterystu thanów na tamtym zjeździe w Ankyrze, a dziś włada wszystkimi ludami dookoła: Frygią, Galacją i nadbrzeżną Paflagonią. Powiadam ci, Gajuszu Mariuszu, że jeśli nie powstrzyma się Mitrydatesa, pewnego dnia nawet Rzym tego pożałuje!

- I ja tak myślę - rzekł Mariusz. - Z Anatolii do Rzymu jest jednak kawał drogi i bardzo wątpię, czy ktoś w Rzymie zdaje sobie sprawę, co się tu może wydarzyć. Z wyjątkiem, być może, Marka Emiliusza Skaurusa, ale on się starzeje. Mam zamiar spotkać się z tym królem Mitrydatesem i udzielić mu ostrzeżenia. Może kiedy wrócę do Rzymu, zdołam przekonać senat, by traktowano Pont poważniej.

- Chodźmy na wieczerzę - powiedział Nikomedes, wstając. - Wrócimy później do naszej rozmowy. Miło jest rozmawiać z kimś, kogo to wszystko obchodzi!



Pobył na wschodnim dworze królewskim był dla Julii zupełnie nowym doświadczeniem. „My kobiety rzymskie powinnyśmy starać się więcej podróżować”, myślała. „Teraz dopiero widzę naszą ciasnotę i nieznajomość świata. A to musi odbijać się na wychowaniu naszych dzieci, zwłaszcza synów”.

Pierwszy monarcha, jakiego w życiu spotkała, Nikomedes II, był prawdziwą rewelacją, bo oczywiście przedtem sądziła, że królowie przypominają rzymskich mężów konsularnych - są wyniośli, o wielkiej wiedzy, majestatyczni, wspaniali. To jacyś nierzymscy Katulusowie Cezarowie albo nawet nierzymscy Skaurusowie, bo niezaprzeczalnie Skaurus, princeps senatu, mimo że niewysoki i łysy, zachowuje się po królewsku.

Ten Nikomedes II był zatem prawdziwą rewelacją! Był bardzo wysoki i musiał kiedyś być potężnej budowy, lecz sędziwy wiek ujął mu wzrostu i wagi. Mając dobrze ponad osiemdziesiątkę, był kościsty i przygarbiony, utykał i miał obwisłe policzki. Stracił wszystkie zęby i większość włosów. To wszystko było jednak sprawą czysto fizyczną i udziałem także wszystkich rzymskich osiemdziesięcioletnich mężów konsularnych, na przykład Scewoli Augura. Różnica polegała, zdaniem Julii, na zachowaniu i wewnętrznych możliwościach. Po pierwsze, król Nikomedes był tak zniewieściały, że budził w niej śmiech. Lubił chodzić w długich powiewnych szatach z przejrzystej wełny, w bardzo wyszukanych kolorach. Do posiłków nakładał złocistą perukę z rurkowatymi lokami. Nosił stale ogromne kolczyki z drogimi kamieniami. Twarz miał umalowaną niczym jakaś tania dziwka, a mówił prawie falsetem. Nie miał w sobie żadnego majestatu, a przecież od ponad pięćdziesięciu lat władał Bitynią żelazną ręką i z powodzeniem odpierał próby usunięcia go z tronu przez synów. Patrząc na niego i mając świadomość, że przez całe życie prezentował światu tę samą zniewieściałą osobowość, Julia ledwie mogła



uwierzyć w jego oddanie swym poddanym albo w to, iż on sam skutecznie pozbył się kiedyś własnego ojca.

Obaj synowie przebywali na jego dworze, ale nie miał już żadnej żony. Królowa zmarła przed laty (była matką starszego syna, kolejnego Nikomedesa) i to samo spotkało drugą żonę, matkę młodszego syna, Sokratesa. Ani Nikomedesa młodszego, ani Sokratesa nie można było nazwać młodzikami, Nikomedes młodszy miał bowiem sześćdziesiąt dwa lata, a Sokrates pięćdziesiąt cztery. Obaj byli żonaci, ale podobnie zniewieściali jak ich ojciec. Żona Sokratesa niczym mysz kryła się po kątach i przemykała po pałacu. Żona Nikomedesa młodszego była natomiast wysoką, krzepką kobietą, lubiła żarty i często wybuchała śmiechem. Urodziła Nikomedesowi córkę Nysę, która zbliżała się niebezpiecznie do wieku staropanieństwa, a jednak nie wychodziła za mąż. Żona Sokratesa nie miała dzieci, a właściwie to on ich nie miał.

- Ależ tego można było się spodziewać - mówił do Julii młody niewolnik, porządkując salon oddany do jej wyłącznego użytku. - Sokrates nigdy chyba nie zdołał posiąść kobiety! Co do Nysy, ona ma inne upodobania; lubi źrebice, i nic w tym dziwnego - ma przecież końską urodę.

- Jesteś arogancki - powiedziała lodowatym tonem Julia i odprawiła młodego człowieka ruchem ręki.

W pałacu pełno było przystojnych młodych ludzi, w większości niewolników, w części zaś wolnych ludzi w służbie króla albo jego synów. Były tam też całe tuziny małych paziów, jeszcze urodziwszych niż owi młodzi ludzie. Julia wolała się nie zastanawiać, co właściwie należy do ich obowiązków, zwłaszcza kiedy pomyślała o Mariuszu Młodszym, tak pociągającym i przyjacielskim, wchodzącym właśnie w wiek dojrzewania.

- Gajuszu Mariuszu, miej na oku naszego syna - prosiła dyskretnie męża.

- Przy tych wszystkich mizdrzących się kwiatuśkach harcujących dookoła? - zaśmiał się Mariusz. - Nie martw się o niego, *mea vita*. Jest rozgarnięty, odróżni pedała od świni.

- Dziękuję ci za to zapewnienie, i za metaforę - uśmiechnęła się Julia. - Chyba nie zaczniesz po tylu latach używać wyszukanych słów, nieprawdaż?

- Wprost przeciwnie - potwierdził, bynajmniej nie zmieszany.

- To właśnie chciałam ci powiedzieć.

- Ach, przepraszam.

- Czy zobaczyłeś tu już dość? - spytała raczej szorstko.

- Jesteśmy tu zaledwie osiem dni. - Mariusz był zdziwiony. - Chyba nie zmęczył cię ten cały cyrk?

- Chyba jednak zmęczył. Zawsze chciałam poznać życie królów, ale jeśli Bitynia ma być tego przykładem, wolę Rzym. Nie chodzi o homoseksualizm, ale o plotki, udawanie, sztuczność. Wstydziałabym się mieć takich służących. Królewskie synowe też mi nie odpowiadają. Oradaltis jest tak hałaśliwa, że



mam ochotę zatykać sobie uszy, a Muza przypomina raczej mysz niż muzę! Tak, Gajuszu Mariuszu, będę ci wdzięczna, kiedy uznasz, że możemy stąd wyruszyć.

- Wyruszajmy więc choćby zaraz - powiedział ochoczo Mariusz, wyjmując jakiś zwój z zagięcia togi. - Podążał za nami od Halikarnasu i tu mnie w końcu dopadł. To list od Publiusza Rutyliusza. Zgadnij, gdzie on teraz jest!

- W prowincji Azji?

- Tak, w Pergamonie. Namiestnikiem prowincji został Kwintus Mucjusz Scewola, a Publiusz Rutyliusz jest jego legatem. - Mariusz pomachał listem z radosną miną. - Myślę, że namiestnik i legat będą uszczęśliwieni ze spotkania z nami. Minęło parę miesięcy, bo ten list miał do nas dotrzeć wiosną. Wyobrażam sobie, jak są spragnieni towarzystwa.

- Prawdę mówiąc, wcale nie znam Kwintusa Mucjusza Scewoli - powiedziała Julia. - Wiem tylko, że jest słynnym adwokatem.

- Ja też go prawie nie znam. Wiem, że jest bratem przyrodnim Krassusa Oratora i że są nierozłączni. Nic dziwnego zresztą, że go nie znam. Ma dopiero czterdziestkę.

Spodiewając się, że goście spędzą z nim przynajmniej miesiąc, stary król nie chciał ich puścić, ale Mariusz był trudnym przeciwnikiem dla takiego wylęknionego zabytku starożytności jak Nikomedes II. Wyjechali wśród rozdzierających uszy zawodzeń króla i popłynęli przy sprzyjających wiatrach i prądach przez Hellespont na Morze Egejskie.

Statek wpłynął w ujście rzeki Kaikos i tym sposobem dotarli do Pergamonu leżącego o kilkanaście mil w głębi lądu drogą, która ukazywała miasto od jego najpiękniejszej strony, leżące wysoko na akropolu i otoczone górami.

Kwintus Mucjusz Scewola i Publiusz Rutyliusz Rufus byli na miejscu, Mariusz i Julia nie mieli jednak szans na bliższe poznanie Scewoli, bo właśnie wyjeżdżał do Rzymu.

- Ach, mogliśmy spędzić lato w waszym towarzystwie, Gajuszu Mariuszu! - mówił z westchnieniem Scewola. - Teraz zaś muszę dotrzeć do Rzymu przed końcem sezonu żeglugowego - uśmiechnął się. - Publiusz Rutyliusz wszystko wam opowie.

Mariusz i Rutyliusz Rufus zeszli w dół, by odprowadzić Scewolę, pozostawiając Julię w pałacu, który podobał się jej o wiele bardziej niż tamten w Nikomedii, chociaż towarzystwo kobiece było równie nieliczne. Oczywiście Mariusz nie myślał wcale o zapewnieniu Julii odpowiedniego towarzystwa. Pozostawił to jej własnej przemyślności i zasiadł ze swym najstarszym i najdroższym przyjacielem, by wysłuchać nowin.

- Najpierw Rzym! - powiedział z ożywieniem.

- Otóż mam dla ciebie naprawdę wspaniałą nowinę na początek. - Publiusz Rutyliusz Rufus uśmiechał się, szczerze uradowany; jakże miło było spotkać



Gajusza Mariusza tak daleko od domu! - Gajusz Serwiliusz Augur zmarł na wygnaniu pod koniec zeszłego roku i trzeba było oczywiście przeprowadzić wybory uzupełniające do kolegium augurów. Zostałeś wybrany, Gajuszu Mariuszu.

Mariusz otworzył usta.

- Ja?

- Nikt inny.

- Nigdy nie myślałem... czemu ja?

- Wyborcy w Rzymie nadal cię popierają pomimo kreciej roboty Katulusa Cezara i jemu podobnych. Chyba uznali, że zasługujesz na to wyróżnienie. Twoją kandydaturę zgłosili rycerze, a że wolno wybierać *in absentia*, wygrałeś. Nie powiem, że Prosiak i spółka dobrze to przyjęli, ale tak to przyjęli cały Rzym.

Mariusz westchnął głęboko.

- To rzeczywiście dobra nowina! Jestem augurem! To znaczy, że mój syn zostanie kiedyś kapłanem albo augurem, a po nim jego synowie. To znaczy, że dokonałem tego, Publiusz Rutyluszu! Dostałem się do serca Rzymu, choćbym i był tylko italskim wieśniakiem, który wcale nie zna greki.

- Ach, nikt już tak o tobie nie mówi. Wraz ze śmiercią Świnki-Szczecinki wszystko się zmieniło, sam wiesz. Gdyby żył, chybabyś nie wygrał żadnych wyborów - powiedział z zastanowieniem Rutyluszu Rufus. - I to nie dlatego, że przewyższał innych swoją *auctoritas*. Jego *dignitas*, urosła natomiast ogromnie po tamtych walkach na Forum, kiedy był cenzorem; każdy musi przyznać, że zachował się wtedy bardzo dzielnie. Najważniejsze było jednak to, że pełnił rolę ośrodka, wokół którego skupiali się inni, i po powrocie z Rodos wszystkie swe wysiłki poświęcił podkopaniu twojej pozycji. Chodzi mi o to, że nie miał nic innego do roboty. Całą swą władzę i wpływy skierował wyłącznie przeciwko tobie. Jego śmierć była straszliwym zaskoczeniem, sam wiesz. Wyglądał znakomicie, kiedy wrócił do kraju! Ja pierwszy stawiałbym na to, że spędzi z nami jeszcze wiele lat. A potem... umarł.

- Co wtedy robił u niego Lucjusz Korneliusz?

- Nikt chyba tego nie wie. Nie byli ze sobą blisko, to jedno jest pewne. Lucjusz Korneliusz mówił tylko, że znalazł się tam przypadkowo i że wcale nie zamierzał wieczerzać ze Świnką-Szczecinką. To rzeczywiście bardzo dziwne. Chyba najbardziej martwi mnie to, że Prosiak nie widział niczego dziwnego w obecności Lucjusza Korneliusza w domu ojca. To by znaczyło, że Lucjusz Korneliusz chciał się przyłączyć do stronnictwa Świnki-Szczecinki. - Rutyluszu Rufus zaszepczał. - Bardzo się poróżnili z Aurelią.

- Lucjusz Korneliusz poróżnił się z Aurelią?

- Tak.

- Skąd to wiesz?

- Od Aurelii.



- Nie powiedziała dlaczego?

- Nie. Powiedziała tylko, że Lucjusz Korneliusz nie jest już mile widziany w jej domu. W każdym razie udał się do Hiszpanii Bliższej zaraz po śmierci Świnki-Szczecinki, a Aurelia powiedziała mi o tym dopiero po jego wyjeździe. Bała się chyba, że robiłbym mu wyrzuty. To jakaś dziwna sprawa, Gajuszu Mariuszu.

Mariusz wzruszył ramionami. Niezbyt go interesowały nieporozumienia osobiste.

- Cóż, to ich sprawa, choćby i dziwna. Co jeszcze się zdarzyło?

Rutyliusz Rufus roześmiał się.

- Nasi konsulowie wydali zakaz składania ofiar z ludzi. Co takiego?

- Wydali prawo zakazujące składania ofiar z ludzi.

- To śmieszne! Kiedyż to Rzymianie składali ofiary z ludzi, publicznie czy prywatnie? Cóż to za bzdura!

- No cóż, złożyli chyba w ofierze dwóch Greków i dwóch Galów, kiedy Hannibal urządzał przemarsze po Italii. Wątpię jednak, by o to chodziło w nowym *lex Cornelia Licinia*.

- O co więc chodzi?

- Jak wiesz, Gajuszu Mariuszu, my Rzymianie chcemy czasem w ten czy inny sposób wytknąć jakieś wynaturzenia życia publicznego. Myślę, że to nowe prawo ma właśnie takie zadanie. Chodzi chyba o ogłoszenie na Forum Romanum, że nie będzie się już więcej tolerować przemocy, zabójstw, wtrącania do więzień wysokich urzędników i sprzecznej z prawem działalności.

- Czy konsulowie tego nie wyjaśnili?

- Nie. Ogłosili po prostu swoje prawo, a lud je uchwalił.

Mariusz parsknął i dał temu spokój.

- Co poza tym?

- Młodszy brat naszego pontifexa, tegoroczny pretor, został namiestnikiem Sycylii. Były pogłoski, że zanosi się na nowe powstanie niewolników.

- Czy na Sycylii tak źle ich traktujemy?

- Tak... i nie - powiedział z namysłem Rutyliusz Rufus. - Po pierwsze, jest tam zbyt wielu niewolników Greków. Są bardzo niezależni i wcale nie trzeba ich źle traktować, żeby mieć kłopoty. Jak rozumiem, wszyscy piraci wzięci do niewoli przez Marka Antoniusza Oratora, zostali posłani na Sycylię do pracy w polu. Nie jest to ich ulubione zajęcie. Marek Antoniusz, skoro o nim mowa, ozdobił rostra dziobem największego okrętu, jaki zatopił podczas swej kampanii przeciw piratom. Imponujący widok!

- Chyba nie ma tam dość miejsca na nabijanie rostrów dziobami okrętów - zauważył Mariusz. - Tak czy inaczej, idźmy dalej, Publiuszu Rutyliuszu! Co się działo poza tym?



- No cóż, nasz pretor, Lucjusz Ahenobarbus, narobił zamieszania na Sycylii. Słyszeliśmy o tym nawet tu, w Azji. Wydał dekret zabraniający mieszkańcom kraju, z wyjątkiem żołnierzy i zbrojnej milicji, posiadania broni. Oczywiście nikt nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

- Chyba popełnił błąd, jak znam Ahenobarbów - wyszczerzył zęby Mariusz.

- To był rzeczywiście błąd. Lucjusz Domicjusz zaczął bezlitośnie karać ignorowanie dekretu. Cała Sycylia odczuła to na własnej skórze. Bardzo wątpię, żeby doszło do jakichś buntów.

- To okrutnicy, ci Domicjusze Ahenobarbowie, ale też skutecznie rządzą - rzekł Mariusz. - Czy to już koniec nowin?

- Prawie. Powiem tylko jeszcze, że mamy nowych cenzorów i że ogłosili zamiar tak dokładnego sprawdzenia cenzusu majątkowego, jakiego nie było od lat.

- W samą porę. Kto to taki?

- Marek Antoniusz Orator i twój konsularny kolega Lucjusz Waleriusz Flakkus. - Rutyliusz Rufus wstał. - Może się przejdziemy, przyjacielu?

Pergamon był prawdopodobnie najstaranniej zaplanowanym i zbudowanym miastem na świecie. Mariusz słyszał już wcześniej o tym, a teraz zobaczył to na własne oczy. Nawet w dolnym mieście, rozciągającym się u podnóża akropolu, nie było wąskich uliczek ani walących się kamienic, bo wszystko najwyraźniej podporządkowano sztywnemu systemowi wytyczeń i przepisów budowlanych. Pod terenami mieszkalnymi przebiegały kanały ściekowe i odprowadzające wodę deszczową wszędzie też docie-inlv wodociągi. Marmur wydawał się ulubionym materiałem budowlanym. Było tam mnóstwo pięknych kolumnad, wielki rynek pełen był wspaniałych posągów, a w zagłębieniu zbocza góry mieścił się ogromny teatr.

A jednak zarówno w mieście, jak i na akropolu czuło się atmosferę zaniedbania. Nic już nie było takie jak za panowania Attalidów, założycieli i opiekunów Pergamonu, swojej stolicy. Mieszkańcy nie wyglądali na zadowolonych, a niektórzy robili wrażenie głodnych, co mogło dziwić w tak bogatym kraju.

- Za ten stan odpowiadają rzymscy poborcy podatków - stwierdził posepnie Rutyliusz Rufus. - Nie masz pojęcia, co tu zastaliśmy z Kwintusem Mucjuszem! Prowincja Azja od lat była wyzyskiwana i uciskana przez tych zachłannych, bezmyślnych *publicani*. Sumy, jakich żądał Rzym, od początku były za wysokie, a *publicani* dołożyli jeszcze zbyt wiele dla siebie. Wyżymali prowincję Azję jak ścierkę kuchenną! To było typowe przedsięwzięcie dla zysku. Zamiast zajmować się osiedlaniem rzymskiej biedoty na państwowej ziemi i na ziemi zakupionej za podatki z prowincji Azji, Gajusz Grakchus powinien raczej wysłać do Azji zespół rzeczoznawców, który oszacowałby możliwą do przyjęcia wysokość podatków. Gajusz Grakchus tego jednak nie zrobił, a



później nikt inny bliżej się tym nie zainteresował. Jedyne szacunki dostępne w Rzymie zostały wzięte z sufitu przez komisję przysłaną tu po śmierci króla Attalosa - a to było trzydzieści pięć lat temu!

- Szkoda, że nie wiedziałem o tym, kiedy byłem konsulem - powiedział Mariusz z żalem.

- Mój drogi, ty miałeś na głowie Germanów! Prowincja Azja była ostatnim miejscem na ziemi, o którym pomyślano by w Rzymie przez te lata. Masz jednak rację. Mariańska komisja szybko ustaliłaby realne liczby i przywołałaby do porządku tych *publicani*! Tymczasem zaś pozwalano im na nieznośną arogancję. To oni rządzą Azją, nie rzymski namiestnik!

- Założę się, że był to dla nich prawdziwy wstrząs, ów rok z Kwintusem Mucjuszem i Publiuszem Rutyliuszem w Pergamonie - zaśmiał się Mariusz.

- Bo i był. - Rutyliusz Rufus wyszczerzył zęby na to wspomnienie. - Ich wrzaski słychać było chyba aż w Aleksandrii. W Rzymie usłyszano je na pewno; oto dlaczego, między nami mówiąc, Kwintus Mucjusz wyjechał do kraju.

- A co ty tu właściwie robisz?

- Ach, po prostu zarządzam prowincją i podatkami - odpowiedział uprzejmie Rutyliusz Rufus.

- Z uszczerbkiem dla skarbu państwa i poborców podatków.

- To prawda. - Rutyliusz Rufus wzruszył ramionami, skręcając na wielki rynek. Machnął ręką, wskazując pusty cokół. - Położyliśmy kres tego rodzaju rzeczom. Tu stał konny pomnik Aleksandra Wielkiego - dzieło samego Lizypa, uznawany za najlepszy portret Aleksandra jego roboty. Czy wiesz, gdzie teraz stoi? W perystylu niejakiego Sekstusa Perkwitienusa, najbogatszego i najbardziej prostackiego z rzymskich rycerzy. To twój sąsiad z Kapitolu. Zabrał posąg w rozliczeniu zaległych podatków, wyobrażasz sobie? Dzieło sztuki warte tysiąc razy więcej niż zaległe płatności. Co jednak mogli zrobić mieszkańcy? Oni po prostu nie mieli tych pieniędzy. Kiedy więc Sekstus Perkwitienus wskazał laską posąg, zdjęto go z cokołu i oddano.

- Powinien zostać zwrócony - rzekł Mariusz.

- Słaba nadzieja - prychnął pogardliwie Rutyliusz Rufus.

- Czy dlatego Kwintus Mucjusz wyjechał do kraju?

- Oby tak było! Nie, wyjechał, by powstrzymać publikańskie lobby w Rzymie przed podaniem nas do sądu.

Mariusz zatrzymał się.

- Żartujesz!

- Nie, Gajuszu Mariuszu, nie żartuję! Ci poborcy podatków z Azji mają w Rzymie wielką władzę, szczególnie w senacie. A Kwintus Mucjusz i ja obraziliśmy ich śmiertelnie, nadając właściwy bieg sprawom prowincji Azji. Nie tylko zresztą ich obraziliśmy, ale i skarb państwa. Są w senacie ludzie,



którzy mogliby zignorować narzekania kompanii podatkowych, ale nie zignorują skarbu państwa. W ich oczach każdy namiestnik prowincji, który zmniejsza dochody skarbu, jest zdrajcą. Powiem ci, Gajuszu Mariuszu, że ostatni list, jaki Kwintus Mucjusz dostał od swego kuzyna Krassusa Oratora, wprowadził go w furję. Twarz miał zbielelałą niczym jego własna toga. Doniesiono mu o działaniach w celu pozbawienia go prokonsularnego imperium i postawienia przed sądem za zdradę stanu. Wyjechał więc co prędzej do kraju, zostawiając mi tu rządy, dopóki nie przybędzie namiestnik wyznaczony na przyszły rok.

W drodze powrotnej do pałacu namiestnika Gajusz Mariusz zauważył, że przechodnie pozdrawiają Rutyliusza Rufusa serdecznie i z wyraźną sympatią.

- Lubią cię tutaj - powiedział, właściwie wcale nie zdziwiony.

- Jeszcze bardziej lubią Kwintusa Mucjusza. Po raz pierwszy zobaczyli prawdziwych Rzymian w działaniu. Bardzo wiele zmieniliśmy w ich życiu. Mogę zrozumieć, że nienawidzili Rzymu i Rzymian. Byli naszymi ofiarami, a my wykorzystywaliśmy ich haniebnie. Kiedy więc Kwintus Mucjusz obniżył podatki do poziomu, który uznaliśmy za uczciwy, i kiedy zakazał lichwiarskich praktyk miejscowym *publicani*, ludzie dosłownie tańczyli na ulicach. Pergamon ustanowił doroczne święto na cześć Kwintusa Mucjusza, a zdaje się, że to samo zrobiły Smyrna i Efez. Najpierw zaczęli przysyłać nam podarunki - także niezmiernie cenne rzeczy - dzieła sztuki, klejnoty, tkaniny. A kiedy odsyłaliśmy je z podziękowaniami, zwracali je nam. Musieliśmy w końcu zakazać wpuszczania ich za bramę pałacu.

- Czy Kwintus Mucjusz potrafi przekonać senat, że to on ma słuszość, a nie *publicani*? - spytał Mariusz.

- A jak myślisz?

Mariusz zastanawiał się, żałując teraz, że większą część swej publicznej kariery spędził na polu walki, a nie w Rzymie.

- Myślę, że mu się uda - powiedział w końcu. - Reputację ma bez zarzutu, a to zapewni mu poparcie wielu z tylnych ław, którzy mieliby ochotę poprzeć *publicani* albo skarb, gdyby chodziło o kogoś innego. Wygłosi w kurii wspaniałą mowę, a Krassus Orator poprze go i wygłosi jeszcze lepszą.

- I ja tak sędzę. Musisz jednak wiedzieć, że opuszczał Azję z żalem, i chyba już nigdy nie znajdzie zajęcia, które by tak mu przypadło do serca! Ma niezmiernie ścisły umysł i niezrównany zmysł organizacyjny. Moim udaniem było zbierać informacje ze wszystkich okolic prowincji, a jego podejmować na ich podstawie decyzje. W rezultacie po trzydziestu pięciu latach prowincja Azja ma nareszcie realnie ustalone podatki, a skarb państwa nie ma prawa żądać więcej.

- Imperium namiestnika prowincji może oczywiście przeważać wszystkie polecenia Rzymu, chyba że przybędzie tu konsul. Ty jednak zlekceważyłeś







zarówno skarb, jak i cenzorów, a *publicani* mogą twierdzić, że mają legalne kontrakty. Nowi cenzorzy będą zawierać nowe kontrakty. Czy zdążyłeś przekazać swoje ustalenia do Rzymu? Mogłoby to wpłynąć na wysokość nowych kontraktów.

- Niestety, nie - powiedział Rutyliusz Rufus. - To jeszcze jeden powód, dla którego Kwintus Mucjusz musiał wracać do kraju. On uważa, że zdoła wpłynąć na nowych cenzorów, sprawić, by odwołali zawarte kontrakty i wydali je ponownie.

- Cóż, to nie powinno rozdrażnić *publicani* - rzekł Mariusz - jeżeli skarb zgodzi się na cięcia w przychodach. Przewiduję, że Kwintus Mucjusz będzie miał więcej kłopotu ze skarbem państwa niż z poborcami podatków. Mimo wszystko *publicani* będą w lepszej sytuacji. Jeśli nie muszą płacić nierealnych sum do skarbu, mogą mieć całkiem niezłe zyski, nie sądzisz?

- Właśnie tak - przytaknął Rutyliusz Rufus. - W tym nasza nadzieja, gdy już Kwintus Mucjusz przekona twardogłowych w senacie i trybunów skarbu, że Rzym nie może oczekiwać od Azji nazbyt wiele.

- Kto będzie najgłośniejszym krzykaczem?

- Sekstus Perkwitienus. Będzie miał niezłe zyski, ale nie będzie już więcej bezcennych dzieł sztuki w rozliczeniu zaległych podatków. Potem niektórzy przywódcy kurii związani z rycerzami - oni też mogli dostawać przy okazji jakieś bezcenne dzieła sztuki. Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus pontifex maximus pierwszy. Myślę też, że Katulus Cezar, Prosiak, Scypion Nazyka i niektórzy z Licyniuszy Krassusów, ale nie Orator.

- A co z przywódcą kurii?

- Myślę, że Skaurus poprze Kwintusa Mucjusza. Albo też obaj mamy taką nadzieję, Gajuszu Mariuszu. Oddajmy Skaurusowi, co mu się należy; to uczciwy Rzymianin w starym stylu. - Rutyliusz Rufus zachichotał. - Poza tym wszyscy jego klienci są w Galii italskiej, nie jest więc osobiście zainteresowany prowincją Azją. On po prostu lubi kreować królów i podobne zabawy. Ale zbieranie podatków? Brudna robota! Nie jest też kolekcjonerem bezcennych dzieł sztuki.



Pozostawiwszy znacznie szczęśliwszego Publiusza Rufusa samego w pałacu namiestnikowskim (odmówił on bowiem opuszczenia stanowiska), Gajusz Mariusz zabrał rodzinę na południe, do willi w Halikarnasie, i spędził tam zimę, urozmaicając sobie czas wycieczką na Rodos.

Możliwość żeglugi z Halikarnasu do Tarsu zawdzięczali wyłącznie staraniom Marka Antoniusza Oratora, który położył kres - przynajmniej na jakiś czas - działaniom piratów w Pamfilu i Cylicji. Przed kampanią Antoniusza Oratora sama myśl o podróży morskiej byłaby szaleństwem, a żadna zdobycz nie byłaby milej widziana niż rzymski senator, zwłaszcza tak ważny jak Gajusz



Mariusz. Mogliby żądać za niego okupu w wysokości dwudziestu albo trzydziestu talentów srebra.

Statek trzymał się brzegów i podróż trwała ponad miesiąc. Miasta Likii i wielkie miasto Attalia w Pamfilii gościły chętnie Mariusza i jego rodzinę. Nigdy przedtem nie widzieli gór tak blisko morza, nawet, jak mówił Mariusz, podczas jego marszu brzegiem morza do Galii. Ich pokryte śniegiem szczyty sięgały nieba, a stopy kryły się w morzu.

W tych stronach rosły wspaniałe sosnowe lasy, nigdy nie wycinane na drewno. Pobliski Cypr miał dość drzewa, by zaspokoić potrzeby wszystkich sąsiadów z Egiptem włącznie. „Nic dziwnego, że kwitło tu piractwo”, myślał Mariusz, gdy dni mijały, a wybrzeże Cylicji odkrywało się przed nimi. Każdy zakręt brzegu wśród tych potężnych gór odsłaniał doskonale ukryte zatoczki i przystanie. Korakezjon, które było przedtem stolicą piratów, wydawało się stworzone do tej roli przez bogów, z wyniosłą twierdzą na skalnej ostrodze otoczonej zewsząd morzem. Wpadło w ręce Antoniusza przez zdradę. Mariusz na próżno wyteżał umysł, zastanawiając się, jak inaczej można by je zdobyć.

I w końcu pojawił się Tars, położony o kilka mil w górę spokojnej rzeki Kydnos, osłonięty od morza port. Było to potężne miasto otoczone murami i oczywiście tak dostojnym gościom udostępniono pałac. Wiosna w tej części Azji Mniejszej przychodziła wcześniej i w Tarsie było już gorąco. Julia zaczynała niekiedy napomykać, że chętnie opuściłaby ten ognisty piec, gdy Mariusz wyruszył w głąb kraju do Kapadocji.

W końcu zimy dotarł do Halikarnasu list od króla Kapadocji, Ariaratesa VII. Zapewniał, że przybędzie do Tarsu w końcu marca i że będzie dumny i szczęśliwy, mogąc towarzyszyć Gajuszowi Mariuszowi w drodze z Tarsu do Euzebii Mazaki. Wiedząc, że młody król będzie czekał, Mariusz zżymał się na przydługą podróż, nie miał jednak serca odmawiać Julii przyjemności zatrzymywania się w jakichś czarownych zatoczkach, gdzie mogła rozprostować nogi i popływać. Kiedy jednak przybyli w połowie kwietnia do Tarsu, nie zastali tam ani małego króla ani żadnej wiadomości od niego.

Kilka listów wysłanych do Mazaki przez posłańców pozostało bez odpowiedzi. Prawdę mówiąc, żaden z posłańców nie wrócił. Mariusz zaczął się martwić. Ukrywał to przed Julią i Mariuszem Młodszym, ale tym trudniej było mu podjąć decyzję, gdy Julia zaczęła nalegać na wspólny wyjazd do Kapadocji. Nie mógł wziąć jej ze sobą to było oczywiste, ani też nie mógł zostawić na pastwę letnich upałów. Prośba Julii współgrała z nieokreślonym i nie do pozazdroszczenia położeniem Cylicji w tej części świata. Cylicja należała kiedyś do Egiptu, potem do Syrii, a jeszcze później zaczął się dla niej okres niepewności. W tym czasie konfederacje pirackie sięgnęły po władzę nawet na żyznej równinie Pedii, na wschód od Tarsu. Dynastia syryjskich Seleukidów traciła siły w bratobójczych wojnach królów z pretendentami do tronu. W



północnej Syrii królowie Antioch Grypos i Antioch Kyzikenos tak zajadle walczyli o Antiochię i Damazek, że na całe lata stracili z oczu pozostałe części królestwa. W rezultacie Żydzi, Idumenejczycy i Nabatejczycy ustanowili na południu niezależne państwa, a o Cylicji zapomniano.

Kiedy więc Marek Antoniusz Orator przybył do Tarsu, by uczynić z tego miasta swoją główną bazę, zastał Cylicję dojrzałą do zerwania i - jako posiadacz imperium - ogłosił ją prowincją Rzymu. Kiedy odpłynął, nie przysłano jednak na jego miejsce namiestnika i Cylicja ponownie znalazła się w zamęcie. Duże greckie miasta samodzielnie ekonomicznie przetrwały i Tars był jednym z takich miast. Obszary leżące między tymi ośrodkami nie były jednak rządzone przez nikogo, a ich mieszkańcy mówili po prostu, że należą obecnie do Rzymu. Mariusz szybko doszedł do wniosku, że za kilka lat piraci powrócą silni jak dawniej. Tymczasem jednak miejscowi urzędnicy witali z widocznym zadowoleniem człowieka, którego uważali za nowego namiestnika prowincji.

Im dłużej czekał Mariusz na wieści od małego króla Ariaratesa, tym bardziej był przekonany, że będzie zmuszony do desperackich działań w Kapadocji albo czegoś, co będzie wymagało czasu. Żona i syn stali się prawdziwym zmartwieniem. „Wiem teraz, czemu zostawiamy ich w domu”, myślał zaciskając zęby. Pozostawienie ich w Tarsie, narażonych na grasujące w lecie choroby, nie wchodziło w grę, tak samo jak zabranie do Kapadocji. Kiedy zastanawiał się, czy nie odesłać ich morzem do Halikarnasu, w jego wyobraźni zamajaczył obraz twierdzy Korakezjon obsadzonej załogą jakiegoś nowego króla piratów. „Co robić?”, myślał. „Nie znamy wcale tej części świata, ale oczywiście musimy ją odkryć. Ten wschodni kraniec Morza Środkowego jest pozbawiony steru i w razie burzy ulegnie rozbiciu”.

Kiedy nadeszła połowa maja i wciąż nie było wieści od króla, Mariusz podjął decyzję.

- Pakuj się! - powiedział Julii nieco bardziej szorstko, niż miał zamiar. - Zabieram was ze sobą, ale nie aż do Mazaki. Zostawię was gdzieś wyżej w chłodniejszej i zdrowszej okolicy, a do Kapadocji pojedę sam.

Miała ochotę się spierać, ale nie zrobiła tego. Choć nigdy nie widziała Gajusza Mariusza na polu walki, często słyszała w tonie jego głosu echa nie znoszącej sprzeciwu komendy, a teraz podchwyciła też echo jakiegoś dręczącego go problemu związanego z Kapadocją.

Dwa dni później wyruszyli w eskorcie miejscowej milicji dowodzonej przez młodego Greka z Tarsu, którego Mariusz zdążył już polubić. Lubiała go też Julia i, jak się miało okazać, dobrze na tym wyszli. W tej podróży nikt nie szedł piechotą, bo droga przez Wrota Cylicji była stroma i trudna. Siedząca bokiem na ośle Julia uznała, że piękno tej wspinaczki warte jest niewygody, pieli się bowiem po wąskich szlakach między wysokimi górami, a im wyżej się



wspinali, tym więcej śniegu leżało w górach. Trudno jej było uwierzyć, że przed trzema dniami ledwie dyszała w upale wybrzeża. Teraz przeglądała kosze, szukając ciepłych okryć. Była piękna słoneczna pogoda, lecz gdy otoczyły ich sosnowe lasy, przemarzli do szpiku kości i niecierpliwie wypatrywali miejsca, gdzie lasy ustępowały urwiskom, a burzliwe strumienie zasilają jakąś grzmącą rzeką, rzucającą się wielkimi falami na skały i w przepaście.

W cztery dni po wyjeździe z Tarsu wspinaczka dobiegła końca. W wąskiej dolinie znalazł Mariusz obozowisko miejscowych pasterzy towarzyszących owcom na letnich pastwiskach i tu zostawił Julię i Mariusza Młodszeo wraz z eskortą milicji. Młody Grek z Tarsu, Morsimos, miał ich pilnować i bronić. Szczodra darowizna w gotówce ożywiła dobrą wolę nomadów, a Julia stała się właścicielką jednego z ich wielkich skórzanych namiotów.

- Jeśli się przywyknie do zapachu, jest tu całkiem wygodnie. W namiocie jest ciepło, a część tutejszych ludzi wyjechała kupić dodatkową żywność. Jedź dalej i nie martw się o mnie ani o syna, który chce chyba zostać pastuchem. Morsimos zaopiekuje się nami jak należy. Przykro mi tylko, drogi mężu, że masz z nami kłopot.



I tak Mariusz pojechał dalej w towarzystwie tylko dwóch swoich niewolników i przewodnika dostarczonego przez Morsimosa, który robił wrażenie, iż chętnie pojechałby dalej z Mariuszem. Dno doliny leżało na poziomie pięciu i pół tysiąca stóp. Ta wysokość nie przyprawiała jeszcze o zawroty głowy, ale utrzymywanie się w siodle wymagało już pewnego wysiłku. Byli jeszcze daleko od Euzebii Mazaki, jedyneo miasta w tej części Kapadocji.

Słońce schowało się za chmury, gdy przekroczyli dział wodny między rzekami płynącymi do Cylicji a tymi, które wpadały do niezmiernie długiej wielkiej rzeki Halys. Znaleźli się we mgle i wśród przelotnych deszczów. Przemarznięty i obolały ze zmęczenia Mariusz znosił długie godziny tej jazdy ze zwieszonymi w dół nogami i cieszył się, że nie pocierał sobie jeszcze skóry na udach.

Trzeciego dnia znowu wyjrzało słońce. Szerokie trawiaste i bezdrzewne równiny wyglądały na świetne miejsce do wypasu owiec. Przewodnik mówił, że doskonale udaje się tu uprawa pszenicy.

- Więc czemu się jej nie uprawia? - spytał Mariusz.

Przewodnik wzruszył ramionami.

- Nie ma tu ludzi. Uprawiają tyle, ile im trzeba i jeszcze trochę więcej na sprzedaż nad Halys, gdzie czasem jakaś barka przy pływa po pszenicę. Nie mogą jej sprzedać w Cylicji, bo droga jest zbyt trudna. Czemu zresztą mieliby się starać? Są syci i zadowoleni.

Była to chyba jedyna rozmowa Mariusza z przewodnikiem podczas tej jazdy,



bo nawet w skórzanych namiotach koczowników albo w wiejskich domach z nie wypalanej cegły, w których szukali schronienia, mało ze sobą rozmawiali. Dookoła ciągnęły się góry, bliższe i dalsze, ale zawsze wysokie, zielone i ośnieżone.

Potem, kiedy przewodnik oznajmił, że Mazaka jest oddalona o czterysta stadiów (co Mariusz przełożył sobie na pięćdziesiąt mil rzymskich), wjechali w jakąś niezwykłą okolicę. Mariusz żałował, że Julia nie może tego zobaczyć. Falujące równiny poprzecinane były krętymi wąwozami, w których sterczały okrągłe wieże jakby ulepione z kolorowej gliny. Była to istna kraina babek z piasku ulepionych przez jakieś obłąkane olbrzymie dziecko. Czasami wieże były zwieńczone wielkimi płaskimi głazami spoczywającymi niepewnie na cienkich szyjach i - dziw nad dziwy - można było wypatrzeć okna i drzwi w tych nienaturalnych tworach natury.

- Dlatego też nie ma tu wiosek - mówił przewodnik. - Zimno tu, a lato krótkie. Ludzie drążą sobie mieszkania w tych kamiennych wieżach. W lecie jest w nich chłodno, w zimie ciepło. Po co budować domy, kiedy wielka bogini Ma już to zrobiła?

- Od jak dawna tak żyją?

Tego przewodnik nie wiedział.

- Odkąd istnieją ludzie. Co najmniej tak długo. W Cylicji opowiadamy sobie, że pierwsi ludzie pochodzili z Kapadocji i żyli wtedy tak samo.

Objeżdżali jeszcze wąwozy glinianych wież, kiedy Mariusz dostrzegł samotną górę, najpotężniejszą jaką widział w życiu, wyższą od greckiego Olimpu i nawet od masywów otaczających Galię italską. Miała kształt stożka, a po jej bokach wznosiły się mniejsze stożki. Bieliła się w śniegu, lśniąca zjawa na tle bezchmurnego nieba. Wiedział oczywiście, że to góra Argajos, opisywana przez Greków, oglądana ledwie przez garść ludzi z zachodu. Wiedział też, że u jej podnóży leży Euzebia Mazaka, siedziba króla i jedyne miasto Kapadocji.

Niestety, przybywając z Cylicji Mariusz zbliżał się do góry ze złej strony. Mazaka leżała po jej północnej stronie, najbliższej Halys, wielkiej czerwonej rzeki środkowej Anatolii, zapewniającej miastu kontakt ze światem.

Mijało południe, gdy Mariusz ujrzał zarysy budynków stłoczonych pod górą Argajos i już miał odetchnąć z ulgą, gdy zdał sobie sprawę, że jedzie przez pole bitwy. Cóż za niezwykłe uczucie! Przejeżdżać tam, gdzie przed niewielu dniami tysiące ludzi walczyło i ginęło, a przy tym nic nie wiedzieć o bitwie ani nie być nią zainteresowanym. Po raz pierwszy w życiu pogromca Numidii i Germanów znalazł się na polu bitwy w roli turysty.

Świerzbził go nos, szczypały oczy, on jednak jechał ku miastu, nie rozglądając się na boki bardziej, niż to było konieczne. Nikt nie pomyślał o uprzątnięciu pobojuwiska, wszędzie więc leżały wzdęte zwłoki odarte ze zbroi i odzieży. W niegościnnym lodowatym powietrzu nie było prawie much i łatwiej było



znosić odór rozkładających się ciał. Przewodnik szlochał, niewolnicy chorowali, ale Gajusz Mariusz jechał dalej, jakby nie widział wokół niczego niestosownego. Wypatrywał niestrudzenie czegoś daleko bardziej złowieszczonego - obozu zwycięskiej armii. I był tam taki obóz, o dwie mile na północny wschód, wielkie skupisko brunatnych skórzanych namiotów pod cienkim niebieskim całunem dymu z wielu ognisk.

Mitrydates. To nie mógł być nikt inny. A Gajusz Mariusz nie pomyślał nawet, że mija poległych ludzi Mitrydatesa. Nie, jego była tamta żywa i zwycięska armia, a pole, przez które jechał Mariusz, zasłane było ciałami Kapadocjan, biednych mieszkańców skał, koczowniczych pasterzy - i zapewne greckich i syryjskich najemników, jak to podpowiadał zmysł praktyczny. Gdzie był mały król? Zbędne pytanie. Nie przybył do Tarsu i nie odpowiadał na listy wysłane przez posłańców, bo nie żył, tak samo jak posłańcy.

Ktoś inny zawróciłby pewnie konia i odjechał z nadzieją że nikt go nie zauważył, ale nie Gajusz Mariusz. Ściągnął w końcu króla Mitrydatesa na ziemię, choć nie na jego własną ziemię, a teraz tłukł piętami po bokach zmęczonego konia, poganiając go na spotkanie.

Kiedy Gajusz Mariusz zdał sobie sprawę, że nikt go nie obserwuje, nikt nie zauważył jego zbliżania się i nikt nie spostrzegł, kiedy wjeżdżał przez główną bramę do miasta, nie ukrywał zdumienia. Jak bezpiecznie musi się czuć król Pontu! Zatrzymał spocone zwierzę, przepatrując wznoszące się rzędy ulic w poszukiwaniu akropolu albo warowni, i dostrzegł pałac leżący na zboczu góry na tyłach miasta. Budynek musiał być wzniesiony z jakiegoś miękkiego albo lekkiego kamienia, niezdolnego opierać się zimowym wiatrom, był bowiem otynkowany i pomalowany na soczysty ciemny błękit, z jasnoczerwonymi kolumnami o ciemnoczerwonych jońskich głowicach obrysowanych połyskliwym złotem.

„Tam. On jest tam”, pomyślał Mariusz. Skierował konia w jedną z wąskich ulic wznoszących się ku pałacowi, który był otoczony pomalowanym na niebiesko murem i leżał w chłodnym, bezlistnym ogrodzie. Pomyślał, że wiosna przychodzi późno do Kapadocji, i pożałował, że dla młodego króla Ariaratesa nie przyjdzie ona już nigdy. Mieszkańcy Mazaki najwyraźniej pochowali się w jakichś kryjówkach, bo ulice były całkiem puste, a gdy zbliżył się do bramy w murze wokół pałacu, okazało się, że nie jest strzeżona. Król Mitrydates naprawdę czuł się bezpiecznie!

Mariusz zostawił swego konia i towarzyszy u stóp schodów prowadzących do głównych, dwuskrzydłowych drzwi z brązu, ozdobionych płaskorzeźbami przedstawiającymi aż nazbyt szczegółowo zgwałcenie Persefony przez Hadesa. Mariusz miał sporo czasu, by obejrzeć ten odpychający zabytek, zanim ktoś zareagował na jego łomotanie w drzwi. W końcu skrzypnęły, jęknęły i jedno skrzydło uchyliło się niechętnie.



- Tak, tak, słyszałem cię! Czego chcesz? - spytał po grecku jakiś bardzo stary człowiek.

Mariusz miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Z trudem stłumił tę chęć, więc gdy się odezwał, głos miał roztrzęsiony i skrzypiący, nie robiący wrażenia.

- Jestem Gajusz Mariusz, konsul Rzymu. Czy jest tu król Mitrydates?

- Nie - odpowiedział ów bardzo stary człowiek.

- Czy się go spodziewasz?

- Tak, przed zmrokiem.

- Świetnie! - Mariusz pchnął drzwi i wszedł w jakąś przestrzeń, która była zapewne salą tronową albo salą przyjęć, skinąwszy na swych ludzi, by szli za nim. - Potrzebuję kwatery dla siebie i tych trzech. Dla naszych koni miejsca w stajni. Dla mnie gorąca kąpiel. Natychmiast.



Dowiedziawszy się, że król nadjeżdża, ubrany w togę Mariusz wyszedł do pałacowego portyku i stanął samotnie na najwyższym stopniu schodów. Widział z góry, jak ulicami miasta posuwa się oddział jazdy, wszyscy na dobrych koniach i dobrze uzbrojeni, z okrągłymi czerwonymi tarczami z godłem białego półksiężyca i białej ośmioramiennej gwiazdy. Nosili czerwone płaszcze na zwykłych srebrnych pancerzach, a ich stożkowate hełmy wieńczyły nie pióra i nie końskie włosie, ale złociste półksiężyce z gwiazdami. Król nie jechał na czele i nie można go było rozpoznać wśród kilkuset żołnierzy.

„Może nie dbać o to, że pałac jest nie strzeżony, ale bardzo dba o siebie, to jasne”, pomyślał Mariusz.

Oddział wjechał przez bramę i zbliżył się do schodów z dziwnym odgłosem wydawanym przez wielką liczbę nie podkutych kopyt - co mówiło Mariuszowi, że w Poncie brakuje kowali. Mariusz był oczywiście doskonale widoczny, gdy tak stał majestatycznie, spowity w togę z purpurowym szlakiem, wysoko ponad jeźdźcami.

Żołnierze rozdzielili się. Król Mitrydates Eupator wyjechał ze środka szyku na wielkim gniadym koniu. Nosił purpurowy płaszcz, a jego tarcza, którą trzymał paż, była także purpurowa, choć z tym samym godłem półksiężyca i gwiazdy. Zamiast hełmu miał na głowie lwią skórę z długimi kłami, uciskającymi mu czoło, sterczącymi uszami i pustymi czarnymi oczodołami. Pod złocistym ozdobnym pancerzem nosił złotą kolczugę, a na nogach miał piękne greckie buty z lwiej skóry sznurowane złotem i z językami w kształcie lwich głów o złocistych grzywach.

Mitrydates zsunął się z konia i stanął u stóp schodów, patrząc w górę na Mariusza, którego uprzywilejowana pozycja nie sprawiała mu najwyraźniej przyjemności. Był jednak zbyt przebiegły, by natychmiast wejść na schody. „Jest prawie mojej budowy i równie wysoki”, pomyślał Mariusz. Nie był



przystojny, choć twarz miał dość miłą, szeroką i raczej kwadratową z okrągłym podbródkiem i dużym, długim, nieco krzywym nosem. Spod lwiej skóry ukazywały się złociste włosy i bokobrody. Miał jasną cerę, orzechowe oczy, a małe usta o pełnych czerwonych wargach świadczyły, że król był zarazem popędliwy i drażliwy.

„Gdzie widziałeś kogoś w *toga praetexta*!” Mariusz zadawał sobie to pytanie, przebiegając w myśli to, co wiedział o życiu króla, i nie znajdując żadnej okazji do oglądania *toga praetexta*, a nawet *toga alba*. Król rozpoznał bez wahania rzymskiego męża konsularnego, tego Mariusz był pewien, a doświadczenie mówiło mu, że ci, którzy nie widzieli wcześniej tego stroju, zawsze byli nim zafascynowani, nawet znając go z opisu. „Gdzie widziałeś jednego z nas?”

Król Mitrydates Eupator wszedł na schody swobodnym krokiem, a u ich szczytu wyciągnął prawą rękę w uniwersalnym pokojowym geście. Ucisnęli sobie dłonie, obaj zbyt inteligentni, by popisywać się przy tej okazji siłą.

- Gajuszu Mariuszu - odezwał się król, którego greka miała ten sam akcent co greka Mariusza. - To nieoczekiwana przyjemność.

- Królu Mitrydatesie, chciałbym móc powiedzieć to samo.

- Wejdziesz, wejdź do środka! - rzekł król, obejmując ramieniem Mariusza i kierując go w szeroko teraz otwarte drzwi. - Mam nadzieję, że służba zatroszczyła się o twoje wygody?

- Najzupełniej, dziękuję.

Tuzin ludzi z królewskiej straży przybocznej weszło do sali tronowej przed Mariuszem i królem, a drugi tuzin za nimi. Każdy zakątek sali został przeszukany, a potem połowa wyszła spenetrować resztę pałacu, a druga połowa pozostała pilnować Mitrydatesa, który podszedł do marmurowego tronu z purpurowymi poduszkami i usiadł na nim, dając znak palcami, by postawiono obok krzesło dla Mariusza.

- Czy cię jakoś ugościli?

- Wolałem kąpiel niż przekąskę.

- Może więc zjemy razem obiad?

- Jeśli tego chcesz. Ale zostańmy tutaj, chyba że sobie życzysz większej kompanii. Nie mam nic przeciw jedzeniu na siedząco.

Ustawiono więc między nimi stół, przyniesiono wino, a potem niewyszukany posiłek z sałaty, jogurtu z ogórkami i czosnkiem, i jakichś klopsików z jagnięcia. Król nie robił uwag na temat prostoty tego obiadu, po prostu jadł łakomie - i to samo robił Mariusz wygłodzony po podróży.

Dopiero gdy skończyli posiłek i gdy posprzątano nakrycia, obaj wielcy mężowie zasiedli do rozmowy. Na dworze sennie zapadał indygowy zmierzch, ale w sali tronowej zrobiło się już całkiem ciemno. Wystraszeni słudzy skradali się jak cienie od lampy do lampy, kręgi światła rozpląwały się, a płomyki trzepotały i dymiły, bo oliwa była niskiej jakości.



- Gdzie jest król Ariarates VII? - spytał Mariusz.  
- Nie żyje - odrzekł Mitrydates, czyszcząc sobie zęby złotym drucikiem. - Umarł przed dwoma miesiącami.

- Jak umarł?

Z odległości mniejszej niż długość biegu schodów Mariusz spostrzegł, że oczy króla nie były całkiem zielone i że miały dość niezwykle brązowe plamki. Te oczy zaszklily się, umknęły spojrzeniem w bok, a potem wróciły szeroko otwarte i niewinne. „Okłamię mnie”, pomyślał natychmiast Mariusz.

- Na jakąś śmiertelną chorobę. Umarł chyba tu, w pałacu. Nie było mnie wtedy.

- Stoczyłeś bitwę pod miastem.

- Musiałem - rzekł krótko Mitrydates.

- Dlaczego?

- Jakiś syryjski pretendent zgłosił pretensje do tronu, chyba kuzyn Seleukidów. W żyłach kapadockiej rodziny królewskiej płynie sporo krwi Seleukidów - wyjaśniał gładko król.

- Czy to dotyczy ciebie?

- Otóż mój teść - jeden z moich teściów, książę Gordios - to Kapadok. A moja siostra była matką zmarłego Ariaratesa VII i jego młodszego brata, który wciąż żyje. Ten jej młodszy syn jest teraz oczywiście prawowitym królem, ja zaś jestem zobowiązany dopilnować, by Kapadocją rządzili prawowici królowie.

- Nie wiedziałem, że Mitrydates VII miał młodszego brata, królu - powiedział uprzejmie Mariusz.

- O tak. Miał. Niewątpliwie.

- Musisz mi dokładnie opowiedzieć, co się stało.

- Otóż w miesiącu Boedromion otrzymałem w Dastejrze prośbę o pomoc, więc oczywiście zgromadziłem swoją armię i pomaszerowałem do Mazaki. Nie było tam nikogo, a król nie żył. Jego młodszy brat uciekł do kraju troglodytów. Zająłem miasto, a wtedy nadciągnął ten syryjski pretendent ze swoją armią.

- Jak się nazywał ten syryjski pretendent?

- Seleukos - rzekł bez namysłu Mitrydates.

- Dobre imię jak na syryjskiego pretendenta! - zauważył Mariusz. Ta jawna ironia nie zrobiła jednak wrażenia na Mitrydatesie, któremu zdecydowanie obca była rzymska czy też grecka skłonność do gry słów i który chyba rzadko się śmiał.

„Jest bardziej obcy niż Jugurta, król Numidii”, myślał Mariusz. „Może mniej inteligentny, ale znacznie niebezpieczniejszy. Jugurta zabił wielu bliskich krewnych, ale zawsze pamiętał, że bogowie mogą mu kazać za to odpowiedzieć. Tymczasem Mitrydates uważa siebie za boga i nie czuje ani wstydu, ani winy. Chciałbym wiedzieć więcej o nim i o królestwie Pontu. To, co mi powiedział Nikomedes jest niewiele warte. Wmawia sobie, że zna tego



człowieka, ale to nieprawda”.

- Stoczyłeś więc bitwę i pokonałeś syryjskiego pretendenta Seleukosa?

- Pokonałem - parsknął król. - Hołota! Wyrznęliśmy ich prawie do ostatniego.

- Zauważyłem - rzekł oschle Mariusz i pochylił się na krześle. - Powiedz mi, królu Mitrydatesie, czy nie jest w zwyczaju w Poncie uprzętać pobojuwisko?

Król zmrużył oczy, czując, że to nie pochwała.

- O tej porze roku? Po co? Do lata zgniją.

- Rozumiem. - Mariusz położył ręce na poręczach, wyprostowany jak wszyscy Rzymianie zasiadający na krzesłach. Toga nie była strojem, który dopuszczał nieporządek. - Chciałbym się widzieć z królem Ariaratesem VIII, jeżeli taki ma tytuł. Czy to możliwe, królu?

- Oczywiście, oczywiście! - zapewnił ochoczo król i klasnął w dłonie. - Poślij po króla i po księcia Gordiosa - rozkazał, kiedy zjawił się bardzo stary człowiek. Potem powiedział do Mariusza: - Dziesięć dni temu znalazłem wśród troglodytów mego siostrzeńca i księcia Gordiosa całych i zdrowych.

- Cóż za szczęśliwy przypadek - rzekł Mariusz.

Księżę Gordios wszedł, prowadząc za rękę dziesięcioletniego chłopca. Sam był już po pięćdziesiątce. Obaj nosili greckie stroje. Zatrzymali się u stóp podwyższenia, na którym zasiadali Mariusz i Mitrydates.

- Jak się miewasz, młodzieńcze? - spytał Mariusz.

- Dobrze, dziękuję, Gajuszu Mariuszu - odpowiedział chłopiec. Był tak podobny do Mitrydatesa, że mógłby pozować do portretu króla jako chłopca w tym samym wieku.

- Słyszałem, że twój brat nie żyje.

- Tak, Gajuszu Mariuszu. Umarł w tym pałacu przed dwoma miesiącami na jakąś śmiertelną chorobę - wyrecytował ten gadający ptaszek.

- I teraz ty jesteś królem Kapadocji.

- Tak, Gajuszu Mariuszu.

- Czy już dorosłeś do rządzenia?

- Dziadek Gordios mi pomoże.

- Dziadek?

Gordios uśmiechnął się i nie był to miły widok.

- Jestem dziadkiem całego świata, Gajuszu Mariuszu - powiedział, wzdychając.

- Rozumiem. Dziękuję ci za tę audiencję, królu Ariaratesie.

Chłopiec i starszy pan wyszli, kłaniając się z wdziękiem.

- Mój Ariarates to dobry chłopiec - powiedział z wielką satysfakcją Mitrydates.

- Twój Ariarates?

- Metaforycznie, Gajuszu Mariuszu.



- Jest do ciebie bardzo podobny.
- Moja siostra była jego matką.
- W waszym rodzie zawieracie małżeństwa między sobą, wiem o tym. - Brwi Mariusza uniosły się, ale Mitrydates nie zrozumiał sygnału, który dla Sulli byłby oczywisty. - Cóż, wygląda na to, że sprawy Kapadocji zostały pomyślnie załatwione. To oczywiście oznacza, że zabierzesz swoją armię z powrotem do Pontu.

Król poderwał się zaskoczony.

- Chyba nie, Gajuszu Mariuszu. Kapadocja jest wciąż niespokojna, a ten chłopiec jest ostatnim z rodu. Lepiej będzie, jeśli zostawię tu moją armię.

- Lepiej będzie, jeśli zabierzesz swoją armię do kraju!

- Nie mogę tego zrobić.

- Możesz, sam to wiesz.

Król nadał się, a jego pancerz zaskrzypiał.

- Nie możesz mi dyktować, co mam robić, Gajuszu Mariuszu!

Ależ tak, mogę - rzekł z naciskiem Mariusz, nie tracąc opanowania. - Rzym nie jest szczególnie zainteresowany tą częścią świata, ale jeśli zaczniesz utrzymywać okupacyjne armie w krajach, które do ciebie nie należą królu, zapewniam cię, że zainteresowanie Rzymu gwałtownie rośnie. Legiony rzymskie składają się z Rzymian, nie z kapadockich chłopów albo z syryjskich najemników. Jestem pewien, że nie chciałbyś oglądać legionów rzymskich w tej części świata! Jeśli jednak nie wrócisz do kraju i nie zabierzesz swojej armii ze sobą królu Mitrydatesie, zobaczysz rzymskie legiony. Ręczę za to.

- Nie masz prawa tak mówić, bo nie sprawujesz władzy!

- Jestem rzymskim mężem konsularnym. Mam prawo tak mówić i mówię.

Gniew króla wzrastał, ale narastał także strach, co zauważył z zainteresowaniem Mariusz. „Tak trzeba z nimi zawsze!”, pomyślał z triumfem. „Oni są jak te lękliwe zwierzęta, które okazują agresywność, a gdy je pogonić, uciekają z wyciem i z podwiniętym ogonem”.

- Jestem tu potrzebny i moja armia także!

- Nie jesteś. Wracaj do domu, królu Mitrydatesie!

Król zerwał się na nogi z dłonią na rękojeści miecza, a wciąż obecni w sali przyboczni zbliżyli się, czekając na rozkazy.

- Mógłbym cię zabić tu i teraz, Gajuszu Mariuszu! W istocie, chyba to zrobię! Mógłbym cię zabić i nikt nie dowiedziałby się, co się z tobą stało. Odesłałbym twoje prochy w złotej urnie do domu z wyrazami żalu i wyjaśnieniem, że zmarłeś na jakąś śmiertelną chorobę tu w pałacu w Mazace.

- Jak król Ariarates VII? - spytał uprzejmie Mariusz. Siedział wyprostowany na krześle, nie okazując obawy, i niewzruszony. Pochylił się w przód. - Uspokój się, królu! Usiądź i bądź rozsądny. Wiesz doskonale, że nie możesz zabić Gajusza Mariusza! Gdybyś to zrobił, miałbyś rzymskie legiony w Poncie i w



Kapadocji tak szybko, jak tylko to możliwe dla okrętów. - Odchrząknął i ciągnął tonem rozmowy: - Wiesz, że nie mieliśmy porządnej wojny, odkąd pobiliśmy trzy czwarte miliona germańskich barbarzyńców. To był prawdziwy wróg! Nie był jednak bogaty, daleko mu do bogactw Pontu. Łupy, które możemy wywieźć z tej części świata, czynią tę wojnę wysoce pożądaną. Po co więc ją prowokować, królu Mitrydatesie? Wracaj do domu!

I nagle Mariusz został sam, król zniknął, a z nim jego straż przyboczna. Mariusz wstał z namysłem i wyszedł z sali, kierując się ku swej kwaterze z brzuchem pełnym dobrego, prostego jedzenia, właśnie takiego, jakie lubił, i z głową pełną interesujących pytań. Nie miał wątpliwości, że Mitrydates zabierze swą armię do domu, gdzie jednak widział wcześniej noszących togi Rzymian? Gdzie widział Rzymianina w todze z purpurowym szlakiem? Król mógł rozpoznać Gajusza Mariusza, jeśli bardzo stary człowiek wysłał mu wiadomość o nim, ale Mariusz w to wątpił. Nie, król otrzymał oba listy wysłane do Amasei i odtąd starał się unikać spotkania. To oznaczało, że Battakes, archigallos z Pesynuntu, jest szpiegiem Mitrydatydów.

Chociaż nazajutrz wstał wczesnym rankiem, chcąc wyruszyć jak najwcześniej w drogę do Cylicji, nie zdążył spotkać się z królem Pontu. Bardzo stary człowiek powiedział, że król Pontu wyjechał odprowadzić swą armię do kraju.

- A mały Ariarates Euzebes Filopator? Wyjechał z królem Mitrydatesem, czy nadal tu jest?

- Jest tutaj, Gajuszu Mariuszu. Jego ojciec uczynił go królem Kapadocji, musiał więc tu zostać.

- Jego ojciec? - spytał ostro Mariusz.

- Król Mitrydates - wyjaśnił prostodusznie bardzo stary człowiek. Więc to tak było! Nie żaden syn Ariaratesa VI, ale syn Mitrydatesa.

Sprytnie. Nie dość sprytnie jednak.

Gordios spotkał się z nim poza pałacem, cały w uśmiechach i ukłonach. Nie było śladu chłopca.

- Pełnisz więc obowiązki regenta - stwierdził Mariusz, stojąc przy swym nowym koniu, znacznie lepszym niż zwierzę, które przyniosło go tu z Tarsu. Jego słudzy też dosiadali lepszych wierzchowców.

- Dopóki król Ariarates Euzebes Filopator nie dorośnie do rządzenia, Gajuszu Mariuszu.

- Filopator - powiedział Mariusz tonem zadumy. - To znaczy „kochający ojca”. Będzie mu chyba brakowało ojca.

Gordios otworzył szeroko oczy.

- Brakowało ojca? Jego nieszczęsny ojciec umarł, gdy chłopiec był niemowlęciem.

- Nie, Ariarates VI nie żyje od zbyt dawna, by być ojcem tego chłopca - rzekł



Mariusz. - Nie jestem głupcem, książę Gordiosie. Powiedz to swemu panu, Mitrydatesowi. Powiedz mu, że wiem, czym synem jest nowy król Kapadocji. I że będę się przyglądał. - Przyjął pomoc przy wsiadaniu na konia. - Ty, jak sądzę, jesteś raczej prawdziwym dziadkiem chłopca niż dziadkiem całego świata. Jedynym powodem, dla którego pozostawię sprawy w obecnym stanie, jest to, że przynajmniej matka chłopca jest Kapadocjanką - twoją córką, jak sądzę.

Nawet ten sługus całkowicie zależny od Mitrydatesa nie widział sensu w dalszym udawaniu. Skinął głową.

- Moja córka jest królową Pontu, a jej najstarszy syn jest następcą króla Mitrydatesa. Rad więc jestem, że ten chłopiec będzie władał moim ojczystym krajem. Jest ostatnim z rodu, czy raczej jego matka jest ostatnia.

- Nie jesteś księciem krwi, Gordiosie - powiedział pogardliwie Mariusz. - Możesz pochodzić z Kapadocji, ale książęcy tytuł chyba nadałeś sobie sam. Nie czyni to twojej córki ostatnią z rodu. Przekaż to królowi Mitrydatesowi.

- Przekażę, Gajuszu Mariuszu - rzekł Gordios, nie okazując urazy. Mariusz zawrócił konia, a potem zatrzymał go i spojrzał za siebie. - Jeszcze ostatnia sprawa! Uprzątnij pobojuwisko, Gordiosie! Jeśli wy ze wschodu chcecie być uważani za cywilizowanych, zachowujcie się przyzwoicie. Nie zostawia się po bitwie kilku tysięcy trupów, żeby zgniły, nawet jeśli to pogardzani przez ciebie wrogowie. To nie jest dobry wojskowy zwyczaj, to oznaka barbarzyństwa. I jak dotąd tym właśnie jest twój król Mitrydates - barbarzyńcą. Miłego dnia.

I odjechał, a za nim jego towarzysze.

Gordios nie podziwiał śmiałości Mariusza, nie podziwiał też jednak w głębi ducha Mitrydatesa. Z pewnym zadowoleniem zawrócił więc konia i ruszył, by dopaść króla, zanim opuści on Mazakę. Powtórzy każde słowo! I będzie patrzył, jak kłuje ich ukryte żądło. Jego córka rzeczywiście była nową królową Pontu, jego wnuk Farnakes był następcą pontyjskiego tronu. Gordios, jak trafnie odgadł Mariusz, nie był księciem krwi z kapadockiej rodziny królewskiej. Kiedy ten mały król, syn Mitrydatesa, dorośnie do rządzenia - niewątpliwie przy poparciu swego ojca - Gordios zamierzał dopilnować, by otrzymał on świątynne królestwo Ma w Komanie, w kapadockiej dolinie między górnym biegiem rzek Saros i Pyramos. Tam, jako król i kapłan zarazem, będzie bezpieczny i niezwykle potężny.

Nazajutrz znalazł Mitrydatesa obozującego nad rzeką Halys, niedaleko od Mazaki. Powtórzył, co powiedział Gajusz Mariusz - ale nie słowo w słowo. Gordios ograniczył swą opowieść do sprawy uprzątnięcia pobojuwiska. Uznał, że powtarzanie reszty byłoby dla niego zbyt ryzykowne, król był bardzo zły, ale nie robił żadnych uwag, wytrzeszczał tylko oczy i zaciskał pięści.

- A ty uprzątnąłeś to pobojuwisko? - zapytał.

Gordios przełknął ślinę, próbując zgadnąć, jaką odpowiedź chciałby usłyszeć



król, i nie zgadł.

- Oczywiście, że nie, o Wielki.

- Więc co tu jeszcze robisz? Uprzątnij je!

- Wielki królu, on cię nazwał barbarzyńcą!

- Widzę, że nim jestem, według jego pojęcia - rzekł król. - Nie dam mu ponownej okazji. Jeżeli cywilizowanych ludzi poznaje się po marnowaniu wysiłków na rzeczy zbędne w pewnych porach roku, niech tak będzie. My też będziemy marnować nasze wysiłki. Nikt, kto uważa się za cywilizowanego, nie znajdzie w moim zachowaniu niczego, co mu pozwoli nazwać mnie barbarzyńcą!

„Dopóki nie stracisz cierpliwości”, pomyślał Gordios, ale nie powiedział tego głośno. „Gajusz Mariusz ma rację, o Wielki. Jesteś barbarzyńcą”.

I tak pobojuwisko pod Euzebią Mazaka zostało uprzątnięte. Ciała spalono na stosach, a prochy pochowano pod wielkim kurhanem, który jednak wiele tracił, kiedy się go oglądało na tle góry Argajos. Król Mitrydates nie oglądał wykonania swych rozkazów. Odesłał armię do Pontu, sam zaś wyruszył do Armenii, podróżując z niezwykłą okazałością. Jechał z nim prawie cały dwór, z jego dziesięcioma żonami, trzydziestoma nałożnicami i z sześciorgiem najstarszych dzieci. Orszak rozciągał się prawie na milę, na koniach, wozach zaprzęzonych w woły, w lektykach, powozach i z jucznymi mułami. Podróżował w ślimaczym tempie, przebywając dziennie nie więcej niż piętnaście mil, ale za to nieustannie, głuchy na prośby co słabszych jego kobiet o dzień lub dwa odpoczynku. Eskortował go tysiąc wybranych jeźdźców, przepisowa liczba dla królewskiego poselstwa.

Było to bowiem rzeczywiście poselstwo. Armenia miała nowego króla. Ta wiadomość dotarła do Mitrydatesa, kiedy zaczynał swą kampanię w Kapadocji. Natychmiast posłał do Dastejry po wymagane kobiety i dzieci, wymaganych wielmożów, wymagane dary, wymagane stroje i rzeczy. Karawana potrzebowała prawie dwóch miesięcy na dotarcie do rzeki Halys pod Mazaką i przybyła prawie w tej samej chwili co Gajusz Mariusz. Kiedy Mariusz nie zastał króla w mieście, odwiedzał on swój podróżujący dwór nad rzeką Halys.

Mitrydates wiedział jednak o nowym królu Armenii tylko tyle, że był młody, że był prawym synem starego króla Artawazdesa, że miał na imię Tigranes i że od wczesnego dzieciństwa był zakładnikiem na dworze króla Partów. „Król w moim wieku!”, myślał z uniesieniem Mitrydates. „Władca potężnego wschodniego królestwa bez żadnych zobowiązań wobec Rzymu, władca, który może przyłączyć się do Pontu przeciw Rzymowi!”

Armenia leżała wśród rozległych gór wokół Araratu i rozciągała się na wschód do morza zwanego Kaspijskim lub Hyrkańskim. Tradycja i geografia wiązały ją z królestwem Partów, którego władcy nigdy nie okazywali zainteresowania terenem leżącym na zachód od Eufratu.



Najłatwiejsza droga prowadziła wzdłuż rzeki Halys do jej źródeł, potem przez dział wodny do małego królestwa Mitrydatesa zwanego Armenią Mniejszą i nad górny Eufrat, potem zaś przez kolejny dział wodny do źródeł Araksu i w dół do Artaksaty, miasta nad Araksem pełniącego rolę stolicy Armenii. W zimie taka podróż byłaby niemożliwa, tak wysoko położone były najniższe z tych krajów, ale wczesnym latem nie było niczego przyjemniejszego niż jazda przez doliny pełne kwiatów - błękitne od cykorii, żółte od jaskrów i oszałamiająco czerwone od maków. Nie było tu lasów, tylko starannie utrzymywane plantacje drzew sadzonych na drewno opałowe i dla ochrony przed wiatrami. Lato przychodziło tu tak późno, że topole i brzozy stały jeszcze bezlistne, chociaż był już czerwiec.

Nie było tam miast, z wyjątkiem Karany, i było bardzo niewiele wsi. Nawet brunatne namioty koczowników były rzadkością. To oznaczało, że poselstwo musiało wieźć ze sobą zboże, rozjeżdżać się w poszukiwaniu warzyw i owoców i liczyć na mięso kupowane u napotkanych pasterzy. Mitrydates płacił za to, czego sam nie zebrał i pozostał w pamięci prostego ludu jako prawdziwy bóg okazujący niepojętą hojność.

W kwinktylisie dotarli do Araksu i wędrowali jego doliną. Mitrydates skrupulatnie wynagradzał rolnikom szkody wyrządzone przez jego karawanę. Rozmowy prowadzono na migi, bo za Eufratem nie było już ludzi znających choć trochę grekę. Król wysłał przodem do Artaksaty oddział z wiadomością o swym przybyciu i zbliżał się do miasta z uśmiechem na ustach, czując, że długa i trudna pielgrzymka nie będzie daremna.

Tigranes armeński wyjechał we własnej osobie powitać Mitrydatesa pontyjskiego na drodze przed murami. Otaczali go konni kopijnicy, od stóp do głów okryci kolczugami, z tarczami zawieszonymi na plecach. Mitrydates przyglądał się zafascynowany ich wielkim rumakom, również okrytym całkowicie kolczymi kropierzami. A jakież widok przedstawiał sam król, stojący pod frędzlastym parasolem w złocistym czterokołowym wozie ciągniętym przez sześć par białych wołów! Wyglądał jak zjawisko w wyszywanej spódnicy w kolorach ognia i szafranu, w kaftanie z krótkimi rękawami i wysokiej tiarze przewiązanej białą wstęgą diademu.

Mitrydates w pozłocistej zbroi i w lwiej skórze, w greckich butach i z mieczem i pasem do miecza połyskującym w słońcu od klejnotów, zsunął się ze swego wielkiego gniadosza i ruszył naprzeciw Tigranesa, wyciągając ręce. Tigranes zstąpił ze swego wozu i przyjął pozdrowienie. I tak spotkały się ich dłonie, oczy czarne spojrzały w oczy zielone i zawiązała się przyjaźń oparta nie tylko na wzajemnej sympatii. Rozpoznali w sobie sprzymierzeńców i niezwłocznie zaczęli dostosowywać swe potrzeby do możliwości drugiego. Potem obrócili się ku miastu i ruszyli pieszo zapyłoną drogą.

Tigranes miał jasną cerę, ale ciemne oczy i włosy. Długie włosy i brodę nosił



utrefione i przeplecione złotą nicią. Mitrydates spodziewał się kogoś o wyglądzie zhellenizowanego monarchy, ale Tigranes nie miał w sobie nic helleńskiego. Brał przykład z królów partyjskich i stąd jego długie szaty, włosy i broda. Na szczęście jednak mówił doskonałą greką, jak i jego dwaj czy trzej pierwsi dostojnicy. Językiem reszty dworzan i ludności był jakiś dialekt medyjski.

- Nawet w takich miejscach jak Ekbatana czy Suza znajomość greki świadczy o wykształceniu - powiedział Tigranes, kiedy zasiedli na dwóch królewskich krzesłach obok złotego tronu Armenii. - Nie zamierzam cię obrażać, siadając wyżej od ciebie - dodał.

- Przybyłem tu z myślą o traktacie przyjaźni i przymierza z Armenią - wyjaśnił Mitrydates.

Rozmowa prowadzona była bardzo ostrożnie jak na dwóch tak wyniosłych autokratów. Wskazywało to, że bardzo zależało im na zgodzie. Mitrydates był oczywiście potężniejszym władcą, nie miał bowiem nad sobą suzerena, rządził znacznie większym królestwem - i był o wiele bogatszy.

- Mój ojciec pod wieloma względami przypominał królów partyjskich - mówił Tigranes. - Pozabijał jednego po drugim swoich synów, których zatrzymał w Armenii. Ocalałem tylko dlatego, że w wieku ośmiu lat zostałem zakładnikiem na dworze króla Partów. Kiedy później ojciec zachorował, byłem jedynym synem, jaki mu pozostał. Rada Armenii uzyskała u Mitrydatesa partyjskiego moje uwolnienie. Cena była jednak wysoka: siedemdziesiąt dolin armeńskich wzdłuż granicy z Atropatena. Mój kraj stracił część swoich najbogatszych ziem. W tych dolinach płyną złotonośne rzeki, wydobywa się lapis lazuli, turkusy i czarne onyksy. Ślubowałem, że Armenia odzyska te siedemdziesiąt dolin i że znajdę lepsze miejsce pod budowę stolicy niż ta zimna dziura, Artaksata.

- Czy to nie Hannibal brał udział w planowaniu Artaksaty? - spytał Mitrydates.

- Tak mówią - odrzekł krótko Tigranes i wrócił do swoich marzeń o imperium. - Jest moją ambicją rozszerzenie granic Armenii do Egiptu na południu i do Cylicji na zachodzie. Chcę dostępu do Morza Środkowego, chcę szlaków handlowych, chcę cieplejszych ziem, gdzie rośnie zboże. Chcę usłyszeć, jak wszyscy obywatele mego królestwa mówią po grecku...

Urwał i oblizał wargi.

- Czy ci to odpowiada, Mitrydatesie?

- Bardzo mi odpowiada, Tigranesie - odrzekł bez namysłu król Pontu. - Będziesz miał moje poparcie dla twych celów i moich żołnierzy, jeśli mnie poprzysz, kiedy ruszę na zachód odbierać Rzymianom Azję Mniejszą. Możesz zająć Syrię, Komagenę, Osroenę, Sofenę, Gordianę, Palestynę i Nabateę. Ja zajmę całą Anatolię wraz z Cylicją.



Tigranes nie zastanawiał się wcale.

- Kiedy? - spytał ochoczo.

Mitrydates uśmiechnął się i usiadł wygodniej.

- Kiedy Rzymianie będą zbyt zajęci, by zwracać na nas uwagę. Jesteśmy młodzi, Tigranesie. Możemy czekać. Znam Rzym. Prędzej czy później zostanie uwikłany w jakąś wojnę na zachodzie albo w Afryce. Wtedy ruszymy.

Aby przypieczętować układ, Mitrydates przedstawił Tigranesowi swoją najstarszą córkę ze zmarłej królowej Laodike, Kleopatę, piętnastoletnią dziewczynę, proponując mu ją za żonę. Armenia nie miała królowej, przystał więc on chętnie na ten związek. Kleopatra miała zostać królową Armenii, a była to obietnica o wielkim znaczeniu, bo oznaczała, że następcą tronu będzie wnuk Mitrydatesa. Kiedy ta złotowłosa i złotooka dziewczyna ujrzała swego przyszłego męża, wybuchnęła płaczem, tak ją przeraził jego cudzoziemski wygląd. Tigranes zdobył się na ogromne ustępstwo - jak na kogoś wychowanego na wschodnim dworze pełnym prawdziwych i sztucznych bród - zgolił brodę i przyciął włosy. Panna młoda odkryła wtedy, że jest mimo wszystko przystojny. Podała mu rękę i obdarzyła uśmiechem. Oślepiony jej wdziękiem i urodą Tigranes uznał się za bardzo szczęśliwego i chyba po raz ostatni w życiu poczuł coś na kształt pokory.



Gajusz Mariusz był bardzo szczęśliwy, zastając żonę z synem i ich tarsyjską eskortę, bezpiecznych i w dobrym zdrowiu, radujących się życiem wędrownych pasterzy. Mariusz Młodszy nauczył się nawet kilkunastu słów dziwnie brzmiącego języka nomadów i stał się prawdziwym znawcą owiec.

- Uważaj, tato - powiedział, przyproceedziwszy ojca na miejsce, gdzie pasło się jego stadko w ciasnych płaszczkach z kozich skór chroniących ich wełnę. Podniósł kamyk i rzucił nim w bok przewodnika stada. Całe stadko natychmiast przestało się paść i posłusznie ułożyło się na trawie.

- Widziałeś? Wiedzą, że to sygnał, by się kłaść. Czy to nie sprytne?

- Z pewnością. - Mariusz spojrział na syna: tak silnego, pociągającego, opalonego na brąz. - Jesteś gotów do odjazdu, synu?

W wielkich szarych oczach odmalował się zawód.

- Do odjazdu?

- Musimy zaraz ruszać do Tarsu.

Mariusz Młodszy mrugał, powstrzymując łzy i patrząc z czułością na swoje stadko.

- Jestem gotów, tato.

Gdy tylko wyruszyli, Julia podjechała na swym ośle do wysokiego kapadockiego konia Mariusza.

- Można wiedzieć, co cię tak martwi - spytała - i czemu wysłałeś przodem



Morsimosa w takim pośpiechu?

- Kapadocja padła ofiarą zamachu stanu - powiedział. - Mitrydates osadził na tronie swego syna, a regentem mianował teścia. Chłopiec, który był królem, nie żyje. Podejrzewam, że zabił go Mitrydates. Niewiele jednak możemy zrobić w tej sprawie, Rzym i ja. Szkoda.

- Czy widziałeś się z małym królem, zanim zginął?

- Nie, widziałem się z Mitrydatesem.

Julia zadrżała, spoglądając w zaciętą twarz męża.

- Był w Mazace? Jak zdołałeś uciec?

- Uciec? - zdziwił się Mariusz. - Nie musiałem uciekać, Julio. Mitrydates może sobie być władcą wschodniej połowy Morza Euksyńskiego, ale nie ośmieli się targnąć na Gajusza Mariusza.

- Więc czemu tak się śpieszymy? - spytała przytomnie Julia.

- Żeby mu nie dać czasu do namysłu - wyszczerzył zęby jej mąż.

- A Morsimos?

- To proste, *meum mel*. Kazałem mu znaleźć jakiś statek. Odpłyniemy, kiedy tylko będziemy w Tarsie. Spędzimy lato na zwiedzaniu brzegów Cylicji i Pamfilii. Zrobimy wycieczkę w góry, by odwiedzić Olbę. Odmówiłem ci postoju w Seleucji Trachei, kiedy płynęliśmy do Tarsu, ale teraz już się nie śpieszymy. Skoro jesteś z rodu Eneasza, powinnaś odwiedzić potomków Teukra. Podobno w wysokich górach Tauru nad Attaleją jest kilka wspaniałych jezior. Zobaczmy je. Czy to ci odpowiada?

- Ach, tak!



Program został wykonany. Gajusz Mariusz i jego rodzina włączyli się wzdłuż tego słynnego z piękna i odosobnienia wybrzeża aż do stycznia, kiedy dotarli do Halikarnasu. Nie widzieli żadnych piratów, nawet w Korakezjon. Mariusz nie odmówił sobie przyjemności wdrapania się na górzysty cypel ze starą twierdzą piratów i znalazł w końcu sposób jej zdobycia.

Halikarnas wydał się domem Julii i Mariuszowi Młodszemu. Ledwie zeszli ze statku, wyruszyli do miasta, odnawiając znajomość z jego urokami. Mariusz zasiadł do czytania dwóch listów, od Lucjusza Korneliusza Sulli z Hiszpanii Bliższej i od Publiusza Rutyliusza Rufusa z Rzymu.

Gdy Julia weszła do pracowni, siedział nad nimi, marszcząc brwi.

- Złe nowiny? - spytała.

Mars na czole ustąpił miejsca nieco złośliwemu błyskowi w oku, po czym Mariusz zrobił niewinną minę.

- Tego bym nie powiedział.

- Zatem dobre wieści?

- Od Lucjusza Korneliusza wspaniałe. Nasz Kwintus Sertoriusz zdobył wieniec z trawy.



- Ach, Gajuszu Mariuszu, to cudowne!
  - W dwudziestym ósmym roku życia... On jest z Mariuszy, oczywiście.
  - Jak go zdobył?
  - Ratując całą armię przed zniszczeniem. Tylko tak można zdobyć *corona obsidionalis*.
  - Bez żartów, Gajuszu Mariuszu! Wiesz, o co pytam.
- Mariusz ustąpił.
- Zeszłej zimy skierowano jego legion do Kastulo wraz ze wspierającym go legionem Krassusa z Hiszpanii Dalszej. Żołnierze Krassusa chcieli działać na własną rękę i w rezultacie Celtyberowie przeniknęli przez linie obronne. A nasz drogi chłopiec okrył się chwałą! Uratował miasto, uratował oba legiony, zdobył wieniec z trawy.
  - Powinnam mu pogratulować. Zastanawiam się, czy jego matka o tym wie? Czy myślisz, że ją zawiadomił?
  - Chyba nie. Jest zbyt skromny. Napisz do niej.
  - Napiszę. Co jeszcze miał do przekazania Lucjusz Korneliusz?
  - Niewiele - mruknął Mariusz. - Nie jest szczęśliwy, ale nigdy nie był! Nie żałuje pochwał Kwintusowi Sertoriuszowi, ale chyba wolałby sam zdobyć ten wieniec z trawy. Tytus Dydiusz nie pozwala mu dowodzić w polu.
  - Ach, biedny Lucjusz Korneliusz! Dlaczego?
  - Jest zbyt cenny jako planista.
  - Czy nie pisze nic o germańskiej żonie Kwintusa Sertoriusza?
  - Píše, jeśli już o tym mowa. Jest wraz z synem w wielkim warownym mieście Celtyberów o nazwie Oska.
  - A co z jego własną germańską żoną i jej bliźniakami?
- Mariusz wzruszył ramionami.
- Któż to wie? Nigdy o nich nie wspomina.
- Zapadła cisza. Julia patrzyła w okno. Potem powiedziała:
- Chciałabym, żeby o nich mówił. To milczenie nie jest naturalne. Wiem, że nie są Rzymianami, że nie mógłby chyba sprowadzić ich do Rzymu. A jednak... z pewnością żywi wobec nich jakieś uczucia!
- Mariusz wolał tego nie komentować.
- List Publiusza Rutyliusza jest bardzo długi i pełen nowin - powiedział prowokująco.
  - Czy się nadaje dla moich uszu?
  - Jak najbardziej - zachichotał Mariusz. - Zwłaszcza zakończenie.
  - Czytaj więc, Gajuszu Mariuszu! Czytaj!

*Pozdrowienia z Rzymu, Gajuszu Mariuszu. Piszę to w Nowy Rok, a tej mojej przesyłce obiecał bardzo szybką podróż nie kto inny, jak Kwintus Graniusz z Puteoli. Mam nadzieję, że zastanie cię ona w Halikarnasie, ale nawet jeśli nie,*



otrzymasz ją prędzej czy później.

Chyba miło ci będzie usłyszeć, że Kwintus Mucjusz uchronił się przed procesem, głównie dzięki swej elokwencji w senacie i mowom, które wygłosili, popierając go jego kuzyn Krassus Orator i princeps senatu Skaurus. Ten ostatni akceptuje wszystko, co Kwintus Mucjusz i ja działaliśmy w prowincji Azji. Jak się spodziewaliśmy, ze skarbem poszło trudniej niż z publicani. Trzeba przyznać rzymskim ludziom interesu, że zawsze zdołają dostrzec korzyści, a nasze nowe regulacje w Azji są dla nich korzystne. Biadali głównie poborcy podatków, zwłaszcza Sekstus Perkwitienus. Posąg Aleksandra wywieziony z Pergamonu zniknął w tajemniczy sposób z jego perystylu, być może dlatego, że Skaurus wykorzystał to przywłaszczenie do zadania mu w kurii bardzo celnych ciosów. W każdym razie skarb państwa w końcu ustąpił, nie bez zrzędzenia, a cenzorzy unieważnili azjatyckie kontrakty. Od dziś podatki z prowincji Azji mają być ściągane na podstawie wyliczeń przedstawionych przeze mnie i Kwintusa Mucjusza. Nie chcę jednak, żebyś odniósł wrażenie, że wszystko zostało wybaczone przez publicani. Dobrze uregulowaną prowincję trudno wyzyskiwać, a wielu poborców podatków nadal chciałoby to robić. Senat postanowił wysyłać tam jako namiestników wybitniejszych niż dotąd mężów, co pozwoli utrzymać w ryzach publicani.

Mamy nowych konsulów, a są nimi: Lucjusz Licyniusz Krassus Orator i mój drogi Kwintus Mucjusz Scewola. Pretorem miejskim został Lucjusz Juliusz Cezar, który zastąpił tego nadzwyczajnego człowieka nowego, Marka Hereniusza. Nigdy nie widziałem nikogo, kto bardziej zjednałby sobie wyborców niż Marek Hereniusz, chociaż nie pojmuję dlaczego. Wystarczy, żeby zobaczyli Hereniusza, a już zarzynają krzyczyć, by na niego głosować. Twojemu trybunowi ludowemu wcale to nie sprawia przyjemności - mam na myśli Lucjusza Marcjusza Filipa. Kiedy policzono głosy oddane na pretorów, Hereniusz był na początku listy, a Filip na samym końcu - wśród tych sześciu, którzy przeszli. Jakież były jęki i biadania! Tegoroczni kandydaci nie są nawet w połowie tak ciekawi jak zeszłoroczni, kiedy to pretor peregrinus, Gajusz Flakkus, zwrócił na siebie powszechną uwagę, przyznając pełne obywatelstwo rzymskie niejkiej Kallifanie, kapłance świątyni Ceres na Welii. Cały Rzym nadal umiera z ciekawości - za co? - ale tego możemy się tylko domyślać!

Nasi cenzorowie, Antoniusz Orator i Lucjusz Flakkus, zakończyli przyznawanie kontraktów (utrudnione przez działania dwóch ludzi w prowincji Azji, które nieco ich przyhamowały!), potem sprawdzili spisy senatorów i nie znaleźli nikogo zasługującego na skreślenie, a potem spisy rycerzy, z tym samym wynikiem. Teraz mówią o dokładnym sprawdzeniu cenzusu wszystkich Rzymian na całym świecie. Mówią że żaden obywatel rzymski nie wymknie się z ich sieci.

Ten chwalebny cel przyświecał im, gdy rozstawiali swe stanowiska na Polu Marsowym, żeby sprawdzić Rzym. Dla sprawdzenia Italii powołali zdumiewająco



dobrze zorganizowaną armię urzędników, którzy mają odwiedzić wszystkie miasta półwyspu i ustalić cenzus. Pochwalam to, chociaż wielu tego nie akceptuje: stary sposób - obywatele spoza miast są sprawdzani przez dwuumwirów swej gminy, a obywatele z prowincji przez namiestników - był wystarczająco dobry. Antoniusz i Flakkus upierają się jednak, że ich sposób jest lepszy, i z ich punktu widzenia tak rzeczywiście jest. Ja tam myślę, że obywatele z prowincji i tak będą musieli stawić się przed swoimi namiestnikami. Stare zrządy oczywiście przepowiadają, że wyniki będą takie same jak zawsze.

Kilka nowin z prowincji, o których może nie słyszałeś. Król Syrii Antioch VIII Grypos Krzywonos został zamordowany przez swego kuzyna - a może stryja? - a może przyrodniego brata? - Antiocha IX Kyzikenosa. Zaraz potem żona Gryposa, Kleopatra Selene, Egipcjanka, poślubiła jego zabójcę, Kyzikenosa! Zastanawiam się, jak długo płakała między swym owdowieniem i powtórny zamążpójściem. Ta nowina oznacza przynajmniej, że obecnie północna Syria znajduje się pod władzą jednego króla.

Rzym jest bardziej zainteresowany śmiercią jednego z Ptolemeuszy. Ptolemeusz Apion, nieprawy syn starego króla Egiptu Ptolemeusza Brzuchacza, zmarł ostatnio w Cyrenie. Był, jak sobie przypominasz, królem Cyrenajki. Umarł, nie pozostawiając dziedzica. I - nigdy byś nie zgadł! - zapisał w testamencie królestwo Cyrenajki Rzymowi. Stary król Pergamonu Attalos zapoczątkował jakąś modę. Cóż to za miły sposób uzyskania panowania nad światem, Gajuszu Mariuszu - poprzez zapis w testamencie.

Mam nadzieję, że zdecydujesz się wrócić w tym roku do domu! Rzym jest bez Ciebie pusty, a bez Świnki-Szczecinki nie ma nawet na kogo ponarzekać. Przy okazji, krąży tu dziwna plotka - że Świnka-Szczecinka zmarł wskutek otrucia! Jej autorem jest nie kto inny, tylko ten modny lekarz z Palatynu, Apollodor Sycylijszyk. Został wezwany, kiedy Świnka-Szczecinka zachorował. Najwyraźniej nie spodobała mu się ta śmierć, bo prosił o sekcję zwłok. Prosiak odmówił, jego tata Świnka-Szczecinka został spalony na stosie, a prochy złożono w obrzydliwie ozdobnym grobowcu, i to wszystko przed wielu miesiącami. Ale nasz mały Grek z Sycylii przeprowadził dochodzenie i teraz utrzymuje, że Świnka-Szczecinka wypił jakiś paskudny wywar z pestek brzoskwini! Prosiak słusznie powiada, że nikt nie miał motywu, i grozi Apollodorowi sądem, jeśli nie przestanie rozpowiadać, że Świnka-Szczecinka został otruty. Nikt - nawet ja! - nie pomyślał ani przez chwilę, że Prosiak zrobił to swemu tacie, a któż inny mógłby to być, pytam?

Jeszcze ostatni rozkoszny kawałek i dam Ci spokój. To plotka rodzinna, chociaż Rzym już o tym mówi. Kiedy jej mąż wrócił z zagranicy i zobaczył jasnorude włosy swego najmłodszego, rozwiódł się z moją siostrzenicą, oskarżając ją o zdradę!

Opowiem Ci o tym bardziej szczegółowo, kiedy się spotkamy w Rzymie. Złożę ofiarę Larom Permarini za Twój szczęśliwy powrót.



Odłożywszy list, jakby mu palił palce, Mariusz spojrział na żonę.

- I co myślisz o tej wiadomości? Twój brat Gajusz rozwiódł się z Aurelią z powodu zdrady! Najwyraźniej urodziła następnego syna - jasnorudego! Ho, ho! Zgaduj do trzech razy: kto jest ojcem?

Julia siedziała z otwartymi ustami, dosłownie nie znajdując słów. Fala czerwieni zaląła jej twarz i szyję, usta miała zaciśnięte. Potem zaczęła kręcić przecząco głową i robiła to, póki w końcu nie odzyskała mowy.

- To nieprawda! To nie może być prawda! Nie wierzę w to!

- Cóż, dowiadujemy się tego od jej wuja. Spójrz. - Mariusz podał Julii ostatnią część listu Rutyliusza Rufusa. Wzięła od niego zwój i zaczęła czytać, dzieląc nie kończący się szereg liter na słowa głuchym, nienaturalnym głosem. Raz i drugi przeczytała tę krótką wiadomość, po czym odłożyła list.

- To nie o Aurelii - powiedziała stanowczo. - Nigdy nie uwierzę, że mowa o Aurelii!

- A o kim by innym? Jasnorude włosy, Julio! To cecha Lucjusza Korneliusza Sulli, a nie Gajusza Juliusza Cezara!

- Publiusz Rutyliusz ma inne siostrzenice - upierała się Julia.

- W zażyłych stosunkach z Lucjuszem Korneliuszem? Mieszkające całkiem samotnie w najgorszej dzielnicy Rzymu?

- Skąd można wiedzieć? To możliwe.

- Kiedy śwynie będą latać - rzekł Mariusz.

- Co tu ma do rzeczy mieszkanie samotnie w najgorszej dzielnicy Rzymu?

- Łatwo mieć tam potajemny romans. - Mariusz był rozbawiony. - Przynajmniej dopóki nie podrzucisz do rodzinnego gniazda małej rudowłosej kukułki.

- Ach, przestań się w tym pławić! - wykrzyknęła z niesmakiem Julia. - Nie wierzę w to i nie uwierzę. - Coś jeszcze przyszło jej na myśl. - To nie może być mój brat Gajusz. Nie mógł wrócić do kraju, a gdyby tak było, wiedziałbyś o tym. Pracuje przecież dla ciebie. - Patrzyła z groźną miną na Mariusza. - Czyż nie tak, mężu?

- Chyba pisał do mnie do Rzymu - powiedział bez przekonania Mariusz.

- Po tym, jak mu napisałam, że wyjeżdżamy na trzy lata? I podałam nasze miejsca pobytu? Daj spokój, Gajuszu Mariuszu, przyznaj, że to nie może być Aurelia!

- Przyznam wszystko co, zechcesz. - Mariusz zaczął się śmiać. - Ale, Julio, to jest Aurelia!

- Wracam do domu - rzekła Julia, wstając.

- Myślałem, że chcesz płynąć do Egiptu.

- Wracam do domu - powtórzyła. - Wszystko mi jedno, dokąd płyniesz ty, Gajuszu Mariuszu, chociaż wolałabym, żeby to był kraj Hiperborejczyków. Ja



wracam do domu.







LIWIA DRUZA

## II



**J**adę do Smyrny po swoją fortunę - powiedział Kwintus Serwiliusz Cepion do swego szwagra Marka Liwiusza Druzusa, kiedy wracali z Forum Romanum do domu. Druzus zatrzymał się, unosząc spiczastą czarną brew.

- O! Czy myślisz, że to rozsądne? - spytał, a potem ugryzł się w język.

- Co masz na myśli? - Cepion zrobił wojowniczą minę. Ręka Druzusa ścisnęła prawe ramię Cepiona.

- To, co powiedziałem, Kwintusie. Nie zakładam, że twoja fortuna w Smyrnie to Tolosańskie Złoto ani że twój ojciec ukradł Tolosańskie Złoto. Faktem jest jednak, że cały Rzym uważa go za złodzieja, a fortunę złożoną w Smyrnie na twoje nazwisko uważa za Tolosańskie Złoto. Dawniej sprowadzenie tego złota nie groziłoby niczym więcej niż niechętnymi spojrzeniami i złą opinią która zaszkodziłaby ci jedynie w karierze. Dziś mamy jednak na tablicach *lex Semilia Glaucia de repetundis*, nie zapominaj o tym. Minęły czasy, kiedy namiestnik prowincji mógł być zdziercą albo sprzeniewierzać państwowe pieniądze i czuć się bezpiecznie, bo ulokował je na czyjeś nazwisko. Prawo Glaucji przewiduje konfiskatę nielegalnie zdobytych majątków także ich kolejnym właścicielom,



nie tylko winowajcom. Nie pomoże już podstawianie wujka Lucjusza Utracjusza.

- Przypominam ci, że prawo Glaucji nie działa wstecz - powiedział oschle Cepion.

- Wystarczy, że jakiś trybun ludowy o mściwym charakterze wystąpi do Zgromadzenia Plebejskiego o wypełnienie tej właśnie luki, a przekonasz się, że *lex Semilia Glaucia* jednak działa wstecz - stwierdził Druzus. - Pomyśl o tym, bracie Kwintusie! Nie chciałbym ujrzeć mojej siostry i jej dzieci pozbawionych jednocześnie *paterfamilias* i fortuny, ani też nie chciałbym cię ujrzeć siedzącego przez całe lata na wygnaniu w Smyrnie.

- Czemu musieli się zawziąć na mojego ojca? - złościł się Cepion. - Spójrz tylko na Metellusa Numidyjskiego. Wrócił do domu okryty chwałą podczas gdy mój biedny ojciec umarł na wygnaniu!

- Obaj wiemy dlaczego - mówił cierpliwie Druzus, po raz tysięczny życząc sobie w duchu, by Cepion był nieco bystrzejszy. - Przywódcy Zgromadzenia Plebejskiego mogą wybaczyć komuś wysoko urodzonemu wszystko, zwłaszcza gdy minie pewien czas. Tolosańskie Złoto to jednak przypadek wyjątkowy. Zniknęło, gdy było pod opieką twego ojca. Więcej złota, niż ma go w swoim skarbcu Rzym! Kiedy ludzie nabrali przekonania, że zabrał je twój ojciec, poczuli do niego nienawiść nie mającą nic wspólnego z prawem, sprawiedliwością czy patriotyzmem. - Ruszył dalej, a Cepion za nim. - Zastanów się nad tym, Kwintusie, proszę cię! Jeśli przywieziesz do kraju coś więcej niż dziesięć procent wartości Tolosańskiego Złota, cały Rzym zacznie mówić, że twój ojciec jednak je wziął, a ty je odziedziczyłeś.

Cepion zaczął się śmiać.

- Nie zacznie - oświadczył. - Już to przemyślałem, Marku. Zajęło mi to całe lata, ale rozwiązałem ten problem. Naprawdę!

- Jak? - spytał z powątpiewaniem Druzus.

- Przede wszystkim nikt prócz ciebie nie będzie wiedział, dokąd naprawdę wyjechałem i co naprawdę robię. Rzym dowie się - tak jak Liwia Druza i Serwilia Cepionia - że jestem w Galii Zapadańskiej i doglądam tam majątków. Mówię o tym od miesiący, nikt więc nie będzie się dziwił. Rozmyślnie zanudzałem ludzi swoimi pomysłami zakładania całych nowych miast pełnych odlewni metali i wytwarzających wszystko, od pługów do kolczug. Ponieważ interesuje mnie strona własnościowa tego projektu, nikt nie może mi niczego zarzucić jako senatorowi. Niech inni prowadzą odlewnie - wystarczy mi posiadanie tych miast!

Druzus nie słyszał dotąd szwagra mówiącego na ten temat, bo rzadko go w ogóle słuchał. Teraz patrzył nieco zaskoczony.

- Wygląda, że naprawdę zamierzasz to zrobić.

- Ach, bo zamierzam. Te miasta z odlewniami to tylko jedna z wielu rzeczy, w



których chcę ulokować pieniądze z Syrii. Zamierzam inwestować raczej na terytoriach rzymskich niż w samym Rzymie, więc w rzymskich bankach nie pojawią się żadne nowe sumy na moich rachunkach. Chyba też skarb państwa nie będzie dość przenikliwy - i nie będzie miał dość czasu - by zajmować się tym, w kogo, w co i jak inwestuję z dala od Rzymu.

Na twarzy Druzusa pojawiło się zdumienie.

- Kwintusie Serwiliuszu, jestem oszołomiony! Nie posądzałem cię o taką przebiegłość.

- Spodziewałem się, że będziesz oszołomiony - powiedział zadowolony z siebie Cepion, po czym osłabił wrażenie, jakie wywarł, dodając: - Muszę jednak przyznać, że ojciec pisał do mnie krótko przed śmiercią pouczając mnie, co robić. Tam w Smyrnie są ogromne sumy pieniędzy.

- Wyobrażam sobie - rzekł oschłym tonem Druzus.

- Nie, to nie jest Tolosańskie Złoto! - krzyknął Cepion, unosząc ręce. - To fortuna mojej matki i mojego ojca także! Był dość sprytny, by wywieźć swe pieniądze, zanim go postawiono przed sądem, mimo wysiłków tego *cunnus* Norbanusa, by temu zapobiec, takich jak uwięzienie ojca między procesem a wygnaniem. Część tych pieniędzy wracała w ciągu lat do Rzymu, ale nie tyle, by zwrócić uwagę. Dlatego właśnie - jak sam powinieneś wiedzieć - nadal żyję skromnie.

- Rzeczywiście, powinienem wiedzieć - powiedział Druzus, u którego szwagier wraz z rodziną mieszkał od dnia skazania starszego Cepiona. - Jedno mnie tylko zastanawia. Czemu po prostu nie zostawisz swej fortuny w Smyrnie?

- Nie mogę - odrzekł z miejsca Cepion. - Ojciec uważał, że nie byłaby bezpieczna w Smyrnie - ani w żadnym innym mieście Azji z porządnymi bankami, jak Kos, a nawet Rodos. Mówił, że prowincja Azja zbuntuje się przeciwko Rzymowi. Mówił, że przez poborców podatków wszyscy tam nienawidzą Rzymu. Mówił, że wcześniej czy później cała prowincja powstanie.

- Jeśli tak się stanie, szybko ją odzyskamy.

- Tak, wiem o tym! Czy myślisz jednak, że do tego czasu złoto i srebro, monety i kosztowności złożone w Azji będą tam bezpieczne? Mój ojciec mówił, że pierwszym krokiem powstańców będzie splądrowanie świątyń i banków.

Druzus skinął głową.

- Zapewne miał rację. Zamierzasz więc przenieść swe pieniądze. Ale czemu do Galii italskiej?

- Tylko część, tylko część. Część trafi do Kampanii. Część do Umbrii. I część do Etrurii. Są jeszcze takie miejsca jak Massylia, Utyka i Gades - tam ulokuję resztę. Wszędzie aż do zachodniego krańca Morza Środkowego.

- Czemu nie powiesz prawdy, Kwintusie, przynajmniej mnie, twemu podwójnemu szwagrowi? - spytał Druzus nieco znużonym tonem. - Twoja



siostra jest moją żoną a moja siostra jest twoją żoną. Jesteśmy ze sobą związani i nigdy się od siebie nie uwolnimy. Przyznaj się więc, proszę! To jest Tolosańskie Złoto.

- To nie jest Tolosańskie Złoto - powiedział z uporem Cepion.

„Głupiec”, pomyślał Druzus, kierując się do perystylu swego domu, najpiękniejszej rezydencji w Rzymie. „A jednak... On siedzi na złocie, na piętnastu tysiącach talentów złota, które jego ojciec przemycił przed ośmiu laty z Hiszpanii do Smyrny, udając, że zostało zrabowane po drodze z Tolosy do Narbony. Kohorta dzielnych rzymskich żołnierzy zginęła, strzegąc tamtych wozów ze złotem, ale co go to obchodzi? Czy to obchodziło jego ojca, który musiał zorganizować ich masakrę? Oczywiście, że nie! Ich obchodzi tylko cenne złoto. To Serwiliusze Cepionowie, ród rzymskich Midasów. Z umysłowej zapaści można ich wyrwać, jedynie szepcząc: złoto!”

Był styczeń roku, w którym konsulami byli Gnejusz Korneliusz Lentulus i Publiusz Licyniusz Krassus. Drzewa lotosowe w ogrodzie Liwiusza Druzusa stały bezlistne. Wspaniała sadzawka z rzeźbami Myrona i fontannami wciąż jednak była czynna, dzięki doprowadzaniu rurami ciepłej wody. Obrazy Apellesa, Zeuksisa, Timantesa i innych zostały zdjęte z tylnych ścian kolumnady i złożone w magazynie już wcześniej, po tym jak przyłapano córki Cepiona na bazgraniu po nich farbami, zabranymi malarzom odnawiającym freski w atrium. Dziewczynki dostały porządne lanie, ale Druzus uznał za rozsądne usunięcie pokusy. Farby były jeszcze świeże, można więc było je zmyć, któż jednak zaręczy, co się stanie, gdy jego chłopiec będzie nieco starszy? Bezcennej kolekcji lepiej nie wystawiać w domu, gdzie są małe dzieci. Nie przypuszczał, że Serwilia i Serwililla zrobią jeszcze raz coś takiego, ale na pewno będzie tu więcej dzieci.

Miał w końcu własną rodzinę, chociaż nie taką jakiej pragnął, bo nie zanosilo się u niego i Serwili Cepionii na dziecko. Przed dwoma laty adoptował najmłodszego syna Tyberiusza Klaudiusza Nerona, zubożałego jak większość Klaudiuszy i szczęśliwego, że jego najmłodszy będzie dziedzicem fortuny Liwiusza Druzusa. Zwykle adoptowano najstarszego syna, aby nowi rodzice mieli pewność, że dziecko jest zdrowe na ciele i umyśle, rozumne i ma dobry charakter. Serwilia Cepionia, tęskniąca za niemowlęciem, nalegała jednak na adoptowanie niemowlęcia, a Druzus - który przekonał się, że bardzo kocha żonę, chociaż wcale tak nie było, gdy się pobierali - pozwolił jej na to. Własne obawy uspokoił, złożony hojną ofiarę Mater Matuta, aby zjednać sobie pomoc bogini w zapewnieniu prawidłowego rozwoju dziecka.

Kobiety siedziały w salonie Serwili Cepionii obok pokoju dziecinnego i przyszły powitać swych mężów z widocznym zadowoleniem. Choć były tylko szwagierkami, wyglądały jak siostry. Obie wzrostu niskiego, czarnowłose i czarnookie, o drobnych, regularnych rysach. Liwia Druza - żona Cepiona - była



ładniejsza. Nie miała krótkich nóg, rodzinnej przypadłości Druzusów, miała też lepszą figurę, wielkie oczy, odpowiednio rozstawione, i małe usta. Nos był trochę za mały, ale za to nie przesadnie prosty i nieco zadarty na końcu. Miała kremową cerę, była wąska w pasie, a biodra i piersi miała odpowiednio zaokrąglone. Serwilia Cepionia - żona Druzusa - przedstawiała szczuplejszą wersję tego samego typu urody, miała jednak zbyt krótkie nogi i szyję, a jej cerę szpeciły brodawki.

A jednak to Marek Liwiusz Druzus kochał swą mniej urodziwą żonę, a Kwintus Serwiliusz Cepion nie kochał swojej pięknej. Kiedy przed ośmiu laty zawierali razem swe małżeństwa, było inaczej. Choć mężczyźni nie zdawali sobie z tego sprawy, przyczyna leżała w kobietach. Liwia Druza nie znosiła Cepiona i została zmuszona do małżeństwa z nim, podczas gdy Serwilia Cepionia od dzieciństwa kochała się w Druzusie. Jako wysoko urodzone Rzymianki obie były wzorowymi żonami w dawnym stylu - posłusznymi, usługowymi, zrównoważonymi, pełnymi szacunku dla swych mężów. Z upływem lat do ich związków wkradła się znajomość i zażyłość. Obojętność Marka Druzusa stopniała w ciepłe stałego uczucia jego żony, w rosnącym zapale okazywanym przez nią w łóżku, w ich wspólnej trosce z powodu braku dzieci. Tymczasem nieme uwielbienie Kwintusa Cepiona wygasło, stłumione niechęcią żony, narastającym chłodem podczas ich intymnych stosunków, wzajemną urazą o dzieci, mieli bowiem dwie dziewczynki i nic nie wskazywało na pojawienie się liczniejszego potomstwa.

Wizyta w pokoju dzieci była oczywiście obowiązkowa. Druzus zajął się swoim chłopcem o puciołowatej ciemnej buzi, dwuletnim Druzusem Neronem. Cepion skinął tylko głową swoim córeczkom, które tuliły się ze strachu przed nim do ściany i nie odzywały się wcale. Były miniaturowymi kopiami swej matki - tak samo czarnowłose, wielkookie, o usteczkach jak pąki kwiatów - były czarującymi dziewczynkami, ale ich ojciec tego nie widział. Serwilia miała prawie siedem lat i wiele się nauczyła po laniu, jakie dostała za poprawianie konia Apellesa i kiści winogron Zeuksisa. Nigdy jej przedtem nie bito i było to dla niej doświadczenie bardziej poniżające niż bolesne, bardziej drażniące niż pouczające. Lilia natomiast była wcieleniem zwykłej złośliwości. Była niepoohamowana, o silnej woli, agresywna i bezpośrednia. Szybko zapomniała o laniu, pozostał jej jednak po nim zdrowy szacunek dla ojca. Dorośli poszli potem na obiad do *triclinium*.

- Czy Kwintus Popediusz nie przyłączy się do nas, Kratypusie? - spytał Druzus swego rządcę.

- Nic mi nie wiadomo, że nie przyjdzie, *domine*.

- W takim razie zaczekamy. - Druzus celowo zignorował wrogie spojrzenie Cepiona.

Ten jednak nie zamierzał dać się ignorować.



- Czemu znosisz towarzystwo tego okropnego typu, Marku Liwiuszu? Teraz Druzus obdarzył swego szwagra kamiennym spojrzeniem.  
- Niektórzy zadają mi to samo pytanie o ciebie, Kwintusie Serwiliuszu. Liwia Druza stłumiła nerwowo chichot, ale ironia nie dotarła do Cepiona, jak się spodziewał Druzus.

- Cóż, właśnie o to pytałem. Czemu znosisz jego towarzystwo?

- Bo jest moim przyjacielem.

- Raczej twoim krwiopijcą! - parsknął Cepion. - Doprawdy, Marku Liwiuszu, on się tuczy twoim kosztem. Zawsze przybywa bez uprzedzenia, zawsze z prośbą o jakąś przysługę, zawsze narzeka na nas, Rzymian. Co on sobie myśli, że kim jest?

- Myśli, że jest Italczykiem z ludu Marsów - odezwał się wesoły głos. - Przepraszam za spóźnienie, Marku Liwiuszu, ale powinniście zaczynać beze mnie, jak już mówiłem. Moje usprawiedliwienie jest chyba bez zarzutu; stałem sobie bardzo grzecznie, podczas gdy Katulus Cezar udzielał mi długiego wykładu o perfidii Italczyków.

Silon przysiadł na skraju biesiadnego łoża Druzusa, pozwalając niewolnikowi zdjąć sobie buty i umyć stopy, a potem włożyć skarpety. Ułożył się na *locus consularis*, miejscu honorowym po lewej stronie Druzusa. Cepion spoczywał na łożu po prawej stronie Druzusa, mniej honorowym, był bowiem raczej członkiem rodziny niż gościem.

- Znów na mnie narzekasz, Kwintusie Serwiliuszu? - spytał Silon, bynajmniej nie zmartwiony, mrugając przy tym do Druzusa.

Druzus uśmiechnął się szeroko, spoglądając na Kwintusa Popediusza Silona, a w jego oczach malowało się przy tym więcej uczucia, niż było go w chwilach, kiedy patrzył na Cepiona.

- Mój szwagier zawsze na coś narzeka, Kwintusie Popediuszu. Nie zwracaj na to uwagi.

- Nie będę - zapewnił Silon, pozdrawiając skinieniem głowy obie kobiety, siedzące na krzesłach naprzeciw mężów.



Druzus i Silon poznali się na pobojoisku pod Arauzjoną gdzie leżało osiemdziesiąt tysięcy poległych żołnierzy rzymskich i italskich - głównie z winy ojca Cepiona. Przyjaźń, wykuta w niezapomnianych okolicznościach, umacniała się z upływem lat. Łączyła ich też wspólna sprawa - stała troska o los italskich sprzymierzeńców. Silon i Druzus stanowili dość niezwykłą parę, ale żadne narzekania Cepiona - ani pouczenia ze strony niektórych starszych członków senatu - nie zdołały wbić klina między nich.

Italczyk Silon wyglądał jak Rzymianin, a Rzymianin Druzus jak Italczyk. Silon miał odpowiedni kształt nosa, odpowiedni kolor włosów i odpowiednią postawę. Był wysoki, dobrze zbudowany i przystojny, jeśli nie brać pod uwagę



oczu, które były żółtozielone, więc trochę nie na miejscu, i nieco wężowe, bo rzadko mrugał, nie było to jednak niczym szczególnym u Marsów, którzy byli czcicielami wężów i uczyli się od dzieciństwa nie mrugać. Ojciec Silona był kiedyś przywódcą Marsów, a po jego śmierci syn mimo młodego wieku przejął rządy. Bogaty i wykształcony Silon zasługiwał na szacunek tych właśnie Rzymian, którzy - o ile go nie ignorowali - patrzyli na niego z góry i traktowali z wyższością. Kwintus Popediusz nie był bowiem Rzymianinem ani nawet posiadaczem praw latyńskich. Kwintus Popediusz Silon był Italczykiem, a więc istotą niższą.

Pochodził z żyznej wyżyny w środku Półwyspu Italskiego, niezbyt odległej od Rzymu, gdzie wielkie Jezioro Fucyńskie podnosi się i opada w tajemniczym cyklu nie mającym nic wspólnego z rzekami ani z opadami deszczu i gdzie łańcuch Apeninów rozdziela się, otaczając ziemię Marsów. Z wszystkich ludów italskich Marsowie byli najliczniejsi i najlepiej prosperowali. Od wielu wieków byli najwierniejszymi sprzymierzeńcami Rzymu i chlubili się tym, że żaden rzymski wódz nie odniósł nigdy zwycięstwa, nie mając w swej armii Marsów, ani też nigdy nie triumfował nad Marsami. A jednak nawet po upływie tylu wieków Marsowie, jak inne narody italskie, nie zostali uznani za godnych obywatelstwa rzymskiego. W następstwie tego nie mogli ubiegać się o rzymskie zamówienia publiczne, nie mieli prawa zawierać małżeństw z obywatelami rzymskimi ani możliwości apelacji w przypadku skazania. W razie kradzieży zbiorów, mienia czy uprowadzenia ich kobiet nie otrzymywali odszkodowania - jeśli złodziej był Rzymianinem.

Gdyby Rzym pozostawił Marsów samym sobie na ich żyznej wyżynie, wszystkie te niesprawiedliwości mogły być mniej dokuczliwe, ale - jak w innych częściach półwyspu, które nie należały bezpośrednio do Rzymu - w kraju Marsów istniał rzymski implant w postaci kolonii na prawach latyńskich, miasto Alba Fucencja. Alba Fucencja stała się z czasem wielkim miastem, największym w całej okolicy, żyli w niej bowiem pełnoprawni obywatele rzymscy, mogący prowadzić wszelkiego rodzaju interesy z Rzymem, a cała reszta ludności miasta zyskała prawa latyńskie, rodzaj obywatelstwa drugiej kategorii, zapewniającego większość przywilejów oprócz prawa głosu w rzymskich wyborach. Wysocy urzędnicy miejscy otrzymywali automatycznie pełne obywatelstwo dla siebie i swoich bezpośrednich potomków, kiedy obejmowali urzędy. Tak oto Alba Fucencja rozwijała się kosztem starej stolicy Marsów, Marruwium, i nieustannie przypominała o różnicy między Rzymianami a Italczykami.

Dawniej cała Italia ubiegała się o uzyskanie praw latyńskich, a potem pełnego obywatelstwa, bo Rzym pod przewodnictwem światłych ludzi, jak Appiusz Klaudiusz Cekus, uświadamiał sobie konieczność zmian. Kiedy jednak niektóre ludy italskie stanęły po stronie Hannibala w latach, gdy przemierzał on



zbrojnymi marszami półwysep, nastawienie Rzymu zmieniło się i przyznawanie obywatelstwa, a nawet *ius Latii* ustało.

Istniał pewien powód rosnącej emigracji Italczyków do miast rzymskich i latyńskich - i do samego Rzymu. Długie zamieszkiwanie w tych miastach mogło przynieść udział w prawach latyńskich, a nawet pełne obywatelstwo rzymskie. Pelignowie uskarżali się na ubytek czterech tysięcy ludzi, którzy przenieśli się do latyńskiego miasta Fregelle, usprawiedliwiając w ten sposób niedostarczanie Rzymowi żołnierzy.

Od czasu do czasu Rzym próbował jakoś zaradzić masowej imigracji. Wynikiem tego było prawo trybuna ludowego, Marka Juniusza Pennusa, ustanowione w roku poprzedzającym bunt Fregellów. Pennus wydalili wszystkich nie posiadających obywatelstwa z Rzymu i rzymskich miast kolonii. Przy tej okazji wyszedł na jaw skandal, który wstrząsnął Rzymem aż do fundamentów. Konsul sprzed czterech lat, Marek Perperna, okazał się Italczykiem, który nigdy nie uzyskał rzymskiego obywatelstwa!

Natychmiast podniosła się fala reakcji w szeregach ludzi rządzących Rzymem. Jednym z głównych przeciwników awansu Italczyków był ojciec Druzusa, Marek Liwiusz Druzus cenzor, który współdziałał w obaleniu Gajusza Grakcha i jego praw.

Nikt nie zdołałby przewidzieć, że syn cenzora, Druzus - który już za młodu został *paterfamilias*, kiedy jego ojciec zmarł, sprawując urząd cenzora - wyprze się poglądów i nauk swego ojca. Mając nieskazitelny plebejski rodowód, będąc członkiem kolegium pontyfików, niezmiernie bogaty, spokrewniony z patrycjuszowskimi rodami Serwiliuszów Cepionów, Korneliuszów Scypionów i Emiliuszów Lepidusów, młody Marek Liwiusz Druzus powinien stać się podporą skrajnie konserwatywnego skrzydła, które kontrolowało senat - a zatem kontrolowało Rzym. Że się tak nie stało, było sprawą czystego przypadku. Druzus znalazł się jako trybun żołnierski na polu bitwy pod Arauzjoną gdzie patrycjusz i mąż konsularny Kwintus Serwiliusz Cepion odmówił współdziałania z człowiekiem nowym, Gajuszem Maliuszem Maksymusem, w następstwie czego legiony Rzymu i sprzymierzeńców italskich zostały unicestwione przez Germanów w Galii Zaalpejskiej.

Druzus wrócił z Galii Zaalpejskiej bogatszy o przyjaźń marsyjskiego wielmoży, Kwintusa Popediusza Silona, i o świadomość, że ludzie jego klasy społecznej - a zwłaszcza jego teść Cepion - nie mają zrozumienia ani szacunku dla wysiłków żołnierzy, którzy zginęli pod Arauzjoną obojętne czy byli oni dobrze urodzonymi Rzymianami, italskimi posiłkowymi, czy rzymskimi *capite censi*.

Nie oznacza to jednak, że młody Marek Liwiusz Druzus z miejsca stał się prawdziwym reformatorem. Był przecież wytworem swej klasy. Jego udziałem jednak - jak wcześniej wielu rzymskich dobrze urodzonych - stało się



doświadczenie, które zmusiło go do myślenia. Mówiono, że los braci Grakchów został przesądzony, gdy starszy z braci, Tyberiusz - potomek jednego z najwyższych rzymskich rodów - podróżował jako młody człowiek przez Etrurię. Zobaczył wtedy ziemie należące do państwa rzymskiego w rękach garstki bogatych Rzymian, uprawiane przez gromady zakutych w łańcuchy niewolników, zamykanych na noc w haniebnych warunkach w tak zwanych ergastulach. Tyberiusz Grakchus pytał wtedy sam siebie, gdzie się podzieli małorolni Rzymianie, którzy powinni być posiadaczami tych ziem, żyjąc dostatnio i płodząc Rzymowi żołnierzy. Choć Tyberiusz Grakchus był wytworem swej klasy, zaczął myśleć - a jako przedstawiciel swej klasy posiadał silne poczucie sprawiedliwości i ponad wszystko kochał Rzym.



Minęło siedem lat od bitwy pod Arauzjoną, siedem lat, podczas których Druzus wszedł do senatu, służył jako kwestor w prowincji Azji, musiał gościć swego szwagra i jego rodzinę po skazaniu ojca Cepiona, został kapłanem, powiększył swą fortunę, był świadkiem tragicznych wydarzeń, które doprowadziły do zamordowania Saturnina i jego towarzyszy i walczył po stronie senatu przeciw Saturninowi, kiedy ten usiłował zostać królem Rzymu. W ciągu tych siedmiu lat Druzus wiele razy gościł Kwintusa Popediusza Silona, słuchał jego wypowiedzi - i myślał. Pragnął rozstrzygnąć stale powracający problem Italczyków prawdziwie po rzymsku, pokojowo i ku zadowoleniu obu stron. Poświęcał temu skrycie wszystkie swe wysiłki, nie chcąc ujawniać zamiarów, póki nie znajdzie idealnego rozwiązania.

Ku czemu zmierza Druzus, wiedział jedynie Silon, który był niezmiernie ostrożny, zbyt przebiegły i zbyt roztropny, by go ponaglać i wyraźnie przedstawiać swój punkt widzenia, różniący się nieco od punktu widzenia Druzusa. Sześć tysięcy żołnierzy legionu, którym dowodził Silon pod Arauzjoną zginęło prawie do ostatniego, a byli to Marsowie, nie Rzymianie. Marsowie spłodzili ich, Marsowie uzbroili i Marsowie zapłacili za ich utrzymanie w polu. Tego wkładu ludzi, czasu i pieniędzy Rzym nigdy potem nie uznał i nigdy nie starał się wynagrodzić.

Podczas gdy Druzus marzył o nadaniu takich samych praw całemu półwypowi, Silon chciał oddzielenia się od Rzymu i całkowicie niezależnego zjednoczonego narodu Italii. Kiedy zaś powstanie Italia - a Silon ślubował, że powstanie - tworzące ją ludy italskie wydadzą wojnę Rzymowi i wygrają, wchłoną do tego nowego narodu Rzymian wraz z Rzymem i wszystkimi rzymskimi prowincjami.

Silon nie był osamotniony i wiedział o tym. Przez te siedem lat podróżował po całej Italii i Galii italskiej, szukając ludzi o podobnych przekonaniach i odkrywając, że jest ich całkiem sporo. Wszyscy byli przywódcami swych ludów czy narodów i należeli do dwóch rodzajów ludzi. Jedni - jak Mariusz Egnacjusz,



Gajusz Papiusz Mutilus i Poncjusz Telezinus - pochodzili ze starożytnych rodów przewodzących swym narodom. Inni - jak Marek Lamponiusz, Publiusz Wetiusz Skaton, Gajusz Widacyliusz i Tytus Lafreniusz - byli ludźmi nowymi, którzy niedawno doszli do znaczenia. W italskich salach biesiadnych i pracowniach toczyły się rozmowy, a fakt, że prawie wszystkie prowadzono po łacinie, nie wydawał się wystarczającym powodem, by wybaczyć Rzymowi jego zbrodnie.

Pojęcie zjednoczonego narodu italskiego nie było być może nowe, nigdy jednak dotąd nie było rozważane przez przywódców italskich jako realna alternatywa. W przeszłości wszystkie nadzieje wiązano ze zdobyciem pełni rzymskich praw, staniem się częścią Rzymu, który rozciągnąłby się niepodzielnie na całej długości i szerokości Italii. O tyle starszy rangą był Rzym w swej unii z italskimi sprzymierzeńcami, że myśleli oni na sposób rzymski - chcieli przyjąć rzymskie instytucje, chcieli, by ich rody, ich fortuny, ich ziemie stały się równorzędną i pełnoprawną częścią Rzymu.

Niektórzy z uczestników rozmów krytykowali Rzym za Arauzjonę, byli jednak i tacy, którzy potępiali całkowity brak poparcia dla sprawy italskiej w społecznościach na prawach latiońskich. Zaczynały one uważać się za coś lepszego od zwykłych Italczyków. Ich oskarżyciele wytykali im narastające dążenia do ograniczenia zasięgu praw latiońskich i traktowanie części ludności półwyspu jako obywateli drugiej kategorii.

Arauzjona była oczywiście szczytowym punktem całych dziesięcioleci poświęcania życia żołnierzy, w czasie których półwysep stawał się coraz uboższy w ludzi. Towarzyszyło temu opuszczanie lub oddawanie za długi gospodarstw i warsztatów oraz zmniejszanie się liczby dzieci i młodych ludzi zdolnych do ciężkiej pracy. Ofiarę z życia żołnierzy składali też jednak Rzymianie i Latynowie, nie była to więc wyłączna przyczyna istniejącego stanu rzeczy. Była i jątrząca się nienawiść do rzymskich posiadaczy ziemskich - bogaczy mieszkających w Rzymie, którzy w swych rozległych latiofundiach korzystali jedynie z pracy niewolników. Zdarzały się często przypadki poniżania Italczyków przez obywateli rzymskich wykorzystujących swą władzę i wpływy dla wymierzania niezasłużonych kar, zabierania cudzych kobiet i konfiskaty małych gospodarstw dla powiększenia własnych posiadłości.

Nawet dla Silona nie było jasne, co odciągnęło większość zastanawiających się nad secesją Italczyków od zamiaru zmuszenia Rzymu do nadania im pełnego obywatelstwa i co skłoniło ich do stworzenia odrębnego i niepodległego narodu. Jego własne przekonanie, że secesja jest jedynym wyjściem, zrodziło się pod Arauzjoną, ale jego rozmówcy tam nie byli. Być może zdecydowali się na oderwanie od Rzymu po prostu ze znużenia, z przeświadczenia, że minęły czasy, gdy Rzym rozdawał swe cenne



obywatelstwo, i że sytuacja obecna będzie taka sama i w przyszłości. Urazy piętrzące się na stosie krzywd urosły tak bardzo, że życie pod władzą Rzymu wydawało się Italczykom nie do zniesienia.

W Gajuszu Papiuszu Mutilusie, przywódcy Samnitów, znalazł Silon człowieka, który skwapliwie skorzystał z możliwości secesji. Sam Silon nie żywił nienawiści do Rzymian, nie godził się jedynie z położeniem swego narodu, Gajusz Papiusz Mutilus należał jednak do nieprzejednanych wrogów Rzymu. Wrogość ta trwała od czasu, gdy mała rzymska społeczność nad solnym szlakiem Tybru zaczęła pokazywać swe zęby. Mutilus nienawidził Rzymu i Rzymian każdym uderzeniem serca i każdą świadomą i podświadomą myślą. Był prawdziwym Samnitą tęskniącym za dniem, w którym ostatni Rzymianin kiedykolwiek urodzony zniknie z kart historii. Silon był przeciwnikiem Rzymu. Mutilus był wrogiem Rzymu.

Jak wszystkie zgromadzenia, w których wielki wspólny cel przełamuje wszelkie opory i bierze górę nad zdrowym rozsądkiem, Italczycy zgromadzeni, by ustalić, czy da się coś zrobić, szybko zdecydowali, że pozostaje tylko jedno - odłączyć się. Znając Rzym, zdawali sobie sprawę, że Italia nie powstanie bez wojny i dlatego nie myśleli o ogłaszaniu w najbliższych latach deklaracji niepodległości. Zamiast tego przywódcy sprzymierzeńców italskich zajęli się przygotowaniem do wojny z Rzymem. Wymagała ona niezmiernych wysiłków, ogromnych sum pieniędzy - i ludzi, więcej ludzi, niż było w Italii po klęsce pod Arauzjona. Nie ustalono na razie żadnej daty. Italscy chłopcy musieli dorosnąć, a każdy atom energii i każdy grosz miały służyć wytworzeniu broni i zbroi, by wojna z Rzymem - i jej pomyślny wynik - była możliwa.

Niewiele mieli w ręku. Prawie wszystkie straty ponieśli poza Italią, a zbroje i broń poległych nigdy nie wróciły do kraju, głównie dlatego, że to Rzym zbierał je z pobojozisk - i naturalnie zapominał, że należą do sprzymierzeńców. Część broni można było legalnie kupić, ale to o wiele za mało, by uzbroić sto tysięcy ludzi, których, zdaniem Silona i Mutilusa, potrzebowała nowa Italia, by pokonać Rzym. Zbrojenia zatem czyniono ukradkiem i postępowały bardzo wolno. Musiały upłynąć całe lata, zanim cel zostanie osiągnięty.

Na dodatek każde takie przedsięwzięcie trzeba było podejmować pod samym nosem ludzi, którzy mogli natychmiast donieść o nim Rzymianom albo samemu Rzymowi. Nie można było ufać kolonom latyńskim, tak samo zresztą podróżującym obywatelom rzymskim. Składy wyposażenia lokowano więc w ubogich okolicach oddalonych od rzymskich dróg i podróży, i od kolonii latyńskich i rzymskich. Na każdym kroku spotykali przywódcy italscy piętrzące się trudności i niebezpieczeństwa. A jednak zbrojenia postępowały, a ostatnio zaczęło się szkolenie nowych żołnierzy, bo część italskich chłopców dorastała.





Całą tę sekretną wiedzę nosił w sobie Kwintus Popediusz Silon, gdy włączył się do rozmowy przy wieczerzy. Nie czuł się winny i nie czuł niepokoju. Kto wie, może w końcu Marek Liwusz Druzus wymyśli jakieś pokojowe i efektywne rozwiązanie. Zdarzały się dziwniejsze rzeczy!

- Kwintus Serwiliusz opuszcza nas na kilka miesięcy - powiadomił obecnych Druzus, znajdując okazję do zmiany tematu rozmowy.

Silon nie był pewien, czy dojrzał błysk radości w oczach Liwii Druzy. Uważał ją za miłą osobę, chociaż nie umiał odgadnąć, jakiego rodzaju była kobietą - czy lubiła swoje życie, czy lubiła Cepiona, czy lubiła mieszkanie w domu swego brata. Instykt mówił mu, że nie lubiła tego wszystkiego, ale Silon nie miał pewności. A potem zapomniał o Liwii Druzie, bo Cepion mówił o tym, co zamierza zrobić:

- ...zwłaszcza wokół Patawium i Akwilei. Żelazo z Noricum, postaram się o koncesję na żelazo z Noricum, może zaopatrywać odlewnie wokół Patawium i Akwilei. Najważniejsze jest, że te obszary wschodniej Galii italskiej leżą w pobliżu wielkich lasów mieszanych, znakomitych miejsc do wytwarzania węgla drzewnego. Całe lasy brzoź i wiązów czekają tam na wyrąb, jak mi donieśli moi agenci.

- Dostępność żelaza decyduje o sytuowaniu odlewni, to pewne - powiedział Silon, który teraz pilnie słuchał. - Dlatego to Pisa i Populonia stały się ośrodkami metalurgii, nieprawdaż? Bo żelazo przyływało wprost z Ilwy?

- Błędne rozumowanie. - Cepion choć raz stał się wymowny. - W rzeczywistości to dostępność drewna i węgla drzewnego uczyniła Pisę i Populonię ośrodkami metalurgii. Sprawdzi się to jeszcze raz we wschodniej Galii italskiej. Wytwarzanie węgla drzewnego to proces przemysłowy, a odlewnie pochłaniają go dziesięć razy więcej, niż wytwarzają metalu. Dlatego mój plan dla wschodniej Galii italskiej przyjmuje zakładanie zarówno miast wytwarzających węgiel drzewny, jak i stal. Będę kupował ziemie nadające się pod budowę domów i warsztatów, a potem namawiał kowali i węglarzy do osiedlania się w moich miasteczkach. Praca będzie łatwiejsza w otoczeniu podobnych małych przedsiębiorstw, niż byłaby wśród całkiem innych.

- A jeśli dojdzie do ostrej konkurencji i trudno będzie o nabywców? - spytał Silon, skrywając rosnące podniecenie.

- Nie widzę powodu. - Cepion rzeczywiście zapoznał się z przedmiotem i zrobił zadziwiające postępy. - Jeśli na przykład *praefectus fabrum* jakiejś armii potrzebuje, dajmy na to, dziesięciu tysięcy kolczug, dziesięciu tysięcy hełmów, dziesięciu tysięcy mieczów lub sztyletów i dziesięciu tysięcy włóczni, czy nie uda się tam, gdzie może przechodzić z jednego zakładu do drugiego bez potrzeby przeszukiwania stu bocznych uliczek, gdzie kryją się pojedyncze wytwórnie? A czy nie łatwiej będzie komuś, kto posiada małą odlewnię, w której pracuje dziesięciu wolnych i dziesięciu niewolników, sprzedać swoje



wyroby bez zabiegania o nabywców, bo jego klienci będą wiedzieli, gdzie go szukać?

- Masz słuszość, Kwintusie Serwiliuszu - powiedział z namysłem Druzus. - Współczesne armie rzeczywiście potrzebują dziesięciu tysięcy tego czy owego ze stali i zawsze im się śpieszy. Dawniej było inaczej, bo żołnierze byli majątnymi ludźmi. Siedemnastolatek dostawał na urodziny od swego taty kolczugę, hełm, miecz i sztylet, tarczę i włócznię, a od mamy *caligae*, pokrowiec na tarczę, pióropusz i *sagum*. Siostry robiły mu ciepłe skarpety i tkwały sześć czy siedem tunik. Wystarczało mu to do końca życia, a najczęściej, kiedy kończył służbę, przekazywał swój ekwipunek synowi albo wnukowi. Odkąd jednak Gajusz Mariusz rozpoczął zaciągi Policzonych Głowami, dziewięciu na dziesięciu rekrutów nie stać nawet na szalik, żeby chronić szyję przed otarciem od kolczugi, a tym bardziej nie stać ich matek i ojców na ekwipunek. Pojawiły się nagle całe armie rekrutów tak pozbawionych żołnierskiego rynsztunku, jak byli nieliniowi z dawnych czasów. Popyt przewyższył podaż, ale trzeba będzie temu zaradzić! Nie możemy wysyłać legionistów do boju bez należytego ekwipunku.

- To jest odpowiedź na pewne pytanie - rzekł Silon. - Zastanawiałem się, czemu tylu weteranów przychodzi do mnie z prośbą o pożyczkę na założenie kuźni! Masz całkowitą słuszość, Kwintusie Serwiliuszu. Musi przeminąć chyba całe pokolenie, zanim twoje stalownie zaprzestaną produkcji dla wojska. Prawdę mówiąc, jako przywódca swego ludu, łamię sobie głowę, skąd wziąć broń i zbroje dla tych legionów, których z pewnością zażąda od nas Rzym w niedalekiej przyszłości. Ten sam problem muszą mieć Samnici, a zapewne i inne ludy italskie.

- Powinieneś pomyśleć o Hiszpanii - powiedział do Cepiona Druzus. - Wyobrażam sobie, że muszą tam rosnać lasy w pobliżu kopalń rud żelaza.

- Tak, w Hiszpanii Dalszej. - Cepion uśmiechał się z zadowoleniem, bo nagle zaczęto okazywać mu szacunek i zainteresowanie, a było to dla niego nowe doświadczenie. - Stare kartagińskie kopalnie w Orospeida już dawno wyczerpały swoje zasoby drewna, ale wszystkie nowe kopalnie leżą w dobrze zalesionych okolicach.

- Ile to potrwa, zanim twoje miasta zaczną coś wytwarzać? - spytał niedbale Silon.

- W Galii italskiej dwa lata, mam nadzieję. Oczywiście - dodał szybko Cepion - nie będę miał nic wspólnego z produkcją ani z handlem ich wyrobami. Nie zrobię niczego, co mogłoby nie spodobać się cenzorom. Mam zamiar tylko zbudować te miasta, a potem zbierać czynsz; to bardzo odpowiednie zajęcie dla senatora.

- To ci się chwali - rzekł Silon z nutą ironii. - Spodziewam się, że będziesz zakładał swoje miasta w pobliżu lasów, ale i nad rzekami.



- Nad żeglownymi rzekami - potwierdził Cepion.  
- Galowie są dobrymi kowalami - zauważył Druzus.  
- Ale brak im zmysłu organizacji, żeby wykorzystać to jak należy - stwierdził Cepion. - Kiedy zorganizuję ich pracę, będzie im znacznie lepiej.  
- Handel jest twoją mocną stroną Kwintusie Serwiliuszu, to dla mnie jasne - powiedział Silon. - Powinieneś wystąpić z senatu i zostać rycerzem. Mógłbyś wtedy być właścicielem tych odlewni i wytwórni węgla drzewnego.  
- Miałbym się zadawać z ludem? - wzdrygnął się Cepion. - Nie, niech to robią inni.  
- Więc nie będziesz sam odbierał czynszu? - spytał chytrze Silon, patrząc w dół.

- Pewnie, że nie! - wykrzyknął Cepion, chwytając przynętę. - Zakładam w Placencji małą kompanię, której agenci tym się zajmą. Może twojej kuzynce Aurelii wypada samej zbierać czynsz - rzekł do Druzusa - ale ja uważam, że to w złym guście.

Dawniej na każdą wzmiankę o Aurelii Druzusowi ścisnęło się serce, był bowiem jednym z jej najwytrwalszych zalotników, teraz jednak, mając pewność, że kocha żonę, mógł odpowiedzieć szwagrowi z niedbałym uśmiechem.

- Aurelię można mierzyć tylko jej własną miarą. Sądzę, że jej gust jest bez zarzutu.

Przez cały ten czas kobiety siedziały na swych krzesłach, nie biorąc żadnego udziału w rozmowie - nie dlatego, że nie miały nic do powiedzenia, raczej dlatego, że ich do tego nie zachęcano. Przywykły do milczenia.



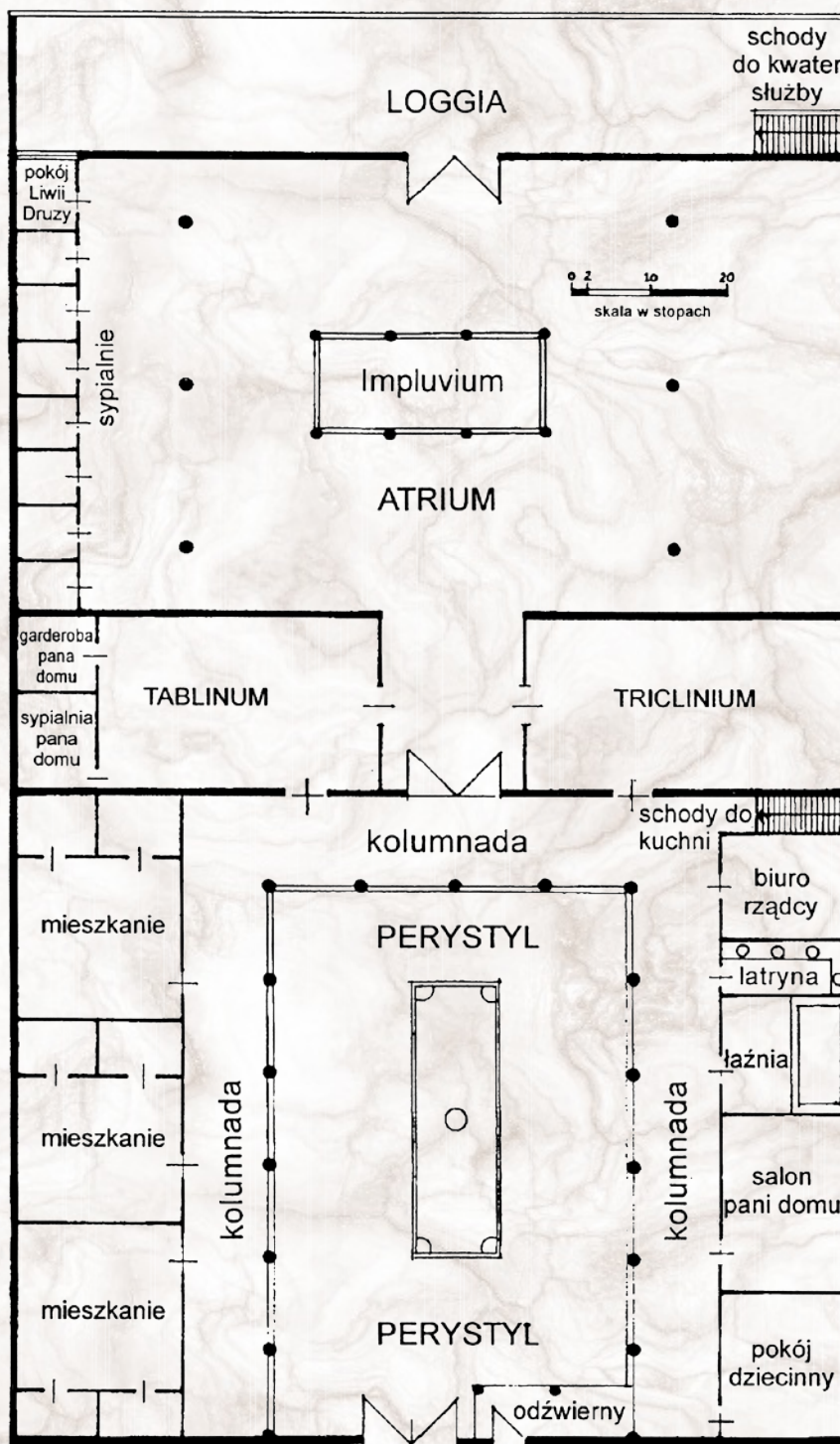
Po obiedzie Liwia Druza przeprosiła szwagierkę, tłumacząc się jakąś pilną pracą i zostawiła ją w pokoju dzieciennym z małym Druzusem Neronem. Było bardzo ciemno i bardzo zimno, kazała więc służącej przynieść sobie pelerynę, zawinęła się w nią i wyszła przez atrium na loggię, gdzie nikt jej nie będzie szukał i gdzie małą godzinę spędzi w spokoju i w samotności. Cudownej, błogosławionej samotności.

Więc on wyjeżdża! Wreszcie wyjeżdża! Nawet gdy pełnił funkcję cenzora, wybierał sobie obowiązki w samym Rzymie. Ani razu przez te trzy lata, które jego ojciec spędził przed śmiercią na wygnaniu, nie wybrał się do Smyrny, by go odwiedzić. Z wyjątkiem krótkiego okresu w pierwszym roku ich małżeństwa, kiedy służył jako trybun żołnierski i przeżył bitwę pod Arauzjoną podejrzanie nietknięty, Kwintus Serwiliusz Cepion nigdy nie oddalał się od żony.

Liwia Druza nie wiedziała i nie chciała wiedzieć, jaki to komar brzęczał mu teraz w głowie, jeśli ten komar naglił go do podróży. Przypuszczalnie trudności finansowe przycisnęły go wystarczająco, by go popchnąć do próby zaradzenia



im, chociaż wiele razy przez minione lata Liwia Druza zastanawiała się, czy jej mąż jest naprawdę tak ubogi, jak opowiada. Zastanawiała się też, jak jej brat może znosić ich towarzystwo. Nie tylko nie miał swobody we własnym domu, ale musiał nawet usunąć swą bezcenną kolekcję obrazów. Jakim wstrząsem byłoby to dla ich ojca! Przecież ojciec zbudował ten ogromny dom głównie po to, by jego dzieła sztuki miały odpowiednią oprawę. „Ach, Marku Liwiuszu, czemu zmusiłeś mnie, żebym za niego wyszła!”



CLIVUS VICTORIAE

Dom Marka Liwiusza Druzusa na Palatynie

Osiem lat małżeństwa i dwoje dzieci nie pogodziło Liwii Druzy z jej losem. Najgorsze były jednak pierwsze lata osuwania się w przygnębienie. Kiedy już



dosięgnęła dna, nauczyła się radzić sobie ze swą niedolą. Nigdy nie zapomniała bratu słów wypowiedzianych, kiedy w końcu złamał jej opór:

- Spodziewam się, że przyjmiesz Kwintusa Serwiliusza jak dziewczyna, której miłe jest małżeństwo. Niech się dowie, że jesteś zadowolona i że będziesz go traktować z szacunkiem i poważaniem. I nigdy, nawet w zaciszu sypialni, nie dasz mu do zrozumienia, że nie jest twoim wybranym.

Druzus kazał jej pójść do kapliczki w atrium, gdzie oddawano cześć bogom domowym, Weście od domowego ogniska, penatom od spiżarni i larowi rodziny, i kazał jej złożyć straszliwą przysięgę, że będzie mu posłuszna we wszystkim. Dawno już oczywiście przestała nienawidzić za to brata. Wydoroślała, a stałe obcowanie z nie znaną jej dotąd stroną Druzusa zrobiło swoje.

Druzus jej dzieciństwa i wczesnej młodości był surowy, wyniosły, obojętny. Ależ się go bała! Dopiero po wygnaniu jej teścia dowiedziała się, jaki naprawdę jest jej mąż. Rozsądek mówił też (bo i ona miała chłodny umysł Liwiuszów Druzusów), że być może Druzus zmienił się po bitwie pod Arauzjona i po tym, jak się rozmiłował w żonie. Z pewnością złagodniał, stał się przystępniejszy, chociaż nigdy nie wspomniał o zmuszeniu jej do poślubienia Cepiona ani nie zwolnił jej z tamtej okropnej przysięgi. Podziwiała go zwłaszcza za jego niezmienną lojalność wobec niej i wobec szwagra. Nigdy nie narzekał na ich pobyt w jego domu. Dlatego właśnie tak ją zaskoczyła dziś wieczorem jego reakcja na krytykę Silona przez Cepiona.

Ależ wymowny był dziś Cepion! Z zapałem przedstawiał swoje działania logicznie i z entuzjazmem. Być może Silon miał rację: może Cepion był stworzony do handlu i powinien być rycerzem, człowiekiem interesu. To, co planował, brzmiało ekscytująco. I zapowiadało korzyści. Jak cudownie byłoby mieszkać we własnym domu! Liwia Druza marzyła o tym.

Głośny wybuch śmiechu dobiegł z czeluści schodów prowadzących z loggii do zatłoczonych kwater służby na niższym poziomie. Liwia Druza wzdrygnęła się, zadrżała, otuliła się ciaśniej, na wypadek gdyby ten hałas zapowiadał pojawienie się służących śpieszących przez loggię do drzwi atrium. I rzeczywiście, wyszła stamtąd grupka ludzi wciąż jeszcze chichoczących i rozmawiających ze sobą po grecku w jakimś dialekcie, tak szybko, że Liwia Druza nie rozumiała, o co chodziło. Byli tak szczęśliwi! Dlaczego? Co mieli takiego, czego nie miała ona? Odpowiedź brzmiała: szansę na wyzwolenie, na obywatelstwo rzymskie i prawo do pokierowania swoim życiem. Im płacono, a jej nie. Mieli przyjaciół i towarzystwo, a ona nie miała. Mogli zawierać między sobą intymne związki bez narażania się na krytykę, a ona nie mogła. Ta odpowiedź nie była całkiem ścisła, ale wcale nie przeszkadzało to Liwii Druzie. Dla niej była to prawda.

Nie dojrzeli jej. Odprężyła się znowu. Ubywający po pełni księżyc wzniósł się



już wystarczająco wysoko, by oświetlić głębiny Rzymu. Obróciła się na marmurowej ławie, oparła ramiona na balustradzie i patrzyła na Forum Romanum. Dom Druzusa stał na narożniku Germalusa Palatynu, gdzie Clivus Victoriae skręcał pod kątem prostym, biegnąc nad Forum Romanum, widok był więc wspaniały. Dawniej rozciągał się na lewo w głąb Velabrum, kiedy tuż obok istniała pusta przestrzeń *area Falacciana*, ale Katulus Cezar wznosił na niej ogromny portyk, którego strzeliste kolumny zasłoniły dawny widok. Poza tym nic się nie zmieniło. Dom Gnejusa Domicjusza Ahenobarba, pontifexa maximusa, nadal sterczał poniżej domu Druzusa, pozwalając jej zaglądać w swoją loggię.

Był to Rzym pozbawiony jaskrawości dnia. Soczyste kolory szarzały teraz i połyskiwały. Miasto nie ucichło jednak; w ciemnych uliczkach migotały pochodnie, a do jej uszu dolatywał turkot wozów i porykiwanie wołów, bo wielu rzymskich kupców i handlarzy korzystało z braku tłoku i o tej porze prowadziło dostawy. Jakaś gromada pijaków przemierzała otwartą przestrzeń dolnego Forum, śpiewając popularną piosenkę o miłości - o czym by innym? Duża grupa niewolników eskortowała szalenie zasłoniętą lektykę między bazyliką Sempronia a świątynią Kastora i Polluksa - niewątpliwie jakaś znakomita pani wracała do domu z przyjęcia. Jakiś polujący kocur wył do księżycy, a tuzin psów zaczął szczekać, co tak bardzo rozbawiło pijaków, że jeden z nich zmylił drogę, gdy omijali czarną nieckę komicjów, i ruszył w dół rzędów wśród krzyków radości przyjaciół.

Oczy Liwii Druzy powędrowały z powrotem ku loggii domu Domicjusza Ahenobarba i zatrzymały się na niej z tęsknotą. Dawno temu, jak się teraz wydawało - w każdym razie przed zamążpójściem - była pozbawiona wszelkiego towarzystwa, nawet towarzystwa rówieśnic, i wypełniała sobie czas czytaniem książek. Zakochała się wtedy w kimś, chociaż nie miała szansy na spotkanie z nim. W tamtych czasach zwykła przesiadywać tu na słońcu i wypatrywać na balkonie domu poniżej wysokiego, rudowłosego młodzieńca, który pociągał ją tak bardzo, że fantazjowała na jego temat, udając, że jest on Odyseuszem królem Itaki, ona zaś wierną królową Penelopą czekającą na jego powrót do domu. Przez całe lata te rzadkie przelotne spojrzenia na niego - bo nie był częstym gościem - wystarczały, by podtrzymywać to intymne, dręczące oczarowanie, stan umysłu, który przetrwał jej zamążpójście i pogłębiał potem jej niedolę. Nie umiała odgadnąć, kim był tamten. Wiedziała tylko, że nie należał do Domicjuszy Ahenobarbów, którzy byli raczej przysadziści, chociaż także rudowłosi, on zaś nie wyglądał jak Ahenobarbus.

Nigdy nie zapomniała dnia, kiedy rozwiały się jej złudzenia. Był to dzień, w którym jej teść został skazany przez Zgromadzenie Plebejskie. Tego dnia rządcą jej brata, Kratypus, przybiegł na drugą stronę Palatynu, zabrał ją wraz z małą Serwilią z domu Serwiliusza Cepiona i przyprowadził tutaj, żeby im



zapewnić bezpieczeństwo. Cóż to był za dzień! Wtedy po raz pierwszy widziała, patrząc na Serwilię Cepionę i Druzusa, jak żona przymila się mężowi, po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że kobiety nie zawsze są wyłączone z poważnych dyskusji rodzinnych, po raz pierwszy skosztowała nie rozcieńczonego wina. A potem, kiedy całe zamieszanie zdawało się cichnąć, Serwilia Cepionia wymieniła nazwisko wysokiego rudowłosego Odyseusza z loggii na dole. Marek Porcjusz Katon Saloński. Nie był królem! Nie był nawet prawdziwym dobrze urodzonym. Był wnukiem tuskulańskiego chłopca i prawnukiem celtyberskiej niewolnicy. Z tą chwilą Liwia Druza stała się dorosła.

- Tu więc jesteś! - rozległ się ostry głos Cepiona. - Co tu robisz na mrozie, kobieto? Wejdz do środka!

Liwia Druza wstała posłusznie i poszła do swego znienawidzonego łóżka.



W końcu lutego Kwintus Serwiliusz Cepion wyruszył w swą podróż, mówiąc Liwii Druzie, że nie powinna spodziewać się jego powrotu wcześniej niż za rok, a może i później. Dziwiła się temu, póki nie wyjaśnił, że lokując cały kapitał w Galii italskiej, powinien przez jakiś czas pozostać tam, nadzorując przedsięwzięcie. Jego życie erotyczne było wypełnione licznymi i długotrwałymi staraniami, pragnął bowiem - jak mówił - mieć syna, a gdyby ona zaszła w ciążę, miałyby zajęcie podczas jego nieobecności. We wcześniejszych latach ich małżeństwa intymne stosunki wręcz ją unieszczęśliwiały, odkąd jednak dowiedziała się, kim jest jej uwielbiany król Odyseusz, stały się jedynie nudną niedogodnością, której nie towarzyszył już wstręt. Nie mówiąc nic mężowi o swoich planach na czas jego nieobecności, pożegnała go, a potem zaczęła tydzień, zanim rozmówiła się z bratem.

- Marku Liwiuszu, mam do ciebie wielką prośbę - zaczęła, zasiadłszy na krześle dla klientów, a potem zrobiła zaskoczoną minę i roześmiała się. - Czy wiesz, że to pierwsza prośba od dnia, gdy namówiłeś mnie do małżeństwa z Kwintusem Serwiliuszem?

Oliwkowa cera Druzusa pociemniała. Spojrzał w dół na swe dłonie złożone razem na stole.

- Osiem lat temu - stwierdził obojętnym tonem.

- Tak, zgadza się. - Znowu się zaśmiała. - Nie przyszłam tu jednak rozmawiać o tym, co było osiem lat temu, bracie. Przyszłam, bo mam do ciebie prośbę.

- Będzie mi bardzo miło, Liwio Druzo, jeśli będę mógł ją spełnić - powiedział wdzięczny za to, że tak łatwo mu wybaczyła.

Wiele razy w przeszłości pragnął usprawiedliwić się przed nią błagać o wybaczenie okropnej pomyłki. On widział, że jest nieszczęśliwa, i musiał przyznać, że właściwie oceniła okropny charakter Cepiona. Duma zamykała



mu jednak usta, a w zakamarkach jego umysłu zawsze majaczyła myśl, że wydając ją za męża za Cepiona, uchronił ją przynajmniej przed zejściem na złą drogę, jak to się stało z jej matką. Ta okropna kobieta nękała go przez całe lata, pojawiając się - przynajmniej w rozmowach towarzyskich - jako cel czyichś żartów, gdy jakiś szczególnie skandaliczny romans zakończył się tak, jak kończyły się wszystkie poprzednie.

- A więc? - zapytał, gdy Liwia Druza nie odzywała się. Zmarszczyła brwi, oblizła wargi i podnosząc swe piękne oczy, spojrzała wprost na niego.

- Marku Liwiuszu, od bardzo dawna mam świadomość, że mój mąż i ja nadużywamy twojej gościnności.

- Mylisz się - pośpieszył z zapewnieniem - ale jeśli w jakiś sposób mimowolnie dałem ci to odczuć, proszę o wybaczenie. Szczerze, siostrze, zawsze byłaś i będziesz mile widziana w moim domu.

- Dziękuję ci. Takie są jednak fakty. Ty i Serwilia Cepiona nigdy nie mieliście okazji zostać sami i może właśnie dlatego ona nie zaszła w ciążę.

Zamrugnął.

- Wątpię.

- A ja nie. - Pochyliła się ku niemu z przejęciem. - Czasy są teraz spokojne, Marku Liwiuszu. Nie sprawujesz urzędu i wystarczająco długo miałeś do czynienia z małym Druzusem Neronem, by znów pomyśleć o własnym dziecku. Tak powiadają stare kobiety, a ja im wierzę.

Wszystko to było zbyt bolesne.

- Przejdźmy do sprawy, proszę!

- Chodzi o to, że na czas wyjazdu Kwintusa Serwiliusza chciałabym przenieść się z dziećmi na wieś. Masz małą willę pod Tuskulum, o pół dnia drogi od Rzymu. Od lat nikt w tym domu nie mieszkał. Proszę, oddaj mi go na jakiś czas, Marku Liwiuszu! Pozwól mi żyć samodzielnie!

Jego oczy badały jej twarz, szukając jakiegoś śladu nieczystych zamiarów. Niczego jednak nie znalazł.

- Czy pytałaś Kwintusa Serwiliusza?

- Oczywiście - odpowiedziała spokojnie Liwia Druza, wciąż spoglądając mu w oczy.

- Nie wspominał mi o tym.

- To dziwne! - uśmiechnęła się. - Ale jakie to do niego podobne!

To go zmusiło do śmiechu.

- Cóż, siostrze, nie widzę przeszkód, skoro Kwintus Serwiliusz się zgodził. Jak powiedziałaś, Tuskulum jest niedaleko od Rzymu. Będę cię miał na oku.

Liwia Druza ze wzruszeniem na twarzy gorąco dziękowała bratu.

- Kiedy chcesz jechać?

Wstała.

- Choćby zaraz. Czy mogę prosić Kratypusa o zorganizowanie wszystkiego?



- Oczywiście - odchrząknął. - Szczerze mówiąc, będzie mi ciebie brak. I twoich córek także.

- Po tym, jak domalowały drugi ogon koniowi i zmieniły winogrona w jabłka?

- Druzus Neron mógłby za parę lat zrobić to samo. Jeśli się zastanowić, mieliśmy szczęście. Farba była jeszcze świeża, więc nic złego się nie stało. Obrazy ojca są bezpieczne w piwnicy i pozostaną tam, póki ostatnie dziecko w tym domu nie dorośnie.

Wstał także i poszli razem pod kolumnadą do salonu pani domu, gdzie Serwilia Cepionia zajęta była tkaniem kołderek na nowe łóżeczko Druzusa Nerona.

- Nasza siostra chce nas opuścić - rzekł Druzus, wchodząc. Nie mogło być wątpliwości co do konsternacji jego żony ani co do jej skrywanego zadowolenia.

- Ach, to bardzo smutne, Marku Liwiuszu! Dlaczego?

Druzus był już jednak w odwrocie, pozostawiając wyjaśnienia siostrze.

- Zabieram dziewczynki do willi w Tuskulum. Będziemy tam mieszkać do powrotu Kwintusa Serwiliusza.

- W willi w Tuskulum? - spytała oszołomiona Serwilia Cepionia. - Ależ, moja droga, to zupełna ruina! Należała chyba do pierwszego z Liwiuszów. Nie ma w niej łaźni ani latryny, ani porządnej kuchni, i jest o wiele za mała.

- Nie szkodzi - odparła Liwia Druza. Ujęła dłoń szwagierki i przytuliła do swego policzka. - Droga pani tego domu, zamieszkałabym nawet w szopie, żeby tylko móc być panią domu! Nie mówię tego, żeby ci sprawić przykrość albo robić wyrzuty. Odkąd zamieszkaliśmy tu z twoim bratem, byłaś wcieleniem uprzejmości. Musisz jednak zrozumieć moje położenie. Chcę mieć własny dom. Chcę mieć służbę, która nie nazywa mnie *dominilla* i która zwraca uwagę na to, co mówię, nie tak jak tu, gdzie znają mnie od dziecka. Chcę mieć kawałek ziemi na spacer, chcę się uwolnić od tego okropnego miasta. Zrozum mnie, proszę, Serwilio!

Dwie łzy stoczyły się po policzkach pani domu, a jej wargi zadrżały.

- Rozumiem.

- Nie smuć się, ciesz się wraz ze mną!

Uścisnęły się w pełnym zrozumieniu.

- Zaraz poszukam Marka Liwiusza i Kratypusa. - Serwilia Cepionia odsunęła swą robotę. - Moim zdaniem, trzeba wynająć budowniczych, żeby przemienić ten zabytek w coś nadającego się do zamieszkania.



Liwia Druza nie chciała jednak czekać. Trzy dni później zabrała swe córeczki, mnóstwo tub z książkami i kilku służących Cepiona i wyruszyła do willi w Tuskulum.



Choć nie odwiedzała jej od dzieciństwa, znalazła ją wcale nie zmienioną. Był to mały, dość ciasny i ciemny dom, otynkowany na żółto, pozbawiony ogrodu godnego tej nazwy, bez wygod i bez perystylu. Jej brat nie tracił jednak czasu, wszędzie pełno było robotników miejscowego budowniczego, który powitał ją osobiście i zaręczył, że za dwa miesiące dom będzie nadawał się do zamieszkania.

Liwia Druza wprowadziła się więc do domu w stanie kontrolowanego chaosu - pełnego pyłu z tynków, łomotu młotków i dźwięku pił, i ciągłego potoku poleceń, i zapytań wykrzykiwanych w prowincjonalnej łacinie Tuskulańczyków, którzy żyjąc o piętnaście mil od Rzymu, rzadko albo wcale go nie odwiedzali. Jej córki zachowywały się w typowy dla siebie sposób; mająca cztery i pół roku Lilia była oczarowana, a opanowana i skryta Serwilia aż nazbyt wyraźnie okazywała swój wstręt dla tego domu, budowniczych i dla swojej matki, niekoniecznie w tej właśnie kolejności. Nastrój Serwili nie rzucał się jednak w oczy, podczas gdy hałaśliwe uczestnictwo Lilii powiększało tylko ogólny chaos.

Powierzywszy córki opiece niani i starego, surowego wychowawcy Serwili, Liwia Druza wyruszyła następnego ranka na przechadzkę po okolicy. Ledwie mogła uwierzyć, że po tak długim uwięzieniu zrzuciła kajdany.

Choć kalendarz wskazywał wiosnę, wokół była głęboka zima. Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus pontifex maximus nie ponaglał kierowanego przez siebie kolegium pontyfików do wypełniania obowiązków i skracania roku kalendarzowego tak, by zgadzał się z porami roku. W Rzymie i w okolicach tegoroczna zima nie była jednak zbyt surowa. Śniegu spadło niewiele, a Tyber nie zamarzał. Nie było mrozu ani ostrych wiatrów, a pod nogami rosła trawa.

Liwia Druza, szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu, przeszła przez pole przy domu, wdrapała się na niski kamienny mur, obesza ostrożnie jakieś zaorane już pole, wspięła się na kolejny kamienny mur i znalazła się na trawiastym pastwisku pełnym owiec w skórzanych płaszczkach. Kiedy próbowała je przywołać, głupie stworzenia uciekły. Wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i poszła dalej.

Za tym pastwiskiem stał pomalowany na biało kamień graniczny, a przy nim wznosiła się kapliczka. Na ziemi widoczne były jeszcze ślady krwi po złożeniu jakiejś ofiary. Na najniższych gałęziach ocieniającego kapliczkę drzewa kołysały się wełniane laleczki, kłębki wełny i główki czosnku. Wyraźne były ślady upływu czasu. Stał też tam gliniany garnek odwrócony do góry dnem. Liwia Druza podniosła go zaciekawiona, a potem szybko upuściła; leżała pod nim wielka martwa ropucha.

Za długo żyła w mieście, by zrozumieć, że wkracza na cudzy grunt - i to należący do kogoś, kto skrupulatnie składał ofiary bogom ziemi i granic. Poszła dalej. Kiedy znalazła pierwszego krokusa, przyklęła, by przyjrzeć się jego



jaskrawożółtym kwiatom, a potem wstała znów, by zapatrzeć się na bezlistne gałęzie drzew, jakby po raz pierwszy widziała drzewa, które stworzono właśnie dla niej.

Dalej był sad, a w nim jabłonie i grusze. Kilka gruszek wisiało jeszcze na gałęziach. Liwia Druza z przyjemnością uległa pokusie, znajdując gruszkę tak soczystą i słodką, że wprost rozpływała się w ustach. Umazała sobie ręce, a słysząc szum płynącej wody, poszła w tę stronę pośród starannie utrzymanych drzew, aż doszła nad strumyk. Woda była lodowata, ale nie przejmowała się tym. Oplukała ręce i śmiejąc się cicho, machała nimi w słońcu, które stało już dość wysoko i grzało. Klęcząc wciąż nad wodą zrzuciła swoją pallę i zwinęła tkaninę w tłumoczek. Wstała - i zobaczyła go.

Najwyraźniej przerwała mu czytanie. W lewej ręce miał zwój, zwinięty, bo całkiem o nim zapomniał, wpatrując się w intruza, który wtargnął do jego sadu. Odyseusz, król Itaki! Widząc jego oczy, Liwia Druza wstrzymała oddech, bo były to oczy prawdziwego króla Odyseusza, wielkie, szare i piękne.

- Witaj! - zawołała, uśmiechając się do niego bez zakłopotania. Oglądany przez tyle lat z jej balkonu wydawał się w tej chwili naprawdę powracającym wędrowcem, człowiekiem, którego znała co najmniej równie dobrze, jak królowa Penelopa znała swojego króla Odyseusza. Zrzuciła sobie zwiniętą pallę na ramię i ruszyła ku niemu, uśmiechając się i wciąż coś mówiąc.

- Ukradłam gruszkę. Była pyszna! Nie wiedziałam, że gruszki mogą tak długo wisieć na drzewach. Wyjeżdżam z Rzymu jedynie latem nad morze, a to nie to samo.

On nie mówił nic. Śledził tylko jej zbliżanie się tymi szarymi, świetlistymi oczami.

„Nadal cię kocham!”, mówiła sobie. „Nadal cię kocham! Nie obchodzi mnie, że jesteś potomkiem chłopca i niewolnicy. Kocham cię. Zapomniałam o miłości jak Penelopa. Ale oto wróciłeś po latach, a ja cię nadal kocham”.

Kiedy się zatrzymała, znalazła się bliżej niego, niż gdyby to było przypadkowe spotkanie dwojga nieznajomych. Czuł bijące od niej ciepło, a wielkie czarne oczy spoglądające teraz w jego oczy, pełne były rozpoznania, miłości, przyzwolenia. Wydawało się całkiem naturalne przysunąć się do niej o kilka cali i wziąć ją w ramiona. Uniosła ku niemu twarz i zrzuciła mu ramiona na szyję. Oboje uśmiechali się przy pocałunku. Starzy przyjaciele, dawni kochankowie, mąż i żona, którzy nie widzieli się przez dwadzieścia lat, rozdzieleni przez bogów i ludzi, triumfalnie znów się połączyli.

Ten pewny, mocny dotyk jego dłoni był rozpoznaniem. Nie musiała mu niczego mówić. Był królem jej serca jak przedtem. Poważnie niczym dziecko, któremu powierzono coś bardzo cennego, odsłoniła i ofiarowała mu swe piersi, obchodziła go, zdejmując mu szaty, gdy rozpościerał na ziemi jej pallę, a potem położyła się przy nim. Drżąc z rozkoszy, całowała go w szyję i ssała



płatek jego ucha. Ujęła w dłonie jego twarz i jeszcze raz znalazła jego usta. Pieściła z błogością jego ciało i mamrotała czułe słówka, natykając się na język.

Owoc, słodki i lepki... cienkie nagie gałązki pośród najbłękitniejszego nieba... nagły ból od szarpnięcia za włosy... jakiś maleńki ptak o nieruchomych skrzydłach przyczepiony do pajęczyny chmur... masa radości walczącej o wyzwolenie, a potem nagle wyrywającej się na wolność, wolnej... ach, w jakiej ekstazie!

Leżeli tak przez całe godziny, grzejąc się dotykiem swoich ciał, uśmiechając się niemądrze do siebie, nie mogąc się sobie nadziwić, wolni od grzechu, zaplątani w rozkoszną sieć wszelkiego rodzaju odkryć.

Rozmawiali też ze sobą. Dowiedziała się, że jest żonaty - z niejaką Kuspia córką dzierżawcy podatków, a jego siostra jest zamężna z Lucjuszem Domicjuszem Ahenobarbem, młodszym bratem pontifexa maximusa. Zapewnienie siostrze posagu było możliwe tylko dzięki jego małżeństwu z Kuspia której ojciec był niezmiernie bogaty. Nie mieli jeszcze dzieci, bo i on nie widział w swej żonie niczego godnego podziwu czy miłości, ona zaś - jak mówił - zaczęła już skarżyć się ojcu, że mąż ją zaniedbuje.

Kiedy Liwia Druza powiedziała mu, kim jest, Marek Porcjusz Katon zamilkł.

- Gniewasz się? - spytała, unosząc się i spoglądając na niego z niepokojem.

Uśmiechnął się i zaprzeczył ruchem głowy.

- Jak mógłbym się gniewać za dar bogów? Posłali cię tu, na ziemię moich przodków, do mnie! Wiedziałem to od chwili, gdy cię ujrzałem nad strumieniem. A to, że jesteś spokrewniona z tyloma wielkimi rodami, jest potwierdzeniem mego szczęścia.

- Czy naprawdę nie miałeś pojęcia, kim jestem?

- Najmniejszego - przyznał. - Nigdy dotąd cię nie widziałem.

- Ani razu? Czy nigdy nie widziałeś mnie na balkonie domu mego brata, kiedy wychodziłeś na balkon Gnejusza Domicjusza?

- Nigdy.

Westchnęła.

- Widywałam cię wiele razy przez wiele lat.

- Cieszę się ogromnie, że spodobało ci się to, co widziałeś.

Wtuliła się w jego ramię.

- Zakochałam się w tobie, kiedy miałam szesnaście lat.

- Jak przewrotni są bogowie! Gdybym spojrział w górę, nie spocząłbym, dopóki bym cię nie poślubił. Mielibyśmy wiele dzieci i żadne z nas nie znalazłoby się w tym okropnym położeniu.

Instynktownie przywarli znów do siebie, czując rozkosz i ból jednocześnie.

- To byłoby straszne, gdyby się dowiedzieli! - wykrzyknęła.

- Tak.

- To nie jest w porządku.



- Nie.

- Więc nie mogą się dowiedzieć, Marku Porcjuszu.

Skrzywił się.

- Powinniśmy być razem, Liwio Druzo, honorowo, a nie jakbyśmy byli winni.

- To jest honorowe - zapewniła go z powagą. - Tylko nasze obecne położenie sprawia, że wygląda to inaczej. Ja nie czuję się winna.

Usiadł, obejmując rękami kolana.

- Ani ja - powiedział i znów wziął ją w ramiona. Trzymał ją tak, dopóki nie zaczęła protestować, bo chciała mu się przyjrzeć. Był pięknie zbudowany, długonogi, miał długie ręce. Jego skóra była jasna i nieowłosiona, a nieliczne włosy na jego ciele miały ten sam ognisty kolor co czupryna. Ciało to było dobrze rozwinięte i muskularne, twarz wyrazista. Prawdziwy król Odyscusz albo raczej jej król Odyseusz.



Opuściła go późnym popołudniem, umówiwszy się z nim na jutro w tym samym czasie i miejscu. Żegnali się tak długo, że gdy wróciła do domu, robotnicy zeszli już z budowy. Jej rządcą Mopsus miał już zamiar wyruszyć na poszukiwania. Była tak szczęśliwa i podniesiona na duchu, że nie docierały do niej tego rodzaju przyziemne sprawy. Stała w gasnącym świetle dnia, mrugając i nie mogąc wymyślić żadnego rozsądnego wytłumaczenia. Jej wygląd był zatrważający. W zwisające w nieładzie włosy wplątały się gałązki i źdźbła trawy. Szaty były poplamione, twarz i ramiona brudne, trzewiki niosła w rękę, a stopy miała uwalane błotem.

- *Domina*, co się stało?! - wykrzyknął rządcą. - Czy aby nie upadłaś?!

To jej przywróciło rozsądek.

- Rzeczywiście, upadłam, Mopsusie - odpowiedziała wesoło. - Upadłam, chyba najniżej jak mogłam, ale żyję.

Otoczona przez cmokające nad nią służące została wprowadzona do domu. Wyciągnięto starą wannę z brązu, ustawiono ją w saloniku i napełniono gorącą wodą. Lilia, zapłakana z powodu zaginięcia mamy, podreptała teraz pod opieką niani zjeść spóźniony obiad. Serwilia poszła jednak za matką nie zatrzymywana przez nikogo, i stała w cieniu, gdy dziewczyna zdejmowała suknię Liwii Druzy, użalając się nad stanem jej ciała, które było brudniejsze niż jej szaty. Kiedy dziewczyna odwróciła się, żeby sprawdzić, czy woda jest dość ciepła, Liwia Druza, naga i nieskrępowana, uniosła ramiona nad głowę, przeciągając się tak wolno i zmysłowo, że stojąca przy drzwiach dziewczynka pojęła na jakimś atawistycznym poziomie świadomości znaczenie tego gestu, które tylko z upływem czasu mogłaby zrozumieć. Ramiona opadły, a dłonie objęły pełne, urocze piersi. Kciuki bawiły się chwilę sutkami, a usta Liwii Druzy uśmiechały się i uśmiechały. Potem weszła do wanny, odwracając się tak, by służąca mogła jej zmyć gąbką plecy. Nie spostrzegła, jak Serwilia



otwiera drzwi i wymyka się nie zauważona.

Przy obiedzie - który Serwilia jadła razem z matką - Liwia Druza paplała radośnie o zjedzonej gruszcze, o pierwszym krokusie, o laleczkach na drzewie przy kapliczce granicznej, o strumyku, a nawet o szczegółach zmyślnego upadku z wysokiego i błotnistej brzegu. Serwilia jadła wybrednie i z obojętną miną. Ktoś obcy mógłby, patrząc na nie, wziąć oblicze matki za twarz szczęśliwego dziecka, a twarz córki za obraz zakłopotanej matki.

- Pewnie dziwi cię, Serwilio, że się z tego cieszę? - spytała matka.

- Tak, to bardzo dziwne - powiedziała spokojnie córka.

Liwia Druza pochyliła się nad stolikiem, przy którym siedziały, i odgarnęła z twarzy córki pasmo czarnych włosów, po raz pierwszy naprawdę zainteresowana tą zmniejszoną kopią siebie samej. Przypomniała sobie własne, samotne dzieciństwo.

- Kiedy byłem w twoim wieku, moja matka mnie nie zauważała. To Rzym był temu winien. Dopiero niedawno zdałam sobie sprawę, że miasto wywiera na mnie taki sam wpływ. Dlatego przeniosłyśmy się na wieś. Chcę tu żyć na własną rękę, dopóki tata nie wróci. Cieszę się z tego, bo jestem tu wolna, Serwilio. Mogę zapomnieć o Rzymie.

- Ja lubię Rzym - powiedziała Serwilia, wytykając język na półmiski. - Wuj Marek ma lepszego kucharza.

- Znajdziemy kucharza, który ci się spodoba, jeśli nie masz większych żartów.

- Ci robotnicy.

- Skończą robotę za miesiąc lub dwa, a potem będzie już spokój. Jutro - tu przypomniała sobie coś, pokręciła głową i uśmiechnęła się - nie, pojutrze pójdziemy razem na przechadzkę.

- Czemu nie jutro? - spytała Serwilia.

- Muszę mieć jeszcze jeden dzień dla siebie.

Serwilia zsunęła się z krzesła.

- Jestem zmęczona, mamę. Czy mogę iść spać?



Tak zaczął się najszcześniejszy rok w życiu Liwii Druzy, czas, w którym nie liczyło się nic prócz miłości, a miłość ta miała na imię Marek Porcjusz Katon Saloński. Odrobinę tego czasu poświęcała Serwili i Lili.

Katon nie spędzał oczywiście większości czasu w swojej tuskulańskiej posiadłości, przynajmniej dopóki nie spotkał Liwii Druzy. Musieli znaleźć sobie bezpieczne miejsce spotkań, gdzie nie mógłby ich zobaczyć jakiś parobek albo pasterz owiec i skąd Liwia Druza nie wracałaby brudna i zaniedbana. Katon załatwił to, eksmitując jakąś rodzinę, żyjącą w odosobnionym domku w jego posiadłości, i oznajmiając światu, że zamierza w tej samotni pisać książkę. Ta książka stała się wygodną wymówką zwłaszcza dla przedłużających się



wyjazdów z Rzymu bez żony. Idąc w ślady dziadka, miał zamiar napisać szczegółowe kompendium wiedzy o wiejskim życiu Rzymian. Książka miała traktować o wszelkiego rodzaju wiejskich czarach, rytuałach, modlitwach, przesądach i zwyczajach o charakterze religijnym. Potem autor miał przejść do wyłożenia nowoczesnych zasad uprawy roli. Nie dziwiło to nikogo, zważywszy na pochodzenie Katona.

Kiedy tylko bawił w Tusculum, spotykali się co rano o tej samej porze. Był to prywatny czas Liwii Druzy, bo dziewczynki miały wtedy lekcje. Rozstawali się - nie bez bólu - w południe. Nawet gdy Marek Liwiusz Druzus przyjechał sprawdzić, jak sobie radzi siostra i jak postępuje renowacja jego wiejskiego domu, Liwia Druza nie przerwała swych „przechadzek”. Była tak wyraźnie i tak zwyczajnie szczęśliwa, że Druzus mógł tylko pochwalić zdrowy rozsądek, jaki wykazała, przenosząc się tutaj. Gdyby zdradzała oznaki nerwowości albo poczucia winy, mógłby się zastanawiać. Nie okazywała jednak, bo myślała o swym związku z Katonem jako o czymś słusznym i właściwym, i o czymś, co jej się należało.

Były naturalnie trudności, zwłaszcza na początku. Dla Liwii Druzy główną przeszkodą okazało się wątpliwe pochodzenie jej ukochanego. Nie martwiła się już tak bardzo jak wtedy, gdy opowiedziała jej o nim Serwilia Cepionia, ale wciąż ją to gryzło. Była na szczęście zbyt rozumna, by otwarcie poddawać próbie jego cierpliwość. Szukała sposobności, by poruszyć ten temat, nie dając mu odczuć, że patrzy na niego z góry, choć oczywiście patrzyła. Ach, ale bez wyższości i bez niechęci! Żałowała tylko, że on nie uczestniczy w błogim poczuciu bezpieczeństwa, jakie daje nieskazitelne pochodzenie.

Jego dziadkiem był sławny Marek Porcjusz Katon Cenzor. Bogaty lатыński ród Porcjuszów Prisków już od kilku pokoleń przed urodzeniem się Katona Cenzora posiadał prawo utrzymywania państwowego konia rycerstwa rzymskiego. Chociaż mieli pełne obywatelstwo i status rycerzy, woleli mieszkać w Tusculum, a nie w Rzymie, i nie mieli ambicji politycznych.

Szybko przekonała się, że jej ukochany wcale nie uważał swego pochodzenia za wątpliwe. Wyjaśnił jej to następująco:

- Cały ten mit wziął się z przekory mego dziadka. Udawał chłopca od czasu, gdy jakiś wyrafinowany patrycjusz wydrwił go, siedemnastolatka, kadeta w wojnie z Hannibalem. Rola chłopca odpowiadała mu tak bardzo, że nigdy z niej nie wyszedł. Uważam, że miał prawo tak postępować. Ludzie nowi przychodzą i odchodzą i zostają zapomniani, ale nikt nigdy nie zapomni Katona Cenzora!

- To samo można by powiedzieć o Gajuszu Mariuszu - zaryzykowała Liwia Druza.

Jej ukochany odskoczył, jakby go ugryzła.

- O nim? Przecież to prawdziwy człowiek nowy - prawdziwy chłop! Mój dziadek miał przodków! On zaś jest tylko człowiekiem nowym, który pierwszy



w swej rodzinie wszedł do senatu.

- Skąd wiesz, że twój dziadek tylko udawał chłopca?

- Z jego prywatnych listów. Przechowujemy je.

- Czy nie należą się one drugiej gałęzi waszej rodziny? Tamci mają prawo starszeństwa.

- Potomkowie Licynii? Nie mów mi o nich - rzekł Katon z niesmakiem. - To nasza salońska gałąź zajaśnieje, gdy przyszli historycy będą pisać o Rzymie tych czasów. To my jesteśmy prawdziwymi dziedzicami Katona Cenzora. My nie zadzieramy nosa i nie pysznią się, my oddajemy cześć Katonowi Cenzorowi takiemu, jakim był - wielkiemu mężowi.

- Udajacemu jednak chłopca.

- To prawda. Był szorstki, szczery, wymowny, staroświecki - prawdziwy Rzymianin - mówił Katon z błyszczącymi oczami. - Czy wiesz, że pił to samo wino, które pili jego niewolnicy? Nie tynkował budynków w swoich willach. Nie używał purpurowych tkanin ani kobierców w rzymskim domu i nie kupował drogich niewolników. My, salońscy, jesteśmy wierni tradycji i żyjemy tak samo jak on.

- O bogowie! - powiedziała Liwia Druza.

On jednak nie zwrócił uwagi na ten wyraz konsternacji. Był zbyt zajęty wyjaśnianiem swej ukochanej małej Liwii, jak wspaniałym człowiekiem był Katon Cenzor.

- Czy mógł być prawdziwym chłopcem, jeśli był najlepszym przyjacielem Waleriusza Flakkusa, a po przeniesieniu się do Rzymu został największym mówcą i adwokatem wszech czasów? Dziś nawet najwybitniejsi znawcy tej dziedziny, jak Krassus Orator i Mucjusz Scewola Augur, przyznają że jego retoryka nie miała sobie równych i że nikt nigdy lepiej od niego nie stosował aforyzmów i hiperboli. A spójrz na jego pisma! Są wspaniałe! Mój dziad miał pierwszorządne wykształcenie, a pisał i mówił łaciną tak przemyślaną, że nie musiał korzystać z notatek.

- Widzę, że będę musiała sięgnąć do jego dzieł - stwierdziła bez entuzjazmu Liwia Druza. Jej nauczyciel uważał Katona Cenzora za niegodnego uwagi.

- Zrób to! - powiedział z entuzjazmem Katon, obejmując ją ramionami i przyciągając do siebie. - Zaczynaj od *Carmen de Moribus*, a zrozumiesz, jaki to był człowiek: wzór moralności, prawdziwy Rzymianin. Został pierwszym Porcjuszem, którego nazwano Katonem - do jego czasów Porcjusze używali przydomka Pryskus. Czy ci to nie mówi, jak stary jest nasz ród, skoro nosił nazwę „Stary”? Mojemu prapradziadowi zapłacono aż za pięć koni państwowych, które zabito pod nim, gdy walczył za Rzym!

- Nie przeszkadza mi Pryskus ani Katon, tylko „saloński”. Saloniusz był celtyberskim niewolnikiem, nieprawdaż? Tymczasem starsza gałąź chlubi się pochodzeniem od szlachetnej Licynii, od trzeciej córki Emiliusza Paulusa i od



najstarszej Kornelii Scypiona.

Katon zachmurzył się. Ta wypowiedź zdawała się świadczyć o właściwym Liwiuszom snobizmie. Patrzyła jednak na niego z uwielbieniem szeroko otwartymi oczami, on zaś był w niej zakochany. Nie było jej winą, że nie otrzymała właściwych informacji o Porcjuszach Katonach. To on powinien ją nawrócić.

- Na pewno znasz historię Katona Cenzora i Salonii - powiedział, opierając podbródek na jej ramieniu.

- Nie, nie znam, *meum mel*. Opowiedz mi ją, proszę.

- Otóż mój dziadek ożenił się po raz pierwszy dopiero w wieku czterdziestu dwóch lat. Był już przedtem konsulem, odniósł wielkie zwycięstwo w Hiszpanii Dalszej i odprawił triumf. Nigdy nie chodziło mu o zyski. Nigdy nie brał swojej części zdobyczy ani nie sprzedawał jeńców na własny rachunek. Oddawał wszystko żołnierzom, a ich potomkowie nadal go za to kochają - mówił Katon, tak rozkochany w swoim dziadku, że zapomniał, o czym miał opowiadać.

Pośpieszyła z przypomnieniem.

- Miał więc czterdzieści dwa lata, kiedy ożenił się ze szlachetną Licynią.

- Zgadza się. Miał z nią tylko jednego syna, Marka Licyniana, chociaż był do niej bardzo przywiązany. Nie wiem, czemu nie mieli więcej dzieci. W każdym razie Licynia zmarła, gdy mój dziadek miał siedemdziesiąt siedem lat. Po jej śmierci wziął sobie dziewczynę do łóżka, jedną z domowych niewolnic. W jego domu mieszkał naturalnie jego syn Licynianus i jego synowa, wysoko urodzona pani, o której wspominałaś. Byli oburzeni jego postępkami. Zdaje się, że nie robił z tego tajemnicy i pozwalał tej niewolnicy zachowywać się, jakby była panią. Wkrótce mówił o tym cały Rzym, bo Marek Licynianus i Emilia Tercja rozpowiadali o tym każdemu. Każdemu z wyjątkiem Katona Cenzora, ale on oczywiście dowiedział się, co rozpowiadają. Zamiast spytać ich, czemu nie przyszli ze swymi pretensjami do niego, odprawił po cichu któregoś dnia tę dziewczynę i poszedł na Forum, nic im nie mówiąc.

- Coś takiego! - wykrzyknęła Liwia Druza.

Katon wolał nie komentować jej słów i ciągnął:

- Otóż Katon Cenzor miał klienta wyzwoleńca, Saloniusza, Celtybera z Salony, który był kiedyś jego niewolnikiem.

- Hej tam, Saloniuszu! - przywołał go mój dziadek na Forum. - Czy już znalazłeś męża dla swojej ślicznej córki?

- Cóż, jeszcze nie, *domine* - odpowiedział Saloniusz - ale bądź pewien, że gdy znajdę dla niej kogoś dobrego, przyprowadzę ci go i poproszę o twoją ocenę i radę.

- Nie musisz dłużej szukać - rzekł mój dziadek. - Mam dla niej dobrego męża, istnego księcia z bajki! Piękna fortuna, nieskazitelna reputacja, znakomita rodzina - wszystko godne pożądanego! Z wyjątkiem... cóż, obawiam się, że jest



niemłody. Zdrów jak ryba, nie ma obawy! Nawet przy najlepszych chęciach trzeba jednak powiedzieć, że jest stary.

- *Domine*, jeżeli ty go wybrałeś, jak mógłby mi nie odpowiadać? - spytał Saloniusz. - Moja córka urodziła się, gdy byłem twoim niewolnikiem, a jej matka także była twoją niewolnicą. Kiedy włożyłeś mi na głowę czapkę wyzwolenca, wyzwoliłeś w swej dobroci całą mą rodzinę. Moja córka jest ci jednak nadal coś winna - jak i ja, moja żona i mój syn. Nie obawiaj się, Salonia to dobra dziewczyna. Wyjdzie za każdego, kogo zechcesz jej znaleźć, mniejsza o jego wiek.

- To wspaniale, Saloniuszu! - zawołał mój dziadek, klepiąc go po plecach. - On to jestem ja!

Liwia Druza poruszyła się.

- To zła gramatyka - powiedziała. - Sądziłam, że łacina Katona Cenzora była bez zarzutu.

- *Mea vita, mea vita*, czy nie masz wcale poczucia humoru? - zdziwił się Katon. - On żartował! Chciał to wyjaśnić, to wszystko! Saloniusz był oczywiście oszołomiony. Nie mógł uwierzyć, że proponują mu związek ze szlachetnym rodem, który chlubi się cenzorem i triumfem!

- Nie dziwię się, że był oszołomiony.

Katon ciągnął spieszenie:

- Mój dziadek zapewnił Saloniusza, że mówi poważnie, sprowadzono Salonię i od razu zawarto małżeństwo, bo dzień był pomyślny. Kiedy jednak Marek Licynianus usłyszał o tym godzinę czy dwie później - ta wieść obleciała już cały Rzym! - zebrał swych przyjaciół i poszli całą gromadą do Katona Cenzora.

- Czy dlatego, że nie pochwalam twego związku z niewolnicą, chcesz przynieść wstyd naszemu domowi, dając mi taką macochę? - Licynianus był bardzo rozgniewany.

- Chyba nie przyniosę ci wstydu, mój synu, jeśli wykażę się męskością płodząc synów w moim podeszłym wieku? - spytał wyniośle mój dziadek. - Chciałbyś mnie ożenić z kobietą wysokiego rodu, gdy bliżej mi do osiemdziesiątki niż siedemdziesiątki? To nie byłby odpowiedni związek. Żeniąc się z córką mego wyzwolenca, zawieram związek stosowny do mego wieku i potrzeb.

- Coś niebywałego! Zrobił to oczywiście na złość Licynianowi i Emilii Tercji - stwierdziła Liwia Druza.

- Tak myślimy my, salońscy - przyznał Katon.

- I wszyscy mieszkali nadal w tym samym domu?

- Oczywiście. Marek Licynianus zmarł jednak wkrótce potem - ludzie mówili, że serce mu pękło. Emilia Tercja została wtedy sama z teściem i jego nową żoną Salonią i zasłużyła sobie na to, moim zdaniem. Widzisz, nie mogła wrócić do siebie, bo jej ojciec już nie żył.



- A Salonia urodziła twego ojca?
- Właśnie tak - potwierdził Katon Saloński.
- Czy cię to nie boli, że jesteś wnukiem kobiety urodzonej jako niewolnica?
- Co ma boleć? Wszyscy jakoś tam zaczynaliśmy! Zdaje się, że cenzorzy zgodzili się ze zdaniem Katona Cenzora, który utrzymywał, że jego krew jest dość szlachetna, by uszlachetnić krew każdej niewolnicy. Nigdy nie próbowali wykluczyć salońskich z senatu. Saloniusz pochodził z dobrego galickiego rodu. Gdyby był Grekiem... mój dziad nigdy by tego nie zrobił! Nie znosił Greków.
- Czy tynkujesz swoje budynki? - spytała Liwia Druza, zaczynając ocierać się biodrami o Katona.
- Oczywiście, że nie - odpowiedział, oddychając coraz szybciej.
- Teraz wiem, czemu pijemy takie okropne wino.
- *Tace*, Liwio Druzo! - rzekł Katon, przewracając ją na plecy.



Uczestnictwo w miłości tak wielkiej, że uważa się ją za doskonałą prowadzi zwykle do niedyskrecji, do nieostrożnych uwag i w końcu do jej wykrycia, ale Liwia Druza i Katon Saloński nadzwyczaj skutecznie ukrywali swój romans. W Rzymie oczywiście sprawy miałyby się inaczej, ale szczęśliwie senne Tuskulum nie zwracało uwagi na to, co w Rzymie byłoby soczystym skandalem rozgrywającym się na oczach wszystkich.

Po kilku tygodniach Liwia Druza odkryła, że jest w ciąży. Wiedziała, że nie jest to dziecko Cepiona. W dniu, w którym Cepion opuścił Rzym, przechodziła miesiąckę. Dwa tygodnie później leżała w ramionach Marka Porcjusza Katona, a kiedy przyszedł stosowny czas, nie pojawiło się krwawienie. Dwie poprzednie ciąży zaznajomiły ją z innymi oznakami tego stanu, które się teraz pojawiły. Miała zamiar urodzić to dziecko swego kochanka Katona, nie zaś swego męża Cepiona.

Postanowiła nie ukrywać swego stanu. Była spokojna, bo współzycie z Cepionem i Katonem zbiegło się w czasie. Co by się stało, gdyby nie upadła tak szybko? Ach, lepiej o tym nie myśleć!

Druzus oznajmił, że się bardzo cieszy, Serwilia Cepionia również. Lilia uważała, że mały braciszek to świetna zabawa, natomiast Serwilia była jeszcze sztywniejsza niż zwykle.

Trzeba było oczywiście powiedzieć Katonowi - ale ile i co właściwie powiedzieć? Trzeźwy umysł Liwii Druzy doszedł do głosu. Usiadła, żeby przemyśleć sprawę. Byłoby okropnie oszukiwać Katona, gdyby to miał być syn. A jednak... A jednak... Dziecko urodzi się niewątpliwie przed powrotem Cepiona i cały świat uzna je za dziecko Cepiona. A gdyby to był chłopiec, gdyby nosił nazwisko Kwintusa Serwiliusza Cepiona - zostałby dziedzicem Tolosańskiego Złota. Całych piętnastu tysięcy talentów. Byłby najbogatszym człowiekiem w Rzymie i posiadaczem świetnego nazwiska. Daleko



światniejszego niż Katon Saloński.

- Będę miała dziecko, Marku Porcjuszu - oznajmiła Katonowi, kiedy znów spotkali się w dwupokojowym domku, który przywykła już uważać za swój prawdziwy dom.

Raczej zaniepokojony niż uradowany wpatrywał się w nią uważnie.

- Moje czy twego męża? - spytał.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Szczerze mówiąc, nie wiem. Wątpię, czy się tego dowiem, kiedy on się w końcu urodzi.

- On?

- To chłopiec.

Katon oparł się o wezgi, zamknął oczy i zacisnął swe piękne usta.

- Mój - powiedział.

- Nie wiem.

- Więc pozwolisz wszystkim wierzyć, że to syn twego męża.

- Chyba nie mam innego wyboru.

Otworzył oczy i obracając głowę, spojrzał na nią ze smutkiem w twarzy.

- Żadnego, wiem. Nie mogę się z tobą ożenić, nawet gdybyś miała okazję do rozwodu. Nie będziesz zaś jej miała, chyba że twój mąż wróci wcześniej, niż myślisz, w co wątpię. Jest w tym wszystkim jakiś plan. Bogowie się śmieją.

- Niech się śmieją! W końcu to my, ludzie, wygrywamy, a nie bogowie - powiedziała Liwia Druza i przysunęła się, by go pocałować. - Kocham cię, Marku Porcjuszu. Mam nadzieję, że jest twój.

- Mam nadzieję, że nie jest - odrzekł Katon.



Stan Liwii Druzy nie wpłynął na porządek jej zajęć. Nadal chodziła na swoje poranne spacerunki, a Katon Saloński spędzał znacznie więcej czasu w starym domu swego dziadka pod Tuskulum niż kiedykolwiek przedtem. Kochali się namiętnie i bez żadnych względów dla płodu skulonego w jej łonie, bo gdy Katon się wahał, Liwia Druza utrzymywała, że nadmiar miłości nie może zaszkodzić dziecku.

- Czy nadal wolisz Rzym od Tuskulum? - spytała swą córeczkę Serwilię pewnego pięknego dnia w końcu października.

- O tak - odrzekła Serwilia, która w ciągu minionych miesięcy okazała się twardym orzechem do zgryzienia; nigdy nie szukała zbliżenia, nigdy nie zaczynała rozmowy, a na pytania matki odpowiadała tak krótko, że rozmowa przy obiedzie była przeważnie samotnym wysiłkiem Liwii Druzy.

- Dlaczego, Serwilio?

Serwilia spojrzała na pokaźny brzuch matki.

- Przede wszystkim, tam są dobrzy lekarze i położne.

- Ach, nie martw się o dziecko! - zawołała Liwia Druza i roześmiała się. - On jest bardzo zadowolony. Nie będzie z nim kłopotu, kiedy przyjdzie czas. Mam



jeszcze przynajmniej miesiąc.

- Czemu ciągle mówisz „on”, mammo?

- Bo wiem, że to chłopiec.

- Nikt tego nie może wiedzieć, zanim dziecko się nie urodzi.

- Mała cyniczka z ciebie - powiedziała rozbawiona Liwia Druza. - Wiedziałam, że ty będziesz dziewczynką i wiedziałam, że Lilia będzie dziewczynką. Dlaczego nie miałabym wiedzieć i tym razem? Noszę go inaczej i on inaczej do mnie przemawia.

- Przemawia do ciebie?

- Tak. Wy też mówiłyście do mnie, kiedy byłyście w moim łonie.

Obdarzono ją za to szyderczym spojrzeniem.

- Dziwna jesteś, mammo, naprawdę! I robisz się coraz dziwniejsza. Jak może dziecko mówić do ciebie, będąc w tobie, kiedy dzieci nie mówią przynajmniej przez rok po urodzeniu?

- Jesteś taka jak twój ojciec - stwierdziła Liwia Druza i przybrała wyraz obrzydzenia.

- A więc nie lubisz taty! Tak właśnie myślałam - powiedziała Serwilia tonem bardziej obojętnym niż oskarżającym.

Miała teraz siedem lat. Była dość duża, zdaniem jej matki, by spojrzeć prawdzie w oczy. Ach, nie żeby nastawiać ją przeciw ojcu, ale... czy nie byłoby miło mieć w najstarszej córce przyjaciółkę?

- Nie - powiedziała z zastanowieniem Liwia Druza. - Nie lubię taty. Chcesz wiedzieć dlaczego?

Serwilia wzruszyła ramionami.

- Chyba mi powiesz.

- Cóż, czy ty go lubisz?

- Tak, tak! Jest najlepszym człowiekiem na świecie!

- Ach... Muszę ci więc powiedzieć, czemu ja go nie lubię. Gdybym ci nie powiedziała, miałabyś mi to za złe. Mam powody.

- Nie wątpię, że tak myślisz.

- Kochanie, nigdy nie chciałam wyjść za tatę. Twój wuj Marek zmusił mnie do tego. To był zły początek.

- Miałaś chyba jakiś wybór - powiedziała Serwilia.

- Nie miałam żadnego. Rzadko jakiś mamy.

- Chyba powinnaś przyznać, że wujek Marek lepiej się zna na wszystkim niż ty. Ja nie widzę nic złego w jego wyborze męża dla ciebie - oświadczył siedmioletni sędzia.

- Serwilio, nie zawsze możemy zmusić się do lubienia czy nielubienia kogoś. Tak się złożyło, że nie lubiłam taty. Nigdy nie darzyłam go sympatią od czasu kiedy byłam w twoim wieku. Nasi ojcowie ułożyli jednak nasze małżeństwo, a wuj Marek nie widział w tym nic złego. Nie mogłam mu wytłumaczyć, że brak



miłości nie przeszkadza małżeństwu, ale niechęć musi je zrujnować od samego początku.

- Chyba jesteś głupia - powiedziała pogardliwie Serwilia.

Uparta mała mulica! Liwia Druza nie dawała za wygraną.

- Małżeństwo to bardzo intymna sprawa, córeczko. Niechęć do męża czy do żony to przeraźliwie ciężkie brzemię do uniesienia. Małżonkowie często się dotykają ale kiedy kogoś nie lubisz, nie chcesz, żeby to robił. Czy możesz zrozumieć coś takiego?

- Nie lubię, kiedy ktoś mnie dotyka - powiedziała Serwilia. Jej matka uśmiechnęła się.

- Miejmy nadzieję, że to się zmieni! W każdym razie ja musiałam wyjść za mąż za człowieka, którego nie lubię. Nie lubię, gdy mnie dotyka. A jednak coś do niego czuję. Kocham ciebie i kocham Lilię. Jak mogę więc nie kochać taty, choćby jakąś częścią mnie, skoro pomógł mi stworzyć i ciebie, i Lilię?

Na twarzy Serwili pojawił się wyraz niesmaku.

- Naprawdę, mam, jesteś głupia! Najpierw mówisz, że nie lubisz taty, a potem, że go kochasz. To nie ma sensu!

- Nie, to ludzkie, Serwilio. Kochać i lubić to dwie zupełnie różne sprawy.

- No cóż, ja mam zamiar kochać i lubić męża, którego wybierze mi mój tata - oznajmiła tonem wyższości Serwilia.

- Czas pokaże, że masz rację, mam nadzieję. - Liwia Druza spróbowała zmienić temat tej krępującej rozmowy. - Jestem teraz bardzo szczęśliwa. Czy wiesz dlaczego?

Ciemna główka przechyliła się na bok, gdy Serwilia namyślała się nad odpowiedzią. Potem skinęła głową w potwierdzeniu.

- Wiem dlaczego, chociaż nie wiem, czy powinnaś. Jesteś szczęśliwa, bo mieszkasz w tym okropnym miejscu i spodziewasz się dziecka. - Czarne oczy zabłyśły nagle. - I... chyba masz jakiegoś przyjaciela.

Wyraz okropnego strachu pojawił się na twarzy Liwii Druzy, tak wyraźny i przeraźliwy, że dziewczynka zadrżała w nagłym podnieceniu i w zaskoczeniu, bo ta strzała nie została wymierzona świadomie, ale instynktownie. Sama dotkliwie odczuwała brak jakiejś przyjaciółki.

- Oczywiście, że mam przyjaciela! - zawołała matka, ścierając cały strach z twarzy. Uśmiechnęła się. - Mówi do mnie od wewnątrz.

- On nie będzie moim przyjacielem - powiedziała Serwilia.

- Ach, Serwilio, nie mów takich rzeczy. Będzie najlepszym przyjacielem, jakiego będziesz miała. Tak to jest z braćmi, wierz mi.

- Wuj Marek jest twoim bratem, ale zmusił cię do małżeństwa z moim tatą, którego nie lubiłaś.

- Mimo to nie przestał być przyjacielem. Bracia i siostry wyrastają razem. Znają siebie nawzajem, lepiej niż wszystkich innych, i uczą się lubić siebie -



powiedziała z uczuciem Lidia Druza.

- Nie możesz się nauczyć lubić kogoś, do kogo nie czujesz sympatii.

- I tu się mylisz. Możesz, jeśli się postarasz.

Serwilia wydała nieprzyzwoity dźwięk ustami.

- Czemu nie nauczyłaś się lubić taty?

- On nie jest moim bratem! - wykrzyknęła Liwia Druza, zastanawiając się, jak dalej prowadzić tę rozmowę. Czemu ta dziewczyna nie próbuje współdziałać? Czemu jest taka uparta, taka tępa? Bo jest córką swego ojca! Jest do niego podobna! Jest tylko daleko bystrzejsza, sprytniejsza. - *Porcella* - powiedziała. - Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa. I obiecuję ci, że nigdy nie pozwolę twemu tacie wydać cię za mąż za kogoś, kogo nie polubisz.

- Może cię przy tym nie być, kiedy będę wychodziła za mąż - odpowiedziała córka.

- Czemu tak mówisz?

- Cóż, twojej matki nie było, czyż nie?

- Moja matka to całkiem inna sprawa. - Liwia Druza zrobiła smutną minę. - Wiesz, że ona żyje.

- To wiem. Żyje z wujem Mamerkusem, ale my z nią nie rozmawiamy. Ona jest kobietą rozwiązłą - powiedziała Serwilia.

- Od kogo to słyszałaś?

- Od taty.

- Nie wiesz nawet, co to jest kobieta rozwiązła!

- Wiem. To kobieta, która zapomina, że jest patrycjuszką.

Liwia Druza stłumiła uśmiech.

- To ciekawa definicja, Serwilio. Czy ty kiedyś zapomnisz, że jesteś patrycjuszką?

- Nigdy! - odparła pogardliwie dziewczynka. - Kiedy dorosnę, będę tym, kim mój tata chce, żebym była.

- Nie wiedziałam, że aż tyle rozmawiałaś z tatą!

- Rozmawialiśmy przez cały czas. - Serwilia skłamała tak dobrze, że jej matka nie poznała się na tym. Ignorowana przez oboje rodziców Serwilia wcześniej w swym krótkim życiu stanęła po stronie ojca, bo wydawał jej się potężniejszy, potrzebniejszy niż Liwia Druza. Tak więc jej dziecięce marzenia obracały się wokół takiej zażyłości z ojcem, jakiej nie dopuszczał zdrowy rozsądek, jej ojciec uważał bowiem córki za coś przykrego i pragnął mieć syna. Skąd to wiedziała? Bo snuła się niczym widmo po domu wuja Marka, podsłuchując wszystkich z ciemnych kątów i słysząc wiele rzeczy, których nie powinna słyszeć. Zawsze przy tym wydawało jej się, że to ojciec mówi jak prawdziwy Rzymianin, nie zaś wuj Marek - a z pewnością nie ten Italczyk bez znaczenia, Silon. Rozpaczliwie brakowało jej ojca, a teraz groziło jej nieuniknione, gdy matka urodzi chłopca, upadną wszystkie jej nadzieje na zostanie ulubienicą



ojca.

- No cóż, Serwilio - powiedziała wesoło Liwia Druza. - Jestem bardzo rada, że lubisz tatę. Musisz jednak okazać trochę dojrzałości, kiedy on wróci do domu i będzie znów z tobą rozmawiał. Kiedy ci mówiłam, że go nie lubię, mówiłam to w zaufaniu. To nasz sekret.

- Dlaczego? Czy on już o tym nie wie?

Liwia Druza zmarszczyła brwi zakłopotana.

- Jeżeli tyle z nim rozmawiasz, Serwilio, z pewnością wiesz, że on nie ma o tym pojęcia. Twój tata nie jest człowiekiem wrażliwym. Gdyby był, może nie byłabym mu niechętna.

- Ach, my nie tracimy czasu na rozmowy o tobie - powiedziała lekceważąco Serwilia. - Rozmawiamy o rzeczach ważnych.

- Jak na siedmiolatkę potrafisz doskonale sprawiać ból.

- Nigdy nie sprawiam bólu tacie - odparła siedmiolatka.

- Masz szczęście! Zapamiętaj jednak moje słowa. Co ci powiedziałam dziś - albo starałam się powiedzieć - to nasz sekret. Obdarzyłam cię zaufaniem i spodziewam się, że przyjmiesz je jak Rzymianka i patrycjuszką - z szacunkiem.



Kiedy Lucjusz Walerius Flakkus i Marek Antoniusz Orator zostali w kwietniu wybrani na cenzorów, Kwintus Popediusz Silon przybył do domu Druzusa w nastroju wielkiego podniecenia.

- Ach, jak miło jest móc porozmawiać bez udziału Kwintusa Serwiliusza! - Silon uśmiechał się szeroko. Nigdy nie ukrywał swej niechęci do Cepiona, podobnie jak Cepion do niego.

Rozumiejąc to - i skrycie zgadzając się z Silonem, chociaż lojalność wobec rodziny nie pozwalała mu tego powiedzieć - Druzus puścił tę uwagę mimo uszu.

- Co cię tak rozgrzało?- spytał.

- Nasi cenzorowie! Chcą przeprowadzić najdokładniejszy cenzus w dziejach i chcą zmienić sposób jego przeprowadzenia. - Silon podniósł ręce w górę w uniesieniu radości. - Ach, Marku Liwiuszu, nie masz pojęcia, w jakich czarnych barwach przedstawiałem sytuację w Italii! Nie widziałem już innego wyjścia niż secesja i wojna z Rzymem.

Tak oto Druzus usłyszał po raz pierwszy o obawach Silona. Siedział wyprostowany na swoim krześle i patrzył na tamtego z niepokojem.

- Secesja? Wojna? - spytał. - Kwintusie Popediuszu, jakież to słowa ci się wymknęły? Sytuacja Italii z pewnością może być rozwiązana środkami pokojowymi. Ja zamierzam tego dokonać!

- Wiem o tym, mój przyjacielu, i musisz mi wierzyć, kiedy mówię, że secesja i wojna nie są bynajmniej tym, czego pragnę. Italia nie potrzebuje tego tak samo jak Rzym. Wysokie koszty i straty w ludziach będą odczuwać nasze narody



przez dziesiątki lat, obojętnie, która strona wygra. W wojnie domowej nie ma zdobyczy wojennych.

- Nawet o tym nie myśl!

Silon położył dłonie na stole Druzusa i pochylił się w przód na swoim krześle.

- Otóż to, ja o tym nie myślę! Ujrzałem nagle sposób nadania praw tyłu Italczykom, żeby Rzym zaczął myśleć o nas inaczej.

- Myślisz o masowym nadaniu praw?

- Nie całkowitym, bo to byłoby niemożliwe. Dostatecznie dużym jednak, żeby w następnej kolejności przeprowadzić całkowite nadanie.

- Jak? - spytał Druzus, czując się nieco oszukany. Zawsze myślał, że wyprzedza Silona w planowaniu nadania pełnego rzymskiego obywatelstwa Italczykom, okazało się jednak, że jego samozadowolenie było pomyłką.

- Otóż, jak wiesz, cenzorowie zawsze troszczyli się bardziej o to, kto i co żyje w Rzymie, niż o cokolwiek innego. Cenzusy na wsi i w prowincjach były spóźnione i całkowicie dobrowolne. Mieszkaniec wsi, który zechciał się zarejestrować, musiał iść do duumwirów swojej gminy albo miasta, albo udać się w drogę do najbliższego miejsca o statusie municypalnym. W prowincjach trzeba było iść do namiestnika, co mogło oznaczać długą podróż. Robili to tylko ci, którym na tym zależało. Ci, którym nie zależało, mówili sobie, że zrobią to następnym razem, i po prostu zakładali, że inspektorzy przepiszą ich nazwiska ze starych zwojów do nowych - co też najczęściej robili.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedział uprzejmie Druzus.

- Nie szkodzi. Myślę, że powinieneś to znów usłyszeć właśnie teraz. Nasi nowi cenzorowie to ciekawa para. Nigdy nie uważałem Antoniusza Oratora za szczególnie skutecznego, jeśli jednak pomyśleć o wojnie, którą stoczył z piratami, trzeba mu to przyznać. Co do Lucjusza Waleriusza, flamera *Martialis* i męża konsularnego, pamiętam tylko, że narobił sporo zamieszania w ostatnim roku urzędowania Saturnina, kiedy Gajusz Mariusz był zbyt chory, żeby rządzić. Powiadają jednak, że nie ma człowieka, który nie urodziłby się z jakimś talentem. Otóż okazuje się, że Lucjusz Waleriusz ma talent do... chyba można by to nazwać logistyką. Wszedłem dziś przez Bramę Kolińską i przechodziłem przez dolne Forum, kiedy pojawił się Lucjusz Waleriusz. - Silon otworzył szeroko swe niezwykle oczy i teatralnie stracił oddech. - Wyobraź sobie me zdziwienie, kiedy powitał mnie i spytał, czy mam chwilkę czasu! Mnie, Italczyka! Odpowiedziałem naturalnie, że jestem całkowicie na jego rozkazy. Okazuje się, że chciał, bym mu podał nazwiska Marsów z obywatelstwem rzymskim, którzy chcieliby uzyskać cenzus obywateli i latyńskie prawa obywatelskie na terytorium marsyjskim. Udając głupiego, wyciągnąłem z niego w końcu wszystko. Oni dwaj, to jest on i Antoniusz Orator, zamierzają zatrudnić specjalną grupę inspektorów i rozesłać ich w



końcu tego roku i na początku przyszłego po całej Italii i Galii italskiej, żeby przeprowadzili cenzus w tych wiejskich kryjówkach. Według Lucjusza Waleriusza wasi nowi cenzorowie martwią się, że system dotąd stosowany pomija dużą grupę obywateli ze wsi i Latynów, którzy nie mają ochoty ruszać się z miejsca, żeby się zarejestrować. Co o tym sądzisz?

- A co mam sądzić? - spytał obojętnym tonem Druzus.

- Przede wszystkim, jest to przejaw jasnego myślenia, Marku Liwiuszu.

- Z pewnością! I praktycznego także. Ale co w tym tak niezwykłego, że przebierasz nogami z zachwytu?

- Mój drogi Druzusie, jeśli my Italczycy dostaniemy się do tych tak zwanych inspektorów, potrafimy sobie zapewnić zarejestrowanie wielkiej liczby godnych tego Italczyków jako obywateli rzymskich! Nie byle kogo, ale ludzi, którym od lat należy się obywatelstwo rzymskie.

- Nie możecie tego zrobić - rzekł Druzus, a jego ciemna twarz przybrała surowy wyraz. - To równie nieetyczne co nielegalne.

- To moralnie słuszne!

- Nie mówimy tu o moralności, Kwintusie Popediuszu, mówimy o prawie. Każdy fałszywy obywatel, który znajdzie się w rzymskich spisach, będzie obywatelem nielegalnym. Nie mogę tego popierać i ty też nie powinienes. Nie, nic już nie mów! Przemyśl to, a zobaczysz, że mam rację - zakończył stanowczo Druzus.

Przez dłuższą chwilę Silon studiował wyraz twarzy przyjaciela, a potem wyrzucił z gniewem ręce w górę.

- Niech cię лихо, Marku Liwiuszu! To byłoby takie łatwe!

- Równie łatwo byłoby to wyjaśnić, gdyby zostało to zrobione. Rejestrując fałszywych obywateli, wystawiłbyś ich na całą surowość rzymskiego prawa - na chłostę, wpisanie nazwisk na czarną listę, na wysokie grzywny - rzekł Druzus.

Odpowiedziało mu westchnienie i wzruszenie ramion.

- W porządku, rozumiem twój punkt widzenia. To był jednak dobry pomysł.

- Nie, to był zły pomysł. - I od tego Marek Liwiusz Druzus nie odstąpił.

Silon nie mówił już nic więcej, ale kiedy dom - opustoszały ostatnio - uciszył się na noc, wziął nieświadomie przykład z nieobecnej Liwii Druzy i usiadł przy balustradzie loggii.

Ani przez chwilę nie wydawało mu się uprzednio, że Druzus nie spojrzy na sprawy tak samo jak on. Gdyby tak było, nigdy nie poruszyłby tego tematu w rozmowie. „Być może jest to jeden z powodów, myślał ze smutkiem Silon, dla których tylu Rzymian mówi, że my Italczycy nigdy nie będziemy Rzymianami. Nie rozumiem sposobu myślenia Druzusa”.

Znalazł się w niebezpiecznym położeniu, bo wyjawiał swoje zamiary. Teraz wiedział, że nie może liczyć na milczenie Druzusa. Czy pójdzie on rano do



Lucjusza Waleriusza Flakkusa i Marka Antoniusza Oratora i powie im, o czym się tu mówiło?

Mógł jedynie czekać. Musiał też bardzo się postarać - i zrobić to subtelnie - przekonać Druzusa, że był to tylko pomysł zrodzony po drodze z Forum na Palatyn, coś głupiego, czym nie warto się gryźć po nocach.

Nie miał bowiem zamiaru porzucać swego planu. Jego prostota i nieodwracalność czyniły go jedynie bardziej pociągającym. Cenzorzy spodziewali się przecież rejestracji wielu tysięcy dodatkowych obywateli! Czemu zatem miałyby ich dziwić znaczące rozszerzenie spisów na wsi? Musi zaraz jechać do Bowianum, żeby zobaczyć się z tym Samnitą, Gajuszem Papiuszem Mutilusem, a potem muszą obaj razem odwiedzić innych przywódców italskich sprzymierzeńców. Zanim cenzorzy zaczną zaciągać swą małą armię urzędników, ludzie, którzy przewodzą italskim sprzymierzeńcom, muszą być gotowi do działania. Do przekupywania urzędników, podstawiania ludzi gotowych pracować skrycie dla sprawy italskiej, do przerabiania i rozszerzania dostępnych im spisów. Nie można było tak działać w samym Rzymie i nie zależało mu na tym zbytnio. Italczyki bez praw obywatelskich mieszkający w Rzymie nie byli godni uwagi. Ci, którzy opuścili Ziemię swoich ojców dla lepszego życia w wielkiej metropolii, byli straceni.

Przez długi czas siedział w loggii zaprzątnięty myślami o środkach i sposobach osiągnięcia ostatecznego celu - równości dla wszystkich w Italii.

Rankiem zaczął zacierać wspomnienia wieczornych niedyskrecji w umyśle Druzusa, odpowiednio skruszony, a jednak pogodny, jakby nie miało to dla niego znaczenia, że Druzus wykazał mylność jego rozumowania.

- Przespałem się z tym - powiedział Druzusowi niedbałym tonem i widzę, że miałaś całkowitą rację.

- To świetnie! - uśmiechnął się Druzus.



Kwintus Serwiliusz Cepion wrócił dopiero jesienią następnego roku. Miał za sobą podróże ze Smyrny w prowincji Azji, do Galii italskiej, do Utyki w prowincji Afryce, do Gadesu w Hiszpanii Dalszej, a w końcu na powrót do Galii italskiej. Wszędzie, gdzie się pojawił, rozkwitał dobrobyt, ale najwięcej korzystał on sam. Tolosańskie Złoto przeistaczało się w wielkie obszary żyznych ziem nad Betysem w Hiszpanii Dalszej, w kamienice w Gadesie, Utyce, Kordubie, Hispalis, Starej i Nowej Kartaginie, Cyrcie, Nemausus, Arelacie i we wszystkich większych miastach w Galii italskiej i na półwyspie. Do małych miast produkujących stal i węgiel drzewny dołączyły małe miasta włókiennicze. Cepion kupował też gdzie się dało urodzajne ziemie. Korzystał raczej z banków i kompanii italskich niż rzymskich. I nie pozostawił w Azji Mniejszej ani odrobiny swej fortuny.



Wrócił do domu Marka Liwiusza Druzusa w Rzymie nie zapowiedziany i w rezultacie nie zastał żony ani córek.

- Gdzie one są? - zażądał wyjaśnień od siostry.

- Tam, gdzie pozwoliłeś im być. - Serwilia Cepionia była zaskoczona tym pytaniem.

- Co masz na myśli?

- Wciąż mieszkają w wiejskim domu Marka Liwiusza w Tuskulum. - Chciała, żeby Druzus był już w domu.

- Dlaczego tam mieszkają, na Jowisza?

- Dla spokoju i ciszy. - Serwilia Cepionia przyłożyła dłoń do czoła. - Musiałam coś źle zrozumieć. Marek Liwiusz mówił mi chyba, że się na to zgodziłeś.

- Na nic się nie zgodziłem - oświadczył rozgniewany Cepion. - Nie było mnie półtora roku, a kiedy wracam, licząc na powitanie przez żonę i córki, nie ma ich w domu. To śmieszne. Co one robią w Tuskulum?

Mężczyźni z rodu Serwiliuszów Cepionów chlubili się zawsze wstrzeźmiewczością cielesną idącą w parze z wiernością małżeńską. Przez cały czas swej nieobecności Cepion nie zadawał się z kobietami. W następstwie tego, im bliżej był Rzymu, tym niecierpliwiej wyglądał spotkania z żoną.

- Liwia Druza była zmęczona Rzymem i przeniosła się do willi starego Liwiusza Druzusa w Tuskulum - mówiła Serwilia Cepionia z bijącym szybko sercem. - Naprawdę myślałam, że się zgodziłeś! W każdym razie z pewnością jej to nie zaszkodziło. Nigdy nie wyglądała lepiej. Ani nie była szczęśliwsza. - Uśmiechnęła się do swego jedyne go brata. - Masz synka, Kwintusie Serwiliuszu. Urodził się w kalendy grudniowe.

To była rzeczywiście dobra nowina, ale i ta nowina nie zdołała rozproszyć złego humoru Cepiona, któremu nie dane było zaspokoić swych pragnień.

- Poślij tam kogoś, żeby je zaraz przywiózł - powiedział. Druzus wrócił wkrótce potem i zastał w swej pracowni szwagra siedzącego nieruchomo i rozpamiętującego przewinienie Liwii Druzy.

- Co się dzieje z Liwią Druzą? - zażądał wyjaśnień, ignorując wyciągniętą dłoń Druzusa i uchylając się od braterskiego pocałunku na powitanie.

Uprzedzony przez żonę Druzus przyjął to spokojnie. Obszedł po prostu stół i usiadł.

- Liwia Druza przeniosła się na czas twego wyjazdu do mojej willi w Tuskulum - powiedział. - Nie ma w tym nic niestosownego, Kwintusie Serwiliuszu. Była zmęczona miastem, to wszystko. Z pewnością dobrze jej to zrobiło. Wygląda naprawdę znakomicie. A ty masz syna.

- Moja siostra miała wrażenie, że udzieliłem zgody na te przenosiny - parsknął Cepion. - Na pewno tego nie zrobiłem!

- Tak, Liwia Druza mówiła, że ma twoje pozwolenie - potwierdził nie zmieszany Druzus. - To jednak mało ważne. Chyba nie myślała o tym, dopóki



nie wyjechałaś, i oszczędziła sobie trudności, mówiąc nam, że się zgodziłaś. Kiedy ją zobaczysz, zrozumiesz, że dobrze zrobiła. Jej zdrowie i stan umysłu są lepsze niż kiedykolwiek. Najwyraźniej służy jej życie na wsi.

- Musi zostać ukarana.

Druzus uniósł spiczastą brew.

- To nie moja sprawa, Kwintusie Serwiliuszu. Nie chcę o tym wiedzieć. Chciałbym dowiedzieć się czegoś o twoich podróżach.



Kiedy eskorta służących przybyła późnym popołudniem do wiejskiego domu Druzusa, Liwia Druza była na miejscu. Nie okazała zaskoczenia. Skinęła po prostu głową i powiedziała, że będzie gotowa do wyjazdu do Rzymu następnego dnia w południe. Potem wezwała Mopsusa i wydała mu instrukcje.

Stare tuskulańskie gospodarstwo wyglądało teraz jak podmiejska willa z perystylem i wszystkimi wygodami. Liwia Druza przemknęła przez te wszystkie wspaniałości do swego saloniku, zamknęła drzwi i okiennice, rzuciła się na sofę i rozplakała. Wszystko było skończone. Kwintus Serwiliusz wrócił do domu, a domem dla Kwintusa Serwiliusza było miasto. Nigdy nie będzie jej wolno znowu odwiedzić Tuskulum. Niewątpliwie dowiedział się już o jej kłamstwie w sprawie pozwolenia na przeniesienie się tutaj - i już to jedno, przy jego charakterze, wystarczy, by zamknąć przed nią na zawsze Tuskulum.

Katon Saloński był nieobecny, bo w Rzymie obradował senat. Liwia Druza nie widziała go od kilku tygodni. Wypłakawszy się, usiadła przy stole, wzięła pióro i arkusz papieru i napisała do niego.

*Mój mąż wrócił do domu i przysłał po mnie. Zanim to przeczytasz, będę już z powrotem w murach domu mego brata w Rzymie i na oczach wszystkich. Nie wiem, kiedy i gdzie znów się spotkamy.*

*Jak jednak mam bez Ciebie żyć? O, mój ukochany, mój najdroższy, jak mam przeżyć? Nie widzieć Ciebie - nie czuć dotknięcia Twych ramion, Twych dłoni, Twych ust - nie zniosę tego! On jednak otoczy mnie tyloma zakazami, a Rzym jest tak publicznym miejscem - boję się więc, że już się z Tobą nigdy nie zobaczę! Kocham Cię bardziej, niż zdołam wypowiedzieć. Pamiętaj. Kocham Cię.*

Rano poszła jak zwykle na przechadzkę, zawiadamiając domowników, że wróci przed południem, kiedy wszystko ma być gotowe do podróży. Zwykle śpieszyła się na spotkanie, ale tego poranka zwlekała, napawając się pięknem jesiennego krajobrazu, zapamiętując każde drzewo i każdy krzak na przyszłe samotne lata. A gdy doszła do białego domku o dwóch izbach, w którym spotykali się z Katonem przez dwadzieścia jeden miesięcy, chodziła w nim od ściany do ściany, dotykając wszystkiego z czułością i smutkiem. Wbrew nadziei, łudziła się, że on tu będzie. Nie było go jednak, zostawiła więc list na



widoku na łóżku, wiedząc, że nikt nie odważy się tu wejść.

A potem wyjechała do Rzymu, podrzucana i rzucana na wszystkie strony w dwukołowym krytym *carpentum*, które Cepion uznał za odpowiedni środek transportu dla swej żony. Liwia Druza obstawała na początku przy trzymaniu Małego Cepiona - jak wszyscy nazywali jej syna - ale po przejechaniu dwóch z piętnastu mil oddała dziecko jakiemuś silnemu niewolnikowi i kazała je nieść. Serwililla została z nią nieco dłużej, dopóki jej żołądek nie zbuntował się przeciw trudom tej podróży. Musiała tak często wychylać się z okna wozu, że w końcu kazano jej iść. Sama Liwia Druza niczego nie pragnęłaby bardziej, kiedy jednak chciała dołączyć do pieszych, została poinformowana, że w tym punkcie polecenia pana były jasne - musi jechać w *carpentum* z zasłoniętymi oknami.

Serwilia, inaczej niż Lilia, miała żelazny żołądek, więc ona także pozostała w wozie, a gdy zaproponowano jej przechadzkę, oznajmiła wyniośle, że patrycjuszki nie chodzą piechotą. Nietrudno było spostrzec, że dziewczynka była bardzo podniecona, chociaż tylko długa i bliska zażyłość pozwalała matce to zauważyć. Z wyglądu była prawie nie zmieniona, poza dodatkowym błyskiem w czarnych oczach i dwoma zmarszczkami w kącikach małych pełnych ust.

- Miło mi widzieć, że cieszysz się na spotkanie z tatą. - Liwia Druza kurczowo trzymała się uchwytów, ratując się przed upadkiem, gdy *carpentum* przechylało się niebezpiecznie.

- Przecież wiem, że wcale ci niemiło - powiedziała złośliwie Serwilia.

- Spróbuj to zrozumieć! - wykrzyknęła matka. - Kochałam życie w Tuskulum, to wszystko! Nie cierpię Rzymu!

- Aha - powiedziała Serwilia.

I na tym zakończyła się rozmowa.

Pięć godzin po wyruszeniu *carpentum* i jego eskorta przybyli do domu Marka Liwiusza Druzusa.

- Prędzej doszłabym piechotą! - oświadczyła cierpko Liwia Druza, gdy *carpentarius* zawracał swój wynajęty pojazd.

Cepion czekał w pokojach, w których dawniej mieszkał. Powitał żonę wyniosłym kiwnięciem głową, a córeczki wprowadzone przez nią by mogły przywitać się z tatą przed pójściem do pokoju dziecinnego, również zostały obdarzone wyniosłym, obojętnym skinieniem. Nawet gdy Serwilia posłała mu swój najszerszy, najpłochliwszy uśmiech, pozostał nieugięty.

- Idźcie i poproście nianię, żeby przyniosła małego Kwintusa - powiedziała Liwia Druza, wypychając dziewczynki za drzwi.

Niania już tam czekała. Liwia Druza wzięła od niej dziecko i sama wniosła je do salonu.

- Spójrz, Kwintusie Serwiliuszu - powiedziała z uśmiechem. - Poznaj swojego



syna. Czyż nie jest piękny?

Przesadzała, jak to matka, bo Mały Cepion nie był pięknym dzieckiem. Nie był też jednak brzydki. Mając dziesięć miesięcy, siedział wyprostowany w ramionach Liwii Druzy i spoglądał na obecnych równie spokojnie, jak się poważnie zachowywał - nie był uśmiechniętym ani czarującym dzieckiem. Bujna czupryna prostych gładkich włosów miała agresywny odcień czerwieni, oczy miał jasnoorzechowe, długie rączki, nóżki i pociągłą buzię.

- Na Jowisza! - Cepion wpatrywał się w syna w osłupieniu. - Skąd mu się wzięły te rude włosy?

- To rodzinne ze strony mojej matki, jak mówi Marek Liwiusz - odrzekła spokojnie Liwia Druza.

- Ach. - Cepion odprężył się, nie dlatego, że podejrzewał żonę o niewierność, ale ponieważ lubił jasne sytuacje. Nigdy nie był uczuciowy, więc nie próbował wziąć chłopca na ręce i trzeba go było zachęcać, by dotknął podbródka Małego Cepiona i przemówił do niego, jak to powinien zrobić tata.

- Dobrze - rzekł w końcu. - Oddaj go niani. Czas, żebyśmy zostali wreszcie sami, żono.

- Ależ to pora wieczery - powiedziała Liwia Druza, gdy już odniosła dziecko do drzwi i przekazała piastunce. - Prawdę mówiąc - mówiła z bijącym sercem, czując, na co się zanosi - wieczera już jest spóźniona. Nie powinniśmy bardziej jej opóźniać.

On tymczasem zamykał okiennice i ryglował drzwi.

- Nie jestem głodny - powiedział, zaczynając odwijać swoją togę - a jeśli ty jesteś, tym gorzej dla ciebie. Dziś wieczór nie ma dla ciebie wieczery, żono!

Choć nie był człowiekiem wrażliwym ani spostrzegawczym, Kwintus Serwiliusz Cepion nie mógł nie zauważyć zmiany w Liwii Druzie, w chwili gdy usiadł przy niej na łóżku i przyciągnął ją z pośpiechem do siebie. Była spięta. Całkiem nieczuła.

- Co się z tobą dzieje?! - wykrzyknął rozczarowany.

- To, co ze wszystkimi kobietami, przestaję lubić te rzeczy - odparła. - Po urodzeniu dwójki czy trójki dzieci tracimy zainteresowanie.

- Ach tak. - Cepion wpadł w gniew. - Lepiej odzyskaj to zainteresowanie! Mężowie z mego rodu są wstrzemięźliwi i moralni. Słyniemy z tego, że sypiamy tylko z żonami.

Te pompatyczne i śmieszne słowa zabrzmiały, jakby były wyuczone na pamięć.

Tak więc wydarzenia tego wieczoru można było nazwać ponownym nawiązaniem stosunków jedynie na najniższym poziomie. Nawet po parokrotnych erotycznych dokonaniach Cepiona Liwia Druza pozostała oziębła, apatyczna, a potem ciężko obraziła swego męża, zasypiając w połowie jego ostatniego usiłowania i na dodatek chrapiąc. Obudził ją potrząsając nią ze



złością. Jego palce wbijały się boleśnie w jej ramiona.

- W ten sposób nie dorobimy się następnego syna!

- Nie chcę mieć więcej dzieci.

- Jeśli się nie postarasz - wymamrotał, dochodząc do szczytu przyjemności - rozwiodę się z tobą.

- Jeśli rozwód oznacza, że będę mogła wrócić do Tuskulum - powiedziała wśród jego jęków rozkoszy - nie mam nic przeciwko temu. Nie cierpię Rzymu. I nie cierpię tego. - Wywinęła się spod niego. - Czy mogę teraz zasnąć?

Sam był zmęczony, więc jej pozwolił, ale gdy rano przypomniał sobie wszystko, wpadł w gniew.

- Jestem twoim mężem - powiedział, gdy wymykała się z łóżka - i spodziewam się, że będziesz dobrą żoną.

- Mówiłam ci, że nie interesują już mnie te rzeczy - powiedziała cierpko. - Jeśli ci to nie odpowiada, Kwintusie Serwiliuszu, proponuję, żebyś się ze mną rozwiodł.

Cepion zrozumiał, że ona chce rozwodu, choć jeszcze nie przyszła mu na myśl niewierność.

- Nie będzie żadnego rozwodu, żono.

- Wiesz, że mogę się z tobą rozwieść.

- Wątpię, czy twój brat pozwoliłby na to. To zresztą nie robi różnicy. Nie będzie żadnego rozwodu. Wbij sobie zamiast tego do głowy nieco zainteresowania - albo raczej ja ci je wbiję.

Podniósł swój skórzany pas i złożył go na pół, a potem rozciągnął go z trzaskiem.

Liwia Druza patrzyła na niego zdziwiona.

- Ach, przestań pozować! Nie jestem dzieckiem!

- Zachowujesz się jak dziecko.

- Nie ośmielisz się mnie dotknąć!

W odpowiedzi chwycił ją za ramię, wykręcił je zgrabnie za plecy i podciągnął jej nocną koszulę, przytrzymując ją tą samą ręką. Pas trzasnął ją po boku, potem po udzie, po pośladku, po łydce. Z początku próbowała się wyrwać, potem jednak zrozumiała, że mógłby jej złamać rękę. Za każdym uderzeniem ból narastał, a urywany oddech zamienił się u jęki, a potem w krzyki strachu. Kiedy osunęła się na kolana, osłaniając głowę rękami, puścił ją, ujął pas oburącz i w szale wściekłości zaczął smagać jej skulone ciało.

Jej przeraźliwe krzyki brzmiały w jego uszach jak wspaniałe pean radości. Zdarł z niej całkiem koszulę i wywijał pasem, póki ramiona nie opadły mu ze zmęczenia. Pas został odrzucony. Chwyciwszy żonę za włosy, Cepion poderwał ją na nogi i zaciągnął z powrotem do dusznej sypialni, nie wywietrzonej jeszcze po nocy.

- Teraz się przekonamy! - wydyszał, ściskając w dłoni potężny wzwiedziony



członek. - Bądź posłuszna, żono, bo dostaniesz więcej! - I dopiąwszy swego, był naprawdę przekonany, że jej podrygi, bicie go pięściami i okrzyki bólu to oznaki podniecenia.

Odgłosy dolatujące z mieszkania Cepiona nie pozostały nie zauważone. Słyszała je mała Serwilia, która snuła się pod kolumnadą w oczekiwaniu na obudzenie się ukochanego taty, słyszała je też służba. Druzus i Serwilia Cepionia nie słyszeli i nie zostali poinformowani, bo nikt nie wiedział, jak im to powiedzieć.

Wykąpawszy swoją panią pokojówka Liwii Druzy opowiadała w kwaterach służby z przerażoną miną o jej obrażeniach.

- Całe ciało ma w czerwonych pręgach! - mówiła do rządcy Kratypusa. - Jest pokrwawiona! Łóżko całe we krwi! Biedactwo!

Kratypus nie mógł powstrzymać szlochu - i nie on jeden, bo wielu służących znało Liwię Druzę od dzieciństwa i zawsze troszczyło się o nią. Kiedy ci starzy domownicy zobaczyli ją następnego dnia, znów się popłakali. Poruszała się w ślimaczym tempie, a wyglądała, jakby chciała umrzeć. Cepion był jednak ostrożny, nawet w napadzie szału. Na jej ramionach, twarzy i szyi nie było żadnych śladów.



Przez dwa miesiące sytuacja pozostawała nie zmieniona, poza tym że Cepion - bijąc żonę w odstępach mniej więcej pięciodniowych - skupiał się za każdym razem na innej części ciała, pozwalając pozostałym częściom się goić. Znalazł w tym potężną podniecie erotyczną i niebywałe poczucie władzy. Wreszcie zrozumiał mądrość starych obyczajów i sens bycia *paterfamilias*. I do czego są stworzone kobiety.

Liwia Druza nie mówiła nic nikomu, nawet służącej, która ją kąpała - a teraz także opatrywała rany. Wyraźnie się zmieniła, co bardzo martwiło Druzusa i jego żonę. Mogli przypuszczać, że powodem jest powrót do Rzymu, chociaż Druzus, przypomniawszy sobie, jak opierała się małżeństwu z Cepionem, zastanawiał się, czy nie przypisywać jej milczenia, wyniszczonej twarzy i ociężałego chodu obecności Cepiona.

Sama Liwia Druza niewiele czuła poza fizyczną udręką. Czasem myślała, że może to być kara albo że ten fizyczny ból pozwala jej znieść utratę ukochanego Katona, albo też, że bogowie są dla niej łaskawi, bo straciła trzymiesięczne dziecko, którego z pewnością nie mógł spłodzić Cepion. Wstrząs, jakim był nagły powrót Cepiona, nie pozwolił jej zająć się tym problemem, dopóki się sam nie rozwiązał. Tak, to musiała być łaska bogów. Prędzej czy później spotka ją śmierć, kiedy jej mąż przestanie się hamować, a śmierć będzie czymś nieskończenie lepszym od życia z Kwintusem Serwiliuszem Cepionem.

Atmosfera w całym domu uległa zmianie. Martwiło to Druzusa, który myśli miał zajęte ciężą swej żony, nieoczekiwanym a radosnym darem, na który już



dawno stracili nadzieję. Serwilia Cepionia też się jednak gryzła, jakby padał na nią ten sam niewytłumaczalny cień co na Druzusa. O co tu chodziło? Czy jedna nieszczęśliwa żona może naprawdę unieszczęśliwić wszystkich dookoła? Służący byli milczący i posępni. Zwykle poruszali się po domu dość hałaśliwie, by stale irytować swego pana, od dzieciństwa przywykł też do wybuchów wesołości w ich kwaterach na dole, co go nieraz budziło ze snu. To się skończyło. Snuli się po domu ze smutnymi minami, odpowiadali monosylabami i chyba źle sypiali, bo odkurzanie, polerowanie czy zamiatanie wyraźnie ich męczyło. Nawet Kratypus, ta opoka pewności i spokoju, nie był taki jak dawniej.

W ostatnim dniu starego roku, o świcie, Druzus dopadł swego rządcę, zanim tamten polecił odźwiernemu, żeby wpuścił klientów z ulicy.

- Chwileczkę. - Druzus wskazał swą pracownię. - Chcę z tobą pomówić.

Kiedy jednak zamknął drzwi, stwierdził, że nie wie, jak zacząć. Chodził tam i z powrotem, a Kratypus stał w miejscu, patrząc w posadzkę. W końcu Druzus zatrzymał się naprzeciw rządcy.

- O co chodzi, Kratypusie? - spytał, wyciągając rękę. - Czy cię w jakiś sposób obrażę? Czemu służący są tacy nieszczęśliwi? Czy przeoczyłem coś ważnego? Jeśli tak, powiedz mi, proszę. Nie chciałbym, żeby jakiś mój niewolnik cierpiał z mojej winy albo z winy kogoś z mojej rodziny. Nie chcę zwłaszcza, żebyś to był ty. Bez ciebie ten dom się zawali!

Ze zgrozą ujrzał, że Kratypus płacze. Druzus stał przez chwilę, nie mając pojęcia, co robić. Potem odruchowo posadził rządcę na sofie, obejmując go ramieniem i podsuwając chustkę. Im jednak był troskliwszy, tym głośniejsze tamten płakał. Druzus, sam bliski łez, nalał wina, zmusił Kratypusa do wypicia, i póty go uspokajał i pocieszał, póki rządcą nie przestał rozpaczać.

- Ach, Marku Liwiuszu, tak mi z tym ciężko!

- Z czym, Kratypusie?

- Z tym biciem!

- Z biciem?

- Z tym jej tłumionym krzykiem! - Kratypus znów zaczął płakać.

- Czy mówisz o mojej siostrze? - spytał ostro Druzus.

- Tak.

Druzus poczuł, że serce zabiło mu szybciej. Twarz nabiegła krwią i ręce zaczęły drżeć.

- Mów! W imię naszych bogów domowych, rozkazuję ci mówić!

- Kwintus Serwiliusz. On ją w końcu zabije.

Druzus zatrząsł się i musiał nabrać tchu.

- Mąż mojej siostry ją bije?

- Tak, *domine*, tak! - Rządcą starał się opanować. - Wiem, że nie przystoi mi tego oceniać, i przysięgam, że nie miałem takiego zamiaru. Pytałeś mnie jednak



tak uprzejmie, z taką troską, że... ja... ja...

- Uspokój się, Kratypusie, nie gniewam się na ciebie - powiedział spokojnie Druzus. - Jestem ci bardzo wdzięczny, żeś mnie powiadomił.

Wstał i pomógł wstać Kratypusowi.

- Idź do odźwiernego i każ mu przeprosić moich klientów. Dziś ich nie przyjmę, bo muszę zająć się czym innym. Potem poproś moją żonę, żeby poszła do dziecinnego i została tam z dziećmi, bo posyłam całą służbę na dół. Dopilnuj, żeby wszyscy zeszli do swoich kwater, i sam zejdź także. Przedtem jednak poproś tu do pracowni Kwintusa Serwiliusza i moją siostrę.

Gdy Druzus został sam, zmusił się do spokoju i zapanował nad gniewem. Starał się być bezstronny, bo Kratypus mógł przesadzać, a sprawy nie musiały stać aż tak źle, jak myślała służba.

Jedno spojrzenie na Liwie Druzę powiedziało mu, że nikt nie przesadzał i że wszystko to było prawdą. Weszła pierwsza, on zaś ujrzał ból, przygnębienie, strach i niedolę tak wielką że nie mającą kresu. Ujrzał w niej martwość. Cepion wszedł za nią bardziej zaciekawiony niż niespokojny.

Druzus stał i nie prosił tamtych, by usiedli. Spojrzał z odrazą na swego szwagra.

- Doszło do mej wiadomości, Kwintusie Serwiliuszu, że znęcasz się fizycznie nad moją siostrą.

To Liwia Druza z trudem złapała oddech. Cepion zapanował nad sobą i przybrał zaczepną i pogardliwą minę.

- To, co robię z moją żoną, Marku Liwiuszu, nie obchodzi nikogo poza mną - powiedział.

- Nie zgadzam się z tym - odparł Druzus najspokojniej, jak umiał. - Twoja żona jest moją siostrą i należy do wielkiego i potężnego rodu. Nikt jej w tym domu nie bił przed zamążpójściem. Nie pozwolę ani tobie, ani nikomu innemu jej bić.

- Ona jest moją żoną. To oznacza, że jest w moich rękach, nie w twoich, Marku Liwiuszu! Zrobię z nią co zechcę.

- Twój związek z Liwią Druzą to związek małżeński - rzekł Druzus z zaciętą twarzą. - Mnie z nią łączą więzy krwi. Tylko to ma znaczenie. Nie pozwolę bić mojej siostry!

- Mówiłeś, że nie chcesz wiedzieć, jak zostanie ukarana! I miałeś rację. Ciebie to nie obchodzi.

- Bicie żony obchodzi wszystkich. To najgorsza podłość. - Druzus spojrzał na siostrę. - Zdejmij ubranie, Liwio Druzo. Chcę zobaczyć, co ci zrobił ten żonobijca.

- Nie zdejmuj, żono! - krzyknął Cepion w słusznym oburzeniu. - Pokazywać się komuś innemu niż mąż? Nie rób tego!

- Zdejmij ubranie, Liwio Druzo - powtórzył Druzus. Liwia Druza nie



poruszyła się ani nie otworzyła ust.

- Moja droga, musisz to zrobić - rzekł Druzus łagodnie i podszedł do niej. - Muszę to zobaczyć.

Kiedy objął ją ramieniem, krzyknęła, odsuwając się od niego. Najdelikatniej, jak umiał, Druzus rozpiął jej suknię na ramionach.

Wśród senatorskich rodów człowiek bijący żonę spotykał się z największą pogardą. Cepion wiedział o tym, nie zdobył się jednak na powstrzymanie Druzusa. Suknia zwisała poniżej piersi Liwii Druzy, na nich zaś, szpecąc ich urodę, widniały całe dziesiątki blizn, jasnopurpurowych i siarkowożółtych. Druzus rozwiązał pasek. Suknia i bielizna opadły do stóp jego siostry. Jej uda zostały niedawno obite i były jeszcze spuchnięte, a skóra szkarłatna i pocięta. Druzus podciągnął ostrożnie suknię i bieliznę, podniósł jej bezwładne ręce i wcisnął w ich palce ubranie. Potem obrócił się do Cepiona.

- Wynoś się z mojego domu - powiedział, panując nad swą twarzą.

- Moja żona jest moją własnością - oświadczył Cepion. - Mam prawo traktować ją według swego uznania. Mogę ją nawet zabić.

- Twoja żona jest moją siostrą, a ja nie pozwolę traktować nikogo z Liwiuszów Druzusów gorzej, niż traktuje się moje bydłota. Wynoś się z mojego domu!

- Jeśli tak, ona pójdzie ze mną.

- Ona zostanie ze mną Zabieraj się, żonobijco!

Nagle jakiś przenikliwy głosik wykrzyknął za ich plecami z oburzeniem:

- Zasłużyła na to! Zasłużyła na to! - Serwilia podeszła do ojca i podniosła na niego wzrok. - Nie bij jej, ojczy! Zabij ją!

- Wracaj do dziecinnego, Serwilio - rzekł ze znużeniem Druzus. Ona jednak chwyciła za rękę Cepiona i stała, przeciwstawiając się Druzusowi, na szeroko rozstawionych nogach i z błyszczącymi oczami.

- Ona zasługuje, żeby ją zabić! - wrzasnęła. - Ja wiem, czemu chciała mieszkać w Tuskulum! Wiem, co robiła w Tuskulum! Wiem, dlaczego chłopak jest rudy!

Cepion puścił jej dłoń jak oparzony. Świtało mu zrozumienie.

- O czym ty mówisz, Serwilio? - Potrząsnął nią gwałtownie. - Dalej, mów, o co chodzi!

- Ona miała kochanka i ja wiem, kto to jest! - krzyknęła jego córka, pokazując zęby. - Moja matka miała kochanka! Rudego. Spotykali się co rano w jego posiadłości. Wiem, bo chodziłam za nią! Widziałam, co robili razem w łóżku! Wiem, jak on się nazywa! Marek Porcjusz Katon Saloński! Potomek niewolnika! Wiem, bo pytałam ciotkę Serwilię Cepionię! - Obróciła się, żeby spojrzeć na ojca, a jej twarz przeobraziła się, przechodząc od nienawiści do uwielbienia. - Tato, jeśli jej nie zabijesz, zostaw ją tu! Ona nie jest ciebie warta! Nie zasługuje na ciebie! Kim ona w ogóle jest? Tylko plebejuską, nie patrycjuszką, jak ty i ja! Zostaw ją tu, a ja się tobą zajmę, obiecuję!



Druzus i Cepion stali jak skamieniali, gdy tymczasem Liwia Druza wróciła w końcu do życia. Zapięła suknię i pasek i zwróciła się do córki.

- Maleńka, nie jest tak, jak myślisz - powiedziała łagodnie i sięgnęła do policzka córki.

Jej dłoń została gwałtownie odtrącona. Serwilia przytuliła się do ojca.

- Ja wiem, co myśleć! Nie musisz mi tego mówić! Pohańbiłaś nasze nazwisko, nazwisko mojego ojca! Zasługujesz na śmierć! A ten chłopiec nie jest synem mego ojca!

- Mały Kwintus jest synem twego ojca - powiedziała Liwia Druza. - To twój brat.

- On należy do tego rudego, on jest synem niewolnika! - Chwyciła Cepiona za tunikę. - Tato, zabierz mnie stąd, proszę!

Zamiast odpowiedzi Cepion chwycił dziewczynkę i odepchnął ją od siebie tak mocno, że upadła.

- Jakimże byłem głupcem - powiedział półgłosem. - Ta mała ma rację, zasługujesz na śmierć. Szkoda, że nie używałem pasa częściej i mocniej.

Zaciskając pięści, wypadł z komnaty, a córka pobiegła za nim z krzykiem i płaczem.

Druzus został sam z siostrą.

Nogi zdawały się odmawiać mu posłuszeństwa. Podszedł do krzesła i usiadł. Liwia Druza! Krew z jego krwi! Jego jedyna siostra! Cudzołożnica, *meretrix*. Aż do tej okropnej rozmowy nie zdawał sobie jednak sprawy, jak wiele ona dla niego znaczy, ani nie wiedział, jak bardzo obchodzi go jej los, jak bardzo czuje się odpowiedzialny.

- To moja wina - powiedział drżącymi wargami.

Osunęła się na sofę.

- Nie, to moja wina.

- Czy to prawda? Masz kochankę?

- Miałam kochankę, Marku Liwiuszu. Pierwszego i jedyne. Nie widziałam go od wyjazdu z Tuskulum.

- Jednak nie dlatego Cepion cię bił.

- Nie.

- Dlaczego więc?

- Po poznaniu Marka Porcjusza nie byłam już w stanie udawać - wyznała Liwia Druza. - Moja obojętność gniewała go, więc mnie bił. Potem odkrył, że lubi mnie bić. To go... podniecało.

Przez krótką chwilę Druzus wyglądał, jakby miał zwymiotować. Potem podniósł ręce i potrząsnął nimi bezsilnie.

- O bogowie, w jakimże świecie żyjemy! - zawołał. - Wyrządziłem ci krzywdę, Liwio Druzo.

Podeszła, by usiąść na krześle klienta.



- Postępowałaś zgodnie ze swymi zasadami - powiedziała łagodnie. - Naprawdę, Marku Liwiuszu, zrozumiałam to już dawno temu. Wyświadczyłeś mi potem tyle dobrego, że musiałam pokochać ciebie i Serwilię Cepionię.

- Moją żonę! - wykrzyknął Druzus. - Co to ma z nią wspólnego?

- Musimy ją trzymać z dala od tego wszystkiego - powiedziała Liwia Druza. - Jest w ciąży. Nie możemy jej narażać.

Druzus już był na nogach.

- Zostań tu - polecił, idąc do drzwi. - Dopilnuję, żeby jej brat nie powiedział niczego, co jej może zaszkodzić. Napij się wina. Zaraz wracam.

Cepion nawet nie pomyślał o siostrze. Z pracowni Druzusa pognał do swoich pokojów. Córka z płaczem czepiała się go, póki nie uderzył jej w twarz i nie zamknął w swojej sypialni. Tam znalazł ją Druzus skuloną w kącie na podłodze i zanoszącą się płaczem.

Służący zostali już przedtem wezwani do swych obowiązków, więc Druzus pomógł dziewczynce wstać i wyprowadził na zewnątrz, gdzie jedna z opiekunek krążyła niepewnie w pobliżu.

- Uspokój się, Serwilio. Pozwól Stratonice umyć ci buzię i podać śniadanie.

- Chcę do taty!

- Twój tato opuścił mój dom, dziecko, ale nie martw się tym. Na pewno przyśle po ciebie, kiedy tylko jakoś się urządzi. - Druzus nie był pewien, czy jest wdzięczny Serwili za wyjawienie prawdy, czy też ma jej to za złe.

Od razu poweselała.

- Przyśle po mnie, na pewno - powtórzyła, idąc z wujem pod kolumnadę.

- Idź teraz ze Stratoniką - powiedział Druzus i dodał surowo: - Staraj się być dyskretna, Serwilio. Dla dobra twojej ciotki i twojego ojca, tak, twojego ojca! - nie powinnaś mówić o tym, co tu zaszło dziś rano.

- Czy to mu może zaszkodzić? To on jest ofiarą.

- Mężczyźni nie lubią być upokarzani. Wierz mi, że twój ojciec nie podziękuje ci za rozprowadanie o tym.

Serwilia wzruszyła ramionami i odeszła z piastunką. Druzus poszedł do żony i opowiedział jej to, co jego zdaniem powinna wiedzieć. Ku jego zdziwieniu przyjęła spokojnie nowinę.

- Dobrze wiedzieć, jak się sprawy mają - powiedziała. W brzemiennym stanie wyglądała kwitnąco. - Biedna Liwia Druza! Obawiam się, że przestaję lubić swego brata, Marku Liwiuszu. Im jest starszy, tym bardziej staje się nieznośny. Pamiętam jednak, że kiedy byliśmy dziećmi, lubił dręczyć dzieci niewolników.

Wrócił potem do Liwii Druzy, która wciąż siedziała na krześle klienta i doszła już wyraźnie do siebie.

- Co za dzień! - powiedział, siadając. - Nie wiedziałem, co rozpętuje, kiedy pytałem Kratypusa, czemu służący są nieszczęśliwi.

- Byli nieszczęśliwi? - spytała zaskoczona Liwia Druza.



- Tak. Z twego powodu, moja droga. Słyszeli, że Cepion cię bije. Pamiętaj, że znali cię od dziecka. Są ci niezmiernie oddani.

- Jak to miło! Nie miałam pojęcia.

- Ani ja, muszę przyznać. Bogowie, ależ byłem tępy! Bardzo mi przykro z powodu tego całego zamieszania.

- Nie martw się - westchnęła. - Czy on zabrał Serwilię?

Druzus skrzywił się.

- Nie, zamknął ją w swoim pokoju.

- Biedactwo! Ona tak go uwielbia!

- Zauważyłem. Nie mogę tego pojąć.

- Co teraz będzie, Marku Liwiuszu?

Wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia! Chyba najlepiej będzie zachowywać się najnormalniej jak to możliwe w tych okolicznościach i czekać na wiadomość od... - Chciał powiedzieć „Cepiona”, jak to robił od rana, ale zmusił się do powrotu do dawnej grzeczności i powiedział: - Kwintusa Serwiliusza.

- A jeśli rozwiedzie się ze mną?

- Wtedy się go pozbędziesz.

Teraz wyszedł na jaw główny przedmiot myśli Liwii Druzy, bo spytała niespokojnie:

- A co z Markiem Porcjuszem Katonem?

- On chyba wiele dla ciebie znaczy, nieprawdaż?

- Bardzo wiele.

- Czy chłopiec jest jego synem?

Ileż to razy zastanawiała się nad tym! Co miała mówić, gdyby ktoś z rodziny dziwił się kolorowi jego włosów albo podobieństwu do Marka Porcjusza Katona? Czuła, że coś się jej należy od Cepiona za lata milczącej uległości, za jej wzorowe zachowanie - i za bicie. Jej syn miał nazwisko. Gdyby przyznała, że spłodził go Katon, straciłby to nazwisko i nie uniknąłby odium nieprawego pochodzenia. Data urodzin nie wykluczała ojcostwa Cepiona. Tylko ona sama wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że Cepion nie jest jego ojcem.

- Nie, mój syn jest dzieckiem Kwintusa Serwiliusza - powiedziała zdecydowanym tonem. - Kiedy poznałam Marka Porcjusza, wiedziałam już, że jestem w ciąży.

- To pech, że jest rudy - rzekł Druzus z twarzą bez wyrazu.

Liwia Druza uśmiechnęła się gorzko.

- Chyba widziałeś już, jak Fortuna lubi igrać ze śmiertelnikami? Czułam, że Fortuna coś knuje, odkąd poznałam Marka Porcjusza. Wcale nie byłam zdziwiona, kiedy mały Kwintus urodził się z rudymi włosami, chociaż wiem, że nikt mi nie wierzy.

- Stanę po twojej stronie, siostro - rzekł Druzus. - Masz moje całkowite



poparcie.

Łzy napłynęły do oczu Liwii Druzy.

- Dziękuję ci, Marku Liwiuszu!

- Tyle przynajmniej mogę zrobić - odchrząknął. - Co do Serwili Cypionii, możesz być spokojna, że poprze mnie, a więc i ciebie.

Cypion przysłał list rozwodowy jeszcze tego samego dnia wraz z prywatnym listem do Druzusa.

- Czy wiesz, co pisze ten karaluch? - spytał siostrę, którą obejrzało już kilku lekarzy i której kazano leżeć w łóżku.

Ponieważ leżała na brzuchu, podczas gdy dwaj akolici okładali ją od łopatek do kostek u nóg okładami leczącymi stłuczenia, musiała wykręcać szyję, by dojrzeć brata kątem oka.

- Co takiego pisze?

- Przede wszystkim wypiera się ojcostwa wszystkich trojga dzieci, odmawia zwrotu posagu i oskarża cię o liczne zdrady. Nie chce mi zwrócić kosztów pobytu swojej rodziny w moim domu przez siedem z górą lat. Podstawą ma być to, że nigdy nie byłaś jego żoną, a dzieci nie są jego, ale innych.

Liwia Druza opuściła głowę na poduszkę.

- *Ecastor!* Marku Liwiuszu, jak on może robić coś takiego swoim córkom, nie mówiąc już o moim synu? Można go zrozumieć w sprawie małego Kwintusa, ale Serwilia i Lilia? To złamie serce Serwili.

- Ach, to jeszcze nie wszystko! - Druzus machnął listem. - On chce zmienić testament i wydziedziczyć trójkę dzieci. A dalej ma czelność żądać zwrotu „swego” pierścienia!

Liwia Druza od razu wiedziała, o jakim pierścieniu mowa. Należał on do ich ojca, a przedtem do jego ojca, i miał być sygnetem Aleksandra Wielkiego. Odkąd Kwintus Serwiliusz Cypion zaprzyjaźnił się jako chłopiec z Markiem Liwiuszem Druzusem, pożądał tego pierścienia, patrzył z zawiścią, jak przechodzi on z palca zmarłego Druzusa Cenzora na palec żyjącego Druzusa. Wyruszając do Smyrny i Galii italskiej, ubłagał Druzusa, by mu pozwolił nosić ten pierścień na szczęście. Druzus nie chciał go pożyczyć, ale nie chciał też okazać się chciwy i w końcu się zgodził. Gdy Cypion wrócił, Druzus zażądał zwrotu. Cypion szukał powodu do zatrzymania pierścienia, ale ostatecznie zdjął go i oddał z nieszczerym uśmiechem.

- Dobrze, dobrze! Ale gdy znów wyjadę, musisz mi go oddać - przynosi szczęście.

- Jak on śmiał! - parsknął Druzus, ściskając palec, jakby Cypion mógł się zmaterializować i porwać pierścień.

- Nie przejmuj się tym, Marku Liwiuszu - pocieszyła go Liwia Druza, a potem znów wykręciła głowę, by go widzieć. - Co będzie z moimi dziećmi? - spytała. - Czy on to może zrobić?



- Nie po tym, co mu powiem - rzekł ponuro Druzus. - Czy i ty dostałaś list?
- Tylko zawiadomienie o rozwodzie.
- Odpoczywaj więc i wracaj do zdrowia, moja droga.
- Co mam mówić dzieciom?
- Nic, dopóki nie skończę z ich ojcem.

Druzus wrócił do swej pracowni, wziął arkusz najlepszego pergaminu z Pergamonu (chciał, żeby jego pisanie przetrwało próbę czasu) i odpowiedział Cepionowi:

*Możesz oczywiście wypierać się ojcostwa swoich trojga dzieci, Kwintusie Serwiliuszu. Ja jednak mogę przysiąc, że są one Twoim potomstwem, i potwierdzę to w sądzie, jeśli będzie trzeba. Jadłeś mój chleb i piłeś moje wino od kwietnia w roku trzeciego konsulatu Gajusza Mariusza aż do Twego wyjazdu przed dwoma laty. Pod Twoją nieobecność żywiłem, ubierałem i dawałem dach nad głową Twojej rodzinie. Nie znajdziesz żadnych dowodów niewierności mojej siostry w latach, które przeżyliście w moim domu, a jeśli sprawdzisz datę urodzenia Twego syna, przekonasz się, że musiał być w tym domu poczęty.*

*Dobrze Ci radzę, porzuć zamiar wydziedziczenia Twoich dzieci. Jeśli będziesz się przy tym upierał, wytoczę Ci proces w ich imieniu. Nie będę ukrywał przed sądem tego, co wiem o aurum Tolosanum i o wielkich sumach pieniędzy, które wyciągnąłeś z depozytu w Smyrnie i zainwestowałeś w bankach, nieruchomościach i przedsięwzięciach handlowych wzbronionych senatorom w zachodniej części Morza Środkowego. Na świadków będę musiał pozwać kilku najlepszych rzymskich lekarzy, którzy potwierdzą zagrożenie życia mojej siostry w wyniku bicia i maltretowania. Wezwę też moją siostrę i mojego rządcę, który wszystko słyszał.*

*Co do posagu mojej siostry i tych setek tysięcy sestercji, które mi jesteś winien za utrzymanie Ciebie i Twojej rodziny - nie będę sobie brudził rąk. Zatrzymaj te pieniądze. Nie przyniosłyby mi szczęścia.*

*Na koniec sprawa mojego pierścienia. Jest on powszechnie znany jako dziedzictwo rodu Liwiuszów. Postąpisz rozsądnie, porzucając swe pretensje.*

List został zapieczętowany i przesłany przez służącego do nowego legowiska Cepiona, domu Lucjusza Marcjusza Filipa. Skopany ze schodów sługa przywłókł się do Druzusa z wiadomością, że nie będzie odpowiedzi. Druzus z lekkim uśmiechem wręczył dziesięć denarów poranionemu niewolnikowi, a potem rozsiadł się na krześle i zamknąwszy oczy, wyobrażał sobie furję Cepiona, któremu pokrzyżował plany. Wiedział, że nie będzie żadnego procesu. Czyimkolwiek synem był naprawdę mały Kwintus, pozostanie już synem Cepiona, dziedzicem Tolosańskiego Złota. Druzus uśmiechnął się szerzej na myśl, że mały Kwintus wyrośnie na długonosą i rudowłosą kukułkę



w gnieździe Serwiliuszów Cepionów. Cóż za rozkoszna odpłata dla żonobijcy!

Poszedł potem do pokoju dziecinnego i wywołał do ogrodu swoją siostrzenicę Serwilię. Aż do dziś prawie jej nie zauważał. Uśmiechał się do niej, przechodząc, głaskał po głowie albo dawał jakiś upominek w stosownym dniu. Zaobserwował też, że ta ponura mała szelma nigdy się nie uśmiecha. Jak Cepion mógł się jej wypierać? Ta mściwa mała bestia to przecież wykapany ojciec. Druzus uważał, że dzieciom nie wypada nawet słuchać o sprawach dorosłych. Ze zgrozą patrzył na jej zachowanie dziś rano. Złośliwa mała plotkara. Wyszłoby jej na zdrowie, gdyby Cepion zrobił, co zamierzał, i wydziedziczył ją.

Takie były jego myśli. Twarz miał kamienną, a spojrzenie zimne, gdy Serwilia wyszła z pokoju i szła ku fontannie w perystylu.

- Serwilio, skoro uznałaś dziś rano, że wolno ci wejść na radę starszych, możesz się teraz dowiedzieć, że twój ojciec uznał za stosowne rozwiązać się z twoją matką.

- Bardzo dobrze! - Honor Serwiliii otrzymał satysfakcję. - Spakuję swoje rzeczy i zaraz do niego pójdę.

- Nie pójdziesz. - Druzus wyrażał się bardzo jasno. - On cię nie chce.

Dziewczynka pobladła tak bardzo, że w normalnych okolicznościach Druzus kazałby jej się położyć. Teraz patrzył tylko, jak się zachwiała na nogach. Nie zemdląła jednak. Wyprostowała się, a jej twarz poczerwieniała na nowo.

- Nie wierzę ci - powiedziała. - Mój tata nie zrobiłby mi tego. Ja to wiem!

Druzus wzruszył ramionami.

- Jeśli mi nie wierzysz, idź i sama go zapytaj. Jest niedaleko, o kilka domów stąd, u Lucjusza Marcjusza Filipa. Idź i spytaj.

- Pójdę - oświadczyła Serwilia i ruszyła w drogę, a jej opiekunka pośpieszyła za nią.

- Niech idzie, Stratoniko - powiedział Druzus. - Idź tylko z nią i dopilnuj, żeby wróciła.

„Jacy oni wszyscy są nieszczęśliwi”, myślał Druzus, pozostając przy fontannie. „Jakże ja sam byłbym nieszczęśliwy, gdyby nie moja kochana Serwilia Cepionia i nasz synek - i to dziecko usadowione wygodnie w jej łonie”.

Uczucie żalu czy skruchy przeminęło zastąpione chęcią ukarania Serwiliii, skoro nie mógł osiągnąć jej ojca. A potem, gdy zimowe słońce rozgrzało mu kości, a poranne wzruszenia przycichły, wróciło mu poczucie prawa i sprawiedliwości i znów stał się Markiem Liwiuszem Druzusem, obrońcą pokrzywdzonych, ale nigdy obrońcą Kwintusa Serwiliusza Cepiona, choćby i pokrzywdzonego.

Gdy znów pojawiła się Serwilia, Druzus siedział wciąż jeszcze z zamkniętymi oczami i ze swą zwykłą poważną miną przy srebrzystej w słońcu strudze wody wypływającej z łuskowatego pyska delfina.



- Wujku Marku! - wykrzyknęła. Otworzył oczy i zdobył się na uśmiech.
- Witaj. Co się stało?
- On mnie nie chce - powiedziała dziewczynka. Była spięta. - Mówi, że nie jestem jego córką ale kogoś innego.
- A widzisz! Nie chciałaś mi wierzyć.
- Jak miałam wierzyć? Jesteś po jej stronie.
- Serwilio, nie możesz być tak nieczuła dla matki. To ją spotkała krzywda, a nie twego ojca.
- Jak możesz tak mówić? Ona miała kochanka!
- Gdyby twój ojciec lepiej ją traktował, nie musiałaby szukać kochanka. Nie ma usprawiedliwienia dla kogoś, kto bije żonę.
- Powinien ją zabić, a nie bić. Ja bym tak zrobiła.

Druzus dał za wygraną.

- Ach, idź już sobie, ty wstrętna dziewczyno!

„Miejmy nadzieję, myślał, zamknąwszy znów oczy, że Serwiliu wyjdzie na dobre odepchnięcie przez ojca. Z czasem zbliży się do matki. To normalne”.

Poczuł głód, więc wkrótce potem zjadł z żoną posiłek złożony z chleba, oliwek i jaj na twardo. Zaznajomił ją przy tym dokładniej z wydarzeniami. Znał jej Serwiliuszowskie poczucie przyzwoitości, nie był więc pewien, jak przyjmie ona nowinę o związku jej szwagierki z człowiekiem wątpliwego pochodzenia jako przyczynie rozwodu. Choć jednak była rozczarowana, poznawszy nazwisko kochanka Liwii Druzy, za bardzo kochała Druzusa, by stanąć po innej stronie. Już dawno temu przekonała się, że sprawy rodzinne zawsze oznaczają podział lojalności, postanowiła więc być zawsze uczciwa wobec Druzusa. Lata wspólnego mieszkania pod jednym dachem z Cepionem nie zbliżyły jej do brata. Wspomnienia dzieciństwa przeminęły, żyła zaś z Druzusem wystarczająco długo, by przejąć coś z jego dzielności.

Cieszyli się więc tym wspólnym posiłkiem, po którym Druzus był gotów sławić czoło wszystkiemu, co jeszcze ten dzień mógł przynieść. Wczesnym popołudniem pojawił się nowy kłopot w postaci Marka Porcjusza Katona Salońskiego.

Druzus zaproponował Katonowi przechadzkę pod kolumnadą wokół perystylu, przygotowując się na najgorsze.

- Co ci o tym wszystkim wiadomo? - spytał.
- Przed chwilą odwiedzili mnie Kwintus Serwiliusz Cepion i Lucjusz Marcjusz Filip - odpowiedział Katon równie opanowanym tonem.
- Obaj razem? Filip występował chyba w roli świadka?
- Tak.
- I cóż?
- Cepion zawiadomił mnie po prostu, że rozwiódł się z żoną ponieważ zdradziła go ze mną.



- Nic poza tym?

Katon zmarszczył brwi.

- To chyba wystarczy? Powiedział to w obecności mojej żony, która zaraz odeszła do swego ojca.

- O bogowie, czy to się nie skończy?! - wykrzyknął Druzus, wyrzucając ręce w górę. - Siadaj, Marku Porcjuszu. Lepiej będzie, jeśli opowiem ci o wszystkim. Ten rozwód to zaledwie początek.

Wszystko to rozgniewało Katona daleko bardziej niż przedtem Druzusa. Porcjusze Katonowie przybierali poważne miny, ale nie słynęli z opanowania. Druzus potrzebował wiele czasu i musiał użyć wielu rozsądnych słów, by wytłumaczyć Katonowi, że jeśli zabije Cepiona albo choćby ciężko pobije - pogorszy to tylko sprawy Liwii Druzy. Upewniwszy się, że Katon jest już spokojny, Druzus zabrał go do Liwii Druzy. Jeśli żywił przedtem jakieś wątpliwości co do łączącego ich uczucia, rozwiały się one od pierwszego spojrzenia na ich twarze. Tak, to była miłość na całe życie. Biedacy!

- Kratypusie - zwrócił się do rządcy, pozostawiwszy kochanków samym sobie. - Zjadłbym obiad, i to zaraz. Zawiadom, proszę, panią Serwilię Cepionię.

Pani Serwilia Cepionia wołała jednak zjeść obiad w pokoju dzieci, gdzie mała Serwilia rzuciła się na swoje łóżko i oznajmiła, że nie przełknie nawet kropli wody i że jej ojciec pożałuje, kiedy usłyszy o jej śmierci.

Druzus poszedł więc sam do jadalni w nadziei, że to już koniec i że nie będzie mu sądzone przeżyć kolejnego takiego dnia. Westchnąwszy z ulgą ułożył się na łożu biesiadnym w oczekiwaniu *gustatio*.

- Czegóż to się dowiaduję! - wykrzyknął od drzwi jakiś głos.

- Wuj Publiusz!

- No więc, jaka jest prawda? - domagał się odpowiedzi Publiusz Rutyliusz, zrzucając z nóg buty i odpędzając służącego, który chciał mu umyć nogi. Wspiął się na łożo obok Druzusa i oparł się na lewym łokciu, a jego pewną siebie, pospolitą twarz rozjaśniała ciekawość połączona ze współczuciem i troską. - Rzym aż huczy od plotek o rozwodzie, zdradzie małżeńskiej, kochanku niewolnika, biciu żony, wyrodnej córce... Skąd się to wszystko naraz wzięło?

Druzus nie był mu jednak zdolny odpowiedzieć, bo to ostatnie najście przechyliło szalę. Opadł na poduszki i dosłownie popłakał się ze śmiechu.



Publiusz Rutyliusz Rufus miał rację, cały Rzym huczał od plotek. Wystarczyło dodać dwa do dwóch i otrzymano prawidłowy wynik, potwierdzony faktem, że najmłodsze z trójki dzieci, odprawionej przez męża żony, miało jaskraworudą czuprynę - i że Kuspia, niezmiernie bogata, lecz źle urodzona żona Marka Porcjusza Katona Salońskiego również wręczyła swemu



mężowi list rozwodowy. Nierozłączni dawniej Kwintus Serwiliusz Cepion i Marek Liwiusz Druzus nie rozmawiali teraz ze sobą, chociaż Cepion twierdził, że nie ma to nic wspólnego z rozwiedzionymi żonami, chodzi natomiast o to, że Druzus ukradł mu pierścień.

Ludzie myślący i obdarzeni poczuciem sprawiedliwości widzieli, że wszyscy najlepsi biorą stronę Druzusa i jego siostry. Ci mniej godni podziwu - jak Lucjusz Marek Filip i Publiusz Korneliusz Scypion Nazyka - brali stronę Cepiona, podobnie jak rycerze-pochlebcy działający na tym samym polu co Gnejusz Kuspiusz Buteo o przydomku „Sęp”, ojciec pokrzywdzonej żony Katona. Byli i tacy, którzy nie brali niczyjej strony, uważając całą tę sensację za niezmiernie zabawną. Był wśród nich Marek Emiliusz Skaurus, prynceps senatu. Nie pojawiał się przez parę lat, od czasu gdy jego żona zakochała się w Sulli. Mógł się teraz śmiać, bo zapały Dalmatyki pozostały wtedy nie odwzajemnione, a dziś spodziewała się ona dziecka, którego ojcem mógł być tylko on. Śmiał się także Publiusz Rutyliusz Rufus, chociaż był wujem cudzołożnicy.

Jak się jednak w końcu okazało, nikt ze sprawców tej afery nie stracił na niej tyle, ile stracił Marek Liwiusz Druzus.

- Można by raczej powiedzieć - żalił się Druzus przed Silonem, zaraz potem jak nowi konsulowie rozpoczęli urzędowanie - że jak zwykle to ja okazałem się odpowiedzialny za dzieci wszystkich innych! Gdybym miał dziś pieniądze, które wydałem w ciągu lat na tego gbura Cepiona, miałbym się znacznie lepiej! Mój nowy szwagier Katon Saloński nie porasta w pióra - spłaca Lucjuszowi Domicjuszowi Ahenobarbowi wiano swojej siostry - stracił też oczywiście majątek żony wraz z poparciem jej ojca parweniusza. Tak więc ja muszę nie tylko spłacać Lucjusza Domicjusza, ale też zapewnić dach nad głową mojej siostrze, jej mężowi i jej wciąż powiększającej się rodzinie - ona znów jest przy nadziei!

Chociaż Silon wiedział, że nie ucieszy tym Druzusa, przyłączył się do tych, którzy widzieli zabawną stronę sprawy, i śmiał się do rozpuku.

- Ach, Marku Liwiuszu, chyba nikogo jeszcze tak nie wykorzystywano!

- Dajże spokój - uśmiechnął się szeroko Druzus. - Wolałbym, żeby życie - czy Fortuna, czy ktokolwiek to jest - potraktowało mnie z nieco większym szacunkiem, tak jak na to zasługuję. Jak jednak mogło wyglądać moje życie przed Arauzjoną albo gdyby nigdy nie było Arauzjony, nie umiem sobie tego wyobrazić! Wiem, że nie mogę opuścić mojej biednej siostry i że lubię mojego nowego szwagra o wiele bardziej niż starego. Saloński może sobie być wnukiem dziewczyny urodzonej w niewoli, ale mimo to jest prawdziwym człowiekiem honoru, a mój dom jest szczęśliwszy, mogąc mu udzielić schronienia. Podoba mi się sposób, w jaki traktuje on Liwie Druzę, i muszę przyznać, że zawojował moją żonę. Przedtem uważała, że jego pochodzenie



jest nie do przyjęcia, ale teraz bardzo go lubi.

- Miło mi słyszeć, że twoja siostrzyczka jest wreszcie szczęśliwa - powiedział Silon. - Zawsze miałem wrażenie, że ukrywa jakiś głęboki smutek, ale zносиła swój los z wytrwałością prawdziwej córki Liwiuszów Druzusów. Szkoda jednak, że nie możesz uwolnić się od pensjonariuszy, bo chyba będziesz finansował karierę Salońskiego?

- Oczywiście. - Druzus nie był wcale zmartwiony. - Na szczęście mój ojciec zostawił mi więcej, niż zdołam wydać, więc nie brak mi niczego. Pomyśl tylko, jak rozżłości się Cepion, kiedy będę popychał Katona Salońskiego po *cursus honorum*!

- Pozwolisz, że zmienię temat? - spytał nagle Silon.

- Oczywiście. - Druzus był zdziwiony. - Mam nadzieję, że ten nowy temat dotyczy twoich działań w ostatnich miesiącach, nie widziałem cię prawie rok, Kwintusie Popediuszu.

- Aż tak długo? - Silon liczył coś w myślach i skinął głową. - Masz rację. Ależ ten czas leci! - Wzruszył ramionami. - Nic ważnego się nie wydarzyło. Moje sprawy dobrze idą i to wszystko.

- Nie wierzę ci, kiedy jesteś ostrożny. - Druzus był rad, że widzi przyjaciela. - Chyba jednak nie zamierzasz mi opowiadać, co naprawdę robiłeś, więc nie będę nalegał. O czym chciałeś mówić?

- O nowych konsulach.

- Mamy dobrych, na odmianę. - Druzus był zadowolony. - Nie wiem, kiedy wybraliśmy tak znakomitych - Krassus Orator i Scewola! Spodziewam się wielkich rzeczy.

- Naprawdę? Chciałbym móc powiedzieć to samo. Ja się spodziewam kłopotów.

- Na froncie italskim? Dlaczego?

- Ach, to na razie plotki. Mam nadzieję, że bezpodstawne, ale jakoś nie jestem tego pewien, Marku Liwiuszu. - Silon zachmurzył się. - Cenzorzy przedstawili konsulom rejestry obywateli rzymskich w Italii. Słyszałem, że martwi ich wielka liczba nowych nazwisk w tych spisach. Głupcy! Najpierw chwala się, że ich nowy sposób przeprowadzenia cenzusu ujawni większą liczbę obywateli niż stary, a potem mówią, że nowych obywateli jest zbyt wielu!

- Ach, więc dlatego nie było cię tak długo w Rzymie! - wykrzyknął Druzus. - Ostrzegałem cię, Kwintusie Popediuszu! Nie, nie oszukuj mnie! Jeśli to zrobisz, nasza przyjaźń będzie skończona i to ja gorzej na tym wyjdę! Sfałszowałeś spisy.

- Tak.

- Kwintusie Popediuszu, mówiłem ci przecież! Będą kłopoty!

Druzus siedział przez jakiś czas, trzymając się za głowę. Silon, czując się znacznie gorzej, niż się tego spodziewał, siedział w milczeniu i myślał. W



końcu Druzus podniósł głowę.

- Cóż, narzekanie nie ma chyba sensu. - Wstał, kręcąc głową z irytacją. - Lepiej wracaj do domu, Kwintusie Popediuz, i nie pokazuj się w mieście przez dłuższy czas. Nie możemy sobie pozwolić na obudzenie zainteresowania jakiegoś szczególnie bystrego członka antyitalskiego skrzydła. Zrobię, co się da w senacie, ale niestety jestem wciąż młodszym senatorem i mogę nie być dopuszczony do głosu. Pośród tych, którzy mają prawo głosu, masz niestety niewielu przyjaciół.

Silon także wstał.

- Marku Liwiuszu, to doprowadzi do wojny. Wrócę do domu, bo masz słuszność: ktoś mógłby zacząć się zastanawiać na mój widok. Widać jednak z tego, że nie ma sposobu, by pokojowo zapewnić Italii jej prawa.

- Jest sposób. Musi być sposób - rzekł Druzus. - Wyjedź teraz, Kwintusie Popediuz, możliwie jak najdyskretniej. Jeśli wybierasz Bramę Kollijną, omijaj Forum, proszę.

Sam Druzus nie omijał Forum. Ubrany w togę poszedł tam wypatrywać znajome twarze. Nie było żadnych zgromadzeń w senacie ani w komicjum, ale zawsze można było kogoś spotkać na dolnym Forum. Szczęśliwie, pierwszym wypatrzonym przez Druzusa okazał się jego wuj, Publiusz Rutyliusz Rufus, zmierzający ku Karynom, w stronę domu.

- Chciałbym, żeby tu był Gajusz Mariusz - powiedział Druzus, gdy znaleźli zaciszne miejsce w słońcu pod starymi drzewami.

- Tak, obawiam się, że twoi italscy przyjaciele nie będą mieli poparcia w senacie - rzekł Rutyliusz Rufus.

- Mogliby mieć, gdyby znalazł się ktoś wpływowy, kto podsunąłby jakiś pomysł. Gdy jednak Mariusz jest wciąż na wschodzie... Chyba że ty, wuju...

- Nie - powiedział stanowczo Rutyliusz Rufus. - Sprzyjam Italczykom, ale nie mam znaczenia w senacie. Straciłem *auctoritas* po powrocie z Azji Mniejszej. Dzierżawcy podatków wciąż żądają mojej głowy. Wiedzą, że nie dostaną Kwintusa Mucjusza, bo jest teraz zbyt ważny. Ale stary mąż konsularny jak ja, który nie zasłynął w sądach ani jako mówca, ani też prowadząc armię do zwycięstwa? Nie, nie mam wystarczających wpływów, naprawdę.

- Mówisz więc, że niewiele da się zrobić.

- To właśnie mówię, Marku Liwiuszu.



Druga strona zrobiła jednak wiele. Kwintus Serwiliusz Cepion postarał się o przyjęcie przez konsulów, Krassusa Oratora i Mucjusza Scewolę, i cenzorów, Antoniusza Oratora i Waleriusza Flakkusa. To, co miał do powiedzenia, ogromnie zainteresowało tych czterech.

- To вина Marka Druzusa - mówił Cepion. - W mojej obecności mówił on wiele razy, że trzeba nadać Italczykom pełne prawa obywatelskie i że nie może



być żadnych różnic między mieszkańcami Italii. Ma też potężnych italskich przyjaciół - przywódcę Marsów, Kwintusa Popediusza Silona, i przywódcę Samnitów, Gajusza Papiusza Mutilusa. Usłyszałem dość w domu Marka Liwiusza, żeby formalnie przysiąc, że Marek Liwiusz Druzus sprzymierzył się z tymi dwoma Italczykami i uknuł plan sfałszowania cenzusu.

- Kwintusie Serwiliuszu, czy masz jakieś dowody na poparcie swego oskarżenia? - spytał Krassus Orator.

Cepion przybrał niezmiernie godną i odpowiednio urażoną minę.

- Serwiliusz Cepion nie kłamie, Lucjuszu Licyniuszu. - Uraza przeszła w oburzenie. - Dowody na poparcie oskarżenia? Ja nie oskarżam! Ja tylko przedstawiam fakty. Nie potrzebuję żadnych „dowodów”! Powtarzam - jestem Serwiliuszem Cepionem!

- Dla mnie może sobie być i Romulusem - powiedział Marek Liwiusz Druzus, kiedy konsulowie i cenzorzy przyszli się z nim zobaczyć. - Jeśli nie widzicie, że te rzekome „fakty” są po prostu częścią prześladowania mnie i mojej rodziny przez Kwintusa Serwiliusza, nie jesteście tak bystrzy, jak myślałem! Śmieszny nonsens! Czemu miałbym knuć coś przeciw interesom Rzymu? Nie byłbym chyba synem mego ojca! Nie mogę odpowiadać za Silona ani za Mutilusa. Mutilus nigdy nie był w moim domu, jeśli już o tym mowa, a Silon przychodzi tylko jako przyjaciel. Nie ukrywałem tego, że moim zdaniem wszyscy mieszkańcy Italii powinni otrzymać pełne prawa. Obywatelstwo, którym chciałbym objąć Latynów i Italczyków, musi jednak być legalne, nadane przez senat i lud rzymski. Fałszowanie cenzusu nie jest żadnym rozwiązaniem; dopisywanie nazwisk do rejestrów albo podawanie się za obywatela, kiedy nie ma się do tego prawa - na to nigdy nie przystanę, choćbym uważał samą sprawę za słuszną. - Wyrzucił ramiona w górę. - Przyjmijcie to albo nie, Kwiryci, nie mam nic do dodania. Jeśli mi wierzycie, napijcie się ze mną wina. Jeśli wierzycie temu łgarzowi Cepionowi, odejdźcie i nie wracajcie.

Śmiejąc się cicho, Kwintus Mucjusz Scewola podał ramię Druzusowi.

- Ja pierwszy, Marku Liwiuszu, z przyjemnością się z tobą napiję.

- I ja - rzekł Krassus Orator. Cenzorzy też woleli wino.

- Zastanawiam się jednak - mówił później Druzus w jadalni - skąd Kwintus Serwiliusz wziął te swoje informacje. Rozmawiałem o tym z Kwintusem Popediuszem tylko raz i to wiele miesięcy temu, kiedy wybrano cenzorów.

- Czy coś wyszło na jaw, Marku Liwiuszu? - spytał Katon Saloński.

- Ach, Silon miał głupi pomysł nielegalnej rejestracji obywateli, ale mu go wyperswadowałem. Tak przynajmniej myślałem. I na tym się skończyło, jeśli chodzi o mnie. Nie widziałem się potem z Kwintusem Popediuszem aż do ostatnich dni. Skąd jednak Cepion wziął swoje informacje?

- Może was podsłuchiwał, może nie wyjechał. - Katon nie podzielał sympatii Druzusa do Italczyków, ale nie mógł sobie pozwolić na krytykę gospodarza.



Była to jeszcze jedna irytująca strona bycia pensjonariuszem Druzusa.

- Ach, wyjechał z całą pewnością. Nie było go wtedy w Italii i nie zakradałby się tu podsłuchiwać nie zaplanowaną rozmowę.

- A zatem, rzeczywiście, skąd wiedział? Może napisałeś coś, co mogło wpaść mu w ręce?

Druzus pokręcił przecząco głową nie pozostawiając słuchaczom żadnych wątpliwości.

- Niczego nie pisałem.

- Skąd masz jednak pewność, że ktoś pomógł Kwintusowi Serwiliuszowi ułożyć to oskarżenie? - spytała Liwia Druza.

- Bo oskarżył mnie o fałszowanie rejestrów nowych obywateli i skojarzył mnie z Kwintusem Popediuszem.

- Czy nie mógł sam do tego dojść?

- Być może, ale jest coś jeszcze. Podał trzecie nazwisko, Gajusza Papiusza Mutilusa, Samnity. Skąd wziął właśnie to nazwisko? Wiem, że Kwintus Popediusz bardzo się zaprzyjaźnił z Papiuszem Mutilusem. Jestem pewien, że obaj fałszowali rejestry. Skąd jednak wiedział o tym Cepion?

Liwia Druza wstała.

- Niczego nie obiecuję, Marku Liwiuszu, ale może znajdę odpowiedź. Przepraszam na chwilę.

Druzus, Katon i Serwilia Cepionia czekali chwilę, niezbyt podnieceni. Jak Liwia Druza mogła znaleźć odpowiedź? Cepion zapewne po prostu zgadł.

Liwia Druza wróciła, prowadząc przed sobą swą córkę Serwilię i trzymając dziewczynkę za ramię.

- Stań tu, Serwilio. Chcę cię o coś spytać - powiedziała surowo Liwia Druza. - Czy odwiedzasz twego ojca?

Twarz dziewczynki była tak spokojna i bez wyrazu, że patrzący z miejsca rozpoznali twarz winowajcy, który ma się na baczności.

- Żądam szczerzej odpowiedzi, Serwilio - rzekła Liwia Druza. - Czy odwiedzasz ojca? Zanim coś powiesz, przypominam ci, że jeśli zaprzeczysz, wypytam Stratonikę i innych.

- Tak, odwiedzam go.

Druzus usiadł wyprostowany, Katon również. Serwilia Cepionia osunęła się głębiej na krzesło, zakrywając twarz dłonią.

- Co powiedziałaś swemu ojcu o wuju Marku i jego przyjacielu, Kwintusie Popediuszu?

- Prawdę - odpowiedziała beznamiętnie Serwilia.

- Jaką prawdę?

- Że zmawiali się, żeby wpisać Italczyków na listy obywateli rzymskich.

- Jak mogłaś to powiedzieć, Serwilio, skoro to nieprawda? - spytał Druzus, wpadając w gniew.



- To prawda! - krzyknęła przeraźliwie dziewczynka. - Widziałam niedawno listy w pokoju tego Marsyjczyka!

- Wszedłeś do pokoju gościa bez jego wiedzy? - spytał z niedowierzaniem Katon. - To godne pogardy, dziewczyno!

- Kimże ty jesteś, żeby mnie sądzić? - Serwilia zwróciła się przeciw niemu. - Jesteś potomkiem niewolnicy i chłopa!

Katon zacisnął wargi i przełknął zniewagę.

- Mogę nim być, Serwilio, ale nawet dla niewolników gość jest święty.

- Jestem patrycjuszką z rodu Serwiliuszów - oświadczyła wyniośle dziewczynka - a tamten jest tylko Italczykiem. Zachowywał się jak zdrajca, i wuj Marek również!

- Jakie listy widziałaś, Serwilio? - spytał Druzus.

- Listy od Samnity Gajusza Papiusza Mutilusa.

- Ale nie od Marka Liwiusza Druzusa.

- Nie musiałam. Jesteś tak blisko z Italczykami, że robisz wszystko, czego chcą i spiskujesz z nimi. Wszyscy to wiedzą.

- Na szczęście dla Rzymu nie jesteś mężczyzną Serwilio. - Druzus zmusił się do udawania rozbawienia. - Gdybyś przyszła do sądu z takimi argumentami, zrobiłabyś z siebie głupca. - Zsunął się ze swego łoża biesiadnego i stanął przed nią. - Jesteś głupia i niewdzięczna, moje dziecko. Jesteś zakłamana i - jak powiedział twój ojczym - godna pogardy. Gdybyś była starsza, zamknąłbym przed tobą drzwi tego domu. Teraz jednak zrobię coś przeciwnego. Zostaniesz zamknięta w moim domu. Możesz chodzić po nim, jeśli ktoś będzie z tobą, ale nie opuścisz jego ścian pod żadnym pozorem. Nie będziesz odwiedzać ojca ani nikogo innego. Nie będziesz wysyłać mu listów. Jeśli zażąda, żebyś z nim zamieszkała, zgodzę się. Wtedy jednak nie wpuszczę cię więcej do tego domu, nawet gdybyś przyszła do matki. Dopóki twój ojciec odmawia ci opieki, jestem twoim *paterfamilias*. Moje słowa są dla ciebie prawem, bo tak każe prawo. W tym domu wszyscy robią, co im każe, z tobą włącznie. Zrozumiałaś?

Dziewczynka nie okazywała strachu. Czarne oczy były pełne ognia.

- Jestem patrycjuszką z rodu Serwiliuszów. Cokolwiek mi zrobicie i tak będę lepsza niż wy wszyscy razem. To, co się wam, gorszym ode mnie, nie podoba, było moim obowiązkiem. Wykryłam spisek przeciw Rzymowi i zawiadomiłam ojca. Spełniłam swój obowiązek. Możesz mnie karać wedle woli, Marku Liwiuszu. Możesz mnie zamknąć na zawsze w pokoju albo bić mnie, albo zabić. Nie dbam o to. Wiem, że spełniłam swój obowiązek.

- Ach, zabierz mi ją sprzed oczu! - zawołał Druzus do siostry.

- Czy mam ją kazać zabić? - Liwia Druza była prawie tak rozgniewana jak Druzus.

Wzdrygnął się.

- Nie! Nie będzie więcej bicia w moim domu. Zrób z nią tylko to, co



nakazałem. Jeśli zechce wyjść z pokoju dziecinnego albo lekcyjnego, ma mieć towarzystwo. I choć jest już dość duża, żeby mieć własną sypialnię, nie pozwalam na to. Niech zatęskni za odosobnieniem, skoro nie pozwala na nie moim gościom. Z biegiem lat stanie się to wystarczającą karą. Upłynie ich jeszcze dziesięć, zanim będzie mogła stąd wyjść - jeżeli jej ojciec będzie się nią interesował na tyle, by pomyśleć o jej małżeństwie. Jeżeli nie on, ja pomyślę - i nie o małżeństwie z patrycjuszem! Wydam ją za jakiegoś wiejskiego prostaka!

Katon roześmiał się.

- Nie, nie za wiejskiego prostaka, Marku Liwiuszu. Wydam ją za jakiegoś naprawdę godnego wyzwolenca, szlachetnego z natury, ale bez szans na uszlachcenie. To ją może nauczy, że niewolnicy i byli niewolnicy mogą być lepsi niż patrycjusze.

- Nienawidzę was! - wrzasnęła Serwilia, gdy matka ją wyprowadzała. - Nienawidzę was wszystkich! Przeklinam was! Przeklinam was! Obyście pomarli do ostatniego, zanim dorosnę do małżeństwa!

Zaraz potem zapomniano o dziewczynce, bo Serwilia Cepionia osunęła się z krzesła na posadzkę. Druzus podniósł ją przerażony i zaniósł do sypialni. Tam woń palonego pod jej nosem pierza przywróciła ją do przytomności. Płakała, nie mogąc się uspokoić.

- Ach, Marku Liwiuszu, nie sprzyja ci szczęście, odkąd związałeś się z moją rodziną- wykrztusiła, gdy usiadł na skraju łóżka i obejmował modląc się, by dziecko zniosło to wszystko.

- Wiem, wiem - powiedział, całując ją w czoło i czule ocierając jej łzy. - Nie wpędzaj się w chorobę, *mea vita*, ta dziewczyna nie jest tego warta. Nie dawaj jej satysfakcji, proszę.

- Kocham cię, Marku Liwiuszu. Zawsze kochałam i zawsze będę kochać.

- I ja cię kocham, Serwilio. Z każdym dniem coraz bardziej. Uspokój się teraz, pamiętaj o naszym dziecku. Tak ślicznie się rozwija. - Dotknął jej rosnącego brzucha.



Serwilia Cepionia umarła przy porodzie dzień przed przedstawieniem senatowi przez Lucjusza Krassusa Oratora i Kwintusa Mucjusza Scewolę nowej ustawy o Italii. Marek Liwiusz Druzus, który przywłókł się na posiedzenie, by usłyszeć projekt ustawy, nie mógł skupić uwagi.

Nikt z domowników Druzusa nie spodziewał się tego, co się stało. Serwilia Cepionia czuła się świetnie, a jej ciąża przebiegała gładko i bez żadnych niespodzianek. Poród był tak nagły, że zaskoczył nawet ją w przeciągu dwóch godzin zmarła z powodu ciężkiego krwotoku, którego nie udało się zatamować. Druzusa nie było wtedy w domu. Zdążył wrócić w porę, ona jednak przeszła już od straszliwego bólu do sennej, beztroskiej euforii i umarła, nie wiedząc, że Druzus trzyma ją za rękę, ani nie rozumiejąc, że



umiera. Była to śmierć miłosierna, ale straszna dla Druzusa, który nie doczekał się słów miłości ani pociechy, ani nawet rozpoznania jego obecności. Dobięły końca lata jej starań o to nieuchwytnie dziecko. Zmieniła się w bezkrwistą niepomną niczego białą podobiznę samej siebie, spoczywającą w łożu przesiąkniętym jej siłą życiową. Kiedy umarła, dziecko zaledwie wychodziło z jej łona. Lekarze i położne błagali Druzusa o zgodę na wyciągnięcie dziecka, on jednak odmówił.

- Niech je obejmuje - powiedział. - Niech ma choć tę pociechę. Gdyby to dziecko przeżyło, nie mógłbym go kochać.

Dowlókł się potem półżywy do Kurii Hostyliusza i zajął swoje miejsce pośród średnio znaczących. Jego kapłaństwo zapewniało mu wyższą pozycję niż jego obecny status senatorski. Służący rozstawił składane krzesło i dosłownie opuścił w nie swego pana. Dookoła wypowiedano półgłosem wyrazy współczucia, on zaś dziękował skinieniem głowy z twarzą równie pobielającą jak była przedtem jej twarz. Nie był przygotowany na widok Cepiona w tylnym rzędzie naprzeciwko i zbieła na twarzy jeszcze bardziej. Cepion! Zawiadomiony o śmierci siostry, napisał, że opuszcza Rzym zaraz po tym posiedzeniu i że w następstwie tego nie będzie mógł uczestniczyć w pogrzebie Serwili Cepionii.

Druzus miał doskonały widok na kurię i to, co się w niej działo, siedział bowiem przy końcu rzędów po lewej stronie, gdzie wielkie brązowe drzwi kurii, zbudowanej przed wiekami przez Tulusza Hostyliusza, stały otworem, by stłoczeni w portyku mogli słuchać. Konsulowie postanowili, że będzie to posiedzenie otwarte. Wejść do środka mogli tylko senatorowie ze swymi osobistymi służącymi, ale otwartość posiedzenia oznaczała, że każdemu wolno było tłoczyć się przed otwartymi drzwiami i słuchać.

W drugim końcu sali wznosiło się podwyższenie dla wyższych urzędników kurulnych. Za nim stała długa drewniana ława, na której zasiadało dziesięciu trybunów ludowych. Po obu stronach podwyższenia biegły pod ścianami trzy rzędy szerokich stopni, na których członkowie kurii rozstawiali swe składane stołki. Pięknie rzeźbione z kości słoniowej kurulne krzesła konsulów ustawiono z przodu podwyższenia, za nimi stały krzesła sześciu pretorów, a za tamtymi kurulne krzesła z kości słoniowej dwóch edylów kurulnych. Senatorowie mający prawo głosu z racji wieku albo sprawowania urzędów kurulnych zajmowali dolne rzędy z obu stron. Środkowe rzędy należały do tych, którzy byli kapłanami albo augurami, albo byli kiedyś trybunami ludowymi. Górne rzędy były zarezerwowane dla *pedarii*, senatorów bez znaczenia, których jedynym przywilejem w kurii było prawo do głosowania.

Po modlitwach, ofiarach i wróżbach uznanych za pomyślne wstał starszy konsul Lucjusz Licyniusz Krassus Orator.

- Pryncepsie senatu, najwyższy kapłanie, moi koledzy kurulni i wy,



członkowie tego dostojnego zgromadzenia! W tej kurii mówi się od pewnego czasu o nielegalnych wpisach Italczyków na listy obywateli rzymskich w trakcie ostatniego cenzusu - mówił, ściskając w lewej ręce jakiś dokument. - Chociaż nasi znakomici koledzy cenzorzy, Marek Antoniusz i Lucjusz Waleriusz, spodziewali się kilku tysięcy nowych nazwisk w spisach, nie spodziewali się jednak, że zobaczą ich aż tyle. Tak się właśnie stało. Cenzus przeprowadzony w Italii doprowadził do niebywałego wzrostu liczby ludzi podających się za obywateli rzymskich. Doniesiono nam również, że większość nowych nazwisk to nazwiska italskich sprzymierzeńców, którzy nie mają żadnych praw do obywatelstwa rzymskiego. Doniesiono nam, że przywódcy ludów italskich patrzą przez palce na masowe wpisy swych rodaków na listy obywateli rzymskich. Dwa nazwiska wysuwają się na czoło: Kwintusa Popediusza Silona, przywódcy Marsów, i Gajusza Papiusza Mutilusa, przywódcy Samnitów.

Czyjeś palce strzeliły władczy gestem, konsul urwał i skłonił się ku środkowi pierwszego rzędu po prawej.

- Gajuszu Mariuszu, witam cię na powrót w tej kurii. Czy masz jakieś pytanie?

- Rzeczywiście, mam pytanie, Lucjuzu Licyniuszu - rzekł Mariusz, podnosząc się z miejsca. Był opalony i wyglądał bardzo zdrowo. - Czy ci dwaj, Silon i Mutilus, figurują w naszych spisach?

- Nie, Gajuszu Mariuszu, ich tam nie ma.

- Zatem, nie mówiąc o doniesieniach, jakie masz dowody?

- Nie mam żadnych dowodów - odrzekł chłodno Krassus Orator. - Wymieniłem ich nazwiska tylko na podstawie doniesienia, że oni osobiście namawiają obywateli swoich ludów do wpisywania się masowo do rejestrów.

- Zapewne więc, Lucjuzu Licyniuszu, doniesienie, o którym wspominasz, jest mocno podejrzone.

- Być może - przyznał Krassus Orator bez zmieszania. Skłonił się ponownie. - Jeśli pozwolisz mi mówić dalej, Gajuszu Mariuszu, wyjaśnię to w stosownym czasie.

Mariusz wyszczerzył zęby w uśmiechu, odkłonił się i usiadł.

- Idźmy więc dalej, ojcowie spisani! Jak zauważył tak przytomnie Gajusz Mariusz, doniesienie nie poparte dowodami jest wątpliwe. Nie jest zamiarem waszych konsulów ani waszych cenzorów pomijanie tej strony sprawy. Jednakże mąż, który złożył doniesienie, jest godny poważania, a jego świadectwo potwierdza nasze spostrzeżenia - mówił Krassus Orator.

- Kim jest ów mąż godny poważania? - spytał Publiusz Rutyliusz Rufus, nie wstając z miejsca.

- Grozi mu niebezpieczeństwo, prosił więc o niewyjawianie jego nazwiska.

- Podam ci je, wuju! - powiedział głośno Druzus. - To Kwintus Serwiliusz



Cepion Żonobijca! Oskarżał także mnie!

- Marku Liwiuszu, nie udzieliłem ci głosu - przypomniał konsul,  
- Tak, oskarżam także i jego! Jest tak samo winny jak Silon i Mutilus! - krzyknął z tylnego rzędu Cepion.

- Kwintusie Serwiliuszu, nie udzieliłem ci głosu. Usiądź.

- Nie usiądę, dopóki nie dodacie nazwiska Marka Liwiusza Druzusa do mego oskarżenia! - krzyknął jeszcze głośniejszym głosem Cepion.

- Konsulowie i cenzorzy upewnili się już, że Marek Liwiusz Druzus nie jest zamieszany w tę sprawę - oświadczył Krassus Orator, zaczynając zdradzać oznaki zniecierpliwienia. - Mógłbyś pamiętać - jak wszyscy *pedarii*! - że w tej kurii nie masz prawa głosu! Siadaj i trzymaj język za zębami, tam gdzie twoje miejsce! Ta kuria nie będzie wysłuchiwać osobistych kłótni! Ta kuria wysłucha teraz mnie!

Zapadła cisza. Krassus Orator uszanował ją przez kilka chwil, a potem odchrząknął i zaczął znowu:

- Jakikolwiek byłby powód - i z czyjejkolwiek namowy to się stało - okazało się nagle, że w spisach cenzusowych jest znacznie więcej nazwisk, niż powinno. W tych okolicznościach można przyjąć, że wielu ludzi nielegalnie przyznało sobie obywatelstwo. Konsulowie mają zamiar uzdrowić tę sytuację, nie idąc za fałszywymi tropami ani też nie rzucając oskarżeń bez dowodów. Obchodzi nas tylko jedno: wiemy, że jeśli czegoś nie zrobimy, staniemy w obliczu zbyt wielkiej liczby obywateli utrzymujących, że należą do trzydziestej pierwszej wiejskiej *tribus*! W ciągu jednego pokolenia uzyskają oni w wyborach trybusowych przewagę głosów nad nami, obywatelami *bona fide*, i być może będą wpływać na wyniki głosowań centurialnych.

- Mam więc nadzieję, że coś zrobimy, Lucjuszu Licyniuszu - odezwał się prynceps senatu Skaurus ze swego miejsca w środku pierwszego rzędu po prawej, tuż przy Gajuszu Mariuszu.

- Kwintus Mucjusz i ja sformułowaliśmy nowe prawo. - Krassus Orator nie obraził się o to przerwanie mu wypowiedzi. - Ma ono na celu usunięcie wszystkich fałszywych obywateli z rzymskich spisów. Nie zajmuje się niczym więcej. Nie jest to jakiś akt wypędzenia, nie zakłada masowego exodusu obywateli obcych z Rzymu ani z innych rzymskich i latiońskich ośrodków w Italii. Prawo to zajmuje się wykrywaniem tych, którzy trafili do spisów nielegalnie, nie mając żadnych praw. Aby to osiągnąć, proponuje się podział Italii na dziesięć części: Umbrię, Etrurię, Picenum, Lacjum, Samnium, Kampanię, Apulię, Lukanię, Kalabrię i Brucjum. Każda z tych części otrzyma specjalny sąd mający prawo badania statusu obywatelskiego ludzi, których nazwiska pojawiły się w cenzusie po raz pierwszy. Ustawa proponuje by te *quaestiones* składały się raczej z sędziów niż z kolegów sędziowskich i by ci sędziowie byli członkami senatu rzymskiego. Przewodniczącym każdego sądu



ma być mąż konsularny, a towarzyszyć mu będzie dwóch młodszych senatorów. Zostaną przygotowane zestawy pytań dla tych sądów śledczych, a każdy, kto przed nimi stanie, będzie musiał odpowiedzieć - z dowodami! - na te pytania. Protokoły zostaną sporządzone tak dokładnie, że żaden fałszywy obywatel nie uniknie wykrycia, możemy was o tym upewnić już teraz. Na późniejszym *contio* odczytamy oczywiście tekst *lex Licinia Mucia* w całości, nie uważam jednak, żeby pierwsze *contio* nad jakąkolwiek ustawą wymagało wdawania się w szczegóły. Podniósł się prynceps senatu Skaurus.

- Jeśli można, Lucjuszu Licyniuszu, chciałbym spytać, czy zamierzasz umieścić jedną ze swych specjalnych *quaestiones* w samym Rzymie, a jeśli tak, czy ta *quaestio* ma zajmować się również Lacjum?

Krassus Orator miał poważną minę.

- Sam Rzym będzie miał jedenastą *quaestio* - odparł. - Lacjum zajmiemy się oddzielnie. Co do Rzymu muszę jednak powiedzieć, że spisy tego miasta nie wykazują żadnych masowych zgłoszeń nowych obywateli, które uznano by za fałszywe. Mimo to uważamy, że warto umieścić jeden sąd śledczy w Rzymie, bo w mieście żyje zapewne wielu spisanych obywateli, którym można by udowodnić nielegalność - gdyby sięgnąć dostatecznie głęboko.

- Dziękuję, Lucjuszu Licyniuszu - rzekł Skaurus, siadając. Krassus Orator był teraz całkowicie zbity z tropu. Jego nadzieje na doprowadzenie do retorycznych popisów zostały pogrzebane, bo to, co zaczęło się jako przemówienie, zmieniło się w wymianę pytań i odpowiedzi. Zanim zdołał podjąć temat, podniósł się Kwintus Lutacjusz Katulus Cezar, potwierdzając podejrzenia starszego konsula, że kuria nie jest w nastroju do wysłuchiwanie wspaniałych przemówień.

- Czy mogę się ośmielić zadać pytanie? - spytał Katulus Cezar z przesadną skromnością.

Krassus Orator westchnął.

- Każdy może, Kwintusie Lutacjusz, nawet ci, którzy nie mają prawa głosu! Czuj się jak u siebie. Nie wahaj się. Bądź moim gościem. Korzystaj z okazji, pytaj!

- Czy *lex Licinia Mucia* przewiduje albo wyszczególnia jakieś kary, czy też wymierzenie kary pozostawia uznaniu sędziów?

- Możesz mi wierzyć albo nie, Kwintusie Lutacjusz, ale do tego właśnie zmierzałem! - oświadczył Krassus Orator, wyraźnie tracąc cierpliwość. - Nowa ustawa wylicza określone kary. Po pierwsze, wszyscy fałszywi obywatele, którzy podali się za obywateli podczas ostatniego cenzusu, będą potraktowani z całą surowością prawa. Zostanie im wymierzona chłosta biczem z węzłami. Nazwisko winnego trafi na listę tych, którzy nie otrzymają obywatelstwa, i to samo czeka ich potomków. Na winnego nałożymy grzywnę w wysokości czterdziestu tysięcy sestercji. Jeżeli fałszywy obywatel mieszka w mieście,



miasteczku czy osadzie na prawach latyńskich albo rzymskich, zostanie pozbawiony, i jego krewni także, prawa pobytu i musi wrócić do miejsca swego pochodzenia. Ci natomiast, którzy nie mają obywatelstwa, nie będą karani i mogą pozostać tam, gdzie mieszkają.

- A co z tymi, którzy sfałszowali swój status podczas poprzednich cenzusów?

- spytał starszy Scypion Nazyka.

- Nie czeka ich chłosta, Publiusz Korneliuszu, ani grzywna. Trafiają jednak na listę i zostaną wydalenii z osiedli latyńskich lub rzymskich.

- A jeśli ktoś nie zdoła zapłacić grzywny? - zapytał Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus, pontifex maximus.

- Zostanie sprzedany państwu w niewolę za długi na co najmniej siedem lat.

Teraz podniósł się Gajusz Mariusz.

- Czy mogę coś powiedzieć, Lucjusz Licyniuszu?

Krassus Orator wyrzucił ręce w górę.

- A czemuż by nie, Gajuszu Mariuszu? Możesz mówić, dopóki ci nie przerwie, kto tylko zechce albo jego wuj!

Druzus patrzył, jak Mariusz zmierza ze swego miejsca na środek. Serce biło mu szybciej, a już myślał, że zamarło w nim, kiedy umarła mu żona. Oto była jedyna szansa. „Ach, Gajuszu Mariuszu, choć nie przepadałem za tobą powiedz to, co ja bym powiedział, gdybym mógł zabrać głos! Jeśli nie ty, nikt tego nie powie!”

- Widzę - zaczął Mariusz - że jest to porządnie ułożony kawał ustawodawstwa. Tego należało się spodziewać po dwóch naszych najlepszych prawodawcach. Ta ustawa wymaga tylko jednego, aby była całkowicie nieodwracalna, to jest wzmianki o wypłacie nagrody każdemu, kto doniesie o występku. Tak, to godny podziwu kawałek ustawodawstwa! Czy jednak jest to sprawiedliwe prawo? Czy nie tym powinniśmy się zająć przede wszystkim? I jeszcze tym, czy naprawdę uważamy się za wystarczająco silnych, wystarczająco butnych i wystarczająco głupich, by egzekwować kary przewidziane przez to prawo? Z treści przemowy Lucjusza Licyniusza - chyba nie najlepszej z jego mów - wynika, że istnieją dziesiątki tysięcy domniemanych fałszywych obywateli rozrzuconych od Galii italskiej do Brucjum i Kalabrii, ludzi, którzy czują się uprawnieni do pełnego uczestniczenia w rządzeniu Rzymem i w sprawach wewnętrznych - bo któż inny ryzykowałby deklarowanie fałszywego obywatelstwa? Wszyscy wiedzą że taka deklaracja pociąga za sobą ryzyko wykrycia, a więc chłosta, skreślenia z listy, grzywny - choć zwykle nie wymierzano tych trzech kar temu samemu człowiekowi.

Zwrócił się teraz ku lewej stronie kurii i mówił dalej:

- Teraz jednak, ojcowie spisani, mamy obciążyć wszystkimi trzema karami całe dziesiątki tysięcy ludzi - i jeszcze ich rodziny! Mamy ich chłostać, nakładać



na nich grzywny, których nie będą w stanie spłacić, wpisywać ich na czarną listę i wyrzucać z domów, jeśli te domy stoją przypadkiem w miastach rzymskich lub latyńskich. - Przeszedł przez całą długość kurii do otwartych drzwi i stanął tam zwrócony twarzą do obu stron. - Chodzi o dziesiątki tysięcy ludzi, ojcowie spisani! Nie o jednego, dwóch, trzech czy czterech, ale o dziesiątki tysięcy! I o ich rodziny: synów, córki, żony, matki, stryjów, wujów, ciotki i kuzynów, to dodatkowe dziesiątki tysięcy! Wszyscy oni będą mieli przyjaciół - także i wśród tych, którzy legalnie posiadają obywatelstwo rzymskie lub latyńskie. Poza miastami rzymskimi i latyńskimi ich rodacy stanowią większość. My zaś, senatorowie, którzy zostaniemy wybrani - chyba przez losowanie? - do tych sądów śledczych, mamy przesłuchiwać zgodnie z protokołem tych, których przed nas przyprowadzą i postępować zgodnie z literą *lex Licinia Mucia*, skazując wykrytych fałszerzy. Podziwiam tych spośród nas, którzy znajdą w sobie tyle odwagi, by spełniać ten obowiązek. Ja sam modliłbym się raczej o następny udar! Czy może *lex Licinia Mucia* dostarczy nam zbrojnych oddziałów milicji, stojących w stałym pogotowiu przy każdej z tych *quaestiones*!

Zaczął iść wolno przez salę, ciągnąc swoje przemówienie:

- Czy to naprawdę taka zbrodnia chcieć być Rzymianinem? Można bez przesady stwierdzić, że rządzymy całym światem, który się liczy. Najostatniejszy z tych, którzy mogą się nazwać Rzymianami, choćby należał do Policzonych Głowami, jest lepszy od reszty ludzi. Może być za biedny, żeby trzymać choćby jednego niewolnika, wciąż jednak należy do narodu władców świata. Słowo „Rzymianin” obdarza go wyłącznością. Nawet jeśli wykonuje posługi, do jakich zmusza go brak tego jednego niewolnika, wciąż jeszcze może sobie mówić: „Jestem Rzymianinem, jestem lepszy od reszty ludzi!” - Przed samą ławą trybunów obrócił się znów ku drzwiom. - Tu w Italii żyjemy głowa przy głowie z pokrewnymi ludami, które przez czterysta lat dawały nam żołnierzy i daniny oraz walczyły we wszystkich naszych wojnach jak partnerzy płacący za siebie. Tak, czasem niektórzy z nich się buntowali albo wspierali naszych wrogów, albo występowali przeciw naszej polityce. Za te występki zostali już jednak ukarani. Rzymskie prawo zabrania karać ich za to ponownie. Czy można ich winić za to, że chcą być Rzymianami? Oto jest pytanie! Nie, dlaczego chcą być Rzymianami ani co ich popchnęło do złożenia fałszywej deklaracji. Czy można ich naprawdę za to winić?

- Tak! - krzyknął Kwintus Serwiliusz Cepion. - Tak! Są od nas gorsi! Są nam poddani, nie są równi!

- Kwintusie Serwiliuszu, nie masz głosu! Siadaj i milcz albo opuść to zebranie! - zagrzmiął Krassus Orator.

W tempie, które pozwalało mu zachować godność, Gajusz Mariusz obrócił się, rozglądając się wkoło, a gorzki uśmiech wykrzywił mu twarz.



- Myślicie, że wiecie, do czego zmierzam, czyż nie? - spytał kurie. Potem roześmiał się. - Myślicie, że Italczyk Gajusz Mariusz chce zalecić Rzymowi, by zapomniał o *lex Licinia Mucia* i pozostawił w spisach te dziesiątki tysięcy dodatkowych obywateli? - Uniósł brwi. - Mylicie się, ojcowie spisani! Nie o to mi chodzi. Tak jak wy nie uważam, by nasze prawa wyborcze mogły być poniżane. Nie można pozwolić na zachowanie rejestracji ludziom, którym zabrakło zasad, by powstrzymać się przed nielegalnym wpisem na listę Rzymian. Chodzi mi o to, żeby *lex Licinia Mucia* działała przez swe sądy śledcze zgodnie z planami jej twórców, ale tylko do pewnego punktu. Poza ten punkt nie ważmy się iść! Każdy fałszywy obywatel musi być wykreślony z naszych spisów i wydalony z naszych *tribus*. Tyle - i nic poza tym. Nic poza tym! Ostrzegam was bowiem uroczyście, ojcowie spisani, i was, Kwiryści słuchający u drzwi, że z chwilą obłożenia fałszywych obywateli karami hańbiącymi ich ciała, ich domy, ich trzosi i ich potomstwo, zasiejecie ziarno nienawiści i zemsty, przy którym smocze zęby stracą blask! Będziecie zbierać śmierć, krew, nędzę i przekleństwa, które przetrwają tysiąclecia! Nie wybaczajcie tego, co próbowali zrobić Italczycy, nie karzcie ich jednak za tę próbę!

„Ach, dobrze powiedziane, Gajuszu Mariuszu!”, pomyślał Druzus i zaczął klaskać. Niektórzy inni klaskali także. Większość jednak nie wyrażała podziwu dla wystąpienia Gajusza Mariusza, a spoza drzwi dochodził gwar wskazujący, że słuchacze na Forum nie zgadzają się z taką łatwością.

Podniósł się Marek Emiliusz Skaurus.

- Czy mogę zabrać głos?

- Możesz, przywódco tej kurii - odrzekł Krassus Orator. Chociaż obaj z Mariuszem byli w tym samym wieku, prynceps senatu Skaurus nie zachował takiej samej iluzji młodości mimo swej symetrycznej twarzy. Zmarszczki wżarły się w ciało, a łysa głowa także była pomarszczona. Jego piękne zielone oczy były jednak młode, bystre, zdrowe, błyszczące. I ogromnie inteligentne. Jego powszechnie podziwiane poczucie humoru nie dawało dziś jednak znać o sobie. Nawet kąciki ust wykrzywione były w dół. I on przeszedł przez salę do drzwi, tam jednak obrócił się twarzą ku tłumom na zewnątrz.

- Ojcowie spisani rzymskiego senatu, jestem waszym przywódcą ponownie wyznaczonym przez naszych obecnych cenzorów. Jestem waszym przywódcą od roku mego konsulatu, dokładnie od dwudziestu lat. Jestem mężem konsularnym, który był cenzorem. Dowodziłem armiami i zawierałem traktaty z wrogami i z tymi, którzy chcieli być naszymi przyjaciółmi. Jestem patrycjuszem z *gens* Emilia. Daleko jednak ważniejsze od tych wszystkich rzeczy, chociaż chwalebnych i prestiżowych, jest to, że jestem Rzymianinem! Muszę się, o dziwo, zgodzić z Gajuszem Mariuszem, który sam siebie nazywa Italczykiem. Niech mi będzie wolno powtórzyć to, co powiedział on na początku swej przemowy. Czy to naprawdę taka zbrodnia chcieć być



Rzymianinem? Chcieć należeć do rządzących całym światem, który się liczy? Chcieć należeć do narodu, który wydaje rozkazy królom, a królowie są tym rozkazom posłuszni? Tak jak Gajusz Mariusz powiadam, że to nie zbrodnia chcieć być Rzymianinem. Różnimy się jednak w tym, na co kładziemy nacisk. Nie jest zbrodnią chcieć. Jest zbrodnią zrobić to. I nie pozwolę, by słuchający Gajusza Mariusza wpadli w zastawioną przez niego pułapkę. Ta kuria nie zebrała się tu dziś, by współczuć tym, którzy chcą mieć to, czego nie mają. Ta kuria nie zebrała się, by walczyć z ideałami, marzeniami, pragnieniami, aspiracjami. Zebraliśmy się, by uporać się z rzeczywistością - z nielegalną uzurpacją naszego obywatelstwa przez dziesiątki tysięcy ludzi, którzy nie są Rzymianami, a zatem nie mają prawa mówić, że są Rzymianami. Nie chodzi o to, że chcą nimi być. Chodzi o to, że dziesiątki tysięcy popełniły wielkie przestępstwo i że my, strażnicy rzymskiego dziedzictwa, nie możemy traktować tego wielkiego przestępstwa jako drobnego przewinienia, za które można najwyżej metaforycznie dostać po łapach. - Teraz zwrócił się twarzą do kurii. - Ojcowie spisani, ja, przywódca kurii, wzywam was jako prawdziwy Rzymianin do wprowadzenia tego prawa z całą władzą i autorytetem, jaki posiadacie! Całemu temu italskiemu pragnieniu rzymskości trzeba położyć kres. *Lex Licinia Mucia* musi zawierać najcięższe z kar, jakie kiedykolwiek zapisano na naszych tablicach! To nie wszystko! Powinniśmy chyba przyjąć obie propozycje Gajusza Mariusza, wnosząc poprawki do tego prawa. Pierwsza poprawka musi określać nagrodę za informację demaskującą fałszywego Rzymianina - cztery tysiące sestercji, dziesięć procent grzywny. Tym sposobem skarb państwa nie wyda ani asa, wszystko obciąży winnego. Druga poprawka musi powoływać oddziały zbrojnej milicji towarzyszące sądom w ich działaniu. Żołnierze tej milicji będą także opłacani z grzywien. Serdecznie dziękuję Gajuszowi Mariuszowi za jego propozycje.

Nikt później nie umiał powiedzieć, czy było to zakończenie mowy Skaurusa, bo Publiusz Rutyliusz Rufus zerwał się z miejsca, krzycząc:

- Proszę o głos! Proszę o głos! - A Skaurus był tak zmęczony, że usiadł, skinąwszy głową przewodniczącemu.

- Biedny stary Skaurus już się skończył - mówił Lucjusz Marek Filip do swych sąsiadów z obu stron. - To nie w jego stylu korzystać z czyjejś mowy, by ułożyć własną.

- Nie widzę w tym niczego złego - powiedział jego sąsiad z lewej, Lucjusz Semproniusz Aselion.

- Skończył się - powtórzył Filip.

- *Tace*, Lucjusz Marcjusz - rzekł Marek Hereniusz, jego sąsiad z prawej. - Chciałbym posłuchać Publiusza Rutyliusza.

- Będziesz musiał! - parsknął Filip, ale zamilkł.

Publiusz Rutyliusz nie pofatygował się, by wyjść na środek sali. Stał po



prostu przy swoim składanym stołku i mówił:

- Ojcowie spisani i wy, Kwiryści słuchający u drzwi, wysłuchajcie mnie, błagam! - Wzruszył ramionami i skrzywił się. - Nie mam wielkiego zaufania do waszego rozsądku, więc nie oczekuję, że odstąpicie od opinii Marka Emiliusza, która wyraża opinię większości obecnych. To, co mówię, powinno jednak zostać powiedziane - i wysłuchane, by można było to powtórzyć kiedyś, kiedy przyszłość okaże swą roztropność i sprawiedliwość. Przyszłość nie zawiedzie, zapewniam was. - Odchrząknął, a potem zawołał: - Gajusz Mariusz ma rację! Nie należy robić niczego więcej niż wykreślenie wszystkich fałszywych obywateli z naszych spisów i usunięcie ich z naszych *tribus*. Zdaję sobie sprawę, że większość z was - chyba włącznie ze mną! - uważa naszych italskich rodaków kogoś niższego od prawdziwych Rzymian. Mam jednak nadzieję, usiało nam dość rozsądku, by zrozumieć, że nie są barbarzyńcami. To ludzie znający życie i egzystujący na nasz, rzymski sposób. Ich przywódcy otrzymali znakomite wykształcenie. Nie mogą zatem być traktowani jak barbarzyńcy! Ich układy z nami pochodzą sprzed stuleci, ich współpraca trwa od wieków. Są nam bliscy, jak to powiedział Gajusz Mariusz.

- A w każdym razie są spokrewnieni z Gajuszem Mariuszem - wycedził Lucjusz Marek Filip.

Rutyliusz Rufus odwrócił się i spojrzał na byłego pretora, unosząc brwi.

- Widzę, że odróżniasz pokrewieństwo od wspólnych interesów! Gdybyś nie odróżniał, nie Ignąłbyś do Gajusza Mariusza niczym osesek, czyż nie, Lucjuszu Marcjuszu? Kiedy w grę wchodzi pieniądze, Gajusz Muriusz jest ci bliższy niż twój rodzony tato! Mogę przysiąc, że poprosiłeś przynajmniej raz Gajusza Mariusza o takie pieniądze, jakich nigdy nie miał twój tato! Gdyby złoto było krwią i ty byłbyś spokrewniony z Italczykami, nieprawdaż? - Kuria wybuchnęła śmiechem, rozległy się oklaski i gwizdy, a poczerwieniały na twarzy Filip najchętniej zapadłby się pod ziemię. Rutyliusz Rufus wrócił do tematu: - Przyjrzyjmy się, proszę, z większą powagą karom przewidzianym przez *lex Licinia Mucia*. Jak można chłostać ludzi, z którymi musimy współistnieć, którzy dostarczają nam pieniędzy i żołnierzy? Jeśli jacyś rozwiązli członkowie tej kurii mogą zniesławiać przodków innych członków tej kurii, to jakże różnimy się od Italczyków! Zły to ojciec, który nie daje synowi niczego oprócz codziennego bicia. Kiedy taki syn dorasta, nienawidzi ojca, nie kocha go i nie podziwia. Jeśli zaczniemy chłostać naszych italskich krewniaków z tego półwyspu, będziemy musieli współżyć z ludźmi, którzy nienawidzą nas za nasze okrucieństwo. Jeśli zabronimy im starań o obywatelstwo, będziemy musieli współżyć z ludźmi, którzy nienawidzą nas za nasze wywyższanie się. Jeśli doprowadzimy ich do ubóstwa tymi oburzającymi grzywnami, będziemy musieli współżyć z ludźmi, którzy nienawidzą nas za naszą zachłanność. Jeśli ich wyrzucimy z domów, będziemy musieli współżyć z



ludźmi, którzy nienawidzą nas za brak serca. Ile to w sumie daje nienawiści? Daleko więcej, ojcowie spisani, Kwirycci, niż możemy znieść od ludzi, którzy żyją na tej samej ziemi co my.

- Przyciśnijmy ich więc jeszcze bardziej - odezwał się znudzonym tonem Katulus Cezar. - Przyciśnijmy ich tak, że przestaną cokolwiek odczuwać. Zaslugują na to za kradzież najcenniejszego z darów Rzymu.

- Kwintusie Lutacjuszu, spróbujże zrozumieć! - prosił Rutyliusz Rufus. - Kradli, bo im tego nie daliśmy! Kiedy ktoś ukradnie coś, co uważa za należne sobie, nie nazywa tego kradzieżą. Nazywa to odzyskaniem.

- Jak może odzyskać coś, co nie było jego własnością?

Rutyliusz Rufus dał za wygraną.

- W porządku. Staralem się wykazać wam bezsens wymierzania tych straszliwych kar ludziom, wśród których żyjemy, którzy egzystują na poboczach naszych dróg, stanowią większość ludności na obszarach, gdzie budujemy nasze wiejskie wille i gdzie mamy posiadłości ziemskie, którzy często uprawiają nasze ziemie, jeśli nie jesteśmy dość nowoczesni, by korzystać z pracy niewolniczej. Nie wspomnę już więcej o konsekwencjach, jakie wynikną z karania Italczyków.

- Dzięki za to wszystkim bogom! - westchnął Scypion Nazyka.

- Przejdę teraz do poprawek proponowanych przez naszego pryncypsa senatu - bynajmniej nie przez Gajusza Mariusza! - Rutyliusz Rufus zignorował tę uwagę. - I dodam, pryncypsie senatu, że przejmowanie czyjejś ironii i przetwarzanie we własną poważną propozycję nie jest dobrą retoryką! Jeśli nie będziesz ostrożniejszy, ludzie zaczną mówić, że jesteś skończony. Rozumiem jednak, że niełatwo znaleźć ważne i poruszające słowa, by przedstawić coś, do czego się nie ma serca. Czyż nie mam racji, Marku Emiliuszu?

Skaurus milczał, nieco jednak poczerwieniał na twarzy.

- Rzymianie nie mają zwyczaju zatrudniać płatnych informatorów, tak samo jak nie mają zwyczaju zatrudniać straży przybocznej - mówił Rutyliusz Rufus. - Jeśli zaczniemy to robić, opierając się na *lex Licinia Mucia*, okażemy naszym italskim sąsiadom, że się ich boimy. Pokażemy im, że *lex Licinia Mucia* ma służyć nie karaniu zła, ale niszczeniu potencjalnego zagrożenia - czyli naszych italskich sąsiadów! W przewrotny sposób wskażemy, jak mogą nas połknąć znacznie skuteczniej niż my ich! Tak drastyczne środki i tak nierzymskie metody, jak płatni informatorzy i straż przyboczna, ujawniają strach i przerażenie. Okazujemy słabość, a nie siłę, ojcowie spisani, Kwirycci! Ten, kto naprawdę czuje się bezpieczny, nie chodzi z eskortą byłych gladiatorów ani nie ogląda się co kilka kroków przez ramię. Ten, kto naprawdę czuje się bezpieczny, nie wyznacza nagród za informacje o jego nieprzyjaciółach.

- Bzdury! - stwierdził pogardliwie pryncypsa senatu Skaurus. - Zdrowy



rozsądek każe zatrudniać płatnych informatorów. To może umniejszyć herkulesowy trud sądów specjalnych, które będą musiały rozprawić się z dziesiątkami tysięcy gwałcicieli prawa. Każde narzędzie, które pozwoli skrócić i ułatwić ten proces, będzie mile widziane! Co do zbrojnej eskorty, to i ona jest nakazem rozsądku. Zniechęci demonstrantów i zapobiegnie rozruchom.

- Słuchajcie, słuchajcie! Słuchajcie, słuchajcie! - rozlegało się ze wszystkich stron kurii. Słysząc też było rozproszone oklaski. Publiusz Rutyliusz Rufus wzruszył ramionami.

- Widzę, że mówię do ludzi o uszach z kamienia. Szkoda, że tak wielu z was umie czytać z ruchu warg! Powiem jeszcze tylko jedno, nim zakończę. Zatrudniając płatnych informatorów, ściągniemy na naszą ukochaną ojczyznę zarazę, która poderwie jej siły na dziesiątki lat, plagę szpiegów, szantażystów, podejrzliwych przyjaciół, a nawet krewnych, bo w każdej społeczności są tacy, którzy robią wszystko za pieniądze - czy nie mam racji, Lucjuszu Marcjuszu? Spuścimy ze smyczy tę nikczemną sfore, która snuje się po korytarzach pałaców zamorskich królów, która pojawia się, kiedy strach rządzi ludźmi lub kiedy wprowadza się represyjne prawa. Nie uwalniamy tej nikczemnej sfory! Pozostańmy tym, czym zawsze byliśmy, Rzymianami! Wolnymi od strachu, wyższymi niż spiski cudzoziemskich królów!

Usiadł.

- To wszystko, Lucjuszu Licyniuszu.

Nikt nie bił brawa, chociaż słysząc było poruszenie i szepty. Gajusz Mariusz uśmiechał się szeroko.

„Tak”, myślał Marek Liwiusz Druzus, gdy kuria zakończyła posiedzenie. „Wygrał prynceps senatu Skaurus, a przegrał Rzym. Jak mogli usłyszeć Rutyliusza Rufusa, jeśli mają uszy z kamienia? Gajusz Mariusz i Rutyliusz Rufus powiedzieli to, co podpowiada zdrowy rozsądek - rzeczy tak jasne, że wprost oślepiające. Jak to ujął Gajusz Mariusz? Będą zbierać śmierć i krew, ziarno, przy którym smocze zęby stracą blask. Rzecz w tym, że nikt z nich nie zna żadnego Italczyka. Stykają się z nimi tylko w interesach albo w sporach granicznych. Nie mają pojęcia, myślał ze smutkiem, że w każdym Italczyku tkwi ziarno nienawiści i zemsty, gotowe, by wykiełkować. I ja nie poznałbym nikogo z nich, gdybym nie spotkał na poboju Kwintusa Popediusza Silona”.

Jego szwagier Marek Porcjusz Katon, siedzący nieopodal w górnym rzędzie, zszedł i położył mu dłoń na ramieniu.

- Chodźmy do domu, Marku Liwiuszu.

Druzus podniósł wzrok. Usta miał półotwarte, oczy zgaszone.

- Idź beze mnie, Marku Porcjuszu - powiedział. - Jestem zmęczony. Muszę zebrać myśli.

Zaczekał, aż ostatni senatorowie znikną za drzwiami, a potem dał znak



służącemu, by zabrał stołek i poszedł do domu. Sam zszedł powoli na czarne i białe kamienne płyty posadzki. Gdy opuszczał budynek, niewolnicy zaczęli już zamiatać. Kiedy skończą, zamkną drzwi przed hołotą z pobliskiej Subury i wrócą do kwater niewolników państwowych za trzema domami głównych flamenów.

Druzus włókł się ze spuszczoną głową między szeregami kolumn portyku, zastanawiając się, kiedy Silon i Mutilus usłyszą o dzisiejszych wydarzeniach. Był pewien, że *lex Licinia Mucia* przejdzie - wraz z poprawkami Skaurusa - od ogłoszenia do ratyfikacji w przepisowym najkrótszym czasie trzech dni targowych i dwóch przerw. Za siedemnaście dni Rzym będzie miał nowe prawo na tablicach i rozwieją się wszelkie nadzieje na pokojowe ułożenie się z italskimi sprzymierzeńcami.

Wpadł na Gajusza Mariusza całkiem nieoczekiwanie. I dosłownie. Cofnął się, przepaszając, a słowa zamarły mu na ustach na widok gniewnej twarzy Mariusza. Za Mariuszem pojawił się Publiusz Rutyliusz Rufus.

- Chodź do mnie ze swoim wujem, Marku Liwiuszu, na puchar dobrego wina - powiedział Mariusz.

Cała mądrość nagromadzona przez sześćdziesiąt dwa lata nie pozwoliła Mariuszowi przewidzieć reakcji Druzusa na jego uprzejme zaproszenie. Napięta ciemna twarz Liwiusza z widocznymi już zmarszczkami wykrzywiła się, a z oczu popłynęły łzy. Druzus zarzucił togę na głowę, by ukryć to niemęskie zachowanie, i płakał, jakby jego życie się skończyło, podczas gdy Mariusz i Rutyliusz Rufus podeszli i próbowali go uspokoić, mamrocząc coś niezręcznie, klepiąc go po plecach i uciszając. Potem Mariusz wpadł na świetny pomysł, wyciągnął z fałd swej togi chusteczkę i wcisnął ją pod zaimprovizowany kaptur Druzusa.

Minęło trochę czasu, zanim Druzus doszedł do siebie, zsunął togę z głowy i odwrócił twarz do tamtych.

- Wczoraj umarła mi żona - powiedział urywanym głosem.  
- Wiemy o tym, Marku Liwiuszu - rzekł łagodnie Mariusz.  
- Myślałem, że wytrzymam! Dziś jednak było tego za wiele. Przepraszam, że zrobiłem z siebie widowisko.  
- Dobrze ci robi porządny łyk najlepszego falerna - zapewnił Mariusz, wprowadzając ich na schody.

I rzeczywiście, porządny łyk najlepszego falerna bardzo się przyczynił do przywrócenia Druzusowi pozornej równowagi. Mariusz przyciągnął dodatkowe krzesło do swego stołu, przy którym zasiedli we trzech, z dzbanem wina i dzbankiem wody pod ręką.

- No cóż, przynajmniej próbowaliśmy - westchnął Rutyliusz Rufus.  
- Równie dobrze mogliśmy dać sobie spokój - warknął Mariusz.  
- Nie zgadzam się z tym, Gajuszu Mariuszu - powiedział Druzus. -



Wypowiedzi na tym posiedzeniu zostały zapisane słowo w słowo. Widziałem, jak Kwintus Mucjusz wydał takie polecenie, a urzędnicy notowali równie pilnie wasze przemówienia jak wystąpienia Skaurusa i Krassusa Oratora. Tak więc kiedyś, gdy przyszłość pokaże, kto miał rację, a kto się mylił, ktoś przeczyta wasze mowy, i potomni nie pomyślą że wszyscy Rzymianie okazali się aroganckimi głupcami.

- Jest to chyba jakaś pocięcha, chociaż wolałbym widzieć odrzucenie ostatnich punktów *lex Licinia Mucia* - rzekł Rufus. - Kłopot w tym, że żyją pośród Italczyków, ale nic o Italczykach nie wiedzą!

- Właśnie - przyznał Druzus. Postawił swój puchar na stole i pozwolił Mariuszowi go napełnić. - Będzie wojna.

- Nie, tylko nie wojna! - powiedział szybko Rufus.

- Tak, wojna. Chyba że ja lub ktoś inny, zdoła zablokować działanie *lex Licinia Mucia* i zdobyć pełne prawa dla całej Italii. - Druzus pociągnął łyk wina. - Przysięgam na pamięć mojej zmarłej żony - Otarł łzy, które napłynęły mu do oczu - że nie miałem nic wspólnego z fałszywą rejestracją tych italskich obywateli. Doszło jednak do niej i zaraz gdy o tym usłyszałem, wiedziałem, kto za to odpowiada. Nie tylko mój przyjaciel Silon i jego przyjaciel Mutilus, ale przywódcy wszystkich ludów italskich. Oni wcale nie liczyli na to, że nie zostaną zauważeni. Zrobili to chyba po to, by pokazać Rzymowi, jak rozpaczliwą koniecznością jest nadanie praw Italii. Bez tego nie da się uniknąć wojny!

- Brak im organizacji, żeby prowadzić wojnę - powiedział Mariusz.

- Możesz zostać niemile zaskoczony - rzekł Druzus. - Jeśli mam wierzyć pewnym uwagom Silona, a chyba muszę wierzyć, oni mówią o wojnie od lat. Z pewnością od Arauzjony. Nie mam dowodów, ale po prostu wiem, jakiego rodzaju człowiekiem jest Kwintus Popediusz Silon. Wiedząc zaś, jakim jest człowiekiem, myślę, że oni już są fizycznie gotowi do wojny. Dorastający chłopcy zaczynają szkolenie w siedemnastym roku życia. Dlaczego nie? Któż miałby oskarżać ich o coś więcej niż o przygotowanie młodych ludzi na dzień, w którym wezwie ich Rzym? Kto im zaprzeczy, gdy mówią że gromadzą broń i zbroje z myślą o dniu, gdy Rzym zażąda od nich pomocniczych legionów?

Mariusz oparł łokcie na stole i mruknął:

- Święta prawda, Marku Liwiuszu, mam jednak nadzieję, że się mylisz. Bo co innego walczyć z barbarzyńcami czy cudzoziemcami; jeśli jednak staniemy do walki z Italczykami, będziemy musieli walczyć z ludźmi równie wojowniczymi jak my sami i tak samo po rzymsku wyszkolonymi. Italczycy, podobnie jak w przeszłości, staliby się naszymi najgroźniejszymi przeciwnikami. Pomyślcie, ile razy pobili nas Samnici! Zwyciężyliśmy w końcu - ale Samnium jest tylko częścią Italii! Wojna ze zjednoczoną Italią może nas zabić.

- I ja tak myślę - rzekł Druzus.



- Lepiej więc zacznijmy na serio namawiać do pokojowej integracji z Italczykami w rzymskiej zagrodzie - powiedział zdecydowanym tonem Rutyliusz Rufus. - Jeżeli tego właśnie chcą trzeba im to dać. Nigdy nie byłem zwolennikiem nadania pełnych praw całej Italii, ale jestem człowiekiem rozsądnym. Jako Rzymianin mogę tego nie pochwalać, jako patriota muszę jednak na to przystać. Wojna domowa nas zrujnuje.

- Czy jesteś całkiem pewny tego, co mówiłeś? - spytał Mariusz Druzusa. Głos miał posępny.

- Jestem całkiem pewny, Gajuszu Mariuszu.

- Myślę więc, że powinieneś jechać jak najprędzej do Kwintusa Silona i Gajusza Mutilusa. Spróbuj ich przekonać - a za ich pośrednictwem innych przywódców italskich - że pomimo *lex Licinia Mucia* drzwi do powszechnego nadania obywatelstwa nie zostały nieodwołalnie zamknięte. Jeżeli już szykują się do wojny, prawdopodobnie nie przerwą przygotowań. Być może jednak zdołasz im uświadomić, że taka wojna to środek ostateczny i że lepiej zrobią czekając. W tym czasie my musimy pokazać senatowi i komicjom, że jesteśmy grupą zdecydowaną nadać pełne prawa Italii. Wcześniej czy później, Marku Liwiuszu, znajdziemy trybuna ludowego, który zechce zaryzykować życie i nada Italii rzymskie prawa.

- Ja będę tym trybunem ludowym - oświadczył stanowczo Druzus.

- Świetnie! Świetnie! Ciebie nikt nie oskarży o demagogię albo o zabieganie o względy niższych klas. Będiesz starszy niż są zwykle trybunowie ludowi, będziesz więc wyglądał na kogoś dojrzałego i odpowiedzialnego. Jesteś synem najbardziej konserwatywnego cenzora, a sympatia dla Italczyków jest twoją jedyną liberalną skłonnością. - Mariusz był bardzo zadowolony.

- Ale jeszcze nie teraz - oświadczył Rutyliusz Rufus. - Musimy czekać, Gajuszu Mariuszu! Musimy namawiać ludzi, musimy najpierw zapewnić sobie poparcie we wszystkich kołach społeczeństwa rzymskiego - a to zajmie kilka lat. Nie wiem, czy to zauważyliście, ale dzisiejsze tłumy pod Kurią Hostyliusza stanowią dowód na to, co zawsze podejrzewałem, że opozycja wobec nadania pełnych praw Italczykom nie ogranicza się do górnych warstw. To jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy Rzym jest zjednoczony od samej góry aż do Policzonych Głowami - i kiedy, jeśli się nie mylę, obywatele na prawach łatyńskich są również po stronie Rzymu.

- To elitaryzm. - Mariusz skinął głową. - Wszyscy lubią być lepsi od Italczyków. To poczucie wyższości jest chyba bardziej umocnione w niższych klasach niż wśród elity. Musimy zwerbować Lucjusza Dekumiusza.

- Lucjusza Dekumiusza? - spytał Druzus, marszcząc brwi.

- To mój znajomy, bardzo skromny i ubogi. - Mariusz wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Jednak na swój skromny sposób niezmiernie wpływowy. A ponieważ jest bez reszty oddany mojej szwagierce Aurelii, spróbuję



zwerbować ją, żeby z kolei ona zwerbowała jego.

Druzus zasepił się jeszcze bardziej.

- Nie wiem, czy ci się poszczęści z Aurelią - powiedział. - Czy mi, widziałeś wśród pretorów jej starszego brata? Wiwatował i klaskał wraz z innymi. I to samo robił jego stryj Marek Aureliusz Kotta.

- Nie martw się, Marku Liwiuszu, ona nie jest tak gruboskórna jak mężczyźni z jej rodziny - powiedział Rutyliusz Rufus nieco zamroczony.

- Ta młoda dama ma swój własny rozum, a poprzez małżeństwo związała się z najbardziej radykalną gałęzią Juliuszów Cezarów. Zwerbujemy Aurelię, bądź spokojny. A za jej pośrednictwem pozyskamy Lucjusz Dekumiusza.

Rozległo się pukanie do drzwi i wpłynęła przez nie Julia spowita w przejrzyste jak mgła draperie kupione na Kos. Wyglądała wspaniale, opalona i tryskająca zdrowiem, podobnie jak Mariusz.

- Marku Liwiuszu, drogi chłopcze - powiedziała, podchodząc z tyłu do jego krzesła, obejmując go i pochylając się, by go pocałować w policzek. - Nie chcę cię dręczyć zbytnią czułością, chcę tylko żebyś wiedział, jak bardzo mi żal i że jesteś tu zawsze serdecznie witany.

Jej obecność była tak kojąca, tak promieniująca sympatią, że Druzus czuł się raczej przywrócony do życia niż przybity jej wyrazami współczucia. Ujął i ucałował jej dłoń.

- Dziękuję ci, Julio.

Usiadła na krześle, które przyniósł jej Rutyliusz Rufus, i przyjęła puchar nieco rozcieńczonego wina. Była całkiem pewna, że jest mile widziana w tym męskim gronie, choć musiała zauważyć, że weszła w trakcie głębokiej i poważnej rozmowy.

- *Lex Licinia Mucia* - powiedziała.

- Masz rację, *mel* - przyznał Mariusz, spoglądając na nią z uwielbieniem. Kochał ją teraz jeszcze bardziej niż wtedy, kiedy się z nią żenił. - Właściwie doszliśmy już do kresu naszej dyskusji. Będiesz mi w tej sprawie potrzebna. Później ci o tym powiem.

- Zrobię, co będę mogła. - Potrząsnęła Druzusa za ramię, śmiejąc się. - Czy wiesz, Marku Liwiuszu, że niechcący przerwałeś nam wakacje?

- Jak to możliwe? - spytał z uśmiechem Druzus.

- To moja wina - zachichotał złośliwie Rutyliusz Rufus.

- Przyznaję! - Julia rzuciła mu gniewne spojrzenie. - Twój wuj, Marku Liwiuszu, napisał do nas do Halikarnasu, że jego siostrzenica urodziła rudowłosego syna i mąż rozwiódł się z nią z powodu zdrady małżeńskiej.

- To wszystko prawda. - Druzus uśmiechnął się szerzej.

- Tak, ale on ma jeszcze jedną siostrzenicę - Aurelię! Możesz o tym nie wiedzieć, ale plotkowano o jej przyjaźni z pewnym rudzielcem, który jest dziś starszym legatem u Tytusa Dydiusza w Hiszpanii. Kiedy przeczytaliśmy tę



zagadkową wzmiankę twego wuja, mój mąż uznał, że mowa o Aurelii. Ja zaś nalegałam na powrót do domu, bo dałabym głowę, że Aurelii nie łączy z Lucjuszem Korneliuszem nic więcej niż zwykła przyjaźń. Kiedy wróciliśmy, dowiedziałam się, że chodziło o inną siostrzenicę! Publiusz Rutyliusz podszedł nas po mistrzowsku. - Znów zaczęła się śmiać.

- Było mi was brak. - Publiusz Rutyliusz nie czuł się wcale winny.
- Rodziny potrafią obrzydzić człowiekowi życie - rzekł Druzus. - Muszę jednak przyznać, że Marek Porcjusz Katon jest o wiele miłszym człowiekiem niż Kwintus Serwiliusz Cepion. A Liwia Druza jest szczęśliwa.
- Więc wszystko w porządku - powiedziała Julia.
- Tak - przyznał Druzus. - Wszystko w porządku.



W dniach między pierwszą dyskusją nad *lex Licinia Mucia* a ustanowieniem tego prawa w jednomyślnym głosowaniu trybusowym Zgromadzenia Ludowego, Kwintus Popediusz Silon podróżował z miejsca na miejsce. Dowiedział się o tym nowym prawie od Gajusza Papiusza Mutilusa, kiedy przybył do Bowianum.

- To oznacza wojnę - mówił z zaciętą twarzą do Mutilusa.
- Tego się obawiam, Kwintusie Popediuszu.
- Musimy zwołać radę przywódców wszystkich narodów.
- Już się zbiera.
- Gdzie?
- Rzymianie nigdy by na to nie wpadli - powiedział Mutilus. - W Grumentum, za dziesięć dni.
- Znakomicie! - wykrzyknął Silon. - Środek Lukanii to miejsce, o którym Rzymianie nigdy nie myślą. O dzień jazdy od Grumentum nie ma żadnych rzymskich latyfundiów.
- Ani, co ważniejsze, żadnych domów obywateli rzymskich.
- A jak możemy zapobiec odwiedzinom ze strony Rzymian? - spytał Silon, marszcząc brwi.
- Marek Lamponiusz już o tym pomyślał - uśmiechnął się Mutilus - Lukania to kraina rozbójników. Rozbójnicy porwą więc każdego Rzymianina, który tam się pojawi. Po zakończonej naradzie Marek Lamponiusz okryje się chwałą uzyskując ich uwolnienie bez okupu.
- Sprytnie! Kiedy ty sam zamierzasz wyruszyć?
- Za cztery dni. - Mutilus wziął Silona pod rękę i poprowadził go do perystylu swego wielkiego, pięknego domu. - Opowiedz mi o swojej podróży do Galii italskiej, Kwintusie Popediuszu.
- Wszystko wygląda właśnie tak, jak to zapowiadał Kwintus Serwiliusz Cepion dwa i pół roku temu - mówił z zadowoleniem Silon. - Łańcuch schludnych miasteczek rozrzuconych nad rzeką Medoakus, poza Patawium, i



nad rzekami Sontius i Natiso, powyżej Akwilei. Żelazo pochodzi z tej części Norikum, która leży w pobliżu Norei. Większą część drogi przebywa wodą odnogą rzeki Drawus, potem przewożone jest przez dział wodny do Sontius i Tiliawentus, którymi płynie już do końca. Najwyżej położone osiedla zajmują się wyrobem węgla drzewnego, skąd wysyłany jest wodą do ośrodków metalurgii. Udawałem rzymskiego *praefectus fabrum*, kiedy zwiedzałem ten rejon, i płaciłem gotówką, którą wszyscy wyrywali mi z rąk. Dodam, że było tych pieniędzy dość dużo, by zaczęli pracować jak szaleni nad wykonaniem moich zamówień. Okazało się, że byłem ich pierwszym poważnym klientem, byli więc uszczęśliwieni, mogąc wytwarzać wyłącznie dla mnie broń i zbroje.

Mutilus miał pewne obawy.

- Czy jesteś pewien, że to dobry pomysł podawać się za rzymskiego *praefectus fabrum*? A jeśli pojawi się tam prawdziwy rzymski urzędnik? Dowie się, że nie byłeś tym, za kogo się podawałeś, i zawiadomi Rzym.

- Nie martw się, Gajuszu Papiuszu, dobrze zatarłem ślady - powiedział nie zmieszany Silon. - Musisz wiedzieć, że dzięki moim zamówieniom te nowe osiedla nie muszą szukać innych zleceń. Rzymianie składają zamówienia w takich miejscach jak Pisa czy Populonia. Tymczasem nasze uzbrojenie może być wysyłane wodą z Patawium i Akwilei przez Adriatyk do portów italskich. Rzymianie z nich nie korzystają. Żaden Rzymianin niczego się nie dowie o naszych transportach ani o tym, że wschodnia Galia italska produkuje broń. Rzymianie działają na zachodzie, na Morzu Tuskańskim.

- Czy wschodnia Galia italska może wytwarzać więcej?

- Zdecydowanie! Im więcej produkują tym więcej ściąga tam kowali. Muszę przyznać Kwintusowi Serwiliuszowi Cepionowi, że jego pomysł się sprawdza.

- O co chodzi Cepionowi? On nie sprzyja Italczykom.

- Ale jest ostrożny. - Silon wyszczerzył zęby w uśmiechu. - W jego planach nie leży rozgłaszanie w Rzymie o swoich przedsięwzięciach; on po prostu stara się pochować po kątach Tolosańskie Złoto, Działa dobrze chroniony przed kontrolą senatu, a to oznacza, że dodatkowe zamówienia nie będą sprawdzane zbyt dokładnie. Nie odwiedza też zbyt często swych zakładów. To i tak dziwne, że okazał talent w tej dziedzinie - jest zbyt dobrze urodzony, żeby mieć do tego głowę. Nie, nie musimy się zbytnio przejmować Kwintusem Serwiliuszem Cepionem! Dopóki sestercje pobrzękują w jego sakwach, będzie spokojny i szczęśliwy.

- Musimy więc tylko znaleźć więcej pieniędzy. - Mutilus zacisnął zęby. - Na wszystkich naszych dawnych italskich bogów, Kwintusie Popediuszu, jakąż to będzie satysfakcja dla ciebie i dla mnie zetrzeć Rzym i Rzymian z powierzchni ziemi!

Nazajutrz jednak Mutilus musiał znieść obecność Rzymianina, bo do Bowianum przybył świeżym tropem Silona Marek Liwiusz Druzus z mnó-



stwem nowin.

- Senat jest teraz zajęty losowaniem sędziów do tych sądów specjalnych. - Druzus czuł się niepewnie w tak chronicznym gnieździe insurekcji jak Bowianum i miał nadzieję, że jego przybycie pozostało nie zauważone.

- Czy naprawdę chcą wprowadzić w życie *lex Licinia Mucia*? - Silon wciąż nie mógł w to uwierzyć.

- Naprawdę chcą - potwierdził ponuro Druzus. - Przyjechałem tu powiedzieć wam, że macie sześć przerw w dniach targowych, żeby zrobić, co w waszej mocy, by złagodzić cios. Do prawdziwego lata te *quaestiones* zaczną działać, a każda miejscowość, w której ma siedzibę *quaestio*, zostanie obklejona ogłoszeniami o korzyściach i nagrodach pieniężnych za składanie informacji. Znajdzie się wielu wstrętnych typów chętnych do zarobienia czterech, ośmiu lub dwunastu tysięcy sestercji - a przewiduję, że niektórzy dorobią się na tym fortuny. To hańba, zgadzam się z tym, ale cały lud - zarówno patrycjusze, jak i plebejusze! - ustanowił to haniebne prawo prawie jednogłośnie.

- Gdzie się mieści najbliższy sąd? - spytał z groźną miną Mutilus.

- W Aesernii. Regionalna *quaestio* ma zawsze siedzibę w kolonii rzymskiej lub latyńskiej.

- Nie ważyliby się na żadne inne miejsce.

Zapadła cisza. Ani Mutilus, ani Silon nie wspominali o wojnie, co niepokoiło Druzusa bardziej, niż gdyby mówili o niej otwarcie. Wiedział, że wtargnął do wylęgarni spisków, znalazł się jednak w położeniu bez wyjścia; zbyt lojalny jako Rzymianin, by zatajać informacje o spiskach, i zbyt lojalny jako przyjaciel Silona, by szukać dowodów. Nie zadawał więc pytań i starał się robić, co się da, bez wystawiania na próbę swego patriotyzmu.

- Co nam radzisz robić? - spytał Mutilus.

- Jak mówiłem, spróbujcie złagodzić cios. Przekonajcie tych mieszkańców rzymskich lub latyńskich kolonii, którzy bezpodstawnie wpisali swe nazwiska na listy obywateli, by natychmiast uciekli. Nie będą chcieli się przeprowadzać, ale musicie ich do tego namówić. Jeżeli pozostaną, czeka ich chłosta, grzywna, wykreślenie z list i wyeksmitowanie.

- Nie mogą tego zrobić! - krzyknął Silon, szarpiąc palcami powietrze. - Tych tak zwanych fałszywych obywateli jest po prostu za wielu, Marku Liwiuszu! Rzym musi chyba wiedzieć, ilu narobi sobie wrogów, jeśli wprowadzi to prawo! Co innego wychłostać tu czy tam jednego Italczyka, ale karać w ten sposób całe wioski i miasta? To szaleństwo! Ten kraj nie ulegnie, nie podda się temu, przysięgam!

Druzus zakrył dłońmi uszy, kręcąc głową.

- Nie, Kwintusie Popediuszu, nie mów tego! Nie mów, proszę, ani słowa, które mógłbym uznać za zdradę stanu! Nadal jestem Rzymianinem! Jestem tu tylko po to, żeby wam pomóc, na tyle, ile mogę. Nie wciągajcie mnie, proszę, w



takie sprawy, co do których wołałbym, żeby nigdy nie wydały owoców! Usuńcie swoich fałszywych obywateli z miejsc, w których grozi im wykrycie. I zróbcie to teraz, dopóki mogą uratować przynajmniej część dobytku. Nieważne, że wszyscy będą znać przyczynę ich wyjazdu; jeśli odjadą dość daleko, uchronią się przed zatrzymaniem. Ta zbrojna milicja będzie nieliczna i zbyt zajęta ochroną swoich sędziów, by się wyprawiać na poszukiwanie przestępców. Na jednym możecie polegać - na tradycyjnej niechęci senatu do wydawania pieniędzy. W tej sytuacji to wasz sprzymierzeniec. Usuńcie swoich ludzi! I dopilnujcie, by zapłacono należne daniny. Nie pozwólcie nikomu odmawiać płacenia na podstawie fałszywego obywatelstwa.

- To zostanie zrobione. - Mutilus wiedział, jako Samnita, jak bezlitosna może być zemsta Rzymian. - Zabierzemy naszych ludzi do ojczyzny i tam się nimi zajmiemy.

- Dobrze - rzekł Druzus. - Już to jedno zmniejszy liczbę ofiar. Nie mogę tu zostać. Muszę wyjechać przed południem i przed nocą dotrzeć do Casinum, raczej tam należałoby szukać Liwiusza Druzusa niż w Bowianum. Mam w Casinum ziemię.

- Więc jedź, jedź! - ponaglał nerwowo Silon. - Za nic na świecie nie chciałbym, żeby cię oskarżono o zdradę. Byłeś nam prawdziwym przyjacielem i potrafimy to docenić.

- Wyjadę za chwilę. - Druzus zdobył się na uśmiech. - Przedtem chciałbym, żebyście dali słowo, że nie uciekniecie się do wojny, dopóki będzie istniało inne wyjście. Nie straciłem jeszcze nadziei na pokojowe rozwiązanie i mam obecnie kilku potężnych sojuszników w senacie. Gajusz Mariusz wrócił z zagranicy, a mój wuj Publiusz Rutyliusz Rufus również działa w waszej sprawie. Przrzekam wam, że za parę lat będę się ubiegał o urząd trybuna ludowego, a wtedy przeprowadzę w Zgromadzeniu Plebejskim nadanie pełnych praw całej Italii. Nie można tego jednak zrobić teraz. Musimy najpierw zdobyć poparcie dla tej idei w Rzymie i wśród równych nam rangą zwłaszcza wśród rycerzy. *Lex Licinia Mucia* może jeszcze okazać się naszym sprzymierzeńcem. Spodziewamy się, że na widok skutków działania tego prawa wielu Rzymian zacznie sprzyjać Italczykom. Szkoda, że będzie ono tworzyć bohaterów w najboleśniej i najkosztowniej sposób, ale będą to jednak bohaterowie, a Rzymianie w końcu nad nimi zapłaczą. Obiecuję to wam.

Silon odprowadził go do konia, świeżego zwierzęcia ze stajni Mutilusa, i ujrzał, że nikt mu nie towarzyszy.

- Marku Liwiuszu, niebezpiecznie jest jeździć samemu!

- Jeszcze niebezpieczniej byłoby przyjechać tu z kimś, choćby z niewolnikiem. Ludzie gadają, a nie mogę dać Cepionowi okazji do oskarżania mnie o spiskowanie w Bowianum - odparł Druzus, przyjmując pomoc przy wsiadaniu.



- Ja nie zaryzykuję wyprawy do Rzymu, chociaż nikt z nas, przywódców, nie zarejestrował się jako obywatel - powiedział Silon, patrząc w górę na przyjaciela, którego głowę otaczał blask słońca.

- Nie rób tego w żadnym przypadku. - Druzus skrzywił się. - Po pierwsze, mamy w naszym domu donosiciela.

- Na Jowisza! Chyba go ukrzyżowałeś!

- Niestety, muszę znosić tego donosiciela, Kwintusie Popediuszu. To moja dziewięcioletnia siostrzenica Serwilia, córka Cepiona... i jego kreatura. - Twarz miał ukrytą w cieniu, a jednak wyraźnie poczerwieniała. - Dowiedzieliśmy się, że przeszukała twój pokój podczas twoich ostatnich odwiedzin. Właśnie dlatego - gdybyś się nad tym zastanawiał - Cepion mógł wymienić Gajusza Papiusza jako jednego z pomysłodawców masowej rejestracji. Powiedz mu o tym, niech się dowie, jak jesteśmy podzieleni, my wszyscy, którzy mieszkamy w Italii. Czasy się zmieniają. Nie chodzi już o wojnę Samnium z Rzymem. Musimy osiągnąć pokojowe zjednoczenie tego półwyspu. Bez tego ani Rzym nie pójdzie naprzód, ani narody italskie.

- Czy nie możesz wysłać tego bachora do ojca?

- On jej nie chce za żadne skarby, nawet za donoszenie na moich gości; chociaż chyba myślała, że ją za to przygarnie. Trzymam ją w kagańcu i na uwięzi, ale zawsze istnieje możliwość, że się zerwie i pobiegnie do niego. Nie zbliżaj się więc do Rzymu ani do mojego domu. Gdybyś musiał się ze mną zobaczyć, przyślij wiadomość, a spotkam się tobą w jakimś ustronnym miejscu.

- Zgoda. - Silon podniósł dłoń, by klepnąć konia Druzusa, i powstrzymał ją na chwilę. - Przekaż moje serdeczne pozdrowienia Liwii Druzie, Markowi Porcjuszowi i oczywiście drogiej Serwili Cepionii.

Ból wykrzywił twarz Druzusa w chwili, gdy dłoń Silona opadła i koń skoczył naprzód.

- Niedawno zmarła! - zawołał przez ramię. - Ach, jak mi jej brak!



Siedzibami *quaestiones* powołanych w myśl *lex Licinia Mucia* stały się Rzym, Spolegium, Cosa, Firmum Picenum, Aesernia, Alba Fucencja, Kapua, Regium, Lucerna, Paestum i Brundyzjum. Przewidywano, że po przebadaniu tych części regionów sądy przeniosą się do nowych siedzib. Jedynie Lacjum nie otrzymało swego sądu. Uznano ziemie Marsów za ważniejsze, więc dziesiątym wybranym miejscem została Alba Fucencja.

Ogólnie jednak przywódcy italscy, którzy spotkali się w Grumentum, siódmego dnia po wizycie Druzusa u Silona i Mutilusa w Bowianum, zdołali usunąć swych fałszywych obywateli ze wszystkich tych kolonii rzymskich i latyńskich. Oczywiście znaleźli się tacy, którzy nie chcieli uwierzyć, że coś im grozi, i tacy, którzy czuli się zbyt pewnie, by uciekać. Na tych obrócił się gniew *quaestiones*.



Oprócz męża konsularnego, jako przewodniczącego, i dwóch senatorów, jako sędziów, każdy sąd posiadał zespół urzędników, dwunastu liktorów (przewodniczący był wyposażony w imperium prokonsularne) i zbrojną eskortę konnej milicji. Jej stu członków wybierano spośród żołnierzy zwolnionych ze służby w konnicy albo byłych gladiatorów, którzy potrafili jeździć konno dość dobrze, by poderwać konia do galopu.

Sędziów wybierano poprzez losowanie. Ani Gajusz Mariusz, ani Publiusz Rutyliusz Rufus nie wyciągnęli losu - i nic dziwnego, bo ich drewniane kulki najprawdopodobniej nie zostały w ogóle włożone do zamkniętego dzbana z wodą, jakże więc mogły wypaść przez dziób, gdy dzban zaczął wirować puszczony w ruch niczym bąk?

Kwintus Lutacjusz Katulus Cezar wyciągnął Aesernię, a Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus, pontifex maximus, wyciągnął Albę Fucencję, prynceps senatu Skaurus nie został wybrany, ale Gnejusz Korneliusz Scypion Nazyka tak; wylosował Brundyzjum, co mu bynajmniej nie sprawiło przyjemności. Metellus Pius Prosiak i Kwintus Serwiliusz Cepion znaleźli się pośród młodszych sędziów, jak i szwagier Druzusa, Marek Porcjusz Katon Saloński. Sam Druzus nie wyciągnął losu, co go ogromnie ucieszyło, musiałby bowiem oznajmić senatowi, że sumienie nie pozwala mu pełnić tej służby.

- Ktoś popełnił błąd - powiedział mu potem Mariusz. - Gdyby zachowali zdrowy rozsądek, z którym zapewne przyszli na świat, dopilnowaliby, żebyś wyciągnął los, i w ten sposób zmusiliby cię do publicznego ogłoszenia swoich przekonań. Nie wyszłoby ci to na zdrowie przy obecnych nastrojach!

- Cieszę się więc, że nie zachowali zdrowego rozsądku, z którym zapewne przyszli na świat.

Cenzor Marek Antoniusz Orator wyciągnął los przewodniczącego *quaestio* dla Rzymu. Był uradowany, wiedział bowiem, że w mieście przestępców trudniej będzie znaleźć niż w głębi kraju, gdzie masowo się rejestrowali, lubił zaś rozwiązywanie zagadek. Liczył też na miliony sestercji, które zarobi dzięki wysiłkom donosicieli, już drepczących niecierpliwie z długimi listami nazwisk.

W różnych miejscach był różny połów. Aesernia ani trochę nie zadowoliła Katulusa Cezara. Miasto leżało w środku Samnium. Mutilius zdołał namówić prawie wszystkich winnych do wyjazdu. Miejscowi obywatele rzymscy i latiońscy nie mieli informacji, a Samnici nie zamierzali wydawać rodaków za żadne pieniądze. Z tymi, którzy pozostali, postępowano przykładowo (według zasad Katulusa Cezara). Przewodniczący sądu wyszukał jakiegoś szczególnie brutalnego członka eskorty do biczowania winnych. Dni dłużyły się jednak. Procedura wymagała odczytywania ze spisów nazwisk wszystkich nowych obywateli i trzeba było czasu, żeby stwierdzić, że żaden z wyczytanych nie przebywa już w Aesernii. Zaledwie raz na trzy czy cztery dni znajdowano kogoś z listy i takich spotkań Katulus wyglądał niecierpliwie. Nigdy nie



brakowało mu odwagi, ignorował więc pomruki niezadowolenia, gwizdy i syki, którymi go pozdrawiano na ulicach, i tajne małe sabotaże nękające nie tylko jego, ale i dwóch młodszych sędziów, urzędników i liktorów, a nawet żołnierzy z eskorty. Popręgi przy siodłach zrywały się i jeźdźcy spadali na ziemię, woda okazywała się dziwnie zanieczyszczona, wszystkie insekty i pająki z całej Italii najwyraźniej były spędzane do ich kwater, a ze skrzyń, szafek i pościeli wyślizgiwały się węże. Wszędzie znajdowano laleczki poumierane w togi usmarowane krwią i oblepione pierzem oraz martwe koguty i zdechłe koty, przypadki zatruwania żywności stały się tak częste, że przewodniczący musiał w końcu przymusowo karmić niewolników na kilka godzin przed posiłkami i trzymać jedzenie pod strażą.

Dziwna rzecz, ale Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus, pontifex maximus, okazał się odpowiednim przewodniczącym. Podobnie jak w Aesernii, większość winnych dawno wyjechała, sąd potrzebował więc aż sześciu dni, żeby znaleźć swą pierwszą ofiarę. Nie doniesiono na tego człowieka, był jednak dość zamożny, by zapłacić grzywnę, i z podniesioną głową przyjął natychmiastową konfiskatę całego swego majątku w Albie Fucencja nakazaną przez Ahenobarba. Żołnierz wyznaczony do biczowania bardzo gorliwie spełniał swe zadanie. Poblady przewodniczący sądu kazał mu przerwać, gdy krew zaczęła opryskiwać wszystkich oddalonych o dziesięć kroków od nieszczęsnej ofiary. Gdy znaleziono kolejnego przestępcę, inny żołnierz używał bicza tak oględnie, że grzbiet ofiary prawie nie im ucierpiał. Ahenobarbus pontifex maximus odkrył też niespodziewanie, że brzydzi się donosicielami. Nie było ich wielu, ale - może właśnie dlatego byli wyjątkowo ohydni. Nie miał wyjścia i musiał wypłacić nagrodę, ale poddawał potem donosicieli tak długiemu i nieprzyjemnemu śledztwu w sprawie ich statusu obywatelskiego, że przestali się zgłaszać. W pewnym przypadku, gdy oskarżony fałszywy obywatel okazał się ojcem trojga dzieci kalekich i opóźnionych w rozwoju, Ahenobarbus potajemnie sam zapłacił grzywnę i sprzeciwił się stanowczo wydaleni pod sąd z miasta, gdzie jego nieszczęsne dzieci miały dużo lepsze warunki niż na wsi.

Kiedy więc Samnici spluwali z pogardą na samą wzmiankę o Katulusie Cezarze, Ahenobarbus pontifex maximus zaczął być dobrze oceniany w Albie Fucencji, a Marsowie byli traktowani łagodniej niż Samnici. Co do pozostałych sądów, niektórzy przewodniczący byli bezwzględni, niektórzy wybrali kurs pośredni, niektórzy zaś naśladowali Ahenobarba. Nienawiść jednak rosła, a ofiar prześladowań było wystarczająco wiele, by umocnić w rodowitych Italczykach chęć pozbycia się rzymskiego jarzma, choćby za cenę życia. Żaden sędzia nie zdobył się na wysłanie swoich milicjantów do umocnionych wsi w poszukiwaniu uciekinierów z miast.

Jedynym sędzią który miał kłopoty z prawem, był Kwintus Serwiliusz



Cepion, sędzia pomocniczy w Brundyzjum, gdzie przewodniczącym był Gnejusz Scypion Nazyka. Ten prażony słońcem, zapyłony port tak bardzo nie podobał się Scypionowi Nazyce, że zaraz po przybyciu jakaś dolegliwość (później odkryto, ku uciesze miejscowych, że to hemoroidy) zmusiła go do powrotu do Rzymu na leczenie. Swoją *quaestio* pozostawił pod egidą Cepiona jako przewodniczącego, któremu towarzyszył Metellus Pius Prosiak. Jak zawsze winni uciekli, zanim sąd rozpoczął działalność, a donosiciele było niewielu. Odczytano listę nazwisk ludzi, których nie można było znaleźć, i dni mijały bezowocnie - dopóki jakiś donosiciel nie przedstawił niezbitych, jak się zdawało, dowodów przeciw jednemu z najbardziej szanowanych w Brundyzjum rzymskich obywateli. Nie należał on oczywiście do rejestrujących się niedawno masowo. Donosiciel oświadczył, że nielegalne obywatelstwo to sprawa sprzed ponad dwudziestu lat. Cepion z zapalem psa wygrzebującego gnijące mięso zabrał się do pokazowego procesu. Nakazał nawet przesłuchanie tamtego na torturach. Kiedy Metellus Pius przestraszył się i protestował, Cepion nie posłuchał go, tak był pewien winy owego rzekomego filaru społeczeństwa. Potem jednak pojawiły się dowody wskazujące ponad wszelką wątpliwość, że ów człowiek był tym, za kogo się podawał - obywatelem rzymskim o wysokiej pozycji. Kiedy został uwolniony od zarzutów, oskarżył Cepiona. Trzeba było pośpiesznej podróży do Rzymu i natchnionej mowy Krassusa Oratora, by uzyskać uniewinnienie Cepiona, nie mógł on jednak oczywiście wrócić do Brundyzjum. Gnejusz Scypion Nazyka musiał wracać na jego miejsce, przeklinając wszystkich Serwiliuszów Cepionów. Krassus Orator musiał zaś bronić człowieka, którego nie znosił, a to, że wygrał sprawę, było słabą pociechą.

- Czasami chciałbym, Kwintusie Mucjuszu - mówił do swego kuzyna i druha, Scewoli - żeby konsulat w tym ohydny roku przypadł komukolwiek, byle nie nam!



Publiusz Rutyliusz Rufus pisał w tych dniach do Lucjusza Korneliusza Sulli w Hiszpanii Bliższej, po otrzymaniu od spragnionego wiadomości starszego legata błagalnego listu z prośbą o regularne sprawozdania z wydarzeń w Rzymie (Rufus ochoczo skorzystał z zaproszenia).

*Bo daję Ci słowo, Lucjuszu Korneliuszu, że nie mam za granicą nikogo, kto zasługiwałby choćby na linijkę. Pisać do Ciebie to wielka przyjemność, obiecuję więc, że będziesz dobrze poinformowany.*

*Zacznijmy od specjalnych quaestiones najstawniejszego od wielu lat prawa, lex Licinia Mucia. Pod koniec lata stały się tak niepopularne i niebezpieczne dla tych, którzy je prowadzili, że skorzystaliby oni z każdej wymówki, żeby zakończyć działalność. A wymówka szczęśliwie się nadarzyła. Salassowie i Retowie*



najechali Galię italską po drugiej stronie Padu i wywołali niemały zamęt między jeziorem Benakus a Doliną Salassów - innymi słowy w środkowej i zachodniej Galii zapadańskiej. Szybciej, niż zdołałbyś powiedzieć: „Lucjusz Utracjusz”, senat ogłosił stan wyjątkowy i zawiesił działania prawne przeciw nielegalnym obywatelom italskim. Wszystkie sądy specjalne zbiegły się z powrotem do Rzymu niezmiernie wdzięczne za to zawieszenie. A potem - być może w rewanżu - przegłosowano wysłanie biednego Krassusa Oratora wraz z armią do Galii italskiej, aby zgniótł buntownicze plemiona albo przynajmniej wyrzucił je z cywilizowanych krajów. Zrobił to bardzo skutecznie w ciągu zaledwie dwóch miesięcy.

Krassus Orator wrócił przed kilku dniami do Rzymu i kazał armii obozować na Polu Marsowym, bo jak mówi, jego żołnierze okrzyknęli go w polu imperatorem, on zaś chce odprawić triumf. Jego kuzyn Kwintus Mucjusz Scewola pozostawiony u steru rządów w Rzymie przyjął prośbę wodza i zwołał natychmiast zebranie senatu w świątyni Bellony. Nie było jednak żadnej dyskusji nad wnioskiem o triumf!

- Nonsens! - powiedział bez ogródek Scewola. - To śmieszne! Jakaś głupia kampania przeciw kilku tysiącom dzikusów miałyby zasługiwać na triumf? Nie zasługuje, dopóki ja zasiadam na kurulnym krześle konsula! Jak moglibyśmy nagradzać wspólnym triumfem dwóch takich wodzów, jak Gajusz Mariusz i Kwintus Lutacjusz Katulus Cezar, a potem przyznawać wyłączny triumf komuś, kto nawet nie prowadził wojny ani nie stoczył bitwy? Nie! Nie będzie miał swego triumfu! Naczelniku liktorów, idź i powiedz Lucjuszowi Licyniuszowi, żeby odprawił wojsko do koszar w Kapui i wepchnął swe tłuste cielsko w granice pomerium, przynajmniej będzie jakieś urozmaicenie!

Ojej, ojej! Chyba Scewola wstał z łóżka lewą nogą albo wykopała go z niego żona, co na jedno wychodzi. W każdym razie Krassus Orator odprawił swoich żołnierzy i wepchnął swe tłuste cielsko za pomerium, ale nie po to, by służyć za urozmaicenie! Chodziło mu tylko o to, żeby powiedzieć swemu kuzynowi Scewoli, co o nim myśli. Rozprawa była jednak krótka.

- Nonsens! - powiedział bez ogródek Scewola. Czy wiesz, Lucjuzu Korneliuszu, że Scewola przypomina czasem nieodparcie pryncypsa senatu Skaurusa, kiedy był on młodszy? - Możesz mi być bliski i drogi, Lucjuzu Licyniuszu - ciągnął Scewola - ale nie będę patrzył przez palce na pseudotriumfy.

W rezultacie kuzyni przestali ze sobą rozmawiać. Ponieważ są współkonsulami, raczej utrudnia to życie senatowi. Znałem jednak współkonsulów, którzy byli w znacznie gorszych wzajemnych stosunkach niż Krassus i Scewola. Przejdzie im to z czasem. Osobiście żałuję bardzo, że nie przestali ze sobą rozmawiać, zanim wymyślili lex Licinia Mucia!

A gdy już opowiedziałem o tych głupstwach, wyczerpałem cały zapas nowin! Forum jest w tych dniach bardzo senne.



*Powinieneś jednak wiedzieć, że słyszymy o Tobie w Rzymie same dobre rzeczy. Tytus Dydiusz - zawsze go miałem za porządnego człowieka - pisze o Tobie w samych superlatywach, ilekroć przysyła jakąś wiadomość senatowi.*

*Zatem usilnie Ci zalecam, żebyś się poważnie zastanowił nad powrotem do Rzymu pod koniec przyszłego roku w odpowiednim czasie, by ubiegać się o wybór na pretora. Skoro Metellus Świnka-Szczecinka Numidyjski nie żyje już od kilku lat, a Scypion Nazyka i prynceps senatu Skaurus są zajęci utrzymywaniem przy życiu lex Licinia Mucia, mimo kłopotów jakie stwarza to prawo, nikt nie interesuje się zbytnio Gajuszem Mariuszem ani jego powiązaniem w przeszłości. Wyborcy są w odpowiednim nastroju, by głosować na odpowiednich ludzi, a takich wydaje się w obecnej chwili brakować. Lucjusz Juliusz Cezar bez żadnych problemów został w tym roku pretorem urbanus, a przyrodni brat Aurelii, Lucjusz Kotta, pretorem peregrinus. Myślę, że Twoja pozycja jest mocniejsza niż pozycja tych dwóch, i mówię to szczerze. Nie sądzę też, żeby Tytus Dydiusz sprzeciwił się Twemu powrotowi. Służyłeś mu dłużej, niż robi to większość starszych legatów - jesienią przyszłego roku miną cztery lata, a to dobra norma.*

*W każdym razie zastanów się nad tym, Lucjuszu Korneliuszu. Mówiłem o tym z Gajuszem Mariuszem, on zaś przyklasnął pomysłowi i to samo zrobił - wierz mi albo nie! - nie kto inny jak Marek Emiliusz Skaurus, prynceps senatu! Narodziny syna, który jest żywym obrazem ojca, całkiem przewróciły w głowie staruszkowi. Chociaż nie wiem, czemu nazywam staruszką kogoś, kto jest w moim wieku.*

Siedząc w swym biurze w Tarrako, Sulla rozważał powoli słowa swego korespondenta. Wiadomość o tym, że Cecylia Metella Dalmatyńska dała Skaurusowi syna, zajęła najpierw bez reszty jego myśli, całkiem przesłaniając inne, ważniejsze nowiny i opinie. W końcu uśmiechnął się kwaśno, ścierając tym długim uśmiechem wspomnienie o Dalmatyce. Przeszedł do pomysłu ubiegania się o preturę i uznał, że Rutyliusz Rufus ma słuszość. Przyszły rok to odpowiednia pora - lepszej okazji nie będzie. Nie wątpił, że Tytus Dydiusz nie będzie się sprzeciwiał i że da mu listy polecające, które bardzo umocnią jego szanse. Nie, nie zdobył w Hiszpanii wieńca z trawy, przypadł on w udziale Kwintusowi Sertoriuszowi. On sam wypadł jednak nie najgorzej.

Czy to był sen? Zatruta strzała z łuku Fortuny za pośrednictwem nieszczęsnej zmarłej Julilli, która kiedyś na Palatynie uwiła dla niego wieniec z trawy i włożyła mu go na głowę, nie zdając sobie sprawy ze znaczenia tego gestu. Czy też zrobiła to w jasnowidzeniu? Czy wieniec z trawy wciąż na niego czeka? W jakiej wojnie go zdobędzie? Nie dzieje się nic poważnego i nigdzie na nic wielkiego się nie zanoszą. Ach, w obu prowincjach Hiszpanii nie ucichło wrzenie, ale zakres obowiązków Sulli nie pozwalał na zdobycie *corona graminea*. Był cenionym szefem sztabu Tytusa Dydiusza, odpowiadał za strategię, zaopatrzenie, uzbrojenie, ale nie powierzano mu dowództwa armii.



Gdyby został pretorem, miałby swoją szansę. Marzył o zastąpieniu Tytusa Dydiusza w Hiszpanii Bliższej. Namiestnictwo bogatej prowincji, oto czego mu trzeba!

Sulla potrzebował pieniędzy. Dobrze o tym wiedział. Miał czterdzieści pięć lat i czas mu uciekał. Wkrótce będzie za późno, by się ubiegać o konsulat. Nie ma znaczenia, co mu mówią ludzie o Gajuszu Mariuszu. Gajusz Mariusz to przypadek szczególny. Nikt nie jest taki jak on, nawet Lucjusz Korneliusz Sulla. Dla Sulli pieniądze są zwiastunem władzy - to się sprawdziło także w związku z Gajuszem Mariuszem. Gdyby nie miał fortuny, którą zdobył jako pretor i namiestnik Hiszpanii Dalszej, Dziadek Cezar nigdy nie pomyślałby o nim jako o mężu dla Julii - a gdyby nie poślubił Julii, nigdy nie uzyskałby konsulatu, chociaż i tak nie przyszło mu to łatwo. Pieniądze. Sulla musiał mieć pieniądze! Powinien zatem udać się do Rzymu, ubiegać się o wybór na pretora, a potem wróci do Hiszpanii robić pieniądze.

Publiusz Rutyliusz Rufus pisał w sierpniu następnego roku, po długim milczeniu:

*Chorowałem, Lucjuszu Korneliuszu, ale już w pełni wróciłem do zdrowia. Lekarze tłumaczyli moją chorobę na wszystkie możliwe niejasne sposoby, ale moja własna diagnoza była prosta: nuda. Pozbyłem się jednak i choroby, i nudy, bo sprawy w Rzymie wyglądają obiecująco.*

*Po pierwsze, mówi się już o Twojej kandydaturze na pretora. Miło Ci będzie usłyszeć, że reakcja wyborców jest bardzo przychylna. Skaurus nadal Cię popiera. W ten określony sposób daje chyba do zrozumienia, że za tę starą historię z jego żoną nie ponosisz winy. Stary osioł ma sztywny kark! Powinien zdobyć się w swoim czasie na przyznanie tego otwarcie, zamiast zmuszać Cię do czegoś, co zawsze uważałem za wygnanie. Hiszpania zrobiła jednak swoje! Gdyby Gajusz Mariusz otrzymał od Świnki-Szczecinki takie poparcie, jakie Ty dostajesz od Tytusa Dydiusza, miałby prostszą i łatwiejszą drogę.*

*A teraz wiadomości ze świata. Stary król Bitynii Nikomedes zmarł w końcu w wieku, jak się zdaje, dziewięćdziesięciu trzech lat. Syn jego dawno zmarłej królowej - już nie młodzik, bo sześćdziesięciopięciolatek - objął po nim tron. Młodszy syn jednak - pięćdziesięciosiedmioletni - imieniem Sokrates (starszy zwie się Nikomedes i będzie rządzić jako trzeci król tego imienia), złożył skargę w senacie, żądając usunięcia Nikomedesa III i wyniesienia na tron jego samego. Senat rozważa tę sprawę w napuszczonym stylu, uważając sprawy zagraniczne za nieistotne. Doszło też do jakichś zamieszek w Kapadocji, gdzie Kapadokowie najwidoczniej ściągnęli z tronu swego chłopca-króla i zastąpili go jakimś Ariaratesem IX. Ten Ariarates IX zmarł jednak ostatnio w podejrzanych okolicznościach, jak nas poinformowano. Chłopiec-król i jego regent Gordios wrócili do władzy - nie bez pomocy króla Pontu Mitrydatesa i pontyjskiej armii.*



Kiedy Gajusz Mariusz wrócił z tej części świata, wygłosił w kurii mowę, ostrzegając nas przed królem Pontu Mitrydatesem jako niebezpiecznym młodym człowiekiem. Ci z nas jednak, którzy pofatygowali się na to właśnie zebranie, podczas całej wypowiedzi Mariusza oddawali się drzemce, a potem prynceps senatu Skaurus wstał i oświadczył, że jego zdaniem Gajusz Mariusz przesadza. Wygląda na to, że młody król Pontu zyskał sobie względy Skaurusa, zasypując go przeraźliwie ugrzecznonymi listami pisanymi nieskazitelną greką i absurdalnie przeładowanymi cytatami z Homera, Hezjoda, Ajschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa - nie wspominając o Menandrze i Pindarze. Skaurus wywnioskował z tego, że musi on korzystnie się różnić od przeciętnego wschodniego potentata, skoro woli czytać klasyków, niż nabijać na pal własną babkę. Gajusz Mariusz utrzymywał tymczasem, że ów Mitrydates VI, zwany Eupatorem - coś takiego! - zagłodził na śmierć własną matkę, zabił brata, który był królem za regencji matki, zamordował kilku wujów i kuzynów i na zakończenie otruł siostrę, z którą był żonaty! Miły chłopak, sam widzisz, na bieżaco z klasykami!

Polityczny Rzym jest pełen Lotofagów i nic się nie dzieje, słowo daję. W wymiarze sprawiedliwości sprawy są bardziej interesujące. Już drugi rok z rzędu senat rozesał swoje sądy specjalne dla badania nielegalnej masowej rejestracji Italczyków, i znów - jak w zeszłym roku - okazało się niemożliwe odnalezienie większości ludzi, którzy wpisali swe nazwiska na listy obywateli. Były jednak i sukcesy, kilkaset nieszczęsnych ofiar zapisanych Rzymowi po stronie „winien”. Powiadam ci, Lucjuszu Korneliuszu, bez tuzina tęgich chłopów przy sobie lepiej się nie wybierać do żadnego miejsca w Italii! Nigdy w życiu nie spotykałem się z tak wrogimi spojrzeniami, z takim - to chyba za słabe słowo - brakiem współpracy ze strony Italczyków. Chyba od dawna nas nie kochali, ale odkąd te sądy powstały i rozpoczęły swoją brudną robotę, chłostanie i wydziedziczenie, Italczycy nauczyli się nas nienawidzić. Jedynym pocieszającym czynnikiem jest niezadowolenie skarbu państwa, bo nakładane grzywny nie zaczęły nawet pokrywać kosztów utrzymania dziesięciu grup senatorów poza Rzymem. Gajusz Mariusz i ja zamierzamy pod koniec roku wszcząć w kurii działania na rzecz odwołania *quaestiones lex Licinia Mucia* jako nieskutecznych i zbyt kosztownych dla państwa.

Pewien bardzo młody potomek plebejskiego rodu Sulpicjuszów, niejaki Publiusz Sulpicjusz Rufus, miał tupet oskarżyć Gajusza Norbanusa przed trybunałem do spraw o zdradę stanu za bezprawne skazanie Kwintusa Serwiliusza Cepiona od Arauzjony i od aurum Tolosanum na wygnanie. Twierdził, że wniesienie oskarżenia przed Zgromadzenie Plebejskie było niedopuszczalne i że powinno ono być rozpatrywane przed trybunałem do spraw o zdradę stanu. Dodam jeszcze, że ten młody Sulpicjusz jest stałym towarzyszem naszego Cepiona, który nie przebiera w doborze przyjaciół. W każdym razie Antoniusz Orator wystąpił jako obrońca - i wygłosił najlepszą jak sądzę, ze



wszystkich swoich mów. W rezultacie kolegium sędziowskie głosowało jednomyślnie za uniewinnieniem, a Norbanus zagrał na nosie Sulpicjuszowi i Cepionowi. Załączam kopię mowy Antoniusza Oratora, żebyś mógł się nią delektować.

Co do innego Oratora, Lucjusza Licyniusza Krassusa, mężom jego dwóch córek powodzi się bardzo różnie w życiu rodzinnym. Syn Scypiona Nazyki, Scypion Nazyka, ma syna zwanego Scypionem Nazyką. Jego Licynia jest płodna, bo mają już córkę. Ta Licynia, która wyszła za Metellusa Piusa Prosiaka, nie ma natomiast szczęścia. W pokoju dzieciennym Prosiaka słychać tylko echo, bo Prosiakowa Licynia nie zmienia figury. A moja siostrzenica Liwia Druza pod koniec zeszłego roku urodziła dziewczynkę - Porcję, która oczywiście ma włosy tak ogniste, że mogłyby podpalić niejedną stóg siana. Liwia Druza wciąż jest urzeczona Katonem Salońskim, ja zaś przekonałem się, że to naprawdę miły chłop. A Liwia Druza jest naprawdę płodna!

Odbiegam od tematu, ale czy to ma znaczenie? Nasi tegoroczni edylowie dobrali się jak w korcu maku. Mój siostrzeniec Marek Liwiusz jest jednym z edylów plebejskich, jego kolegą jest ktoś bajecznie bogaty imieniem Remnius, a jego szwagier Katon Saloński jest edylem kurulnym. Ich igrzyska będą wspaniałe.

Nowiny rodzinne. Biedna Aurelia wciąż żyje samotnie w Suburze, ale mamy nadzieję zobaczyć Gajusza Juliusza w domu najdalej w przyszłym roku - w ostateczności w pozaprzyszłym. Jego brat Sekstus jest w tym roku pretorem, wkrótce więc przyjdzie kolej na Gajusza Juliusza. Gajusz Mariusz dotrzyma oczywiście obietnicy, dając wielkie łapówki, jeśli będzie trzeba. Aurelia i Gajusz Juliusz mają bardzo niezwykłego syna. Cezar Młodszy, jak go nazywają ma teraz pięć lat i już umie czytać i pisać. Co więcej, czyta bez zastanowienia! Daj mu coś, co napisałeś przed chwilą a on to wyrecytuje, nie robiąc przerwy na nabranie tchu! Nigdy nie widziałem, żeby ktoś dorosły potrafił to zrobić - a jednak ten pięciolatek potrafi, ośmieszając najlepszych spośród nas. Wygląd też ma oszałamiający. Nie jest rozpieszczony. Aurelia traktuje go chyba zbyt szorstko.

Nic więcej nie przychodzi mi na myśl, Lucjusz Korneliuszu. Staraj się wracać szybko. Czuję, że czeka na Ciebie pretorskie krzesło kurulne.



Lucjusz Korneliusz Sulla wrócił szybko, jak mu kazano, w połowie pełen nadziei, w połowie przekonany, że zdarzy się coś, co zniweczy jego szanse. Chociaż pragnął całym sercem odwiedzić swego wieloletniego kochanka Metrobiusza, nie zrobił tego. Nie było go też w domu, kiedy ta gwiazda teatru tragicznego przybyła jako proszący o przyjęcie klient. To był jego rok. Jeśli mu się nie powiedzie, bogini Fortuna odwróci się od niego na zawsze, nie zrobi więc niczego, co mogłoby ją zirytować. Była do tego skłonna szczególnie wtedy, gdy jej ulubieńcy zbyt angażowali się w romanse. Żegnaj, Metrobiuszu.



Odwiedził jednak Aurelię, gdy tylko spędził trochę czasu ze swymi dziećmi, które urosły tak bardzo, że chciało mu się płakać. Cztery lata ich krótkiego życia zostały mu ukradzione przez głupią dziewczynę, której po tym wszystkim wciąż jeszcze pragnął! Kornelia Sulla miała trzynaście lat i wystarczająco wiele w sobie z kruchej piękności zmarłej matki, by już zawracać ludziom w głowach, z Sullą łączyły ją natomiast bujne rudozłote włosy. Miesiączkowała regularnie, jak mówiła Elia, a potwierdzały to piersi pączkujące pod prostą sukienką. Na jej widok Sulla poczuł się staro, a było to uczucie całkiem nowe i niezbyt miłe, ona jednak obdarzyła go zaraz czarującym uśmiechem Julilli, rzuciła mu się w ramiona i prawie równa mu wzrostem obsypała go pocałunkami. Jego syn miał lat dwanaście i wyglądał jak prawdziwy Cezar - złotowłosy i niebieskooki, z pociągłą twarzą i długim nosem, wysoki i szczupły, choć dobrze umięśniony.

W tym chłopcu Sulla znalazł wreszcie przyjaciela, którego nigdy nie miał, miłość tak doskonałą, czystą, niewinną, nie zatrwożoną, że nie był zdolny myśleć o niczym innym i nikim innym, podczas gdy powinien skupić się na czarowaniu swych wyborców. Sulla Młodszy - choć jeszcze w chłopięcej todze z purpurowym szlakiem i z magiczną bullą strzegącą przed Złym Okiem, zawieszoną na łańcuszku na szyi - towarzyszył ojcu wszędzie. Stał z poważną miną z boku i słuchał uważnie wszystkiego, o czym mówił Sulla ze swymi znajomymi. Szli potem do domu, siadali w pracowni Sulli i rozmawiali o minionym dniu, o ludziach i o nastrojach na Forum.

Sulla nie zabrał jednak syna ze sobą do Subury. Szedł sam, dziwiąc się, kiedy co jakiś czas ktoś w tłumie pozdrawiał go albo klepał po ramieniu. W końcu zaczynał być znany! Przyjmując te spotkania za dobry znak, zastukał do drzwi Aurelii z większym optymizmem, niż gdy wyruszał z Palatynu. Jak się spodziewał, rządca Eutychnus wpuścił go bez wahania. Nie znając uczucia wstydu, nie czuł się niezręcznie, gdy czekał w sali przyjęć; kiedy zobaczył ją wychodzącą z pracowni, po prostu wyciągnął do niej z uśmiechem rękę. Odwzajemniła uśmiech.

Jakże mało się zmieniła. Jak bardzo się zmieniła. Ile miała teraz lat? Dwadzieścia dziewięć? Trzydzieści? „Heleno Trojańska, oddaj swoje laury”, pomyślał. „Tu stoi wcielone piękno”. Fioletowe oczy były większe, ich czarne rzęsy tak samo gęste, skóra tak samo gładka i kremowa jak zawsze, owa trudna do określenia aura niezmiernej godności i opanowania bardziej wyczuwalna.

- Czy mi wybaczone? - spytał, ściskając jej dłoń.
- Oczywiście, Lucjuszu Korneliuszu! Jak możesz wciąż jeszcze winić siebie za moją słabość?
- Czy mam spróbować znowu? - spytał bez nalegania.
- Nie, dziękuję - odparła, siadając. - Może wina?



- Proszę. - Rozejrzał się wkoło. - Ciągle sama, Aurelio?  
- Ciągle sama. I całkiem szczęśliwa, zapewniam cię.  
- Jesteś najbardziej samowystarczalną osobą jaką spotkałem w życiu. Gdyby nie tamten mały epizod, mógłbym cię uważać za nieludzką - albo nadludzką! - więc rad jestem, że tamto się zdarzyło. Nie można przecież być w przyjaźni z prawdziwą boginią nieprawdaż?

- Albo z prawdziwym demonem, Lucjuszu Korneliuszu - odparła.

- Zgoda, poddaję się! - roześmiał się.

Wino zostało przyniesione i podane. Popijając ze swego pucharu, spoglądał na nią znad jego brzegu, na jej twarz w migotaniu purpurowych bąbelków unoszących się z lekko musującego wina. Być może spokój i zadowolenie z nowej przyjaźni z synem przydały ostrości widzenia jego oczom, które przeniknęły przejrzyste okna jej umysłu, zagłębiając się tam, gdzie warstwa za warstwą ukryła komplikacje, nieprzewidziane wydatki, zagadkowe sprawy, a wszystko to porządnie i logicznie poukładane.

- Ach! - powiedział, mrugając. - To wcale nie fasada! Jesteś dokładnie tym, kim wydajesz się być.

- Taką mam nadzieję - uśmiechnęła się.

- Najczęściej tacy nie jesteśmy, Aurelio.

- Ty z pewnością nie jesteś.

- Cóż więc się kryje za moją fasadą jak myślisz?

Pokręciła głową przecząco i zdecydowanie.

- Cokolwiek myślę, Lucjuszu Korneliuszu, zatrzymam to dla siebie. Coś mi mówi, że tak będzie bezpieczniej.

- Bezpieczniej?!

Wzruszyła ramionami.

- Czemu takie słowo? Szczerze mówiąc, nie wiem. Przeczucie? Albo raczej coś, co było dawno temu. Nie miewam przeczuć, bo nie mam słabej głowy.

- Jak się mają twoje dzieci? - spytał, zmieniając temat na bezpieczniejszy.

- Czy chciałbyś je zobaczyć?

- Dlaczego nie? Moje własne zaskoczyły mnie, tyle mogę powiedzieć. Muszę wyznać, że trudno mi będzie być uprzejmym wobec Marka Emiliusza Skaurusa. Cztery lata, Aurelio! One prawie dorosły, a mnie tu nie było i nie mogłem się temu przyglądać.

- Niewielu Rzymian z naszej klasy może, Lucjuszu Korneliuszu - powiedziała łagodnie. - Najprawdopodobniej wyjechałbyś, nawet gdyby ta sprawa z Dalmatyką nigdy się nie zdarzyła. Ciesz się po prostu dziećmi, kiedy możesz, i nie zamartwiaj się czymś, co się nie odstanie.

Piękne jasne brwi, które sobie skrycie przyczerniał, uniosły się pytająco.

- Tyle jest rzeczy w moim życiu, które mógłbym zmienić! W tym kłopot, Aurelio. Tylu rzeczy żałuję.



- Żałuj ich, jeśli musisz, ale nie pozwalaj, by rzutowały na dzisiejszy czy jutrzejszy dzień - powiedziała rzeczowo, bez mistyki. - Jeśli pozwolisz, Lucjusz Korneliuszu, przeszłość będzie cię prześladować wiecznie. Ty zaś, jak ci to już przedtem mówiłam, masz jeszcze długi dystans przed sobą. Ten wyścig się dopiero zaczął.

- Jesteś tego pewna?

- Absolutnie!

Wprowadziła swoją gromadkę Cezarów. Julia Starsza, zwana Lią miała dziesięć lat, a Julia Młodsza, zwana Ju-ju, miała prawie osiem. Obie były wysokie, szczupłe i zgrabne. Wyglądały jak Julilla, zmarła żona Sulli, tyle że miały niebieskie oczy. Cezar Młodszy miał sześć lat. Jak mu się udawało robić wrażenie, że jest urodziwszy od swoich sióstr? Su Ha tego nie wiedział, ale czuł. Oczywiście była to uroda całkowicie rzymska, bo Cezarowie byli wcieleniem rzymskości. To był ten chłopiec, o którym Rutyliusz Rufus pisał, że umie czytać bez zastanowienia. Wskazywało to na niezwykłą inteligencję. Cezarowi Młodszemu może się jednak przydarzyć wiele rzeczy, które przytłumią blask jego umysłu.

- Dzieci, to jest Lucjusz Korneliusz Sulla - powiedziała Aurelia. Dziewczęta wymamrotały nieśmiałe pozdrowienia, podczas gdy Cezar Młodszy obrócił się z uśmiechem, który zaparł Sulli dech i poruszył go tak, jak mu się to nie zdarzyło od czasu pierwszego spotkania z Metrobiuszem. Te oczy patrzące wprost na niego były bardzo podobne do jego własnych. Miały barwę najjaśniejszego błękitu otoczone ciemnymi obwódkami. Lśniły inteligencją. „Oto jestem ja, jaki mógłbym być, gdybym miał taką matkę jak ta wspaniała Aurelia i gdybym nie miał ojca pijaka!”, pomyślał Sulla. „Ta twarz rozpaliby pożar w Atenach. Ten umysł również”.

- Słyszałem, chłopcze, że jesteś bardzo bystry - powiedział.

Uśmiech przeszedł w śmiech.

- Chyba nie rozmawiałeś z Markiem Antoniuszem Gniphonem - odparł Cezar Młodszy.

- A któż to taki?

- To mój wychowawca, Lucjusz Korneliuszu.

- Czy twoja matka nie mogła cię uczyć jeszcze przez dwa albo trzy lata?

- Musiałem chyba zadreć ją pytaniami, kiedy byłem mały, znalazła mi więc wychowawcę.

- Kiedy byłeś mały? Jeszcze jesteś.

- Kiedy byłem mniejszy. - Cezar Młodszy nie peszył się ani trochę.

- Nad wiek rozwinięty - stwierdził Sulla.

- Nie tymi słowami, proszę.

- Dlaczego nie, Cezarze Młodszy? Co wiesz, mając sześć lat, o odcieniach znaczeń słów?



- O tym słowie wiem dosyć. Używa się go zwykle wobec zadzierających nosa dziewczynek, które udają własne babki - powiedział zdecydowanym tonem Cezar Młodszy.

- Aha! - Sulla okazał zainteresowanie. - Więc nie wzięłeś tego z książki? Zbierasz informacje i wyciągasz wnioski.

- Naturalnie. - Cezar Młodszy był zdziwiony.

- Dosyć tego. Idźcie już sobie - powiedziała Aurelia.

Dzieci wyszły. Cezar Młodszy uśmiechał się przez ramię do Sulli, dopóki nie dostrzegł spojrzenia matki.

- Jeżeli się nie wypali, będzie ozdobą swojej klasy albo cierniem w jej łapie - rzekł Sulla.

- Mam nadzieję, że ozdobą.

- Kto wie? - zaśmiał się Sulla.

- Stajesz do wyborów na pretora? - Aurelia zmieniła temat, pewna, że Sulla ma już dość mówienia o dzieciach.

- Tak jest.

- Wuj Publiusz mówi, że przejdiesz.

- Miejmy więc nadzieję, że okaże się on Tejrezjaszem, a nie Kasandrą!

Okazał się Tejrezjaszem. Kiedy policzono głosy, Sulla nie tylko został pretorem, ale - ponieważ znalazł się na szczycie listy - został też pretorem *urbanus*. Choć w normalnych okolicznościach obowiązki pretora miejskiego ograniczały się do uczestniczenia w procesach i rozstrzygania sporów, był on także upoważniony (pod nieobecność obu konsulów albo przy ich niezdolności do sprawowania władzy) do działania *in loco consularis* - obrony Rzymu i dowodzenia armiami w razie napaści, do ogłaszania praw i zarządzania skarbem państwa.

Wiadomość, że został pretorem miejskim bardzo rozczarowała Sullę. Pretor miejski nie mógł opuszczać miasta na dłużej niż dziesięć dni. Ten urząd uniemożliwiał Sulli znikanie. Musiał pozostawać w Rzymie wśród wszystkich pokus swego dawnego życia i w jednym domu z kobietą którą gardził. Miał jednak teraz wsparcie, o którym nigdy nawet nie marzył, w osobie swego syna. Sulla Młodszy będzie jego przyjacielem. Sulla Młodszy będzie mu towarzyszyć na Forum. Z Sullą Młodszym będzie mógł rozmawiać i śmiać się wieczorami w domu. Jaki on był podobny do swego ciotecznego brata Cezara Młodszego! Z wyglądu, w każdym razie. Chłopak miał dość rozumu, choćby i nie dorównywał Cezarowi Młodszemu. Sulla miał wrażenie, że nie lubiłby syna aż tak bardzo, gdyby był on równie bystry jak Cezar.

W wyborach doszło do większej niespodzianki niż czołowa pozycja Sulli na liście pretorów. Niespodzianka miała i zabawne strony dla tych, których nie dotyczyła bezpośrednio. Lucjusz Marcjusz Filip zgłosił swą kandydaturę na konsula, przekonany, że będzie klejnotem na nieciekawie obsadzonym polu.



Pierwsze miejsce przypadło jednak młodszemu bratu Cenzora Lucjusza Waleriusza Flakkusa, Gajuszowi. To było, być może, w porządku. Waleriusz Flakkus był przynajmniej patrycjuszem z wpływowej rodziny! Młodszym konsulem został jednak nie kto inny, jak ten koszmarny człowiek nowy, Marek Hereniusz! Bywalcy Forum zapewniali, chichocząc, że wycie wściekłości Filipa słychać było aż w Karseoli. Wszyscy wiedzieli, z Filipem włącznie, gdzie leżała przyczyna - w napomknieniach Publiusza Rutyliusza Rufusa w toku mowy na rzecz złagodzenia *lex Licinia Mucia*. Do tego czasu świat już zapomniał o kupowaniu przez Mariusza usług Filipa jako trybuna ludowego. Między mową Rufusa a kandydowaniem Filipa na konsula nie minęło jednak dość czasu, by ludzie znowu zapomnieli.

- Dopadnę jeszcze za to Rutyliusza Rufusa! - zaklinał się Filip przed Cepionem.

- Dopadniemy go razem. - Cepion także czuł się pokrzywdzony.



Tuż przed końcem tego roku Liwia Druza urodziła syna Marka Porcjusza Katona Salońskiego Młodszego - chudego, skrzeczącego chłopczyka z rudymi włosami Katonów, długą szyją i długim nosem, który w środku pospolitej buzi noworodka wydawał się całkowicie nie na miejscu. Poród był pośladkowy, przyjście dziecka na świat długie i trudne. Gdy lekarze i położne wydobywali je z kanału rodnego, matka została pocięta i pokaleczona.

- A jednak, *domina* - mówił Apollodor Sycylijczyk - nic mu się nie stało, żadnych sińców ani opuchlizny. - Po twarzy małego Greka przemknął uśmiech. - Jeśli jego zachowanie przy porodzie ma jakieś znaczenie, ostrzegam cię, *domina*! Wyrośnie na człowieka o trudnym charakterze.

Liwia Druza była zbyt wyczerpana, by zdobyć się na coś więcej niż słaby uśmiech. Czuła, że nie chce mieć więcej dzieci. Po raz pierwszy wycierpiała się przy porodzie tak bardzo, że czuła potem tego skutki.

Dopiero po kilku dniach pozwolono dzieciom ją zobaczyć. Kratypus musiał tymczasem sam zarządzać domem, bo Liwia Druza była teraz panią.

Serwilia, jak było do przewidzenia, zatrzymała się przy drzwiach, nie chcąc oglądać swego przyrodniego brata. Lilia - ostatnio surowo pouczana przez starszą siostrę - próbowała trzymać się z dala, ale uległa pieścizotom matki i w końcu pocałowała to chude stworzonko schowane w ramionach Liwii Druzy. Czternastomiesięczna Porcja, zwana Porcellą była za mała, by jej pozwolono na te poporodowe odwiedziny, ale trzyletni teraz Cepion Młodszy przyszedł. Jego reakcja była ekstatyczna. Nie mógł się nacieszyć nowym braciszkiem, chciał go trzymać, tulić i całować.

- On będzie mój - mówił, zapierając się nogami, gdy piastunka usiłowała go odciągnąć.



- Dam ci go, mały Kwintusie. - Liwia Druza cieszyła się ogromnie, że Katon Młodszy został serdecznie przyjęty przez kogoś ze swego rodzeństwa. - Będziesz się nim opiekował.

Serwilia zwlekała u wejścia, dopóki nie zabrano Lili i Cepiona Młodszego, a potem podeszła o kilka stóp bliżej łóżka. Wpatrywała się szyderczo w matkę, a jej złośliwa dusza cieszyła się widokiem umęczonej, zapadniętej twarzy Liwii Druzy.

- Ty umierasz - powiedziała z zadowoloną miną.

Liwii Druzie zaparło dech.

- Nonsens! - powiedziała ostro.

- Umrzesz - upierała się dziesięciolatka. - Chciałam, żeby tak się stało, więc się stanie. Tak było z ciotką Serwilią Cepionią, kiedy życzyłam jej śmierci!

- Mówienie takich rzeczy jest głupie i niegrzeczne - powiedziała matka z bijącym sercem. - Życzenia nie spełniają się tak często, Serwilio. Jeśli zdarza się coś, czego pragnęłaś, jest to tylko przypadkowa zbieżność, nic więcej. To dzieło Losu i Fortuny, nie twoje! Nie jesteś aż tak ważna, by przyciągać uwagę Losu i Fortuny.

- To na nic, nie przekonasz mnie! Mam złe oko! Komu źle życzę, ten umiera - powiedziała wesoło dziewczynka i znikła za drzwiami.

Liwia Druza leżała z zamkniętymi oczami. Nie czuła się dobrze od urodzenia Katona Młodszego. Nie wierzyła jednak, że winna temu jest Serwilia. Tak przynajmniej sobie mówiła. W ciągu następnych kilku dni jej stan pogorszył się niepokojąco. Znalaziono mamkę dla Katona Młodszego, którego zabrano z pokoju matki, po czym rzucił się na niego Cepion Młodszy i wziął go pod opiekę.

Apollodor Sycylijszyk cmokał zatroskany.

- Obawiam się o jej życie, Marku Liwiuszu - mówił do Druzusa. - Krwawienie nie jest obfite, ale nie ustępuje i nie można go powstrzymać. Chora ma gorączkę, a z krwią miesza się jakaś skażona wydzielina.

- Co się dzieje z moim życiem?! - zawołał Druzus, ocierając łzy. - Czemu wszyscy wokół mnie umierają?

Na to pytanie nie było oczywiście odpowiedzi. Druzus nie uwierzył w złe oko Serwili, kiedy doniósł mu o tym Kratypus, który nie znosił dziewczynki. Tak czy inaczej, stan Liwii Druzy nadal się pogarszał.

Druzus martwił się, że w domu, oprócz niewolnic, nie było innej kobiety. Katon Saloński przebywał z żoną tyle, ile mógł, ale Serwilię trzeba było trzymać z daleka. Druzus i Katon odnosili wrażenie, że Liwia Druza wypatruje czegoś lub kogoś, kogo przy niej nie było, zapewne Serwili Cepionii. Druzus płakał. I zdecydował się coś zrobić.



Następnego dnia odwiedził pewien dom, w którym dotąd nie stanęła jego



noga, dom Mamerka Emiliusza Lepidusa Liwiana, swego brata. Co prawda, ojciec mówił mu kiedyś, że Mamerkus nie jest jego synem. Tyle lat temu! Czy go przyjmą?

- Chcę się zobaczyć z Kornelią Scypionią.

Odźwierny, który już otwierał usta, by powiedzieć, że pana nie ma w domu, skinął głową. Druzus został zaprowadzony do atrium, gdzie musiał chwilę poczekać.

Całkiem dosłownie nie poznał starszej kobiety, która weszła sztywnym krokiem. Siwe włosy miała upięte w niewyszukany kok, krępe ciało, szaty nie dobrane kolorami, twarz niepozorną i raczej brzydką. Pomyślał, że przypomina popiersia Scypiona Afrykańskiego, których kilka zdobiło Forum. I nic dziwnego, skoro była jego bliską krewną.

- Marek Liwiusz? - spytała czarująco melodyjnym niskim głosem.

- Tak - odpowiedział, nie mając pojęcia, jak się zachować.

- Ależ jesteś podobny do swego ojca!

Nie okazywała mu niechęci. Usiadła na skraju sofy i wskazała krzesło naprzeciw siebie.

- Usiądź, mój synu.

- Pewnie się zastanawiasz, co mnie sprowadza - zaczął, czując, jak żal ścisnął mu gardło. Starał się ze wszystkich sił zapanować nad twarzą.

- Coś bardzo ważnego, to oczywiste.

- Chodzi o moją siostrę. Jest umierająca.

Zmieniła się na twarzy i natychmiast wstała.

- Nie traćmy więc czasu, Marku Liwiuszu. Zawiadomię tylko moją synową, a potem pójdziemy.

Nie wiedział nawet, że jest jakaś synowa. Ona też mogła nie wiedzieć o śmierci jego żony. Swego brata Mamerka znał z widzenia z Forum, ale nigdy z sobą nie rozmawiali. Było między nimi dziesięć lat różnicy, więc Mamerkus nie osiągnął jeszcze wieku wejścia do senatu. Ożenił się jednak, jak widać.

- Masz więc synową - zagadnął matkę, gdy wyszli.

- Od niedawna. - Piękny głos Kornelii Scypionii stracił nagle barwę. - Mamerkus ożenił się w zeszłym roku z siostrą Klaudiusza Pulchera.

- Moja żona umarła - powiedział szorstko.

- Tak, słyszałam o tym. Żałuję teraz, że cię nie odwiedziłam. Przypuszczałam jednak, że nie byłabym mile przyjęta w czasie żałoby. Okazałam też chyba zbyt dużą dumę, wiem o tym.

- Rozumiem, że to ja powinienem cię odwiedzić.

- Coś w tym rodzaju.

- Nie pomyślałem o tym.

Skrzywiła się.

- To zrozumiałe. Ciekawe, że zdobyłeś się na to dla swojej siostry, a nie dla



siebie.

- Taki już jest ten świat. Nasz świat, w każdym razie.
  - Ile czasu zostało mojej córce?
  - Nie wiemy. Lekarze mówią że bardzo mało, ale ona wciąż walczy. Czegoś się jednak bardzo boi. Nie wiem czego. Rzymianie nie boją się śmierci.
  - Tak sobie mówimy, Marku Liwiuszu. Nie okazujemy lęku, ale zawsze istnieje strach przed nieznanym.
  - Śmierć nie jest czymś nieznanym.
  - Tak sądzisz? Może więc raczej życie jest zbyt słodkie?
  - Czasami.
  - Czy nie mógłbyś mówić mi „mamo”?
  - Czemu miałbym cię tak nazywać? Odeszłaś, kiedy miałem dziesięć lat, a moja siostra pięć.
  - Nie mogłam już z nim dłużej wytrzymać.
  - Nie dziwię się - powiedział oschle. - Nie wpuściłby kukułki do swego gniazda.
  - Masz na myśli swego brata Mamerka?
  - A kogóż by innego?
  - To twój rodzony brat, Marku Liwiuszu.
  - To samo mówi córce o swym synu moja siostra. Dość jednak spojrzeć na Cypiona Młodszego. Każdy głupiec widzi, czyim jest on naprawdę synem.
  - Spójrz więc uważniej na Mamerka. To Liwiusz Druzus w każdym calu, a nie Korneliusz Scypion. - Urwała i zaraz dodała: - Ani Emiliusz Lepidus.
- Doszli do domu Druzusa. Gdy odźwierny wprowadził ich do środka, Kornelia Scypionia rozglądała się niemal z lękiem.
- Nigdy nie byłam w tym domu. Twojemu ojcu nie brakowało smaku.
  - Szkoda, że mu brakowało serca - powiedział Druzus z goryczą. Matka spojrzała na niego z ukosa, ale nic nie powiedziała.



Czy nieszczęsna klątwa Serwili miała jakiś wpływ na Los i Fortunę, czy nie, Liwia Druza zaczęła wierzyć, że miała. Zdawała sobie sprawę, że umiera, a nie widziała innego wytłumaczenia. Wydała przedtem na świat czworo dzieci bez najmniejszych komplikacji, czemu więc piąte miałyby coś zmienić? Każdy przecież wie, że z kolejnymi jest łatwiej.

Kiedy krępa i niewysoka starsza pani pojawiła się w drzwiach jej pokoju, Liwia Druza patrzyła na nią zastanawiając się, czemu każą jej tracić ubywające siły życiowe dla jakiejś nieznanym. Nieznajoma weszła z wyciągniętymi rękami do pokoju.

- Jestem twoją matką Liwio Druzo - powiedziała. Usiadła na skraju łóżka i wzięła córkę w ramiona.

Obie płakały ze wzruszenia nieoczekiwanym spotkaniem i nad utraconymi



latami. Potem Kornelia Scypionia ułożyła córkę wygodnie i usiadła na przysuniętym do łóżka krześle.

Oczy zachodzące już mgłą wpatrywały się ze zdziwieniem w pospolitą scypiońską twarz, w szaty matrony i proste uczesanie.

- Myślałam mamó, że jesteś pięknócią.
- Pożeraczką serc, chcesz powiedzieć?
- Ojciec... a nawet mój brat...

Kornelia Scypionia z uśmiechem poklepała trzymaną dłoń córki.

- Ach, to przecież Liwiuszowie Druzusowie. Czy trzeba mówić więcej? Kocham życie, dziewczyno! Zawsze, zawsze je kochałam. Lubię się śmiać. Nie biorę świata zbyt poważnie. Miałam przyjaciół zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet. Po prostu przyjaciół! W Rzymie kobieta nie może jednak przyjaźnić się z mężczyznami, bo pół świata zaraz zaczyna podejrzewać, że chodzi o coś więcej niż o intelektualne rozmowy. Do tej połowy świata należał, jak się okazało, twój ojciec, a mój mąż. Uważałam, że mam prawo widywać swoich przyjaciół - zarówno mężczyzn, jak i kobiety - kiedy tylko mam ochotę. Nie znosiłam jednak plotek ani tego, że twój ojciec wierzył plotkarzom, a nie mnie. Nigdy nie stanął po mojej stronie!

- Więc ty nigdy nie miałaś kochanków!

- Nie wtedy, kiedy mieszkałam z twoim ojcem. Oczerniono mnie. Zdałam sobie jednak sprawę, że dalsze takie życie mnie zabije. Kiedy więc urodził się Mamerkus, pozwoliłam twemu ojcu wierzyć, że jest on synem starego Mamerka Emiliusza Lepidusa, którego zaliczałam do moich najdroższych przyjaciół. Nie był jednak moim kochankiem, nie bardziej niż inni przyjaciele. Kiedy stary Mamerkus poprosił o pozwolenie na adopcję mego dziecka, twój ojciec od razu się zgodził, zakładając, że odejdę wraz z nim. Nigdy jednak nie rozwiódł się ze mną. Czy to nie dziwne? Stary Mamerkus był wdowcem i z radością przyjął matkę swego adoptowanego syna. Odeszłam do znacznie szczęśliwszego domu, Liwio Druzo, i byłam staremu Mamerkowi żoną do końca jego życia.

Liwia Druza zdołała podnieść się z poduszek.

- A ja myślałam, że miałaś wiele romansów!

- Ależ miałam, drogie dziecko. Po śmierci starego Mamerka. Miałam ich dziesiątki. Romanse jednak w końcu nudzą musisz wiedzieć. To tylko sposób poznawania natury człowieka, jeżeli brak w nich silnego uczucia, a tak najczęściej jest. Szuka się czegoś, zawsze mając nadzieję, że się to w końcu odnajdzie. Potem jednak pewnego dnia uświadamiasz sobie, że romanse stwarzają więcej kłopotów, niż są warte, i że owej ulotności nie znajdzie się w ten sposób. Od kilku już lat nie mam kochanka. Jestem szczęśliwsza, żyjąc z moim synem Mamerkiem i ciesząc się towarzystwem przyjaciół. Tak przynajmniej było, dopóki Mamerkus się nie ożenił. - Skrzywiła się. - Nie lubię



swojej synowej.

- Mamo, ja umieram! Już nie będziemy się spotykać!

- Lepsze to krótkie spotkanie niż nic, Liwio. Nie tylko twój brat tu zawinił. - Kornelia Scypionia nie ukrywała prawdy. - Odkąd opuściłam twojego ojca, nie spróbowałam nawet zobaczyć ciebie ani twego brata Marka. Mogłam to zrobić, a jednak nie zrobiłam. - Wyprostowała się i przybrała wesołą minę. - Ale, kto mówi, że umierasz? Twój mały ma już prawie dwa miesiące. Już za późno, żeby ci zaszkodził.

- To nie jego wina, że umieram - powiedziała Liwia Druza. - Jestem przeklęta. To złe oko.

Kornelia Scypionia wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

- Złe oko? Cóż to za brednie, Liwio! Nic takiego nie istnieje!

- O tak. Istnieje.

- Nie istnieje, córeczko! I któż miałby cię aż tak nienawidzić? Twój były mąż?

- Nie, on nawet nie myśli o mnie.

- Więc kto? - Liwia Druza zadrżała, ale nie odpowiedziała.

- Odpowiadaj! - rozkazała matka, dokładnie tak jak to robił Scypion.

- Serwilia. - To był szept.

- Serwilia? - Kornelia Scypionia zastanawiała się ze zmarszczonymi brwiami.

- Masz na myśli córkę z pierwszego małżeństwa?

- Tak.

- Rozumiem. - Poklepała dłoń Liwii Druzy. - Nie chcę cię urazić mówieniem, że to tylko sprawka twojej wyobraźni, moja kochana, ale musisz opanować swoje uczucia. Nie daj tej dziewczynie satysfakcji.

Czyjś cień padł na nią od wejścia. Odwróciwszy się, ujrzała wysokiego, rudowłosego mężczyznę i uśmiechnęła się do niego.

- Marek Porcjusz, jak sądzę? - spytała, wstając. - Jestem twoją teściową i miałam właśnie przemiłe spotkanie z Liwią Druzą. Zajmij się nią teraz. Muszę się zobaczyć z jej bratem.

Poszła wzdłuż kolumnady, rzucając gniewne spojrzenia na boki, póki nie ujrzała swego starszego syna siedzącego przy fontannie.

- Marku Liwiuszu - zaczęła ostrym tonem. - Twoja siostra uważa, że rzucono na nią klątwę.

Druzus był wstrząśnięty.

- Ależ, nie!

- O tak. Tak uważa. Chodzi o jej córkę Serwilię.

Zacisnął wargi.

- Rozumiem.

- Widzę, że nie jesteś zaskoczony, synu.

- Bynajmniej. Ta dziewczyna to prawdziwy dopust boży. Trzymać ją w domu, to jakby gościć Sfinksa, rozumnego potwora.



- Czy to możliwe, że Liwia Druza umiera, bo wierzy w tę klątwę?

Druzus stanowczo zaprzeczył ruchem głowy.

- Mamo. - To słowo wymknęło mu się nie zauważone. - Liwia Druza umiera wskutek obrażeń odniesionych podczas porodu. Tak mówią lekarze, a ja im wierzę. Te rany się nie goją. Jątrzą się. Czuliś chyba zapach w jej pokoju?

- Oczywiście. Myślę jednak, że ona wierzy w tę klątwę.

- Przeprowadzę tu tę dziewczynę - powiedział Druzus, wstając.

- Mam ochotę ją zobaczyć, słowo daję. - Kornelia Scypionia usiadła i czekała, wspominając to nieumyślne „mamo”.

Drobna, smagła, tajemnicza ślicznotka. Zagadkowa, a tak pełna ognia i siły, że skojarzyła się swej babce z domem zbudowanym na nieczynnej fumaroli. Pewnego dnia wybuch wypchnie okiennice i wyrzuci w powietrze dach, ona zaś objawi się całemu światu jako kotłująca się chmura trujących i palących gazów. Co na tym świecie mogło ją aż tak unieszczęśliwić?

- Serwilio, to jest twoja babka Kornelia Scypionia - powiedział Druzus, nie zdejmując ręki z ramienia siostrzenicy.

Serwilia prychnęła, nie mówiąc nic.

- Widziałam się przed chwilą z twoją matką- powiedziała łagodnie Kornelia Scypionia. - Ona wierzy, że rzuciłaś na nią klątwę, czy wiesz o tym?

- Wierzy w to? Świetnie - odrzekła Serwilia. - Tak, rzuciłam na nią klątwę.

- No cóż, dziękuję. - Babka odprawiła ją ruchem dłoni. - Wracaj do dziecinnego!

Druzus uśmiechnął się szeroko, wracając.

- To było znakomite! - powiedział, siadając. - Powaliłaś ją na łopatki.

- Nikt jej nigdy nie powali na łopatki - odparła Kornelia Scypionia, a po namyśle dodała: - Chyba, że mężczyzna.

- Jej ojcu już się to udało.

- Ach, rozumiem... Słyszałam, że nie chce uznać swoich dzieci.

- Zgadza się. Inne były za małe, żeby to zrozumieć, ale Serwilia miała złamane serce, tak przynajmniej sędzę. Trudno coś o niej powiedzieć, mamo. Jest równie przebiegła jak niebezpieczna.

- Biedactwo.

- Ha! - rzekł Druzus.

W tej chwili Kratypus wprowadził Mamerka Emiliusza Lepidusa Liwiana.

Bardzo podobny do Druzusa z wyglądu, nie miał jednak w sobie nic władczego, co wszyscy wyczuwali w Druzusie. Miał dwadzieścia siedem lat przy trzydziestu siedmiu latach Druzusa, lecz nie zrobił błyskotliwej kariery młodego adwokata ani nie przepowiadano mu świetnej przyszłości w polityce jak Druzusowi. Mimo to miał w sobie jakąś spokojną siłę, której brakowało starszemu bratu. Te rzeczy, których biedny Druzus musiał uczyć się sam po bitwie pod Arauzjoną były Mamerkowi dane od urodzenia. Zawdzięczał to



obecności matki, prawdziwej Kornelii z rodu Scypionów - tolerancyjnej, wykształconej, ciekawej świata.

Kornelia Scypionia posunęła się na ławce, robiąc miejsce Mamerkowi, który zatrzymał się nieśmiało, gdyż Druzus nie wykonał żadnego ruchu, aby go powitać, patrzył tylko na niego badawczo.

- Bądź dobrej myśli, Marku Liwiuszu - odezwała się ich matka. - Jesteście rodzonymi braćmi i musicie zostać dobrymi przyjaciółmi.

- Nigdy nie miałem wątpliwości, że jesteśmy rodzonymi braćmi - powiedział Mamerkus.

- A ja miałem - rzekł Druzus. - Co jest prawdą mamó? To, co powiedziałaś mi dziś, czy to, co mówiłaś memu ojcu?

- To, co powiedziałam dziś. To, co mówiłam twemu ojcu, pozwoliło mi odejść. Nie szukam wymówek dla mego postępowania. Byłam zapewne taka, za jaką mnie uważałeś, jeśli nawet z innych powodów, niż myślałeś. - Wzruszyła ramionami. - Nie mam skłonności do narzekań. Żyję terażniejszością i przyszłością nigdy nie przeszłością.

Druzus wyciągnął rękę do brata i uśmiechnął się.

- Witaj w moim domu, Mamerku Emiliuszu.

Mamerkus ucisnął mu dłoń, a potem przysunął się i pocałował brata w usta.

- Mamerku - powiedział drżącym głosem. - Po prostu Mamerku. Jestem jedynym Rzymianinem o takim imieniu, nazywaj mnie więc Mamerkiem.

- Nasza siostra jest umierająca. - Druzus nie puścił ręki Mamerka i posadził brata przy sobie.

- Ach... bardzo żałuję. Nie wiedziałem.

- Czy Klaudia ci nie powiedziała? - spytała ich matka z gniewną miną. - Zostawiłam jej wiadomość dla ciebie.

- Nie. Mówiła tylko, że wyszłaś nagle z Markiem Liwiuszem.

Kornelia Scypionia zdecydowała się - konieczna była kolejna ucieczka.

- Marku Liwiuszu - powiedziała, patrząc na Druzusa ze łzami w oczach. - Przez dwadzieścia siedem lat poświęciłam się wyłącznie twemu bratu. - Strząsnęła łzy, mrugając. - Nie zdążę już poznać bliżej córki. Ty jednak i Marek Porcjusz zostaniecie z szóstką dzieci i bez żadnej kobiety w domu - chyba że zamierzasz się znów ożenić?

Druzus zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, mamó, nie zamierzam.

- Zatem, jeśli chcesz, zamieszkać tu i zajmę się dziećmi.

- Chcę. - Druzus odwrócił się do brata z uśmiechem. - Dobrze jest wiedzieć, że się ma rodzinę.



W dniu, w którym Katon Młodszy skończył dwa miesiące, Liwia Druza umarła. Miała pogodną śmierć, jako że wiedząc o jej nieuchronności, zrobiła



wszystko, by złagodzić swe odejście tym, których opuszczała. Obecność matki była dla niej ogromną pociechą wiedziała bowiem, że jej dzieciom nie zabraknie miłości i uczuć rodzinnych. Czerpiąc siłę z Kornelii Scypionii (która usunęła Serwilię z jej widoku), pogodziła się ze śmiercią i nie myślała już o kłątwie i złym oku. Daleko ważniejszy był los tych, którym przyszło żyć dalej.

Dla Katona Salońskiego miała wiele słów miłości i pociechy, wiele pouczeń i życzeń, i to w jego twarz wpatrywały się jej gasnące oczy, jego dłoń ścisnęła, jego miłość czuła, odpływając w niepamięć. Dla swego brata Druzusa także miała słowa miłości i otuchy. Jedynym dzieckiem, które chciała zobaczyć, był Cepion Młodszy.

- Opiekuj się swym braciszkiem Katonem - wymamrotała i pocałowała go rozpalonymi gorączką ustami.

- Opiekuj się moimi dziećmi - mówiła matce. A Katonowi Salońskiemu powiedziała: - Nie wiedziałam, że Penelopa zmarła przed Odysem.

To były jej ostatnie słowa.







**PUBLIUSZ RUTYLIUSZ RUFUS**

### III



**C**hociaż Sulla nie miał żadnego doświadczenia sądowego, a jego wiedza o prawie rzymskim była minimalna, odpowiadała mu *praetor urbanus*. Po pierwsze, nie brakowało mu zdrowego rozsądku, po drugie, otoczył się kręgiem dobrych doradców i nie wahał się ich pytać, kiedy potrzebował rady, a także, co nie najmniej ważne, nadawał się do tej pracy. Największą przyjemnością sprawiało mu to, że nie łączono go już z Gajuszem Mariuszem. Nazywał to w myślach autonomią. Zaczynał wreszcie być znany jako on sam, niezależna i wyraźna osobowość. Powiększył się jego mały orszak klientów, a zwyczaj zabierania ze sobą wszędzie syna uznano za czarujący. Sulla ślubował sobie, że jego będzie miał wszelkie możliwe ułatwienia, włącznie z wczesną karierą adwokacką i odpowiednimi dowódcami w armii.

Chłopiec nie tylko wyglądał jak Cezar, ale przejął niektóre przymioty rodu julijskiego. Był życzliwy ludziom i uczciwy, bez trudu więc zdobywał sobie



przyjaciół, a raz zdobytych starał się zachować. Najlepszym jego przyjacielem był o pół roku od niego starszy kościsty chłopak o wielkiej czaszce raczej niż głowie, Marek Tuliusz Cynceron. Pochodził, o dziwo, z Arpinum, rodzinnego miasta Mariusza. Jego dziadek był szwagrem brata Gajusza Mariusza, Marka, obaj bowiem poślubili siostry Gratydie. Sulla nie musiał dowiadywać się tego wszystkiego, bo gdy Sulla Młodszy przyprowadził Cyncerona do jego domu, został zarzucony lawiną informacji. Cynceron był gadułą.

Nie trzeba więc było pytać, co robi w Rzymie chłopiec z Arpinum, bo zaraz to Sulli powiedziano.

- Mój ojciec jest bliskim przyjacielem pryncypsa senatu Marka Emiliusza Skaurusa - mówił młody Cynceron z ważną miną - a także bliskim przyjacielem Kwintusa Mucjusza Scewoli Augura oraz klientem Lucjusza Licyniusza Krassusa Oratora! Kiedy więc ojciec zdał sobie sprawę, że jestem zbyt utalentowany i zbyt inteligentny, by siedzieć w Arpinum, przeprowadziliśmy się do Rzymu. To było w zeszłym roku. Mamy ładny dom na Karynach, zaraz obok świątyni Tellus. Publiusz Rutyliusz Rufus mieszka po drugiej stronie tej świątyni. Uczę się jednocześnie u Kwintusa Mucjusza Augura i u Lucjusza Krassusa Oratora, chociaż wolę Lucjusza Krassusa Oratora, bo Kwintus Mucjusz Augur jest za stary. Od dawna oczywiście odwiedzamy Rzym, a ja zacząłem naukę na Forum, kiedy miałem osiem lat. Nie jesteśmy jakimiś wiejskimi prostakami, Lucjusz Korneliuszu! Znacznie lepszy nasz ród niż Gajusza Mariusza!

Rozbawiony Sulla siedział i pozwalał trzynastolatkowi gadać, zastanawiając się w duchu, kiedy wydarzy się nieuniknione i ten wielki melon głowy zerwie się ze zbyt cienkiej szyi, runie na ziemię i potoczy się, wciąż gadając. Kiwająca się w górę, w dół i na boki głowa w oczywisty sposób ciążyła swemu właścicielowi, niewygodna i niebezpieczna.

- Czy wiesz - spytał otwarcie Cynceron - że mam już swoich słuchaczy, kiedy próbuję sił w retoryce? Nie ma wątpliwości, że moi mistrzowie mogliby mnie wystawić, a ja bym wygrał!

- Rozumiem więc, że chcesz zrobić karierę jako adwokat? - Sulla zdołał wreszcie dojść do słowa.

- Ach, oczywiście! Ale nie jak wielki Akuleo; mój ród jest dość dobry, by się ubiegać o konsulat! Najpierw oczywiście senat. Zrobię wielką karierę. Wszyscy mi to mówią! - Głowa Cyncerona wysunęła się do przodu. - Z mojego doświadczenia, Lucjusz Korneliuszu, wynika, że przedstawienie się wyborcom w sądach jest o wiele skuteczniejsze niż poprzez armię, tę wymęczoną staruszkę.

Sulla wpatrywał się w niego zafascynowany.

- Ja doszedłem tam, gdzie jestem, na plecach tej wymęczonej staruszki, Marku Tuliuszu - zauważył uprzejmie. - Nie robiłem kariery w sądach, a jednak



jestem pretorem miejskim.

Cyceron przeszedł nad tym do porządku.

- Tak, ale ty nie miałeś moich zalet, Lucjuszu Korneliuszu. Ja zostanę pretorem po czterdziestce, tak jak być powinno.

Sulla dał za wygraną.

- Jestem pewien, że tak będzie, Marku Tuluszu.

- Tak, tato - powiedział później Sulla Młodszy, kiedy został sam z ojcem, mógł więc wrócić do zdrobnienia „tato”. - Wiem, że on ma swoje wady, ale i tak go lubię. A ty nie?

- Myślę, że młody Cyceron jest okropny, synu, ale przyznaję, że można go polubić. Czy jest tak dobry, jak mówią?

- Posłuchaj go i sam osądź, tato.

Sulla pokręcił przecząco głową.

- Nie dam tej satysfakcji arpińskiemu pyszałkowi.

- Zrobił wielkie wrażenie na pryncepsie senatu Skaurusie - powiedział Sulla Młodszy, pochylając się ku ojcu z taką swobodą i zażyłością, jakiej biedny młody Cyceron nigdy nie miał zaznać. Biedny młody Cyceron odkrywał właśnie, że jego ojciec jest w oczach rzymskich notabli wieśniakiem i że jest już spalony jako swego rodzaju ziomek Gajusza Mariusza. Anatema! W rezultacie młody Cycero pośpiesznie odsunął się od niego. Zbyt dobrze wiedział, że łączenie go z Gajuszem Mariuszem byłoby niepotrzebnym obciążeniem w dążeniu do wysokich urzędów.

- Prynceps senatu Skaurus - poinformował Sulla syna z pewną satysfakcją - ma teraz zbyt wiele na głowie, żeby się zajmować młodym Markiem Tuluszem Cyceronem.

To stwierdzenie było szczerą prawdą. Jako przywódca kurii Marek Emiliusz Skaurus zajmował się służbą dyplomatyczną i wszelkimi sprawami zagranicznymi, które nie wiązały się z prowadzeniem wojen. Tylko nieliczni senatorowie uważali sprawy innych narodów za dość ważne, by im poświęcać czas. Przywódca kurii musiał zawsze tęgo kręcić głową, by znaleźć chętnych do zasiadania w komitetach, chyba że zapewniały one zamorskie podróże na koszt państwa, a takich okazji było niewiele. Udzielenie odpowiedzi Sokratesowi, pokrzywdzonemu młodszemu synowi króla Bitynii, zajęło senatowi dziesięć miesięcy. Odpowiedź, z którą kurier wyruszył do Nikomedii, nie mogła zadowolić Sokratesa, bo odrzucała stanowczo jego pretensje i potwierdzała prawa do tronu Nikomedesa III.

Zanim rozstrzygnięto tę sprawę, prynceps senatu Skaurus odziedziczył jeszcze jedną kłótnię o zamorski tron. Królowa Laodike i król Kapadocji Ariobarzanes przybyli do Rzymu, uciekając przed królem Armenii Tigranem i jego teściem, królem Pontu, Mitrydatesem. Mając dość rządów syna Mitrydatesa, a wnuka jego marionetki Gordiosa, Kapadokowie usiłowali od



czasu wyjazdu Mariusza z Mazaki znaleźć jakiegoś naprawdę kapadockiego króla. Ich syryjski wybraniec zmarł, otruty podobno przez Gordiosa, grzebali się więc w genealogiach, aż znaleźli jakiegoś i kapadockiego wielmożę z niewątpliwie królewską krwią w żyłach, niejakiemu Ariobarzanesa. Jego matka - nieuchronnie nosząca imię Laodike - była kuzynką ostatniego Ariaratesa, którego można uznać za króla prawdziwie kapadockiego. Usunięto z tronu króla-chłopca Ariaratesa Euzebesa i jego dziadka Gordiosa, którzy z miejsca uciekli do Pontu. Mitrydates wiedział, że za sprawą Mariusza Rzym patrzy mu na ręce, nie działał więc wprost, ale skorzystał z usług króla Armenii Tigranesa. To Tigranes najechał Kapadocję, to Tigranes wybrał nowego kapadockiego króla. Tym razem nie był to syn Mitrydatesa. Pont i Armenia zgodziły się, że żaden chłopiec nie usiedzi spokojnie na tym tronie. Nowym królem Kapadocji był Gordios we własnej osobie.

Laodike i Ariobarzanes uciekli jednak i zjawili się w Rzymie wczesną wiosną roku, w którym Sulla był pretorem miejskim. Ich obecność sprawiła wiele kłopotu Skaurusowi, który poprzednio często mówił i pisał w listach, że los Kapadocji trzeba zostawić w rękach narodu. To, że opowiadał się dawniej za królem Pontu, też było teraz kłopotliwe. Mitrydates stał za najazdem Tigranesa, chociaż Laodike i Ariobarzanes nie mogli tego udowodnić.

- Będziesz musiał tam pojechać i rozeznąć się w sytuacji - mówił Sulla do Skaurusa, gdy opuszczali niezbyt licznie obsadzone posiedzenie senatu, na którym omawiano sprawę Kapadocji.

- A niech to! - warknął Skaurus. - Nie powinienem opuszczać teraz Rzymu.

- Musisz więc wyznaczyć kogoś innego - powiedział Sulla.

Skaurus zadarł dumnie podbródek i przyjął to brzemię.

- Nie, Lucjuszu Korneliuszu, pojedę.

I pognał niczym trąba powietrzna nie do Kapadocji, lecz do króla Pontu na jego dwór w Amasei. Tam, podejmowany ucztami i pojony winem, fetowany i oklaskiwany, spędził Marek Emiliusz Skaurus wiele wspaniałych dni. Jako gość króla polował na lwy i niedźwiedzie, wypływał na Euksyn łowić tuńczyki i delfiny, odwiedzał miejsca słynne z pięknych widoków - wodospady, wąwozy, wyniosłe turnie. Jako gość króla zajadał się wiśniami, najsmaczniejszymi, jakie w życiu jadł.

Zapewniono go, że Pont nie zamierza zawładnąć Kapadocją i wyrażono ubolewanie i potępienie postępkowi Tigranesa. Napatrzywszy się na wdzięcznie zhellenizowany dwór pontyjski, gdzie wszyscy mówili po grecku, Marek Emiliusz Skaurus, prynceps senatu, spakował się i odpłynął do domu jednym z królewskich okrętów.

- Zrobiło to na nim wrażenie. - Mitrydates uśmiechnął się szeroko do swego kuzyna Archelaosa.

- Myślę, że to w wielkiej mierze zasługa twoich listów z ostatnich lat -



powiedział Archelaos. - Pisz do niego nadal, o Wielki! To znakomita inwestycja.

- Jak i ten wór złota, który mu dałem.

- Święta prawda!



Od samego początku kadencji *praetor urbanus* Sulla zaczął zabiegać o jedno lub drugie namiestnictwo w Hiszpanii. Stąd zjednywanie sobie pryncypsa senatu Skaurusa, a przez Skaurusa innych przywódców senatu. Wątpił, że kiedykolwiek przekona do siebie Katulusa Cezara po wydarzeniach nad rzeką Atezis, kiedy to germańscy Cymbrowie najechali Galię italską. Poza tym jednak dobrze mu się wiodło i na początku czerwca był pewien, że obejmie Hiszpanię Dalszą, lepszą Hiszpanię dla namiestnika, który chce zrobić pieniądze.

A jednak Fortuna, która tak bardzo go kochała, znów zdawała się go zdradzać niczym uliczna dziewczka. Tytus Dydiusz wrócił do kraju z Hiszpanii Bliższej, by odprawić triumf, pozostawiając do końca roku rządy swemu kwestorowi. W dwa dni po Tytusie Dydiuszu odprawił triumf Publiusz Licyniusz Krassus za swoje zwycięstwa w Hiszpanii Dalszej. Także i jego kwestor pozostał tam, by rządzić do końca roku. Tytus Dydiusz zapewnił, że przed jego odjazdem w Hiszpanii Bliższej panował spokój. Stoczono porządną wojnę, całkowicie wyczerpując siły Celtyberów. Publiusz Licyniusz Krassus opuścił jednak pośpiesznie swą prowincję, nie podejmując wszelkich środków ostrożności. Położył łapę na koncesji na cynę i chciał skoordynować swe działania z pewnymi spółkami, w których miał milczący współudział. Podróżując uprzednio na Kasyterydy - legendarne Wyspy Cynowe - porażał wszystkich majestatem swej rzymskości, proponował lepsze warunki, ręczył za pewniejsze dostawy na wybrzeżach Morza Środkowego każdego funta cyny, jaki zdołają wydobyć górnicy. Był ojcem trzech synów, wykorzystał więc swój pobyt w Hiszpanii Dalszej, by wymościć własne gniazdo, prowincję zaś pozostawił w stanie dalekim od ujarzmienia. Nie minęły dwa tygodnie po odprawieniu triumfu przez Publiusza Licyniusza, w dniu poprzedzającym idy czerwcowe, gdy nadeszła wieść, że Luzytanie poderwali się do buntu z nowym wigorem i determinacją. Pretor Publiusz Korneliusz Scypion Nazyka, wysłany do Hiszpanii Dalszej jako posiłkowy namiestnik, sprawił się tak dobrze, że mówiło się już o powierzeniu mu dowództwa na przyszły rok. Pochodził z bardzo potężnego rodu, więc senat szedł mu oczywiście na rękę. Oznaczało to, że Sulla nie ma szans na Hiszpanię Dalszą. Hiszpania Bliższa też mu się wymknęła. W październiku kwestor pozostawiony u władzy po wyjeździe Tytusa Dydiusza poprosił o szybką pomoc. Hiszpania Bliższa stała w ogniu buntu, od Waskonów do Ilergetów. Jako pretor miejski, Sulla nie mógł zgłosić się na ochotnika i musiał patrzeć z pretorskiego trybunału, jak konsul Gajusz Waleriusz Flakkus został pospiesznie wysłany do Hiszpanii Bliższej.

Co jeszcze pozostało? Macedonia? Była to prowincja konsularna rzadko



oddawana pretorom, a właśnie w tym roku przekazano ją we władanie zeszłorocznemu pretorowi miejskiemu, człowiekowi nowemu, Gajuszowi Sencjuszowi. Szybko dowiódł, że się nadaje, nie było więc szans na zastąpienie go w połowie kampanii, którą prowadził wraz ze swym równie zdolnym legatem Kwintusem Brucjuszem Surą. Azja? Sulla wiedział, że tę prowincję już obiecano innemu Waleriuszowi Flakkusowi, Lucjuszowi. Afryka? To ostatnio stojąca woda, miejsce bez znaczenia. Sycylia? Stojąca woda, bez znaczenia. Sardynia wraz z Korsyką? Znow to samo, bez znaczenia.

Desperacko potrzebujący pieniędzy Sulla musiał patrzeć, jak zamykają się przed nim, jedna po drugiej, drogi wiodące do lukratywnego namiestnictwa, gdy on sam uwięziony jest w sądach Rzymu. Konsulat był odległy już tylko o dwa lata, a wśród jego kolegów pretorów byli: Publiusz Scypion Nazyka i ten Lucjusz Flakkus, który miał dostateczne wpływy, by zapewnić sobie przyszłoroczne namiestnictwo Azji. Obaj mieli pieniądze na dawanie wielkich łapówek. Inny pretor, Publiusz Rutyliusz Lupus, był jeszcze bogatszy. Sulla wiedział, że jeśli nie zrobi fortuny za granicą, nie ma dla niego nadziei.

Jedynie towarzystwo syna podtrzymywało go na duchu i powstrzymywało przed zrobieniem jakiegoś głupstwa, które mogłoby na zawsze zrujnować jego szanse. Metrobiusz przebywał w tym samym mieście, ale dzięki Sulli Młodszemu, Sulla zdołał oprzeć się przemożnemu impulsowi. Pretora miejskiego po roku urzędowania znali wszyscy w Rzymie - a Sulla raczej miał wygląd rzucający się w oczy. Obecność dzieci uniemożliwiała wykorzystanie własnego domu jako miejsca spotkania, a wizyta w apartamencie na wzgórzu Celius, gdzie mieszkał Metrobiusz, była niemożliwa. Żegnaj, Metrobiuszu!

Co gorsza, Aurelia także nie była osiągalna. Gajusz Juliusz Cezar wrócił wreszcie tego lata do domu i swoboda biednej Aurelii gwałtownie się skończyła. Zaszedł tam raz i spotkało go chłodne powitanie chłodnej pani domu, która zdecydowanie poprosiła go, żeby więcej nie przychodził. Nie otrzymał żadnej informacji, która dałaby mu pojęcie, gdzie leży problem, bez trudu jednak mógł to sobie wyobrazić. Gajusz Juliusz Cezar będzie się ubiegał w listopadzie o wybór na pretora. Gajusz Mariusz rzuci na szalę swoje wciąż niemałe wpływy, a żona Cezara będzie jedną z najpilniej obserwowanych kobiet w Rzymie, mimo że mieszka w Suburze. Nikt nie powiedział Sulli o zamieszaniu i powrocie z wakacji Mariuszów, którego niechcący był przyczyną, ale żona Sekstusa Cezara, Klaudia, opowiedziała tę historię jako żart mężowi Aurelii na przyjęciu na cześć jego powrotu. Chociaż wszyscy potraktowali to lekko i z humorem, sam Cezar nie był ubawiony.

Ach, dzięki każdemu bogu, który jest, za Sullę Młodszego! Tylko w nim pociecha. Sulla, któremu pokrzyżowano wszystkie plany, dawno by już wybuchnął w jakiś potencjalnie zabójczy sposób, gdyby nie był magicznie uciszany, usypiany. Nawet za całe złoto i srebro świata Sulla nie poniżyłby się



w oczach ukochanego syna.

I tak, gdy rok dobiegał końca, Sulla przyglądał się swym znikającym szansom. Pozbawiony Metrobiusza i Aurelii, wysłuchiwał cierpliwie pretenjonalnej gadaniny młodego Cyclerona i coraz mocniej, i mocniej kochał syna. Szczegóły ze swego życia przed śmiercią macochy, którymi nigdy nie zamierzał się dzielić z nikim ze swej klasy, przekazywał z własnej woli temu cudownie wyrozumiałemu chłopcu. Chłopiec upajał się tymi historiami, bo przedstawiały obraz życia i osób nie znanych mu dotąd wcale. Jedyną tajemnicą osobowości Sulli, której sam nigdy nie ujawniał, ów nagi potwór, zbrojny w szpony, nadający się tylko do wycia do księżycyca. Mówił sobie, że ów stwór przepadł na zawsze.

Kiedy senat podzielił prowincje - co w tym roku zrobiono pod koniec listopada - wszystko wypadło zgodnie z oczekiwaniami Sulli. Gajusz Sencjusz pozostał nadal w Macedonii, Gajusz Waleriusz Flakkus w Hiszpanii Bliższej, a Publiusz Scypion Nazyka w Hiszpanii Dalszej, podczas gdy prowincja Azja przypadła Lucjuszowi Waleriuszowi Flakkusowi. Sulla odmówił uprzejmie, gdy mu proponowano Afrykę, Sycylię albo Sardynię z Korsyką. Lepiej nie mieć wcale namiestnictwa, niż być odesłanym na stojące wody. Kiedy za dwa lata nadejdą wybory konsularne, wyborcy mieli sprawdzać, co robili kandydaci jako namiestnicy pretorialni, a Afryka, Sycylia czy Sardynia z Korsyką nie zrobią na nich żadnego wrażenia.

I wtedy Fortuna odrzuciła przebranie i stanęła w jaśniejącej chwale, ujawniając swą miłość do Sulli. W grudniu nadszedł alarmujący list od króla Bitynii Nikomedesa. Oskarżał on króla Mitrydatesa o zakusy na Azję Mniejszą, a zwłaszcza na Bitynię. Prawie w tej samej chwili nadeszła wieść z Tarsu, że Mitrydates najechał Kapadocję na czele wielkiej armii i że nie zatrzyma się, dopóki cała Cylicja i Syria nie znajdą się pod jego zwierzchnictwem. Prynceps senatu Skaurus wyraził zdumienie i zaczął nalegać na wysłanie do Cylicji namiestnika. Rzym nie miał w rezerwie wojska, ale odpowiednio uposażony namiestnik mógłby w razie potrzeby powołać miejscowe oddziały. Skaurus był Rzymianinem, dalekim od sentymentów, czego nie zrozumiał Mitrydates, który myślał, że ma go pod kontrolą dzięki pakietowi listów i workowi złota. Kiedy jednak pojawiło się prawdziwe zagrożenie Rzymu, Skaurus potrafił spalić pakiet listów. Cylicja była zagrożona - a była ważna. Chociaż rutynowo nie wysyłano tam namiestników, Rzym przywykł uważać Cylicję za swoją.

- Wyślijcie do Cylicji Lucjusza Korneliusza Sullę - powiedział Mariusz, gdy zasięgnięto jego rady. - To właściwy człowiek w tak krytycznym momencie. Potrafi wyszkolić i wyekwipować żołnierzy, no i dobrze nimi dowodzić. Jeśli ktokolwiek zdoła uratować sytuację, to Lucjusz Korneliusz.



- Dostałem namiestnictwo! - powiedział Sulla do syna, wróciwszy z zebrania



senatu w świątyni Bellony.

- Nie! Gdzie? - wykrzyknął Sulla Młodszy.
- W Cylicji. Mam powstrzymać Mitrydatesa, króla Pontu.
- Ach, tato, to wspaniale!

Zaraz potem chłopiec zdał sobie sprawę, że to oznacza ich rozdzielenie. Przez ułamek sekundy jego oczy wyrażały żal i ból. Potem zaczerpnął tchu i spojrzał na ojca z tym nieprawdopodobnym szacunkiem i zaufaniem, które Sulla uważał zawsze za wzruszające i których nie można było zawieść.

- Będzie mi ciebie oczywiście brak, ale i tak bardzo się cieszę, ojcze.

Tyle. Ujawniła się w tym dorosłość. Sulla nie był już tatą, lecz ojcem. Lucjusz Korneliusz Sulla patrzył na syna ze łzami w chłodnych bladych oczach. Potem uśmiechnął się z czułością.

- Chyba nie myślisz, że wyjadę bez ciebie? Jedziesz ze mną.

Nowe zaczerpnięcie tchu i nie ukrywana radość. Sulla Młodszy cały był uśmiechem.

- Tato! Mówisz poważnie?

- Nigdy nie mówiłem poważniej, chłopcze. Jedziemy razem albo nie jadę wcale. A jadę!

Wyruszyli na wschód na początku stycznia. Zgodnie z porami roku pogoda była jesienna, co umożliwiała żeglugę. Sulla zabrał ze sobą niewielki orszak liktorów (dwunastu, był bowiem wyposażony w imperium prokonsularne), urzędników, pisarzy i niewolników państwowych - swego rozentuzjasmowanego syna - i króla Kapadocji Ariobarzanesa wraz z jego matką Laodike. Jego wojenny skarbiec był odpowiednio pełny, dzięki staraniom pryncypsa senatu Skaurusa, a on sam został należycie pouczony podczas długich rozmów z Gajuszem Mariuszem.

Przeprawili się z Tarentu do Patraj w Grecji, złapali tam statek do Koryntu, dotarli lądem do ateńskiego Pireusu, tam zaś wykupili miejsca na kolejnym statku płynącym na Rodos. Aby dostać się z Rodos do Tarsu, Sulla musiał wynająć statek, bo zbliżała się zima i kończył się sezon żeglugowy. Tak więc pod koniec stycznia cała grupa przybyła bezpiecznie do Tarsu, nie zobaczywszy po drodze niczego oprócz kilku portów, stoczni i wielkiej ilości morskiej wody.

W Tarsie nic się nie zmieniło od wizyty Mariusza przed trzema i pół laty, i tak samo było w Cylicji, nadal niestety zapomnianej. Przybycie oficjalnego namiestnika odpowiadało zarówno Tarsowi, jak i Cylicji, a zanim Sulla wprowadził się do pałacu, zetknął się z mnóstwem chętnych do pomocy, z których wielu nie pogardziłoby porządną wojskową zapłatą.

Sulla jednak potrzebował kogoś niezawodnego i uznał za godne uwag, że i nie pojawił się on natychmiast, by nadskakiwać nowemu rzymskiemu namiestnikowi, ale wykonywał po prostu swoją pracę, czyli dowodzenie



tarsyjską milicją. Nazywał się Morsimus, a polecił go Sulli Gajusz Mariusz.

- Odtąd zwalniam cię z tego dowodzenia - mówił przyjaźnie Sulla do Morsimusa, kiedy stawiał się on na wezwanie namiestnika. - Potrzebuję kogoś miejscowego do pomocy w rekrutacji, wyekwipowaniu i wyszkoleniu czterech dobrych legionów posiłkowych, zanim wiosenne odwilże otworzą przejścia do wnętrza kraju. Gajusz Mariusz mówi, że jesteś odpowiednim człowiekiem. A ty?

- Wiem, że jestem - odpowiedział z miejsca Morsimus.

- Mamy tu dobrą pogodę - mówił z ożywieniem Sulla. - Możemy w ciągu zimy doprowadzić naszych żołnierzy do stanu gotowości, zakładając oczywiście, że znajdziemy odpowiednich ludzi do szkolenia i tyle ekwipunku, by uzbroić ich nie gorzej, niż są uzbrojeni żołnierze Mitrydatesa. Czy myślisz, że to możliwe?

- Najzupełniej - oświadczył Morsimus. - Znajdziesz więcej ludzi niż trzeba. Armia zapewnia młodym byt, a tu nie mieliśmy armii od... ach, od lat. Gdyby Kapadocja nie była zajęta walkami wewnętrznymi i najazdami Pontu i Armenii, na pewno by nas podbiła. Na szczęście Syria też, nie zdołała tego uczynić. Istniejemy, bo sprzyja nam szczęście.

- Fortuna. - Sulla wyszczerzył zęby w dzikim uśmiechu i objął go za ramiona.

- Fortuna mi sprzyja, Morsimusi. Pewnego dnia nazwą mnie Szczęśliwym. - Przygarnął Sullę Młodsze. - Jest jeszcze jedna ważna rzecz. Muszę to mieć, zanim przyjdą słoneczne dni, choćby i zimowe.

Greki z Tarsu byli zaintrygowani.

- Czy mogę w czymś pomóc, Lucjuszu Korneliuszu?

- Tak sądzę. Powiedz mi, gdzie mogę kupić porządny słomkowy kapelusz, który nie rozleci mi się za dziesięć dni.

- Ojczy - powiedział Sulla Młodszy w drodze na rynek. - Jeśli chcesz, żebym to ja nosił ten kapelusz, nie zgadzam się. Tylko starzy wieśniacy noszą takie kapelusze.

- I ja - uśmiechnął się Sulla.

- Ty?

- Kiedy prowadzę kampanię, Sullo Młodszy, noszę wielki słomkowy kapelusz. Gajusz Mariusz doradził mi to przed laty, kiedy wyruszaliśmy do Afryki walczyć z królem Numidii Jugurtą. „Noś go i nie zwracaj uwagi na innych”, powiedział. Po jakimś czasie nikt nie zwracał na mnie uwagi. Przyjąłem dobrą radę, bo mam skórę wrażliwą na słońce. Prawdę mówiąc, kiedy już zdobyłem sobie w Numidii dobre imię, mój kapelusz stał się sławny.

- Nigdy nie widziałem, żebyś go nosił w Rzymie.

- W Rzymie staram się unikać słońca. Dlatego w zeszłym roku kazałem ustawić baldachim nad moim trybunałem pretorskim.

Zapadło milczenie. Wąska uliczka, którą szli, wyprowadziła ich nagle na wielki, nieregularny plac ocieniony drzewami i wypełniony straganami i



kramami.

- Ojczy?

Sulla spojrział w bok, zaskoczony niewielką różnicą wzrostu między nim a synem. Krew Cezarów dochodziła do głosu. Sulla Młodszy będzie wysoki.

- Tak, synu?

- Czy mógłbym też dostać kapelusz?



Kiedy król Mitrydates usłyszał, że do Cylicji przysłano rzymskiego namiestnika, który zajmuje się tworzeniem i szkoleniem miejscowych oddziałów, spytał z zakłopotaną miną swego informatora, Gordiosa, nowego króla Kapadocji:

- Kim jest ten Lucjusz Korneliusz Sulla?

- Nikt z nas nic o nim nie wie, o Wielki, poza tym, że był w zeszłym roku najwyższym urzędnikiem miasta Rzymu i że był legatem kilku słynnych rzymskich wodzów: Gajusza Mariusza w Afryce, podczas wojny z królem Jugurtą, Kwintusa Lutacjusza Katulusa Cezara w Galii italskiej, podczas wojny z Germanami, i Tytusa Dydiusza w Hiszpanii, w walce z miejscowymi dzikusami.

Gordios wyrecytował te informacje tonem wskazującym, że te nazwiska, oprócz nazwiska Mariusza, nic mu nie mówią. Nic nie mówiły też Mitrydatesowi, który znów pożałował swego braku wykształcenia w historii i geografii. Poszerzanie horyzontów króla przypadło w udziale Archelaosowi.

- Ten Lucjusz Korneliusz Sulla to nie Gajusz Mariusz - mówił z namysłem Archelaos - ale ma ogromne doświadczenie i nie powinniśmy go lekceważyć tylko dlatego, że o nim nie słyszeliśmy. Odkąd wszedł do senatu, większość swego czasu spędził w wojsku, chociaż chyba nie dowodził żadną armią.

- To Korneliusz, ale - król wypiął pierś - czy także Scypion? Co znaczy „Sulla”?

- To nie Scypion, o Wszechpotężny, ale jednak patrycjusz Korneliusz, żaden z tych tak zwanych nowych ludzi. Mówią o nim, że jest... trudny.

- Trudny?

Archelaos przełknął ślinę. Wyczerpał już swoje informacje, a nie miał pojęcia na czym polegają trudności z Sullą. Zaryzykował zatem.

- Trudno go przekonać, o Wielki. Nie bierze pod uwagę innego punktu widzenia niż swój własny.

Rozmawiali na dworze w Synopie, ulubionym mieście króla, zwłaszcza w zimie. Od kilku lat sprawy układały się pomyślnie, żaden dworzanie ani krewni nie rozstawali się ze światem. Córka Gordiosa, Nysa, okazała się tak dobrą małżonką, że jej ojciec został nagrodzony tronem Kapadocji po interwencji Tigranesa. Królewski korpus synów rozrastał się, a posiadłości Pontu na północy i wschodzie Euksynu rozkwitały.



Wspomnienie Gajusza Mariusza przybladło i król Pontu znów zaczął poglądać na zachód i na południe. Podstęp z wykorzystaniem Tigranesa w Kapadocji powiódł się i Gordios był tam nadal królem mimo wizyty Skaurusa. Jediną korzyścią, jaką miał Rzym z tej wizyty, było wycofanie się wojsk armeńskich z Kapadocji, co i tak planował Mitrydates. Teraz wreszcie zanosilo się na podporządkowanie Bitynii. Przed rokiem przybył do Pontu Sokrates, błagając o udzielenie mu schronienia. Od tego czasu przeobraził się w kreaturę Mitrydatesa, a ten postanowił osadzić go na tronie Bitynii, co miało być wstępem do otwartej inwazji. Tę ostatnią zamierzał Mitrydates rozpocząć wiosną, szybkim marszem na zachód zaskakującym całkowicie Nikomedesa III.

Nowina przyniesiona przez Gordiosa powstrzymała go. Czy ośmieli się zagarnąć Bitynię albo choćby tylko osadzić Sokratesa na jej tronie, gdy nie jeden, lecz dwóch rzymskich namiestników przebywa w pobliżu? Cztery legiony w Cylicji! Mówi się, że z czterema dobrymi legionami Rzym mógłby podbić świat. Zgoda, to są cylicyjscy rekruci, a nie rzymscy żołnierze, ale Cylicjczycy są wojowniczy i dumni - gdyby tacy nie byli, Syria dawno odzyskałaby ten kraj mimo znacznego osłabienia. Cztery legiony oznaczały dwadzieścia tysięcy żołnierzy liniowych, podczas gdy Pont mógł wyprowadzić w pole dwieście tysięcy. Liczebnie nie było porównania. A jednak... Kimże był ten Lucjusz Korneliusz Sulla? Nikt nie słyszał także o Gajuszu Sencjuszu ani o jego legacie Kwintusie Brucjuszu Surze, a jednak ci dwaj przesunęli granicę macedońską od Illirykum na zachodzie, do Hellespontu na wschodzie, w wyniszczającej kampanii, która złamała ducha Celtów i Traków. Czy Rzymianie nie sięgną po ziemię nad Danubem? Martwiło to Mitrydatesa, który zamierzał pójść wzdłuż zachodniego brzegu Euksynu nad Danub. Myśl o zastaniu tam Rzymian nie była wcale miła.

Kim był Lucjusz Korneliusz Sulla? Jeszcze jednym rzymskim wodzem w rodzaju Sencjusza? Czemu wysłali do Cylicji tego właśnie człowieka, skoro mieli pod ręką Gajusza Mariusza i Katulusa Cezara, dwóch ludzi, którzy pobili Germanów. Jeden z nich - Mariusz - zjawił się kiedyś samotny i nie uzbrojony w Kapadocji. Z tego, co wtedy mówił, wynikało, że wróciwszy do Rzymu, będzie miał oko na sprawy Kapadocji. Czemu więc to nie on jest w Cylicji? Czemu to ten nieznany Lucjusz Korneliusz Sulla? Rzym zawsze chyba mógł znaleźć jakiegoś znakomitego wodza. Czy Sulla był jeszcze lepszy niż Mariusz? Chociaż Pont dysponował wielką armią, nie miał wielkich wodzów. Archelaos dobrze sobie radził z barbarzyńcami w górnym biegu Euksynu, a teraz chciał spróbować szczęścia z groźniejszym nieprzyjacielem. Archelaos był jednak kuzynem, w jego żyłach płynęła królewska krew, był potencjalnym rywalem. To samo można było powiedzieć o jego bracie Neoptolemosie i jego kuzynie Leoniposie. Któryż król może być pewien własnych synów? Ich matki pragną władzy, są potencjalnym zagrożeniem, i oni także, gdy budzi się w nich



pożądanie tronu.

Gdybyż on sam miał talenty wodza! Na tym jednak polu zawodziły heroiczne cnoty przekazane mu przez jego przodka Heraklesa. A może nie? Jeśli się nad tym zastanowić, Herakles nie był żadnym wodzem! Herakles walczył samotnie - z lwami i niedźwiedziami, uzurpatorami, bogami i boginiami, chtonicznymi psami i wszelkiego rodzaju potworami. Tego rodzaju nieprzyjaciół mógłby sobie życzyć i Mitrydates. W czasach Heraklesa nie było jeszcze wodzów. Wojownicy gromadzili się, spotykali z inną gromadą wojowników, schodzili z rydwanów, których chyba używali przy każdej okazji, i toczyli pojedynki. To był właśnie rodzaj wojny, do którego król czuł się powołany. Niestety, tamte czasy przeminęły na zawsze, tak samo jak rydwany. Dzisiejsze czasy były czasami wielkich armii. Wodzowie zajmowali strategiczną pozycję na polu bitwy, wskazywali, wydawali rozkazy i skubali w zadumie paznokcie, nadzorując każdy ruch w dole pod nimi. Wodzowie zdawali się instynktownie wiedzieć, w którym miejscu szyk słabnie albo jest bliski załamania, albo gdzie nieprzyjaciół zamierza zbierać siły do zmasowanego ataku. Wodzowie od urodzenia wiedzieli, co to skrzydła, manewry, oblężenia, artyleria, odwody, szyki, rozwinięcia, szeregi i rzędy. Z tym wszystkim Mitrydates nie radził sobie, nie interesował się tym i nie miał do tego zdolności.

Podczas gdy król błądził niewidzącym wzrokiem, wszyscy wpatrywali się w króla uważniej, niż krążący sokół wpatruje się w mysz ukrytą w trawie. Siedział na szczerozłotym krześle wysadzonym perłami i rubinami. Miał na sobie (była to bowiem rada wojenna) lwią skórę i kolczugę, najlżejszą z możliwych, o pozłacanych ogniwach. Cały lśnił i porażał strachem serca. Nikt nie wystąpił przeciw królowi i nikt nie wiedział, jakie ma preferencje u króla. Ten absolutny władca łączył w sobie cechy bohatera i tchórza, samochwała i pochlebcy, zbawcy i niszczyciela. W Rzymie nikt by mu nie wierzył i wszyscy by go wyśmiewali. W Synopie wierzyli mu wszyscy i nikt się nie śmiał. W końcu król przemówił:

- Kimkolwiek jest ten Lucjusz Korneliusz Sulla, Rzymianie wysłali go bez armii, aby zajął obcy kraj i dowodził nie znanym sobie wojskiem. Muszę zatem przyjąć, że Lucjusz Korneliusz Sulla jest godnym uwagi przeciwnikiem.

Jego wzrok spoczął na Gordiosie.

- Ilu żołnierzy posłałem jesienią do twego królestwa, Kapadocji?

- Pięćdziesiąt tysięcy, Wielki Królu.

- Wczesną wiosną przyprowadzę do Euzebii Mazaki następne pięćdziesiąt tysięcy. Moim wodzem będzie Neoptolemos. Ty, Archelaosie, udasz się z dalszymi pięćdziesięcioma tysiącami do Galacji i obsadzisz zachodnią granicę, na wypadek gdyby Rzymianie planowali atak na dwóch frontach. Moja królowa będzie rządzić z Amasei, ale jej synowie pozostaną pod strażą w Synopie jako gwarancja jej lojalności. Gdyby planowali jakąś zdradę, zostaną niezwłocznie



straceni.

- Moja córka nawet nie myśli o tym! - zawołał przerażony Gordios. Któraś z niższych żon królewskich mogła knuć jakąś zdradę, za którą jego wnuk mógł zapłacić życiem, zanim prawda wyszłaby na jaw.

- Nie mam powodów, by ją podejrzewać - powiedział król. - To zwykła ostrożność. Zawsze tak robię. Kiedy wyjeżdżam z kraju, dzieci moich żon przenoszone sana czas mej nieobecności do innych miast. Kobiety to dziwne stworzenia - ciągnął w zamyśleniu. - Cenią sobie życie swych dzieci bardziej niż własne.

- Strzeż się raczej takiej, która tego nie robi. - Cienki, wdzięczący się głos wydobywał się z grubej, wdzięczącej się osoby.

- Będę pamiętał, Sokratesie - uśmiechnął się Mitrydates. Zdołał polubić tego odpychającego klienta z Bitynii, być może dlatego, że u niego tak odpychający brat nie dożyłby pięćdziesiątki. Prawdę mówiąc, żaden z jego braci nie dożył dwudziestki, ale nad tym się nie zastanawiał. Bityńczycy to mięczaki. Gdyby nie Rzym i rzymska protekcja, Bitynia już w poprzednim pokoleniu wpadłaby w paszczę Pontu. Rzym, Rzym, Rzym! Zawsze wraca się do Rzymu. Czemu Rzym nie wda się w jakąś ciężką wojnę na drugim końcu Morza Środkowego, która zajęłaby mu z dziesięć lat? Zanimby zdążyli znów zwrócić oczy na wschód, zapanowałby tam Pont, a Rzym musiałby, chcąc nie chcąc, ograniczyć się do zachodu. Zachodzące słońce.

- Gordiosie, powierzam ci nadzór nad Lucjuszem Korneliuszem Sullą i jego działaniami w Cylicji. Masz mnie informować o najdrobniejszych szczegółach! Nic nie może ujść twej uwagi. Czy to jasne?

Gordios zadrzał.

- Tak, o Wszechpotężny.

- Dobrze! - Król ziewnął. - Jestem głodny. Czas coś zjeść. Kiedy jednak Gordios chciał dołączyć do idących w stronę sali jadalnej, król go powstrzymał.

- Ty nie! - powiedział ostro. - Ty wracasz do Mazaki. Natychmiast. Świat musi wiedzieć, że Kapadocja ma króla.



Niefortunnie dla Mitrydatesa wiosenna pogoda sprzyjała Sulli. Wrota Cylicji leżały niżej, a śnieg nie był tam tak głęboki jak na trzech przełęczach, przez które musiał Mitrydates przeprowadzić dodatkowe pięćdziesiąt tysięcy ludzi z obozu pod Zelą do stóp góry Argajos. Zanim król mógł podjąć próbę przekroczenia górskich barier, Gordios przysłał wiadomość do Synopy, że Sulla maszeruje już ze swą armią. Kiedy król wyruszył z Zeli, przyszła następna wiadomość, że Sulla wkroczył do Kapadocji i założył obóz o czterysta stadiów na południe od Mazaki i o czterysta stadiów na zachód od kapadockiej Komany - i że na tym chyba poprzestanie. Król odetchnął.

Mimo to poganiał swą armię po niebezpiecznym terenie, nie zważając na



stan ludzi i zwierząt. Jego dowódcy mieli w pogotowiu bicz, gotowi też byli kopniakami spychać z drogi zawadzających. Wysłano już gońców na wschód do armeńskiej Artaksaty i do królewskiego zięcia Tigranesa, z ostrzeżeniem, że Cylicja obsadzona jest przez Rzymian i że rzymski namiestnik grasuje w Kapadocji. Tigranes uznał za najlepsze zawiadomić o tym swoich partyjskich zwierzchników i poczekać na polecenia z Seleucji nad Tygrysem, zanim cokolwiek zrobi. Mitrydates nie prosił o pomoc, ale Tigranes od dawna wiedział, co jest wart, i wcale nie był pewien, czy chce stawić czoło Rzymowi, bez względu na to, co zrobi król Pontu.

Kiedy król Pontu dotarł do Halys, przekroczył ją i rozłożył obozem swe pięćdziesiąt tysięcy ludzi obok tych, którzy już okupowali Mazakę, nadszedł Gordios z najniezwyklejszą nowiną.

- Rzymianin jest zajęty budową drogi!

Król znieruchomiał.

- Drogi?

- Przez Wrota Cylicji, o Wielki.

- Przecież tam już jest droga.

- Wiem o tym!

- Po co więc budować jeszcze jedną?

- Tego nie wiem!

Pełne czerwone wargi zacisnęły się i wydeły, nadając Mitrydatesowi, gdyby o tym wiedział (albo gdyby ktoś odważył się powiedzieć mu to), podobieństwo do ryby. Trwało to chwilę, po czym król wzruszył ramionami.

- Oni lubią budować drogi - powiedział z zastanowieniem. - To chyba sposób na zabicie czasu. Mimo wszystko on tu przybył znacznie szybciej niż ja.

- Co do tej drogi, Wielki Królu... - zaczął ostrożnie Neoptolemos.

- Co z nią?

- ...może się chyba okazać, że Lucjusz Korneliusz Sulla naprawia drogę. Im lepsza droga, tym szybciej może prowadzić swe oddziały, i dlatego właśnie Rzymianie budują drogi.

- Ale on przeszedł już starą drogą, nic w niej wtedy nie zmieniając, po co ją przebudowuje, skoro już ją przebył? - Mitrydates nie mógł tego zrozumieć. Ludzi można zastąpić innymi. Bicz zmusi ich do marszu po byle jakim szlaku. Po co się trudzić ulepszaniem drogi?

- Myślę - odpowiedział cierpliwie Neoptolemos - że poznawszy stan starej drogi, Rzymianin postanowił ją naprawić, na wypadek gdyby musiał znów z niej korzystać.

To dotarło do Króla, który wytrzeszczył oczy.

- Cóż, należy mu się niespodzianka. Kiedy go już wyrzucę z Kapadocji wraz z jego cylicyjskimi najemnikami, nie będę się trudzić zrywaniem jego nowej drogi - przywalę ją raczej górami.



- Dobrze powiedziane, o Wielki - połasił się Gordios. Król odmruknął coś pogardliwie. Podeszedł do swego konia, stanął na grzbiecie klęczącego sługi i zasiadł w siodle. Nie czekając na innych, uderzył piętami po bokach konia i odjechał galopem. Gordios wdrapał się na siodło i becząc coś, pojechał za królem. Neoptolemos został na miejscu, patrząc, jak nikną w oddali.

Myślał o trudnościach, jakie ma król ze zrozumieniem cudzych pomysłów. Czy dostrzegał celowość budowy drogi? Dlaczego jej nie widzi? Ja ją widzę, a przecież obaj jesteśmy Pontyjczykami, żaden z nas nie uczył się za granicą i mamy podobną przeszłość. Właściwie on zobaczył więcej, a jednak nie dostrzega znaczenia pewnych rzeczy, które ja widzę natychmiast. Chyba to sprawa różnych sposobów myślenia. Może umysł jedynowładcy zmienia się w jakiś sposób. Mój kuzyn Mitrydates nie jest głupcem, szkoda jednak, że tak słabo rozumie Rzymian. Nie zależy mu nawet na tym, by ich poznać. Większość jego wniosków opiera się na jego dziwnych przygodach w Azji, a nie jest to doświadczenie tak cenne, jak mu się wydaje. Jak mamy go zmusić, by zobaczył to, co my?



Pobył króla w niebieskim pałacu w Euzebii Mazace był krótki. Następnego dnia po przybyciu powiódł swą armię w kierunku Sulli, całe sto tysięcy żołnierzy. Nie musiał się martwić o drogi. Chociaż zdarzały się wzgórza, na które trzeba było się wspinać, i dziwaczne wąwozy z wieżami z tufu, które trzeba było omijać, droga była dogodna do marszu. Mitrydates był zadowolony, robiąc sto sześćdziesiąt stadiów dziennie. Nie uwierzyłby chyba, nie widząc tego na własne oczy, że armia rzymska w takim samym terenie przebywa dziennie podwójną odległość bez szczególnego wysiłku.

Sulla nie ruszał się z miejsca. Jego obóz leżał w środku rozległej równiny. Wykorzystał dany mu czas, by go znakomicie ufortyfikować, mimo że brak lasów w Kapadocji oznaczał konieczność dostarczania drewna z Wrót Cylicji. Gdy Mitrydates dotarł na miejsce, ujrzał na horyzoncie doskonale kwadratową budowlę, obejmującą przestrzeń trzydziestu dwóch kwadratowych stadiów, wewnątrz masywnych wałów zwieńczonych dziesięciostopową palisadą i z trzema wykopami przed wałami. Pierwszy wykop wypełniony wodą miał dwadzieścia stóp szerokości, środkowy miał piętnaście stóp szerokości i wypełniony był zaostrzonymi palami, wewnętrzny miał dwadzieścia stóp i znowu wypełniony był wodą. Zwiadowcy donieśli, że przez rowy prowadziły cztery przejścia do czterech bram w środku każdej ze ścian czworoboku.

Wtedy to Mitrydates zobaczył po raz pierwszy rzymski obóz. Miał ochotę otworzyć usta ze zdumienia, ale patrzyło nań zbyt wiele oczu. Był pewien, że zdołałby go zdobyć - ale z ogromnymi stratami. Zatrzymał więc swą wielką armię i pojechał przyjrzeć się z bliska twierdzy Sulli.

- Panie mój, królu, herold od Rzymian - oznajmił jeden z jego dowódców,



znalazłszy go jadącego wolno wzdłuż imponujących umocnień.

- Czego chcą? - Mitrydates wpatrywał się w wał, palisadę i wysokie wieże strażnicze rozmieszczone w regularnych odstępach.

- Prokonsul Lucjusz Korneliusz Sulla prosi o rozmowę.

- Zgoda. Gdzie i kiedy?

- Na przejściu do frontowej bramy obozu, to ta droga po prawej, Wielki Królu. Tylko ty i on.

- Kiedy?

- Teraz, o Wielki.

Król pognął konia w prawo. Spieszno mu było zobaczyć tego Lucjusza Korneliusza Sullę i nie miał żadnych obaw. Nic z tego, co słyszał o Rzymianach, nie zapowiadało zdrady w rodzaju napaści z włócznią na bezbronno. Kiedy więc dojechał do szlaku, zeskoczył z konia i zatrzymał się rozdrażniony własną tępotą. Nie może pozwolić, żeby jakiś Rzymianin znów zrobił to, co Gajusz Mariusz - patrzył na niego z góry.

Wspiął się z powrotem na konia. To on będzie patrzył z góry na Lucjusza Korneliusza Sullę! Koń nie chciał jednak wejść na szlak, przewracając oczami na widok niebezpiecznych wykopów po bokach. Król przez chwilę walczył ze zwierzęciem, potem zaś uznał, że szkodzi to jego wizerunkowi. Zawrócił, zsunął się znów z konia i poszedł aż na środek, gdzie wykopy, dosłownie nabite zaostrzonymi palami, wyglądały jak otwarte paszcze pełne zębów.

Brama otwarła się i jakiś człowiek wysunął się z niej, i poszedł ku niemu. Był niski w porównaniu z okazałym wzrostem króla, ale dobrze zbudowany. Rzymianin nosił prosty stalowy pancerz, modelowany na kształt torsu, podwójną spódniczkę ze skórzanych płatów zwaną *pteryges*, szkarłatną tunikę i powiewający za nim szkarłatny płaszcz. Miał głowę, a wiatr rozwiewał złotorude włosy lśniące w słońcu. Król Mitrydates nie mógł oderwać od nich oczu, bo w życiu nie widział takich włosów, nawet u celtyckich Galatów. Ani takiej śnieżnobiałej skóry, widocznej między skrajem tuniki nad kolanami a prostymi, mocnymi butami, sięgającymi połowy muskularnych łydek, i oblekającej ramiona, szyję i twarz. Śnieżnobiała! Ani atomu barwy!

Potem zaś Lucjusz Korneliusz Sulla znalazł się dość blisko, by król zobaczył jego twarz. To nim wstrząsnęło. Apollo! Apollo pod postacią Rzymianina! Ta twarz była tak silna, tak boska, tak porażająca majestatem - nie żadna gładka, wdzięcząca się twarz greckiego posągu, ale twarz boga, utrwalona w pięknie na długo po swych narodzinach. Bóg-człowiek w kwiecie wieku, w pełni potęgi. Rzymianin. Rzymianin!

Sulla wyszedł na to spotkanie z całkowitą pewnością siebie, wysłuchał bowiem opowieści Gajusza Mariusza o spotkaniu tamtego z królem Pontu, ocenili go też między sobą. Nie spodziewał się, że sam jego wygląd może wytrącić króla z równowagi - ani też nie pojmował, dlatego tak się dzieje.



Właściwie to nie miało znaczenia. Postanowił po prostu wykorzystać tę niespodziewaną przewagę.

- Co robisz w Kapadocji, królu Mitrydatesie? - spytał.

- Kapadocja należy do mnie - odrzekł król, jednak nie tak gromkim głosem, jakiego zamierzał użyć, zanim spojrział na rzymskiego Apollina. Zabrzmiało to raczej cicho i słabo, on zaś wiedział o tym i sam siebie za to nienawidził.

- Kapadocja należy do Kapadoków.

- Kapadokowie i Pontyjczycy to ten sam naród.

- Jak to możliwe, skoro mieli własnych królów przez tyle samo stuleci, co Pontyjczycy?

- To nie byli królowie kapadoccy, ale cudzoziemcy.

- Jakim sposobem?

- To byli Seleukidzi z Syrii.

Sulla wzruszył ramionami.

- Dziwne więc, królu Mitrydatesie, że ten król kapadocki, którego mam tu za wałem obozu, nie wygląda ani trochę jak Seleukida z Syrii. Ani jak ty! Nie ma też syryjskiego rodowodu. Król Ariobarzanes ma rodowód kapadocki, a wybrał go jego własny lud na miejsce twego syna Ariaratesa Euzebesa.

Mitrydates wzdrygnął się. Gordios nie powiedział mu, że Mariusz odkrył, kto był ojcem króla Ariaratesa Euzebesa. Oświadczenie Sulli wydało mu się jasnowidzeniem, czymś nadnaturalnym. Jeszcze jednym dowodem boskości.

- Król Ariarates Euzebes nie żyje, zginął podczas najazdu Armeńczyków. - Mitrydates mówił to wciąż owym cichym, słabym głosem. - Kapadokowie mają teraz kapadockiego króla. Zwie się Gordios, a ja jestem tu, by umocnić jego panowanie.

- Gordios jest twoją kreaturą, królu Mitrydatesie, i niczego więcej nie można się spodziewać po twoim teściu, którego córka jest królową Pontu - oświadczył beznamyślnie Sulla. - Nie jest królem wybranym przez Kapadoków. Wybrałeś go ty sam z pomocą twego zięcia Tigranesa. Ariobarzanes jest prawowitym królem.

Znów ta nadludzka wiedza! Kimże jest ten Lucjusz Korneliusz Sulla, jeśli nie Apollinem?

- Ariobarzanes jest uzurpatorem!

- Nie zdaniem senatu i ludu rzymskiego. - Sulla wykorzystywał przewagę. - Jestem tu z polecenia senatu i ludu rzymskiego, by zapewnić powrót na tron króla Ariobarzanesa i wycofanie się Pontu - i Armenii - z ziem kapadockich.

- To was nic nie obchodzi! - krzyknął król, zbierając się na odwagę i tracąc przy tym cierpliwość.

- Wszystko na świecie nas obchodzi - rzekł Sulla i odczekał, zanim zadał cios.

- Wracaj do domu, królu Mitrydatesie.

- Kapadocja jest moim domem tak samo jak Pont!



- Nie, nie jest. Wracaj do domu, do Pontu.

- I zamierzasz mnie do tego zmusić ze swoją wzruszająco małą armią? - parsknął król, teraz już naprawdę zły. - Popatrz tylko, Lucjuszu Korneliuszu Sullo! Tam stoi sto tysięcy ludzi!

- Sto tysięcy barbarzyńców - powiedział z pogardą Sulla. - Połknę ich żywcem.

- Będę walczył! Ostrzegam, będę walczył!

Sulla zbierając się do odejścia, rzekł przez ramię:

- Ach, daj spokój tym pozom i wracaj do domu! - Odszedł. Przy bramie odwrócił się i powiedział głośno: - Wracaj do domu, królu Mitrydatesie. Za osiem dni wkroczę do Euzebii Mazaki, by osadzić znów na tronu króla Ariobarzanesa. Jeśli mi przeszkodzisz, zniszczę twoją armię i ciebie. Choćbyś miał dwa razy więcej ludzi, nie zdołasz mnie powstrzymać.

- Nie masz nawet rzymskich żołnierzy! - krzyknął król.

Sulla uśmiechnął się złowrogo.

- Są wystarczająco rzymscy. Uzbrojeni i wyszkoleni przez Rzymianin, będą walczyć jak Rzymianie. Tyle ci mogę obiecać. Wracaj do Pontu!

Król wtargnął do swego królewskiego namiotu w takiej furii, że nikt nie ośmielił się do niego przemówić, nawet Neoptolemos. Zatrzymał się dopiero w prywatnej komnacie w głębi i tam siadł na królewskim krześle, zarzucając purpurowy płaszcz na głowę. Nie, Sulla nie był Apollinem! Był po prostu Rzymianinem. Jakiego rodzaju ludźmi są jednak Rzymianie, skoro mogą wyglądać jak Apollo? Albo jak Gajusz Mariusz, tak ogromni i tak królewscy, że sami nigdy nie wątpią w swą władzę i autorytet? Rzymianie, których oglądał w Azji, nawet widziany z daleka namiestnik prowincji, wydawali się zwykłymi, choć wyniosłymi ludźmi. Z wyjątkiem tych dwóch, z którymi się spotkał, Gajusza Mariusza i Lucjusza Korneliusza Sulli. Którzy byli prawdziwymi Rzymianami? Zdrowy rozsądek mówił, że ci z prowincji Azji. Przeczucie mówiło, że Mariusz i Sulla. Mimo wszystko on sam był wielkim królem, potomkiem Heraklesa i perskiego króla Dariusza. Zatem ci, którzy występowali przeciw niemu, byli skazani na wielkość.

Czemu nie potrafi osobiście dowodzić armią? Dlaczego się na tym nie zna? Czemu musi pozostawiać to ludziom w rodzaju Archelaosa i Neoptolemosa? Miał kilku dobrze zapowiadających się synów - ale wychowywały ich ambitne matki. Komu można zaufać? Jak sobie poradzić z tymi wielkimi Rzymianami, którzy pobili setki tysięcy żołnierzy?

Wściekłość rozplynęła się we łzach. Król szlochał bezsilnie, dopóki rozpacz nie przeszła w rezygnację, nastrój obcy jego naturze. Musi pogodzić się z tym, że nie można pokonać wielkich Rzymian. I że jego ambicje nie mogą się urzeczywistnić - chyba że bogowie uśmiechną się do Pontu, dając wielkim Rzymianom jakieś zajęcie bliższe Rzymu niż Kapadocja. Jeśli nadejdzie dzień,



gdy wysłani przeciw Pontowi Rzymianie, okażą się zwykłymi ludźmi, Mitrydates będzie mógł wykonać ruch. Do tego czasu Kapadocja, Bitynia i Macedonia muszą czekać. Odrzucił purpurowy płaszcz i wstał.

Gordios i Neoptolemos czekali w zewnętrznej części namiotu. Kiedy król pojawił się w wejściu wiodącym do prywatnych komnat, zerwali się z krzesel.

- Ruszajcie armię - powiedział krótko król. - Wracamy do Pontu. Niech Rzymianie osadzają znów na tronie Ariobarzanesa. Jestem młody. Mam czas. Zaczekam, aż Rzymianie znajdą zajęcie gdzie indziej, i wtedy ruszę na zachód.

- A co będzie ze mną? - jęknął Gordios.

Król przygryzł palec wskazujący, wpatrując się w skupieniu w tamtego.

- Chyba czas się ciebie pozbyć, drogi teściu. - Uniósł podbródek i krzyknął: - Straż, do mnie! - A gdy wbiegli, powiedział: - Zabrać go stąd i zabić! - Machnął ręką, pozbywając się skulonego ze strachu Gordiosa. Potem zwrócił się do pobladłego Neoptolemosa: - Na co czekasz? Ruszaj armię. Już!



- Bardzo dobrze! - powiedział Sulla do Sulli Młodszego. - Zbierają się do drogi.

Stali na wieży strażniczej przy głównej bramie wychodzącej na północ, na obóz Mitrydatesa. Sulli Młodszemu było trochę czegoś żal, ale radość wzięła górę.

- Tak jest lepiej, prawda, ojczy?

- Na tym etapie, chyba tak.

- Nie pokonalibyśmy go, nieprawdaż?

- Ależ oczywiście, pokonalibyśmy - zapewnił Sulla. - Czy zabierałbym syna na kampanię, której nie mógłbym wygrać? On tylko z jednego powodu zbiera się do odwrotu - wie, że to my byśmy wygrali. Nasz Mitrydates może sobie być wieśniakiem z zapadłego kąta, ale potrafi rozpoznać wojskową doskonałość i lepszego od siebie, nawet jeśli go widzi po raz pierwszy. Mamy właściwie szczęście, że był odcięty od świata. Dla tych wschodnich potentatów jedynym wzorem jest Aleksander Wielki, który według rzymskich standardów militarnych jest beznadziejnie przestarzały.

- Jaki jest ten król Pontu? - zaciekawiał się Sulla Młodszy.

- Jaki jest? - Sulla zastanowił się chwilę przed odpowiedzią. - Trudno powiedzieć. Bardzo niepewny siebie, oczywiście, i przez to podatny na manipulację. Nie byłby imponującą postacią na Forum, ale to wina jego cudzoziemskości. Jak każdy tyran przyzwyczał się stawiać na swoim - i to już w dzieciństwie. Gdybym musiał go określić jednym, chyba bym go nazwał prostakiem. Jest on jednak królem wszystkiego, co widzi wokół siebie. Jest niebezpieczny i potrafi się uczyć. Nie ma, jak Jugurta, doświadczeń w młodości z Rzymem i Rzymianami - ani przemyślności Hannibala, jeśli już o tym mowa. Dopóki nie spotkał Gajusza Mariusza - i mnie - był chyba z siebie zadowolony.



Dziś nie jest. To jednak nie odpowiada naszemu przyjacielowi. Mam przeczucie, że zacznie szukać sposobów pokonania nas w naszej własnej grze. Jest bardzo dumny i bardzo próżny. Nie spocznie, dopóki nie zmierzy się z Rzymianami. Nie zaryzykuje jednak, póki nie będzie pewien wygranej. Dziś nie ma szans. Z jego strony wycofanie się było mądrą decyzją, Sullo Młodszy. Rozniósłbym go z jego armią na strzępy.

Sulla Młodszy powiódł po ojcu zafascynowanym wzrokiem, zdumiony jego pewnością siebie i jego przekonaniem o własnej słuszności.

- Tak wielu?

- Liczebność nic nie znaczy, mój synu - powiedział Sulla, szykując się do zejścia z wieży. - Mógłbym go sobie owinąć wokół palca na tuzin sposobów. On myśli liczbami, nie doszedł jednak jeszcze do odpowiedzi na pytanie: Jak użyć tak licznej armii jako jednej zwartej siły? Gdyby zdecydował się walczyć, a ja podrażniłbym go, wyprowadzając swoje siły naprzeciw niemu, kazałby po prostu atakować. Cała jego armia rzuciłaby się gromadą na nas. Łatwo sobie z czymś takim poradzić. Co do zdobycia przez niego mojego obozu - to niemożliwe! On jednak jest niebezpieczny. Czy wiesz, czemu tak mówię, Sullo Młodszy?

- Nie. - Sulla Młodszy był dezorientowany.

- Bo zdecydował się wracać do domu. Wróci do domu i zacznie sobie łamać głowę, aż wpadnie na to, co powinien zrobić. Pięć lat, chłopcze! Daję mu pięć lat. Myślę, że potem Rzym będzie miał wielkie kłopoty królem Mitrydatesem.

Morsimus spotkał ich u stóp wieży. Wyglądał prawie tak samo jak Sulla Młodszy - był zadowolony i jednocześnie było mu czegoś żal.

- Co robimy teraz, Lucjuszu Korneliuszu? - spytał.

- Dokładnie to, co powiedziałem Mitrydatesowi. Za osiem dni ruszamy do Mazaki i wsadzimy znów na tron Ariobarzanesa. Na jakiś czas będzie miał spokój. Mitrydates nie wróci przez parę lat do Kapadocji, bo ja jeszcze nie skończyłem.

- Jeszcze nie skończyłeś?

- Jeszcze nie skończyłem z nim. Nie wracamy do Tarsu. - Sulla uśmiechnął się niemiło.

Morsimus zaczerpnął tchu.

- Chyba nie ruszysz na Pont?

Sulla roześmiał się.

- Nie! Chcę ruszyć na Tigranesa.

- Tigranesa? Tigranesa króla Armenii?

- Właśnie.

- Ależ, dlaczego, Lucjuszu Korneliuszu?

Dwie pary oczu zawisły na twarzy Sulli w oczekiwaniu odpowiedzi. Ani syn, ani legat nie mieli pojęcia dlaczego.



- Nigdy nie widziałem Eufratu - odrzekł Sulla z zadumaną miną. Takiej odpowiedzi nie oczekiwał żaden ze słuchaczy, ale to Sulla Młodszy, dobrze znający swego ojca, zachichotał. Morsimus odszedł, drapiąc się w głowę.



Sulla miał oczywiście natchnienie. Nie zanosilo się na żadne kłopoty w Kapadocji, to było pewne. Mitrydates zostanie przez jakiś czas w Poncie. Przydałby mu się jednak jakiś środek odstraszający. Co do Sulli, nie stoczono żadnej bitwy i nie pojawiała się żadna okazja zdobycia złota albo jakiegoś skarbu. Sulla nie sądził też, że królestwo Kapadocji zdobędzie się na jakąś darowiznę. Jeśli nawet w Mazace były kiedyś bogactwa, musiały dawno zniknąć w skrzyniach Mitrydatesa.

Rozkazy Sulli były ściśle określone. Usunąć Mitrydatesa i Tigranesa z Kapadocji, osadzić na tronie Ariobarzanesa, a potem zaprzestać dalszej działalności poza granicami Cylicji. Jako zwykły pretor - choćby i z imperium prokonsularnym - nie miał innego wyjścia, niż być posłusznym. Jednakże... Tigranes nie dawał znaku życia. Nie przyłączył się do króla Pontu podczas najazdu. Oznaczało to, że nadal przebywa w swej górskiej twierdzy, Armenii, nieświadomy życzeń Rzymu i nie lękający się go, ponieważ nigdy dotąd nie widział na własne oczy Rzymianina.

Nie można było oczekiwać, by życzenia Rzymu zostały wiernie przekazane Tigranesowi, gdyby jedynym wysłannikiem miał być Mitrydates. Zatem namiestnikowi Cylicji wypadało znaleźć Tigranesa i przekazać mu osobiście polecenia Rzymu, czyż nie? I kto wie, może gdzieś po drodze do Armenii jakiś worek złota spadnie pod nogi Sulli. Worek złota, którego rozpaczliwie potrzebował. Gdyby temu workowi złota do osobistego użytku namiestnika towarzyszył drugi worek złota dla skarbu państwa, przyjęcie takiego uśmiechu losu nie byłoby uważane za niewłaściwe. Oskarżenia o zdzierstwo były wysuwane jedynie wtedy, kiedy skarb nie dawał niczego albo - jak w przypadku ojca Maniusza Akwiliusza namiestnik sprzedawał coś należącego do państwa, jak Frygia, i chował zyski do własnej sakiewki.

Po ośmiu dniach wyczekiwania Sulla wyprowadził swoje cztery legiony z warownego obozu, który pozostawił opuszczony na płaskowyżu. Mógł się jeszcze kiedyś przydać, Sulla wątpił bowiem, by Mitrydates wpadł na pomysł zniszczenia obozu, gdyby kiedyś wrócił do Kapadocji. Wszedł do Mazaki ze swym synem i z armią i stanął w pałacu w sali przyjęć, przyglądając się, jak Ariobarzanes zasiada na swym tronie w obecności rozpromienionej królowej matki i Sulli Młodszego. Było oczywiste, że Kapadokowie cieszą się z tego, bo wylegli ze swych domów na powitanie króla.

- Zrobiłbyś mądrze, królu, zaczynając niezwłocznie zaciągi i szkolenie armii - mówił Sulla, szykując się do wymarszu. - Rzym nie zawsze może być gotów do interwencji.



Król z zapalem obiecał, że to zrobi. Sulla miał co do tego wątpliwości. Po pierwsze, w Kapadocji było bardzo niewiele pieniędzy, po drugie zaś, Kapadokowie nie byli wojowniczym narodem. Rzymski rolnik stawał się wspaniałym żołnierzem, ale kapadocki pasterz nie. Udzielił w każdym razie rady, która została wysłuchana. Sulla wiedział, że więcej nie uzyska. Zwiadowcy donieśli mu, że Mitrydates przekroczył wielką czerwoną rzekę Halys i że już pokonuje pierwszą pontyjską przełęcz na drodze do Zeli. Żaden zwiadowca nie mógł mu oczywiście donieść, jaką wiadomość przesłał Mitrydates królowi Armenii. Nie miało to zresztą znaczenia. Mitrydates nie powiedziałby niczego, co stawiałoby go w niekorzystnym świetle. Prawda mogła wyjść na jaw jedynie podczas osobistego spotkania Tigranesa z Sullą.

Tak więc z Mazaki poprowadził Sulla swą małą, porządnie utrzymaną armię wprost na wschód, poprzez falujące wyżyny, kierując się do Eufratu do meliteńskiej przeprawy w Tomisie. Wiosna była już w pełni. Sulla otrzymał wiadomość, że wszystkie przełęcze oprócz tych wokół Araratu są już otwarte, gdyby jednak wybrał tę drogę, przełęcze staną się dostępne zanim tam dotrze. Skinął głową, nic nie mówiąc synowi ani Morsimusowi. Nie wiedział jeszcze zbyt dobrze, dokąd właściwie podąża, zamierzał jedynie dotrzeć do Eufratu.

Między Mazaką a Dalandą leżały góry Antytaurus, nie tak trudne do przebycia, jak to sobie Sulla wcześniej wyobrażał. Choć ich szczyty były wysokie, samo przejście leżało względnie nisko i było wolne od śniegu i osuwisk. Maszerowali przez szereg jaskrawo ubarwionych skalnych gardzieli, dnem których przedzierały się spienione rzeki, a rolnicy uprawiali tam żyzne namuły podczas krótkiego sezonu. Byli oni starożytnym ludem, najczęściej pozostawieni sami sobie z biegiem lat, nigdy nie wcielani do żadnych armii ani odrywani od swych ziem, zbyt mało znaczący, by ktoś pożył ich własności. Sulla maszerował, okazując dobrą wolę, kupując i płacąc za wszystko, czego potrzebował i zabraniając swoim żołnierzom naruszania pól uprawnych. Był to kraj wymarzony do urządzania zasadzek, ale zwiadowcy Sulli byli niezmiernie aktywni, on zaś nie miał żadnych powodów przypuszczać, że Tigranes zmobilizował armię i czeka na niego na czatach po tej stronie Eufratu.

Melitena była tylko obszarem ziemi. Nie było tu żadnych miast, okolica była jednak płaska i żyzna - była to część równiny Eufratu, dość szeroka między ograniczającymi ją górami. Mieszkańcy byli liczniejsi, ale równie prości i najwyraźniej nie nawykli do oglądania maszerujących armii. Nawet Aleksander Wielki w swych nie kończących się pochodach nie odwiedził Meliteny. Sulla przekonał się też, że i Tigranes nie był tu, idąc do Kapadocji, wolał północną drogę wzdłuż górnych dopływów Eufratu. Było mu tamtędy bliżej z Artaksaty.

I oto w końcu ukazała się potężna rzeka między urwistymi brzegami, nie tak szeroka jak Rodan w dolnym biegu, ale płynąca znacznie szybciej. Sulla patrzył



w zamyśleniu na jej pędzące mętne wody, podziwiając ich niezwykle zielononiebieski kolor. Obejmował ramieniem syna, którego kochał coraz mocniej. Cóż za doskonałe towarzystwo!

- Czy możemy się przeprowić? - spytał Morsimusa.

Ale Cylicyczyk z Tarsu nie był wcale mądrzejszy od niego i potrafił tylko kręcić z powątpiewaniem głową.

- Może w późniejszej porze roku, kiedy już spłyną wszystkie śniegi - o ile w ogóle to się zdarza, Lucjuszu Korneliuszu. Miejscowi mówią, że Eufrat ma większą głębokość niż szerokość, co by go czyniło najpotężniejszą rzeką świata.

- Czy nie ma przez nią mostów? - spytał strapiony Sulla.

- Nie tu, w górze rzeki. Żeby tu zbudować most, trzeba lepszych budowniczych, niż ich wydaje ta część świata. Wiem, że Aleksander Wielki zbudował most na Eufracie, ale to było w dolnym biegu i w późniejszej porze roku.

- Tu trzeba Rzymian.

- Tak.

Sulla westchnął i wzruszył ramionami.

- Cóż, nie mam ze sobą budowniczych i nie mam czasu. Musimy dostać się tam, dokąd idziemy, zanim śniegi zasypią przełęcz i uniemożliwią nam powrót. Chyba jednak wrócimy przez północną Syrię i góry Amanu.

- Ale dokąd teraz idziemy, ojcze, skoro już zobaczyłeś potężny Eufrat? - spytał z uśmiechem Sulla Młodszy.

- Ach, nie dość się jeszcze napatrzyłem! Pójdziemy brzegiem Eufratu na południe, aż znajdziemy bezpieczną przeprawę.

W Samosacie rzeka była jeszcze zbyt rwąca, choć miejscowi proponowali jakieś łodzie przypominające barki. Po obejrzeniu ich Sulla zrezygnował.

- Pójdziemy dalej na południe.

Następny bród był, jak mu powiedziano, w Zeugmie, na granicy Syrii.

- Co się dzieje teraz w Syrii, kiedy Grypos nie żyje, a Kyzikenos rządzi samotnie? - pytał Sulla któregoś z mówiących po grecku mieszkańców.

- Nie wiem, wielmożny Rzymianinie.

A potem, kiedy armia gotowa była do wymarszu, rzeka uspokoiła się, Sulla zmienił plany.

- Przeprowadzamy się tu na łodziach, dopóki to możliwe.

Kiedy znalazł się po drugiej stronie, odetchnął z ulgą, chociaż nie uszło jego uwagi, że żołnierze byli wylęknieni - jakby przekroczyli jakiś metaforyczny Styks i wędrowali po Tamtym Świecie. Wezwał dowódców i pouczył ich, jak mają dodawać ducha żołnierzom. Sulla Młodszy słuchał tego także.

- Nie wracamy jeszcze do domu, lepiej więc, żeby wszyscy uspokoiли się i pogodzili z tym. Nie sędzę, żeby w promieniu setek mil była jakaś armia zdolna



nas pokonać - i żeby w ogóle była tu jakaś armia. Powiedzcie im, że dowodzi nimi Lucjusz Korneliusz Sulla, o wiele lepszy wódz od Tigranesa czy od jakiegoś partyjskiego Surenasa. Powiedzcie im, że jesteśmy pierwszą rzymską armią na wschód od Eufratu, i już to samo zapewnia nam ochronę. Zbliżało się lato, więc w planach Sulli nie leżało zejście na równiny Syrii i Mezopotamii. Upały i monotonia szybciej zdemoralizowałyby żołnierzy niż marsz na spotkanie nieznanego. Z Samosaty ruszyli więc znów na wschód, kierując się do Amidy nad Tygrysem. Było to pogranicze Armenii i królestwa Partów, ale nie stacjonowały tam żadne garnizony ani żołnierze. Armia Sulli tratowała pola czerwonych maków, rozważnie gospodarując zapasami, bo chociaż uprawiano tu ziemię, nie wyglądało na to, by ludzie mieli w spichrzach nadwyżki plonów. Gdzieś tu leżały małe królestwa: Sofena, Gordiena, Osroena i Komagena. Odgródzone były ośnieżonymi szczytami, ale droga była łatwa, bo nie trzeba było iść przez góry.

W Amidzie, mieście nad brzegiem Tygrysu otoczonym czarnymi murami, spotkał się Sulla z królem Komageny i z królem Osroeny, którzy wyjechali mu naprzeciw, kiedy dotarła do nich wieść o dziwnie pokojowo nastawionej rzymskiej armii.

Ich imiona, zdaniem Sulli, były nie do wymówienia, ale obaj nosili greckie przydomki wystawiające te imiona. Sulla nazywał zatem Komageńczyka Epifanesem, a Osroeńczyka Filoromajosem.

- Dostojny Rzymianinie, jesteś w Armenii - powiedział z powagą Komageńczyk. - Potężny król Tigranes mógłby cię uznać za najeźdźcę.

- A jest on niedaleko stąd - dodał z równą powagą Osroeńczyk.

Sulla raczej ożywił się, niż zaniepokoił.

- Niedaleko? - spytał ochoczo. - Gdzie?

- On chce zbudować nową stolicę dla południowej Armenii i przebywa na miejscu budowy. Zamierza nazwać to miasto Tigranokertą.

- Gdzie to jest?

- Na wschód i nieco na północ od Amidy, o jakieś pięćset stadiów stąd.

Sulla podzielił to szybko przez osiem.

- O sześćdziesiąt mil.

- Chyba nie zamierzasz tam się udać?

- Dlaczego nie? Nikogo nie zabiłem, nie złupiłem żadnej świątyni ani nie grabiłem niczyich plonów. Przybywam w pokoju na rozmowę z królem Tigranesem. Prawdę mówiąc, chcę was prosić o uprzejmość - wyślijcie wiadomość do króla Tigranesa w Tigranokercie i donieście mu, że przybywam w pokoju.





Wiadomość dotarła do Tigranesa, który już wiedział o obecności Sulli, ale wcale nie miał ochoty stawać mu na drodze. Co robił Rzym na wschód od Eufratu? Tigranes nie wierzył oczywiście w pokojowe intencje, ale rozmiary armii Sulli nie wskazywały na prawdziwą rzymską inwazję. Podstawowym pytaniem było: Atakować czy nie? Podobnie jak Mitrydates, Tigranes bał się niezmiernie samego imienia Rzymu. Zdecydował, że nie zaatakuje, jeśli nie zostanie zaatakowany. Na razie pójdzie ze swą armią na spotkanie z tym Rzymianinem, Lucjuszem Korneliuszem Sullą.

Otrzymał oczywiście wiadomość od Mitrydatesa, przygnębiający i ponury list informujący go krótko, że Gordios nie żyje, a Kapadocja znów jest pod pantoflem tej rzymskiej marionetki, króla Ariobarzanesa. Rzymska armia nadeszła z Cylicji, a jej przywódca (nie wymieniony z imienia) zalecił mu powrót do domu. Król Pontu uznał na razie za roztropne porzucić plan najazdu na Cylicję, do czasu uzależnienia raz na zawsze Kapadocji. Co za tym idzie, wzywał on Tigranesa do zaniechania planu marszu na zachód do Syrii i spotkania się z teściem na żyznych równinach Seleucji Pedii.

Żadnemu z królów nie przyszło nawet do głowy, że po pomyślnym zakończeniu misji w Kapadocji Rzymianin Lucjusz Korneliusz Sulla może udać się gdzie indziej niż do Tarsu. Zanim Tigranes uwierzył w doniesienia swoich szpiegów, że Sulla stoi nad Eufratem i szuka przeprawy, było za późno na zawiadomienie o tym Mitrydatesa w Synopie. Wiadomość dojdzie, kiedy Sulla będzie już stał u wrót Armenii. Tigranes zawiadomił więc o nadejściu Sulli swoich partyjskich zwierzchników z Seleucji nad Tygrysem. Droga stamtąd, choć długa, była łatwa. Król Armenii spotkał się z Sullą nad Tygrysem, o kilka mil na zachód od swojej nowej stolicy. Kiedy Sulla przybył na zachodni brzeg, ujrzał na wschodnim obóz Tigranesa. W porównaniu z Eufratem Tygrys wydawał się strumieniem, był płytszy i powolniejszy, brunatny i ledwie w połowie tak szeroki. Wzrastał po niewłaściwej stronie Antytaurusu i nie odbierał nawet jednej dziesiątej dopływów Eufratu ani takiej samej ilości topniejących śniegów i nie wysychających strumieni. Prawie o tysiąc mil na południe, wokół Babilonu i Seleucji nad Tygrysem, obie rzeki płynęły zaledwie o czterdzieści mil od siebie, a między Eufratem i Tygrysem przekopano tam kanały, aby pomóc temu ostatniemu znaleźć drogę do Morza Perskiego.

- Kto przyjdzie do kogo? - pytał sam siebie Sulla z przekornym uśmiechem, gdy umieścił armię w silnie ufortyfikowanym obozie i zasiadł na zachodnim brzegu w oczekiwaniu na to, kto pierwszy nie wytrzyma i przeprawi się przez rzekę. Zrobił to Tigranes, gnany bynajmniej nie napastliwością ani strachem, ale ciekawością. Gdy dni mijały, a Sulla się nie pokazywał, król nie zniósł po prostu czekania. Pojawiła się królewska barka, złocona płaskodenna łódź



popychana drągami, nie wiosłami, osłonięta przed upałem purpurowozłotym baldachimem i złotą frędzlą, pod którym na podwyższeniu stał jeden z królewskich tronów, wspaniała konstrukcja ze złota, kości słoniowej i mnóstwa drogich kamieni.

Król zjechał na nabrzeże w czterokołowym złocistym wozie, którego blask raził oczy patrzących z zachodniego brzegu. Niewolnik stojący za królem trzymał nad królewską głową złocisty, nabijany klejnotami, parasol.

- Jak on to zamierza zrobić? - pytał Sulla syna w ukryciu za murem z tarcz.

- O co chodzi, ojczy?

- O dostojność! - Sulla uśmiechał się szeroko. - Nie wierzę, żeby chciał ubłocić sobie stopy na pomoście, ale nie widzę też, by rozwijano jakiś dywan.

Zagadka rozwiązała się sama. Dwaj krzepcy niewolnicy odsunęli na bok nosiciela parasola, weszli na wóz, utworzyli krzesiło z rąk i czekali. Król ostrożnie ulokował na ich rękach swe królewskie siedzenie, został zaniesiony na barcę i tam ostrożnie usadzony na tronie. Gdy powolna łódź przemierzała powolną rzekę, król siedział nieruchomo, zdając się nie widzieć tłumu na zachodnim brzegu. Barka uderzyła o pochyłość stoku. Po tej stronie zbocza nie było dogodnego nabrzeża, więc całą ceremonię powtórzono. Niewolnicy podnieśli króla i stanęli z boku, podczas gdy tron zaniesiono na skałę o płaskim wierzchołku, na którą wdrapał się też nosiciel parasola. Dopiero wtedy wniesiono na to miejsce króla, a było to dla niewolników nie lada zadanie.

- Ach, dobra robota! - wykrzyknął Sulla.

- Dobra robota? - Sulla Młodszy nie tracił okazji do nauki.

- Znalazł na mnie sposób, Sullo Młodszy! Teraz nie ma znaczenia, na czym ja usiądę. Mogę nawet stać - on i tak będzie patrzył na mnie z góry.

- I co z tym zrobisz?

Sulla, ukryty nawet teraz przed wzrokiem króla, strzelił palcami na osobistego niewolnika.

- Pomóż mi to zdjąć - powiedział, szarpiąc rzemyki pancerza.

Uwolniony od zbroi, zdjął też skórzany kaftan i zmienił szkarłatną tunikę na grubo tkany samodział. Potem przepasał się sznurem i nakrył głowę słomkowym kapeluszem.

- Gdy jesteś w towarzystwie słońca - powiedział z uśmiechem do Sulli Młodszego - bądź jaskiniowcem.

Kiedy więc wystąpił spośród swej straży przybocznej i poszedł w stronę Tigranesa, siedzącego niczym posąg na swym tronie, wyglądał jak ktoś miejscowy i to niskiego stanu. Król uznał go istotnie za kogoś bez znaczenia i nadal wpatrywał się, marszcząc brwi, w szeregi wojska Sulli.

- Witaj, królu Tigranesie. Jestem Lucjusz Korneliusz Sulla - powiedział po grecku Sulla, podchodząc do skały, na której stało królewskie krzesiło. Zdjął kapelusz i spojrzał w górę, otwierając szeroko jasne oczy, bo królewski parasol



znalazł się między nim a słońcem.

Król wytrzeszczył oczy, najpierw na widok jego włosów, potem na widok jego oczu. Dla kogoś, kto widywał w życiu jedynie ciemne oczy - i kto uważał za wyjątkowe żółte tęczęwki swej małżonki - oczy Sulli były czymś budzącym grozę, płatami nieba w dniu Sądu Ostatecznego.

- Czy to twoja armia, Rzymianinie? - spytał Tigranes

- Tak jest.

- Czego ona szuka w moim kraju?

- Wędrujemy, by cię ujrzyć, królu Tigranesie.

- Ujrzeście mnie. Co dalej?

- Nic poza tym! - Sulla beztrąsko uniósł brwi, wodząc swymi przerażającymi oczami. - Przybyłem, by cię ujrzyć, królu Tigranesie, i ujrzałem. Kiedy ci powiem, co mi kazano, zawrócę z armią do Tarsu.

- Cóż ci kazano mi powiedzieć, Rzymianinie?

- Senat i lud rzymski żądają, byś pozostawał wewnątrz swoich granic, królu. Armenia nie obchodzi Rzymu. Zapuszczanie się do Kapadocji, Syrii albo Cylicji obraża jednak Rzym. A Rzym jest potężny - jest panem wszystkich ziem wokół Morza Środkowego, daleko większej domeny niż Armenia. Armie rzymskie są niezwyciężone, a jest ich wiele. Pozostań zatem, królu, u siebie.

- Ja jestem u siebie! - Bezpośredniość Sulli wytrąciła króla z równowagi. - To Rzym wszedł na cudzą ziemię.

- Tylko po to, by przekazać polecenia, królu. Jestem tylko wysłannikiem. - Sulla nie dał się zbić z tropu. - Spodziewam się, że mnie usłuchasz.

- Ha! - Król uniósł dłoń. Jego krzepcy niewolnicy skrzyżowali ręce i podeszli. Król usiadł i znów został usadzony na tronie na swej królewskiej łodzi. Tyłem do Sulli. Popychana drągami łódź popłynęła przez wzbierający nurt. Tigranes siedział nieruchomo.

- Proszę, proszę! - powiedział Sulla do syna, zacierając z zadowoleniem rękę.

- Ci wschodni królowie to dziwny naród, mój chłopcze. Wszystko to szarlatani, nadęci niczym pęcherze. - Obrócił się i krzyknął: - Morsimus!

- Jestem, Lucjuszu Korneliuszu.

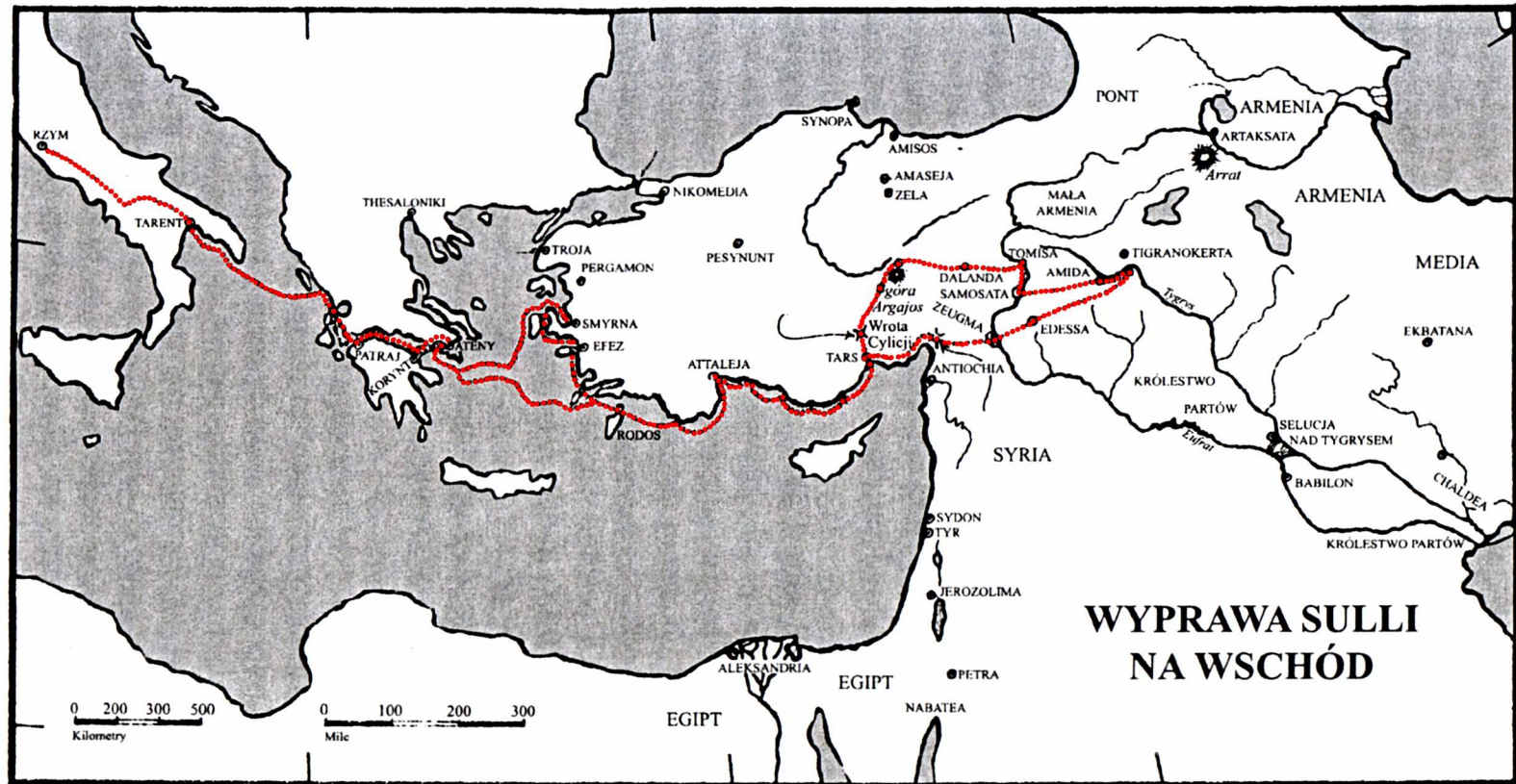
- Zbierajmy się. Wracamy do domu.

- Którędy?

- Przez Zeugmę. Nie będziemy chyba mieli z królem Syrii więcej kłopotu niż z tym zarozumiałcem za rzeką. Wszyscy oni boją się Rzymu jak ognia. To mi się podoba. Szkoda, że nie mogłem go wmanewrować w sytuację, kiedy to on musiałby patrzeć na mnie w górę.

Sulla kierował się do Zeugmy nie tylko dlatego, że była to krótsza i mniej górzysta droga do Cylicji Pedii. Zapasów mieli niewiele, a na wyżynach zboże było jeszcze zielone. Można się było spodziewać, że w górnej Mezopotamii już dojrzewa. Żołnierzom przejadły się owoce i warzywa, którymi żywili się od





## WYPRAWA SULLI NA WSCHÓD



wyjścia z Kapadocji. Tęsknili za chlebem, muszą zatem znosić upał syryjskich równin.

Kiedy zeszli ze stromych skał pod Amidą na równiny Osroeny, żniwa były w toku i zapewniały mnóstwo chleba. W Edessie Sulla odwiedził króla Filoromajosa. Osroeńczyk chętnie dawał temu dziwnemu Rzymianinowi wszystko, czego mu było trzeba. Podzielił się z nim także niepokojącą nowiną.

- Obawiam się, Lucjuszu Korneliuszu, że król Tigranes idzie za tobą ze swą armią.

- Wiem o tym - odrzekł z niezmaconym spokojem Sulla.

- Ależ, on cię zaatakuję, i mnie także!

- Rozpuść swoje wojsko, królu, a mieszkańcy niech mu schodzą drogi. To moja obecność go niepokoi. Kiedy się upewni, że wracam do Tarsu, pośpieszy do Tigranokerty.

Taka chłodna pewność siebie uspokoiła ogromnie króla Osroeny, który wyprawił Sullę w drogę z zapasem pszenicy i z czymś, czego Sulla nie spodziewał się już oglądać - z worem złotych monet z podobizną bynajmniej nie Osroeńczyka, ale Tigranesa.

Tigranes szedł tropem Sulli przez całą drogę do Eufratu pod Zeugmą, ile w odległości, która nie zmuszała do szykowania się do bitwy. Była to raczej ostrożność niż wrogie zamiary. Kiedy Sulla przeprowił swą armię przez rzekę pod Zeugmą - co było znacznie łatwiejsze niż pod Samosatą - przybyło do niego jakieś poselstwo. Wszyscy ubrani byli raczej dziwnie dla rzymskiego oka. Ich wysokie cylindryczne kapelusze naszywane były perłami i złotymi paciorkami. Obręcze ze złotego drutu owijały im szyje. Nosili wyszywane złotem płaszcze i długie, sztywne od złota szaty sięgające złotych pantofli.

Sulla nie był zdziwiony, dowiadując się, że to poselstwo króla Partów. Tylko Partowie mogli nosić na sobie aż tyle złota. To podniecające! W dodatku było to uprawomocnienie jego nieprzewidzianej wycieczki na wschód od Eufratu. Tigranes był partyjskim poddanym. Może Sulla zdoła namówić Partów, by nałożyli Tigranesowi kaganiec, sprawili, że przestanie on ulegać pochlebstwom Mitrydatesa.

Tym razem nie zamierzał patrzeć w górę na Tigranesa ani na Partów.

- Spotkam się z tymi Partami, którzy mówią po grecku, i z królem Tigranesem pojutrze, na brzegu Eufratu - mówił do Morsimusa. Posłowie jeszcze się z nim nie widzieli, chociaż on zdążył im się przyjrzeć. Wcześniej nie uszło jego uwagi, że Mitrydates i Tigranes byli zdumieni i przestraszeni jego powierzchownością. Postanowił zrobić wrażenie i na Partach.

Jako urodzony aktor Sulla przygotował sobie scenę, pamiętając o każdym szczególe. Rozległe podwyższenie zostało zbudowane z bloków białego marmuru, pożyczonych ze świątyni Zeusa w Zeugmie. Na tym podwyższeniu ustawił następne, na tyle duże, by pomieścić krzesło kurulne, i o całą stopę



wyższe od pozostałej części konstrukcji, obłożone kosztownym purpurowym marmurem, który zdobił poprzednio cokół posągu Zeusa w Zeugmie. Z całego miasta ściągnięto piękne marmurowe siedziska z poręczami i oparciami rzeźbionymi w gryfy, lwy, sfinksy i orły. Ustawiono je na głównym podwyższeniu, sześć po jednej stronie, a po drugiej pojedynczą wspaniałą sztukę z dwóch uskrzydlnych lwów dla króla Tigranesa. Na podium z purpurowego marmuru ustawił Sulla swoje kurulne krzesło z kości słoniowej na nogach cienkich jak pajęczce, nieporównywalne z tymi stojącymi poniżej. Nad całą tą konstrukcją zawieszono dach ze złotej i purpurowej tkaniny, która zasłaniała sanktuarium za posągiem Zeusa w świątyni.

Niedługo po świcie wyznaczonego dnia straż przyboczna Sulli zaprowadziła sześciu posłów partyjskich na podwyższenie. Resztę poselstwa usadzono wokół podwyższenia. Tigranes chciał oczywiście wejść na purpurowe podium, ale został grzecznie, lecz stanowczo ulokowany na swym królewskim siedzisku naprzeciw półkola krzesel. Partowie patrzyli na Tigranesa - on patrzył na Partów - a wszyscy patrzyli na purpurowe podium.

Kiedy wszyscy już zasiedli, wszedł Lucjusz Korneliusz Sulla, ubrany w swą *toga praetexta* z purpurowym szlakiem, trzymając w dłoni proste berło z kości słoniowej, oznakę swego urzędu. Długie na stopę berło spoczywało na przedramieniu, sięgając do zgięcia w łokciu. Włosy płonęły blaskiem nawet wtedy, gdy zszedł ze słońca. Wstąpił, nie zwracając głowy w lewo ani w prawo, po stopniach podwyższenia, potem na jeszcze jeden stopień do swego kurulnego krzesła, i usiadł wyprostowany, nie opierając się plecami, z jedną stopą wysuniętą, a drugą cofniętą w klasycznej pozycji prawdziwego Rzymianina.

Tamci nie byli uradowani, zwłaszcza Tigranes, ale niewiele mogli zrobić, wmanewrowani w swe obecne pozycje z taką godnością. Gdyby zaczęli nalegać na posadzenie ich na wysokości kurulnego krzesła, nie przyniosłoby im to zaszczytu.

- Wielmożni przedstawiciele króla Partów i ty, królu Tigranesie, witam was na tych rozmowach - przemówił Sulla ze swej wyższej pozycji, a jego dziwne jasne oczy napawały się widokiem usadowionych poniżej.

- To nie twoje rozmowy, Rzymianinie! - parsknął Tigranes. - To ja wezwałem swoich zwierzchników!

- Wybacz, królu, ale to ja przewodniczę rozmowom. To wy przybyliście do mnie, na moje zaproszenie - powiedział z uśmiechem Sulla.

Potem, nie dając Tigranesowi czasu na odpowiedź, obrócił się z lekka ku Partom i uraczył ich swoim najbardziej złowrogim uśmiechem, odślaniając długie kły. - Który z was, wielmożni Partowie, jest przywódcą delegacji?

Jak było do przewidzenia, sędziwy mąż siedzący na pierwszym krześle skinął z godnością głową.



- Ja, Lucjusz Korneliusz Sullo. Nazywam się Orobazos i jestem satrapą Seleucji nad Tygrysem. Odpowiadam jedynie przed Królem Królów, Mitrydatesem królem Partów, który żałuje, że czas i odległość nie pozwoliły mu przybyć tu dzisiaj.

- W swoim letnim pałacu w Ekbatanie, czyż nie? - spytał Sulla.

Orobazos zamrugał.

- Jesteś dobrze poinformowany, Lucjusz Korneliusz Sullo. Nie wiedziałem, że nasze ruchy są tak dobrze znane w Rzymie.

- „Lucjusz Korneliusz” wystarczy, wielmożny Orobazosie. - Sulla pochylił się nieco, nadal wyprostowany. Jego poza była doskonałym połączeniem siły i elegancji, jak przystało na Rzymianina, który udziela ważnego posłuchania. - Tworzymy tu dziś historię, wielmożny Orobazosie. Oto po raz pierwszy posłowie królestwa Partów spotykają się z posłem Rzymu. Miejsce nad rzeką, która stanowi granicę między naszymi dwoma światami, jest bardzo odpowiednie.

- Rzeczywiście, wielmożny Lucjusz Korneliusz - przyznał Orobazos.

- Nie „wielmożny”, ale po prostu „Lucjusz Korneliusz” - powiedział Sulla. - W Rzymie nie ma wielmożów ani królów.

- Słyszeliśmy o tym, ale nam wydaje się to dziwne. Idziecie za przykładem Greków. Jakim więc sposobem Rzym stał się tak wielki, jeśli nie rządzi nim żaden król? Greków można zrozumieć. Nigdy nie osiągnęli prawdziwej wielkości, bo nie mieli najwyższego króla - podzielili się na miriady państewek walczących ze sobą nawzajem. Tymczasem Rzym działa, jakby miał najwyższego króla. Jak można być tak potężnym, nie mając króla, Lucjusz Korneliusz?

- Rzym jest naszym królem, wielmożny Orobazosie. Grecy podporządkowali się ideałowi. Wy jesteście posłuszni jednemu człowiekowi, waszemu królowi. My, Rzymianie, jesteśmy posłuszni Rzymowi i tylko Rzymowi. Nie klękamy przed nikim z ludzi, wielmożny Orobazosie, ani nie klękamy przed żadnym ideałem. Rzym jest naszym bogiem, naszym królem i naszym prawdziwym życiem. I choć każdy Rzymianin stara się powiększyć swoją sławę, stara się zyskać szacunek w oczach rodaków, wszystko to robimy dla Rzymu i jego wielkości. Oddajemy cześć miejscu, wielmożny Orobazosie. Nie jakiemuś człowiekowi. Nie jakiemuś ideałowi. Ludzie przychodzą i odchodzą. Ich czas na ziemi szybko mija. Ideały zmieniają się i zostają podważone z każdym nowym prądem filozoficznym. Miejsce na ziemi może jednak być wieczne, jak długo ci, którzy je zamieszkują, dbają o nie, upiększają je, czynią jeszcze świetniejszym. Ja, Lucjusz Korneliusz Sullo, jestem znakomitym Rzymianinem. Kiedy jednak me życie dobiegnie końca, wszystko, czego dokonałem, przeminie dla większej potęgi i chwały mojego miejsca na ziemi - Rzymu! Jeżeli spiszemy dziś traktat, zostanie on złożony w świątyni Jowisza Feretriusa, najstarszej świątyni w



Rzymie, i tam zostanie - nie będzie moją własnością ani nie będzie nosił mojego imienia. Będzie świadectwem potęgi Rzymu.

Był dobrym mówcą i mówił piękną greką attycką, o wiele lepszą niż greka Partów czy Tigranesa. Tamci słuchali zafascynowani, najwyraźniej zmagając się ze zrozumieniem całkowicie im obcej koncepcji. Jakież miejsce ma być większe niż człowiek? Większe niż wytwór ludzkiej myśli?

- Ależ, Lucjuszu Korneliuszu - powiedział Orobazos - miejsce jest tylko zbiorem przedmiotów! Jeżeli to miasto, chodzi o zbiór budynków. Jeśli to jakiś przybytek, chodzi o zbiór świątyń. Jeżeli to jakaś okolica, chodzi o zbiór drzew, pól i kamieni. Jak może jakieś miejsce budzić takie uczucia, taką szlachetność uczuć? Patrzysz na zbiór jakichś budowli - wiem bowiem, że Rzym jest wielkim miastem - i wszystko, co robisz, robisz dla jakichś budowli?

Sulla podniósł swe berło z kości słoniowej.

- To jest Rzym, wielmożny Orobazosie - dotknął śnieżnobiałego muskularnego przedramienia - i to jest Rzym, wielmożny Orobazosie - odgarnął na bok fałdy swej togi, by ukazać rzeźbione w X nogi kurulnego krzesła - i to jest także Rzym! - Potem przerwał, by przyjrzeć się wzniesionym ku niemu oczom, i w końcu rzekł: - Ja jestem Rzymem, wielmożny Orobazosie. Jak każdy, kto nazywa siebie Rzymianinem. Rzym jest żywym obrazem tysiąca lat minionych, odkąd pewien uchodźca imieniem Eneasz postawił stopę na wybrzeżu Lacjum. Dał on początek narodowi, który przed sześciuset sześćdziesięcioma dwoma laty założył miasto zwane Rzymem. Przez jakiś czas rządili Rzymem królowie. Potem jego mieszkańcy odrzucili pomysł, że ktoś może być większy niż miejsce, które go wydało. Żaden Rzymianin nie może być większy od Rzymu. Rzym jest miejscem, które rodzi wielkich ludzi. Kimkolwiek jednak oni są, cokolwiek robią, robią to dla chwały Rzymu. To ich wkład do żywego obrazu. I powiadam ci, wielmożny Orobazosie, że Rzym przetrwa dopóty, dopóki będzie droższy Rzymianom niż oni sami, droższy niż ich dzieci, niż ich sława, niż ich dokonania - tu przerwał i zaczerpnął tchu - dopóki Rzym będzie droższy Rzymianom niż jakiś ideał albo jakiś pojedynczy człowiek.

- Ależ król jest przecież ucieleśnieniem wszystkiego, o czym mówiłeś, Lucjuszu Korneliuszu - zaprotestował Orobazos.

- To niemożliwe - oświadczył Sulla. - Król przede wszystkim troszczy się o siebie, wierzy, że jest bliższy bogom niż zwykli ludzie. Niektórzy królowie sami uważają się za bogów. Robią to wszystko we własnym interesie. Królowie wykorzystują kraje dla swoich celów, wielmożny Orobazosie. Rzym wykorzystuje Rzymian.

Orobazos uniósł dłonie w odwiecznym geście poddania.

- To, co mówisz, jest dla mnie nie do pojęcia, Lucjuszu Korneliuszu.

- Przejdźmy więc do powodów, dla których tu jesteśmy, wielmożny i



Orobazosie. Chwila jest historyczna. Przedkładam wam oto propozycję w imieniu Rzymu: to, co leży na wschód od Eufratu, jest wyłącznie sprawą króla Partów. A to, co leży na zachód od Eufratu, będzie się troszczył Rzym.

Orobazos uniósł krzaczaste siwiejące brwi.

- Masz na myśli, Lucjuszu Korneliuszu, że Rzym chce rządzić wszystkimi krajami na zachód od Eufratu? Że chce zdetronizować królów Syrii i Pontu, Kapadocji i Komageny, i wielu innych?

- Wcale nie, wielmożny Orobazosie. Rzym chce raczej zapewniać pokój krajom leżącym na zachód od Eufratu, zapobiegać wzrastaniu innych królów w potęgę kosztem innych, chronić granice narodowe. Czy wiesz, na przykład, wielmożny Orobazosie, dlaczego właściwie tutaj jestem?

- Niezbyt dobrze, Lucjuszu Korneliuszu. Otrzymaliśmy wiadomość od naszego wasala, króla Armenii Tigranesa, że podążasz z armią przeciw niemu. Król Tigranes nie umiał wyjaśnić, czemu twoja armia nie prowadzi działań zaczepnych. Byłeś daleko na wschód od Eufratu. Teraz wracasz na zachód. Co cię tu sprowadziło? Czemu wszedłeś ze swą armią do Armenii? Czemu nie prowadziłeś tam żadnych działań?

Sulla obrócił głowę, by spojrzeć na Tigranesa. Odkrył przy tym, że zębaty otok jego tiary ozdobiony ośmioramiennymi gwiazdami i półksiężycami, odsłania królewską łysinę. Tigranes, wyraźnie podrażniony swą pozycją, zadarł podbródek, patrząc z gniewem na Sullę.

- Nie powiadomiłeś, królu, swoich zwierzchników? - Nie otrzymawszy odpowiedzi, Sulla zwrócił się do Orobazosa i pozostałych: - Rzym bardzo się martwi, wielmożny Orobazosie, że niektórzy królowie ze wschodniego krańca Morza Środkowego porywają się na innych królów. Byliśmy zadowoleni ze *status quo* w Azji Mniejszej. Król Pontu Mitrydates ma jednak jakieś swoje plany co do Kapadocji i innych części Azji Mniejszej, wraz z Cylicją, która oddała się pod opiekę Rzymu, gdy Syria nie była w stanie zatroszczyć się o nią. Wasz wasal, król Tigranes, wspierał Mitrydatesa i przy okazji, całkiem niedawno, najechał Kapadocję.

- Słyszeliśmy coś o tym - powiedział sztywno Orobazos.

- Wyobrażam sobie, wielmożny Orobazosie, że mało co uchodzi uwagi króla Partów i jego satrapów! Po wykonaniu brudnej roboty dla Pontu, król Tigranes wrócił jednak do Armenii i odtąd nie pojawił się na zachód od Eufratu. - Sulla odchrząknął. - Moim przykrym obowiązkiem stało się usunięcie po raz kolejny króla Pontu z Kapadocji, wykonałem więc to polecenie senatu i ludu rzymskiego. Potem zrozumiałem jednak, że moje zadanie nie będzie zakończone, zanim nie rozmówię się z królem Tigranesem, wyruszyłem więc z Mazaki, żeby go odszukać.

- Razem z całą swoją armią, Lucjuszu Korneliuszu? - spytał Orobazos.

Ostre łuki brwi uniosły się w górę.



- Naturalnie! Nie znam tej części świata, wielmożny Orobazosie, zatem - jedynie przez ostrożność! - wziąłem ze sobą armię. I ona, i ja przestrzegaliśmy dobrych obyczajów, o czym z pewnością wiesz. Nie napadaliśmy, nie plądrowaliśmy, nie paliliśmy i nawet nie deptaliśmy pól. Kupowaliśmy, czego nam było trzeba, i nadal to robimy. Powinieneś patrzeć na moją armię jak na bardzo dużą straż przyboczną. Jestem kimś ważnym, dostojny Orobazosie. Moje prawa do władzy w Rzymie nie zostały jeszcze wykorzystane. Zajdę jeszcze wyżej. Wypada mi zatem - i Rzymowi także - troszczyć się o Lucjusza Korneliusza Sullę.

Orobazos powstrzymał Sullę gestem dłoni.

- Chwileczkę, Lucjuszu Korneliuszu. Jest tu ze mną pewien Chaldeczyk, Nabopolassar. Pochodzi nie z Babilonu, ale z właściwej Chaldei, gdzie delta Eufratu łączy się z Morzem Perskim. Służy mi on jako wróżbita i astrolog zarazem, a jego brat służy samemu królowi Partów, Mitrydatesowi. My wszyscy - ilu nas tu dziś jest z Seleucji nad Tygrysem - wierzymy w to, co on mówi. Czy pozwolisz mu obejrzeć twoją dłoń i spojrzeć ci w twarz? Chcielibyśmy dowiedzieć się, czy naprawdę jesteś tak wielki, jak powiadasz.

Sulla wzruszył ramionami z obojętną miną.

- Wszystko mi jedno, wielmożny Orobazosie. Niech twój człowiek wtyka nos w linie mojej dłoni i zagląda mi w twarz, ile ci się podoba. Czy chcesz, żeby to zrobił zaraz? Czy może mam gdzie się udać?

- Zostań na miejscu, Lucjuszu Korneliuszu. Nabopolassar przyjdzie do ciebie.

- Orobazos strzelił palcami i powiedział coś grupce Partów siedzących na ziemi.

Spośród nich wystąpił ktoś wyglądający dokładnie tak samo jak pozostali. Nosił wyszywany perłami kołpak, spiralny naszyjnik i pozłociste szaty. Z dłońmi ukrytymi w rękawach podszedł do stopni podwyższenia, wskoczył na nie zwinnie, a potem stanął na stopniu w pół drogi między podium Sulli a posadzką głównego podwyższenia. Wyciągnął rękę, chwycił wysuniętą prawą dłoń Sulli, i przez długi czas mamrotał coś, przyglądając się po kolei jej liniom. Potem puścił rękę Sulli i spojrzał mu w twarz. Z lekkim ukłonem cofnął się ze stopnia i dalej przez podwyższenie aż do Orobazosa. Tam odwrócił się od Sulli.

Sprawozdanie zajęło mu jakiś czas. Orobazos i inni słuchali uważnie z nieruchomymi twarzami. W końcu wróżbita obrócił się do Sulli, skłonił się aż do ziemi i tak pochylony wycofał się z podwyższenia, ukazując Sulli tylko wierzch kołpaka, i w tak niezwykły sposób składając mu hołd.

Serce Sulli podskoczyło już wcześniej i zaczęło wybijać szybki rytm, gdy Nabopolassar wydawał swój werdykt. Ponownie podskoczyło radośnie, gdy chaldejski wróżbita wycofywał się. Cokolwiek powiedział, najwyraźniej potwierdził słowa Sulli. Skłonił się też przed Sullą tak, jak mógłby to zrobić przed swym królem.



- Nabopolassar mówi, Lucjusz Korneliuszu, że jesteś największym człowiekiem w świecie, że za twojego życia nikt ci nie dorówna, od Indusu do Oceanu na dalekim zachodzie. Musimy mu wierzyć, bo nie wspomniał o naszym królu Mitrydatesie, włączając go przez to do niższych od ciebie, i tym sposobem ryzykując głową. - W głosie Orobazosa pojawiła się jakaś nowa nuta. Sulla spostrzegł, że nawet Tigranes spogląda na niego z lękiem.

- Czy możemy podjąć nasze układy? - spytał, nie zmieniając pozy, wyrazu twarzy ani tonu głosu.

- Proszę, Lucjusz Korneliuszu.

- A zatem, doszedłem chyba w swym opisie zdarzeń do wyjaśnienia obecności mojej armii, ale nie mówiłem, co miałem powiedzieć królowi Tigranesowi. Krótko mówiąc, powiadomiłem go, że powinien pozostawać po swojej stronie Eufratu i ostrzegłem przed wspieraniem swego teścia z Pontu w urzeczywistnianiu pontyjskich planów dotyczących Kapadocji, Cylicji czy Bitynii. Kiedy mu to powiedziałem, zarządziłem odwrót.

- Czy sądzisz, Lucjusz Korneliuszu, że plany króla Pontu wykraczają poza Anatolię?

- Sądzę, że jego plany obejmują cały świat, wielmożny Orobazosie! Jest już panem wschodniego Euksynnu, od Olbii nad Hypanisem do Kolchidy nad Fazis. Uspokoił Galację poprzez masowe morderstwo jej wodzów i kazał zamordować co najmniej jednego z królów kapadockich. Jestem pewien, że to on stał za najazdem na Kapadocję tu obecnego króla Tigranesa. Przechodząc zaś do celu naszego spotkania... - Sulla pochylił się ku przodowi, a jego dziwne jasne oczy rozbłysły. - Odległość między Pontem a królestwem Partów jest znacznie mniejsza niż odległość między Pontem a Rzymem. Sądzę zatem, że król Partów powinien pilnować swoich granic, dopóki król Pontu nie zrezygnuje z planów agresji. Powinien też uważać na swego wasalę, króla Armenii Tigranesa. - Sulla zaprezentował czarujący uśmiech, starannie ukrywając kły. - Tyle miałem do powiedzenia, wielmożny Orobazosie.

- Dobrze to powiedziałaś, Lucjusz Korneliuszu - oświadczył Orobazos. - Będziesz miał swój traktat. Wszystko, co leży na zachód od Eufratu, ma być sprawą Rzymu. Wszystko, co leży na wschód od Eufratu, ma być sprawą króla Partów.

- To chyba oznacza ustanie wypadów Armenii na zachód?

- Jak najbardziej. - Orobazos spojrzał na rozgniewanego i rozczarowanego Tigranesa.



„Nareszcie”, myślał Sulla, czekając, aż posłowie partyjscy zejdą kolejno z podwyższenia - a z nim razem czekał Tigranes, utkwivszy wzrok w białym marmurze posadzki. „Nareszcie wiem, jak musiał czuć się Gajusz Mariusz, gdy syryjska prorokini Marta przepowiedziała mu siedem konsulatów i tytuł



Trzeciego Założyciela Rzymu. Przecież Gajusz Mariusz wciąż żyje! A jednak to mnie nazwano największym w świecie, w całym świecie, od Indii do Oceanus Atlanticus!"

Nie okazał jednak nikomu ani śladu radosnego podniecenia. Jego syn, który przyglądał się z dala temu, co zaszło, wiedział tylko tyle, ile zobaczył. Był poza zasięgiem głosu, jak zresztą wszyscy z otoczenia Sulli. Sulla przedstawił im jedynie treść traktatu.

Traktat ten miał jednak zostać zapisany na wysokim kamiennym pomniku, który Orobazos wzniosł na miejscu, gdzie stało podwyższenie Sulli. Zostało ono rozebrane, a kosztowne materiały wróciły tam, skąd pochodziły. Pomnik był czworościennym obeliskiem, a warunki traktatu wypisano po łacinie, po grecku, po partyjsku i po medyjsku, na każdej ścianie w innym języku. Dwie kopie spisano na pergaminie, by Sulla zabrał jedną do Rzymu, a Orobazos drugą do Seleucji nad Tygrysem. Król Mitrydates partyjski powinien być zadowolony.

Tigranes wyniósł się niczym zбитy pies, kiedy tylko mógł opuścić swych zwierzchników. Wrócił na miejsce, gdzie wytyczano ulice jego i go miasta, Tigranokerty. Jego pierwszym logicznym posunięciem powinno być zawiadomienie Mitrydatesa, króla Pontu, ale zrobił to nie od razu, a dopiero wtedy, kiedy wiadomość od przyjaciela z dworu w Seleucji dała mu choć trochę satysfakcji.

*Uważaj na tego Rzymianina, Lucjusza Korneliusza Sulle, Mój Drogi i Potężny Teściu. Zawarł on w Zeugmie nad Eufratem traktat przyjaźni z satrapą Orobazosem z Seleucji nad Tygrysem, działającym u imieniu mego zwierzchnika Mitrydatesa, króla Partów.*

*Mam przez nich związane ręce, Ukochany Królu Pontu. Zgodnie z warunkami traktatu, muszę pozostawać na wschód od Eufratu i nie śmiem być nieposłuszny, dopóki bezlitosny stary tyran noszący twoje imię zasiada na partyjskim tronie. Mój powrót do Armenii kosztował moje królestwo siedemdziesiąt dolin. Gdybym okazał się nieposłuszny, zabiorą mi drugie tyle.*

*Nie upadajmy jednak na duchu. Jak powiadasz, jesteśmy jeszcze młodzi, mamy czas. Układ między Rzymem a królestwem Partów zmienił mój punkt widzenia. Rozszerzę granice Armenii. Ty pomyśl o Kapadocji, Paflagonii, Azji, Cylicji, Bitynii i Macedonii. Ja pomyślę o Syrii, Arabii i Egipcie, nie wspominając o królestwie Partów. Stary Mitrydates, król Partów, niebawem umrze, ja zaś przewiduję wojnę o następstwo tronu, bo uciska on synów tak samo jak mnie. Żaden nie jest pewny jego łaski, grozi im stale śmiercią, a czasem nawet zabija jednego z nich, by popatrzeć, jak inni skaczą. Żaden z synów nie ma tam przewagi nad innymi, a to niebezpieczna rzecz, gdy umiera stary król. Tyle Ci mogę przyrzec, Czcigodny i Szanowny Teściu, że z tą chwilą między synami króla Partów rozpocznie się*



wojna domowa. Skorzystam z tej okazji i uderzę na Syrię, Arabię, Egipt i Mezopotamię. Do tego czasu będę nadal budował Tigranokertę.

Muszę Ci opowiedzieć coś jeszcze o spotkaniu Orobazosa z Lucjuszem Korneliuszem Sullą. Orobazos kazał chaldejskiemu wróżbicie Nabopolassarowi zbadać dłoń i twarz Rzymianina. Wiem coś o tym Nabopolassarze, którego brat jest wróżbitą samego Króla Królów, i powiadam ci, Wielki i Mądry Teściu, że ten Chaldeczyk jest prawdziwym jasnowidzem, który się nigdy nie myli. Kiedy zbadał dłoń i twarz Lucjusza Korneliusza Sulli, pokłonił mu się do ziemi i okazał wobec niego tyle pokory, ile mógłby jej okazać Królowi Królów. Potem oznajmił Orobazosowi, że Lucjusz Korneliusz Sulla jest największym z ludzi w całym świecie! Od Indusu do rzeki Oceanu, jak powiedział. Przestraszyłem się. Tak samo przestraszył się Orobazos. I nie bez powodu. Kiedy wrócił z innymi do Seleucji nad Tygrysem, zastali tam króla Partów. Orobazos natychmiast opowiedział mu o wszystkim, także o tym, co Rzymianin mówił o Twoich działaniach, Potężny Teściu. I o jego ostrzeżeniach, że mógłbyś pomyśleć o podboju królestwa Partów. Król Mitrydates wziął sobie do serca ostrzeżenie. Patrzą mi teraz na ręce. Ale - to jedyna pocieszająca wieść - kazał on stracić Orobazosa i Nabopolassara za wywyższanie Rzymianina ponad swego króla. Uznał jednak ważność traktatu i napisał w tej sprawie do Rzymu. Starzec żałuje chyba, że nie zobaczył Lucjusza Korneliusza Sulli. Podejrzewam, że gdyby go zobaczył, oddałby go katu. Szkoda zatem, że był wtedy w Ekbatanie.

Jedynie przyszłość może nam pokazać nasze losy, Mój Najdroższy i Godny Podziwu Teściu. Być może Lucjusz Korneliusz Sulla nie przybędzie więcej na wschód, może jego wielkość przeznaczona jest zachodowi. Być może pewnego dnia to ja przyjmę tytuł Króla Królów. Wiem, że dla Ciebie nic on nie znaczy, dla kogoś jednak wychowanego na dworach w Ekbatanie, Suzie i Seleucji nad Tygrysem oznacza wszystko.

Moja droga żona, a Twoja córka ma się bardzo dobrze. Nasze dzieci również. Obym mógł to samo napisać o naszych planach, tak jednak nie jest. Na razie.

Dziesiątego dnia po rozmowach na podwyższeniu Lucjusz Korneliusz Sulla otrzymał swoją kopię traktatu i został zaproszony na odsłonięcie pomnika nad wielką szaroniebieską rzeką. Wystąpił w *toga praetexta*, starając się nie zwracać uwagi na to, że letnie słońce dokonuje spustoszenia na jego twarzy. Przy takiej okazji nie mógł nosić słomkowego kapelusza. Mógł tylko natrzeć twarz oliwą i żywić nadzieję, że obejdzie się bez oparzeń.

Oczywiście nie obeszło się bez oparzeń. Jego syn zapamiętał tę lekcję, przyrzekając, że zawsze będzie nosił swój kapelusz. Jego ojciec nacierpiał się potem niemało. Jego pokryta bąblami skóra zeszła mu, znów pokryła się bąblami i znów zeszła. Wciąż się drapał, a rany ropyły.

Kiedy jednak po czterdziestu dniach przybył ze swą małą armią do Tarsu,



skóra zaczęła się goić, a swędzenie ustąpiło. Morsimus wyszukał mu na rynku nad rzeką Pyramos jakąś słodko pachnącą maść. Po pierwszym jej użyciu wszystko zagoiło się bez śladu, co bardzo ucieszyło Sullę, który był prózny.

Tak samo jak o przepowiedni Nabopolassara, nie wspomniał nikomu, i synowi, o workach złota. Do tego od króla Osroeny doszło pięć innych - dar od Parta Orobazosa. Monety były ozdobione podobizną Mitrydatesa II, króla Partów, starca o krótkiej szyi i nosie dobrym do łapania ryb, starannie utrefionych włosach i spiczastej brodzie. Nosił kołpak jak jego posłowie, ale jego kołpak pysznił się wstęgą diademu i miał osłony na uszy i kark.

W Tarsie zamienił Sulla swe złote monety na rzymskie denary i ze zdumieniem przekonał się, że jest bogatszy o dziesięć milionów denarów, czyli czterdzieści milionów sestercji. Podwoił swoją fortunę, i to z nadwyżką! Oczywiście nie wynosił z banku w Tarsie worków rzymskich monet. Skorzystał z *permutatio*, ukrywając w zanadrzu togi zwitek pergaminu. Rok mijał. Była jesień i przyszedł czas, by pomyśleć o powrocie. Wykonał swe zadanie - i to dobrze. Skarb państwa nie mógł narzekać, bo w jego armijnej kasie było dziesięć worków złota - dwa od Tigranesa, pięć od króla Partów, jeden od króla Komageny i dwa nie od kogo innego, jak od króla Pontu. Oznaczało to, że Sulla może zapłacić swojej armii i dać hojną gratyfikację Morsimusowi, a w skrzyni zostaną mu dwie trzecie tego złota, więcej niż miał, wyruszając. Tak, to był dobry rok! Jego reputacja wzrosła i miał teraz pieniądze, by się ubiegać o konsulat.

Skrzynie miał już spakowane, a wynajęty statek stał na kotwicy na Kydnos, kiedy nadszedł pisany we wrześniu list Publiusza Rutyliusza Rufusa.

*Mam nadzieję, Lucjuszu Korneliuszu, że dostaniesz go w porę. I że miałeś lepszy rok niż ja. Ale więcej o tym za chwilę!*

*Uwielbiam pisanie do nieobecnych o tym, co się dzieje w Rzymie. Będzie mi tego brak! I kto będzie pisał do mnie? Ale o tym za chwilę!*

*W kwietniu wybraliśmy dwóch nowych cenzorów, Gnejusza Domicjusza Ahenobarba, pontifexa maximusa, i Lucjusza Licyniusza Krassusa Oratora. Jak sam widzisz, to źle dobrana para. Wybuchowość połączona ze stałością, Hades z Zeusem, milczek z gadułą, harpia z muzą- cały Rzym stara się znaleźć odpowiednie określenia na opisanie tego fatalnego zestawienia ludzi. Powinni to być oczywiście Krassus Orator i mój drogi Kwintus Mucjusz Scewola, ale Scewola nie stanął do wyborów. Mówi, że jest zbyt zajęty. Chyba raczej zbyt ostrożny! Po tym zamieszaniu, jakiego narobili poprzedni cenzorzy i po lex Licinia Mucia na domiar złego - Scewola woli chyba trzymać się z dala od tego urzędu.*

*Oczywiście sądy specjalne powołane przez lex Licinia Mucia już nie działają. Gajusz Mariusz i ja z powodzeniem rozwiązaliśmy je na początku roku, na tej podstawie, że były zbyt wielkim obciążeniem finansowym w stosunku do*



płynących z nich korzyści. Wszyscy się z tym, na szczęście, zgodzili. Ta poprawka do ustawy przeszła bez trudności zarówno w senacie, jak i w komicjach, pozostały jednak i straszliwe blizny. Dwóm najsurowszym sędziom, Gnejuszowi Scypionowi Nazyce i Katonowi Cenzorowi spalono do szczętu wille i wiejskie posiadłości. Innym zniszczono plony, wycięto winnice, zatrąło studnie. Ulubioną wiejską zabawą jest teraz polowanie na obywatela rzymskiego i bicie go niemal do śmierci. Nikt naturalnie - nawet Katulus Cezar - nie chce przyznać, że lex Licinia Mucia ma z tym wszystkim coś wspólnego.

Ten okropny młody człowiek, Kwintus Serwiliusz Cepion, miał czelność oskarżyć pryncypsa senatu Skaurusa przed trybunałem do spraw o zdzierstwo o przyjęcie ogromnej łapówki od Mitrydatesa, króla Pontu. Możesz sobie wyobrazić, co nastąpiło potem. Skaurus stawiał się przed trybunałem na dolnym Forum, ale nie po to, by odpowiadać na zarzuty! Podszedł do Cepiona i zdzielił go najpierw w lewy, a potem w prawy policzek - trzask, prask! Mógłbym przysiąc, że w takich chwilach Skaurus urasta o jakieś dwie stopy. Zdawał się patrzeć z góry na Cepiona, chociaż są sobie równi wzrostem.

- Jak śmiesz?! - warknął. - Jak śmiesz, ty żałosny, oślizgły robaku?! Wycofaj zaraz to śmieszne oskarżenie albo pożałujesz, żeś się urodził! Ty, Serwiliusz Cepion, członek rodziny słynnej z pożądlivości złota, śmiesz oskarżać mnie, Marka Emiliusza Skaurusa, pryncypsa senatu, o przyjęcie złota? Szczam na ciebie, Cepionie!

I odmaszerował przez środek Forum wśród wiwatów, oklasków i gwizdów, ignorując je wszystkie. Cepion został ze śladami dłoni Skaurusa na twarzy, starając się nie patrzeć na zgromadzenie rycerzy zwołanych po to, by wybrać z nich kolegium sędziowskie. Po takiej scenie Cepion mógłby przedstawić żelazne dowody na poparcie oskarżenia, a sędziowie i tak uniewinniliby Skaurusa.

- Wycofuję oskarżenie - powiedział Cepion i umknął do domu. Niech tak skończą wszyscy, którzy oskarżają Marka Emiliusza Skaurusa, urodzonego aktora, pozera i wzór dobrego towarzystwa. Przyznaję, że byłem zachwycony. Cepion od dawna zatrąwa życie Markowi Liwiuszowi Druzusowi. Spodziewał się, że mój siostrzeniec stanie po jego stronie, kiedy wyszedł na jaw romans mojej siostrzenicy z Katonem Salońskim, a kiedy stało się inaczej, Cepion zaczął się mścić. Wciąż upomina się o tamten pierścień!

Ale dość o Cepionie, to nie temat na list. Mamy na tablicach nowe prawo dzięki trybunowi ludowemu Gnejuszowi Papiriuszowi Karbonowi. Ta rodzina nie ma szczęścia, odkąd jej członkowie zrezygnowali patrycjatu! Dwa samobójstwa w ubiegłym pokoleniu, teraz zaś młodzi Papiriusze sami szukają kłopotów. Karbon zwołał przed kilkoma miesiącami contio w zgromadzeniu plebejskim - właściwie było to wczesną wiosną, jak ten czas leci! Krassus Orator i Ahenobarbus pontifex maximus zgłosili właśnie wtedy swoje kandydatury do cenzury. Karbon starał się przeprowadzić przez plebs nową wersję zbożowego prawa Saturnina.



Zgromadzenie wymknęło mu się jednak z rąk. Zabito kilku byłych gladiatorów, pobito kilku senatorów, a w środku tego zamieszania znalazł się Krassus Orator prowadzący swą kampanię wyborczą. Poszarpano na nim togę i był absolutnie wściekły. Zaraz potem zgłosił w senacie projekt dekretu o odpowiedzialności wyższych urzędników za zachowanie porządku na zwoływanych przez nich zebraniach. Dekret uznano za przykład dobrej roboty ustawodawczej. Przeszedł przez Zgromadzenie Ludowe i został uchwalony. Gdyby zebranie Karbona odbywało się pod rządami nowego prawa Krassusa Oratora, zostałby on oskarżony o sianie zamętu i ukarany wysoką grzywną.

Teraz przechodzę do najsmakowitszego kąska.

Nie mamy już cenzorów!

Już słyszę, jak wołasz: „Ależ, Publiusz Rutyluszu, co się stało?”

Powiem Ci. Z początku myśleliśmy, że mimo oczywistej różnicy charakterów będą mogli ze sobą współpracować. Prowadzili zamówienia publiczne, przeglądali listy senatorów i rycerzy, a potem wydali dekret nakazujący usunięcie z Rzymu wszystkich nauczycieli retoryki, z wyjątkiem kilku, którym nie można było niczego zarzucić. Cios wymierzony był głównie w nauczycieli retoryki łacińskiej, ale uczący greki wcale nie wyszli na tym lepiej. Znasz ten rodzaj ludzi, Lucjuszu Korneliuszu. Za kilka sestercji dziennie gwarantują oni zrobienie z synów ubogich, ale ambitnych członków klas trzeciej i czwartej, prawników ubiegających potem niestrudzenie na Forum o jakąś robotę i żerujących na naszym naiwnym, ale lubiącym się procesować społeczeństwie. Większość nie stara się uczyć po grecku, bo postępowanie procesowe prowadzone jest po łacinie. Każdy chyba przyzna, że ci tak zwani nauczyciele retoryki nie przynoszą chluby naszemu Forum. Obniżają poziom prawa i prawników i żerują na nie doinformowanych i nie uprzywilejowanych, żeby wyciągnąć z nich pieniądze. Wszyscy oni zostali usunięci i przeklinali Krassusa Oratora i Ahenobarba pontifexa maximusa, ale ich klątwy były daremne. Wszyscy opuścili Rzym. Pozwolono zostać tylko nauczycielom retoryki o ustalonej reputacji i odpowiedniej klienteli.

Wyglądało to dobrze. Powszechnie wyśpiewywano pochwały pod adresem cenzorów. Można było sądzić, że zrobią razem coś jeszcze lepszego. Zamiast tego zaczęli ze sobą walczyć. A te ich kłótnie! I to publiczne! Zakończone gorszącą wymianą wyzwisk, którą słyszało co najmniej pół Rzymu, ta połowa (przyznaję bez przymusu, że do niej należałem), która zwykła snuć się wokół stanowiska cenzorów, żeby słyszeć, co się da.

Może wiesz, a może nie wiesz, że Krassus Orator zajmuje się hodowlą ryb, co jest obecnie uważane za odpowiednie zajęcie dla senatora. Pozakładał w swych wiejskich posiadłościach wielkie stawy i robi majątek na sprzedaży słodkowodnych węgorzy, szczupaków, karpia i tak dalej - na przykład kolegium epulones przed każdą uroczystością państwową. Nie wiedzieliśmy, co mamy



przed sobą, kiedy Lucjusz Sergiusz Orata zaczął hodować w Bajach ostrygi! Ostrygi dzieli od węgorzy tylko mały krok, drogi Lucjuszu Korneliuszu.

Ach, bardzo mi będzie brakowało tego rozkosznie rzymskiego szaleństwa! Ale więcej o tym za chwilę. Wróćmy do Krassusa Oratora i jego hodowli ryb. W jego wiejskich posiadłościach jest to działalność czysto handlowa. Krassus Orator jednak, prawdę powiedziawszy, zakochał się w swoich rybach. Powiększył rozmiary sadzawki w swoim rzymskim perystylu i zapełnił ją jakimiś egzotycznymi i kosztownymi rybami mieszkańcami. Siada na krawędzi swej sadzawki, wkłada palec do wody, one zaś podpływają po swój kruszony chleb, krewetki i wszelkiego rodzaju przysmaki. Zwłaszcza pewien karp, wielki stwór barwy dobrze utrzymanego cynowego dzbana, z całkiem miłym pyskiem jak na rybę. Był tak oswojony, że podpływał, bucząc, do brzegu sadzawki, gdy tylko Krassus Orator wchodził do ogrodu. Naprawdę nie mam mu za złe tego, że polubił to stworzenie, naprawdę.

Tak czy inaczej, karp zdechł, a Krassus Orator miał złamane serce. Nikt go nie widział przez cały tydzień, a ci, którzy zaryzykowali odwiedzić w jego domu, mówili, że jest pogrążony w żalu. W końcu pojawił się znów publicznie z zapadniętą twarzą i dołączył do swego kolegi, pontifexa maximusa, przy ich stanowisku na Forum. Dodam, że mieli zamiar przenieść się na Pole Marsowe, żeby przeprowadzić tak bardzo potrzebny nowy spis ludności miasta.

- Ha! - powiedział Ahenobarbus pontifex maximus na widok Krassusa Oratora.  
- Nie w toga pulla? Nie nosisz żałoby, Lucjuszu Licyniuszu? Jestem zaskoczony! Słyszałem, że przy stosie pogrzebowym twojej ryby najęty aktor nosił jej woskową maskę i że kazałeś mu płynąć przez całą drogę do świątyni Wenus Libityny! Słyszę też, że kazałeś sporządzić kapliczkę na tę rybią maskę, i że każesz ją nosić na pogrzebach Licyniuszów Krassusów wśród masek członków rodziny!

Krassus Orator uniósł się majestatycznie - jak wszyscy Licyniusze ma do tego stosowną postawę! - i spojrzał z góry na swego kolegę cenzora.

- To prawda, Gnejuszu Domicjuszu - powiedział wyniośle - płakałem nad swoją martwą rybą. Dowodzi to, że jestem daleko lepszym człowiekiem od ciebie! Pochowałeś już dotąd trzy żony, i nad żadną nie uroniłeś ani jednej łzy!

I taki był, Lucjuszu Korneliuszu, koniec cenzury Lucjusza Licyniusza Krassusa Oratora i Gnejusza Domicjusza Ahenobarba pontifexa maximusa.

Szkoda, że nie będziemy mieli prawdziwego spisu ludności przez następne cztery lata. Nikt nie ma zamiaru wybierać nowych cenzorów.

A teraz przechodzę do złych wiadomości. Piszę to w przeddzień mego wyjazdu do Smyrny, gdzie się udaję na wygnanie. Tak, widzę, zrywasz się zdumiony! Publiusz Rutyliusz Rufus, najspokojniejszy z ludzi, skazany na wygnanie? Niektórzy ludzie w Rzymie nie zapomnieli dobrej roboty, jaką wykonaliśmy w prowincji Azji z Kwintusem Mucjuszem Scewola - tacy jak Sekstus Perkwicjenus,



który nie może już konfiskować bezcennych dzieł sztuki zamiast nie zapłaconych podatków. Ponieważ zaś jestem wujem Marka Liwiusza Druzusa, ściągnąłem na siebie wrogość tego okropnego osobnika, Kwintusa Serwiliusza Cepiona, a za jego pośrednictwem takiego ekskrementu jak Lucjusz Marcjusz Filip, który wciąż usiłuje zostać konsulem, i oczywiście nikt nie próbował dobrać się do Scewoli, bo jest on zbyt potężny. Postanowili, że dopadną mnie. I dopadli, w trybunale do spraw o zdzierstwa, gdzie przedstawili rażąco fałszywe dowody, że brałem - ja! - pieniądze od obywateli prowincji Azji. Oskarżycielem był niejaki Apicjusz, kreatura która chwali się, że jest klientem Filipa. Wielu proponowało mi prowadzenie mojej obrony - najpierw Scewola i Krassus Orator, i Antoniusz Orator, i nawet dziewięćdziesięciodwuletni Scewola Augur, wyobraź sobie! Ten okropnie zarozumiały chłopak, którego oni wszyscy oprowadzają ze sobą wokół Forum - Marek Tulliusz Cynceron z Arpinum - też mi proponował obronę.

Wiedziałem jednak, Lucjusz Korneliuszu, że to wszystko na próżno. Członkom kolegium sędziowskiego zapłacono fortunę (Tolosańskie Złoto?) za wyrok skazujący. Odmówiłem więc wszystkim i sam się broniłem. Pochlebiam sobie, że zgrabnie i z godnością. Z zimną krwią. Asystował mi jedynie mój ulubiony siostrzeniec, Gajusz Aureliusz, najstarszy z trzech synów Marka Kotty i brat przyrodni mojej drogiej Aurelii. Jej brat przyrodni z drugiej strony, Lucjusz Kotta, który był pretorem w roku lex Licinia Mucia, miał czelność asystować oskarżeniu! Jego stryj Marek przestał z nim odtąd rozmawiać, a jego siostra przyrodnia również.

Wynik był nieunikniony, jak mówiłem. Uznano mnie za winnego zdzierstwa, pozbawiono praw obywatelskich i skazano na wygnanie na odległość co najmniej pięciuset mil od Rzymu. Nie pozbawili mnie jednak majątku - pewnie czuli, że każdy krok w tym kierunku mógłby się dla nich skończyć samosądem. W swoim ostatnim słowie powiedziałem, że idę na wygnanie między tych, za których rzekome krzywdy mnie skazano - między obywateli prowincji Azji, a w szczególności - Smyrny.

Nigdy nie wrócę do kraju, Lucjusz Korneliuszu. Nie mówi przeze mnie upadek ducha ani urażona duma. Nie chcę więcej widzieć na oczy miasta i ludzi, którzy mogli się zgodzić na tak jawną niesprawiedliwość. Trzy czwarte Rzymu będzie ubolewać nad tą niesprawiedliwością, ale nie zmieni to faktu, że ja, jej ofiara, nie jestem już obywatelem rzymskim i muszę iść na wygnanie. Cóż, nie będę się poniżał i nie dam satysfakcji tym, którzy mnie skazali, zasypując senat petycjami o unieważnienie wyroku i przywrócenie mi obywatelstwa. Okażę się prawdziwym Rzymianinem. Położę się posłusznie jak dobry rzymski pies, którym jestem, tam, gdzie mi każe wyrok legalnego rzymskiego sądu.

Dostałem już list od etnarchy Smyrny, uradowanego, jak się zdaje, że jego nowym obywatelem będzie Publiusz Rutyliusz Rufus. Chyba organizują tam festiwal na moją cześć w dniu mojego przybycia. Dziwni z nich ludzie, jeśli tak



*reagują na przyjście kogoś, kto rzekomo systematycznie ich łupi!*

*Nie żałuj mnie zbytnio, Lucjuszu Korneliuszu. Zdaje się, że nie będzie mi źle. Smyrna uchwaliła nawet przyznanie mi bardzo hojnej renty, domu i dobrej obsługi. W Rzymie jest dość Rutyliuszów, by było komu dokuczać - mój syn, moi siostrzeńcy i moi kuzynowie z gałęzi Rutyliuszów Lupusów. Ja jednak włożę grecką chlamidę i greckie pantofle, bo nie mam już prawa nosić togi. Gdybyś wracając do kraju, znalazł chwilę czasu, Lucjuszu Korneliuszu, czy mógłbyś zawinąć do Smyrny? Przewiduję, że nikt z moich przyjaciół ze wschodniej części Morza Środkowego nie zawita tu, by mnie odwiedzić! Słaba to pociecha dla wygnańca.*

*Postanowiłem zacząć pisać. Nie będą to już podręczniki logistyki, taktyki i strategii. Zostanę biografem. Zamierzam zacząć od żywota Metellusa Numidyjskiego Świnki-Szczecinki z pikantnymi szczegółami, po których Prosiak będzie zagryzał kły ze złości. Potem przejdę do Katulusa Cezara i wspomnę o pewnych burzliwych wydarzeniach nad Atezis w dniach germańskiej nawały na Trydent. Ależ będę miał zabawę! Przybywaj zatem i odwiedź mnie, Lucjuszu Korneliuszu! Potrzebuję informacji, których tylko Ty mi możesz udzielić!*

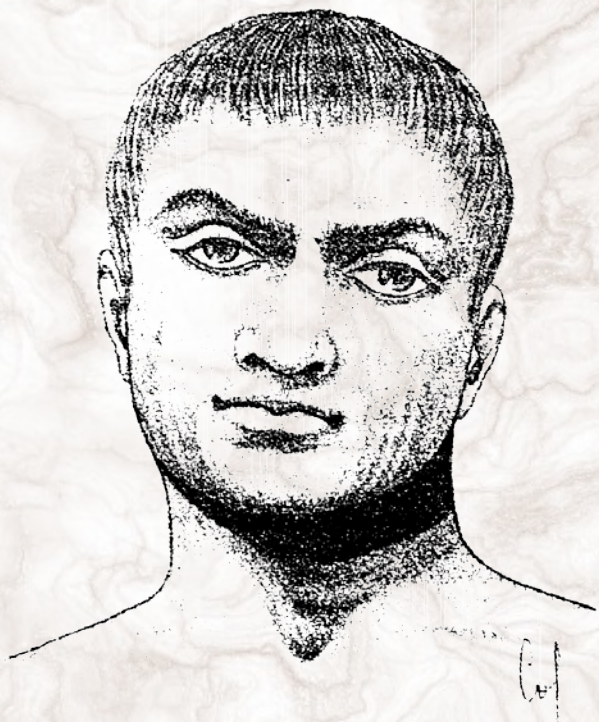
Sulla nigdy nie był szczególnie oddany Rutyliuszowi Rufusowi, kiedy jednak odłożył gruby zwój, oczy miał pełne łez. I przyrzekł sobie, że kiedyś, gdy jako największy z ludzi zostanie Pierwszym w Rzymie, wymierzy karę takim jak Cepion i Filip. I tej ropusze Sekstusowi Perkwitienusowi.

Gdy jednak przyszedł Sulla Młodszy z Morsimusem, Sulla był już spokojny i oczy miał suche.

- Jestem gotów - rzekł do Morsimusa. - Przypomnij mi tylko, żebym kazał dowódcy statku popłynąć najpierw do Smyrny. Muszę tam odwiedzić starego przyjaciela i obiecać mu, że będzie miał ode mnie wieści i z Rzymu.







MAREK LIWIUSZ DRUZUS

## IV



**P**odczas gdy Lucjusz Korneliusz Sulla przebywał na wschodzie, Gajuszowi Mariuszowi i Publiuszowi Rutyliuszowi Rufusowi udało się legalnie zawiesić działalność sądów specjalnych powołanych przez *lex Licinia Mucia*. Marek Liwiusz Druzus nabrał ducha.

- To chyba przesądza sprawę - powiedział do Mariusza i Rutyliusza Rufusa po wprowadzeniu tej regulacji prawnej. - W końcu tego roku będę się ubiegać o trybunat ludowy, a na początku przyszłego przeprowadzę w Zgromadzeniu Plebejskim nadanie pełnych praw wszystkim mieszkańcom Italii.

Miny Mariusza i Rutyliusza Rufusa wyrażały powątpiewanie, ale żaden nie zgłosił sprzeciwu. Druzus miał słuszość o tyle, że nic nie tracił, próbując szczęścia. Nie było też powodu przypuszczać, że z biegiem czasu Rzym zmięknie. Po zawieszeniu sądów specjalnych nie było już więcej poranionych grzbietów. Żadnych więcej widocznych przypomnień nieludzkiego postępowania Rzymu.

- Marku Liwiuszu, byłeś już edylem. Mógłbyś się ubiegać o preturę - powiedział Rutyliusz Rufus. - Czy na pewno chcesz zostać trybunem ludowym?



Kwintus Serwiliusz Cepion ubiega się o wybór na pretora, więc będziesz toczyć boje w senacie z nieprzyjacielem wyposażonym w imperium. To nie wszystko, bo Filip znów ubiega się o konsulat, i jeśli przejdzie - a zapewne przejdzie, bo zmęczył już wyborców, każąc im oglądać siebie rok za rokiem ubranego w *toga candida* - będziesz miał w Filipie i Cepionie konsula sprzymierzonego z pretorem. Mogą ci bardzo utrudnić życie jako trybunowi ludowemu.

- Wiem - powiedział Druzus. - Zamierzam jednak ubiegać się o wybór na trybuna ludowego. Nie rozpowiadajcie tego, proszę. Mam pomysł, jak zostać wybranym, ale konieczne jest, by ludzie myśleli, że zdecydowałem się w ostatniej chwili.



Skazanie i wygnanie Publiusza Rutyliusza Rufusa na początku września było ciężkim ciosem dla Druzusa, który bardzo liczył na poparcie wuja w senacie. Teraz mógł liczyć jedynie na Gajusza Mariusza. Nie był z nim w bliskich stosunkach, nie był też jego admiratorem. Mariusz nie mógł mu w żadnym razie zastąpić krewnego. To oznaczało, że Druzus nie miał z kim rozmawiać we własnej rodzinie. Jego brat Mamerkus był mu przyjacielem, ale przekonania polityczne zbliżały go raczej do Katulusa Cezara i do Prosiaka. Druzus nigdy nie poruszył w rozmowie z nim delikatnego tematu nadania praw Italii - i nigdy nie zamierzał tego robić. A Katon Saloński nie żył. Pełna zajęć pretura podtrzymywała go po śmierci Liwii Druzy, prowadzenie spraw o morderstwa i sprzeniewierzenia, oszustwa i nadużycia finansowe. Gdy niepokoje w Hiszpanii skłoniły senat do wysłania na początku roku specjalnego namiestnika do Galii Zaalpejskiej, Katon skorzystał z okazji, żeby mieć jakieś zajęcie. Wyjechał, przekazując opiekę nad dziećmi swej teściowej Kornelii Scypionii i swemu szwagrowi Druzusowi. W lecie nadeszła wiadomość, że spadł z konia i odniósł obrażenia głowy, które z początku nie wydawały się poważne. Potem przyszedł atak epilepsji, paraliż, śpiączka i koniec życia. Spokojny i dający zapomnienie. Ta nowina była dla Druzusa niczym zamknięcie drzwi. Wszystkim, co pozostało mu po siostrze, były jej dzieci.

Zrozumiałe było więc, że Druzus napisał po wygnaniu wuja do Kwintusa Popediusza Silona, zapraszając go do siebie do Rzymu. Sądy specjalne *lex Licinia Mucia* nie działały, a senat zdecydował, że masowe wpisy na listy obywateli w Italii podczas cenzusu Antoniusza i Flakkusa należy po prostu zignorować aż do następnego cenzusu. Nic więc nie stało na przeszkodzie przyjazdowi Silona do Rzymu, a Druzus bardzo potrzebował kogoś zaufanego, z kim mógłby rozmawiać o swoim trybunacie.

Trzy i pół roku minęło, odkąd spotkali się po raz ostatni tamtego pamiętnego dnia w Bowianum.

- Tylko Cepion został przy życiu - mówił Druzus do Silona, gdy czekali w jego pracowni na wiadomość, że obiad podano - on zaś odmawia nawet teraz



widzenia się z dziećmi, które są prawnie jego. O dwojgu Porcjuszów Katonów dość powiedzieć, że są sierotami. Na szczęście nie pamiętają wcale matki, a dziewczynka, Porcja, pamięta ojca bardzo mgliście. Na tym groźnym i wzburzonym morzu, na które zostały rzucone, moja matka jest dla nich kotwicą. Katon Saloński nie miał oczywiście żadnej fortuny oprócz posiadłości wiejskich w Tuskulum i w Lukanii. Dopilnuję, żeby chłopiec miał tyle, ile trzeba na wejście do senatu, i żeby dziewczynka otrzymała odpowiedni posag. Jak rozumiem, Lucjusz Domicjusz Ahenobarbus, który jest żonaty z ciotką dziewczynki - siostrą Katona Salońskiego - myśli całkiem poważnie o mojej małej Porcji dla swego syna Lucjusza. Spisałem testament. Upewniłem się też, że i Cepion to zrobił. Czy tego chce czy nie, Kwintusie Popediuszu, nie może ich wydziedziczyć. Nie może też się ich wyprzeć. Tyle tylko, że nie chce ich widzieć. Kundel!

- Biedactwa - powiedział Silon, który sam był ojcem. - Mały Katon nie ma nawet żadnych wspomnień o matce i ojcu.

Druzus uśmiechnął się z przymusem.

- Ach, to dziwny chłopak! Chudy jak patyk, z długą szyją i najbardziej zdumiewającym nosem, jaki widziałem w życiu u tak małego chłopca. Przypomina mi oskubanego sępa. Nie potrafię go polubić, chociaż bardzo się staram. Nie ma jeszcze dwóch lat, ale chodzi po domu na sztywnych nogach, z pochyloną głową i wysuniętym nosem. Krzycząc! Nie, nie płacząc. Po prostu wrzeszcząc. Nie potrafi powiedzieć niczego normalnym tonem. Krzyczy. I tyranizuje innych bez litości. Kiedy widzę, że się zbliża, lituję się nad nim - i zmykam!

- A co z tą która szpiegowiała, z Serwilią?

- Ach, jest bardzo spokojna, bardzo powściągliwa, bardzo posłuszna. Nie ufaj jej jednak, Kwintusie Popediuszu, cokolwiek będziesz robił. To jeszcze jedno dziecko z tego pokolenia, którego nie mogę polubić - powiedział ze smutkiem Druzus.

Silon rzucił mu uważne spojrzenie żółtawych oczu.

- Czy jest ktoś, kogo lubisz? - spytał.

- Mój syn, Druzus Neron. Kochany malec. Właściwie już nie taki malec. Ma osiem lat. Niestety, jego inteligencja nie dorównuje jego dobremu charakterowi. Starłem się wytłumaczyć żonie, że adoptować niemowlę to nieroztropność, ale to dziecko przypadło jej do serca i nie było na to rady. Bardzo też lubię Cepiona Młodsze, chociaż nie mogę dać wiary, że jest synem Cepiona. To żywy obraz Katona Salońskiego i bardzo jest podobny do małego Katona z pokoju dziecinnego. Z Lilią jest wszystko w porządku, z Porcją także, chociaż dziewczynki są dla mnie zagadką.

- Bądź dobrej myśli, Marku Liwiuszu! - Silon uśmiechał się. - Pewnego dnia wszyscy oni zmienią się w mężczyzn i kobiety, a wtedy będzie przynajmniej



wiadomo, za co się ich nie lubi. Czemu mi ich nie pokażesz? Muszę przyznać, że bardzo jestem ciekaw oskubanego sępa i dziewczyny-szpiega. To ciekawe, że niedoskonałość jest zawsze bardziej interesująca.

Resztę tego pierwszego dnia spędzono na zebraniu towarzyskim. Dopiero następnego dnia Druzus i Silon zasiedli do rozmowy nad położeniem Italii.

- Zamierzam stanąć na początku listopada do wyborów na trybuna ludowego - powiedział Druzus.

Silon zamrugał, co u Marsa było rzeczą niezwykłą.

- Po tym, jak byłeś edylem? Mógłbyś chyba zostać pretorem.

- Mógłbym się ubiegać o wybór na pretora - przyznał spokojnie Druzus.

- Więc czemu? Trybun ludowy? Chyba nie myślisz o nadaniu obywatelstwa Italii?

- Właśnie o tym myślę. Czekałem cierpliwie, Kwintusie Popediuszu - bogowie mi świadkami, byłem cierpliwy. Jeśli jest kiedy odpowiedni na to czas, to właśnie teraz, dopóki wszyscy mają świeżo w pamięci *lex Licinia Mucia*. I pokaż mi w senacie kogoś w odpowiednim wieku, kto miałby jako trybun ludowy taką *dignitas* i *auctoritas* jak ja. Zasiadałem w senacie przez dziesięć długich lat, jestem *paterfamilias* mej rodziny od prawie dwudziestu lat, moja reputacja jest bez skazy, a jedyną moją słabostką jest nadanie pełni praw obywatelskich mieszkańcom Italii. Byłem edylem plebejskim i urządziłem wielkie igrzyska. Mam olbrzymi majątek, mam tłumy klientów, jestem znany i szanowany w całym Rzymie. Kiedy więc zacznę się ubiegać o trybunat ludowy, a nie o preturę, wszyscy zrozumieją że mam po temu ważne powody. Byłem sławnym adwokatem. Jestem wybitnym mówcą. Od dziesięciu lat mój głos nie rozlegał się w kurii, a jednak muszę przemówić. Kiedy występuję w sądach, moje nazwisko ściąga wielkie tłumy. Naprawdę, Kwintusie Popediuszu, kiedy stanę do wyborów na trybuna ludowego, wszyscy w Rzymie, od najwyższych do najniższych, zrozumieją że moje powody muszą być przekonujące.

- To z pewnością wywoła sensację - powiedział Silon, nadymając policzki. - Nie uważam jednak, żebyś miał szanse powodzenia. Chyba lepiej wykorzystałbyś czas, gdybyś teraz został pretorem, a za dwa lata konsulem.

- Nie osiągnąłbym powodzenia, zasiadając na krześle konsula - odparł z przekonaniem Druzus. - Tego rodzaju ustawa musi wyjść ze Zgromadzenia Plebejskiego, musi być ogłoszona przez trybuna ludowego. Gdybym próbował przeprowadzić ją jako konsul, zostałaaby natychmiast zawetowana. Jako trybun ludowy mogę jednak kontrolować moich kolegów w taki sposób, w jaki nie może tego robić konsul. Moja władza przewyższa władzę konsula dzięki mocy mojego weta. Jeśli będzie trzeba, mogę prehandlować coś za coś. Gajusz Grakchus pochlebiał sobie, że świetnie potrafi wykorzystać trybunat ludowy. Powiadam ci jednak, Kwintusie Popediuszu, że mnie nie dorówna nikt! Mam za sobą wiek, doświadczenie, klientów i wpływy. Mam też opracowany program



ustawodawczy, idący znacznie dalej niż tylko do obywatelstwa dla całej Italii. Zamierzam przeobrazić państwo rzymskie.

- Niech wielki Wąż, nosiciel światła, ma cię w opiece, Marku Liwiuszu! To wszystko, co potrafię powiedzieć.

Z niezachwianą pewnością siebie i postawą wskazującą że wierzy całkowicie w siebie i w to, co mówi, Druzus pochylił się do przodu.

- Kwintusie Popediuszu, już czas. Nie mogę dopuścić do wojny między Rzymem a Italią, a przypuszczam zaś, że ty i twoi przyjaciele planujecie wojnę. Jeśli do niej dojdzie, przegracie. Przegra też Rzym, chociaż wierzę, że wygra. Rzym jeszcze nigdy, na żadnej wojnie nie został pokonany, przyjacielu. W bitwach, tak. Być może na początku tej wojny Italia wypadnie znacznie lepiej, niż to ktokolwiek poza mną w Rzymie podejrzewa. Rzym jednak wygra! Bo Rzym zawsze wygrywa. A jednak - będzie to gorzkie zwycięstwo! Same tylko gospodarcze następstwa wojny będą zatrważające. Znasz, równie dobrze jak ja, to stare powiedzenie: Nigdy nie wojuj na własnej ziemi - niech kto inny ponosi straty. - Ręka Druzusa wyciągnęła się ponad stołem, by ucisnąć przedramię Silona. - Pozwól mi zrobić to po swojemu, Kwintusie Popediuszu! Pokojowo, rozsądnie, w jedyny możliwy sposób.

Silon bez wahania skinął głową, a w jego oczach nie było wątpliwości.

- Mój drogi Marku Liwiuszu, masz moje pełne poparcie! Zrób to! Moim zdaniem to się nie może udać, ale mniejsza o to. Dopóki nie spróbuje tego ktoś równie dostojny jak ty, Italia nie dowie się, jak wielka jest w Rzymie opozycja wobec zamiaru powszechnego nadania obywatelstwa. Spoglądając wstecz, zgadzam się z tobą że fałszowanie cenzusu było głupotą. Chyba nikt z nas nie myślał, że to się uda - albo że może się udać. Był to raczej sposób pokazania senatowi i ludowi rzymskiemu, że bardzo nam tego brak. Zrób to więc! Jeśli Italia może ci w czymś pomóc, to pomoże. Masz na to moje uroczyste słowo.

- Wolałbym raczej, by cała Italia była moim klientem - powiedział posepnie Druzus i roześmiał się. - Gdybym po nadaniu Italczykom prawa głosu miał w nich swoich klientów, głosowaliby zgodnie z moim życzeniem i mógłbym bezkarnie narzucać Rzymowi swoją wolę.

- Oczywiście, że będziesz mógł, Marku Lucjuszu - powiedział Silon. - Cała Italia będzie twoją klientelą.

Druzus zacisnął usta, starając się opanować radosne podniecenie.

- W teorii, tak. W praktyce to niemożliwe.

- Nie, to bardzo łatwe! - wykrzyknął Silon. - Trzeba tylko, żeby wszyscy, którzy przewodzą Italii: ja, Gajusz Papiliusz Mutilus i inni zażądali od Italczyków przysięgi. Gdyby ci się powiodło z powszechnym nadaniem praw, staną się oni twoimi ludźmi, wiernymi aż do śmierci.

Zdumiony Druzus patrzył z otwartymi ustami na Silona.

- Przysięga? Czy zechcą przysięgać?



- Zechcą, jeśli ta przysięga nie obejmie twoich ani ich potomków - oświadczył z przekonaniem Silon.

- Nie potrzebuję potomków - powiedział Druzus. - Trzeba mi tylko czasu i powszechnego poparcia. Po mnie wszystko już będzie zrobione.

Cała Italia jego klientelą! Marzenie wszystkich rzymskich szlachetnie urodzonych. Mieć tylu klientów, by móc wystawiać z nich armie. Gdyby Italia była jego klientelą, nie będzie dla niego rzeczy niemożliwych!

- Przysięga zostanie złożona, Marku Liwiuszu - oświadczył zdecydowanie Silon. - Masz prawo żądać klienteli od Italii. Powszechne nadanie praw to przecież dopiero początek. - Silon zaśmiał się wysokim porywistym tonem. - Cóż to będzie za triumf! Ujrzeć, jak ktoś zostaje Pierwszym w Rzymie - nie, Pierwszym w Italii! - za wsparcie tych, którzy nie mają dziś żadnego wpływu na sprawy Rzymu. - Silon wypuścił z uścisku przedramię Druzusa. - Powiedz mi teraz, jak to zamierzasz zrobić.

Druzus nie był jednak zdolny zebrać myśli. Implikacje były zbyt daleko idące, zbyt wszechogarniające. Cała Italia jego klientelą!



Jak to zrobić? Jak? Spośród liczących się w senacie tylko Gajusz Mariusz stanie po jego stronie, a Druzus wiedział, że poparcie Mariusza nie wystarczy. Potrzebował Krassusa Oratora, Scewoły, Antoniusza Oratora i Skaurusa pryncypsa senatu. W miarę zbliżania się wyborów trybunalskich Druzus był coraz bliższy desperacji. Czekał wciąż na właściwą chwilę, a ta chwila nie nadchodziła. Jego kandydatura na trybuna ludowego pozostawała tajemnicą znaną jedynie Silonowi i Mariuszowi, a jego potężna zdobycz zdawała się mu umykać.

W takiej właśnie chwili, w końcu października, spotkał Druzus Skaurusa, pryncypsa senatu, Krassusa Oratora, Scewołę, Antoniusza Oratora i Ahenobarba pontifexa maximusa, zebranych przy niecce komicjów. Było oczywiste, że mówili o utracie Publiusza Rutyliusza Rufusa.

- Marku Liwiuszu, zapraszamy! - Skaurus zrobił mu miejsce w kręgu. - Mówimy tu właśnie o wydarciu sądów z rąk *Ordo Equester*. Skazanie Publiusza Rutyliusza było aktem absolutnie kryminalnym. Rycerze przekreślili tym swoje prawa do sprawowania jakichkolwiek sądów w Rzymie!

- Zgadzam się z tym całkowicie - powiedział Druzus, przyłączając się do nich i spoglądając na Scewołę. - To ciebie chcieli naprawdę dostać, a nie Publiusza Rutyliusza.

- Czemu więc nie rzucili się na mnie? - spytał Scewoła, wciąż jeszcze przybity.

- Masz zbyt wielu przyjaciół, Kwintusie Mucjuszu.

- A Publiusz Rutyliusz nie dość wielu. To hańba. Mówię wam, nie możemy pozwolić na stratę Publiusza Rutyliusza. Zawsze miał własne zdanie, a to



rzadkość - mówił z gniewem Skaurus.

- Nie sądzę - powiedział ostrożnie Druzus - żebyśmy zdołali całkowicie wydrzeć sądy rycerzom. Jeżeli prawo konsula Cepiona nie jest już na tablicach - a nie jest - nie wiem, jakie inne prawo mogłoby przywrócić sądy senatowi. *Ordo Equester* sprawuje sądy od ponad trzydziestu lat. Rycerze cenią sobie władzę, jaką im to daje nad senatem. I nie tylko to - oni się czują nietykalni. Prawo Gajusza Grakcha nie mówi wyraźnie, że kolegium sędziowskiemu złożonemu z rycerzy nie wolno brać łapówek. Rycerze upierają się, że *lex Sempronia* nie pozwala ścigać ich za branie łapówek podczas pełnienia obowiązków w kolegium.

Krassus Orator spojrzął z niepokojem na Druzusa.

- Marku Liwiuszu, ty jesteś zdecydowanie najlepszym kandydatem na pretora. Jeżeli ty mówisz takie rzeczy, czy senat ma w ogóle jakieś szanse?

- Nie mówię, że senat ma załamać ręce, Lucjuszu Licyniuszu - odparł Druzus.  
- Mówię tylko, że rycerze odmówią zrzeczenia się sądów. Jeżeli jednak wmanewrujemy ich w sytuację, w której nie będą mieli innego wyboru, to może podzielią się sądami z senatem. Plutokraci jeszcze nie rządzą Rzymem i dobrze o tym wiedzą. Czemu więc nie postawić sprawy na ostrzu noża? Czemu nie zgłosić nowego prawa, które podzieli pół na pół miejsca w sądach między senat a *Ordo Equester*!

Scewola zaczerpnął tchu.

- Na ostrzu noża! Rycerzom trudno będzie się od tego wymigać. To wygląda jak gałązka oliwna senatu. Co może być uczciwsze niż pół na pół? Senat nie mógłby chyba zostać oskarżony o próbę wydarcia stanowić rycerskiemu kontroli nad sądami, nieprawdaż?

- Ha, ha! - Krassus Orator uśmiechnął się szeroko. - Senat ma zwarte szeregi, Kwintusie Mucjuszu. Wiemy jednak, że w każdym kolegium znajdzie się zawsze kilku rycerzy z ambicjami zasiadania w Kurii Hostyliusza. Jeśli sąd jest w całości rycerski, nie ma to znaczenia. Jeśli jednak w kolegium tylko połowa to rycerze, tamci mogą przechylić szalę. Bardzo to sprytne, Marku Liwiuszu!

- Możemy głosić - powiedział Ahenobarbus pontifex maximus - że my senatorowie mamy tak cenną wiedzę prawniczą, iż nasza obecność w sądach może je tylko umocnić. I że, mimo wszystko, mieliśmy wyłączną kontrolę nad sądami przez prawie czterysta lat. Możemy mówić, że w naszych nowych czasach taka wyłączność nie powinna mieć miejsca. Możemy też jednak dowodzić, że senat nie powinien być wykluczony z udziału w sądach.

Jak na Ahenobarba pontifexa maximusa, był to rozsądny argument. Stał się dojrzały, odkąd zasiadał jako sędzia w Albie Fucencji za czasów *lex Licinia Mucia*, chociaż Krassus Orator zdołał obudzić w nim potem jego najgorsze instynkty. Tu jednak stali ramię w ramię w obronie swej klasy i jej przywilejów.



- Dobrze pomyślane - rozpromienił się Antoniusz Orator.  
- Zgadzasz się z tym - rzekł Skaurus. Odwrócił się do Druzusa. - Czy zamierzasz zrobić to jako pretor, Marku Liwiuszu? Czy też wolisz, żeby to wykonał kto inny?

- Zrobię to sam, pryncepsie senatu, ale nie jako pretor - odrzekł Druzus. - Chcę się ubiegać o trybunat ludowy.

Wszystkim naraz zaparło dech i krąg zogniskował się wokół Duzusa.

- W twoim wieku? - zdziwił się Skaurus.

- Mój wiek działa na moją korzyść - wyjaśniał ze spokojem Druzus. - Jestem w wieku odpowiednim dla pretora, a staram się o trybunat ludowy. Nikt mi nie zarzuci niedoświadczenia, pochopności w działaniu, żądzy uwodzenia tłumów ani niczego, co zwykle jest powodem ubiegania się o trybunat ludowy.

- Czemu więc chcesz być trybunem ludowym? - spytał przytomnie Krassus Orator.

- Chcę ogłosić kilka ustaw. - Druzus wciąż był spokojny i opanowany.

- Możesz to zrobić i jako pretor - zauważył Skaurus.

- Tak, ale nie z taką łatwością i nie z taką akceptacją jaką ma trybun ludowy. Za republiki ogłaszanie praw stało się domeną trybunów ludowych, a Zgromadzeniu Plebejskiemu podoba się rola twórcy praw. Po co naruszać status quo, pryncepsie senatu?

- Masz na myśli jakieś inne prawa? - spytał cicho Scewola.

- Istotnie, mam, Kwintusie Mucjuszu.

- Powiedz nam chociaż, co zamierzasz.

- Chcę podwoić liczbę senatorów.

Znów wszystkim zaparło dech i tym razem towarzyszył temu wzrost napięcia.

- Marku Liwiuszu, zaczynasz mówić jak Gajusz Grakchus - powiedział ostrożnie Scewola.

- Wiem, że możesz tak myśleć, Kwintusie Mucjuszu. Faktem jest, że chcę zwiększyć wpływy senatu w rządzie i że mam umysł dość otwarty, by wykorzystać idee Gajusza Grakcha, jeśli nadają się dla moich celów.

- Jakim sposobem wypełnienie kurii rycerzami może odpowiadać rzecznikowi dominacji senatu?

- To właśnie proponował Gajusz Grakchus. Ja proponuję coś innego. Po pierwsze, nie można zaprzeczyć, że senat nie jest już wystarczająco liczny. Za mało ludzi przychodzi na zebrania. Często nie ma nawet *quorum*. Gdybyśmy mieli obsadzać także kolegia sędziowskie, wielu z nas byłoby tam stale uwięzanych. Przyznasz chyba, Lucjuszu Licyniuszu, że połowa senatorów odmawiała zasiadania w kolegiach, kiedy sądy były jeszcze całkowicie nasze. Podczas gdy Gajusz Grakchus chciał wypełnić senat rycerzami, ja chcę go dopełnić naszymi ludźmi ze stanu senatorskiego - z dodatkiem kilku rycerzy,



żeby im dać satysfakcję. Wszyscy mamy stryjów, kuzynów albo młodszych braci, którzy chcieliby zasiadać w senacie i mają na to pieniądze, ale nie mogą bo senat jest już zapełniony. Takim ludziom dałbym pierwszeństwo przed rycerzami. A czy jest lepszy sposób, żeby przemienić rycerzy przeciwnych senatowi w zwolenników senatu, niż uczynić ich senatorami? Tych nowych senatorów ocenią cenzorzy, a ich wybór nie podlega dyskusji. Wiem, że nie mamy teraz cenzorów, ale możemy wybrać dwóch nowych w kwietniu tego albo następnego roku.

- Podoba mi się ten pomysł - powiedział Antoniusz Orator.

- A jakie inne prawa chcesz ogłosić? - spytał Ahenobarbus pontifex maximus, ignorując aluzję do siebie i Krassusa Oratora. Według prawa to oni powinni być cenzorami.

Teraz jednak Druzus zrobił niezdecydowaną minę i powiedział tylko:

- Jeszcze nie wiem, Gnejuszu Domicjuszu.

- Ja tam myślę, że wiesz! - parsknął pontifex maximus. Druzus uśmiechnął się niewinnie.

- Może i wiem, Gnejuszu Domicjuszu, ale nie dość, by mówić o nich w tak dostojnym gronie. Możecie być spokojni, będziecie mieli okazję wypowiedzieć się na ich temat.

- Ha! - Ahenobarbus pontifex maximus miał sceptyczną minę.

- Chciałbym wiedzieć, od jak dawna zamierzasz się ubiegać o trybunat - powiedział Skaurus. - Zastanawiałem się, czemu jako edyl plebejski nie przemawiałeś nigdy w kurii. Ty jednak czekałeś ze swoją pierwszą mową na lepszą okazję, czyż nie?

Druzus zrobił wielkie oczy.

- Jak możesz tak mówić, Marku Emiliuszu? Edyl nie ma przecież nic do powiedzenia!

- Ha! - Skaurus wzruszył ramionami. - Masz moje poparcie, Marku Liwiuszu. Podoba mi się twój styl.

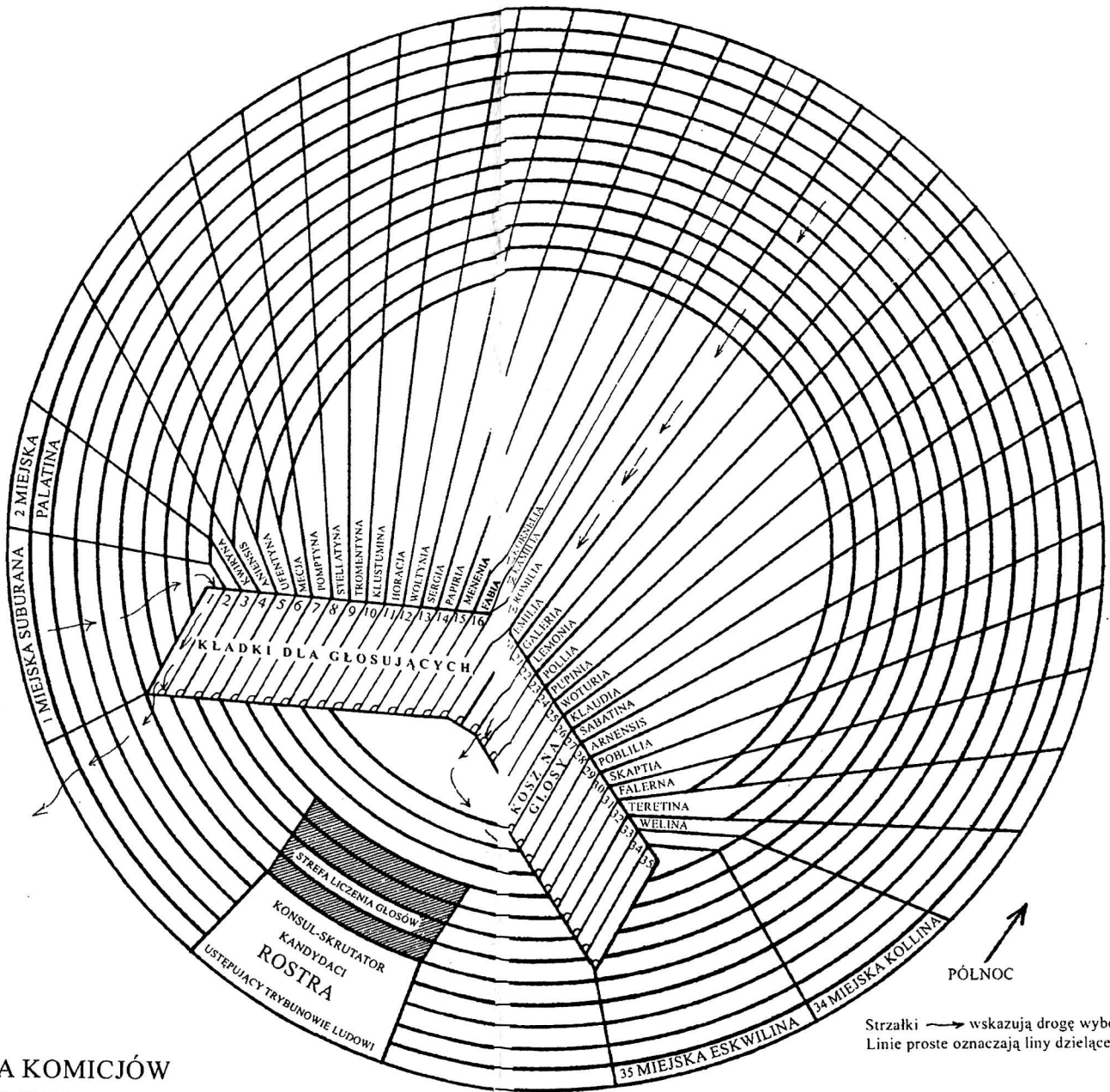
- Masz i moje poparcie - powiedział Krassus Orator. Pozostali przyrzekli również popierać Druzusza.



Druzus nie zgłosił swej kandydatury aż do dnia wyborów. Ten ryzykancki postępek okazał się znakomitym chwytem. Oszczędziło mu to odpowiedzi na kłopotliwe pytania przed wyborami i wyglądało jakby, widząc mierne kwalifikacje kandydatów, wyrzucił z rozpaczą ręce w górę i impulsywnie zgłosił własną kandydaturę. Najlepsi z pozostałych nazywali się Sestiusz, Saufejusz i Minicjusz. Żaden nie był szlachetnie urodzony i żaden nie był nikim wybitnym. Druzus zgłosił się ostatni, po tym jak zrobiło to dwudziestu dwóch pozostałych.

Wybory były spokojne, a frekwencja słaba. Zjawilo się ze dwa tysiące





# NIECKA KOMICJÓW

PODZAS GŁOSOWANIA PRZY WYBORACH  
 TRYBUNÓW LUDOWYCH  
 ...rekonstrukcja całkowicie hipotetyczna

Strzałki → wskazują drogę wyborcy  
 Linie proste oznaczają liny dzielące tribus



*col*



wyborców, niewielki procent uprawnionych do głosowania. Niecka komicjów mogła pomieścić wygodnie dwukrotnie większą liczbę, nie było więc potrzeby szukania czegoś większego, jak choćby cyrk Flaminiusza. Po zgłoszeniu się kandydatów, przewodniczący ustępującego kolegium trybunów rozpoczął głosowanie, wzywając wyborców do ustawienia się według swoich *tribus*. Konsul Marek Peperna, plebejusz, przyglądał się uważnie wszystkiemu jako skrutator. Przy słabej frekwencji niewolnicy państwowi, trzymający liny oddzielające różne *tribus*, nie musieli wysyłać liczniejszych *tribus* poza nieckę komicjów.

Przy wyborach wszystkie trzydzieści pięć *tribus* oddawało swoje głosy jednocześnie - inaczej niż przy stanowieniu praw albo wydawaniu wyroków. Kosze na tabliczki woskowe stały na tymczasowym podwyższeniu poniżej rostrów. Rostra były zajęte przez ustępujących trybunów ludowych, kandydatów i konsula skrutatora.

Prowizoryczna drewniana pochylnia wyginała się wzdłuż dolnych rzędów niecki komicjów, zakrywając je, a trzydzieści pięć wąskich przejść prowadziło z dna niecki do miejsca, gdzie o sześć stóp wyżej stały kosze. Liny oddzielające poszczególne *tribus* ciągnęły się poprzez posadzkę i w górę rzędów naprzeciw rostrów, dzieląc przestrzeń niczym okrągły placek na klinowate kawałki. Każdy z głosujących wchodził w swoje przejście na pochylni, otrzymywał tabliczkę woskową z rąk jednego z *custodes*, przystawał, by wypełnić ją pisakiem, a potem wrzucał do kosza swojej *tribus*. Spełniwszy swój wyborczy obowiązek, wychodził wzdłuż górnych rzędów niecki obok rostrów. Ci, którzy znaleźli czas i energię, by włożyć togę i przyjść na głosowanie, nie wychodzili zwykle, dopóki nie policzono głosów. Kiedy skończyli, snuli się po dolnym Forum, rozmawiając, zajadając jakieś przekąski i przyglądając się postępowi głosowania w komicjach.

W ciągu całego tego czasu odchodzący trybunowie ludowi stali z tyłu rostrów, a kandydaci z przodu, podczas gdy przewodniczący ustępującego kolegium i konsul skrutator siedzieli na ławie na samym przodzie, mając dobry widok na to, co się dzieje pod nimi w miejscu głosowania.

Niektóre *tribus* - zwłaszcza cztery miejskie - liczyły w tym dniu po kilkuset głosujących, podczas gdy inne miały ich znacznie mniej, czasem tak niewielu jak tuzin czy dwa, w przypadku odległych *tribus* wiejskich. Każda *tribus* miała jednak tylko jeden głos, głos większości swoich członków, co zapewniało tym oddalonym wiejskim nieproporcjonalnie wysoką efektywność.

Kosze mieściły zaledwie około stu tabliczek. Gdy były pełne, wynoszono je do liczenia, a na ich miejsce wstawiano puste. Konsul skrutator przez cały czas przyglądał się liczeniu, które odbywało się na dużym stole tuż pod nim. Trzydziestu pięciu *custodes* i ich pomocnicy byli na tyle zajęci, na ile wymagała tego liczebność ich *tribus*.



Kiedy zakończono liczenie, dwie godziny przed zachodem słońca, konsul skrutator odczytał wyniki czekającym na to wyborcom, stojącym teraz w wolnej od lin niecce komicjów. On też autoryzował ogłoszenie wyników na karcie pergaminu przypiętej do muru z tyłu rostrów, gdzie każdy bywalec Forum mógł ją przeczytać w ciągu następnych dni.

Marek Liwiusz Druzus został nowym przewodniczącym kolegium, zdobywając większość głosów. W istocie głosowały na niego wszystkie trzydzieści pięć *tribus*, rzecz zupełnie niebywała. Minicjusz, Sestiusz i Saufejusz zostali także wybrani, i jeszcze sześciu innych o nieznanym nazwiskach, których nikt nie miał powodu zapamiętać, bo nie zrobili niczego w ciągu roku sprawowania urzędu. Druzus był oczywiście rad, że nie miał groźnych przeciwników.

Kolegium trybunów ludowych miało swą siedzibę w Basilica Porcia, w części najbliższej kurii senatu. Była to otwarta przestrzeń z kilkoma stołami i składanymi stołkami, zacieśniona wielkimi filarami. Basilica Porcia była najstarszą z bazylik i o najbardziej archaicznej konstrukcji. Tutaj w dniach, gdy komicjum nie mogło się zbierać lub kiedy nie zwoływano żadnych zebrań, zasiadali trybunowie ludowi, wysłuchując przychodzących do nich z problemami, skargami i sugestiami.

Druzus czekał niecierpliwie na to nowe doświadczenie i na okazję wygłoszenia swej pierwszej mowy w senacie. Opozycja ze strony wyższych urzędników była pewna, odkąd Filip był młodszym konsulem przy Sekstusie Juliuszu Cezarze - pierwszym od czterystu lat Juliuszu zasiadającym na krześle konsula. Cepion został pretorem, ale jednym z ośmiu, a nie sześciu jak zwykle. W niektórych latach senat czuł, że sześciu pretorów nie wystarczy i zalecał wybór ośmiu. Ten rok był właśnie taki.

Druzus miał zamiar wyprzedzić swych kolegów w działalności ustawodawczej, kiedy jednak nowe kolegium rozpoczęło dziesiątego grudnia urzędowanie, ten gbur Minicjusz zaraz po zakończeniu ceremonii wyrwał się przed innymi i przeraźliwym głosem oznajmił, że zwołuje swoje pierwsze *contio* dla omówienia nowego, niezbędnego prawa. Dawniej dzieciom z małżeństw zawartych przez obywatela rzymskiego przyznawano status ich ojca, chociaż matka nie była obywatelką.

- Zbyt pochopnie! - krzyczał Minicjusz. - Zbyt wielu Rzymian mieszańców!

Aby zamknąć ten niepożądany wyłom w obywatelskiej cytadeli, Minicjusz zgłosił nowe prawo odmawiające obywatelstwa rzymskiego wszystkim dzieciom z małżeństw mieszanych, nawet gdy ojciec był Rzymianinem.

To *lex Minicia de liberis* było przykrą niespodzianką dla Druzusa, zostało bowiem powitane w Komicjum okrzykami aprobaty. Wynikało z tego, że większość trybusowych wyborców nadal nie chce nadać obywatelstwa rzymskiego wszystkim uważanym za gorszych, innymi słowy - reszcie świata.



Cepion poparł oczywiście ustawę, ale mimo to wolałby, żeby nigdy nie została zgłoszona. Zaprzyjaźnił się ostatnio z nowym senatorem, klientem Ahenobarba pontifexa maximusa, którego tamten (kiedy był cenzorem) wprowadził do spisu senatorów. Bardzo bogaty - głównie kosztem swych hiszpańskich rodaków - nowy przyjaciel Cepiona nosił imponujące nazwisko: Kwintus Wariusz Sewer Hybryda Sukroneński. Zrozumiałe było jednak, że wolał być znany jako po prostu Kwintus Wariusz. Przydomek Sewera otrzymał raczej dla swego okrucieństwa niż powagi, którą nie mógł się pochwalić, słowo „Hybryda” dowodziło, że jedno z jego rodziców nie miało obywatelstwa, a „Sukroneński” wskazywało, że urodził się i wychował w mieście Sukro w Hiszpanii Bliższej. Prędzej można było nazwać Rzymianinem każdego Italczyka, Kwintus Wariusz był jednak zdecydowany zostać jednym z największych Rzymian, i to wszelkimi środkami.

Kiedy został przedstawiony Cepionowi, uczeplił się go niczym skorupiak dna barki, prawdziwy adept sztuki pochlebstwa, niestrudzony w nadskakiwaniach i drobnych usługach. Powiodło mu się tym sposobem lepiej niż jakimś innym, bo nieświadomie wynosił Cepiona do poziomu, na którym Cepion stawiał kiedyś Druzusa. Nie wszyscy przyjaciele Cepiona powitali serdecznie Kwintusa Wariusza. Lucjusz Marcjusz Filip zrobił to, bo Wariusz był zawsze gotów do udzielenia pomocy finansowej ubogiemu kandydatowi na konsula i szybko odstępował od dochodzenia zwrotu długu. Kwintus Cecyliusz Metellus Prosiak od pierwszej chwili brzydził się Wariuszem.

- Jak możesz znieść tę nikczemną kreaturę, Kwintusie Serwiliuszu? - Zadając to pytanie, Prosiak nie zająknął się ani razu. - Gdyby Wariusz był w Rzymie, kiedy umierał mój ojciec, uwierzyłbym Apollodorowi i od razu bym wiedział, kto otruł wielkiego Metellusa Numidyjskiego!

Ahenobarba pontifexa maximusa Prosiak zagadnął:

- Jak to jest, że twoi najważniejsi klienci to samo łajno? Naprawdę tacy są od plebejskich Serwiliuszów Augurów do tego typu Wariusza. Zapracujesz na miano patrona sutenerów i wszelakiego ściierwa.

Na tę uwagę Ahenobarbus pontifex maximus nie znalazł odpowiedzi.

Nie wszystkie oczy widziały Kwintusa Wariusza tak jasno i wyraźnie. Łatwowiernym i nie doinformowanym wydawał się wspaniałym człowiekiem. Miał bardzo męski wygląd - wysoki, dobrze zbudowany, ciemnowłosy, ale nie smagły, z ognistymi oczami i o ujmujących rysach twarzy. Był też możliwy do przyjęcia, ale tylko prywatnie. Jego sztuka przemawiania pozostawiała wiele do życzenia, bo wymowę psuł silny akcent hiszpański, ale usilnie nad tym pracował za radą Cepiona. Tymczasem spierano się o to, jakiego rodzaju jest człowiekiem.

- To rzadki przykład rozsądnego człowieka - mówił Cepion.

- To pasożyt i stręczyciel - oświadczał Druzus.



- To człowiek czarujący i wielkoduszny - zachwycił się Filip.
- Jest oślizgły niczym spluwaczka - twierdził Prosiak.
- To wartościowy klient - uważał Ahenobarbus pontifex maximus.
- To nie Rzymianin - stwierdził pogardliwie Skaurus prynceps senatu.

Naturalnie ten czarujący, rozsądny i wartościowy Kwintus Wariusz czuł się nieswojo przy nowym *lex Minicia de liberis*. Podawało ono w wątpliwość jego status obywatela. Niestety, teraz dopiero odkrył, jak uparty potrafi być Cepion. Nic, co mówił Wariusz, nie mogło przekonać Cepiona do wycofania poparcia dla prawa Minicjusza.

- Nie martw się, Kwintusie Wariuszu - mówił Cepion. - To prawo nie działa wstecz.

Druzus był bardziej wytracony z równowagi niż inni. Nie było co do tego wątpliwości, chociaż nie dawał niczego po sobie poznać. Była to wyraźna wskazówka, że nastroje - przynajmniej w Rzymie - nie sprzyjają rozszerzeniu obywatelstwa.

- Będę musiał zmienić swój program - mówił do Silona podczas jego wizyty tuż przed końcem roku. - Trzeba odłożyć powszechne nadanie praw do końca mojego trybunatu. Chciałem od tego zacząć, ale nie mogę.

- To ci się nigdy nie uda, Marku Liwiuszu - powiedział Silon, kręcąc z powątpiewaniem głową - Nie pozwolą ci na to.

- Dokonam tego, pozwolą mi. - Druzus był bardziej zdecydowany niż zwykle.

- Mogę ci powiedzieć coś na pocieszenie - uśmiechnął się Silon. - Rozmawiałem z przywódcami italskimi i wszyscy co do jednego zgadzają się ze mną. Jeżeli nas wprowadzisz w objęcia Rzymu, zasłużysz na to, żeby być patronem wszystkich nowych obywateli italskich. Spiszemy formułę przysięgi, która zostanie rozproszona do końca lata przyszłego roku. Może to i lepiej, że nie zaczniesz trybunatu od powszechnego nadania praw.

Druzus spłonął rumieńcem. Ledwie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. To już nie tylko armia klientów, to całe narody klientów!

Przystąpił do swego programu ustawodawczego, ogłaszając ustawę o podziale sądów rzymskich między senat i stan rycerski, a następnie osobną ustawę o powiększeniu senatu. Jego pierwszym audytorium nie było jednak Zgromadzenie Plebejskie. Przedstawił swoje ustawy w senacie, występując o upoważnienie kurii dla przedłożenia ich Zgromadzeniu Plebejskiemu do ratyfikacji wraz z senackim dekretem aprobującym.

- Nie jestem demagogiem - mówił w Kurii Hostyliusza do cichych, ubranych w togi senatorów. - Widzicie przed sobą trybuna ludowego przyszłości - człowieka dojrzałego, z doświadczeniem, które mu mówi, że stare sposoby, to dobre sposoby, człowieka, który do ostatniego tchu będzie strzegł *auctoritas* senatu. Żadna moja propozycja w komicjach nie będzie zaskoczeniem dla członków tej kurii, bo najpierw przedstawię ją tutaj, występując o wasz



mandat. Nie poproszę was o nic, co nie byłoby was godne. Nie zrobię też niczego, co nie byłoby godne mnie. Jestem bowiem synem trybuna ludowego, który rozumiał swoje obowiązki tak jak ja. Jestem synem człowieka, który był konsulem i cenzorem. Jestem synem męża, który odparł Skordysków od granic Macedonii tak skutecznie, że zasłużył na triumf. Jestem potomkiem Emiliusza Paulusa, Scypiona Afrykańskiego i Liwiusza Salinatora. Mam stare nazwisko. Jestem też sam dość stary, jak na urząd, który teraz sprawuję.

Tutaj, ojcowie spisani, w tym zgromadzeniu starożytnych i sławnych nazwisk, znajduje się źródło rzymskiego prawa, rzymskiego rządu, rzymskiej administracji. Do tego zgromadzenia, w tym gmachu, będę przemawiał najpierw, w nadziei, że wasza mądrość i zdolność przewidywania pozwoli wam dojrzeć we wszystkich moich propozycjach logikę, powody i konieczność.

Po zakończeniu jego mowy kuria oklaskiwała go z wdzięcznością, którą mogli czuć w pełni jedynie świadkowie trybunackich działań Saturnina. Teraz stał przed nimi trybun ludowy całkiem innego rodzaju - najpierw senator, a dopiero potem sługa ludu.

Obaj konsulowie ustępowali oczywiście z urzędu. Obaj mieli liberalne poglądy i ideały, a ustępujący pretorowie również byli ludźmi niezależnie myślącymi. Druzus otrzymał więc prawie bez sprzeciwu mandat senatu aprobujący obie jego ustawy. Po przyszłych konsulach nie mógł się spodziewać aż tyle, Sekstus Cezar popierał jednak ustawy, a Filip wyraźnie przycichł. Jedynie Cepion przemawiał za ich odrzuceniem, wszyscy jednak znali stan jego stosunków z byłym szwagrem, więc nikt nie zwracał na niego uwagi.

Druzus spodziewał się sprzeciwu w Zgromadzeniu Plebejskim, w którym rycerze mieli bardzo mocną pozycję, ale jego obawy się nie sprawdziły. Być może stało się tak, bo wprowadził obie ustawy w tym samym *contio*, umożliwiając pewnej grupie rycerzy rozpoznanie przynęty ukrytej w drugiej ustawie. Szansa zasiadania w senacie, której dotąd nie miała ta grupa z uwagi na małą liczebność tej instytucji rządowej, była potężną pokusą. Poza tym pół na pół wydawało się uczciwą propozycją składu kolegium sędziowskiego, bo ów pięćdziesiąty pierwszy, nieparzysty sędzia, miał być rycerzem, w zamian za co przewodniczący miał być senatorem. Takie rozwiązanie nie godziło w niczyj honor.

Druzus parł w kierunku zgody między dwoma wielkimi stanami, senatorskim i rycerskim, i wzywał obie strony do współdziałania na rzecz zmian. Jednocześnie ubolewał nad działaniami Gajusza Semproniusza Grakcha w celu sztucznego poróżnienia stanów.

- To Gajusz Grakchus podzielił te dwa stany, a taki podział społeczny jest w najlepszym razie sztuczny. Kimże bowiem jest, nawet dziś, członek senatorskiej rodziny, który nie jest senatorem? Jeśli ma dość pieniędzy, by go cenzorzy uznali za rycerza, trafia do spisu rycerzy, bo w senacie jest już zbyt



wielu członków jego rodziny. Zarówno rycerze, jak i senatorowie należą do klasy pierwszej! Jedna rodzina może mieć swych członków w obu stanach, ale dzięki Gajuszowi Grakchowi musimy cierpieć sztuczny podział. Ten, kto wchodzi do senatu, nie może zajmować się handlem i nie wolno mu posiadać niczego oprócz ziemi. Tak zawsze było - mówił Druzus w Zgromadzeniu Plebejskim, a większa część senatu przysłuchiwała się temu uważnie. - Można nie podziwiać ludzi w rodzaju Gajusza Grakcha i nie aprobować ich poczynań, ale nie ma niczego złego w tym, że biorę z jego arsenału sztuczek to, co jest godne podkreślenia i aprobaty! To Gajusz Grakchus pierwszy proponował powiększenie senatu. Niestety, z winy nastrojów tamtych czasów - opozycji mojego ojca i mniej doskonałych części programu Grakchów - nic z tego nie wyszło. Chociaż jestem synem mego ojca, powracam dziś do tego pomysłu, bo widzę, jak pożyteczna i dobroczynna będzie taka ustawa w naszych czasach. Rzym rośnie. Rosną obowiązki ludzi biorących udział w życiu publicznym. Tymczasem woda w stawie, z którego odławiamy naszych polityków jest stojąca, zatechła, wezbrana. Zarówno senat, jak i *Ordo Equester* potrzebują nowego narybku w swoim stawie. Moje ustawy zostały tak pomyślane, aby pomóc obu tym rodzajom ryb.

Prawa zostały uchwalone w połowie stycznia, mimo że Filip był młodszym konsulem, a Cepion jednym z pretorów rezydujących w Rzymie. Druzus mógł usiąść z westchnieniem ulgi. Jak dotąd, nie zraził nikogo. Było to więcej, niż oczekiwał, chociaż nie należało się spodziewać, że taki stan rzeczy potrwa długo.



Na początku marca mówił w senacie o *ager publicus*, mając świadomość, że ryzykuje zdemaskowanie i że niektórzy konserwatyści spostrzegą nagle, jak niebezpieczny może być syn jednego z nich. Zwierzył się jednak przedtem Skaurusowi, Krassusowi Oratorowi i Scewoli i przekonał ich do swego rozumowania. Był pewien, że skoro to mu się udało, ma szanse zawojować cały senat.

Kiedy podniósł się, by przemówić, wszyscy dostrzegli zmianę w jego wyglądzie i zachowaniu, zapowiadającą coś niezwykłego. Nigdy przedtem nie był tak pewny siebie i tak doskonały w geście i stroju.

- Zło jest wśród nas. - Mówił ze środka posadzki, spod wielkich drzwi z brązu, zamkniętych na jego żądanie. Przerwał, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą. Ta sztuczka sprawiała, że każdy wierzył, iż mówca patrzy na niego i mówi tylko do niego. - Zło jest wśród nas. Wielkie zło. Zło, które sami sprowadziliśmy, bo jesteśmy jego twórcami. Myśleliśmy, jak to często bywa, że to, co robimy, jest godne podziwu, dobre i właściwe. Wiem, że tak było, i szanuję naszych przodków. Nie krytykuję twórców tego zła ani nie rzucam najmniejszego cienia na tych, którzy przed nami przebywali w tym dostojnym



gmachu.

- Czym jednak jest owo zło wśród nas? - Spiczaste brwi Druzusa były uniesione nawet wtedy, gdy zadawał pytanie retoryczne. - Jest nim *ager publicus*, ojcowie spisani. *Ager publicus*. Zło wśród nas. Tak, to jest zło! Zabraliśmy najlepsze ziemie Italczykom i Sycylijczykom, i naszym wrogom zewnętrznym. Nazwaliśmy je *ager publicus*. Przywłaszczyliśmy je przekonani, że pomnażamy wspólne dobro Rzymu, że zbierzemy plony tych urodzajnych ziem, że czeka nas dobrobyt. Tak się jednak nie stało, nieprawdaż? Zamiast zachować pierwotne podziały tych skonfiskowanych gruntów, scalaliśmy działki oddawane w dzierżawę - po to, by zmniejszyć obciążenie urzędników i uchronić rzymski rząd od greckiej biurokracji. Tym sposobem zniechęciliśmy naszych rolników do uprawy gruntów skarbu państwa. Odstraszyły ich rozmiary działek i koszta dzierżawy. *Ager publicus* stał się domeną bogatych - tych, którzy mogli pozwolić sobie na opłacenie dzierżawy i na zmianę zagospodarowania terenów narzuconą przez ich rozmiary. Podczas gdy dawniej te obszary odgrywały wielką rolę w wyżywieniu Italii, dziś produkują jedynie odzież. Gdy dawniej te obszary były gęsto zaludnione i należycie uprawiane, dziś są wielkie, puste i rzadko zaludnione, a często stoją ugorem.

Widział wokół siebie zacięte twarze. Czuł, że serce bije mu wolno i z wysiłkiem i że brak mu tchu. Musiał walczyć o zachowanie spokoju oraz stanowczego tonu. Nikt mu nie przerywał. Nie mieli go jeszcze dość. Musiał zatem brnąć dalej, jakby nie zauważył żadnej zmiany.

- To jednak, ojcowie spisani, był dopiero początek zła. To właśnie ujrzał Tyberiusz Grakchus, jadąc przez lutyfundia Etrurii. Ujrzał, że pracują w nich cudzoziemscy niewolnicy, nie zaś italscy i rzymscy gospodarze. To samo zobaczył Gajusz Grakchus, kiedy w dziesięć lat później podjął dzieło nieżyjącego brata. I ja to widzę. Nie jestem jednak Semproniuszem Grakchusem. Nie uważam powodów braci Grakchów za dość ważne, by naruszać *mos maiorum*, nasze zwyczaje i tradycje. W czasach braci Grakchów stanąłbym po stronie mego ojca. - Zatrzymał się, by wykorzystał ponownie sztuczkę z oczami, które teraz promieniowały szczerością. - Tak właśnie myślę, ojcowie spisani. W czasach Tyberiusza Grakcha, w czasach Gajusza Grakcha, stanąłbym po stronie mego ojca. Miał wtedy słuszość. Czasy się jednak zmieniły. Zmiana pewnych czynników sprawiła, że zło związane z *ager publicus* nabrzmiało. Najpierw przypomnę kłopoty z naszą prowincją Azją - zapoczątkowane przez Gajusza Grakcha, który zalegalizował tam ściąganie danin i podatków przez prywatne spółki. Ściąganie podatków w Italii było dzierżawione o wiele dłużej, nigdy nie miało to jednak tak wielkiego znaczenia. W wyniku wyzbywania się przez nas odpowiedzialności i wzrastającej roli stanu rycerskiego w rządzeniu państwem doszło do zmasowanych, jadowitych ataków na wzorową administrację prowincji Azji. W końcu, podczas procesu



naszego szanownego męża konsularnego Publiusza Rutyliusza Rufusa, pouczono nas - członków rzymskiego senatu! - żebyśmy się nie ważyli pasać na ich łące. Zmierzam do zaprzestania tego rodzaju zastraszania, zmuszając stan rycerski do podzielenia się z senatem sądami i powiększając rozmiary senatu. Wciąż jednak istnieje tamto zło.

Niektóre twarze złagodniały. Wzmianka o jego drogim wuju Publiusz Rutyliusz Rufusie podziałała na jego korzyść - a także określenie rządów Kwintusa Mucjusza Scewoli w Azji jako wzorowych.

- Doszło do tego nowe zło, ojcowie spisani. Ilu z was wie jakie? Chyba niewielu. Mam tu na myśli zło stworzone przez Gajusza Mariusza - choć przyznaję, że znakomity sześciokrotny konsul działał bez wiedzy o tym, czemu daje początek. W tym właśnie kłopot! Wtedy, kiedy zło się zaczyna, nie jest ono wcale złem! Jest rezultatem przemian, potrzeb, zmian równowagi w naszym systemie rządów i w naszej armii. Zabrakło nam żołnierzy. A dlaczego nam ich zabrakło? Wśród wielu powodów jest jeden nierozłącznie związany z *ager publicus*. Mam na myśli to, że stworzenie *ager publicus* pozbawiło małych rolników ich ziemi, że przestali oni płodzić licznych synów i nie zasilali już armii. Gajusz Mariusz zrobił jedynie to, co mógł zrobić, patrząc z jego punktu widzenia. Zaciągnął do wojska *capite censi*. Zrobił żołnierzy z Policzonych Głowami, którzy nie mieli pieniędzy na zakup ekwipunku, nie posiadali ziemi, nie mieli nawet dwóch sestercji, które mogłyby zabrzęczeć w ich sakiewce.

Mówił dalej, ścisząc głos. Wszystkie głowy pochylały się i wszyscy nadstawili uszu.

- Armia nie płaci wiele. Łupy po rozbiciu Germanów były żałosne. Gajusz Mariusz i jego następcy, z legatami włącznie, nauczyli Policzonych Głowami walczyć, odróżniać jeden koniec miecza od drugiego, znać swoją wartość, znać godność Rzymianina. Zgadzam się z Gajuszem Mariuszem! Nie można wyrzucić tych ludzi na bruk zakazanych uliczek i do ich nędznych chat. Oznaczałoby to stworzenie całkiem nowego rodzaju zła: masy dobrze wyszkolonych mężczyzn z pustymi kieszeniami, z mnóstwem wolnego czasu i z rosnącym poczuciem niesprawiedliwego traktowania przez ludzi z naszej klasy. Gajusz Mariusz znalazł na to sposób - zaczęło się to jeszcze w Afryce, podczas wojny z królem Jugurtą - a było nim osiedlenie zwolnionych ze służby weteranów na zamorskich gruntach skarbu państwa. Wcielenie tego w życie na wyspach afrykańskiej Małej Syrtu stało się zadaniem, długim i chwalebny, naszego zeszłorocznego pretora miejskiego Gajusza Juliusza Cezara. Jestem zdania - i zalecam wam usilnie uznanie moich słów za jedyną gwarancję naszej przyszłości - jestem zdania, że Gajusz Mariusz miał słuszość i że powinniśmy w dalszym ciągu osiedlać weteranów na zamorskim *ager publicus*.

Od samego początku Druzus nie ruszał się z miejsca. Nie poruszył się i teraz. Byli tacy, których twarze przybrały znów zacięty wyraz na wzmiankę o



Gajuszu Mariuszu, ale sam Mariusz siedział z niewzruszoną miną i w pełnej godności postawie na czele mężów konsularnych. Naprzeciw niego siedział były pretor Lucjusz Korneliusz Sulla, który niedawno wrócił z namiestnictwa w Cylicji i bardzo był zainteresowany słowami Druzusa.

- Wszystko to jednak nie załatwia sprawy zła, z którym dziś mamy do czynienia, z *ager publicus* Italii i Sycylii. Trzeba coś z tym zrobić! Chwilowo mamy jeszcze to zło w naszych rękach, ojcowie spisani. Zmierza ono do wżarcia się w naszą moralność, naszą etykę, nasze pojęcie przyzwoitości, w samo *mos maiorum*. Obecnie italski *ager publicus* należy do tych spośród nas i rycerzy klasy pierwszej, którzy są zainteresowani zamianą latyfundiów w pastwiska, *ager publicus* Sycylii należy zaś do magnatów zbożowych, którzy w większości żyją tu, w Rzymie, pozostawiając swoje sycylijskie przedsięwzięcia nadzorcom i niewolnikom. Czy uważacie tę sytuację za stabilną? Rozważcie, co teraz powiem. Odkąd Tyberiusz i Gajusz Grakchowie zaszczepili tę ideę w naszych umysłach, *ager publicus* Italii i Sycylii czeka na rozdrobnienie i rozgrabienie. Czy wodzowie przyszłości zadowolą się, tak jak Gajusz Mariusz, osiedlaniem swoich weteranów na zamorskich gruntach skarbu państwa? Czy nie będą raczej zwodzić swych żołnierzy obietnicami ziemi italskiej? Jacy będą trybunowie ludowi przyszłości? Czy nie jest możliwe, że pojawi się nowy Saturninus zwodzący nisko urodzonych obietnicą ziemi w Etrurii, Kampanii, Umbrii i na Sycylii? A jacy będą plutokraci przyszłości? Czy nie może się zdarzyć, że rozmiary gruntów państwowych będą rosły, aż w końcu jeden, dwóch lub trzech ludzi znajdzie się w posiadaniu połowy Italii, połowy Sycylii? Nie ma sensu mówienie, że *ager publicus* jest własnością państwa, skoro państwo wypuszcza ją z rąk, a ludzie rządzący tym państwem mogą zalegalizować wszystko, co zechcą.

Druzus nabrał tchu, stanął na szeroko rozstawionych nogach i zaczął podsumowanie przemówienia.

- Pozbądźmy się tego gruntu, powiadam! Zlikwidujmy te tak zwane grunta państwowe w Italii i na Sycylii! Zbierzmy odwagę i zrobmy to, co musi być zrobione - podzielmy nasze grunta państwowe i rozdajmy ubogim, zasłużonym żołnierzom, każdemu, kto się zgłosi, wszystkim! Zaczniemy od najbogatszych i najlepiej urodzonych spośród nas - dajmy każdemu dziś tu obecnemu jego dziesięć jugerów z naszego *ager publicus*, dajmy każdemu obywatelowi jego skromne dziesięć jugerów! Dla niektórych z nas to niewarte splunięcia. Dla innych to więcej niż mają. Rozdajcie to, powiadam! Nie zostawcie niczego, co pozwoli wrogom przyszłości zniszczyć nas, naszą klasę, nasz dobrobyt. Nie zostawcie im nic oprócz *caelum aut caenum*, nieba i błota. Przyrzekłem, że to zrobię, ojcowie spisani, i zrobię to! Nie zostawię z rzymskiego *ager publicus* niczego oprócz błota z bagnistych nieużytków. Nie dlatego, że troszczę się o ubogich. Nie dlatego, że obchodzi mnie los Policzonych Głowami weteranów.



Dlatego - i to mój jedyny powód - że państwowe grunta Rzymu stanowią zagrożenie dla przyszłości. Leżą i czekają aż jakiś wódz upatrzy w nich nagrodę dla swoich żołnierzy albo jakiś trybun demagog upatrzy w nich dla siebie kartę wstępu na miejsce Pierwszego w Rzymie, albo jakichś dwóch czy trzech plutokratów upatrzy w nich drogę do zawładnięcia całą Italią i Sycylią!

Kuria wysłuchiwała go i zaczęła myśleć nad tym, co usłyszała. Tyle uzyskał Druzus. Filip milczał, a gdy Cepion poprosił o głos, Sekstus Cezar nie udzielił mu go, mówiąc krótko, że powiedziano już dość, a posiedzenie zostanie wznowione nazajutrz.

- Dobrze ci poszło, Marku Liwiuszu - rzekł Mariusz, mijając Druzusa w drodze do wyjścia. - Działaj dalej w tym duchu, a zostaniesz pierwszym w dziejach trybunem ludowym, który przekonał senat.

To jednak Lucjusz Korneliusz Sulla - ku zdziwieniu Druzusa, który go ledwie znał - przepchnął się do niego i poprosił o rozmowę, i to zaraz.

- Wróciłem niedawno ze wschodu, Marku Liwiuszu, i chcę znać każdy szczegół, dowiedzieć się wszystkiego o twoich dwóch prawach i o wszystkim, co myślisz o *ager publicus* - powiedział ów dziwny człowiek, nieco bardziej teraz ogorzały niż przed wyjazdem na wschód.

Sulla był naprawdę zainteresowany. Był jednym z niewielu ludzi na tyle inteligentnych, by rozumieć, że Druzus nie jest radykalnym reformatorem, ale konserwatystą, któremu zależy na zachowaniu praw i przywilejów swojej klasy i utrzymaniu Rzymu takim, jakim zawsze był.

Nie odeszli dalej niż do niecki komicjów, gdzie byli osłonięci od zimowego wiatru, i tam Sulla zapoznał się z poglądami Druzusa. Od czasu do czasu zadawał pytania, ale to Druzus mówił, ze szczegółami, wdzięczny, że choć jeden patrycjusz Korneliusz ma ochotę słuchać tego, co większość Korneliuszy uznaje za zdradę. Na koniec Sulla wyciągnął z uśmiechem dłoń i serdecznie podziękował Druzusowi.

- Będę głosował za tobą w senacie, skoro nie mogę w Zgromadzeniu Plebejskim.

Weszli razem na Palatyn, ale żaden nie był zainteresowany kontynuacją tej rozmowy w jakiejś ciepłej pracowni przy dzbanie wina. Żaden nie lubił drugiego aż tak, by go zaprosić. Przy domu Druzusa Sulla klepnął go po plecach i poszedł dalej Clivus Victoriae do uliczki, przy której miał dom. Spieszno mu było do rozmowy z synem. Coraz bardziej cenił jego rady, chociaż nie było w nich dojrzałej mądrości, z czego zdawał sobie sprawę. Sulla Młodszy był rezonatorem. Dla kogoś, kto miał niewielu klientów i małe szanse zgromadzenia całej ich armii, Sulla Młodszy był nieocenionym skarbem.

Nie był to jednak szczęśliwy powrót do domu. Od Elii dowiedział się, że Sulla Młodszy leży przeziębiony. Był też jakiś klient, który zdecydował się czekać na niego z jakąś pilną wiadomością. Wystarczyła wzmianka o chorobie Sulli



Młodsze, by Sulla przestał myśleć o kliencie. Pośpieszył nie do pracowni, ale do wygodnego salonu, gdzie Elia ulokowała syna, bo jego duszna bezokienna sypialnia nie była odpowiednim miejscem dla chorego. Miał on gorączkę, ból gardła, katar i zażawione oczy. Sulla odprężył się, pocałował syna i pocieszył go, jak umiał.

- Jeśli będziesz dbać o siebie, mój chłopcze, potrwa to szesnaście dni, a jeśli nie, dwa razy po osiem. Pozwól Elii zająć się tobą to moja rada.

Potem poszedł do pracowni, zastanawiając się, kto i co go czeka. Jego klienci nie narzucali mu się zbyt, nie był bowiem bogaty, więc nie popisывał się hojnością. Byli to głównie żołnierze i centurioni, wieśniacy i ludzie bez znaczenia, którzy zetknęli się z nim przy jakiejś okazji i uzyskali pomoc i propozycję zostania jego klientami. Niewielu z tych nielicznych mieszkało w Rzymie.

Był to Metrobiusz. Sulla powinien się tego domyślić, ale nie przyszło mu to do głowy. Był to dowód skuteczności jego starań o wymazanie Metrobiusza z pamięci. Ile miał on teraz lat? Musiał być po trzydziestce, miał chyba trzydzieści dwa albo trzydzieści trzy lata. Gdzie się podziały te lata? W niepamięci. Metrobiusz był jednak nadal Metrobiuszem - i nadal, powiedział mu to pocałunek, był na jego rozkazy. Potem Sullę przeszedł dreszcz. Kiedy ostatnio odwiedził go Metrobiusz, zginęła Julilla. Nie przyniósł mu szczęścia, nawet jeśli uważał miłość za substytut szczęścia. Dla Sulli miłość nie była żadnym substytutem. Odsunął się przezornie od Metrobiusza, siadając za swym stołem.

- Nie powinieneś tu przychodzić - powiedział.

Metrobiusz westchnął, usiadł z gracją na krześle dla klientów i oparł skrzyżowane ramiona na stole. W pięknych oczach miał smutek.

- Wiem, Lucjusz Korneliuszu, ale jestem przecież twoim klientem! Dzięki tobie mam obywatelstwo, nie będąc ani przez chwilę wyzwolencem. Jestem Lucjusz Korneliusz Metrobiusz z *tribus* Kornelia. Jeżeli twój rządca czemuś się dziwi, to chyba temu, że zbyt rzadko tu bywam. Nigdy nie zrobię ani nie powiem niczego, co może zaszkodzić twojej reputacji albo moim przyjaciołom i kolegom z teatru, albo moim kochankom, albo twoim domownikom. Ufaj mi, proszę, bo należy mi się zaufanie!

Łzy napłynęły do oczu Sulli, pośpiesznie odpędzone mruganiem.

- Wiem, Metrobiuszu. I dziękuję - westchnął, wstał i podszedł do stolika z winem. - Napijesz się?

- Chętnie.

Sulla postawił srebrny puchar na stole przed Metrobiuszem, potem otoczył ramionami Metrobiusza i stanął za nim, przytuliwszy policzek do gęstych czarnych włosów. Zanim jednak Metrobiusz zdołał zrobić coś więcej, niż unieść dłonie, Sulla odsunął się, siadając za stołem.



- Co to za pilna sprawa? - zapytał.
- Czy znasz niejakiego Cenzoryna?
- Którego Cenzoryna? Tego młodego plugawca Gajusza Marcjusza czy tego bywalca Forum, który ma pieniądze i zabawne aspiracje senatorskie?
- Tego drugiego. Nie wiedziałem, że tak dobrze znasz Rzymian, Lucjuszu Korneliuszu.
- Byłem pretorem miejskim. Uzupełniłem wtedy braki w wiedzy.
- Wyobrażam sobie.
- O co chodzi z tym drugim Cenzorynem?
- Chce cię oskarżyć przed trybunałem do spraw o zdradę stanu o wzięcie od Partów wielkiej łapówki za zdradę interesów Rzymu na wschodzie.

Sulla zamrugął.

- O bogowie! Nie wiedziałem, że jest w Rzymie ktoś, kto tyle wie o moim pobycie na wschodzie! Senat nie miał ochoty słuchać mego szczegółowego sprawozdania. Cenzorynus? Skąd on może wiedzieć, co się dzieje na wschód od Forum Romanum, nie mówiąc już o tym, co się działo na wschód od Eufratu? I skąd ty o tym wiesz, skoro nie było żadnych plotek?

- On jest miłośnikiem teatru, a jego główną rozrywką jest wydawanie przyjęć z udziałem aktorów; im bardziej tragiczny aktor, tym lepiej. Chodzę więc regularnie na te przyjęcia. - W uśmiechu Metrobiusza nie było podziwu dla Cenzoryna. - Nie, Lucjuszu Korneliuszu, on nie należy do moich kochanków. Gardzę nim, ale lubię przyjęcia. Nie ma już, niestety, tak dobrych jak tamte, na które przychodziłeś w dawnych czasach. Te u Cenzoryna są jednak znośne. Można tam spotkać krąg zwykłych ludzi, których znam i których lubię. Podają dobre jedzenie i dobre wino. - Metrobiusz zacisnął w zamyśleniu czerwone usta. - Zauważyłem jednak, że ostatnio Cenzoryn miewa na swoich popijawach jakichś dziwnych ludzi. I popisuje się wspaniałym szlifowanym szmaragdem - takiego klejnotu nie mógł kupić, nawet jeśli ma pieniądze na cenzus senatorski. Taki szmaragd pasowałby do Ptolemeusza z Egiptu, nie do bywalca Forum.

Sulla popijał wino i uśmiechał się.

- Fascynujące! Widzę, że muszę poznać tego Cenzoryna - po moim procesie, jeśli nie przed. Masz jakieś pomysły?

- Myślę, że on jest agentem, ale nie wiem czyim! Być może Partów albo jakiejś innej wschodniej bandy. Jego dziwni goście to zdecydowanie ludzie wschodu - szaty wyszywane złotem, wszędzie klejnoty i mnóstwo pieniędzy do wrzucania w wyciągnięte rzymskie dłonie.

- To nie Partowie - powiedział wolno Sulla. - Ich nie obchodzi, co się dzieje na zachód od Eufratu, wiem to na pewno. To Mitrydates. Albo Tigranes z Armenii. Stawiam jednak na Mitrydatesa z Pontu. Proszę, proszę! - Zatarł ręce z zadowoleniem. - A więc Gajusz Mariusz i ja narobiliśmy Pontowi kłopotów, czyż nie? I to raczej Sulla niż Mariusz! To dlatego, że rozmawiałem z



Tigranesem i zawarłem traktat z satrapami króla Partów. Proszę, proszę!

- Co możesz zrobić? - spytał z niepokojem Metrobiusz.

- Ach, nie martw się o mnie - powiedział wesoło Sulla, wstając i zamykając okiennice. - Ostrzeżony, uzbrojony! Zaczekam na stosowną chwilę. Niech Cenzorynus wykona swój ruch, a wtedy...

- A wtedy, co?

Sulla odsłonił zęby w niemiłym uśmiechu.

- Wtedy pożałuje, że się urodził.

Podszedł do drzwi atrium i zasunął rygiel, a potem zaryglował drzwi do kolumnady perystylu.

- A tymczasem, największa miłości mego życia, nie licząc mego syna, ty jesteś tu, a szkoda już się stała. Nie pozwolę ci odejść nie tkniętemu.

- Wcale nie chcę odejść nie tknięty. - Stali obejmując się, a każdy ukrywał twarz w ramieniu drugiego. - Czy pamiętasz wszystkie tamte lata? - spytał rozmarzonym tonem Metrobiusz, uśmiechnięty, z zamkniętymi oczami.

- Ty w tamtej absurdalnej żółtej spódniczce i z nogami ociekającymi farbą. - Sulla też się uśmiechał, głaszcząc szorstkie włosy, a drugą dłoń przesuwając lubieżnie w dół prostych pleców.

- A ty w peruce z żywych wężyków.

- No cóż, byłem Meduzą.

- I wyglądałeś na nią wierz mi.

- Za dużo mówisz - rzekł Sulla.

Metrobiusz wyszedł po godzinie, nie budząc niczyjego zainteresowania. Sulla powiedział jednak serdecznej, zawsze kochającej Elli, że właśnie dostał wiadomość o grożącym mu oskarżeniu przed trybunałem do spraw o zdradę stanu. Dech jej zaparło, zadrżała.

- Ach, Lucjusz Korneliuszu!

- Nie martw się, moja droga - powiedział lekkim tonem Sulla. - To się skończy na niczym, obiecuję.

Była niespokojna.

- Dobrze się czujesz?

- Od lat nie czułem się tak dobrze, wierz mi, żono, ani nie miałem takiej ochoty, żeby się z tobą kochać - powiedział, obejmując ją w pasie. - Chodź teraz do łóżka.



Sulla nie musiał pytać o Cenzoryna, bo ten następnego dnia uderzył. Pojawił się w trybunale pretora miejskiego Kwintusa Pompejusza Rufusa z Picenum i zażądał oskarżenia Lucjusza Korneliusza Sulli przed trybunatem do spraw o zdradę stanu. Zarzucał mu przyjęcie łapówki od Partów za zdradę interesów Rzymu.



- Czy masz dowód? - spytał surowo Pompejusz Rufus.

- Mam.

- Przedstaw mi więc jego istotę.

- Nie zrobię tego, Kwintusie Pompejuszu. Wszystko, co konieczne, zrobię w sądzie. Nie wnoszę o nałożenie grzywny, nie jestem też zobowiązany przez prawo do wyjawienia ci mej sprawy - powiedział Cenzorynus, bawiąc się w zanadrzu togi swoim klejnotem, zbyt cennym, by go zostawiać w domu, ale zbyt rzucającym się w oczy, by go pokazywać publicznie.

- Dobrze więc - powiedział sucho Pompejusz Rufus. - Powiem przewodniczącemu *quaestio de maiestate*, żeby za trzy dni od dziś zebrał swój sąd przy sadzawce Kurcjusza.

Pompejusz Rufus patrzył potem, jak Cenzorynus przemyka przez dolne Forum ku Argiletum, a potem strzelił palcami na swego pomocnika, młodszego senatora z rodu Fanniuszów.

- Zajmij się kramem - powiedział, wstając. - Mam coś do załatwienia.

Znalazł Lucjusza Korneliusza Sullę w gospodzie na Via Nova. Nie było to tak trudne zadanie, jak mogło się wydawać. Jak każdy dobry pretor miejski wiedział, kogo pytać. Towarzyszem Sulli przy kielichu był nie kto inny jak prynceps senatu Skaurus, jeden z nielicznych w senacie interesujących się dokonaniem Sulli na wschodzie. Stolik na tyłach gospody był ulubionym miejscem spotkań dostojników z senatu, ale na widok trzeciej *toga praetexta* karczmarz wytrzeszczył oczy - prynceps senatu i dwóch pretorów miejskich! Niech się tylko znajomi dowiedzą!

- Wina i wody, Kloacjusz - rzucił krótko Pompejusz Rufus, mijając ladę. - I to w najlepszym gatunku.

- Wino czy woda? - spytał z niewinną miną Publiusz Kloacjusz.

- Jedno i drugie, albo postawię cię przed sądem. - Pompejusz Rufus uśmiechnął się szeroko i usiadł przy tamtych dwóch.

- Cenzorynus? - spytał Sulla.

- Zgadza się - potwierdził pretor miejski. - Musisz mieć lepsze źródła informacji niż ja, bo dla mnie było to zupełne zaskoczenie.

- Mam dobre źródła - przyznał z uśmiechem Sulla. Lubił tego człowieka z Picenum. - Zdrada stanu?

- Zdrada stanu. Podobno ma jakiś dowód.

- Tak jak ci, którzy skazali Publiusza Rutyliusza Rufusa.

- Cóż, ja pierwszy w to uwierzę, kiedy tylko ujrzę ulice Barduli wybrukowane złotem. - Skaurus wymienił nazwę najuboższego miasta w Italii.

- I ja także - rzekł Sulla.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytał Pompejusz Rufus, biorąc od karczmarza pusty puchar i nalewając wina i wody. Skrzywił się, podnosząc wzrok. - Jedno i drugie okropne! Szelma!



- Spróbujcie znaleźć coś lepszego na Via Nova - powiedział bez urazy Publiusz Kloacjusz i usunął się z żalem na miejsce, gdzie nie mógł podsłuchiwać.

- Dam sobie radę - rzekł Sulla beztrąsko.

- Wyzaczyłem przesłuchanie za trzy dni od dziś, przy sadzawce Kurcjusza. Na szczęście obowiązuje już *lex Livia*, mamy więc kolegium złożone w połowie z senatorów - a to znacznie lepiej niż kolegium złożone w całości z rycerzy. Oni nie mogą znieść myśli o senatorze bogacącym się kosztem innych. To wolno robić tylko im - powiedział z niesmakiem Pompejusz Rufus.

- Dlaczego to sąd o zdradę stanu, a nie korupcyjny? - spytał Skaurus. - Wzięcie łapówki to przecież korupcja.

- Cenzorynus twierdzi, że łapówka była zapłatą za wyjawienie naszych zamiarów i posunięć na wschodzie - wyjaśnił pretor miejski.

- Przywiozłem traktat - powiedział Sulla do Pompejusza Rufusa.

- I był to nie byle jaki wyczyn! - oświadczył z żarem Skaurus.

- Czy senat zamierza go uznać? - spytał Sulla.

- Senat to zrobi, Lucjuszu Korneliuszu. Masz na to słowo Emiliusza Skaurusa.

- Słyszałem, że zmusiłeś Partów i króla Armenii, żeby usiedli niżej od ciebie. - Pretor miejski zachichotał. - Brawo, Lucjuszu Korneliuszu! Tym wschodnim potentatom przyda się nauczka.

- Ach, Lucjusz Korneliusz chce chyba iść w ślady Popiliusza Lenasa - uśmiechnął się Skaurus. - Wkrótce zaczniesz im rysować koła na piasku wokół nóg. Chciałbym jednak wiedzieć, skąd Cenzorynus zdobył informacje o tym, co się działo nad Eufratem.

Sulla poruszył się niespokojnie, nie mając pewności, co Skaurus sądzi o Mitrydatesie.

- On jest chyba agentem jakiegoś wschodniego króla.

- Mitrydatesa z Pontu - rzekł bez namysłu Skaurus.

- A więc nie masz już złudzeń. - Sulla uśmiechnął się szeroko.

- Staram się w każdym dostrzec jego dobre strony, ale nie jestem głupcem - powiedział Skaurus, wstając. Rzucił karczmarzowi denara, którego tamten zgrabnie chwycił. - Daj im jeszcze trochę tego nektaru, Kloacjusz!

- Jeśli jest takie złe, czemu nie siedzicie w domu i nie pijecie falerna? - krzyknął Kloacjusz za znikającym w drzwiach Skaurusem.

Za całą odpowiedź Skaurus uniósł palec w nieprzyzwoitym geście, co wywołało radosny śmiech Kloacjusza.

- Stary pryk! - powiedział, podając nowy dzban wina. - Co byśmy bez niego robili!

Sulla i Pompejusz Rufus usiedli wygodniej.

- Nie jesteś dziś w trybunale? - spytał Sulla.

- Zastępuje mnie młody Faniusz. Dobrze mu robi kilka starć z rzymskimi



pieniaczami.

Przez chwilę w milczeniu popijali swoje wino, które wcale nie było złe i wszyscy o tym wiedzieli. Nie byli bynajmniej skrupowani, chodziło raczej o to, że każde odejście Skaurusa z towarzystwa wywoływało uczucie straty.

W końcu odezwał się Pompejusz Rufus.

- Czy będziesz w tym roku ubiegać się o konsulat, Lucjuszu Korneliuszu?

- Chyba nie. - Sulla miał poważną minę. - A miałem taką nadzieję. Myślałem, że przedstawienie Rzymowi traktatu wiążącego króla Partów i bardzo korzystnego dla Rzymu wywoła spore poruszenie! Tymczasem nie było ani zmarszczki na powierzchni kałuży Forum, a tym mniej w kłoczonym dole senatu! Równie dobrze mogłem zostać w Rzymie i brać lekcje wyuzdanych tańców - więcej by się o tym mówiło! Decyzja zależy więc od tego, czy mam szansę, jeśli przekupię wyborców. Sądzę, że byłoby to marnowanie pieniędzy. Tacy ludzie jak Rutyliusz Lupus mogą zaproponować naszej bandzie wyborców dziesięć razy więcej niż ja.

- Chciałbym zostać konsulem - powiedział równie poważnie Pompejusz Rufus, ale wątpię, czy mam szansę, pochodząc z Picenum.

Sulla otworzył szeroko oczy.

- Byłeś na szczycie listy pretorów, Kwintusie Pompejuszu! To przecież o czymś świadczy!

- Ty byłeś także na tym szczycie przed dwoma laty - odparł Pompejusz Rufus - a jednak nie uważasz, że masz szansę. Jeżeli patrycjusz Korneliusz nie ma szans, jakie szansę ma człowiek z Picenum?

- Jestem patrycjuszem Korneliuszem, to prawda, ale nie nazywam się Scypion, a moim dziadkiem nie był Emiliusz Paulus. Nigdy nie był ze mnie wielki mówca i gdybym nie został pretorem miejskim, bywalcy Forum nie odróżniliby mnie od eunucha Wielkiej Matki. Wszystkie swoje nadzieje wiązałem z tym historycznym traktatem z Partami i z faktem, że poprowadziłem za Eufrat pierwszą rzymską armię. Wszystko po to, by ujrzeć Forum zafascynowane działaniem Druzusa.

- On zostanie konsulem, jeśli się na to zdecyduje.

- Nie mógłby przegrać, nawet gdyby wystawiono przeciw niemu Scypiona Afrykańskiego i Scypiona Emiliusza. A niech cię, Kwintusie Pompejuszu! Ja sam jestem zafascynowany tym, co on robi.

- Ja także, Lucjuszu Korneliuszu.

- Myślisz więc, że ma słuszność?

- Tak.

- Świetnie! Ja również.

Znów zapadła cisza przerywana tylko hałasem, jaki robił Publiusz Kloacjusz, obsługując czterech nowo przybyłych, którzy wytrzeszczali ze strachem oczy na togi z purpurowym szlakiem.



- A gdybyś - zaczął Pompejusz Rufus, obracając w dłoniach swój cynowy puchar i zaglądając do niego - poczekał jeszcze parę lat i spróbował wraz ze mną? Obaj jesteśmy pretorami miejskimi z dobrą karierą wojskową, jesteśmy w odpowiednim wieku i stać nas na małe przekupstwo... Wyborcy lubią głosować na dobrane pary, bo to dobrze wróży współpracy między konsulami. Razem mamy lepsze szanse niż osobno. Co powiesz, Lucjuszu Korneliuszu?

Sulla przyglądał się rumianej twarzy Pompejusza Rufusa, jego jasnoniebieskim oczom, nieco celtyckim rysom i rudym kędziorom.

- Powiem - mówił z namysłem - że stworzymy pierwszorzędną parę. Dwóch rudowłosych z dwóch różnych krańców kurii. Taki widok robi wrażenie - to dopiero dobrana para! To by trafiło do tych kapryśnych, kłótliwych *mentulae*! Oni lubią dobre żarty, a cóż lepszego niż dwóch rudych konsulów tego samego wzrostu i postawy, choć z całkiem innych stajni? - Wyciągnął dłoń. - Dokonamy tego, przyjacielu! Na szczęście żaden z nas nie siwieje ani nie łysieje, bo to by psuło efekt.

Rozpromieniony Pompejusz Rufus uścisnął dłoń Sulli.

- Umowa stoi, Lucjuszu Korneliuszu!

- Umowa stoi, Kwintusie Pompejuszu! - Sulla zamrugał. Nawiedziła go nagła myśl związana z ogromnym bogactwem Pompejusza Rufusa. - Czy masz syna?

- Mam.

- Ile ma lat?

- Kończy dwadzieścia jeden.

- Czy zawarł już kontrakt małżeński?

- Nie, jeszcze nie.

- Mam córkę, patrycjuszkę po obojgu rodzicach. Skończy osiemnaście lat w czerwcu tego roku, w którym staniemy do wyborów. Czy zgodziłbyś się na małżeństwo mojej córki z twoim synem w kwinktylisie, za trzy lata?

- Zgodziłbym się, a jakże, Lucjuszu Korneliuszu!

- Jest dobrze uposażona. Jej dziadek przepisał na nią przed śmiercią majątek jej matki, ze czterdzieści talentów srebra, nieco ponad milion sestercji. Czy to cię urządza?

Zadowolony Pompejusz Rufus skinął głową.

- Czy zaczniemy już mówić na Forum o naszych połączonych kandydaturach?

- Znakomity pomysł! Jeśli wyborcy do nas przywykną będą głosować automatycznie, kiedy nadejdzie czas.

- Aha! - zagrzemiał jakiś głos od drzwi.

Wszedł Gajusz Mariusz, spychając na bok gapiów przy kontuarze, których nawet nie zauważył.

- Nasz czcigodny prynceps senatu mówił, że cię tu znajdę, Lucjuszu Korneliuszu - powiedział Mariusz, siadając. Spojrzał na kręcącego się w



poblizu karczmarza. - Ten twój ocet winny, Kloacjuszu, byłby mile widziany.

- Tak właśnie myślałem - powiedział Publiusz Kloacjusz, przekonawszy się, że dzban na stole jest prawie pusty. - A przy okazji, co Italczycy mogą wiedzieć o winie?

Mariusz uśmiechnął się szeroko.

- Szczam na ciebie, Kloacjuszu. Uważaj na swój język.

Po tej wymianie uprzejmości Mariusz przeszedł do sprawy, rad z obecności Pompejusza Rufusa.

- Chciałbym wiedzieć, co każdy z was myśli o nowych prawach Marka Liwiusza.

- Mamy o nich jednakową opinię - rzekł Sulla, który po swym powrocie zachodził kilka razy do Mariusza, nie zastając ani razu Wielkiego Człowieka. Nie miał powodu przypuszczać, że było to celowe unikanie spotkania. Zdrowy rozsądek mówił, że po prostu źle wybierał czas. Ostatnim razem przyrzekł jednak sobie, że nie będzie się więcej narzucał. Nie miał zatem okazji opowiedzieć Mariuszowi, co się zdarzyło na wschodzie.

- A ta opinia? - spytał Mariusz, najwyraźniej nieświadom tego, że Sulla może być na niego obrażony.

- On ma słuszność.

- Świetnie! - Mariusz odsunął się od stołu, przepuszczając Publiusza Kloacjusza. - On potrzebuje poparcia dla swojej ustawy rolnej, a ja obiecałem, że będę mu werbował stronników.

- To mu się przyda - rzekł Sulla, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. Mariusz zwrócił się teraz do Pompejusza Rufusa:

- Jesteś pretorem miejskim, Kwintusie Pompejuszu. Kiedy chcesz się ubiegać o konsulat?

Pompejusz Rufus poderwał się z miejsca.

- Właśnie o tym mówiliśmy z Lucjuszem Korneliuszem. Za trzy lata chcemy razem stawać do wyborów.

- Sprytnie! - Mariusz z miejsca dostrzegł korzyści. - Dobrana para! - zaśmiał się. - Trzymajcie się tego zamiaru. Razem wygracie bez trudu.

- Tak też myślimy - powiedział zadowolony Pompejusz Rutyliusz. - Prawdę mówiąc, przypieczętowaliśmy to kontraktem małżeńskim.

Prawa brew Mariusza poszła w górę.

- O!

- Moja córka i jego syn - wyjaśnił Sulla nieco obronnym tonem. Czemu przy Mariuszu czuł się niepewnie jak przy nikim innym? Czy sprawiał to charakter tamtego, czy jego własna niepewność?

Rozległo się westchnienie ulgi.

- Świetnie, dobra robota! To rozwiązuje wszystkie problemy rodzinne. Julia, Elia i Aurelia będą zadowolone.



Piękne brwi Sulli zbiegły się.

- O czym ty, u licha, mówisz?

- O moim synu i twojej córce - odrzekł Mariusz ze zwykłym brakiem taktu. - Wygląda na to, że zbytnio się lubią. Stary Cezar mówił, że cioteczne rodzeństwo nie może między sobą zawierać związków małżeńskich, a ja się z nim zgadzam. Co nie powstrzymało mojego syna i twojej córki od wszelkiego rodzaju absurdalnych obietnic.

To był wstrząs dla Sulli, który nigdy nie pomyślał o takim związku, a tak mało przebywał z córką że nie miała okazji pomówić z nim o Mariuszu Młodszym.

- Ach! Zbyt często jestem nieobecny, Gajuszu Mariuszu, od lat to powtarzam.

Pompejusz Rufus słuchał tego zmieszany.

- Jeśli są jakieś trudności, Lucjusz Korneliuszu, nie martw się o mojego syna - powiedział nieśmiało.

- Nie ma żadnych trudności, Kwintusie Pompejuszu - odrzekł stanowczo Sulla. - Są ciotecznym rodzeństwem i razem dorastali, to wszystko. Właśnie usłyszałaś od Gajusza Mariusza, że nigdy nie myśleliśmy o takim związku. Ugoda dziś przez nas zawarta zgrabnie go udaremni. Czy się z tym zgadzasz, Gajuszu Mariuszu?

- Oczywiście, Lucjusz Korneliuszu. W grę wchodzi zbyt bliskie pokrewieństwo i nadmiar krwi patrycjuszowskiej. Stary Cezar nie zgadzał się na to.

- Czy myślisz o jakiejś żonie dla Mariusza Młodszego? - zaciekawiał się Sulla.

- Chyba tak. Kwintus Mucjusz Scewola ma córkę, która za cztery czy pięć lat będzie dorosła. Pytałem o nią a on się nie sprzeciwia. - Mariusz roześmiał się bez skrępowania. - Mogę sobie być italskim wieśniakiem, który wcale nie zna greki, Lucjusz Korneliuszu, ale mało który rzymski arystokrata oprze się takiej fortunie, jaką kiedyś odziedziczy Mariusz Młodszy!

- Święta prawda! - Sulla śmiał się równie głośno. - Muszę więc tylko znaleźć żonę dla Sulli Młodszego - i to nie żadną z córek Aurelii!

- A gdyby tak którąś z córek Cepiona? - spytał złośliwie Mariusz. - Pomyśl o całym tym złocie!

- To jest myśl, Gajuszu Mariuszu. On ma dwie córki, które mieszkają u Marka Liwiusza, czyż nie?

- To się zgadza. Julia myślała o tej starszej dla Mariusza Młodszego, ale moim zdaniem Mucja będzie dla niego znacznie lepsza politycznie. - Tu Mariusz zdobył się choć raz na odrobinę dyplomacji. - Ty jesteś w innej sytuacji, Lucjusz Korneliuszu. Serwilia Cepionia byłaby idealna.

- Byłaby, zgadzam się. Dopilnuję tego.



Sprawa żony dla Sulli Młodszego nie pozostała jednak w głowie Sulli, po tym



jak powiadomił córkę, że ma być zaręczona z synem Kwintusa Pompejusza Rufusa. Kornelia Sulla okazała aż nadto wyraźnie, że jest dzieckiem Julilli. Otworzyła usta i wrzasnęła. I nie przestała wrzeszczeć.

- Krzycz, ile ci się podoba - rzekł chłodno Sulla. - To nie robi żadnej różnicy, moja panno. Zrobisz, co ci się każe, i poślubisz, kogo ci wskażę.

- Idź stąd, Lucjuszu Korneliuszu! - krzyknęła Elia, załamując ręce. - Twój syn chce się z tobą widzieć. Zostaw mnie z Kornelią Sullą proszę.

Rozgniewany Sulla poszedł więc do syna.

Sulla Młodszy nie wracał do zdrowia. Wciąż leżał w łóżku nękany bólami i atakami kaszlu.

- To się musi skończyć, chłopcze - powiedział lekkim tonem Sulla, siadając na skraju łóżka i całując syna w rozpalone czoło. - Wiem, że jest zimno, ale nie w tym pokoju.

- Kto to krzyczał? - spytał Sulla Młodszy chrapliwym głosem.

- Twoja siostra, niech ją Mormolis porwie!

- Dlaczego? - Sulla Młodszy był bardzo oddany Kornelii.

- Powiedziałem jej właśnie, że ma poślubić syna Kwintusa Pompejusza Rufusa. Ona jednak myślała chyba, że wyjdzie za swego kuzyna Mariusza Młodszego.

- Ach! Wszyscyśmy myśleli, że ona ma wyjść za Mariusza Młodszego! - wykrzyknął wstrząśnięty syn Sulli.

- Nikt o tym nie mówił i nikt tego nie chciał. Twój *avus* Cezar był przeciwny małżeństwu między wami, a Gajusz Mariusz się z nim zgadzał. Ja mam podobne zdanie. - Sulla zmarszczył brwi. - Chyba nie myślisz o małżeństwie z którąś Julią?

- Z Lią albo z Ju-ju? - Sulla Młodszy śmiał się wesoło, dopóki nie dopadł go atak kaszlu, który minął dopiero, gdy wykaszał mnóstwo cuchnącej flegmy. - Nie, tato - powiedział, kiedy mógł już mówić. - Chyba nie wymyśliłbym nic gorszego. Kogo mam poślubić?

- Nie wiem, synu. Obiecuję jednak, że najpierw spytam, czy ci się ona podoba.

- Nie spytałeś Kornelii!

Sulla wzruszył ramionami.

- To przecież dziewczyna. Dziewczyny nie mają wyboru i nikt nie ma dla nich względów. Robią po prostu to, co im się każe. Jedynym powodem, dla którego *paterfamilias* ponosi koszt ich wychowania, jest możliwość wykorzystania ich dla własnej kariery albo dla kariery synów. Po cóż innego żywiłby je i ubierał przez osiemnaście lat? Trzeba im dać posag, ale nic z tego posagu nie wraca do rodziny ich ojca. Nie, synu, jedyną zaletą dziewczyn jest przynoszenie korzyści. Kiedy słucham wrzasków twojej siostry, nie jestem pewien, czy nie lepiej było w dawnych czasach, kiedy nowo narodzone dziewczynki wrzucaliśmy po prostu do Tybru.



- To chyba nie jest uczciwe, tato.

- Dlaczego? - spytał tato, zdziwiony tępotą syna. - Kobiety są istotami niższymi, młody Lucjuszu Korneliuszu. Pozostawiają wzory na tkaninach, nie tkają na krosnach czasu. Nie tworzą historii. Nie rządzą. Nie mają znaczenia w świecie. Troszczymy się o nie, bo to nasz obowiązek. Chronimy je przed troskami, biedą, odpowiedzialnością - i dlatego właśnie żyją dłużej niż mężczyźni, jeżeli nie umierają przy porodach. W zamian za to żądamy od nich szacunku i posłuszeństwa.

- Rozumiem. - Sulla Młodszy przyjął to wyjaśnienie tak samo, jak zostało wygłoszone - jako stwierdzenie faktu.

- Muszę już iść. Mam umówione spotkanie. - Sulla wstał. - Czy coś jadłeś?

- Niewiele. Mam kłopoty z żołądkiem.

- Zajdę do ciebie później

- Nie zapomnij, tato. Nie będę spał.

Przede wszystkim musiał zachowywać się normalnie i pójść z Elią na obiad do Kwintusa Pompejusza Rufusa, który bardzo pragnął podtrzymać przyjacielskie stosunki. Na szczęście Sulla nie obiecywał, że przywodzi ze sobą Kornelię. Zamilkła już, ale była tak wzburzona, że musiała się położyć. Oświadczyła też, że nie będzie jeść, co Elia przekazała Sulli. Biedna Kornelia nie zdołałaby chyba wymyślić niczego, co bardziej wzburzyłoby Sullę. Patrzył na Elię z goryczą, a w oczach miał ogień i lód.

- To się musi skończyć! - parsknął i zanim Elia zdołała go powstrzymać, pobiegł do sypialni Kornelii. Wpadł tam, z rozpędu ściągnął szlochającą dziewczynę z jej wąskiego łóżka i powłókł za włosy po posadzce. Raz i drugi uderzył ją w twarz.

Nie płakała już, pisnęła tylko wysokim, ledwie słyszalnym tonem, bardziej przestraszona wyrazem twarzy ojca niż użyciem przez niego przemocy. Uderzył ją jeszcze z dziesięć razy, a potem odrzucił niby szmacianą lalkę, nie myśląc w gniewie, że mógłby ją zabić.

- Nie rób tego, dziewczyno - powiedział cicho. - Nie próbuj ze mną głodówki. Miałbym dobrą zabawę! Twoja matka prawie zagłodziła się na śmierć, ale ty mi tego nie zrobisz. Prędzej zadławisz się jedzeniem, które każę ci wpychać do gardła. Nie będę gorszy niż jakiś wieśniak tuczący swoją gęś! Poślubisz młodego Kwintusa Pompejusza Rufusa i zrobisz to z uśmiechem i z pieśnią na ustach, bo inaczej cię zabiję. Słyszysz mnie? Zabiję cię, Kornelio.

Twarcz jej płonęła, oczy pociemniały, usta były spuchnięte i spękane, z nosa płynęła krew, ale najgorszy był ból w sercu. Nigdy w życiu nie zetknęła się jeszcze z taką furią, nie miała powodu bać się ojca ani lękać o swoje bezpieczeństwo.

- Słyszę, ojciec - wyszeptała.

Elia czekała za drzwiami, a łzy płynęły jej po policzkach. Kiedy chciała wejść,



Sulla chwycił ją szorstko za ramię i odciągnął od drzwi.

- Proszę! - jęknęła przestraszona żona i zboląła matka.
- Zostaw ją samą.
- Muszę iść do niej! Ona mnie potrzebuje!
- Ma zostać tam, gdzie jest, i nikt do niej nie wejdzie.
- Pozwól mi więc zostać w domu, proszę! - Choć starała się powstrzymać łzy, szlochała coraz mocniej.

Gniew Sulli stopniał. Poczuł, że serce mu bije i że sam jest bliski łez, były to jednak łzy złości, nie żalu.

- W porządku, zostań w domu - powiedział szorstko, łapiąc z trudem oddech.
- Będę okazywał radość naszej rodziny z tego związku. Nie idź jednak do niej, Elio, bo zrobię z tobą to samo, co z nią.

Poszedł zatem sam do domu Kwintusa Pompejusza Rufusa na Palatynie z widokiem na Forum Romanum i robił dobre wrażenie na zachwyconej rodzinie gospodarza. Bardzo im pochlebiała myśl o małżeństwie młodego Kwintusa z patrycjuszką z rodu Juliuszów i Korneliuszów. Młody Kwintus był wysokim i przystojnym chłopcem o zielonych oczach i kasztanowych włosach. Sulli nie trzeba było wiele czasu, by stwierdzić, że inteligencją nie dorównuje on ani w połowie swemu ojcu. To nie przeszkadzało w niczym. Chłopiec zostanie konsulem tak jak jego ojciec, będzie płodził z Kornelią Sullą rudowłose dzieci i będzie dobrym mężem, wiernym i rozważnym. Sulla uśmiechnął się do siebie na myśl, że młody Kwintus Pompejusz Rufus będzie daleko miłszy i znośniejszy w pożyciu niż zepsuty i arogancki szczeniak spółdzony przez Gajusza Mariusza.

Pompejuszowie Rufusowie byli wciąż jeszcze ludźmi ze wsi, więc obiad skończył się na długo przed zmrokiem, chociaż był to środek zimy. Sulla stał na szczycie schodów prowadzących w dół do Via Nova i Forum Romanum i ze zmarszczonym czołem patrzył w dal. Metrobiusz mieszkał za daleko, by do niego iść i było to zbyt niebezpieczne. Gdzie jeszcze mógłby spędzić godzinę czy dwie?

Odpowiedź przyszła sama, gdy spojrzał w zadymioną kotlinę Subury - u Aurelii oczywiście. Gajusz Juliusz Cezar przebywał jako namiestnik w prowincji Azji. Aurelia z pewnością ma jakąś przyzwoitkę, czemu by więc do niej nie zajść? Zbiegł po schodach lekko i zwinnie, jakby mu ubyło lat, i ruszył ku Clivus Orbis, najkrótszej drodze do Subury Mniejszej i do trójkątnej insuli Aurelii.

Eutychnus wpuścił go z pewnym ociąganiem, zachowanie Aurelii było natomiast takie samo jak zawsze.

- Czy dzieci już śpią? - spytał Sulla.

Uśmiechnęła się gorzko.

- Niestety nie. Wychowałam sowy, nie zaś skowronki. Nie lubią kłaść się spać



i nie lubią wstawać.

- Pozwól im więc nie spać jeszcze chwilę - powiedział, siadając na wyściełanej sofie. - Poproś je do nas, Aurelio. Dzieci to najlepsze przyzwoitki.

Rozjaśniła się.

- Masz rację, Lucjuszu Korneliuszu.

Usadowiła dzieci w odległym kącie. Dziewczynki były wysokie, bo osiągnęły już prawie dojrzałość, chłopiec zaś wyróżniał się wzrostem, bo zawsze zapowiadało się, że będzie wyższy od innych.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedział Sulla, nie sięgając po wino, które rządcą postawił mu przy łokciu.

- I ja się cieszę, że cię widzę.

- Bardziej niż ostatnio?

Roześmiała się.

- Ach, tamto! Miałam potem poważne kłopoty z mężem, Lucjuszu Korneliuszu.

- Dlaczego? Nigdy nie było lojalniejszej i cnotliwszej żony od ciebie. Wiem coś o tym.

- Ach, on nie zarzuca mi nielojalności, a tym bardziej niewierności. Chodzi o różnice poglądów.

- Różnice poglądów?- Sulla uśmiechnął się szeroko.

- Nie podoba mu się moje otoczenie. Nie podobają mu się moje zajęcia właścicielki kamienicy. Nie podoba mu się Lucjusz Dekumiusz. Nie aprobuję mojego sposobu wychowywania dzieci, które mówią miejscową gwarą tak samo dobrze jak łaciną z Palatynu. Mówią też zresztą trzema rodzajami greki, po aramejsku, po hebrajsku, po galijsku w dialekcie tolosańskim, Arwernów i Eduów, a także po likijsku.

- Po likijsku?

- Mamy tu na drugim piętrze rodzinę z Licji. Dzieci chodzą gdzie chcą i łapią słówka, tak jak ty i ja zbieramy kamyki na plaży. Nie wiedziałam dotąd, że Likijczycy mają własny język. Jest niezmiernie stary i podobny do pizydyjskiego.

- Czy mocno się poróżniłaś z Gajuszem Juliuszem?

- Wystarczająco.

- I w dodatku ty się bronisz w najbardziej nietypowy sposób - powiedział z uczuciem Sulla, który dopiero co napadł na własną córkę za to właśnie, co robiła Aurelia. Aurelia była jednak Aurelią. Wielu ludzi mówiło, że można ją mierzyć jedynie według jej własnych standardów, mówili to zaś z podziwem, nie z przyganą tak silny był jej urok.

- Obawiam się, że broniłam się zbyt dobrze - powiedziała bez cienia skruchy.

- Prawdę mówiąc, mój mąż przegrał. - W jej oczach pojawił się nagle smutek. - Przyznasz chyba, Lucjuszu Korneliuszu, że to najgorsza strona różnicy zdań.



Nikt z jego pozycją nie lubi przegrywać z własną żoną. Okazuje więc rezerwę i brak zainteresowania, i nie zamierza odgrywać się za ciosanie mu kołków na głowie. O bogowie!

- Czyżby przestał cię kochać?

- Nie sądzę. Wolałabym, żeby przestał. Byłoby mu o wiele łatwiej żyć, kiedy tu przebywa.

- A więc teraz ty nosisz tokę?

- Na to wygląda. Z purpurowym szlakiem, i w ogóle.

Zacisnął usta i skinął głową z mądrą miną.

- Powinnaś być mężczyzną Aurelio. Nie dostrzegałem tego aż do dziś, ale taka jest prawda.

- Masz rację, Lucjuszu Korneliuszu.

- Twój mąż był więc zadowolony z wyjazdu do Azji, a ty rada jesteś, że wyjechał.

- Znowu masz rację, Lucjuszu Korneliuszu.

Zaczął potem opowiadać o swej podróży na wschód i zyskał jeszcze jednego słuchacza. Cezar Młodszy wdrapał się na sofę matki i z zaciekawieniem słuchał, jak Sulla opowiada o swych spotkaniach z Mitrydatesem, Tigranesem i posłami partyjskimi.

Chłopiec miał prawie dziewięć lat i był urodziwszy niż kiedykolwiek. Sulla nie mógł oderwać oczu od jego pięknej twarzy. Jaki podobny do Sulli Młodszego, a przecież wcale niepodobny! Wyrósł już z okresu zadawania pytań i przeszedł do okresu słuchania. Siedział nieruchomo oparty o Aurelię, z błyszczącymi oczami i rozchylonymi ustami, a nieustannie zmieniający się wyraz jego twarzy był odzwierciedleniem myśli. Zadawał pytania z większą inteligencją niż Skaurus, z większą wiedzą niż Mariusz i z większym zainteresowaniem niż tamci dwaj. Skąd to wszystko wiedział? Sulla zadawał sobie to pytanie, przyłapując się na tym, że rozmawia z ośmiolatkiem dokładnie w taki sam sposób, jakby rozmawiał ze Skaurusem i Mariuszem.

- I co się stanie, jak sądzisz? - spytał, nie protekcyjnie, ale ze zwykłej ciekawości.

- Będzie wojna z Mitrydatesem i Tigranesem - odpowiedział Cezar Młodszy.

- Nie z Partami?

- Jeszcze długo nie. Ale jeśli wygramy wojnę z Mitrydatesem i Tigranesem, Pont i Armenia wpadną nam w ręce, a wtedy Partowie zaczną nas się bać tak samo, jak teraz Mitrydates i Tigranes.

Sulla skinął głową.

- Masz zupełną słuszność, Cezarze Młodszy.

Rozmawiali jeszcze przez godzinę, a potem Sulla wstał, burząc na pożegnanie czuprynę Cezara Młodszego. Aurelia odprowadziła go do drzwi. Odprawiła ruchem głowy stojącego w pogotowiu Eutychusa, który zajął się



zaganianiem dzieci do łóżek.

- Co słyhać w rodzinie? - spytała Aurelia, pozwalając Sulli otworzyć drzwi na Vicus Patricius, gdzie mimo zmroku pełno było ludzi.

- Sulla Młodszy jest mocno przeziębiony, a Kornelia Sulla ma spuchniętą buzię - odrzekł bez zastanowienia Sulla.

- Co jej się stało?

- Dałem jej lanie.

- Ach, rozumiem. Za jaki występki?

- Zdaje się, że postanowili z Mariuszem Młodszym pobrać się, kiedy dorosną. Obiecałem ją jednak właśnie synowi Kwintusa Pompejusza Rufusa. Chciała zagłodzić się na śmierć, żeby postawić na swoim.

- *Ecastor!* Przypuszczam, że biedaczka nigdy nie słyszała historii swojej matki.

- Nie.

- Ale teraz już ją zna?

- Z pewnością.

- Cóż, znam trochę tego młodego człowieka i jestem pewna, że będzie o wiele szczęśliwsza z nim niż z Mariuszem Młodszym.

Sulla roześmiał się.

- Tak właśnie myślałem.

- A co z Gajuszem Mariuszem?

- Ach, on też nie chce tego związku. - Sulla uniósł górną wargę, odsłaniając zęby. - On myśli o córce Scewoli.

- Dostanie ją bez kłopotu. Ave, Turpilio! - To ostatnie zostało powiedziane do przechodzącej matrony, która zaraz przystanęła. Sulla pożegnał się, Aurelia zaś oparta o ościeże drzwi czekała, aż Turpilia zacznie mówić.

Sulla nigdy nie bał się chodzić o zmroku po Suburze. Nie bała się też o niego Aurelia, widząc go znikającego w ciemnościach. Nikt nie zaczepiał Lucjusza Korneliusza Sulli. Odkąd poznał podziemny świat Rzymu, miał wypisane na twarzy, że należy do tego świata. Jeśli coś w jego zachowaniu mogło zdziwić Aurelię, to tylko to, że poszedł w górę Vicus Patricius, nie zaś w dół ku Forum Romanum i Palatynowi.

Zamierzał zająć do Cenzoryna, który mieszkał na górnym Wiminalu, przy uliczce prowadzącej do punickiej jabłoni. Była to szacowna dzielnica rycerzy, nie najbardziej jednak odpowiednia dla kogoś, kto popisywał się wpatrywaniem w szmaragd.

Z początku wydawało się, że rządca Cenzoryna nie zamierza wpuścić Sulli, ale ten umiał sobie radzić. Przybrał po prostu złowrogą minę i coś w umyśle rządcy zadźwięczało ostrzegawczo, tak że mimo woli otworzył szeroko drzwi. Wciąż złowrogo uśmiechnięty Sulla poszedł wąskim korytarzem do sali przyjąć parterowego apartamentu insuli i tam stanął, rozglądając się wokoło,



podczas gdy rządcą podreptał szukać swego pana.

Pięknie, bardzo pięknie! Freski na ścianach przedstawiały w najmodniejszym stylu wydarzenia poprzedzające odebranie przez Agamemnona Bryzejdy królewiczowi Ftyi, Achillesowi. Freski ujęto w iluzjonistyczne obramowania z agatów połączone z zielonymi gzymsami cokołowymi, również raczej namalowanymi niż rzeczywistymi. Posadzka była z kolorowej mozaiki, a zasłony z purpury tak ciemnej, że niewątpliwie tyryjskiej. Sofy pokryte były najwyższej jakości purpurowozłotą tkaniną. „Wcale nieźle, jak na przeciętnego członka *Ordo Equester*”, pomyślał sobie Sulla.

Z korytarza wiodącego do wewnętrznych pokojów wyłonił się Cenzorynus, zły i wytrącony z równowagi zachowaniem swego rządcy, który teraz się nie pokazał.

- I cóż, czego chcesz? - spytał.

- Twojego szmaragdu - odrzekł uprzejmie Sulla.

- Mojego... czego?

- Przecież wiesz, Cenzorynie. Tego szmaragdu, który dostałeś od króla Mitrydatesa.

- Króla Mitrydatesa? Nie wiem, o czym mówisz! Nie mam niczego takiego.

- Nonsens, oczywiście że masz. Oddaj mi go.

Cenzorynus zakrztusił się. Twarz mu poczerwieniała, a potem zbladła.

- Oddajże mi swój szmaragd, Cenzorynie!

- Dostaniesz wyrok i wygnanie, nic więcej!

Zanim Cenzorynus zdołał się poruszyć, Sulla stanął tak blisko niego, że dla patrzącego z boku mogło to wyglądać jak jakiś groteskowy uścisk. Potem dłonie Sulli znalazły się na ramionach Cenzoryna, ale nie były to dłonie kochanka. Wpijały się w ciało, raniły, były jak żelazne szpony.

- Słuchaj, ty podły robaku! Zabijałem dużo lepszych od ciebie. - Sulla mówił bardzo cicho, prawie czułym tonem. - Jeśli pójdiesz do sądu, będziesz trupem. Ja nie żartuję! Porzuć to śmieszne oskarżenie albo umrzesz. Będziesz martwy jak legendarny siłacz Herkules Atlas. Martwy jak kobieta ze skręconym karkiem u stóp urwiska w Cyrcejach. Martwy jak tysiąc Germanów. Martwy jak wszyscy, którzy mi grozili. Będziesz martwy jak w przyszłości Mitrydates, kiedy uznam, że musi umrzeć. Powiedz mu to, kiedy go spotkasz. On ci uwierzy! Uciekał z Kapadocji jak zbity pies z podkulonym ogonem, kiedy mu kazałem, bo o tym wiedział. Teraz wiesz i ty.

Nie było odpowiedzi. Cenzorynus nie próbował też wyrwać się z uścisku. Cichy i spokojny, jeśli nie liczyć przyśpieszonego oddechu, wpatrywał się w aż nazbyt bliską twarz Sulli, jakby nigdy przedtem nie widział tego człowieka i jakby nie wiedział, co począć.

Dłoń Sulli porzuciła ramię Cenzoryna, aby wślizgnąć się pod jego tunikę, a jej palce dotknęły końca mocnego rzemyka. Druga dłoń ześlizgnęła się z drugiego



ramienia Cenzoryna i zacisnęła się miażdżącym chwytem na jego mosznie. Cenzorynus wrzasnął przeraźliwie, niczym pies przejechany przez wóz, Sulla zaś zerwał ramię tak łatwo, jakby był on z wełny, a potem wsunął w zanadrze swej togi połyskliwy zielony, przedmiot. Nikt nie nadbiegł sprawdzić, kto krzyczał. Sulla odwrócił się na pięcie i odszedł bez pośpiechu.

- Ach, teraz mi lepiej! - zawołał, otwierając drzwi i śmiał się tak długo, że dopiero ich zatrzaśnięcie odcięło odgłos tego śmiechu od uszu Cenzoryna.



Wściekłość i frustracja spowodowane zachowaniem się Kornelii zniknęły bez śladu. Sulla wracał do domu krokiem lekkim jak chód dziecka i z uszczęśliwioną twarzą. Ten nastrój prysł w mgnieniu oka, kiedy otworzył drzwi swego domu i zamiast ciszy, przyćmionych świateł i sennych domowników ujrzał lunę świateł z wszystkich lamp, grupę obcych młodych ludzi i rządce ocierającego łzy.

- Co się dzieje? - wykrztusił.

- Twój syn, Lucjuszu Korneliuszu! - wykrzyknął rządca.

Sulla nie słuchał dłużej. Pobiegnął do pokoju, w którym Elia ulokowała chłopca. Stała przed drzwiami owinięta szalem.

- Co się dzieje? - spytał znów Sulla, chwytając ją za ramiona.

- Sulla Młodszy jest ciężko chory - wyszeptwała. - Dwie godziny temu wezwałam lekarzy.

Sulla rozepchnął lekarzy i zjawił się przy łożu syna z życzliwą i pogodną miną.

- Ależ, Sullo Młodszy, napędziłeś wszystkim strachu!

- Ojczy! - wykrzyknął z uśmiechem Sulla Młodszy.

- O co chodzi?

- Czy mogę przy obcych nazywać cię tatą?

- Oczywiście.

- Ten ból jest okropny.

- Gdzie cię boli, synu?

- Z przodu za mostkiem, tato. Tak mi zimno!

Oddychał płytko i głośno, z widocznym wysiłkiem. W oczach Sulli była to parodia sceny śmierci Metellusa Świnki Numidyjskiego i chyba dlatego nie mógł uwierzyć, że ogląda scenę śmierci. A jednak Sulla Młodszy wyglądał, jakby umierał. Niemożliwe!

- Nie mów nic, synu. Czy możesz się położyć?

- Leżąc, nie mogę oddychać. - Podkrążone oczy miały żalospny wyraz. - Tato, nie odchodź, proszę.

- Jestem tu, Lucjuszu. Nie odejdę ani na chwilę.

Gdy tylko jednak było to możliwe, Sulla odciągnął na bok Apollodora, żeby go wypytać.



- Zapalenie płuc, Lucjusz Korneliusz, zawsze jest trudne do wyleczenia, a w przypadku twego syna o wiele trudniejsze.

- Dlaczego?

- Obawiam się, że serce zostało już zajęte. Młody Lucjusz Korneliusz ma obrzęk płuc i wysięk do osierdzia, które uciska serce. - Apollodor był wystraszony. Cenę swojej sławy płacił przy takich właśnie okazjach, kiedy musiał powiedzieć jakiemuś dostojnemu Rzymianinowi, że medycyna jest bezsilna. - Prognozy są złe, Lucjusz Korneliusz. Obawiam się, że nic nie możemy na to poradzić, ani ja, ani nikt inny.

Sulla przyjął to na pozór dobrze. Rozsądek mówił mu, że lekarz jest całkiem szczery - że wyleczyłby chorego, gdyby to było możliwe. To był dobry lekarz - widać to było po dochodzeniu przez niego przyczyn śmierci Świnki-Szczecinki. Każde ciało podlega jednak burzom o takiej mocy, że lekarze są wobec nich bezsilni pomimo swych lancetów, lewatyw, okładów, lekarstw i magicznych ziół. Była to sprawa szczęścia, a Sulla uświadomił sobie teraz, że jego ukochanemu synowi wcale ono nie sprzyjało. Bogini Fortuna nie troszczyła się o niego.

Przez wiele godzin siedział, trzymając syna w ramionach, z policzkiem przy zmatowiałych wilgotnych włosach, słuchając wysiłonego oddechu i staccato łapania tchu świadczącego o straszliwym bólu. Chłopiec nie mógł kaszleć, bo związana z tym udręka była nie do zniesienia. Nie można go też było namówić do picia. Usta miał spękane od gorączki, a język obłożony i siny. Od czasu do czasu mówił coś do ojca coraz słabszym głosem i coraz mniej wyraźnie, póki wreszcie nie przeszedł bez logicznego wytłumaczenia i bez powodu do jakiegoś niepojętego świata.

W trzydzieści godzin później umarł w zdrtwiałych ramionach ojca. Sulla nie poruszył się ani razu, chyba tylko na prośbę chłopca. Nie jadł ani nie pił, i nie korzystał z łazienki, nie odczuwał jednak żadnej niewygody, tak ważne było dla niego przebywanie z synem. Byłoby dla niego pociechą, gdyby syn rozpoznawał go w chwili śmierci, ale Sulla Młodszy przebywał już wtedy gdzieś daleko od pokoju i od ramion, w których leżał, i umarł, nie wiedząc o niczym.

Wszyscy bali się Lucjusza Korneliusza Sulli. Czterej lekarze wstrzymując oddech, uwolnili zmarłego z objęć ojca, pomogli Sulli wstać i ułożyli chłopca na łóżku. Sulla nie powiedział jednak ani nie zrobił niczego, co mogłoby wzbudzić strach. Zachowywał się jak najrozsądniej, w sposób godny podziwu. Kiedy odzyskał władzę w skurczonych mięśniach, pomagał przy myciu chłopca i ubraniu go w dziecięcą togę z purpurowym szlakiem. W grudniu, w czasie święta Juventas, chłopiec zostałby mężczyzną. Żeby płaczący niewolnicy mogli posłać łóżko, Sulla podniósł wiotkie ciało syna i trzymał je w ramionach. Potem położył je na czystej pościeli, ułożył ramiona zmarłego wzdłuż boków,



przycisnął mu monetami powieki i wsunął pieniążek do ust na zapłatę Charonowi za przewóz.

Elia także nie odchodziła od drzwi przez te wszystkie straszliwe godziny. Sulla objął ją teraz ramieniem, zaprowadził do krzesła przy łóżku i posadził na nim, aby mogła popatrzeć na chłopca, którego wychowywała od najwcześniejszych lat i przywykła uważać za własnego syna. Była tam też Kornelia Sulla z twarzą noszącą ślady pobicia, była Julia i Gajusz Mariusz, i Aurelia.

Sulla powitał ich jak człowiek w pełni władz umysłowych, przyjął łzawe wyrazy współczucia, uśmiechał się nawet i odpowiadał na ich nieśmiałe pytania opanowanym, czystym głosem.

- Muszę się wykąpać i przebrać - powiedział potem. - Mam dziś proces o zdradę stanu. Śmierć syna mogłaby mnie usprawiedliwić, ale nie dam Cenzorynowi takiej satysfakcji. Gajuszu Mariuszu, czy zgodzisz się towarzyszyć mi, kiedy będę gotów?

- Z radością Lucjusz Korneliuszu - powiedział grubym głosem Mariusz, ocierając łzy. Nigdy nie podziwiał Sulli bardziej niż teraz.

Najpierw jednak poszedł Sulla do domowej latryny. Nie było tam nikogo. Ulżył w końcu swym wnętrznościom, sam na marmurowej ławie o czterech siedziskach, słuchając szumu płynącej dołem wody i przytrzymując fałdy togi, o zdjęciu której nie pomyślał wcześniej, zasiadając do czuwania przy synu. Jego palce natrafiły na jakiś przedmiot. Wydobył go, by mu się przyjrzeć w rosnącym świetle, ledwie go rozpoznając, jakby należał do innego życia. Szmaragd Cenzoryna! Kiedy skończył i ogarnął się, odwrócił się do marmurowej ławy i rzucił tę bezcenną rzecz w czeluść kanału. Szum wody stłumił plusk.

Kiedy pojawił się w atrium, by dołączyć do Mariusza i pójść z nim na Forum Romanum, za jakąś niezwykłą przyczyną wróciła mu cała uroda jego młodych lat. Jaśniał nią zapierając dech w piersiach wszystkim, którzy go widzieli.

Poszli z Mariuszem w milczeniu aż do sadzawki Kurcjusza, gdzie zebrało się kilkuset rycerzy gotowych podjąć się obowiązków jurorów. Urzędnicy sądowi przygotowywali urny do losowania. Wybierano osiemdziesięciu i jednego, ale piętnastu z tej liczby usuwano potem według wskazań oskarżenia i piętnastu według życzenia obrony. Pozostawało pięćdziesięciu jeden - dwudziestu sześciu rycerzy i dwudziestu pięciu senatorów. Ten jeden rycerz więcej był ceną, jaką płacił senat za przewodniczenie sądowi.

Czas mijał. Wybrano członków kolegium. Cenzorynus nie nadchodził, pozwolono więc obronie prowadzonej przez Krassusa Oratora i Scewolę usunąć piętnastu jurorów. Cenzorynus wciąż się nie zjawiał. W południe cały sąd był zniecierpliwiony i wszyscy sędziowie wiedzieli już, że podsądny przybył tu wprost od łoża śmierci jedyne go syna. Przewodniczący wysłał



gońca do domu Cenzoryna. Po dłuższym czasie posłaniec wrócił z wiadomością, że poprzedniego dnia Cenzorynus spakował swoje ruchomości i wyjechał w nieznanym kierunku.

- Sąd jest rozwiązany - oznajmił przewodniczący. - Lucjuszu Korneliuszu, przyjmij nasze najgorętsze przeprosiny, a także wyrazy współczucia.

- Odprowadzę cię, Lucjuszu Korneliuszu - powiedział Mariusz. - To jednak dziwna historia, czyż nie? Co się z nim stało?

- Dzięki, Gajuszu Mariuszu, ale wolę być sam - odrzekł z opanowaniem Sulla. - Co do Cenzoryna, przypuszczam, że pojechał szukać schronienia u króla Mitrydatesa. - Tu skrzywił się nieprzyjemnie. - Musisz wiedzieć, że miałem z nim rozmowę.

Z Forum Romanum Sulla poszedł szybkim krokiem w stronę Bramy Eskwilińskiej. Zajmując prawie całe Campus Esquilinus, rozciągała się tam za murami serwiańskimi rzymska nekropolia. Było to prawdziwe miasto grobowców - czasem skromnych, czasem wspaniałych, najczęściej zaś będących czymś pośrednim między jednym a drugim - kryjących prochy mieszkańców Rzymu, obywateli i nie-obywateli, wolnych i niewolników, miejscowych i cudzoziemców.

Na lewo od wielkich rozstajów, o sto kroków od murów serwiańskich, stała w cyprysowym gaju świątynia Wenus Libityny, tej która władała wygasaniem sił żywotnych. Była to piękna budowla pomalowana na kolor soczystej zieleni z purpurowymi kolumnami o połączonych jońskich głowicach i z żółtym dachem nad portykiem. Schody wyłożone były ciemnoróżową terakotą, a na przyczółku widniały jaskrawo malowane podobizny bogów i bogiń Tamtego Świata. Na szczycie dachu świątyni stał piękny złoty posąg samej Wenus Libityny w rydwanie zaprzężonym w myszy, wysłanniczki śmierci.

W tym cyprysowym gaju rozstawił swoje kramy cech grabarzy walczących o zamówienia, a nie była to bynajmniej działalność żalosna, smutna ani cicha. Potencjalni ich klienci byli chwytni, popychani, namawiani, czarowani, ponaglani i pociągani, bo grzebanie zmarłych było zajęciem jak każde inne, a tu właśnie był rynek sług śmierci. Sulla mijał ich kramy niczym duch, a jego niesamowity dar odpychania ludzi trzymał z dala nawet tych najbardziej natrętnych. Doszedł wreszcie do firmy, która grzebała Korneliuszy, i tam załatwił swoje sprawy.

Następnego dnia miano przysłać do jego domu aktorów po wskazówki co do pogrzebu, który miał się odbyć na trzeci dzień. Korneliusz Sulla Młodszy miał być pochowany nie, spalony, zgodnie z rodową tradycją. Sulla zapłacił notą do swego banku z poleceniem wypłaty dwudziestu talentów srebra. Rzym długo jeszcze miał mówić o kosztach pogrzebu. On, który zwykle rachował każdą sestercję, tym razem nie liczył się z pieniędzmi.

Wróciwszy do domu, odesłał Elię i Kornelię z pokoju, w którym leżał Sulla



Młodszy, i sam zasiadł na krześle Elii, patrząc na to, co zostało z jego syna. Żal, poczucie straty, nieodwracalność tego wszystkiego leżały mu na sercu niczym kawał ołowiu. Ledwie zdołał udźwignąć to brzemię. Oto leżała przed nim ruina jego domu, wszystko, co pozostało z najdroższego przyjaciela, towarzysza jego starości, dziedzica jego nazwiska, fortuny, reputacji i jego publicznej kariery. Wszystko przepadło w ciągu trzydziestu godzin i to nie z wyroku jakiegoś boga ani kaprysu losu. Przeziębienie przeszło w zapalenie płuc, a serce przestało pracować. Historia tysięcy chorób. Nie było w tym niczyjej winy i nie był to niczyj błąd. Przypadek. Dla tego chłopca, który niczego już nie wiedział i nie czuł, był to po prostu koniec życia, jego bolesny finał. Dla tych, których pozostawiał, wiedzących i czujących, była to zapowiedź pustki w środku ich życia, której nie da się zapełnić, dopóki życie się nie skończy. Jego syn nie żył. Przyjaciel odszedł na zawsze.

Kiedy po dwóch godzinach wróciła Elia, Sulla poszedł do pracowni i napisał list do Metrobiusza.

*Mój syn nie żyje. Kiedy poprzednio odwiedziłeś mój dom, umarła moja żona. Powinieneś być, zgodnie z Twoim zawodem, zwiastunem radości, deus ex machina ze sztuki teatralnej. Ty jednak masz twarz okrytą welonem, jesteś zwiastunem smutku.*

*Nigdy więcej nie przychodź do mego domu. Widzę teraz, że moja patronka Fortuna nie może znieść rywala. Kochałem Cię bowiem tą częścią duszy, którą ona uważała za swoją własność. Wielbiłem Cię jak bóstwo. Byłeś dla mnie uosobieniem miłości doskonałej. To ona jednak chce być tym właśnie, ona zaś jest kobietą początkiem i końcem mężczyzny.*

*Jeśli kiedyś przyjdzie dzień, w którym Fortuna mnie opuści, dam Ci znać. Dopiero wtedy, nie wcześniej.*

*Mój syn był dobrym synem, takim właśnie, jakiego chciałem mieć, Rzymianinem. Dziś nie żyje, a ja zostałem sam. Nie chcę Ciebie.*

Zapieczętował starannie, wezwał rządcę i pouczył go, gdzie ma wysłać list. Spojrzał potem na ścianę, gdzie -jak dziwnie układa się życie! - Achilles siedział na marach Patroklesa, trzymając go w ramionach. Malarz nadał twarzy Achillesa wyraz tragicznej maski, który wydał się Sulli całkowicie chybionym wtargnięciem w świat osobistego cierpienia, którego nie powinien oglądać motłoch. Klasnął w dłonie i polecił rządcy usunąć ze ściany malowidło.

- Lucjuszu Korneliuszu, przyszli grabarze. *Lectus funebris* stoi w atrium gotowe na przyjęcie twego syna, by wystawić ciało - mówił płaczący rządcą.

Obejrzawszy pięknie rzeźbione i złożone mawy, nakryte czarnym sukniem i z czarnymi poduszkami, Sulla wyraził aprobatę skinieniem głowy i własnoręcznie przeniósł na nie syna, wyczuwając, że zaczyna się już stężenie



pośmiertne. Spiętrzano poduszki i podparto nimi chłopca w pozycji siedzącej. Tu, w atrium, miał pozostawać, dopóki na czarno ubrani nosiciele nie poniosą *lectus funebris* w pochodzie pogrzebowym. Głowę miał zwróconą ku drzwiom do ogrodu-perystylu, stopy zaś ku drzwiom wyjściowym na uliczkę, nad którymi przybito gałęzie cyprysu.

Trzeciego dnia odbył się pogrzeb Sulli Młodszego. Przez wzgląd na kogoś, kto był pretorem miejskim i kto miał wszelkie szanse zostać konsulem, zawieszono wszystkie sprawy państwowe na Forum Romanum. Rzymianie w czarnych żałobnych togach czekali na ukazanie się pochodu. Brały w nim udział rydwany, orszak kierował się więc spod domu Sulli w dół Clivus Victoriae do Velabrum, skręcał w Vicus Tuscus i wchodził na Forum Romanum między świątynią Kastora i Polluksa a bazyliką Semproniusza. Przodem szli dwaj grabarze w czarnych togach, potem muzykanci w czerni grający na prostych wojskowych trąbach i zakrzywionych rogach oraz na fletach zrobionych z kości goleniowych zabitych w boju nieprzyjaciół Rzymu. Marsze pogrzebowe były uroczyste, ale mało melodyjne i pozbawione uroku. Za muzykantami szły na czarno ubrane kobiety zarabiające jako płaczki. Śpiewały pieśni żałobne, biły się w piersi i płakały prawdziwymi łzami.

Za nimi szła grupa tancerek wijących się i wirujących w rytualnych ruchach starszych niż sam Rzym, i powiewających cyprysowymi gałęziami. Za nimi jechało pięciu aktorów noszących woskowe maski przodków Sulli. Każdy stał na czarnym rydwaniu zaprzężonym w dwa czarne konie. Mary niosło ośmiu wyzwoleńców w czarnych strojach, którzy kiedyś byli niewolnikami macochy Sulli, Klitumny. Zgodnie z jej testamentem zostali wyzwoleni i przeszli do klienteli Sulli. Sulla szedł za *lectus funebris* w czarnej todze zarzuconej na głowę. Obok niego szedł jego siostrzeniec Lucjusz Noniusz, Gajusz Mariusz, Sekstus Juliusz Cezar, Kwintus Lutacjusz Cezar i jego dwaj bracia, Lucjusz Juliusz Cezar i Gajusz Juliusz Cezar Strabon. Wszyscy mieli zakryte głowy. Za mężczyznami szły kobiety, ubrane na czarno, lecz z gołymi głowami i z włosami w nieładzie.

Przy rostrach muzykanci, zawodowe żałobnice, tancerki i grabarze zebrali się na Forum za tylną ścianą. Tymczasem aktorzy noszący woskowe maski zostali wprowadzeni po schodach na szczyt rostrów i usadzeni na kurulnych krzesłach z kości słoniowej. Nosili togi z purpurowym szlakiem, ten zaś Sulla, który był flamenem *Dialis* ubrany był w kapłańskie szaty. Mary ustawiono na rostrach, a krewni zmarłego - wszyscy, prócz Lucjusza Noniusza i Elii, związani w ten czy inny sposób z rodem julijskim - weszli na rostra, by wysłuchać eulogii. Wygłosił ją w krótkich słowach sam Sulla.

- Dziś grzebię swego jedynego syna - mówił do milczącego tłumu. - Należał do *gens* Kornelia, do ponaddwustuletniej gałęzi tego rodu, która wydała konsulów i kapłanów, najczcigodniejszych ludzi. W grudniu zostałby



mężczyzną Korneliuszem. Tak jednak nie miało się stać. W chwili śmierci nie miał jeszcze piętnastu lat.

Odwrócił się, by popatrzeć na krewnych w żałobie. Mariusz Młodszy był w czarnej todze i z zasłoniętą głową, bo nosił już męską togę. Jego nowy status oddzielał go od Kornelii Sulli, której oczy spoglądały na niego żałośnie z podrapanej i spuchniętej twarzy. Były tam Aurelia i Julia, gdy jednak Julia płakała i podtrzymywała Elię, Aurelia stała wyprostowana i z suchymi oczami, z miną raczej ponurą niż smutną.

- Mój syn był wspaniałym chłopcem, ukochanym i wypieszczonym. Jego matka zmarła, gdy był jeszcze bardzo mały, ale macocha stała się dla niego wszystkim, czym mogła być matka. Gdyby żył, okazałby się prawdziwym potomkiem szlacheckiego rodu patrycjusza, był bowiem wykształcony, inteligentny, ciekawy świata i dzielny. Kiedy podróżowałem na wschód, by spotkać się z królami Pontu i Armenii, pojechał ze mną i znosił wszystkie niebezpieczeństwa, jakie mogą grozić w obcych krajach. Był świadkiem mego spotkania z posłami partyjskimi i byłby najodpowiedniejszym człowiekiem w swoim pokoleniu, którego mógłby wysłać do nich Rzym. Był mi najlepszym towarzyszem, najlojalniejszym stronnikiem. Było mu sądzone zginąć w Rzymie od choroby. Rzym będzie bez niego uboższy, tak jak ja i moja rodzina. Chowam go oto z wielką miłością i wielkim smutkiem, i daję wam walki gladiatorów na jego igrzyskach żałobnych.

Ceremonia na rostrach została zakończona. Wszyscy wrócili na swoje miejsca w pochodzie, który ruszył ku Bramie Kapeńskiej, Sulla postarał się bowiem o grobowiec na Via Appia, gdzie chowano większość Korneliuszów. U drzwi grobowca ojciec podniósł Sullę Młodszego z jego pogrzebowego łoża i ułożył w marmurowym sarkofagu ustawionym na płozach. Umocowano pokrywę, wyzwoleńcy niosący mury wpełchnęli sarkofag do grobowca, a potem usunęli płozy. Sulla zamknął wielkie drzwi z brązu. Zamknął też część swego życia. Jego syn nie żył. Nic już nie będzie takie jak przedtem.



Kilka dni po złożeniu Sulli Młodszego na wieczny spoczynek ustanowiono *lex Livia agraria*. Ustawa przeszła do Zgromadzenia Plebejskiego z aprobatą senatu, pomimo gwałtownych sprzeciwów Cepiona i Wariusza w kurii, po czym napotkała niespodziewanie zacięty opór w komicjach. Czego się Druzus nie spodziewał, to oporu ze strony Italczyków, a tego właśnie nie zabrakło. Chociaż ziemia, o którą chodziło, nie należała do nich, ich posiadłości sąsiadowały najczęściej z rzymskim *ager publicus*, a pomiary gruntowe przeprowadzono raczej mało dokładnie. Wiele białych kamieni granicznych przesunięto poprzednio ukradkiem i wiele italskich majątków obejmowało ziemię, które do nich nie należały. Wielkie pomiary prowadzono teraz w celu podziału



ziemi państwowej na działki po dziesięć jugerów, a wszelkie niezgodności miały być automatycznie korygowane. Najbardziej poszkodowane wydawały się grunty państwowe w Etrurii, być może dlatego, że jednym z największych latyfundystów był tam Gajusz Mariusz, on zaś nie przejmował się wcale urywaniem mu skrajów gruntu przez etruskich sąsiadów. Niespokojna była także Umbria, Kampania była natomiast cicha i pokorna.

Druzus był jednak bardzo zadowolony i mógł napisać do Silona w Marruwium, że wszystko wygląda dobrze. Skaurus, Mariusz, a nawet Katulus Cezar byli pod wrażeniem wywodu Druzusa o *ager publicus* i zdołali przekonać młodszego konsula Filipa, żeby siedział cicho. Nikt nie zdołał zamknąć ust Cepionowi, ale jego słowa nie trafiały do uszu słuchaczy. Może działo się tak dlatego, że żaden był z niego mówca, a może z powodu skutecznej kampanii propagandowej przeciw ludziom dziedziczącym wielkie ilości złota - Rzym nie wybaczył tego Serwiliuszom Cepionom.

*Proszę więc, Kwintusie Popediuszu, zrób, co możesz, żeby skłonić Etrusków i Umbryjczyków do przerwania protestów. Ostatnią rzeczą jakiej mi trzeba, jest spór z tymi, którym chcę zwrócić ziemię kiedyś należącą do nich.*

Odpowiedź Silona nie była zbyt krzepiąca.

*Niestety, Marku Liwiuszu, moje wpływy w Etrurii i Umbrii są niewielkie. Żyją tam dziwni ludzie, sam to wiesz - przekonani o swojej autonomii i nieufni wobec Marsów. Przygotuj się na dwa wydarzenia. Jedno jest dobrze nagłośnie na północy, o drugim dowiedziałem się przez czysty przypadek i mocno się nim niepokoję.*

*Najpierw pierwsze wydarzenie: co znaczniejsi etruscy i umbryjscy właściciele ziemscy planują marsz na Rzym delegacji z protestem przeciw likwidacji rzymskiego *ager publicus*. Tłumaczą (nie mogą się oczywiście przyznać do przesuwania granic), że *ager publicus* w Etrurii i Umbrii istnieje od tak dawna, że zmieniła się tam ekonomia i stosunki ludnościowe. Napływ małorolnych zrujnuje, jak twierdzą, Etrurię i Umbrię. W ich miastach nie ma sklepów i rynków odpowiednich dla małorolnych. Sklepy zmieniły się w magazyny, bo właściciele i zarządcy latyfundiów kupują hurtowo. Twierdzą też, że latyfundiści wyzwolą tam po prostu swoich niewolników, nie troszcząc się o następstwa. W rezultacie tysiące wyzwoleńców będą włóczyć się po okolicy i rabować. Etruria i Umbria będą musiały na własny koszt odsyłać ich do ojczyzny. I tak dalej, i tak dalej. Przygotuj się na przyjęcie delegacji.*

*Drugie wydarzenie może się okazać groźniejsze. Jacyś zapaleńcy z Samnium uznali, że nie ma nadziei na obywatelstwo ani na pokój z Rzymem, i zamierzają okazać Rzymowi swoje niezadowolenie podczas obchodów święta Jowisza*



*Latiarisa na Górze Albańskiej. Planują zabójstwo konsulów, Sekstusa Cezara i Filipa. Plan jest dobrze ułożony. Napadną na konsulów, gdy będą wracać do Rzymu z Bowillów, a liczba napastników będzie przeważająca.*

*Zrób, co możesz, żeby uspokoić umbryjskich i etruskich właścicieli ziemskich i zdławić tę próbę zabójstwa, zanim do niej dojdzie. Pewnie ucieszy Cię wiadomość, że wszyscy, którym kazałem złożyć przysięgę wierności wobec Ciebie, zrobili to z wielką ochotą. Liczba potencjalnych klientów Marka Liwiusza Druzusa wciąż rośnie.*

To przynajmniej była dobra wiadomość! Druzus zmarszczył brwi, zastanawiając się nad mniej miłą zawartością listu Silona. W sprawie Italczyków z Etrurii i Umbrii mógł co najwyżej wygłosić porywającą mowę na rzecz ich obecności na Forum. Co do planu zabójstwa konsulów, nie miał innego wyjścia, niż ich ostrzec. Będą go potem wypytywać jako informatora i nie będą zachwyceni wymijającymi odpowiedziami - zwłaszcza Filip.

W rezultacie, Druzus postanowił pomówić z Sekstusem Cezarem, nie zaś z Filipem, i nie ukrywał, skąd ma informacje.

- Otrzymałem list od mego przyjaciela Kwintusa Popediusza Silona, Marsyjczyka z Marruwium - powiedział Cezarowi. - Jakaś banda niezadowolonych Samnitów uznała chyba, że jedynym sposobem zmuszenia Rzymu do rozmów o obywatelstwie dla Italii jest użycie siły. Ty i Lucjusz Marcjusz zostaniecie napadnięci przez dużą liczbę zbrojnych Samnitów gdzieś na Via Appia, między Bowillami a Rzymem, kiedy będziecie wracali z festiwalu latyńskiego.

Sekstus Cezar nie miał swego dobrego dnia. Słysząc było wyraźnie jego świszczący oddech, usta zaś miał posiniałe. Przywykł jednak do swojej choroby i nie przeszkodziła mu ona w zdobyciu konsulatu. Wyprzedził nawet swego kuzyna Lucjusza Cezara, chociaż tamten był wcześniej od niego pretorem.

- Wygłoszę ci podziękowanie w kurii, Marku Liwiuszu - oświadczył starszy konsul - i dopilnuję, żeby prynceps senatu podziękował pisemnie w imieniu kurii Kwintusowi Popediuszowi Silonowi.

- Sekstusie Juliuszu, wolałbym raczej, żebyś tego nie robił - powiedział szybko Druzus. - Lepiej będzie nic nikomu nie mówić, pożyczyć z Kapui kilka kohort dobrych żołnierzy i zastawić pułapkę na tych Samnitów. W przeciwnym razie zostaną uprzedzeni o wykryciu spisku i wycofają się, a twój kolega, konsul Lucjusz Marcjusz, pierwszy nie uwierzy, że groził jakiś spisek. Żeby uchronić swoją reputację, muszę doprowadzić do schwytania samnickich malkontentów na gorącym uczynku. Dzięki temu damy Italii nauczkę, kiedy wychłostamy i wytracimy tę bandę do ostatniego. To nauczy Italię, że droga gwałtu prowadzi donikąd.



- Rozumiem, o co ci chodzi, Marku Liwiuszu i postąpię stosownie do tego - zapewnił Sekstus Juliusz Cezar.

Tak więc, pośród rozgniewanych italskich właścicieli ziemskich i knujących zabójstwo Samnitów, Druzus kontynuował swe dzieło. Przybyli Etruskowie i Umbryjczycy, na szczęście tak agresywni i aroganccy, że zirytowali nawet tych, których mogliby przeciągnąć na swoją stronę. Zostali też ostro odprawieni, nie budząc niczyjej sympatii. Sekstus Cezar zrobił dokładnie to, czego chciał Druzus. Kiedy Samnici napadli pod Bowillami na pokojowo wyglądającą procesję, zostali rozgromieni przez kilka kohort legionistów ukrytych za grobowcami po drugiej stronie Via Appia. Niektórzy zginęli w walce, większość jednak została ujęta żywcem, wychłostana i stracona.

Druzusa niepokoiło to, że - jak było do przewidzenia - jego *lex agraria* stała się prawem zapewniającym każdemu obywatelowi rzymskiemu dziesięć jugerów państwowej ziemi. Senat i reszta klasy pierwszej mieli otrzymać swe działki pierwsi, a *capite censi*, czyli Policzeni Głowami, ostatni. Choć wszyscy mówili, że w Italii jest wiele milionów jugerów państwowej ziemi, Druzus bardzo wątpił, by wiele z tego zostało dla Policzonych Głowami, kiedy nadejdzie ich kolej przydziału ziemi. Wszyscy wiedzieli, że nie byłoby mądrze narażać się Policzonym Głowami. Muszą otrzymać jakąś rekompensatę zamiast ziemi. W grę wchodziło tylko jedno - zboże po niskiej i stałej cenie nawet w czasie głodu. Już widział tę bitwę, jaką przyjdzie mu stoczyć w senacie o *lex frumentaria* sankcjonującą wydawanie taniego zboża Policzonym Głowami!

Jakby nie miał dość zmartwień, próba zamachu podczas festiwalu la-tyńskiego zaalarmowała Filipa do tego stopnia, że wszczął dochodzenie za pośrednictwem przyjaciół, jakich tylko miał w Italii. W maju wystąpił w kurii z oświadczeniem, że Italia jest niespokojna, a niektórzy mówią nawet o wojnie z Rzymem. Nie wyglądał na przestraszonego, ale raczej na kogoś, kto chce napędzić strachu Italczykom. Zaproponował, żeby wysłać dwóch pretorów - jednego na południe od Rzymu, a drugiego na północ - i rozpoznać na użytek senatu i ludu rzymskiego, co się właściwie dzieje.

Katulus Cezar, który tak ucierpiał w Aesernii, kiedy przewodniczył trybunałowi specjalnemu *lex Licinia Mucia*, uznał to za doskonałe posunięcie. Wtedy oczywiście senatorowie, którzy w innym przypadku mogliby nie być zachwyceni, natychmiast okrzyknęli sugestię Filipa znakomitym pomysłem. Pretor Serwiusz Sulpicjusz Galba otrzymał polecenie rozpoznania sytuacji na południu, a pretor Kwintus Serwiliusz, z rodu Augura, to samo polecenie na północy. Obu im pozwolono dobrać sobie legata, obu wyposażono w imperium prokonsularne i dano pieniądze na podróż, a nawet na utrzymanie straży przybocznej złożonej z wynajętych byłych gladiatorów.

Wiadomość, że senat wysłał dwóch pretorów na rozpoznanie tego, co



Katulus Cezar uparcie nazywał „kwestią italską”, nie ucieszyła Silona ani trochę. Mutilus w Samnium, który boleśnie odczuł chłostę i egzekucję dwustu dzielnych na Via Appia, skłonny był uznać tę nową zniewagę za akt wojny. Druzus pisał gorączkowo do nich obu list za listem, błagając, by dali mu szansę, siedzieli cicho i czekali.

W tym czasie opasał lędźwie do walki i przystąpił do przedstawienia senatowi swego planu wydawania przydziałów taniego zboża. Podobnie jak podział *ager publicus*, tanie zboże nie mogło być zastrzeżone tylko dla najuboższych. Każdy obywatel rzymski, który zdecyduje się stanąć w długiej kolejce do stanowiska edylów w portyku Minucjusza, winien otrzymać swój talon upoważniający go do nabycia pięciu *modii* państwowej pszenicy. Potem pójdzie do państwowych spichrzów pod urwiskami Awentynu i po okazaniu talonu odwiezie swoje zboże do domu. Skorzystają z tego przywileju nawet niektórzy bardzo bogaci i szanowani - połowa z nieuleczalnego skąpstwa, połowa zaś dla zasady. Ogólnie jednak, większość tych, których stać na danie rządcy kilku monet na zakup zboża z prywatnych spichrzów na Vicus Tuscus, nie będzie skłonna osobiście fatygować się po talon na tanie zboże. W porównaniu z kosztami innych stron życia w Rzymie - choćby z kosztami czynszu, które zawsze były astronomiczne - te pięćdziesiąt lub sto sestercji miesięcznie to drobiazg. Tak więc, obywatele stojący w kolejce po talony będą w większości należeć do klasy piątej i do Policzonych Głowami.

- Ziemi w żaden sposób nie starczy dla nich wszystkich - mówił Druzus w kurii - nie możemy jednak o nich zapominać ani dawać im powodu do przypuszczeń, że znowu zostaną pominięci. Rzymskie koryto jest dość wielkie, ojcowie spisani, by się przy nim pożywiły wszystkie rzymskie gęby. Skoro nie możemy dać Policzonym Głowami ziemi, musimy dać im tanie zboże po stałej cenie pięciu sestercji za modius, niezależnie od urodzaju. Obciążenie finansowe będzie dla skarbu państwa łatwe do zniesienia, bo kiedy mamy nadwyżki pszenicy, skarb kupuje ją po dwie do czterech sestercji za modius. Sprzedaż po pięć daje nam zatem niewielki zysk, który ułatwi skarbowi zadanie w latach nieurodzaju. Proponuję prowadzenie osobnego konta, którego można użyć wyłącznie na zakup pszenicy. Nie możemy korzystać z dochodu narodowego, żeby sfinansować tę ustawę. To byłby błąd.

- Jak więc zamierzasz, Marku Liwiuszu, opłacić ten wspaniały gest? - wycedził Lucjusz Marcjusz Filip.

Druzus uśmiechnął się.

- Przemyślałem wszystko, Lucjusz Marcjusz, i wszystko wpisałem w ustawę. Mam zamiar zdewaluować część edycji naszych monet.

W kurii podniosło się poruszenie i dał się słyszeć pomruk. Nikt nie lubił słowa „dewaluacja” i większość była ogromnie konserwatywna, kiedy chodziło o *fiscus*. W Rzymie nie prowadzono polityki obniżania wartości pieniądza.



Pomysł ten potępiano jako oszukańczą sztuczkę Greków. Uciekano się do niego jedynie podczas pierwszej i drugiej wojny punickiej, potem zaś starano się utrzymać wagę monet. Gajusz Grakchus, choć w innych sprawach był radykalny, podniósł wartość srebrnej monety rzymskiej. Bynajmniej nie speszony Druzus przeszedł do wyjaśnień.

- Jeden z każdych ośmiu denarów zostanie odlany z brązu zmieszanego z kroplą ołowiu dla uzyskania wagi srebrnej monety, a potem posrebrzony. Przeprowadziłem swoje kalkulacje, najostrożniej jak można - przyjąłem mianowicie, że na każde dwa lata tłuste będziemy mieli pięć chudych. Wszyscy wiedzą że to zbyt pesymizm. W rzeczywistości mamy więcej lat dobrych niż złych. Nie możemy jednak wykluczyć powtórzenia się takiego głodu, jak tamten spowodowany sycylijską wojną z niewolnikami. Posrebrzanie monet jest bardziej pracochłonne niż bicie ich z czystego srebra. W konsekwencji określiłem koszt mojego programu jako jedną ósmą podczas gdy rzeczywisty będzie zbliżony raczej do jednej dziesiątej. Widzicie więc, że skarb państwa nic na tym nie straci. Ta metoda nie będzie też uciążliwa dla ludzi interesu, którzy dokonują transakcji na papierze. Główny ciężar spadnie na tych, którzy używają monet. Poza tym - a moim zdaniem to najważniejsze - da się uniknąć odium związanego z bezpośrednim opodatkowaniem.

- Po co kłopotać się posrebrzaniem jednej ósmej monet w każdej edycji, zamiast po prostu posrebrzyć co ósmą edycję - spytał pretor Lucjusz Lucyliusz, który był bardzo wymowny, jak wszyscy w jego rodzinie, ale nie miał pojęcia o arytmetyce.

- Ponieważ - odpowiedział cierpliwie Druzus - najważniejszą rzeczą jest, żeby używający tych monet nie mogli odróżnić prawdziwych od posrebrzanych. Gdyby cała edycja była z brązu, nikt by ich nie chciał przyjmować.

Choć zakrawało to na cud, Druzus dostał swoją *lex frumentaria*. Senat został przekonany przez skarb państwa (który po dokonaniu obliczeń doszedł do tych samych wniosków co Druzus), zrozumiał, jak korzystne może być obniżenie wartości pieniądza, i zalecił przekazanie ustawy do Zgromadzenia Plebejskiego. Najbardziej wpływowi w tej instytucji rycerze szybko pojęli, jak małe znaczenie ma ona przy transakcjach bezgotówkowych. Wszyscy wiedzieli oczywiście, że różnica między pieniądzem rzeczywistym a kawałkiem papieru jest pozorna. Byli jednak pragmatykami i wiedzieli aż za dobrze, że prawdziwą wartością pieniądza jest wiara weń ludzi, którzy go używają.

Pod koniec czerwca prawo znalazło się na tablicach. Państwowe zboże miało być przez wszystkie przyszłe lata sprzedawane po pięć sestercji za modius, a kwestorzy skarbu przygotowywali pierwszą edycję nowych monet wespół z *viri monetales*, którzy mieli nadzorować tłoczenie. Trzeba było na to czasu, ale urzędnicy zakładali, że już we wrześniu co ósmy nowy denar będzie



posrebrzany. Były i opory. Cepion nie zaprzestał wykrzykiwania protestów, rycerze nie całkiem byli uszczęśliwieni metodami Druzusa, a rzymscy ubodzy podejrzewali, że zostaną oszukani w jakiś nie ujawniony przez władze sposób. Druzus nie był jednak Saturninem i senat był za to wdzięczny. Kiedy zwoływał *contio* w Zgromadzeniu Plebejskim, dbał o decorum i o legalność. Gdyby któreś było zagrożone, zawiesiłby z miejsca zebranie. Nie uciekał też na widok augurów i nie wynajmował osiłeków.

Pod koniec lipca oficjalnie zaczęło się lato. Senat zawiesił obrady i to samo zrobiły komicje. Rad z tego wytchnienia - bo czuł się coraz bardziej zmęczony - Druzus także opuścił Rzym. Matkę z sześciorgiem dzieci wysłał do swej okazałej nadmorskiej willi w Misenum, sam zaś pojechał zobaczyć się najpierw z Silonem, a potem z Mutilusem i towarzyszył im obu w podróży po Italii.

Nie mógł nie zauważyć, że ludy italskie ze środkowej części półwyspu były gotowe do wojny. Jadąc zapyłonymi szlakami z Silonem i Mutilusem, widział całe legiony dobrze wyekwipowanych żołnierzy prowadzących manewry z dala od rzymskich osiedli. Nie mówił nic i o nic nie pytał, ślepo wierząc, że to wojskowe wyszkolenie nie będzie potrzebne. Zdołał przecież w niebywale krótkim czasie przekonać senat i Zgromadzenie Plebejskie do reformy sądów, senatu, *ager publicus* i rozdawnictwa zboża. Nikt nie dokonał tego co on, nawet Tyberiusz Grakchus, Gajusz Grakchus, Gajusz Mariusz ani Saturninus nie wprowadzili tylu kontrowersyjnych ustaw bez przemocy, bez opozycji senatu i bez sprzeciwu rycerzy. Wszystko dlatego, że mu wierzyli, szanowali go, ufali mu. Wiedział teraz, że gdy ogłosi zamiar powszechnego nadania obywatelstwa Italii, pozwolą mu wprowadzić ten zamiar w życie, choćby nawet nie poszli za nim bez zastrzeżeń. To się da zrobić! A co za tym idzie, on, Marek Liwiusz Druzus, będzie miał w swojej klienteli jedną czwartą ludności rzymskiego świata, bo przyrzeczenie osobistej zależności zostało złożone od jednego końca półwyspu do drugiego, nawet w Etrurii i Umbrii.



Jakieś osiem dni przed ponownym zebraniem się senatu w kalendy wrześnie, Druzus przybył do swej willi w Misenum zażyć nieco odpoczynku, zanim zacznie się najcięższa praca. Matka była mu tam radością i pociechą - mądra, bystra, odczytana, wyrozumiała, niczym mężczyzna akceptująca to, co było, mimo wszystko, światem mężów. Interesowała się polityką i z dumą i radością śledziła postępy programu legislacyjnego Druzusa. Jako Kornelia, wychowana w domu o liberalnych tradycjach, miała dość radykalne skłonności, a jednocześnie jej korneliański konserwatyzm pochwalał mistrzowskie wykorzystywanie przez syna realiów senatu i ludu rzymskiego. Żadnej przemocy ani gwałtu, ani gróźb, ani broni innej niż złote usta. Tacy właśnie powinni być wielcy politycy. Taki był Marek Liwiusz Druzus, ona zaś mogła sobie pogratulować, że nie jest to zasługą jego ojca, człowieka o



zakutym łbie i sztywnym karku. Nie, on ma to po niej.

- Cóż, dałeś sobie świetnie radę z prawem, z ziemią i z ubogimi. Co dalej?

Nabrał tchu i spojrzał na nią poważnie i surowo.

- Prawo o pełnym obywatelstwie rzymskim dla każdego mieszkańca Italii.

Bledsza niż jej suknia koloru kości słoniowej wykrzyknęła:

- Ach, Marku Liwiuszu! Pozwalali ci dotąd postawić na swoim, ale na to ci nie pozwolą!

- Dlaczego nie? - spytał zdziwiony. Przyzwyczyił się ostatnio do myśli, że może robić rzeczy niewykonalne dla innych.

- To bogowie nakazali Rzymowi strzec obywatelstwa - powiedziała, wciąż bardzo blada. - Nie zgodzą się, chyba że Kwirynus we własnej osobie zjawi się pośrodku Forum i każe im podzielić się nim z wszystkimi! - Chwyciła go za ramię. - Marku Liwiuszu, zaniechaj tego! Nie próbuj! - Jej ręka drżała. - Błagam cię, nie próbuj!

- Przysiągłem, że tego dokonam, mamó - i dokonam!

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w jego ciemne oczy. Jej własne, mniej wyraziste, pełne były lęku o niego. Potem z westchnieniem wzruszyła ramionami.

- Widzę, że nie namówię cię do ustąpienia. Nie darmo jesteś prawnikiem Scypiona Afrykańskiego. Ach, mój synu, oni cię zabiją!

Spiczasta brew uniosła się.

- Czemu mieliby to zrobić, mamó? Nie jestem żadnym Gajuszem Grakchem ani Saturninem. Działam wyłącznie w granicach prawa - nie zagrażam nikomu ani też *mos maiorum*.

Zbyt przygnębiona, by kontynuować tę szczególną rozmowę, wstała szybko.

- Chodź zobaczyć się z dziećmi. Stęskniły się za tobą.

Jeśli przesadzała, to niewiele. Druzus zdobył pewną popularność wśród dzieci.

Kiedy zbliżyli się do pokoju dziecinnego, stało się oczywiste, że toczy się tam jakaś sprzeczka.

- Zabiję cię, Katonie Młodszy! - usłyszeli, wchodząc głos Serwili.

- Dość tego, Serwilio! - powiedział ostro Druzus, wyczuwając w tym głosie nutę serio. - Katon Młodszy jest twoim przyrodnim bratem i jest nietykalny.

- Dopóki nie dopadnę go gdzieś samego - odparła złowieszczo Serwilia.

- Nigdy nie dopadniesz go samego, Pryszczatonosa! - Cepion Młodszy wysunął się przed Katona Młodszego.

- Nie mam pryszczki na nosie! - rozżłościła się Serwilia.

- A właśnie, że masz! Brzydki nosek z brzydkim pryszczem na końcu!

- Cicho! - krzyknął Druzus. - Czy wy nigdy nie przestajecie się kłócić?

- Jak mamy przestać, mając tu jego? - spytał Druzus Neron.

- Zamknij się, Neronie Sinogęby! - Cepion Młodszy znów stanął w obronie



Katona Młodszego.

- Nie jestem sinogęby!  
- Jesteś! Jesteś! - Katon Młodszy zaciskał pięści.  
- Ty nie jesteś Serwiliuszem Cepionem - pouczyła go Serwilia. - Jesteś potomkiem rudego galijskiego niewolnika. Zostałeś podrzucony Serwiliuszom Cepionom.

- Pryszczatonosa! Pryszczatonosa!  
- *Tacete!* - zawołał Druzus.  
- Syn niewolnika! - syknęła Serwilia.  
- Córka przygłupa! - krzyknęła Porcja.  
- Piegowate prosię! - powiedziała Lilia.  
- Siadaj synu. - Kornelia Scypionia nie przejmowała się wcale awanturą w dzieciennym pokoju. - Zwróć na nas uwagę, kiedy skończą.  
- Czy zawsze grzebią się w rodowodach? - spytał Druzus wśród krzyków i wrzasków.

- Oczywiście, za sprawą Serwili - odrzekła *avia*.

Trzynastoletnia Serwilia o uroczej, tajemniczej twarzy powinna zostać już przed dwoma laty oddzielona od młodszych. Była to część jej kary. Będąc świadkiem zakończonej właśnie sprzeczki, Druzus zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił błędu, trzymając ją w pokoju dzieciennym.

Serwililla-Lilla, obecnie dwunastoletnia, także szybko dojrzewała. Była ładniejsza niż Serwilia, choć nie tak pociągająca jak tamta, a jej ciemna figlarna i otwarta buzia mówiła wszystkim, jakiego rodzaju jest osobą. Trzecim członkiem grupy starszych, sprzymierzonym z nimi przeciw młodszemu, był adoptowany syn Druzusa, dziewięcioletni Marek Liwusz Druzus Neron Klaudianus, przystojny jak wszyscy Klaudiusze, ciemnowłosy i uparty. Nie był niestety zbyt bystry, ale za to miły i posłuszny.

Potem było potomstwo Katona, bo Druzus nie umiał myśleć o Cepionie Młodszym jako o synu Cepiona, chociaż upierała się przy tym Liwia Druza. Chłopiec był bardzo podobny do Katona Salońskiego. Miał tę samą szczupłą i muskularną sylwetkę, zapowiadającą wysoki wzrost, ten sam kształt głowy i uszu, długą szyję, długie ręce i nogi, i jaskrawo rude włosy. Choć miał orzechowe oczy, nie były to oczy Cepiona. Były szeroko rozstawione i głęboko osadzone w oczodołach. Cepion Młodszy był ulubieńcem Druzusa. Była w nim jakaś siła i skłonność do przyjmowania odpowiedzialności, to zaś przemawiało do Druzusa. Chłopiec miał prawie sześć lat, ale rozmawiał z Druzusem jak dorosły, ogromnie mądry człowiek. Miał niski głos i zawsze poważny wyraz zamyślonych oczu. Rzadko się uśmiechał, chyba że jego brat Katon Młodszy zrobił coś zabawnego albo wzruszającego. Jego uczucie dla Katona Młodszego było tak silne, że prawie ojcowskie. Nie można ich było rozłączyć.

Porcja, zwana Porcellą miała prawie cztery lata. Była raczej pospolitej urody,



a jej cera właśnie zaczynała pokrywać się piegami, wielkimi brunatnymi piegami, które czyniły ją celem pogardliwych uwag starszych sióstr. Nie lubiły one dziewczynki i przemieniły jej nieszczęsne młode życie w pasmo ukradkowych szturchnięć, kopnięć, klapsów i zadrapań. Katoński wydatny nos nie dodawał jej uroku, miała jednak piękne ciemnoszare oczy i miły charakter.

Katon Młodszy miał prawie trzy lata i był prawdziwym potworem zarówno z wyglądu, jak i z usposobienia. Jego nos, raczej rzymski niż semicki, zdawał się rosnąć szybciej niż reszta ciała i nie pasował do uderzająco ładnej twarzy o pięknych ustach, wielkich świetlistych jasnoszarych oczach, wyraźnych kościach policzkowych i dobrze zarysowanym podbródku. Choć szerokie ramiona wskazywały, że chłopiec może później być dobrze zbudowany, był on uderzająco chudy, bo jedzenie nie interesowało go wcale. Z natury niezdolnie natrętny, miał coś z umysłowości Druzusa. Najbardziej odpychający był jego zwyczaj zadawania kolejnych pytań po uzyskaniu odpowiedzi na jakieś głośne pytanie. Odnosiło się wrażenie, że Katon Młodszy jest zbyt tępy albo zbyt uparty, by zrozumieć czyjś punkt widzenia. Godną pochwały cechą - a tych nie miał zbyt wiele - było jego całkowite oddanie Cepionowi Młodszemu. Byli nierozłączni we dnie i w nocy, a kiedy stawał się nieznośny, wystarczało postraszyć go rozdzieleniem z bratem, by natychmiast znowu był grzeczny.

Wkrótce po drugich urodzinach Katona Młodszego Silon odwiedził po raz ostatni Druzusa. Druzus był trybunem ludowym, a Silon czuł, że nie należy przypominać Rzymowi o ich niezmiennej przyjaźni. Sam był ojcem i lubił rozmawiać z dziećmi, kiedy tylko gościł w domu Druzusa. Uważał więc na małego szpiega, Serwilię, był jednak dostatecznie obiektywny, by śmiać się z pogardy, jaką okazywała zwykłemu Italczykowi. Kochał czwórkę młodszych, bawił się z nimi i żartował. Brzydził się jednak Katonem Młodszym, chociaż nie umiał podać Druzusowi logicznego powodu wstrętu, jaki czuł do dwulatka.

- Czuję się przy nim jak bezrozumne zwierzę - mówił. - Moje zmysły i instynkt mówią mi, że to wróg.

To spartańska wytrwałość chłopca działała mu na nerwy, choć przecież była ona cechą godną podziwu. Kiedy zobaczył, jak ten mały chłopiec znosi bez łez i z zaciśniętymi szczękami fizyczne czy psychiczne krzywdy, poczuł że włos mu się jeży. Pytał sam siebie, dlaczego tak jest, i nie mógł znaleźć zadowalającej go odpowiedzi. Być może dlatego, że Katon Młodszy nigdy nie starał się ukryć swej pogardy dla zwykłych Italczyków. Był to oczywiście szkodliwy wpływ Serwili. Kiedy jednak spotykał się z tego samego rodzaju traktowaniem z jej strony, potrafił to zlekceważyć. Doszedł do wniosku, że Katon Młodszy nie był po prostu kimś, kogo można zlekceważyć.

Pewnego dnia, zniecierpliwiony do granic wytrzymałości nękaniem Druzusa pytaniami przez Katona Młodszego - i swoim brakiem zrozumienia dla cierpliwości Druzusa - Silon chwycił chłopca i wychylił się z nim przez okno



nad skalny ogródek pełen ostrych kamieni.

- Bądź rozsądny, Katonie Młodszy, bo cię upuszczę!

Katon Młodszy zwisał mu z rąk, milcząc uparcie, równie opanowany jak zawsze, i nie pomogło żadne potrząsanie ani udawanie, że się go puszcza. W końcu Silon dał za wygraną i postawił chłopca na posadzce, kręcąc głową.

- Dobrze, że Katon Młodszy jest dzieckiem - powiedział. - Gdyby był dorosły, Italia nigdy nie przekonałaby Rzymian!

Przy innej okazji Silon spytał Katona Młodszego, kogo tamten kocha.

- Mojego brata - odpowiedział Katon Młodszy.

- A po nim?

- Mojego brata.

- Ale kogo kochasz najbardziej po swoim bracie?

- Mojego brata.

Silon zwrócił się do Druzusa:

- Czy on nie kocha nikogo więcej? Nawet ciebie? Nawet swojej *avia*, twojej matki?

Druzus wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej, Kwintusie Popediuszu, on nie kocha nikogo oprócz swego brata.

Silon reagował na tego chłopca podobnie jak większość ludzi. Katon Młodszy z pewnością nie budził w nikim czułości ani oddania.

Dzieci stale dzieliły się na dwie grupy. Starsze sprzymierzyły się przeciw potomstwu Katona Salońskiego i pokój dziecienny wciąż na nowo rozbrzmiewał wrzawą boju. Zgodnie z logiką mogłoby się zdawać, że serwilijsko-liwijscy przeważą przerosną i prześcigną znacznie mniejszych katońskich, odkąd jednak Katon Młodszy skończył dwa lata i rzucił swą niewielką masę w wir walki, katońscy zdobyli przewagę. Nikt nie mógł sobie poradzić z Katonem Młodszym, którego nie można było zmusić do uległości biciem, krzykiem ani namawianiem. Katon Młodszy może uczył się wolniej, był jednak absolutną kwintesencją urodzonego wroga - niestrudzony, stały, hałaśliwy, bezlitosny i monstrialny.

- Mamo - powiedział Druzus, podsumowując wizytę w pokoju dzieciennym - udało nam się zebrać razem wszystkie wady Rzymu.



Nie tylko Druzus i przywódcy italscy mieli pracowite lato. Cepion wytrwale kaptował rycerzy. Zdołał też wraz z Wariuszem umocnić opór komicjów, a Filip, którego upodobania zawsze przekraczały możliwości jego sakiewki, dał się przekupić grupie rycerzy i senatorów, których latyfundia stanowiły większą część ich majątków.

Nikt oczywiście nie miał pojęcia, na co się zanosi, ale cała kuria wiedziała, że



Druzus zgłosił chęć przemawiania na zebraniu w kalendy wrześnieowe, i zżerała ją ciekawość. Wielu senatorów, którzy w pierwszej połowie roku dali się ponieść sile wymowy Druzusa, życzyło sobie, żeby teraz przemawiał mniej świetnie. Pierwsze podniecenie minęło, tak więc zebrani w Kurii Hostyliusza w pierwszym dniu września byli zdecydowani zamknąć uszy na czar Druzusowej magii.

Przewodniczył Sekstus Juliusz Cezar. We wrześniu to on trzymał *fascēs*, co oznaczało, że wszystko odbędzie się zgodnie z przepisami. Kuria czekała niecierpliwie, aż zostaną omówione wróżebne znaki i odmówione modlitwy. Kiedy w końcu senat zajął się swymi sprawami, wszystko, co poprzedzało wystąpienie trybuna ludowego, załatwiono niezmiernie szybko.

Czas. Czas nadszedł. Druzus podniósł się z ławy trybunów stojącej poniżej podwyższenia dla konsulów, pretorów i edylów kurulnych i poszedł na swoje zwykłe miejsce przy wielkich drzwiach z brązu, które wcześniej kazał zamknąć jak przy swoich poprzednich wystąpieniach.

- Czcigodni ojcowie naszego narodu, członkowie senatu rzymskiego - zaczął cicho. - Przed kilkoma miesiącami mówiłem w tej kurii o wielkim złu pośród nas - o *ager publicus*. Dziś chcę mówić o złu znacznie większym niż *ager publicus*. O takim, które - jeśli nie zostanie zgniecione - będzie oglądało nasz koniec. Koniec Rzymu. Mam na myśli oczywiście ludzi, którzy żyją obok nas na tym półwyspie. Mam na myśli ludzi, których zwiemy Italczykami.

Szmer przeszedł przez białe szeregi po obu stronach kurii, podobny raczej do szumu wiatru zrywającego się pośród drzew, albo do brzęczenia roju os w oddali niż do ludzkich głosów. Druzus usłyszał go, zrozumiał jego znaczenie i ciągnął.

- Traktujemy ich, te tysiące i tysiące ludzi, niczym obywateli trzeciej klasy. Dosłownie! Obywatel pierwszej klasy to Rzymianin. Obywatel drugiej klasy ma prawa latyńskie. Obywatel trzeciej klasy to Italczyk. Ten, który nie został uznany za godnego, by uczestniczyć w naszych rzymskich zgromadzeniach. Ten, którego okładamy podatkami i grzywami, którego chłoszczemy, grabimy i wykorzystujemy. To ten, którego synowie nie są wśród nas bezpieczni, którego kobiety nie są wśród nas bezpieczne i którego mienie też nie jest bezpieczne. To ten, od którego żądamy, by walczył w naszych wojnach i wystawiał nam wojska, zgadzając się, byśmy nimi dowodzili. To ten, kto - jeśli dożyjemy spełnienia naszych obietnic - nie będzie musiał dłużej znosić istnienia rzymskich i latyńskich kolonii pośrodku swoich ziem. Obiecaliśmy ludom italskim pełną autonomię w zamian za ich wojska i podatki, a potem oszukaliśmy je, lokując nasze kolonie w ich granicach. W ten sposób zabieraliśmy im to, co najlepsze w ich świecie, zamykając jednocześnie przed nimi nasz świat.

Hałas narastał, choć nie było jeszcze jasne, co właściwie ma Druzus do



powiedzenia. Burza zbliżała się, nadciągał rój os. Druzus czuł, że gardło ma wyschnięte. Musiał przerwać, by zwilżyć wargi i przełknąć ślinę w możliwie naturalny sposób. Nie może okazać zdenerwowania. Ciągnął dalej:

- My, Rzymianie, nie mamy króla. A jednak w Italii każdy z nas poczyną sobie jak król. Podoba nam się to uczucie, lubimy patrzeć, jak niżsi od nas czołgają się przed nami. Lubimy odgrywać królów. Gdyby ludy italskie były naprawdę gorsze od nas, mielibyśmy może jakąś wymówkę. Prawda jest jednak taka, że nie są gorsze od nas w żaden sposób. Są krwią z naszej krwi. Gdyby tak nie było, jak mógłby ktokolwiek w tej kurii pomawiać innego członka kurii o italską krew? Słyszałem, jak wielkiego i sławnego Gajusza Mariusza nazywa się Italczykiem. A przecież pokonał on Germanów! Słyszałem, jak szlachetnego Lucjusza Kalpurniusza Pizona nazywa się Insubrem, a przecież jego ojciec poległ śmiercią walecznych pod Burdigalą! Słyszałem, jak się potępia wielkiego Marka Antoniusza Oratora za to, że ożenił się powtórnie z córką Italczyka. A przecież pokonał on piratów i był cenzorem!

- Istotnie, był cenzorem - powiedział Filip - a kiedy nim był, pozwolił tysiącom i tysiącom Italczyków wpisać się na listy rzymskich obywateli.

- Czy chcesz dać do zrozumienia, Lucjuszu Marcjuszu, że patrzyłem na to przez palce? - spytał Antoniusz Orator z groźbą w głosie.

- Naturalnie, że tak, Marku Antoniuszu!

Antoniusz wstał, wielki i krzepki.

- Wyjdź na zewnątrz, Filipie, i powtórz to! - krzyknął.

- Spokój! Marek Liwiusz ma głos! - powiedział Sekstus Cezar, dysząc głośno. - Lucjuszu Marcjuszu i Marku Antoniuszu, obaj nie macie głosu. Siadajcie i milczcie!

Druzus podsumował:

- Powtarzam. Italczycy są krwią z naszej krwi. Mieli nie byle jaki udział w naszych sukcesach. Są nie byle jakimi żołnierzami. Są nie byle jakimi ludźmi interesu. Mają bogactwa. Mają arystokrację tak starą jak nasza, przywódców równie wykształconych jak nasi, kobiety tak kulturalne i subtelne jak są nasze. Żyją w takich samych domach jak my. Jedzą to samo co my. Mają tylu znawców wina co my. Wyglądają jak my.

- Bzdura! - wykrzyknął pogardliwie Katulus Cezar i wskazał Gnejusza Pompejusza Strabona z Picenum. - Widzicie go? Zadarty nos i płowe włosy! Rzymianin może być rudy, Rzymianin może być siwy, ale Rzymianin nie może być płowowłosy! On jest Galem, a nie Rzymianinem! Gdyby to zależało ode mnie, to on i cała reszta tych nierzymskich nowobogackich, świecących w mroku naszej ukochanej Kurii Hostyliusza, wyleciałaby stąd na bruk! Gajusz Mariusz, Lucjusz Kalpurniusz Pizon, Kwintus Wariusz, Marek Antoniusz za to małżeństwo poniżej jego godności, wszyscy Pompejusze, którzy kiedykolwiek wymaszerowali z Picenum ze słomą w zębach, wszyscy Dydiusze z Kampanii,



wszyscy Pediusze z Kampanii, wszyscy Saufejusze i Labienusowie, i Apulejuszowie - pozbadźmy się całej tej bandy, powiadam!

W kurii podniósł się krzyk. Bezpośrednio lub pośrednio Katulus Cezar zdołał obrazić przynajmniej trzecią część jej członków, ale to, co powiedział, odpowiadało pozostałym dwóm trzecim, choćby tylko dlatego, że przypomniał im o ich wyższości. Jeden tylko Cepion nie był tak rozpromieniony, jak powinien być - Katulus Cezar wymienił z imienia Kwintusa Wariusza.

- Wysłuchacie mnie! - krzyknął Druzus. - Choćbyśmy tu mieli siedzieć do zmroku, zostanę wysłuchany!

- Nie przeze mnie! - zawył Filip.

- Ani przeze mnie! - wrzasnął Cepion.

- Marek Liwiusz ma głos! Kto będzie mu przeszkadzał, zostanie usunięty! - zawołał Sekstus Cezar. - Sprowadzić moich liktorów!

Główny urzędnik wybiegł i zaraz potem wkroczyło dwunastu liktorów Sekstusa Cezara w białych togach i z *fasces* na ramionach.

- Stańcie tu z tyłu na podium kurulnym - rzekł głośno Sekstus Cezar. - Mamy na tym zebraniu kłopoty z porządkiem, mogę więc was poprosić o usunięcie pewnych ludzi. - Skinął głową Druzusowi. - Mów dalej.

- Mam zamiar przedstawić *concilium plebis* ustawę o pełnym obywatelstwie rzymskim dla każdego, od Arnus do Rhegium, od Rubikonu do Werejum, od Morza Tuskańskiego do Adriatyku! - Druzus sam teraz krzyczał, żeby być słyszany. - Czas pozbyć się tego straszliwego zła, wynoszenia jednych nad drugich, przywilejów wyłącznie dla Rzymian! Ojcowie spisani, Rzym jest Italią a Italia Rzymem! Przyjmijmy to raz na zawsze do wiadomości i postawmy wszystkich ludzi w Italii na równej stopie!

Kuria wpadła w szal. Ludzie krzyczeli:

- Nie! Nie! - Słyszać było tupanie, ryki oburzenia, wycia i gwizdy. Stołki latały w powietrzu, padając u stóp Druzusa, i ze wszystkich stron wygrażano mu pięściami.

Druzus jednak stał niewzruszony i nieulekły.

- Zrobię to! - wrzasnął. - Zro-bię-to!

- Po moim trupie! - zawył z podwyższenia Cepion.

Teraz Druzus poruszył się, obracając się do Cepiona.

- Po twoim trupie, jeśli będzie trzeba, ty przerasowany kretynie! Czy kiedyś rozmawiałeś z jakimiś Italczykami? Gdzie ich spotykałeś? Nie masz pojęcia, co to za ludzie!

- W twoim domu, Druzusie, w twoim domu! Mówiących o buncie! Istne kłębowisko brudnych Italczyków: Silona i Mutilusa, Egnacjusza i Widacyliusza, Lamponiusza i Duroniusza!

- Nigdy nie byli w moim domu i nigdy nie mówili o buncie!

Cepion zerwał się z miejsca z purpurową twarzą.



- Jesteś zdrajcą Druzusie! Zakałą swego rodu, wrzodem na pięknej twarzy Rzymu. Postawię cię za to przed sądem!

- Nie, ty parchu, to ja ciebie postawię przed sądem! Gdzie się podziało Tolosańskie Złoto, Cepionie? Powiedz to tej kurii! Powiedz tej kurii, jak ogromne są twoje przedsięwzięcia i jak niegodne senatora!

- Nie pozwólcie mu odejść! - ryknął Cepion, wyciągając błagalnie ręce. - To zdrajca! To jadowita żmija!

W ciągu całej tej wymiany zdań Sekstus Cezar i prynceps senatu Skaurus wołali o spokój. Teraz Sekstus Cezar dał za wygraną. Strzelił palcami na swoich liktorów, poprawił togę i opuścił zebranie w otoczeniu swej eskorty, nie patrząc na lewo ani na prawo. Kilku pretorów poszło za nim, ale Kwintus Pompejusz Rufus zeskokczył z podwyższenia, rzucając się na Katulusa Cezara w tej samej chwili, w jakiej dobiegł do niego z drugiego końca kurii Gnejusz Pompejusz Strabon. Obaj pałali żądzą mordy i zaciskali pięści. Zanim jednak któryś z Pompejuszów dopadł uśmiechniętego pogardliwie Katulusa, włączył się do bójki Gajusz Mariusz. Chwycił za nadgarstki Pompejusza Strabona i zmusił go do opuszczenia rąk, gdy tymczasem Krassus Orator powstrzymywał rozwścieczonego Pompejusza Rufusa. Obu Pompejuszów bezceremonialnie wyrzucono za drzwi. Mariusz zgarnął po drodze Druzusa z pomocą Antoniusza Oratora. Uśmiechnięty Katulus Cezar został przy swoim stołku.

- Niezbyt to dobrze przyjęli - powiedział Druzus, oddychając głęboko.

Schronili się całą grupką na dnie niecki komicjów, by się doprowadzić do porządku. Po kilku chwilach dołączył do nich tłum rozgniewanych i oburzonych stronników.

- Jak śmie Katulus Cezar mówić takie rzeczy o Pompejuszach! - wrzeszczał Pompejusz Strabon, trzymając się swego kuzyna Pompejusza Rufusa, jakby stali pod jakimś masztem, gdzieś na wzburzonym morzu. - Gdybym miał określić kolor jego włosów, powiedziałbym, że są płowe!

- *Quin tacetis*, wszyscy, ilu was jest! - nakazał Mariusz, na próżno wypatrując Sulli. Aż do dziś Sulla był jednym z najżarliwszych stronników Druzusa, nie opuścił ani jednego spotkania, podczas którego Druzus przemawiał. Gdzie się teraz podziewał? Czy dzisiejsze wydarzenia go zniechęciły? Czy skłania się ku Katulusowi? Zdrowy rozsądek mówił, że to niemożliwe, ale nawet Mariusz nie spodziewał się takiego wzburzenia w kurii. A gdzie był prynceps senatu Skaurus?

- Jak ten niewdzięcznik Filip śmiał sugerować, że sfałszowałem cenzus? - Antoniusz Orator był czerwony na twarzy. - Szybko schował się do jamy, gdy go zaprosiłem na zewnątrz. Tchórz.

- Oskarżając ciebie, Marku Antoniuszu, oskarża i mnie! - Lucjusz Waleriusz Flakkus zbudził się ze swego zwykłego odrętwienia. - Zapłaci mi za to, przysięgam!



- Niezbyt dobrze to przyjęli. - Druzus nie mógł myśleć o niczym innym.
  - Chyba nie spodziewałeś się, że to dobrze przyjmą Marku Liwiuszu - rozległ się za ich plecami głos Skaurusa.
  - Czy wciąż jesteś ze mną pryncepsie senatu? - spytał Druzus, gdy Skaurus przepchnął się do środka grupy.
  - Tak, tak! - zawołał Skaurus, trzepocząc rękami. - Zgadzam się, że czas zrobić ten logiczny krok, choćby po to, by uniknąć wojny. Niestety, większość ludzi nie chce wierzyć, że Italczycy zdobędą się na wojnę z Rzymem.
  - Przekonają się, jak bardzo się mylą - rzekł Druzus.
  - Przekonają się - potwierdził Mariusz. Znów rozejrzał się dokoła. - Gdzie jest Lucjusz Korneliusz Sulla?
  - Poszedł gdzieś w swoich sprawach - powiedział Skaurus.
  - Nie w sprawach opozycji?
  - Nie, po prostu w swoich. - Skaurus westchnął. - Obawiam się, że po śmierci syna przestało go cokolwiek obchodzić.
  - To prawda - przyznał z ulgą Mariusz. - Myślałem jednak, że ta awantura go ożywi.
  - To może zrobić tylko czas - rzekł Skaurus, który sam kiedyś stracił syna w okolicznościach jeszcze bardziej bolesnych.
  - Dokąd teraz, Marku Liwiuszu? - spytał Mariusz.
  - Do Zgromadzenia Plebejskiego. Zwołuję *contio* za trzy dni od dziś.
  - Spotkasz się tam z jeszcze silniejszym oporem - powiedział Krassus Orator.
  - Nie dbam o to - odparł Druzus. - Przysiągłem, że wprowadzę to prawo - i zrobię to!
  - My tymczasem, Marku Liwiuszu - zapewnił go Skaurus - będziemy urabiać senat.
  - Powinno wam się udać przynajmniej z tymi, których poobrażał Katulus - uśmiechnął się Druzus.
  - Niestety, większość z nich jest przeciwna rozszerzeniu obywatelstwa. - Pompejusz Rufus wyszczerzył zęby. - Musieliby przyznać się do swoich italskich ciotek i kuzynów.
  - Widzę, że ty nie przejmujesz się zniewagą - parsknął Pompejusz Strabon.
  - Przeciwnie. - Pompejusz Rufus wciąż uśmiechał się szeroko. - Po prostu ukrywam gniew, żeby odpłacić tym, którzy na to zasłużyli. Nie ma sensu złościć się na tych wszystkich poczciwców.
- Druzus wyznaczył *contio* na czwarty dzień września. Plebs zebrał się bez ociągania, spodziewając się ciekawego zebrania, i bez żadnych obaw, bo gdy przewodniczył Druzus, nie dochodziło do gwałtów. Zaledwie jednak zdążył wygłosić formułę otwarcia, zjawił się Lucjusz Marcjusz Filip w eskorcie liktorów i z dużą grupą młodych rycerzy i senatorskich synów.
- To zgromadzenie jest nielegalne! Żądam, by zostało przerwane! - krzyczał



Filip, przepychając się przez tłum za swoimi liktorami. Rozejść się, wszyscy! Rozkazuję się rozejść!

- Nie masz żadnej władzy na legalnie zwołanym Zgromadzeniu Plebejskim - oświadczył chłodno niewzruszony Druzus. - Idź zająć się swoimi sprawami, młodszy konsulu.

- Jestem plebejuszem. Mam prawo tu być!

- W takim razie - powiedział z miłym uśmiechem Druzus - bądź uprzejmy, Lucjuszu Marcjuszu, zachowywać się jak plebejusz, a nie jak konsul. Stań wśród innych plebejuszy i słuchaj.

- To zebranie jest bezprawne - upierał się Filip.

- Wróżebne znaki wypadły pomyślnie. Zwołując swoje *contio*, trzymałem się przepisów wszystkich stosownych praw, a ty jedynie marnujesz cenny czas tu zgromadzonych - oznajmił Druzus przy akompaniamencie głośnych wiwatów słuchaczy, którzy mogli sprzeciwiać się jego zamiarom, ale byli oburzeni wtargnięciem Filipa.

To był sygnał dla młodych ludzi z otoczenia Filipa. Zaczęli wypychać tłum, wzywając do rozejścia się. Jednocześnie wyciągnęli ukryte w togach pałki.

Ujrzawszy te pałki, Druzus zaczął działać.

- *Contio* jest zamknięte! - krzyknął z rostrów. - Nie pozwolę nikomu na zakłócanie porządku!

Nie wszystkim to odpowiadało. Część zebranych zaczęła odpychać tamtych. Świsnęła jakaś pałka. Druzus skoczył z rostrów dopilnować, by nie doszło do wymiany ciosów i żeby ludzie spokojnie się rozeszli.

Wtedy właśnie jakiś gorzko rozczarowany italski klient Gajusza Mariusza wpadł we wściekłość. Zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać - z ospałymi liktorami konsula włącznie - podszedł prosto do Filipa i wyrznął go pięścią w nos. Potem zniknął, zbyt szybko, by można go było zatrzymać, pozostawiając Filipa ze zmiążdżonym nosem, z którego tryskała fontanna krwi na śnieżnobiałą togę.

- Dobrze ci tak! - Druzus uśmiechnął się szeroko i odszedł.

- Dobra robota, Marku Liwiuszu - powiedział prynceps senatu Skaurus, który przyglądał się wszystkiemu ze schodów senatu. - Co teraz?

- Z powrotem do kurii - odrzekł Druzus.



Kiedy siódmego dnia września Druzus wrócił do kurii, spotkał się, ku swemu zdziwieniu, z lepszym przyjęciem niż poprzednio. Jego konsularni sprzymierzeńcy zrobili, co się dało, by uzyskać taki efekt.

- Senat i lud rzymski muszą zdawać sobie sprawę - mówił Druzus donośnym i pewnym głosem, z powagą robiącą wrażenie na słuchaczach - że jeśli odmówimy obywatelstwa ludowi Italii, będziemy mieli wojnę. Nie mówię tego, nie doceniając wagi sprawy. Być może kogoś śmieszy myśl o ludu Italii jako o



groźnym przeciwniku. Przypomnę zatem, że od czterystu lat brali oni udział w naszych wojnach, a w niektórych przypadkach wojowali przeciw nam. Znają nas jako wojowniczy naród - wiedzą jak wojujemy i sami tak właśnie wojują. W przeszłości Rzym wytężał wszystkie siły, by pokonać jeden czy dwa ludy italskie - czy jest tu ktoś, kto nie pamięta o Wąwozach Kaudyńskich? Tę klęskę zadał nam jeden tylko lud italski, Samnici. Samnici przyczynili się do wszystkich najcięższych klęsk Rzymu przed Arauzjoną. Jeśli więc dziś, w tym stuleciu, różne ludy italskie zdecydują się zjednoczyć w wojnie przeciw nam, pytanie, jakie stawiam sobie - i wam wszystkim - brzmi: Czy Rzym może je pobić?

Fala zaniepokojenia przebiegła przez białe szeregi po obu stronach posadki, jak wiatr przelatujący przez las, wraz z nią westchnienie niczym podmuch wiatru.

- Wiem, że znaczna większość z was dziś tu zasiadających uważa wojnę za niemożliwą. Z dwóch powodów. Po pierwsze, nie wierzycie, że italscy sprzymierzeńcy zdołają kiedykolwiek zjednoczyć się przeciw wspólnemu wrogowi. Po drugie, nie wierzycie, że jakkolwiek lud italski poza Rzymem jest przygotowany do wojny. Nawet wśród tych, którzy czynnie mnie wspierają są ludzie nie mogący uwierzyć, że sprzymierzeńcy są do niej gotowi. Prawdę mówiąc, nie będzie przesadą stwierdzenie, że nikt z tych czynnie mnie wspierających nie wierzy w gotowość Italii do wojny. „Gdzie są ich zbroje i broń?”, pytają. „Gdzie ich ekwipunek, gdzie żołnierze?” Ja zaś powiadam: Są tam! Gotowi i czekający na rozkaz. Italia jest przygotowana. Jeśli jej ludowi nie nadamy obywatelstwa, Italia zniszczy nas w wojnie. - Przerwał i wyrzucił ręce w górę. - Z pewnością rozumiecie, ojcowie spisani, że wojna między Rzymem a Italią byłaby wojną domową, starciem bratobójczym, starciem na ziemi, którą i my, i oni nazywamy własną. Jak zdołamy wytłumaczyć naszym wnukom ruinę ich bogactwa, ich dziedzictwa z tak błahych powodów jak te, o których słyszę w tym zgromadzeniu za każdym razem, gdy się ono zbiera? W wojnie domowej nie ma zwycięzców. Nie ma łupów. Nie ma niewolników, których można sprzedać. Pomyślcie o tym, do zrobienia czego was wzywam, z większą troską niż dotąd to robiliście! To nie jest sprawa uczuć. To nie jest sprawa uprzedzeń. Chodzi mi wyłącznie o to, by ocalić mój ukochany Rzym od okropności wojny domowej.

Tym razem kuria naprawdę słuchała. W Druzusa wstąpiła nadzieja. Nie przerywał nawet Filip, który siedział z gniewną miną i mamrotał coś od czasu do czasu pod nosem. Nie przerywał też - co było może bardziej wymowne - złośliwy i kłótniwy Cepion. Chyba że była to nowa taktyka obmyślona przez te sześć dni. Albo też Cepion nie chciał mieć takiego rozbitego nosa jak Filip.

Gdy Druzus skończył, przemawiali prynceps senatu Skaurus, Krassus Orator, Antoniusz Orator i Scewola, wszyscy popierając Druzusa. A kuria słuchała.



Gdy jednak Gajusz Mariusz wstał, by przemówić, ten spokój prysnął. Była to dokładnie ta chwila, w której Druzus uznał sprawę za wygraną. Musiał później dojść do wniosku, że Filip i Cepion tak to właśnie zaplanowali.

Filip zerwał się na nogi.

- Dość! - wrzasnął, zeskakując z kurulnego podium. - Dość tego, powiadam! Kimże ty jesteś, Marku Liwiuszu Druzusie, by psuć umysły i zasady ludzi tak wielkich jak nasz prynceps senatu? To nieuchronne, że ten Italczyk Mariusz jest po twojej stronie, ale przywódca tej kurii? O moje uszy, moje uszy! Czy naprawdę słyszały to, co dziś mówiło kilku naszych najczcigodniejszych mężów konsularnych?

- A twój nos, twój nos! Czy on naprawdę czuje twoją woń, Filipie? - zakpił Antoniusz Orator.

- *Tace*, italski kochanku! - krzyknął Filip. - Zamknij swoje podłe usta, schowaj swą kochającą Italczyków główkę!

To ostatnie było aluzją do części męskiej anatomii nie wymienianej w kurii. Antoniusz Orator zerwał się ze stołka w chwili, gdy padła zniewaga, ale Mariusz z jednej jego strony, a Krassus Orator z drugiej byli w pogotowiu i odciągnęli go, zanim zdążył zaatakować Filipa.

- Wysłuchajcie mnie! - wrzasnął Filip. - Ocknijcie się, wy senackie barany! Wojna? O jakiej wojnie może być mowa? Italczyki nie mają ani broni, ani ludzi! Nie pogonią na wojnę baranów - nawet takich baranów jak wy!

Sekstus Cezar i Skaurus prynceps senatu wzywali do przywrócenia porządku, odkąd tylko Filip go zakłócił. Teraz Sekstus Cezar skinął na swoich liktorów trzymanyh dziś na wszelki wypadek wewnątrz kurii. Zanim jednak zdążyli podejść do Filipa stojącego na środku posadzki, zdarł on z siebie togę z purpurowym szlakiem i cisnął nią w Skaurusa.

- Zatrzymaj ją Skaurusie, ty zdrajco! Ruszam do miasta znaleźć inny rząd!

- A ja - krzyknął Cepion, schodząc z podwyższenia - ruszam do komicjów zwołać na zgromadzenie cały lud, patrycjuszów i plebejuszów!

Kuria pogrążyła się w chaosie. Senatorowie z tylnych rzędów skłębili się bez celu. Skaurus i Sekstus Cezar wciąż na nowo wzywali do porządku, a większość tych z przednich i środkowych rzędów wychodziła z sali śladem Filipa i Cepiona.

Dolny koniec Forum Romanum pełen był ludzi oczekujących wieści z posiedzenia senatu. Cepion poszedł wprost na rostra, wzywając cały lud do zebrania się w swoich *tribus*. Bez zachowania formalności - ani nie biorąc pod uwagę, że senat nie zakończył obrad, co nie pozwalało na zwołanie komicjów - zaczął wygłaszać mowę przeciw Druzusowi, który stał teraz na rostrach obok niego.

- Patrzcie na tego zdrajcę! - zawył Cepion. - Oddaje nasze obywatelstwo każdemu brudnemu Italczykowi z tego półwyspu, każdemu zapchloneму



samnickiemu pastuchowi, każdemu piceńskiemu wiejskiemu przygłupowi, każdemu śmierdzącemu bandycie w Lukanii i w Brucjum! A nasz zidiociały senat jest gotów pozwolić temu zdrajcy zrobić to, na co ma ochotę! Ale ja na to nie pozwolę, ani im, ani jemu!

Druzus zwrócił się do swych kolegów, dziewięciu trybunów ludowych, którzy weszli za nim na rostra. Nie byli zachwyceni arogancją patrycjusza Cepiona, bez względu na ich stosunek do propozycji Druzusa. Cepion zwołał cały lud, to prawda, ale zrobił to przed zakończeniem obrad senatu, i zuchwale uzurpował sobie prawa trybunów ludowych. Nawet Minucjusz był zirytowany.

- Zamierzam przerwać tę farsę - powiedział Druzus z zaciśniętymi ustami. - Czy wszyscy zgadzacie się ze mną?

- Jesteśmy z tobą - oświadczył Saufejusz, człowiek Druzusa.

Druzus wystąpił na front rostrów.

- To zebranie jest zwołane z naruszeniem prawa. Zgłaszam weto przeciw jego przedłużaniu!

- Precz z mego zebrania, zdrajco! - krzyknął Cepion.

Druzus nie zwracał na niego uwagi.

- Idźcie do domów, obywatele! Zgłosiłem weto przeciw temu zebraniu, bo nie jest ono legalne! Sesja senatu jeszcze trwa!

- Zdrajca! Ludu rzymski, czy pozwolisz, by ci rozkazywał człowiek, który chce rozdać to, co masz najcenniejszego?! - wrzeszczał Cepion.

Druzus stracił w końcu cierpliwość.

- Aresztujcie tego gbura, trybunowie ludowi! - zawołał, dając znak Saufejuszowi.

Dziwięciu trybunów otoczyło Cepiona i unieruchomiło go bez trudu.

Filip, który stał na posadzce niecki komicjów, obserwując rostra, przypomniał sobie nagle o jakiejś pilnej sprawie i umknął.

- Dostyc mam ciebie, Kwintusie Serwiliuszu Cepionie! - rzekł Druzus głosem, który można było usłyszeć na całym dolnym Forum. - Jestem trybunem ludowym, a ty przeszkadzasz mi w wykonywaniu moich obowiązków! Uważaj, bo to pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Przestań i odejź stąd natychmiast albo każę cię zrzucić ze Skały Tarpejskiej!

Niecka komicjów była domeną Druzusa i Cepion zrozumiał to, napotkawszy jego spojrzenie. Stara nienawiść między patrycjuszami a plebejuszami została przypomniana. Gdyby Druzus kazał członkom swego kolegium zrzucić Cepiona ze Skały Tarpejskiej, posłuchaliby go.

- Jeszcze nie wygrałeś! - wrzasnął Cepion, wyrywając się z trzymających go rąk, i pognał za niewidocznym już Filipem.

- Zastanawiam się - powiedział Druzus do Saufejusza, gdy patrzyli na ten niesławny odwrót - czy Filip nie ma już przypadkiem dość swego gościa.

- Ja tam mam dość ich obu - rzekł Saufejusz i westchnął z żalem. - Zdajesz



sobie chyba sprawę, Marku Liwiuszu, że jeśli senat zechce obradować dalej, będziesz musiał potwierdzić swój mandat.

- Oczywiście. Dlaczegoż to Filip wpadł nagle w furję? Jaki z niego jednak marny aktor! - Druzus roześmiał się. - Zdzierać z siebie togę! Co potem?

- Nie jesteś rozczarowany?

- Bardzo. Ale nie ustane. Do ostatniego tchu.



Senat wznowił obrady w idy wrześniowe. Był to oficjalnie dzień odpoczynku, a zatem dzień, w którym nie mogły zbierać się komicja. Cepion nie miał więc powodu, by opuścić posiedzenie.

Sekstus Cezar wyglądał na zmęczonego. Jego świszczący oddech słychać było w całej kurii, dopilnował jednak wstępnych ceremonii, a potem wstał, by przemówić.

- Nie będę dłużej tolerował takich godnych pożałowania wydarzeń - oświadczył czystym i donośnym głosem. - Biorą one początek na kurulnym podium, więc tym bardziej trzeba się ich wstydzić. Lucjusz Marcjusz i Kwintusie Serwiliuszu Cepionie, macie się zachowywać, jak przystoi waszym urzędem - którym, muszę to powiedzieć, nie przynosicie chwały! Uwłaczacie im, wy obaj! Jeśli nadal będziecie naruszać prawo, pošlę *fascēs* do świątyni Wenus Libityny i przedstawię sprawę wyborcom w centuriach. - Skinął na Filipa. - Masz głos Lucjusz Marcjusz, ale uważaj! Mam cię dość i tak samo nadużywałeś cierpliwości przywódcy senatu.

- Nie dziękuję ci, Sekstusie Juliuszu, i tak samo nie dziękuję przywódcy senatu ani pozostałym członkom kurii wkładającym maski patriotów - oświadczył zuchwale Filip. - Jak może uważać się za rzymskiego patriotę ktoś, kto rozdaje nasze obywatelstwo? Nie może być tym pierwszym, jeśli robi to drugie! Obywatelstwo rzymskie jest dla Rzymian. Nie powinno być nadawane nikomu, kto nie ma do niego prawa z urodzenia ani z nazwiska. Jesteśmy dziećmi Kwirynusa. Italczyki nimi nie są. I to, starszy konsulu, wszystko, co mam do powiedzenia. Nie trzeba mówić więcej.

- Trzeba powiedzieć znacznie więcej! - sprzeciwił się Druzus. - Jesteśmy niewątpliwie dziećmi Kwirynusa, ale Kwirynus nie jest wcale rzymskim bogiem! Jest on bogiem Sabinów i dlatego właśnie mieszka na Kwirynale, gdzie stało kiedyś miasto Sabinów. Innymi słowy, Lucjusz Marcjusz, Kwirynus jest bogiem italskim. To Romulus wziął go pod opiekę i uczynił Rzymianinem. Kwirynus należy jednak do całej Italii. Czy można działać na szkodę Rzymu, czyniąc go potężniejszym? Właśnie to robimy, nadając obywatelstwo całej Italii. Rzym będzie Italią będzie więc potężny. Italia będzie Rzymem, będzie więc potężna. To, co otrzymaliśmy jako potomkowie Romulusa, będzie nasze na zawsze i wyłącznie. Nie będzie należało do nikogo innego. Nie chodzi jednak o obywatelstwo! Nadawaliśmy je już wielu takim, którzy wcale nie uważali się



za dzieci Romulusa, za urodzonych Rzymian. Gdyby o taką rzymskość chodziło, cóż robiłby w tym dostojnym gronie Kwintus Wariusz Sewer Hybryda? Zauważyłem, Kwintusie Serwiliuszu, że nie wymieniłeś go, kiedy wraz z Lucjuszem Marcjuszem wytykałeś niektórym członkom tej kurii nierzymskość. A przecież Kwintus Wariusz naprawdę nie jest Rzymianinem. Zobaczył to miasto na własne oczy i zaczął używać łaciny dopiero w dwudziestych latach swego życia! A jednak zasiada z łaski Kwirynusa w rzymskim senacie - daleko mniej rzymski w myślach, mowie i poglądach na świat niż jakikolwiek Italczyk! Gdybyśmy mieli postąpić tak, jak sobie tego życzy Lucjusz Marcjusz Filip, pierwszym, który musiałby opuścić tę kurię i miasto Rzym, byłby Kwintus Wariusz Sewer Hybryda! On jest cudzoziemcem!

To oczywiście sprawiło, że Wariusz zerwał się, ciskając przekleństwa, chociaż jako *pedarius* nie miał prawa zabierać głosu.

Sekstus Cezar zebrał resztki tchu i ryknął tak głośno o spokój, że spokój został przywrócony.

- Marku Emiliuszu, widzę że chcesz przemówić. Masz głos.

Skaurus był rozgniewany.

- Widzę, że ta kuria przeradza się w arenę walk kogutów. Mamy oto urzędników kurulnych nie nadających się nawet do sprzątnia rynsztoków! Nie mam tu na myśli wszystkich zasiadających w tym dostojnym gronie! Chcę tylko powiedzieć, że jeśli ta kuria ma przetrwać i jeśli ma przetrwać Rzym - musimy być równie liberalni w sprawie obywatelstwa dla Italczyków, jak jesteśmy dla niektórych ludzi siedzących dziś pośród nas.

Filip zerwał się jednak na nogi.

- Sekstusie Juliuszu! Kiedy udzielałeś głosu przywódcy senatu, nie wiedziałeś, że ja chcę mówić! Jako konsul mam pierwszeństwo!

Sekstus Cezar zamrugął.

- Myślałem, że skończyłeś, Lucjusz Marcjusz. Nie skończyłeś więc?

- Nie.

- Powiedz zatem, proszę, co masz jeszcze do powiedzenia. Czy zechcesz zaczekać, przywódco senatu, aż wypowie się młodszy konsul?

- Oczywiście - powiedział uprzejmie Skaurus i usiadł.

- Stawiam wniosek - zaczął z powagą Filip - żeby kuria usunęła z tablic wszystkie co do jednego prawa Marka Liwiusza Druzusa. Żadne z nich nie zostało ustanowione legalnie.

- Brednie! - Skaurus był oburzony. - Nigdy w dziejach tego senatu żaden trybun ludowy nie stanowił praw z większą dbałością o przepisy niż Marek Liwusz Druzus!

- Mimo to jego prawa są nieważne. - Filip najwyraźniej walczył z bolącym nosem, bo zaczął sapać, a jego palce dotykały co chwila bezkształtnej narośli w środku twarzy. - Bogowie okazali niezadowolenie.



- Moje zebrania odbywały się z aprobatą bogów - powiedział obojętnie Druzus.

- Były świętokradcze, co wykazują wydarzenia minionych dziesięciu miesięcy - oświadczył Filip. - Powiadam wam, że cała Italia została dotknięta objawieniami gniewu bogów!

- Dajże spokój, Lucjuszu Marcjusz! Italia zawsze była dotknięta objawieniami gniewu bogów - rzekł znudzonym tonem Skaurus.

- Nie w taki sposób jak w tym roku! - Filip nabrał tchu. - Stawiam wniosek, by kuria zaleciła Zgromadzeniu Ludowemu unieważnienie praw Marka Liwiusza Druzusa, ponieważ bogowie okazali oczywiste niezadowolenie. I żądam głosowania, Sekstusie Juliuszu. Natychmiast.

Zarówno Skaurus, jak i Mariusz zmarszczyli brwi, wyczuwając jakiś ukryty podstęp, nie odgadując jednak, co to było. Pewne było, że Filip przegra. Cemu więc po tak krótkim i nie zachęcającym wstępie nalega na głosowanie?

Senat przeprowadził głosowanie. Filip przegrał znaczną większością głosów. Stracił wtedy panowanie nad sobą wrzeszcząc i krzycząc, aż się zapłuł. Siedzący obok niego na podium pretor miejski Kwintus Pompejusz Rufus ostentacyjnie naciągnął togę na głowę, osłaniając się przed deszczem śliny.

- Niewdzięcznicy! Durnie! Barany! Insekty! Larwy! Pедераści! Obciążacze! Pedofile! Ścierwa! Śmieci! - To były tylko niektóre z wyzwisk, jakimi obrzucał Filip swych kolegów senatorów.

Sekstus Cezar pozwolił mu się wykrzyczeć, po czym kazał głównemu liktorowi rzucić wiązkę różeg na posadzkę, aż krokwie odpowiedziały echem.

- Dość tego! - krzyknął. - Siadaj i milcz, Lucjuszu Marcjusz, albo każę cię wyrzucić.

Filip usiadł, oddychając głęboko. Z nosa sączyła mu się jakaś ciecz koloru słomy.

- Świętokradztwo - jęknął, niesamowicie przeciągając to słowo. Potem już siedział cicho.

- O co mu chodzi? - szepnął Skaurus do Mariusza.

- Nie wiem, a chciałbym to wiedzieć! - warknął Mariusz.

Krassus Orator podniósł się z miejsca.

- Proszę o głos, Sekstusie Juliuszu.

- Masz głos, Lucjuszu Licyniuszu.

- Nie chcę mówić o Italczykach ani o naszym umiłowanym obywatelstwie, ani o prawach Marka Liwiusza - przemówił Krassus Orator swym pięknym miódopłynnym głosem. - Zamierzam mówić o urzędzie konsula, a poprzedzę moje uwagi pewnym spostrzeżeniem. Oto nigdy przez te wszystkie lata, jakie spędziłem w senacie, nie widziałem ani nie słyszałem, żeby urząd konsula był tak nadużywany i poniżany jak ostatnio, przez Lucjusza Marcjusza Filipa. Nikt jeszcze nie traktował tego urzędu - najwyższego w kraju! - w taki sposób jak



Lucjusz Marcjusz Filip. Nie powinno mu się pozwolić robić tego dłużej! Gdy wyborcy wynoszą kogoś na taki urząd, nie wiążą tego kogoś żadne przepisy, poza nakazami jego własnej inteligencji i dobrymi manierami oraz licznymi przykładami podsuwanymi mu przez *mos maiorum*.

Być konsulem Rzymu, to znaczy być wyniesionym na poziom nieco tylko niższy od poziomu naszych bogów, wyższy zaś od poziomu królów. Urząd konsula jest nadawany i nie opiera się na groźbach ani na prawie karania. W przeciągu jednego roku konsul ma najwyższą władzę. Jego imperium przewyższa imperium wszelkich namiestników. Jest on naczelnym dowódcą armii i przywódcą rządu, kieruje skarbem państwa, jest też symbolem wszystkiego, co w republice rzymskiej ma znaczenie! Czy to patrycjusz, czy człowiek nowy, bajecznie bogaty czy względnie ubogi, jest on konsulem. Tylko jeden człowiek jest mu równy, a tym człowiekiem jest drugi konsul. Ich imiona zapisuje się w *fasti consulares*, by tam jaśniały po wszystkie czasy.

Ja sam piastowałem urząd konsula. Chyba ze trzydziestu dziś tu obecnych też sprawowało ten urząd, a niektórzy z nich byli także cenzorami. Chciałbym ich spytać, co czują w tej chwili. Co czujecie, mężowie konsularni, po wysłuchaniu wystąpień Lucjusza Marcjusza Filipa od początku tego miesiąca? Czy czujecie się tak, jak ja się czuję? Nieczyści, zhańbieni, poniżeni? Czy uważacie za słuszne, że ten po trzykroć szczęśliwy dzierżyciel tego urzędu odejdzie nie ocenzurowany? Nie uważacie? To dobrze, mężowie konsularni. I ja tak nie uważam!

Krassus Orator obrócił się teraz w pierwszym rzędzie, by spojrzeć srogo na Filipa siedzącego na podium kurulnym.

- Lucjusz Marcjusz Filipie, jesteś najgorszym konsulem, jakiego widziałem w swoim życiu! Gdybym to ja zasiadał na krześle Sekstusa Juliusza, nie okazałbym ani dziesiątej części tej cierpliwości, jaką on ci okazał! Jak śmiesz paradować po *vici* naszego ukochanego miasta poprzedzany przez dwunastu liktorów, nazywając siebie konsulem? Nie jesteś konsulem! Nie jesteś godzien lizać butów konsula! Prawdę mówiąc, jeśli wolno mi pożyczyć to stwierdzenie u naszego przywódcy, nie nadajesz się nawet do sprzątnięcia rynsztoków! Zamiast być wzorem zachowania dla młodszych od ciebie w tym zgromadzeniu i dla tych na zewnątrz, na Forum, zachowujesz się jak najgorszy demagog, jaki kiedykolwiek perorował z rostrów, jak najplugawszy w mowie krzykacz z tylnych rzędów tłumu na Forum! Jak śmiesz korzystać z przewagi swego urzędu, by obrzucać wyzwiskami członków tej kurii? Jak śmiesz sugerować, że to inni działają nielegalnie? - Wycelował palec w Filipa, nabrał tchu i ryknął: - Mam cię już od dawna dość, Lucjusz Marcjusz Filipie! Zachowuj się jak konsul albo siedź w domu!

Kiedy Krassus Orator zajął ponownie swoje miejsce, kuria obdarzyła go gromkimi oklaskami. Filip siedział z opuszczoną głową nie pozwalając dojrzeć



wyrazu swej twarzy, Cepion zaś wpatrywał się z oburzeniem w mówcę.

Sekstus Cezar odchrząknął.

- Dziękuję, Lucjuszu Licyniuszu, za przypomnienie mi i wszystkim pełniącym ten urząd, kim i czym jest konsul. Mam nadzieję, że Lucjusz Marcjusz poświęci twoim słowom tyle samo uwagi co ja. Zdaje się, że żaden z nas nie jest zdolny do sprawnego działania w obecnej atmosferze, zamykam więc to zebranie. Kuria zbierze się ponownie za osiem dni od dziś. Odbywają się właśnie *ludi Romani*, wypada więc chyba oddać cześć Rzymowi i Romulusowi w bardziej stosowny sposób niż pełne zjadliwości i złych manier obrady senatu. Życzę wypoczynku, ojcowie spisani, i dobrej zabawy na igrzyskach.

Prynceps senatu Skaurus, Druzus, Krassus Orator, Scewola, Antoniusz Orator i Kwintus Pompejusz Rufus udali się do domu Gajusza Mariusza, żeby przy winie pomówić o wydarzeniach tego dnia.

- Ach, Lucjuszu Licyniuszu, znakomicie zamknąłeś usta Filipowi! - cieszył się Skaurus, łykając łapczywie wino.

- Tak, to godne zapamiętania - przyznał Antoniusz Orator.

- I ja ci dziękuję, Lucjuszu Licyniuszu - powiedział z uśmiechem Druzus.

Krassus Orator przyjął pochwały ze stosowną skromnością. Rzekł:

- Ten głupiec sam o to poprosił!

W Rzymie wciąż było bardzo gorąco, wszyscy zdjęli więc przy wejściu togi i poszli do ogrodu, gdzie porozsiadali się wygodnie w cieniu.

- Chciałbym tylko wiedzieć - powiedział Mariusz, siadając na brzegu ogrodowej sadzawki - o co chodzi Filipowi.

- Ja także - przyznał Skaurus.

- Dlaczego miałoby mu o coś chodzić? - spytał Pompejusz Rufus. - To po prostu źle wychowany gbur. Nigdy nie był inny.

- Nie, jest coś, co on skrywa w swoich brudnych myślach - rzekł Mariusz. - Była chwila, kiedy myślałem, że odgadłem, ale potem umknęło mi to i już nie mogłem przypomnieć sobie, co to było.

Skaurus westchnął.

- Cóż, Gajuszu Mariuszu, możemy być pewni, że się tego dowiemy. Prawdopodobnie na następnym zebraniu.

- Powinno być interesujące - powiedział Krassus Orator i skrzywił się, rozcierając lewe ramię. - Nie wiem, czemu ostatnio jestem stale zmęczony i obolały. Nie przemawiałem dziś zbyt długo, byłem jednak rozgniewany, to prawda.



Tej nocy okazało się, że Krassus Orator zapłacił wyższą cenę za swe przemówienie, niż byłby skłonny zapłacić, gdyby go o to spytano. Jego żona Mucja, młodsza córka Scewoli Augura, obudziła się o świcie zziębnięta. Tuląc się do męża, by się ogrzać, odkryła, że jest przeraźliwie zimny. Zmarł przed



kilkoma godzinami, u szczytu kariery i sławy.

Dla Druzusa, Mariusza, Scewoli i ludzi o podobnych poglądach jego śmierć była katastrofą. Dla Filipa i Cepiona była rozstrzygnięciem na ich korzyść. Z nowym entuzjazmem zaczęli kręcić się wśród *pedarii* w senacie, namawiając, przekonując, przymilając się. Uważali, że są w znakomitej sytuacji, kiedy senat zebrał się ponownie po zakończeniu *ludi Romani*.

- Zamierzam prosić znowu o głosowanie w sprawie utrzymania na tablicach praw Marka Liwiusza Druzusa - powiedział Filip gruchającym głosem, najwyraźniej zdecydowany zachowywać się jak wzorowy konsul. - Wiem, jak zmęczeni tą opozycją wobec praw Marka Liwiusza muszą być niektórzy z was, i jestem świadomy, że dla większości są one bezwzględnie ważne. Nie twierdę, że nie badano wróżebnych znaków, że postępowanie w komicjach odbywało się z naruszeniem prawa i że nie było akceptacji senatu, zanim cokolwiek zrobiono w komicjach. - Podszedł do skraju podwyższenia i podniósł głos. - Istnieją jednak przeszkody natury religijnej! Przeszkody tak poważne i wróżące nieszczęścia, że nie możemy z czystym sumieniem ich zlekceważyć. Nie wiem, czemu bogowie mieliby wyczyniać takie sztuczki, nie jestem biegły w tych sprawach. Pozostaje jednak faktem, że chociaż wróżby i znaki były nieodmiennie pomyślne przed każdym zebraniem Zgromadzenia Plebejskiego zwoływanym przez Marka Liwiusza, to jak Italia długa i szeroka pojawiały się wszędzie znaki wskazujące na zagniewanie bogów. Ja sam jestem augurem, ojcowie spisani, i jest dla mnie oczywiste, że popełniono świętokradztwo.

W wyciągniętą dłoń Filipa urzędnik włożył jakiś zwój, który Filip zaraz rozwinął.

- Czternastego dnia przed kalendami styczniowymi - tego dnia Marek Liwiusz przedłożył w senacie projekty ustaw o reformie sądów i o wzroście liczebności senatu - niewolnicy państwowi poszli sprzątać świątynię Saturna. Następnego dnia, jak pamiętacie, zaczynały się Saturnalia. Ujrzeni wtedy, że drewniane okowy opasujące drewniany posąg Saturna ociekają oliwą i że na posadzce rozlewa się kałuża oliwy, a wewnątrz posągu jest puste. Nie było wątpliwości, że ten wyciek jest świeży. Zrozumieli wtedy jasno, że Saturn jest z czegoś niezadowolony!

W dniu, w którym Marek Liwiusz Druzus przeprowadził swe prawa o sądach i o liczebności senatu przez Zgromadzenie Ludowe, kapłan-niewolnik z Nemi został zabity przez innego niewolnika, który zgodnie ze zwyczajem został nowym kapłanem. Poziom wody w świętym jeziorze Nemi opadł jednak nagle o całą dłoń, a nowy kapłan-niewolnik zmarł z dopustu bożego, nie zaś w walce, a to złowrogi znak.

W dniu, w którym Marek Liwiusz Druzus przedstawił w senacie projekt ustawy likwidującej *ager publicus*, spadł krwawy deszcz na *ager Campanus*, a



wielka plaga żab nawiedziła *ager publicus* w Etrurii.

W dniu, w którym Zgromadzenie Plebejskie ustanowiło *lex Livia agraria*, kapłani w Lanuwium odkryli, że myszy pogryzły święte tarcze, i o tym najstraszliwszym znaku donieśli natychmiast naszemu kolegium pontyfików w Rzymie.

W dniu, w którym zebrała się Rada Pięciu trybuna ludowego Saufejusza, by rozpocząć podział *ager publicus* Italii i Sycylii, piorun uderzył w świątynię Pietas na Polu Marsowym w pobliżu cyrku Flaminiusza i poważnie ją uszkodził.

W dniu, w którym Zgromadzenie Plebejskie ustanowiło prawo zbożowe Marka Liwiusza Druzusa, posąg Divy Angerony pokrył się obfitym potem. Opaska zamykająca jej usta zsunęła się na szyję i są tacy, którzy przysięgają że słyszeli ją szepczącą tajemne imię Rzymu, uszczęśliwioną, że wreszcie może mówić.

W kalendy wrześniowe, w dniu w którym Marek Liwiusz Druzus przedstawił w tej kurii projekt ustawy o nadaniu naszego obywatelstwa Italczykom, straszliwe trzęsienie ziemi zniszczyło Mutinę w Galii italskiej. Wróżbita Publiusz Korneliusz Culleolus tłumaczy ten wróżebny znak jako gniew całej Galii italskiej na pominięcie jej w przyznaniu obywatelstwa. Oto wskazówka, ojcowie spisani, że jeśli przyznamy obywatelstwo jedynie Półwyspowi Italskiemu, wszystkie inne nasze posiadłości również go zażądataj.

Znakomity mąż konsularny Lucjusz Licyniusz Krassus Orator, w tym samym dniu, w którym publicznie mnie poniżył, zmarł w nie wyjaśniony sposób we własnym łóżu i rano był zimny jak lód.

Było o wiele więcej znaków, ojcowie spisani - mówił Filip, nie potrzebując wyteżać głosu, tak wielka cisza panowała w sali. - Przytoczyłem jedynie te, które wydarzyły się w dniach przedstawiania lub ustanawiania któregoś z praw Marka Liwiusza Druzusa, teraz jednak przedstawię dalszą ich listę.

Uderzenie pioruna uszkodziło posąg Jowisza Latiarisa na Górze Albańskiej, a to przerażający znak. Ostatniego dnia *ludi Romani*, tuż po ich zamknięciu, spadł krwawy deszcz na świątynię Kwirynusa - i nigdzie indziej - jakże to wyraźny znak bożego gniewu! Święte włócznie Marsa poruszyły się. Trzęsienie ziemi zwaliło świątynię Marsa w Kapui. Święte źródło Herkulesa w Ankonie wyschło po raz pierwszy za ludzkiej pamięci, mimo że nie było suszy. Ognisty wąwóz otworzył się na jednej z ulic w Puteoli. Wszystkie bramy w murach Pompejów zatrasnęły się nagle i w nie wyjaśniony sposób.

I jest tego więcej, ojcowie spisani, o wiele więcej! Wywieszę pełną listę na rostrach, żeby każdy mógł się przekonać, jak nieugięte potępiają bogowie prawa Marka Liwiusza Druzusa. Bo potępiają! Popatrzcie, którzy bogowie wchodzą w grę! Pietas, która rządzi naszą lojalnością i obowiązkami rodzinnymi. Kwirynus, bóg zgromadzenia rzymskich mężów! Jowisz Latiaris,



który jest Jowiszem Łatyńskim. Herkules, protektor rzymskiej potęgi militarnej i patron rzymskich wodzów. Mars, który jest bogiem wojny. Wulkan, który rządzi jeziorami ognia pod całą Italią. Diva Angerona, znająca tajemne imię Rzymu, którego nie wolno wymówić pod groźbą upadku Rzymu. Saturn, który strzeże bogactw Rzymu i który odmierza dany nam czas.

- Z drugiej strony - mówił powoli prynceps senatu Skaurus - wszystkie te znaki mogą równie dobrze wskazywać, jak straszny los czeka Rzym i Italię, gdyby nie było na tablicach praw Marka Liwiusza Druzusa.

Filip zignorował go, zwracając zwój urzędnikowi.

- Wywieś go zaraz na rostrach - polecił. Zszedł z podium kurulnego i stanął przed ławą trybunów ludowych. - Chcę przeprowadzić głosowanie. Wszyscy ci, którzy życzą sobie unieważnienia praw Marka Liwiusza Druzusa, niech staną po mojej prawej stronie. Wszyscy ci, którzy chcą utrzymania praw Marka Liwiusza Druzusa na tablicach, niech staną po mojej lewej stronie.

- Przejmuję prowadzenie, Lucjuszu Marcjuszu - powiedział Ahenobarbus pontifex maximus, wstając. - Jako pontifexa maximusa przekonałeś mnie ponad wszelką wątpliwość.

Milcząca kuria zeszła po kolei ze swoich rzędów. Wiele twarzy zbieleło jak togi pod nimi. Wszyscy oprócz garści senatorów stanęli po prawej stronie Filipa z oczami wbitymi w posadzkę.

- To głosowanie przesądza sprawę - oświadczył Sekstus Cezar. - Kuria stawia wniosek, by prawa trybunatu Marka Liwiusza Druzusa usunięte zostały z archiwów, a ich tablice zniszczone. Zwołuję w tej sprawie za trzy dni Zgromadzenie Ludowe.

Druzus odszedł ostatni z podniesioną głową na swoje miejsce na ławie trybunów.

- Masz oczywiście prawo zgłosić weto, Marku Liwiuszu - powiedział uprzejmie Filip, gdy Druzus przechodził przed nim. Senatorowie zamarli w bezruchu.

Druzus z twarzą bez wyrazu popatrzył na Filipa nie widzącym wzrokiem.

- Ach, nie, Lucjuszu Marcjuszu, nie zrobię tego. Nie jestem demagogiem. Spełniałem obowiązki trybuna ludowego za zgodą tego zgromadzenia, a skoro jego członkowie uznali moje prawa za nieważne i bezużyteczne, ja uznaję ich decyzję.

- To zaś pozostawia wawrzyny naszemu drogiemu Markowi Liwiuszowi! - powiedział Skaurus do Scewoli.

- Istotnie - przyznał Scewola i wzruszył ze smutkiem ramionami. - Co ty naprawdę sądzisz o tych znakach?

- Dwie rzeczy. Po pierwsze, nigdy dotąd nikt nie trudził się spisywaniem klęsk żywiołowych, które wydarzyły się w jakimś roku. Po drugie, mnie te znaki mówią chyba tylko to, że jeśli prawa Marka Liwiusza zostaną uchylone,



wyniknie wojna z Italią.

Scewola głosował oczywiście wraz ze Skaurusem i innymi stronnikami Druzusa. Nie mógł postąpić inaczej i nadal trzymał się przyjaciół. Był jednak wyraźnie zakłopotany i wahający się.

- Tak, ale...

- Kwintusie Mucjuszu, ty w to wierzysz! - powiedział z niedowierzaniem Mariusz.

- Nie, nie, tego nie mówię. - Scewola był niezadowolony. Jego zdrowy rozsądek walczył z rzymskim zabobnem. - A jednak... Jak można wytłumaczyć to, że Diva Angerona poci się i spada jej z ust opaska? I jeszcze śmierć mego kuzyna Krassusa, najdroższego przyjaciela. - Oczy zasły mu łzami.

- Kwintusie Mucjuszu - włączył się do rozmowy Druzus. - Marek Emiliusz ma chyba słuszość. Wszystkie te znaki mówią co się stanie, jeśli moje prawa będą unieważnione.

- Kwintusie Mucjuszu, należysz do kolegium pontyfików - tłumaczył cierpliwie Skaurus. - To wszystko zaczęło się od jednego wiarygodnego zjawiska, od wycieku oliwy z drewnianej figury Saturna. Spodziewaliśmy się jednak tego od lat! Przede wszystkim dlatego figura była w opaskach! Co do Divy Angerony; cóż łatwiejszego, niż wślizgnąć się do jej świątynki, ściągnąć jej z ust opaskę i skropić ją jakąś lepka ciecżą pozostawiającą krople? Wiemy wszyscy, że pioruny biją w najwyższe miejsca w okolicy, i wiemy, że Pietas ma świątynię skromną pod każdym względem, z wyjątkiem wysokości! Co do trzęsień ziemi, wawozów pełnych ognia, krwawych deszczów i żabich plag, nie zamierzam nawet o tym dyskutować! Lucjusz Licyniusz zmarł we własnym łóżku. Wszyscy mamy nadzieję skończyć w równie miły sposób!

- Tak, ale... - Scewola wciąż nie był przekonany.

- Spójrzcie na niego! - krzyknął Skaurus do Mariusza i Druzusa. - Jeśli jego można nabić w butelkę, czy możemy winić resztę tych przesądnych durniów?

- Czyżbyś nie wierzył w bogów, Marku Emiliuszu? - spytał z lękiem Scewola.

- Tak, tak, tak! Oczywiście wierzę. W co nie wierzę, Kwintusie Mucjuszu, to w machinacje i interpretacje ludzi, którzy głoszą że działają w imieniu bogów. Nie widziałem jeszcze wróżebnego znaku, którego nie można by wytłumaczyć na dwa diametralnie różne sposoby! Czemuż to Filip ma być ekspertem? Bo jest augurem? Nie rozpoznałby prawdziwego wróżebnego znaku, choćby się o niego potknął i rozbił sobie nos! Co do starego Publiusza Korneliusza Kulleolusa, on jest właśnie taki jak jego przydomek. Mogę się założyć, o co chcesz, Kwintusie Mucjuszu, że gdyby jakiś sprytny gość spisał klęski żywiołowe i tak zwane znaki z niebios w roku drugiego trybunatu Saturnina, lista byłaby równie imponująca! Opanuj się! Zdobądź się i teraz na odrobinę swego zdrowego sądowego sceptycyzmu, błagam!

- Muszę powiedzieć, że Filip mnie zadziwił - rzekł Mariusz z posępną miną. -



Kupiłem go kiedyś. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, jaki to zrzeczny *cunnus*.

- Jest sprytny - przyznał chętnie Scewola, który chciał odwrócić uwagę Skaurusa od swoich słabych stron. - Chyba obmyślił to jakiś czas temu. Jednego możemy być pewni - zaśmiał się - że nie był to żaden świetny pomysł Cepiona.

- A co ty o tym sądzisz, Marku Liwiuszu? - spytał Mariusz.

- Co sądzę? - Druzus wyglądał na bardzo zmęczonego. - Szczerze mówiąc, Gajuszu Mariuszu, nie wiem. Sprytne posunięcie, i tyle.

- Powinieneś zgłosić weto.

- Gdybyś ty to zrobił na moim miejscu, nie miałbym ci za złe. Nie mogę jednak cofnąć tego, co mówiłem na początku trybunatu. Musisz to rozumieć. Obiecałem wtedy, że uszanuję zdanie moich kolegów z senatu.

- A więc nie będzie nadania obywatelstwa - rzekł Skaurus.

- Dlaczego nie? - Druzus był szczerze zdumiony.

- Marku Liwiuszu, oni przecież skasowali albo skasują wszystkie twoje prawa!

- A co to za różnica? To o nadaniu obywatelstwa nie trafiło jeszcze do Zgromadzenia Plebejskiego. Przedstawiłem je jedynie w kurii. Kuria postanowiła nie polecać go plebsowi. Ja jednak nie obiecywałem kurii, że nie przedstawię plebejuszom żadnego prawa bez jej zgody. Mówiłem tylko, że będę najpierw zabiegał o ich mandat. Wywiązałem się z tej obietnicy. Nie mogę jednak teraz przestać działać, bo senat powiedział „nie”. Postępowanie nie zostało zakończone. To plebs musiałby powiedzieć „nie”, przekonam jednak plebejuszy, żeby powiedzieli „tak” - zakończył Druzus z uśmiechem.

- O bogowie! - zawołał Skaurus. - Marku Liwiuszu, zasługujesz na zwycięstwo!

- I ja tak sądzę - przyznał Druzus. - Muszę was teraz przeprosić. Mam do napisania kilka listów do moich italskich przyjaciół. Muszę ich przekonać, żeby nie zaczęli wojny. Ta bitwa jeszcze się nie skończyła.

- Nonsens, to niemożliwe! - wykrzyknął Scewola. - Jeśli naprawdę myślą o wojnie - a tu ci wierzę, Marku Liwiuszu, bo inaczej stanąłbym po stronie Filipa - przygotowania zajmą im całe lata.

- I tu się mylisz, Kwintusie Mucjuszu. Oni już są na wojennej stopie. Są lepiej przygotowani do wojny niż Rzym.



To, że Marsowie są gotowi do wojny, dotarło do świadomości senatu i ludu rzymskiego, kiedy kilka dni później nadeszła wieść, że Kwintus Popediusz Silon prowadzi dwa pełne legiony Marsów po Via Valeria na Rzym. Zaskoczony prynceps senatu zwołał pilne zebranie, tylko po to, by ujrzeć garść senatorów. Nie było Filipa ani Cepiona i żaden nie doręczył usprawiedliwienia. Nie przyszedł także Druzus, przysłał jednak wiadomość, że nie może brać udziału



w naradzie nad groźbą wojny ze strony jego starego przyjaciela Silona.

- Tchorze! - powiedział Skaurus do Mariusza, wodząc wzrokiem po pustych rzędach. - Pochowali się w norach i myślą że jeśli tam posiedzą dłużej, źli ludzie w końcu sobie pójda.

Skaurus nie sądził jednak, by Marsom chodziło o wojnę, i zdołał przekonać nielicznych słuchaczy, że z „inwazją” można sobie poradzić pokojowymi metodami.

- Gnejuszu Domicjusz - zwrócił się do Ahenobarba - jesteś mężem konsularnym, byłeś cenzorem, jesteś pontifexem maximusem. Czy zechcesz wyjechać na spotkanie tej armii jak kiedyś Popiliusz Lenas, jedynie z liktorami? Byłeś przed kilku laty sędzią *lex Licinia Mucia* w Albie Fucencji, więc Marsowie cię znają - i szanują jak słyszę, za okazaną wtedy łagodność. Dowiedz się, w jakim celu maszeruje ta armia i czego chcą od nas Marsowie.

- Dobrze, pryncepsie senatu, będę nowym Popiliuszem Lenasem - zgodził się Ahenobarbus - jeśli wyposażyście mnie w pełne imperium prokonsularne. Inaczej nie mógłbym powiedzieć ani zrobić tego, co mogę uznać za konieczne. Chcę też, żeby w moich *fasces* zatknięto topory.

- Dostaniesz jedno i drugie - rzekł Skaurus.

- Marsowie dotrą do przedmieść Rzymu jutro - skrzywił się Mariusz. - Mam nadzieję, że wiesz, co to za dzień?

- Wiem - odrzekł Ahenobarbus. - Dzień przed nonami października to rocznica Arauzjony. Marsowie stracili tam cały legion.

- Zaplanowali to! - Sekstus Cezar był zadowolony z przebiegu tego zebrania bez Filipa i Cepiona, a i z udziałem tylko tych senatorów, których uważał za patriotów.

- I dlatego właśnie nie sądzę, ojcowie spisani, żeby chodziło im o wojnę - potwierdził Skaurus.

- Wezwać liktorów z trzydziestu *curiae* - polecił Sekstus Cezar. - Dostaniesz swoje imperium, Gnejusie Domicjusz, kiedy tylko zjawią się tu liktorzy. Zechcesz złożyć nam sprawozdanie pojutrze na nadzwyczajnym zebraniu?

- W nony? - spytał z niedowierzaniem Ahenobarbus.

- W tych okolicznościach musimy zebrać się w nony - oświadczył stanowczo Sekstus Cezar. - Miejmy nadzieję, że będzie nas więcej. Na kogóż to może jeszcze liczyć Rzym, jeśli tak niewielu ludzi obchodzi zagrożenie miasta!?

- Wiem dlaczego, Sekstusie Juliuszu - powiedział Mariusz. - Nie przyszli, bo nie uwierzyli. Uznali, że to sztucznie wywołany kryzys.



W nony październikowe zebrano się liczniej, ale trudno było mówić o pełnej sali. Druzus był obecny, ale Filip i Cepion nie przyszli. Ich nieobecność miała pokazać senatorom, co myślą o rzekomej inwazji.

- Opowiadaj, Gnejuszu Domicjusz - polecił jedyny obecny konsul, Sekstus



Cezar.

- Spotkałem Kwintusa Popediusza Silona niedaleko Bramy Kollińskiej. Maszerował na czele armii. Dwa legiony były prawie w pełnej liczbie - co najmniej dziesięć tysięcy żołnierzy liniowych i do tego odpowiednia liczba nielinowych, osiem znakomitych połowych katapult i oddział jazdy. Sam Silon szedł pieszo jak jego oficerowie. Nie dopatrzyłem się taborów, przypuszczam więc, że prowadził żołnierzy w szyku marszowym bez obciążenia - westchnął.

- Przedstawiali wspaniały widok, ojcowie spisani! Wspaniała prezencja, świetna forma fizyczna, dobre wyszkolenie. Kiedy rozmawiałem z Silonem, stali w słońcu bez słowa skargi i nikt nie wychodził z szyku.

- Przyjrzałeś się ich kolczugom i broni, pontifeksie maximusie. Czy były nowe? - spytał niecierpliwie Druzus.

- Tak, Marku Liwiuszu. Wszystko było nowe i najwyższej jakości.

- Mów dalej, Gnejuszu Domicjuszu - ponaglił Sekstus Cezar.

- Przystanęliśmy na odległość głosu, ja ze swymi liktorami i Kwintus Popediusz Silon ze swoimi legionami. Potem podeszliśmy do siebie z Silonem, by pomówić w cztery oczy.

- Jaki cel ma ta wojenna wyprawa, Kwintusie Popediuszu? - spytałem bardzo spokojnie i uprzejmie.

- Przybywamy na wezwanie trybunów ludowych - odrzekł Silon równie uprzejmie.

- Trybunów ludowych? - spytałem. - Nie jednego trybuna? Nie Marka Liwiusza Druzusa?

- Trybunów ludowych - powtórzył.

- Masz na myśli wszystkich trybunów? - upewniłem się.

- Wszystkich.

- Po co mieliby was wzywać?

- Po przyjęcie obywatelstwa rzymskiego i dla dopilnowania, że wszyscy je otrzymają.

Odstąpiłem nieco i unosząc brwi, patrzyłem poza niego na jego legiony.

- Pod groźbą użycia siły?

- Jeśli będzie trzeba.

- Skorzystałem wtedy ze swego imperium, ojcowie spisani. Sytuacja wymagała złożenia oświadczenia.

- Użycie siły nie będzie konieczne, Kwintusie Popediuszu Silonie.

W odpowiedzi zaśmiał się pogardliwie.

- Dajże spokój, Gnejuszu Domicjuszu! Chyba nie myślisz, że w to uwierzę? Czekaliśmy cierpliwie w Italii przez całe pokolenia, nie sięgając po broń, i widzieliśmy, jak nasze szanse obracają się wniwecz! Dziś zrozumieliśmy wreszcie, że jedynym sposobem jest zdobycie pełni praw siłą.

To mnie oczywiście bardzo zaniepokoiło, ojcowie spisani. Klasnąłem w



dłonie i zawołałem:

- Kwintusie Popediuszu, zapewniam cię, że wasza godzina się zbliża. Rozpuście, proszę, wasze oddziały, schowajcie miecze, wracajcie do kraju Marsów! Obiecuję ci uroczyście, że senat i lud rzymski nada obywatelstwo rzymskie wszystkim Italczykom.

Patrzył na mnie długi czas bez słowa, a potem rzekł:

- Dobrze, Gnejuszu Domicjuszu. Wycofam stąd swoją armię, ale tylko tak daleko i tylko na tak długo, by się przekonać, czy mówisz prawdę. Oświadczam ci bowiem prosto i jasno, pontifeksie maximusie, że jeśli senat i lud rzymski nie nada Italii pełni praw za obecnej kadencji trybunów ludowych, znowu ruszę na Rzym, a ze mną cała Italia. Zapamiętaj to dobrze! Cała Italia zjednoczy się, by zniszczyć Rzym.

Potem odwrócił się i odszedł. Jego oddziały zrobiły w tył zwrot, pokazując mi, jak dobrze są wyszkolone, i odmaszerowały, ja zaś wróciłem do Rzymu. Myślałem przez całą noc, ojcowie spisani. Znaie mnie dobrze. Znaie mnie od dawna. Nie mam reputacji człowieka cierpliwego ani wyrozumiałego. Potrafię jednak odróżnić rzodkiew od byka! I powiadam wam, koledzy senatorowie, że wczoraj widziałem byka. Byka z sianem owiniętym wokół rogów i z ogniem buchającym z nozdrzy. Obietnica złożona Silonowi nie była czczą obietnicą. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby senat i lud rzymski nadały pełnię praw całej Italii.

W kurii podniósł się szum. Wiele oczu wpatrywało się w Ahenobarba z niedowierzaniem, a wiele umysłów zapamiętało tę godną uwagi zmianę poglądów kogoś znanego z krnąbrności i nietolerancji.

- Jutro spotykamy się znowu. - Sekstus Cezar był zadowolony. - Nadszedł czas, byśmy jeszcze raz poszukali odpowiedzi na pytania. Pretorzy, którzy podróżują po Italii z polecenia Lucjusza Marcjusza - tu Sekstus Cezar uklonił się z powagą pustemu krzesłu Filipa - jeszcze nie wrócili. Musimy sami znaleźć wyjście. Wpierw jednak chcę tu jutro widzieć tych, którzy nie trudzili się słuchaniem nas ostatnio - mego kolegę konsula i pretora Kwintusa Serwiliusza Cepiona w szczególności.

Obaj zjawili się nazajutrz rano, najwyraźniej zaznajomieni ze wszystkimi szczegółami raportu Ahenobarba, a jednak wcale nie zbici z tropu. Gajusz Mariusz z ciężkim sercem przebiegał wzrokiem po twarzach obecnych. Sulla nie opuścił ani jednego zebrania, odkąd Druzus został trybunem ludowym, ale nie było z niego wielkiego pożytku. Po śmierci syna odsunął się od wszelkich zgromadzeń i spotkań, nawet z przyszłym kolegą konsulem Kwintusem Pompejuszem Rufusem. Siedział i słuchał z nieruchomą twarzą, a potem zniknął pod koniec zebrania, jakby się zapadał pod ziemię. Głosował za utrzymaniem praw Druzusa, Mariusz przyjmował więc, że jest on nadal w ich obozie. Nikomu jednak nie udało się z nim pomówić. Katulus Cezar wyglądał dziś



niewiele niepewnie, być może wskutek odstępstwa dotychczasowego sprzymierzeńca Ahenobarba pontifexa maximusa.

Nastąpiło jakieś poruszenie. Mariusz znów zwrócił uwagę na kurię. W październiku Filip dzierżył *fasces*, on więc przewodniczył zebraniu. Trzymał jakiś dokument, którego nie powierzył tym razem urzędnikowi. Po wstępnych formalnościach wstał, by przemówić pierwszy.

- Marku Liwiuszu Druzusie - przemówił donośnie i chłodno. - Chcę przeczytać tej kurii coś o daleko większym znaczeniu od niby-inwazji twego najlepszego przyjaciela Kwintusa Popediusza Silona. Zanim jednak zacznę, chcę, by każdy wiedział, że jesteś tu obecny i słuchasz.

- Jestem obecny, Lucjuszu Marcjuszu, i słucham - powiedział Druzus równie donośnie i chłodno.

Mariusz pomyślał, że Druzus wygląda na bardzo zmęczonego, jakby już dawno wyczerpał siły i trzymał się tylko siłą woli. W ciągu ostatnich tygodni stracił na wadze, policzki miał wychudłe, a oczy podkrążone i zapadnięte w oczodoły.

„Czemu czuję się jak niewolnik w kieracie?“, zastanawiał się Mariusz. „Czemu jestem niespokojny i pełen lęku? Druzus nie ma mojej energii ani mego przekonania o własnej słuszności. Oni go zabijają, jeśli nie fizycznie, to duchowo. Czemu wcześniej nie dostrzegłem, jak niebezpieczny jest ten Filip? Czemu nie spostrzegłem, jak jest bystry?“

Filip rozwinął arkusz papieru i trzymał oburącz na odległość wyciągniętej ręki.

- Nie poprzedzę tego żadnym komentarzem, ojcowie spisani. Po prostu przeczytam i pozwolę wam wyciągnąć wnioski. Oto treść:

*Przysięgam na Jowisza Najlepszego i Największego, na Westę, na Marsa, na Słońce Niezwyciężone, na Terrę i na Tellus, na bogów i bohaterów, którzy dali początek i wspierali ludy Italii w ich walkach, że będę uważał za swych przyjaciół i wrogów tych, których będzie uważał za swych przyjaciół i wrogów Marek Liwiusz Druzus. Przysięgam, że będę zabiegał o pomyślność Marka Liwiusza Druzusa wraz ze wszystkimi, którzy składają tę przysięgę, nawet za cenę mego życia, moich dzieci, moich rodziców i mojego mienia. Jeśli dzięki prawu Marka Liwiusza Druzusa zostanę obywatelem rzymskim, przysięgam, że jedynym moim narodem będzie Rzym i że zwiążę się z Markiem Liwiuszem Druzusem jako jego klient. Składam tę przysięgę i namówię do niej tylu Italczyków, ilu zdołam. Przysięgam dobrowolnie, bo wiem, że wierność przyniesie mi zasłużoną nagrodę. A gdybym tę przysięgę złamał, niech utracę moje życie, moje dzieci, moich rodziców i moje mienie. Niech tak będzie. Przysięgam.*



Nigdy jeszcze w kurii nie było tak cicho. Filip przenosił wzrok z otwartych ust Skaurusa na dziko wykrzywioną twarz Mariusza, z zaciśniętych warg Scewoli na purpurowe policzki Ahenobarba, z pełnej zgrozy twarzy Katulusa Cezara na pełną żalu twarz Sekstusa Cezara, z konsternacji na twarzy Metellusa Piusa Prosiaka na jawną radość na twarzy Cepiona.

Kiedy potem wypuścił z lewej dłoni arkusz, który zwinął się z głośnym trzaskiem, połowa kurii zerwała się na równe nogi.

- Oto jest, ojcowie spisani, przysięga, którą złożyły w zeszłym roku tysiące i tysiące Italczyków. I oto jest, ojcowie spisani, powód, dla którego Marek Liwiusz Druzus pracował tak ciężko, tak niezmordowanie, tak entuzjastycznie, by ujrzeć swych italskich przyjaciół obdarowanych naszym bezcennym rzymskim obywatelstwem! - Pokręcił ze znużeniem głową. - Nie dlatego, że troszczy się choć trochę o ich brudne italskie grzbiety. Nie dlatego, że wierzy w sprawiedliwość, nawet w tak wypaczoną sprawiedliwość! Nie dlatego, że marzy mu się świetna kariera, która zaprowadzi go na karty historii! Dlatego, koledzy senatorowie, że przyjął przysięgę kliencką od większej części Italii! Jeśli damy Italii pełne prawa, Italia stanie się własnością Marka Liwiusza Druzusa! Czy możecie to sobie wyobrazić? Klientela rozciągająca się od Arnus do Rhegium, od Morza Tuskańskiego do Adriatyku! Ach, gratuluję ci, Marku Liwiuszu! To mi dopiero nagroda! To mi powód do niestrudzonej pracy! Klientela większa niż setka armii!

Potem Filip odwrócił się, zstąpił z kurulnego podium i przeszedł miarowym krokiem do tego końca drewnianej ławy trybunów, na którym siedział Druzus.

- Marku Liwiuszu, czy to prawda, że cała Italia złożyła tę przysięgę? - spytał. - Czy to prawda, że w zamian za to przysięgłeś nadać całej Italii obywatelstwo?

Z twarzą bielszą niż jego toga Druzus zdołał podnieść się na nogi. Wyciągnął rękę, czy to błagalnie, czy też odparowując cios, nie wiadomo. A potem, otwierając usta do odpowiedzi, runął jak długi na czarne i białe płyty posadzki. Filip odstąpił, krzywiąc się, ale Mariusz i Skaurus natychmiast uklękli przy Druzusie.

- Nie żyje? - spytał Skaurus na tle głosu Filipa ogłaszającego zawieszenie zebrania do następnego dnia.

Mariusz przyłożył ucho do piersi Druzusa i pokręcił przecząco głową.

- To tylko omdlenie - powiedział, przysiadając na piętach i oddychając z ulgą. To omdlenie trwało tak długo, że twarz Druzusa pokryła się plamami i posiniała. Zaczął wydawać jakieś przeraźliwe dźwięki, a jego ramiona i nogi podrygiwały gwałtownie.

- To jakiś atak! - krzyknął Skaurus.

- Nie, chyba nie - powiedział doświadczony wojskowo Mariusz, który widział już na wojnie prawie wszystko, przy tej czy innej okazji. - Kiedy ktoś traci przytomność na tak długo, dostaje pod koniec drgawek. Wkrótce się obudzi.



Przechodzący Filip zatrzymał się, by popatrzeć, trzymając się na tyle daleko, by Druzus nie poplamiał mu togi, gdyby miał wymiotować.

- Zabierzcie stąd tego plugawca - powiedział z pogardą. - Jeśli umiera, niech umrze na nie poświęconej ziemi.

Mariusz podniósł głowę.

- *Mentulam caco, cunne!* - powiedział do Filipa na tyle głośno, by wszyscy stojący w pobliżu to słyszeli.

Filip odszedł raczej w pośpiechu. Jeśli kogoś na świecie się bał, to właśnie Mariusza. Ci, którzy pozostali, długo czekali na ocknięcie się Druzusa. Mariusz z ogromną przyjemnością ujrzał wśród nich Lucjusza Korneliusza Sullę.

Kiedy Druzus odzyskał przytomność, zdawał się nie wiedzieć, gdzie jest ani co się stało.

- Posłałem już po lektykę Julii - powiedział Mariusz Skaurusowi. - Niech leży, dopóki nie przyjdą

Był bez togi, którą poświęcił na poduszkę pod głowę Druzusa i na okrycie jego nóg i rąk.

- Mam zupełny zamęt w głowie! - powiedział Skaurus, który przysiadł na skraju kurulnego podium, nie sięgając nogami posadzki. - Nigdy bym tego nie pomyślał o takim człowieku!

- Brednie, Marku Emiliuszu! - prychnął Mariusz. - Nie pomyślałbyś tego o rzymskim arystokracie? Ja bym nie pomyślał, że mógłby postąpić inaczej! Na Jowisza, przestańcie się oszukiwać!

Jasnozielone oczy zapląsały w rozbawieniu.

- Na Jowisza, ty italski prostaku, rzucasz światło na nasze słabe strony!

- Ktoś to powinien zrobić, ty worku starych kości - powiedział z uczuciem Mariusz, siadając przy pryncepsie senatu i spoglądając na jedynych trzech pozostałych: Scewolę, Antoniusza Oratora i Sullę. - I cóż panowie? Co robimy dalej?

- Nic - rzekł krótko Scewola.

- Ach, Kwintusie Mucjuszu, wybacz naszemu biednemu trybunowi ludowemu jego jakże rzymską słabość, wybacz mu! - wykrzyknął Mariusz, śmiejąc się równie głośno jak Skaurus.

Scewola poczuł się dotknięty.

- Może to i rzymska słabość, Gajuszu Mariuszu, ale nie moja! - parsknął.

- Nie, chyba nie, ale dlatego też nigdy nie dorównasz jemu, przyjacielu - rzekł Mariusz, wskazując stopą leżącego na posadzce Druzusa.

Scewola skrzywił się z niesmakiem.

- Wiesz, Gajuszu Mariuszu, jesteś doprawdy niemożliwy! Co do ciebie, pryncepsie senatu, zechciej, proszę, przestać się śmiać!

- Nikt jednak nie odpowiedział jeszcze na pytanie Gajusza Mariusza - zauważył uspokajająco Antoniusz Orator. - Co robimy dalej?



- To nie zależy od nas - odezwał się po raz pierwszy Sulla. - To zależy oczywiście od niego.

- Dobrze powiedziane, Lucjuszu Korneliuszu! - wykrzyknął Mariusz, wstając na widok znajomej twarzy kierownika nosicieli lektyki Julii, który wyglądał nieśmiało zza skrzydła wielkich drzwi z brązu. - Dalej, przyjaciele, zabierzmy tego nieboraka do domu.



Ten nieborak wciąż jeszcze wędrował w majaczeniach po jakimś dziwnym świecie, kiedy go przekazywano pod opiekę matki, ta zaś bardzo rozsądnie postanowiła nie wzywać lekarzy.

- Będą mu puszczać krew i dawać na przeczyszczenie, a to ostatnie, czego mu trzeba - powiedziała stanowczo. - On po prostu nic nie jadł i to wszystko. Kiedy się tylko ocknie, napoję go winem z miodem i znowu będzie sobą, zwłaszcza gdy się prześpi.

Położyła syna do łóżka i zmusiła do wypicia pełnego kubka obiecanego grzanego wina z miodem.

- Filip! - wykrzyknął, usiłując usiąść.

- Nie myśl o tym robaku, dopóki nie poczujesz się lepiej.

Wypił jeszcze kubek i zdołał usiąść, przeczesując palcami krótkie czarne włosy.

- Ach, mam! Mam straszny kłopot! Filip dowiedział się o przysiędze.

Skaurus powiadomił ją wcześniej o tym, co zaszło, nie musiała więc o nic pytać. Skinęła tylko ze zrozumieniem głową.

- Pewnie się nie spodziewałaś, że ktoś o to spyta.

- To było tak dawno temu, że całkiem zapomniałem o tej przeklętej przysiędze!

- Marku Liwiuszu, to bez znaczenia. - Przysunęła krzesło do łóżka i wzięła go za rękę. - To, co robisz, jest daleko ważniejsze od powodów, dla których to robisz - taka jest rzeczywistość! Powody mają znaczenie wyłącznie dla ciebie, nie mają wpływu na wynik działania. Liczy się tylko „co”, jestem zaś pewna, że zdrowy szacunek dla samego siebie jest najlepszą gwarancją właściwych działań. Głowa do góry, mój synu! Twój brat tu jest i bardzo się o ciebie niepokoi. Głowa do góry!

- Będą mnie za to nienawidzić.

- Niektórzy będą to prawda. Większość z zawiści. Inni będą cię podziwiać. Z pewnością nie przeszkadzało to twoim przyjaciołom, którzy odprowadzili cię do domu.

- Którzy to byli? - spytał niecierpliwie.

- Marek Emiliusz, Marek Antoniusz, Kwintus Mucjusz, Gajusz Mariusz - odrzekła. - Ach, i ten fascynujący Lucjusz Korneliusz Sulla! Gdybym tylko była młodsza!



Wiedział już o niej dość, by uśmiechnąć się na te słowa.

- To dziwne, że go lubisz. Chyba nie interesują go zbyt wiele moje idee.

- Zauważyłam. Niedawno stracił swego jedyne go syna, nieprawdaż?

- Tak.

- To po nim widać. - Kornelia Scypionia wstała. - Przyślę ci teraz twego brata, Marku Liwiuszu, a ty musisz przekonać się do jedzenia. Dobre jedzenie to najlepsze lekarstwo. Każę w kuchni przygotować coś smacznego i dopilnujemy z Mamerkiem, żebyś to zjadł.

Zapadł już zmrok, kiedy wreszcie został sam ze swymi myślami. Czuł się znacznie lepiej, to prawda, ale straszliwe znużenie nie ustąpiło, on zaś wcale nie był senny, nawet po wypiciu sporej ilości wina. Kiedyż to ostatnio spał głębokim snem? Całe miesiące temu.

Filip dowiedział się o wszystkim. Ktoś musiał się dowiedzieć, to było nieuniknione, jak i to, że ten ktoś pójdzie z tym do Druzusa albo do Filipa, albo do Cepiona. Gdyby tak się stało, Cepion spróbowałby to wykorzystać, nie dopuściłby do zagarnięcia całej chwały przez Filipa. Niewątpliwie dlatego Filip zatrzymał wiadomość dla siebie. Matka miała rację. Rozgłoszenie wiadomości o przysiędze nie mogło zaszkodzić jego dokonaniom, mogło tylko zaszkodzić jego dumie. Jakie to ma znaczenie, że ludzie uwierzą iż dokonał czegoś jedynie dla ogromnej klienteli? Dlaczego mieliby wierzyć, że jego motywami były wyłącznie altruistyczne? Byłoby nie po rzymsku odrzucać osobiste korzyści, a on przecież był Rzymianinem! W każdym innym wypadku - teraz widział to wyraźnie - ukryte znaczenie posiadania klienteli przez człowieka nadającego obywatelstwo kilkuset tysiącom ludzi poruszyłoby jego kolegów senatorów i przywódców plebsu, a zapewne i większość obywateli z rzymskich nizin społecznych. To, że nikt nie dostrzegł tego ukrytego znaczenia, dopóki Filip nie przeczytał formuły przysięgi, dowodziło, jak wiele znaczyły emocje, a jak mało rozsądek - burza namiętności była tak gwałtowna, że przesłoniła praktyczną stronę zagadnienia. Czy można było spodziewać się po nich, że dopatrzą się w jego działaniach logiki, skoro nie dostrzegli sprawy klienteli? Nie można było na to liczyć - to było pewne.

Powieki mu opadły i pograżył się w głębokim śnie.

Kiedy o świcie następnego dnia wchodził do Kurii Hostyliusza, znów był sobą i znowu był gotów mierzyć się z Filipem, Cepionem i im podobnymi.

Przewodniczący obradom Filip odsunął na bok wszystkie inne sprawy, z pochodem armii Marsów włącznie. Przeszedł wprost do sprawy Druzusa i przysięgi Italczyków.

- Czy odczytany przeze mnie wczoraj tekst przysięgi jest dokładny, Marku Liwiuszu?

- Tak, o ile mi wiadomo, Lucjuszu Marcjuszu, ale nigdy nie słyszałem tej przysięgi ani nie widziałem jej zapisanej.



- Wiedziałeś jednak o niej.

Druzus zrobił zdziwioną minę, mrugając.

- Oczywiście, młodszy konsulu! Jak mógłbym nie wiedzieć o czymś tak korzystnym dla mnie i dla Rzymu? Gdybyś to ty był orędownikiem powszechnego nadania praw Italii, czybyś o tym nie wiedział?

Zaatakowany w ten sposób i wytracony z równowagi Filip musiał przerwać.

- Mnie nie przyłapiesz nigdy na zabieganiu dla Italczyków o coś więcej niż porządne baty - oznajmił z wyższością.

- I głupio robisz! - wykrzyknął Druzus. - Mamy oto coś naprawdę godnego starań, ojcowie spisani! Naprawienie niesprawiedliwości trwającej od pokoleń, podporządkowanie całego naszego kraju rzeczywistej i pożądanej hegemonii, przełamanie barier między ludźmi z różnych klas, usunięcie groźby wiszącej nad nami wojny - a wisi ona nad nami, zapewniam was! Ujrzeć tych wszystkich nowych obywateli związanych przysięgą złożoną Rzymowi i jakiemuś Rzymianinowi z Rzymu rodem! To ma ogromne znaczenie! To oznacza, że wszyscy ci nowi obywatele zostaną pokierowani właściwie i po rzymsku. To oznacza, że Italczycy będą wiedzieli, jak głosować i na kogo głosować. To oznacza, że będą głosowali raczej na prawdziwych Rzymian niż na swoich italskich rodaków!

To zasługiwało na rozważenie. Druzus widział to w twarzach tych, którzy słuchali go uważnie, a uważnie słuchali go wszyscy. Wiedział dobrze, że jego koledzy z senatu lękają się głównie tego, iż przeważająca liczba nowych obywateli, rozłożona na wszystkie trzydzieści pięć *tribus*, znacznie umniejszy rolę Rzymian w wyborach. I tego, że Italczycy będą się ubiegać o wybór na konsulów, pretorów, edylów, trybunów ludowych i kwestorów, zdecydowanych wydrzeć kontrolę nad senatem Rzymowi i wziąć ją w italskie ręce, nie wspominając o różnych komicjach. Jeśli jednak ci nowi Rzymianie będą związani przysięgą - i to straszliwą przysięgą - wierności Rzymowi i jednocześnie jakiemuś Rzymianinowi z urodzenia, honor nakaże im, jak i wszystkim innym klientom, głosować zgodnie z jego życzeniem.

- Italczycy są tak samo jak my ludźmi honoru - mówił Druzus. - Okazali to, składając tę przysięgę. Wdzięczni za nadanie obywatelstwa będą spełniać życzenia Rzymian. Prawdziwych Rzymian.

- Chcesz powiedzieć, że będą spełniać twoje życzenia - powiedział z jadem w głosie Cepion. - Reszta nas, prawdziwych Rzymian, podporządkuje się po prostu nieoficjalnemu dyktatorowi!

- Nonsens, Kwintusie Serwiliuszu! Czy podczas mego trybunatu zrobiłem coś bez pełnego poparcia senatu? Czy okazałem się nieczuły na potrzeby ludu rzymskiego na wszystkich szczeblach drabiny społecznej? Czy Italczycy znajdą lepszego patrona ode mnie, Rzymianina z dziada pradziada i konserwatysty z przekonania?



Druzus odwrócił się ku drugiej stronie kurii, wyciągając ręce.

- Kogo wolelibyście wy, ojcowie spisani, mieć za patrona tak wielu nowych obywateli: Marka Liwiusza Druzusa czy Lucjusza Marcjusza Filipa? Marka Liwiusza Druzusa czy Kwintusa Serwiliusza Cepiona? Marka Liwiusza Druzusa czy Kwintusa Wariusza Sewera Hybrydę Sukrońskiego? Musicie się bowiem pogodzić z myślą, że Italczycy otrzymają pełnię praw! Przysięgłem, że do tego doprowadzę - i doprowadzę! Usunęliście moje prawa z tablic, odbierając memu trybunatowi jego cel i jego osiągnięcia. Mój rok na tym urzędzie jeszcze się jednak nie zakończył, ja zaś postępowałem z wami honorowo. Pojutrze przedstawię Zgromadzeniu Plebejskiemu sprawę nadania praw Italii i będę stawiał tę sprawę na jednym *contio* po drugim, zawsze w zgodzie z religią i poszanowaniem prawa, zawsze w sposób pokojowy i z zachowaniem porządku. Przynajmniej wam wszystkim, że nie zakończę swego trybunatu, jeśli nie ujrzę na tablicach przynajmniej jednego *lex Livia*, tego, które zapewni pełne obywatelstwo rzymskie wszystkim żyjącym między Arnus a Rhegium, między Rubikonem a Werejum i między Morzem Tuskańskim a Adriatykiem! Jak Italczycy przysięgali mnie, ja także przysięgłem Italczykom, że dopilnuję, by za mojej kadencji otrzymali pełnię praw. I nie ustane w działaniach, możecie mi wierzyć!

Tego dnia odniósł zwycięstwo. To było oczywiste.

- Najlepsze w tym wszystkim - powiedział Antoniusz Orator - jest to, że zmusił ich do uznania powszechnego nadania praw za rzecz nieuniknioną. Oni przecież przywykli do łamania innych, a nie do tego, by ich samych łamano. Druzus ich jednak złamał, pryncepsie senatu, daję słowo!

- To prawda! - Skaurus promieniał. - Już myślałem, Marku Antoniuzie, że nic mnie nie zadziwi w rzymskich rządach, że wszystko już było i że wszystko zostało już kiedyś zrobione lepiej. Marek Liwiusz jest jednak kimś niezwykłym. Rzym nie widział jeszcze nikogo takiego i chyba już nigdy więcej nie zobaczy.



Druzus okazał się wart swego słowa. Przedstawił sprawę nadania praw Italii na *concilium plebis* w takim blasku niezwykłości, że wszyscy tam obecni nie mogli go nie podziwiać. Jego sława rosła i zataczała coraz szersze kręgi. Mówiło się o nim wszędzie i na wszystkich szczeblach drabiny społecznej. Jego uparty konserwatyzm i jego żelazna determinacja działania zgodnie z prawem uczyniły z niego bohatera nowego rodzaju. Cały Rzym, z Policzonymi Głowami włącznie, był z gruntu konserwatywny. Mógł popierać Saturnina, ale nie był skłonny zabijać dla Saturnina swoich najlepszych ludzi. *Mos maiorum* - tradycje i zwyczaje nagromadzone przez stulecia - zawsze miały znaczenie, nawet dla Policzonych Głowami. I oto pojawił się mąż, dla którego *mos maiorum* znaczyło tyle, co sprawiedliwość. Marek Liwiusz Druzus zaczynał przybierać postać półboga, a to z kolei kazało ludziom wierzyć, że wszystko,



czego on chce, musi być słuszne.

Filip, Cepion, Katulus Cezar i ich stronnicy, a wśród nich Metellus Pius Prosiak snujący się niezdecydowanie w pobliżu, przyglądali się bezsilnie, jak Druzus przeprowadza swoje *contiones* w drugiej połowie października i w pierwszej dekadzie listopada. Na początku zebrania bywały burzliwe, Druzus jednak doskonale dawał sobie z tym radę, wysłuchując wszystkich, nigdy jednak nie ulegając tyranii ani namowom tłumu. Kiedy robiło się zbyt gorąco, rozwiązywał zebranie. Cepion próbował zrywać gwałtem zebrania, ale ta sprawdzona poprzednio technika nie skutkowała w przypadku Druzusa, który wyczuwał instynktownie zagrożenie i rozwiązywał zebrania, wyprzedzając wybuch zamieszek.

Sześć *contiones*, siedem, osiem... Każde następne spokojniejsze od poprzedniego. Na każdym widziało się słuchaczy coraz bardziej pogodzonych z nieuchronnością zmiany prawa. Jak kropla draży skałę, tak Druzus męczył swoich oponentów niezawodnym taktem, godnym podziwu spokojem i rzeczowym zbijaniem argumentów. Jego przeciwnicy czuli się przy nim tępi, źle wychowani i niezdarni.

- To jedyny sposób - mówił po ósmym *contio* do pryncypsa senatu Skaurusa, przyglądającemu się ze schodów kurii zebraniu. - Dobrze urodzonym rzymskim politykom brak cierpliwości. Ja na szczęście mam tę cnotę w nadmiarze. Radzę sobie ze słuchaczami, a im się to podoba. Lubią mnie. Ja mam do nich cierpliwość, a oni do mnie zaufanie.

- Jesteś pierwszym od czasów Gajusza Mariusza, którego oni naprawdę lubią - powiedział z zastanowieniem Skaurus.

- Nie bez powodu - rzekł Druzus. - Oni czują, że Gajusz Mariusz to człowiek, któremu mogą wierzyć. Trafia do nich dzięki swej wspaniałej bezpośredniości, swojej sile i dzięki temu, że wydaje się raczej jednym z nich niż kimś dobrze urodzonym. Ja nie mam jego wrodzonych przymiotów. Nie mogę być kimś innym, niż jestem - dobrze urodzonym Rzymianinem. Cierpliwość jednak zwycięża, Marku Emiliuszu. Nauczyli się mi wierzyć.

- Sądziś więc, że czas na głosowanie?

- Tak sądzę.

- Czy mam zebrać resztę naszych? Może zjemy wieczerzę u mnie?

- Myślę, że właśnie dziś powinniśmy zjeść wieczerzę w moim domu - rzekł Druzus. - Jutro tak czy inaczej rozstrzygnie się mój los.

Skaurus poszedł szukać Mariusza, Scewoli i Antoniusza Oratora. Widząc Sullę, pomachał mu.

- Zapraszam cię w imieniu Marka Liwiusza na wieczerzę w jego domu, Lucjuszu Korneliuszu. - Widząc zaś na twarzy Sulli niechęć do spotykania się z ludźmi, dodał pod wpływem impulsu: - Ach, chodźże z nami. Nikt tam nie będzie wtykał nosa w cudze sprawy!



Wyraz niechęci znikł. Sulla zdołał się nawet uśmiechnąć.

- Zgoda, Marku Emiliuszu. Idę.

Jeszcze niedawno musieliby iść samotnie, bo choć Druzus miał wielu klientów, nie było ich zwyczajem odprowadzać patrona do domu po zakończeniu dnia na Forum. Przy domu patrona zbierali się o świcie. Tego dnia jednak, po ósmym *contio*, stronnicy Druzusa w komicjach byli tak liczni, że on sam i jego towarzysze znaleźli się nagle w środku podnieconego tłumu ze dwustu ludzi. Eskorta nie składała się z ludzi ważnych ani bogatych. Ludzie z klasy trzeciej i czwartej, a nawet Policzeni Głowami, chcieli wyrazić swój podziw i oddać cześć temu niezłomnemu mężowi. Już od jego drugiego *contio* zbierali się w stale rosnącej liczbie, by go odprowadzać do domu, a dziś byli wyjątkowo liczni, bo jutro miało nastąpić głosowanie.

- Więc to z powodu jutra? - spytał Druzusa Sulla.

- Tak, Lucjuszu Korneliuszu. Zdobyłem ich zaufanie, od rządzących plebsem rycerzy po tych wszystkich szarych ludzi, którzy nas teraz otaczają. Odkładanie głosowania nie ma sensu. Jeśli mam wygrać, wygram jutro.

- Wygrasz bez żadnej wątpliwości, Marku Liwiuszu - powiedział Mariusz. - Ja pierwszy oddam głos za tobą.

Droga nie była długa - przez dolne Forum do Schodów Westalek, a potem w prawo na Clivus Victoriae do domu Druzusa.

- Wchodźcie, wchodźcie, przyjaciele - zwrócił się do tłumu Druzus. - Przejdźcie do atrium i tam się pożegnamy.

- Zaczekajcie chwilę w pracowni - powiedział po cichu do Skaurusa. - To nie potrwa długo, ale grzeczność wymaga, żebym powiedział im kilka słów na pożegnanie.

Podczas gdy Skaurus z czterema towarzyszami poszedł do pracowni, Druzus powiódł swą rozciągniętą eskortę przez rozległy perystyl do wielkich dwuskrzydłowych drzwi na końcu kolumnady. Za nimi było atrium, piękna sala z barwnymi malowidłami, teraz jednak mroczna, bo słońce już zaszło. Przez jakiś czas stał wśród swoich zwolenników, śmiejąc się i żartując, i namawiając ich do głosowania w odpowiedni sposób. Potem zaczęli się z nim żegnać małymi grupami. Stojących wokół niego ubywało, aż wreszcie pozostało tylko kilku. Kończył się krótki zmierzch i cienie w przestrzeniach za słupami i w licznych alkowach w tej właśnie chwili przed zapaleniem lamp przemieniły się w nieprzenikniony mrok.

Świetnie! Ci ostatni już odchodzili. Jeden z nich otarł się w półmroku o Druzusa, który poczuł szarpnięcie w dół sinusa swojej togi, a potem ostry ból w prawym boku. Zdławił krzyk, bo tamci ludzie byli mimo wszystko obcy. Odchodzili z pośpiechem, wołając się nawzajem. Chcieli dostać się do domów, zanim noc zamieni ulice Rzymu w pełne niebezpieczeństw wąwozy.

Oślepiiony bólem Druzus stał w wejściu, patrząc na ogród, z uniesioną lewą



ręką obciążoną fałdami togi. Patrzył, jak odźwierny w drugim końcu perystylu wypuszcza tamtych na ulicę, a potem odwrócił się, by pójść do pracowni, gdzie czekali na niego przyjaciele. Kiedy się jednak poruszył, ów niewytłumaczalny i oślepiający ból rozszalał się na dobre. Druzus nie zdołał stłumić krzyku, co przyniosło mu niewiele ulgi. Jakaś gorąca ciecz popłynęła po jego prawej nodze. To było okropne.

Gdy Skaurus i pozostali wypadli z pracowni, Druzus stał na uginających się nogach, z dłonią przyciśniętą do prawego biodra. Podniósł tę dłoń, patrząc na nią ze zdumieniem, była bowiem pokryta krwią. Jego krwią. Osunął się na kolana, a potem na posadzkę niczym worek, z którego uchodzi powietrze, i leżał tak z szeroko otwartymi oczami, łapiąc z trudem powietrze w narastającym bólu.

To Mariusz, a nie Skaurus objął przewodnictwo. Uwolnił prawe biodro Druzusa z fałd togi, ukazując wyjaśnienie tajemnicy - rękojeść noża sterczącego z górnej części pachwiny.

- Lucjusz Korneliuszu, Kwintusie Mucjuszu, Marku Antoniuszu, niech każdy z was sprowadzi innego lekarza - powiedział szorstkim tonem Mariusz. - Prynepsie senatu, każ zaraz zapalić wszystkie lampy, ile ich tylko jest!

Niespodziewanie Druzus krzyknął znowu, a ten przeraźliwy krzyk wzleciał pod strop atrium z wymalowanym gwiazdzistym niebem i zawisł tam niczym jakiś hałaśliwy nietoperz objający się o belki stropowe. Atrium ożyło. Zewsząd biegli z krzykiem niewolnicy. Rządca Kratypus pomagał Skaurusowi w zapalaniu lamp. Kornelia Scypionia wpadła do sali z całą szóstką swoich podopiecznych, podbiegła do syna i uklękła przy jego boku na zalanej krwią posadzce.

- Morderca - wyjaśnił zwięźle Mariusz.

- Muszę zawiadomić jego brata - powiedziała matka, wstając. Skraj jej sukni ociekał krwią.

Nikt nie zwracał uwagi na dzieci, które podkradły się za plecami Mariusza i patrzyły na rozgrywającą się na posadzce scenę, pochłaniając szeroko otwartymi oczami rosnącą kałużę krwi, okropnie wykrzywioną twarz ich wuja i tę wstrętną rzecz wystającą z jego brzucha. Krzyczał teraz bez przerwy. Ból narastał, w miarę jak krwotok wewnętrzny uciskał nerwy władające nogą. Każdy nowy krzyk podrywał wzdrygające się i piszczące dzieci, dopóki Cepion Młodszy nie zdobył się na przygarnięcie swego braciszka Katona, przyciskając jego głowę do swej piersi i odcinając go od widoku wuja Marka.

Dopiero gdy wróciła Kornelia Scypionia, zajęto się dziećmi i odprawiono je pod nadzorem szlochającej i rozdygotanej piastunki. Matka uklękła znów naprzeciw Mariusza, równie bezradna jak on.

Wtedy właśnie zjawił się Sulla, dosłownie wnosząc Apollodora Sycylijszyka, którego rzucił na posadzkę pod nogi Mariusza.



- *Mentula* ma serce z kamienia. Nie chciał przerwać wieczerzy.
- Trzeba go zanieść do łóżka, zanim go zbadam - powiedział mały grecki lekarz z Sycylii, z trudem łapiąc oddech po napaści Sulli.

Tak więc Mariusz, Kratypus i dwaj służący podnieśli z posadzki krzyczącego przeraźliwie Druzusa i zostawiając za sobą szeroki jaskrawoczerwony szlak krwi, ponieśli go do wielkiego łoża, na którym przez tyle lat na próżno starał się spłodzić dzieci z Serwilią Cepionią. W niewielkiej komnacie pełnej lamp było jasno jak w dzień.

Pojawili się inni lekarze. Mariusz i Sulla zostawili ich przy łożu i przyłączyli się do stojących w atrium, gdzie nadal słyszeli przeraźliwe krzyki Druzusa. Kiedy wbiegł Mamerkus, Mariusz wskazał mu sypialnię pana domu, ale nie wszedł tam z nim.

- Nie możemy teraz odejść - powiedział Skaurus, wyglądając bardzo staro.
- Nie możemy - przyznał Mariusz, czując się bardzo staro.
- Wróćmy więc do pracowni. Nie będziemy zawadzać - rzekł Sulla, jeszcze rozdygotany po wstrząsie i po szarpaninie z lekarzem.
- Na Jowisza, nie mogę w to uwierzyć! - wykrzyknął Antoniusz Orator.
- Cepion? - spytał Scewola.
- Chyba raczej Wariusz, ten hiszpański kundel. - Sulla pokazał zęby.

Zasiedli w pracowni, czując się niepotrzebni i bezsilni, bo choć przywykli do niejednego, w uszach mieli wciąż straszliwe krzyki dolatujące z sypialni. Nie zabawili tam jednak długo, gdy okazało się, że Kornelia Scypionia jest godną potomkinią swoich groźnych przodków, bo nawet w takiej udreće znalazła czas, by przysłać im służącego niewolnika, wino i coś do zjedzenia.

Kiedy lekarze zdołali w końcu wydobyć nóż z rany, okazało się, że nadawał się doskonale do tego, do czego został użyty. Był to krzywy szewski nóż o szerokim ostrzu.

- Obrócono go w ranie - powiedział Apollodor Sycylijczyk do Mamerka nad nieprzerwanie krzyczącym Druzusem.

- Co to oznacza? - Mamerkus, ociekający potem wśród tyłu płomieni, nie był w stanie uświadomić sobie nawet tego jednego, a tym bardziej wszystkiego.

- Wszystko jest poszarpane, nie do naprawienia, Mamerku Emiliuszu, naczynia krwionośne, nerwy, pęcherz, a chyba i jelita.

- Czemu nie dasz mu czegoś przeciwbólowego?
- Już mu podałem wywar z maku i podam go jeszcze. Niestety, to mu nie pomoże.

- A co pomoże?

- Nic.

- Chcesz powiedzieć, że mój syn umiera? - spytała z niedowierzaniem Kornelia Scypionia.

- Tak, *domina* - rzekł z godnością lekarz. - Marek Liwiusz ma krwotok



wewnętrzny i zewnętrzny, a my ich nie umiemy zatamować. Musi umrzeć.

- W takich męczarniach? Czy nie ma na to rady?

- W naszej farmakopei nie ma silniejszego leku niż wywar z anatolijskich makówek, *domina*. Jeśli to mu nie pomaga, nic mu nie pomoże.

Całą długą noc przeleżał Druzus w swoim łóżu, krzycząc, krzycząc i krzycząc. Odgłosy jego męczarni przenikały w każdy kąt jego wspaniałego domu. Docierały do uszu dzieci zgromadzonych w pokoju dzieciennym dla towarzystwa i pociechy. Mały Katon wciąż krył głowę w ramionach brata, a wszystkie płakały i piszczały. Wspomnienie wuja Marka leżącego na posadzce zatruwało im myśli już zatrute tyłoma tragediami.

Cepion Młodszy ścisnął wciąż jednak swego braciszka Katona, całując jego włosy.

- Jestem przy tobie. Nic ci się nie stanie!

Na Clivus Victoriae gromadzili się ludzie, aż powstał tłum sięgający na trzysta kroków we wszystkie strony. Nawet z tak daleka słychać było krzyki Druzusa, którym wtórowały westchnienia, łkania i cichsze okrzyki nie mniej szczerego bólu.

Wewnątrz, w atrium, zgromadził się senat. Cepion i Filip nie przyszli i była to roztropna decyzja. Nie przyszedł też Kwintus Wariusz, co zanotował w pamięci Sulla, rozglądając się od drzwi pracowni. Coś poruszyło się w ciemności przy wyjściu na loggię. Sulla podszedł cicho sprawdzić, co to takiego. Była to dziewczyna trzynasto- czy czternastoletnia, ładna i ciemnowłosa.

- Czego chcesz? - spytał, stając nagle między nią, a światłem lampy. Dech jej zaparło, gdy podniosła wzrok na ognistą aureolę wokół jego rudozłotych włosów. Przez chwilę myślała, że widzi nieboszczyka Katona Salońskiego. W jej oczach zapłonęła i zgasła nienawiść.

- A kim ty jesteś, że mnie o to pytasz? - parsknęła wyniośle.

- Jestem Lucjusz Korneliusz Sulla. Ktoś ty?

- Serwilia.

- Wracaj do łóżka, młoda damo. To nie miejsce dla ciebie.

- Szukam ojca.

- Kwintusa Serwiliusza Cepiona?

- Tak, mego ojca.

Sulla zaśmiał się, nie dbając o jej uczucia.

- Czego by tu szukał, kiedy pół świata uważa go za mordercę Marka Liwiusza?

Jej oczy znów rozbłysły, tym razem radością.

- Czy on naprawdę umiera? Naprawdę?

- Tak.

- Świetnie! - powiedziała, otworzyła drzwi i znikła. Sulla wzruszył ramionami i wrócił do pracowni.



O świcie pojawił się Kratypus.

- Marku Emiliuszu, Gajuszu Mariuszu, Marku Antoniuszu, Lucjusz Korneliuszu, Kwintusie Mucjusz, pan prosi was do siebie.

Krzyki ucichły, ustępując miejsca pojedynczym gardłowym jękom. Zebrani w pracowni wiedzieli, co to znaczy, i pośpieszyli za rządcą przepychając się przez tłum senatorów. Druzus był blady niczym prześcieradło. Jego twarz była już tylko maską w której jakiś demon osadził parę żywych, lśniących, pięknych czarnych oczu. Po jednej jego stronie stała Kornelia Scypionia, wyprostowana i z suchymi oczami. Po drugiej stronie stał Mamerkus Emiliusz Lepidus Liwianus. Wszyscy lekarze znikli.

- Muszę odejść, przyjaciele - rzekł Druzus.

- Rozumiemy to - powiedział łagodnie Skaurus.

- Moje dzieło nie zostanie dokonane.

- Nie, nie zostanie - przyznał Mariusz.

- Żeby mnie jednak powstrzymać, musieli zrobić właśnie to - krzyknął cicho z bólu.

- Kto to był? - spytał Sulla.

- Któryś z siedmiu. Nie znałem ich. Zwyczajni ludzie. Chyba z klasy trzeciej, nie Policzeni Głowami.

- Czy ci grożono? - spytał Scewola.

- Nie, nigdy - jęknął Druzus.

- Znajdziemy tego zabójcę - obiecał Antoniusz Orator.

- Albo tego, kto zapłacił zabójcy - rzekł Sulla.

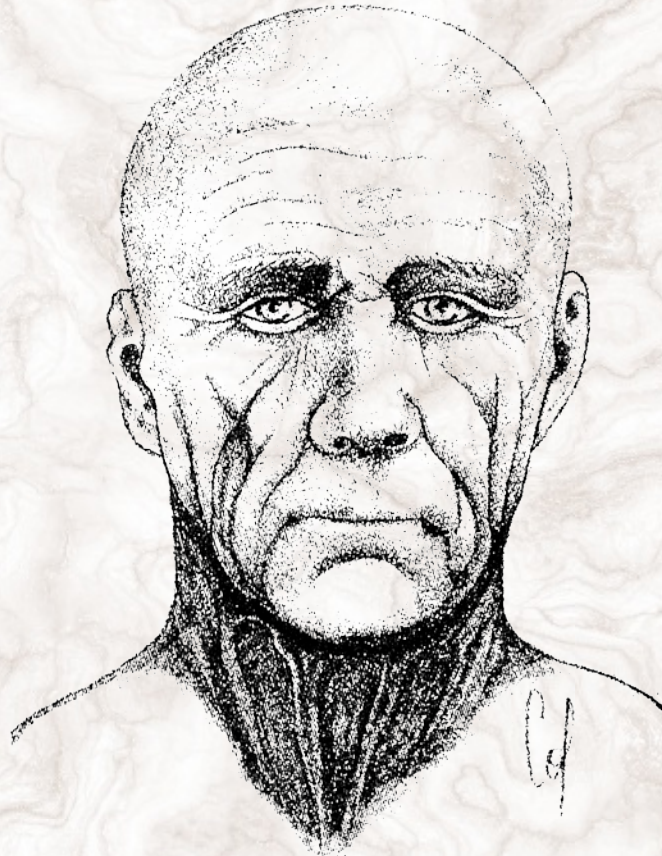
Stali potem w milczeniu wokół łoża, nie chcąc odbierać Druzusowi tej odrobiny życia, która mu jeszcze pozostała. Pod sam koniec jednak, gdy ból zmniejszył się, Druzus zdołał usiąść, patrząc na nich zamglonymi oczami.

- *Ecquandone?* - spytał silnym głosem. - *Ecquandone similem me civem habebit respublica?* Czy republika będzie kiedyś miała drugiego takiego obywatela?

- Nigdy, Marku Lucjusz! - rzekł Sulla. - Już nigdy!







MAREK EMILIUSZ SKAURUS

V



**K**wintus Popediusz Silon dowiedział się o śmierci Druzusa z listu Kornelii Scypionii. Otrzymał go w Marruwium niecałe dwa dni po tej tragedii i było to jeszcze jedno świadectwo nadzwyczajnej dzielności i stanu umysłu matki Druzusa. Obiecała synowi, że zawiadomi Silona, zanim dowie się on o tym od obcych, i dotrzymała obietnicy.

Silon płakał, ale nie był naprawdę zaskoczony. Poczł się potem lżej. Ujrzał nowy cel przed sobą. Czas zastanawiania się i zwlekania przeminął w końcu. Wraz ze śmiercią Marka Liwiusza Druzusa zgasła wszelka nadzieja na pokojowe załatwienie sprawy italskiej.

Rozesłane zostały listy do Gajusza Papiusza Mutilusa, przywódcy Samnitów, Heriusza Asiniusza, wodza Marrucynów, Publiusza Prezentejusza, naczelnika Pelignów, Gajusza Widacyliusza, wodza Picenów, Gajusza Pontydusza, przywódcy Frentanów, Tytusa Lafreniusza, naczelnika Westynów, i do aktualnego przywódcy Hirpinów, ludu słynnego z częstych zmian swych



pretorów. Gdzie jednak się spotkać? Wszystkie ludy italskie wiedziały dobrze o dwóch rzymskich pretorach przemierzających półwysep i badających „kwestię italską”, i podejrzliwie odnosiły się do wszelkich terenów na prawach rzymskich lub łacińskich. Najlepiej w dogodnym dla wszystkich punkcie i na uboczu rzymskich szlaków, ale przy dobrej drodze, czyli rzymskiej drodze. Odpowiedź pojawiła się w myślach Silona prawie natychmiast; skalista i niedostępna, umocniona wysokimi murami, usadowiona wygodnie w Apeninach Środkowych i z dostępem do nie wysychającej wody. Korfinum na Via Valeria i nad rzeką Aternus, miasto Pelignów sąsiadujące z krajem Marrucynów.

To właśnie w Korfinum spotkali się kilka dni po śmierci Druzusa przywódcy ośmiu ludów italskich i liczni ich stronnicy - Marsowie, Samnici, Marrucynowie, Westynowie, Pelignowie, Frentanowie, Picenowie i Hirpinowie. Wszyscy byli podnieceni i zdeterminowani.

- Wojna! - mówił na radzie Mutilus, a były to niemal pierwsze wypowiedziane słowa. - Musi być wojna, bracia Italczycy! Rzym odmawia nam tej godności, ale znaczenie naszych czynów i naszej mocy może nam ją dać. Sami wykujemy niepodległy kraj, bez żadnych targów z Rzymem i Rzymianami, i odbierzemy rzymskie i latiońskie kolonie założone w naszych granicach oraz odnajdziemy swoje przeznaczenie z pomocą własnych sił i środków!

Owacje i tupania towarzyszyły tej wojowniczej deklaracji, co bardzo ucieszyło Mutilusa i podniosło na duchu Silona. Tego pierwszego zżerała nienawiść do Rzymu, a drugi stracił już wiarę w Rzym.

- Żadnych więcej podatków dla Rzymu! Żadnych więcej żołnierzy dla Rzymu! Nigdy więcej italskie grzbiety nie pochylą się pod rzymskim biczem! Żadnych więcej długów wobec Rzymu! Koniec z kłanianiem się Rzymowi, z oddawaniem honorów i płaszczaniem się przed Rzymem! - wołał Mutilus. - Sami będziemy potęgą! Zajmiemy miejsce Rzymu! Bo Rzym, bracia Italczycy, będzie kupą popiołów.

Zebranie odbywało się na rynku w Korfinum, bo miasto nie miało ani wielkiej sali, ani forum, by pomieścić dwa tysiące ludzi, którzy się tu zgromadzili. Owacje, którymi stale nagradzano mowę Mutilusa, pobrzmiwały nad murami miasta potężną falą dźwiękową, która wystraszyła ptaki i napełniła lękiem mieszkańców.

„Stało się”, pomyślał Silon, słuchając. Decyzje zostały podjęte.

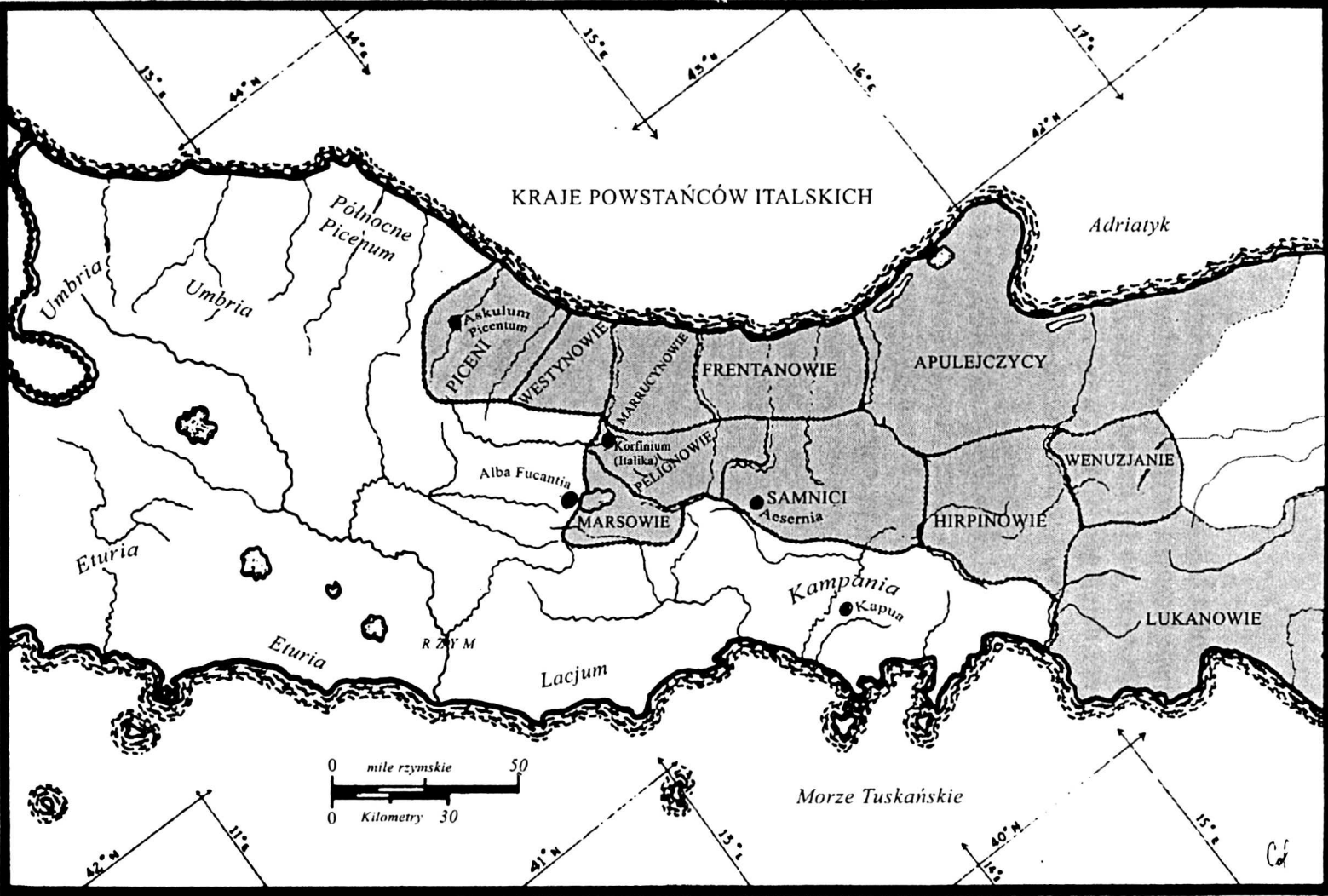
Wiele jednak było jeszcze do zrobienia. Najpierw nadać nową nazwę nowemu krajowi.

- Italia! - wykrzyknął Mutilus.

Potem nadać nazwę nowej stolicy Italii, dotąd zwanej Korfinum.

- Italika! - zawołał Mutilus.





KRAJE POWSTAŃCÓW ITALSKICH

Adriatyk

Północne Picenum

Umbria

Asculum Picenum

PICENI

WESTYNOWIE

MARUCYNOWIE

FRENTANOWIE

APULEJCZYCY

WENUZJANIE

LUKANOWIE

HIRPINOWIE

SAMNICI Aesernia

MARSOWIE

Korfinium (Italika)

Alba Fucantia

Kampania

Kapua

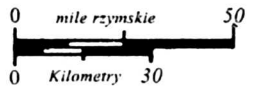
Eturia

Eturia

RZYM

Lacjum

Morze Tuskańskie



Col



A potem rząd.

- Rada pięciuset mężów, wybranych w równej liczbie ze wszystkich ludów Italii - powiedział Silon, któremu Mutilus chętnie przekazał przewodnictwo. Mutilus był sercem Italii, Silon zaś był jej mózgiem. - Wszystkie nasze cywilne regulacje, z konstytucją włącznie, będą spisane i wprowadzone przez to *concilium Italiae*, które będzie stale obradować tutaj, w naszej nowej stolicy, Italice. Ale najpierw, jak wszyscy dobrze wiecie, musimy stoczyć wojnę z Rzymem, aby Italia zaistniała. Dopóki zatem wojna z Rzymem nie zostanie pomyślnie zakończona - a tak się stanie! - Italia mieć będzie swoją radę ścisłą, czyli wojenną, złożoną z dwunastu pretorów i dwóch konsulów. Wiem, że to rzymskie urzędy, ale wykorzystamy je dla uproszczenia, jeśli nie dla czego innego. Ta rada wojenna, działając w porozumieniu i za zgodą *concilium Italiae*, będzie odpowiedzialna za prowadzenie naszej wojny z Rzymem.

- Nikt w Rzymie nie da temu wiary! - krzyknął Tytus Lafreniusz, przywódca Westynów. - Dwie nazwy! To wszystko co mamy do pokazania! Nazwa nie istniejącego kraju i nowa nazwa starego miasta!

- Rzym da temu wiarę - rzekł stanowczo Silon - kiedy zaczniemy bić monetę i wezwiemy architektów, by zaprojektowali centrum wspaniałego miasta! Nasze pierwsze monety będą przedstawiały osiem ludów założycielskich, wyobrażonych przez ośmiu mężów z dobytymi mieczami, składających w ofierze świnie, czyli Rzym, a na odwrocie twarz nowej bogini w italskim panteonie - Italii we własnej osobie. Za symbol-zwierzę przyjmujemy samnickiego byka. Naszym bogiem opiekunem zostanie Liber Pater, Ojciec Wolności. Będzie prowadził na smyczy panterę, bo tak właśnie poskromimy Rzym! A zanim upłynie rok, nasza nowa stolica Italika będzie miała forum tak duże jak rzymskie, salę obrad na pięciuset ludzi, świątynię Italii większą niż świątynia Ceres w Rzymie, a świątynię Jowisza Italii większą niż świątynia Jowisza Najlepszego i Największego w Rzymie! Nie będziemy niczego zawdzięczali Rzymowi, i Rzym szybko się o tym przekona!

Owacje zerwały się na nowo. Silon stał na mównicy i czekał, uśmiechając się, póki znów nie zapadła cisza.

- Rzym nie ujrzy nas podzielonych! - powiedział. - Tyle mogę przyrzec wszystkim tu obecnym i całemu ludowi w wolnej Italii. Zgromadzimy nasze wszystkie zasoby, od ludzi do pieniędzy, od żywności do towarów. Ci zaś, którzy poprowadzą wojnę z Rzymem w imieniu Italii, będą współpracować ze sobą jak nigdy dotąd dowódcy w dziejach wojen! W całej Italii nasi żołnierze czekają na wezwanie do broni! Mamy sto tysięcy ludzi gotowych do wyjścia na pole walki z dnia na dzień - a będzie ich więcej, o wiele więcej! - Urwał i roześmiał się głośno. - Za dwa lata, bracia Italczyki, to Rzymianie będą się domagać pełnego obywatelstwa Italii!

Sprawa była słuszna i sprawiedliwa, wytęskniona i potrzebna, nie to-



warzyszyły więc jej właściwie żadne spory o stanowiska i żadne walki wewnętrzne. Rada pięciuset przystąpiła jeszcze tego samego dnia do swoich obowiązków, podczas gdy rada ścisła zasiadła do narady wojennej.

Wyżsi urzędnicy rady ścisłej zostali wybrani w prostym, greckim głosowaniu przez podniesienie rąk, i to nawet z dwoma pretorami z ludów, które jeszcze nie przystąpiły do Italii, tak pewni byli wyborcy, że Lukańczycy i Wenuzianie będą z nimi.

Konsulami zostali: Gajusz Papiusz Mutilus z Samnitów i Kwintus Popediusz Silon z Marsów. Wśród pretorów znaleźli się Heriusz Asinius z Marrucynów, Publiusz Wetiusz Skaton z Marsów, Publiusz Prezentejusz z Pelignów, Gajusz Widacyliusz z Picenów, Mariusz Egnacjusz z Samnitów, Tytus Lafreniusz z Westynów, Tytus Hereniusz z Picenów, Gajusz Pontydjusz z Frentanów, Lucjusz Afraniusz z Wenuzjan i Marek Lamponiusz z Lukańczyków.

Rada wojenna, zasiadająca w małej sali zebrań w Korfinum-Italice, przystąpiła niezwłocznie do działania.

- Musimy koniecznie zjednać sobie Etrusków i Umbryjczyków - mówił Mutilus. - Póki nie przyłączą się do nas, nie zdołamy odizolować Rzymu od północy, a jeśli tego nie zrobimy, Rzym będzie korzystał z zasobów Galii italskiej.

- Etruskowie i Umbryjczycy to dziwni ludzie - powiedział Marsyjczyk Skaton. - Nigdy nie uważali się za Italczyków jak my, choć za takich uważa ich Rzym, tych głupców!

- Maszerowali, by protestować przeciw zniesieniu *ager publicus* - przypomniał Heriusz Asinius. - Czy to wskazuje, że się przyłączą do nas?

- To raczej wskazuje, że się nie przyłączą - zasepił się Silon. - Ze wszystkich ludów italskich Etruskowie są najściślej związani z Rzymem, a Umbryjczycy we wszystkim naśladowują ślepo Etrusków. Czy na przykład znamy kogoś z nich bliżej, po imieniu? Nikogo! Kłopot w tym, że Apeniny zawsze odcinały ich od nas na wschodzie. Na północ leży Galia italska, a Rzym i Lacjum ograniczają ich od południa. Sprzedają swoje sosny i świnie Rzymowi, a nie ludom italskim.

- Sosny rozumiem, ale jakie znaczenie ma kilka świń? - spytał Picen Widacyliusz.

Silon uśmiechnął się szeroko.

- Są świnie i świnie, Gajuszu Widacyliuszu! Jedne robią kwik-kwik. Inne robią znakomite kolczugi.

- Piza i Populonia! - wykrzyknął Widacyliusz. - Rozumiem, co masz na myśli.

- No cóż, Etruria i Umbria to zadanie na przyszłość - powiedział Mariusz Egnacjusz. - Proponuję, żebyśmy wybrali z naszych pięciuset radnych ludzi z darem przekonywania i wysłali ich do przywódców tamtych krajów. Sami zajmijmy się pilniejszą sprawą. Wojną. Jak ją rozpoczniemy?

- Kwintusie Popediuszu, co powiesz? - spytał Mutilus.



- Wezwiemy naszych żołnierzy pod broń. Jednocześnie proponuję nieco uspić czujność Rzymu, wysyłając delegację do senatu z ponowną prośbą o przyznanie obywatelstwa.

- Mogą sobie wsadzić swoje obywatelstwo tam, gdzie Grek wsadza coś ładnemu chłopcu! - parsknął Mariusz Egnacjusz.

- Pewnie, że tak - przyznał wesoło Silon. - Nie musimy jednak tego rozgłaszać, dopóki nie zgromadzimy naszych wojsk. Zgoda, jesteśmy gotowi, ale mobilizacja zajmie nam co najmniej miesiąc. Wiem na pewno, że w Rzymie nie wierzą w naszą gotowość do wymarszu przed upływem lat. Po co pozbawiać ich złudzeń? Jeszcze jedna delegacja pozwoli im sądzić, że oceniają właściwie nasz stan gotowości.

- Zgadzam się, Kwintusie Popediuszu - powiedział Mutilus.

- Dobrze. Proponuję zatem wybrać drugą grupę ludzi z darem przekonywania, spośród tych pięciuset, i wysłać ich do Rzymu z kimś z rady wojennej na czele.

- Jedno jest pewne - rzekł Widacyliusz. - Jeśli mamy wygrać tę wojnę, musimy działać szybko. Musimy uderzyć na Rzymian zdecydowanie i wszystkimi siłami, i na tak wielu frontach, jak to tylko możliwe. Mamy wspaniale wyszkolone oddziały i jesteśmy dobrze zaopatrzeni w środki do prowadzenia wojny. Mamy znakomitych centurionów. - Urwał z bardzo surową miną. - Nie mamy jednak wcale wodzów.

- Nie zgadzam się z tym - oświadczył stanowczo Silon. - Jeśli chcesz powiedzieć, że nie mamy pod ręką Gajusza Mariusza, masz słuszność. To już jednak stary człowiek, a kogóż jeszcze mają Rzymianie? Kwintusa Lutacjusza Katulusa Cezara? Przechwala się, że to on pobił Cymbrów w Galii italskiej, kiedy wszyscy wiemy, że zrobił to Mariusz. Mają Tytusa Dydiusza, ale on nie jest Mariuszem. Co ważniejsze, mają jego legiony w obozie w Kapui - cztery, i to samych weteranów. Ich najlepsi walczący obecnie wodzowie to Sencjusz i Brucjusz Sura w Macedonii, ale nikt nie ośmielił się ściągnąć ich do kraju, bo są tam zbyt zajęci.

- Zanim Rzym uzna się za pobitego przez takich jak my - rzekł z goryczą Mutilus - rozpędzi na cztery wiatry swe prowincje i ściągnie do domu swoich ludzi, by nas pokonać. Oto dlaczego musimy wygrać szybko tę wojnę.

- Mam jeszcze jedno do powiedzenia na temat wodzów - mówił cierpliwie Silon. - W istocie nie ma znaczenia, na których wodzów postawi Rzym, sami wiecie. Rzym zachowa się bowiem tak jak zawsze - konsulowie z danego roku będą dowódcami armii w polu. Możemy chyba pominąć Sekstusa Juliusza Cezara i Lucjusza Marcjusza Filipa - ich kadencja dobiega końca. Nie wiem, kto mógłby zostać konsulem na rok przyszły. To pewne, że musieli już kogoś wybrać. Dlatego właśnie nie zgadzam się z wami, Gajuszu Widacyliuszu i Gajuszu Papiuszu. My, wszyscy tu zgromadzeni, pełniliśmy służbę wojskową



równie długo jak którykolwiek kandydat na konsula Rzymu. Choćby ja sam, widziałem kilka wielkich bitew i miałem szczęście oglądać straszliwą klęskę Rzymu pod Arauzjoną. Mój pretor Skaton, ty sam, Gajuszu Widacyliusz, Gajusz Papiusz, Heriusz Asinius, Mariusz Egnacjusz - ależ nie ma tu nikogo, kto nie odsłużyłby swoich sześciu kampanii! Znamy się na dowodzeniu co najmniej równie dobrze jak ci, których wystawią Rzymianie, czy to legaci, czy dowódcy.

- Mamy też jedną wielką przewagę - rzekł Prezentejusz. - Znamy ten kraj lepiej niż Rzymianie. Szkoliliśmy żołnierzy przez całe lata jak Italia długa i szeroka. Rzym ma doświadczenie w wojowaniu za granicą, nie w Italii. Gdy legionieści wychodzą ze swoich szkół w Kapui, wyruszają w świat. Szkoda, że oddziały Dydiusza nie odpłynęły jeszcze, bo te cztery legiony weteranów to prawie wszystko, czym dysponuje Rzym, nie mogąc ściągnąć legionów zza morza.

- Czy Publiusz Krassus nie sprowadził wojska z Hiszpanii Dalszej, kiedy obchodził swój triumf? - spytał Heriusz Asinus.

- Sprowadził, ale odesłał je zaraz potem, jak Hiszpania się zbuntowała - wyjaśnił Mutilus, który najlepiej wiedział, co dzieje się w Kapui. - Te cztery legiony Tytusa Dydiusza pozostawiono na wypadek, gdyby były potrzebne w prowincji Azji i w Macedonii.

W tej chwili wszedł wysłannik z rynku z jakimś pismem od radnych. Mutilus wziął je, przeczytał kilka razy i zaśmiał się ochryple.

- No cóż, wodzowie z rady wojennej, zdaje się, że nasi przyjaciele na rynku są równie jak my zdecydowani! Mam tu dokument informujący nas, że wszyscy członkowie concilium Italiae postanowili, by każde większe miasto italskie dobrało sobie podobnej wielkości miasto z innego italskiego kraju i wymieniło zakładników - pięćdziesięcioro dzieci ludzi różnych zawodów, nie mniej.

- Nazwałbym to dowodem braku zaufania - rzekł Silon.

- Chyba tak jest. Tym niemniej jest to również fizyczny dowód poświęcenia i determinacji. Wolałbym nazwać aktem wiary to, że wszystkie miasta w Italii ryzykują życie pięćdziesięciorga swoich dzieci - odparł Mutilus. - Pięćdziesiątka z mego miasta, Bowianum, ma pójść do Marruwium, a pięćdziesiątka z Marruwium idzie do Bowianum. Widzę, że już ustalono kilka wymian - Askulum Picentum i Sulmo - Teate i Sepinum. Świetnie!

Silon i Mutilus wyszli, by podyskutować z wielką radą, i wrócili jakiś czas później, zastając swych kolegów z rady wojennej przy rozmowie o strategii.

- Najpierw ruszamy na Rzym - rzekł Tytus Lafreniusz.

- Tak, ale nie poświęcimy na to wszystkich sił - powiedział Mutilus, siadając. - Jeśli działamy, przyjmując, że nie mamy poparcia Etrurii i Umbrii - a chyba musimy tak zrobić - nie możemy teraz zagrozić Rzymowi od północy. Nie możemy też zapominać, że północne Picenum jest zbyt ściśle kontrolowane



przez Rzymian, Pompejuszów, by nam pomóc. Czy się zgadzacie, Gajuszu Widacyliusz i Tytusie Hereniuszu?

- Musimy się zgodzić - westchnął Widacyliusz. - Północne Picenum jest rzymskie. Pompejusz Strabon jest właścicielem ponad połowy jego obszaru, a Pompejusz Rufus reszty. Mamy oto klin wbity między Sentinum a Kamerinum, ni mniej, ni więcej.

- Dobrze więc, trzeba będzie zostawić północ - rzekł Mutilus. - Na wschód od Rzymu jesteśmy w lepszym położeniu, oczywiście na obszarach, gdzie zaczynają się Apeniny. Na południu zaś półwyspu mamy znakomitą szansę odcięcia Rzymu całkowicie od Tarentu i Brundyzjum. Jeśli Marek Lamponiusz wciągnie Lukanię do Italii - a jestem pewien, że to zrobi - możemy też odizolować Rzym od Rhegium. - Skrzywił się. - Pozostają jednak niziny Kampanii, ciągnące się przez Samnium do Adriatyku w Apulii. Tam musimy uderzyć najmocniej, i to z kilku powodów. Głównie dlatego, że Rzym uważa Kampanię za bezsilną i w końcu niezaprzeczalnie rzymską. To nieprawda, panowie! Mogą trzymać się w Kapui, mogą w Puteoli, myślę jednak, że odbierzemy resztę Kampanii Rzymowi! A jeśli to zrobimy, odbierzemy im najlepsze porty w pobliżu Rzymu, odetniemy ich od wielkich portów na południu, pozbawimy najlepszych ziem uprawnych - i odizolujemy Kapuę. Gdy już zmusimy Rzym do obrony, Etruria i Umbria pośpiesznie się do nas przyłączą. Musimy kontrolować każdą drogę do Rzymu ze wschodu i z południa, i musimy pokusić się o kontrolę nad Via Flaminia i Via Cassia. Kiedy tylko Etruria przejdzie na naszą stronę, zapanujemy oczywiście nad wszystkimi rzymskimi drogami. Jeśli trzeba będzie, zagłodzimy Rzym.

- A widzisz, Gajuszu Widacyliusz? - triumfował Sylon. - Kto mówi, że nie mamy wodzów?

Widacyliusz uniósł ręce na znak poddania.

- Przyznaję, Kwintusie Popediuszu! W osobie Gajusza Papiusza mamy wodza.

- Chyba się przekonasz - rzekł Mutilus - że mamy tuzin dobrych wodzów bez wychodzenia z tej sali.



Tego samego dnia, w którym powstał nowy naród Italii, a jego najwybitniejsi mężowie zaczęli obrady w nowej stolicy Italice, pretor Kwintus Serwiliusz z rodu Augurów wyjechał po Via Salaria z portowego miasta Firmum Picenum, wracając w końcu do Rzymu. Od czerwca przemierzał kraje na północ od Rzymu, kierując się od żyznych, falujących wzgórz Etrurii ku rzece Arnus, stanowiącej granicę Galii italskiej, stamtąd na wschód do Umbrii, na południe do Picenum i wzdłuż wybrzeża Adriatyku. Czuł się dobrze i sprawił się dobrze. Nie pominął żadnego italskiego kamienia, nie zajrzawszy pod spód, a jeśli nie



wykrył żadnych tajnych spisków, to dlatego, że ich nie było, tego był pewien.

Traktowano go jak króla we wszystkim oprócz tytułu. Wyposażony w imperium prokonsularne z przyjemnością jeździł konno i w pełnej zbroi, za dwunastoma liktorami w szkarłatnych tunikach przepasanych czarnymi pasami, noszącymi topory w wiązki różg. Kłusując na śnieżnobiałym rumaku w posrebrzanej zbroi na purpurowej tunice, Kwintus Serwiliusz z rodu Augurów naśladował nieświadomie króla Armenii Tigranesa, każąc niewolnikowi nosić nad sobą dla osłony od słońca parasol. Gdyby go zobaczył Lucjusz Korneliusz Sulla, pochorowałby się ze śmiechu i zapewne ściągnąłby Kwintusa z jego spokojnego wierzchowca i wytarzał go w pył.

Codziennie służący Kwintusa Serwiliusza wyjeżdżali przodem, by mu znaleźć jak najlepszą kwaterę, zwykle w willi jakiegoś miejscowego magnata albo wyższego urzędnika. Nie obchodziło go wcale zakwaterowanie reszty jego orszaku. Oprócz liktorów i dużej liczby niewolników towarzyszyło mu dwudziestu ciężkozbrojnych jeźdźców na pięknych koniach. W tym niespiesznym pochodzie potrzebne mu było towarzystwo, zabrał więc ze sobą jako legata niejakiego Fontejusza, bogate nic. Właśnie niedawno kupił on sobie skromny udział w chwale, oddając (wraz z bogatym wianem) swą córkę, siedmioletnią Fonteję, do kolegium westalek.

Kwintus Serwiliusz z rodu Augurów odniósł wrażenie, że w senacie rzymskim zrobiono wiele hałasu o nic, nie narzekał jednak, bo zobaczył więcej rzeczy w Italii, niż się kiedykolwiek spodziewał, i to w niezrównanych wprost warunkach. Gdziekolwiek się pojawił, podejmowano go i świętowano jego przybycie. Jego skrzynia z pieniędzmi wciąż była prawie pełna dzięki hojności gospodarzy i budzącej lęk władzy imperium prokonsularnego. Zanosilo się na to, że zakończy on rok swej pretury z pięknie zaokrągloną sakiewką - i to na koszt państwa.

Via Salaria była to oczywiście stara Słona Droga, pierwotny klucz do prosperity Rzymu w czasach przed królami, kiedy sól, wydobywaną z rozlewisk w pobliżu Ostii, rozwozili tą właśnie drogą latynscy kupcy-żołnierze. W obecnych czasach Via Salaria straciła jednak na znaczeniu. Nawierzchnia była zaniedbana, co Kwintus Serwiliusz odkrył wkrótce po opuszczeniu Firmum Picenum. Wyrwy spowodowane przez powodzie co parę mil utrudniały drogę. Nie było tam ani kawałka porządnej nawierzchni, a gdy wjechał w przesmyk prowadzący do następnego miasta, Askulum Picentum, ujrzał przejście zawałone osuwiskiem. Półtora dnia zajęło jego ludziom oczyszczenie szlaku. Biedny Kwintus Serwiliusz spędził ten czas przy osuwisku w bardzo niewygodnych warunkach.

Droga od wybrzeża wznosiła się stopniowo, bo pobraże wschodnie było wąskie. Grzbiet Apeninów był bliski i bardzo wysoki. Położone wewnątrz kraju Askulum Picentum było jednak największym i najważniejszym miastem w



całym południowym Picenum, otoczonym niedostępnym wysokim kamiennym murem, przypominającym równie niedostępne szczyty gór wokół miasta. Rzeka Truentius płynęła w pobliżu. O tej porze roku był to raczej szereg oczek wodnych, ale pomysłowi Askulańczycy uzupełniali swe zapasy wody poprzez sieć żwirowych studni sięgających w głąb łóżyska rzeki.

Wyborni słudzy wykonali swe zadanie. Kwintus Serwiliusz przekonał się o tym, wjeżdżając wreszcie w bramę Askulum Picentum. Powitało go tam zgromadzenie kupców, którym się najwyraźniej dobrze wiodło. Mówili po łacinie, nie po grecku, i wszyscy nosili togi obywateli rzymskich.

Kwintus Serwiliusz zsiadł ze śnieżnobiałego konia, przerzucił purpurowy płaszcz przez lewe ramię i przyjął łaskawie swój komitet powitalny.

- To chyba nie jest kolonia rzymska ani łacińska, nieprawdaż?

Jego wiedza na ten temat nie była tak dobra, jak powinna, zwłaszcza że był rzymskim pretorem podróżującym po Italii.

- Nie, Kwintusie Serwiliuszu, ale mieszka nas tu ze stu rzymskich ludzi interesu - odpowiedział przywódca delegacji Publiusz Fabrycjusz.

- A gdzie są zatem przywódcy Picenów? - spytał z oburzeniem Kwintus Serwiliusz. - Powinni mnie powitać.

Fabrycjusz zrobił przepaszającą minę.

- Picenowie od miesiący unikają nas, Rzymian, Kwintusie Serwiliuszu. Nie wiem czemu! Wygląda na to, że mają nam mnóstwo rzeczy za złe. A dzisiaj wypada ich lokalne święto na cześć Pikusa.

- Pikusa? - Kwintus Serwiliusz zamrugnął. - Urządzają tu święta na cześć jakiegoś dziecięcia?

Przeszli przez bramę na placyk ozdobiony girlandami jesiennych kwiatów, o bruku usłanym płatkami róż i maleńkimi stokrotkami.

- W tych stronach Pikus jest kimś w rodzaju Marsa - wyjaśnił Fabrycjusz. - Był królem starej Italii i przeprowadził Picenów przez góry z ich rodzinnego kraju Sabinów do tego, który zwiemy Picenum. Kiedy tu doszli, Pikus przemienił się w dziecięcia i oznaczył im granice, dziobiąc drzewa.

- Aha - przytaknął Kwintus Serwiliusz bez większego zainteresowania.

Fabrycjusz zaprowadził Kwintusa Serwiliusza i jego legata Fontejusza do własnego, wspaniałego domu w najwyższym punkcie miasta, liktorom i konnym żołnierzom przydzielił odpowiednie kwatery w pobliżu, a niewolników umieścił razem z własnymi niewolnikami. Kwintus Serwiliusz powoli odżywał, traktowany z takim szacunkiem, zwłaszcza gdy ujrzał swoją komnatę, najpiękniejszą w tym bardzo okazałym domu.

Dzień był gorący, słońce wciąż stało wysoko, więc obaj Rzymianie wykąпали się, a potem dołączyli do swego gospodarza na loggii z widokiem na miasto i jego imponujące mury, i na jeszcze bardziej imponujące góry dookoła. Żaden chyba miejski dom nie miał wspanialszego widoku.



- Gdybyś miał ochotę, Kwintusie Serwiliuszu - powiedział Fabrycjusz, gdy zjawili się jego goście - moglibyśmy pójść wieczorem do teatru. Grają *Bakchidów* Plauta.

- To brzmi cudownie - powiedział Kwintus Serwiliusz, zasiadając na wyściełanym krześle w cieniu. - Nie byłem w teatrze od opuszczenia Rzymu - westchnął. - Widziałem wszędzie kwiaty na ulicach, ale prawie żywego ducha. Czy to z powodu festiwalu tego dzięcioła?

Fabrycjusz zmarszczył brwi.

- Nie. To najwidoczniej ma coś wspólnego z jakąś dziwną, nową polityką, jaką przyjęli Italczycy. Pięćdziesięcioro dzieci z Askulum - same italskie - posłano dziś rano do Sulmo, Askulum zaś oczekuje przybycia takiej samej liczby dzieci z Sulmo.

- Coś nadzwyczajnego! Można by przypuszczać, że to wymiana zakładników - powiedział spokojnie Kwintus Serwiliusz. - Czy Picenowie nie myślą o wojnie z Marrucynami? Na to wygląda, nieprawdaż?

- Nie słyszałem żadnych pogłosek o wojnie - oświadczył Fabrycjusz.

- Cóż, wysłali z miasta dzieci askulańskie do jakiegoś miasta Marrucynów i oczekują pięćdziesięciorga dzieci Marrucynów na ich miejsce. To oczywiście sugeruje niepewne stosunki między Picenami a Marrucynami, żeby nie powiedzieć więcej. - Kwintus Serwiliusz zachichotał. - Czy nie byłoby cudownie, gdyby zaczęli ze sobą walczyć? Przestaliby wtedy myśleć o naszym obywatelstwie, czyż nie? - Upił łyk wina i podniósł wzrok zaskoczony. - Mój drogi Publiusz Fabrycjuszu, mrożone wino?

- Niezły pomysł, prawda? - Fabrycjusz rad był, że zadziwił czymś Serwiliusza, rzymskiego pretora i patrycjusza o tak starym i sławnym nazwisku. - Co drugi dzień wysyłałem ludzi po śnieg i mam go tu tyle, że mogę mrozić swoje wino przez całe lato i jesień!

- Zachwycające. - Kwintus Serwiliusz oparł się wygodnie na swoim krześle. - Czym się zajmujesz? - spytał obcesowo.

- Mam wyłączny kontrakt z większością tutejszych sadowników - wyjaśniał Publiusz Fabrycjusz. - Kupuję ich jabłka, gruszki i pigwy. Najlepsze wysyłam wprost do Rzymu. Resztę przerabiam na powidła w mojej przetwórni i też wysyłam do Rzymu. Mam również kontrakt na groch.

- Ach, świetnie!

- Tak, muszę powiedzieć, że dobrze mi się powodzi. - Fabrycjusz był wyraźnie z siebie zadowolony. - Zauważcie, to typowe dla Italczyków, że gdy tylko komuś z obywatelstwem rzymskim zaczyna powodzić się lepiej niż im, zaraz gadają o nieuczciwej konkurencji, praktykach monopolistycznych i tym podobnych głupstwach. Prawda jest taka, że oni nie chcą pracować, a jeśli nawet chcą, nie mają głowy do interesu! Gdyby zostawić to w ich rękach, owoce i płody rolne zgniłyby na polu. Nie przybyłem do tej dziury, żeby psuć



im interesy. Przybyłem tu założyć własny interes! Kiedy zaczynałem, nie wiedzieli, jak mi dziękować. Dziś jestem persona non grata dla każdego Italczyka z Askulum. I wszyscy moi tutejsi rzymscy przyjaciele opowiedzą ci to samo, Kwintusie Serwiliuszu.

- Słyszałem już tę samą opowieść od Satumii do Arpinum - oświadczył pretor wysłany dla zbadania „kwestii italskiej”.

Gdy słońce przebyło trzecią część swej drogi po zachodniej stronie nieba, a upał zaczął się zmniejszać w chłodnym, górskim powietrzu, Publiusz Fabrycjusz poszedł ze swymi dostojnymi gośćmi do teatru. Tymczasowa drewniana konstrukcja, zbudowana pod murem miejskim, ocieniała tylko widownię, podczas gdy na scenę wciąż padało słońce. Chyba z pięć tysięcy Picenów już się tam zebrało, pozostawiając jednak wolne dwa pierwsze rzędy półkolistej budowli. Te miejsca były zastrzeżone dla Rzymian.

Fabrycjusz polecił wcześniej zmienić ustawienie środka pierwszego rzędu, gdzie wzniesiono zgrabne podwyższenie pod baldachimem. Było na nim dość miejsca na krzesło kurulne Kwintusa Serwiliusza, krzesło dla jego legata Fontejusza i trzecie krzesło dla samego Fabrycjusza. Nie przejmował się tym, że konstrukcja zasłaniała widok siedzącym tuż poza nią. Jego gość był pretorem rzymskim z imperium prokonsularnym - kimś znacznie ważniejszym niż gromada Italczyków.

Weszli na widownię przez tunel pod krzywizną *cavea* i wyszli z niego w przejściu o jakieś dwanaście rzędów od podium. Była to wolna przestrzeń między widownią a sceną, półkoleście zakrzywiona. Najpierw szli liktorzy, stąpając dumnie ze swymi toporami w pękach różeg na ramionach, potem pretor i jego legat, za nimi dreptał rozpromieniony Fabrycjusz, a z tyłu dwudziestu żołnierzy. Żona Fabrycjusza - której nie przedstawiono rzymskich gości - siedziała już z przyjaciółkami na prawo od podium, ale w drugim rzędzie. Pierwszy rząd zarezerwowany był wyłącznie dla mężczyzn - obywateli rzymskich.

Kiedy zjawili się całą grupą, na widowni podniósł się szmer wśród Picenów, którzy pochylali się, wyciągając szyje, by lepiej widzieć. Szmer przemienił się w pomruk, ryk, wycie urozmaicone gwizdami. Choć skrycie zdumiony i przerażony tak wrogim przyjęciem, Kwintus Serwiliusz z rodu Augurów robił dobrą minę do złej gry. Wszedł na podwyższenie i zasiadł majestatycznie na swym krześle z kości słoniowej, zachowując się jak patrycjusz, którym nie był. Fontejusz i Fabrycjusz poszli w jego ślady, podczas gdy liktorzy i żołnierze zajęli miejsca w pierwszym rzędzie, po obu stronach podwyższenia, trzymając swe włócznie i *fasces* między gołymi kolanami.

Zaczęło się przedstawienie - jedna z najlepszych i najzabawniejszych sztuk muzycznych Plauta. Złożona struktura utworu sięgała do źródeł rzymskich i łacińskich, a nawet italskich. Nie było tam wpływów greckich, bo zespół



specjalizował się w komedii łacińskiej. Święto Pikusa w Askulum Picentum sprowadzało teatr co roku do tego miasta, tym razem jednak nastrój był inny. Antyrzymskie uczucia widowni były czymś zupełnie nowym. Aktorzy przyłożyli się więc do roboty ze zdwojoną energią, robiąc do zabawnych wierszy dodatkowe miny i gesty i zakładając, że przed końcem sztuki zdołają rozbawić Picenów.

Niestety, nawet wśród aktorów doszło do podziału. Dwaj Rzymianie grali bezwstydnie dla siedzących na podwyższeniu, Latynowie zaś i Italczycy skupili się na mieszkańcach Askulum. Po prologu zawiązała się intryga, główne postacie wymieniały jakieś wesołe uwagi, a przyjemny duet śpiewał przy trelach fletu. Potem było pierwsze *canticum*, wspaniała tenorowa aria przy akompaniamencie liry. Śpiewak, Samnita, równie sławny ze swego głosu, jak i z umiejętności dopisywania wierszy, wystąpił na przód sceny i zaśpiewał wprost do honorowego podium:

*Chwała i cześć, pretorze Rzymu!  
Cześć ci i wynoś się do domu!  
Nie chcemy, by tu, na Pikaliach  
Błyszczały rzymskie nam regalia!  
Patrzcie go, jak zadziera nosa,  
Jak gdyby wszystkie zjadł rozumy!  
Nie chcemy, żeby tu w Askulum  
Wpychał się w nasze ergastulum,  
Dalej więc, zrzucimy go z trybuny,  
Patrzymy, jak spada, wstrętny gbur!  
Ustawił krzesło zbyt wysoko.  
Wystarczy piłka i już trup.  
Kopa rzymskiemu kutasowi!  
I niech nas pocałuje w dziób!*

Nie zaszedł dalej ze swoją pieśnią. Któryś ze strażników przybocznych Kwintusa Serwiliusza wyciągnął włócznię spomiędzy kolan i nie trudząc się nawet wstawaniem, rzucił. Samnicki tenor padł martwy, przebity na wylot, z wyrazem pogardy malującej się na twarzy.

Zapadła głęboka cisza. Widownia nie mogła uwierzyć w to, co zaszło, i nikt nie wiedział, co robić. Gdy tak siedzieli oszołomieni, łatyński aktor Saunion, faworyt tego tłumu, wyskoczył na boczną część sceny i zaczął gorączkowo przemawiać, gdy tymczasem czterej jego koledzy odciągali zwłoki, a dwaj aktorzy rzymscy pośpiesznie znikali.

- Drodzy Picenowie, nie jestem Rzymianinem! - krzyczał Saunion, przyłgnąwszy niczym małpa do jednego z filarów i podskakując z maską



dyndającą mu w rękę. - Nie mam nic wspólnego z tymi tam! - Wskazał rzymskie podwyższenie. - Jestem zwykłym Latynem, drodzy Picenowie. Ja także cierpię, widząc *fascēs* przemierzające naszą ukochaną Italię. Ja także boleję nad postępami tych aroganckich rzymskich drapieżców!

W tym momencie Kwintus Serwiliusz wstał ze swego kurulnego krzesła, zszedł z podwyższenia, przeszedł przez orchesterę i wspiał się na scenę.

- Jeśli nie chcesz i ty dostać włócznią w żebra, aktorze, wynoś się! - powiedział do Sauniona. - Nigdy w życiu nie spotkały mnie takie zniewagi! Bądźcie szczęśliwi, wy italskie męty, że nie każę moim ludziom pozabijać was wszystkich! - Odwrócił się w stronę widowni. Akustyka była tak dobra, że mógł mówić zwykłym głosem i być słyszany na samym szczycie *cavei*. - Nie zapomnę o tym, co tu powiedziano! - parsknął. - *Auctoritas* rzymską obrażono tu śmiertelnie! Obywatele tej italskiej kupy gnoju drogo za to zapłacą tyle wam obiecuję!

To, co się potem stało, nastąpiło tak szybko, że nikt później dokładnie nie pamiętał przebiegu zdarzeń. Cała pięciotysięczna widownia Picenów zwała się wrzeszczącą i zadającą ciosy masą na pierwsze dwa rzędy rzymskie, skacząc na pusty półokrąg orchestry i zawracając tam, by runąć na żołnierzy, liktorów i poubieranych w togi mężów zwartym murem ciał i szarpiących, ciągnących i tłukących rąk. Nie podniosła się ani jedna włócznia i nie wydobyto ani jednego miecza. Ani jeden topór nie wysunął się z wiązki różeg. Żołnierze, liktorzy, poubierani w togi mężowie i ich wystrojone żony, zostali dosłownie rozdarci na strzepy. Cały front teatru pławił się we krwi. Szczątkami ciał rzucano niby piłkami z jednej strony orchestry na drugą. Tłum wrzeszczał i piszczał przeraźliwie, pławiąc się w radości i nienawiści, pozostawiając czterdziestu rzymskich urzędników i dwustu rzymskich ludzi interesu wraz z ich żonami w postaci kawałków krwawiącego mięsa. Fontejuś i Fabrycjusz zginęli pierwsi.

Nie uszedł też Kwintus Serwiliusz z rodu Augurów. Ktoś z tłumu skoczył na scenę, zanim zdążył się poruszyć, i z najwyższą przyjemnością oberwał mu uszy, szarpał za nos, aż urwał go w końcu, wydarł mu oczy, poobrywał palce, obgryzając z nich pierścienie, a potem, ponieważ wrzeszczał bez ustanku, podnieśli go za ręce, nogi i głowę i rozerwali bez wysiłku na sześć kawałków.

Gdy wszystko było skończone, Picenowie z Askulum wiwatowali i tańczyli, rzucali szczątki zabitych w teatrze Rzymian na stos na forum; przebiegali ulice, wyciągając z domów tych Rzymian, którzy nie poszli do teatru, na śmierć. Zanim zapadła noc, nie uchwalił się przy życiu w Askulum Picentum żaden obywatel rzymski ani nikt spokrewniony z Rzymianami. Miasto zamknęło swe potężne wrota i zaczęło się zastanawiać, jak się zabezpieczyć i jak przetrwać. Nikt nie żałował chwili szaleństwa. Było tak, jakby pękł jątrzący i zbierający się w nich wrzód nienawiści. Teraz mogli cieszyć się tą nienawiścią, ślubując sobie



nigdy więcej nie tolerować Rzymu.



Cztery dni po wypadkach w Askulum Picentum nowina dotarła do Rzymu. Dwaj rzymscy aktorzy, którzy uciekli ze sceny i z ukrycia, drżąc ze strachu, przyglądali się upiornej rzezi w teatrze, uszli potem z miasta tuż przed zamknięciem bram. Cztery dni zajęło im dotarcie do Rzymu, częściowo pieszo, częściowo na wozach zaprzęzonych w muły, zbyt przerażeni, by powiedzieć choć słowo o Askulum Picentum, zanim nie będą bezpieczni. Byli aktorami, więc ich opowieść wiernie odtwarzała atmosferę tamtych zdarzeń. Cały Rzym przyjmował ją ze zgrozą i niedowierzaniem. Senat ogłosił żałobę po śmierci pretora, a westalki złożyły ofiarę na intencję Fontejusza, ojca ich najmłodszej nowicjuszki.

Jeśli można było mówić przy okazji tej masakry o szczęściu, to na szczęście było już po wyborach. Oszczędziło to senatowi udręki borykania się z Filipem. Lucjusz Juliusz Cezar i Publiusz Rutyliusz Lupus zostali nowymi konsulami. Właściwy człowiek w osobie Cezara został skojarzony z kimś próżnym, bogatym i nieodpowiednim w rodzaju Lupusa. Był to kolejny rok ośmiu pretorów. Stanowili jak zwykle mieszaninę patrycjuszy i plebejuszy. Młodszy brat nowego konsula Lucjusza Juliusza Cezara, zezowaty Cezar Strabon, został edylem kurulnym. Urząd kwestora objął Kwintus Sertoriusz. Wieniec z trawy zdobyty w Hiszpanii zapewniał mu otrzymanie dowolnego urzędu. Gajusz Mariusz, kuzyn jego matki, dopilnował, by Sertoriusz posiadał cenzus senatorski. Kiedy wybierano nowych dwóch cenzorów, miał pewność, że senat go zaakceptuje. Nie wiedział zbyt wiele o prawie i sądach, ale jak na tak młodego człowieka, miał już sławne imię i ten magiczny wpływ na tłumy, który też był udziałem Mariusza.

Wśród doborowych nazwisk trybunów ludowych było jedno odrażające: Kwintus Wariusz Sewer Hybryda Sukroneński. Złożył on już obietnicę, że gdy tylko nowe kolegium trybunów rozpocznie urzędowanie, on osobiście dopilnuje, by ci, którzy popierali obywatelstwo dla Italii, zapłacili za to - od najwyższych do najniższych. Wieść o masakrze w Askulum Picentum dostarczyła Wariuszowi argumentów. Nie będąc jeszcze urzędującym trybunem, zabiegał niestrudzenie wśród rycerzy i bywalców Forum o poparcie dla swego programu odwetu w Zgromadzeniu Plebejskim. Dla senatu, wyczerpanego gładzeniem Filipa i Cepiona, stary rok trwał zdecydowanie za długo.

Potem, śladem wieści o Askulum Picentum, przybyła delegacja dwudziestu italskich nobilew z nowej stolicy, Italiki. Oni sami nie wspominali o Italii ani o Italice. Zażądali po prostu posłuchania w senacie w sprawie nadania obywatelstwa wszystkim na południe od - nie od Arnus ani Rubikonu - ale od



Padu w Galii italskiej! Ta nowa granica została starannie wykalkulowana, by poróżnić wszystkich w Rzymie, od senatu do Policzonych Głowami, bo przywódcy nowego narodu italskiego nie chcieli już więcej nadania im praw. Chcieli wojny.

Zamknięty wraz z tą delegacją w Senakulum, małej przybudówce świątyni Zgody, prynceps senatu Marek Emiliusz Skaurus usiłował uporać się z tym jawnym zuchwalstwem. Lojalny stronnik Druzusa, po jego śmierci nie widział sensu w domaganiu się powszechnego obywatelstwa. Wolał pozostać przy życiu.

- Możecie powiedzieć swoim mocodawcom, że nie ma szans na żadne negocjacje, zanim nie będzie zadośćuczynienia za Askulum Picentum. Senat was nie przyjmie.

- Askulum Picentum to po prostu dowód, jak silne są nastroje w Italii - oświadczył przywódca delegacji Publiusz Wettiusz Skaton z ludu Marsów. - Tak czy inaczej, nie jest w naszej mocy żądać czegokolwiek od Askulum Picentum. Ta decyzja należy do Picenów.

- Ta decyzja należy do Rzymu - odrzekł szorstko Skaurus.

- Prosimy ponownie o przyjęcie nas przez senat.

- Senat was nie przyjmie. - Skaurus był nieugięty.

Kiedy tych dwudziestu zbierało się do odejścia, żaden nie wyglądał na przybitego. Ostatni z wychodzących, Skaton, wsunął w dłoń Skaurusowi jakiś zwinięty dokument.

- Przyjmij to od ludu Marsów, Marku Emiliuszu.

Skaurus nie otworzył dokumentu, zanim nie dotarł do domu, gdzie zwrócił mu go jego pisarz. Rozwijając go z pewną irytacją, bo zdążył już o nim zapomnieć, odczytywał treść z rosnącym zdumieniem.

Zwołane przez niego o świcie zebranie senatu było niezbyt liczne ze względu na krótki czas zawiadomienia. Jak zwykle Filip i Cepion nie trudzili się przychodzeniem. Przyszedł jednak Sekstus Cezar, a także nowo wybrani konsulowie i pretorzy, wszyscy ustępujący trybunowie ludowi i większość nowych - z wyjątkiem, co podejrzane, Wariusza. Obecni byli też mężowie konsularni, a policzywszy głowy, Sekstus Cezar przekonał się z niejaką ulgą, że ma, mimo wszystko, *quorum*.

- Mam tu - powiedział prynceps senatu Skaurus - pewien dokument podpisany przez trzech mężów z Italii, Marsów: Kwintusa Popediusza Silona, który nazywa siebie konsulem, Publiusza Wettiusza Skatona, który nazywa siebie pretorem, i Lucjusza Fraukusa, który nazywa siebie radcą. Przeczytam go wam:

*Do senatu i ludu rzymskiego. My, wybrani przedstawiciele narodu Marsów, niniejszym w imieniu naszego ludu ogłaszamy, że odstępujemy od przymierza z*



*Rzymem. Nie będziemy płacić Rzymowi żadnych podatków, dziesięcin, ceł ani opłat, których mógłby od nas żądać. Nie będziemy również dostarczać Rzymowi wojsk. Odbierzemy Rzymowi miasto Alba Fucencja i wszystkie jego ziemie. Zechciejcie to uważać za wypowiedzenie wojny.*

W kurii zahuczało. Gajusz Mariusz wyciągnął dłoń po dokument i Skaurus podał mu go. Powoli wędrował przez szeregi obecnych, aż wszyscy przekonali się na własne oczy, że był prawdziwy i niedwuznaczny.

- Wygląda na to, że mamy na karku wojnę - powiedział Mariusz.

- Z Marsami? - spytał Ahenobarbus pontifex maximus. - Kiedy rozmawiałem z Silonem pod Bramą Kollińską, powiedział, że będzie wojna. Ale przecież Marsowie nie mogą nas pokonać! Nie mają dość ludzi, by wojować z Rzymem! Te dwa legiony, które miał wtedy ze sobą, to wszystko, co mogą wskrobać.

- To wygląda dziwnie - przyznał Skaurus.

- Chyba że są w to wmieszane i inne narody italskie - zauważył Sekstus Cezar.

Nikt jednak w to nie uwierzył, z Mariuszem włącznie. Zebranie zakończyło się bez żadnych wniosków, z wyjątkiem tego, że roztropnie będzie mieć Italię na oku - byle nie za pośrednictwem kolejnych wędrownych pretorów! Serwiusz Sulpicjusz Galba, pretor wysłany dla zbadania „kwestii italskiej” na południe od Rzymu, zawiadomił już wcześniej, że wraca. Kiedy przybył, kuria uznała, że lepiej będzie rozważyć dalsze działania. Wojna z Italią? Być może, ale jeszcze nie teraz.

- Przyznaję, że za życia Marka Druzusa uważałem, iż wojna z Italią jest tuż-tuż - powiedział Mariusz do Skaurusa, gdy przerwano zebranie. - Teraz jednak, gdy on nie żyje, nie mogę w to uwierzyć! Pytam sam siebie, czy chodziło tylko o jego punkt widzenia. I szczerze mówiąc, nie wiem. Czy Marsowie są w tym osamotnieni? Pewnie tak! A jednak nigdy nie uważałem Kwintusa Popediusza Silona za głupca.

- Podzielał twoje zdanie, Gajuszu Mariuszu - zgodził się Skaurus. - Ach, czemu nie przeczytałem tego pisma, gdy Skaton był jeszcze w Rzymie? Bogowie bawią się z nami, czuję to.



Pora roku stała oczywiście na przeszkodzie temu, by coś poza Rzymem zaprzętało myśli senatorów. Choćby nie wiadomo jak poważne albo zaskakujące były to sprawy, nikt nie chciał podejmować decyzji, kiedy jedni konsulowie prawie zakończyli swą kadencję, a obejmujący urząd nie rozpoznali jeszcze układów w kurii.

Tak więc sprawy wewnętrzne zdominowały senat i Forum przez cały grudzień. Najbliższe wydarzenia bez trudu wzięły górę nad wypowiedzeniem wojny przez Marsów, były bowiem pod ręką i nade wszystko były rzymskie.



Do takich wydarzeń należała sprawa wakującego kapłaństwa Marka Liwiusza Druzusa. Nawet po tylu latach Ahenobarbus pontifex maximus wciąż uważał, że to on powinien otrzymać stanowisko przyznane Druzusowi, szybko więc podał imię swego starszego syna Gnejusza, ostatnio zaręczonego z Kornelią Cynną najstarszą córką patrycjusza Lucjusza Korneliusza Cynny. Ten pontyfikat należał się oczywiście plebejuszowi, jako że Druzus był plebejuszem.

Lista kandydatów wyglądała jak honorowy spis plebejuszy. Obejmowała Metellusa Piusa Prosiaka, jeszcze jednego człowieka, który nosił w sobie urazę, bo miejsce jego ojca zajął w wyniku wyborów Gajusz Aureliusz Kotta. Potem w ostatniej chwili prynceps senatu Skaurus wprowadził wszystkich w osłupienie, zgłaszając nazwisko patrycjusza - Mamerka Emiliusza Lepidusa Liwiana, brata Druzusa.

- To nie jest legalne, i to z dwóch powodów - parsknął Ahenobarbus pontifex maximus. - Po pierwsze, on jest patrycjuszem. Po drugie, jest Emiliuszem, a ty już jesteś pontifexem, Marku Emiliuszu, więc nie należy brać pod uwagę kandydatury innego Emiliusza.

- Brednie! - powiedział bez ogródek Skaurus. - Nie zgłaszam go jako adoptowanego Emiliusza, ale jako rodzonego brata zmarłego kapłana. Jest Liwiuszem Druzusem, ja zaś oświadczam, że musi być zgłoszony.

Kolegium pontyfików zgodziło się w końcu, że w tej sytuacji Mamerkus powinien być uznany za Liwiusza Druzusa i pozwoliło dopisać go do listy kandydatów. Wkrótce okazało się, jak bardzo wyborcy cenili Druzusa; Mamerkus podbił wszystkie siedemnaście *tribus* i odziedziczył kapłaństwo po swym bracie.

Poważniejszą sprawą - albo tak się wówczas wydawało - było zachowanie się Kwintusa Wariusza Sewera Hybrydy Sukroneńskiego. Kiedy nowe kolegium trybunów ludowych rozpoczęło dziesiątego grudnia urzędowanie, Kwintus Wariusz natychmiast zgłosił prawo stawiające zarzut zdrady stanu każdemu, kto popierał powszechne nadanie praw Italii. Cała dziewiątka jego kolegów natychmiast zawetowała nawet dyskusję nad takim aktem prawnym. Wariusz wziął jednak przykład z Saturnina. Wypełnił komicznie jakimiś wynajętymi gburami i zdołał zastraszyć resztę kolegium, które wycofało swoje weto. Zdołał też zastraszyć opozycję i w rezultacie Nowy Rok oglądał ustanowienie specjalnego trybunału, który cały Rzym zaczął nazywać komisją Wariusza, uprawnionego do sądenia jedynie tych, którzy popierali nadanie praw Italczykom. Jego kompetencje były tak nieokreślone i elastyczne, że prawie każdego można było postawić w stan oskarżenia, a kolegium sędziowskie składało się wyłącznie z rycerzy.

- Będzie go używał do prześladowania swoich wrogów oraz wrogów Filipa i Cepiona - mówił prynceps senatu Skaurus, nie robiąc z tego tajemnicy. -



Poczekajcie, a zobaczycie! To najhaniebniejsza ustawa, jaką nam kiedykolwiek narzucono!

Wariusz potwierdził słuszność Skaurusa wyborem swej pierwszej ofiary, sztywnego, ultrakonserwatywnego pretora sprzed pięciu lat, Lucjusza Aureliusza Kotty. Był on przyrodnim bratem Aurelii ze strony ojca. Choć nigdy nie należał do zwolenników powszechnego nadania praw, przeszedł na ich stronę - wraz z wieloma innymi senatorami - podczas dni usilnych starań Druzusa w kurii. Jednym z głównych powodów zmiany sympatii Kotty była pogarda dla Filipa i Cepiona. Zrobił potem błąd, traktując Wariusza jak powietrze.

Najstarszy ze swego pokolenia doskonale nadawał się na pierwszą ofiarę komisji Wariusza, niższy pozycją od mężów konsularnych, ale wyższy niż pedarii. Gdyby Wariuszowi udało się go skazać, jego sąd stałby się narzędziem zastraszania senatu. Pierwszy dzień procesu ukazał aż nazbyt wyraźnie, jaki los czeka Lucjusza Kottę. Kolegium sędziowskie było naszpikowane wrogami senatu, a przewodniczący, niezmiernie wpływowy plutokrata Tytus Pomponiusz, nie zauważał sprzeciwów obrony.

- Mój ojciec nie ma racji - powiedział młody Tytus Pomponiusz, stojąc w tłumie przyglądających się działaniu komisji Wariusza.

Jego słuchaczem był drugi członek gromadki akolitów Scewoli Augura, Marek Tulliusz Cynceron, cztery lata młodszy od niego fizycznie, a czterdzieści lat starszy umysłowo - z pominięciem zdrowego rozsądku.

- Co masz na myśli? - spytał Cynceron, który zbliżył się do młodego Tytusa Pomponiusza po śmierci syna Sulli. Była to pierwsza prawdziwa tragedia w życiu Cyncerona. Nawet po tylu miesiącach nadal opłakiwał drogiego zmarłego przyjaciela.

- Tę obsesję mego ojca na punkcie dostania się do senatu - odrzekł ponuro młody Tytus Pomponiusz. - To go pożera, Marku Tulliuszu! Nie robi niczego, co nie byłoby wymierzone w senat. Dlatego też chwycił przynętę Kwintusa Wariusza i został przewodniczącym tego sądu. Unieważnienie praw Marka Liwiusza Druzusa utraciło jego prawie pewny wybór do senatu, a Kwintus Wariusz skorzystał z tego, by go zwabić. Obiecał mu, że jeśli zrobi, co mu każą, zostanie członkiem senatu zaraz po wyborze nowych cenzorów.

- Ależ twój ojciec prowadzi interesy. - Cynceron miał zastrzeżenia. - Będzie musiał rzucić wszystko, jeśli zostanie senatorem.

- Ach, nie martw się, rzuci! - powiedział z goryczą w głosie młody Tytus Pomponiusz. - To ja, nie mając jeszcze dwudziestu lat, prowadzę całą firmę. On tak naprawdę wstydy się tego, że robi interesy!

- A co to ma wspólnego z tym, że twój ojciec nie ma racji?

- Wszystko, ty nieuku! - powiedział młody Tytus. - On chce się dostać do senatu! I w tym właśnie nie ma racji. Jest rycerzem, i to jednym z



najznaczniejszych w Rzymie. Nie widzę nic złego w tym, że jest się wśród dziesięciu najznamienitszych rycerzy. Utrzymuje państwowego konia - a ja go przejmę po nim - wszyscy pytają go o radę. Ma wielką władzę w komicjach i jako konsultant trybunów skarbu państwa. A czego on chce? Być senatorem! Być jednym z tych głupców w tylnych rzędach, którzy nie mają szans przemawiać, a tym bardziej przemawiać dobrze.

- Chodzi ci o to, że wspina się po drabinie społecznej? Nie widzę w tym nic złego. Ja też to robię - powiedział Cynceron.

- Mój ojciec już osiągnął szczyt tej drabiny, Marku Tuluszu! Zarówno z urodzenia, jak i z zamożności. Pomponiusze są od pokoleń spokrewnieni z Cecyluszami linii pilijskiej i nie osiągniesz niczego więcej, jeśli nie jesteś patrycjuszem. - Urodzony wśród najwyższej rycerskiej arystokracji młody Tytus mówił dalej, nie zdając sobie sprawy, jak mogą ranić jego słowa. - Mogę zrozumieć, że ty wspinasz się po drabinie społecznej, Marku Tuluszu. Kiedy wejdiesz do senatu, będziesz człowiekiem nowym, a jeśli zdobędziesz konsulat, uszlachetnisz swoją rodzinę. Co oznacza, że powinieneś czcić każdego sławnego męża - plebejusza i patrycjusza. Gdyby mój ojciec został senatorem *pediarius*, byłby to w istocie krok wstecz.

- Dostanie się do senatu nigdy nie jest krokiem wstecz! - parsknął Cynceron. W słowach młodego Tytusa kryła się dodatkowa złośliwość. Cynceron zrozumiał już wcześniej, że z chwilą gdy powiedział, że przybywa z Arpinum, został natychmiast umazany takim samym gnojem jak najświetniejszy obywatel Arpinum, Gajusz Mariusz. Jeśli Gajusz Mariusz był Italczykiem, który wcale nie zna greki, kimże mógł być Marek Tulusz Cynceron, jeśli nie jedynie lepiej wykształconą wersją Gajusza Mariusza? Tuluszowie Cynceronowie nigdy nie przesadzali z podziwem dla Mariuszów, pomimo zdarzających się od czasu do czasu małżeństw między rodami. Od czasu przybycia do Rzymu młody Marek Tulusz Cynceron nauczył się jednak pogardzać Gajuszem Mariuszem. I swoim rodzinnym miastem.

- W każdym razie - powiedział młody Tytus Pomponiusz - kiedy zostanę *paterfamilias*, będę całkowicie zadowolony ze swego stanu rycerskiego. Gdyby nawet obaj cenzorowie błagali mnie na kolanach, będą czynili to na próżno! Przysięgam ci bowiem, Marku Tuluszu, że nigdy, przenigdy nie wejdę do senatu!

W tym czasie desperackie położenie Lucjusza Kotty stało się oczywiste. Nie było zatem niespodzianką dla sądu, gdy nazajutrz dowiedział się, że Lucjusz Aureliusz Kotta wolał iść na dobrowolne wygnanie, niż czekać na nieunikniony wyrok: CONDEMNO. Pozwoliło to przynajmniej podsądnemu zgromadzić większość swego majątku i zabrać go na wygnanie. Gdyby czekał na wyrok, sąd skonfiskowałby jego dobra, a samo wygnanie stałoby się trudniejsze do zniesienia z braku środków.



Był to nieodpowiedni czas dla upłynniania kapitałów, bo gdy senat działał niezdecydowanie, a komicja zafascynowane przyglądały się działaniom Kwintusa Wariusza, ludzie interesu wyczuli pismo nosem i poczynili stosowne kroki. Pieniądze natychmiast ukryto, udziały zachwiały się, a mniejsze spółki zwoływały nadzwyczajne zebrania. Manufaktury i importerzy towarów luksusowych debatowali nad możliwością ustanowienia prawa przeciw zbytkowi, w związku z wojną, i nad przestawieniem produkcji na potrzeby wojenne.

Nie zdarzyło się nic, co przekonałoby senat, że wypowiedzenie wojny przez Marsów nie było tylko grą. Nie dochodziły wieści o żadnej armii w marszu ani o przygotowaniach wojennych wśród ludów italskich. Jedynym powodem do niepokoju był brak wiadomości od pretora Serwiusza Sulpicjusza Galby, wysłanego dla zbadania sytuacji na południu. Nie wrócił on do Rzymu.

Działania komisji Wariusza nabierały impetu. Skazano na wygnanie Lucjusza Kalpurniusza Bestię, któremu skonfiskowano majątek. To samo spotkało Lucjusza Memiusza, który udał się na Delos. W połowie stycznia stanął przed sądem Antoniusz Orator, wygłosił jednak tak wspaniałe przemówienie i otrzymał takie oklaski od tłumu na Forum, że kolegium sędziowskie uznało za roztropne uniewinnienie go. Rozgniewany Kwintus Wariusz wynagrodził to sobie, oskarżając o zdradę stanu Marka Emiliusza Skaurusa, pryncypsa senatu.

Skaurus stawił się przed sądem bez żadnej asysty, ubrany w swą *toga praetexta* i roztaczający budzącą lęk aurę *dignitas* i *auctoritas*. Z nieruchomą twarzą wysłuchał Kwintusa Wariusza (który osobiście prowadził oskarżenie) wyliczającego długi szereg jego karygodnych czynów bezpośrednio związanych z Italczykami. Kiedy Wariusz w końcu umilkł, Skaurus parsknął pogardliwie. Odwrócił się nie do kolegium sędziowskiego, lecz do tłumu.

- Czy słyszeliście, Kwiryści? - zagrzemiał. - Jakiś półkrwi dorobkiewicz z Sukrony w Hiszpanii oskarża Skaurusa, pryncypsa senatu, o zdradę stanu! Skaurus zaprzecza temu oskarżeniu! Komu wierzycie?

- Skaurusowi! Skaurus, Skaurus, Skaurus! - zaczął skandować tłum. Potem kolegium sędziowskie przyłączyło się, a w końcu porzuciło swe miejsca, by ponieść Skaurusa na ramionach w triumfalnym pochodzie dookoła dolnego Forum.

- Co za głupiec! - mówił potem Mariusz do Skaurusa. - Czyżby naprawdę myślał, że może oskarżyć ciebie o zdradę stanu? Czyżby tak myśleli rycerze?

- Po tym, jak udało im się skazać biednego Publiusza Rutyliusza, myślą chyba, że mogą skazać każdego, jeśli trafi im się okazja - powiedział Skaurus, poprawiając togę nieco w nieładzie po jeździe na ramionach tłumu.

- Wariusz powinien zacząć swą kampanię przeciw tym groźniejszym mężom konsularnym ode mnie, a nie od ciebie - rzekł Mariusz. - Kiedy Marek Antoniusz się wywinął, była w tym wyraźna wskazówka. Teraz sprawa jest



oczywista! Przewiduję, że Wariusz zawiesi na kilka tygodni działalność, a potem zacznie od nowa, z mniej dostojnymi ofiarami. Bestia się nie liczy, wszyscy wiedzą że to wilczy łeb. A biedny Lucjusz Kotta miał za mało wpływów. Ach, Aureliusz Kottowie są potężni, ale oni nie lubią Lucjusza - wolą synów jego stryja, Marka Kotty z Rutylii. - Mariusz urwał, a brwi zatańczyły mu gwałtownie. - Prawdziwą słabością Wariusza jest oczywiście to, że nie jest Rzymianinem. Ty jesteś. Ja jestem. On nie jest. On tego nie rozumie.

Skaurus nie połknął przynęty.

- Nie rozumieją też Filip ani Cepion - rzekł z pogardą.



Miesiąc przewidziany na mobilizację przez Silona i Mutilusa wystarczył aż nadto. Kiedy się jednak skończył, ani jedna armia italska nie wyszła w pole. Były dwa powody po temu. Jeden Mutilus rozumiał, drugi zaś wpędził go w desperację. Targowanie się z przywódcami Etrurii i Umbrii postępowało w ślimaczym tempie, a nikt w radzie wojennej ani w wielkiej radzie nie chciał podejmować kroków zaczepnych, dopóki nie będzie pewności co do wyniku rokowań. To Mutilus mógł zrozumieć. Była też jednak dziwna niechęć przed wyruszeniem - nie ze strachu, ale raczej z wrodzonego, odwiecznego lęku przed Rzymem, i nad tym Mutilus ubolewał.

- Poczekajmy, aż Rzym zrobi pierwszy ruch - mówił Silon na radzie wojennej.

- Poczekajmy, aż Rzym zrobi pierwszy ruch - mówił Lucjusz Fraukus na wielkiej radzie.

Kiedy Mutilus dowiedział się, że Marsowie posłali senatowi wypowiedzenie wojny, był wściekły, bo sądził, iż Rzym z miejsca przeprowadzi mobilizację. Silon nie okazał jednak skruchy.

- Tak należało postąpić - twierdził. - Wojna ma swoje prawa, tak jak istnieją prawa rządzące wszelkimi przejawami ludzkiego postępowania. Rzym nie może mówić, że nie został uprzedzony.

I w następstwie tego nic, co Mutilus mógł powiedzieć albo zrobić, nie zdołało odwieść jego kolegów przywódców od ich postanowienia, że pierwszy krok musi zrobić Rzym.

- Gdybyśmy wyruszyli teraz, wymordowalibyśmy ich! - wołał Mutilus na radzie wojennej, podczas gdy jego zastępca Gajusz Trebacjusz mówił to samo na wielkiej radzie:

- Widzicie chyba, że im więcej czasu dajemy Rzymowi na przygotowanie się, tym mniej prawdopodobne jest nasze zwycięstwo w tym starciu! Naszą największą przewagą jest to, że w Rzymie nikt o nas nie wie! Musimy wyruszyć! Musimy wyruszyć jutro! Jeśli będziemy zwlekać, przegramy.

Pozostali jednak kręcili przecząco głowami, wszyscy oprócz Mariusza Egnacjusza, rodaka Mutilusa z rady wojennej. Nawet Silon był przeciwny,



choć przyznawał, że jest w tym logika.

- To nie byłoby słuszne! - Taką odpowiedź dostawali Samnici, choćby nie wiadomo jak silnie naciskali tamtych.

Masakra w Askulum Picentum także przeszła bez wrażenia. Gajusz Widacyliusz, Picen, odmówił wysłania garnizonu do miasta, by odeprzeć rzymskie represje. Twierdził, że te represje nie pojawią się prędko, a może wcale.

- Musimy wyruszać! - nawoływał wciąż na nowo Mutilus. - Rolnicy mówią, że zima będzie lekka i nie ma powodu zwlekać do wiosny! Musimy ruszać w pole! Nikt jednak nie chciał wyruszać i nikt nie wyruszył.



Tak się więc złożyło, że pierwsze odruchy buntu pojawiły się wśród Samnitów. Żadna ze stron nie uznała wypadków w Askulum Picentum za bunt - miasto zostało po prostu potraktowane w sposób przekraczający granice wytrzymałości i wzięło za to odwet. Tymczasem potężna samnicka ludność Kampanii, przemieszana od pokoleń z Latynami i Rzymianami, była od dawna bliska wrzenia, a teraz zaczęła kipieć.

Serwiusz Sulpicjusz Galba przywiózł o tym pierwszą pewną wiadomość do Rzymu, kiedy przybył tam w połowie lutego zaniedbany i bez swej eskorty.

Nowy starszy konsul, Lucjusz Juliusz Cezar zwołał natychmiast senat, by wysłuchać raportu Galby.

- Byłem przez sześć tygodni więźniem w Noli - mówił Galba, a w kurii zapadła zupełna cisza. - Wysłałem do was list z zapowiedzią powrotu, właśnie kiedy przybyłem do Noli. Nie zamierzałem tam z początku jechać, ale byłem w pobliżu, a w tym mieście żyje liczna ludność samnicka, postanowiłem więc w ostatniej chwili tam zajechać. Zatrzymałem się u pewnej starszej pani, przyjaciółki mojej matki i oczywiście Rzymianki. Powiedziała mi, że w Noli wydarzyły się dziwne rzeczy - nagle okazało się rzeczą niemożliwą dla Rzymian i Latynów uzyskać jakieś usługi i kupić cokolwiek na rynku, choćby tylko żywność! Jej służący musieli jeździć po podstawowe artykuły do Acerre. Kiedy jechałem przez miasto ze swymi liktorami i żołnierzami, byłem nieustannie wygwizdywany - i nigdy nie było wiadomo przez kogo.

Galba czuł się niezręcznie, wiedząc, że opowieść o jego przygodach nie podnosi na duchu.

- W nocy po moim przybyciu do Noli Samnici zamknęli bramy i przejęli to miasto całkowicie w swoje ręce. Wszyscy Rzymianie i Latynowie stali się więźniami i byli trzymeni w areszcie domowym, włącznie z moimi liktorami, żołnierzami i urzędnikami. Ja sam zostałem uwięziony w domu mojej gospodyni, a przed przednim i tylnym wejściem stali samniccy strażnicy. Pozostawałem tam jeszcze przed trzema dniami. Wtedy to moja gospodyni zdołała odciągnąć straż od tylnego wejścia, a ja wyslizgnąłem się. Przebrany za



samnickiego kupca uciekłem za bramę miasta, zanim zaczął się pościg.

Skaurus pochylił się do przodu.

- Czy widziałeś się z kimś spośród władz, Serwiuszu Sulpicjuszu?

- Z nikim. Rozmawiałem ze strażnikami przy drzwiach, i to wszystko.

- I co mieli do powiedzenia?

- Tylko to, że w Samnium trwa bunt, Marku Emiliuszu. Nie miałem możliwości sprawdzenia tych słów, kiedy więc udało mi się uciec, straciłem cały dzień, ukrywając się przed każdym, kto wyglądał mi z daleka na Samnitę. Dopiero kiedy dotarłem do Kapui, przekonałem się, że nikt nic nie wie o tej rewolcie, przynajmniej w tej części Kampanii. Wyglądało właściwie na to, że nikt nie orientuje się w wydarzeniach w Noli. Za dnia Samnici z Noli otwierali jedną z bram i udawali, że nic się nie stało. Kiedy mówiłem tym w Kapui, co mi się przydarzyło, byli zdumieni. I zaniepokojeni także. Duumwirowie z Kapui prosili mnie o przesłanie im instrukcji senatu.

- Czym cię żywiono podczas uwięzienia? Co z twoją gospodynią? Czy pozwolono jej na zakupy w Acerre? - spytał Skaurus.

- Jedzenia nie było wiele. Moja gospodyni mogła kupować w Noli, ale tylko w ograniczonych ilościach i po podwyższonych cenach. Nikomu z Rzymian ani Latynów nie wolno opuszczać miasta.

Tym razem senat był pełen. Sąd Wariusza zdołał zjednoczyć szeregi senatorów i zbudził tęsknotę za czymś dostatecznie dramatycznym, by odebrać znaczenie tej komisji.

- Proszę o głos - odezwał się Mariusz.

- Jeśli nikt wyższy rangą nie chce zabrać głosu - odpowiedział chłodno Publiusz Rutyliusz Lupus, młodszy konsul. To on w lutym dzierżył *fascēs*, a nie był zwolennikiem Mariusza.

Nikt nie chciał zabrać głosu przed Mariuszem.

- Jeżeli Nola uwięziła w areszcie domowym swoich rzymskich i latyńskich obywateli, nie ma wątpliwości, że zbuntowała się przeciw Rzymowi. Zastanówmy się przez chwilę: w czerwcu zeszłego roku senat wysłał dwóch ze swych pretorów dla zbadania tego, co nasz czcigodny mąż konsularny Kwintus Lutacjusz nazwał „kwestią italską”. Prawie przed trzema miesiącami pretor Kwintus Serwiliusz został zamordowany w Askulum Picentum wraz ze wszystkimi obywatelami rzymskimi w tym mieście. Prawie przed dwoma miesiącami pretor Serwiusz Sulpicjusz został uwięziony w Noli, także ze wszystkimi obywatelami rzymskimi w tym mieście.

Dwaj pretorzy, jeden na północy, a drugi na południu, i dwa groźne incydenty, jeden na północy, a drugi na południu. Cała Italia - nawet w najbardziej głuchych kątach - wie, jakie jest znaczenie pretora rzymskiego. A jednak, ojcowie spisani, w jednym przypadku popełnione zostało morderstwo. W drugim przypadku mamy długoterminowe uwięzienie. Nie wiemy, czy



ostateczne uwolnienie Serwiusza Sulpicjusza zawdzięcza on tylko szczęśliwej ucieczce. Wydaje mi się jednak, że i Serwiusz Sulpicjusz zginąłby. Dwaj pretorzy rzymscy, każdy z imperium prokonsularnym! Zostali napadnięci, i to najwyraźniej w poczuciu bezkarności. Co to oznacza moim zdaniem? Tylko jedno, koledzy senatorowie! Oznacza to, że Askulum Picentum i Nola ośmieliły się tak postąpić, bo nie obawiały się represji. Inaczej mówiąc, oba miasta spodziewają się, że między Rzymem a ich krajami dojdzie do wojny, zanim Rzym zdoła ich ukarać.

Cała kuria zastygła w oczekiwaniu, chłonąc każde słowo Mariusza. Urwał, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą. Szukał szczególnie twarzy Sulli, którego oczy błyszczały, i Kwintusa Lutacjusza Katulusa, na którego twarzy malował się dziwny lęk.

- Jestem winien tak samo jak wy wszyscy, ojcowie spisani. Po śmierci Marka Liwiusza Druzusa nie było już nikogo, kto by mi powtarzał, że będzie wojna. Zacząłem myśleć, że się mylił. Kiedy nic się nie zdarzyło po marszu Marsyjczyka Silona na Rzym, ja także uznałem to za jeszcze jedną sztuczkę dla zdobycia obywatelstwa. Kiedy delegat Marsów wręczył naszemu pryncypsovi senatu wypowiedzenie wojny, zlekceważyłem je, bo przysłał je tylko jeden naród italski, chociaż w delegacji byli reprezentanci ośmiu narodów. I przyznaję otwarcie, że nie mogłem uwierzyć, by jakiś naród italski w naszych czasach rzeczywiście rozpoczął z nami wojnę. - Szedł przez salę, dopóki nie stanął przed zamkniętymi drzwiami, skąd mógł widzieć całą kurię. - To co powiedział nam dziś Serwiusz Sulpicjusz, zmienia wszystko i rzuca nowe światło na wypadki w Askulum Picentum. Askulum jest miastem Picenów. Nola jest miastem kampańskich Samnitów. Żadne z nich nie jest kolonią rzymską ani latyńską. Musimy chyba przyjąć, że Marsowie, Picenowie i Samnici sprzymierzyli się przeciw Rzymowi. Być może są w tym przymierzu wszystkie narody, które przysłały do nas jakiś czas temu delegację. Być może, wręczając przywódcy tej kurii formalne wypowiedzenie wojny, Marsowie uprzedzili nas o tym, gdy tymczasem inne narody nie trudziły się, by to zrobić. Marek Liwiusz Druzus powtarzał stale, że sprzymierzeńcy italscy są na progu wojny. Teraz mu wierzę - tyle że chyba sprzymierzeńcy italscy przekroczyli ten próg.

- Czy naprawdę myślisz, że jesteśmy w stanie wojny? - spytał Ahenobarbus pontifex maximus.

- Tak myślę, Gnejuszu Domicjuszu.

- Mów dalej, Gajuszu Mariuszu - powiedział Skaurus. - Chciałbym cię wysłuchać do końca, zanim zabiorę głos.

- Nie mam już wiele do powiedzenia, Marku Emiliuszu. Chyba tylko to, że musimy przeprowadzić mobilizację, i to bardzo szybko. Musimy spróbować ustalić zasięg tego przymierza przeciw nam. Musimy postawić pod broń



wszystkich żołnierzy, jakich mamy, żeby strzec głównych dróg i naszego połączenia z Kampanią. Musimy przekonać się, co myślą Latynowie i jak sobie radzą nasze kolonie we wrogich krajach. Jak wiecie, mam wielkie obszary ziemi w Etrurii, tak jak Kwintus Cecyliusz Metellus Pius i kilku innych Cecyliuszów. Kwintus Serwiliusz Cepion posiada również wielkie obszary w Umbrii. Gnejusz Pompejusz Strabon i Kwintus Pompejusz Rufus zdominowali północne Picenum. Dlatego myślę, że możemy utrzymać Etrurię, Umbrię i północne Picenum w naszym obozie - jeżeli natychmiast zaczniemy rozmawiać z ich lokalnymi przywódcami. Jeśli jednak idzie o północne Picenum, ich lokalni przywódcy siedzą tu dziś w naszej kurii. - Mariusz skinął głową w stronę pryncypsa senatu Skaurusa. - Nie trzeba chyba mówić, że to ja mam do-  
wodzić.

Skaurus podniósł się z miejsca.

- Zgadza się całkowicie, ojcowie spisani, ze wszystkim, co powiedział Gajusz Mariusz. Nie możemy pozwolić na stratę czasu. Chociaż zdaję sobie sprawę, że mamy luty, uważam, że należy odebrać *fascēs* młodszemu konsulowi i oddać je starszemu. W sprawach takiej wagi jak ta, musi nas prowadzić starszy konsul.

Rutyliusz Lupus okazał oburzenie, nie był jednak popularny w kurii. Nalegał na przeprowadzenie formalnego głosowania i znaczna większość głosowała przeciw niemu. Musiał ustąpić miejsca Lucjuszowi Juliuszowi Cezarowi, starszemu konsulowi. Przyjaciel Lupusa, Cepion, był obecny, nie było jednak Filipa i Kwintusa Wariusza, dwóch innych jego przyjaciół.

Uradowany Lucjusz Juliusz Cezar szybko okazał, że zasługuje na zaufanie przywódcy kurii. Jeszcze tego samego dnia zostały podjęte ważne decyzje. Obaj konsulowie mieli wyruszyć w pole, pozostawiając pretorowi miejskiemu Lucjuszowi Korneliuszowi Cynnii rządy w Rzymie. Najpierw omówiono sprawy prowincji. Ten nowy kryzys nie mógł nie zmienić podjętych wcześniej postanowień. Jak już ustalono, Sencjusz miał pozostać w Macedonii, a namiestników Hiszpanii także pozostawiono w spokoju. Lucjusz Lucyliusz miał wyruszyć do prowincji Azji. Żeby jednak nie stwarzać żadnej okazji królowi Mitrydatesowi, gdy Rzym wplątany jest w wojnę domową, Publiusz Serwiliusz Watia został teraz wysłany do Cylicji dla zapewnienia spokoju w tej części Anatolii. Co najważniejsze - mąż konsularny Gajusz Celiusz Kaldus otrzymał szczególne namiestnictwo połączonych prowincji Galii Zaalpejskiej i Galii italskiej.

- Jest bowiem jasne - mówił Lucjusz Juliusz Cezar - że jeśli mamy bunt w Italii, nie znajdziemy dość żołnierzy u tych mieszkańców półwyspu, którzy nadal będą nam wierni. W Galii italskiej jest wiele kolonii latyńskich i kilka rzymskich. Gajusz Celiusz obejmie swą kuratelą Galie italską i będzie tam dla nas zaciągał i szkolił żołnierzy.



- Jeśli mogę coś doradzić - zagrział głos Mariusza - chętnie widziałbym kvestora Kwintusa Sertoriusza u boku Gajusza Celiusza. Ma obowiązki wobec skarbu i nie jest jeszcze członkiem senatu. Jestem jednak pewien, że to prawdziwy wojskowy i wszyscy tu obecni o tym wiedzą. Niech zdobywa doświadczenie w prowadzeniu spraw skarbu jako wojskowy.

- Zgoda! - powiedział z miejsca Lucjusz Cezar.

Trzeba było oczywiście uporać się z ogromnymi trudnościami finansowymi. Skarb państwa był wypłacalny i miał rezerwy większe, niż było to konieczne, ale...

- Jeśli ta wojna się rozszerzy albo będzie się przeciągać, będziemy potrzebowali więcej pieniędzy, niż mamy - mówił Lucjusz Cezar. - Lepiej zaradzić temu teraz niż później. Proponuję obłożyć bezpośrednim podatkiem wszystkich obywateli rzymskich i posiadaczy praw latyńskich.

To oczywiście wywołało gwałtowną opozycję z wielu stron kurii, ale Antoniusz Orator wygłosił bardzo piękną mowę, to samo zrobił prynceps senatu Skaurus i w końcu zdecydowano się na ten krok. Tributum nigdy nie było nakładane w trybie natychmiastowym, nawet w razie potrzeby. Po pokonaniu króla Macedonii Perseusza przez wielkiego Emiliusza Paulusa, zostało zniesione i zastąpione trybutem nakładanym na nie-Rzymian.

- Gdybyśmy musieli utrzymywać w polu więcej niż sześć legionów, nasze wpływy z prowincji nie wystarczą - powiedział główny trybun skarbu państwa. - Ciężar ich uzbrojenia, wyżywienia, opłacenia i utrzymania w polu spadnie na Rzym i skarb państwa.

- Żegnajcie, sprzymierzeńcy italscy! - powiedział Katulus Cezar z furją.

- Zakładając, że możemy potrzebować, powiedzmy, dziesięciu do piętnastu legionów w polu, jaki powinien być trybut? - spytał Lucjusz Cezar.

Główny trybun skarbu państwa i kohorta jego urzędników stłoczyli się na jakiś czas, a potem padła odpowiedź:

- Jeden procent wartości cenzusu.

- Policzeni Głowami wywiną się z tego jak zwykle! - krzyknął Cepion.

- Policzeni Głowami - powiedział z ironią Mariusz - wykonają większość roboty na polu bitwy, Kwintusie Serwiliuszu!

Lucjusz Juliusz Cezar zignorował tę wymianę zdań.

- Póki jesteśmy przy sprawach finansowych, najlepiej będzie zlecić kilku starszym członkom kurii nadzór nad zaopatrzeniem armii, zwłaszcza w broń i zbroje. Zwykle robi to praefectus fabrum, ale obecnie nie mamy pojęcia, jak będą rozmieszczone nasze legiony ani ile ich będzie. Uważam za konieczne, by senat czuwał nad zaopatrzeniem armii, przynajmniej w obecnej chwili. Mamy od Kapui cztery legiony weteranów pod bronią i jeszcze dwa legiony w trakcie szkolenia. Wszystkie były przeznaczone do służby w prowincjach, ale o tym nie ma już mowy. Prowincjom muszą wystarczyć wojska, które już tam są.



- Lucjusz Juliusz - odezwał się Cepion - to po prostu śmieszne. Nie mając żadnych innych dowodów, niż te dwa wydarzenia w dwóch miastach, siedzimy tu, przywracając tributum, mówiąc o wystawieniu piętnastu legionów w polu, zlecając senatorom organizowanie zakupów tysięcy i tysięcy kolczug, mieczów i całej reszty, wysyłając ludzi, by zarządzali prowincjami, które oficjalnie nie są prowincjami. Zaproponujesz za chwilę powołanie pod broń wszystkich obywateli rzymskich i łatyńskich poniżej trzydziestego piątego roku życia!

- Istotnie, zaproponuję - przyznał kordialnie Lucjusz Cezar. - Nie musisz się jednak tym przejmować, drogi Kwintusie Serwiliuszu, masz dobrze ponad trzydzieści pięć. - Urwał, a potem dodał: - Jeśli idzie o lata, w każdym razie.

- Wydaje mi się - powiedział wyniośle Katulus Cezar - że Kwintus Serwiliusz może - mówię tylko, że może - mieć rację. Z pewnością powinniśmy się zadowolić tymi ludźmi, których mamy w tej chwili pod orłami, i czynić dalsze przygotowania w miarę potrzeby, i jeśli potwierdzi się - albo nie - że chodzi o masowe powstanie.

- Kiedy będzie nam trzeba żołnierzy, Kwintusie Lutacjuszu, muszą oni być gotowi do boju, a także odpowiednio wyposażeni - odparł gniewnie Skaurus. - Muszą już być wyszkoleni. - Odwrócił głowę do siedzącego po jego prawej ręce. - Gajuszu Mariuszu, ile trzeba czasu, by z rekruta zrobić dobrego żołnierza?

- Gotowego, by go wysłać do walki - sto dni. Wtedy jeszcze nikt nie jest dobrym żołnierzem, Marku Emiliuszu. To pierwsza bitwa robi z niego żołnierza.

- Czy można to zrobić w czasie krótszym niż sto dni?

- Można, jeśli ma się dobry materiał ludzki i centurionów lepszych niż przeciętni, prowadzących szkolenie.

- Lepiej więc będzie znaleźć najlepszych centurionów - powiedział ponuro Skaurus.

- Proponuję, żebyśmy wrócili do tematu - rzekł stanowczo Lucjusz Cezar. - Mówiliśmy o senackim praefectus fabrum dla organizacji zaopatrzenia i wyposażenia tych legionów, których jeszcze nie posiadamy. Moim zdaniem powinniśmy nominować do tego najpoważniejszego zadania kilku ludzi, a potem dać wybranemu wolną rękę w doborze pomocników spośród senatorów. Proponuję nominować tylko tych, którzy z takich czy innych powodów nie wyruszą w pole. Proszę o podawanie nazwisk.

Zadanie przypadło synowi starszego legata Gajusza Kasjusza, który zginął pod Burdigalą w germańskiej zasadzce - Lucjuszowi Kalpurniuszowi Pizonowi. W dzieciństwie padł ofiarą tej dziwnej choroby, która atakuje w lecie. Miał uschniętą lewą nogę, co mu nie pozwalało na służbę wojskową. Pizon, żonaty z córką Publiusza Rutyliusza Rufusa, był człowiekiem inteligentnym, który wiele ucierpiał na skutek przedwczesnej śmierci ojca, zwłaszcza w kwestiach



majątkowych. Gdyby nie potrafił zasłużyć się Rzymowi i jednocześnie napełnić swej sakiewki, z pewnością zostałyby zapomniane. Uśmiechał się jednak w milczeniu, pewien, że da sobie radę i z jednym, i z drugim.

- Doszliśmy teraz do dowództwa i dyspozycji - powiedział Lucjusz Cezar. Zaczynał odczuwać zmęczenie, nie zamierzał jednak zamykać zebrania przed omówieniem ostatniego tematu. - Jak najlepiej się zorganizować? - spytał.

Powinien skierować to pytanie wprost do Gajusza Mariusza, jak nakazywały przepisy. Nie był jednak admiratorem Mariusza i przy tym wyczuwał, że po udarze i przy swoich latach Mariusz nie jest już tym samym człowiekiem co dawniej. Mariusz zresztą pierwszy zabrał głos i z pewnością powiedział, co o tym wszystkim myśli. Lucjusz Cezar przebiegał wzrokiem po twarzach siedzących po obu stronach, zastanawiając się, jak najlepiej mają się zorganizować, a potem zadał drugie pytanie, tak szybko po pierwszym, że nie dał Mariuszowi czasu na odpowiedź. - Lucjuszu Korneliuszu o przydomku Sulla, chciałbym usłyszeć twoją opinię. -

Starszy konsul starał się być dokładny. Pretor miejski także nazywał się Lucjusz Korneliusz, ale z przydomkiem Cynna.

Takie wyróżnienie zaskoczyło Sullę, mimo to był gotów do odpowiedzi.

- Jeśli mamy wrogów w tych ośmiu narodach, które wysłały do nas delegację, wtedy zostaniemy zapewne napadnięci na dwóch frontach - na wschodzie przez Via Salaria i Via Valeria z jej dwoma odgałęzzeniami - i na południu, gdzie Samnici przecięli nam drogę od Adriatyku do Morza Tuskańskiego i Zatoki Krateru. Zaczynając od południa, jeżeli Apulijczycy, Lukanowie i Wenuzianie przyłączą się do Samnitów, Hirpinów i Frentanów, wtedy południe stanie się złowieszczym teatrem wojny. Drugi teatr wojny możemy nazywać północnym, mając na myśli obszary na północ i na wschód od Rzymu, albo środkowym, mając na myśli te same obszary. Marsowie, Pelignowie, Marrucynowie, Westynowie i Picenowie, wezmą udział w walkach w tym północnym albo środkowym teatrze wojny. Zauważcie, że na razie nie wymieniłem Etrurii, Umbrii ani północnego Picenum. - Sulla zaczerpnął tchu i ciągnął, dopóki myśl jarzyła mu się w głowie niczym kryształ: - Na południu nasi wrogowie odetną nas ostatecznie od Brundyzjum, Tarentu i Rhegium. W środku albo na północy spróbują odciąć nas od Galii italskiej, zapewne po Via Flaminia, a prawdopodobnie i po Via Cassia. Jeśli będzie Via Aurelia i Via Emilia do Dertony, a dalej do Placencji.

Lucjusz Cezar przerwał.

- Wyjdź na środek sali, Lucjuszu Korneliuszu o przydomku Sulla.

Sulla szedł na środek sali, ledwie dostrzegalnie mrugając do Mariusza. Podkradłszy tę analizę swemu dawnemu mistrzowi, nie czuł szczególnej radości. Czemu tak się stało, niełatwo było wyjaśnić. Złożyła się na to uraza o syna Mariusza, nadal żywego i zdrowego, a także uraza o to, że po powrocie



Sulli z Cylicji nikt w tej kurii, z Mariuszem włącznie, nie poprosił go o przedstawienie pełnego sprawozdania z jego działalności na wschodzie. Było też olśnienie i zrozumienie, że jeśli w tej właśnie chwili uda mu się przemówienie, zajdzie bardzo daleko i bardzo szybko. „Szkoda, Gajuszu Mariuszu”, pomyślał. „Nie chcę cię urazić, ale zrobię to tak czy inaczej”.

- Uważam - ciągnął, stojąc na środku sali - że obaj konsulowie będą potrzebni w polu, jak to proponował Lucjusz Juliusz. Jeden będzie musiał udać się na południe ze względu na Kapuę, której utrzymanie jest dla nas sprawą istnienia. Gdybyśmy utracili Kapuę, stracimy nasze najlepsze obozy szkoleniowe, a także samo miasto doskonale przystosowane do szkolenia i zaopatrywania żołnierzy. Trzeba będzie oczywiście posłać jakiegoś męża konsularnego do samej Kapui, niezależnie od konsula dowodzącego w polu. Ten konsul, który uda się na południe, będzie musiał stawić czoło wszystkiemu, co Samnici i ich sprzymierzeńcy rzucą przeciw niemu. Samnici będą usiłowali pociągnąć na zachód przez swoje dawne siedliska wokół Acerre i Noli, ku portom na południowej stronie Zatoki Krateru: Stabiom, Salerno, Surrentum, Pompejom i Herkulanum. Jeśli zajmą któryś z nich albo wszystkie, będą mogli korzystać z portów nad Morzem Tuskańskim, o wiele lepszych niż porty nad Adriatykiem na północ od Brundyzjum. Odetną nas od południa.

Sulla nie był wielkim mówcą, bo jego wyszkolenie w retoryce było minimalne, a swoje lata w senacie spędził głównie na tej czy innej wojnie. Nie chodziło tu jednak o krasomówstwo. Trzeba było jedynie jasno przedstawić sprawę.

- Północny albo środkowy teatr wojny jest trudniejszy. Musimy przyjąć, że wszystkie kraje między północnym Picenum a Apulią, włącznie z wyżynami Apeninów, znajdują się w rękach nieprzyjaciół. Same Apeniny są dla nas największą przeszkodą. Jeśli mamy utrzymać Etrurię i Umbrię, musimy dobrze się prezentować w oczach tych ludów italskich od samego początku naszej kampanii. Jeśli tego nie zrobimy, Etruria i Umbria przejdą na stronę wroga, a my stracimy nasze drogi i Galię italską. Jeden z konsulów musi dowodzić w tym teatrze wojny.

- Z pewnością powinniśmy mieć naczelnego wodza - rzekł Skaurus.

- Nie możemy, pryncepsie senatu. Nasze kraje rozdzielają te dwa teatry, o których mówiłem - odparł stanowczo Sulla. - Lacjum jest długie i wbiega w głąb północnej Kampanii. Ta połowa Kampanii może się okazać lojalna wobec nas. Wątpię, by południowa Kampania pozostała nam wierna, jeżeli powstańcy wygrają jakieś bitwy. Jest zbyt przemieszana z Samnitami i Hirpinami. Weźmy choćby zajście w Noli. Na wschód od Lacjum Apeniny są nie do przebycia, a prócz tego mamy Bagna Pomptyńskie. Jeden wódz naczelny musiałby kursować desperacko między dwoma oddalonymi obszarami konfliktu, a nie mógłby tego robić na tyle szybko, by dopilnować jednego i drugiego. Taka jest



prawda, będziemy walczyć na dwóch oddalonych frontach, a może i na trzech! Na południu można będzie chyba prowadzić jedną kampanię, bo Apeniny są tam najniższe, gdzie spotykają się Samnium, Apulia i Kampania. Jednakże w północnym albo środkowym teatrze wojny jest bardzo prawdopodobne, że będziemy mieli naraz kilku wrogów. Zawdzięczamy to Apeninom, które są tam najwyższe. Ziemię Marsów, Pelignów i zapewne Marrucynów utworzą teatr wojny oderwany od Picenów i Westynów. Nie widzę możliwości powstrzymania wszystkich Italczyków, walcząc wyłącznie w środku. Będzie zapewne trzeba wysłać armię do zbuntowanej części Picenum przez Umbrię i północne Picenum, aby zeszła z gór nad Adriatyk. My tymczasem musimy ruszyć na wschód do kraju Marsów i Pelignów.

Sulla urwał. Nie mógł nic na to poradzić, a jednak zły był na siebie za tę słabość. Co myślał o tym Gajusz Mariusz? Gdyby mu się nie podobały słowa Sulli, miał okazję, żeby to powiedzieć. I Gajusz Mariusz przemówił. Sulla zamarł w oczekiwaniu.

- Mów dalej, proszę, Lucjusz Korneliuszu - powiedział stary mistrz. - Jak dotąd nie wymyśliłbym niczego lepszego.

Blade oczy Sulli rozbłyły. Słaby uśmiech pojawił się w kącikach ust i znikł. Sulla wzruszył ramionami.

- To chyba naprawdę wszystko. Pamiętajcie, że chodzi o powstanie ośmiu ludów. Nie do mnie należy mówić, kto gdzie ma iść. Radziłbym jednak posłać do północnego i środkowego teatru wojny tych, którzy mają na tym obszarze licznych klientów. Gdyby, na przykład, Gnejusz Pompejusz Strabon miał manewrować w Picenum, ma już podstawę władzy i tysiące klientów. To samo można powiedzieć o Kwintusie Pompejuszu Rufusie, chociaż na mniejszą skalę. W Etrurii wielkim właścicielem ziemskim jest Gajusz Mariusz z tysiącami klientów. To samo dotyczy Cecyliuszów Metellów. W Umbrii włada Kwintus Serwiliusz Cepion. Gdyby ci mężowie zostali powiązani z północnym lub środkowym teatrem wojny, byłoby to korzystne.

Sulla skinął głową Lucjuszowi Juliuszowi Cezarowi i wrócił na swoje miejsce wśród głosów (jak sądził) podziwu. Poproszono go o opinię przed innymi, to zaś oznaczało w tych okolicznościach ogromny wzrost znaczenia. Nie do wiary! Czyżby w końcu odnalazł swoją drogę?

- Musimy podziękować Lucjuszowi Korneliuszowi Sulli za tak zwięzłe i przemyślane przedstawienie faktów - powiedział Lucjusz Cezar, uśmiechając się do Sulli, a w tym uśmiechu była obietnica dalszych wyróżnień. - Co do mnie, zgadzam się z nim. Co jednak powiada kuria? Czy ktoś ma inne zdanie?

Okazało się, że nikt nie miał innego zdania. Prynceps senatu Skaurus odchrząknął.

- Musisz wydać rozporządzenia, Lucjusz Juliuszu - powiedział. - Za pozwoleniem, ojcowie spisani, ja sam wolałbym zostać w Rzymie.



- Myślę, że będziesz potrzebny w Rzymie, gdy obaj konsulowie będą poza miastem - zgodził się łaskawie Lucjusz Cezar. - Przywódca kurii będzie bardzo wiele wart dla naszego pretora miejskiego Lucjusza Korneliusza o przydomku Cynna. - Tu spojrzął na swego kolegę Lupusa. - Publiuszu Rutyliuszu, czy zgodzisz się przyjąć dowództwo na północnym i środkowym froncie? Ja sam, jako starszy konsul, powinienem dowodzić pod Kapuą.

- Przyjmuję ten obowiązek z radością Lucjuszowi Juliuszowi - powiedział rozpromieniony i pełen dumy Lupus.

- Jeśli więc kuria nie ma zastrzeżeń, ja obejmę dowództwo w Kampanii. Biorę sobie za pierwszego legata Lucjusza Korneliusza Sullę. Dowódcą w samej Kapui mianuję męża konsularnego Kwintusa Lutacjusza Katulusa Cezara. Moimi starszymi legatami będą Publiusz Licyniusz Krassus, Tytus Dydiusz i Serwiusz Sulpicjusz Galba - mówił Lucjusz Cezar. - Kogo bierze sobie mój kolega Publiusz Rutyliusz Lupus?

- Gnejusza Pompejusza Strabona, Sekstusa Juliusza Cezara, Kwintusa Serwiliusza Cepiona i Lucjusza Porcjusza Katona Licyniana - powiedział głośno Lupus.

Zapadła nagle cisza trwająca niezwykle długo. „Ktoś musi ją przerwać!”, pomyślał Sulla i otworzył usta, choć nie miał zamiaru i nie chciał tego robić.

- A co z Gajuszem Mariuszem? - spytał szorstko. Lucjusz Cezar mrugał.

- Przyznaję, że nie wziąłem Gajusza Mariusza, bo mając w pamięci twoje słowa, Lucjusz Sullo, myślałem, że zechce go wziąć mój kolega Publiusz Rutyliusz!

- No cóż, nie chcę go! - oświadczył Lupus. - I nie dam go sobie narzucić! Niech zostanie w Rzymie z równymi sobie wiekiem i zdrowiem. Jest zbyt stary i chory, by iść na wojnę.

W tym momencie Sekstus Juliusz Cezar zerwał się z miejsca.

- Proszę o głos, starszy konsulu!

- Masz głos, Sekstusie Juliuszu.

- Nie jestem stary - powiedział ochrypłym głosem Sekstus Cezar - ale jestem chory, jak wszyscy w tej kurii wiedzą. Mam astmę. Doświadczenie wojskowe w młodości zdobyłem głównie pod wodzą Gajusza Mariusza w Afryce i w Galii. Byłem też pod Arauzjoną, gdzie moja choroba ocaliła mi życie. Wobec zbliżającej się zimy nie przydam się na nic w kampanii w Apeninach. Postarzałem się i mam słabe płuca. Spełnię oczywiście swój obowiązek. Jestem Rzymianinem z wielkiego rodu. Jak dotąd nikt jeszcze nie wspomniał o konnicy. Będziemy potrzebowali konnicy. Chciałbym prosić tę kurie, by mnie zwolniła z dowodzenia w polu pośród gór. Zamiast tego pozwólcie mi zgromadzić flotę transportowców i spędzić zimę, gromadząc konnicę z Numidii, Galii Zaalpejskiej i Tracji. Mogę też zaciągać do piechoty obywateli rzymskich żyjących za granicą. Czuję, że potrafię to robić. A kiedy potem



wrócę, chętnie przyjmę każde dowództwo w polu, jakie mi podsuniecie - odchrząknął, a jego oddech stał się nieco świszczący. - Prosiłbym kurię o rozważenie zajęcia mego miejsca legata przez Gajusza Mariusza.

- Ha! Szwagrowie! - wykrzyknął Lupus, zrywając się na nogi. - To się nie uda, Sekstusie Juliuszu, to się nie uda! Słucham cię od lat i widzę, że cierpisz na bardzo wygodną chorobę! Przychodzi i odchodzi na zawołanie! Ja też tak potrafię! Słuchajcie! - Lupus zaczął wciągać ze świstem powietrze w płuca.

- Może sprzykrzył ci się mój świszczący oddech, Publiusz Lupusie - powiedział uprzejmie Sekstus Cezar - ale nie słuchałeś go uważnie. Ja nie wciągam ze świstem powietrza. Ja je ze świstem wydycham.

- Wszystko mi jedno, kiedy wydajesz te wstrętne dźwięki! - krzyknął Lupus. - Nie wykręcisz się od obowiązku służby przy mnie i nie wezmę zamiast ciebie Gajusza Mariusza!

- Chwileczkę - rzekł prynceps senatu Skaurus, wstając. - Mam tu coś do powiedzenia.

Patrzył na Lupusa na podium z takim samym wyrazem twarzy, z jakim patrzył na Mariusza, kiedy tamten oskarżał go o zdradę.

- Nie należysz do moich ulubieńców, Publiusz Lupusie! Prawdę mówiąc, boleję nad tym, że nosisz to samo nazwisko, co mój drogi przyjaciel Publiusz Rutyliusz z przydomkiem Rufus. Możecie być krewnymi, ale nie ma między wami żadnego podobieństwa! Rufus Czerwony był prawdziwą ozdobą tej kurii i bardzo go nam brak. Lupus, czyli Wilk, jest jątrzącym się, złośliwym wrzodem!

- Ty mnie obrażasz! - wykrztusił Lupus. - Nie możesz! Jestem konsulem!

- Jestem przywódcą tej kurii, Publiusz człowieku-wilku, chyba już udowodniłem nie raz, że mogę robić, co zechcę - bo kiedy coś robię, Publiusz człowieku-wilku, mam powody po temu i mam na względzie najwyższe dobro Rzymu! A teraz, ty marny robaku, siadaj i nie wychylaj łebka! Myślisz, że kim ty jesteś? Siedzisz na tym, a nie innym krześle, bo miałeś dość pieniędzy, żeby sobie kupić elektorat!

Purpurowy z wściekłości Lupus otworzył usta.

- Nie rób tego, Lupusie! - warknął Skaurus. - Siadaj i bądź cicho!

Skaurus zwrócił się teraz do Gajusza Mariusza, który siedział wyprostowany na swym stołku. Jak się czuł, gdy pomijano jego imię? Nikt z obecnych nie umiałby powiedzieć.

- Mamy tu bardzo wielkiego człowieka - rzekł Skaurus. - Bogowie tylko wiedzą ile razy w swoim życiu życzyłem sobie, żeby nigdy nie istniał! Bogowie tylko wiedzą, ile razy w życiu go przeklinałem! Bogowie wiedzą, ile razy w życiu byłem jego najgorszym wrogiem. Czas jednak upływał coraz szybciej, życia ubywało i zrozumiałem, że też ubywa ludzi, o których myślę z uczuciem. Nie chodzi po prostu o śmierć i umieranie. To rosnące doświadczenie



podpowiada mi, kto jest wart, by go wspominać z uczuciem - a kto nie jest. Nie czuję dziś niczego do pewnych ludzi, których kiedyś kochałem, innych zaś, których nienawidziłem, darzę dziś pełnią uczucia. - Dobrze wiedząc, że Mariusz patrzy na niego z błyskiem w oku, Skaurus unikał spoglądania wstecz. Gdyby to zrobił, nie powstrzymałby się od wybuchu śmiechu, ta zaś mowa płynęła z głębi serca i ducha. Poczucie humoru mogło być czasami uciążliwe! - Gajusz Mariusz i ja znamy się od lat - mówił, wpatrując się w Lupusa. - Zasiadaliśmy obok siebie w tej kurii i patrzyliśmy na siebie przez wiele lat, dłużej niż ty, człowieku-wilku, nosisz swoją męską togę! Walczyliśmy i kłóciliśmy się, popychaliśmy się i szarpali. Walczyliśmy też jednak razem przeciw wrogom republiki. Spoglądaliśmy razem w dół na ciała tych, którzy mogli zniszczyć Rzym. Staliśmy ramię przy ramieniu. Razem śmialiśmy się i razem płakali. Powiem to jeszcze raz: To wielki człowiek. To wielki Rzymianin.

Teraz Skaurus zszedł na posadzkę sali, podszedł do drzwi i stanął przed nimi.

- Tak jak Gajusz Mariusz, Lucjusz Juliusz i Lucjusz Korneliusz Sulla, jestem przekonany, że czeka nas straszliwa wojna. Wczoraj nie byłem jeszcze przekonany. Skąd ta zmiana? Któż to wie, oprócz bogów? Kiedy ustalony porządek rzeczy mówi nam, że sprawy są takie, jakie są, bo trwały w tym kształcie przez bardzo długi czas, trudno nam zmienić swe uczucia, bo uczucia przesłaniają nam rozum. Nagle jednak, w ułamku chwili, łuski opadają nam z oczu i widzimy jasno. To właśnie zdarzyło mi się dziś. To się dziś przytrafiło Gajuszowi Mariuszowi. To zapewne przeżyła dziś większość nas obecnych w tej kurii. Tysiąc drobnych oznak niedostrzegalnych wczoraj, stało się nagle widzialnymi dzisiaj.

Ja wybrałem pozostanie w Rzymie, bo wiem, że tu będzie ze mnie największy pożytek. Nie jest tak jednak z Gajuszem Mariuszem. Nieważne bowiem, czy - jak ja - częściej się z nim nie zgadzacie, czy też - jak Sekstus Juliusz - jesteście z nim związani więzami oddania i więzami rodzinnymi, musicie przyznać wraz ze mną, że Gajusz Mariusz ma w sobie talent wojskowy daleko większy i doskonalszy niż talenty nas wszystkich pozostałych razem wziętych. Nie przejmowałbym się wcale, gdyby Mariusz miał lat dziewięćdziesiąt i gdyby był po trzecim udarze! Nadal powtarzałbym z tego miejsca to samo, co mówię teraz - jeżeli człowiek potrafi zestawiać słowa i idee tak, jak to robi on, musimy go wykorzystać tam, gdzie świeci najjaśniej - w polu! Odrzućcie swoje ztwardziałe poglądy, ojcowie spisani! Gajusz Mariusz ma tyle samo lat co ja, ledwie sześćdziesiąt siedem, a ten jedyny udar zdarzył mu się przed dziesięciu laty. Jako wasz prynceps senatu powiadam twardo: Gajusz Mariusz musi zostać starszym legatem Publiusza Lupusa i spożytkować swe liczne talenty jak najlepiej.

Nikt się nie odezwał. Nikt nawet nie oddychał, jak się zdawało, nawet



Sekstus Cezar. Skaurus usiadł przy Mariuszu, mając po swej drugiej stronie Katulusa Cezara. Lucjusz Cezar spojrział na tych trzech, a potem wzdłuż tego samego rzędu ku drzwiom, gdzie siedział Sulla. Jego oczy spotkały się z oczami Sulli. Lucjusz Cezar poczuł, że serce bije mu szybciej. Co mówiły oczy Sulli? Tak wiele rzeczy, że nie dało się tego opisać.

- Publiusz Rutyluszu Lupusie, proponuję, żebyś dobrowolnie przyjął Gajusza Mariusza na swego starszego legata. Jeśli odmówisz, postawię tę sprawę pod głosowanie w kurii.

- Dobrze, dobrze! - krzyknął Lupus. - Ale nie będzie mym jedynym starszym legatem. Niech dzieli stanowisko z Kwintusem Serwiliuszem Cepionem!

Mariusz zadarł głowę i wybuchnął śmiechem.

- Zgoda! - zawołał. - Koń Październikowy w jednym zaprzęgu z kucem!



Julia czekała oczywiście na Mariusza tak niespokojna, jak tylko mogła być oddana mężowi żona polityka. Mariusza zawsze fascynował jej instynkt, który podpowiadał jej, kiedy coś ważnego ma być omawiane w senacie. On sam wcale się tego nie spodziewał, póki nie przestąpił dziś progu kurii. Ona jednak wiedziała!

- Czy to wojna? - spytała.

- Tak.

- Bardzo groźna? Tylko z Marsami czy z innymi także?

- Chyba z połową italskich sprzymierzeńców, a zapewne dołączą do nich inni. Powinienem wiedzieć o tym od początku! Skaurus ma rację. Uczucia przesłaniają fakty. Druzus wiedział. Ach, gdybyż on żył. Julio! Gdyby żył, Italczyki dostaliby swoje obywatelstwo. A my nie mielibyśmy wojny.

- Marek Liwiusz zginął, bo są ludzie, którzy nigdy nie pozwolą na przyznanie Italczykom pełni praw.

- Tak, masz słuszość. Oczywiście, że masz słuszość. - Zmienił temat. - Czy myślisz, że kucharz dostałby apopleksji, gdyby go poproszono o wystawny obiad dla całej gromady ludzi na jutro?

- Myślę, że byłby zachwycony. Stale narzeka, że za mało przyjmujemy gości.

- Świetnie! Zamierzam zaprosić na jutro całą gromadę ludzi.

- Dlaczego, Gajuszu Mariuszu?

Pokręcił głową z zachmurzoną miną.

- Może z powodu jakiegoś dziwnego uczucia, że dla wielu z nas będzie to ostatnie spotkanie mea vita. Meum mel. Kocham cię, Julio.

- I ja cię kocham - powiedziała cicho. - Któż więc będzie na tym obiedzie?

- Kwintus Mucjusz Scewola, i mam nadzieję, że zechce być teściem naszego chłopca, Marek Emiliusz Skaurus, Lucjusz Korneliusz Sulla, Sekstus Juliusz Cezar, Gajusz Juliusz Cezar. I Lucjusz Juliusz Cezar.

Julia była nieco skonsternowana.



- Żony także?

- Tak, żony także.

- O bogowie!

- O co chodzi?

- O żonę Skaurusa, Dalmatykę. I o Lucjusza Korneliusza!

- Ach, tamto zdarzyło się wiele lat temu - stwierdził Mariusz z lekceważeniem. - Ułożymy mężczyzn na sofach ściśle według rangi, a potem posadzimy kobiety tak, żeby jak najmniej przeszkadzały. Co o tym myślisz?

- Cóż, zgoda. - Julia wciąż miała wątpliwości. - Na wszelki wypadek usadzę Dalmatykę i Aurelię naprzeciw Lucjusza i Sekstusa Juliusza, a Elię i Licynię naprzeciw lectus medius. Klaudia i ja będziemy patrzyły na Gajusza Juliusza i Lucjusza Korneliusza - zachichotała. - Nie sądzę, żeby Lucjusz Korneliusz sypiał z Klaudią!

Brwi Mariusza uniosły się do góry.

- Chcesz powiedzieć, że on mimo wszystko sypiał z Aurelią?

- Nie! Słowo daję, Gajuszu Mariuszu, jesteś czasem denerwujący.

- A czasami ty taka jesteś - odparł Mariusz. - A gdzie w tym wszystkim zamierzasz umieścić naszego syna? On ma dziewiętnaście lat, jak wiesz!

Julia ulokowała Mariusza Młodszego na lectus imus, u jego stóp w najskromniejszym miejscu, jakie mógł zająć mężczyzna. Mariusz Młodszy nie miał zastrzeżeń, bo drugim od końca był pretor miejski, jego wuj Gajusz Juliusz, a następnym jeszcze jeden pretor miejski, jego wuj Lucjusz Korneliusz. Pozostali byli mężami konsularnymi, a jego ojciec sprawował o dwa konsulaty więcej niż wszyscy inni razem wzięci. Mariusz Młodszy myślał o tym z przyjemnością - czy jednak mógł mieć nadzieję na przewyższenie wyniku ojca? Jedynym sposobem było zostać konsulem w bardzo młodym wieku, wcześniej niż kiedyś Scypion Afrykański albo Scypion Emilianus.

Mariusz Młodszy wiedział, że zanoszą się na jego małżeństwo z córką Scewoli. Nie spotkał dotąd Mucji, bo była za młoda, żeby bywać na ucztach, ale słyszał, że jest bardzo ładna. Nic dziwnego, bo jej matka Licynia wciąż była bardzo piękną kobietą. Była teraz małżonką Metellusa Celera, syna Metellusa Balearyjskiego. Cudzołóstwo. Mała Mucja miała dwóch przyrodnych braci Cecyliuszów Metellów. Scewola ożenił się z inną Licynią nie tak piękną. Ta właśnie Licynia przyszła z nim na ucztę i bawiła się wspaniale.

A jednak Lucjusz Korneliusz Sulla pisał do Publiusza Rutyliusza Rufusa przebywającego w Smyrnie:

*Myślę, że było to okropne przyjęcie. Tylko dzięki Julii nie zakończyło się katastrofą. Dopilnowała, żeby każdy z mężczyzn zajął miejsce ściśle według protokołu, a potem żony usadziła tak, że nie mogły narobić kłopotu. Wynik był taki, że mogłem oglądać wyłącznie plecy Aurelii i żony Skaurusa, Dalmatyki.*



Wiem, że Skaurus pisuje do Ciebie, bo nasze listy odpływają tym samym statkiem, więc nie będę powtarzał wiadomości o naszej wojnie z Italczykami ani nie będę streszczał przemówienia, jakie Skaurus wygłosił jako pochwałę Mariusza - jestem pewien, że Skaurus przesłał Ci kopię! Chcę tylko powiedzieć, że uznałem działania Lupusa za hańbę, i nie siedziałbym cicho, kiedy zdałem sobie sprawę, że nie zamierza on zatrudnić naszego mistrza. Najbardziej drażni mnie to, że taki osioł jak Lupus - jaki tam z niego wilk! - będzie dowodził całym frontem, podczas gdy Gajusz Mariusz otrzymał podrzędne zadanie. Najbardziej intrygująca z wszystkiego jest łaskawość, z jaką Gajusz Mariusz przyjął wiadomość, że będzie dzielił obowiązki starszego legata z Cepionem. Zastanawiam się, co arpiński lis planuje dla tego szczególnego osła? Podejrzewam, że coś brzydkiego.

Odszedłem jednak od przyjęcia i muszę do niego wrócić, jak to uzgodniliśmy ze Skaurusem. Po pierwsze, każdy pisze, ile chce, po drugie, dzielimy się tematami, mnie dostały się plotki, co nie jest całkiem uczciwe. Skaurus jest większym plotkarzem niż wszyscy znani mi ludzie, oprócz Ciebie, Publiusz Rutyliusz. Scewola znalazł się tam, bo Gajusz Mariusz stara się usilnie ożenić Mariusza Młodsze z córką Scewoli z pierwszego małżeństwa, Licynią. Mucja (zwana też Mucją Tercją dla odróżnienia jej od dwóch starszych Mucji, córek Scewoli Augura) ma teraz około trzynastu lat. Żał mi dziewczyny, Mariusz Młodszy nie należy do moich ulubieńców. To arogancki, zarozumiały, ambitny szczeniak. Każdy, kto będzie miał z nim do czynienia, ściągnie sobie na kark kłopoty. Nie jest z tej samej gliny co mój drogi zmarły syn.

Nigdy nie miałem zbyt wiele życia rodzinnego, Publiusz Rutyliusz, i mój syn był mi nieskończenie drogi. Od pierwszej chwili, kiedy go ujrzałem, golutkiego, uśmiechniętego bobasa w pokoju dziecinnym, pokochałem go całym sercem. Znalazłem w nim idealnego towarzysza. Wszystko, co robiłem, budziło w nim podziw. Moją podróż na wschód wzbogacał swoim ogromnym zainteresowaniem i entuzjazmem. Nie miało znaczenia to, że nie mógł mi udzielać poważnych rad. Zawsze mnie rozumiał. Zawsze był mi życzliwy. A potem umarł. Tak nagle, tak nieoczekiwanie! Gdybym zdążył się przygotować... Ale jak może ojciec przygotować się na śmierć swego syna?

Odkąd umarł, stary przyjacielu, świat stracił dla mnie blask. Nie zależy mi już na niczym. Minął już prawie rok i chyba jakoś spróbowałem pogodzić się z jego nieobecnością. Nigdy się jednak nie nauczę radzić sobie z większością rzeczy. Straciłem część samego siebie i tej pustki nie da się zappełnić. Przekonałem się, na przykład, że nie potrafię w żaden sposób rozmawiać o nim z kimkolwiek. Nie wymawiam jego imienia, jak gdyby nigdy nie istniał. Ból byłby nie do zniesienia. Gdy teraz piszę o nim, płaczę.

Nie zamierzałem zresztą pisać o moim chłopcu. To okropne przyjęcie miało być tematem dla mego pióra! Może przypomniawszy mi go (choć nigdy o nim nie



zapominam) jej obecność. Małej Cecylii Metelli Dalmatyńskiej, żony Skaurusa. Sądzę, że ma teraz ze dwadzieścia osiem lat albo prawie tyle. Wyszła za Skaurusa, mając siedemnaście - na początku roku, w którym pobiliśmy Cymbrów, jak pamiętam. Mają dziesięcioletnią córkę i chłopca, chyba pięcioletniego. Dzieci są Skaurusa, bez cienia wątpliwości. Widziałem je - takie bez urody, jakby wyszły z wiejskiej zagrody Katona Cenzora. Skaurus wspomina już o wydaniu dziewczynki za syna Maniusza Acyliusza Glabriona, przyjaciela Scewoli Augura. Chociaż mają w rodzie konsulów od dość dawna, chcą uniknąć posądzenia o pochodzenie od homo novus. Jednak to nie rodowód przyciąga Skaurusa, a raczej majątek, prawie dorównujący majątkowi Serwiliuszów Cepionów. Ja tam nie dbam o Acyliuszów Glabrionów, choćby pradziad tego Maniusza Acyliusza Glabriona stał po stronie Gajusza Grakcha. Sądzę, że to była dość plotkarska historyjka, czyż nie? Ty tak nie sądzisz? Niech Cię lamia porwie!

Dalmatyka to piękna kobieta. Ależ mnie czarowała, kiedy po raz pierwszy ubiegałem się o preturę! Pamiętasz? Ze zdziwieniem widzę, że to już prawie dziesięć lat temu. Mam pięćdziesiąt lat, Publiusz Rutyluszu - i wygląda na to, że nie jestem wcale bliżej konsulatu, niż to było w czasach Subury. Kusi mnie, żeby się dowiedzieć, co takiego zrobił jej Skaurus po tych szaleństwach sprzed dziewięciu lat, ona jednak dobrze to ukrywa. Wszystko, co uzyskałem od niej, kiedy spotkaliśmy się w jadalni, to obojętne „ave” i chłodny uśmiech. Unikała mego wzroku. Nie mam jej tego za złe. Bała się chyba, że Skaurus uzna jej zachowanie za naganne i postąpi odpowiednio do tego. Mógł tylko wyrazić aprobatę, bo po powitaniach usiadła na swoim krześle plecami do mnie i nie obróciła się ani razu. To więcej, niż mogę powiedzieć o naszej najdroższej Aurelii, która przyprawiała nas o zawroty głowy, wiercąc się i obracając w koło. Znów szczęście się do niej uśmiecha, bo Gajusz Juliusz wyrusza wkrótce na wyprawę. Wraz ze swym bratem Sekstusem Juliuszem jadą szukać rzymskiej konnicy w Afryce i w dalekiej Galii.

Nie jestem złośliwy, chociaż taka jest moja reputacja - i zasłużona, ogólnie biorąc. Obaj znamy tę panią bardzo dobrze i nie zaskoczę Cię niczym, co mogę o niej powiedzieć. Jest sporo miłości między nią a jej mężem, ale nie jest to miłość szczęśliwa ani dająca satysfakcję. On ją powściąga, a ją to oburza. Zeszłego wieczoru była ożywiona, śmiała się, była inna niż na co dzień, bo wiedziała, że on znowu wyjeżdża, i to przynajmniej na kilka miesięcy. Ten jej nastrój nie uszedł uwagi Gajusza Juliusza, który siedział przy mnie. Kiedy bowiem Aurelia jest ożywiona, Publiusz Rufusie, cały męski świat zastyga w bezruchu. Helena Trojańska nawet się do niej nie umywa. Wyobraź sobie tylko, że prynceps senatu zachowywał się jak głupi młodzik! Nie wspomnę o Scewoli, a nawet o Gajuszu Mariuszu. Takie robi ona wrażenie. Nie było tam brzydkich kobiet, a kilka to skończone piękności, ale nawet Julia i Dalmatyka nie mogły się z nią równać, a Gajusz Juliusz szybko to zauważył. Przewiduję, że po powrocie do domu



skończyło się to kłótnią.

Rzeczywiście, było to bardzo dziwne i niewydarzone przyjęcie. Już słyszę, jak pytasz, po co je w takim razie wydawano. Nie jestem pewien, mam jednak wrażenie, że Mariusza nawiedziło jakieś przeczucie. Chyba takie, że już nigdy nie spotkamy się w podobnych okolicznościach, ci z nas, którzy byli w tej sali. Mówił ze smutkiem o tobie, ubolewając, że nie mogłeś tam być z nami. Mówił ze smutkiem o sobie, o Skaurusie, a nawet, co mnie uderzyło, o Mariuszu Młodszym! Co do mnie - odziedziczyłem chyba pokaźną część jego smutku. Chociaż od śmierci Julii oddaliliśmy się od siebie, nie rozumiem jego nastroju. Stoimy w obliczu wojny bardzo trudnej do wygrania, co oznacza dla mnie, że powinniśmy współpracować zgodnie jak dawniej. Jedyłą odpowiedzią jaką mi podsuwa logika, jest to, że on lęka się o siebie. Lęka się, że nie przeżyje wojny. Lęka się, że pozbawieni wsparcia, jakim jest jego obecność, stracimy wszyscy bardzo wiele.

Dotrzymując układu ze Skaurusem, nie mówię o nadchodzącej wojnie. Mam ci jednak do przekazania bardzo interesującą wiadomość, której ci nie dostarczy Skaurus. Złożył mi wizytę Lucjusz Kalpurniusz Pizon Cezoninus, któremu polecono zorganizować uzbrojenie i dostawy dla naszych nowych legionów. Czy on nie jest żonaty z Twoją córką? Tak, im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że tak jest. W każdym razie miał coś ciekawego do opowiedzenia. Szkoda, że Apeniny odcinają nas tak całkowicie od Galii italskiej, a zwłaszcza od jej adriatyckiego skraju. Najwyższy czas zorganizować w Galii italskiej porządną prowincję i wysłać tam namiestnika, a drugiego namiestnika wysyłać regularnie do Galii Zaalpejskiej. Dla potrzeb tej wojny posłaliśmy kogoś, kto ma zarządzać dwoma prowincjami, ale ulokowaliśmy go w Galii italskiej - jest to mąż konsularny Gajusz Celiusz Kaldus. Jego kwestorem jest Kwintus Sertoriusz, i jest to bardzo trafna nominacja. W rodzie Mariuszów wielkie zdolności militarne są dziedziczne, a Sertoriusz jest po matce Mariuszem. Na dodatek ma w sobie krew sabińską.

Odbiegam jednak od tematu. Pizon Cezoninus odbył szybką podróż na północ, żeby zamówić broń i zbroje dla Rzymu. Zaczął w zwykłych miejscach, w Populonii i w Pisie. Tam jednak usłyszał o nowych miastach, ośrodkach metalurgii we wschodniej Galii italskiej, kierowanych przez jakąś firmę w Placencji. Udał się więc do Placencji. I trafił w próżnię! A jakże, znalazł tę spółkę, ale byli tak milkliwi i tak skryci, że trudno to sobie wyobrazić. Udał się więc na wschód do Patawium i Akwilei, gdzie zastał cały nowy region przemysłowy. Dowiedział się też, że te ośrodki metalurgii wytwarzają broń i zbroje dla sprzymierzeńców italskich na zasadzie wyłączności kontraktu od prawie dziesięciu lat! Cezoninus myśli, że to czysta sprawa. Kowalom zaproponowano wyłączność kontraktu, płacono im należycie, oni zaś - produkowali! Chociaż stalownie są własnością prywatną, same miasta zostały założone przez jakiegoś posiadacza ziemskiego, który jest tam właścicielem wszystkiego, ale nie prowa-



dzi interesów. Ten posiadacz ziemski to, według miejscowych, jakiś rzymski senator! Żeby zaś do reszty zagmatwać sprawę, kowale myśleli, jak się zdaje, że wytwarzają broń dla Rzymu, a człowiek, z którym podpisali kontrakt, to rzymski praefectus fabrum! Kiedy Pizon Cezoninus zmusił ich do opisania tego tajemniczego zleceniodawcy, otrzymał opis ni mniej, ni więcej tylko Kwintusa Popediusza Silona, przywódcy Marsów!

Skąd jednak Silon wiedział, gdzie się udać, zanim my w Rzymie usłyszeliśmy choćby wzmiankę o tych stalowniach na wschodzie?

Nasunęło mi się ciekawe rozwiązanie - podejrzewam jednak, że trudno będzie tego dowieść, nie wspomniałem więc o tym Pizonowi. Kwintus Serwiliusz Cepion mieszkał przez całe lata u Marka Liwiusza Druzusa. Wyprowadził się dopiero wtedy, gdy jego żona uciekła z Markiem Katonem Salońskim. W czasie gdy ja przygotowywałem się do pierwszej próby wyboru na pretora, Cepion wyjechał w długą podróż. Zapewniałeś mnie w poprzednich listach, że Tolosańskiego Złota nie ma już w Smyrnie, bo Cepion pojawił się wtedy w tym mieście i zabrał je ku zmartwieniu miejscowych bankierów. Silon często bywał u Druzusa, z którym przyjaźnił się bardziej niż Druzus z Cepionem. Może usłyszał wtedy, że Cepion ulokował część pieniędzy w zakładaniu przemysłowych miast we wschodniej Galii italskiej. Silon mógłby wtedy wyprzedzić Rzym i związać te nowe miasta kontraktami na wytwarzanie broni dla swego narodu, zanim ktokolwiek na tym obszarze znalazłby zleceniodawców. Stawiam na Cepiona jako na tego rzymskiego senatora i posiadacza ziemskiego oraz właściciela tej spółki w Placencji. Wątpię jednak, bym zdołał tego dowieść, Publiusz Rutyliusz. W każdym razie Pizon Cezoninus przycisnął trochę wytwórców stali w tym rejonie, w wyniku czego nie będą więcej wytwarzać broni dla Italczyków. Zamiast tego będą wytwarzać ją dla nas.

Rzym przygotowuje się do wojny. Charakter tych przygotowań jest jednak niezwykle, jeśli wziąć pod uwagę, kim jest nieprzyjaciel. Każdy czuje się nieswojo, gdy ma walczyć w Italii, podejrzewam, że wrogowie także. Mogli ruszyć na nas już przed trzema miesiącami, jak donoszą mi raporty wywiadu. Zapomniałem Ci powiedzieć, że jestem bardzo zajęty organizacją siatki wywiadowczej. Mogę przysiąc, że nasze informacje o ich ruchach będą lepsze niż ich informacje o naszych.

Ta część mego listu jest pisana później niż pierwsza. Kurier Skaurusa nie odjechał.

Na razie zabezpieczyliśmy Etrurię i Umbrię. Pomrukują tam, ale pomruki nie zgromadzą dość wpływów, by z nami zerwać. Zawdzięczamy to w dużej mierze gospodarce latyfundiów. Gajusz Mariusz jest wszechobecny, prowadząc zaciągi i pacyfikując - i trzeba oddać sprawiedliwość Cepionowi, który jest bardzo czynny w Umbrii.

Ojcowie spisani wpadli w starą, dobrą panikę, kiedy mój wywiad doniósł, że



*Italczyacy mają nie mniej niż dwadzieścia legionów już wyszkolonych i pod bronią. Przedstawiłem dowody, musieli więc uwierzyć. A my tu zostaliśmy z sześcioma legionami! Na szczęście mamy broń i zbroje dla przynajmniej dziesięciu dodatkowych legionów, dzięki tym, których wysyłałiśmy na pobojowiska, żeby zbierali wyposażenie poległych, naszych i nieprzyjaciół, a także nieprzyjacielskich jeńców. Są tego w Kapui całe stosy. Jak mamy jednak zaciągnąć i wyszkolić rekrutów w tym czasie, który nam pozostał? Tego nie wie nikt.*

*Powinienem Ci powiedzieć o postanowieniu kurii z końca lutego, że Askulum Picentum musi zostać przykładowie ukarane jak kiedyś Numancja. Będziemy więc mieli obok środkowego także i północny teatr wojny. Dowództwo na północy otrzymał Pompejusz Strabon. Za cel wskazano mu Askulum Picentum. Ma być gotów do wymarszu przed majem. Mamy wciąż wczesną wiosnę według pór roku, ale przynajmniej tym razem nasz pontifex maximus dołożył dodatkowe dwadzieścia dni w końcu lutego i dlatego ta późniejsza część mego listu wciąż nosi datę marcową. Przy okazji, obecnie tylko ja piszę do Ciebie - Skaurus mówi, że nie ma czasu! Jakbym ja go miał! Nie, Publiusz Rutyluszu, to nie żaden kłopot. Wiele razy w przeszłości robiłeś to samo dla mnie, kiedy przebywałem z dala od miasta. Zwracam Ci to, co Ci się należy, nic więcej.*

*Lupus jest dowódcą w rodzaju tych, którzy nie zrobią niczego poniżej ich godności. Kiedy więc uzgodniono, że on i Lucjusz Cezar podzielą między siebie cztery legiony weteranów Tytusa Dydiusza i że każdy weźmie jeden z dwóch nie wypróbowanych jeszcze w boju legionów, Lupus nie miał ochoty opuszczać Karseoli (gdzie założył główną kwaterę dla środkowego teatru wojny) i fatygować się do Kapui po swoją połowę wojska. Wysłał więc Pompejusza Strabona. Nie lubi Pompejusza Strabona - kto go zresztą lubi?*

*Ale Pompejusz Strabon odpłacił mu się za to! Zabrał dwa legiony weteranów i jeden legion nowicjuszy z Kapui i doprowadził je do Rzymu. Tam dostał rozkaz prowadzenia legionu nowicjuszy na północ, do Picenum, i wysłania Lupusowi do Karseoli dwóch legionów weteranów. To, co zrobił, sprawiło, że Skaurus śmiał się przez cały tydzień. Oddał legion nowicjuszy pod komendę Gajusza Perperny i posłał ten właśnie legion Lupusowi do Karseoli, sam zaś pognął po Via Flaminia z dwoma legionami weteranów. To nie wszystko; gdy Katulus Cezar dotarł do Kapui, by objąć tam dowództwo, odkrył, że Pompejusz Strabon przetrząsnął składy z bronią i zabrał uzbrojenie wystarczające dla czterech legionów! Skaurus wciąż się śmieje, ja jednak nie mogę. Co możemy zrobić? Nic! Pompejusz Strabon ma się na baczności. Zbyt wiele jest w nim z Gala - czy to nie brzmi jak kalambur?*

*Kiedy Lupus zrozumiał, że został wyprowadzony w pole, zażądał od Lucjusza Cezara jednego z dwóch legionów weteranów. Naturalnie Lucjusz Cezar odmówił, dodając, że jeśli Lupus nie jest zdolny kontrolować własnych legatów,*



*niech lepiej nie skarży się starszemu konsulowi. Lupus odegrał się za to, niestety, na Mariuszu i Cepionie, poganiając ich do prowadzenia zaciągów i szkolenia. Sam siedzi w Karseoli i dąsa się.*

*Celiusz i Sertoriusz w Galii italskiej przenoszą góry, wysyłając broń, zbroje i żołnierzy, a każda kuźnia i odlewnia na terytorium Rzymu ma więcej roboty niż samotny Sardyńczyk okradający kupiecką karawanę. Myślę więc, że nie ma znaczenia, iż i tak nie znaleźliśmy dla nich zajęcia. Teraz pracują dla nas i niczego więcej nie można się było spodziewać.*

*Do maja powinniśmy mieć w polu szesnaście legionów. To znaczy, że musimy wystawić dziesięć legionów, których nie mamy. Ach, dokonamy tego! To właśnie Rzym potrafi robić doskonale, pokonywać przeciwności. Ochotnicy przybywają ze wszystkich stron i ze wszystkich klas, a posiadacze praw latyńskich pozostają nam wierni. Żeby zyskać na czasie, nie próbowano oddzielić ochotników latyńskich od rzymskich. W tej wojnie nie będzie legionów posiłkowych. Wszyscy zostaną zaliczeni do Rzymian.*

*Lucjusz Juliusz Cezar i ja wyruszamy do Kampanii za jakieś osiem dni, na początku kwietnia. Katulus Cezar już objął dowództwo Kapui. To coś w sam raz dla niego. Jestem szczęśliwy, że nie będzie dowodził żadną armią. Nasz legion nowicjuszy będzie podzielony na dwie jednostki po pięć kohort. Uważamy z Lucjuszem Cezarem, że trzeba obsadzić załogą zarówno Nolę, jak i Aesernię. Ci żołnierze nadają się do tego, nie muszą zdobywać wieńców. Aesernia jest prawdziwym przyczółkiem na terytorium wroga, ale pozostaje nam wierna, o czym wiemy. Scypion Azjagenes i Lucjusz Acyliusz - dwaj młodszy legaci (i obaj raczej marni) zabierają od zaraz pięć kohort do Aesernii. Pretor Lucjusz Postumiusz bierze pięć pozostałych do Noli. Jak na Postumiusza jest człowiekiem, na którym można polegać. Lubię go. Czy nie dlatego, że nie pochodzi z Albinusów? Mógłbyś tak powiedzieć.*

*I to na razie wszystko, Drogi Publiusz Rutyliusz. Kurier Skaurusa puka właśnie do moich drzwi. Napiszę znowu przy okazji, obawiam się jednak, że będziesz musiał polegać na swoich korespondentkach. Julia obiecała pisać często.*

Sulla z westchnieniem odłożył pióro. Ten bardzo długi list był czymś w rodzaju katharsis. Warto było się starać, nawet za cenę snu. Wiedział, do kogo pisze, nie zapominał o tym, a jednak przekonał się, że potrafi przelać na papier fakty i myśli, których nie zdołałby nigdy przekazać Publiuszowi Rutyliuszowi osobiście. Było tak oczywiście dlatego, że Publiusz Rutyliusz przebywał zbyt daleko, by stanowić jakiegokolwiek zagrożenie.

Nie wspomniał jednak o swym nagłym wyniesieniu w senacie przez Lucjusza Juliusza Cezara. Rzecz była zbyt nowa i zbyt niepewna, by ryzykować urażenie Fortuny rozgłaszaniem tej wiadomości. Spowodował to zwykły przypadek, tego Sulla był pewien. Lucjusz Cezar nie lubił Mariusza i szukał kogoś innego.



Zgodnie z prawem powinien złożyć propozycję Tytusowi Dydiuszowi albo Publiuszowi Krassusowi, albo jakiemuś innemu triumfatorowi. Sulla wpadł mu w oko. I uznał, że Sulla się nadaje. On sam nie oczekiwał oczywiście takiego obrotu sprawy, ale kiedy nadarzyła się okazja, zrobił coś nie całkiem niezwykłego: mianował Sullę swoim ekspertem w kurii. Zasięganie rady Mariusza czy Krassusa nie dawało konsulowi korzyści - stawiało go w sytuacji nowicjusza, przez cały czas pytającego mistrzów o radę. Słuchanie rad kogoś takiego jak Sulla, człowieka względnie mało znanego, nie umniejszało rangi konsula. Lucjusz Cezar mógł utrzymywać, że to on „odkrył” Sullę. Kiedy zaś wykorzystywał Sullę, wyglądało to na swego rodzaju patronat.

Na razie Sulla był z tego zadowolony. Jak długo zachowywał się uprzejmie wobec Lucjusza Cezara, otrzymywał rozkazy i zajęcia, których potrzebował, by przyćmić Lucjusza Cezara. Sulla przekonał się szybko, że tamten ma w sobie nutę zabójczego pesymizmu i wcale nie jest tak kompetentny, jak się wydawał na początku. Kiedy tych dwóch wyruszyło na początku kwietnia do Kampanii, Sulla pozostawił decyzje i dyspozycje wojskowe Lucjuszowi Cezarowi, sam zaś rzucił się z godną pochwałą energią i entuzjazmem do zaciągania i szkolenia nowych legionów. Wśród centurionów z dwóch legionów weteranów z Kapui było mnóstwo takich, którzy służyli pod Sullą tu i ówdzie. Jeszcze więcej spotykał ich wśród emerytowanych centurionów, których powołano do szkolenia rekrutów. Wieści krążyły, a reputacja Sulli rosła. Teraz potrzebował tylko, żeby Lucjusz Cezar zrobił kilka błędów albo tak się pogрузzył w jakiejś części nadchodzącej kampanii, że nie będzie miał innego wyjścia, jak dać Sulli wolną rękę. Co do jednego Sulla miał absolutną pewność: kiedy jego szansa nadejdzie, on nie popełni ani jednego błędu.



Przygotowany lepiej niż inni dowódcy, Pompejusz Strabon utworzył dwa nowe legiony z mieszkańców własnych rozległych posiadłości w północnym Picenum. Z pomocą centurionów z dwóch zagarniętych legionów weteranów doprowadził swoich nowych żołnierzy w ciągu pięćdziesięciu dni do stanu gotowości. W drugim tygodniu kwietnia wyruszył z Cingulum z czterema legionami - dwoma weteranów i dwoma nowo utworzonymi. To były właściwe proporcje. Chociaż jego kariera wojskowa nie odznaczała się przedtem niczym szczególnym, miał wystarczające doświadczenie, by dowodzić i wyrobił sobie opinię bardzo twardego człowieka.

Kiedyś, gdy miał trzydzieści lat i był kwestorem na Sardynii, przytrafiło mu się coś, co naraziło go na pogardę i izolację w senacie. Pompejusz Strabon napisał z Sardynii do senatu list z żądaniem odsunięcia swego zwierzchnika, namiestnika Tytusa Aniusza Albucjusza, i powierzenia jemu samemu roli oskarżyciela Tytusa Aniusza po ich powrocie do Rzymu. Senat za namową Skaurusa odpowiedział zjadliwym listem napisanym przez pretora Gajusza



Memiusza. List zawierał odpis mowy Skaurusa. Pompejusza Strabona nazwano w tej mowie tępym, źle wychowanym, aroganckim, głupim i nisko urodzonym nowobogackim. Pompejusz Strabon uważał, że zrobił, co należało, domagając się prawa oskarżenia zwierzchnika przed sądem. W oczach Skaurusa i innych przywódców kurii w owym czasie zrobił rzecz niewybaczalną. Nie donosi się na zwierzchnika! A skoro już się doniosło, nie wypada dopominać się o rolę oskarżyciela! Lucjusz Marcjusz Filip wystawił nieobecnego Pompejusza Strabona na pośmiewisko, proponując, by senat przydzielił innego zezowatego oskarżyciela do procesu, który czekał Tytusa Albucjusza, i by mianował Cezara Strabona.

Pompejusz Strabon miał w sobie wiele z króla Celtów, chociaż utrzymywał, że jest czystej krwi Rzymianinem. Główną ostoją jego rzymskości była jego *tribus*, Klustumina, umiarkowanie stara, wiejska *tribus*, której członkowie zamieszkiwali wschodnią część doliny Tybru. Niewielu jednak liczących się Rzymian wątpiło choć przez chwilę, że Pompejusze mieszkają w Picenum o wiele dłużej, niż trwa tam rzymskie panowanie. Dla nowych obywateli z Picenum utworzono *tribus* Welina, do której należała większość wasali Pompejuszów z północnego Picenum i wschodniej Umbrii. Liczący się Rzymianie tłumaczyli sobie, że Pompejusze byli Picenami i mieli swoich wasalów na długo przed rozciągnięciem się wpływów Rzymu na tę część Italii, i że kupili sobie członkostwo w lepszej *tribus* niż Welina. Był to obszar Italii, gdzie osiedlili się kiedyś liczni Galowie po nieudanej inwazji na Rzym i Italię Środkową ich króla Brennusa przed trzystu laty. Pompejusze wyglądali jak Celtowie w każdym calu, więc ludzie liczący się w Rzymie uważali ich za Galów.

Jak tam było, tak było. Przed siedemdziesięciu laty jakiś Pompejusz podjął w końcu nieuniknioną podróż do Rzymu po Via Flaminia. Przekupując bez skrupułów wyborców, został w dwadzieścia lat później wybrany na konsula. Z początku ów Pompejusz - który był bliżej spokrewniony z Kwintusem Pompejuszem Rufusem niż z Pompejuszem Strabonem - kłócił się z wielkim Metellusem Macedońskim, załagodzili jednak spór i w końcu byli nawet razem cenzorami. Wszystko to oznaczało, że Pompejusze poszli swoją rzymską drogą.

Pierwszym Pompejuszem z gałęzi Strabonów, który odbył podróż na południe, był ojciec Pompejusza Strabona. Zapewnił on sobie miejsce w senacie i poślubił ni mniej, ni więcej, tylko siostrę Gajusza Lucyliusza, słynnego autora łacińskich satyr. Lucyliusze byli Kampanczykami, którzy od całych pokoleń należeli do obywateli rzymskich, byli całkiem bogaci i mieli konsulów w rodzinie. Jakiś przejściowy brak gotówki uczynił z ojca Pompejusza Strabona atrakcyjnego kandydata na męża - zwłaszcza jeśli dodać bezdenną nieatrakcyjność Lucylii do obciążeń rachunkowych rodu Lucyliuszy. Ojciec Strabona zmarł niestety przed osiągnięciem wysokiego urzędu - ale nie



wcześniej, nim Lucylia powiła swego zezowatego małego Gnejusza Pompejusza, niezwłocznie obdarzonego przydomkiem Strabon. Urodziła też innego chłopca, nazwanego Sekstus, znacznie młodszego niż Pompejusz Strabon i znacznie słabszego fizycznie. Tak więc to Pompejusz Strabon stał się największą nadzieją swej rodziny.

Strabon nie miał zapału do nauki, a tym mniej do zdobywania wiedzy. Choć uczyło go w Rzymie kilku znakomitych nauczycieli, nie nauczył się zbyt wiele. Zapoznawszy się z greckimi ideami i ideałami, młody Pompejusz Strabon odrzucił je jako całkowicie niepraktyczne. Podobali mu się wodzowie i międzynarodowi aferzyści, którymi gęsto usiana była historia Rzymu. Jako contubernalis - kadet - służący pod rozkazami różnych dowódców, nie cieszył się popularnością wśród rówieśników - takich ludzi, jak Lucjusz Cezar, Sekstus Cezar, jego kuzyn Pompejusz Rufus, Katon Licynianus, Lucjusz Korneliusz Cynna. Robili sobie z niego żarty z powodu straszliwego zeza, ale także zupełnego nieokrzesania, którego nie mogła ukryć żadna dawka rzymskiej ogłady. Jego pierwsze lata w armii były żalosne, podobnie jak i służba w stopniu trybuna żołnierskiego. Nikt nie lubił Pompejusza Strabona.

Wszystko to opowiadał później synowi, gorącemu stronnikowi swego ojca. Ów syn (mający obecnie lat piętnaście) i córka Pomponia byli owocami małżeństwa z jeszcze inną Lucylią. Idąc za przykładem swego ojca, Pompejusz Strabon również poślubił pewną brzydką Lucylię. Ta była córką starszego brata sławnego autora satyr, Gajusza Lucyliusza Hirrusa. Na szczęście krew Pompejuszów zdołała przemóc pospolitość Lucyliuszów, bo ani Strabon, ani jego syn nie byli brzydki, jeśli nie brać pod uwagę zeza Strabona. Jak poprzednie pokolenia Pompejuszów, mieli jasne włosy i jasną cerę, niebieskie oczy i zadarte nosy. Wśród Rufusów przeważali rudowłosi, Strabonowie zaś byli złotowłosi.

Kiedy Strabon maszerował ze swymi czterema legionami przez Picenum na południe, zostawił syna w Rzymie, u jego matki, dla uzupełnienia edukacji. Syn nie był jednak również intelektualistą - w ogóle był bardzo podobny do ojca - spakował więc kufer i wyruszył do domu w północnym Picenum. Tam spotkał się z centurionami pozostawionymi dla szkolenia klientów Pompejuszów na legionistów i poddał się forsownemu szkoleniu wojskowemu, na długo przed założeniem męskiej togi. Niepodobny w tym do ojca, Pompejusz Młodszy był przedmiotem powszechnego podziwu. Używał po prostu nazwiska Gnejusz Pompejusz, bez przydomka. Żadna zresztą gałąź rodu nie miała przydomka, jeśli nie liczyć ojca Pompejusza Młodszego, a imię Strabon nie pasowało do niego, bo nie był zezowaty. Oczy Pompejusza Młodszego były bardzo wielkie, bardzo szerokie, bardzo niebieskie i po prostu doskonałe. Były to oczy poety, jak mówiła zaślepiona matka.

Podczas gdy Pompejusz Młodszy włóczył się po domu, Pompejusz Strabon



kontynuował swój marsz na południe. Potem, przekraczając rzekę Tinę pod Falernum, wpadł w zasadzkę sześciu legionów Picenów pod wodzą Gajusza Widacyliusza i został zmuszony do obrony po pas w wodzie, co mu nie dawało żadnego pola do manewru. Kłopotliwe położenie pogorszyło się jeszcze, gdy przybył Tytus Lafreniusz z dwoma legionami Marsów! Wszyscy Italczyki chcieli mieć udział w pierwszej akcji w tej wojnie.

Bitwa nie została rozstrzygnięta. W obliczu ogromnej przewagi liczebnej wroga Pompejusz Strabon zdołał wydostać się prawie bez strat z nad rzeki i popędził ze swą drogocenną armią do nadmorskiego miasta Firmum Picenum. Zamknął się w nim i przygotował do długiego oblężenia. Zgodnie z logiką Italczyki powinni go byli unicestwić, ale nie otrzymali jeszcze dotąd lekcji tej jednej, niezawodnej cechy rzymskiego wojska - szybkości. Pod tym względem - najważniejszym, jak się okazało - zwycięzcą był Pompejusz Strabon, nawet jeśli bitwę należało przyznać Italczykom.

Widacyliusz pozostawił Tytusa Lafreniusza pod murami Firmum Picenum, sam zaś odszedł ze Skatonem ścąc zamieszanie gdzie indziej. Pompejusz Strabon wysłał tymczasem wiadomość do Celiusza w Galii italskiej z prośbą o jak najszybsze wsparcie. Nie było to rozpaczliwe wezwanie. Miał dostęp do morza i do małej rzymskiej floty na Adriatyku, o której nikt nie pamiętał, a która miała tam bazę. Firmum Picenum było kolonią na prawach latyńskich i było lojalne wobec Rzymu.



Gdy Italczyki usłyszeli o pochodzie Pompejusza Strabona, uznali, że honorowi stało się zadość. To Rzym był agresorem. Mutilus i Silon mieli teraz poparcie wielkiej rady. Podczas gdy Silon pozostał w Italice, posyłając Widacyliusza, Lafreniusza i Skatona na północ przeciw Pompejuszowi Strabonowi, Gajusz Papiusz Mutilus poprowadził sześć legionów do Aesernii. Żaden latyński przyczółek nie będzie szpecił samorządnej Italii! Aesernia musi upaść.

Natychmiast okazało się, co warci są dwaj młodszy legaci Lucjusza Cezara. Scypion Azjagenes i Lucjusz Acyliusz uciekli z miasta w przebraniu niewolników, zanim zjawili się Samniti. Ich ucieczka wcale nie zmartwiła mieszkańców Aesernii. Znakomicie ufortyfikowane i bardzo dobrze zaopatrzone miasto zamknęło bramy i obsadziło mury pięcioma kohortami rekrutów, które legaci porzucili, tak pilno im było uciec. Mutilus zrozumiał od razu, że oblężenie musiałoby potrwać, pozostawił więc Aesernię otoczoną przez dwa ze swoich legionów, sam zaś ruszył z czterema innymi nad rzekę Wolturnus, oddzielającą wschód Kampanii od zachodu.

Otrzymawszy wiadomość o marszu Samnitów, Lucjusz Cezar przeniósł się z Kapui do Noli, gdzie pięć kohort Lucjusza Postumiusza powstrzymywało



miasto przed powstaniem.

- Dopóki nie poznamy planów Mutilusa, najlepiej będzie obsadzić Nolę dwoma legionami naszych weteranów - powiedział do Sulli, przygotowując się do opuszczenia Kapui. - Nieprzyjaciel ma przytłaczającą przewagę. Kiedy się tylko da, wyślij trochę wojska pod Marcellusem do Wenafrum.

- To już zrobione - odrzekł lakonicznie Sulla. - Weterani zawsze lubili osiedlać się w Kampanii i już się zbiegają do szeregów. Trzeba im tylko hełmu, kolczugi, miecza u boku i tarczy. Wysyłam ich do miejsc, które chcesz obsadzić, kiedy tylko ich wyekwipuję i przydzielę doświadczonych centurionów. Publiusz Krassus z dwoma starszymi synami wyruszył wczoraj do Lukanii z legionem weteranów emerytów.

- Powinieneś mi powiedzieć! - rzekł z irytacją Lucjusz Cezar.

- Nie, Lucjusz Juliuszu, nie powinienem - odparł Sulla z niezrównanym spokojem. - Jestem tu po to, by wprowadzać twoje plany w życie. Kiedy mi raz powiesz, kto ma gdzie iść, moją sprawą jest dopilnować wykonania twoich rozkazów. Nie musisz pytać, a ja nie muszę mówić.

- Kogo więc wysłałem do Benewentu? - spytał Lucjusz Cezar, mając świadomość, że zaczyna okazywać słabość. Dowodzenie stawiało zbyt wielkie wymagania.

Nie były one jednak zbyt wielkie dla Sulli, który nie pozwalał sobie na okazanie satysfakcji. Prędzej czy później sprawy przerosną Lucjusza Cezara - a wtedy nadejdzie jego kolej. Pozwolił Lucjuszowi Cezarowi przenieść się do Noli, dobrze wiedząc, że to posunięcie tymczasowe i bezcelowe. Kiedy przyszła wiadomość o oblężeniu Aesernii, Lucjusz Cezar pomaszerował na powrót do Kapui, a potem uznał, że najlepszym posunięciem będzie marsz na pomoc Aesernii. Środkowe rejony Kampanii nad Wolturnem były jednak objęte powstaniem. Legiony Samnitów stacjonowały wszędzie i chodziły słuchy, że sam Mutilus ruszył w kierunku Benewentu.

Północna Kampania była jeszcze bezpieczna i raczej posłuszna Rzymowi. Lucjusz Cezar wysłał swoje dwa legiony weteranów przez Teanum Sidicinum i Interamnę, by zbliżyły się do Aesernii od przyjaznego terytorium. Nie wiedział, że Publiusz Wettiusz Skaton maszeruje wokół zachodnich brzegów Jeziora Fucyńskiego również ku Aesernii. Zszedł w dół doliną rzeki Liris, minął Sorę i natknął się na Lucjusza Cezara między Atiną a Casinum.

Żadna ze stron nie spodziewała się tego. Obie starły się w przypadkowej bitwie, niełatwej, bo spotkanie nastąpiło w wąwozie, i Lucjusz Cezar przegrał. Wycofał się do Teanum Sidicinum, zostawiając dwa tysiące niezastąpionych weteranów martwych na poboju, gdy tymczasem Skaton, nie zatrzymywany przez nikogo, szedł na Aesernię. Tym razem Italczycy mogli ogłosić pełne zwycięstwo, i zrobili to.

Nigdy do końca nie pogodzone z rządami rzymskimi miasta południowej







Kampanii opowiadały się jedno po drugim za Italią z Nolą i Wenafrum włącznie. Marek Klaudiusz Marcellus wydostał się ze swymi oddziałami z Wenafrum, zanim nadciągnęła armia Samnitów, ale zamiast wycofać się do bezpiecznej Kapui, Marcellus i jego ludzie zdecydowali się iść do Aesernii. Zastali miasto całkowicie otoczone przez Italczyków. Skaton ze swymi Marsami był po jednej stronie, Samnici zaś po drugiej.

Italskie warty nie były jednak zbyt czujne i Marcellus szybko to wykorzystał. W nocy wszyscy Rzymianie zdołali dostać się do miasta. Aesernia miała teraz dzielnego i zdolnego dowódcę i dziesięć kohort rzymskich legionistów.

Liżąc swe rany w Teanum Sidicinum, ponury niczym stary pies po przegranej pierwszej walce, przygnębiony i rozdrażniony Lucjusz Juliusz Cezar odbierał złe wieści, jedną po drugiej: Wenafrum stracone, Aesernia pod ciężkim oblężeniem, Nola uwięziła dwa tysiące żołnierzy rzymskich wraz z pretorem Lucjuszem Postumiuszem, a Publiusz Krassus z dwoma synami zapędzony do Grumentum przez Lukanów, którzy podnieśli bunt pod bardzo zręcznym dowództwem Marka Lamponiusza. Na domiar wszystkiego wywiad Sulli donosił, że Apulia i Wenuzja są bliskie przyłączenia się do Italii.



Wszystko to jednak było niczym wobec położenia Publiusza Rutyliusza Lupusa, bezpośrednio na wschód od Rzymu. Zaczęło się to, kiedy Gajusz Perperna pojawił się z jednym legionem rekrutów zamiast z dwoma legionami weteranów podczas przedłużonego lutego, a potem było coraz gorzej. Gdy Mariusz rzucił się do pracy przy zaciągach i zbrojeniu żołnierzy, a Cepion robił to samo, Lupus zaangażował się w walkę na pióra z senatem Rzymu. Donosił z furją, że w jego własnej armii, a nawet wśród własnych legatów, dostrzega przejawy buntu, i pytał, co senat zamierza z tym zrobić. Jak można oczekiwać, że będzie prowadził wojnę, kiedy jego ludzie są mu nieprzyjaciółmi. Czy Rzym chce, czy nie chce obrony Alby Fucencji? Jak ma to zrobić, skoro nie dysponuje ani jednym doświadczonym legionistą? Kiedy zostaną podjęte kroki w sprawie odwołania Pompejusza Strabona? I kiedy zrobi się coś w sprawie oskarżenia go o zdradę stanu? Kiedy w końcu senat zamierza odebrać Pompejuszowi Strabonowi dwa legiony weteranów? A kiedy on sam zostanie wreszcie uwolniony od tej nieznośnej miernoty, Mariusza?

Lupus i Mariusz obozowali na Via Valeria pod Karseoli, dobrze ufortyfikowani dzięki Mariuszowi, który po prostu kazał rekrutom kopać - dla wzmocnienia mięśni, jak wyjaśnił z niewinną miną Lupusowi, gdy ten narzekał, że kopią, a nie ćwiczą musztrę. Cepion rozłożył się poza nimi, pod miastem Warią, także przy Via Valeria. Pod pewnym względem Lupus się nie mylił; nikt nie brał pod uwagę ogólnej sytuacji na polu walki. Cepion trzymał się z dala od Karseoli i od swego wodza, bo nie mógł znieść, jak mówił, zgorzkniałej atmosfery namiotu dowódcy. Mariusz zaś - choć miał jasny



pogląd, że jego wódz powinien wyruszyć przeciw Marsom, gdy tylko doliczy się odpowiedniej liczby żołnierzy na paradach - nigdy nie pozwolił sobie na złośliwości. Mówił, że żołnierze są beznadziejnie niedoświadczeni, że trzeba im pełnych stu dni szkolenia, zanim będą zdolni do jakiejś bitwy, że znaczna część wyposażenia jest nieodpowiednia, a Lupus lepiej by zrobił, gdyby przyjął zaistniały stan rzeczy, zamiast rozwodzić się bez końca o Pompejuszu Strabonie i zagrabionych legionach weteranów.

O ile Lucjusz Cezar był niezdecydowany, o tyle Lupus był całkowicie niekompetentny. Jego doświadczenie wojskowe było najmniejsze z możliwych. Należał do tej kategorii wodzów z wyścieranego krzesła, którzy wierzą że sam widok rzymskiego legionu rozstrzyga walkę na korzyść Rzymu. Pogardzał też Italczykami, uważając ich wszystkich za wiejskich gburów. Według niego, z chwilą gdy Mariusz zebrał i uzbroił cztery legiony, mogły one wyruszać. Nie brał jednak pod uwagę zdania Mariusza, który obstawał przy swoim, że żołnierzy nie wolno posyłać do boju, póki nie będą należycie wyszkoleni. Przy pierwszej okazji, gdy wydał mu rozkaz wymarszu do Alby Fucencji, ten po prostu odmówił. Kiedy odmówił Mariusz, to samo zrobili młodszy legaci. Znów poszły listy do Rzymu, oskarżające tym razem legatów już nie o niesubordynację, ale o bunt. Przyczyną tego był Gajusz Mariusz - jak zawsze Gajusz Mariusz.

Tak więc Lupus nie wykonał żadnego ruchu do końca maja, kiedy to zwołał radę i polecił Gajuszowi Perpernie wziąć kapuański legion rekrutów i drugi najsprawniejszy legion i pomaszerować po Via Valeria zachodnim przejściem na ziemie Marsów. Jego celem była Alba Fucencja, której chciał przyjść z odsieczą gdyby oblegali ją Marsowie, albo obsadzić ją wojskiem, uprzedzając atak Marsów. Raz jeszcze Mariusz był przeciwny, ale tym razem został zlekceważony. Lupus oświadczył, zgodnie z prawdą, że okres szkolenia rekrutów upłynął. Perperna ze swymi dwoma legionami wyruszył po Via Valeria.

Zachodnie przejście było skalistym wąwozem na wysokości czterech tysięcy stóp, a zimowe śniegi jeszcze nie do końca stopniały. Żołnierze narzekali na zimno, więc Perperna nie wystawił tylu wartowników na punktach widokowych, ilu powinien, troszcząc się bardziej o dobry nastrój ludzi niż o ich bezpieczeństwo. Publiusz Prezentejusz zaatakował jego kolumnę, gdy tylko pogrążyła się całkowicie w skalnej rozpadlinie. Prowadził cztery legiony Pelignów, spragnione zwycięstwa. Dostali swoje zwycięstwo, całkowite i słodkie. Cztery tysiące żołnierzy Perperny poległo w tym wąwozie, a ich zbroje i broń dostały się Prezentejuszowi. Pelignowie zdobyli też zbroje sześciu tysięcy tych, którzy uszli z życiem, porzucając je w ucieczce. Sam Perperna należał do najszybszych biegaczy.

W Karseoli Lupus zdegradował Perpernę i odesłał go w niesławie do Rzymu.



- To było głupie, Lupusie - oświadczył Mariusz, który już dawno dał za wygraną i nie traktował wodza z kurtuazją Publiusza Rutyliusza. - Perperna to amator, a błąd zrobiłeś ty, nie kto inny. Mówiłem ci, że ludzie nie są gotowi. Powinien też ich prowadzić ktoś, kto rozumie świeżych rekrutów - na przykład ja.

- Pilnuj swoich spraw! - parsknął Lupus. - I pamiętaj, że twoim głównym zadaniem jest aprobowanie moich działań.

- Nie zmusisz mnie do tego, Lupusie, nawet gdybyś mi pokazał goły tyłek - powiedział Mariusz, ściągnąwszy brwi, co nadawało mu podwójnie groźny wygląd. - Jesteś całkowicie niekompetentnym durniem!

- Odeślę cię do Rzymu! - wrzasnął Lupus.

- Nie potrafiłbyś odesłać własnej babki na drugą stronę ulicy - powiedział pogardliwie Mariusz. - Cztery tysiące zabitych, którzy mogli zostać dobrymi żołnierzami i sześć tysięcy, których powinno się wychłostać za porzucenie broni! Nie wiń za to Perperny, bo sam jesteś winien! - Pokręcił głową klepiąc się po obwisłym lewym policzku. - Mam wrażenie, jakbym się cofnął w czasie o dwadzieścia lat! Robisz to samo, co cała reszta senackich głupców, zabijając dobrych żołnierzy!

Lupus wyprostował się, ale nie przydało mu to wzrostu.

- Jestem nie tylko konsulem, ale i naczelnym wodzem tego teatru wojny - oświadczył wyniośle. - Za równe osiem dni - dziś są kalendy czerwca, przypominam - ty i ja wyruszamy do Nerse i wejdziemy do kraju Marsów od północy. Pójdziemy w dwóch kolumnach, po dwa legiony w każdej, i przejdziemy Welinus oddzielnie. Stąd do Reate są tylko dwa mosty i żaden nie jest dość szeroki, by przeszło nim ośmiu ludzi obok siebie. Dlatego pójdziemy w dwóch kolumnach, bo inaczej przeprawa trwałaby zbyt długo. Ja skorzystam z mostu bliższego Karseoli, a ty z bliższego Kliterny. Połączymy się nad Himellą za Nerse i wejdziemy na Via Valeria przed Antinum. Czy to rozumiałe, Mariuszu?

- Zrozumiałe - rzekł Mariusz. - Głupie, ale zrozumiałe! Chyba nie zdajesz sobie sprawy, Lupusie, że na zachód od kraju Marsów mogą być italskie legiony.

- Nie ma żadnych italskich legionów na zachód od kraju Marsów - oświadczył Lupus. - Pelignowie, którzy zaskoczyli Perpernę, odeszli znowu na wschód.

Mariusz wzruszył ramionami.

- Niech tak będzie. Nie mów tylko, że cię nie ostrzegałem.

Wyruszyli osiem dni później. Lupus objął prowadzenie ze swymi dwoma legionami, a Mariusz szedł za nim, dopóki nie przyszła pora na samotny marsz na północ, gdy Lupus pomaszerował do swego mostu na wartkim i lodowato zimnym Welinie, wezbranym od topniejących śniegów. Z chwilą gdy kolumna Lupusa znikła z pola widzenia, Mariusz wprowadził swe oddziały do



pobliskiego lasu i nakazał rozłożyć obóz bez palenia ognisk.

- Idziemy wzdłuż Welinu do Reate, gdzie na drugim brzegu jest wysoki grzbiet - mówił do swego starszego legata Aulusa Plaucjusza. - Gdybym był sprytnym Italczykiem, planującym pokonanie Rzymu w wojnie, i miał wycucie naszej niezgłębionej ambicji - postawiłbym swoich najbystrzejszych ludzi na tym grzbiecie, żeby obserwowali ruchy wojsk na tym brzegu rzeki. Italczyki muszą wiedzieć, że Lupus siedzi od miesiąca w Karseoli, czemu więc nie mieliby oczekiwać na jakiś jego ruch. Unicestwili jego ostatnią próbę. Czekają na kolejną, zapamiętaj moje słowa. Zostaniemy więc do zmroku w tym przytulnym, gęstym lesie, potem będziemy maszerowali, najszybciej jak się da, do świtu i znów ukryjemy się w jakimś miłym, gęstym lesie. Nie zamierzam wystawiać moich ludzi na pokaz, dopóki nie przejdą w kolumnie dwójkowej przez most.

Gajusz Mariusz dotarł w końcu dwunastego czerwca do mostu, posuwając się przeraźliwie wolno, bo noce były bezksiężycowe, a teren pozbawiony dróg, oprócz wijącego się traktu, którego wolał unikać. Wydawał dyspozycje rozważnie i ze świadomością, że nikt nie przygląda mu się ze wzgórz po drugiej stronie - kazał je wcześniej przeszukać. Oba legiony były w dobrym nastroju i gotowe na wszystko, co Mariusz im rozkaże. Byli to dokładnie tacy sami ludzie, jak ci, którzy maszerowali poprzednio z Perperną przez zachodnie przejście, narzekający na zimno i nieszczęśliwi. Pochodzili z tych samych miast w tych samych krajach. Ci jednak byli pewni siebie, zdolni do wszystkiego, z bitwą włącznie, i ściśle wykonujący każde polecenie. Kiedy zaczęli przechodzić przez wąski most, Aulus Plaucjusz pomyślał, że tak się zachowują, bo są żołnierzami Mariusza - nawet jeśli oznaczało to, że muszą być także mułami Mariusza. Mariusz maszerował bowiem jak zwykle bez obciążenia. Lupus natomiast obstawał przy przepisowym taborze.

Plaucjusz poszedł wzdłuż rzeki na południe od mostu, chcąc znaleźć dogodne miejsce do obserwowania tych dzielnych chłopców, jak wprawiają belki w drgania, przebiegając na drugi brzeg. Rzeka była wezbrana i hucząca, ale - w związku z tym, że Plaucjusz upatrzył sobie wcinający się w nurt cypel - na południe od miejsca, gdzie stał, powstała zatoczka pełna wirów i ciał. Najpierw zanotował bezmyślnie w pamięci obecność tych ciał, potem przyjrzał się im z rosnącym przerażeniem. Były to ciała żołnierzy! Dwie albo trzy dziesiątki! A sądząc z pióropuszy na hełmach, byli to Rzymianie.

Popędził od razu do Mariusza, który spojrzał tylko raz i zrozumiał.

- Lupus - powiedział ponuro. - Dał się wciągnąć w bitwę po przejściu swego mostu. Chodź tu i pomóż mi.

Plaucjusz zsunął się śladem Mariusza i pomógł mu przyciągnąć do brzegu jedno z ciał. Mariusz odwrócił zwłoki i spojrzał na kredowobiałą, przerażoną twarz.



- To było wczoraj - powiedział i puścił ciało. - Chciałbym zająć się tymi biedakami, ale nie ma na to czasu, Aulusie Plaucjuszu. Ustaw ludzi za mostem w marszowym szyku bojowym. Przemówię do nich, gdy będą gotowi. Zrób to szybko. Możemy mieć szansę na jakiś mały odwet.

Publiusz Wettiusz Skaton na czele dwóch legionów Marsów opuścił przed miesiącem okolice Aesernii. Kierował się na Albę Fucencję, chcąc znaleźć Silona, który oblegał to miasto na prawach latyńskich, potężnie umocnione i zdecydowane się obronić. Sam Silon wolał pozostać na terytorium Marsów, aby utrzymać wysiłek wojenny na najwyższym poziomie, ale wywiad od dawna donosił o szkoleniu wojsk przez Rzymian w Karseoli i Warii.

- Idź i rozejrzyj się - powiedział Skatonowi.

Spotkawszy pod Antinum Prezentejusza i jego Pelignów, otrzymał pełne sprawozdanie o klęsce Perperny w zachodnim przejściu. Prezentejusz zdążył na wschód przekazać zdobycz nowo powstającym oddziałom Pelignów. Skaton poszedł na zachód i zrobił dokładnie to, co przepowiedział Mariusz. Rozmieszczył czatowników na grzbiecie na wschód od Welinu i w tym czasie zbudował obóz między dwoma mostami. Właśnie zastanawiał się, czy nie zbliżyć się do Karseoli, kiedy zjawił się goniec z wieścią, że rzymska armia przechodzi południowym mostem.

Z niesłychaną przyjemnością Skaton patrzył, jak Lupus kieruje żołnierzy z jednego brzegu na drugi, popełniając wszelkie możliwe błędy; zanim zbliżyli się do mostu, pozwolił im złamać szeregi. Po przejściu rzeki pozostawił ich na drugim brzegu dezorientowanych. Sam skupił się na doglądaniu taboru. Stał na moście ubrany tylko w tunikę, kiedy Skaton ze swymi Marsami uderzył na jego armię. Osiem tysięcy rzymskich legionistów zginęło na polu bitwy, a wraz z nimi Publiusz Rutyliusz Lupus i jego legat Marek Waleriusz Messala. Około dwóch tysięcy zdołało uciec, ściągając z mostu wozy zaprzężone w woły, porzucając kolczugi, hełmy i miecze i biegnąc do Karseoli. Było to jedenastego czerwca.

Bitwa - jeśli można ją tak nazwać - rozegrała się późnym popołudniem. Skaton postanowił zostać na miejscu i nie odsyłać żołnierzy do obozu na noc. Nazajutrz rano mogli obedrzeć zwłoki, ułożyć nagie ciała w stosy i spalić je oraz przeciągnąć porzucone wozy zaprzężone w woły i muły na wschodni brzeg. Na wozach była z pewnością pszenica i inne racje żywnościowe. Przydadzą się też do przewiezienia zdobytej broni. Wspaniała zdobycz! Skaton myślał, rad z siebie, że pobicie Rzymian było sprawą tak łatwą jak pobicie dziecka. Oni nie wiedzą nawet, jak się bronić, kiedy wchodzą do nieprzyjacielskiego kraju! To było bardzo dziwne. Jak im się udało podbić pół świata, a drugie pół utrzymywać w ciągłej trwodze?

Miał się o tym rychło przekonać. Nadciągnął Mariusz i z kolei Skaton został zaatakowany, kiedy jego żołnierze byli dezorganizowani.



Mariusz natknął się najpierw na całkowicie opuszczony obóz Marsów. Pohulał tam, zabierając wszystko, co w nim było - rzeczy, mnóstwo żywności i pieniędzy. Nie działał jednak chaotycznie. Pozostawił większość swoich nieliniowych żołnierzy, by się zajęli zbieraniem i sortowaniem, sam zaś ruszył dalej z legionami. Koło południa dotarł do poboju, na którym oddziały Marsów zdzierały z zabitych zbroje.

- Świetnie! - ryknął do Aulusa Plaucjusza. - Moi ludzie przeleją pierwszą krew w najlepszy sposób - gromiąc wroga! To im da pewność siebie! Będą weteranami!

To był prawdziwy pogrom. Skaton wziął nogi za pas, zostawiając za sobą dwa tysiące zabitych Marsów i całą zdobycz. Nadal jednak Italczycy byli górami, jeśli liczyć poległych żołnierzy. Mariusz myślał ponuro, że całe miesiące szkolenia poszły na marne. Osiem tysięcy dobrych żołnierzy zginęło, bo - to się zdawało nieuniknione - dowodził nimi głupiec.

Przy moście odnaleźli ciała Lupusa i Messali.

- Szkoda mi Marka Waleriusza. Byłaby chyba z niego pociecha - mówił Mariusz do Plaucjusza. - Rad jestem jednak, że Fortuna odwróciła się od Lupusa! Gdyby żył, mielibyśmy jeszcze większe straty.

Na te słowa nie padła odpowiedź. Plaucjusz milczał.

Mariusz odesłał ciała konsula i jego legata do Rzymu pod eskortą swego jedynego szwadronu konnicy i z listem wyjaśniającym, co zaszło. Myślał przy tym cierpko, że już czas napędzić Rzymowi porządnego strachu. Inaczej nikt z jego mieszkańców nie uwierzy, że w Italii naprawdę toczy się wojna - i nikt nie uwierzy, że Italczycy to groźny wróg.

Prynceps senatu Skaurus wysłał dwie odpowiedzi, jedną w imieniu senatu, drugą w imieniu własnym.

*Bardzo żałuję, że oficjalny raport przedstawia taki obraz, Gajuszu Mariuszu. Zapewniam cię, że to nie moje dzieło. Kłopot w tym, stary, że nie mam rezerw energii potrzebnych, by owinąć sobie trzystu ludzi wokół palca. Robiłem to przed dwudziestu laty w sprawie Jugurty - ale właśnie te ostatnie dwadzieścia lat ma tu znaczenie. W tych dniach w senacie nie zasiada zresztą trzystu ludzi, raczej koło setki. Senatorzy poniżej trzydziestego piątego roku życia służą w wojsku - i to samo robi kilku starych, włącznie z niejakim Gajuszem Mariuszem.*

*Twój mały orszak pogrzebowy wzbudził w Rzymie sensację. Całe miasto płakało i wrywało sobie włosy, że nie wspomnę o kaleczeniu sobie piersi. Nagle wojna stała się rzeczywista. Chyba nic innego nie dałoby im takiej nauczki. Morale upadło. W mgnieniu oka, jak uderzenie pioruna. Do czasu przybycia ciała konsula na Forum, wszyscy w Rzymie - z senatorami i rycerzami włącznie - uważali tę wojnę za synekurę. Oto jednak leżał Lupus, martwy jak głaz, zabity przez Italczyków. W bitwie o parę mil od Rzymu. Była to przerażająca chwila, ta,*



w której wysypaliśmy się z Kurii Hostyliusza i stali, wpatrując się w Lupusa i Messalę. Czy kazalesz eskorcie odkryć ich ciała przed wniesieniem na Forum? Założę się, że tak!

W każdym razie Rzym pogrążył się w żałobie. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie przyćmione światła i czarne stroje. Wszyscy, którzy pozostali jeszcze w senacie, noszą sagum zamiast togi i tuniki z wąskim szlakiem miast *latus clavus*. Wyżsi urzędnicy kurulni pozdejmowali insygnia swych urzędów i nawet zasiadali na prostych drewnianych stołkach w kurii i w swoich trybunatach. Napomyka się o ustawach przeciw zbytkowi, dotyczących purpury, pieprzu i panoplii. Od całkowitej beztroski Rzym przeszedł do zupełnego przeciwieństwa. Wszędzie, gdzie wchodzę, ludzie zastanawiają się głośno, czy rzeczywiście przegrywamy.

Jak zobaczysz, oficjalna odpowiedź dotyczy dwóch odrębnych spraw. Nad pierwszą osobiście ubolewam, ale zostałem zagłuszony ogólnym wyciem w imię „zagrożenia narodowego”. Oto w przyszłości wszystkim ofiarom wojen, od szeregowców do wodzów, ma być urządzany pogrzeb z wszelkimi egzekwiami żałobnymi - na polu bitwy. Nikogo nie będzie się odsyłać do Rzymu ze względu na morale. Bzdury, bzdury, bzdury! Tego jednak chcieli.

Druga jest daleko gorsza, Gajuszu Mariuszu. Jak Cię znam, czytasz ten list przed przestudiowaniem oficjalnego pisma. Powiem Ci więc bez ogródek, że kuria nie zgadza się na oddanie Ci naczelnego dowództwa. Ściśle biorąc, oni Cię nie pomijają - nie mieliby odwagi tego zrobić. Zamiast tego oddali połączone dowództwo Tobie i Cepionowi. Nie mogliby chyba podjąć głupszej i mniej celowej decyzji. Nawet mianowanie Cepiona na Twego zwierzchnika byłoby mądrzejsze. Przypuszczam jednak, że poradzisz sobie z tym na swój niepowtarzalny sposób.

Ależ byłem zły! Problem jednak w tym, że ci, którzy pozostali w kurii, to w większości wyschnięte kawałki łajna dyndające na owczym tyłku. Porządna wełna jest w polu albo, jak ja, ma w Rzymie zajęcie - ale takich jest tylko garstka w porównaniu z tymi kawałkami łajna. Czułem się wtedy całkiem niepotrzebny. Głos decydujący ma tam Filip. Czy możesz to sobie wyobrazić? Jakby nie dość było jego wyczynów jako konsula w tamtych okropnych dniach, prowadzących do zabójstwa Marka Liwiusza, ale teraz jest jeszcze gorszy. A rycerze z komicjów jedzą mu z oślizgłej ręki. Napisałem do Lucjusza Juliusza, prosząc go o powrót do Rzymu i wyznaczenie konsula *suffectus* na miejsce Lupusa, ale odpisał mi, że musimy jakoś sobie radzić, bo on jest uwięziony na miejscu i nie może opuścić Kampanii nawet na jeden dzień. Robię, co mogę, ale powiadam Ci, Gajuszu Mariuszu, czuję się naprawdę staro.

Oczywiście Cepion stanie się zupełnie nieznośny, kiedy usłyszy tę nowinę. Postarałem się tak ustawić kurierów, żebyś dowiedział się tego wcześniej niż on. To da Ci czas do namysłu, jak z nim postępować, kiedy będzie się nadymał przed Tobą, jak paw. Mogę Ci udzielić tylko jednej rady. Rób to po swojemu.



Ostatecznie jednak poradziła sobie z tym Fortuna - olśniewająco, ostatecznie i ironicznie. Cepion przyjął podzielone dowództwo ze skrajną pewnością siebie, pobił bowiem legion Marsów plądrujący okolicę pod Warią, podczas gdy Mariusz wojował ze Skatonem nad Welinem. Zrównując ten niewielki sukces ze zwycięstwem Mariusza, zawiadomił senat, że to on odniósł pierwsze zwycięstwo w tej wojnie, dziesiątego czerwca, podczas gdy zwycięstwo Mariusza było o dwa dni późniejsze. W tym czasie wydarzyła się przeraźliwa klęska, za którą Cepion skłonny był winić Mariusza, nie zaś Lupusa.

Ku jego zgrzyzocie Mariusz najwyraźniej nie dbał wcale o to, komu przypadną zaszczyty, ani o to, czego Cepion szukał w Warii. Kiedy Cepion polecił mu wracać do Karseoli, Mariusz zignorował go całkowicie. Zajął obóz Skatona nad Welinem, umocnił go potężnie i ulokował w nim wszystkich żołnierzy, którymi rozporządzał. Musztrował tam swoje oddziały w kółko, a tymczasem dni upływały, a Cepion złościł się, że odbiera mu się szansę najechnia kraju Marsów. Mariusz odziedziczył niedobitki żołnierzy Lupusa, jakieś pięć kohort, a także dwie trzecie z sześciu tysięcy tych, którzy uciekli przed Prezentejuszem z zachodniego przejścia. Wszystko to razem dawało mu trzy przepełnione legiony. „Zanim poruszę się choćby o cal, pisał, mają być gotowi według mego uznania, nie zaś według uznania jakiegoś durnia, który nie odróżnia awangardy od skrzydeł”.

Cepion miał półtora legionu żołnierzy, których podzielił na dwie niepełne jednostki, i nie czuł się na tyle pewnie, by ruszać w pole. Gdy Mariusz niestrudzenie musztrował swych ludzi o całe mile na północny wschód, Cepion tkwił w Warii i zżymał się bezsilnie. Czerwiec przeszedł w kwinktylis, Mariusz wciąż musztrował swoich, a Cepion wciąż się niecierpliwił. Jak przedtem Lupus, Cepion poświęcał mnóstwo czasu na pisanie do senatu skarg, a tymczasem Skaurus i kilku innych utrzymywało śliniącego się Lucjusza Marcjusza Filipa w ryzach, za każdym razem gdy proponował odebranie Mariuszowi dowództwa.

W środku kwinktylisa odwiedził Cepiona niespodziewany gość, nie kto inny jak Kwintus Popediusz Silon, wódz Marsów.

Silon przybył do obozu Cepiona z dwoma wystraszonymi niewolnikami, jednym obładowanym osłem i dwojgiem dzieci, najwyraźniej bliźniakami. Cepiona przywołano na forum obozu, gdzie czekał Silon w pełnej zbroi ze swym małym orszakiem u boku. Dzieci na rękach niewolnic spowite były w purpurę haftowaną złotem.

Na widok Cepiona Silon rozpromienił się.

- Kwintusie Serwiliuszu, jak miło cię widzieć! - wykrzyknął, wyciągając prawicę.

Cepion zachował wyniosłą minę i zignorował wyciągniętą dłoń, nie zapominając, że są w centrum powszechnej uwagi.



- Czego chcesz? - spytał pogardliwym tonem.

Silon opuścił dłoń, wcale nie zmieszany.

- Szukam schronienia i opieki Rzymu - powiedział - i przez wzgląd na Marka Liwiusza Druzusa wolałem udać się raczej do ciebie niż do Gajusza Mariusza.

Nieco ułagodzony tą odpowiedzią Cepion zawahał się.

- Czemu szukasz opieki Rzymu? - spytał, przenosząc wzrok z Silona na owinięte w purpurę niemowlęta i niewolnika trzymającego obładowanego osła.

- Jak wiesz, Kwintusie Serwiliuszu, Marsowie przekazali Rzymowi formalne wypowiedzenie wojny - odpowiedział Silon. - Nie wiesz natomiast, że to dzięki Marsom Italczycy tak długo odkładali ofensywę. Na radzie w Korfinum - to miasto zwie się dziś Italika - stale prosiłem o zwłokę i miałem nadzieję, że nie zostanie zadany żaden cios. Uważam tę wojnę za bezcelowe, ohydne marnotrawstwo. Italia nie może pokonać Rzymu! Niektórzy członkowie rady zaczęli mnie oskarżać o sprzyjanie Rzymowi. Zaprzeczałem. Potem Publiusz Wettiusz Skaton - mój własny pretor! - wrócił do Korfinum po bitwie z konsulem Lupusem i kolejnej z Gajuszem Mariuszem. Oskarżył mnie o znowę z Mariuszem i wszyscy mu uwierzyli. Nagle zostałem wygnańcem. Zawdzięczam życie tylko liczebności rady - ma ona pięciuset członków. Kiedy się naradzali, opuściłem miasto i pośpieszyłem do Marruwium. Wyprzedziłem pogoń, ale wiedziałem, że nie będę bezpieczny wśród Marsów. Zabrałem więc synów bliźniaków - to Italikus i Marsikus - i uciekłem pod opiekę Rzymu.

- A dlaczego mielibyśmy cię chronić? - spytał Cepion, rozdymając nozdrza. Co za dziwny zapach? - Nie zrobiłeś niczego dla Rzymu.

- Ależ tak, Kwintusie Serwiliuszu! - Silon wskazał osła. - Ograbiłem Marsów i chcę ofiarować Rzymowi złoto. Na tym osle jest drobna jego część. Naprawdę drobna. O kilka mil stąd, w ukrytej dolinie, stoi trzydzieści osłów, a każdy niesie tyle złota, co ten.

Złoto! Oto, co wyczuwał Cepion! Wszyscy myślą, że złoto nie ma zapachu, ale Cepion wiedział lepiej, tak jak kiedyś jego ojciec, co o tym sądzić. Wszyscy Kwintusowie Serwiliuszowie Cepionowie potrafią wyczuwać zapach złota.

- Niech popatrzę - powiedział, podchodząc do osła.

Jego juki były okryte skórzonym pokrowcem, który Silon teraz ściągnął. I oto było złoto! Pięć sztab złota w każdym z juków, połyskujących w słońcu. Każda sztaba z wytłoczonym węzem Marsów.

- Około trzech talentów - rzekł Silon, okrywając na nowo juki i rozglądając się niespokojnie. Zawiązał na nowo rzemienie i spojrzął na Cepiona swymi niezwykłymi, zielonożółtymi oczami, w których tliły się płomyki. - Ten osioł jest twój - powiedział - a może jeszcze dwa albo trzy, jeśli weźmiesz mnie pod opiekę swoją i Rzymu.

- Biorę cię pod opiekę - odparł z miejsca Cepion i uśmiechnął się jak skąpiec.



- Wezmę też jednak pięć osłów.

- Jak sobie życzysz, Kwintusie Serwiliuszu. - Silon westchnął głęboko. - Ach, jestem zmęczony. Uciekam od trzech dni.

- Więc odpocznij - rzekł Cepion. - Jutro zaprowadzisz mnie do tej ukrytej doliny. Chcę zobaczyć całe to złoto!

- Byłoby mądrze wziąć ze sobą armię - powiedział Silon, kiedy szli do namiotu wodza, a za nimi niewolnice z dziećmi. Niemowlęta były grzeczne, nie płakały ani się nie wierciły. - Tamci wiedzą już, co zrobiłem, i bogowie wiedzą, kogo za mną wyślą. Chyba odgadną, że zwróciłem się o azyl do Rzymu.

- Niech odgadną! - rzekł Cepion. - Moje dwa legiony wystarczą na Marsów! - Przytrzymał zasłonę namiotu, ale wszedł do środka przed swym petentem. - Ach, muszę cię oczywiście prosić, żebyś zostawił synów w tym obozie na czas naszej nieobecności.

- Rozumiem - powiedział z godnością Silon.

- Są do siebie podobni - stwierdził Cepion, gdy niewolnica położyła dzieci na sofie przygotowanej do przewijania. I rzeczywiście byli podobni: obaj mieli oczy Silona. Cepion zadrżał. - Zaczekaj, dziewczyno! - powiedział do niewolnicy. - Nie chcę tu żadnych kupek! Musisz poczekać, aż załatwię twemu panu kwaterę, a potem zrobisz, co trzeba.

Następnego ranka Cepion wyprowadził swoje dwa legiony z obozu. Pozostała w nim niewolnica Silona z bliźniakami królewskiej krwi. Złoto pozostało również, zdjęte dla bezpieczeństwa z osła i ukryte w namiocie Cepiona.

- Czy wiesz, Kwintusie Serwiliuszu, że Gajusz Mariusz w tej właśnie chwili mierzy się z dziesięcioma legionami Picenów, Pelignów i Marrucynów?

- Nie! - Cepion zaczerpnął tchu. Jechał obok Silona na czele armii. - Dziesięć legionów? Czy zwycięży?

- Gajusz Mariusz zawsze zwycięża - rzekł gładko Silon.

- Hm - odezwał się Cepion.

Jechali, dopóki mieli słońce nad głowami, pozostawiając prawie natychmiast po lewej Via Valeria. Skierowali się na południowy wschód wzdłuż Anio, w kierunku Sublakum. Silon nastawał na utrzymywanie tempa, które pozwalało piechocie dotrzymać kroku, chociaż Cepionowi pilno było ujrzeć resztę złota.

- Jest bezpieczne i nigdzie się nie oddali - uspokajał Silon. - Wolałbym, żeby twoi ludzie byli przy nas i w dobrej formie, kiedy się tam znajdziemy.

Kraj był dziki, ale możliwy do przejścia. Mila mijała za milą, aż niedaleko Sublakum Silon zatrzymał się.

- Tam! - powiedział, wskazując jakąś górę po drugiej stronie Anio. - Za nią jest ukryta dolina. Niedaleko jest dobry most. Przejdziemy bezpiecznie rzekę.

Most był rzeczywiście dobry, szeroki i kamienny. Cepion nakazał wojsku przechodzić go z marszu, pozostał jednak na czele. Droga z Anagnii przy Via Latina do Sublakum przekraczała w tym miejscu Anio i kończyła się w



Karseoli. Gdy żołnierze przekroczyli most, mieli przed sobą dobrą drogę i rozciągnęli się, wydłużając krok, zadowoleni z wyprawy. Widząc nastrój Cepiona, sądzili, że będzie to coś w rodzaju wycieczki, nie wypad wojenny. Tarcze mieli zawieszane na plecach, a włóczni używali jako lasek, by zrównoważyć ciężar kolczug. Czas mijał. Mogliby rozbić obóz w górzystym terenie, nie mając żywności na wieczną, ale przyjemnie było iść bez obciążenia, a nastrój wodza wskazywał, że nagroda jest blisko. Gdy oba legiony rozciągnęły się wokół podnóża góry, bo droga skręcała na północny wschód, Silon obrócił się w siodle do Cepiona.

- Pojadę przodem, Kwintusie Serwiliuszu, żeby się upewnić, że wszystko w porządku. Nie chciałbym nikogo wprawić w popłoch.

Cepion zwolnił, patrząc, jak Silon zagania piętami swego konia i maleje w oddali. Po kilkuset krokach skręcił i zniknął za jakimś urwiskiem.

Marsowie spadli na kolumnę Cepiona ze wszystkich stron - z przodu, gdzie zniknął Silon, z tyłu, zza każdej skały i każdego kamienia po obu stronach drogi. Nie było możliwości obrony. Zanim żołnierze ściągnęli z tarcz skórzane pokrowce, zanim wydobyli miecze z pochew i zapięli paski hełmów, cztery legiony Marsów spadły na kolumnę, uderzając tysiącami jak na ćwiczeniach. Armia Cepiona wyginęła do ostatniego, a tym ostatnim był sam Cepion, wzięty do niewoli na początku ataku i zmuszony do przyglądania się zagładzie swoich ludzi.

Kiedy wszystko było skończone i żaden rzymski żołnierz już się nie poruszał, Kwintus Popediusz Silon podjechał na powrót do Cepiona w otoczeniu swych legatów, w tym Skatona i Fraukusa. Uśmiechał się szeroko.

- I cóż, Kwintusie Serwiliuszu? Co teraz powiesz?

Blady i drżący Cepion zebrał resztki sił.

- Zapominasz, Kwintusie Popediuszu, że trzymam wciąż twoich synów jako zakładników.

Silon wybuchnął śmiechem.

- Moich synów? Nie! To synowie tych dwojga niewolników, których wciąż jeszcze trzymasz. Ale odzyskam ich - i mojego osła. W twoim obozie nie pozostał nikt, kto mógłby mi się przeciwstawić. - Jego niezwykle oczy jarzyły się chłodnym, żółtym blaskiem. - Nie będę się jednak dopominał o ładunek osła. Możesz go zatrzymać.

- To przecież złoto! - wykrztusił zdumiony Cepion.

- Nie, to nie złoto, Kwintusie Serwiliuszu. To ołów pokryty pozłotą najcieńszą z możliwych. Gdybyś ją poskrobał, odkryłbyś tę sztuczkę. Znam jednak mego Cepiona! Nie zdobyłbyś się na skrobanie kawałka złota, choćby zależało od tego twoje życie - a zależało.

Wyciągnął miecz, zsiadł z konia i ruszył ku Cepionowi. Fraukus i Skaton podeszli do konia Cepiona i ściągnęli jeźdźca z siodła. Bez słowa zdjęli z niego



pancerz i kaftan z twardej skóry. Cepion zrozumiał i zaczął szlochać.

- Chcę usłyszeć, jak błagasz o życie, Kwintusie Serwiliuszu Cepionie - powiedział Silon, gdy zbliżył się na odległość ciosu.

Tego jednak Cepion nie był w stanie zrobić. Pod Arauzjoną uciekł, a od tego czasu nigdy nie znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie, nawet wtedy, gdy grupa wypadowa Marsów uderzyła na jego obóz. Teraz zrozumiał, czemu wtedy atakowali. Stracili garść ludzi, ale uznali te straty za opłacalne. Silon rozpoznał okolicę i odpowiednio ułożył swoje plany. Gdyby Cepion zastanawiał się przedtem nad taką możliwością doszedłby może do wniosku, że mógłby błagać o życie. Teraz, w obliczu ciężkiej próby, przekonał się, że nie zdoła tego zrobić. Kwintus Serwiliusz Cepion mógł sobie nie być najdzielniejszym z Rzymian, ale był mimo to Rzymianinem, patrycjuszem, szlachetnie urodzonym. Mógł płakać, a któż wie, czy płakał nad utratą życia, czy też nad utratą ukochanego złota? Kwintus Serwiliusz Cepion nie mógł jednak błagać.

Cepion zadarł podbródek i zamglonymi oczami patrzył w nicość.

- To za Druzusa - rzekł Silon. - Kazałeś go zabić.

- Nie ja - odparł Cepion z jakiejś wielkiej dali. - Mogłem, ale to nie było konieczne. Załatwił to Kwintus Wariusz. I dobrze się stało. Gdyby Druzusa nie zabito, ty i twoi nędzni przyjaciele bylibyście obywatelami Rzymu. Nie jesteście jednak nimi i nigdy nie będziecie. W Rzymie jest wielu takich jak ja.

Silon podniósł miecz, aż dłoń trzymająca rękojeść uniosła się nieco ponad jego ramię.

- Za Druzusa - powiedział.

Miecz uderzył z boku, u podstawy szyi Cepiona. Wielki odprysk kości ugodził Fraukusa w twarz, rozcinając policzek. Cięcie Silona sięgnęło aż do mostka poprzez żyły, tętnice i nerwy. Krew zbryzgała wszystko wokół. Nie był to jednak ostatni cios, a Cepion nie upadł. Silon przesunął się nieco, podniósł ramię po raz drugi i powtórzył cios z drugiej strony szyi Cepiona. Cepion osunął się na ziemię, a Silon pochylił się nad nim, odrąbując mu trzecim ciosem głowę. Skaton podniósł ją i nadział brutalnie poprzez przetyk na włócznię. Kiedy Silon znów znalazł się w siodle, Skaton podał mu tę włócznię. Armia Marsów ruszyła drogą ku Via Valeria, a głowa Cepiona podążała przed nią nie widząc niczego.

Resztę ciała Cepiona pozostawili Marsowie wraz z jego armią. Było to terytorium rzymskie, niech więc Rzymianie uprzątną pobojuwisko. Ważniejsze było, by się wymknąć, zanim Mariusz dowie się, co zaszło. Oczywiście opowieść Silona o dziesięciu legionach atakujących Mariusza była zmyśleniem, chciał po prostu ujrzeć, jak Cepion na nią zareaguje. Silon posłał też ludzi do opuszczonego obozu pod Warią i sprowadził swoich niewolników wraz z ich po królewsku odzianymi synami. Sprowadził też swego osła. Ale nie „złoto”.



Kiedy zostało ono odkryte w namiocie Cepiona, wszyscy myśleli, że to część Tolosańskiego Złota, i zastanawiali się, gdzie jest reszta. Potem zjawił się Mamerkus i ktoś zadrapał powierzchnię sztaby „złota”, ujawniając ołowiane wnętrza i potwierdzając prawdziwość niezwykłej opowieści Mamerka.

Było bowiem konieczne, by Silon powiadomił kogoś, co się właściwie stało. Nie tylko przez wzgląd na siebie. Przez wzgląd na Druzusa. Napisał więc do brata Druzusa, Mamerka.

*Kwintus Serwiliusz Cepion nie żyje. Wczoraj wprowadziłem go wraz z jego armią w zasadzkę na drodze między Karseolą a Sublakum. Wywabiłem go z Warii, opowiadając niestworzoną historię o porzuceniu przez mnie Marsów i obrabowaniu ich skarbca. Miałem ze sobą ośa obładowanego pozłacanymi sztabami ołowiu. Znasz słabą stronę Serwiliuszów Cepionów! Pomachaj im przed nosem kawałkiem złota, a zapominają o wszystkim innym.*

*Wszyscy rzymscy żołnierze Cepiona zginęli. Samego Cepiona pojmałem jednak żywcem i zabiłem własną ręką. Odrąbałem mu głowę i niosłem na włócznie przed moją armią. Za Druzusa. Za Druzusa, Mamerku Emiliusza. I dla dzieci Cepiona, które teraz odziedziczą Tolosańskie Złoto, a lwia część przypadnie rudowłosej kukułce w Cepionowym gnieździe. Jest w tym sprawiedliwość. Gdyby Cepion dożył pełnoletności swoich dzieci, znalazłby sposób, by je wydziedziczyć, teraz zaś dziedziczą one wszystko. Rad jestem, robiąc to dla Druzusa, bo wiem, że sprawiłoby mu to wielką przyjemność. Za Druzusa. Oby długo żył w pamięci wszystkich uczciwych ludzi, Rzymian i Italczyków.*

Ponieważ tej nieszczęsnej rodzinie nic nie miało zostać oszczędzone, stłumione ani stępione, list Skatona nadszedł ledwie parę godzin po tym, jak Kornelia Scypionia doznała zapaści i zmarła, komplikując ostatecznie problem, z którym musiał zmierzyć się Mamerkus. Wraz ze śmiercią Kornelii Scypionii i Kwintusa Serwiliusza Cepionazerwane zostały nieodwołalnie ostatnie więzy łączące sześcioro dzieci mieszkających w domku Druzusa. Były teraz zupełnymi sierotami, nie mając rodziców ani dziadków. Ich ostatnim żyjącym krewnym był Mamerkus.

Według prawa powinno to oznaczać, że zabierze je on do swego domu i sam zajmie się ich wychowaniem. Mogły być towarzystwem dla jego córeczki Emilii Lepidy, która właśnie zaczęła chodzić. W ciągu miesięcy, które upłynęły od śmierci Druzusa, Mamerkus bardzo przywiązał się do dzieci, nawet do okropnego Katona Młodszego, którego nieugięty charakter uznawał za godny pożałowania, a jego miłość do braciszka Cepiona Młodszego za wzruszającą do łez. Nigdy nie pomyślał, że nie będzie mógł zabrać tych dzieci do siebie - dopóki nie wrócił do domu po załatwieniu spraw związanych z pogrzebem matki i nie powiedział o tym żonie. Byli małżeństwem zaledwie od pięciu lat i



Mamerkus bardzo ją kochał. Nie musiał żenić się dla pieniędzy, ożenił się więc z miłości, w złudnej nadziei, że i ona robi to z głębokiego uczucia. Pochodząca ze zubożałych i zdesperowanych Klaudiuszów żona Mamerka wprost rzuciła się na niego. Nie kochała go jednak. Nie kochała też dzieci. Nawet własną córkę uważała za nużącą i pozostawiała ją niańkom, tak więc mała Emilia Lepida była raczej rozpieszczana niż wychowywana.

- Nie będą tu mieszkać! - parsknęła Klaudia, zanim Mamerkus zdążył dokończyć.

- Ależ muszą tu zamieszkać! Nie mają dokąd pójść!

Znów był wstrząśnięty. Dopiero co stracił matkę i jeszcze nie przyszedł po tym do siebie.

- Mają ten swój wielki, wspaniały dom - to my powinniśmy być tak szczęśliwi! Mają tyle pieniędzy, że nie wiadomo, co z nimi robić. Wynajmij im armię wychowawców i zostaw je tam, gdzie są. - Zacisnęła usta, wykrzywiając ich kąciaki w dół. - Wybij je sobie z głowy, Mamerku! Nie będą tutaj mieszkać.

To była pierwsza rysa na posągu jego ubóstwianej żony, ona zaś tego nie rozumiała. Mamerkus stał, patrząc na nią z zdziwieniem. Teraz on zaciskał wargi.

- Muszę nalegać.

Uniosła brwi.

- Możesz nalegać, póki woda nie przemieni się w wino, mężu! To niczego nie zmienia. One tu nie zamieszkają. Albo postawmy sprawę tak: jeśli one tu będą, ja odejdę.

- Klaudio, miej litość! One są całkiem same!

- Czemu mam się nad nimi litować? Nie będą głodne ani niedouczone. Żadne z nich nie wie, co to znaczy mieć rodziców - powiedziała Klaudia. - Obie Serwilię są fałszywe, zjadliwe i przekonane o swojej wyższości. Druzus Neron to tępak, a reszta to potomkowie niewolnika. Zostaw ich, gdzie są.

- Muszą mieć odpowiedni dom - rzekł Mamerkus.

- Już mają odpowiedni dom.

To, że Mamerkus ustąpił, nie było dowodem słabości. Po prostu jako człowiek praktyczny widział, że przełamywanie oporu Klaudii nie byłoby wskazane. Gdyby sprowadził dzieci do domu po takim wypowiedzeniu wojny, ich los byłby gorszy niż obecnie. Nie mógłby bezustannie przebywać w domu, a reakcja Klaudii wskazywała, że odgrywałyby się na dzieciach przy każdej okazji za obciążenie jej nimi.

Udał się do pryncypsa senatu Marka Emiliusza Skaurusa, który nie należał do Emiliuszy Lepidusów, ale był seniorem całej *gens* Emilia. Skaurus był też współwykonawcą testamentu Druzusa i jedynym wykonawcą testamentu Cepiona. Było zatem obowiązkiem Skaurusa zrobić dla dzieci, co tylko będzie mógł. Mamerkus czuł się fatalnie. Śmierć matki była dla niego strasznym



ciosem. Mieszkał z nią razem, dopóki nie zamieszkała u Druzusa - a zrobiła to, jeśli już o to chodzi, zaraz po tym, jak on poślubił Klaudię i wprowadził ją do domu! Nigdy ani słowem nie poskarżyła się na Klaudię. Patrząc jednak wstecz, jakże musiała być szczęśliwa, znajdując doskonały powód do opuszczenia domu.

Zanim Mamerkus dotarł do domu Skaurusa, odkochał się w Klaudii i nigdy nie zastąpił uczucia miłości innym rodzajem uczucia. Do dziś uważałby za niemożliwe odkochanie się tak szybko i tak zupełnie, a jednak; oto pukał do drzwi Skaurusa z pustką w sercu po stracie matki i odkochaniu się w żonie. Nie miał więc trudności z wyjaśnieniem Skaurusowi swego trudnego położenia.

- Co mam robić, Marku Emiliuszu?

Pryncepts senatu oparł się wygodnie na swoim krześle. Świetliste, zielone oczy wpatrywały się w twarz tego Liwiusza, wydatny nos, czarne oczy, wystające kości policzkowe. Mamerkus był ostatnim z dwóch rodzin. Trzeba go chronić i wspierać na wszelkie możliwe sposoby.

- Sądzę, że musisz pogodzić się z życzeniem twojej żony, Mamerku. Oznacza to, że musisz pozostawić dzieci w domu Marka Liwiusza Druzusa. To z kolei znaczy, że należy znaleźć kogoś dobrze urodzonego, kto z nimi zamieszka.

- Kogo?

- Zostaw to mnie, Mamerku. Znajdę kogoś - powiedział dziarsko Skaurus.

I znalazł dwa dni później. Bardzo z siebie zadowolony posłał po Mamerka.

- Czy pamiętasz tamtego Kwintusa Serwiliusza Cepiona, który był konsulem dwa lata przed zwycięstwem naszego sławnego krewniaka Emiliusza Paulusa nad Perseuszem, królem Macedonii, pod Pydną? - spytał Skaurus.

Mamerkus uśmiechnął się szeroko.

- Nie osobiście, Marku Emiliuszu, ale wiem, o kim mówisz.

- Świetnie. - Skaurus odwzajemnił uśmiech. - Tamten Kwintus Serwiliusz Cepion miał trzech synów. Najstarszego oddano do adopcji Labiuszom Maksymusom, a marnym skutkiem tego był Eburnus i jego nieszczęsny syn. - Skaurus uwielbiał takie tematy. Był jednym z największych w Rzymie znawców genealogii szlachetnie urodzonych i umiał prześledzić wszystkie gałęzie drzew genealogicznych liczących się rodów. - Najmłodszy syn Kwintus spłodził konsula Cepiona, który ukradł Tolosańskie Złoto i przegrał bitwę pod Arauzjoną. Spłodził też dziewczynkę, Serwilię, która wyszła za naszego szanownego męża konsularnego Kwintusa Lutacjusza Katulusa Cezara. Od Cepiona konsula pochodzili ten Cepion, którego zabił później Silon, wódz Marsów, i córka, która poślubiła twego brata Druzusa.

- Opuszczasz średniego syna - zauważył Mamerkus.

- Celowo, Mamerku, celowo! O niego mi właśnie chodzi. Miał na imię Gnejusz. Ożenił się jednak dużo później niż jego młodszy brat Kwintus, więc jego syn, także oczywiście Gnejusz, był zaledwie kwestorem, gdy jego



stryjeczny brat był już mężem konsularnym i przegrywał bitwę pod Arauzjoną. Gnejusz Młodszy był kwestorem w prowincji Azji. Poślubił właśnie Porcję Licynianę - niezbyt posażną pannę, ale Gnejusz nie potrzebował panny z posagiem. Był, jak wszyscy Serwiliuszowie Cepionowie, bardzo bogaty. Kiedy kwestor Gnejusz opuścił prowincję Azję, spłodził dziecko - córkę, którą będzie nazywał Serwilia Gnea, żeby ją odróżnić od innych Serwili. Otóż płęć tego dziecka, Serwili Gnei, była niestety nieodpowiednia. - Skaurus przerwał, by nabrać tchu, rozpromieniony. - Czy to nie wspaniałe, mój drogi Mamerku, jak powikłane związki łączą nasze rodziny?

- Powiedziałbym, że to raczej kłopotliwe - rzekł Mamerkus.

- Wracając do tej dwuletniej Serwili Gnei. - Skaurus rozsiadł się wygodnie na krześle. - Użyłem słowa „nieodpowiednia” nie bez powodu. Gnejusz Cepion przezornie spisał swoją ostatnią wolę, zanim odjechał do prowincji Azji na swoją kwesturę, chyba jednak nie zdołałby przewidzieć, w jaki sposób zostanie wykonana. Pod rządami *lex Voconia de midierum hereditatibus* Serwilia Gnea - dziewczynka - nie mogła dziedziczyć! Zapisał swą ogromną fortunę swemu stryjecznemu bratu Cepionowi, który przegrał bitwę pod Arauzjoną i ukradł Tolosańskie Złoto.

- Widzę, Marku Emiliuszu, że bardzo otwarcie mówisz o losach Tolosańskiego Złota - rzekł Mamerkus. - Wszyscy zawsze twierdzili, że je ukradł, ale nigdy dotąd nie słyszałem, by ktoś z twoją *auctoritas* powiedział to tak niedwuznacznie.

Skaurus machnął niecierpliwie ręką.

- Ach, wszyscy wiemy, że je wziął, Mamerku, więc czemu tego nie mówić? Nigdy nie uważałem cię za gadułę, myślę więc, że mogę ci to w zaufaniu powiedzieć.

- Możesz.

- Wydawało się oczywiste, że tamten Cepion od Arauzjony i Tolosańskiego Złota zwróci fortunę Serwili Gnei, gdyby ją odziedziczył. Naturalnie Gnejusz Cepion zapewnił dziewczynie w testamencie wszystko, na co pozwalało prawo - żałośnie mało w porównaniu z całą fortuną. Wyruszył jako kwestor do prowincji Azji. W drodze powrotnej jego statek rozbił się, on zaś utonął. Cepion od Arauzjony i Tolosańskiego Złota odziedziczył fortunę. Nie zwrócił jej jednak dziewczynce. Dodał ją po prostu do własnej. W stosownym czasie dziedzictwo biednej Serwili Gnei przeszło na tego Cepiona, którego zabił Silon.

- To obrzydliwe - rzekł Mamerkus.

- Zgadza się. Takie jest jednak życie.

- A co się stało z Serwilią Gneą? I z jej matką?

- Żyją sobie skromnie w domu Gnejusza Cepiona. Cepion konsul, a potem jego syn, pozwolili im zatrzymać ten dom. Nie jako własność, ale tylko do



użytkowania. Kiedy zostanie wykonana ostatnia wola ostatniego Kwintusa Cepiona - a ja właśnie tym się zajmuję - dom będzie w niej uwzględniony. Jak widzisz, wszystko, co posiadał Cepion, z wyjątkiem szczodrych posagów dla dwóch dziewczyn, dostanie się temu rudemu chłopczykowi, Cepionowi Młodszemu, ha, ha! O dziwo, jestem jedynym wykonawcą! Myślałem, że zostanie nim ktoś w rodzaju Filipa, ale myliłem się. Nigdy żaden Cepion nie zaniebyszał swego majątku. Nasz niedawno zmarły musiał uznać, że gdyby wykonawcą testamentu został Filip czy Wariusz, straty będą zbyt wielkie. Mądra decyzja! Filip zachowałby się jak świnia wśród żołądzi.

- Wszystko to jest fascynujące, Marku Emiliuszu - Mamerkus czuł wzrastające zainteresowanie - ale wciąż nie rozumiem.

- Cierpliwości, Mamerku, dojdziemy do tego!

- Przy okazji, przypuszczam, że jednym z powodów wyznaczenia ciebie - Mamerkus przypomniał sobie, co mówił mu kiedyś Druzus - były pewne informacje, których ujawnieniem groził mój brat Cepionowi, gdyby ten nie zadbał o dzieci w testamencie. Być może to Druzus wskazał wykonawcę. Cepion bardzo się bał tych informacji Druzusa.

- To znowu Tolosańskie Złoto - powiedział zadowolony z siebie Skaurus. - To musi być ono. Moje dochodzenie w sprawach Cepiona, choć trwa ledwie od dwóch czy trzech dni, jest już fascynujące. Tyle pieniędzy! Te dwie dziewczyny dostały posagi po dwieście talentów każda, ale to się nawet nie zbliża do granicy tego, co mogą odziedziczyć, nawet pod rządami lex Voconia. Rudowłosy Cepion Młodszy jest najbogatszym człowiekiem w Rzymie.

- Proszę, Marku Emiliuszu, kończ tę opowieść!

- Ach, tak, tak! Ci niecierpliwi młodzi! Pod rządami naszego prawa, jeżeli spadkobierca jest nieletni, muszę brać pod uwagę nawet tak mało ważne rzeczy jak ten dom, w którym wciąż mieszkają Serwilia Gnea - dziś siedemnastoletnia - i jej matka Porcja Licyniana. Nie mam pojęcia, na jakiego człowieka wyrośnie rudy Cepion Młodszy, i nie mam zamiaru przyprawiać mego syna o ból głowy, pozostawiając mu sprawę tego testamentu. Możliwe jest, że Cepion Młodszy, dochodząc do pełnoletności, zażąda wyjaśnienia, czemu pozwoliłem Serwili Gnei i jej matce mieszkać w tym domu za darmo. Zanim zostanie mężczyzną, pierwotna własność będzie sprawą tak odległą, że może nigdy się o niej nie dowiedzieć. Prawnie jest to jego dom.

- Już widzę, do czego zmierzasz, Marku Emiliuszu - rzekł Mamerkus. - Mów dalej! To fascynujące.

Skaurus pochylił się naprzód.

- Radziłbym, Mamerku, żebyś zaproponował Serwili Gnei - ale nie jej matce - zajęcie. Ta biedaczka nie ma żadnego posagu. Całe szczupłe dziedzictwo poszło na zapewnienie jej i matce przeżycia tych piętnastu lat, jakie minęły od śmierci jej ojca. Porcjuszowie Licynianie nie byli w stanie jej pomóc albo też nie



pomogli, co na jedno wychodzi. Po naszej poprzedniej rozmowie poszedłem zobaczyć się z Serwilią Gneą i Porcją Licynianą, niby to jako wykonawca testamentu Cepiona. Kiedy im wyjaśniłem moje trudne położenie, dostały prawie białej gorączki. Wyjaśniłem im, pojmujesz, że będę chyba musiał sprzedać tamten dom, aby w rachunkach posiadłości nie brakowało czynszu za piętnaście lat.

- Masz wystarczające kwalifikacje na szambelana króla Egiptu Ptolemeusza!  
- zaśmiał się Mamerkus. - Bardzo to było przebiegłe!

- To prawda - zgodził się Skaurus i zaczerpnął tchu. - Serwilia Gnea ma teraz siedemnaście lat, jak mówiłem. To oznacza, że za rok może wyjść za mąż. Niestety nie jest piękną. W istocie jest po prostu brzydka, biedaczka. Bez posagu - a nie ma posagu - nigdy nie zdobędzie męża z własnej klasy. Jej matka jest z Katonów Licynianów i nie zgodzi się na małżeństwo córki z bogatym, ale wulgarnym rycerzem albo bogatym prostakiem ze wsi. Coś jednak trzeba zrobić!

„Ależ on jest pokrętny!”, pomyślał Mamerkus, zachowując uprzejmą minę.

- Oto, co proponuję, Mamerku. Po mojej denerwującej wizycie te panie będą w odpowiednim nastroju, by cię wysłuchać. Radzę, żebyś zaproponował Serwili Gnei - i jej matce, ale tylko w roli gościa swej córki - aby podjęły się opieki nad szóstką dzieci Marka Liwiusza Druzusa. Życie w domu Druzusa. Wysoką pensję na koszty utrzymania i inne wydatki. Wszystko to pod warunkiem, że Serwilia nie wyjdzie za mąż, dopóki ostatnie dziecko nie osiągnie pełnoletności. Tym ostatnim jest Cepion Młodszy. Ma teraz trzy lata. Trzy odjąć od szesnastu daje trzynaście. Serwilia musi pozostać niezamężna przez następne trzynaście do czternastu lat. Będzie miała około trzydziestu, kiedy jej kontrakt wygaśnie. Całkiem możliwy wiek do zamążpójścia! Zwłaszcza jeśli jej obiecasz taki sam posag, jaki mają jej kuzynki - po wykonaniu zadania. Fortuna Cepiona wytrzyma bez trudu wydatek tych dwustu talentów, Mamerku, możesz mi wierzyć. Żeby mieć całkowitą pewność - w końcu nie jestem już młody - wycofam zaraz te dwieście talentów i ulokuję je w imieniu Serwili Gnei. Do jej trzydziestych urodzin. Zakładając, że się zgodzi. - Skaurus uśmiechnął się szeroko. - Nie jest ładna, Mamerku! Ręczę jednak, że gdy skończy trzydzieści lat, będzie mogła wybierać z tuzina obiecujących mężczyzn ze swojej klasy. Dwieście talentów to pokusa nie do odparcia!

Przez chwilę bawił się piórem, a potem spojrzał Mamerkowi prosto w oczy. Jego piękne oczy były surowe.

- Nie jestem młody. Jestem ostatnim Skaurusem wśród Emiliuszów. Mam młodą żonę, córkę, która właśnie skończyła jedenaście lat, i pięcioletniego syna. Jestem jedynym nadzorcą największej fortuny w Rzymie. Gdyby coś stało się ze mną zanim mój syn dorośnie, komu miałbym powierzyć drogie mi osoby



o fortuny tych trojga dzieci. Czy zgodzisz się być powiernikiem i opiekunem majątku mego i moich bliskich po mojej śmierci? Z urodzenia jesteś Liwiuszem, ale przez adopcję Emiliuszem. Byłbym spokojny, Mamerku, gdybyś się zgodził. Potrzebuję wsparcia jakiegoś porządnego człowieka.

Mamerkus nie wahał się.

- Zgadza się, Marku Emiliuszu.

To zakończyło ich rozmowę. Prosto z domu Skaurusa Mamerkus poszedł do Serwili Gnei i jej matki. Mieszkały w pięknym miejscu Palatynu nad Circus Maximus. Mamerkus zauważył jednak, że Cepion nie był zbyt szczodry w nakładach na utrzymanie domu. Malowidła ściennie przyblakły, a na suficie atrium widać było wielkie szczeliny i ślady wilgoci. W jednym rogu przeciek był tak oczywisty, że tynk odpadł, odsłaniając włosie i listwę pod spodem. Murale były kiedyś bardzo interesujące, ale upływ czasu i brak troski sprawiły, że ich barwy zarazem przyblakły i pociemniały. Rzut oka na perystyl podczas czekania wystarczył, by ujawnić pracowitość obu kobiet. Ogród był starannie utrzymany, z mnóstwem kwiatów, i pozbawiony chwastów.

Prosił wcześniej o widzenie z matką i córką, więc obie przyszły. Porcja raczej z ciekawości niż z innego powodu. Wiedziała oczywiście, że jest żonaty. Żadna rzymska matka, mająca córkę na wydaniu, nie pozostawiłaby żadnego młodego człowieka z własnej klasy bez rozpoznania.

Obie kobiety były brunetkami, ale Serwilia była ciemniejsza niż jej matka. I brzydsza, mimo że matka miała prawdziwy nos Katonów, wydatny i orli, podczas gdy córka miała mały nosek. Po pierwsze, Serwilia Gnea cierpiała na trądzik, miała osadzone zbyt blisko siebie i nieco małe oczka. Usta były szerokie, o cienkich wargach. Matka nosiła się bardzo dumnie i wyniośle. Córka wyglądała po prostu posępnie. Była z natury pozbawiona humoru, a to zniechęcało wielu odważniejszych od Mamerka, któremu wcale nie brakowało odwagi.

- Jesteśmy spokrewnieni, Mamerku Emiliuszu - powiedziała łaskawie matka.

- Moją babką była Emilia Tercja, córka Pa ulusa.

- Oczywiście - przyznał Mamerkus i usiadł, gdzie mu kazano.

- Jesteśmy też spokrewnieni przez Liwiuszów - ciągnęła, siadając na sofie naprzeciw niego, a córka przy swojej mamusi.

- Wiem o tym. - Mamerkus miał trudności ze znalezieniem sposobu wyjaśnienia powodu swej wizyty.

- Czego sobie życzysz? - spytała Porcja, rozstrzygając jego dylemat.

Wyjaśnił więc wszystko z równą prostotą. Nie był zbyt wymowny jak na syna Kornelii ze Scypionów. Porcja i Serwilia Gnea słuchały bardzo uważnie, nie zdradzając żadnych uczuć.

- Życzyłbyś sobie, żebyśmy zamieszkały w domu Marka Liwiusza Druzusa na następne trzynaście do czternastu lat, czy tak?



- Tak.

- A potem moja córka wyposażona w dwieście talentów może wyjść za kogo zechce?

- Tak.

- A co ze mną?

Mamerkus mrugał. Myślał zawsze o matkach żyjących do śmierci w domu swych *paterfamilias* - ale ten właśnie dom Skaurus zamierzał sprzedać. Musiałby to być dzielny zięć, który poprosiłby tę właśnie teściową o zamieszkanie z nim!

- Czy zgodziłabyś się zamieszkać w nadmorskiej willi na Misenum albo pod Kyme, z uposażeniem odpowiednim dla szlachetnej pani?

- Zgodziłabym się - odrzekła z miejsca Porcja.

- Jeśli zatem wszystko zostanie uzgodnione legalnym i wiążącym kontraktem, mogę przyjąć, że podejmujecie się obie opieki nad tymi dziećmi?

- Możesz. - Porcja spojrzała na niego z góry. Jej nos był godny podziwu. - Czy dzieci mają wychowawcę?

- Nie. Najstarszy chłopiec ma dziesięć lat i chodzi do szkoły. Cepion Młodszy nie ma jeszcze siedmiu, a Katon Młodszy ma trzy.

- Mimo to, Mamerku Emiliuszu, trzeba koniecznie znaleźć odpowiedniego człowieka, który zamieszka z nimi jako wychowawca całej szóstki - oświadczyła Porcja. - Inaczej nie będzie w domu mężczyzny. Nie ma chyba żadnego fizycznego niebezpieczeństwa, ale dla dobra dzieci powinien mieszkać tam ktoś z autorytetem, i nie niewolnik. Jakiś wychowawca byłby idealny.

- Masz całkowitą rację, Porcjo, zaraz się tym zajmę - rzekł Mamerkus, zbierając się do wyjścia.

- Przyjedziemy tam jutro - powiedziała Porcja, wyprowadzając go za bramę.

- Tak szybko? Bardzo się cieszę, ale czy zdążycie?

- Nie posiadamy niczego, Mamerku Emiliuszu, oprócz ubrań. Nawet służba należy do nieruchomości. - Przytrzymała drzwi. - Miłego dnia życzę i dziękuję, Mamerku Emiliuszu. Uratowałeś nas.

„Dobrze, że nie jestem żadnym z tych dzieci!”, myślał Mamerkus, idąc do bazyliki Sempronia, gdzie spodziewał się znaleźć pedagoga. „A jednak będzie im się lepiej żyło niż u mojej Klaudii!”

- Mamy paru odpowiednich ludzi w naszych księgach, Mamerku Emiliuszu - powiedział Lucjusz Duroniusz Postumus, właściciel jednej z dwóch najlepszych w Rzymie agencji oferującej wychowawców.

- Ile teraz kosztuje dobry wychowawca? - Mamerkus nie miał dotąd żadnych doświadczeń w tej dziedzinie.

Duroniusz zacisnął wargi.

- Od stu do trzystu tysięcy sestercji, czasem nawet więcej.



- Fiu, fiu! - gwizdnął Mamerkus. - Katon Cenzor nie ucieszyłby się.
- Katon Cenzor był starym durniem! - rzekł Duroniusz. - Nawet za jego czasów dobry pedagog kosztował o wiele więcej niż marne sześć tysięcy.
- Ale ja szukam wychowawcy dla trzech jego potomków!
- Kupujesz albo nie. - Duroniusz miał znudzoną minę.

Mamerkus stłumił westchnienie. Opieka nad tą szóstką dzieci okazywała się kosztownym zajęciem!

- Ach, dobrze, chyba kupuję. Kiedy można obejrzeć kandydatów?
- Trzymam wszystkich swoich niewolników na zbyciu w Rzymie, więc przyślę ci ich jutro rano. Na ile cię stać?
- Nie wiem! Cóż to jest paręset tysięcy sestercji? - wykrzyknął Mamerkus, wyrzucając ręce w górę. - Rób swoją złą robotę, Duroniuszu! Ale jeśli sprzedasz mi jakiegoś nieuka, z przyjemnością obetnę ci jaja!

Nie wspomniał, że ma zamiar wyzwolić tego, kogo kupi, bo to tylko podbiłoby cenę. Nie, ktokolwiek to będzie, zostanie wyzwolony prywatnie i wzięty do klienteli Mamerka. Co oznacza, że temu komuś nie będzie łatwiej uwolnić się od swych obowiązków, niż gdyby był niewolnikiem. Klient-wyzwoleniec należy do swego byłego pana.

W końcu okazało się, że tylko jeden człowiek jest odpowiedni - i oczywiście ten właśnie był najdroższy. Duroniusz znał swój fach. Skoro w domu miały być dwie dorosłe kobiety, a nie było *paterfamilias*, wychowawca musiał być wzorem moralności, a także człowiekiem miłym i wyrozumiałym. Zwycięski kandydat miał na imię Sarpedon, a pochodził z Licji, z południowej części rzymskiej prowincji Azji. Jak większość sobie podobnych, sam się zaprzedał w niewolę. Uważał, że jego szanse na wygodną, dostatnią starość będą znacznie większe, jeśli spędzi lata poprzedzające tę starość w służbie jakiegoś Rzymianina wysokiej rangi. Albo wysłuży sobie wolność, albo kupi ją sobie po służbie. Udał się więc do biura Lucjusza Duroniusza Postuma w Smyrnie i został przyjęty. To miało być jego pierwsze miejsce pracy - to znaczy pierwsza transakcja. Miał dwadzieścia pięć lat, doskonale czytał po grecku i po łacinie, mówił najczystszą greką attycką, a jego łacina była tak dobra, że mógł uchodzić za rodowitego Rzymianina. Nie to jednak zdecydowało. Dostał pracę, był bowiem uderzająco brzydki - tak niski, że sięgał Mamerkowi ledwie do szyi, chudy do niemożliwości i pokryty bliznami wyniesionymi z jakiegoś pożaru w dzieciństwie. Miał jednak piękny głos, a z okaleczonej twarzy spoglądały bardzo piękne, życzliwe oczy. Kiedy się dowiedział, że zostanie z miejsca wyzwolony i że odtąd zwać się będzie Mamerkus Emiliusz Sarpedon, uznał, że jest najszczęśliwszym z ludzi. Otrzyma wysoką pensję i obywatelstwo rzymskie, a któregoś dnia wróci do ojczystego miasta Ksantos, żeby żyć jak potentat.

- To było kosztowne - powiedział Mamerkus do Skaurusa, kładąc przed nim



zwój papieru. - I ostrzegam, jako wykonawca testamentu Cepiona nie będziesz miał łatwiejszego zadania niż my obaj jako wykonawcy testamentu Druzusa. Oto rachunek. Proponuję, żebyś podzielił go równo na obie rodziny.

Skaurus rozwinął zwój.

- Wychowawca... czterysta tysięcy?!

- Idź i pogadaj z tym Duroniuszem! - parsknął Mamerkus. - Wykonałem zadanie według twoich wskazań; w tamtym domu będą dwie szlachetne Rzymianki, o których cnotę trzeba zadbać. Nie może tam być żadnych przystojnych wychowawców. Ten nowy pedagog jest odrażająco brzydki.

Skaurus zachichotał.

- Dobrze, dobrze! Twoje słowo mi wystarczy! Bogowie, jakież to ceny musimy dziś znosić! - Czytał dalej: - Posag Serwili Gnei, dwieście talentów. - Cóż, nie będę się tym gryzł, skoro sam to wymyśliłem. Wydatki domowe, rocznie, naprawy i utrzymanie, sto tysięcy sestercji. To umiarkowana suma... Willa na Misenum albo w Kyme? Po co, na bogów?

- Dla Porcji, kiedy Serwilia Gnea wyjdzie za mąż.

- Ach, *merda!* Nie pomyślałem o tym! Masz oczywiście rację. Jej nie weźmie żaden mąż na dokładkę do Serwili Gnei... Tak, tak, załatwione! Dzielimy to na pół.

Uśmiechnęli się do siebie. Skaurus wstał.

- Wypijemy chyba po kielichu wina, Mamerku! Szkoda, że twoja żona odmówiła współpracy. Oszczędziłoby to nam obu - jako wykonawcom testamentów - mnóstwa pieniędzy.

- Jeśli nie idą z naszych sakiewek, a majątki to wytrzymują, nie martwmy się o nie, Marku Emiliuszu. Spokój w domu wart jest każdej ceny. - Wziął kielich do ręki. - Ja w każdym razie opuszczam Rzym. Czas spełnić powinność w armii.

- Rozumiem. - Skaurus usiadł znowu.

- Aż do śmierci matki uważałem za swój obowiązek pomaganie jej w wychowaniu dzieci. Nie czuła się dobrze po śmierci Druzusa. To jej złamało serce. Teraz nie mam już wymówki, więc idę.

- Do kogo?

- Do Lucjusza Korneliusza Sulli.

- Dobry wybór. - Skaurus skinął głową. - To człowiek z przyszłością.

- Tak sądzisz? Nie za stary?

- Tak było i z Gajuszem Mariuszem. I kogóż poza tym mamy? Rzymowi brak obecnie wielkich ludzi. Gdyby nie Gajusz Mariusz, nie odnieśliśmy żadnego zwycięstwa - a i tak było ono, jak sam napisał w raporcie, pyrrusowe. On wygrał, ale Lupus przegrał znacznie ciężiej dzień wcześniej.

- Prawda. Rozczarował mnie jednak Lucjusz Juliusz. Spodziewałem się po nim wielkich rzeczy.

- On żyje w zbyt dużym napięciu, Mamerku.



- Słyszę, że senat nazywa tę Wojnę Marsyjską.  
- Tak, w dziełach historyków będzie to chyba Wojna Marsyjską. - Skaurus miał psotną minę. - Wiesz, że nie możemy nazywać jej Wojną Italską. Rzym wpadłby w panikę, wszyscy myśleliby, że naprawdę walczymy z całą Italią! A do tego, właśnie Marsowie przysłali nam formalne wypowiedzenie wojny. Nazywając ją Wojną Marsyjską pomniejszamy ją, czynimy mniej ważną.

Zdumiony Mamerkus wytrzeszczył oczy.

- Kto to wymyślił?  
- Filip, oczywiście.  
- Ach, cieszę się, że wyjeżdżam. - Mamerkus wstał. - Kto wie, gdybym został, mógłbym wejść do senatu.  
- Z pewnością jesteś w wieku odpowiednim na urząd kwestora.  
- Jestem, ale nie będę się ubiegał o wybór. Poczekam na wybory cenzorów - rzekł Mamerkus Emiliusz Lepidus Liwianus.



Podczas gdy Lucjusz Cezar lizał swoje rany w Teanum, Gajusz Papiusz Mutilus przekroczył rzekę Wolturnus, a potem Kalor. Gdy dotarł do Noli, powitano go z historyczną radością. Miasto zdołało pokonać dwutysięczny rzymski garnizon, gdy tylko Lucjusz Cezar odszedł, i z dumą pokazywało Mutilusowi prowizoryczne więzienie, gdzie trzymano rzymskie kohorty. Był to niewielki wybieg wewnątrz murów miejskich, gdzie trzymano kiedyś owce i świny przed zarżnięciem. Teraz wybieg ogrodzono bardzo wysoką kamienną barykadą zwieńczoną potłuczonymi skorupami i trzymaną pod stałym nadzorem. Aby utrzymać Rzymian w posłuszeństwie, jak mówili mieszkańcy Noli, karmiono ich raz na osiem dni, a pojono co trzy dni.

- Świetnie! - Mutilus był zadowolony. - Sam do nich przemówię.

Aby wygłosić mowę, skorzystał z drewnianego podwyższenia, z którego mieszkańcy Noli rzucali chleb i wodę więzionym w błocie poniżej.

- Nazywam się - zawołał - Gajusz Papiusz Mutilus! Jestem Samnitą a pod koniec tego roku będę rządził całą Italią z Rzymem włącznie! Nie macie szans w walce z nami. Jesteście słabi, wyczerpani, wykorzystani. Mieszczanie zdołali was pokonać! Teraz siedzicie tu, w wybiegu dla świń, ale w gorszych warunkach niż one. Jest was dwa tysiące, a wybieg służył dwustu świniom. To przykre, nieprawdaż? Jesteście chorzy. Jesteście głodni. Jesteście spragnieni. Ja zaś mówię wam, że będzie jeszcze gorzej. Od dziś nie dostaniecie nic do jedzenia, a wodę raz na pięć dni. Macie jednak wybór. Możecie zaciągnąć się do legionów italskich. Zastanówcie się nad tym!

- Nie ma się nad czym zastanawiać! - zawołał Lucjusz Postumiusz, dowódca garnizonu. - Zostajemy tu!

Papiusz zszedł na dół, uśmiechając się.



- Daję im szesnaście dni. Poddadzą się.

Sprawy Italii stały dobrze. Gajusz Widacyliusz najechał Apulię i znalazł się w bezkrwawym teatrze wojny. Larinum, Teanum Apulum, Luceria i Auskulum przystąpiły do sprawy italskiej, a ich mieszkańcy tłumnie zaciągali się do italskich legionów. A gdy Mutilus dotarł do wybrzeży Zatoki Krateru, porty morskie w Stabiach, Salernum i Surrentum zgłosiły przystąpienie do Italii, a rzeczny port w Pompejach również.

Mutilus stał się posiadaczem czterech okrętów wojennych i zdecydował się prowadzić kampanię na wodzie, atakując Neapolis. Rzym miał jednak o wiele większe doświadczenie na morzu. Rzymski dowódca floty Otacyliusz z powodzeniem zapędził okręty italskie do ich portów macierzystych. Neapolitańczycy nie mieli zamiaru się poddać i po stoicku znosili pożary wywołane obrzuceniem przez Mutilusa składów na nabrzeżu płonącymi pociskami.

W każdym mieście, gdzie ludność italska wywalczała przymierze z Italią, skazywano rzymskich mieszkańców na śmierć. Nola była wśród tych miast. Dzielna znajoma Serwiusza Sulpicjusza Galby zginęła wraz z innymi. Nawet na wieść o tym głodująca załoga Noli trzymała się, dopóki Lucjusz Postumiusz nie zwołał zebrania. Nie było to trudne. Dwa tysiące ludzi stłoczonych w zagrodzie dla dwustu świń miało trudności z położeniem się naraz na ziemi.

- Uważam, że żołnierze powinni się poddać. - Postumiusz patrzył ze znużeniem na wymęczone twarze. - Italczyki zamierzają nas zabić, tego możemy być pewni. Ja muszę opierać się im aż do śmierci. Jestem dowódcą. To mój obowiązek. Wy macie wobec Rzymu inny obowiązek. Musicie przeżyć, żeby walczyć w innych wojnach - wojnach zamorskich. Przyłączcie się więc do Italczyków, proszę was! Jeśli uda się wam przejść znów na naszą stronę, zróbcie to. Za wszelką cenę musicie jednak przeżyć. Dla Rzymu. - Urwał, by odpocząć. - Centurioni też muszą się poddać. Bez centurionów Rzym przegra. Co do moich oficerów, jeśli postanowicie się poddać, zrozumiem to. Jeśli nie, też zrozumiem.

Lucjusz Postumiusz musiał długo przekonywać żołnierzy. Wszyscy chcieli umrzeć, żeby pokazać Italczykom, że są prawdziwymi Rzymianami. W końcu Postumiusz postawił na swoim i legioniści się poddali. Nie zdołał jednak przekonać centurionów, choć się bardzo starał. Nie chcieli też się poddać jego czterej trybunowie wojskowi. Zginęli wszyscy - centurioni, trybunowie i sam Lucjusz Postumiusz.

Zanim zginął ostatni w zagrodzie dla świń w Noli, Herkulanum ogłosiło przystąpienie do sprawy italskiej i wymordowało swych obywateli rzymskich. Triumfujący Mutilus znów rozpoczął wojnę morską. Ponownie przeprowadzono atak pociskami ognistymi na Neapol, a także na Puleolę, Kyme i Tarracynę. Wybrzeże Lacjum zostało wciągnięte w konflikt i zaogniły



się stosunki nękające już Rzymian, Latynów i Italczyków w Lacjum. Otacyliusz uparcie kontratakował i udało mu się powstrzymać Italczyków przed zajęciem innych portów, poza Herkulanum, chociaż ich nabrzeża płonęły i ginęli ludzie.



Gdy stało się jasne, że cały półwysep na południe od północnej Kampanii stanowi terytorium italskie, Lucjusz Juliusz Cezar zasiadł do narady ze swym starszym legatem Lucjuszem Korneliuszem Sullą.

- Jesteśmy całkowicie odcięci od Brundyzjum, Tarentu i Rhegium, nie ma co do tego wątpliwości - mówił posepnie.

- Jeśli tak, zapomnijmy o nich - odrzekł pogodnie Sulla. - Skupiłbym się raczej na północnej Kampanii. Mutilus obiegł Acerre, co znaczy, że posuwa się ku Kapui. Jeśli Acerre się podda, Kapua pójdzie za nim. Rzym daje im utrzymanie, ale sercem są z Italią.

Lucjusz Cezar wyprostował się, urażony.

- Jak możesz być tak... tak beztroski, kiedy nie możemy powstrzymać Mutilusa ani Widacyliusza?

- Bo wiem, że zwyciężymy - odparł z mocą Sulla. - Wierz mi, Lucjuszu Juliuszu, zwyciężymy! To nie są wybory, sam wiesz. W wyborach wcześniej oddane głosy mają wpływ na wynik. Na wojnie jednak zwycięstwo przypada tej stronie, która nie ustępuje. Italczycy walczą o swoją wolność, jak mówią. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że to najlepszy z powodów. Tak jednak nie jest. To rzecz nieuchwytna. To idea, Lucjuszu Juliuszu, nic więcej. Rzym natomiast walczy o życie. I dlatego zwycięży. Italczycy wcale nie walczą o życie. Mają już to życie, do którego przywykli od pokoleń. Może nie jest zbyt idealne, może nie wypełnia ich pragnień. Jest jednak realne. Zaczekaj, Lucjuszu Juliuszu! Kiedy Italczyków zmęczy walka o marzenie, szale przechylą się przeciw Italii. Oni nie są jednością. Nie mają historii i tradycji jak my. Nie mają *mos maiorum*. Rzym jest rzeczywisty. Italia nie jest.

Najwyraźniej Lucjusz Cezar ciężko myślał, choćby i dobrze słyszał.

- Jeśli nie utrzymamy Italczyków z dala od Lacjum, jesteśmy skończeni. Ja zaś myślę, że ich nie utrzymamy.

- Nie dopuścimy Italczyków do Lacjum! - Sulla nie stracił ani odrobiny pewności siebie.

- Jakim sposobem? - spytał chory człowiek na krześle wodza.

- Po pierwsze, Lucjuszu Juliuszu, przynoszę dobre nowiny. Twój kuzyn Sekstus Juliusz i jego brat Gajusz wylądowali w Puteoli z dwoma tysiącami numidyjskiej konnicy i dwudziestoma tysiącami piechoty, głównie weteranów. W Afryce żyją tysiące dawnych żołnierzy Gajusza Mariusza - może trochę wyłysiałych, ale zdecydowanych walczyć za ojczyznę. Obecnie powinni już być w Kapui, wyposażeni i przechodzący szkolenie. Kwintus Lutacjusz ocenia ich na cztery legiony raczej niż na pięć niepełnych legionów, a ja się z nim



zgadzam. Za twoim pozwoleniem wyślę dwa legiony Gajuszowi Mariuszowi, który jest teraz na północy naczelnym dowódcą, a dwa inne zatrzymamy w Kapui.

- Lepiej będzie zatrzymać w Kapui wszystkie cztery - rzekł Lucjusz Cezar.

- Chyba nie możemy tego zrobić - odrzekł Sulla grzecznie, lecz stanowczo. - Oddziały na północy mają o wiele większe straty, a jedyne dwa zaprawione w boju legiony są zamknięte w Firmum Picenum z Pompejuszem Strabonem.

- Przypuszczam, że masz rację. - Lucjusz Cezar ukrył rozczarowanie. - Nie znoszę Gajusza Mariusza, ale czuję się pewniej, odkąd objął naczelne dowództwo. Sprawy mogą się poprawić na północy.

- I tutaj też się poprawią! - rzucił żwawo Sulla, maskując nie rozczarowanie, ale rozdrażnienie. Bogowie, czy któryś zastępca miał kiedy takiego pesymistę za dowódcę? Pochylił się nad stołem z powagą na twarzy. - Musimy odciągnąć Mutilusa od Acerre, dopóki nie będą gotowe nowe oddziały. Mam plan, jak to zrobić.

- Jaki?

- Daj mi dwa najlepsze legiony, a ja wyruszę na Aesernię.

- Jesteś pewien, że się uda?

- Zaufaj mi, Lucjuszu Juliuszu, zaufaj mi!

- No cóż...

- Musimy odciągnąć Mutilusa od Acerre. Manewr mylący to najlepszy sposób. Wierz mi, Lucjuszu Juliuszu! Dokonam tego i nie stracę ludzi.

- Którędy pójdziesz? - spytał Lucjusz Cezar, wspominając pogrom w wąwozie pod Atiną kiedy to spotkał się ze Skatonem.

- Tą samą drogą, którą szedłeś ty. Po Via Latina do Akwinum, a potem przez Gardziel Melfy.

- Wpadniesz w zasadzkę.

- Nie martw się, będę przygotowany - odparł pogodnie Sulla, przekonując się, że im bardziej przygnębiony jest Lucjusz Cezar, w tym lepszym nastroju jest on sam.

Przywódca Samnitów Duiliusz uznał jednak dwa zwarte legiony, które pojawiły się na drodze z Akwinum, za nie przygotowane na pokonanie zasadzki. Późnym popołudniem czoło rzymskiej kolumny wmaszerowało w wąwóz, on zaś słyszał wyraźnie, jak centurioni i trybunowie wołają w szeregach, że wszyscy mają wejść do środka i rozłożyć obóz przed zmrokiem, jeśli nie chcą dostać karnych zadań.

Duiliusz patrzył w dół ze szczytu urwiska ze zmarszczonym czołem i gryząc nieświadomie paznokcie. Czy zuchwałość tego Rzymianina była szczytem głupoty, czy jakimś przemyślnym podstępem? Gdy tylko ukazały się pierwsze szeregi, poznał dowódcę - idącego pieszo - Lucjusza Korneliusza Sullę - po jego wielkim kapeluszu. Sulla nie miał reputacji głupca, choćby nawet do tej pory



nie wykazał się aktywnością na polu walki. Sądząc ze sposobu rozmieszczania ludzi, Sulla zamierzał zbudować bardzo silnie umocniony obóz. Wskazywało to na zamiar trzymania się wąwozu i usunięcia stąd garnizonu Samnitów.

- Nie może mu się udać - rzekł w końcu Duiliusz, wciąż zachmurzony. - Zrobimy jednak dziś wieczór, co się da. Już za późno na atak, mogę mu jednak uniemożliwić odwrót, gdy jutro zaatakuję. Trybunie, postaw mu jeden legion na drodze z tyłu za nim i zrób to cicho, zrozumiałeś?

Sulla stał ze swym zastępcą na dnie wąwozu, obserwując uwijających się legionistów.

- Mam nadzieję, że to podziąła - powiedział jego zastępca. Był to nie kto inny, tylko Kwintus Cecyliusz Metellus Pius, Prosiak.

Od śmierci ojca, Numidyjskiego Świnki-Szczecinki, uczucie Prosiaka do Sulli raczej wzrosło, niż się zmniejszyło. Udał się on do Kapui z Katulusem Cezarem i spędził pierwsze miesiące wojny, pomagając w Kapui w przygotowaniach do działań wojennych. Przydział do Sulli był jego pierwszym doświadczeniem wojskowym od czasu wojny z Germanami. Palił się do czynu, ale był też zdecydowany nie dać Sulli żadnego powodu do narzekania na jego zachowanie. Zamierzał wykonać co do litery każdy otrzymany rozkaz.

Sulla uniósł piękne brwi, których ostatnio nie przyciemniał.

- To podziąła.

- Czy nie byłoby lepiej zostać tu i wyrzucić Samnitów z wąwozu? Mielibyśmy stały dostęp do wschodu - spytał Prosiak z zapalem.

- To by nie podziątało, Kwintusie Cecyliuszu. Tak, możemy oswobodzić ten wąwóz. Nie mamy jednak dwóch wolnych legionów, których potrzeba, by utrzymać wąwóz. To oznacza, że Samnici wrócą, kiedy tylko odejdziemy. Oni mają wolne legiony. Ważniejsze jest pokazanie im, że ta ich rzekomo niezdojta twierdza wcale taką nie jest - mruknął Sulla z zadowoleniem. - Dobrze, już jest ciemno. Każ zapalić pochodnie, i niech to wygląda przekonująco.

Metellus Pius zrobił, co mu kazano. Obserwatorom na szczytach wydawało się przez całe godziny, że umacnianie obozu Sulli postępuje w gorączkowym tempie.

- Zdecydowali się odebrać nam wąwóz, nie ma wątpliwości - rzekł Duiliusz. - Głupcy. Będą tu zamknięci na całą wojnę. - On też był zadowolony.

Wschodzące słońce ukazało jednak pomyłkę Duiliusza. Za wielkimi kopcami kamienia i ziemi nie było wcale żołnierzy. Zwodząc samnickiego byka przynętą rzymski wilk wyslizgnął się. Na wschód, nie na zachód. Ze swego punktu obserwacyjnego Duiliusz mógł dostrzec tyły kolumny Sulli poruszającej się w całunieniu pyłu po drodze do Aesernii. Nie mógł nic na to poradzić. Jego rozkazy były ścisłe. Miał utrzymywać wąwóz Melfa, nie zaś ścigać tę groźną małą armię po nie dających schronienia równinach. Mógł co najwyżej wysłać ostrzeżenie



do Aesernii.

Nawet to okazało się daremne. Sulla przebił się przez linie oblegających i wprowadził swe siły ekspedycyjne do miasta, prawie nie ponosząc strat.

- On jest zbyt dobry - brzmiała następna wiadomość. Tym razem od dowodzącego oblężeniem Gajusza Trebatiusa do Gajusza Mutilusa atakującego Acerre. - Aesernia jest zbyt rozczłonkowana, by ją zamknąć z liczbą ludzi, jaką dysponuję. Nie mogłem rozciągnąć ich tak szeroko, by zapobiec jego wejściu do miasta. Nie sądzę też, żebym mógł zapobiec jego wyjściu, jeśli się na to zdecyduje.

Sulla szybko przekonał się, że to obleżone miasto jest pogodne i spokojne. Wewnątrz było dziesięć kohort dobrych żołnierzy porzuconych przez Scypiona Azjagenesa i Acilusa, do których dołączyli uciekinierzy z Wenafrum i Benewentu. Miasto miało też kompetentnego dowódcę w osobie Marka Klaudiusza Marcellusa.

- Zapasy i broń, którą przynieśliście, są mile widziane - mówił Marcellus. - Wytrzymamy jeszcze wiele miesięcy.

- Zamierzasz więc tu zostać?

Marcellus skinął głową.

- Oczywiście! Wyrzucili mnie z Wenafrum, ale nie ustąpię z latyńskiej Aesernii. - Sposepniał. - Zabito wszystkich rzymskich obywateli Wenafrum i Benewentu. Zrobili to mieszkańcy. Jakże nas muszą nienawidzić ci Italczycy! Zwłaszcza Samnici.

- Nie bez powodu. - Sulla wzruszył ramionami. - Ale to sprawy przeszłości i przyszłości. Dziś obchodzi nas tylko zwycięstwo w polu i utrzymanie tych miast, które są wyspami rzymskimi w italskim morzu. - Pochylił się. - To także wojna ducha. Italczyków trzeba nauczyć, że wszystko, co rzymskie, jest nienaruszalne. Splądrowałem wszystkie osady od wąwozu Melfy do Aesernii, nawet takie po kilka chałup. Dlaczego? Żeby pokazać Italczykom, że Rzym może działać za liniami wroga i dostarczać plony ziemi italskiej do takich miejsc jak Aesernia. Jeśli zdołasz się tu utrzymać, drogi Marku Klaudiuszu, udzielisz Italczykom lekcji.

- Dopóki zdołam, utrzymam Aesernię - powiedział Marcellus, licząc się z każdym słowem.



Tak więc Sulla opuszczał to miasto spokojny i pewny siebie. Aesernia będzie nadal odpierać oblężenie. Maszerował otwarcie przez terytorium italskie, wierząc w swe szczęście, w swą magiczną więź z boginią Fortuną nie miał bowiem pojęcia, gdzie przebywają armie Samnitów i Picenów. Szczęście mu sprzyjało, kiedy mijał miasta takie jak Wenafrum. Zachęcał nawet czynnie swych żołnierzy do prowokowania patrzących z murów obelżywymi gestami i okrzykami. Jego żołnierze śpiewali, wkraczając w bramy Kapui, a całe miasto



wiwatowało.

Sulla dowiedział się, że Lucjusz Cezar wymaszerował do Acerre, gdy Mutilus wycofał część swych oddziałów pod Aesernię, na wieść o przełamaniu oblężenia. Sam Mutilus pozostał jednak pod Acerre. Sulla pozostawił swych ludzi na dobrze zasłużony odpoczynek u Katulusa Cezara, sam zaś wsiadł na muła i wyruszył szukać swego dowódcy.

Znalazł go w złym humorze, pozbawionego numidyjskiej jazdy, którą przywiózł z za morza Sekstus Cezar.

- Czy wiesz, co zrobił Mutilus? - powitał go pytaniem Lucjusz Cezar.

- Nie. - Sulla oparł się od niechcienia o kolumnę utworzoną ze zdobycznych włócznie nieprzyjacielskich, przygotowany na wysłuchanie litanii narzekań.

- Kiedy Wenuzja poddała się, a Wenuzjanie przystąpili do Italii, Gajusz Widacyliusz znalazł w mieście zakładnika, o którym całkiem zapomniałem i chyba wszyscy inni także. Był to Oksyntas, jeden z synów króla Numidii Jugurty. Widacyliusz przysłał Numidyjczyka tu, do Acerre. Kiedy zacząłem natarcie, użyłem mojej numidyjskiej jazdy jako straży przedniej. I wiesz, co zrobił Mutilus? Ustroił Oksyntasa w purpurę i w diadem i pokazał im go! Zaraz potem dwa tysiące moich kawalerzystów klęczało przed wrogiem Rzymu! I pomyśleć tylko, ile kosztowało ich sprowadzenie z tak daleka! Wszystko na darmo, na darmo!

- I co zrobiłeś?

- Otoczyłem ich, odesłałem do Puteoli, a stamtąd do Numidii. Niech ich król zrobi z nimi, co należy!

Sulla wyprostował się.

- To był dobry pomysł, Lucjusz Juliuszu - powiedział całkiem szczerze, odwracając się, by pogłodzić kolumnę zdobycznych włócznie. - Nie poniosłeś jednak klęski, mimo pojawienia się Oksyntasa! Wygrałeś tu nawet bitwę!

Wrodzony pesymizm zaczął ustępować, choć Lucjusz Cezar nie zdobył się na uśmiech.

- Tak, wygrałem bitwę. Mutilus uderzył przed trzema dniami, chyba po otrzymaniu wieści o twoim pomyślnym przedarciu się przez oblegających Aesernię. Zmyliłem go, wyprowadzając swoje wojsko tylną bramą obozu. Sześć tysięcy Samnitów zginęło.

- A Mutilus?

- Natychmiast się wycofał. Kapua jest teraz bezpieczna.

- Doskonale, Lucjusz Juliuszu!

- Chciałbym i ja tak myśleć - powiedział Lucjusz Cezar.

Sulla stłumił westchnienie.

- Czy stało się coś jeszcze?

- Publiusz Krassus stracił swego najstarszego pod Grumentum i został otoczony w tym mieście. Lukanom brak jednak dyscypliny, na szczęście dla



Krassusa i jego średniego syna. Lamponiusz odesłał gdzieś swoich ludzi, a Publiusz i Lucjusz Krassus wydostali się stamtąd. - Wódz naczelny westchnął głęboko. - Ci głupcy w Rzymie chcieli, żebym zostawił wszystko i zjawił się tam tylko po to, by wyznaczyć konsula suffekta na miejsce Lupusa. Powiedziałem im, żeby sobie poszli w diabły i zaleciłem poprzestanie na pretorze miejskim. W Rzymie nie dzieje się nic, z czym Cynna sobie nie poradzi. - Znów westchnął, prychnął i przypomniał sobie o czymś jeszcze. - Gajusz Celiusz wysłał z Galii italskiej piękną, małą armię pod wodzą Publiusza Sulpicjusza, by pomóc Pompejuszowi Strabonowi wydostać jego piceński tyłek z Firmum Picenum. Życzę Sulpicjuszowi powodzenia w kontaktach z tym zezowatym półbarbarzyńcą! Muszę jednak przyznać, Lucjuszowi Korneliuszu, że mieliście z Gajuszem Mariuszem całkowitą rację co do młodego Sertoriusza. Zarządza teraz na własną rękę Galią italską i robi to lepiej niż Gajusz Celiusz. Celiusz wyruszył w pośpiechu do Galii Zaalpejskiej.

- Co się tam dzieje?

- Saluwiowie wyruszyli na poszukiwanie głów - skrzywił się Lucjusz Cezar. - Czy można mieć nadzieję na ich ucywilizowanie, skoro kilkaset lat kontaktów z Grekami i Rzymianami nie wywarło na nich żadnego wrażenia? Kiedy tylko poczują, że nie patrzymy im na ręce, wracają do starych, barbarzyńskich obyczajów. Łowcy głów! Wysłałem do Gajusza Celiusza osobisty list z pouczeniem, aby był bezlitosny. Nie możemy pozwolić na żadne większe powstanie w Galii Zaalpejskiej.

- A więc młody Sertoriusz ma w ręku Galię italską. - Na twarzy Sulli malował się niezwykle wyraz zniecierpliwienia, goryczy i znużenia, wszystko razem. - Czego zresztą można się było spodziewać? Wieniec z trawy dostał mu się przed trzydziestką.

- Zazdrosny? - spytał oschle Lucjusz Cezar.

Sulla skrzywił się.

- Nie jestem zazdrosny! Niech mu szczęście sprzyja! Lubię tego młodego człowieka. Znam go od czasu, kiedy był kadetem u Mariusza w Afryce.

Lucjusz Cezar wydał jakiś nieartykułowany dźwięk i znów zapadł w ponury nastrój.

- Czy coś się jeszcze stało? - naglił Sulla.

- Sekstus Juliusz Cezar zabrał połowę wojska, które sprowadził z za morza i wyruszył Via Appia do Rzymu. Chce tam chyba przezimować. - Lucjusz Cezar niezbyt się troszczył o kuzyna. - Jest chory, jak zwykle. Na szczęście ma ze sobą brata Gajusza, więc razem złożą się na jednego prawdziwego mężczyznę.

- Ach! Więc moja przyjaciółka Aurelia będzie miała choć na chwilę męża. - Sulla uśmiechał się czule, mówiąc to.

- Dziwny jesteś, Lucjuszowi Korneliuszu! Co to ma za znaczenie, na bogów?

- Nie ma żadnego. Masz jednak rację, Lucjuszowi Juliuszu! Jestem rzeczywiście



dziwny.

Lucjusz Cezar ujrzał w twarzy Sulli coś, co skłoniło go do zmiany tematu.

- Ty i ja wkrótce wyruszamy.

- Czy tak? Dokąd? W jakiej sprawie?

- Twoje posunięcie przekonało mnie, że Aesernia jest kluczem całego tego teatru wojny. Mutilus skierował się tam po porażce - tak przynajmniej donosi mi twój wywiad. Chyba i my musimy tam wyruszyć. Aesernia nie może upaść.

- Ależ, Lucjuszu Juliuszu! - wykrzyknął Sulla w desperacji. - Aesernia jest tylko cierniem w italskiej łapie, niczym więcej! Dopóki się trzyma, Italczyki muszą mieć wątpliwości co do szans na zwycięstwo w tej wojnie. Poza tym jednak Aesernia nie ma żadnego znaczenia! Ponadto jest bardzo dobrze zaopatrzona i ma znakomitego i zdeterminowanego dowódcę w osobie Marka Klaudiusza Marcellusa. Niech tam siedzi i gra na nosie oblegającym, a ty nie martw się o niego! Gdyby Mutilus wycofał się do wnętrza kraju, jedyną drogą jest Gardziel Melfy. Po co narażać naszych drogocennych żołnierzy na taką pułapkę?

Lucjusz Cezar poczerwieniał.

- Ty tamtędy przeszedłeś!

- Tak, podstępem. Drugi raz to się nie uda.

- Przejdę tamtędy - oświadczył sucho Lucjusz Cezar.

- Z iloma legionami?

- Wszystkimi, jakie mamy. Ośmioma.

- Porzuć ten plan, Lucjuszu Juliuszu! - prosił Sulla. - Byłoby mądrzej skupić się na wyrzuceniu Samnitów na dobre z zachodniej Kampanii! Z ośmioma legionami, działającymi jako jedna całość, możemy odebrać Mutilusowi wszystkie porty, umocnić Acerre i przejąć Nolę. Nola jest dla nich ważniejsza niż dla nas Aesernia!

Wódz wykrzywił usta z niezadowoleniem.

- To ja zajmuję namiot dowódcy, Lucjuszu Korneliuszu, nie ty! A ja mówię Aesernia!

Sulla wzruszył ramionami, dając za wygraną.

- A ty mówisz, oczywiście.



Siedem dni później Lucjusz Juliusz Cezar i Lucjusz Korneliusz Sulla wyruszyli ku Teanum Sidicinum z ośmioma legionami, całą siłą zbrojną południowego teatru wojny. Myśli pełne złych przeczuć krzyczały w Sulli na alarm, on jednak nie miał innego wyjścia, niż robić, co mu kazano. Lucjusz Cezar był wodzem. „Tym gorzej!”, myślał Sulla, krocząc na czele swoich dwóch legionów - tych samych, które wziął poprzednio do Aesernii - i przyglądając się długiej kolumnie wijącej się przed nim w górę i w dół niskich wzgórz. Lucjusz Cezar umieścił Sullę w ogonie kolumny, na tyle daleko od siebie, by mieć pewność, że



Sulla nie będzie dzielił z nim biwaków i rozmów. Metellus Pius Prosiak awansował natomiast na towarzysza biwaków i rozmów Lucjusza Cezara, chociaż nie cieszyło go to wcale. Chciał zostać przy Sulli.

Pod Akwinum wódz posłał po Sullę i rzucił przed nim dość wzgardliwie jakiś list. „Jakże upadają wielkości!”, pomyślał Sulla, wspominając, jak w Rzymie, na początku tego wszystkiego, to do niego zwracał się o poradę Lucjusz Cezar i to on został „ekspertem” Lucjusza Cezara. Teraz Lucjusz Cezar uważał siebie samego za eksperta.

- Przeczytaj to - powiedział krótko. - Właśnie przyszło od Gajusza Mariusza.

Grzeczność wymagała, żeby odbiorca listu czytał go tym, z którymi chciał się podzielić jego treścią. Sulla, wiedząc o tym, uśmiechnął się gorzko i zaczął wgryzać się w Mariuszową wiadomość.

*Jako głównodowodzący frontu północnego sędzę, Lucjuszu Juliuszu, że czas powiadomić Cię o moich planach. Piszę to w kalendy sekstyliisa, w obozie pod Reate.*

*Jest moim zamiarem najechać ziemie Marsów. Moja armia jest wreszcie w szczytowej formie i jestem zupełnie pewny, że wywiąże się ona ze swych zadań tak samo znakomicie, jak wszystkie moje armie w przeszłości, dla dobra Rzymu i dla swego wodza.*

Sulla najeżył się. „Nigdy nie słyszałem, żeby staruszek używał takich słów. Dla dobra Rzymu i dla swego wodza. Co mu chodzi po głowie? Dlaczego łączy swoją osobę z Rzymem? Moja armia! Nie armia Rzymu, ale moja armia! Nie zwróciłbym na to uwagi - wszyscy tak mówimy - gdyby nie pisał o sobie jako o ich wodzu. Ta wiadomość trafi do archiwów tej wojny. A w niej Gajusz Mariusz stawia siebie na równi z Rzymem!”

Sulla zerknął szybko na Lucjusza Cezara, ale jeśli wódz naczelny południa dostrzegł ów zwrot, nie dawał tego po sobie poznać. Sulla uznał, że Lucjusz Cezar nie byłby aż tak subtelny i wrócił do odcyfrowywania listu Mariusza.

*Zgodzisz się chyba ze mną, Lucjuszu Juliuszu, że potrzebne nam jest zwycięstwo - całkowite i decydujące zwycięstwo - w moim teatrze wojny. Rzym nazywa wojnę z Italczykami Wojną Marsyjską, musimy więc pokonać Marsów w polu i w miarę możliwości złamać ich tak, by już się nie podnieśli.*

*Mogę tego dokonać, drogi Lucjuszu Juliuszu, ale żeby to zrobić, potrzebuję usług mego starego przyjaciela i kolegi Lucjusza Korneliusza Sulli. I dwóch legionów. Doskonale rozumiem, że nie możesz sobie pozwolić na utratę Lucjusza Korneliusza - nie wspominając o dwóch legionach. Gdybym nie uważał tego za konieczne, nie prosiłbym Cię o tę przysługę. Zapewniam Cię również, że nie chodzi o ich stałe przeniesienie. Nazwij to pożyczką, nie zaś darowizną. Dwa*



*miesiące to wszystko, czego mi trzeba.*

*Jeśli uznasz, że możesz spełnić moją prośbę, Rzym znajdzie się w lepszym położeniu. Jeżeli nie, muszę siedzieć nadal w Reate i wymyślić coś innego.*

Sulla podniósł wzrok na Lucjusza Cezara, unosząc jednocześnie brwi.

- I cóż? - spytał, kładąc starannie list na stole.

- Proszę bardzo, idź do niego, Lucjuszu Korneliuszu - powiedział obojętnym tonem Lucjusz Cezar. - Dam sobie radę z Aesernią i bez ciebie. Gajusz Mariusz ma słuszość. Potrzebujemy decydującego zwycięstwa w polu nad Marsami. Ten południowy teatr wojny to tak czy inaczej jatka. Jest zupełnie niemożliwe zgromadzenie w jednym miejscu tylu Samnitów i ich sprzymierzeńców, żeby im zadać decydującą klęskę. Mogę tu jedynie urządzać demonstracje rzymskiej siły i upor. Na południu nie dojdzie nigdy do rozstrzygającej bitwy. To musi stać się na północy.

Sulla znów się zjeżył. Jeden z dwóch wodzów myśli o sobie jako o Rzymie, drugi zaś tkwi w istnym bagnie moralnym, niezdolny dostrzec jakiegokolwiek światełko na wschodzie, zachodzie czy południu. Dobrze przynajmniej, że dostrzega jakiś brzask na północy! Jak może nam się powodzić w Kampanii z takim dowódcą jak Lucjusz Cezar? Bogowie, czemu tak się dzieje, że nigdy nie jestem najstarszy rangą? Jestem lepszy od Lucjusza Cezara! Mogę się okazać lepszy od Mariusza! Odkąd wszedłem do senatu, służę gorszym od siebie. Nawet Gajusz Mariusz mi nie dorównuje, bo nie jest patrycjuszem Korneliuszem. Metellus Świnka-Szczecinka, Gajusz Mariusz, Katulus Cezar, Tytus Dydiusz, a teraz ten chronicznie przygnębiony potomek starożytnego rodu! Kto zaś stale rośnie w siłę, zdobywa wieniec z trawy i kończy, rządząc całą prowincją w dojrzałym wieku lat trzydziestu? Kwintus Sertoriusz. Sabiński człowiek znikąd. Kuzyn Mariusza!

- Lucjuszu Cezarze, zwyciężymy! - oświadczył z wielką powagą Sulla. - Powiadam ci, że słyszę łopot skrzydeł Wiktorii wokół nas! Zetrzemy Italczyków na proch. Mogą nas pobić w jednej czy dwóch bitwach, ale nie mogą wygrać z nami wojny! Nikt z nami nie wygra! Rzym jest Rzymem, potężnym i wiecznym. Wierzę w Rzym!

- Ja również, Lucjuszu Korneliuszu, ja również! - powiedział gniewnie Lucjusz Cezar. - A teraz już idź. Postaraj się być przydatny Gajuszowi Mariuszowi, bo nie mam z ciebie wielkiego pożytku!

Sulla wstał i już był w wyjściu domu zajmowanego przez Lucjusza Cezara, kiedy się odwrócił. Poprzednio tak był zajęty listem, że nie zwracał uwagi na wygląd Lucjusza Cezara. Teraz ogarnął go nowy lęk. Wódz był spocony, drżący i miał ziemistą cerę.

- Czy dobrze się czujesz, Lucjuszu Juliuszu?

- Tak, tak.



- Nie jesteś zdrow, sam to wiesz. - Sulla usiadł ponownie.
- Wystarczająco zdrow, Lucjuszu Korneliuszu.
- Czy widział cię jakiś lekarz?
- W tej mieścinie? Jest tu tylko jakaś brudna starucha, która przyrządza wywary ze świńskiego gnoju i okładę z tłuczonych pajaków.
- Będę przechodził przez Rzym. Przyślę ci Sycylijczyka.
- Przyślij go więc do Aesernii, Lucjuszu Korneliuszu, bo tam mnie znajdzie. - Czoło Lucjusza Cezara błyszczało od potu. - Możesz odejść.

Sulla wstał.

- Na twoją odpowiedzialność. Masz malarię.

Wychodząc na ulicę, nie odwrócił się tym razem. Tak musiało być. Lucjusz Cezar wejdzie w Gardziel Melfy w takim stanie, że nie będzie mógł zorganizować nawet dożynek. Wpadnie w zasadzkę i wycofa się po raz drugi, by lizać rany w Teanum Sidicinum, bardzo wielu zaś jego drogocennych żołnierzy zostanie na zawsze na dnie tego zdradzieckiego wąwozu. Czemu to zawsze muszą być zakute łby?

Na ulicy natknął się na Prosiaka, który miał również ponurą minę.

- Macie tam chorego. - Sulla wskazał głową dom.
- Nie musisz mi mówić! - zawołał Metellus Pius. - Nawet kiedy był najzdrowszy, ciężko myślał, a chory na malarię - to rozpacz! Co mu zrobiłeś, że cię ignoruje?
- Powiedziałem mu, żeby przestał myśleć o Aesernii i skupił się na wypchnięciu Samnitów z zachodniej Kampanii.

- Tak, to musi być powód, biorąc pod uwagę stan naszego wodza naczelnego.
- Prosiak zdobył się nawet na uśmiech

Sullę zawsze fascynowało jąkanie się Prosiaka.

- Ostatnio prawie się nie jąkasz - zauważył.
- A czy mu... musiałeś to mó... mówić, Lucjuszu Korneliuszu? Jest do... dobrze tylko do... dopóki o tym nie myślę, niech... cię licho porwie!
- Doprawdy? To ciekawe. Nie jąkałeś się przed... Arauzjoną nieprawdą?
- Tak, to istny wrzód na tyłku! - Metellus Pius zaczerpnął tchu i spróbował uwolnić się od myśli o wadze wymowy. - Nie sądzę, żeby ci popowiedział, co planuje zrobić po... po... powrocie do... do Rzymu.

- Nie. A co planuje?

- Nadać obywatelstwo wszystkim Italczykom, którzy dotąd nie ruszyli palcem.

- Żartujesz?

- Nie ja, Lucjuszu Korneliuszu! W jego towarzystwie? Zapomniałem, co to żarty. To prawda, przysięgam. Kiedy działania ustaną, a tak jest zawsze z upływem jesieni - on zdejmie swój strój wodza i włoży togę z purpurowym szlakiem. Mówi, że jego ostatnim dziełem jako konsula będzie nadanie



obywatelstwa wszystkim, którzy nie poszli z nami walczyć.

- Ależ to zdrada! Chcesz powiedzieć, że on wraz z resztą tych nieudolnych durniów w dowództwie stracili tysiące ludzi tylko dlatego, że nie mieli odwagi spojrzeć prawdzie w oczy? - Sulla zadrżał. - Chcesz powiedzieć, że on teraz prowadzi sześć legionów do Gardzieli Melfy, wiedząc, że każdy, kto tam zginie, zginie na darmo? Wiedząc, że i tak otworzy kuchenne drzwi do Rzymu wszystkim Italczykom na tym półwyspie? Bo tak właśnie będzie, sam wiesz. Oni wszyscy dostaną pełnię praw, od Silona i Mutilusa do ostatniego wyzwolenca, którego Silon i Mutilus mają w klienteli! On tego nie może zrobić!

- Nie krzycz na mnie, Lucjuszu Korneliuszu! Ja będę walczył do końca przeciw temu nadaniu praw.

- Nie masz szans, Kwintusie Cecyliuszu, bo będziesz w polu, nie w senacie. Tylko Skaurus będzie z tym walczył, a on jest za stary.

Zacisnąwszy wargi, Sulla patrzył nie widzącym wzrokiem na gwarną ulicę.

- To Filip i reszta tych *saltatrices tonsae* będą głosować. I będą głosować za! Tak jak komicja.

- Ty także będziesz w polu, Lucjuszu Korneliuszu - powiedział posępnie Prosiak. - Słyszałem, że będziesz zastępcą Mariusza, tłustej italskiej rzepy! On na pewno nie będzie przeciwny ustawom Lucjusza Juliusza, mogę się założyć!

- Nie jestem pewien - rzekł Sulla i westchnął. - Jedno musisz przyznać Gajuszowi Mariuszowi, Kwintusie Cecyliuszu. - On jest od początku do końca, i przede wszystkim żołnierzem. Zanim jego dni w polu przeminą, jeszcze kilku Marsów nie zdąży wystąpić o obywatelstwo.

- Miejmy nadzieję, Lucjuszu Korneliuszu. W dniu bowiem, kiedy Gajusz Mariusz wejdzie do senatu pełnego Italczyków, zostanie znowu Pierwszym w Rzymie. I po raz siódmy konsulem.

- Nie zostanie, jeśli będę miał coś do powiedzenia - rzekł Sulla.



Następnego dnia Sulla odłączył swoje dwa legiony od tyłów kolumny Lucjusza Cezara, kiedy skręciła ona w prawo, na drogę wiodącą w górę Melfy. On sam trzymał się Via Latina, przekraczając Melfę drogą do ruin Fregellów, miasta obróconego w gruzy przez Lucjusza Opimiusza po powstaniu sprzed trzydziestu lat. Legiony zatrzymały się poza tymi dziwnie spokojnymi, pełnymi kwiatów dolinami, utworzonymi przez obalone mury i wieże Fregellów. Sulla nie miał nastroju do pilnowania swych trybunów i centurionów przy pracach tak fundamentalnych jak okopywanie obozu, poszedł więc samotnie do opuszczonego miasta.

„Tu oto leży, pomyślał, wszystko, o co teraz walczymy. Tu odkryłem sposób, w jaki te senackie osły chcą zdławić powstanie na skalę całej Italii. Poświęcamy nasz czas, nasze podatki, poświęcamy życie po to, by zamienić Italię w jedne wielkie Fregelle. Mówiliśmy, że Italczycy zapłacą życiem.



Czerwone maki wyrosną z italskiej krwi. Mówiliśmy, że italskie czaszki pobieleją jak te białe róże, a żółte oczka stokrotek będą się wysłepiać w słońce z ich pustych oczodołów. Po co to robimy, jeśli wszystko to ma pójść na marne? Po co umieraliśmy i nadal jeszcze umieramy? On teraz załatwia obywatelstwo potencjalnym buntownikom w Umbrii i w Etrurii. Nie poprzestanie na tym, a może ktoś inny przejmie berło imperium, które on wypuści z rąk. Wszyscy oni dostaną obywatelstwo, mając ręce czerwone od naszej krwi. Po co robimy to, co robimy, jeśli wszystko to ma pójść na marne? Jesteśmy dziedzicami Trojan, powinniśmy więc wiedzieć, co się czuje, mając zdrajców we własnych murach. My, którzy jesteśmy Rzymianami, nie Italczykami. On zaś dopilnuje, żeby tamci zostali Rzymianami. On i jemu podobni zniszczą wszystko, co oznacza Rzym. Ich Rzym nie będzie Rzymem ich przodków ani moim Rzymem. Ten zrujnowany italski ogród we Fregellach jest moim Rzymem, Rzymem moich przodków, na tyle silnym i pewnym siebie, by obsiewać kwiatami ulice buntowniczych miast i oddawać je pszczołom i ptakom”.

Nie był pewien, czy mroczyki przed oczami brały się ze zgryzoty, czy raczej z połyskiwania brukowca pod nogami. Zaczął jednak rozróżniać w powietrzu jakiś zbliżający się kształt, masywny i błękitny - jakiegoś rzymskiego wodza kroczącego ku innemu rzymskiemu wodzowi. Teraz stał się bardziej czarny niż błękitny i zabłyszczał pancerzem i hełmem. Gajusz Mariusz! Gajusz Mariusz Italczyk!

Sulla nabrał tchu z odgłosem podobnym do łkania. Serce podskoczyło i straciło rytm. Zatrzymał się na drodze, czekając na Mariusza.

- Witaj, Lucjuszu Korneliuszu!

- Witaj, Gajuszu Mariuszu!

Żaden nie wyciągnął ręki do drugiego. Potem Mariusz obrócił się i szedł obok Sulli. Obaj milczeli. W końcu to Mariusz odchrząknął i przemówił, nie wytrzymując tych nie wypowiedzianych emocji.

- Przypuszczam, że Lucjusz Juliusz jest w drodze do Aesernii.

- Tak.

- Powinien być teraz w Zatoce Krateru, odbierając Pompeje i Stabie. Otacyliusz tworzy małą, zgrabną flotę, bo ma dostać dodatkowych rekrutów. Flota jest zawsze na ostatnim miejscu na senackiej liście preferencji. Słyszałem jednak, że senat zamierza utworzyć ze zdolnych do służby rzymskich wyzwoleńców jednostkę obrony wybrzeża górnej Kampanii i Lacjum. Dzięki temu Otacyliusz będzie mógł wcielić do floty obecną milicję wybrzeża.

- Ha! - mruknął Sulla. - I kiedyż to ojcowie spisani mają zamiar wydać taki dekret?

- Któż to wie? W każdym razie zaczęli o tym mówić.

- Dziw nad dziwy!



- Jesteś niezwykle rozgoryczony. Lucjusz Juliusz działa ci na nerwy? Nie dziwię się.

- Tak, Gajuszu Mariuszu, jestem rozgoryczony - rzekł chłodno Sulla. - Szedłem tą piękną drogą rozmyślając o losie Fregellów i o przypuszczalnym losie naszych obecnych wrogów, Italczyków. Otóż Lucjusz Juliusz zamierza nadać obywatelstwo rzymskie wszystkim Italczykom, którzy pozostają pokojowo nastawieni do Rzymu. Piękny gest, nieprawdaż?

Mariusz na chwilę stracił rytm kroków.

- Teraz? Kiedy? Zanim rzuci się na skały Aesernii czy potem?

- Potem.

- I to ci każe pytać bogów, po co była ta cała wojna, czyż nie? - Mariusz nieświadomie zgadywał myśli Sulli. Potem roześmiał się głośno. - Kocham wojaczkę i taka jest prawda. Mam nadzieję, że dojdzie jeszcze do bitwy albo dwóch, zanim senat i lud rzymski do reszty się rozsypie! Ależ się porobiło! Gdybyśmy mogli podnieść z martwych Marka Liwiusza Druzusa! Nic z tego wszystkiego nie musiałyby się wydarzyć. Skarb byłby pełny, a nie pusty jak głowa głupca, a półwysep byłby spokojny, szczęśliwy i pełen prawowitych Rzymian.

- Tak.

Zamilkli, wchodząc w pustą skorupę fregellańskiego forum, gdzie tylko stojące tu i tam kolumny, i biegi schodów prowadzących donikąd, wznosiły się ponad kwiatami i trawą.

- Mam dla ciebie robotę - powiedział Mariusz, siadając na kamiennym bloku.

- Stań tu w cieniu albo usiądź przy mnie, Lucjusz Korneliuszu. A potem zdejmij ten okropny kapelusz, żebym mógł ci spojrzeć w oczy. - Sulla wszedł posłusznie w cień i zdjął kapelusz, ale nie usiadł i nie przemówił. - Pewnie się zastanawiasz, czemu przybyłem do Fregellów, zamiast czekać na ciebie w Reate.

- Przypuszczam, że nie chcesz mnie mieć w Reate.

Rozległ się grzmiący śmiech.

- Znasz moje sztuczki, Lucjusz Korneliuszu! Całkiem słusznie. Nie chcę cię mieć w Reate. - Znikło skrzywienie ust. - Nie chciałem jednak wyklądać swoich planów w liście. Im mniej ludzi wie, co będziesz robić, tym lepiej. Nie mam powodu przypuszczać, że w namiocie Lucjusza Juliusza jest jakiś szpieg. Po prostu jestem ostrożny.

- Jedynym sposobem utrzymania sekretu jest nie mówić nic nikomu.

- To prawda. - Mariusz odetchnął tak głęboko, że paski i sprzączki pancerza zaskrzypiały. - Ty, Lucjusz Korneliuszu, zejdziesz tu z Via Latina. Pójdiesz w górę Liris do Sory. Tam skreścis razem z rzeką i pójdiesz do jej źródła. Innymi słowy, chcę cię mieć po południowej stronie działu wodnego, o kilka mil od Via Valeria.



- Jak dotąd rozumiem swoją część planu. Jaka jest twoja?

- Kiedy będziesz się posuwał w górę Liris, ja pomaszeruję z Reate do zachodniego przejścia na Via Valeria. Zamierzam opanować tę drogę za Carseolą. Miasto jest w ruinie i stoi tam nieprzyjacielska załoga - Marrucynowie pod wodzą Heriusza Asiniusza. W miarę możliwości zmuszę go do bitwy o panowanie nad Via Valeria, zanim staniemy u przejścia. Na tym etapie chcę cię mieć blisko - ale na południe od działu wód.

- I bez wiedzy nieprzyjaciela. - Sulla zaczął tracić swój chłód.

- Właśnie tak! To oznacza, że zabijesz każdego, kogo spotkasz. Powszechnie wiadomo, że stoję na północ od Via Valeria, więc mam nadzieję, że Marrucynom ani Marsom nie przyjdzie do głowy możliwość pojawienia się jakiejś armii na ich południowej flance. Postaram się ściągnąć ich uwagę. - Mariusz uśmiechnął się. - Ty oczywiście towarzyszysz Lucjuszowi Juliuszowi w drodze do Aesernii.

- Nie straciłeś daru dowodzenia, Gajuszu Mariuszu.

- Mam nadzieję! - Srogie, ciemne oczy zabłyśły. - Powiem ci szczerze, Lucjuzu Korneliuszu, że gdybym stracił dar dowodzenia, nie ma nikogo w tej mrocznej połodze, kto zajmie moje miejsce. Skończymy, nadając obywatelstwo na polu bitwy tym, którzy podnieśli na nas broń.

Sulla chciał spierać się o to obywatelstwo, ale przeważyła inna myśl.

- A co ze mną? - wypalił. - Ja mogę dowodzić.

- Możesz, oczywiście, że możesz - powiedział uspokajająco Mariusz. - Nie zaprzeczam. A jednak nie jesteś wodzem z krwi i kości, Lucjuzu Korneliuszu.

- Można się nauczyć dowodzić - upierał się Sulla.

- Rzeczywiście, można się nauczyć. Ty tego dokonałeś. Ale nie jesteś wodzem z krwi i kości i nigdy się nie wzniesiesz ponad zwyczajne dobre dowodzenie - mówił Mariusz, zupełnie nie dbając o to, że mówi rzeczy obraźliwe. - Czasami to nie wystarcza, potrzebne jest natchnienie. A to albo się ma we krwi, albo się nie ma.

- Kiedyś cię zabraknie, Gajuszu Mariuszu - rzekł Sulla w zadumie. - A wtedy... cóż, zobaczymy! Ja będę naczelnym wodzem.

Mariusz jeszcze nie rozumiał, jeszcze nie zgadywał, co kryje się w myślach Sulli. Zarechotał wesoło.

- Miejmy nadzieję, że w tym dniu Rzymowi wystarczy dobry wódz.

- Jeśli tak powiadasz - rzekł Lucjusz Korneliusz Sulla.



Irytujące było to, że jak zwykle plan Mariusza był doskonały. Sulla ze swymi dwoma legionami przeniknął aż do Sory, nie napotykając nieprzyjaciół, a potem - w nie więcej niż potyczce - pokonał niewielki oddział Picenów pod wodzą Tytusa Hereniusza. W drodze do źródeł Liris spotykał jedynie latyńskich i sabińskich rolników, którzy witali jego zjawienie się z taką



radością, że nie wykonał rozkazów Mariusza i nie pozabijał ich. Już prędzej uciekinierzy spod Sory mogli donieść o jego obecności, ale udawał wtedy, że podąża połączyć się z Lucjuszem Cezarem na wschód od Gardzieli Melfy. Miał nadzieję, że reszta Picenów Tytusa Hereniusza czeka wraz z Pelignami na jego nadejście w zupełnie innym miejscu.

Mariusz zrobił, co obiecał, i zajął Via Valeria za Karseolą. Heriusz Asinius ze swymi Marrucynami stoczył tam walkę o panowanie nad drogą i doznał druzgoczącej porażki, wywiedziony w pole przez Mariusza. Sam Heriusz Asinius zginął wraz z większą częścią swojej armii. Mariusz wkroczył do zachodniego przejścia, nie zagrożony przez nikogo, kierując się ku Albie Fucencji. Prowadził cztery legiony, złożone z ludzi pewnych zwycięstwa - jak bowiem mogliby przegrać, mając starego lisa z Arpinum na czele? Przelali już pierwszą krew, i to w najlepszy sposób.

Sulla ze swymi dwoma legionami szedł za Mariuszem jak cień wzdłuż Via Valeria, dopóki dzielące ich wody nie obniżyły się i przekształciły w kotlinę wokół Jeziora Fucyńskiego. Nawet wtedy jednak zachowywał dziesięciomilowy odstęp między sobą a Mariuszem i ukrywał się, co przychodziło mu zaskakująco łatwo. Powinien być za to wdzięczny zamiłowaniu Marsów do uprawy winorośli, mimo trudności terenowych. Kraj na południe od Via Valeria był jedną rozległą winnicą. Cały ten obszar pokrywała winorośl hodowana na otoczonych wysokimi murami półkach. Mury chroniły przed chłodnymi wiatrami wiejącymi od gór właśnie o tej porze roku, kiedy tworzą się wrażliwe kwiaty, a owady potrzebują spokojnego powietrza, aby te kwiaty zapylać. Teraz Sulla zabijał już świadków swego marszu, głównie kobiety i dzieci. Wszyscy mężczyźni, oprócz zupełnych starców, odeszli z chat i zagród nad jeziorem, aby służyć w armii.

Dowiedział się o bitwie Mariusza z Marsami, gdy tylko się zaczęła, bo tego dnia wiał północny wiatr, niosąc odgłosy bitwy nad winnicami tak wyraźnie, że ludzie Sulli wypatrywali walczących wśród winorośli. O świcie przybył goniec z wieścią, że stanie się to tego dnia. Sulla ustawił swych ludzi w ośmiu szeregach pod dziesięciostopowymi murami winnic i czekał.

Pierwsi uciekający Marsowie zaczęli przeskakiwać kamienne parapety w jakieś cztery godziny po rozpoczęciu się bitwy - i spadali wprost na miecze legionistów Sulli, złaknionych udziału w tej akcji. W kilku miejscach doszło do zawziętej walki - tamci byli zdesperowani - ale nigdzie Sulla nie był zagrożony.

„Jestem jak zwykle zręcznym sługusem Mariusza”, myślał Sulla, przyglądając się wszystkiemu z jakiejś wyniosłości. „To umysł tamtego obmyślił strategię, ręka tamtego nakreśliła taktykę, a wola tamtego zakończyła pomyślnie sprawę. Ja zaś stoję po niewłaściwej stronie tego przeklętego muru, zbierając po nim resztki niczym jakiś głodomór. Jak dobrze on zna siebie samego - i mnie”.



Gdy skończył się udział Sulli w bitwie, wsiadł na muła i pojechał długą, okrężną drogą powiadomić Mariusza na Via Valeria, że wszystko poszło zgodnie z planem, a Marsowie zostali dosłownie wyłupieni.



- Zmierzyłem się z samym Silonem! - ryczał Mariusz, jak zwykle po bitwie, klepiąc Sullę po plecach i prowadząc swego cennego pomocnika do namiotu dowódcy, objąwszy go ramieniem. - Postawili wszystko na jedną kartę, chyba dlatego, że dla nich to kraj rodzinny. Spadłem na nich jak grom, Lucjuszu Korneliuszu! Chyba nie przyszło im do głowy, że Asiniusz może przegrać! Nikt ich nie zawiadomił, że tak się stało. Wiedzieli tylko, że wyruszył, bo i ja w końcu wyruszyłem z Reate. Wyszedłem na nich jak zza rogu. Maszerowali, by wesprzeć Asiniusza. Stałem zbyt daleko od nich, by zostać zmuszonym do bitwy. Ustawiłem swoich ludzi w kwadrat, przygotowawszy się na pozór do obrony, nie do ataku.

- Jeśli taki z ciebie wielki wódz, Gajuszu Mariuszu, chodź tu i bij się ze mną! - krzyczał Silon, siedząc na koniu.

- Jeśli taki z ciebie wielki wódz, Kwintusie Popediuszu, chodź tu do mnie! - odkrzyknąłem.

- Nigdy się nie dowiemy, co miał zamiar zrobić, bo jego ludzie nie zapanowali nad sobą i uderzyli na nas bez jego rozkazu. Cóż, to było łatwe. Wiedziałem, co robić. Ale Silon nie wie. Mówię, że nie wie, bo wyszedł z tego cało; kiedy jego ludzie załamali się w panice, skierował konia na wschód i ruszył galopem. Chyba nie zatrzyma się, zanim dotrze do Mutilusa. W każdym razie zmusiłem Marsów do odwrotu w jednym kierunku - przez winnice. Wiedziałem, że tam jesteście, żeby ich dobić. I o to chodziło.

- Bardzo dobra robota, Gajuszu Mariuszu - rzekł Sulla z całkowitą szczerością.

Zasiedli więc do uczty zwycięstwa: Mariusz i Sulla, i ich zastępcy - i Mariusz Młodszy, dumny ze swego ojca, przy którym służył jako kadet. „Ach, więc szczeniak przygląda się”, pomyślał Sulla i przestał zwracać na niego uwagę.

Bitwę stoczono na nowo i trwała nawet dłużej niż w rzeczywistości. W końcu gdy poziom wina w amforze obniżał się coraz bardziej, rozmowa nieuchronnie zeszła na politykę. Projektowana legislacja Lucjusza Cezara wstrząsnęła podkomendnymi Mariusza, który nie powiedział im o swej rozmowie z Sullą we Fregellach. Reakcje były różne, ale przeciwne tak wielkiemu ustępstwu. Ci żołnierze walczyli od sześciu miesięcy, widzieli, jak giną tysiące ich towarzyszy, i w dodatku czuli, że trzęsący się starcy i tchórze w Rzymie nie dali im szans na dobry początek. Tamci, bezpieczni w Rzymie, byli jak stado zasuszonych westalek, z Filipem krytykującym wszystko i Lucjuszem Cezarem niewiele mu ustępującym.

- Każdy Juliusz Cezar to przerasowany kłębek nerwów - mówił Mariusz z



poczerwieniałą twarzą. - Szkoda, że to Juliusz Cezar jest starszym konsulem podczas tego kryzysu. Wiedziałem, że się załamie.

- To brzmi, Gajuszu Mariuszu, jakbyś wolał, żebyśmy nie ustępowali w niczym Italczykom - rzekł Sulla.

- Wolałbym, żebyśmy nie ustępowali - potwierdził Mariusz. - Dopóki nie doszło do otwartej wojny, było inaczej. Kiedy jednak jakiś naród ogłasza się nieprzyjacielem Rzymu, jest i moim nieprzyjacielem.

- I moim także - rzekł Sulla. - Jeśli jednak Lucjusz Juliusz przekona senat i lud do swego nowego prawa, zmniejszy to szanse na przejście Etrurii i Umbrii na stronę wroga. Słyszałem, że się na to zanosi.

- Rzeczywiście, dlatego właśnie Katon Licynianus i Aulus Plaucjusz udali się do Umbrii i Etrurii, zabierając wojsko Sekstusowi Juliuszowi.

- A co zrobił Sekstus Juliusz?

Mariusz Młodszy odpowiedział na to głośno:

- Leczy się w Rzymie. „Obrzydliwa astma”, jak to ujęła moja matka w ostatnim liście.

Sulla powinien go zmiażdżyć spojrzeniem, ale nie zrobił tego. A przecież nawet syn naczelnego wodza nie powinien wtrącać się do rozmowy, jeśli jest zaledwie *contubernalis*!

- Nie ma wątpliwości, że ta kampania etruska bardzo zwiększy szanse Katona Licyniana na urząd konsula w przyszłym roku - powiedział. - Jeśli mu dobrze pójdzie, a myślę, że da sobie radę.

- Ja też. - Mariuszowi odbiło się. - To przedsięwzięcie na małą skalę, w sam raz dla kogoś takiego jak Katon Licynianus.

- Na tobie nie robi wrażenia - wyszczerzył zęby Sulla.

- A na tobie? - Mariusz mrugnął porozumiewawczo.

- Ani trochę. - Sulla miał już dość wina i przerzucił się na wodę.

- A co tymczasem będziemy robić my? Minęło już osiem dni września i wkrótce muszę wracać do Kampanii. Chciałbym jakoś spożytkować ten czas, który mi pozostał.

- Nie mogę uwierzyć, że Lucjusz Juliusz dał się podejść Egnacjuszowi w Gardzieli Melfy - przerwał Mariusz Młodszy.

- Jesteś za młody, żeby rozumieć, że głupota ludzka nie ma granic. - Mariusz raczej aprobował uwagę syna, niż ganił go. Zwrócił się potem do Sulli: - Nie możemy spodziewać się niczego po Lucjuszu Juliuszu. Znowu wrócił do Teanum Sidicinum, straciwszy czwartą część armii. Po co śpieszyć się z powrotem, Lucjuszu Korneliuszu? Żeby trzymać Lucjusza Juliusza za rękę? Ma przy sobie dość chętnych do tego. Proponuję, żebyśmy ruszyli razem do Alby Fucencji. - Tu wydał z siebie dziwny dźwięk, jakby mu się zbierało na wymioty.

Sulla zeszywniał.

- Jak się czujesz? - spytał ostro.



Przez chwilę Mariusz siedział z poszarzałą twarzą. Potem zapanował nad sobą.

- Po takim dniu? Doskonale, Lucjuszu Korneliuszu. Jak mówiłem, pójdziemy na odsiecz Albie Fucencji; a potem w głąb Samnium, jak myślisz? Pozostawimy Sekstusowi Juliuszowi obleganie Askulum Picentum, sami zaś będziemy drażnić samnickiego byka. Obleganie miast to nudziarstwo. To nie w moim stylu - zachichotał podпиты. - Czy nie byłoby miło pokazać się w Teanum Sidicinum z Aesernia w zanadrzu twojej togi jako prezentem dla Lucjusza Juliusza? Ależ byłby wdzięczny!

- Ależ byłby wdzięczny, rzeczywiście, Gajuszu Mariuszu.

Przyjęcie dobiegło końca. Sulla i Mariusz Młodszy zaprowadzili Mariusza do łóżka i ułożyli go, nie robiąc zamieszania. Potem Mariusz Młodszy wycofał się, spoglądając na Sullę, który zwlekał, pragnąc przyjrzeć się lepiej zwałistej postaci na łożu.

- Lucjuszu Korneliuszu. - Mariusz miał trudności z mówieniem. - Przyjdź rano mnie obudzić, dobrze? Chcę z tobą porozmawiać, a dziś wieczór nie mogę. Ach, to wino!

- Śpij dobrze, Gajuszu Mariuszu. Rano będzie lepiej.

Ale rano nie było lepiej. Kiedy Sulla - sam w niezbyt dobrym stanie - wszedł do tylnego pomieszczenia namiotu dowódcy, zastał zwałisty kształt na łóżku dokładnie w tym samym położeniu, w jakim go zostawił. Ze zmarszczonym czołem podszedł szybko, czując mrowienie na karku. Nie bał się, że Mariusz nie żyje, bo jego głośny oddech słychać było i z przodu namiotu. Teraz, patrząc z bliska w dół, zobaczył, że prawa dłoń szarpie prześcieradło, ujrzał też oczy Mariusza, wytrzeszczone w strachu tak okropnym, że przypominającym szaleństwo. Cała lewa połowa ciała, od zapadniętego policzka do bezwładnej stopy, była nieruchoma i zmartwiała. Leśny olbrzym zwałił się bez szmeru, niezdolny odeprzeć cios, którego nie widział ani nie czuł, dopóki nie został zadany.

- Udar - wymamrotał Mariusz.

Dłoń Sulli uniosła się mimowolnie, by pogłaskać spocone włosy. Teraz mógł już tylko kochać tamtego, nic więcej.

- Ach, mój biedaku! - Sulla przytulił policzek do policzka Mariusza. - Mój staruszkule! W końcu cię powaliło.

Natychmiast popłynęły słowa, okropnie zniekształcone, ale całkiem zrozumiałe, gdy stykali się twarzami.

- Jeszcze... nie. Siedem... razy.

Sulla odskoczył, jakby Mariusz go uderzył. Potem, ocierając łzy, wybuchnął śmiechem, zakończonym równie nagle, jak się zaczął.

- Jeśli mam tu coś do powiedzenia, jesteś powalony, Gajuszu Mariuszu!

- Jeszcze nie... powalony - powiedział Mariusz. Jego wciąż rozumne oczy nie



były już przerażone. Teraz były gniewne.

- Siedem... razy.

Jednym skokiem Sulla dopadł zasłony dzielącej tył namiotu od przodu, krzycząc o pomoc, jakby sam Piekielny Pies kąsał go trzema paszczami po łydkach.

Dopiero gdy odszedł ostatni chirurg wojskowy i Mariusz został ułożony najwygodniej, jak było można, Sulla zwołał naradę, zakazując wstępu Mariuszowi Młodszemu, który szlochał samotnie w jakimś kącie. Narada odbyła się na forum obozu, uznał bowiem za rozsądne przekazanie żołnierzom wszystkiego. Wieść o udarze Mariusza już się rozeszła i nie tylko Mariusz Młodszy płakał.

- Przejmuję dowództwo - oznajmił Sulla spokojnym tonem dwunastu zgromadzonym wokół siebie.

Nikt nie protestował.

- Wracamy natychmiast do Lacjum, zanim ta nowina dotrze do Silona albo Mutilusa.

Teraz rozległ się głos protestu. Marek Cecyliusz z przydomkiem Kornutus odezwał się z oburzeniem:

- To śmieszne! Jesteśmy niecałe dwadzieścia mil od Alby Fucencji, a ty mówisz, że mamy wracać?

Sulla zacisnął wargi i szerokim gestem ramienia wskazał liczne grupy żołnierzy przyglądających się i płaczących.

- Spójrz na nich, głupcze! - parsknął. - Iść z nimi w głąb wrogiego kraju? Stracili serce do walki. Musimy obchodzić się z nimi jak z dziećmi, póki nie wrócimy bezpiecznie we własne granice, Kornutusie. A potem znaleźć im wodza, którego pokochają choćby w jednej dziesiątej części tak jak jego! - Kornutus otworzył usta, by coś rzec, ale potem zamknął je i bezsilnie wzruszył ramionami. - Czy ktoś jeszcze chce coś powiedzieć?

Nikt nie chciał.

- Zgoda zatem. Zwijamy biegiem obóz. Zawiadomiłem już moje legiony. Będą na nas czekały po drodze.

- Co z Gajuszem Mariuszem? - spytał młody Licyniusz. - Może umrzeć, jeśli go ruszymy.

Wybuch śmiechu Sulli sprawił, że zeszywnieli.

- Gajusz Mariusz? Nie dobijesz go nawet toporem ofiarnym, chłopcze! - Widząc ich reakcję, wziął się w garść, zanim znów zaczął mówić: - Nie ma obawy, panowie. Gajusz Mariusz zapewnił mnie przed godziną, że nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. A ja mu wierzę! Weźmiemy go więc ze sobą. Nie zabraknie chyba chętnych, żeby go nieść w lektyce.

- Czy idziemy do Rzymu? - spytał nieśmiało młody Licyniusz.

Teraz dopiero zrozumiał Sulla, jak byli wszyscy przerażeni i pozbawieni



steru. Byli rzymskimi arystokratami, a to znaczyło, że patrzą na wszystko, biorąc pod uwagę swoje pozycje. Powinien obchodzić się z nimi tak czule jak ze ślepyimi kociętami.

- Nie, nie idziemy do Rzymu - powiedział bez cienia łagodności w głosie. - Gdy dojdziemy do Karseoli, ty, Marku Cecyliuszu Kornutusie, obejmiesz dowództwo nad tą armią. Wprowadzisz ją do waszego obozu pod Reate. My, z synem Gajusza Mariusza, zabierzemy go do Rzymu z pięcioma kohortami honorowej straży.

- Dobrze, Lucjusz Korneliuszu, jeśli tego sobie życzysz. Myślę, że chyba musi tak być - rzekł Kornutus.

Spojrzenie, jakim obdarzyły go niezwykle, jasne oczy, sprawiło, że poczuł się, jakby usta miał pełne mrówek.

- Nie mylisz się, Marku Cecyliuszu, myśląc, że musi być tak, jak sobie tego życzę - powiedział Sulla cicho, z pieszczotą w głosie. - A jeśli nie zrobisz tego dokładnie tak, jak sobie życzę - lepiej, żebyś się nie urodził! Czy to jasne? Dobrze! Teraz ruszaj w drogę.







POMPEJUSZ MŁODSZY

## VI



**K**iedy wieść o zwycięstwie Lucjusza Cezara nad Mutilusem pod Acerre dotarła do Rzymu, senatorowie nabrali ducha. Wydano obwieszczenie głoszące, że nie jest już konieczne noszenie przez obywateli *sagum*. Potem nadeszła wieść o ponownej klęsce Lucjusza Cezara w Gardzieli Melfy, gdzie liczba ofiar była równa stratom nieprzyjaciela pod Acerre. Nikt w senacie nie zrobił nic, by wycofać obwieszczenie, byłoby to bowiem przyznanie się do porażki.

- To zbyt cenne - mówił Marek Emiliusz Skaurus kilku senatorom, którzy podeszli omówić tę publikację. Wargi mu drżały, on zaś to powstrzymywał. - Musimy spojrzeć w oczy czemuś poważniejszemu - przegrywamy tę wojnę.

Nie było Filipa, by mu się sprzeciwić. Ani Kwintusa Wariusza, który nadal ścigał za zdradę pomniejszych płotki, rezygnując ze ścigania takiej zdobyczy, jak Skaurus czy Antoniusz Orator. Pozbawiony opozycji Skaurus nie miał ochoty ciągnąć swego wywodu i usiadł ciężko na swym stołku.

„Jestem za stary”, pomyślał. „Jak może Mariusz, mając tyle samo lat co ja, radzić sobie z całym frontem?”



Odpowiedź na to pytanie przyszła w końcu sekstyliisa, kiedy goniec przyniósł senatowi wiadomość, że Gajusz Mariusz pobił Heriusza Asiniusza, zabijając siedem tysięcy Marrucynów i samego Heriusza Asiniusza. W mieście panowało jednak takie przygnębienie, że nikt nie śpieszył się z urządzeniem obchodów tego zwycięstwa. Zamiast tego czekano przez kilka dni na wieść o jakiejś równoważnej klęsce.

I rzeczywiście, kilka dni później przybył następny goniec. Kiedy zjawił się w senacie, jego członkowie siedzieli sztywno z kamiennymi twarzami, przygotowani na złe wieści. Spośród mężów konsularnych obecny był jedynie Skaurus.

*Gajusz Mariusz z wielką przyjemnością zawiadamia senat i lud rzymski, że w dniu dzisiejszym wraz ze swoimi wojskami zadał druzgocącą klęskę Kwintusowi Popediuszowi Silonowi i Marsom. Poległo piętnaście tysięcy, a pięć tysięcy wzięto do niewoli.*

*Gajusz Mariusz pragnie podkreślić nieoceniony wkład w zwycięstwo Lucjusz Korneliusza Sulli i prosi o pozwolenie na przedstawienie pełnego sprawozdania do czasu, gdy będzie mógł donieść senatowi i ludowi rzymskiemu o uwolnieniu Alby Fucencji. Niech żyje Rzym!*

Z początku nikt nie uwierzył. Poruszenie przeszło przez biało odziane szeregi, zbyt przerzedzone, by robiły imponujące wrażenie. Skaurus drżącym głosem przeczytał list ponownie. W końcu podniosły się wiwaty. Po godzinie wiwatował cały Rzym. Gajusz Mariusz dopiął swego! Pokonał zły los Rzymu! Gajusz Mariusz, Gajusz Mariusz, Gajusz Mariusz!

- Znów jest na ustach wszystkich - mówił Skaurus do flamera *Dialis* Lucjusza Korneliusza Meruli, który nie opuścił od początku wojny ani jednego zebrania senatu, mimo utrudnień, jakie stwarzały liczne ograniczenia swobody poczynań flamera *Dialis*. Tylko on spośród równych sobie stanem nie nosił togi. Okrywał się ciężką podwójną wełnianą *laena*, kapą skrojoną na kształt pełnego koła. Na głowie nosił hełm z kości słoniowej ozdobiony symbolami Jowisza i zwieńczony twardym dyskiem z wełny przebitym kościanym kolcem. Tylko on spośród równych sobie stanem nie strzygł się, bo wolał nosić długie włosy i brodę spadającą na piersi, niż cierpieć męki golenia brązowym albo kościanym ostrzem. Flamen *Dialis* nie mógł stykać się z żelazem, co oznaczało, że nie mógł mieć nic wspólnego z wojną. Nie mogąc spełniać żołnierskiego obowiązku wobec kraju, Lucjusz Korneliusz Merula wytrwale przychodził na posiedzenia senatu.

Merula westchnął i rzekł:

- No cóż, Marku Emiliuszu, chociaż jesteśmy patrycjuszami, czas chyba przyznać, że nasza krew jest zbyt rozrzedzona, by zrodził się z niej bohater



narodowy.

- Nonsens! - parsknął Skaurus. - Gajusz Mariusz to wybryk natury!
- A gdzie bylibyśmy bez niego?
- W Rzymie. I bylibyśmy prawdziwymi Rzymianami!
- Nie chwalisz jego zwycięstwa?
- Oczywiście, że je chwalę! Wolałbym tylko, żeby podpis pod tym listem złożył Lucjusz Korneliusz Sulla!
- Wiem, że był z niego dobry *praetor urbanus*, nie słyszałem jednak, żeby na polu bitwy okazał się Mariuszem - rzekł Merula.
- Skąd można to wiedzieć, jeśli Mariusz nie schodzi z pola bitwy? Lucjusz Korneliusz Sulla towarzyszył mu od... ach, od wojny z Jugurtą. I zawsze miał wielki udział w zwycięstwach Mariusza. Mariusz zaś przypisuje całą zasługę sobie.
- Bądź sprawiedliwy, Marku Emiliuszu! List Gajusza Mariusza wspomina przecież o Sulli! Ja pierwszy przyznam, że nie żałuje mu pochwał. Nie chcę też słyszeć złego słowa o człowieku, który odpowiedział w końcu na moje modlitwy.

- Jakiś człowiek odpowiedział na twoje modlitwy, flamenie *Dialis*! Chyba dość dziwnie to ujmujesz.

- Bogowie nie odpowiadają nam wprost, pryncepsie senatu. Jeśli są niezadowoleni, dają nam to poznać poprzez zjawiska natury, a kiedy działają, robią to za pośrednictwem ludzi.

- Wiem o tym tak samo jak ty! - krzyknął Skaurus ugodzony do żywego. - Kocham Gajusza Mariusza tak mocno, jak go nienawidzę. Wolałbym jednak, żeby pod tym listem podpisał się ktoś inny!

Jakiś urzędnik senatu wszedł do sali, którą opuścili już wszyscy prócz Skaurusa i Meruli.

- Pryncepsie senatu, przyszła pilna wiadomość od Lucjusza Korneliusza Sulli. Merula zachichotał.

- Masz oto odpowiedź na twoje modlitwy! List z podpisem Lucjusza Korneliusza Sulli!

Odpowiedziało mu urażone spojrzenie. Skaurus rozwinął w dłoniach krótki zwój. Ze zdumieniem ujrzał, że zawiera on tylko dwie linijki starannie wypisane wielkimi literami i z oddzielającymi wyrazy kropkami. Sulla chciał uniknąć nieporozumień.

*GAJUSZ MARIUSZ DOZNAŁ UDARU. ARMIA PODĄŻA DO REATE.*

*WRACAM NATYCHMIAST DO RZYMU WIOŻĄC MARIUSZA. SULLA*

Prynceps senatu Skaurus zaniemówił. Oddał zwój Meruli i potykając się, usiadł na kamiennym stopniu posadzki.

- *Edepol!* - Merula także usiadł. - Czy w tej wojnie nic nie będzie dziać się, jak powinno? Myślisz, że Mariusz nie żyje? Czy to chciał przekazać Sulla?



- Myślę, że żyje, ale nie może dowodzić, i że jego żołnierze o tym wiedzą. - Skaurus zaczerpnął tchu i ryknął: - Pisarzu!

Zwlekający z odejściem pisarz zawrócił natychmiast, by stanąć przed Skaurusem. Widać było, że płonie z ciekawości.

- Zwołaj heroldów. Każ ogłosić, że Gajusz Mariusz doznał udaru i że jego legat Lucjusz Korneliusz Sulla wraca z nim do Rzymu.

Pisarzowi zaparło dech. Poblądły wybiegi z sali.

- Czy to rozsądne, Marku Emiliuszu? - spytał Merula.

- Tylko Wielki Bóg to wie, flamenie *Dialis*. Ja nie wiem. Wszystko, co wiem, to, że gdybym zwołał najpierw senat, przegłosowaliby zatajenie tej nowiny. Tego zaś nie mogę zrobić. - Skaurus wstał. - Chodź ze mną. Muszę to powiedzieć Julii, zanim heroldowie zaczną ryczeć z rostrów.



Tak więc, kiedy pięć kohort eskortujących lektykę Gajusza Mariusza przeszło przez Bramę Kollijną niosąc włącznie ozdobione gałązkami cyprysów i odwrócone miecze i sztylety, weszły one na rynek przystrojony girlandami z kwiatów i wypełniony milczącym tłumem. Wyglądało to jak święto i pogrzeb jednocześnie. I tak było przez całą drogę na Forum Romanum. Wszędzie były kwiaty i milczące tłumy. Kwiaty wystawiono na cześć zwycięstwa Mariusza, a jego stan był powodem milczenia.

Kiedy z tyłu za żołnierzami ukazała się szczelnie zasłonięta lektyka, podniósł się szmer:

- On żyje! On żyje!

Sulla zatrzymał się ze swymi kohortami na dolnym Forum, gdy tymczasem Mariusza poniesiono w górę Clivus Argentarius do jego domu. Prynceps senatu Marek Emiliusz Skaurus wszedł samotnie na rostra.

- Trzeci Założyciel Rzymu żyje, Kwirycci! - zawołał grzmiącym głosem. - Jak zawsze odwrócił losy wojny na korzyść Rzymu, a Rzym nie wie, jak mu dziękować. Składajmy ofiary za jego powrót do zdrowia, choć nadszedł już być może czas, by nas opuścił. Jego stan jest ciężki. Dzięki niemu jednak, Kwirycci, niezmiernie poprawiła się nasza pozycja.

Nikt nie wiwatował, nikt też jednak nie płakał. Płacz zostawiano sobie na czas pogrzebu, kiedy już nie będzie nadziei. Potem Skaurus zszedł z rostrów i tłum zaczął się rozpraszać.

- On nie umiera. - Sulla wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Wcale tak nie myślałem - parsknął Skaurus. - Nie był jeszcze konsulem po raz siódmy, nie może więc pozwolić sobie umrzeć.

- Właśnie tak on to ujmuje.

- Jak to, więc on mówi?

- Coś niecoś. Nie chodzi o brak słów, ale o trudności z ich wymową. Nasz chirurg wojskowy tłumaczy to tym, że to jego lewa połowa ciała przyjęła ten



cios, a nie prawa - chociaż nie wiem, czemu tak jest. Chirurg też nie wie. Mówi po prostu, że to zwykła rzecz przy urazach głowy na polu bitwy. Kiedy sparaliżowana jest prawa część ciała, ranny traci mowę. Kiedy lewa, mowa pozostaje.

- Niebawem! Czemu nasi miejscy lekarze nic o tym nie wiedzą? - dziwił się Skaurus.

- Chyba nie dość często oglądają rozbite głowy.

- To prawda. - Skaurus ujął Sullę pod ramię. - Zapraszam na kielich wina, Lucjusz Korneliuszu. Opowiesz mi o wszystkim, co się wydarzyło. Myślałem, że jesteś nadal z Lucjuszem Juliuszem w Kampanii.

- Wolałbym raczej, żebyśmy poszli do mnie, Marku Emiliuszu. Jestem wciąż w zbroi, a dziś gorący dzień.

Skaurus westchnął.

- Czas już chyba, żebyśmy obaj zapomnieli o tym, co zaszło przed wieloma laty - rzekł otwarcie. - Moja żona jest starsza, spokojniejsza i bardzo zajęta dziećmi.

- A więc niech będzie u ciebie.

Czekała na nich w atrium, równie ciekawa stanu zdrowia Mariusza jak wszyscy w Rzymie. W wieku dwudziestu ośmiu lat była rozkwitającą raczej niż przygasającą piękną, o urodzie przywodzącej na myśl jakieś wspaniałe futro, choć oczy, które podniosła na Sullę były szare niczym morze w pochmurny dzień.

Nie uszło uwagi Sulli, że choć Skaurus promieniał niewątpliwie szczerym uczuciem, ona bała się męża i nie dostrzegła tego.

- Witam cię, Lucjusz Korneliuszu - powiedziała bezbarwnym tonem.

- Dziękuję ci, Cecylia Dalmatyńska.

- Podałam wino w twojej pracowni, mężu - zwróciła się równie bezbarwnym tonem do Skaurusa. - Czy Gajusz Mariusz umiera?

Sulla odpowiedział jej, uśmiechając się swobodnie, gdy tylko minęło pierwsze wrażenie. Było to całkiem co innego niż oglądanie jej na ucztach w domu Mariusza.

- Nie, Cecylia Dalmatyńska. Gajusz Mariusz nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, mogę cię o tym zapewnić.

Westchnęła z prawdziwą ulgą.

- Zostawiam was zatem.

Obaj mężczyźni stali w atrium, dopóki nie zniknęła, potem zaś Skaurus zaprowadził Sullę do swego *tablinum*.

- Czy chcesz dowodzić na froncie marsyjskim? - spytał, podając Sulli wino.

- Wątpię, by senat dał mi to dowództwo, pryncepsie senatu.

- Szczerze mówiąc, ja również. Czy jednak tego chcesz?

- Nie, nie chcę. Moja kariera w ciągu roku tej wojny rozwijała się w Kampanii,



z wyjątkiem tego specjalnego zadania u Gajusza Mariusza, i wolałbym pozostać na froncie, który znam. Lucjusz Juliusz oczekuje mego powrotu - odpowiedział Sulla. Dobrze wiedział, co zamierza zrobić, gdy nowi konsulowie obejmą swe urzędy, nie miał jednak zamiaru wciągać Skaurusa w swoje plany.

- Czy eskorta Mariusza to twoi żołnierze?

- Tak. Piętnaście kohort odesłałem już do Kampanii. Jutro sam odprowadzę pozostałych.

- Ach, chciałbym, żebyś ubiegał się o konsulat! - rzekł Skaurus. - Od dziesięciu lat mamy na tym polu nieurodzaj!

- Stanę do wyborów w przyszłym roku razem z Pompejuszem Rufusem - powiedział stanowczo Sulla.

- Tak słyszałem. Szkoda.

- Nie wygrałbym w tym roku wyborów, Marku Emiliuszu.

- Wygrałbyś, gdybym ci udzielił poparcia.

Sulla uśmiechnął się cierpko.

- Spóźniona propozycja. Będę zbyt zajęty w Kampanii, żeby nakładać tego *candida*. Poza tym chcę stanąć do wyborów razem z Kwintusem Pompejuszem. Moja córka ma wyjść za jego syna.

- Cofam więc propozycję. Masz słuszość. Rzym musi jakoś przebrnąć przez nadchodzący rok. Miło będzie zobaczyć za rok spowinowaconych konsulów. Harmonia u władzy to wspaniała rzecz. Ty zaś zdominujesz Kwintusa Pompejusza z taką samą łatwością, z jaką on przyjmie twoją dominację.

- I ja tak myślę, pryncepsie senatu. Lucjusz Juliusz może obejść się beze mnie jedynie w czasie wyborów, bo chce zakończyć działania wojenne, żeby samemu wrócić do Rzymu. W grudniu wydam chyba córkę za syna Kwintusa Pompejusza, chociaż nie skończy ona jeszcze osiemnastu lat. Bardzo się do tego śpieszy. - Kłamał gładko Sulla, dobrze znając niechęć swej córki do tego małżeństwa, ale ufając Fortunie.

Kiedy wrócił do domu dwie godziny później, umocnił się w znajomości skłonności Kornelii Sulli. Elia powitała go nowiną, że Kornelia próbowała uciec z domu.

- Na szczęście jej dziewczyna za bardzo się bała, więc mi o tym doniosła - zakończyła ponuro Elia, która kochała pasierbicę i wolałaby, żeby wyszła ona za mąż z wyboru serca - za Mariusza Młodsze.

- I wyobrażała sobie, że będzie wędrować po ogarniętym wojną kraju?

- Nie mam pojęcia, Lucjuzie Korneliuszu. Chyba ona też nie. To był impuls.

- Im prędzej poślubi młodego Kwintusa Pompejusza, tym lepiej - powiedział posępnie Sulla. - Chcę ją zaraz widzieć.

- Tutaj? W twojej pracowni?

- Tutaj, Elio. W mojej pracowni.

Wiedząc, że on jej nie docenia - i nie docenia jej sympatii dla Kornelii - Elia



patrzyła na męża z mieszaniną żalu i strachu.

- Proszę, Lucjusz Korneliuszu, nie bądź dla niej zbyt surowy.

Sulla zignorował tę prośbę, odwracając się plecami.

Kornelia Sulla została doprowadzona między dwoma niewolnikami niczym uwięziona.

- Możecie odejść. - Odprawił ich i zmierzył chłodnym wzrokiem buntowniczą twarz córki, stanowiącą znakomite połączenie barw jego skóry i włosów z urodą jej matki, z wyjątkiem oczu, które były jej własne, wielkie i jaskrawoniebieskie. - I co masz mi do powiedzenia, dziewczyno?

- Tym razem jestem przygotowana, ojczy. Możesz mnie bić, dopóki mnie nie zabijesz. Wszystko mi jedno! Nie poślubię bowiem Kwintusa Pompejusza, a ty nie możesz mnie zmusić!

- Choćbym cię miał związać i napoić narkotykami, moja córko, poślubisz Kwintusa Pompejusza - powiedział Sulla tym łagodnym tonem, który poprzedzał u niego użycie siły.

Ona jednak, mimo swoich wybuchów płaczu i gniewu, była o wiele bardziej dzieckiem Sulli niż Julilli. Widać było, jak zapiera się stopami, jakby przygotowując się na uderzenie, a w jej oczach pojawiły szafirowe błyski.

- Nie wyjdę za Kwintusa Pompejusza!

- Na wszystkich bogów, Kornelio, wyjdiesz za niego!

- Nie wyjdę!

W zwykłych okolicznościach takie nieposłuszeństwo wzbudziłoby w Sulli niepohamowaną wściekłość. Teraz jednak, może dlatego, że ujrzał w jej twarzy coś ze zmarłego syna, okazał się niezdolny do prawdziwego gniewu. Parsknął tylko złowieszczo.

- Czy wiesz córko, kim jest Pietas? - spytał.

- Oczywiście, że wiem - odrzekła. - To Powinność.

- Rozszerz tę definicję, Kornelio.

- To bogini powinności.

- Jakiego rodzaju powinności?

- Wszelkiego rodzaju.

- Włącznie z posłuszeństwem, jakie dzieci winne są rodzicom, czyż nie tak? - spytał Sulla łagodnie.

- Tak - odpowiedziała Kornelia Sulla.

- Nieposłuszeństwo wobec *paterfamilias* to straszna rzecz, Kornelio. Nie tylko dlatego, że obraża ono Pietas. Prawo nakazuje ci być posłuszną głowie rodziny. Jestem *paterfamilias* - powiedział surowo Sulla.

- Mam pierwszy obowiązek wobec siebie - odparła heroicznie.

Wargi Sulli zaczęły drżeć.

- Tak nie jest, córko. Masz pierwszy obowiązek wobec mnie. Jesteś w moim ręku.



- W ręku czy nie w ręku, ojczy, nie zdradzę samej siebie!

Drżenie ust ustało. Sulla wybuchnął gromkim śmiechem.

- Ach, idźże już! - powiedział, gdy tylko był w stanie, i krzyknął jeszcze za nią, wciąż się śmiejąc: - Będiesz posłuszna albo sprzedam cię w niewolę! Mogę to zrobić i nic mnie nie powstrzyma!

- Jestem już niewolnicą! - odkrzyknęła.

Jakim świetnym byłaby żołnierzem! Kiedy tylko minęło rozbawienie, Sulla zasiadł do pisania listu do owego greckiego obywatela Smyrny, Publiusza Rutyliusza Rufusa.

*Oto, co się wydarzyło, Publiusz Rutyliusz. Ta zuchwała bestyjka wykołowała mnie! Nie zostawiła mi innego wyboru niż wprowadzenie w życie moich gróźb, co nie zbliży mnie wcale do wyboru na konsula w przymierzu z Kwintusem Pompejuszem. Nie będę miał żadnego pożytku z martwej albo sprzedanej w niewolę - i tak samo młody Kwintus Pompejusz nie będzie miał z niej pożytku, jeśli ją zwiążę i napoję narkotykiem, żeby ją przyprowadzić przed ślubny ołtarz! Co więc mam robić? Pytam Cię bardzo poważnie i w wielkiej desperacji - co mam robić? Pamiętam rodzinną legendę, że to Ty rozstrzygnąłeś dylemat Marka Aureliusza Kotty, kiedy musiał wybrać męża dla Aurelii. Oto masz inny podobny dylemat do rozstrzygnięcia, o ceniony i podziwu godny doradco.*

*Stan spraw jest taki, że gdyby nie moje kłopoty z wydaniem córki za męża, i tak nie przestałbym pisać do Ciebie. Skoro zaś zacząłem, mogę równie dobrze opowiedzieć Ci o tym, co się wydarzyło.*

*Pozostawiłem naszego pryncypsa senatu przy pisaniu własnego listu do Ciebie, nie muszę więc zawiadamiać Cię o straszliwej katastrofie Gajusza Mariusza. Ograniczę się do ukazania mych lęków i nadziei na przyszłość. Mogę przynajmniej spodziewać się, że włożę swoją toga praetexta i zasiądę na kurulnym krześle z kości słoniowej, kiedy będę konsulem, bo senat polecił urzędnikom kurulnym po zwycięstwie Gajusza Mariusza - i moim! - nad Marsami Silona występowanie w pełnych regaliach. Miejmy nadzieję, że były to już ostatnie z tych głupich, pustych gestów żałoby i niepokoju.*

*Wydaje się obecnie bardzo prawdopodobne, że konsulami na rok przyszły zostaną: Lucjusz Porcjusz Katon Licynianus i - co za okropna myśl! - Gnejusz Pompejusz Strabon. Straszliwa dwójka!*

*Pomarszczony koci tyłek i arogancki barbarzyńca, który widzi tylko koniec swego nosa. Wyznaję, że przestałem rozumieć, jakim sposobem i dlaczego niektórzy ludzie dochodzą do konsulatu. Najwyraźniej nie wystarcza być dobrym pretorem miejskim albo cudzoziemskim, albo też mieć karierę wojskową tak długą i świetną jak rodowód króla Ptolemeusza. Dochodzę do wniosku, że jedynym naprawdę ważnym czynnikiem jest bycie po stronie Ordo Equester. Jeśli nie podobasz się rycerzom, Publiusz Rutyliusz, możesz być nawet samym*



*Romulusem, a nie będziesz miał szans w wyborach na konsula. To rycerze posadzili Gajusza Mariusza sześciokrotnie na krześle konsula, z tego trzy razy in absentia. On nadal im się podoba! Z nim dobrze się prowadzi interesy. Ach, oni lubią także, kiedy ktoś ma znakomitych przodków, ale nie na tyle, by na niego głosować - chyba że rozwiąże on swe sakiewki naprawdę szeroko albo zaoferuje wszelkiego rodzaju dodatkowe powaby, jak korzystniejsze pożyczki albo wgląd we wszystko, nad czym zastanawia się senat.*

*Powiniennem już od dawna być konsulem. Byłem przecież pretorem już całe lata temu. Tak, to prynceps senatu udaremnił moje starania, ale zrobił to, wykorzystując rycerzy, których całe stada poszły za nim, becząc jak baranki. Mógłbyś powiedzieć, że coraz mniej podoba mi się Ordo Equester. Sam siebie pytam, czy nie byłoby cudowne zajmować taką pozycję, żeby robić z nimi, co się chce. Ach, dałbym im się we znaki, Publiusz Rutyluszu! Także i za Ciebie.*

*Skoro mowa o Pompejuszu Strabonie, jest on bardzo zajęty opowiadaniem całemu Rzymowi, jak to okrył się chwałą w Picenum. Prawdziwym ojcem jego względnie niedużego sukcesu jest moim zdaniem Publiusz Sulpicjusz, który przyprowadził mu armię z Galii italskiej i zadał ciężką klęskę połączonym siłom Picenów i Pelignów, zanim jeszcze nawiązał łączność z Pompejuszem Strabonem. Nasz zezowaty przyjaciel, niech go licho, siedział sobie wygodnie zamknięty w Firmum Picenum. W każdym razie opuścił teraz swoją letnią rezydencję i przypisuje sobie całą zasługę zwycięstwa nad Tytusem Lafreniuszem, który zginął wraz ze swymi ludźmi. O Publiuszu Sulpicjuszu (który był tam i wykonał większość pracy) nawet nie wspomina. A jakby tego nie było dość, agenci Pompejusza Strabona w Rzymie głoszą, że jego bitwa miała o wiele większe znaczenie niż działania Gajusza Mariusza przeciw Marsom i Marrucynom.*

*Ta wojna jest w punkcie zwrotnym. Czuję to w kościach.*

*Jestem pewien, że nie muszę wdawać się w szczegóły nowego prawa o nadaniu obywatelstwa, które Lucjusz Juliusz Cezar zamierza ogłosić w grudniu. List Skaurusa jest ich pełen, jak sobie wyobrażam. Ledwie przed paroma godzinami zawiadomiłem pryncypsa senatu o tym nowym prawie, sądząc, że zacznie ryczeć z oburzenia. On tymczasem był raczej zadowolony. Uważa kuszenie tamtych obywatelstwem za dobry pomysł, o ile nie obejmie tych, którzy walczą przeciw nam. Dręczy go myśl o Etrurii i Umbrii i liczy on, że kłopoty w obu rejonach skończą się, gdy Etruskowie i Umbryjczycy dostaną prawo głosu. Próbowałem mu bezskutecznie tłumaczyć, że prawo Lucjusza Juliusza to tylko początek - że już niedługo wszyscy Italczyki zostaną obywatelami rzymskimi, choćby rzymska krew na ich mieczach jeszcze nie zakrzepła. Pytam Cię, Publiusz Rutyluszu, o co właściwie walczyliśmy?*

*Odpisz mi od razu, jak sobie radzić z dziewczynami.*

*Sulla dołączył swój list do przesyłki, którą prynceps senatu wysłał do*



Smyrny przez specjalnego kuriera. Oznaczało to, że Rutyliusz Rufus otrzyma przesyłkę w ciągu miesiąca, a jego odpowiedź zostanie przywieziona przez tego samego kuriera po upływie podobnego czasu.

Istotnie, Sulla otrzymał odpowiedź w końcu listopada. Przebywał jeszcze w Kampanii, wspierając dochodzącego do zdrowia Lucjusza Cezara, któremu senat pochlebco przyznał triumf za zwycięstwo nad Mutilusem pod Acerre, wolać zignorować fakt, że obie armie wróciły pod Acerre i w czasie wydawania tego dekretu toczyły na nowo działania wojenne. Senat głosił, że wyłącznym powodem przyznania tego triumfu było okrzyknięcie Lucjusza Cezara imperatorem na polu bitwy przez jego żołnierzy. Kiedy usłyszał o tym Pompejusz Strabon, jego agenci podnieśli taką wrzawę, że senat zadekretował też triumf i dla niego. „Jakże nisko upadliśmy!”, myślał Sulla. „Triumfować nad Italczykami to żaden triumf.”

Ów honor nie poruszył wcale Lucjusza Cezara. Kiedy Sulla spytał go, jak ma przebiegać jego triumf, zrobił zdziwioną minę, a potem powiedział:

- Skoro nie ma żadnych łupów, nie trzeba niczego urządzać. Przeprowadzę po prostu moją armię przez Rzym i to wszystko.

Nadeszło zimowe zawieszenie broni. Wydawało się, że Acerre nie przejmuje się zbyt obecnością dwóch wielkich armii pod swymi bramami. Gdy Lucjusz Cezar robił pierwsze szkice swej ustawy o nadaniu pełni praw, Sulla udał się do Kapui, by pomóc Katulusowi Cezarowi i Metellusowi Piusowi Prosiakowi doprowadzić do gotowości te legiony, które zostały więcej niż zdziesiątkowane podczas drugiej akcji w Gardzieli Melfy. W Kapui zastał go list Rutyliusza Rufusa.

*Mój Drogi Lucjusz Korneliuszu, jak to jest, że ojcowie nigdy nie znajdują sposobu radzenia sobie z córkami? Jestem w rozpacz! Nie, żebym miał jakieś kłopoty z moją córką. Kiedy ją wydawałem za Lucjusza Kalpurniusza Pizona, była zachwycona. Niewątpliwie było tak dlatego, że była po prostu brzydula i to niezbyt majątną. Martwiła się nawet, że tata nie znajdzie jej męża w ogóle. Gdybym przyprowadził jej tamtego odpychającego syna Sekstusa Perkwitenu, chybaby zemdlą. Gdy wyczarowałem jej Lucjusza Pizona, uznała to za dar bogów i od tego czasu nie przestała mi dziękować. Ten związek jest tak szczęśliwy, że i następne pokolenie planuje to samo - córka mego syna ma zamiar poślubić syna mojej córki, kiedy będą w odpowiednim wieku. Tak, tak, wiem, co zwykł mówić stary Dziadek Cezar, ale to będzie pierwszy przypadek małżeństwa kuzynów po obu stronach. Będą mieli śliczne potomstwo.*

Rozwiązanie Twojego dylematu, Lucjusz Korneliuszu, jest naprawdę śmiesznie proste. Wymaga jedynie współdziałania Elia, bo Ty sam nie możesz mieć z tym na pozór nic wspólnego. Niech Elia zacznie od paru napomknień przy dziewczynie, że zmieniłaś zdanie co do wydania jej za mąż i że myślisz o kimś



innym. Elia musi też rzucić kilka imion - jakichś ludzi całkiem nie do przyjęcia jak ten syn Sekstusa Perkwitenu. Dziewczyna uzna to wszystko za jeszcze gorsze.

Ciężki stan Gajusza Mariusza jest - wybaczyć proszę dwuznaczność - uśmiechem losu, bo Mariusz Młodszy nie może wstępować w żadne związki małżeńskie, dopóki paterfamilias jest niezdolny do działania. Otóż, jest rzeczą zasadniczą żeby dać Kornelii Sulli szansę spotkania się prywatnie z Mariuszem Młodszym. Dowie się wtedy, że jej mąż może być dużo gorszy niż młody Kwintus Pompejusz. Każ Elii wziąć dziewczynę ze sobą do Julii, w czasie gdy Mariusz Młodszy będzie w domu, i niech nic nie przeszkodzi ich spotkaniu - najlepiej dopilnuj, żeby Julia zrozumiała, co się dzieje!

Mariusz Młodszy jest zepsutym samolubem. Wierz mi, Lucjuszu Korneliuszu, że nie zrobi ani nie powie niczego, co podbiłoby serce Twojej tęskniącej za miłością córki. Poza chorobą ojca myśli on teraz głównie o tym, komu wyświadczyć honor znoszenia go w swoim sztabie jako kadeta. Jest dość bystry, by rozumieć, że ten ktoś nie zostawi mu ani jednej dziesiątej tej swobody, jaką miał przy ojcu - ale niektórzy dowódcy są bardziej wyrozumiali od innych. Z listu Skaurusa wiem, że nikt go nie chce i nikt nie zamierza prosić właśnie o niego, tak więc jego los zależy wyłącznie od kaprysu komitetu kierującego contubernalis. Moja siatka informatorów donosi mi, że Mariusza Młodszego interesują ogromnie kobiety i wino, i to niekoniecznie w tej kolejności. To jeszcze jeden powód, dla którego nie wpadnie on w ekstatyczny zachwyt na widok Kornelii Sulli, pamiątki jego dzieciństwa - ku której, mając piętnaście czy szesnaście lat, kierował czułe myśli i zapewne wykorzystywał jej życzliwość na różne sposoby, czego ona nawet nie zauważyła. On jednak nie różni się bardzo od tego, jakim był kiedyś. Myśli, że jest kimś innym, i na tym polega różnica, ona zaś zachowała w pamięci własny jego obraz. Wierz mi, Lucjuszu Korneliuszu, on popełni wszystkie możliwe błędy, a ona go jeszcze na dodatek zirytuje.

Kiedy już dziewczyna będzie miała za sobą spotkanie z Mariuszem Młodszym, powiedz Elii, by powtarzała, że jej zdaniem wycofujesz się z przymierza z Pompejuszem Rufusem i że potrzebujesz poparcia jakiegoś bardzo bogatego rycerza.

A teraz zdradzę Ci pewien nieoceniony sekret dotyczący kobiet, Lucjuszu Korneliuszu. Kobieta może podjąć niezłomne postanowienie, że nie chce jakiegoś starającego się o jej rękę; jeśli jednak ów zalotnik wycofa się nagle z powodów innych niż odtrącenie jego zalotów, kobieta nieuchronnie decyduje się przyjrzeć bliżej zdobyczy, która jej się wymyka. Bądź co bądź, ta dziewczyna nigdy nawet nie widziała swojej ryby! Elia musi wymyślić jakiś przekonujący powód, dla którego Kornelia Sulla zostanie zobligowana, by wziąć udział w obiedzie w domu Kwintusa Pompejusza Rufusa - ojciec jest w Rzymie na urlopie albo matka jest chora, albo cokolwiek innego. Czy droga Kornelia Sulla mogłaby przełknąć swą niechęć na tyle, by zjeść jeden posiłek w obecności jej pogardzanej ryby? Ręczę Ci,



*Lucjusz Korneliuszu, że się zgodzi. A potem - jako że widziałem tę jej rybę - jestem całkowicie przekonany, że dziewczyna zmieni zdanie. On jest dokładnie taki, że przemówi do jej wyobraźni. Zawsze będzie mądrzejsza od niego i bez żadnego kłopotu zostanie głową domu. Nie można się temu oprzeć! Jest bowiem tak podobna do Ciebie.*

Sulla odłożył list, czując zamęt w głowie. Proste? Jak może Publiusz Rutyliusz układać tak zawiły plan i mieć tupet nazywać go prostym? Manewry wojskowe byłyby mniej skomplikowane! Warto jednak spróbować. Warto spróbować wszystkiego. Podjął więc lekturę w nieco weselszym nastroju, ciekaw, co jeszcze ma Rutyliusz Rufus do powiedzenia.

*Sprawy w moim małym kącie naszego szerokiego świata nie wyglądają dobrze. Przypuszczam, że nikt w Rzymie nie ma obecnie czasu ani chęci na zajmowanie się wydarzeniami w Azji Mniejszej.*

*Gdzieś tam jednak, w urzędach senatu leży pewien raport, z którym do tej chwili powinien się już zapoznać nasz prynceps senatu. Przeczyta też list, który wysłałem mu przez tego samego kuriera.*

*Mamy pontyjską marionetkę na tronie Bitynii. Tak, król Mitrydates najechał Bitynię, gdy tylko zdobył pewność, że Rzym odwrócił się w inną stronę. Rzekomym przywódcą tego najazdu jest Sokrates, młodszy brat króla Nikomedesa III - co tłumaczy, że Bitynia wciąż nazywa się wolnym krajem, zamieniwszy jedynie króla Nikomedesa na króla Sokratesa. Wygląda to na sprzeczność terminów - nazywać króla Sokratesem, nieprawdaż? Czy możesz sobie wyobrazić Sokratesa z Aten, pozwalającego ukoronować się na króla? Nikt jednak w prowincji Azji nie ma złudzeń co do „wolnej” Bitynii. We wszystkim, oprócz nazwy Bitynia, jest obecnie lennem króla Pontu Mitrydatesa - który musi, nawiasem mówiąc, zżymać się na opieszałość króla Sokratesa! Król Sokrates pozwolił bowiem uciec królowi Nikomedesowi. Mimo swego wieku Nikomedes przeskoczył Hellespont ze zręcznością kozła. W Smyrnie krążą pogłoski, że jest on w drodze do Rzymu, by wnieść skargę o utratę tronu, na którym posadzili go łaskawie senat i lud rzymski. Zobaczysz go w Rzymie przed końcem roku obciążonego większą częścią zawartości bityńskiego skarbcza.*

*Jakby jednego nie było dość, mamy też nową pontyjską marionetkę na tronie Kapadocji. Mitrydates z Tigranesem wjechali w tandemie do Euzebii Mazaki i wprowadzili na tron jeszcze jednego syna Mitrydatesa. Znowu jest to Ariarates, ale chyba nie ten Ariarates, z którym rozmawiał Gajusz Mariusz. Król Ariobarzanes był równie rączy jak król Bitynii Nikomedes. I on umknął, znacznie wyprzedzając prześladowców. Dotrze do Rzymu z petycją niezbyt długo po Nikomedesie. Niestety, jest o wiele uboższy!*

*Lucjusz Korneliuszu, jestem przekonany, że naszą prowincję Azję czekają*



*poważne kłopoty. Wielu mieszkańców prowincji nie zapomniało jeszcze dni triumfu publikańów. W wielu słowo „Rzym” budzi wstręt. Obawiam się, że, jeśli - albo raczej kiedy - król Mitrydates spróbuje odebrać nam prowincję Azję, zostanie powitany z otwartymi ramionami.*

*Wiem, że wszystko to nie jest Twoim problemem. Spadnie to na Skaurusa, który pisze mi, że nie czuje się najlepiej.*

*Pewnie jesteś teraz pogrążony w swoich grach wojennych w Kampanii. Zgadza się z Tobą, ta wojna znajduje się w punkcie zwrotnym. Biedni Italczycy! Z obywatelstwem czy nie, pozostaną bez przebaczenia przez wiele przyszłych pokoleń.*

*Daj mi znać, jak się potoczyły sprawy Twojej córki. Przepowiadam, że Miłość postąpi, jak zechce.*

Zamiast próbować wyjaśniać żonie plan Publiusza Rutyliusza Rufusa, Sulla po prostu posłał Elii część listu z pismem polecającym dokładne wykonanie jego wskazań - zakładając, że się w nich zorientuje.

Elia najwyraźniej nie miała żadnych trudności ze zrozumieniem. Kiedy Sulla przybył do Rzymu z Lucjuszem Cezarem, zastał swój dom pełen harmonii, promienną i czułą córkę, i weselne plany.

- Wszystko potoczyło się tak, jak przewidywał Rutyliusz. Rufus - mówiła radośnie Elia. - Kiedy się spotkali, Mariusz Młodszy okazał się gburem. Biedaczka! Poszła ze mną do domu Gajusza Mariusza pewna, że Mariusz Młodszy rzuci jej się ze łzami w ramiona. Tymczasem zastała go bliskiego furii, bo właśnie dostał rozkaz pozostania przy swoim dawnym dowództwie. Wodzem, który zastąpi Gajusza Mariusza, będzie zapewne jeden z nowych konsulów, a Mariusz Młodszy nienawidzi ich obu. Chyba próbował dostać przydział do ciebie, ale senacki komitet do spraw kadetów odmówił mu bardzo chłodno.

- Powitałbym go jeszcze chłodniej, gdyby do mnie trafił - rzekł Sulla.

- Chyba najbardziej złościło go to, że nikt go nie chciał. Oczywiście winił za tę niepopularność swego ojca, ale w duchu musiał podejrzewać, że chodzi o jego własne słabe strony. - Elia podskoczyła w triumfie. - Nie chciał współczucia Kornelii i nie chciał jej uwielbienia. Był dla niej, jeśli mam wierzyć Kornelii, naprawdę wstrętny.

- Zdecydowała się więc wyjść za młodego Kwintusa Pompejusza.

- Nie od razu, Lucjuzu Korneliuszu! Najpierw pozwoliłam jej płakać przez dwa dni. Potem powiedziałam, że skoro już nie nalegasz na jej małżeństwo z młodym Kwintusem Pompejuszem, mogłaby pójść na obiad do jego domu. Tylko po to, żeby zobaczyć, jak on wygląda. Zaspokoić ciekawość.

Sulla uśmiechał się szeroko.

- I co się stało?



- Popatrzyli na siebie i spodobało im się to, co zobaczyli. Przy obiedzie siedzieli naprzeciw siebie i rozmawiali jak starzy przyjaciele. - Elia była tak zadowolona, że wzięła męża za rękę i uściśniła ją. - Mądrze zrobiłeś, nie mówiąc Kwintusowi Pompejuszowi, że twoja córka jest niechętna. Cała rodzina była nią zachwycona.

Sulla wyszarpnął rękę.

- Czy ustalono datę wesela?

Zachmurzona Elia skinęła głową.

- Zaraz po wyborach. - Podniosła na Sullę wielkie smutne oczy. - Mój drogi, czemu mnie nie lubisz? Tak bardzo się staram.

Spochmurniał i odsunął się.

- Nudzisz mnie, Elio. To jedyny powód.

I już go nie było. Stała nieruchomo, zmartwiona i uradowana zarazem. Nie powiedział, że chce się z nią rozwieść. Lepszy czerstwy chleb niż żaden.



Wiadomość, że Aesernia poddała się w końcu Samnitom, nadeszła krótko po przybyciu Lucjusza Cezara i Sulli do Rzymu. Miasto zostało dosłownie zagłodzone, zjadając wszystkie swoje psy, koty, muły, osły, konie, owce i kozy, zanim skapitulowało. Marek Klaudiusz Marcellus osobiście przekazał Aesernię, po czym zniknął i nikt nie wiedział gdzie. Z wyjątkiem Samnitów.

- Nie żyje - powiedział Lucjusz Cezar.

- Masz chyba słuszność - przyznał Sulla.

Lucjusz Cezar nie wracał oczywiście do walki. Jego kadencja jako konsula dobiegała końca. Wiosną miał nadzieję ubiegać się o wybór na cenzora, nie zamierzał więc służyć dalej jako legat przy nowym naczelnym dowódcy południowego teatru wojny.

Nowi trybunowie ludowi byli silniejsi niż w ostatnich latach, być może dlatego, że cały Rzym mówił o powszechnym nadaniu praw, oni zaś byli po stronie postępu i w większości za łagodnym traktowaniem Italczyków. Przewodniczącym kolegium był Lucjusz Kalpurniusz Pizon, który miał drugi *cognomen* Frugi, dla odróżnienia od Kalpurniusza Pizona z drugim przydomkiem Cezoninus, który związał się kiedyś przez małżeństwo z Publiuszem Rutyliuszem Rufusem. Pizon Frugi, silny mężczyzna o znanych skłonnościach konserwatywnych, oświadczył z góry, że będzie z zasady sprzeciwiał się dwóm najbardziej radykalnym trybunom ludowym, Gajuszowi Papiriuszowi Karbonowi i Markowi Plaucjuszowi Sylwanowi, jeśli spróbują zignorować ograniczenia ustawy Lucjusza Cezara i nadać obywatelstwo także tym Italczykom, którzy brali udział w wojnie. Zgodził się nie sprzeciwiać tej ustawie tylko pod wpływem namów Skaurusa i innych szanowanych przez siebie ludzi. Znów ożyło zainteresowanie sprawami rozgrywającymi się na Forum, które prawie całkowicie zamarło na czas wojny. Nadchodzący rok



obietcywał interesujące współzawodnictwo polityczne.

Daleko bardziej przygnębiające były wybory centurialne, przynajmniej na poziomie konsularnym. Dwaj główni kandydaci byli uznawani za zwycięzców już od dwóch miesięcy, a teraz okazali się niepodważalnie zwycięzcami. To, że Gnejusz Pompejusz Strabon był starszym konsulem a Lucjusz Porcjusz Katon Licynianus młodszym, przypisywali wszyscy temu, że Pompejusz Strabon odbył triumf na kilka dni przed wyborami.

- Cóż za patetyczne triumfy! - mówił prynceps senatu Skaurus do Lucjusza Korneliusza Sulli. - Najpierw Lucjusz Juliusz, a teraz Gnejusz Pompejusz, wyobraź sobie! Czuję się naprawdę staro!

„I wygląda naprawdę staro”, pomyślał Sulla, czując przyływ niepokoju. Jeśli brak Gajusza Mariusza zapowiadał odrętwienie i pozbawione wyobraźni działania na polu bitwy, czym byłby brak Marka Emiliusza Skaurusa na innym polu bitwy, na Forum Romanum? Kto na przykład zająłby się tymi drobnymi, ale ostatecznie bardzo ważnymi sprawami zagranicznymi, w które zawsze uwikłany był Rzym? Kto utrzymywałby na właściwych miejscach głupców w rodzaju Filipa i aroganckich dorobkiewiczów w rodzaju Kwintusa Wariusza? Kto stawiałby czoło wszystkiemu, co przynosi los, tak nieustraszenie, z taką pewnością siebie i taką wyższością? Prawda była taka, że od czasu udaru Gajusza Mariusza Skaurus wyraźnie zamknął się w sobie. Choć darli koty przez ponad czterdzieści lat, potrzebowali siebie nawzajem.

- Dbaj o siebie, Marku Emiliuszu! - powiedział nagle z naciskiem Sulla zdjęty złym przecuciem.

Zielone oczy zaiskrzyły się.

- Wszyscy musimy kiedyś odejść!

- Prawda, ale na ciebie jeszcze nie czas. Rzym cię potrzebuje. Bez ciebie będziemy zdani na łaskę Lucjusza Juliusza Cezara i Lucjusza Marcjusza Filipa - a cóż to byłby za los!

Skaurus zaczął się śmiać.

- Czy to najgorsze, co może spotkać Rzym?- Przechylił głowę na bok niczym stary wychudzony sęp. - W pewnych sprawach popieram cię z całą mocą, Lucjuszu Korneliuszu. Co do innych czuję, że Rzymowi byłoby dużo gorzej w twoich rękach niż Filipa. Może nie jesteś urodzonym wojskowym, ale większość swoich senatorskich lat spędziłeś w armii. Ja zaś widzę, że wiele lat spędzonych w armii czyni z senatorów autokratów takich jak Gajusz Mariusz. Kiedy dochodzą do wysokich urzędów, nie mają ochoty stosować się do reguł gry.

Stali przed księgarnią Sozjusza na Argiletum, gdzie od dziesiątków lat ustawiano najlepsze w Rzymie kramy z przekąskami. Rozmawiali, jedząc placuszki wypełnione kremem z rodzynekami i miodem. Jakiś bystrooki urwis czuwał przy nich, gotów podać miednicę z gorącą wodą i ręcznik, bo placki



były tłuste i lepkie.

- Kiedy nadejdzie mój czas, Marku Emiliuszu, Rzymowi będzie w moich rękach tak, jak będzie na to zasługiwał. Jedno ci mogę obiecać: Rzym nie przyniesie wstydu naszym przodkom. Ani też nie będą nim rządzić podobni do Saturnina - powiedział szorstko Sulla.

Skaurus skończył jeść swoje ciastko i strzelił lepкими palcami na urwisa, zanim ten zdążył przyskoczyć nie wołany. Skupił się później na myciu i wycieraniu rąk, i dał chłopcu całą sestercję. Potem zaś, gdy Sulla poszedł za jego przykładem (dając chłopcu znacznie mniejszą monetę), podjął rozmowę.

- Miałem kiedyś syna - powiedział bez drżenia głosu - który nie spełnił moich oczekiwań. Był mięczakiem i tchórzem, choć był też miłym z natury młodym człowiekiem. Teraz mam innego syna, zbyt młodego jeszcze, by wiedzieć, co z niego wyrośnie. Moje pierwsze doświadczenie nauczyło mnie jednak jednego, Lucjuszu Korneliuszu. Nie ma znaczenia świetność naszych przodków, bo w końcu musimy polegać na potomkach.

Sulla skrzywił się.

- Mój syn także umarł, ale nie mam innego.

- W takim przypadku, ma to znaczenie.

- Czy myślisz, że wszystko zależy od przypadku, pryncepsie senatu?

- Nie, nie myślę. Byłem tu, by powstrzymać Gajusza Mariusza. Rzym żądał tego ode mnie; byłem więc na rozkaz Rzymu. Dziś jednak widzę w tobie więcej z Mariusza niż ze Skaurusa. I nie widzę na horyzoncie nikogo, kto mógłby cię powstrzymać. Co może się okazać groźniejsze dla *mos maiorum* niż tysiąc podobnych do Saturnina.

- Obiecuję ci, Marku Emiliuszu, że Rzymowi nie zagrozi z mojej strony żadne niebezpieczeństwo. - Sulla zastanowił się nad tym oświadczeniem i uściślił je: - Mam na myśli twój Rzym, nie Saturnina.

- Bardzo na to liczę, Lucjuszu Korneliuszu.

Ruszyli w stronę senatu.

- Jak rozumiem, Katon Licynianus wybrał kierowanie sprawami w Kampanii - powiedział Skaurus. - Trudniej z nim sobie poradzić niż z Lucjuszem Juliuszem Cezarem, jest równie niepewny, ale bardziej apodyktyczny.

- Nie będę miał z nim kłopotu - odparł spokojnie Sulla. - Gajusz Mariusz nazywał go groszkiem, a jego kampanię w Etrurii groszkową sprawą. Wiem, jak sobie radzić z groszkiem.

- Jak?

- Zgnieść go.

- Wiesz, że nie dadzą ci dowództwa. Próbowałem.

- To nie ma znaczenia - uśmiechnął się Sulla. - Obejmę dowództwo, kiedy zgniotę groszek.

W ustach kogo innego zabrzmiałoby to jak przechwałki, a Skaurus śmiałby



się z tego. W ustach Sulli brzmiało to jak złowieszcza przepowiednia, Skaurusa zaś przeszedł dreszcz.



Świadom tego, że trzeciego stycznia skończy siedemnaście lat, Marek Tuliusz Cynceron zaprezentował swe szczupłe ciało komisji wojskowej na Polu Marsowym zaraz po wyborach centurialnych. Napuszony młodzik tak bardzo zaprzyjaźniony z Sullą Młodszym stał się ostatnio znacznie spokojniejszy. Mając prawie siedemnaście lat, był pewien, że zaszła już jego gwiazda, a jej krótkotrwała świetność na horyzoncie została przyćmiona straszliwą łuną wojny domowej. Tam, gdzie kiedyś błyszczał, w ośrodku zainteresowania i podziwu wielkiego tłumu, nie było teraz nikogo i być może nigdy już nie będzie. Zamknięte zostały wszystkie sądy, z wyjątkiem trybunału Kwintusa Wariusza. Pretor miejski, który powinien być ich zwierzchnikiem, pod nieobecność konsulów rządził Rzymem. Skoro Italczykom wiodło się tak dobrze, wydawało się bardzo prawdopodobne, że sądy nigdy już się nie otworzą. Oprócz Scewoli Augura, który miał ponad dziewięćdziesiąt lat i nie był już aktywny, znikli gdzieś wszyscy mentorzy i nauczyciele Cyncerona. Krassus Orator nie żył, a pozostałych wciągnął wir wojny, legalne zapomnienie.

Najbardziej trwożyło Cyncerona to, że nikt nie wydawał się ani trochę zainteresowany jego losem ani nim samym. Kilku znanych mu wielkich ludzi, nadal przebywających w Rzymie, było zbyt zajętych, by się nim kłopotać. Oni naprawdę martwili się o niego, biorąc pod uwagę jego ciężkie położenie i jego wyjątkowość - ale nie udało mu się uzyskać posłuchania u żadnego z nich, od pryncypsa senatu Skaurusa do Lucjusza Cezara. Mimo wszystko był zbyt małą płótką niespełna siedemnastoletnią osobliwością z Forum. Dlaczego właściwie mieliby interesować się nim wielcy ludzie? Jak powiadał jego ojciec (teraz klient zmarłego), zapomnij o jakimś specjalnym stanowisku i rób, co się zdarzy.

Kiedy stawił się przed komisją na Polu Marsowym po stronie Via Lata, nie ujrzał w niej ani jednej znajomej twarzy. Byli tam podstarzali senatorowie z tylnych ław skazani na tę pracę równie uciążliwą, co ważną i najwyraźniej nie sprawiającą im przyjemności. Przewodniczący był jedynym, który podniósł oczy, kiedy przyszła kolej na Cyncerona - pozostali byli zajęci przeglądaniem jakichś wielkich zwojów - i zmierzył wzrokiem postać Cyncerona (która zawsze wyglądała dziwnie z winy wielkiej jak dynia głowy) bez cienia entuzjazmu.

- Imię i nazwisko?
- Marek Tuliusz.
- Imię i nazwisko dziadka?
- Marek Tuliusz.



- *Tribus*?
- Kornelia.
- Przydomek, jeśli jest?
- Cynceron.
- Klasa?
- Pierwsza - *eques*.
- Ojciec ma państwowego konia?
- Nie.
- Stać cię na własny ekwipunek?
- Oczywiście.
- Czytasz i piszesz?
- Oczywiście!
- Twoja *tribus* jest wiejska. Jaki okręg?
- Arpinum.
- Ach, kraj Gajusza Mariusza! Kto jest patronem twego ojca?
- Lucjusz Licyniusz Krassus Orator.
- Obecnie zaś nikt?
- Nie, obecnie nikt.
- Przeszedłeś wstępne wykształcenie?
- Nie.
- Odróżnisz jeden koniec miecza od drugiego?
- Jeśli chodzi o to, czy potrafię użyć miecza, nie.
- Jeździsz konno?
- Tak.

Przewodniczący skończył zapisywanie i znów podniósł wzrok z cierpkim uśmiechem.

- Wróć tu na dwa dni przed nonami stycznia, Marku Tulliuszu, a dostaniesz swój przydział wojskowy.

Otóż to! Ze wszystkich możliwych dni kazano mu stawić się akurat w dniu urodzin. Cynceron opuścił komisję z uczuciem upokorzenia. Nawet go nie rozpoznali! Musieli przecież widzieć i słyszeć o jego wyczynach na Forum! Jeśli tak było, dobrze to ukrywali. Najwyraźniej mieli zamiar skierować go do służby wojskowej. Gdyby prosił o przydział do urzędników, uznaliby go za tchórza, był aż nazbyt inteligentny, by tego nie rozumieć. Milczał więc, bo nie chciał, by po latach jakiś rywal w ubieganiu się o konsulat wy dobył na jaw ciemną plamę na jego nazwisku.

Przyjaźniąc się ze starszymi od siebie, nie miał teraz nikogo, komu mógłby się zwierzyć. Wszyscy oni służyli w wojsku gdzieś poza Rzymem, od Tytusa Pomponiusza do różnych bratanków i siostrzeńców jego zmarłego patrona oraz jego własnych kuzynów. Sulla Młodszy, jedyny przyjaciel, którego mógłby odszukać, nie żył. Nie miał się dokąd udać oprócz domu. Skierował się na Vicus



Cuprius i szedł ciężkim krokiem ku domowi swego ojca na Karynach, wyglądając - i czując się - jak wcielenie rozpacz.

Wszyscy siedemnastoletni obywatele rzymscy musieli zgłaszać się do służby wojskowej - nawet Policzeni Głowami - jednak aż do wybuchu wojny z Italczykami Cynceron nie wyobrażał sobie, by mógł zostać powołany do prawdziwej wojaczki. Zamierzał wykorzystać swoich nauczycieli z Forum dla zapewnienia sobie jakiegoś stanowiska, aby zabłysły jego talenty literackie, on zaś nie musiałby nosić kolczugi i miecza, chyba że na paradzie. Nie miał jednak szczęścia, to było jasne. Przeczuwał, że czeka go życie trudne do zniesienia, że zginie.

Nigdy nie czując się dobrze w Rzymie, jego ojciec wrócił do Arpinum, zaopatrzyć swój rozległy majątek ziemski na zimę. Cynceron wiedział, że ojciec nie wróci przed wcieleniem starszego syna do wojska. Młodszy brat Cyncerona, ośmioletni Kwintus, odjechał do domu wraz z ojcem. Nie był tak bystry jak Marek i w skrytości wolał życie na wsi. Tak więc matka Cyncerona Helwia musiała zostać w Rzymie, by prowadzić dom synowi i miała mu to za złe.

- Same z tobą kłopoty! - powiedziała, kiedy przyszedł do niej, szukając współczucia. - Gdyby nie ty, byłabym w domu z twoim ojcem, on zaś nie musiałby płacić za ten potwornie drogi dom. W całym tym mieście nie ma ani jednego niewolnika, który nie byłby złodziejem i łajdakiem. Muszę przez to spędzać cały swój czas, jeśli nie na sprawdzaniu ich rachunków, to na pilnowaniu ich na każdym kroku. Dolewają wody do wina. Wystawiają mi rachunki za najlepsze oliwki, a potem podają najgorsze. Kupują tylko połowę tej ilości chleba i oliwy, za którą płacę, a sami jedzą i piją o wiele za dużo. Muszę robić wszystkie zakupy sama. - Urwała by zaczerpnąć tchu. - To wszystko twoja wina, Marku! Twych obłąkanych ambicji! Znaj swoje miejsce, stale to powtarzam i nikt mnie nie słucha. Ty rozmyślnie zachęcasz ojca do marnowania naszych pieniędzy na twoją naukę. Nigdy nie będziesz drugim Gajuszem Mariuszem i dobrze o tym wiesz! Nigdy nie widziałam tak niezdarnego chłopca. I powiedz mi, co komu przyjdzie z Homera i Hezjoda? Papierem się nie najesz. Na papierze nie zrobisz kariery. Ja zaś jestem tu uwiązana tylko dlatego...

Nie czekał, by usłyszeć więcej. Marek Tuliusz Cynceron uciekł, zatykając uszy, do swojej pracowni.

Jej posiadanie zawdzięczał ojcu, który przekazał swemu świetnemu, niezwykle obiecującemu synowi to, co powinno należeć do niego. Początkowo to ojciec miał ambicje, szybko jednak przeniósł je na syna. Trzymać takiego potomka w Arpinum? Nigdy! Do narodzin Cyncerona jedynym sławnym człowiekiem z Arpinum był Gajusz Mariusz, a Tuliuszowie Cynceronowie uważali się za kogoś lepszego od Mariuszów, bo przewyższali ich intelektualnie. Pozwalali zatem Mariuszom dostarczać światu ludzi czynu i



wojowników - Tulliuszowie Cynceronowie wydawali myśliciele. Ludzie czynu przychodzą i odchodzą. Myśliciele żyją wiecznie.

Ów początkujący myśliciel zamknął drzwi pracowni przed matką i zasunął rygiel, a potem wybuchnął płaczem.

W dniu swych urodzin Cynceron wrócił z drżącymi kolanami przed komisję na Polu Marsowym i przeszedł znacznie skróconą wersję przesłuchania.

- Pełne nazwisko wraz z przydomkiem.
- Marek Tulliusz Cynceron Młodszy.
- *Tribus?*
- Kornelia.
- Klasa?
- Pierwsza.

Kazano przynieść zwoje z rozkazami na dzień dzisiejszy i odszukano jego zwój. Dano mu go do przekazania dowódcy. Praktyczny umysł rzymski nie przeoczył możliwości zignorowania rozkazów ustnych. Kopia już była w drodze do werbowników w Kapui.

Przewodniczący komisji przeczytał pracownice całkiem obszerne uwagi wpisane do rozkazu Cyncerona, a potem spojrział na niego chłodno.

- No cóż, Marku Tulliuszu Cynceronie Młodszy, wstawiono się za tobą w odpowiedniej chwili. Pierwotnie mieliśmy cię wysłać do służby jako legionistę i poszedłbyś do Kapui. Nadeszło jednak specjalne życzenie pryncypsa senatu, by cię przydzielić do sztabu jednego z konsulów. Zgodnie z nim, zostałeś przydzielony do sztabu Gnejusza Pompejusza Strabona. Zamelduj się u niego w domu jutro o świcie po instrukcje. Ta komisja stwierdza, że nie otrzymałeś żadnego wstępnego wykształcenia, zalecamy zatem, byś spędzał czas przed podjęciem obowiązków na placach musztry na Polu Marsowym. To wszystko. Możesz odejść.

Kolana Cyncerona przestały drżeć, gdy przepływało przezeń uczucie ulgi. Wziął swój cenny zwój i odszedł pośpiesznie. Służba w sztabie! Ach, niech cię wszyscy bogowie mają w opiece, Marku Emiliuszu Skaurusie, pryncypsie senatu! Dzięki ci, dzięki! Okażę się Gnejuszowi Pompejuszowi Strabonowi nieocenioną pomocą - będę historykiem jego armii albo będę układał jego mowy, i nigdy nie będę musiał dobyć miecza!

Nie miał najmniejszego zamiaru ćwiczyć na Polu Marsowym. Próbował tego w szesnastym roku życia i zdążył się już przekonać, że brak mu zwinności nóg, zręczności ręki, bystrości oka i przytomności umysłu. W ciągu krótkiego czasu nauki władania drewnianym mieczem zdążył znaleźć się w centrum zainteresowania. Nie był to jednak niestety krąg zdjętych podziwem i grozą widzów jak na Forum. Widzowie na Polu Marsowym zrywali boki, patrząc na jego wygłupy. Z upływem czasu stał się pośmiewiskiem wszystkich innych chłopców. Szydzono z jego wysokiego, przenikliwego głosu, przedrzeźniano



jego śmiech podobny do rżenia, uważano jego erudycję za przekraczającą granice żartu, a jego dojrzałość umysłową za godną głównej roli w jakiejś farsie. Marek Tulliusz Cynceron porzucił szkolenie wojskowe, przyrzekając sobie, że nigdy do niego nie wróci. Żaden piętnastolatek nie lubi być pośmiewiskiem, ten jednak piętnastolatek zaznał już sławy i uznania dorosłych i uważał się za przypadek szczególny pod każdym względem.

Od tamtego czasu powtarzał sobie, że niektórzy ludzie nie są stworzeni do bycia żołnierzami i on jest właśnie takim człowiekiem. To nie było tchórzostwo! To był raczej całkowity brak sprawności fizycznej, nie oznaczający bynajmniej wrodzonej słabości charakteru. Chłopcy w jego wieku byli głupi, niewiele lepsi od zwierząt. Cenili sobie swoje ciała, ale nie umysły. Czy nie rozumieli, że ich umysły będą godne podziwu jeszcze długo po tym, jak ich ciała zaczną się starzeć? Co było tak pociągającego w trafianiu włócznią dokładnie w środek celu albo w ucinaniu głów słomianym manekinom? Cynceron był dość bystry, by dostrzegać, że ćwiczebne tarcze i słomiani ludzie byli zaledwie dalekim echem pola bitwy i że wielu młodocianych zabójców tych symboli nie mogło znieść rzeczywistości.

O świcie następnego dnia stawił się spowity w swoją *toga virilis* w domu Gnejusza Pompejusza Strabona na Palatynie, od strony Forum. Kiedy zobaczył setki czekających tam ludzi, zapragnął, by ojciec był przy nim. Kilku rozpoznało go jako cudowne dziecko retoryki, ale nikt nie nawiązał z nim rozmowy i stopniowo został zepchnięty w najciemniejszy kąt rozległego atrium Pompejusza Strabona. Czekał tam całymi godzinami, patrząc, jak tłum rzednie, aż ktoś wreszcie spyta go, jaką ma sprawę. Nowy starszy konsul był najważniejszym człowiekiem w Rzymie i cały Rzym chciał zamienić z nim słowo albo prosić o jakąś uprzejmość. Miał też prawdziwą armię klientów, samych Picenów. Cynceron nie zdawał sobie sprawy, jak wielu z nich przebywa w Rzymie, dopóki nie doświadczył na sobie ich natłoku w domu Pompejusza Strabona.

Wyszło już chyba ze stu ludzi i Cynceron zaczynał mieć nadzieję, że wpadnie w oko któremuś z siedmiu sekretarzy, gdy jakiś chłopak w jego wieku zbliżył się do niego i oparłszy się o ścianę, zaczął mu się przyglądać. Miał chłodne i beznamętne oczy, najpiękniejsze, jakie brązowooki Cynceron widział w życiu. Szeroko otwarte, robiły wrażenie stale zdziwionych, a ich żywy błękit zasługiwał na nazwę wyjątkowego. Rozczochrane jasnozłote włosy miały dwie osobliwości; jedną był loczek na szerokim czole, drugą zaś czub nad środkiem tego czoła. Pod tą interesującą grzywą kryła się młoda, raczej zuchwała twarz, która nie miała w sobie nic rzymskiego. Usta były wąskie, kości policzkowe szerokie, nos krótki i zadarty, podbródek rozdwojony, skóra różowa i piegowata, a brwi i rzęsy tak samo złote jak włosy. Była to jednak bardzo miła twarz, a jej posiadacz po wstępnych oględzinach Cyncerona błysnął uśmiechem



tak pociągającym, że podbił go całkowicie.

- Kim też możesz być? - spytał tamten.
- Jestem Marek Tulliusz Cynceron Młodszy. A ty?
- Gnejusz Pompejusz Młodszy.
- Strabon?

Pompejusz Młodszy roześmiał się bez urazy.

- Czy wyglądam na zezowatego, Marku Tulliuszu?
- Nie, ale przyjmowanie przydomka swego ojca nie jest chyba niczym niezwykłym?

- Nie w moim przypadku - rzekł Pompejusz. - Zamierzam zasłużyć sobie na własny przydomek. Już wiem jaki.

- Jaki?
- Magnus.

Cynceron parsknął swoim rżącym śmiechem.

- To nie byle co, czyż nie? „Wielki”? W dodatku nie można nadać przydomka samemu sobie. Muszą to zrobić inni.

- Wiem. Oni to zrobią.

Pewność siebie nie była nowością dla Cyncerona, ale w wykonaniu Pompejusza zaparła mu dech.

- Życzę powodzenia - powiedział.
- Co tu robisz?
- Zostałem przydzielony do sztabu twego ojca jako kadet.

Pompejusz gwizdnął.

- *Edepol!* Nie spodobasz mu się!
- Dlaczego?

Z oczu tamtego znikł przyjacielski blask. Znów były obojętne.

- Cherlak z ciebie.
- Mogę sobie być cherlakiem, Gnejuszu Pompejuszu, ale intelektualnie przewyższam wszystkich innych! - parsknął Cynceron.

- To nie robi wrażenia na moim ojcu - stwierdził syn, spoglądając z zadowoleniem na własne, dobrze zbudowane i szerokie w ramionach ciało.

Ta odpowiedź wpędziła Cyncerona w depresję, która od czasu do czasu nękała go bardziej bezlitośnie, niż się to przytrafiało ludziom czterokrotnie od niego starszym. Milczał, przetykał ślinę, patrzył w podłogę i pragnął, by Pompejusz poszedł sobie i zostawił go samego.

- Nie ma sensu upadać na duchu - powiedział rześko Pompejusz. - Możesz się okazać znakomitym szermierzem! Oto droga do jego serca!

- Nie jestem znakomitym szermierzem - odpowiedział Cynceron załamującym się głosem. - Prawda jest taka, że w nogach i rękach jestem do niczego i nie da się tego opanować ani poprawić.

- Twojej postawie na Forum niczego nie brakowało.



Cyconowi zaparło dech.

- Wiesz, kim jestem?

- Oczywiście. - Gęste rzęsy opadły skromnie na błyszczące oczy. - Prawda jest taka, że żaden ze mnie mówca. Moi nauczyciele bili mnie bez sensu przez całe lata i do niczego nie doszli. Dla mnie to po prostu strata czasu. Nie będę sobie zawracał głowy różnicą między *sententia* i *epigramma*, a tym bardziej zabawiać się *color* i *descriptio*!

- Jak możesz się spodziewać, że nazwą cię Wielkim, jeśli nie umiesz przemawiać?

- A jak ty możesz się spodziewać, że nazwą cię Wielkim, jeśli nie umiesz władać mieczem?

- Ach, rozumiem! Chcesz zostać drugim Gajuszem Mariuszem.

To zestawienie nie sprawiło jednak przyjemności Pompejuszowi.

- Nie żadnym drugim Gajuszem Mariuszem! - warknął. - Będę sobą. I sprawię, że Gajusz Mariusz będzie przy mnie wyglądał jak nowicjusz.

Cycon zachichotał, a jego ciemne oczy o ciężkich powiekach zniechęca rozbliły.

- Ach, Gnejuszu Pompejuszu, to by mi się podobało! - wykrzyknął.

Obaj poczuli naraz czyjąś obecność. Rozejrzeli się i oto stał tam Gnejusz Pompejusz Strabon, tak potężnie zbudowany, że niemal kwadratowy, chociaż nie imponował wzrostem. Podobny był do syna, choć oczy miał mniej niebieskie i tak bardzo zezowate, że zdawały się rzeczywiście widzieć tylko koniec nosa. Nadawały mu wygląd groźny i zagadkowy, bo nikt nie umiał zgadnąć, co się w nich kryje, tak niezwykłą miały konfigurację.

- Kto to taki? - spytał syna.

A Pompejusz Młodszy zrobił coś tak wspaniałego, że Cycon nigdy, przenigdy, nie był zdolny o tym zapomnieć ani przestać odczuwać wdzięczność. Zarzucił muskularne ramię na ramiona Cycona i uścisnął je. I powiedział wesoło, jakby to było bez znaczenia:

- To mój przyjaciel, Marek Tulliusz Cycon Młodszy. Dostał przydział do twojego sztabu, ojciec, ale nie musisz się o niego martwić. Ja się nim zajmę.

- Ha! - mruknął Pompejusz Strabon. - Kto mi cię przysłał?

- Marek Emiliusz Skaurus prynceps senatu - odpowiedział Cycon bardzo cieniem głosem.

Starszy konsul skinął głową.

- Ach tak, to on, złośliwy *cunnus*. Siedzi pewnie w domu i zaśmiewa się, mogą się założyć. - Odwrócił się obojętnie. - Masz szczęście, *ritocacia*, że jesteś przyjacielem mego syna, bo inaczej rzuciłbym cię świniom na pożarcie.

Twarz Cycona płonęła rumieńcem. Pochodził z rodziny, która nie używała rysztockiego języka. Jego ojciec uważał to za niedopuszczalne. Słuchanie starszego konsula używającego takich słów było prawdziwym wstrząsem.



- Prawdziwa z ciebie dama, Marku Tuluszu, czyż nie? - spytał Pompejusz, szczerząc zęby.

- Są lepsze sposoby używania naszej wspaniałej łaciny niż ordynarne przeklinanie - powiedział z godnością Cynceron.

Jego nowy przyjaciel zeszywniał niebezpiecznie.

- Czy przypadkiem nie krytykujesz mego ojca?

Cynceron wycofał się pośpiesznie.

- Ależ nie, Gnejuszu Pompejuszu! Nazwałeś mnie damą więc się bronie!

Pompejusz odprężył się i znów się uśmiechnął.

- To dobrze! Nie znoszę, kiedy ktoś wytyka błędy mego ojca. - Spojrzał z zaciekawieniem na Cyncerona. - Wulgarne słowa są wszędzie, Marku Tuluszu. Nawet nasi poeci używają ich od czasu do czasu. Wypisuje się je na murach domów, zwłaszcza wokół burdeli i latryn publicznych. A jeśli wódz nie nazywa swych żołnierzy *cunni* i *mentulae* - i jeszcze gorzej! - uważają go za jakąś westalkę zadzierającą nosa.

- Zamykam oczy i uszy - powiedział Cynceron, a potem zmienił temat. - Dziękuję za propozycję pomocy.

- Daj spokój, Marku Tuluszu! Między nami mówiąc, stworzymy chyba zgraną parę. Ty mi pomożesz w listach i raportach, a ja pomogę ci radzić sobie z mieczem i tarczą.

- Umowa stoi. - Cynceron ociągał się z odejściem. Pompejusz, który już ruszał, zawrócił.

- Coś jeszcze?

- Nie oddałem twemu ojcu swoich rozkazów.

- Wyrzuć je - powiedział niedbale Pompejusz. - Od dziś należysz do mnie. Mój ojciec nawet cię nie zauważy.

Tym razem Cynceron poszedł za nim w kierunku perystylu. Znaleźli jakąś ławkę w przyjemnym cieniu, gdzie Pompejusz zaczął udowadniać, że choć żaden z niego mówca, jest jednak człowiekiem rozmownym - i plotkarzem.

- Czy słyszałeś o Gajuszu Wetienusie?

- Nie.

- Odrąbał sobie palce prawej dłoni, żeby uniknąć powołania do wojska. Pretor miejski Cynna skazał go na dożywotnią służbę w koszarach w Kapui.

Ciarki przeszły po plecach Cyncerona, a jednocześnie obudziły się jego zainteresowania prawnika.

- Nie sądzisz, że to osobliwy wyrok? - spytał.

- No cóż, postąpili tak, by odstraszyć innych! Nie powinien się wykręcić wygnaniem i grzywną. Nie jesteśmy jak wschodni królowie i nie wtrącamy ludzi do więzienia, dopóki się nie zestarzeją albo umrą. Nie wtrącamy ludzi do więzienia nawet na miesiąc! Uważam rozwiązanie Cynny za całkiem zgrabne. - Pompejusz uśmiechnął się. - Wetienus popamięta chłopców z Kapui.



- Chyba tak. - Cynceron przełknął ślinę.

- No cóż, twoja kolej!

- Moja kolej na co?

- Powiedz coś.

- Nic mi nie przychodzi na myśl.

- Jak się nazywa żona Appiusza Klaudiusza Pulchera?

Cynceron zamrugął.

- Nie wiem.

- Jak na taki umysł, nie wiesz wszystkiego. Muszę ci chyba powiedzieć. Cecylia Metella Balearska. Czyż to nie paskudne nazwisko?

- To bardzo dostojna rodzina.

- Nie tak sławna, jak będzie moja!

- I co z nią? - spytał Cynceron.

- Zmarła przed paroma dniami.

- Ach!

- Miała sen zaraz po tym, jak Lucjusz Juliusz wrócił do Rzymu przeprowadzić wybory - paplał Pompejusz - i poszła do niego rankiem powiedzieć mu, że Junona Sospita objawiła się jej, narzekając na skalenie swej świątyni. Jakaś kobieta najwyraźniej wczółgała się tam i umarła przy porodzie, kapłani zaś usunęli jedynie jej zwłoki i nawet nie zmyli posadzki. Tak więc Lucjusz Juliusz i Cecylia Metella Balearska wzięli szmaty i wiadra i poszli szorować na kolanach tę świątynię. Wyobrażasz sobie? Lucjusz Juliusz poplamił sobie przy tym togę. Nie zdjął jej, żeby nic uchybić czci bogini. Potem poszedł wprost do Kurii Hostyliusza i ogłosił swoje prawo dotyczące Italczyków - i udzielił kurii ostrej reprymendy za zaniedbywanie świątyń. Jak może Rzym oczekiwać zwycięstwa w tej wojnie, jeżeli bogowie nie odbierają należnej im czci? Tak więc następnego dnia cała kuria poszła ze szmatami i wiadrami szorować wszystkie świątynie. - Pompejusz urwał. - O co chodzi?

- Skąd wiesz to wszystko?

- Słucham, jak ludzie rozmawiają, nawet niewolnicy. A co ty robisz po całych dniach, czytasz Homera? - odparł Pompejusz.

- Skończyłem Homera całe lata temu. - Cynceron był zadowolony z siebie. - Teraz czytam wielkich mówców.

- I nie masz pojęcia, co się dzieje w mieście.

- Odkąd cię znam, zacząłem się dowiadywać. O ile rozumiem, po swoim śnie i po oczyszczeniu świątyni, żona Appiusza Klaudiusza Pulchera dopełniła lekcji, umierając.

- Umarła nagle. Lucjusz Juliusz uważa to za wielkie nieszczęście. Była jedną z pierwszych matron Rzymu - sześcioro dzieci, każde o rok starsze od następnego, i najmłodsze, które ma zaledwie rok.

- Siedem to szczęśliwa liczba - popisał się dowcipem Cynceron.



- Nie dla niej. - Pompejusz nie zauważył ironii. - Nikt tego nie może zrozumieć po sześciu szczęśliwych porodach. Lucjusz Juliusz mówi, że bogowie się gniewają.

- Czy myśli, że to nowe prawo budzi niezadowolenie bogów?

Pompejusz wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nikt tego nie wie. Wiem tylko, że mój ojciec jest dobrze widziany, więc i ja jestem dobrze widziany. Ojciec zamierza nadać pełne obywatelstwo wszystkim posiadaczom praw Lityńskich w Galii italskiej.

- A Marek Plaucjusz Sylwanus wkrótce rozszerzy to obywatelstwo na każdego wpisanego do municypalnych spisów italskich, jeśli zwróci się on osobiście do któregoś z pretorów w Rzymie w ciągu sześćdziesięciu dni od ustanowienia takiego prawa.

- Sylwanus, tak, ale wspólnie z Gajuszem Papiriuszem Karbonem - sprostował Pompejusz.

- Prawa i ich stanowienie! Uwielbiam to! - Cynceron promieniał ożywieniem.

- Cieszę się, że jest ktoś taki - rzekł Pompejusz. - Mnie prawa przeszkadzają. Zawsze są wymierzone w niepospolitych ludzi, zwłaszcza młodych.

- Ludzie nie mogą żyć bez praw!

- Niepospolici ludzie mogą.



Pompejusz Strabon nie podjął starań o opuszczenie Rzymu, chociaż powtarzał ludziom, że daliby sobie radę bez niego czy Lucjusza Katona, bo pretor miejski Aulus Semproniusz Aselion jest człowiekiem bardzo zdolnym. Wkrótce jednak okazało się, że zwlekał, gdyż chciał mieć na oku nawał zgłaszanych ustaw, jaki nastąpił po *lex Julia*. Młodszy konsul Lucjusz Porcjusz Katon Licynianus zostawił to Strabonowi. Ci dwaj konsulowie nie żyli w przyjaźni. Lucjusz Katon wyruszył do Kampanii, by ulokować się mimo wszystko w środkowym teatrze wojny. Pompejusz Strabon nie krył swego zamiaru kontynuowania wojny w Picenum, a jednak wysłał na obleganie Askulum Picentum Sekstusa Juliusza Cezara, choć stan zdrowia tamtego był zły, a tak mroźnej zimy nikt nie pamiętał. Wkrótce po wyruszeniu Sekstusa Cezara przyszła wiadomość, że zabił osiem tysięcy piceńskich powstańców, których zaskoczył przy przenoszeniu się ze starego obozu do nowego pod Kamerinum. Pompejusz Strabon zirytował się, ale pozostał w Rzymie.

Jego *lex Pompeia* przeszło przez komicja bez oporów. Nadawało ono pełne obywatelstwo rzymskie wszystkim miastom na prawach lityńskich, na południe od Padu w Galii italskiej, a także nadawało prawa lityńskie Akwilei, Patawium i Mediolanowi, na północ od Padu. Wszyscy mieszkańcy tych bardzo wielkich i dobrze prosperujących społeczności weszli teraz do jego klienteli i to był główny powód, dla którego zgłosił on projekt tego prawa. Nie będąc prawdziwym bojownikiem o prawa obywatelskie, Pompejusz Strabon pozwolił



potem Pizonowi Frugi przeszkadzać tym, którzy skorzystali z trzech praw o nadaniu obywatelstwa. Najpierw Pizon Frugi ogłosił projekt ustawy tworzącej dwie nowe *tribus* dla wszystkich nowych obywateli. Trzydzieści pięć istniejących zachowano wyłącznie dla dawnych Rzymian. Kiedy jednak Etruria i Umbria zaczęły burzyć się przeciw traktowaniu ich obywateli gorzej niż rzymskich wyzwoleńców, Pizon Frugi zmienił swoją ustawę, kierując wszystkich nowych obywateli do ośmiu dawnych *tribus* i dwóch nowo utworzonych.

Starszy konsul przeprowadził potem wybory cenzorów. Zostali nimi Lucjusz Juliusz Cezar i Publiusz Licyniusz Krassus. Jeszcze przed zawarciem kontraktów kapłańskich Lucjusz Cezar ogłosił, że na cześć swego przodka Eneasza zwalnia od wszelkich podatków miasto Troję, jego ukochane Ilium. Troja była obecnie zaledwie małym miasteczkiem, nie spotkał się więc z opozycją. Uwaga pryncypsa senatu - mogącego zgłosić sprzeciw - była zajęta przez dwóch uciekinierów, króla Bitynii Nikomedesa i króla Kapadocji Ariobarzanesa, którzy z równym zapałem lamentowali i dawali łapówki, nie mogąc zrozumieć, dlaczego Rzym jest bardziej zainteresowany wojną z Italczykami niż nadciągającą wojną z Mitrydatesem.

Głównym przeciwnikiem projektu ustawy Lucjusza Cezara o nadaniu praw był Kwintus Wariusz, który obawiał się, że okaże się pierwszą ofiarą tej ustawy. Nowi trybunowie ludowi, z Markiem Plaucjuszem Sylwanem na czele, rzucili się na niego jak wilki. Szybko wydano *lex Plautia* i komisja Wariusza - aż dotąd ścigająca tych, którzy popierali obywatelstwo dla Italczyków - stała się komisją Plaucjusza ścigającą tych, którzy sprzeciwiali się obywatelstwu dla Italczyków. To młodszy brat Lucjusza Cezara, zezowaty Cezar Strabon, wyciągnął szczęśliwą słomkę i przygotował pierwszą sprawę w komisji Plaucjusza - proces Kwintusa Wariusza Sewera Hybrydy Sukrońskiego.

Technika Cezara Strabona była jak zawsze olśniewająca. Wyrok był przesądzony na długo przed ostatnim dniem procesu Kwintusa Wariusza, głównie dlatego, że komisja została przez *lex Plautia* odebrana rycerzom i oddana obywatelom wszystkich klas z trzydziestu pięciu *tribus*. Kwintus Wariusz zdecydował się nie czekać na werdykt. Zasmucił swych bliskich przyjaciół, Lucjusza Marcjusza Filipa i młodego Gajusza Flawiusza Fimbrię, zażywając truciznę. Na nieszczęście źle wybrał specyfik i męczył się przez kilka dni, zanim umarł. Tylko kilku przyjaciół przyszło na pogrzeb, podczas którego Fimbria przysiągł zemstę Cezarowi Strabonowi.

- Zgadnijcie, czy się boję - mówił Cezar Strabon do swych braci, Kwintusa Lutacjusza Katulusa Cezara i Lucjusza Juliusza Cezara, którzy nie poszli na pogrzeb, ale pozostali z pryncypsem senatu Skaurusem na schodach kurii.

- Ty byś wzywał Herkulesa albo Hadesa - powiedział Skaurus.

- Powiem wam, na co się odważę; chcę się ubiegać o konsulat, nie będąc



przedtem pretorem - rzekł szybko Cezar Strabon.

- A teraz powiedz, dlaczego chcesz to zrobić? - spytał Skaurus.

- Chcę sprawdzić pewien punkt prawa.

- Ach, wy adwokaci! - wykrzyknął Katulus Cezar. - Wszyscy jesteście tacy sami. Chcielibyście sprawdzić ten punkt prawa, który narzuca dziewictwo westalkom, daję słowo.

- To już chyba sprawdziliśmy! - zaśmiał się Cezar Strabon.

- No cóż - rzekł Skaurus. - Pójdę teraz zobaczyć, co u Gajusza Mariusza, a potem do domu, popracować nad moją mową. - Spojrzał na Katulusa Cezara. - Kiedy wyruszasz do Kapui?

- Jutro.

- Nie rób tego, Kwintusie Lutacjuszu, proszę! Zaczekaj do końca tygodnia i posłuchaj mojej mowy! To chyba najważniejsza mowa w mej karierze.

- To brzmi nieźle - powiedział Katulus Cezar, który przybył z Kapui, by zobaczyć, jak jego brat Lucjusz Cezar uwalnia Troję od podatków. - Czy mogę spytać o temat?

- Ach, oczywiście. O szykowaniu się do wojny z Mitrydatesem, królem Pontu - odpowiedział uprzejmie Skaurus.

Wszyscy Cezarowie wytrzeszczyli oczy.

- Jak widzę, żaden z was nie wierzy, że do niej dojdzie. Dojdzie, panowie, przysięgam wam, że dojdzie. - I Skaurus ruszył ku Clivus Argentarius.

Zastał Julię z jej szwagierką Aurelią. Wyglądały obie tak uroczco i tak bardzo po rzymsku, że zaczął całować je po rękach - był to wyraz hołdu dość niezwykły u Skaurusa.

- Jak się czujesz, Marku Emiliuszu? - spytała Julia z uśmiechem, zerkając na Aurelię.

- Czuję się bardzo zmęczony, Julio, ale nie aż tak, by nie doceniać urody. - Skaurus wskazał głową drzwi pracowni. - A jak się ma dziś Wielki Człowiek?

- W lepszym nastroju, dzięki Aurelii - odpowiedziała żona Wielkiego Człowieka.

- O?

- Będzie miał towarzysza.

- O?

- Mego syna, Cezara Młodsze - wyjaśniła Aurelia.

- Chłopca?

Julia roześmiała się, prowadząc go do pracowni.

- Ma niecałe jedenaście lat, więc chyba jest chłopcem. W pewnych sprawach jednak, Marku Emiliuszu, Cezar Młodszy jest ci co najmniej równy wiekiem. Zdrowie Gajusza Mariusza poprawia się bardzo wyraźnie. On się jednak nudzi. Paraliż utrudnia mu poruszanie się, a leżenia w łóżku nie cierpi.

Otworzyła drzwi.



- Marek Emiliusz przyszedł w odwiedziny, mężu.

Mariusz leżał na sofie pod oknem wychodzącym na perystyl. Niesprawna lewa połowa ciała podparta była poduszkami, a sofa obrócona prawą stroną ku wnętrzu pokoju. Na stołku u stóp łóżka siedział syn Aurelii - tak przynajmniej przyjął Skaurus, bo nigdy przedtem nie widział tego chłopca.

„Prawdziwy Cezar”, pomyślał, opuściwszy dopiero co trzech z nich. Wysoki, jasnowłosy, przystojny. Kiedy wstał, okazał się także podobny do Aurelii.

- Pryncepsie senatu, to jest Gajusz Juliusz - powiedziała Julia.

- Siadaj, chłopcze - rzekł Skaurus, pochylając się, by uścisnąć prawą rękę Mariusza. - Co u ciebie, Gajuszu Mariuszu?

- Pomalutku. - Mariusz wciąż jeszcze mówił niewyraźnie. - Jak widzisz, kobiety załatwiły mi psa łańcuchowego. Mam własnego Cerbera.

- Raczej pieska łańcuchowego. - Skaurus usiadł na krześle, które Cezar Młodszy postawił przed nim, zanim wrócił na swój stołek. - Jakże właściwie masz obowiązki, młody człowieku?

- Jeszcze nie wiem. - Cezar Młodszy nie okazał cienia skrępowania. - Matka przyprowadziła mnie dopiero dziś.

- Kobiety myślą chyba, że potrzebuję kogoś, kto by mi czytał - powiedział Mariusz. - Co o tym sądzisz, Cezarze Młodszy?

- Wolałbym raczej rozmawiać z Gajuszem Mariuszem, niż mu czytać - odrzekł nie speszony Cezar Młodszy. - Wuj Mariusz nie pisze książek, a szkoda. Chcę dowiedzieć się wszystkiego o Germanach.

- On zadaje dobre pytania. - Mariusz nieudolnie próbował się poruszyć.

Chłopiec natychmiast wstał i wsunął rękę pod prawe ramię Mariusza, pomagając wujowi zmienić pozycję. Zrobił to szybko i sprawnie, wykazując się sporą siłą jak na swój wiek.

- Tak lepiej! - odetchnął Mariusz, mogąc patrzeć Skaurusowi w twarz. - Dobrze mi idzie z moim pieskiem łańcuchowym.

Skaurus spędził tam godzinę, bardziej zafascynowany Cezarem Młodszym niż chorobą Mariusza. Chociaż chłopiec nie wysuwał się naprzód w rozmowie, odpowiadał na zadawane mu pytania jak dorosły i słuchał uważnie, jak Mariusz ze Skaurusem omawiają wtargnięcie Mitrydatesa do Bitynii i Kapadocji.

- Jesteś bardzo oczytany jak na dziesięciolatka, Cezarze Młodszy - powiedział Skaurus, wstając. - Czy znasz może przypadkiem młodego Marka Tuliusza Cyncerona?

- Tylko ze słyszenia, pryncepsie senatu. Mówią, że będzie najlepszym adwokatem, jakiego wydał Rzym.

- Może tak, a może nie - rzekł Skaurus, idąc do drzwi. - Na razie zaczął służbę wojskową. Zajrzę do ciebie za dwa albo trzy dni, Gajuszu Mariuszu. Skoro nie możesz przyjść do senatu, spróbuję powtórzyć ci moje przemówienie i



Cezarowi Młodszemu także.

Skaurus szedł ku Palatynowi, czując się bardzo zmęczony i bardziej przybity stanem Mariusza, niż to chciał przed sobą przyznać. To już prawie sześć miesięcy, a Wielki Człowiek nie posunął się dalej niż na sofę w swoim tablinum. Być może wpływ tego chłopca - to dobry pomysł! - pchnie sprawy naprzód. Skaurus wątpił jednak, by jego stary przyjaciel i wróg wydobrał na tyle, by uczestniczyć w obradach senatu.

Długie stąpanie w górę po Schodach Westalek całkiem go wyczerpało. Musiał przystanąć na Clivus Victoriae i odpocząć przed zrobieniem ostatnich kroków przed domem. Myśli miał zajęte czekającymi go trudnościami w przekonaniu ojców spisanych o ważności spraw Azji Mniejszej. Zakołatał do drzwi od ulicy i został wpuszczony nie przez odźwiernego, lecz przez żonę.

„Jaka ona jest piękna!”, pomyślał, spoglądając z prawdziwą przyjemnością w jej twarz. Wszystkie stare kłopoty dawno zbladły. Była kobietą jego serca. „Dzięki ci za ten dar, Kwintusie Cecyliuszu!”, myślał, wspominając zmarłego przyjaciela Metellusa Numidyjskiego Świnę-Szczecinkę. To Metellusowi Numidyjskiemu zawdzięczał Cecylię Metellę Dalmatyńską.

Wyciągnął rękę, by dotknąć jej twarzy, a potem pochylił głowę, aż spoczęła na jej piersi, i przytulił policzek do jej gładkiej młodej skóry. Westchnął.

- Marku Emiliuszu? - spytała zdziwiona, przyjmując nagle cały jego ciężar i tracąc na chwilę równowagę. - Marku Emiliuszu!

Otoczyła go ramionami i krzyczała przeraźliwie, aż nadbiegli służący i przejęli od niej jego bezwładne ciało.

- Co się stało? - powtarzała. - Co się stało?

Odpowiedział jej w końcu rządca, podnosząc się z klęczek przy sofie, na której leżał prynceps senatu Marek Emiliusz Skaurus.

- On nie żyje, *domina*. Marek Emiliusz nie żyje.



Prawie jednocześnie z wieścią o śmierci pryncypsa senatu Skaurusa obiegła miasto wiadomość, że Sekstus Juliusz Cezar zmarł na zapalenie płuc podczas oblężenia Askulum Picentum. Zapoznawszy się z treścią listu Gajusza Bebiusza, legata Sekstusa Cezara, Pompejusz Strabon postanowił sam wyruszyć pod Askulum Picentum zaraz po uroczystym pogrzebie Skaurusa.

Senat niezmiernie rzadko uchwalał wykładanie państwowych pieniędzy na pogrzeby, ale nawet w tych ciężkich czasach było nie do pomyślenia, by Skaurus nie miał pogrzebu na koszt państwa. Cały Rzym uwielbiał go i cały Rzym składał mu ostatni hołd. Nic już nie miało wyglądać tak samo bez odbijającej słońce niczym lustro łysiny Marka Emiliusza i bez pięknych zielonych oczu Marka Emiliusza, pilnujących dobrze urodzonych rzymskich łajdaków, bez dowcipu i bez odwagi Marka Emiliusza. Rzym bardzo odczuje jego brak.



Dla Marka Tulliusza Cyncerona to, że opuszczał miasto przystrojone gałęziami cyprysu, było znakiem wróżebnym, bo i on umierał dla wszystkiego, co mu było drogie - dla Forum i dla książek, dla prawa i retoryki. Jego matka była zajęta układaniem się z najemcami domu na Karynach. Spakowała się już do powrotu do Arpinum, nie pakowała jednak rzeczy Cyncerona i nie było jej w domu, gdy chciał się z nią pożegnać. Wyszedł na ulicę i pozwolił się podsadzić na siodło konia, przysłanego przez ojca z Arpinum, bo rodzina nie była wyróżniona prawem do posiadania państwowego konia. Jego rzeczy wpakowano na muła. Pompejusz Strabon nie tolerował obciążonego bagażami sztabu. Cynceron dowiedział się tego od swego przyjaciela Pompejusza, którego spotkał godzinę później na Via Lata.

Było przejmująco zimno, wiatr zacinął, a z balkonów i z gałęzi drzew zwisały lodowe sople, gdy mały sztab Pompejusza Strabona zaczynał swą podróż na północ w paszczę zimy. Część wojska biwakowała na Polu Marsowym, maszerowała bowiem wcześniej w pochodzie triumfalnym wódza, a teraz była już w ruchu, poprzedzając sztab. Reszta z sześciu legionów Pompejusza Strabona czekała pod Wejami, nieopodal Rzymu. Tam spędzili noc, a Cynceron przekonał się, że dzieli namiot z innymi kadetami przydzielonymi do sztabu tego wódza, ośmioma młodymi ludźmi w wieku od szesnastu, jak najmłodszy z nich Pompejusz, do dwudziestu trzech lat, bo tyle miał najstarszy, Lucjusz Wolumniusz. W dniu podróży nie było czasu ani miejsca na zapoznanie się z innymi kadetami. Cynceron stanął w obliczu tej ciężkiej próby przy zakładaniu obozu. Nie miał pojęcia o rozbijaniu namiotu, więc włóczył się żałośnie, póki Pompejusz nie wcisnął mu do ręki sznura i nie kazał trzymać go i nie ruszać się z miejsca.

Spoglądając z perspektywy lat na ten pierwszy wieczór w namiocie kadetów, Cynceron zdumiewał się, jak zręcznie i bez budzenia podejrzeń pomagał mu Pompejusz, dając bez słów do zrozumienia, że jest on pod jego opieką i nie należy mu dokuczać z powodu wyglądu albo niezręczności. Syn wódza był niezaprzeczalnie przywódcą namiotu - ale nie dlatego, że był synem wódza. Oczytany czy nie, Pompejusz wyróżniał się inteligencją i niezachwianą pewnością siebie. Był urodzonym autokratą, nie znoszącym ograniczeń i nie mającym litości dla głupców. Może dlatego właśnie polubił Cyncerona, który w żadnym razie nie był głupcem i nie ograniczał go w niczym.

- Twój ekwipunek nie jest odpowiedni - powiedział, rzuciwszy okiem na stos rzeczy, które Cynceron ściągnął ze swego muła.

- Nikt mi nie mówił, co zabrać. - Cynceron szczękał zębami, a twarz miał posiniałą od zimna.

- Nie masz matki albo siostry? One zawsze wiedzą, co pakować.

- Mam matkę, ale nie mam siostry. - Nie mógł przestać się trząść. - Matka mnie nie lubi.



- Nie masz żadnych spodni? Ani rękawiczek? Ani podwójnych ciepłych tunik? Ani ciepłych skarpetek? Ani wełnianych czapek?

- Tylko to, co tutaj. Nie pomyślałem o tym. Wszystko to jest zresztą i tak w Arpinum.

„Któryż siedemnastolatek myśli o ciepłych ubraniach?”, pytał sam siebie po latach Cynceron, wciąż jeszcze czując tę radość, która ogarnęła go, gdy Pompeusz nie pytając nikogo o zgodę, kazał wszystkim dać Cynceronowi coś ciepłego.

- Tylko bez jęków, macie tego dosyć. Marek Tuliusz może być pod pewnymi względami głupcem, ale jest też mądrzejszy niż reszta nas razem wziętych. I jest moim przyjacielem. Dziękujcie swoim szczęśliwym gwiazdom, że macie matki i siostry, które wiedzą, co pakować. Woluniuszu, nie potrzebujesz sześciu par skarpet, bo i tak nigdy ich nie zmieniasz! Oddaj te rękawiczki, Tytusie Pompeuszu. Ebucjusz, tunikę, Tedejusie, tunikę. Fundyliusz, czapkę. Majaniesz, ty masz tyle, że możesz oddać po jednej rzeczy z wszystkiego. Ja też to zrobię.

Armia z trudem przebijała się przez góry, poprzez zawieje i śnieg gruby na kilka stóp. Ciepło ubrany Cynceron zastanawiał się, co się może zdarzyć, jeśli natkną się na nieprzyjaciela, i co powinien wtedy zrobić. Kiedy doszło do takiego spotkania, było ono przypadkowe i niespodziewane. Przeszli właśnie zamrzniętą rzekę pod Fulginum, kiedy armia Pompeusza Strabona uwikłała się w walkę z czterema legionami Picenów schodzącymi z grzbietów górskich południowego Picenum, z zamiarem wywołania zamętu w Etrurii. Starcie zakończyło się ich paniczną ucieczką. Cynceron nie wziął w nim udziału, jechał bowiem na końcu taboru. Młody Pompeusz kazał mu mieć na oku dobytek bogatszych kadetów. Cynceron zdawał sobie sprawę, że uwolniło to Pompeusza od zajmowania się jego osobą w czasie marszu przez nieprzyjacielski kraj.

- Wspaniale! - mówił wieczorem Pompeusz, czyszcząc swój miecz w namiocie. - Rozgromiliśmy ich! Kiedy chcieli się poddać, ojciec śmiał się. Wpędziliśmy ich w góry bez taborów. Jeśli nie zginą z zimna, umrą wkrótce z głodu.

Podniósł miecz ku światłu lampy, upewniając się, że całe ostrze błyszczy.

- Czy nie mogliśmy ich wziąć do niewoli? - spytał Cynceron.

- Nie z moim ojcem w namiocie wodza! - roześmiał się Pompeusz. - On nie daruje życia wrogom.

Cynceron obstawał jednak przy swoim:

- To przecież Italczycy, nie jacyś zamorscy wrogowie. Czy nie możemy ich potrzebować w naszych legionach, kiedy ta wojna się skończy?

Pompeusz przemyślał to.

- Możemy, Marku Tuliuszu, zgadzam się z tobą. Teraz jednak za późno, żeby się o nich martwić! Rozdrażnili ojca, a kiedy jest rozdrażniony, nie daruje



nikomu. - Błękitne oczy spojrzały w brązowe oczy Cycerona. - Ja będę taki sam.

Minęły całe miesiące, zanim przestali śnić się Cyceronowi ci piceńscy wieśniacy zamarzający w śniegu albo grzebiący gorączkowo pod dębami w poszukiwaniu żołądzi, jedyne pożywienie w tych górach. Była to jeszcze jedna koszmarna strona wojny dla kogoś, kto przekonał się, że się nią brzydzi.

Zanim Pompejusz Strabon dotarł do Adriatyku pod Fanum Fortunae, Cyceron nauczył się być pożyteczny, a nawet przyzwyczaił się do noszenia miecza i kolczugi. Prowadził w namiocie kadetów gospodarstwo, gotował i sprzątał, a w namiocie wodza przejął te zadania, które piceńscy sekretarze i pisarze Pompejusza Strabona uznali za przerastające ich możliwości - raporty dla senatu, listy do senatu, opisy bitew i potyczek. Kiedy Pompejusz Strabon przeczytał pierwsze dzieło Cycerona, list do pretora miejskiego Aseliona, utkwiał w kościstym chłopaku spojrzenie swoich niezwykłych oczu, starając się znaleźć właściwe słowa.

- Nieźle, Marku Tuluszu. Być może mój syn nie bez powodu tak się do ciebie przywiązał. Nie wiem, jak to jest, ale on ma zawsze rację. Dlatego daję mu wolną rękę.

- Dziękuję, Gnejuszu Pompejuszu.

Wódz machnął ręką w stronę zavalonego papierami stołu.

- Zobacz, co potrafisz z tym zrobić, chłopcze.

Zatrzymali się w końcu na odpoczynek kilka mil przed Askulum Picentum. Po śmierci Sekstusa Cezara jego armia nadal stała pod miastem, Pompejusz Strabon postanowił więc zatrzymać się nieco dalej.

Wódz i jego syn dość często jeździli po okolicy, zabierając tylu żołnierzy, ilu uważali za niezbędne, i pozostając przez kilka dni poza obozem. W takich razach dowództwo obejmował młodszy brat wodza, Sekstus Pompejusz, a Cyceron nadzorował bieżącą korespondencję. Te okresy względnej wolności powinny go cieszyć, a jednak tak nie było. Nie było przy nim Pompejusza Młodszego dla osłony, a Sekstus Pompejusz lekceważył go, a nawet obrażał, ciągnąc za ucho albo podstawiając nogę.

Ziemia była jeszcze zamrznięta, a wiosenna odwilż nie nadchodziła. Wódz pojechał z synem i z niewielkim oddziałem na wybrzeże śledzić ruchy oddziałów wroga. Następnego dnia rano, gdy Cyceron stał przed namiotem dowództwa, rozcierając zmarznięte siedzenie, oddział marsyjskiej konnicy wjechał do obozu jak do własnego. Byli tak spokojni i pewni siebie, że nikt nie sięgał po broń. Zareagował jedynie brat Pompejusza Strabona, Sekstus, który wyszedł naprzód i podniósł dłoń w zwykłym geście pozdrowienia, gdy oddział zatrzymał się przed namiotem dowództwa.

- Publiusz Wetiusz Skaton z ludu Marsów - przedstawił się przywódca, zsuwając się z konia.

- Sekstus Pompejusz, brat wodza i dowódca pod jego nieobecność.



Skatonowi zrzęła mina.

- Szkoda! Przyjechałem spróbować pertraktacji z Gnejusem Pompejuszem.
- On tu wróci, gdybyś chciał zaczekać.
- Jak długo?
- Od trzech do sześciu dni.
- Czy możecie wyżywić moich ludzi i konie?
- Oczywiście.

Organizacja zakwaterowania i zaopatrzenia dla Skatona i jego ludzi spadła na Cynceron, jedyne *contubernalis*, jaki pozostał w obozie. Ze zdziwieniem przekonał się, że ci sami ludzie, którzy wpędzili Picensów w góry na śmierć z zimna i głodu, okazują teraz nieprzyjaciółom największą gościnność, od Sekstusa Pompejusza zaczynając, a na ostatnich nieliniowych kończąc.

„Chyba jeszcze nie zacząłem rozumieć tego fenomenu zwanego wojną”, myślał, przyglądając się Sekstusowi Pompejuszowi i Skatonowi przechadzającym się w najlepszej przyjaźni albo wyjeżdżającym na łowy na dzikie świny, które zimą spędziła w nizinach w poszukiwaniu pożywienia.

A gdy Pompejusz Strabon wrócił z wyprawy, rzucił się Skatonowi w ramiona jak najdroższemu przyjacielowi.

Pertraktacje toczyły się podczas wielkiej uczty. Zdumiony Cynceron przyglądał się Pompejuszom zachowującym się chyba tak jak u siebie, w wielkich posiadłościach w północnym Picenum. Były tam ogromne dziki pieczone na rożnach, góry jedzenia na tacach, biesiadnicy siedzący na ławach przy stołach, a nie spoczywający na łożach biesiadnych, służący nalewający nierozcieńczane wino. Rzymianinowi z serca Lacjum, jak Cynceron, widowisko w namiocie wodza wydawało się barbarzyństwem. Nie tak wyglądały uczty ludzi z Arpinum, nawet Gajusza Mariusza. Cynceronowi nie przyszło do głowy, że wódz wydający ucztę na stu i więcej ludzi nie może uganiać się za łożami biesiadnymi.

- Nieprędko zdobędziecie Askulum - powiedział Skaton.

Pompejusz Strabon przez chwilę nie odpowiadał, zbyt zajęty wgrzaniem się w kawał szwiny. Skończył, otarł ręce o tunikę i uśmiechnął się szeroko.

- Prędzej czy później Askulum Picenum upadnie, a wtedy im przypomnę, by nie podnosili już więcej ręki na rzymskiego pretora.
- To była ciężka prowokacja - zauważył swobodnie Skaton.
- Ciężka czy lekka, nie robi mi to różnicy. Słyszałem, że Widacyliusz wszedł do miasta. Askulum będzie musiało wyżywić jego ludzi.
- W Askulum nie ma żadnych ludzi Widacyliusza - oświadczył Skaton jakimś dziwnym tonem.

Pompejusz Strabon uniósł umazaną tłuszczem twarz.

- Aha?

- O ile nam wiadomo, Widacyliusz oszalał - powiedział Skaton, o wiele lepiej



zachowujący się przy stole niż gospodarz.

Cały namiot zamilkł, czując, że zanosi się na opowieść.

- Zjawił się pod Askulum z dwudziestoma tysiącami ludzi na krótko przed śmiercią Sekstusa Juliusza - zaczął Skaton. - Najwyraźniej zamierzał współdziałać z mieszkańcami. Jego plan polegał na uderzeniu na Sekstusa Juliusza z jednoczesnym atakiem Askulańczyków na tyły Rzymian. Plan był dobry i mógł się udać. Gdy jednak Widacyliusz uderzył, Askulańczycy nie zrobili nic. Sekstus Juliusz otworzył przejście w swych liniach i przepuścił Widacyliusza, a Askulańczycy nie mieli innego wyjścia, jak otworzyć bramy i wpuścić go do środka.

- Nie podejrzewałem Sekstusa Juliusza o taki talent wojskowy - powiedział Pompejusz Strabon.

Skaton wzruszył ramionami.

- Ja też nie. To mógł być przypadek.

- Askulańczycy nie ucieszyli się chyba perspektywą żywienia dodatkowych dwudziestu tysięcy?

Skaton wyszczerzył zęby.

- Byli wściekli! Nie powitali Widacyliusza z otwartymi ramionami, poszedł więc na forum, wszedł na trybunę i powiedział im, co myśli o ludziach, którzy nie wykonują rozkazów. Gdyby wypełnili plan, armia Sekstusa Juliusza Cezara przestałaby istnieć. Może tak by się stało. Askulańczycy nie byli jednak skłonni przyznać mu racji. Naczelnik miasta wszedł na trybunę i przedstawił Widacyliuszowi swój punkt widzenia. Czy Widacyliusz nie rozumie, że miasto nie ma dość żywności, by wykarmić armię, którą wprowadził do środka?

- Miło słyszeć o takiej niezgodzie nieprzyjaciół - rzekł Pompejusz Strabon.

- Mówię to jedynie po to, by ci pokazać determinację Askulum. - W głosie Skatona nie było żadnych ostrych tonów. - Wieści na pewno dotrą, wolę jednak, byś usłyszał prawdziwą opowieść.

- Cóż więc zaszło? Jakaś walka na forum?

- Zgadza się. Widacyliusz najwyraźniej oszalał. Nazwał mieszkańców kolaborantami i rozkazał swym żołnierzom ich zabijać. Askulańczycy chwycili za broń i odpłacili mu tym samym. Na szczęście większość jego ludzi spostrzegła, że stracił rozum. Z nadejściem ciemności otworzono bramy i ponad dziewiętnaście tysięcy przekradło się przez rzymskie linie. Sekstus Juliusz nie żył, a jego ludzie byli bardziej zajęci żałobą niż trzymaniem straży.

- Ha! - rzekł Pompejusz Strabon. - Mów dalej.

- Widacyliusz zajął więc forum. Przywiózł ze sobą mnóstwo żywności i urządził wielką ucztę. Było przy nim siedmiuset albo ośmiuset ludzi, którzy pomagali mu w zjedzeniu tego wszystkiego. Kazał też zbudować wielki stos pogrzebowy. W samym środku uczyty wypił kielich trucizny, wszedł na stos i kazał go zapalić. Gdy jego ludzie hulali, on spłonął! Mówiono mi, że było to



przerażające.

- Szalony jak galijski łowca głów - powiedział Pompejusz Strabon.
- Rzeczywiście - przyznał Skaton.
- Mówisz więc, że miasto walczy dalej?
- Będzie walczyć do ostatniego człowieka.
- Jedno mogę ci obiecać, Publiusz Wetiuszu. Jeżeli jacyś Askulańczycy zostaną przy życiu, gdy zdobędę Askulum Picentum, pożałują, że nie umarli. - Pompejusz Strabon rzucił poza siebie ogryzioną kość i znów wytarł ręce w tunikę. - Czy wiesz, jak mnie nazywają?
- Chyba nie.

- *Carnifex*. Rzeźnik. Jestem dumny z tego miana, Publiusz Wetiuszu. Miałem w życiu niemało przezwisk. Strabon wiadomo, co znaczy. Kiedy byłem nieco starszy niż mój syn, służyłem jako *contubernalis* wraz z Lucjuszem Cynną, Publiuszem Lupusem, moim kuzynem Lucjuszem Lucyliuszem i z tym oto Gnejuszem Oktawiuszem Rusonem. Uczestniczyliśmy z Karbonem w tej fatalnej wyprawie do Norikum przeciw Germanom. Nie byłem zbyt lubiany przez kolegów - z wyjątkiem tego tu Gnejusza Oktawiusza Rusona. Gdyby mnie nie lubił, nie byłby dziś moim starszym legatem! W każdym razie moi koledzy dołożyli do Strabona jeszcze jeden przydomek - Menojkes. W drodze do Norikum odwiedziliśmy mój dom rodzinny. Wypatrzyli tam, że kucharz mojej matki jest zezowaty. Na imię miał Menojkes, a ten złośliwy łajdak Lucyliusz - pozbawiony uczuć rodzinnych, bo moja matka była przecież jego ciotką - nazwał Menojkesem mnie, dając do zrozumienia, że ten kucharz był moim ojcem. Nosilem ten przydomek przez całe lata. Dziś jednak zwę się Gnejusz Pompejusz Strabon *Carnifex*. To brzmi lepiej. Strabon Rzeźnik!

Skaton wydawał się raczej znudzony niż zastraszone.

- Jakie znaczenie ma imię? Mnie nazwano Skatonem, bo urodziłem się przy jakimś źródle. Mówiono mi, że się zapluwałem.

Pompejusz Strabon uśmiechnął się przelotnie.

- Co cię sprowadza do mnie, Publiusz Wetiuszu Zapluty?
- Warunki.
- Masz dość walki?
- Szczerze mówiąc, tak. Nie jestem przeciwny dalszej walce - i będę walczył, jeśli będę musiał - ale Italia chyba się skończyła. Gdyby Rzym był jakimś zamorskim wrogiem, nie byłoby mnie dziś tutaj. Jestem jednak Italczykiem z ludu Marsów, a Rzym istnieje w Italii tak samo długo jak Marsowie. Chyba już czas, żeby obie strony uratowały, co się da z tego zamętu, Gnejuszu Pompejuszu. *Lex Julia de ciritate Latinis et sociis danda* wszystko zmienia. Chociaż *lex Plautia Papiria* nie obejmuje tych, którzy walczą przeciw Rzymowi, nie zabrania mi wystąpić o obywatelstwo rzymskie, jeśli zaprzestane działań wojennych i stawię się osobiście przed pretorem w Rzymie. To samo dotyczy



moich ludzi.

- O jakie warunki prosisz, Publiusz Wetiuszu?

- O swobodny przemarsz mojej armii przez linie rzymskie zarówno tu, jak i pod Askulum Picentum. Między Askulum a Interokreą rozpuszczę wojsko i każę wrzucić broń i zbroje do Awensu. Od Interokrei będzie nam potrzebna gwarancja bezpieczeństwa w drodze do Rzymu. Proszę cię też o list do pretora z potwierdzeniem mojej historii i twoją aprobatą dla nadania nam obywatelstwa.

Zapadła cisza. Przyglądający się z odległego kąta Cycleron i Pompejusz wpatrywali się w twarze rozmówców.

- Moj ojciec się nie zgodzi - szepnął Pompejusz.

- Dlaczego?

- On lubi wielkie bitwy.

„Czy naprawdę od takich zachcianek i kaprysów zależą losy ludzi i narodów?”, dziwił się Cycleron.

- Rozumiem powody twojej prośby, Publiusz Wetiuszu - rzekł w końcu Pompejusz Strabon - ale nie mogę się zgodzić. Zbyt wiele rzymskiej krwi polało się pod twoim mieczem i mieczami twoich ludzi. Jeśli chcesz przejść przez nasze linie, żeby stanąć przed pretorami w Rzymie, będziesz musiał walczyć o każdy cal drogi.

Skaton wstał, klepnąwszy dłońmi po udach.

- Cóż, warto było spróbować. Dziękuję za gościnność, Gnejuszu Pompejuszu, czas mi jednak wracać do swej armii.

Oddział Marsów odjechał w mrok. Dopiero gdy się oddalili z zasięgu słuchu, Gnejusz Pompejusz kazał trąbić i w obozie zaczął się ruch.

- Zaatakują jutro, zapewne na dwóch frontach - mówił, goląc mieczem białe włosy na przedramieniu. - To będzie ładna bitwa.

- Co mam robić? - spytał żałośnie Cycleron.

Pompejusz wsunął miecz do pochwy i usiadł na polowym łożku. Inni kadeci zostali już rozesłani do swych zajęć, byli więc sami.

- Włóż kolczugę i hełm, przypasz miecz i sztylet, postaw tarczę i oszczepy przed tym namiotem - rzekł wesoło Pompejusz. - Jeśli Marsowie się przedrą Marku Tuluszu, będziesz się tu bronić do ostatka.

Marsowie nie przedarli się. Cycleron słyszał okrzyki i łomot odległej bitwy, nie widział jednak nic, dopóki Pompejusz Strabon nie nadjechał z synem. Obaj mieli stroje w nieładzie i byli zbryzgani krwią, uśmiechali się jednak szeroko.

- Legat Skatona, Fraukus, zginął - mówił później Pompejusz do Cyclerona. - Rozbiliśmy Marsów i Picenów. Skaton wymknął się z kilkoma swymi ludźmi, ale odcięliśmy dostęp do wszystkich dróg. Gdyby chcieli dostać się do Marruwium, będą musieli iść przez góry, bez żywności i dachu nad głową.

Cycleron przełknął ślinę.



- Skazywać ludzi na śmierć z zimna i głodu to specjalność twego ojca - powiedział heroicznie, chociaż kolana mu drżały.

- A ty dostajesz przez to mdłości, czy nie, biedny Marku Tuluszu? - Pompejusz śmiał się, a potem klepał Cyncerona czule po plecach. - Wojna jest wojną. Oni zrobiliby to samo. Jeśli dostajesz mdłości, nie ma na to rady. Taką masz naturę. Ja na szczęście nie musiałem się mierzyć z wojownikiem tak inteligentnym jak ty. Dla Rzymu też jest lepiej, że większość ludzi jest podobna do ojca i mnie, nie zaś do ciebie. Rzym doszedł tam, gdzie jest, poprzez walkę. Ktoś jednak musi prowadzić sprawy na Forum - a to już twoja arena, Marku Tuluszu.



Tej wiosny była to arena równie burzliwa jak inne teatry wojny, doszło bowiem do starcia Aulusa Semproniusza Aseliona z lichwiarzami. Finanse Rzymu, tak publiczne, jak i prywatne, były w stanie jeszcze gorszym niż podczas drugiej wojny punickiej, kiedy Hannibal okupował Italię i odciął Rzym od świata. Ludzie interesu poukrywali gdzieś pieniądze, skarbiec był całkiem pusty, a wpływy niewielkie. Nawet te części Kampanii, które wciąż pozostawały w rękach Rzymu, były pogrążone w chaosie i nie płaciły podatków. Kwestorzy mieli nudności ze ściąganiem ceł i opłat portowych, bo jeden z dwóch największych portów, Brundyzjum, pozostawał całkowicie odcięty, zbuntowani Italczycy nie płacili podatków, a prowincja Azja, mając wymówkę w postaci Mitrydatesa, bardzo opieszale przekazywała do Rzymu zakontraktowane dochody. Bitynia nie płaciła wcale, a przychody z Sycylii i z Afryki były zżerane przez wyższe ceny pszenicy, zanim jeszcze opuściły Afrykę i Sycylię. Co gorsza, Rzym był dłużnikiem własnej prowincji, Galii italskiej, z której sprowadzał większość broni i sprzętu. Jeden z ośmiu posrebrzany denar Marka Liwiusza Druzusa nauczył wszystkich skrajnej nieufności do monet. Aby obejść tę trudność, tłoczono nadmiar sestercji. Ludzie o średnich i wyższych dochodach chętnie udzielali pożyczek, a procent od pożyczonych sum był najwyższy w historii.

Mając dobrą głowę do interesów, Aulus Semproniusz Aselion uznał, że najlepszym sposobem naprawy sytuacji finansowej będzie umorzenie długów. Jego technika była zarówno atrakcyjna, jak i zgodna z prawem. Odwołał się mianowicie do starodawnego statutu, który zabraniał pożyczania pieniędzy na procent. Innymi słowy, według Aseliona, zarabianie na pożyczaniu pieniędzy było niezgodne z prawem. Szkoda, że to starodawne prawo pozostawało w zapomnieniu przez całe stulecia i że lichwa rozkwitała wśród rycerzy finansistów. Aselion uznał, że daleko więcej rycerzy finansistów pożyczało pieniądze od kogoś niż komuś. Dopóki nie ulży się ich niedoli, nikt w Rzymie nie dojdzie do siebie.



Liczba nie spłaconych długów rosła z każdym dniem. Wierzytiele odchodzili od zmysłów. Sądy upadłościowe były pozamykane jak wszystkie inne sądy, a wierzytiele uciekali się do gwałtownych środków w dochodzeniu swoich należności. Zanim Aselion zdołał wprowadzić w życie przywrócenie starego prawa, lichwiarze usłyszeli o jego zamiarach i zwrócili się do niego o ponowne otwarcie sądów upadłościowych.

- *Tat?! -* wykrzyknął. - Co takiego? Rzym zмага się z najcięższym kryzysem od czasów Hannibala, a ludzie, którzy stoją oto przed moim trybunałem, proszą mnie o pogorszenie jego spraw? O ile chodzi o mnie, uważam was za gromadę odrażających skąpców, i mówię wam: idźcie precz! Jeśli nie pójdziecie, otworzę na nowo sądy, proszę bardzo! Otworzę sądy dla ścigania was za pożyczanie pieniędzy na procent!

Aselion nie dał się od tego odwieść. Jego obstawanie przy tym, że lichwa jest niezgodna z prawem, ogromnie ułatwiało sytuację dłużników - i to w sposób całkowicie zgodny z prawem. Dług niewątpliwie powinien być spłacony, ale nie procenty. Semproniuszowie, rodzina Aseliona, zawsze bronili pozbawionych środków do życia. Idąc za rodzinną tradycją, Aselion bronił swojej sprawy z zapalem fanatyka, odprawiając swoich przeciwników, bezsilnych w obliczu prawa.

Nie wziął jednak pod uwagę tego, że nie wszyscy jego przeciwnicy byli rycerzami. Także senatorowie czerpali korzyści z lichwy, chociaż członkom senatu nie wolno było zajmować się handlem, a zwłaszcza czymś tak brudnym jak lichwa. Wśród senatorskich lichwiarzy był trybun ludowy Lucjusz Kasjusz. Z chwilą wybuchu wojny zajął się tą działalnością, bo jego dochody ledwie wystarczały na cenzus senatora, a gdy szanse Rzymu na zwycięstwo malały, Kasjusz przekonał się, że jego dłużnicy zalegają ze spłatami, a możliwość rozliczenia go przez nowych cenzorów przybliżyła się coraz bardziej. Chociaż nie był w żadnym razie największym lichwiarzem w senacie, był z nich najmłodszy, był zdesperowany i bliski paniki, i raczej samowolny z natury. Działał nie tylko w imieniu własnym, ale wszystkich lichwiarzy.

Aselion był augurem. Jako że był też pretorem miejskim, badał regularnie wróżebne znaki dla miasta z cokołu świątyni Kastora i Polluksa. W kilka dni po starciu z lichwiarzami odczytywał właśnie wróżby, gdy spostrzegł, że tłum na Forum poniżej jest znacznie większy niż zwykle przy wróżbach.

Gdy podnosił czarę, by odprawić libację, ktoś rzucił w niego kamieniem. Ugodził w czoło nad lewą brwią, wytrącając go z równowagi. Czara wypadła mu z rąk i potoczyła się ze szczękiem w dół po schodach świątyni, rozlewając wokół święconą wodę. Poleciały nowe kamienie, istna nawałnica. Zgięty w pół i z głową okrytą wielobarwną togą, Aselion zbiegł po schodach i rzucił się instynktownie ku świątyni Westy. Zwykli widzowie rozpięchli się jednak, gdy tylko zdali sobie sprawę, co się dzieje, a rozwścieczeni lichwiarze, którzy



na niego napadli, zastąpili mu drogę do świątyni i schronienia przy świętym ognisku Westy.

Pozostała mu tylko jedna droga ucieczki: wąskim przejściem zwanym Clivus Vestae i po Schodach Westalek na Via Nova, biegnącą ledwie o kilka stóp powyżej Forum. Ścigany przez wrzeszczących lichwiarzy Aselion wbiegł na Via Nova, ulicę gospód obsługujących zarówno Forum Romanum, jak i Palatyn. Wołając o pomoc, wpadł do zakładu Publiusza Kloacjusza.

Nie zjawiała się żadna pomoc. Podczas gdy dwaj ludzie przytrzymywali Kloacjusza, a dwaj inni jego pomocnika, reszta tłumu porwała Aseliona i rozciągnęła go na stole, jak to robią akolici augura z poświęconymi ofiarami. Ktoś podciął mu gardło z takim zapałem, że ostrze zgrzytnęło o kość. Trysnęła fontanna krwi i Aselion zmarł tam na stole, podczas gdy Publiusz Kloacjusz płakał i zaklinał się piskliwym głosem, że nie zna nikogo z tego tłumu, nikogo!

Okazało się, że nikt ich nie znał. Wstrząśnięty zarówno świętokradztwem, jak i samym morderstwem, senat ustanowił nagrodę dziesięciu tysięcy denarów za informację umożliwiającą zatrzymanie morderców, bolejąc nad zabójstwem augura w ceremonialnym stroju i w trakcie odprawiania obrzędów. Kiedy przez osiem dni nie nadeszło żadne doniesienie, senat podwyższył nagrodę - ułaskawienie dla współwinnego, wyzwolenie dla niewolnika, promocja do wiejskiej *tribus* dla wyzwoleńca. Nadal nic.



- A czego się spodziewaliście? - spytał Gajusz Mariusz Cezara Młodszeo, idąc wolno obok niego przez perystyl. - Lichwiarze zatarli oczywiście ślady.

- To samo mówi Lucjusz Dekumiusz.

Mariusz przystanął.

- Czy nie za często rozmawiasz z tym arcyłotrem, Cezarze Młodszy?

- On tkwi po uszy we wszelkiego rodzaju informacjach, Gajuszu Mariuszu.

- Nieodpowiednich dla twoich uszu, mogę się założyć.

Cezar Młodszy uśmiechnął się szeroko.

- Moje uszy wyrosły razem z resztą ciała w Suburze. Mało co może im zaszkodzić.

- Masz tupet! - Potężna prawa dłoń potarłosa lekko włosy chłopca.

- Ten ogród jest dla nas zbyt mały, Gajuszu Mariuszu. Jeśli chcesz mieć znów pożytek ze swojej lewej strony, musimy chodzić dalej i szybciej.

Zostało to powiedziane z przekonaniem i pewnością siebie, tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

Bez sprzeciwu się jednak nie obeszło.

- Nie mogę pozwolić, by Rzym zobaczył mnie w takim stanie! - ryknął Mariusz.

Cezar Młodszy z rozmysłem puścił lewe ramię Mariusza i pozwolił Wielkiemu Człowiekowi kuśtykać chwilę bez oparcia. Kiedy upadek zdawał się



nieunikniony, chłopiec podtrzymał Gajusza Mariusza, z łatwością mogącą wprowadzić w błąd. Mariusza nie przestawała nigdy dziwić siła ukryta w tej szczupłej postaci, nie uszło też jego uwagi, że Cezar Młodszy używa tej siły z niesamowitym wyczuciem czasu i w sposób zapewniający najwyższą skuteczność.

- Gajuszu Mariuszu, przestałem nazywać cię wujkiem, kiedy przyszedłem do ciebie po twoim udarze, bo uważam, że w tej sytuacji znaleźliśmy się na tym samym poziomie. Twoja *dignitas* zmaląła, moja wzrosła. Jesteśmy sobie równi. W pewnych sprawach jednak zdecydowanie cię przewyższam - mówił bez skrępowania chłopiec. - Na prośbę mojej matki, i żeby pomóc Wielkiemu Człowiekowi, poświęciłem swój czas wolny, by ci dotrzymywać towarzystwa i żebyś znowu zaczął chodzić. Leżałeś na sofie i kazałeś sobie czytać, a opowieści, które miałeś mi do opowiedzenia, zostały opowiedziane. Znam na pamięć każdy kwiat i każdy krzak, i każdy chwast w całym tym ogrodzie! I powiadam ci otwarcie, że wyczerpał on swoje możliwości. Jutro wyjdziemy z domu na Clivus Argentarius. Wszystko mi jedno, czy pójdziemy w górę i na Pole Marsowe, czy w dół przez Porta Fontinalis. Jutro jednak wychodzimy!

Groźne brązowe oczy spojrzały w raczej chłodne niebieskie. Choć Mariusz starał się to ignorować, oczy Cezara Młodszego przypominały mu oczy Sulli. Było to jak spotkanie na wyprawie myśliwskiej z jakimś wielkim kotem i odkrycie, że oczy, które powinny być żółte, są bladoniebieskie z granatową otoczką. Takie koty uważano za gości z Tamtego Świata, być może więc byli nimi i tacy ludzie?

Pojedynek spojrzeń trwał.

- Nie pójdę - rzekł Mariusz.

- Pójdziesz.

- Niech cię bogowie, Cezarze Młodszy! Nie mogę przecież ulec jakiemuś chłopcu! Czy nikt cię nie uczył dyplomacji?

W nieokreślonych oczach tamtego pojawiło się rozbawienie, ożywiając je i dodając całkiem obcego uroku oczom Sulli.

- Kiedy ma się do czynienia z tobą, Gajuszu Mariuszu, nie ma miejsca na dyplomację. Język dyplomatyczny należy do dyplomatów. Ty nie jesteś dyplomata, i całe szczęście. Po Gajuszu Mariuszu zawsze wiadomo, czego się spodziewać. To lubię tak samo jak ciebie.

- Nie zadowolisz się odmową, nieprawdaż, chłopcze? - Mariusz czuł, że jego opór słabnie. Najpierw stal, potem futrzana rękawiczka. Cóż za technika!

- Masz słuszność, nie zadowolę się odmową.

- Dobrze więc, posadź mnie tu, chłopcze. Jeżeli mamy jutro wyjść, muszę teraz odpocząć - odchrząknął. - A co sądzisz o wyjściu ze mną w lektyce, aż do Via Recta? Tam wsiądę i będziemy chodzić, ile zechcesz.

- Jeśli dojdziemy aż do Via Recta, Gajuszu Mariuszu, to na własnych nogach.



Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Cezar Młodszy zachowywał całkowity spokój. Nie trzeba mu było wiele czasu, by pojąć, że Gajusz Mariusz nie znosi pośpiechu. Kiedy powiedział to swej matce, stwierdziła po prostu, że wobec tego ma okazję nauczyć się cierpliwości.

Wymagano od niego czegoś, co nie każdy dziesięcioletek chciałby robić albo lubiłby robić. Codziennie po lekcjach z Markiem Antoniuszem Gnifonem musiał rezygnować z wychodzenia ze swym przyjacielem Gajuszem Matusem, z drugiego apartamentu na parterze, i szedł zamiast tego do domu Mariusza, aby mu dotrzymać towarzystwa. Nie miał w ogóle czasu dla siebie, bo jego matka nie pozwalała mu na opuszczenie ani dnia, ani godziny.

- To twój obowiązek - mówiła w tych rzadkich okazjach, gdy prosił, by mu pozwoliła pójść z Gajuszem Matusem na Pole Marsowe oglądać coś nadzwyczajnego: bojowe rumaki wybierane do październikowych wyścigów albo maszerujących dumnie gladiatorów, wynajętych na igrzyska żałobne.

- Ależ, ja zawsze mam jakieś obowiązki! Czy nie mogę ani na chwilę o nich zapomnieć?

- Nie, Gajuszu Juliuszu. Obowiązki będą z tobą we wszystkich chwilach twego życia, w każdym twoim oddechu. Obowiązków nie można zignorować.

Szedł więc do domu Gajusza Mariusza pewnym szybkim krokiem, pamiętając o uśmiechu i pozdrowieniach, gdy przemykał rojnymi ulicami Subury. Zmuszał się do pośpiechu, mijając księgarnie na Argiletum, na wypadek gdyby miał ochotę wejść do środka. Był wytworem chłodnych i bezlitosnych nauk swojej matki: nie trać czasu, nie rób wrażenia, jakbyś go miał za wiele, nie pobłażaj sobie, nawet gdyby chodziło o książki, uśmiechaj się i pozdrawiaj wszystkich znajomych, a także nieznanym.

Czasem, zanim zapukał do drzwi Gajusza Mariusza, wbiegał na wieżę Fontinalis i patrzył w dół na Pole Marsowe, pragnąc być tam z innymi chłopcami, zadawać i odbijać ciosy drewnianym mieczem, wciskać głowę jakiegoś głupca w trawę, podkradać rzodkiew z pól przy Via Recta, brać udział w bijatykach. Potem jednak - zanim jego oczy miały dość patrzenia - odwracał się, zbiegał z wieży i stawał u drzwi Mariusza, zanim ktoś zauważył jego spóźnienie.

Kochał swą ciotkę Julię, która zwykle mu otwierała. Zawsze miała dla niego specjalny uśmiech, a także pocałunek. Pocałunek to wspaniała rzecz! Jego matka nie pochwałała tego zwyczaju. Mawiała, że ma on zły wpływ i że jest nazbyt grecki, by być moralnym. Na szczęście ciotka Julia widziała to inaczej. Gdy pochylała się, by złożyć na jego ustach pocałunek - nigdy nie obracała głowy, mierząc w policzek - opuszczał powieki i oddychał najgłębiej, jak umiał, by pochwyć ostatni ślad jej zapachu. Całymi latami po jej odejściu ze świata starzejący się Gajusz Juliusz Cezar wyczuwał echo woni jej pachnideł na skórze jakiejś innej kobiety, a wtedy łzy napływały mu do oczu, zanim zdołał nad nimi



zapanować.

Zawsze przedstawiała mu sytuację w danym dniu: „Jest w bardzo złym humorze” albo: „Odwiedził go jakiś przyjaciel i to go wprawiło w świetny nastrój”, albo: „Myśli, że paraliż się pogarsza i jest przygnębiony”.

Zwyczajowo w południe odsyłała go, żeby coś zjadł, sama zaś podawała posiłek południowy Mariuszowi. On tymczasem czytał jakąś książkę na sofie w jej pracowni, jedząc - w domu nigdy by sobie na to nie pozwolił - i pogrążając się w czynach bohaterów albo w wierszach poetów. Ulegał czarowi słów. Mogły sprawić, że jego serce wzlatywało, przestawało bić albo biło jak szalone. Czasami malowały mu, jak Homerowi, jakiś świat bardziej rzeczywisty niż ten, w którym żył.

„Śmierć w nim nie znajdzie nic, co nie byłoby piękne”, powtarzał, wyobrażając sobie martwego młodego wojownika - tak dzielnego, tak szlachetnego, tak doskonałego, że, jak Achilles albo Hektor, albo Patroklos, triumfował nawet nad własną śmiercią.

Wtedy jednak słyszał wołanie ciotki albo służący stukał do drzwi pracowni i mówił mu, że jest potrzebny. Odkładał natychmiast książkę i znów podejmował swe brzemie bez niechęci i bez goryczy.

Gajusz Mariusz był ciężkim brzemieniem. Był stary... utył poprzednio, a potem schudł... skóra zwisała z niego w fałdach... i to przeraźliwe opuszczenie się w dół lewej połowy twarzy... i wyraz tych strasznych oczu. Ślinił się bezwiednie z lewego kącika ust, a ślina ściekała na tunikę, tworząc stale wilgotną plamę. Czasem wygłaszał tyrady, najczęściej do swego nieszczęsnego pieska łańcuchowego, jedynej osoby uwiązanej przy nim dostatecznie długo, by mógł wyładować na niej złość. Czasami szlochał, a łzy łączyły się ze śliną, ciekło mu też dość obrzydliwie z nosa. Czasem śmiał się z jakiegoś własnego żartu, aż się ściany trzęsły, a ciotka Julia wsuwała się wtedy z uśmiechem przyklejonym do twarzy i dyskretnie wyprawiała Cezara Młodsze do domu.

Na początku chłopiec czuł się bezradny, nie wiedząc, co robić ani jak to robić. Był jednak z natury pomysłowy, więc z czasem nauczył się radzić sobie z Gajuszem Mariuszem. Mógł też nie podołać zadaniu, które powierzyła mu matka - rzecz tak nie do pomyślenia, że nawet nie zaczął myśleć o możliwych następstwach. Odkrył także w sobie słabości charakteru. Przede wszystkim brakowało mu cierpliwości, choć matczyne wyszkolenie pozwoliło mu ukryć tę słabość pod ogromem czegoś, co wyglądało jak prawdziwa cierpliwość, a w końcu nawet sam nie wiedział kiedy jest autentyczny, a kiedy udaje. Nie był przewrażliwiony, nauczył się więc nie zwracać uwagi na ślinienie się Mariusza i robić, co należało. Nikt mu tego nie powiedział, bo nikt poza nim tego nie wiedział, nawet lekarze. Trzeba było zmusić Gajusza Mariusza do ruchu. Trzeba było zmusić Gajusza Mariusza do ćwiczeń. Trzeba było uświadomić Gajuszowi Mariuszowi, że znów może żyć normalnie.



- I czego jeszcze dowiedziałeś się od Lucjusza Dekumiusza albo innego suburskiego zbója? - spytał Mariusz.

Chłopiec aż podskoczył, tak nagłe było pytanie i tak odległe od jego własnych myśli.

- No cóż, poskładałem części w jedną całość, jeśli mam rację. Myślę, że mam.

- Co takiego?

- Powód, dla którego konsul Katon postanowił pozostawić Samnium i Kampanię Lucjuszowi Korneliuszowi i przejąć twoje dawne dowództwo w walce z Marsami.

- Oho! Przedstaw mi swoją teorię, Cezarze Młodszy.

- Chodzi o to, że Lucjusz Korneliusz musi być szczególnego rodzaju człowiekiem.

- Jakiego rodzaju człowiekiem?

- Człowiekiem, który umie sprawić, że inni się go boją.

- On to umie!

- Musiał rozumieć, że nigdy nie dostałby dowództwa na południu. Ono należy się konsulowi. Nie upominał się o nie. Zaczekał po prostu, aż konsul Lucjusz Katon przybędzie do Kapui, a potem rzucił jakiś urok, który tak przeraził konsula Katona, że zapragnął znaleźć się od Kapui jak najdalej.

- Jak ci się udało na to wpaść?

- Dzięki Lucjuszowi Dekumiuszowi. I mojej matce.

- Ona wie - rzekł tajemniczo Mariusz.

Cezar Młodszy zerknął na niego ze zmarszczonymi brwiami, po czym wzruszył ramionami.

- Skoro Lucjusz Korneliusz ma naczelne dowództwo i nie przeszkadza mu żaden głupiec, da sobie świetnie radę. Jest chyba bardzo dobrym wodzem.

- Nie tak dobrym jak ja - westchnął Mariusz.

Chłopiec natychmiast skoczył na niego.

- Znów zaczynasz roztkliwiać się nad sobą, Gajuszu Mariuszu! Będziesz jeszcze dowodził, zwłaszcza gdy się wyrwiemy z tego głupiego ogrodu.

Nie przygotowany na ten atak Mariusz zmienił temat.

- A czy twoja suburska winorośl powiedziała ci, jak sobie konsul Katon radzi z Marsami? Nikt mi nic nie mówi - myślą, że to mnie zdenerwuje! Denerwuje mnie to, że nie wiem, co się dzieje. Jeśli mi nie powiesz, chyba pęknę ze złości!

Cezar Młodszy uśmiechnął się szeroko.

- Moja winorośl wie, że konsul wpadł w kłopoty, gdy tylko przybył nad Tyber. Pompejusz Strabon zabrał twoje stare oddziały - jest w tym bardzo dobry! - tak więc konsul Lucjusz Katon został z samymi rekrutami - wiejskimi chłopcami z Umbrii i Etrurii, którzy niedawno otrzymali obywatelstwo. Nie tylko on nie wie, jak ich wyszkolić - jego legaci też nie wiedzą. Zaczął szkolenie od zgromadzenia całej armii. Zwymyślał ich bez litości. Wiesz, jak to jest - są



głupimi kmiotkami, durniami i barbarzyńcami, zgrają marnych robaków i tak dalej.

- Na cienie Lupusa i Cepiona! - wykrzyknął z niedowierzaniem Mariusz.

- Tak czy inaczej, jeden z zebranych nad Tybrem, który wysłuchał tych bzdur, to przyjaciel Lucjusza Dekumiusza, Tytus Tytyniusz. Jest zwolnionym ze służby centurionem, weteranem, któremu nadałeś po Vercellae kawałek ziemi w Etrurii. Mówi, że kiedyś oddał ci przysługę.

- Tak, pamiętam go bardzo dobrze. - Mariusz spróbował się uśmiechnąć, mocno się przy tym śliniąc.

Cezar Młodszy wyciągnął jedną z „chustek Mariusza”, jak je nazywał, i ślina została wytarta.

- On regularnie przyjeżdża do Rzymu i zatrzymuje się u Lucjusza Dekumiusza, bo lubi wiedzieć, co się dzieje na Forum. Kiedy wybuchła wojna, zaciągnął się jako centurion szkoleniowy. Długo był w Kapui, ale nu początku roku wysłano go do pomocy konsulowi Katonowi.

- Przypuszczam, że Tytus Tytyniusz wraz z innymi centurionami nie miał jeszcze okazji zacząć szkolenia, kiedy konsul Katon zwymyślał swą armię nad Tybrem.

- Właśnie. Zwymyślał także centurionów i to był właśnie początek jego kłopotów. Tytus Tytyniusz tak się rozgniewał, słuchając, jak konsul Katon obraża ich wszystkich, że w końcu schylił się po grudę ziemi. I rzucił nią w konsula Katona! Zaraz potem wszyscy ciskali w konsula Katona grudami ziemi! Skończył zasypany po kolana i z armią na skraju buntu. Zeszpecony, zabłocony, zawstydzony.

- Przestań zabawiać się słowami i mów dalej!

- Przepraszam, Gajuszu Mariuszu.

- A więc?

- Konsul Katon nie ucierpiał fizycznie, ale nie mógł znieść, że ucierpiały jego *dignitas* i *autocritas*. Zamiast po prostu zapomnieć o tym zdarzeniu, zakuł Tytusa Tytyniusza w kajdany i odesłał go do Rzymu z listem do senatu żądającym osądzenia go za podżeganie do buntu. Przybył tu dziś rano i siedzi w Lautumiach.

Mariusz zaczął wstawać.

- Cóż, to przesądza, dokąd pójdziemy jutro rano, Cezarze Młodszy! - powiedział całkiem niefrasobliwym tonem.

- Pójdziemy zobaczyć, co się stanie z Tytusem Tytyniuszem?

- Ja w każdym razie pójdę, jeśli to będzie w senacie. Ty możesz poczekać w przedsionku.

Cezar Młodszy podniósł Mariusza i przeszedł automatycznie na jego lewą stronę.

- Nie będę musiał tam czekać, Gajuszu Mariuszu. Postawią go przed



Zgromadzeniem Plebejskim. Senat nie chce mieć z tym do czynienia.

- Jesteś patrycjuszem, więc nie możesz stać w komicjach, kiedy zbiera się plebs. Ja też zresztą nie mogę, w moim stanie. Znajdziemy sobie jakieś dobre miejsce na schodach senatu i obejrzymy stamtąd ten cyrk - mówił Mariusz. - Ach, tego mi było trzeba! Cyrk na Forum jest znacznie lepszy od tego, co edylowie mogą pokazać na igrzyskach!



Jeżeli Gajusz Mariusz wątpił kiedykolwiek w uczucia ludu rzymskiego, mógł porzucić te wątpliwości następnego ranka, gdy wyszedł ze swego domu i pokonywał pochyłość Clivus Argentarius, ulicy wpadającej w bramę Fontinalis, by zakończyć się na dolnym Forum. W prawej ręce miał laskę, a przy lewym boku chłopca, Gajusza Juliusza Cezara. Wkrótce zaś, po prawej i po lewej, z przodu i za sobą, miał wszystkich mężczyzn i wszystkie kobiety z sąsiedztwa. Oklaskiwano go i opłakiwano, po każdym groteskowym kroku z wyrzuceniem prawej nogi naprzód i dociąganiem do niej lewej skrętem biodra, zgromadzeni wokół niego ponaglali go do następnego. Wkrótce pobiegła przed nim zapowiedź, jakże podnosząca na duchu:

- Gajusz Mariusz! Gajusz Mariusz!

Kiedy wszedł na dolne Forum, owacje były ogłuszające. Z potem na czole, opierając się na Cezarze Młodszym mocniej, niż mógł to sobie wyobrażać ktokolwiek poza nimi dwoma, skierował się ku komicjom. Dwa tuziny senatorów pośpieszyły, by go wnieść na cokół Kurii Hostyliusza, on jednak powstrzymał ich i sam pokonał krok po kroku całą wysokość schodów. Przyniesiono krzesło kurulne, na którym zasiadł bez niczyjej pomocy, jeśli nie liczyć chłopca.

- Lewa noga - powiedział, oddychając ciężko.

Cezar Młodszy zrozumiał od razu. Ukląkł i pociągnął bezwładną kończynę, aż spoczęła przed prawą w klasycznej pozie. Potem złożył niesprawną lewą rękę na podołku Mariusza, ukrywając sztywne palce pod fałdą togi.

Gajusz Mariusz siedział więc niczym król, skinieniem głowy przyjmując owacje, a pot ściekał mu po twarzy i pierś unosiła się niczym miechy. Plebs już się zebrał, ale wszyscy zgromadzeni w niecce komicjów obrócili się jak jeden mąż ku schodom senatu i klaskali, a potem dziesięciu trybunów ludowych wezwało z rostrów do trzech wiwatów.

Chłopiec stał przy krześle kurulnym i patrzył w dół na tłum. Było to jego pierwsze zetknięcie się z niezwykłą euforią tak wielu ludzi. Czuł i na swym policzku powiew tego uwielbienia, skoro stał tak blisko jego przedmiotu, i zrozumiał wtedy, co to znaczy być Pierwszym w Rzymie. Gdy owacje w końcu ucichły, jego czułe uszy złowiły szepty.

- Kim jest ten piękny chłopiec?

Dobrze wiedział, że jest urodziwy, i wiedział, jakie to robi wrażenie na



innych. Chciał być lubiany, cieszył się więc, gdy go podziwiano. Gdyby jednak zapomniał, po co go tam posłano, matka byłaby zła, on zaś nie lubił sprawiać jej przykrości. Kropla śliny tworzyła się w kąciку ust Mariusza i trzeba ją było wytrzeć. Wyjął chustkę Mariusza z zakola swej dziecięcej togi z purpurowym szlakiem i gdy cały tłum wzdychał w czułej admiracji, otarł pot z twarzy Mariusza, jednocześnie ścierając ślinę, nim ktokolwiek ją zauważył.

- Prowadźcie zebranie, trybunowie! - zawołał Mariusz, odzyskując dech.

- Przyprowadzić więźnia! - rozkazał Pizon Frugi, przewodniczący kolegium. - Członkowie Zgromadzenia Plebejskiego, spotkaliśmy się tu, by zdecydować o losie Tytusa Tytyniusza, centuriona *pilus prior* w legionach konsula Lucjusza Porcjusza Katona Licynianusa. Senat rzymski przekazał jego sprawę nam, równym mu stanem. Konsul Lucjusz Porcjusz Katon Licynianus twierdzi, że Tytus Tytyniusz starał się wywołać bunt, i żąda ukarania go z całą surowością prawa. Jako że bunt jest zdradą, musimy zdecydować, czy Tytus Tytyniusz ma żyć, czy też umrzeć.

Pizon Frugi przerwał, gdy więzień, wielki mężczyzna po pięćdziesiątce, w samej tylko tunice i w kajdanach na rękach i nogach, został wprowadzony na rostra i ustawiony na ich przedzie.

- Członkowie Zgromadzenia Plebejskiego, konsul Lucjusz Porcjusz Katon Licynianus oświadcza w liście, że zwołał zebranie legionów swojej armii i gdy przemawiał do tego zgromadzenia, Tytus Tytyniusz, ten oto więzień, ugodził go jakimś rzuconym przez siebie pociskiem i że podzegał innych, by zrobili to samo. List nosi pieczęć konsula. Teraz Pizon Frugi zwrócił się do więźnia. - Co na to odpowiesz, Tytusie Tytyniuszu?

- Że to prawda, trybunie. Rzeczywiście ugodziłem konsula rzuconym przez siebie pociskiem. - Centurion urwał, potem dodał: - Grudą wilgotnej ziemi, trybunie, bo to był mój pocisk. A gdy go rzuciłem, wszyscy wokół mnie zrobili to samo.

- Grudą wilgotnej ziemi - powtórzył powoli Pizon Frugi. - Co cię skłoniło do rzucenia czymś takim w dowódcę?

- Nazwał nas kmiotkami, marnymi robakami, wiejskimi przygłupami, z którymi nic się nie da zrobić, i jeszcze o wiele gorzej! - wykrzyczał Tytus Tytyniusz swoim paradnym głosem. - Nie przejmowałbym się, gdyby nas nazwał *mentulae* i *cunni*, trybunie, bo to właściwy sposób rozmowy wodza z żołnierzami. - Nabrał tchu i zagrzmiał: - Gdybym miał pod ręką zgniłe jaja, użyłbym zgniłych jaj! Grudy wilgotnej ziemi są jednak równie dobre, a pod ręką było ich mnóstwo! Możecie kazać mnie zadusić albo zrzucić z Tarpejskiej Skały! Gdybym jednak znów ujrzał Lucjusza Katona, zrobiłbym to samo, taka jest prawda! - Tytyniusz obrócił się ku schodom senatu i wskazał Gajusza Mariusza, pobrząkując łańcuchami. - Oto prawdziwy wódz! Służyłem pod Gajuszem Mariuszem jako legionista w Numidii i służyłem ponownie w Galii,



ale już jako centurion! Kiedy zostałem zwolniony ze służby, nadał mi kawałek ziemi w Etrurii z własnych posiadłości. I powiadam wam, członkowie Zgromadzenia Plebejskiego, że Gajusza Mariusza nigdy by to nie spotkało! Gajusz Mariusz kochał swoich żołnierzy! Nie gardził nimi jak Lucjusz Katon! Nie zakuwałby człowieka w kajdany i nie odsyłał do Rzymu przed sąd jakiejś bandy cywilów tylko dlatego, że ten człowiek czymś w niego rzucił! Ten wódz wepchnąłby to coś żołnierzowi w gębę! Powiadam wam, że z Lucjusza Katona żaden wódz i nie przysporzy on Rzymowi żadnych zwycięstw! Wódz sam rozwiązuje swe kłopoty. Nie podrzuca tego zgromadzeniu trybusowemu!

Zapadła głęboka cisza, kiedy Tytus Tytyniusz skończył, i nikt jej nie przerywał.

Pizon Frugi westchnął.

- Gajuszu Mariuszu, co ty byś zrobił z tym człowiekiem?

- On jest centurionem, Lucjuszu Kalpurniuszu Pizonie Frugi. I ja go rzeczywiście znam, jak powiada. Jest zbyt dobry, by się go pozbywać. Obrzucił jednak swego wodza grudami ziemi, a to zniewaga, niezależnie od stopnia prowokacji. Nie może wrócić do konsula Lucjusza Porcjusza Katona. Byłoby to obrazą konsula, który zwolnił go ze służby u siebie, odsyłając do nas. Chyba najlepiej przysłużymy się Rzymowi, odsyłając go do jakiegoś innego wodza. Jeśli mogę proponować jego powrót do Kapui, podjąłby tam dawne obowiązki.

- Co mówią moi koledzy trybunowie?

- Ja mówię, niech będzie, jak radzi Gajusz Mariusz - rzekł Sylwanus.

- I ja - rzekł Karbon.

Siedmiu pozostałych poszło w ich ślady.

- Co mówi *concilium plebis*? Czy muszę zarządzać formalne głosowanie, czy też podniesiecie ręce? - Wszystkie ręce poszły w górę.

- Tytusie Tytyniuszu, Zgromadzenie nakazuje ci zameldować się u Kwintusa Lutacjusza Katulusa w Kapui. - Pizon Frugi nie pozwolił sobie na uśmiech. - Liktorzy, zdjąć mu łańcuchy. Jest wolny.

Nie chciał jednak odejść, zanim nie przyprowadzono go przed Gajusza Mariusza, gdzie upadł na kolana i zapłakał.

- Dobrze ucz swoich chłopców w Kapui, Tytusie Tytyniuszu - powiedział Mariusz, przygarbiony z wyczerpania. - A teraz, zechciej mi wybaczyć, ale chyba czas mi iść do domu.

Za kolumny wyskoczył Lucjusz Dekumiusz cały w uśmiechach. Wyciągnął rękę do Tytusa Tytyniusza, ale patrzył na Mariusza.

- Jest tu dla ciebie lektyka, Gajuszu Mariuszu.

- Nie pojedę do domu w lektyce, skoro zaszedłem aż tu na własnych nogach. Chłopcze, pomóż mi wstać. - Potężna prawa dłoń wpiła się w szczupłe ramię Cezara Młodszego, aż jego ciało poczerwieniało, ale na twarzy chłopca nie widać było nic prócz troski. Pochylił się, by pomóc wstać Wielkiemu



Człowiekowi, jakby nie było to żadnym problemem.

Już stojąc, Mariusz wziął swą laskę w rękę, chłopiec stanął po jego lewej stronie i zeszli ze schodów niczym dwa złączone uściskiem kraby. Odprowadzało ich chyba pół Rzymu, oklaskując każdy krok Mariusza.

Służący walczyli o zaszczyt odprowadzenia poszarzałego na twarzy Mariusza do jego pokoju i nikt nie zauważył, że Cezar Młodszy gdzieś się zapodział. Kiedy został sam, położył się skulony w przejściu między wejściem a atrium i leżał tam bez ruchu z zamkniętymi oczami. Julia znalazła go jakiś czas później. Uklękła przy nim z sercem ściśniętym strachem, dziwnie niechętna wołaniu o pomoc.

- Gajuszu Juliuszu! Gajuszu Juliuszu! Co ci jest?

Gdy go wzięła w ramiona, przypadł do niej. Cerę miał bezbarwną i prawie nie oddychał. Ujęła jego rękę, by wyczuć tętno, i spostrzegła sińce pozostawione przez palce Mariusza na ramieniu chłopca.

- Gajuszu Juliuszu! Gajuszu Juliuszu!

Oczy otworzyły się, westchnął i uśmiechnął się, a twarz zaczęła nabierać znowu barw.

- Przeprowadziłem go, prawda?

- O tak, Gajuszu Juliuszu, prowadziłeś go znakomicie. - Julia była bliska łez. - Wyczerpało cię to bardziej niż jego! Takie wyjścia na zewnątrz to dla ciebie za wiele.

- Nie, ciociu Julio, dam sobie radę, naprawdę. On nie zechce chodzić z nikim innym, sama wiesz - powiedział, wstając.

- Tak, niestety wiem. Dziękuję ci, Gajuszu Juliuszu, bardziej niż mogę to wyrazić. - Obejrzała siniec. - Powinnam chyba coś tu przyłożyć, żeby złagodzić ból.

Oczy wypełniły się światłem i życiem, a usta wygięły w uśmiechu, który stopił serce Julii.

- Wiem, co złagodzi ten ból, ciociu Julio.

- Co takiego?

- Pocałunek. Jeden z twoich pocałunków, proszę.

Dostał całe mnóstwo pocałunków i swoje ulubione przysmaki, i książkę, i sofę w jej pracowni, żeby mógł odpocząć. Nie wypuściła go do domu, dopóki nie przyszedł po niego Lucjusz Dekumiusz.



W miarę jak zmieniały się pory tego roku, który widział odwrócenie się losów wojny na korzyść Rzymu, Gajusz Mariusz i Cezar Młodszy stali się częścią widoków Rzymu: chłopiec pomagający mężczyźnie, który powoli zaczynał dawać sobie radę sam. Po tamtym pierwszym dniu kierowali się na Pole Marsowe, gdzie tłumy były mniejsze, a ich ukazanie się budziło w końcu niewielkie zainteresowanie. Gdy Mariusz nabrał sił, chodzili dalej, docierając



do Tybru na końcu Via Recta. Po długim odpoczynku Mariusz pływał tego dnia w Trigarium.

Odkąd zaczął pływać regularnie, postępy były szybsze. Pomagała też fascynacja ćwiczeniami wojskowymi i jeździeckimi na Polu Marsowym, które oglądali po drodze. Mariusz uznał, że najwyższy czas rozpocząć szkolenie wojskowe Cezara Młodszeo. Nareszcie! Nareszcie Gajusz Juliusz poznał podstawy tej wiedzy, którą od tak dawna chciał osiąść. Został usadzony w siodle raczej ognistego kuca i pokazał, że jest urodzonym jeźdźcem. Fechtowali się z Mariuszem drewnianymi mieczami, aż w końcu nawet Mariusz nie miał chłopcu nic do zarzucenia i awansował go do używania prawdziwej broni. Pokazano mu, jak rzucać pilum, on zaś za każdym razem trafiał w cel. Nauczył się pływać, gdy Mariusz poczuł się dość pewnie w wodzie, i zaczął słuchać nowego rodzaju opowieści Mariusza - wskazówek wodza na temat dowodzenia wojskiem.

- Większość dowódców przegrywa bitwę, zanim jeszcze wyjdą w pole - mówił Mariusz do Cezara Młodszeo, gdy siedzieli obok siebie nad rzeką zawinięci w prześcieradła.

- W jaki sposób, Gajuszu Mariuszu?

- Na jeden z dwóch sposobów, najczęściej. Niektórzy tak niewiele rozumieją ze sztuki dowodzenia, że poprzestają na wskazaniu legionom nieprzyjaciela, a potem stoją na boku i patrzą jak legiony robią co do nich należy. Inni zaś mają głowy tak pełne podręczników i wskazówek swoich wodzów, z czasów kiedy byli kadetami, że postępują według książek, podczas gdy strategie książkowe są dopraszaniem się o klęskę. Każdy nieprzyjaciel - każda kampania - każda bitwa, Gajuszu Juliuszu! - jest niepowtarzalna. Trzeba do nich podchodzić z respektem należnym ich niepowtarzalności. Trzeba oczywiście zaplanować sobie działania poprzedniego wieczoru na kawałku pergaminu w namiocie dowódcy, ale nie traktuj tego planu jako rzeczy nienaruszalnej. Czekaj z ułożeniem prawdziwego planu, dopóki nie zobaczysz nieprzyjaciela i miejsca spotkania rano w dniu walki, i nie ujrysz szyków wroga i jego słabości. Wtedy decyduj! Z góry wyrobione sądy prawie zawsze przekreślają twoje szanse. W dodatku rzeczy ulegają zmianie w miarę postępu bitwy, bo każda chwila jest niepowtarzalna! Nastrój twoich ludzi może się zmienić; albo teren rozmięknie szybciej, niż ci się zdawało; albo uniesie się pył przesłaniający pole bitwy; albo nieprzyjacielski wódz wyskoczy z jakąś prawdziwą niespodzianką lub ujawnią się jakieś skazy i słabości w twoich planach czy planach nieprzyjaciela - mówił Mariusz całkiem tym pochłonięty.

- A więc nie da się stoczyć bitwy dokładnie tak, jak to zostało zaplanowane poprzedniego wieczoru? - spytał Cezar Młodszy z błyszczącymi oczami.

- To się zdarza! Ale równie często, jak często kurom wyrastają zęby, Cezarze Młodszy. Musisz być gotów - cokolwiek sobie zaplanowałeś i choćby twój plan



był najbardziej złożony - zmienić go w mgnieniu oka! I tu masz kolejną perłę mądrości, chłopcze. Układaj jak najprostsze plany. Proste plany zawsze sprawdzają się lepiej niż jakieś taktyczne potworności, jeśli nie z innego powodu, to choćby z tego, że ty, wódz, nie możesz wprowadzić planu w życie, nie używając łańcucha komend. A łańcuch komend słabnie w miarę oddalania się od wodza.

- Wygląda na to, że wódz musi mieć bardzo dobrze wyszkolony sztab i doskonale wyćwiczoną armię - powiedział chłopiec z namysłem.

- Oczywiście! - wykrzyknął Mariusz. - Dlatego właśnie dobry wódz zawsze pamięta, żeby przemówić do żołnierzy przed bitwą. Nie po to, żeby podnieść ich na duchu, Cezarze Młodszy. Po to, by szeregowcy poznali jego plan. Jeśli będą znali plan, potrafią sobie wytłumaczyć rozkazy, które do nich dotrą.

- Opłaca się więc znać swoich żołnierzy, czyż nie?

- Opłaca się, rzeczywiście. Opłaca się też starać, żeby cię polubili. Jeśli żołnierze lubią swego wodza, trudzą się dla niego bardziej i ryzykują więcej. Nie zapominaj nigdy, co powiedział z rostrów Tytus Tytyniusz. Nazywaj żołnierzy, jak sobie chcesz, ale nigdy nie pozwól im pomyśleć, że nimi gardzisz. Jeśli znasz swoich szeregowych, a oni ciebie, dwadzieścia tysięcy rzymskich legionistów może pobić sto tysięcy barbarzyńców.

- Ty byłeś żołnierzem, zanim zostałeś wodzem.

- Byłem. To przewaga, której nigdy nie uzyskasz, Cezarze Młodszy, bo jesteś szlachetnie urodzonym rzymskim patrycjuszem. Powiadam jednak, że jeśli nie byłeś żołnierzem, zanim zostałeś wodzem, nie możesz zostać wodzem w prawdziwym sensie tego słowa. - Mariusz pochylił się wpatrzony w coś odległego, daleko poza Trigarium i dobrze utrzymaną murawą równiny watykańskiej. - Najlepsi wodzowie byli najpierw żołnierzami. Popatrz na Katona Cenzora. Kiedy będziesz w odpowiednim wieku, by zostać kadetem, nie objaj się za linią występując się dowódcy. Idź do pierwszego szeregu i walcz! Zapomnij o szlachetnym urodzeniu. Przy każdej bitwie stawaj się szeregowcem. Jeśli twój wódz każe ci jeździć z rozkazami, powiedz mu, że wolisz walczyć. Pozwoli ci, bo nieczęsto słyszy coś takiego od szlachetnie urodzonych. Musisz walczyć jak zwykły żołnierz, Cezarze Młodszy. Jak inaczej mógłbyś rozumieć, kiedy ci przyjdzie dowodzić, przez co przechodzą twoi żołnierze z pierwszej linii? Skąd miałbyś wiedzieć, czego się boją, co ich raduje, a co każe im szarżować jak wściekłym bykom? I powiem ci coś jeszcze, chłopcze!

- Co takiego? - spytał Cezar Młodszy z zapartym tchem.

- Że czas iść do domu! - Mariusz śmiał się, dopóki nie zobaczył wyrazu twarzy Cezara Młodszego. - Tylko nie siadaj przy mnie na wysokiego konia, chłopcze! - warknął z irytacją, bo jego żart chybił celu, a Cezar Młodszy był wściekły.



- A ty nie drażnij mnie w tak ważnych sprawach! - powiedział chłopiec głosem tak cichym i łagodnym, jaki miewał w podobnych chwilach Sulla. - To poważna sprawa, Gajuszu Mariuszu! Nie jesteś tu po to, żeby mnie zabawiać! Chcę wiedzieć wszystko, co wiesz ty, zanim dorosnę do wieku kadeta. Wtedy będę mógł uczyć się dalej, mając lepsze podstawy niż inni. Nigdy nie przestanę się uczyć! Przerwij swoje nieśmieszne żarty i traktuj mnie jak mężczyznę!

- Nie jesteś mężczyzną - powiedział niepewnie Mariusz, zbity z tropu tą burzą, którą wywołał, i niepewny, jak sobie z nią radzić.

- Kiedy chodzi o wiedzę, jestem mężczyzną bardziej niż wszyscy inni, których znam, włącznie z tobą! - Cezar Młodszy podniósł głos, a kilka mokrych twarzy siedzących obok obróciło się w jego stronę. Nawet jednak w środku wybuchu gniewu nie stracił przytomności umysłu. Rzucił okiem na sąsiadów i wstał. Usta miał zacięte. - Mogę sobie być dzieckiem, kiedy ciocia Julia traktuje mnie jak dziecko, ale kiedy ty mnie tak traktujesz, Gajuszu Mariuszu, jestem... śmiertelnie obrażony. Uprzedzam cię, że tego nie zniosę! - Wyciągnął dłoń, by podnieść Mariusza. - Chodźmy do domu. Nie mam dziś do ciebie cierpliwości.

Mariusz chwycił tę dłoń i poszedł do domu bez słowa.

Dobrze się stało, że wrócili do domu. Wchodząc, zastali Julię czekającą na nich niecierpliwie i ze śladami łez na twarzy.

- Ach, Gajuszu Mariuszu, stało się coś strasznego! - zawołała, całkiem zapominając, że nie należało go martwić. Chociaż był chory, w nieszczęściu zwracała się do niego po ratunek.

- Co takiego, *meum mell*?

- Mariusz Młodszy! - Widząc w twarzy męża osłupienie, gorączkowo brnęła dalej. - Nie, nie, kochany, on nie zginął! Nie jest nawet ranny! Przepraszam, że cię przestraszyłam, ale nie wiem, co robić.

- Usiądź więc, Julio, i uspokój się. Ja usiądę obok ciebie, Gajusz Juliusz z drugiego boku, a ty opowiesz nam wszystko jasno i wyraźnie i nie naśladować fontanny.

Julia usiadła. Mariusz i Cezar Młodszy usiedli po obu jej stronach. Obaj trzymali ją za ręce.

- Zaczynaj - rzekł Mariusz.

- Doszło do wielkiej bitwy z Kwintusem Popediuszem Silonem i Marsami, chyba gdzieś pod Albą Fucencją. Marsowie wygrali, ale nasza armia zdołała się wycofać bez wielkich strat w ludziach.

- No cóż, to chyba postęp - powiedział posępnie Mariusz. - Mów dalej. To chyba nie wszystko.

- Konsul Lucjusz Katon został zabity na krótko przedtem, zanim nasz syn nakazał odwrót.

- Nasz syn nakazał odwrót?

- Tak. - Była bliska płaczu, ale powstrzymała łzy.



- Skąd wiesz to wszystko, Julio?

- Kwintus Lutacjusz Katulus chciał się dziś z tobą widzieć. Chyba wizytował front marsyjski w związku z ciągłymi trudnościami wojsk Lucjusza Katona. Nie wiem... nie jestem pewna. - Julia wyjęła dłoń z ręki Cezara Młodszeo i uniosła ją do czoła.

- Mniejsza z tym, dlaczego Kwintus Lutacjusz wizytował front marsyjski - powiedział surowo Mariusz. - Chyba był świadkiem tej bitwy, którą przegrał Katon?

- Nie, był pod Tyburem. Tam wycofała się nasza armia po bitwie. Najwyraźniej uciekali w panice. Żołnierzami nikt nie dowodził. Jedynym, który zachował rozsądek, był chyba nasz syn. W drodze do Tyburu starał się przywrócić porządek, ale bezskutecznie. Biedacy byli całkiem obłąkani.

- Więc czemu... co w tym złego, Julio?

- Pod Tyburem czekał pretor. Nowy legat przydzielony do Lucjusza Katona, Lucjusz Korneliusz Cynna... Jestem pewna, że właśnie to nazwisko wymienił Kwintus Lutacjusz. Kiedy więc armia doszła do Tyburu, Lucjusz Cynna przejął ją od Mariusza Młodszeo i wszystko wydawało się w porządku. Lucjusz Cynna pochwalił nawet naszego syna za przytomność umysłu. - Julia wyrwała teraz obie ręce trzymającym i załamała dłonie.

- Wydawało się w porządku? Co więc się stało?

- Lucjusz Cynna zwołał zebranie, by ustalić, co zaszło. Zostało tylko kilku trybunów i kadetów, których można było wypytać. Wszyscy legaci najwyraźniej zginęli, bo żaden nie dotarł do Tyburu. - Julia desperacko starała się o przejrzystość wypowiedzi. - Potem, kiedy Lucjusz Cynna doszedł do okoliczności śmierci konsula Lucjusza Katona, jeden z kadetów oskarżył naszego syna o morderstwo.

- Rozumiem. - Mariusz nie okazał niepokoju. - No cóż, Julio, ty znasz całą historię, a ja nie. Mów dalej.

- Tamten kadet mówił, że Mariusz Młodszy usiłował przekonać Lucjusza Katona o konieczności odwrotu. Lucjusz Katon napadł jednak na niego, nazywając go synem italskiego zdrajcy. Odmówił nakazania odwrotu i powiedział, że lepiej, by wszyscy Rzymianie zginęli, niż żyli w hańbie. Odwrócił się z pogardą plecami do Mariusza Młodszeo. Wtedy - tak zeznał kadet - nasz syn wbił miecz po rękojeść w plecy Lucjusza Katona! Potem przejął dowództwo i nakazał odwrót. - Julia płakała.

- Czy Kwintus Lutacjusz nie mógł poczekać na mnie, zamiast obciążać cię taką wiadomością? - spytał szorstko Mariusz.

- On naprawdę nie miał czasu, Gajuszu Mariuszu. - Otarła łzy, starając się opanować. - Wezwali go do Kapui, musiał natychmiast wyruszać. Prawdę mówiąc, powiedział, że nie powinien nawet zajeżdżać do nas do Rzymu, więc musimy być wdzięczni i za to. A kiedy to opowiadał, zrozumiałam, że on



wierzy w to, że nasz syn zabił Lucjusza Katona! Ach, Gajuszu Mariuszu, co teraz zrobisz? Co możesz zrobić? Co miał na myśli Kwintus Lutacjusz?

- Muszę jechać pod Tybur z tym moim przyjacielem Gajuszem Juliuszem - rzekł Mariusz, wstając.

- Nie możesz! - Julii zaparło dech.

- Właśnie, że mogę. Uspokój się, żono, i każ Strofantesowi posłać po Aurelię i Lucjusza Dekumiusza. Może on doglądać mnie w czasie podróży, a to oszczędzi siły chłopca. - Mariusz mówił to, ściskając lekko ramię Cezara Młodszeo, nie żeby potrzebował oparcia, raczej nakazywał chłopcu milczenie.

- Niech Lucjusz Dekumiusz jedzie z tobą sam, Gajuszu Mariuszu. Gajusz Juliusz powinien wrócić do domu do matki.

- Tak, masz słuszność - powiedział Mariusz. - Idź do domu, Cezarze Młodszy.

- Moja matka umieściła mnie przy twoim boku, Gajuszu Mariuszu - oświadczył surowo Cezar Młodszy. - Gdybym opuścił cię w potrzebie, bardzo bym ją rozgniewał.

Mariusz mógłby nalegać, to Julia, znając Aurelię, ustąpiła.

- On ma rację, Gajuszu Mariuszu. Zabierz go ze sobą.

I tak jedną długą letnią godzinę później dwukółka zaprzęzona w cztery muły wywiozła Gajusza Mariusza, Cezara Młodszeo i Lucjusza Dekumiusza z Rzymu przez Bramę Eskwilińską. Dobry woźnica, Lucjusz Dekumiusz, prowadził zaprzęg szybkim kłusem. Muły mogły wytrzymać to tempo bez zmęczenia przez całą drogę aż do Tyburu.

Ściśnięty między Mariuszem a Lucjuszem Dekumiuszem, zachwycony tym wszystkim Cezar Młodszy, przyglądał się aż do zapadnięcia zmroku mijanym okolicom. Nigdy dotąd nie zabierano go w podróż w tak nagłych okolicznościach, czuł jednak skryty pociąg do szybkiego podróżowania.

Choć było między nimi dziewięć lat różnicy, Cezar Młodszy dobrze znał swego kuzyna. Zachował o wiele więcej wspomnień z wczesnego dzieciństwa o nim niż o innych dzieciach, i nie miał powodu, by lubić Mariusza Młodszeo. Co prawda Mariusz Młodszy nigdy go źle nie traktował ani nawet nie wyśmiewał się z niego, to raczej inni, których źle traktował i z których szydził, nastawili przeciw niemu Cezara Młodszeo. Póki trwała nieustanna rywalizacja Mariusza Młodszeo i Sulli Młodszeo, zawsze przyznawał rację młodszemu z nich. Mariusz Młodszy miał też dwa oblicza dla Kornelii Sulli: jedno czarujące, gdy była obecna, drugie pogardliwe, gdy jej nie było. Nie krył też przed kuzynami, że z niej szydzi, i przez to zachęcał ich do tego. Tak więc Cezar Młodszy wcale się nie przejmował możliwością popadnięcia Mariusza Młodszeo w kłopoty, martwił się jednak bardzo o Gajusza Mariusza i ciotkę Julię.

Po zapadnięciu zmroku Lucjusz Dekumiusz prowadził muły stępa, chociaż księżyc oświetlał drogę. Chłopiec szybko zasnął z głową na podołku Mariusza,



a jego ciało zapadło w ów całkowity bezwład widywany tylko u śpiących dzieci i zwierząt.

- No cóż, Lucjusz Dekumiuszu, porozmawiajmy - odezwał się Mariusz.
- To dobry pomysł - powiedział wesoło Lucjusz Dekumiusz.
- Mój syn ma bardzo poważne kłopoty.

Lucjusz Dekumiusz mlasnął językiem.

- Chyba nie jest aż tak źle, Gajuszu Mariuszu?
- Jest oskarżony o morderstwo konsula Katona.
- Z tego, co słyszałem o konsulu Katonie, wynika, że Mariusz Młodszy powinien dostać wieniec z trawy za ocalenie armii.

Mariusz zatrząsł się ze śmiechu.

- Nie mogę zaprzeczyć. Jeśli mam wierzyć mojej żonie, takie właśnie były okoliczności. Ten głupiec Katon sam sobie zaplanował klęskę! Sądzę, że jego dwaj legaci już wtedy nie żyli, a trybunowie byli z rozkazami gdzieś w polu - zapewne z błędnymi rozkazami. Z pewnością konsul Katon miał przy sobie jedynie kadetów. Mojemu synowi kadetowi przypadło w udziale doradzać odwrót wodzowi. Katon odmówił i nazwał Mariusza Młodszego synem italskiego zdrajcy. Po czym, według innego kadeta, Mariusz Młodszy wpakował dwie stopy porządnego rzymskiego miecza w plecy konsula i nakazał odwrót.

- Dobra robota, Gajuszu Mariuszu!
- I ja tak sądzą. Żałuję tylko, że zrobił to, kiedy Katon był odwrócony plecami. Znam jednak mego syna. To był wybuch gniewu, to nie brak poczucia honoru. Za mało bywałem w domu, żeby mu wybić z głowy w dzieciństwie te wybuchy gniewu. Był zresztą dość sprytny, żeby tego nie okazywać przy mnie.

- Ilu jest świadków, Gajuszu Mariuszu?

- Tylko jeden, o ile mi wiadomo. Dowiem się tego, gdy zobaczę się z Lucjuszem Korneliuszem Cynną, który objął dowództwo. Mariusz Młodszy musi naturalnie odpowiadać za to, o co się go oskarża. Jeśli świadek będzie obstawał przy swoim, mego syna czeka chłosta i ścięcie. Zabójstwo konsula to nie jest zwykłe morderstwo. To także świętokradztwo.

Lucjusz Dekumiusz mlasnął językiem, ale nic nie powiedział.

Wiedział oczywiście dlaczego poproszono go o udział w tej podróży, która miała wyjaśnić okropne zamieszanie. Był dumny, że zrobił to Gajusz Mariusz. Gajusz Mariusz! Najuczciwszy, najbardziej honorowy człowiek, jakiego znał. Co mówił przed laty Lucjusz Korneliusz Sulla? Że kiedy on wybiera krętą ścieżkę, Gajusz Mariusz kroczy prosto. Dziś wieczorem wydaje się jednak, że Gajusz Mariusz wybrał krętą ścieżkę, nie przebierając w środkach. To nie w jego stylu. Były inne drogi. Sposoby, których Gajusz Mariusz mógłby przynajmniej spróbować.

Potem Lucjusz Dekumiusz wzruszył ramionami. Gajusz Mariusz był mimo wszystko ojcem. Tylko jedno pisklę. Bardzo cenne. Niezły chłopiec, jeśli zajrzeć



pod tę zarozumiałą arogancję. To musi być ciężka rzecz, być synem Wielkiego Człowieka. Zwłaszcza dla kogoś, kto nie ma w sobie siły. Ach, on jest dość dzielny. Ma też swój rozum. Nigdy jednak nie zostanie wielkim człowiekiem. Do tego trzeba mieć ciężkie życie. Cięższe niż to, którego doświadczył Mariusz Młodszy. Taka urocza matka! Gdyby jednak miał taką matkę jak Cezar Młodszy... mogłoby być inaczej. Tamta zrobiła wszystko, żeby Cezar Młodszy miał ciężkie życie. Nigdy nie pozwalała mu na odrobinę swobody. W rodzinie nie było też pieniędzy.

Teren dotąd płaski, zaczął się nagle wznosić, a zmęczone muły zaczęły ustawać. Lucjusz Dekumiusz pogłaskał je batem, wykrzyknął kilka gróźb i zmusił do dalszej jazdy. Przeguby miał stalowe.



Piętnaście lat temu Lucjusz Dekumiusz mianował sam siebie opiekunem matki Cezara Młodszego, Aurelii. W tym samym czasie znalazł sobie dodatkowe źródło dochodów. Był urodzonym Rzymianinem, należał do miejskiej *tribus* Palatina, według cenzusu był członkiem klasy czwartej, a z zawodu nadzorcą kolegium rozdroży mieszczącego się w kamienicy czynszowej Aurelii. Był niepozornym człowiekiem o włosach nieokreślonego koloru i pospolitych rysach. Jego niepociągająca powierzchowność i brak wykształcenia skrywały niezachwianą wiarę we własną inteligencję i siłę ducha. Kierował swym stowarzyszeniem niczym wódz.

Obowiązki tego kolegium, zarejestrowanego oficjalnie u miejskiego pretora, obejmowały opiekę nad rozdrożami: od sprzątania, przez opiekę nad świątynią Larów Rozdroży i wielką fontanną nad starym basenem, do nadzoru nad uroczystościami dorocznego święta Kompitaliów. Członkowie tego kolegium prezentowali całą gamę męskich mieszkańców okolicy, Rzymian, od klasy drugiej do Policzonych Głowami i cudzoziemców, od Żydów i Syryjczyków do greckich wyzwoleńców i niewolników. Klasy druga i trzecia nie wносиły jednak żadnego wkładu w działalność stowarzyszenia poza darowiznami na tyle hojnymi, by uniknąć dozoru. Stali goście zadziwiająco czystych lokali kolegium byli ludźmi pracy, którzy spędzali tu dzień na rozmowie i picciu taniego wina. Wszyscy pracujący - wolni czy niewolnicy - mieli ósmy z kolei dzień wolny od pracy, chociaż nie dla wszystkich był to ten sam dzień. Dla każdego dniem wolnym był ósmy dzień od dnia, w którym rozpoczął pracę. Tak więc ludzie zasiadający w kolegium w jakimś określonym dniu nie byli wcale tymi samymi ludźmi, którzy pełnili tę funkcję w dni poprzednie. Kiedy Lucjusz Dekumiusz oznajmiał, że jest coś do zrobienia, wszyscy obecni odstawiali wino i wypełniali polecenia nadzorca kolegium.

Bractwo pod egidą Lucjusza Dekumiusza zajmowało się też całkiem innymi rzeczami niż opieka nad rozdrożami. Kiedy stryj i ojczym Aurelii, Marek Aureliusz Kotta, kupił jej insulę, lokując w tej korzystnej inwestycji jej posag, ta



groźna młoda dama szybko przekonała się, że udziela schronienia grupie ludzi żerujących na miejscowych sklepikarzach i ludziach interesu. Zapewniali im ochronę przed niszczeniem ich dobytku i napadami. Wkrótce potem położyła temu kres - albo raczej Lucjusz Dekumiusz i jego bractwo przenieśli swoją agencję ochrony nieco dalej, w dzielnicę, gdzie Aurelia nie знаła ofiar i przez które nie przechodziła.

W tym samym czasie kiedy Aurelia objęła w posiadanie swą insulę, Lucjusz Dekumiusz znalazł sobie uboczne zajęcie, które odpowiadało jego charakterowi tak samo jak jego sakiewce - został zabójcą. Ci, którzy go znali, wierzyli bez zastrzeżeń, że jest odpowiedzialny za liczne zgony polityków i ludzi interesu, Rzymian i cudzoziemców. To, że nigdy nie miał kłopotów, a tym bardziej nigdy nie został zatrzymany, zawdzięczał swej zręczności i odwadze. Nigdy nie było przeciw niemu żadnych dowodów. Natura jego lukratywnego dodatkowego zajęcia była jednak powszechnie znana w Suburze. Jak mawiał sam Lucjusz Dekumiusz: „Gdyby nikt nie wiedział, że jesteś zabójcą, nikt nie zaproponowałby ci żadnej roboty”. Niektórych czynów się wypierał, i znów wierzono mu bez zastrzeżeń. Słyszano, jak mówił, że morderstwo Aseliona było partacką robotą jakiegoś amatora, który naraził Rzym na niebezpieczeństwo, zabijając augura odprawiającego w ceremonialnym stroju swe obrzędy. I chociaż jego zdaniem Metellus Numidyjski Świnka-Szczecinka naprawdę został otruty, Lucjusz Dekumiusz oznajmiał wszem wobec, że trucizna jest bronią kobiet, a on się do niej nie zniża.

Zakochał się w Aurelii od ich pierwszego spotkania - zarzekał się, że nie była to miłość romantyczna i że jej nie pożądał - było to raczej instynktowne rozpoznanie bratniej duszy, równie zdeterminowanej, odważnej i inteligentnej jak on sam. Miłował ją i chronił. Gdy pojawiły się dzieci i one zostały przygarnięte pod sępie skrzydła Lucjusza Dekumiusza. Ubóstwiał Cezara Młodsze. Kochał go, prawdę mówiąc, o wiele bardziej niż własnych synów, którzy byli już prawie dorośli i przeszli szkołę kolegium rozdroży. Od lat strzegł tego chłopca, spędzał całe godziny w jego towarzystwie, nauczył go dziwnie uczciwie oceniać świat, w którym żył, i ludzi tego świata. Pokazał mu, jak działa agencja ochrony i jak pracuje dobry zabójca. Cezar Młodszy wiedział o Lucjuszu Dekumiuszu wszystko i wszystko rozumiał. Postępowanie odpowiednie dla szlachetnie urodzonego rzymskiego patrycjusza wcale nie było właściwe dla Rzymianina z klasy czwartej, który był nadzorcą kolegium rozdroży. Każdemu przypadło co innego. Nie przekreślało to jednak ich przyjaźni. Ani tego, że kochali siebie nawzajem.

- My, nisko urodzeni Rzymianie, jesteśmy nikczemnikami - wyjaśniał Lucjusz Dekumiusz Cezarowi Młodsze. - Nie byłoby tak, gdybyśmy mogli dobrze zjeść i wypić, i mieli trzy albo cztery miłe niewolnice, w tym jedną z *cunnus*, dla której warto unieść spódniczkę. Nawet gdybyśmy umieli robić interesy - a tak



przeważnie nie jest - skąd mielibyśmy wziąć kapitał, pytam ciebie? Nie, człowiek tak tunikę kraje, jak materii staje. Zawsze to mówię, bo tak właśnie jest. - Przyłożył palec wskazujący do nosa i wyszczerzył poźółkłe zęby. - Ale o tym ani słowa, Gajuszu Juliuszu! Ani słowa nikomu! Zwłaszcza twojej drogiej matce.

Sekrety były dotrzymywane, bo musiały być dotrzymywane, zwłaszcza wobec Aurelii. Wykształcenie Cezara Młodsze było daleko szersze, niż to sobie mogła choć w przybliżeniu wyobrazić.



Przed północą dwukółka i spocone muły dotarły do obozu wojskowego pod miasteczkiem Tybur. Gajusz Mariusz wyciągnął z łóżka byłego pretora Lucjusza Korneliusza Cynnę bez najmniejszych skrupułów.

Znali się tylko pobieżnie, bo było między nimi trzydzieści lat różnicy, ale Cynna znany był ze swych przemówień w kurii jako wielbiciel Mariusza. Był z niego dobry *praetor urbanus* - pierwszy z namiestników Rzymu czasu wojny, pod nieobecność obydwóch konsulów - ale konfrontacja z Italią zrujnowała jego szanse na zrobienie fortuny podczas zarządzania którąś z prowincji.

Obecnie, dwa lata później, znalazł się bez środków na wyposażenie córek, a nawet wątpił, czy zdoła zapewnić synowi karierę senatorską. List senatu awansujący go na naczelnego dowódcę na froncie marsyjskim po śmierci konsula Katona wcale go nie zachwyił. W istocie oznaczało to mnóstwo pracy nad przywróceniem trwałości konstrukcji, naruszonej przez kogoś równie niekompetentnego co aroganckiego. Ach, gdzież była bogata prowincja?

Był krępy, z pobrużdżoną twarzą i zdeformowaną szczęką, ale wygląd nie przeszkodził mu w małżeństwie z Annją, dziedziczką bogatego plebejskiego rodu, który od dwustu lat szczyił się konsulami. Cynna miał z Annją troje dzieci: piętnastoletnią córkę, siedmioletniego syna i jeszcze jedną córkę, pięcioletnią. Choć Annja nie była pięknoscją, była kobietą przyciągającą wzrok, rudowłosą i zielonooką. Starsza córka odziedziczyła po niej urodę, podczas gdy młodsze dzieci były ciemnowłose jak ich ojciec. Nie miało to znaczenia, do chwili gdy pontifex maximus Gnejusz, Domicjusz Ahenobarbus odwiedził Cynnę i poprosił o rękę jego starszej córki dla swego starszego syna Gnejusza.

- My, Domicjusze Ahenobarbowie, lubimy mieć rudowłose żony powiedział bez ogródek pontifex maximus. - Twoja córka Kornelia Cynna spełnia wszystkie kryteria: jest w odpowiednim wieku, jest patrycjuszką i jest rudowłosa. Najpierw miałem na oku córkę Lucjusza Sulli. Ma ona jednak wyjść za syna Kwintusa Pompejusza Rufusa, a to wstyd. Twoja córka nadaje się jednak równie dobrze. Ta sama *gens* i chyba większy posag?

Cynna przełknął ślinę, modląc się w duchu do Junony Sospity i Ops i przywołując wiarę w swoją przyszłość jako namiestnika bogatej prowincji.

- Kiedy moja córka dorośnie do małżeństwa, Gnejuszu Domicjuszu, dostanie



w posagu pięćdziesiąt talentów. Więcej nie obiecuję. Czy to ci wystarcza?

- Najzupełniej! - odrzekł Ahenobarbus. - Gnejusz jest moim głównym spadkobiercą, więc twojej córce będzie się dobrze wiodło. Jestem, jak sędzę, w pierwszej szóstce najbogatszych ludzi w Rzymie i mam tysiące klientów. Czemu nie mielibyśmy urządzić zaręczyn?

Wszystko to zdarzyło się przed rokiem, zanim Cynna został pretorem. Wtedy można mu było wybaczyć nadzieje, że zdobędzie pieniądze na posag córki przed jej ślubem z Gnejuszem Domicjuszem Ahenobarbem Młodszym. Sprawa byłaby prostsza, gdyby majątek Annii był dostępny, ale jej ojciec kontrolował pieniądze córki, które w razie jej śmierci nie przechodziły na dzieci.

Kiedy Mariusz zbudził go ze snu, księżyc w drugiej kwadrze zniżał się już ku zachodowi. Cynna nie miał pojęcia o możliwych następstwach tej wizyty. Włożył z ciężkim sercem tunikę i buty i przygotował się na wysłuchanie niemiłych rzeczy od ojca kogoś, kto wydawał się kiedyś bardzo obiecującym chłopcem.

Wielki Człowiek wszedł do namiotu dowódcy w osobliwym towarzystwie bardzo pospolitego z wyglądu człowieka pod pięćdziesiątkę i bardzo pięknego chłopca. To chłopiec wykonywał większą część pracy w sposób świadczący o dużej wprawie. Cynna uznałby go za niewolnika, gdyby nie *bull*a na jego szyi i gdyby nie zachowywał się jak patrycjusz z rodu lepszego niż Korneliusze. Gdy Mariusz usiadł, chłopiec stanął przy jego lewym boku, a ów mężczyzna w średnim wieku poza nim.

- Lucjusz Korneliuszu Cynno, oto syn mego szwagra, Gajusz Juliusz Cezar Młodszy, i mój przyjaciel Lucjusz Dekumiusz. Możesz być przy nich całkiem szczery. - Mariusz użył prawej dłoni do ułożenia lewej na podołku. Wydawał się mniej zmęczony, niż się tego spodziewał Cynna, i w lepszym stanie, niż donosiły wieści z Rzymu - nie najnowsze wieści, jeśli o tym pomyśleć. Najwyraźniej nadal mógł być groźny. „Na szczęście, nie jest moim groźnym przeciwnikiem”, pomyślał Cynna.

- Tragiczna sytuacja, Gajuszu Mariuszu.

Szeroko otwarte oczy powędrowały wokół namiotu, a nie znalazłszy nikogo, wróciły do Cynny.

- Czy jesteśmy sami, Lucjusz Cynno?

- Zupełnie sami.

- To dobrze. - Mariusz rozsiadł się wygodniej. - Mam informacje z drugiej ręki. Kwintus Lutacjusz zaszedł do mnie i nie zastał mnie w domu. Opowiedział tę historię mojej żonie, a ta przekazała ją mnie. Rozumiem, że mój syn jest oskarżony o zamordowanie konsula Lucjusza Katona podczas bitwy i że jest jakiś świadek, albo kilku świadków. Czy to się zgadza?

- Obawiam się, że tak.

- Ilu jest świadków?



- Tylko ten jeden.  
- A kto to jest? Ktoś wiarygodny?  
- Bez zarzutu, Gajuszu Mariuszu. To *contubernalis* Publiusz Klaudiusz Pulcher.

- Ach, to ta rodzina! - mruknął Mariusz. - Słyną z tego, że wszystkim zazdroszczą i nie można się z nimi dogadać. Są też biedni jak pastuchy z Apulii. Czemu więc tak stanowczo twierdzisz, że ten świadek jest bez zarzutu?

- Bo ten akurat Klaudiusz nie jest typowym przedstawicielem rodziny. - Cynna był zdecydowany rozwiać nadzieje Mariusza. - Ma znakomitą opinię w namiocie *contubernalis* i w sztabie Lucjusza Katona. Zrozumiesz go lepiej, kiedy go spotkasz. Jest niezmiernie lojalny wobec innych kadetów, jest z nich najstarszy i naprawdę lubi twego syna. Dodam, że ma też wiele sympatii dla postępu twego syna. Lucjusz Katon nie był popularny w swym sztabie, a tym bardziej w armii.

- A jednak Publiusz Klaudiusz oskarżył mego syna.

- Uważał, że to jego obowiązek.

- Ach, rozumiem! Świętoszek i pedant.

Cynna był jednak innego zdania.

- Nie, Gajuszu Mariuszu, on nie jest taki! Pomyśl o tym przez chwilę jak dowódca, nie jak ojciec, błagam! Ten młody Pulcher to najlepszy rodzaj Rzymianina, świadom tego, co to obowiązek i co to rodzina. Spełnił swoją powinność, chociaż wcale mu się to nie podobało. Taka jest po prostu prawda.

Kiedy Mariusz spróbował wstać, widać było, że jednak jest zmęczony. Najwyraźniej przywykł robić to bez pomocy, teraz jednak nie mógł się poruszyć bez Cezara Młodszeo. Ów pospolity Lucjusz Dekumiusz pośpieszył, by stanąć z prawej strony Mariusza, i chrząknął. Wpatrzone w Cynnę oczy usiłowały przekazać mu jakąś wiadomość.

- Czy chcesz coś powiedzieć? - spytał Cynna.

- Lucjusz Cynno, za przeproszeniem i w ogóle, czy ta rozprawa przeciw młodemu Gajuszowi Mariuszowi musi się odbyć jutro?

Zdziwiony Cynna mrugał.

- Nie. Może to być pojutrze.

- Więc niech to będzie pojutrze, jeśli nie masz nic przeciw. Kiedy Gajusz Mariusz wstanie jutro, a to nie będzie wcześniej, będzie potrzebował ćwiczeń. Siedział po prostu za długo skulony w dwukółce. - Dekumiusz mówił wolno, skupiony na gramatyce. - Jego ćwiczenia to obecnie jazda konna, trzy godziny dziennie. Musi jutro pojechać, jak widzisz. Musi też mieć okazję przepytania tego kadeta Publiusza Klaudiusza. Gajusz Mariusz Młodszy jest oskarżony o zdradę główną, a człowiekowi o pozycji Gajusza Mariusza należy się spokój, czyż nie? Może byłoby dobrze, gdyby Gajusz Mariusz spotkał się z tym kadetem Publiuszem Klaudiuszem mniej formalnie, nie w tym namiocie. Nikt z



nas nie chce jeszcze pogarszać spraw. Myślę więc, że byłoby dobrym pomysłem urządzić jutro po południu przejażdżkę i kazać wszystkim kadetom wziąć w niej udział. Z Publiuszem Klaudiuszem włącznie.

Cynna zmarszczył brwi, podejrzewając, że chcą go wmanewrować w coś, czego mógłby pożałować. Chłopiec z lewej strony Mariusza obdarzył Cynnę czarującym uśmiechem i mrugnął do niego.

- Wybacz, proszę, Lucjuszowi Dekumiuszowi - powiedział. - To najbardziej oddany z klientów mojego wuja. Prawdziwy też z niego tyran! Trzeba mu ustępować, żeby był zadowolony.

- Nie mogę pozwolić Gajuszowi Mariuszowi na prywatną rozmowę z Publiuszem Klaudiuszem przed rozprawą - powiedział zdeprimowany Cynna.

Podczas tej wymiany zdań Mariusz stał z obrażoną miną, teraz jednak napadł na Lucjusza Dekumiusza i Cezara Młodszeo z takim gniewem, że Cynna zaczął się obawiać możliwości nowego udaru.

- Co to za bzdury? - ryknął Mariusz. - Nie muszę się spotykać z tym wzorem obowiązkowości dla młodzieży w żadnych okolicznościach. Chcę tylko zobaczyć syna i być obecny na rozprawie.

- Dobrze, dobrze, Gajuszu Mariuszu, nie denerwuj się - powiedział służalczym głosem Lucjusz Dekumiusz. - Po małej przejażdżce jutro po południu będziesz lepiej przygotowany na rozprawę.

- Ach, dajcie mi spokój z waszą troskliwością! - krzyknął Mariusz, wychodząc z namiotu bez pomocy. - Gdzie jest mój syn?

Cezar Młodszy ociągał się, dopóki Lucjusz Dekumiusz nie pobiegł za rozżłoszczonym Mariuszem.

- Nie zwracaj na to uwagi, Lucjusz Cynno - powiedział, znów prezentując swój cudowny uśmiech. - Oni kłócą się bezustannie, ale Lucjusz Dekumiusz ma słuszność. Jutro Gajusz Mariusz potrzebuje odpoczynku i odpowiednich ćwiczeń. On się tym bardzo martwi. Wszystkim nam zresztą naprawdę zależy na tym, żeby nie utrudniać zbyttnio Gajuszowi Mariuszowi powrotu do zdrowia.

- Tak, rozumiem to. - Cynna poklepał chłopca po ojcowsku po ramieniu, był on zbyt wysoki, żeby go klepać po głowie. - A teraz, lepiej będzie, jeśli zaprowadzę Gajusza Mariusza do syna.

Wyjął skwierczącą pochodnię z uchwytu i poszedł ku majaczącej w mroku postaci Mariusza.

- Tędy, Gajuszu Mariuszu. Ze względu na okoliczności zamknąłem go w osobnym namiocie do czasu rozprawy. Jest pod strażą i nie wolno mu z nikim się spotykać.

- Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że twoja rozprawa nie będzie ostateczna - powiedział Mariusz, gdy przechodzili między dwoma rzędami namiotów. - Jeśli jej wynik będzie niepomyślny dla mego syna, zażądam, by był sądzony przez



równych sobie w Rzymie.

- No właśnie - odrzekł Cynna tonem bez wyrazu.

Kiedy ojciec i syn stanęli naprzeciw siebie, Mariusz Młodszy patrzył na ojca nieco błędnym wzrokiem, ale zdawał się panować nad sobą. Dopóki nie ujrzał Lucjusza Dekumiusza i Cezara Młodszego.

- Po co wozisz ze sobą tę żalospną bandę?

- Bo nie mogę podróżować sam. - Mariusz odprawił szorstko Cynnę skinieniem głowy i pozwolił się usadzić na jedynym krześle w namiocie. - Tak więc, synu, tym razem znalazłeś się w sytuacji bez wyjścia.

Nie było w tym prawie współczucia ani zainteresowania tym, co syn ma do powiedzenia. Mariusz Młodszy patrzył na ojca oszołomiony, zdając się szukać jakiegoś sygnału dla siebie. Potem westchnął ciężko i rzekł:

- Ja tego nie zrobiłem!

- Świetnie! - powiedział kordialnie Mariusz. - Trzymaj się tego, a wszystko będzie dobrze.

- Będzie dobrze, ojcze? Jak to możliwe? Publiusz Klaudiusz przysięgnie, że to zrobiłem.

Mariusz wstał nagle gorzko rozczarowany.

- Jeśli twierdzisz, że jesteś niewinny, synu, mogę ci obiecać, że nic ci się nie stanie. Nic w ogóle.

Na twarzy Mariusza Młodszego odmalowała się ulga. Uznał, że otrzymał sygnał.

- Załatwisz to, prawda?

- Mogę załatwić wiele rzeczy, Gajuszu Mariuszu Młodszy, ale nie wynik rozprawy przed sądem wojskowym prowadzonej przez człowieka honoru - powiedział Mariusz ze znużeniem. - Załatwianie trzeba odłożyć do twojego procesu w Rzymie. Teraz idź za moim przykładem i śpij. Zobaczymy się jutro po południu.

- Nie wcześniej? Czy jutro nie ma rozprawy?

- Nie wcześniej. Rozprawa jest odłożona o dzień, bo muszę wykonać swoje ćwiczenia, inaczej nigdy nie byłbym zdolny ubiegać się o siódmy konsulat. - Mariusz odwrócił się w wejściu do namiotu i uśmiechnął kpiąco do syna. - Ta żalospna banda każe mi jeździć konno. Mam też poznać twego oskarżyciela. Nie po to jednak, by go namawiać do zmiany zeznań. Nie pozwolono mi na prywatną rozmowę z nim. - Zaczerpnął tchu. - Jakiś byle pretor poucza mnie, Gajusza Mariusza, jak mam postępować! Mogę ci wybaczyć zabójstwo jakiegoś wojskowego partacza niszczącego własną armię, Mariuszu Młodszy, ale nie mogę ci wybaczyć postawienia mnie w roli potencjalnego stręczyciela!



Kiedy uczestnicy przejażdżki zebrali się następnego popołudnia, Gajusz Mariusz zachowywał się poprawnie w stosunku do Publiusza Klaudiusza



Pulchera, posępnego młodego człowieka z miną winowajcy, który najwyraźniej wolałby być gdzie indziej. Kiedy wyruszano, Mariusz stanął obok Cynny, za nimi jechał legat Cynny Marek Cecyliusz Kornutus z Cezarem Młodszym, a kadeci zamykali kolumnę. Ustaliwszy, że nikt inny nie zna dobrze okolicy, Lucjusz Dekumiusz objął prowadzenie.

- O miłą stąd jest wspinały widok na Rzym - powiedział. - Akurat w odpowiedniej odległości na przejażdżkę dla Gajusza Mariusza.

- Skąd znasz tak dobrze Tybur? - spytał Mariusz.

- Ojciec mojej matki pochodził z Tyburu - odrzekł przywódca wyprawy, gdy jej uczestnicy rozciągnęli się na wąskiej ścieżce wijącej się i wznoszącej stromo ku górze.

- Nie przypuszczałbym, że masz jakieś wiejskie korzenie, Lucjuszu Dekumiuszu.

- Właściwie nie mam, Gajuszu Mariuszu - rzucił wesoło przez ramię Dekumiusz. - Wiesz jednak, jakie są kobiety! Moja matka ciągała nas tu każdego lata.

Był piękny słoneczny dzień, ale wietrzyk chłodził twarze jeźdźców. Słysząc było, jak Anio szumi w swym wąwozie, czasem głośno, czasem przycichając do szeptu. Lucjusz Dekumiusz prowadził powolnym krokiem, czas mijał prawie niezauważalnie i jedynie oczywista przyjemność okazywana przez Mariusza pozwalała reszcie towarzystwa uważać, że warto było wybrać się na tę przejażdżkę. Publiusz Klaudiusz Pulcher uważał przed spotkaniem z ojcem Mariusza Młodszego, że będzie to nieznośna męka. Teraz odprężył się na tyle, by rozmawiać z dwoma innymi kadetami. Tymczasem towarzyszący Mariuszowi Cynna zastanawiał się, czy będzie on próbował układow z oskarżycielem swego syna. Cynna był przekonany, że to właśnie było celem przejażdżki. Sam był ojcem i wiedział, że spróbowałby wszystkiego, co zdołałby wymyślić, gdyby jego syn wpadł kiedyś w takie kłopoty.

- Proszę! - oznajmił z dumą Lucjusz Dekumiusz, zjeżdżając na bok, żeby reszta towarzystwa mogła go wyprzedzić. - Warto było jechać dla takiego widoku, czyż nie?

Rzeczywiście było warto. Jeźdźcy znaleźli się na małej półce na górskim stoku, w miejscu, gdzie jakiś kataklizm oderwał kiedyś część zbocza, a nad leżącą daleko w dole równiną wznosiło się urwisko. Widać było szybkie, spienione wody Anio na całym odcinku przed jej połączeniem z Tybrem, błękitnym krętym nurtem płynącym z północy. Tam zaś, poza zbiegiem dwóch rzek, leżał Rzym, wyraźnie widoczne skupisko kolorowych ścian, czerwonych dachów i posągów połyskujących na szczytach świątyń. Przejrzyste powietrze pozwalało nawet dostrzec przebłysk Morza Tuskańskiego na podobnym do noża skrawku horyzontu.

- Jesteśmy tu wysoko nad Tyburem - powiedział z tyłu Lucjusz Dekumiusz,



zsuwając się z konia.

- Jak maleńkie jest to miasto z tak daleka! - zdumiewał się Cynna.

Wszyscy oprócz Lucjusza Dekumiusza cisnęli się naprzód, by popatrzeć, i jeźdźcy przemieszali się między sobą. Cynna, który był zdecydowany nie dać Mariuszowi okazji do rozmowy z Publiuszem Klaudiuszem, zepchnął konia Mariusza i swego na bok, kiedy zbliżyli się kadeci.

- Ach, tam! - wykrzyknął Cezar Młodszy, bijąc piętami opornego konia. - To akwedukt Anio! Wygląda jak zabawka, prawda? Czy to nie piękne?

Kierował swe pytania do Publiusza Klaudiusza, który wydawał się równie oczarowany widokiem jak Cezar Młodszy i równie skory się nim napawać. Ci dwaj zbliżyli się do krawędzi na tyle, na ile pozwoliły ich konie i patrzyli na Rzym, uśmiechając się do siebie, gdy już nasycili oczy.

Ponieważ widok był naprawdę wspaniały, całe towarzystwo oprócz Lucjusza Dekumiusza patrzyło przed siebie. Nikt więc nie zauważył, jak Lucjusz Dekumiusz wyciąga z sakiewki przy pasie tuniki jakiś niewielki przedmiot w kształcie Y ani nikt nie widział, jak wkłada on zakrzywiony metalowy kolec w środek paska rozciągliwej kozłej skóry, łączącego ramiona tego kawałka drewna. Nie kryjąc się, niedbałym ruchem, jakim mógłby przeciągać się albo ziewać, podniósł drewniany przedmiot do poziomu oka, naciągnął kozłą skórę do granic możliwości, wycelował starannie i puścił skórę.

Koń Publiusza Klaudiusza zarżał i stanął dęba, wywijając przednimi nogami. Publiusz Klaudiusz instynktownie chwycił go za grzywę, by się utrzymać na jego grzbiecie. Nie dbając o własne bezpieczeństwo, Cezar Młodszy pochylił się na szyję swego konia i chwycił uzdę drugiego konia. Wszystko to stało się tak szybko, że nikt nie był później pewny niczego prócz jednego: Cezar Młodszy działał z zimną krwią i odwagą dorosłego. Jego wierzchowiec także spłoszył się i stanął dęba, uderzając bokiem w konia Publiusza Klaudiusza, a przednimi nogami w pustkę. Oba konie i ich jeźdźcy runęli z urwiska, jakimś sposobem jednak Cezar Młodszy, już spadając, zdołał stanąć na pochylonej krawędzi swego siodła i skoczyć na płaski grunt. Wylądował większą częścią ciała na nim i wdrapał się niczym kot w bezpieczne miejsce.

Wszyscy tłoczyli się teraz na skraju urwiska z pobielającymi twarzami i wytrzeszczonymi oczami, chcąc upewnić się przede wszystkim, że Cezar Młodszy jest zdrow i cały. Potem, z Cezarem Młodszym na czele (oddychającym spokojniej niż pozostali), patrzyli z urwiska. Daleko w dole leżały powykręcane ciała dwóch koni. I Publiusza Klaudiusza Pulchera. Zapadła cisza. Nadśłuchiwali wołania o pomoc, ale słyszeli tylko podmuchy wiatru. Nic się nie poruszało, nawet jastrząb zawieszony w powietrzu.

- Hej, odejźmy stąd! - powiedział jakiś nowy głos. Lucjusz Dekumiusz wziął Cezara Młodszego za ramię i odprowadził go od urwiska. Przyklęknawszy,



obmacał chłopca, by się upewnić, że niczego sobie nie złamał. - Czemu to zrobiłeś? - szepnął tak cicho, że nikt prócz Cezara nie mógł go słyszeć.

- Żeby to wyglądało przekonująco - odpowiedział mu szept. - Przez chwilę myślałem, że jego koń się utrzyma. Lepiej było się upewnić. Wiedziałem, że mi się uda.

- Skąd wiedziałeś, co chcę zrobić? Nawet nie patrzyłeś w tę stronę.  
Cezar Młodszy westchnął z irytacją.

- Ach, Lucjusz Dekumiuszu! Przecież cię znam! Wiedziałem od pierwszej chwili, po co Gajusz Mariusz posłał po ciebie. Osobiście jest mi wszystko jedno, co się stanie z moim kuzynem, ale nie chcę, żeby ucierpiało dobre imię Gajusza Mariusza i całej naszej rodziny. Pogłoski to coś całkiem innego niż świadek.

Przytuliwszy policzek do jasnozłoty włosów, Lucjusz Dekumiusz zamknął oczy, równie zirytowany jak Cezar Młodszy.

- Ryzykowałeś życie!

- Nie martw się o moje życie. Umiem o nie dbać. Pozwolę mu przeminąć dopiero wtedy, kiedy nie będę miał z niego pożytku.

Chłopiec uwolnił się z objęć Lucjusza Dekumiusza i poszedł upewnić się, że z Gajuszem Mariuszem wszystko w porządku.



Wstrząśnięty i skonfundowany Lucjusz Korneliusz Cynna nalał wina sobie i Gajuszowi Mariuszowi, gdy tylko dotarli do jego namiotu. Lucjusz Dekumiusz zabrał Cezara Młodszeo na ryby do wodospadów Anio, a reszta towarzystwa przygotowywała się do kolejnej wyprawy: po szczątki kadeta Publiusza Klaudiusza Pulchera, któremu trzeba było wyprawić pogrzeb.

- Muszę powiedzieć, że jeśli chodzi o mego syna i o mnie, ten wypadek zdarzył się w samą porę - powiedział bez ogródek Mariusz, pociągając głęboki łyk wina. - Bez Publiusza Klaudiusza nie ma żadnej sprawy, przyjacielu.

- To był wypadek. - Cynna mówił tonem człowieka, który chce przekonać samego siebie. - To nie mogło być nic innego niż wypadek.

- Bardzo słusznie. To nie mogło być nic innego. Omal nie straciłem chłopca lepszego niż mój syn.

- Nie myślałem, że wiążesz z nim jakieś nadzieje.

- Ten chłopiec to uosobienie nadziei - rzekł Mariusz z pomrukiem w głosie. - Muszę mieć na niego oko w przyszłości, bo gotów zaćmić moją sławę.

- Co za historia! - westchnął Cynna.

- Nie jest to pomyślny znak dla świeżo mianowanego wodza, przyznaję - powiedział uprzejmie Mariusz.

- Sprawię się lepiej niż Lucjusz Katon.

Mariusz wyszczerzył zęby.

- Trudno byłoby wypaść gorzej. Jestem jednak przekonany, że dasz sobie świetnie radę, Lucjusz Cynno. I jestem bardzo wdzięczny za twoją



wyrozumiłość. Bardzo wdzięczny!

Gdzieś w zakamarkach umysłu usłyszał Cynna, jak dźwięczy kaskada złotych monet, a może była to Anio, nad którą ów niezwykle chłopiec łowił ryby jakby nigdy nic?

- Wobec kogo mamy pierwsze obowiązki, Gajuszu Mariuszu? - spytał nagłe Cynna.

- Przede wszystkim, Lucjuszu Cynno, wobec rodziny.

- Nie wobec Rzymu?

- Czymże jest Rzym, jeśli nie zbiorem swoich rodzin?

- Tak... Tak, to chyba prawda. A ci z nas, którzy urodzili się dla przyszłości Rzymu - albo zostali wyniesieni, a ich dzieci rodzą się dla przyszłości Rzymu - muszą dbać o to, by nasze rodziny utrzymywały się u władzy.

- Właśnie tak - rzekł Gajusz Mariusz.







LUCJUSZ KORNELIUSZ  
SULLA

## VII



**P**o tym jak Lucjusz Korneliusz Sulla rzucił urok (jak to ujął Cezar Młodszy) na konsula Katona, wypędzając go na wojnę z Marsami, sam Sulla podjął kroki dla odebrania Italczykom wszystkich terytoriów rzymskich. Choć oficjalnie nadal był legatem, sprawował w istocie naczelne dowództwo frontu południowego i wiedział, że senat i konsulowie nie będą mu przeszkadzać - zakładając oczywiście, że będzie miał wyniki. Italia była zmęczona wojną. Jeden z jej dwóch przywódców, wódz Marsów Silon, byłby nawet skłonny rozważyć poddanie się, gdyby nie ten drugi, Samnita, Gajusz Papiriusz Mutilus. Sulla wiedział, że nie zamierza on się poddać, trzeba było zatem pokazać mu, że broni przegranej sprawy.

Pierwsze posunięcie Sulli było tyleż tajne co niezwykle, znalazł jednak odpowiedniego człowieka do roboty, której nie mógł wykonać sam. Gdyby jego plan się powiódł, oznaczałoby to początek końca Samnitów i ich sprzymierzeńców z południa. Nie mówiąc Katulusowi Cezarowi w Kapui, dlaczego odsyła z Kampanii dwa najlepsze legiony, Sulla załadował je nocą na statki transportowe zacumowane w Puteoli. Ich dowódcą był jego legat Gajusz



Koskoniusz, który otrzymał dokładne rozkazy. Miał opłynąć z tym dwoma legionami but półwyspu i wylądować na jego wschodnim brzegu, gdzieś pod Apeneste w Apulii. Pierwszą część drogi wzdłuż zachodniego wybrzeża można było odbyć w zasięgu widoczności lądu, bo obserwatorzy w Lukanii mogli przypuszczać, że flota podąża na Sycylię, gdzie zanosiło się na powstanie. Podczas środkowej części podróży flota nie miała oddalać się od brzegu, zaopatrując się w Krotonie, Tarencie i Brundyzjum, gdzie rozgłaszali, że celem jest Azja Mniejsza - jak to podano żołnierzom. Kiedy zaś odpłyną z Brundyzjum w ostatnią i najkrótszą część podróży, całe Brundyzjum miało być przekonane, że płyną przez Adriatyk do Apollonii w zachodniej Macedonii.

- Poza Brundyzjum - mówił Sulla do Koskoniusza - nie ma mowy o lądowaniu, dopóki nie dotrzecie do miejsca przeznaczenia. Do ciebie należy decyzja, gdzie przybijecie do brzegu. Wybierz po prostu jakieś spokojne miejsce i nie uderzaj, dopóki nie będziesz gotów. Twoim zadaniem jest udostępnienie Via Minucji, na południe od Larinum, i Via Appia, na południe od Auskulum Apulum. Potem skoncentrujesz się na wschodzie Samnium. Zanim to zrobisz, będę już szedł na wschód na spotkanie z tobą.

Dumny z racji wyboru go do tego niezmiernie ważnego zadania i przekonany, że wraz ze swymi ludźmi najlepiej się do tego nadaje, Koskoniusz skrywał podniecenie i słuchał z poważną miną.

- Pamiętaj, Gajuszu Koskoniuszu, o odmierzaniu czasu, kiedy będziesz w morzu. Chcę, żebyście robili dziennie po dwadzieścia pięć mil, nie więcej. Jest koniec marca. Powinniście wylądować gdzieś na południe od Apeneste za pięćdziesiąt dni. Gdybyś wylądował za wcześnie, nie zdążę zamknąć mojej połowy kleszczy. Potrzebuję tych pięćdziesięciu dni, żeby odebrać wszystkie porty w Zatoce Krateru i wypchnąć Mutilusa z zachodniej Kampanii. Dopiero potem mogę ruszyć na wschód.

- Rzadko się zdarza pomyślne opłynięcie italskiego buta, cieszę się więc, Lucjusz Korneliuszu, że mam na to pięćdziesiąt dni - powiedział Koskoniusz.

- Jeśli będzie trzeba, wiosłuj.

- Będę, gdzie powinienem być, za pięćdziesiąt dni. Możesz na to liczyć, Lucjusz Korneliuszu.

- Nie tracąc ani jednego żołnierza, a tym bardziej statku.

- Wszystkie statki mają dobrych kapitanów i jeszcze lepszych pilotów, a logistyka tej wyprawy obejmuje wszystkie możliwości. Nie zawiodę cię. Dopłyniemy do Brundyzjum, najszybciej jak się da, i tam poczekamy tyle, ile będzie trzeba; ani dnia więcej, ani dnia mniej - rzeki Koskoniusz.

- Świetnie! I pamiętaj o jednym, Gajuszu Koskoniuszu. Twym najpewniejszym sprzymierzeńcem jest Fortuna. Składaj jej codziennie ofiary. Jeśli ci sprzyja tak jak mnie, wszystko będzie dobrze.





Flota wioząca Koskoniusza i jego dwa świetne legiony opuściła następnego dnia port w Puteoli, by mierzyć się z żywiołami i zawierzyć szczególnie jednemu z nich - szczęściu. Odpłynęła nie wcześniej, niż Sulla wrócił do Kapui, a potem wyruszył do Pompejów. Miał to być połączony atak od lądu i od morza, bo Pompeje miały znakomity port na rzece Sarnus, w pobliżu jej ujścia. Sulla zamierzał zbombardować miasto płonącymi pociskami z okrętów zakotwiczonych na rzece.

W głębi umysłu Sulli czaiła się pewna wątpliwość, nie mógł jednak nic na to poradzić. Flotyllą jego okrętów dowodził nie kto inny jak Aulus Postumiusz Albinus, człowiek, którego Sulla nie lubił i któremu nie dowierzał. Przed dwudziestu laty ten sam Aulus Postumiusz Albinus sprowokował wojnę z Jugurtą, królem Numidii. Wcale się od tego czasu nie zmienił.

Otrzymałszy od Sulli rozkaz przyplłynięcia z Neapolis do Pompejów, Aulus Albinus uznał, że musi najpierw pokazać swoim załogom i żołnierzom piechoty morskiej, kto tu dowodzi - i co się z nimi stanie, jeśli nie będą stawać na baczność za każdym razem, gdy on strzeli palcami. Marynarze i żołnierze piechoty morskiej byli jednak potomkami kampańskich Greków i uznali wypowiedzi Aulusa Albina za niewybaczalne obelgi. Podobnie jak konsul Katon został on obsypany gradem pocisków - ale były to kamienie, a nie grudy ziemi. Aulus Postumiusz Albinus zginął.

Na szczęście Sulla był niedaleko, kiedy otrzymał wiadomość o tym morderstwie. Pozostawiając swe maszerujące oddziały pod komendą Tytusa Dydiusza, pojechał na mule do Neapolis spotkać się z przywódcami buntu. Zabrał ze sobą Metellusa Piusa Prosiaka, swego drugiego legata. Z niezrównanym spokojem wysłuchał wypowiedzianych z pasją tłumaczeń i usprawiedliwień buntowników, po czym powiedział chłodno:

- Obawiam się, że będziecie musieli okazać się najlepszymi żeglarzami i żołnierzami w dziejach rzymskiej floty. Czy inaczej mógłbym zapomnieć, że zabiliście Aulusa Albina?

Mianował potem Publiusza Gabiniusza admirałem tej floty i to był koniec buntu. Metellus Pius Prosiak trzymał język za zębami, dopóki wraz z Sullą nie odjechał do armii, a wtedy palące go pytanie doszło do głosu.

- Czy nie zamierzasz ich w ogóle ukarać, Lucjuszu Korneliuszu?

Sulla rozmyślnie odsunął znad czoła rondo kapelusza, patrząc na Prosiaka z chłodnym rozbawieniem w oczach.

- Nie, Kwintusie Cecyliuszu, nie zamierzam.

- Powinieneś odebrać im obywatelstwo, a potem wychłostać!

- Tak, to zrobiłaby większość dowódców - ci głupsi. Że jednak niewątpliwie jesteś jednym z nich, wyjaśnię ci, czemu tak postąpiłem. Powinieneś to zrozumieć. - Podnosząc prawą dłoń, Sulla wyliczał punkt po punkcie. - Przede wszystkim, nie możemy sobie pozwolić na stratę tych ludzi. Zostali wyszkoleni



przez Otacyliusza i zdobyli doświadczenie. Po drugie, podziwiam ich oczywisty zdrowy rozsądek w pozbyciu się człowieka, który dowodziłby nimi źle i doprowadziłby ich może do zguby. Po trzecie, ja sam nie życzyłem sobie Aulusa Albina. Był jednak mężem konsularnym i nie można go było pominąć ani zignorować. - Ze wzniesionymi trzema palcami Sulla obrócił się w siodle, wpatrując się w nieszczęsnego Prosiaka. - Muszę ci coś powiedzieć, Kwintusie Cecyliuszu. Gdybym miał wybór, nie byłoby miejsca - żadnego miejsca! - w moim sztabie dla ludzi tak głupich i kłótliwych, jak Aulus Albinus, nasz nieodżałowany konsul Lupus i nasz obecny konsul Katon Licynianus. Dałem Aulusowi Albinowi dowództwo floty, bo myślałem, że na morzu wyrządzi mniej szkody. Jak mógłbym więc karać ludzi za zrobienie czegoś, co sam bym zrobił w podobnych okolicznościach? - Jeszcze jeden palec poszedł w górę. - Po czwarte, ci ludzie postawili sami siebie w sytuacji, w której rzeczywiście pozbawię ich obywatelstwa i każę chłostać, jeżeli źle się spiszą - a to oznacza, że nie mają innego wyboru, niż walczyć jak dzikie koty. I po piąte - musiał użyć kciuka - wszystko mi jedno, ilu mam w moim wojsku morderców i złodziei, jeśli tylko walczą jak dzikie koty. - Dłoń opadła, atakując bezbronne powietrze niczym topór barbarzyńcy.

Metellus Pius otworzył usta, zastanowił się nad tym, co zamierzał powiedzieć, i roztropnie nie powiedział nic.

W miejscu gdzie droga do Pompejów rozdzielała się, prowadząc ku Bramie Herkulańskiej i Wezuwiańskiej, Sulla założył dla swych wojsk silnie umocniony obóz. Ledwie zdążył wznieść wały i palisady, nadpłynęła jego flotylla i zajęła się wystrzeliwaniem płonących pocisków ponad murami w środek miasta. Najstarsi centurionowie nie pamiętali tak szybkiego strzelania. Z murów spoglądały przerażone twarze. Tego rodzaju wojny najwyraźniej nikt się nie spodziewał. Ogień był najstraszniejszy.

Nazajutrz okazało się, że Samnici z Pompejów gorączkowo wzywali pomocy, bo nadciągnęła armia samnicka większa o dobre dziesięć tysięcy ludzi od armii Sulli i zatrzymała się nie dalej niż trzysta kroków od jego obozu. Trzecia część z dwudziestu tysięcy żołnierzy Sulli nie była obecna w obozie, zajmując się furazowaniem, a teraz została odcięta. Sulla stał na wałach z wyjątkowo ponurą miną wraz z Metellusem Piusem i Tytusem Dydiuszem, słuchając gwizdów i kociej muzyki dolatującej z wiatrem z murów miasta. Nie podobało mu się to bardziej niż nadejście armii Samnitów.

- Trąbić „do broni” - powiedział do swych legatów.

Tytus Dydiusz już się obracał do odejścia, gdy Metellus Pius chwycił go za ramię i zatrzymał.

- Lucjuszu Korneliuszu, nie możemy wyjść na zewnątrz i walczyć z taką przewagą! - krzyknął. - Porąbią nas na kawałki!

- Nie możemy nie wyjść na zewnątrz i nie walczyć - rzekł Sulla krótko, dając



do zrozumienia, że ma za złe kwestionowanie swoich rozkazów.

- To Lucjusz Kluencjusz jest na zewnątrz i zamierza tam pozostać. Jeśli pozwolę mu zbudować taki obóz jak nasz, będziemy mieli tu drugie Acerre. Nie mam zamiaru uwięzić tu czterech dobrych legionów na całe miesiące - i nie chcę, by Pompeje pokazały innym zbuntowanym portom, że Rzym nie może ich odebrać! Jeśli to nie jest dość dobry powód do ataku, Kwintusie Cecyliuszu, pomyśl o naszych furażerach. Kiedy wrócą, natkną się na armię Samnitów bez ostrzeżenia i bez żadnych szans na przetrwanie!

Tytus Dydiusz obdarzył Metellusa Piusa pogardliwym spojrzeniem.

- Każę trąbić „do broni” - powiedział i wyswobodził ramię.

Sulla wszedł na trybunę obozowego forum w hełmie zamiast swego zwykłego kapelusza, żeby przemówić do prawie trzynastu tysięcy ludzi, których miał do dyspozycji.

- Wszyscy wiecie, co was czeka! - zawołał. - Banda Samnitów z przewagą liczebną trzech na jednego! Ale Sulla ma dość Samnitów bijących Rzym, Sulla ma dość Samnitów zajmujących rzymskie miasta! Czy warto być Rzymianinem, jeśli Rzym pada plackiem przed Samnitami niczym łaszcząca się suka? Sulla nie będzie takim Rzymianinem! Pójdę walczyć, choćbym miał walczyć sam! Mam iść sam? Czy też pójdziecie ze mną, bo też jesteście Rzymianami i też macie tak jak ja dość Samnitów?

Armia odpowiedziała potężnym okrzykiem. Czekał, aż skończą, bo sam jeszcze miał coś do powiedzenia.

- Pójdą precz! - wykrzyknął jeszcze głośniej. - Pojdą precz do ostatniego. Pompeje są naszym miastem! Za ich bramami Samnici wymordowali tysiąc Rzymian, a teraz stoją na murach Pompejów, myśląc, że są bezpieczni. Wygwizdują nas, bo myślą, że się boimy bandy brudnych Samnitów. Pokażemy im, że się mylą. Powstrzymamy wszystkich, których rzucą przeciw nam, a gdy wrócą nasi furażerowie, usłyszą nasz okrzyk wojenny. Słyszycie? Powstrzymamy Samnitów, dopóki nasi furażerowie nie powrócą, by uderzyć na ich tyły jak Rzymianie!

Rozległ się drugi potężny okrzyk, ale Sulla zszedł już z trybuny z mieczem w rękę. Trzy kolumny ruszyły biegiem przez bramę frontową i dwie boczne. Sulla prowadził środkową kolumnę.

Rzymianie rozwinęli się tak szybko, że Kluencjusz, nie spodziewając się bitwy, ledwie zdążył przygotować swe oddziały na uderzenie. Jako spokojny i śmiały dowódca dotrzymał placu i pozostał w pierwszych szeregach. Słabsi liczebnie Rzymianie zaczęli ustawać, gdy nie udało im się przełamać szyku Samnitów, ale Sulla nie zamierzał ustąpić ani o krok, a jego ludzie nie chcieli pozostawić go samego. Przez całą godzinę Rzymianie i Samnici walczyli twarzą w twarz. Niewiele było dotąd takich bitew i obie strony rozumiały, że od wyniku tej właśnie może zależeć wynik całej wojny.



Zbyt wielu dobrych legionistów poległo w tej południowej godzinie, gdy jednak już się wydawało, że Sulla musi nakazać odwrót, linia samnicka zdrząła, zachwiała się i zaczęła się zwijać. Rzymscy furazerowie powrócili i uderzyli od tyłu. Z okrzykiem: „Rzym niezwyciężony!” Sulla poprowadził swych ludzi w bój z nowym zapałem. Nawet wtedy jednak Kluencjusz nie dał za wygraną. Przez następną godzinę zdołał utrzymać zwartość swej armii. Potem, widząc, że wszystko stracone, przebił się przez Rzymian na swoich tyłach ku Noli.

Nola uważała się za talizman italskiego oporu na południu i nie miała zamiaru narażać swego bezpieczeństwa, zagłodziwszy wcześniej na śmierć rzymskich żołnierzy. Kiedy zatem Kluencjusz i dwadzieścia tysięcy żołnierzy samnickich dotarło do jej murów, wyprzedzając o milę ścigającego ich Sullę, zastali zamknięte bramy. Spoglądając z wysokich, gładkich, potężnie umocnionych kamiennych bastionów, członkowie zarządu miasta odmówili otwarcia bram Lucjuszowi Kluencjuszowi i swoim rodakom. Dopiero gdy przednie szeregi rzymskie zbliżyły się do tylnych szeregów Samnitów i przygotowały do ataku, otworzyła się brama, przy której stał sam Kluencjusz - nie największa z miejskich bram. Nie otworzyła się żadna inna, mimo błagań potykających się żołnierzy samnickich.

Pod Pompejami stoczono bitwę. Pod Nolą doszło do pogromu. Oszołomieni zdradą mieszkańców, stłoczeni pod wysuniętymi narożnikami północnej części murów Noli, żołnierze armii samnickiej wyginęli prawie do ostatniego. Sulla zabił własną ręką Kluencjusza, który odmówił schronienia się za murami, gdy tylko garść jego ludzi mogłaby zrobić to samo.

Był to największy dzień w życiu Sulli. W pięćdziesiątym pierwszym roku życia, jako głównodowodzący całego teatru wojny, wygrał swą pierwszą wielką bitwę. I jakie to było zwycięstwo! Zbryzgany krwią, z mieczem obroczone po rękojeść, spocony i cuchnący śmiercią Lucjusz Korneliusz Sulla przemierzał pole bitwy. Zerwał hełm z głowy i wyrzucił go w powietrze z okrzykiem czystej radości. W uszach dzwonił mu potężny głos, zagłuszający wycia i jęki umierających Samnitów, wzbierający i zmieniający się w śpiew:

- Im-pe-ra-tor! Im-pe-ra-tor! Im-pe-ra-tor!

Wciąż na nowo wykrzykiwali jego żołnierze to słowo, wyraz najwyższego uznania, ostatecznego triumfu, obwołania zwycięzcy na polu bitwy imperatorem. Tak przynajmniej myślał, szeroko uśmiechnięty, z mieczem uniesionym nad głową, z przepoconą strzechą lśniących włosów schnących w gasnącym słońcu, z sercem tak przepełnionym, że nie był zdolny odpowiedzieć choćby jednym słowem, gdyby takie słowo istniało. Ja, Lucjusz Korneliusz Sulla, udowodniłem oto bez cienia wątpliwości, że ktoś o moich zdolnościach może się nauczyć tego, co nie jest mu wrodzone - i wygrać najcięższą bitwę w tej czy jakiegokolwiek innej wojnie! Poczekaj tylko, Gajuszu Mariuszu. Nie



umieraj, dopóki nie wrócę do Rzymu i nie pokażę ci, jak bardzo się myliłeś! Dorównałem ci, a w przyszłych latach cię przewyższę! Moje imię wyrośnie ponad twoje. Tak być powinno, bo jestem patrycjuszem Korneliuszem, a ty nie jesteś nikim więcej niż wieśniakiem z latyńskich gór.

Były jednak zadania do wykonania, on zaś był rzymskim patrycjuszem. Podeszli do niego Tytus Dydiusz i Metellus Pius, dziwnie ulegli, a w ich oczach obok lęku jaśniał podziw. Taki wyraz oczu widział dotąd Sulla jedynie u wpatrzonych w niego Julilli i u Dalmatyki. „To jednak są mężczyźni, Lucjuszu Korneliuszu Sullo! Nie lada jacy mężczyźni. Dydiusz to zwycięzca Hiszpanów, Metellus Pius to dziedzic wielkiego i szlachtetnego rodu. Kobiety się nie liczą. Są głupie. Liczą się mężczyźni. Zwłaszcza tacy jak Tytus Dydiusz i Metellus Pius. Nigdy przez te wszystkie lata przesłużone u Mariusza nie widziałem, żeby ktoś patrzył na niego z takim podziwem. Dziś wywalczyłem coś więcej niż zwykłe zwycięstwo. Zyskałem usprawiedliwienie całego mojego życia, Stychusa, Nikopolis, Klitumny, Herkulesa Atlasa, Metellusa Numidyjskiego Świnki-Szczecinki. Udowodniłem, że każde życie odebrane innym, by stanąć na tym polu pod Nolą, było mniej warte niż moje. Dziś zaczynam rozumieć Nabopolassara z Chaldei - jestem największym człowiekiem na świecie od Oceanu Atlantyckiego aż po rzekę Indus!

- Będziemy pracowali przez tę noc - powiedział szorstko do Dydiusza i Metellusa Piusa - żeby do świtu rozebrać i zgromadzić ciała Samnitów, a naszych poległych przygotować do pogrzebowego stosu. Wiem, że to był ciężki dzień, ale jeszcze się nie skończył i dopóki się nie skończy, nikt nie będzie odpoczywał. Kwintusie Cecyliuszu, znajdź odpowiednich ludzi i jedź do Pompejów, najszybciej jak się da. Przywieź tu chleb i wino dla wszystkich, sprowadź nieliniowych i każ im szukać drewna i oliwy. Mamy prawdziwą górę ciał do spalenia.

- Przecież nie mamy koni, Lucjuszu Korneliuszu - przypomniał nieśmiało Prosiak. - Przymaszerowaliśmy do Noli. Dwadzieścia mil w cztery godziny!

- Więc znajdź konie. - Sulla zachowywał spokój. - Masz być z powrotem o świcie. - Zwrócił się teraz do Dydiusza: - Tytusie Dydiuszu, idź między ludzi i poszukaj tych, którzy powinni być odznaczeni za waleczność. Kiedy spalimy ciała naszych poległych i nieprzyjaciół, wracamy do Pompejów. Jeden legion z Kapui zostanie tu, pod Nolą. Każ heroldom ogłosić mieszkańcom, że Lucjusz Korneliusz Sulla ślubował Marsowi i Bellonie trzymać rzymskie wojsko pod murami Noli, dopóki miasto się nie podda, czy to będzie za trzydzieści dni, czy za trzydzieści miesięcy, czy za trzydzieści lat od dziś.

Zanim Dydiusz i Metellus Pius zdążyli odejść, zjawił się trybun żołnierski Lucjusz Licyniusz Lukullus na czele delegacji ośmiu starszych centurionów, *primi pili* i *pili priores*. Szli wolno uroczystym krokiem niczym kapłani w procesji albo konsulowie podczas inauguracji w dniu Nowego Roku.



- Lucjusz Korneliusz Sullo, twoja armia pragnie ofiarować ci znak swej wdzięczności. Gdyby nie ty, armia zostałaby pokonana, a jej żołnierze by zginęli. Walczyłeś w pierwszym szeregu i byłeś przykładem dla innych. Nie ustałeś też w marszu do Noli. Twoją zasługą jest największe zwycięstwo w tej wojnie. Ocaliłeś nie tylko swoją armię. Ocaliłeś Rzym. Cześć ci, Lucjusz Korneliuszu!

Lukullus odstąpił, przepuszczając centurionów. Stojący w środku grupy najstarszy z nich uniósł w górę ręce i wyciągnął je do Sulli. Na jego dłoniach leżał niezgrabny wieniec ze źdźbeł trawy zerwanych na polu bitwy i splecionych na chybił trafił, z korzeniami, ziemią i śladami krwi. *Corona graminea. Corona obsidionalis*. Wieniec z trawy.

Sulla instynktownie wyciągnął ręce, ale zaraz je opuścił, nie mając pojęcia, czego wymaga od niego ten rytuał. Czy ma wziąć wieniec i włożyć go sobie na głowę, czy też *primus pilus* Marek Kanulejusz uwieńczy go w imieniu armii?

Stał więc bez ruchu, gdy Kanulejusz, wysoki mężczyzna, uniósł oburącz wieniec z trawy i włożył go na złotorudą głowę. Nie padło ani jedno słowo więcej. Tytus Dydiusz, Metellus Pius, Lukullus i centurionowie oddali Sulli honory wojskowe, obdarzyli go nieśmiałymi uśmiechami i odeszli. Został sam w zachodzącym słońcu z wieńcem z trawy na głowie, tak lekkim, że prawie nie czuł jego ciężaru.

Łzy ciekły mu po zakrwawionej twarzy i nie było w nim miejsca na nic więcej niż na radość. Zastanawiał się, czy zdoła przeżyć ten stan uniesienia. Cóż było bowiem po drugiej stronie? Co jeszcze mogło mu przynieść życie? Wspomnił swego zmarłego syna i radość prysła, zanim zdołał się nią nacieszyć. Pozostał żal tak głęboki, że Sulla upadł na kolana i zapłakał.

Ktoś pomógł mu wstać, otarł z twarzy brud i łzy, opasał ramieniem i zaprowadził do ociosanego kamienia leżącego przy drodze do Noli. Tam został ostrożnie posadzony, a jego opiekun usiadł przy nim. Był to trybun żołnierski Lucjusz Licyniusz Lukullus.

Słońce zapadało w Morze Tuskańskie. Największy dzień w życiu Sulli dobiegał końca w mroku. Sulla zwiesił ręce między kolanami. Oddychał głęboko i zadawał sobie wciąż to samo pytanie: „Czemu nie jestem szczęśliwy?”

- Nie mam wina, Lucjusz Korneliuszu. Nie mam nawet wody - mówił Lukullus. - Myśleliśmy tylko o tym, żeby schwytać Kluencjusza.

Sulla westchnął ciężko i wyprostował się.

- Żyję, Lucjusz Licyniuszu. I jak mówi moja przyjaciółka, zawsze jest coś do zrobienia.

- My zrobimy, co trzeba. Ty odpocznij.

- Nie. Jestem dowódcą. Nie mogę odpoczywać, gdy moi ludzie pracują. Jeszcze chwila i poczuję się lepiej. Czułem się dobrze, dopóki nie pomyślałem o



synu. Wiesz, że umarł.

Łzy powróciły i zostały zdławione. Lukullus nie mówił nic. Siedział w milczeniu. Sulla nie miał dotąd do czynienia z tym młodym człowiekiem. Wybrany w grudniu na trybuna żołnierskiego udał się do Kapui, gdzie objął dowództwo legionu zaledwie na kilka dni przed wymarszem do Pompejów. Bardzo się zmienił - wyrostek stał się okazałym mężczyzną - Sulla go jednak rozpoznał.

- To ty ze swoim bratem Warronem oskarżałeś przed dziesięciu laty na Forum Serwiliusza Augura, nieprawdaż?

- Tak, Lucjuszu Korneliuszu. Augur był odpowiedzialny za pohańbienie, śmierć mego ojca i utratę majątku rodziny. Zapłacił za to jednak - powiedział Lukullus, a jego przystojna pociągła twarz rozjaśniła się i kąciki ust uniosły się w górę.

- Sycylijska wojna niewolnicza. Serwiliusz Augur zajął miejsce twego ojca jako namiestnik Sycylii, a potem go oskarżył.

- Tak było.

Sulla wstał, ściskając dłoń Lukullusa.

- Muszę ci podziękować, Lucjuszu Licyniuszu. Czy ten wieniec z trawy to twój pomysł?

- Ależ nie, Lucjuszu Korneliuszu, centurionów! Pouczyli mnie, że wieniec z trawy przyznają zawodowcy, a nie wybieralni urzędnicy. Przeprowadzili mnie z sobą, bo ktoś z tych wybieralnych urzędników powinien być tego świadkiem.

- Lukullus uśmiechnął się, a potem roześmiał. b- Podejrzywałem, że wygłaszanie uroczystych przemówień do wodza nie było im na rękę. Wziąłem to więc na siebie.



Dwa dni później wojsko Sulli znalazło się znów w obozie pod Pompejami. Wszyscy byli tak wyczerpani, że nikt nie miał nawet ochoty na jedzenie. Przez dwadzieścia cztery godziny w obozie panowała cisza, a żołnierze i ich dowódcy spali jak tamci zabici, których ciała spalono pod murami Noli, drażniąc nozdrza wygłodzonych mieszkańców.

Kiedy wypoczęta i odkarmiona armia ustawiła się w paradnym szyku na uroczystość nadania odznaczeń, Sulla włożył wieniec z trawy i po wejściu na trybunę został powitany długą, ogłuszającą owacją. Organizację uroczystości powierzył Lukullusowi, jak kiedyś Mariusz Kwintusowi Sertoriuszowi.

Kiedy tak stał, słuchając wiwatów, przyszło mu na myśl coś, o czym nigdy nie pomyślał Mariusz w ciągu lat spędzonych w Numidii i w Galii - choć może pomyślał o tym później, dowodząc w wojnie z Italczykami. To morze głów w paradnym szyku i stroju jest morzem ludzi, którzy należą do mnie, do Lucjusza Korneliusza Sulli. To moje legiony. To ja je zręcznie prowadziłem, dzięki mnie odnieśli największe zwycięstwo w tej wojnie - i muszę im zapewnić odprawę



przy zwolnieniu ze służby. Kiedy mi dawali wieniec z trawy, dali mi też jeszcze cenniejszy dar - siebie samych. Poprowadzę ich wszędzie, gdzie zechcę. Może nawet przeciw Rzymowi.

Śmieszny pomysł, ale zrodził się on w umyśle Sulli w tej właśnie chwili na trybunie. Potem zapadł gdzieś w podświadomość, by czekać.

Pompeje poddały się na drugi dzień po tym, jak ich obywatele obejrżeli z murów ceremonię nadania odznaczeń. Heroldowie Sulli wykrzyczeli im nowinę o klęsce Lucjusza Kluencjusza pod murami Noli, potwierdzoną potem przez inne źródła. Miasto bombardowane nieustannie z okrętów na rzece płonącymi pociskami ucierpiało już bardzo poważnie. Każdy ognisty podmuch wiatru zdawał się nieść wieść o tym, że przewaga Italczyków i Samnitów kruszy się, że klęska jest nieuchronna.

Z Pompejów Sulla przeniósł swoje dwa legiony pod Stabie, a Tytus Dydiusz poprowadził dwa inne pod Herkulanum. Stabie poddały się ostatniego dnia kwietnia, a Surrentum zaraz potem. W połowie maja Sulla znów maszerował, kierując się tym razem na wschód. Katulus Cezar przysłał Tytusowi Dydiuszowi pod Herkulanum dwa nowe legiony, dwa legiony Sulli wróciły więc do niego. Choć Herkulanum długo zwlekało z przyłączeniem się do italskiego powstania, teraz wiedziało aż za dobrze, co oznacza poddanie się Rzymowi. Choć całe ulice były wypalone wskutek bombardowania z morza, miasto stawiało opór Tytusowi Dydiuszowi, długo po tym jak poddały się inne porty będące w italskich rękach.

Sulla przeszedł z czterema legionami obok Noli, nie oglądając się na boki. Wysłał tylko Metellusa Piusa Prosiaka do dowódcy stojącego tam legionu z poleceniem, by pretor Appiusz Klaudiusz Pulcher pod żadnym pozorem nie opuszczał tego miejsca, zanim nie nastąpi bezwarunkowa kapitulacja Noli. Niedawno owdowiały Appiusz Klaudiusz skinął posepnie głową.

Pod koniec trzeciego tygodnia maja Sulla dotarł do hirpińskiego miasta Aeclanum, leżącego przy Via Appia. Wywiad donosił mu wcześniej, że zaczynają się tam gromadzić Hirpinowie. Sulla nie zamierzał pozwalać na żadne więcej koncentracje powstańców na południu. Rzut oka na fortyfikacje Aeclanum wystarczył, by wywołać jego złowrogi uśmiech odsłaniający kły. Wały były mocne i wysokie, ale drewniane.

Wiedząc, że Hirpinowie wezwali już na pomoc Lukanów Marka Lamponiusza, Sulla nie zamykał swego wojska w obozie. Wysłał Lukullusa pod główną bramę z żądaniem poddania się Aeclanum. Odpowiedź miała formę pytania: Czy Lucjusz Korneliusz Sulla da miastu dzień do namysłu?

- Grają na zwłokę w nadziei, że Lamponiusz przyśle im jutro posiłki - mówił Sulla do Metellusa Piusa Prosiaka i Lukullusa. - Muszę pomyśleć o tym Lamponiuszu. Nie będzie mi się dłużej uganiał wedle swej woli po Lukanii. - Wzruszył ramionami i wrócił do sprawy. - Lucjusz Licyniuszu, zanieśiesz



miastu moją odpowiedź: Mają jedną godzinę, nie więcej. Kwintusie Cecyliuszu, weź ludzi i znieście z zagród pod miastem drewno i oliwę. Drewno i szmaty zmoczone oliwą ułóżcie w stosy po obu stronach głównej bramy. Każ rozstawić nasze cztery wyrzutnie. Jak tylko będziecie gotowi, zapalajcie stosy i strzelajcie w środek miasta ognistymi pociskami. Założę się, że całe miasto jest drewniane. Będzie się paliło jak podpałka.

- A gdybym był gotów wcześniej niż za godzinę?

- Zapalać! - rzekł Sulla. - Hirpinowie nie dotrzymują słowa. Czemu my mielibyśmy dotrzymywać?

Drewno, z którego zbudowano wały, było stare i suche, fortyfikacje zapłonęły więc ogniem nie do opanowania, i to samo było z domami. Wszystkie bramy otworzyły się i mieszkańcy zaczęli wybiegać w popłochu, krzycząc, że się poddają.

- Zabić wszystkich i złupić miasto - rzekł Sulla. - Czas, by Italczycy zrozumieli, że nie będę miał dla nich litości.

- Kobiety i dzieci także? - spytał Kwintus Hortensjusz, drugi starszy trybun żołnierski.

- Cóż to? Brak ci odwagi, adwokacie z Forum? - zadrwił Sulla.

- Źle rozumiesz moje intencje, Lucjuszu Korneliuszu - odparł spokojnie Hortensjusz pięknym, wyszkolonym głosem. - Nie zamierzam oszczędzać hirpińskich bachorów. Chcę tylko, jak każdy adwokat z Forum, żeby wszystko było jasne, bo wtedy wiem, na czym stoję.

- Wszyscy muszą zginąć - rzekł Sulla. - Pozwól jednak ludziom zabawić się wpierw z kobietami. Zabić je mogą później.

- Nie zależy ci na jeńcach, których można sprzedać w niewolę? - spytał praktyczny jak zawsze Prosiak.

- Italczycy to nie wrogowie z zewnątrz. Nie nadają się na niewolników. Wolę martwych.

Z Aeclanum maszerował Sulla po Via Appia na południe pod Kompse, kolejną twierdzę Hirpinów, również z drewnianymi wałami. Wyprzedziła go wieść o losie Aeclanum. Kiedy nadszedł, Kompsa otworzyła bramy, a wyżsi urzędnicy czekali przed nimi. Tym razem Sulla skłonny był okazać łaskę. Kompsa nie została splądrowana.

Z Kompsy wysłał list do Katulusa Cezara w Kapui z poleceniem, by skierował do Lukanii dwa legiony pod dowództwem braci Gabiniuszów, Aulusa i Publiusza. Mieli odbierać miasta Markowi Lamponiuszowi i uwolnić Via Appia aż do Rhegium. Przypomniawszy sobie o kimś użytecznym, dodał post scriptum z żądaniem, by Katulus Cezar przydzielił do wyprawy lukańskiej młodszego legata Gnejusza Papiriusza Karbona.

W Kompisie otrzymał dwa listy. Pierwszy donosił, że Herkulanum zostało w końcu wzięte szturmem w przeddzień id czerwcowych i że Tytus Dydiusz



zginął w walce.

„Niech Herkulanum za to zapłaci”, napisał Sulla do Katulusa Cezara. Drugi list przybył z Apulii od Gajusza Koskoniusza.

*Podróż miałem łatwą i bez przygód. Wylądowałem z legionami przy słonym zalewie pod Salapią równo pięćdziesiąt dni po odpłynięciu z Puteoli. Wszystko poszło zgodnie z planem. Wylądowaliśmy skrycie nocą, a o świcie uderzyliśmy na Salapię i spalili miasteczko ze szczętem. Kazałem zabić wszystkich w okolicy, żeby nikt nie uprzedził Samnitów. Stamtąd poszedłem na Kanny i zająłem je bez walki. Przebyłem w bród Aufidius i w drodze na Kanuzjum, po dziesięciu milach, natknąłem się na wojsko Samnitów pod wodzą Gajusza Trebacjusza. Nie dało się uniknąć bitwy. Mieli dużą przewagę, walka była więc krwawa i poniosłem straty. Trebacjusz także. Cofnąłem się do Kann, doprowadziłem wojsko do porządku i znów przeszedłem Aufidius, a Trebacjusz deptał mi po piętach. Udawałem, że się cofamy w panice i ukryłem się za wzgórzem na brzegu rzeki pod Kannami. Podstęp się udał. Trebacjusz zaczął przechodzić rzekę w bród. Moi ludzie nie stracili zapątu do walki. Obiegliśmy Aufidius dookoła i spadliśmy na Trebacjusza, zanim wyszedł z rzeki. Zwycięstwo Rzymu jest zupełne. Mam honor donieść, że zginęło tam piętnaście tysięcy Samnitów. Trebacjusz z niedobitkami uciekł do Kanuzjum, które było przygotowane do oblężenia. Chcieli je mieć, więc mają. Zostawiłem pod Kanuzjum pięć kohort, w tym rannych, pod wodzą Lucjusza Lucejusza, a z piętnastoma pozostałymi ruszyłem na północ do kraju Frentanów. Auskulum Apulum poddało się bez walki i tak samo Larinum.*

*W trakcie pisania dostałem wiadomość od Lucjusza Lucejusza, że Kanuzjum się poddało. Zgodnie z moim rozkazem złupił miasto i zabił wszystkich, ale Trebacjusz uciekł. Nie możemy trzymać jeńców ani zostawiać na swoich tyłach nieprzyjaciół, nie miałem więc wyboru. Liczę, że nie weźmiesz mi tego za złe. Z Larinum ruszam przeciw Frentanom, oczekując dalszych rozkazów.*

Zadowolony Sulla odłożył list i zawołał Metellusa Piusa i dwóch starszych trybunów żołnierskich. Obaj młodzi ludzie spisywali się dotąd doskonale.

- Czas, żebyśmy powstrzymali samego Mutilusa, bo inaczej spadnie na Koskoniusza w takiej przewadze, że nikt nie ujdzie z życiem. Marna by to była nagroda za ryzykowną kampanię. Mam wiadomości, że Mutilus czeka na mój ruch. Ma on nadzieję, że ruszę Via Appia na południe i zajmę się Wenuzją, która jest dość potężna, by dostarczyć mi zajęcia na długo. Kiedy otrzyma potwierdzenie, zacznie szukać Gajusza Koskoniusza. Dziś więc zwijamy obóz i wyruszamy na południe. O zmroku jednak zmienimy kierunek marszu i całkiem zejdziemy z drogi. Stąd do górnego biegu Wolturna teren jest trudny i górzysty, ale tam właśnie się udamy. Armia Samnitów obozuje w połowie drogi z Wenafrum do Aesemii o wiele za długo, ale Mutilus nie rusza się z



miejsca. Czeka nas prawie sto pięćdziesiąt mil trudnego marszu, zanim się do niego zbliżymy. Mimo to, panowie, będziemy tam za osiem dni i gotowi do walki.

Nikt nie próbował się spierać. Sulla zawsze bezlitośnie poganiał armię, ale po Noli jej morale było tak wysokie, że czuła się - jak i sam Sulla - zdolna do wszystkiego. Splądrowanie Aeclanum także podziało znakomicie na nastroje żołnierzy, bo Sulla nie zatrzymał dla siebie i swoich oficerów niczego ze skromnych łupów, z wyjątkiem kilku kobiet i to nie najlepszych.

Marsz do Mutilusa zajął jednak dwadzieścia jeden dni, zamiast zamierzonych ośmiu. Dróg nie było wcale, a urwiste góry trzeba było często obchodzić. Sulla gryzł się w duchu, ale był dość mądry, by pokazywać żołnierzom pogodną twarz i zapewnić im nieco wygód. Wieniec z trawy uczynił z niego człowieka dbałego o swoich żołnierzy. Gdyby teren był tak łatwy, jak to wcześniej sobie wyobrażał, poganiałby ich. Skoro było inaczej, dostrzegał konieczność utrzymania ich w dobrym nastroju i pogodzenia się z tym, co nieuniknione. Jeżeli nadal był ulubieńcem Fortuny, znajdzie Mutilusa tam, gdzie spodziewał się go znaleźć.

Był to więc koniec kwinktylisa, gdy Lukullus wjechał do obozu Sulli z ożywieniem na twarzy.

- On tam jest! - krzyknął bez żadnych wstępów.

- Świetnie! - uśmiechnął się Sulla. - To znaczy, że opuściło go szczęście, Lucjuszu Licyniuszu, bo moje mnie nie opuściło. Możesz przekazać nowinę żołnierzom. Czy Mutilus robi wrażenie, jakby zbierał się do wymarszu?

- Raczej jakby dał swym ludziom długi odpoczynek.

- Mają dosyć tej wojny i Mutilus o tym wie - powiedział w zamyśleniu Sulla. - Poza tym, ma inne zmartwienia. Siedzi od dwóch miesięcy w tym samym obozie, a każda nowa wiadomość utrudnia mu decyzję, dokąd pójść. Stracił zachodnią Kampanię i zaczyna tracić Apulię.

- Co więc robimy? - Lukullus był urodzonym wojskowym i lubił uczyć się od Sulli.

- Założymy obóz bez palenia ognisk po tej stronie ostatniego grzbietu wzgórz, przed doliną Wolturna, i tam będziemy siedzieć cicho i czekać. Wolałbym uderzyć, kiedy on będzie szykował się do wymarszu. Musi to wkrótce zrobić albo przegrać tę wojnę bez walki. Silon mógłby tak postąpić, ale Mutilus? On jest Samnitą. Nienawidzi nas.

Sześć dni później Mutilus zdecydował się wyruszyć. Sulla nie mógł wiedzieć, że wódz Samnitów otrzymał właśnie wiadomość o straszliwej bitwie pod Larinum między Gajuszem Koskoniuszem a Mariuszem Egnacjuszem. Chociaż Mutilus trzymał własną armię z bronią u nogi, nie pozwalał Koskoniuszowi na paradowanie po północnej Apulii. Wysłał dużą i doświadczoną armię Samnitów i Frentanów pod wodzą Mariusza Egnacjusza, by powstrzymać



Koskoniusza. Nieliczne wojsko rzymskie było jednak w doskonałym nastroju i przywykło uważać się za niepokonane. Mariusz Egnacjusz został pobity i zginął na polu bitwy z większością swoich ludzi. Dla Mutilusa była to zatrważająca wiadomość.

Wkrótce po świcie cztery legiony Sulli wyłoniły się z za grzbietu wzgórza i spadły na Mutilusa. Zaskoczony w na pół zwiniętym obozie Samnita nie miał szans na zwycięstwo. Ciężko ranny uciekł z resztkami swej armii do Aesemii i zamknął się w jej murach. Po raz kolejny oblegane miasto tym razem miało Samnitów w środku, a Rzymian na zewnątrz.

Jeszcze na poboju Sullę dowiedział się z listu Koskoniusza o zwycięstwie nad Mariuszem Egnacjuszem. Wojna była skończona i nie miało znaczenia, ile jeszcze zostało ośrodków oporu. Mutilus wiedział o tym już od sześćdziesięciu dni.

Pozostawiwszy pod Aesemią kilka kohort pod dowództwem Lukullusa, Sulla pomaszerował do Bowianum, starej stolicy Samnitów. Było to potężnie umocnione miasto, z trzema oddzielnymi cytadelami połączonymi wysokimi murami. Każda cytadela strzegła jednej z trzech dróg, na skrzyżowaniu których leżało Bowianum uznawane za twierdzę nie do zdobycia.

- Zawsze dziwiło mnie, że Gajusz Mariusz, nie przykłada wagi do techniki zdobywania miast - mówił Sulla do Metellusza Piusa i Hortensjusza. - Dla niego nic nie miało znaczenia oprócz bitwy. Ja tymczasem uważam zdobywanie miast za fascynujące. Bowianum wygląda na niezdobyte, nie dajcie się jednak zwieść - dziś będzie nasze.

Dotrzymał słowa, każąc obrońcom myśleć, że cała jego armia stoi pod cytadelą strzegącą drogi do Aesemii, tymczasem zaś jeden legion przekradł się pod osłoną wzgórz i uderzył na cytadelę przy drodze do Sepinum. Gdy Sulla ujrzał potężny słup dymu unoszący się z wieży Sepinum - był to umówiony znak - uderzył na wieżę Aesemii. Niecałe trzy godziny później Bowianum się poddało.

Sulla zakwaterował swych żołnierzy w Bowianum, zamiast zamykać ich w obozie, i uczynił z miasta swoją bazę, kiedy przeszukiwał okolicę na całe mile wokoło, by się upewnić, że południowe Samnium jest uległe i niezdolne do wystawienia nowych oddziałów. Potem, zostawiwszy obleganie Aesemii ludziom przysłanym z Kapui i połączywszy swoje cztery legiony, naradzał się z Gajuszem Koskoniuszem.

- Wschód jest nasz, Gajuszu Koskoniuszu - mówił wesoło. - Trzeba uwolnić całkowicie Via Appia i Via Minucia. Skorzystaj z Bowianum jako kwatery głównej, to znakomite miejsce na garnizon. I bądź tak bezlitosny albo tak łaskawy, jak uznasz za stosowne. Najważniejszą rzeczą jest utrzymanie Mutilusa zamkniętego w Aesemii i niedopuszczenie do niego żadnych posiłków.



- A jak się mają sprawy na północy? - spytał Koskoniusz, który nie miał żadnych w ogóle wiadomości, odkąd odpłynął w marcu z Puteoli.

- Doskonale! Serwiusz Sulpicjusz Galba zrobił porządek z większością Marrucynów, Marsów i Westynów. Silon brał udział w tej bitwie, ale uciekł. Cynna i Komutus okupują ziemie Marsów, a Alba Fucencja jest znów nasza. Konsul Gnejusz Pompejusz Strabon obrócił w ruinę Picenów i zbuntowane części Umbrii. Publiusz Sulpicjusz i Gajusz Bebiusz nadal jednak tkwią pod Askulum Picentum, które musi z pewnością przymierać głodem, ale wciąż się broni.

- A zatem wygraliśmy! - powiedział Koskoniusz zalekzionym tonem.

- O tak. Musieliśmy wygrać! Italia bez Rzymu u władzy? Bogowie nie pozwoliliby na coś takiego - rzekł Sulla.

Szóstego października przybył do Kapui na spotkanie z Katulusem Cezarem, by omówić zimowanie wojsk. Via Appia i Via Minucia znów były otwarte dla ruchu, chociaż Wenuzja broniła się uparcie, nie mogąc zrobić nic więcej, niż przyglądać się aktywności Rzymian na wielkiej drodze mijającej miasto. Via Popillia umożliwia bezpieczne przejście armiom i konwojom idącym z Kampanii do Rhegium, wciąż jednak nie była bezpieczna dla małych grup podróżnych, bo Marek Lamponiusz trzymał się jeszcze gór, organizując obecnie rozbójnicze napady.

- A jednak, ogólnie rzecz biorąc, możemy chyba powiedzieć, że półwysep znowu jest nasz - mówił Sulla do uszczęśliwionego Katulusa Cezara, który szykował się do powrotu do Rzymu pod koniec listopada.

- Wolałbym poczekać z tym stwierdzeniem, dopóki Askulum Picentum nie będzie nasze - powiedział Katulus Cezar, który od dwóch lat wykonywał niestrudzenie bardzo niewdzięczną pracę. - Tam się wszystko zaczęło, Lucjusz Korneliuszu, a miasto ciągle się broni.

- Nie zapominaj o Noli - warknął Sulla.



Dni Asculum Picentum były jednak policzone. Jadąc na swym państwowym koniu, Pompejusz Strabon przyprowadził w październiku swą armię, by połączyć ją z armią Publiusza Sulpicjusza Rufusa i opasać miasto murem żołnierzy rzymskich. Teraz nawet lina spuszczone z murów nie mogła zostać nie zauważona. Jego następnym posunięciem było odcięcie miasta od wody - ogromne przedsięwzięcie, bo wodę czerpano w setkach miejsc spod dna łożyska rzeki. Pompejusz Strabon okazał jednak niemałe zdolności techniczne i osobiście nadzorował prace.

Na usługach konsula Strabona był jego lekceważony kadet Marek Tuliusz Cynceron. Jako że Cynceron całkiem dobrze rysował i nauczył się notować szybko i dokładnie, konsul Strabon korzystał z jego pomocy w sytuacjach podobnych



do akcji pozbawienia Askulum Picentum wody. Cynceron robił, co mu kazano i milczał, bojąc się swego dowódcy i przerażony jego obojętnością na położenie mieszkańców miasta.

W listopadzie członkowie zarządu Askulum Picentum otworzyli bramy i wyszli, by poddać miasto Gnejuszowi Pompejuszowi Strabonowi.

- Nasz dom jest teraz twój - powiedział z godnością najwyższy urzędnik. - Prosimy jedynie o wodę.

Pompejusz Strabon zadarł siwiejącą głowę i wybuchnął śmiechem.

- Po co? Nie będzie komu jej pić!

- Jesteśmy spragnieni, Gnejuszu Pompejuszu!

- Więc bądźcie dalej spragnieni - rzekł Pompejusz Strabon.

Wjechał do Askulum Picentum na swym państwowym koniu na czele swych legatów - Lucjusza Geliusza Poplikoli, Gnejusza Oktawiusza Rusona i Lucjusza Juniusza Brutusa Damazypa - trybunów żołnierskich, kadetów i pięciu kohort wyborowych żołnierzy. Podczas gdy żołnierze natychmiast rozbiegli się po mieście, wyłapując mieszkańców i przeszukując domy, konsul Strabon skierował się na rynek. Forum wciąż nosiło ślady pobytu Gajusza Widacyliusza. Tam, gdzie kiedyś stała trybuna zarządu miasta, leżał teraz stos opalonych kawałków belek, resztki stosu pogrzebowego, na który wszedł Widacyliusz, aby zginąć w płomieniach.

Żując szpicrutę, którą zwykł poganiać swego państwowego konia, konsul rozglądał się uważnie, a potem skinął głową na Brutusa Damazypa.

- Zbuduj na tym stosie podwyższenie - i to szybko.

W bardzo krótkim czasie grupa żołnierzy powyrywała drzwi i belki z najbliższych domów i Pompejusz Strabon dostał swoje podwyższenie wraz ze schodami. Ustawiono na nim jego krzesło kurulne i stołek dla pisarza.

- Ty chodź ze mną - powiedział do Cyncerona, wchodząc po schodach i siadając na kurulnym krześle. Nadal był w pancerzu i w hełmie, ale w purpurowym płaszczu na ramionach zamiast czerwonego płaszcza wodza. Cynceron złożył naręcze woskowych tabliczek przy swoim stołku i przysiadł na nim z otwartą tabliczką na kolanach i pisakiem w ręku. Miała to być, jak sądził, rozprawa sądowa.

- Poplikola, Ruson, Damazyp, Gnejusz Pompejusz Młodszy, do mnie - powiedział konsul ze zwykłą szorstkością.

Serce Cyncerona zaczęło bić wolniej, a strach ulotnił się na tyle, że zaczął się rozglądać, czekając na zapisanie pierwszych słów. Najwyraźniej miasto podjęło środki ostrożności przed otwarciem bram, bo wielki stos mieczów, kolczug, włóczni, sztyletów i innych przedmiotów, które można by uznać za broń, wznosił się przed budynkiem rady miasta.

Przyprowadzono członków zarządu i kazano im stanąć przed prowizorycznym trybunałem. Pompejusz Strabon rozpoczął rozprawę, która



ograniczyła się do jego wypowiedzi.

- Jesteście zdrajcami i mordercami. Nie jesteście obywatelami rzymskimi. Zostaniecie wychłostani i ścięci. Dziękujcie swemu szczęściu, że nie traktuję was jak niewolników i nie każę ukrzyżować.

Wszystkie wyroki wykonano tu i teraz u stóp trybunału. Zdjęty zgrozą Cyceron starał się zapanować nad wzbierającą falą mdłości, wbijając wzrok w tabliczkę, na której wypisywał w wosku jakieś bezsensowne zawijasy.

Rozprawiwszy się z zarządem miasta, konsul ogłaszał ten sam wyrok każdemu mężczyźnie między osiemdziesiątym a trzynastym rokiem życia, którego udało się znaleźć. Dla przyspieszenia sprawy postawił pięćdziesięciu żołnierzy do chłostania i pięćdziesięciu do ścinania głów. Kazał też przeszukać stos broni, by znaleźć odpowiednie topory. W tym czasie kazano jednak egzekutorom używać mieczy. Nabrali szybko wprawy w ścinaniu mieczami głów wycieńczonych ofiar, więc nie chcieli już potem używać toporów. Jednakże po godzinie zaledwie trzystu Askulańczyków zostało wyprawionych na tamten świat. Ich głowy zatknięto na włóczniach i przybito do blanków, a ciała rzucono na stos z boku forum.

- Musicie usprawnić to przedstawienie - powiedział Pompejusz Strabon do swych dowódców i żołnierzy. - To ma być zrobione dzisiaj, nie za osiem dni! Postawić dwustu ludzi do chłostania i jeszcze dwustu do ścinania głów. I to szybko. Nie widzę tu wcale współpracy i bardzo niewiele systematyczności. Macie poprawić i jedno, i drugie.

- Byłoby łatwiej zagłodzić ich na śmierć - zauważył syn konsula, przyglądając się beznamiętnie rzezi.

- Znacznie łatwiej. Ale niezgodnie z prawem - odpowiedział mu ojciec.

Ponad pięć tysięcy askulańskich mężczyzn zginęło tego dnia. Ta rzeź pozostała w pamięci wszystkich obecnych przy niej Rzymian, choć nie podniósł się ani jeden głos sprzeciwu i nikt nie potępił jej później. Plac był dosłownie zalany krwią, a jej osobliwa woń - gorąca, słodka, żelazista - unosiła się niczym mgła w rozsłonecznionym górskim powietrzu.

O zachodzie słońca konsul wstał, przeciągając się, z kurulnego krzesła.

- Wracać do obozu, wszyscy - powiedział lakonicznie. - Jutro rozprawimy się z kobietami i dziećmi. Nie trzeba zostawiać straży. Zamknąć tylko bramy i patrolować na zewnątrz.

Nie wydał rozkazu usunięcia ciał ani zmycia krwi, wszystko więc zostało, jak było.

Rano konsul wrócił na trybunę, wcale nie poruszony widokiem. Żołnierze zgromadzili pozostałych przy życiu poza obrzeżem forum. Wyrok był krótki.

- Opuśćcie natychmiast to miejsce, zabierając tylko to, co macie przy sobie. Żadnej żywności, pieniędzy, kosztowności ani pamiątek.

Po dwóch latach oblężenia Askulum Picentum było bardzo ubogim



miejszem. Pieniędzy było niewiele, a kosztowności jeszcze mniej. Zanim jednak pozwolono wygnanym opuścić miasto, zostali przeszukani i nikomu nie pozwolono wrócić do domu. Grupy kobiet i dzieci wypychano po prostu za bramy i poza linie wojsk Pompejusza Strabona, w okolice zupełnie ogołoczone przez okupujące je legiony. Daremne były wołania o pomoc, płacz starych kobiet i zawodzenie dzieci. Żołnierze Pompejusza Strabona wiedzieli swoje. Piękności dostały się oficerom i centurionom, a kobiety choćby z cieniem uroku przypadły żołnierzom. Kiedy z nimi skończono, te, które przeżyły, wygnano na spustoszone ziemie w dzień lub dwa po ich matkach i dzieciach.

- Nie ma tu niczego, co by warto zabrać do Rzymu na mój triumf - powiedział konsul, kiedy było już po wszystkim i mógł wstać z kurulnego krzesła. - Oddać wszystko żołnierzom.

Cyceron zszedł za swoim wodzem z trybuny i patrzył z otwartymi ustami na to, co wydawało się największą rzeźnią świata. Nie czuł już mdłości ani litości, ani w ogóle nic. „Jeżeli to ma być wojna, pomyślał, obym nigdy nie zobaczył żadnej więcej”. A jednak jego druh Pompejusz, którego podziwiał i znał z najlepszej strony, mógł odrzucać niefrasobliwie z czoła wspaniałą grzywę jasnych włosów i pogwizdywać radośnie przez zęby, stąpając między głębokimi kałużami krwi na placu. W jego pięknych błękitnych oczach nie było nic prócz aprobaty, gdy wędrowali przez prawdziwe góry bezgłowych ciał.

- Kazałem Poplikoli zostawić dwie miłe kobiety dla nas kadetów. - Pompejusz szedł z tyłu, upewniwszy się, że Cyceron nie wpadnie w jakąś krwawą kąpiel. - Zabawimy się! Widziałeś kiedyś, jak się to robi? Jeśli nie, dziś wieczorem będzie okazja.

Cyceron nabrał tchu.

- Gnejszu Pompejuszu, nie jestem mięczakiem - oświadczył heroicznie - ale nie mam serca do wojny. Po tym, czego byłem świadkiem przez ostatnie dwa dni, nie podnieciłby mnie nawet widok Parysa robiącego to z Heleną! Co do askulańskich kobiet, oszczędź mi, proszę tej zabawy! Będę spał w jakimś kącie.

Pompejusz roześmiał się, zarzuciwszy ramię na szczupłe ramiona przyjaciela.

- Ach, Marku Tulliuszu, jesteś najbardziej zasuszoną starą westalką, jaką spotkałem w życiu! Wróg to wróg! Nie możesz litować się nad ludźmi, którzy nie tylko wystąpili przeciw Rzymowi, ale zamordowali rzymskiego pretora i setki innych Rzymian, kobiet i dzieci, rozszarpując ich na strzępy! Dosłownie! Idź jednak i śpij w swoim kącie, jeśli musisz. Wezmę sobie, co twoje.

Wyszli z placu i szli krótką, szeroką ulicą do głównej bramy. A tam znów było to! Szereg przerażających trofeów z poszarpanymi szyjami i twarzami podziobanymi przez ptaki ciągnął się wzdłuż blanków muru, jak okiem sięgnąć, w obie strony. Cyceron zakrztusił się, ale zdobył już doświadczenie, jak nie okrywać się wstydem w oczach konsula Strabona, więc i teraz udało mu



się zachować twarz przed przyjacielem, który mówił coś, nie zwracając na niego uwagi.

- Nie było tam nic godnego pokazania podczas triumfu, ale znalazłem naprawdę piękną sieć ptasznika. A ojciec dał mi kilka tub z książkami - jakieś nie znane nam wydanie mojego dziadka Lucyliusza. Musi to być robota miejscowego kopisty. Naprawdę piękne.

- Nie mają jedzenia ani ciepłych ubrań - powiedział Cynceron.

- Kto?

- Te wygnane stąd kobiety i dzieci.

- Spodziewam się!

- A co będzie z tym paskudztwem w środku?

- Masz na myśli zwłoki?

- Tak, mam na myśli zwłoki. I krew. I te głowy.

- Z czasem zgniją.

- I sprowadzą zarazę.

- Na kogo? Kiedy mój ojciec każe zabić bramy, w Askulum Picentum nie będzie żywej duszy. Gdyby zakradły się tu jakieś kobiety z dziećmi po naszym odejściu, nie zdołają wejść do środka. Askulum Picentum jest skończone. Nikt tu nigdy nie zamieszka.

- Teraz wiem, dlaczego nazywają twego ojca Rzeźnikiem - powiedział Cynceron, nie zastanawiając się, czy to nie obraźliwe słowa.

Pompejusz przyjął je jako komplement. Miał dziwne luki w inteligencji, kiedy chodziło o jego przekonania.

- Dobrze imię, prawda? - powiedział burkliwie, nie chcąc okazać zbyt miłości do ojca. - Szybciej, proszę, Marku Tuluszu! Nie chcę, żeby tamci *cunni* zaczęli beze mnie, skoro to ja załatwiłem nam te kobiety.

Cynceron przyśpieszył. Nie skończył jednak.

- Mam ci coś do powiedzenia, Gnejuszu Pompejuszu.

- Ach, tak? - Pompejusz wyraźnie był myślami gdzie indziej.

- Poprosiłem o przeniesienie do Kapui, gdzie chyba moje talenty przydadzą się bardziej przy zakończeniu tej wojny. Napisałem do Kwintusa Lutacjusza i dostałem odpowiedź. Píše, że będzie bardzo rad z moich usług. On albo Lucjusz Korneliusz Sulla.

Pompejusz przystanął, patrząc ze zdumieniem na Cyncerona.

- Czemu to zrobiłeś?

- Sztab Gnejusza Pompejusza Strabona jest żołnierski, Gnejuszu Pompejuszu. Ja taki nie jestem. - Brązowe oczy Cyncerona patrzyły szczerze i czule w twarz jego zaskoczonego mentora, który nie wiedział, czy ma się śmiać, czy wybuchnąć gniewem. - Pozwól mi odejść, proszę! Zawsze będę ci wdzięczny i nigdy nie zapomnę twej pomocy. Nie jesteś jednak głupcem, Gnejuszu Pompejuszu. Sztab twojego ojca nie jest odpowiednim miejscem dla mnie.



Chmury się rozwiały. Niebieskie oczy Pompejusza zabłyśły radością.

- Niech będzie po twojemu, Marku Tuluszu! - powiedział. Potem westchnął. - Czy wiesz, że będzie mi ciebie brak?



Sulla przybył do Rzymu na początku grudnia, nie mając pojęcia, kiedy odbędą się wybory. Po śmierci Aseliona Rzym nie miał pretora miejskiego, a ludzie mówili, że jedyny konsul, Pompejusz Strabon, przybędzie do miasta, kiedy będzie mu się podobało i ani chwili wcześniej. W zwykłych okolicznościach wpędziłoby to Sullę w desperację. Nie było jednak żadnych wątpliwości co do tego, kto zostanie następnym starszym konsulem. Sulla zdobył w ciągu jednego dnia prawdziwą sławę. Nieznajomi pozdrawiali go jak brata, kobiety uśmiechały się do niego, posyłając kątem oka zaproszenia, a pospólstwo urządzało mu owacje. Wcześniej został wybrany *in absentia* na augura na miejsce zabitego Aseliona. Cały Rzym wierzył niezachwianie, że to on, Lucjusz Korneliusz Sulla wygrał wojnę z Italczykami. Nie Gajusz Mariusz. Nie Pompejusz Strabon. Sulla, Sulla, Sulla!

Senat nigdy nie zdobył się na formalne mianowanie go po śmierci konsula Katona głównodowodzącym frontu południowego. Wszystko, czego dokonał, dokonał jako legat zmarłego. Wkrótce jednak zostanie nowym starszym konsulem, a wtedy senat da mu takie dowództwo, jakiego zażąda. Kłopoty, jakie mieli z nim jako legatem niektórzy przywódcy senatu, jak Lucjusz Marcjusz Filip, bawiły Sullę. Najwyraźniej uważali go za człowieka bez znaczenia, po którym nie można się spodziewać cudów. Teraz stał się w oczach wszystkich bohaterem.

Jedną z pierwszych wizyt po powrocie do Rzymu złożył Gajuszowi Mariuszowi i zdumiewał się niezmierną poprawą stanu jego zdrowia. Przy Mariuszu był wtedy jedenastoletni Gajusz Juliusz Cezar Młodszy, wzrostem prawie dorównujący Sulli. Był równie zastanawiający i równie inteligentny jak podczas ostatnich wizyt Sulli u Aurelii. Od roku opiekował się Mariuszem, łowiąc czujnie każde słowo Mistrza. Wszystko usłyszał, niczego nie zapomniał.

Sulla dowiedział się od Mariusza, jak bliski upadku był Mariusz Młodszy, nadal pozostający w służbie Cynny i Kornutusy, walczących z Marsami, spokojniejszy i bardziej odpowiedzialny niż dawniej. Dowiedział się też, jak bliski śmierci był Cezar Młodszy, który siedział podczas tego opowiadania grzecznie uśmiechnięty i wpatrzony w pustkę. Udział Lucjusza Dekumiusza w tym wydarzeniu natychmiast zaalarmował i zdumiał Sullę. To nie było podobne do Mariusza! Dokąd zmierza świat, jeśli Gajusz Mariusz zniża się do wynajęcia zawodowego zabójcy? Śmierć Publiusza Klaudiusza Pulchera była tak oczywiste i tak jawnie przypadkowa, że Sulla wiedział od razu, iż nie był to żaden przypadek. Jak jednak zostało to zrobione? I co miał z tym wspólnego



Cezar Młodszy? Czy to możliwe, że ten... ten chłopiec ryzykował życie, żeby zepchnąć Publiusza Klaudiusza Pulchera z urwiska? Nie! Nawet Sulla nie miał tyle pewności siebie, kiedy szło o morderstwo.

Kierując wzrok na chłopca, podczas gdy Mariusz ciągnął opowieść (on najwyraźniej wierzył, że interwencja Lucjusza Dekumiusza okazała się niepotrzebna), Sulla starał się zaniepokoić Cezara Młodszego. Chłopiec jednak, wyczuwając te mroczne promienie, podniósł po prostu na Sullę wzrok bez śladu lęku w oczach. Nawet cienia niepokoju. Ani uśmiechu. Cezar Młodszy patrzył na Sullę bystro, trzeźwo i z zainteresowaniem. „Wie, jaki jestem!”, pomyślał Sulla. „Ale i ja wiem, jaki ty jesteś, Cezarze Młodszy! I niech Wielki Bóg ustrzeże Rzym przed nami oboma!”

Wspaniałomyślny Mariusz czuł jedynie radość z sukcesów Sulli. Przyklasnął nawet bez urazy i zawiści zdobyciu wieńca z trawy - jedyne odznaczenia, które wymykało się dotąd z jego sieci.

- Co powiesz teraz o wyuczeniu się dowodzenia? - spytał prowokacyjnie Sulla.

- Powiem, że byłem w błędzie, Lucjusz Korneliuszu. Nie co do wyuczonego dowodzenia! Nie, byłem w błędzie, myśląc, że nie jesteś urodzonym wodzem. Jesteś nim, jesteś. Wysłanie Gajusza Koskoniusza morzem do Apulii było natchnionym posunięciem, a wzięcie wroga w kleszcze było działaniem, którego nikt - choćby najlepiej wyszkolony - nie przeprowadziłby w taki sposób, gdyby nie był urodzonym wodzem.

Ta odpowiedź powinna uczynić Lucjusza Korneliusza Sullę absolutnie szczęśliwym i całkowicie upewnionym. Tak jednak nie było. Sulla zdawał sobie sprawę, że Mariusz nadal uważa się za lepszego wodza i jest przekonany, iż pokonałby południową Italię szybciej i lepiej. „Co mam zrobić, żeby ten uparty stary osioł zrozumiał, że spotkał równego sobie?”, wołał w duchu, nie zdradzając swych uczuć. Poczłł gniew, spojrzł na Cezara Młodszego i wyczytał w jego oczach zrozumienie.

- A co ty myślisz, Cezarze Młodszy?

- Jestem pełen podziwu, Lucjusz Korneliuszu.

- Uprzejma odpowiedź.

- Szczera odpowiedź.

- Chodźmy, młodzieńcze, odprowadzę cię do domu.

Na początku szli w milczeniu, Sulla w śnieżnobiałej todze kandydata, a chłopiec w dziecięcej todze z purpurowym szlakiem i ze strzegącą od złego bullą na rzemyku na szyi. Z początku Sulla myślał, że wszystkie uśmiechy i skinienia głową przeznaczone są dla niego, bo tak jest sławny. Potem dotarło do niego, że znaczna ich część kierowana była do chłopca.

- Skąd oni wszyscy cię znają, Cezarze Młodszy?

- To tylko odbłask cudzej sławy, Lucjusz Korneliuszu. Chodzę wszędzie z



Gajuszem Mariuszem.

- Nic dla ciebie samego?

- W pobliżu Forum jestem po prostu chłopcem Gajusza Mariusza. Kiedy znajdziemy się w Suburze, będą rozpoznawać mnie samego.

- Czy twój ojciec jest w domu?

- Nie, wciąż jest z Publiuszem Sulpicjuszem i Gajuszem Bebiuszem pod Askulum Picentum.

- Wkrótce więc będzie w domu. Tamta armia już wyruszyła.

- Chyba tak.

- Nie cieszysz się z powrotu ojca?

- Tak, oczywiście, że się cieszę - odpowiedział gładko Cezar Młodszy.

- Czy pamiętasz swego ciotecznego brata, mego syna?

Twarz chłopca rozjaśniła się. Tym razem entuzjazm był szczery.

- Jak mógłbym go zapomnieć? Był taki miły! Kiedy umarł, napisałem dla niego wiersz.

- O czym? Czy możesz mi go zadeklamować?

Cezar Młodszy pokręcił przecząco głową.

- Nie byłem wtedy zbyt dobry w pisaniu, wolałbym więc nie deklamować, jeśli się nie pogniewasz. Pewnego dnia napiszę lepszy wiersz i dam ci wtedy kopię.

Sulla zamilkł, powstrzymując łzy. Głupio zrobił, otwierając starą ranę, by podtrzymać rozmowę z jedenastolatkiem!

Aurelia jak zwykle pracowała przy swym stole, przyszła jednak zaraz, gdy tylko Eutychnus powiadomił ją, kto odprowadził jej syna. Kiedy usiedli w sali przyjęć, Cezar Młodszy pozostał z nimi, przyglądając się uważnie matce. „Jaki znów komar brzęczy ci w głowie?“, zastanawiał się Sulla, zły, bo obecność chłopca nie pozwalała mu postawić Aurelii przygotowanych wcześniej pytań. Na szczęście wyczuła jego irytację i wkrótce odprawiła syna, który odszedł z niechęcią.

- O co mu chodzi?

- Podejrzewam, że Gajusz Mariusz powiedział coś, co dało Gajuszowi Juliuszowi fałszywe pojęcie o mojej przyjaźni z tobą, Lucjusz Korneliuszu - powiedziała spokojnie Aurelia.

- O bogowie! Stary łajdak! Jak on śmiał!

Piękna Aurelia roześmiała się wesoło.

- Ach, wyrosłam już z lat, kiedy martwiły mnie takie rzeczy. Gdy mój wuj Publiusz Rutyliusz napisał do Gajusza Mariusza do Azji Mniejszej o swej siostrzenicy, z którą rozwiódł się mąż po urodzeniu przez nią rudego syna, Julia i Gajusz Mariusz wpadli na pomysł, że chodzi o mnie - a dziecko jest twoje. Wiem to na pewno.

Teraz przyszła kolej Sulli, by się roześmiać.



- Czy aż tak mało cię znają? Trudniej przełamać twoją obronę niż umocnienia Noli.

- To prawda. Musiałeś jednak spróbować.

- Jestem mężczyzną zbudowanym jak każdy inny.

- Z tym się nie zgadzam. Powinieneś przywiązać sobie siano do tego rogu!

Pod słuchający z ukrycia nad fałszywym stropem pracowni Cezar Młodszy poczuł ogromną ulgę - jego matka była mimo wszystko cnotliwą kobietą. Potem inne uczucie wyparło to pierwsze i z nim było trudniej się uporać. Czemu nigdy nie ukazywała mu tej swojej strony? Oto siedziała tam roześmiana, odprężona, przekomarzająca się na sposób ludzi dorosłych i światowych. Ona lubiła tego odpychającego człowieka! Mówiła mu rzeczy świadczące o bardzo starej i trwałej przyjaźni. Mogła nie być kochanką Sulli, ale była między nimi jakaś zażyłość, której nie dzieliła ze swym mężem. Ojcem Cezara Młodszego. Ocierając niecierpliwie łzy, ułożył się wygodnie i zmusił do bezstronności, na którą umiał już się zdobyć, kiedy chciał. „Zapomnij, że ona jest twoją matką, Gajuszu Juliuszu Cezarze Młodszy! Zapomnij, jak bardzo nie znosisz jej przyjaciela Sulli! Słuchaj i ucz się”.

- Wkrótce będziesz konsulem - mówiła.

- Mając pięćdziesiąt dwa lata. Więcej niż miał Gajusz Mariusz.

- I jesteś dziadkiem! Czy już widziałeś wnuczkę?

- Aurelio, proszę! Prędzej czy później będę chyba musiał pójść do domu Kwintusa Pompejusza z Elią pod ramię - i zjeść obiad - i pogłaskać dziecko pod bródką. Czemu jednak miałbym pędzić tam od razu? Bo moja córka urodziła córkę?

- Mała Pompeja jest prześliczna.

- Oby więc zrobiła tyle spustoszenia co Helena Trojańska!

- Nie mów tak! - sprzeciwiła się Aurelia. - Zawsze uważałam, że biedna Helena miała nieszczęśliwe życie. Była czyjąś własnością. Zabawką do łóżka.

- Kobiety są czyjąś własnością - uśmiechnął się Sulla.

- Ja nie jestem! Mam własny majątek i własne zajęcia.

Sulla zmienił ton.

- Askulum Picentum nie jest już oblegane. Gajusz Juliusz lada dzień wróci do domu. I co wtedy zostanie z tych odważnych słów?

- Nie mów tak, Lucjuszu Korneliuszu! Chociaż Kocham go czule, lękam się, kiedy staje w drzwiach. Będzie miał mi za złe wszystko, od dzieci do mojej roli właścicielki, a ja będę się starała zadowolić go, póki nie wyda jakiegoś rozkazu nie do przyjęcia!

- A wtedy, moja biedna Aurelio, powiesz mu, że się myli, i zaczną się kłopoty - powiedział czule Sulla.

- Czy ty wytrzymałbyś ze mną? - spytała zapalczywie.

- Nie, choćbyś była ostatnią kobietą na świecie.



- A tymczasem Gajusz Juliusz wytrzymuje.  
- Ha! Co za świat!  
- Ach, przestań się wygłupiać! - parsknęła.  
- Zmieniam więc temat - rzekł Sulla i odchylił się w tył, podpierając się rękami. - Jak się ma wdowa po Skaurusie?

Fioletowe oczy zabłyśły.

- *Ecator!* Wciąż o niej myślisz?  
- Zdecydowanie.  
- Zdaje się, że jest pod opieką kogoś dość młodego - brata Liwiusza Druzusa, Mamerka Emiliusza Lepidusa Liwianusa.

- Znam go. Był w Kapui przybocznym Kwintusa Lutacjusza, ale też walczył przy boku Tytusa Dydiusza pod Herkulanum i poszedł z Gabiniuszem do Lukanii. To twardy chłop - z tych, których uważają za sól ziemi. - Usiadł nagle wyprostowany i czujny niczym kot na widok ofiary. - Czy to stąd wiatr wieje? Ona chce wyjść za Lepidusa Liwianusa?

Aurelia roześmiała się.

- Bardzo wątpię! On jest żonaty z jakąś jędzą, która trzyma go stale pod pantoflem. Ta Klaudia jest siostrą Appiusza Klaudiusza Pulchera, którego żona, pamiętasz, kazała Lucjuszowi Juliuszowi sprzątać w todze świątynię Junony Sospity. Zmarła przy porodzie dwa miesiące później.

- To kuzynka mojej Dalmatyki, mam na myśli tę zmarłą Balearską.

- Ona ma wszędzie kuzynów.

Sulla ożywił się.

- Czy myślisz, że Dalmatyka mogłaby się mną teraz zainteresować?

Aurelia pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia! To szczerą odpowiedź, Lucjuzu Korneliuszu. Nie mam żadnych kontaktów z kobietami mego stanu poza najbliższą rodziną.

- Może więc powinnaś odnowić znajomość z nią, kiedy wróci twój mąż. Będziesz miała wtedy więcej czasu - powiedział chytrze Sulla.

- Wystarczy, Lucjuzu Korneliuszu! Możesz już sobie iść.

Poszli razem do drzwi. Gdy tylko ich postacie znikły z pola widzenia Cezara Młodszego, zszedł na dół i już go nie było.

- Czy zechciałabyś zjednać dla mnie Dalmatykę? - spytał Sulla, gdy pani domu przytrzymała otwarte drzwi.

- Nie, nie zechcę - odparła Aurelia. - Sam ją sobie zjednuj, jeśli tak cię interesuje. Mogę cię tylko zapewnić, że rozwód z Elią uczyni cię bardzo niepopularnym.

- Już przedtem byłem niepopularny. *Vale.*



Wybory trybusowe odbyły się pod nieobecność konsula, po tym jak senat powierzył liczenie głosów Metellusowi Piusowi Prosiakowi, który był



pretorem i przybył do Rzymu z Sullą. Trybunowie ludowi okazali się gromadą konserwatystów, po tym jak pierwsze miejsce zajął Publiusz Sulpicjusz Rufus, a zaraz po nim był Publiusz Antystiusz. Sulpicjusz zwolnił się już wcześniej ze służby u Pompejusza Strabona. Zdobywszy sobie doskonałą opinię w polu jako dowódca w walce z Picenami, chciał teraz zdobyć reputację polityka. Był już znany jako mówca i adwokat, zrobiwszy w młodym wieku świetną karierę na Forum. Uważano go za najlepszego mówcę młodego pokolenia. Przypominał zmarłego Krassusa Oratora w wyszukanych gestach, potoczystym głosie, słownictwie i figurach retorycznych. Jego najślawniejszą sprawą było oskarżenie Gajusza Norbanusa o nielegalne skazanie konsula Cepiona związanego z Tolosańskim Złotem. To, że przegrał, w niczym nie zaszkodziło jego reputacji. Był wielkim przyjacielem Marka Liwiusza Druzusa - choć nie popierał nadania praw Italczykom - a po śmierci Druzusa zbliżył się do Kwintusa Pompejusza Rufusa, współtowarzysza Sulli w nadchodzących wyborach konsularnych. To, że został przewodniczącym kolegium trybunów ludowych, nie wróżyło dobrze demagogom. W istocie wyglądało na to, że nikt z dziesięciu wybranych nie był demagogiem, a po wyborach nie nastąpił zalew nowego kontrowersyjnego ustawodawstwa. Bardziej obiecujące było powołanie Kwintusa Cecyliusza Metellusa Celera na edyla plebejskiego. Wieść niosła, że ten bogacz zamierza urządzić znużonemu wojną miastu wspaniałe igrzyska.

Centurie zebrały się ponownie pod przewodnictwem Prosiaka, by wysłuchać wystąpień kandydatów na konsulów i pretorów. Kiedy Sulla i Kwintus Pompejus Rufus zgłosili wspólną kandydaturę, owacje były ogłuszające. Gdy jednak Gajusz Juliusz Cezar Strabon Wopiskus Seskwikulus zgłosił zamiar ubiegania się o wybór na konsula, zapadło milczenie.

- Nie możesz! - powiedział zdławionym głosem Metellus Pius. - Nie byłeś jeszcze pretorem!

- Twierdzę, że żadne prawo na tablicach nie zabrania ubiegania się o konsulat przed preturą - oświadczył Cezar Strabon i rozwinął zwój tak długi, że audytorium jęknęło. - Mam tu dysertację, którą przeczytam od początku do końca, żeby udowodnić swoje twierdzenie ponad wszelką wątpliwość.

- Zwiń to i nie zwracaj sobie głowy, Gajuszu Juliuszu Strabonie! - zawołał z tłumu spod podwyższenia dla kandydatów nowy trybun ludowy Sulpicjusz. - Zgłaszam weto! Nie możesz brać udziału w wyborach.

- Daj spokój, Publiusz Sulpicjuszu! Poddajmy próbie to prawo, zamiast go używać do poddawania próbie ludzi! - zawołał Cezar Strabon.

- Twoja kandydatura jest zawetowana, Gajuszu Juliuszu Strabonie. Zejdź stamtąd i stań wśród równych sobie - powiedział stanowczym tonem Sulpicjusz.

- Zgłaszam więc swoją kandydaturę na pretora!



- Nie w tym roku - oświadczył Sulpicjusz. - I to jest zawetowane.

Młodszy brat Kwintusa Lutacjusza Katulusa Cezara i Lucjusza Juliusza Cezara, cenzora, bywał złośliwy, a jego wybuchowy charakter przysparzał mu czasem kłopotów, dziś jednak Cezar Strabon po prostu wzruszył ramionami, uśmiechnął się szeroko i zszedł na dół, by stanąć przy Sulpicjuszu.

- Po coś to zrobił, głupcze? - spytał Sulpicjusz.

- Mogło mi się udać, gdyby cię tu nie było.

- Prędzej bym cię zabił - powiedział jakiś nowy głos.

Cezar Strabon obrócił się, ujrzał młodego Gajusza Flawiusza Fimbrię i parsknął:

- Nie potrafiłbyś zabić muchy, ty chciwy durniu!

- No, no! - Sulpicjusz wkroczył śpiesznie między nich. - Odejdź, Gajuszu Fimbrio! Dalej, idź sobie! Sio! Pozostaw rządzenie Rzymem starszym i lepszym od siebie.

Cezar Strabon roześmiał się, a Fimbria wyniósł się chyłkiem.

- Wstrętny typ - powiedział Sulpicjusz. - Nie wybaczył ci oskarżenia Wariusza.

- Nie dziwię się - odrzekł Cezar Strabon. - Ze śmiercią Wariusza stracił swą jedyną podpórę.

Nie było żadnych więcej niespodzianek. Kiedy przyjęto wszystkie zgłoszenia kandydatów na konsulów i pretorów, obecni rozeszli się do domów, aby czekać na zjawienie się konsula Gnejusza Pompejusza Strabona.



Nie wrócił do Rzymu przed końcem grudnia, a gdy się pojawił, obstawał przy odprawieniu triumfu przed wyborami. Jego spóźnienie wiązało się ze znakomitym pomysłem, na jaki wpadł po zdobyciu Askulum Picentum. Jego pochod triumfalny mógł być żalosną imprezą: nie było żadnych łupów do pokazania, żadnych ruchomych platform przedstawiających widoki i ludzi obcych mieszkańcom Rzymu. I wtedy wpadł na swój świetny pomysł. Pokaże w swym pochodzie triumfalnym tysiące italskich chłopców! Jego oddziały zaczęły przeszukiwać kraj i po pewnym czasie zgromadzono kilka tysięcy italskich chłopców w wieku od czterech do dwunastu lat. Kiedy więc jechał w swym rydwanie triumfalnym przepisana drogą po ulicach Rzymu, poprzedał go legion powłóczących nogami małych chłopców. Ten widok budził lęk, choćby dlatego, że wskazywał, jak wielu italskich mężczyzn straciło życie za sprawą Gnejusza Pompejusza Strabona.

Wybory kurulne odbyły się zaledwie trzy dni przed Nowym Rokiem. Lucjusz Korneliusz Sulla został wybrany na starszego konsula ze swym przyjacielem Kwintusem Pompejuszem Rufusem jako młodszym kolegą, dwaj rudowłosi z dwóch rodów należących do rzymskich dobrze urodzonych. Rzym cieszył się, że ma na odmianę zgrany zespół konsulów i oczekiwał naprawy szkód



wyrządzonych przez wojnę.

Miał to być rok sześciu pretorów, co oznaczało przedłużenie kadencji większości namiestników prowincji: Gajusza Sencjusza i jego legata Kwintusa Brutusa Sury w Macedonii, Publiusza Serwiliusza Watii i jego legatów, Gajusza Celiusza i Kwintusa Sertoriusza w obu Galiach, Gajusza Kasjusza w prowincji Azji, Kwintusa Oppiusza w Cylicji i Gajusza Waleriusza Flakkusa w Hiszpanii. Nowy pretor Gajusz Norbanus został wysłany na Sycylię, a inny nowy pretor, Publiusz Sekstyliusz, do Afryki. Pretorem miejskim został sędziwy Marek Juniusz Brutus. Miał on już syna w senacie, ale wziął udział w wyborach mimo wieku i słabego zdrowia, ponieważ, jak mówił, Rzym potrzebuje porządnego człowieka na tym urzędzie, a tylu innych porządnych ludzi służy jeszcze w polu i nie są osiągalni. Pretorem peregrinus został jakiś Serwiliusz z rodu Augurów.



Dzień Nowego Roku wstał jasny i błękitny, a wróżebne znaki podczas nocnego czuwania były pomyślne. Nie było chyba nic dziwnego w tym, że po dwóch latach lęku i strachu cały Rzym zdecydował się wyjść z domów, by popatrzeć na inaugurację konsulatu. Każdy widział jasno całkowite zwycięstwo w walce z italskim zagrożeniem, a wielu było takich, którzy mieli nadzieję, że nowi konsulowie znajdą teraz czas, by uporać się z poważnymi kłopotami finansowymi miasta.

Wróciwszy do domu z nocnego czuwania, Lucjusz Korneliusz Sulla kazał udrapować na sobie togę z purpurowym szlakiem i sam włożył sobie na głowę swój wieniec z trawy. Wyszedł z domu, by zakosztować nowej przyjemności chodzenia za dwunastoma liktorami w togach, noszącymi na ramionach wiązki różeg, rytualnie przewiązanych czerwonymi rzemieniami. Poprzedzali go rycerze, którzy woleli asystować jemu niż jego koledze, a za nim szli senatorowie z jego drogim przyjacielem Prosiakiem.

„Oto mój dzień”, myślał, gdy ogromny tłum wzdychał i szmerem głosów wyrażał swe uznanie na widok wieńca z trawy. „Pierwszy raz w życiu nie mam rywali ani równych sobie. Jestem starszym konsulem, wygrałem wojnę z Italczykami, noszę wieniec z trawy. Jestem potężniejszy niż król”.

Dwa uroczyste pochody rozpoczynające się przy domach nowych konsulów łączyły się u stóp Clivus Palatinus, gdzie stała jeszcze stara Porta Mugonia, pamiątka czasów, kiedy Romulus wznosił mury swego miasta na Palatynie. Stąd sześć tysięcy ludzi skierowało się w uroczystym szyku poprzez Welię i w dół Clivus Sacer na dolne Forum. Większość stanowili rycerze z wąskim szlakiem - *angustus clavus* - na tunikach. Uszczuplony senat szedł za konsulami i ich liktorami. Ze wszystkich stron widzowie wznosili okrzyki. Stali na murach domów na Forum, na podcieniach i dachach bazylik, na dachach świątyń, zapewniających dobry widok, na wszystkich schodach prowadzących na



Palatyn, we wszystkich portykach i na schodach świątyń, na dachach gospód i sklepów na Via Nova, na loggiach wielkich domów Palatynu i Kapitolu zwróconych w stronę Forum. Ludzie. Wszędzie pełno ludzi oklaskujących człowieka w wieńcu z trawy, wieńcu, którego większość z nich nigdy nie oglądała.

Sulla szedł z królewską godnością, której nigdy przedtem nie okazywał. Przyjmował owacje, lekko pochylając głowę, bez uśmiechu na ustach i bez radości w oczach. Oto było urzeczywistnienie marzeń, oto był jego dzień. Był zafascynowany tym, że rozróżniał pojedynczych ludzi w tym ogromnym tłumie; jakąś piękną kobietę, jakiegoś starca, chłopca siedzącego na czyichś ramionach, jakiegoś cudzoziemca - i Metrobiusza. Prawie przystanął, zmusił się, by iść dalej. To była tylko twarz w tłumie. Lojalny i dyskretny jak zawsze. W jego ciemnej, przystojnej twarzy nie było żadnego wyrazu szczególnej zażyłości, może tylko w oczach, choć nikt prócz Sulli nie umiałby tego rozpoznać. Smutne oczy. A potem przeminął, został z tyłu. Był przeszłością.

Kiedy rycerze doszli w okolice niecki komicjów i skręcili w lewo między świątynię Saturna a sklepiony portyk naprzeciwko, mieszczący Dwunastu Bogów, przystanęli, obrócili głowy ku Clivus Argentarius i podnieśli owację daleko głośniejszą niż ta, którą przedtem urządzili Sulli. Słyszał, lecz niczego nie widział. Czuł, jak pot spływa mu po plecach. Ktoś podkradał mu jego tłum! Bo i tłum także obracał się na wszystkich dachach i schodach ku temu samemu miejscu, a wiwaty narastały w morzu rąk kołyszących się niczym wodorosty.

Nigdy dotąd nie musiał Sulla włożyć tyle wysiłku, co teraz, w to, by nie zmieniać wyrazu twarzy, nie zaniechać królewskich skinień głową, nie wyrażać uczuć oczami. Pochód znów zaczął się poruszać. Sulla przeszedł przez dolne Forum za swymi liktorami, ani razu nie wykręcając szyi, by sprawdzić, co go czeka u dołu Clivus Argentarius. Co zabrało mu jego tłum. Kradło mu dzień. Jego dzień!

I oto był tam. Gajusz Mariusz. W towarzystwie tego chłopca. W todze praetexta. Czekał, by włączyć się w szeregi kurulnych senatorów idących tuż za Sullą i Pompejuszem Rufusem. Znowu wracał do akcji. Zamierzał uczestniczyć w inauguracji nowych konsulów, uczestniczyć potem w zebraniu senatu w świątyni Jowisza Najlepszego i Największego na Kapitolu, uczestniczyć w uczcie w tej świątyni. Gajusz Mariusz. Gajusz Mariusz geniusz wojskowy. Gajusz Mariusz bohater.

Kiedy Sulla przechodził obok niego, Mariusz skłonił głowę. Przepiętny furia, której nie mógł ujawnić przed nikim - nawet przed Mariuszem - Sulla obrócił się i skinął mu głową. Uniesienie doszło wtedy do szczytu, ludzie wrzeszczeli z radości, wszystkie twarze były mokre od łez. Potem, gdy Sulla skręcił w lewo, by minąć świątynię Saturna i wejść na wzgórze Kapitolu, Gajusz Mariusz zajął swoje miejsce, z chłopcem u boku, wśród ludzi w togach z



purpurowym szlakiem. Tak znaczna była poprawa jego zdrowia, że prawie nie powlóczył lewą nogą, a lewą ręką przytrzymywał ciężkie fałdy togi, ukazując ludziom, że nie dokucza mu już kalectwo. Co do twarzy, unikał grymasu, w który zmienił się jego uśmiech, nie uśmiechając się wcale.

„Zniszczę cię za to, Gajuszu Mariuszu”, pomyślał Sulla. „Wiedziałeś, że to mój dzień! A jednak nie mogłeś sobie odmówić pokazania mi, że Rzym wciąż należy do ciebie, że ja - patrycjusz Korneliusz! - jestem nikim w porównaniu z tobą, italskim prostakiem, który wcale nie zna greki. Że ludzie mnie nie kochają. Że nigdy nie osiągnę twoich wyzryn. Cóż, może to wszystko prawda, Gajuszu Mariuszu. Zniszczę cię jednak. Uległeś pokusie pokazania mi tego w moim dniu. Gdybyś zdecydował się wrócić do życia publicznego jutro albo pojutrze, albo w każdym innym dniu, miałbyś spokojną resztę życia, bo nie zamieniłbym ci jej w udrękę. Zniszczę cię bowiem. Nie trucizną. Nie nożem. Sprawię, że twoi potomkowie będą wstydzić się pokazać twą maskę podczas rodzinnych pogrzebów. Zniszczę twoją reputację na zawsze”.

Ów okropny dzień jakoś wreszcie przeminął. Nowy starszy konsul stał w świątyni Jowisza z dumną i zadowoloną miną, z takim samym bezmyślnym grymasem na twarzy, jaki miał posąg Wielkiego Boga, pozwalając senatorom składać hołdy Mariuszowi, jakby tamten nie był przez większość z nich znienawidzony. Kiedy Sulli zaświtało zrozumienie, że Mariusz zrobił to całkiem nieświadomie - że nie pomyślał, iż może ukraść Sulli jego dzień, a tylko uznał go za doskonały moment na ponowne pojawienie się w senacie - to zrozumienie nie zmniejszyło wściekłości Sulli ani nie skłoniło go do odstąpienia od obietnicy zniszczenia tego okropnego starca. Ta czysta bezmyślność czyniła raczej działania Mariusza jeszcze bardziej nieznośnymi. Dla Mariusza Sulla znaczył tak niewiele, że nigdy nie zamajaczył w zwierciadle jego świadomości. I za to Mariusz gorzko zapłaci.

- Ja... ja... jak on śmiał! - wyszeptał Metellus Pius do Sulli, gdy spotkanie się skończyło i niewolnicy państwowi zaczęli zastawiać ucztę.

- On to zro... zro... zrobił celowo!

- O tak, on to zrobił celowo - skłamał Sulla.

- A ty mu na to po... po... pozwolisz? - Metellusz Pius prawie płakał.

- Uspokój się i przestań się jąkać, Prosiaku. - Sulla użył tego przezwiska w sposób wcale nieobraźliwy. - Nie pokażę tym głupcom swoich uczuć. Niech myślą - i on niech myśli - że to pochwalam. Jestem konsulem, Prosiaku. On nie jest. To tylko chory starzec, który chce odzyskać swą pozycję, a to mu się nigdy nie uda.

- Kwintus Lutacjusz jest o to wściekły. - Metellus Pius skupił się na swym jękaniu. - Widzisz go tam? Właśnie powiedział Mariuszowi, co o tym sądzi, a stary hipokryta udawał, że nie miał nic złego na myśli. Masz pojęcie?

- Przeoczyłem to. - Sulla spojrział na Katulusa Cezara przemawiającego



właśnie z oczywistą wyższością do swego brata cenzora i Kwintusa Mucjusza Scewoli, który miał nieszczęśliwą minę. Sulla uśmiechnął się szeroko. - Żle sobie wybrał słuchacza, jeśli chce mówić źle o Gajuszu Mariuszu Kwintusowi Mucjuszowi.

- Dlaczego? - Ciekawość wzięła u Prosiaka górę nad oburzeniem.

- Tam się zanosi na małżeństwo. Kwintus Mucjusz wydaje córkę za Mariusza Młodszego.

- Bogowie! Czy nie mógł wybrać lepiej?

Sulla uniósł brew.

- A czy mógł, drogi Prosiaku? Pomyśl o tych wszystkich pieniądzach!

Wracając, Sulla wymówił się od towarzystwa, z wyjątkiem Katulusa Cezara i Metellusa Piusa, chociaż przy domu pożegnał skinieniem dłoni swą eskortę i wszedł sam. W domu było cicho, a żony nie było widać, z czego Sulla był ogromnie rad. Nie zniósłby chyba jej żalostnego przymilania się. Pomknął do pracowni, zaryglował drzwi i zamknął okiennice. Toga opadła mleczną gmatwaniną wokół jego stóp i została odepchnięta na bok. Z twarzą wyrażającą to, co naprawdę czuł, podszedł do długiego stołu przy ścianie, na którym stało sześć miniaturowych świątyń. Były w doskonałym stanie, na nowo odmalowane i bogato pozłoczone. Za odnowienie pięciu należących do jego przodków zapłacił po wejściu do senatu. Szósta mieściła jego własną podobiznę i została dostarczona z zakładu Magiusa z Welabrum zaledwie dzień wcześniej.

Jej schowek był przemyślnie ukryty za belkowaniem pierwszego rzędu kolumn, a gdy się otwierał, kolumny dzieliły się pośrodku niczym skrzydła dwuskrzydłowych drzwi. Wewnątrz zobaczył samego siebie, naturalnej wielkości twarz i podbródek połączone z przednią częścią szyi i dopełnione uszami Sulli. Za uszami były sznurki utrzymujące maskę na twarzy podczas noszenia. Zakrywała je wtedy peruka.

Woskowa imago była wspaniale wykonana. Skóra była tak biała, jakby zdjęta z Sulli. Brwi i rzęsy - jedne i drugie prawdziwe - miały ten właśnie odcień brązu, jaki im nadawał na takie okazje, jak zebrania senatu albo uczy. Pięknie ukształtowane usta były lekko rozchylone, bo Sulla zawsze oddychał przez usta, oczy zaś były niesamowitym wprost powtórzeniem jego własnych. Po bliższym przyjrzeniu się widać było, że źrenice są otworami, przez które noszący maskę aktor widział akurat tyle, żeby móc iść. Jedynie w przypadku peruki Magius z velabrum nie uzyskał całkowitego podobieństwa, bo nigdzie nie mógł znaleźć włosów odpowiedniego koloru. W Rzymie nie brakowało wytwórców peruk i fałszywych włosów, a różne odcienie włosów jasnych i rudych należały do najpopularniejszych. Dostarczali ich barbarzyńcy pochodzący z Germanii i Galii, zmuszani do rozstawania się ze swymi włosami przez handlarzy niewolników albo przez ich panów potrzebujących pieniędzy.



Te najlepsze, jakie znalazł Magius, były zdecydowanie bardziej rude niż czupryna Sulli, ale bujność i sposób uczesania były doskonale trafione.

Przez dłuższy czas Sulla wpatrywał się w siebie, nie mogąc otrząsnąć się ze zdziwienia, że tak wygląda w oczach innych. Żadne nieskazitelne srebrne zwierciadło nie dawało wyobrażenia porównywalnego z tą imago. „Muszę kazać rzeźbiarzom Magiusa wykonać kilka popiersi i naturalnej wielkości posąg w zbroi”, postanowił całkiem zadowolony ze swego wyglądu. W końcu jednak powrócił myślą do perfidii Mariusza i oderwał wzrok od maski. Potem pociągnął palcami za narożniki posadzki świątyni. Głowa Lucjusza Korneliusza Sulli wysunęła się z wnętrza na ruchomej posadzce, gotowa do zdjęcia peruki i odłączenia maski od jej podstawy, którą była gliniana podobizna twarzy Sulli. Odcięta od niszczącego wpływu światła i kurzu, w swym ciemnym i bezpowietrznym świątynnym domku, maska mogła przetrwać wiele pokoleń.

Sulla podniósł ręce do swej głowy i zdjął wieniec z trawy, wkładając go na perukę maski. Nawet w dniu, w którym je zrywano pod Nolą, źdźbła były pożółkłe i zszargane, bo pochodziły z pola bitwy, były zgniatane i deptane. Palce, które splotły je w warkocz, nie były też zręcznymi palcami kwiaciarki. Należały do *primus pilus* centuriona Marka Kanulejusza i nawykły raczej do pokrzywionej *clava* winorośli. Teraz, po siedmiu miesiącach, zasuszony wieniec z trawy składał się z łądyżek, z których wyrastały włoskowate korzonki oraz uschnięte i skurczone źdźbła. „Jesteś jednak mocny, mój piękny wieńcu z trawy”, myślał Sulla, dopasowując go do peruki, aż ozdobił głowę jak należy, odsunięty z czoła niczym kobieca tiara. „Tak, jesteś mocny. Rzymski żołnierz uwił cię z italskiej trawy. Przetrwasz, jak i ja przetrwam. I razem zniszczymy Gajusza Mariusza”.



Senat zebrał się ponownie zwołany przez Sullę drugiego dnia po podjęciu urzędowania przez konsulów. Podczas obchodów Nowego Roku wyznaczono wreszcie nowego pryncypsa senatu. Został nim Lucjusz Waleriusz Flakkus, Mariuszowy „człowiek ze słomy”, młodszy konsul podczas tamtego doniosłego roku, w którym Mariusz był konsulem po raz szósty, doznał swego pierwszego udaru i nie mógł zapobiec szaleństwu Saturnina. Nie była to szczególnie popularna nominacja, tyle było jednak ograniczeń, precedensów i przepisów szczególnych, że jedynie Lucjusz Waleriusz Flakkus odpowiadał wymaganiom - był patrycjuszem, przywódcą grupy senatorów, byłym konsulem, cenzorem i interreksem więcej razy niż jakikolwiek inny senator patrycjusz. Nikt się nie łudził, że wejdzie on zręcznie albo twardo w rolę Marka Emiliusza Skaurusa. Sam Flakkus również.

Zanim zebranie zostało formalnie zwołane, przyszedł do Sulli i zaczął przedstawiać problem Azji Mniejszej, w tak jednak pogmatwany sposób i tak beładnymi zdaniem, że Sulla przerwał mu i doradził poradzenie się wróżby.



Sam był obecnie augurem, przewodniczył więc tym obrzędom wespół z Ahenobarbem pontifexem maximusem. „Oto jeszcze jeden, co nie wygląda dobrze”, pomyślał Sulla z westchnieniem. Senat mocno podupadł.

Od przybycia Sulli do Rzymu na początku grudnia niecały bynajmniej czas wypełniły mu odwiedziny u przyjaciół, sesje u Magiusa z Welabrum, nudne rozmowy z żoną i Gajusz Mariusz. Wiedząc, że zostanie konsulem, spędził większość czasu na rozmowach z tymi spośród rycerzy, których szanował albo uważał za najzdolniejszych, oraz z senatorami, którzy spędzili wojnę w Rzymie (jak nowy pretor miejski Marek Juniusz Brutus) i z takimi ludźmi, jak Lucjusz Dekumiusz, członek klasy czwartej i nadzorca kolegium rozdroży.

Teraz wstał i przystąpił do okazania kurii, że Lucjusz Korneliusz Sulla jest przywódcą, który nie zniesie oporu.

- Pryncepsie senatu, ojcowie spisani, nie jestem oratorem - powiedział, stojąc nieruchomo przed swoim krzesłem kurulnym. - Nie usłyszycie zatem ode mnie żadnych wspaniałych przemówień. Usłyszycie proste stwierdzenie faktów, a potem propozycje środków zaradczych, które zamierzam podjąć. Możecie debatować nad tymi rozwiązaniami - jeśli czujecie, że musicie, ale pozwalam sobie przypomnieć, że wojna nie jest skończona. Nie zamierzam spędzić w Rzymie więcej czasu, niż będę musiał. Ostrzegam, że potraktuję szorstko członków tego dostojnego grona, którzy spróbują mnie powstrzymać z próżności albo dla własnych interesów. Nie czas na błazeństwa w rodzaju tych, którymi raczył nas Lucjusz Marcjusz Filip w dniach poprzedzających śmierć Marka Liwiusza Druzusa. Mam nadzieję, że mnie słuchasz, Lucjuzie Marcjuzie.

- Mam uszy nastawione i szeroko otwarte, Lucjuzie Korneliuszu - wycedził Filip.

Ktoś inny zdecydowałby się pognębić Filipa dobrze dobraną frazą albo dwiema. Lucjusz Korneliusz Sulla zrobił to spojrzeniem. Nawet gdy chichoty umilkły, jego niesamowite blade oczy przebiegały rzędy senatorów, szukając winowajców. Oczekiwanie na wymianę słów zostało zdławione w zarodku, śmiechy urwały się nagle i wszyscy znaleźli ważne powody, by pochylić się i zrobić mądre miny.

- Każdy musi wiedzieć, jak bardzo nadszarpnięte są finanse Rzymu, publiczne i prywatne. Kwestorzy miejscy donieśli mi, że skarbiec jest pusty, a trybunowie skarbu podali mi wysokość zadłużenia Rzymu u różnych instytucji i osób prywatnych w Galii italskiej. Ta suma przekracza trzy tysiące talentów w srebrze i rośnie z każdym dniem z dwóch powodów. Po pierwsze, Rzym nadal musi kupować u tych instytucji i osób prywatnych, po drugie zaś, główne zaległości pozostają nie zapłacone, więc narastają nie spłacone odsetki i nie zawsze stać nas na płacenie zaległych odsetek. Interesy podupadają, wierzyciele nie mogą odebrać od dłużników długów ani odsetek bieżących i



zaległych. A ci, którzy pożyczili pieniądze od kogoś, są w jeszcze gorszym położeniu.

Jego oczy spoczęły z namysłem na Pompejuszu Strabonie, który siedział po prawej stronie pierwszego rzędu nieopodal Gajusza Mariusza, spoglądając na czubek swego nosa. „Oto jest, zdawały się mówić oczy Sulli, człowiek, który powinien poświęcić nieco czasu spędzonego na wojaczce, żeby jakoś zaradzić kryzysowi finansowemu Rzymu, zwłaszcza gdy umarł jego pretor miejski”.

- Wnoszę zatem, żeby ta kuria wystosowała *senatus consultum* do Zgromadzenia Ludowego patrycjuszy i plebejuszy, proponując ustanowienie następującego *lex Cornelia*: wszyscy dłużnicy, obywatele rzymscy czy też nie, zobowiązani są jedynie do płacenia zwykłych odsetek - to znaczy odsetek od podstawowej sumy - w wysokości uzgodnionej przez strony, kiedy zawierano umowę. Zabrania się naliczania karnych odsetek oraz odsetek wyższych niż uzgodnione.

Teraz podniosły się pomruki, zwłaszcza tych, którzy udzielali pożyczek, ale niewidzialne zagrożenie promieniujące od Sulli tłumiło te pomruki. Był niezaprzeczalnie rzymski od samego początku. Miał wolę Gajusza Mariusza. Miał też w sobie coś z Marka Emiliusza Skaurusa. I nikt, nawet Lucjusz Kasjusz, nie pomyślał ani przez chwilę o potraktowaniu go tak jak Aulusa Semproniusza Aseliona. Nie był po prostu kimś, kogo inni zamierzają zabić.

- W wojnie domowej nie ma zwycięzców - mówił Sulla. - Wojna, którą właśnie kończymy, jest wojną domową. Osobiście uważam, że żaden Italczyk nigdy nie będzie Rzymianinem. Sam jestem jednak Rzymianinem na tyle, by uznać ostatecznie wydane prawa czyniące z Italczyków Rzymian. Nie będzie żadnych łupów. Nie będzie kontrybucji płaconych Rzymowi. Nie da się ułożyć warstwy srebrnych sztab, aby przykryć posadzkę świątyni Saturna.

- *Edepol!* Czy on myśli, że to popis krasomówstwa? - rzucił głośnie pytanie Filip.

- *Tace!* - warknął Mariusz.

- Skarbce italskie są tak samo puste jak nasz - ciągnął Sulla, ignorując wymianę zdań za swymi plecami. - Nowi obywatele są tak samo zadłużeni i zubożeni jak prawdziwi Rzymianie. Trzeba zapewnić im jakiś początek. Ogólne umorzenie długów jest nie do pomyślenia. Nie można jednak zadławić dłużników na śmierć. Innymi słowy, uczciwe i sprawiedliwe będzie pogodzenie obydwu stron. Do tego właśnie zmierza moja *lex Cornelia*.

- A co z zadłużeniem Rzymu wobec Galii italskiej? - spytał Mariusz. - Czy *lex Cornelia* załatwia i tę sprawę?

- Jak najbardziej, Gajuszu Mariuszu - odpowiedział uprzejmie Sulla. - Wiemy wszyscy, że Galia italska jest bardzo bogata. Nie dotknęła jej wojna na półwyspie, zarobiła natomiast na tej wojnie ogromne pieniądze. Ten kraj i jego ludzie interesu mogą sobie pozwolić na takie posunięcia jak umorzenie



odsetek. Dzięki Gnejuszowi Pompejuszowi Strabonowi cała Galia italska na południe od Padu jest dziś w pełni rzymska, a główne ośrodki na północ od tej rzeki otrzymały prawa latiońskie. Uważam, że należy traktować Galię italską jak wszystkie inne grupy Rzymian i Latynów.

- Nie będą już tak szczęśliwi z tego powodu, że są klientami Pompejusza Strabona, kiedy usłyszą o *lex Cornelia* w Galii italskiej - szepnął Sulpicjusz do Antystiusza.

Kuria wyraziła jednak aprobatę i wniosek został przyjęty.

- Wprowadzasz dobre prawo, Lucjusz Korneliuszu - powiedział nagle Marek Juniusz Brutus - ale nie sięga ono dość daleko. Co będzie w przypadkach, kiedy nie da się uniknąć procesu, a jedna lub obie strony nie będą miały pieniędzy na złożenie *sponsio* u pretora miejskiego? Chociaż sądy upadłościowe zostały zamknięte, pretor miejski jest władny rozstrzygać spory w uproszczonym trybie, jeżeli sporną sumę złożono na jego ręce. Jeśli jednak nie zostanie wpłacona, pretor ma związane ręce. Nie może przeprowadzić rozprawy ani rozstrzygnąć sporu. Proponuję, żeby w drugiej *lex Cornelia* odstąpić od obowiązku wpłacania *sponsio* w sprawach o długi.

Sulla roześmiał się i klasnął w ręce.

- Takie właśnie rzeczy chciałbym słyszeć, pretorze miejski! Rozsądne rozwiązania kłopotliwych problemów! Proszę bardzo! Ogłośmy prawo uchylające *sponsio* według uznania pretora miejskiego!

- Jeśli już idziesz tak daleko, czemu po prostu nie otworzysz sądów upadłościowych? - spytał Filip. Był stale w długach i ledwie wypłacalny, bał się więc wszelkich nowych praw związanych ze ściąganiem długów.

- Z dwóch powodów, Lucjusz Marcjusz - odpowiedział Sulla, jakby było to pytanie serio, nie zaś ironiczne. - Po pierwsze, nie mamy jeszcze dość wyższych urzędników, by obsadzić sądy, a senat jest zbyt uszczuplony, by znaleźć w nim sędziów specjalnych. Musieliby znać prawo jak pretorzy. Po drugie, upadłość jest procedurą cywilną, a tak zwane sądy upadłościowe są obsadzane przez sędziów specjalnych wyznaczanych według uznania pretora miejskiego. I tu wracamy do pierwszego powodu. Jeśli nie możemy obsadzić sądów karnych, tym bardziej nie ma nadziei na obsadzenie sądów cywilnych.

- Oto zwięzłe ujęcie! Dziękuję, Lucjusz Korneliuszu - powiedział Filip.

- Nie ma za co, Lucjusz Marcjusz, i nie ma o czym mówić.

Debata trwała oczywiście nadal. Sulla nie oczekiwał, że jego zalecenia zostaną przyjęte bez dyskusji. Nawet jednak opozycja senackich lichwiarzy nie była zbyt ostra, bo wszyscy zgadzali się, że odebranie części pieniędzy jest lepsze niż nieodebranie ich wcale, a Sulla nie próbował całkowicie umorzyć odsetek.

- Zarządzam głosowanie - powiedział w końcu Sulla, kiedy uznał, że dość się nagadali, i nie chciał dłużej tracić czasu.



Głosowanie wypadło po jego myśli i bardzo znaczną większością. Kuria przygotowała *senatus consultum* polecające oba nowe prawa Sulli Zgromadzeniu Ludowemu, gdzie konsul mógł przedstawiać swe sprawy osobiście, choć był patrycjuszem.

Pretor Lucjusz Licyniusz Murena, bardziej dotąd znany z hodowli słodkowodnych węgorzy niż z działalności politycznej, zaproponował, by kuria rozważyła odwołanie z wygnania skazanych przez komisję Wariusza.

- Przyznajemy oto obywatelstwo połowie Italii, a tymczasem ludzie skazani za popieranie tej sprawy nadal są pozbawieni swego obywatelstwa! - wołał Murena. - Czas, żeby wrócili do kraju, bo takich właśnie Rzymian nam trzeba!

Publiusz Sulpicjusz zerwał się z ławy trybunów i stanął przed krzesłem konsula.

- Proszę o głos, Lucjuzu Korneliuszu.

- Mów, Publiuszu Sulpicjuzu.

- Byłem dobrym przyjacielem Marka Liwiusza Druzusa, choć nigdy nie zabiegałem o nadanie praw Italii. Ubolewałem nad sposobem, w jaki Kwintus Wariusz prowadził swój sąd, i wszyscy musimy zadawać sobie pytanie, ile z jego ofiar stało się ofiarami, bo nie lubił ich osobiście. Pozostaje jednak faktem, że jego sąd został powołany legalnie i prowadził swe postępowania zgodnie z prawem. Obecnie ten sąd nadal działa, chociaż skazuje za coś całkiem przeciwnego. To jedyny działający sąd. Musimy zatem dojść do wniosku, że jest to legalnie działający organ i że jego wyroki muszą obowiązywać. Oznajmiam więc tej kurii, że jakakolwiek próba odwołania z wygnania, kogokolwiek skazanego przez komisję Wariusza, spotka się z moim weto.

- I z moim - rzekł Publiusz Antystiusz.

- Siadaj, Lucjuzu Licyniuszu Mureno - powiedział cicho Sulla. Murena usiadł zdruzgotany i wkrótce potem kuria zakończyła swe pierwsze zwykłe posiedzenie pod przewodnictwem konsula Sulli. Kiedy Sulla wychodził z sali, podszedł do niego Pompejusz Strabon.

- Parę słów na osobności, Lucjuzu Korneliuszu.

- Oczywiście - rzekł serdecznie Sulla, zdecydowany przedłużyć tę rozmowę. Widział, że Mariusz czai się na niego, nie chciał zaś mieć z nim do czynienia, chociaż nie mógł go zignorować bez dobrej wymówki.

- Kiedy już uregulowałeś finanse Rzymu ku swemu zadowoleniu - zaczął Pompejusz Strabon swym matowym, a jednak groźnym głosem - dojdiesz chyba do ustalenia, kto otrzyma jakie dowództwo.

- Tak, Gnejuszu Pompejuszu, sądzę, że do tego dojdę - odpowiedział swobodnie Sulla. - Chyba zgodnie z prawem powinno to być omawiane wczoraj, kiedy kuria zatwierdzała namiestników prowincji. Wiesz jednak z mojej dzisiejszej wypowiedzi, że patrzę na ten konflikt jak na wojnę domową, wolę więc omawiać sprawę dowództwa na zwykłym zebraniu.



- Tak, rozumiem twój punkt widzenia - powiedział Pompejusz Strabon, nie jak ktoś speszony głupotą swego pytania, ale raczej jak ktoś, kto nie ma pojęcia o protokole.

- W jakiej sprawie? - spytał grzecznie Sulla, notując kątem oka, że Mariusz oddala się w towarzystwie Cezara Młodszeo, który musiał czekać cierpliwie za drzwiami.

- Jeśli liczyć wojska Publiusza Sulpicjusza sprowadzone przed rokiem z Galii i oddziały Sekstusa Juliusza z Afryki, mam w polu dziesięć pełnych legionów. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, Lucjuszu Korneliuszu, bo sam jesteś w podobnym położeniu, że większość tych legionów od roku nie dostaje żołdu.

Sulla wykrzywił usta w ponurym uśmiechu.

- Wiem, o czym mówisz, Gnejuszu Pompejuszu.

- Do pewnego stopnia zmniejszyłem ten debet, Lucjuszu Korneliuszu. Żołnierze dostali wszystko, co mogło im dać Askulum Picenum, od lichych sprzętów do miedziaków. Stroje, kobiece błyskotki, wszystko to lichota, aż do ostatniej lampy Priapa. Ich to jednak uradowało, jak przy innych podobnych okazjach. Zwykłym żołnierzom wystarczy byle co. To jest jeden sposób - urwał, a potem powiedział: - Drugi sposób dotyczy mnie osobiście.

- Doprawdy?

- Cztery z tych dziesięciu legionów należą do mnie. Składają się z ludzi z moich dóbr w Picenum i w Umbrii, samych moich klientów. Nie liczą na nic więcej niż na to, co dostaną ode mnie. Cieszą się z byle czego.

Sulla był żywo zainteresowany.

- Mów dalej!

Pompejusz Strabon potarł podbródek wielką dłonią.

- Ten stan rzeczy całkiem mi odpowiada, choć pewne sprawy ulegną zmianom, bo już nie jestem konsulem.

- Na przykład jakie, Gnejuszu Pompejuszu?

- Po pierwsze, potrzebne mi imperium prokonsularne i potwierdzenie dowództwa na północnym froncie. - Dłoń gładząca podbródek zatoczyła szeroki krąg. - Możesz mieć całą resztę, Lucjuszu Korneliuszu. Nie chcę jej. Chcę mieć tylko swój kąt pięknego rzymskiego świata, Umbrię i Picenum.

- I w zamian za to nie przedstawiś skarbowi rachunków czterech z twoich dziesięciu legionów, a rachunki sześciu innych będą okrojone?

- Dobrze liczysz, Lucjuszu Korneliuszu!

Sulla wyciągnął dłoń.

- Załatwione, Gnejuszu Pompejuszu! Dałbym Umbrię i Picenum Saturninowi, gdyby Rzym nie musiał płacić żołdu dziesięciu legionom.

- Byle nie Saturninowi! Jego rodzina pochodzi wprawdzie z Picenum, ale ja się nimi zajmę lepiej niż on.

- Jestem tego pewien, Gnejuszu Pompejuszu.



Tak więc gdy w kurii podniesiono kwestię rozdzielenia dowództwa w wojnie przeciw Italczykom, Pompejusz Strabon dostał, czego chciał, bez sprzeciwu konsula w wieńcu z trawy. I kogokolwiek innego.

Pompejusz Strabon nie był człowiekiem w rodzaju Sulli - brak mu było subtelności i wyrachowania. Wiedzano jednak, że jest groźny niczym niedźwiedź w jamie i okrutny jak wschodni despota - podobny był zaś do jednego i drugiego. Opowieść o jego wyczynach w Askulum Picentum obiegła Rzym za sprawą osiemnastoletniego *contubernalis*, Marka Tulusza Cyclerona. Opisał je w liście do jednego z dwóch swoich żyjących preceptorów, Kwintusa Mucjusza Scewoli. Ten zaś bynajmniej nie siedział cicho, choć jego gadatliwość brała się raczej z literackiej wartości listu niż z ohydnych i potwornych postępów Pompejusza Strabona.

- Coś nadzwyczajnego! - ocenił list Scewola. - I czego się można było spodziewać po takim rzeźniku? - skomentował jego treść.

Choć Sulla zachował naczelne dowództwo na froncie południowym i środkowym, rzeczywiste dowództwo na froncie południowym przeszło w ręce Metellusa Piusa Prosiaka. Z lekkiej rany Gajusza Koskoniusza wywiązało się zakażenie, co wyłączyło go z czynnej służby. Zastępca Prosiaka, Mamerkus Emiliusz Lepidus Liwianus, pozwolił wybrać się na kwestora. Po śmierci Publiusza Gabiniusza Lukania przeszła pod dowództwo Gnejusza Papiriusza Karbona, co powszechnie uznano za doskonały wybór.

W samym środku tej debaty zmarł pontifex maximus Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus. Oznaczało to zawieszenie postępowań w kurii i w komicjach oraz konieczność znalezienia pieniędzy na uroczysty pogrzeb kogoś, kto w chwili śmierci był znacznie bogatszy niż Rzym. Sulla prowadził wybory jego następcy w nastroju goryczy, bo obejmując kurulne krzesło konsula, przyjął też odpowiedzialność za finansowe problemy Rzymu i złościło go marnowanie pieniędzy na kogoś, kto tego nie potrzebował. Do czasów pontifexa maximusa Ahenobarba nie było też potrzeby ponoszenia kosztów wyborów. To on jako trybun ludowy wprowadził *lex Domitia de sacerdotiis*, prawo zmieniające sposób wyznaczania kapłanów i augurów. Zamiast dobierania ich wewnątrz kolegium, wprowadzone zostały wybory kapłanów. Nowym pontifexem maximusem został Kwintus Mucjusz Scewola, który już był kapłanem, co oznaczało, że kapłaństwo Ahenobarba przejdzie na nowego członka kolegium pontyfików, Kwintusa Cecyliusza Metellusa Piusa Prosiaka. Sulla pomyślał, że przynajmniej to było sprawiedliwe. Po śmierci Metellusa Świnki-Szczecinki jego kapłaństwo dostał w wyniku głosowania młody Gajusz Aureliusz Kotta. Był to doskonały przykład tego, jak wybieralność może zniszczyć rodzinne prawa do urzędów, które zawsze były dziedziczne.

Zakończywszy egzekwie, senat i komicja podjęły działalność. Pompejusz Strabon zażądał - i dostał swych legatów, Poplikolę i Brutusa Damazypa, ale



trzeci legat, Gnejusz Oktawiusz Ruson, oświadczył, że lepiej będzie służyć Rzymowi w samym Rzymie. Wszyscy zrozumieli to jako zapowiedź ubiegania się pod koniec roku o konsulat. Cynna i Kornutus mieli kontynuować działania wojenne na ziemiach Marsów, a Serwiusz Sulpicjusz Galba wojował z Marrucynami, Pelignami i Westynami.

- Całkiem dobrze się dobrali - powiedział Sulla do swego kolegi w konsulacie, Kwintusa Pompejusza Rufusa.

Okazją był obiad rodzinny w domu Pompejusza Rufusa dla uczczenia faktu, że Kornelia Sulla znów była w ciąży. Ta nowina nie napełniła Sulli taką radością, jaką najwyraźniej czuła Elia i wszyscy Pompejuszowie Rufusowie, ale pogodziła go z obowiązkami rodzinnymi. Obejrzał wreszcie swoją wnuczkę, która - według drugiego jej dziadka, a jego towarzysza w konsulacie - była najpiękniejszym dzieckiem, jakie widział świat.

Sulla musiał przyznać, że pięciomiesięczna Pompeja z pewnością była bardzo piękna. Miała mnóstwo ciemnorudych loków, czarne brwi i czarne rzęsy tak długie i grube, że wyglądały jak wachlarze, i ogromne ciemnozielone oczy. Miała kremową cerę, słodko wygięte czerwone usteczka, a gdy się uśmiechała, na różowym policzku pokazywał się dołeczek. Choć Sulla przyznawał, że nie zna się na dzieciach, Pompeja wydała mu się dzieckiem ospałym i głupim, które ożywiało się jedynie na widok jakiegoś złotego świecidełka. „Wróżebny znak!”, pomyślał, śmiejąc się w duchu.

Jego córka była szczęśliwa, to było oczywiste. Sulla cieszył się z tego, bo, chociaż jej nie kochał, lubił ją, kiedy nie robiła niczego, co go irytowało. A czasem dostrzegał w jej twarzy jakieś podobieństwo do jej zmarłego brata, jakiś przelotny wyraz twarzy albo uniesienie oczu, i wtedy przypominał sobie, że jej brat bardzo ją kochał. Jakże niesprawiedliwe jest życie! Czemu to Kornelia Sulla, bezużyteczna dziewczyna, kwitła zdrowiem, a Sulla Młodszy zmarł przedwcześnie? Powinno być odwrotnie. W należycie urządzonym świecie *paterfamilias* powinien mieć prawo wyboru.

Nigdy nie sięgał pamięcią do swoich dwóch germańskich synów, których spłodził, mieszkając wśród Germanów, nie tęsknił za ich widokiem i nie pomyślał, że mogliby mu zastąpić w jakiś sposób ukochanego zmarłego syna Julilli. Nie byli przecież Rzymianami, a ich matką była barbarzyńska kobieta. Po Sulli Młodszym pozostała pustka niemożliwa do zapełnienia. A oto miał przed sobą córkę, którą poświęciłby w okamgnieniu, gdyby przywróciło to życie Sulli Młodszemu.

- Jak miło widzieć, że wszystko tak się dobrze ułożyło - powiedziała Elia, gdy wracali do domu bez towarzystwa służby.

Myśli Sulli wciąż krążyły wokół niesprawiedliwości życia, które zabrało mu syna, pozostawiając niepotrzebną córkę, biedna Elia nie mogła więc trafić gorzej.



Odpowiedział natychmiast głosem pełnym jadu:

- Uważaj się od tej chwili za rozwiedzioną!

Stała oszołomiona ciosem.

- Ach, Lucjusz Korneliuszu, zastanów się, błagam!

- Znajdź sobie inny dom. Nie należysz już do mojego. - I Sulla zawrócił ku Forum, pozostawiając Elię stojącą samotnie na Clivus Victoriae.

Kiedy doszła do siebie na tyle, by zebrać myśli, ona również zawróciła. Poszła z powrotem do domu Kwintusa Pompejusza Rufusa.

- Chciałabym widzieć się z córką - powiedziała odźwiernemu, patrzącemu na nią ze zdumieniem. Dopiero co zamykał drzwi za piękną, rozpromienioną kobietą, a oto znów tu była, z twarzą poszarzałą, jakby była bliska śmierci.

Chciał zaprowadzić ją do pana domu, wołała jednak pójść do saloniku Kornelii Sulli i pomówić z córką na osobności, nie kłopotując nikogo innego.

- O co chodzi, mammo? - spytała wesoło Kornelia Sulla, wchodząc. Zatrzymała się na widok twarzy matki i spytała ponownie, całkiem innym tonem: - Co się stało, mammo? Co się stało?

- Rozwodzi się ze mną - powiedziała stłumionym głosem Elia. - Powiedział mi, że nie należę już do jego domu, więc nie ośmielam się tam iść.

- Mammo! Dlaczego? Kiedy? Gdzie?

- Przed chwilą, na ulicy.

Kornelia Sulla usiadła bezwładnie obok macochy, jedynej matki, jaką знаła, poza mglistymi wspomnieniami jakiejś szczupłej zgorzkniałej kobiety, mniej myślącej o dzieciach niż o winie. Były oczywiście dwa lata z babcią Marcją, ale babcia Marcja nie chciała być znowu matką, rządziła więc pokojem dziecinnym szorstko i bez miłości. Kiedy zamieszkała z nimi Elia, zarówno Sulla Młodszy, jak i Kornelia Sulla uznali ją za absolutnie cudowną i pokochali jak matkę.

Ujmując chłodną rękę Elii, Kornelia patrzyła w wir myśli swego ojca, w te przeraźliwe i oszałamiająco szybkie zmiany nastroju, w gwałtowność wybuchającą niczym lawa z wulkanu, w chłód nie dający nadziei ani pokrzepienia sercu.

- Ach, to prawdziwy potwór! - wycedziła przez zęby.

- Nie - powiedziała ze znużeniem Elia. - To tylko człowiek, który nigdy nie był szczęśliwy. Nie wie, kim jest, i nie wie, czego chce. A może wie, ale nie śmie być tym kimś i pragnąć tego czegoś. Zawsze wiedziałam, że w końcu rozwiedzie się ze mną. Myślałam jednak, że jakoś mnie o tym uprzedzi, że zacznie się inaczej zachowywać, że da mi jakiś znak! Wiesz, on przestał o mnie myśleć, zanim pomyślał o czymkolwiek innym. Mijały lata, zaczęłam więc mieć nadzieję... mniejsza z tym. Jeśli wziąć wszystko pod uwagę, trwało to dłużej, niż się spodziewałam.

- Płacz, mammo! Poczujesz się lepiej.

Elia zaśmiała się niewesoło.



- Ach, nie. Dość się napłakałam, kiedy umarł nasz chłopiec. On także wtedy umarł.

- On ci nic nie da, mamó. Znam go! To skąpiec. Nie da ci niczego.

- Tak, wiem o tym.

- Masz jednak swój posąg.

- Dawno mu go oddałam.

Kornelia Sulla wyprostowała się z godnością.

- Zamieszkaż u mnie, mamó. Nie opuszczę cię. Kwintus Pompejusz to zrozumie.

- Nie, Kornelio. Dwie kobiety w jednym domu to za wiele, a ty już masz tę drugą w osobie teściowej. Jest bardzo miła, kocha cię, ale nie będzie ci wdzięczna za sprowadzenie trzeciej.

- Ale co będzie z tobą?

- Zostanę dziś na noc w twoim saloniku, a jutro pomyślę, co dalej - powiedziała spokojnie Elia. - Nie mów nic, proszę, teściowi. To dla niego bardzo niezręczna sytuacja. Powiedz mężowi, jeśli musisz. Powinam zawiadomić Lucjusza Korneliusza, gdzie jestem. Czy ktoś mógłby zanieść list?

- Oczywiście, mamó.

Gdyby była córką kogo innego, dodałaby, że rano ojciec na pewno zmieni zdanie, ale córka Sulli dobrze znała swego ojca.

O świcie przyszła odpowiedź Sulli. Elia złamała pieczęć pewną dłonią.

- Co pisze? - spytała niecierpliwie Kornelia.

- Rozwodzę się z tobą, ponieważ jesteś bezpłodna.

- Ach, mamó, jakie to podłe! Przecież ożenił się z tobą właśnie dlatego!

- Jest jednak bardzo przebiegły - powiedziała Elia z nutą podziwu w głosie. - Skoro rozwodzi się ze mną z tego powodu, nie mogę odwołać się do prawa. Nie mogę odzyskać posagu. Nie mogę żądać pensji. Byłam jego żoną przez dwanaście lat. Kiedy wychodziłam za niego, byłam w wieku do rodzenia dzieci. Nie miałam jednak dzieci z moim pierwszym mężem i nie miałam dzieci z nim. Żaden sąd nie przyzna mi racji.

- Więc musisz zamieszkać u mnie - powiedziała z determinacją Kornelia. - Wczorajem powiedziałam Kwintusowi Pompejuszowi, co się stało. On myśli, że wszystko się ułoży, jeżeli u nas zamieszkaż. Mogłoby się nie udać, gdybyś nie była tak miła. Uda się jednak, wiem o tym!

- Cóż innego mógłby powiedzieć twój biedny mąż? - uśmiechnęła się Elia. - Albo jego biedny ojciec, kiedy się dowie? Obaj są przecież porządnymi ludźmi. Mam inny pomysł, Kornelio, i to o wiele lepszy.

- Mamó! Nie...

Elia zdołała się roześmiać.

- Nie, nie, oczywiście nie zrobiłabym tego, Kornelio! To by cię dręczyło do końca życia! Za bardzo pragnę dla ciebie wspaniałego życia, moja najdroższa. -



Wyprostowała się ze zdecydowaną miną. - Udam się do twojej babki Marcji do Kyme.

- Do babki? Ach, nie, ona jest taka przykra!

- Nonsens! Zeszłego lata spędziłam u niej trzy miesiące i był to najmilej spędzony czas. Ostatnio często do mnie pisze, głównie dlatego, że czuje się samotną, Kornelio. Ma sześćdziesiąt siedem lat i boi się, że zostanie całkiem opuszczona. To straszna rzecz umierać, nie mając przy sobie nikogo prócz niewolników. Sekstus Juliusz nieczęsto ją odwiedzał, a jednak bardzo odczuła jego śmierć. Gajusz Juliusz nie widział się z nią chyba od czterech czy pięciu lat, a ona nie żyje dobrze z Aurelią ani Klaudią. Ani ze swoimi wnukami.

- O to mi właśnie chodzi, mamó. Ona jest taka kapryśna i tak trudno ją zadowolić. Wiem coś o tym! Zajmowała się nami, zanim ty się zjawiłaś.

- Prawdę mówiąc, bardzo dobrze się z nią rozumiem. Zawsze tak było. Byłyśmy przyjaciółkami, zanim wyszłam za twego ojca. To właśnie ona poleciła mnie twemu ojcu jako odpowiednią żonę. Jest mi więc coś winna. Jeśli przyjadę, by z nią zamieszkać, będę mile widziana, będę pożyteczna i nie będę miała wobec niej żadnych zobowiązań. Po tym wstrząsie, który przeszłam, spodoba mi się chyba takie życie i jej towarzystwo - oświadczyła zdecydowanie Elia.

To znakomite rozwiązanie wytrąsnięte z pustego na pozór worka zostało przyjęte ze szczerą wdzięcznością przez konsula Pompejusza Rufusa i jego rodzinę. Chociaż nikt z członków tej rodziny nie odmówiłby Elii dachu nad głową na stałe, teraz mogli z prawdziwą przyjemnością zaproponować jej pobyt na jakiś czas.

- Nie rozumiem Lucjusza Korneliusza! - mówił następnego dnia do Elii konsul Pompejusz Rufus. - Kiedy go zobaczyłem, próbowałem poruszyć sprawę tego rozwodu, choćby tylko dla wyjaśnienia, czemu mam ci udzielać schronienia. A on... on napadł na mnie z takim wyrazem twarzy! Zaniemówiłem! Powiadam ci, zapomniałem, co miałem powiedzieć. To straszne! Myślałem, że go znam. Kłopot w tym, że muszę zgadzać się z nim dla dobra konsulatu. Obiecaliśmy wyborcom, że będziemy ściśle współpracować, i nie mogę się z tego wycofać.

- Oczywiście, że nie możesz - przytaknęła Elia. - Kwintusie Pompejuszu, nigdy nie miałam zamiaru nastawiać cię przeciw Lucjuszowi Korneliuszowi! Małżeństwo to sprawa bardzo osobista i jego rozpad, bez wyraźnej przyczyny, musi wydawać się patrzącym z boku czymś nie wyjaśnionym. Zawsze są jednak jakieś powody i zwykle są wystarczające. Kto wie? Może Lucjusz Korneliusz naprawdę chce mieć jeszcze dzieci? Jego jedyny syn nie żyje, nie ma więc dziedzica. Nie ma też pieniędzy, mogę więc zrozumieć sprawę posagu. Dam sobie radę. Jeśli możesz wysłać z moim listem do Kyme kogoś, kto poczeka na odpowiedź Marcji, dowiemy się wkrótce, na co mogę liczyć.



Kwintus Pompejusz patrzył w ziemię z twarzą czerwiejszą niż jego włosy.  
- Lucjusz Korneliusz odesłał twoje stroje i rzeczy, Elio. Bardzo mi przykro.  
- No cóż, to dobra wiadomość! - Elia zachowała spokój. - Już myślałam, że je wyrzuci.

- Cały Rzym o tym mówi.

Spojrzała mu w oczy.

- O czym?

- O tym rozwodzie. O jego okrucieństwie. To nie będzie dobrze przyjęte. - Kwintus Pompejusz odchrząknął. - Jesteś jedną z najbardziej lubianych i szanowanych kobiet w Rzymie. Ta historia jest już powszechnie znana i to, że zostałaś bez pieniędzy. Dziś rano wygwizdano go na Forum.

- Biedny Lucjusz Korneliusz! - powiedziała ze smutkiem. - To go musiało zboleć.

- Jeśli tak, nie okazał tego. Poszedł dalej, jakby nic się nie stało. - Kwintus Pompejusz westchnął i pokręcił głową. - Dlaczego, Elio? Po tylu latach to nie ma sensu! Jeśli chciał mieć kolejnego syna, czemu nie rozwiódł się po śmierci Sulli Młodszeo? To już trzy lata temu.



Odpowiedź na pytanie Pompejusza Rufusa dotarła do uszu Elii, zanim dostała list Marcji zapraszający ją do Kyme.

Tym razem to młody Kwintus Pompejusz przyniósł do domu nowinę. Brakowało mu tchu i ledwie mówił.

- Co się stało? - spytała Elia, gdy Kornelia nie zabierała głosu.

- Lucjusz... Korneliusz! Ożenił się... z wdową po Skaurusie!

Kornelia Sulla nie wydawała się zdziwiona.

- Będzie więc mógł zwrócić ci posag, mamó - powiedziała z zaciśniętymi ustami. - Ona jest bogata jak Krezus.

Młody Pompejusz Rufus przyjął kubek wody, wypił i zaczął mówić bardziej składnie.

- To się stało dziś rano. Nikt o tym nie wiedział oprócz Kwintusa Metellusa Piusa i Mamerka Lepidusa Liwiana. Oni musieli chyba wiedzieć wcześniej! Kwintus Metellus Pius jest jej stryjecznym bratem, a Mamerkus Lepidus Liwianus jest wykonawcą testamentu Marka Emiliusza Skaurusa.

- Jak ona ma na imię? Nie mogę sobie przypomnieć! - powiedziała ze zdziwieniem Elia.

- Cecylia Metella Dalmatyńska. Podobno wszyscy mówią o niej Dalmatyka. Mówią, że przed kilku laty - niedługo po śmierci Saturnina - była tak bardzo zakochana w Lucjuszu Korneliuszu, że ośmieszyła siebie i Marka Emiliusza Skaurusa. Mówią, że Lucjusz Korneliusz nie chciał na nią patrzeć. Potem mąż zamknął ją w domu i od tej pory nikt jej nie oglądał.

- O tak, pamiętam to bardzo dobrze. Nie mogłam sobie tylko przypomnieć jej



imienia. Nie, żeby Lucjusz Korneliusz rozmawiał ze mną o tym. Dopóki jednak Marek Emiliusz Skaurus nie zamknął jej, nie pozwalano mi wychodzić, jeśli Lucjusz Korneliusz był w domu. Bardzo się starał, żeby Marek Emiliusz nie dopatrzył się czegoś niewłaściwego w jego postępowaniu. - Elia westchnęła. - Nic to nie dało, bo Marek Emiliusz Skaurus i tak dopilnował, żeby przegrał wybory na pretora.

- Nie będzie miała pociechy z mego ojca - powiedziała ponuro Kornelia Sulla.  
- Żadna kobieta nie miała z niego pociechy.

- Nie mów takich rzeczy, Kornelio!  
- Ach, mam, nie jestem już dzieckiem! Sama mam dziecko! Znam go lepiej niż ty, bo nie kocham go tak jak ty! Jestem z jego krwi i czasem ta myśl sprawia, że się boję! Mój ojciec to potwór. A kobiety wydobywają z niego to, co w nim najgorsze. Moja prawdziwa matka popełniła samobójstwo. I nikt mnie nie przekona, że mój ojciec nie zrobił czegoś, co ją do tego popchnęło!

- Nigdy się tego nie dowiesz, Kornelio, więc nie myśl o tym - rzekł surowo Kwintus Pompejusz.

- Jakie to dziwne! - powiedziała Elia. - Gdybyście mnie spytali wcześniej, z kim mógłby się ożenić, powiedziałabym, że z Aurelią!

Kornelia Sulla skinęła głową.

- Ja też. Byli zawsze z sobą tak blisko jak dwie harpie na jakiejś skale. Inne upierzenie, ale te same ptaki. - Wzruszyła ramionami i dodała: - Potwory, a nie ptaki, oni oboje.

- Chyba nigdy nie spotkałam Cecylii Metelli Dalmatyńskiej. - Elia starała się odciągnąć Kornelię od niebezpiecznych stwierdzeń. - Nawet wtedy, kiedy chodziła za moim mężem.

- Już nie twoim mężem, mam! Jej mężem.

- Mało kto ją zna. - Młody Pompejus Rufus także starał się uspokoić Kornelię.  
- Marek Skaurus trzymał ją w całkowitym odosobnieniu po tej jednej niewinnej niedyskrecji. Ma dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, ale ich też nikt nie widział. Ani jej. A po śmierci Marka Skaurusa stała się całkiem niewidoczna. Dlatego całe miasto huczy. - Wyciągnął kubek, prosząc o wodę. - Dziś skończyła się jej żałoba. To jeszcze jeden powód, dla którego Rzym huczy od plotek.

- Musi ją bardzo kochać - powiedziała Elia.

- Nonsens! - oświadczyła Kornelia Sulla. - On nikogo nie kocha.



Po wybuchu gniewu, podczas którego pozostawił Elię samotną na Clivus Victoriae, w ciągu następnych godzin Sullę ogarnęło czarne przygnębienie. Poszedł nazajutrz rano do domu Metellusa Piusa po części po to, by obrócić nóż w ciężkiej ranie, którą zadał nazbyt miłej i nazbyt nudnej Elii. Jego zainteresowanie wdową po Skaurusie było stare i chłodne jak jego nastrój,



pragnął jedynie sprawić Elii ból. Rozwód nie wystarczał. Musiał znaleźć inny sposób obrócenia noża w ranie. A cóż mogło być lepszego niż natychmiastowe poślubienie innej, jakby to właśnie był powód rozwodu? „Te kobiety, myślał, idąc do domu Metellusa Piusa, przyprawiały mnie o szaleństwo od najmłodszych lat. Odkąd przestałem sprzedawać się mężczyznom, bo uznałem głupio kobiety za łatwiejsze ofiary. To ja stałem się ofiarą. Ich ofiarą. Zabiłem Nikopolis i Klitumnę. A Julilla zabiła się sama, za co niech będą dzięki wszystkim bogom. Zabicie Elii było jednak zbyt niebezpieczne. A rozwód to za mało. Spodziewała się tego od lat”.

Zastał Prosiaka pochłoniętego rozmową ze swoim kwestorem Mamerkiem Emiliuszem Lepidusem Liwianem. Cóż za szczęśliwy traf, że zastał ich obu razem. Czyż jednak nie był ulubieńcem Fortuny?

To, że zastał ich razem, było zupełnie zrozumiałe, ale Sulla pogrążony w ponurym nastroju roztaczał wokół siebie tak złowrogą aurę, że obaj pozdrowili go nerwowo, jakby byli parą przyłapaną na miłosnej schadzce. Jako dobrzy oficerowie usiedli, kiedy usiadł ich dowódca, a potem patrzyli na niego, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Zapomnieliście języka w gębie? - spytał Sulla.

Metellus Pius poderwał się.

- Nie, Lucjuszu Korneliuszu! Przepraszam, ale byłem myślami daleko.

- Ty też, Mamerku?

Ale Mamerkus, powolny, solidny i godzien zaufania, zdobył się na uśmiech.

- Prawdę mówiąc, tak.

- Nadam więc waszym myślom całkiem nowy kierunek - rzekł Sulla ze złowieszczym uśmiechem. Nie mówili nic. Czekali. - Chcę się ożenić z Cecylią Metellą Dalmatyńską.

- Na Jowisza! - kwiknął Metellus Pius.

- Niezbyt to oryginalne, Prosiaku. - Sulla wstał, podszedł do drzwi pracowni Metellusa Piusa i obejrzał się, unosząc brew. - Chcę ją poślubić jutro - powiedział. - Proszę więc was o zastanowienie się i odpowiedź dziś w porze obiadu. Chcę mieć syna, zatem rozwiodłem się z żoną z powodu jej bezpłodności. Nie chcę jednak zastępować jej jakąś młodą głupią dziewczyną. Za stary jestem na błazeństwa z nastolatkami. Chcę dojrzałej kobiety, która już udowodniła, że jest płodna, mając dwójkę dzieci, w tym chłopca. Pomyślałem o Dalmatyce, bo chyba - albo przynajmniej tak mi się wydawało kiedyś - ma dla mnie trochę uczucia.

I odszedł, zostawiając Metellusa Piusa i Mamerka patrzących na siebie z głupimi minami.

- Na Jowisza! - powiedział znów Metellus Pius drżącym głosem.

- To z pewnością niespodzianka! - Mamerkus był mniej zdziwiony, bo nie znał Sulli ani w setnej części tak dobrze jak Prosiak.



Prosiak kręcił głową, nie mogąc się nadziwić.

- Dlaczego ona? Nie myślałem o niej wcale przez całe lata, chyba tylko wtedy, kiedy zmarł Marek Emiliusz. Może sobie być moją stryjeczną siostrą, ale po tamtej historii z Lucjuszem Korneliuszem - to było coś niezwykłego! - zamknięto ją w domu lepiej niż w celi w Lautumiach. - Spojrzał na Mamerka. - Jako wykonawca testamentu musiałeś ją chyba ostatnio widywać.

- Żeby odpowiedzieć na pierwsze pytanie: dlaczego ona?, myślę, że jej pieniądze nie są bez znaczenia - odrzekł Mamerkus. - Widywałem ją po śmierci Marka Emiliusza, choć nie tak często jak powinienem. Byłem już na wojnie, kiedy umarł, a potem odwiedzałem ją, bo musiałem wrócić, żeby uporządkować jego sprawy. Jeśli chcesz wiedzieć, zbytnio go nie żałowała. Była zajęta dziećmi. To zupełnie zrozumiałe. Jaka była między nimi różnica wieku? Czterdzieści lat?

- Pamiętam, że było mi jej żal, kiedy się z nią żenił. Miała wyjść za jego syna, ale ten popełnił samobójstwo. Mój ojciec wydał ją zamiast niego za Marka Emiliusza.

- Zdziwiła mnie jej lękliwość - powiedział Mamerkus. - Albo jest nieśmiała, albo straciła pewność siebie. Bała się wychodzić z domu, chociaż mogła. Nie ma w ogóle przyjaciół.

- Skąd miałyby wziąć przyjaciół? Mówiłem całkiem serio, że Marek Emiliusz ją uwięził.

- Po jego śmierci - mówił Mamerkus z namysłem - została oczywiście sama w jego domu, jeśli nie liczyć dzieci i raczej niewielkiej grupy niewolników jak na tak duży dom. Kiedy jednak zaproponowałem, by jakaś ciotka czy kuzynka zamieszkała u niej w charakterze przyzwoitki, wytrąciło ją to z równowagi. Nie chciała słyszeć o niczym podobnym. W końcu musiałem poszukać jakiegoś rzymskiego małżeństwa z dobrej rodziny i o nienagannej reputacji, by zamieszkało z nią. Mówiła, że rozumie konieczność przestrzegania konwencji, zwłaszcza biorąc pod uwagę tamtą dawną niedyskrecję, ale że woli mieszkać z obcymi ludźmi niż z krewnymi. Czy to nie patetyczne, Kwintusie Cecyliuszu? Ileż to lat miała w czasie tamtej dawnej niedyskrecji? Dziewiętnaście? I była żoną sześćdziesięciolatka!

Prosiak wzruszył ramionami.

- To kwestia szczęścia, Mamerku. Weź choćby mnie. Ożeniłem się z młodszą córką Krassusa Oratora, którego starsza córka ma już trzech synów. Tymczasem moja Licynia wciąż jest bezdzietna - i nie z braku chęci, możesz mi wierzyć! Chyba poprosimy o jednego z jej siostrzeńców do adopcji.

Mamerkus zmarszczył czoło, jakby nagle wpadł na pomysł.

- Powinieneś sam zrobić to, co chce zrobić Lucjusz Korneliusz! Rozwiedź się z Licynią Młodszą z powodu jej bezpłodności i ożeń się z Dalmatyką.

- Nie, Mamerku, nie mógłbym tego zrobić. Bardzo mi zależy na mojej żonie -



powiedział grubym głosem Prosiak.

- Musimy więc pomyśleć poważnie o propozycji Lucjusza Korneliusza.

- Zdecydowanie tak. On nie jest bogaty, ale ma coś lepszego. Jest wielkim człowiekiem. Moja stryjeczna siostra Dalmatyka była żoną wielkiego człowieka, więc już do tego przywykła. Lucjusz Korneliusz zajdzie daleko, Mamerku. Nie wiem, dlaczego jestem o tym przekonany, bo nie widzę sposobu, żeby zaszedł jeszcze dalej. Wiem jednak, że tak będzie! On nie jest Mariuszem. Nie jest też Skaurusem. Wierzę jednak, że przesłoni ich obu.

Mamerkus wstał.

- Chodźmy więc lepiej i spytajmy, co ma do powiedzenia Dalmatyka. Nie jest jednak możliwe, by ślub odbył się jutro.

- Dlaczego nie? Chyba już nie jest w żałobie?

- Nie. O dziwo, jej żałoba kończy się dziś. I dlatego byłoby podejrzane, gdyby jutro wzięła ślub. Co innego za parę tygodni.

- Nie, to musi być jutro - oświadczył stanowczo Metellus Pius. - Nie znasz Lucjusza Korneliusza tak jak ja. Nie ma człowieka, którego bym wyżej cenił i bardziej szanował. Nie można jednak kwestionować jego słów, Mamerku! Jeśli zgadzamy się na ich ślub, niech to będzie jutro.

- Właśnie sobie coś przypomniałem, Kwintusie Cecyliuszu. Ostatnim razem, kiedy widziałem Dalmatykę - przed dwoma albo trzema tygodniami - pytała mnie o Lucjusza Korneliusza. Nigdy jednak nie pytała o nikogo innego, nawet o ciebie, najbliższego krewnego.

- No cóż, kochała się w nim, mając dziewiętnaście lat. Może wciąż go jeszcze kocha. Kobiety robią różne dziwne rzeczy - powiedział Prosiak tonem człowieka doświadczonego.

Kiedy przybyli razem do domu Marka Emiliusza Skaurusa i spotkali się z Cecylią Metellą Dalmatyńską, Metellus Pius zrozumiał, co miał na myśli Mamerkus, opisując ją jako lękliwą. To mysz, zdecydował. Bardzo atrakcyjna jednak i miła mysz. Nie przyszło mu do głowy zastanawiać się, jak by się czuł, gdyby w wieku lat siedemnastu został ożeniony z kobietą prawie sześćdziesięcioletnią. Kobiety robią, co im się każe, a sześćdziesięcioletni mężczyzna ma w każdym przypadku więcej do zaoferowania niż kobieta czterdziestopięcioletnia. Zaczął mówić, zgodnie z ustaleniem, że to on, jej najbliższy krewny, pełni rolę *paterfamilias*.

- Cecylio, złożono nam dziś dotyczącą ciebie propozycję małżeństwa. Usilnie zalecamy, żebyś ją przyjął, chociaż masz prawo ją odrzucić. - Metellus Pius był bardzo formalny. - Jesteś wdową po pryncepsie senatu i matką jego dzieci. Sądzymy jednak, że nie możesz liczyć na lepszą propozycję.

- Kto złożył tę propozycję, Kwintusie Cecyliuszu? - spytała bardzo cicho Dalmatyka.

- Konsul Lucjusz Korneliusz Sulla.



Na jej twarzy odmalował się wyraz nie dowierzającej radości. Szare oczy zalśniły srebrem, prawie klasnęła w uniesione dłonie.

- Zgadzam się! - szepnęła bez tchu.

Obaj mężczyźni zamrugali, przygotowani na długie namawianie Dalmatyki przed uzyskaniem jej zgody.

- On chce poślubić cię jutro - powiedział Mamerkus.

- Choćby dziś, gdyby chciał!

Co mogli powiedzieć? Co tu było do powiedzenia?

Mamerkus spróbował.

- Jesteś bogata, Cecylio Dalmatyńska. Nie ustaliliśmy niczego z Lucjuszem Korneliuszem i nie rozmawialiśmy o posagu. On wie, że jesteś bogata, i chyba to mu wystarcza. Powiedział, że rozwiódł się z żoną z powodu jej bezpłodności i że nie chce żenić się z jakąś młodą dziewczyną, ale woli dojrzałą kobietę, mogącą jeszcze mieć dzieci - i najchętniej taką, która już ma dzieci na potwierdzenie swej płodności. - To niezręczne wyjaśnienie ujęło trochę blasku z jej twarzy, skinęła jednak głową ze zrozumieniem, nic nie mówiąc.

Mamerkus brnął dalej w gąszcz spraw finansowych.

- Nie możesz oczywiście nadal tu mieszkać. Ten dom jest teraz własnością twego nieletniego syna, musi więc pozostać pod moim nadzorem. Powinnaś spytać swoich „opiekunów”, czy zgodzą się mieszkać tu aż do pełnoletności twego syna. Mogą z nimi pozostać ci niewolnicy, których nie zechcesz zabrać ze sobą. Dom Lucjusza Korneliusza jest jednak bardzo mały w porównaniu z tym domem. Chyba wyda ci się *claustra*.

- Mnie się ten wydaje *claustra* - odparła Dalmatyka z nutą - czyżby ironii?

- Nowy początek powinien oznaczać nowy dom. - Metellus Pius przejął inicjatywę. - Jeśli Lucjusz Korneliusz się zgodzi, umowa może obejmować jakiś *domus* tej wielkości w lokalizacji odpowiedniej dla ludzi o waszej pozycji. Twój posag składa się z pieniędzy pozostawionych ci przez twego ojca, a mego stryja, Dalmatyńskiego. Masz także wielką sumę po Marku Emiliuszu, która nie może formalnie stanowić części posagu. Dla twego bezpieczeństwa jednak Mamerkus i ja dopilnujemy, by pozostała twoją własnością. Nie byłoby rozsądne dawać Lucjuszowi Korneliuszowi dostępu do twoich pieniędzy.

- Jak sobie życzycie - odrzekła Dalmatyka.

- Przyjmując więc, że Lucjusz Korneliusz się zgodzi, można zawrzeć ślub tutaj, jutro o szóstej godzinie dnia. Dopóki nie znajdziemy nowego domu, zamieszkasz z Lucjuszem Korneliuszem u niego - powiedział Mamerkus.

Lucjusz Korneliusz zgodził się z twarzą bez wyrazu na wszystkie warunki, poślubił więc Cecylię Metellę Dalmatyńską o szóstej godzinie następnego dnia. Ceremonię poprowadził Metellus Pius, a Mamerkus był świadkiem. Obyło się bez zwykłej parady. Po zakończeniu krótkiej ceremonii - nie było to *confarreatio* - małżonkowie poszli do domu Sulli w towarzystwie dwojga dzieci



pani młodej, Metellusa Piusa, Mamerka i trojga niewolników, których pani chciała zabrać ze sobą.

Kiedy Sulla uniósł ją w ramionach, by przenieść przez próg, zostało to zrobione z taką łatwością i wprawą, że zeszywniała z wrażenia. Mamerkus i Metellus Pius weszli, żeby wypić puchar wina, ale wyszli tak szybko, że nowy rządca Chryzogonus, pokazujący dzieciom i ich wychowawcy pokoje, nie wrócił jeszcze, a dwie niewolnice stały zagubione w kącie perystylu.

Państwo młodzi pozostali w atrium sami.

- No cóż, żono - powiedział Sulla. - Wyszłaś za kolejnego starca i niewątpliwie zostaniesz po raz drugi wdową.

To oświadczenie wydało się Dalmatyce tak przerażające, że na chwilę zabrakło jej słów.

- Ty nie jesteś stary, Lucjusz Korneliuszu!

- Pięćdziesiąt dwa to niemało w porównaniu z niecałą trzydziestką.

- W porównaniu z Markiem Emiliuszem jesteś młodym człowiekiem!

Sulla zadarł głowę i roześmiał się.

- Jest tylko jedno miejsce, gdzie można to udowodnić - powiedział i znów uniósł ją w ramionach. - Nie zjesz dziś wieczerzy, żono! Czas do łóżka.

- Ale dzieci! To dla nich nowy dom!

- Kupiłem wczoraj nowego rządcę po rozwodzie z Elią. Chryzogonus jest bardzo sprawny. To Grek i najgorszy rodzaj słuźalca, ale tacy są najlepszymi rządcami, kiedy wiedzą, że pan zna ich sztuczki i może ich obedrzeć ze skóry. - Sulla uniósł górną wargę. - Chryzogonus zajmie się dziećmi wprost cudownie. Musi się zasłużyć.



Kiedy Sulla położył swą nową żonę na łóżku, przekonał się natychmiast, jak wyglądało jej małżeństwo ze Skaurusem. Umknęła z łóżka, otworzyła przysłaną wcześniej skrzynię i wyjęła lnianą koszulę nocną. Sulla patrzył zafascynowany, jak odwraca się do niego plecami i rozpina swą piękną kremową wełnianą suknię, przytrzymując ją pod pachami. Udało jej się włożyć przez głowę koszulę i opuścić ją, zanim pozbyła się sukni. Tym sposobem w jednej chwili była ubrana na dzień, a już w następnej na noc. Ani przez chwilę nie widział jej ciała!

- Zdejmij z siebie tę okropność - powiedział zza jej pleców.

Obróciła się szybko i z wrażenia zabrakło jej tchu. Sulla był nagi.

Skórę miał śnieżnobiałą, a kolor włosów na piersi i brzuchu odpowiadał barwie jego czupryny. Był mężczyzną bez obwisłego brzucha i bez żadnych zmarszczek starości na zwartym i muskularnym ciele.

Skaurusowi potrzeba było godzinnego gmerania pod jej szatą, szczypania brodawek jej piersi i dotykania jej między nogami, zanim cokolwiek zaczynało się dziać z jego penisem - jedynym męskim członkiem, jaki znała, chociaż



właściwie nigdy go nie widziała. Skaurus był Rzymianinem starej daty, utrzymywał więc swą aktywność seksualną na takim poziomie skromności, jaki odpowiadał jego zdaniem żonie. Nie mogła wiedzieć, że był całkiem inny, kiedy zadawał się z kobietami mniej skromnymi niż jego żona.

Oto był jednak Sulla, taki sam szlachetnie urodzony arystokrata jak jej zmarły mąż, bezwstydnie ukazujący się jej oczom, z penisem tak wielkim i uniesionym jak ten na brązowym posągu Priapa w pracowni Skaurusa. Szczegóły męskiej i kobiecej anatomii nie były jej obce, były bowiem wszechobecne w każdym domu: genitalia na hermach, lampach, podstawach stołów, a nawet na malowidłach ściennych. Nie miało to jednak na pozór nic wspólnego z życiem małżeńskim. Były to po prostu części umeblowania. Życie małżeńskie to był mąż, który nigdy nie pokazywał się jej i który mimo spółdzenia dwojga dzieci był, o ile wiedziała, zbudowany całkiem inaczej niż Priap, rzeźby na meblach i postaci z malowideł.

Kiedy po raz pierwszy spotkała Sullę na tamtym przyjęciu przed laty, była nim wprost zauroczona. Nigdy przedtem nie widziała mężczyzny tak pięknego, tak twardego i silnego, a jednak tak... tak... kobiecego? To, co czuła do niego wtedy (i kiedy potem chodziła za nim po Rzymie przed wyborami pretorów), nie miało związku z ciałem, była już bowiem kobietą zameżną, znającą tajniki ciała i odrzucała je jako najmniej ważny i najmniej pociągający aspekt miłości. Zapaliła się do Sulli niczym uczennica - było w tym coś z wiatru i powietrza, nie zaś z ognia i wody. Spoza kolumn i zasłon cieszyła oczy jego widokiem, marzyła o pocałunkach, nie o jego penisie, tęskniła za nim w najbardziej romantyczny sposób. Pragnęła zdobyć jego serce, wziąć go w niewolę. Marzyła o swym słodkim zwycięstwie nad klęczącym u jej stóp i błagającym o jej miłość.

Jej mąż w końcu położył temu kres i wszystko w jej życiu się zmieniło. Ale nie miłość do Sulli.

- Ośmieszasz się, Cecylio Metello Dalmatyńska - mówił do niej Skaurus spokojnym, chłodnym głosem. - Co gorsza, ośmieszasz mnie. Całe miasto śmieje się ze mnie, Pierwszego w Rzymie. To się musi skończyć. Włóczysz się i wzdychasz w najgłupszy sposób za człowiekiem, który nie dostrzega cię i nie zachęca, który nie chce twoich zalotów i którego musiałem ukarać, żeby uratować swoją reputację. Gdybyś nie sprawiła kłopotu jemu i mnie, zostałby pretorem - jak na to zasługuje. Zniszczyłaś zatem życie dwóch ludzi - swego męża i tamtego niewinnego. Nie nazywam niewinnym siebie, bo pozwoliłem, żeby ta upokarzająca sprawa trwała tak długo. Miałem jednak nadzieję, że sama zrozumiesz swój błąd i że okażesz się mimo wszystko godną żoną pryncypsa senatu. Czas jednak pokazał, że jesteś beznadziejnie głupia. A na beznadziejną głupotę jest tylko jeden sposób. Nie wyjdiesz więcej z tego domu pod żadnym pozorem, ani na pogrzeb, ani na ślub, ani do przyjaciółek,



ani na zakupy. Nie będzie też odwiedzin przyjaciółek, bo nie mogą wierzyć w twą roztropność. Muszę powiedzieć, że jesteś głupia i pusta, że jesteś nieodpowiednią żoną dla człowieka o mojej *auctoritas* i *dignitas*. Możesz odejść.

Oczywiście ta dezaprobata nie przeszkadzała Skaurusowi w korzystaniu z ciała żony, był jednak stary i nadal się starzał, i takie okazje stawały się coraz rzadsze. Kiedy urodziła mu syna, odzyskała w pewnej mierze jego względy, ale nie chciał złagodzić warunków jej uwięzienia. A w swych marzeniach, gdy czas ciążył jej jak ołów, myślała wciąż o Sulli, wciąż go kochała - niedojrzałą miłością dorastającego serca.

Widok nagiego Sulli nie wzbudził w niej pożądania, a jedynie zapierające dech zdumienie jego urodą i męskością, i równie zapierające dech zrozumienie, że różnica między Skaurusem a Sullą była mimo wszystko minimalna. Uroda. Męskość. To były prawdziwe różnice. Sulla nie zamierzał klękać u jej stóp i błagać o jej miłość! Nie zdobyła go! To on zamierzał ją zdobyć. Waląc taranem w jej bramy.

- Zdejmij to z siebie - powiedział.

Zdjęła nocną koszulę ze skwapliwością dziecka przyłapanego na jakimś przewinieniu, on zaś uśmiechnął się i skinął głową.

- Jesteś urocza - powiedział z pomrukiem w głosie. Postąpił ku niej, wsunął swą męskość między jej nogi i przygarnął ją do siebie. Potem ją pocałował, a Dalmatyka doznała naraz mnóstwa wrażeń, o których istnieniu nie miała dotąd pojęcia - dotyku jego skóry, jego warg, jego penisa, jego rąk, jego zapachu, słodkiego jak zapach jej dzieci po kąpieli.

I tak, budząc się, dorastając, odkrywała wymiary, które nie miały nic wspólnego z marzeniami czy fantazjami, a bardzo wiele z żywymi, złączonymi ciałami. I z miłości wpadła w uwielbienie, w cielesną niewolę.

Dla Sulli stała się oczarowaniem, jakiego zaznał po raz pierwszy z Julillą, magicznie przemieszonym z echem wspomnień o Metrobiuszu.

Trwał w ekstatycznym uniesieniu, jakiego nie doświadczył od prawie dwudziestu lat. „Ja też byłem spragniony, myślał ze zdziwieniem, i nawet nie wiedziałem o tym! To jest tak ważne, tak istotne dla mnie! A ja straciłem to z oczu”.

Trudno się dziwić, że nic z tego pierwszego niewiarygodnego dnia jego małżeństwa z Dalmatyką nie mogło go zranić - ani gwizdy bywalców Forum oburzonych sposobem, w jaki potraktował Elię, ani złośliwe insynuacje ludzi w rodzaju Filipa, którzy widzieli tylko pieniądze Dalmatyki, ani widok Gajusza Mariusza opartego na swym chłopcu, ani potrącanie łokciem i przymrużanie oka przez Lucjusza Dekumiusza, ani chichoty tych, którzy mieli go za satyrę napastującego niewinną wdowę, ani nawet gorzki liścik z gratulacjami, który przysłał Metrobiusz wraz z bukietem bratków.



Niecałe dwa tygodnie po ślubie przeprowadzili się do wielkiego domu na Palatynie w pobliżu świątyni Wielkiej Matki i z widokiem na Circus Maximus. Były w nim freski lepsze niż tamte w domu Druzusa, marmurowe kolumny, najpiękniejsze mozaikowe posadzki w Rzymie i meble godne jakiegoś wschodniego króla, a nie rzymskiego senatora. Sulla i Dalmatyka chlubili się nawet cytrusowym stołem, którego bezcenna płyta o słojach w pawie oka spoczywała na podstawie z kości słoniowej, wykładanej złotem o kształcie dwóch splecionych z sobą delfinów. Był to ślubny podarunek od Metellusa Prosiaka.

Porzucenie domu, w którym przeżył dwadzieścia pięć lat, było jeszcze jednym pożądanym wyzwoleniem. Przeminięły wspomnienia okropnej starej Klitumny i jej jeszcze okropniejszego siostrzeńca Stychusa, przeminięły wspomnienia Nikopolis, Julilli, Marcji, Elii. A jeśli nie przeminięły wspomnienia jego syna, oddzielił je przynajmniej od bólu patrzenia i dotykania rzeczy, które oglądał i których dotykał jego syn. Mógł przestać zaglądać do pustego pokoju dziecinnego, gdzie stale prześladował go obraz roześmianego nagiego chłopczyka wyskakującego na niego, nie wiadomo skąd. Z Dalmatyką mógł zacząć na nowo.

Rzymowi wyszło na dobre to, że Sulla pozostał w mieście dłużej, niż zrobiłby to, gdyby nie Dalmatyka. Mógł dopilnować wprowadzenia w życie programu zmniejszenia długów i pomyśleć o sposobach zapewnienia pieniędzy skarbowi. Używając wybiegów i biorąc pieniądze z wszelkich nadarzających się wpływów, zdołał zapłacić żołd legionom (Pompejusz Strabon dotrzymał słowa i przysłał znacznie niższe rachunki) i nawet zwrócić część długu Galii italskiej. Spostrzegł też z zadowoleniem, że interesy w mieście wydają się nieco poprawiać.

W marcu musiał jednak pomyśleć poważnie o oderwaniu się od żony.

Metellus Pius był już z Mamerkiem na południu, Cynna i Kornutus grasowali na ziemiach Marsów, a Pompejusz Strabon z synem, ale bez cudownego epistolografa Cyserona, zaszył się gdzieś w Umbrii.

Pozostało jednak coś do zrobienia. Sulla podjął się tego w przeddzień swego wyjazdu, bo sprawa nie wymagała drogi ustawowej. Leżała w kompetencjach cenzorów. Zwlekali oni z przeprowadzeniem cenzusu, mimo że prawo Pizona Frugi umieściło nowych obywateli w ośmiu *tribus* wiejskich i dwóch nowych *tribus*, co nie zmieniało status quo w wyborach trybusowych. Zapewnili sobie uprzednio nielegalność, na wypadek gdyby zrobiło się za gorąco. Ostrożność nakazywała rezygnację z urzędu, kiedy więc augurowie polecieli im prowadzenie jakiejś nieokreślonej ceremonii, z rozmysłem tego nie zrobili.

- Pryncepsie senatu, ojcowie spisani, senat stoi w obliczu kryzysu - mówił Sulla, stojąc nieruchomo przed swym krzesłem, jak to miał w zwyczaju. Wyciągnął prawą rękę, w której trzymał jakiś zwój papieru. - Mam tu listę



senatorów, którzy nigdy już nie zjawią się w tej kurii. Nie żyją. Nieco ponad stu. Większa część z tej setki nazwisk należy do pedarii z tylnych ław, którzy nie wyróżniali się w tej kurii, nie zabierali głosu, nie znali prawa lepiej, niż musi je znać każdy senator. Są tu jednak i inne nazwiska - nazwiska ludzi, których brak już odczuwamy boleśnie, oni bowiem przewodniczyli sądom, byli sędziami specjalnymi, członkami kolegów sędziowskich, arbitrami, twórcami praw, wyższymi urzędnikami państwowymi. Nie zostali zastąpieni! Nie widzę żadnych prób ich zastąpienia!

- Mam na myśli cenzora i pryncypsa senatu Marka Emiliusza Skaurusa, cenzora i pontifexa maximusa Gnejusza Domicjusza Ahenobarba, męża konsularnego Sekstusa Juliusza Cezara, męża konsularnego Tytusa Dydiusza, konsula Lucjusza Porcjusza Katona Licyniana, konsula Publiusza Rutyliusza Lupusa, męża konsularnego Aulusa Postumiusza Albina, pretora Kwintusa Serwiliusza Cepiona, pretora Lucjusza Postumiusza, pretora Gajusza Koskoniusza, pretora Kwintusa Serwiliusza, pretora Publiusza Gabiniusza, pretora Marka Porcjusza Katona Salońskiego, pretora Aulusa Semproniusza Aseliona, edyla Marka Klaudiusza Marcellusa, trybuna ludowego Marka Liwiusza Druzusa, trybuna ludowego Marka Fontejusza, trybuna ludowego Kwintusa Wariusza Sewera Hybrydę Sukrońskiego, legata Publiusza Licyniusza Krassusa Młodszeo, legata Marka Waleriusza Messalę.

Sulla urwał zadowolony. Wszyscy byli wstrząśnięci.

- Tak, wiem - powiedział cicho. - Dopóki nie odczyta się listy, nie zdajemy sobie sprawy, ilu wielkich albo obiecujących ludzi odeszło. Siedmiu konsulów i siedmiu pretorów. Czternastu ludzi, którzy powinni zasiadać w sądach, komentować prawa i zwyczaje, strzec *mos maiorum*. Nie mówiąc o sześciu innych, którzy wkrótce byliby przywódcami. Są też inne nazwiska, których nie czytałem, nazwiska trybunów ludowych mniej znanych, ale mimo to doświadczonych.

- Ach, Lucjuszu Korneliuszu, to tragedia! - powiedział pryncypsa senatu Flakkus, z trudem łapiąc oddech.

- Tak, Lucjuszu Waleriuszu, tak właśnie jest - zgodził się Sulla. - Jest na tej liście wiele nazwisk ludzi, którzy nie umarli, ale opuścili tę kurie z różnych powodów - pełniąc obowiązki za granicą albo gdzieś w Italii, poza Rzymem. Nawet podczas zimowej przerwy w działaniach wojennych nie zdołałem doliczyć się więcej niż stu zebranych w tym gronie, chociaż powinni być obecni wszyscy przebywający w Rzymie. Istnieje też znacząca lista senatorów na wygnaniu, wskutek działalności komisji Wariusza albo komisji Plaucjusza. I ludzi takich jak Publiusz Rutyliusz Rufus.

Wobec tego, szanowni cenzorowie, Publiusz Licyniuszu i Lucjuszu Juliuszu, proszę was najusilniej, abyście zrobili wszystko, co w waszej mocy, i zapełnili puste miejsca. Dajcie majątnym i ambitnym ludziom w tym mieście szansę



wejścia w przerzedzone szeregi rzymskiego senatu. Wyznaczcie też spośród pedarii tych, którzy powinni otrzymać prawo wyrażania opinii. Zbyt często brak nam *quorum*. Jak może senat rzymski rządzić, jeżeli nie może uzyskać *quorum*?

Zrobił, co mógł, by Rzym działał jak należy, i publicznie pogonił niemrawych cenzorów do wypełniania obowiązków. Nadszedł czas, by zakończyć wojnę z Italczykami.







MITRYDATES VI EUPATOR

## VIII



**T**ej jedynej rzeczy, którą Sulla całkowicie przeoczył, nie dostrzegali nikt po śmierci nieodżałowanego Marka Emiliusza Skaurusa. Jego następca, Lucjusz Waleriusz Flakkus, próbował zwrócić na nią uwagę Sulli, ale zabrakło mu siły przekonywania. Nie można też było obwiniać Sulli o niedopatrzenie. W centrum uwagi całego rzymskiego świata stała Italia, a ludzie uwikłani bezpośrednio w ów konflikt nie widzieli niczego poza nim.

Do ostatnich obowiązków, którymi zajął się Sulla, należała sprawa dwóch zdetronizowanych królów, Nikomedesa z Bitynii i Ariobarzanesa z Kapadocji. Dzielny stary prynceps senatu wysłał do Azji Mniejszej komisję dla zbadania sytuacji dotyczącej Mitrydatesa, króla Pontu. Przywódcą tej delegacji był Maniusz Akwiliusz, zasłużony legat Gajusza Mariusza w bitwie pod Aquae Sextiae, kolega Mariusza w jego piątym konsulacie i zwycięzca w sycylijskiej wojnie niewolniczej. Towarzyszyli mu dwaj inni komisarze, Tytus Manlius Mancynus i Gajusz Maliusz Maltynus oraz obaj królowie, Nikomedes i Ariobarzanes. Obowiązkiem komisji, jasno określonym przez Skaurusa, było ponowne osadzenie na tronach obu władców i ostrzeżenie Mitrydatesa, by



pozostawał wewnątrz własnych granic.

Maniusz Akwiliusz zabiegał usilnie u Skaurusa o tę komisję, bo jego finanse były w rozpaczliwym stanie, wskutek ciężkich strat poniesionych po wybuchu wojny z Italią. Jego namiestnictwo na Sycylii przed dziesięciu laty nie przyniosło mu niczego oprócz oskarżenia o nadużycia po powrocie do Rzymu, a jego reputacja niezasłużenie ucierpiała. Złoto, które jego ojciec dostał od króla Mitrydatesa V za odsprzedanie Pontowi większej części Frygii, dawno się rozeszło, ale odium uczepiło się syna jak pijawka. Skaurus był zdecydowanym zwolennikiem zwyczaju dziedziczenia stanowisk i miał pewność, że ojciec opowiadał synowi o tej części świata, uznał więc za rozsądne powierzenie Maniuszowi Akwiliuszowi zadania przywrócenia do władzy dwóch królów. Pozwolił mu też dobrać sobie kolegów.

W wyniku tego powstała delegacja mająca na celu raczej własne korzyści niż sprawiedliwość i raczej gromadzenie pieniędzy niż dobrobyt zamorskich ludów. Zanim jeszcze wyruszono w drogę do Azji Mniejszej, Maniusz Akwiliusz zawarł bardzo korzystny układ z siedemdziesięcioletnim królem Nikomedesem, a w jego banku pojawiło się jakimś magicznym sposobem sto talentów bityńskiego złota. Gdyby tak się nie stało, zakazano by mu pewnie opuszczania Rzymu, jako że senatorowie musieli prosić o pozwolenie na wyjazd z Italii. Nie wymknąłby się bankom i bankierom, którzy mieli na oku spisy wywieszane na rostrach i w Regii.

Wybierając żeglugę, a nie podróż lądem po Via Egnatia, komisja przybyła do Pergamonu w czerwcu poprzedniego roku. Przyjął ją dość uroczyście namiestnik prowincji Azji, Gajusz Kasjusz Longinus.

W Gajuszu Kasjuszu komisarz Maniusz Akwiliusz znalazł równego sobie, biorąc pod uwagę zachłanność i brak skrupułów, o czym obaj przekonali się szybko i z niemałą przyjemnością. Spisek został ułożony w Pergamonie w tym samym czasie, gdy Tytus Dydiusz ginął, zdobywając Herkulanum. Celem spisku było wyciśnięcie przez komisarzy i namiestnika prowincji jak największej ilości złota z terytoriów graniczących z Pontem, ale nie pozostających właściwie pod zwierzchnictwem Rzymu, a mianowicie Frygii i Paflagonii.

Listy senatu do króla Pontu Mitrydatesa i króla Armenii Tigranesa, nakazujące im wycofanie się z Bitynii i Kapadocji, wysłano z Pergamonu przez kuriera. Gajusz Kasjusz zarządził dodatkowe szkolenie swego pomocniczego legionu i powołał pod broń milicję od jednego końca prowincji Azji do drugiego. Potem z eskortą małego oddziału żołnierzy komisarze Akwiliusza, Maniusz i Maliusz wyruszyli do Bitynii z królem Nikomedesem, podczas gdy król Ariobarzanes pozostał w Pergamonie z namiestnikiem prowincji, który nagle zrobił się bardzo zajęty.

Potęga Rzymu nadal robiła wrażenie. Król Sokrates przekonał się, że stracił tron, i wyniósł się do Pontu, król Nikomedes zajął ów tron, a król Ariobarzanes



został zaproszony do objęcia rządów w Kapadocji. Trzej komisarze pozostali na resztę lata w Nikomedii, umacniając się w zamiarze najechnia Paflagonii, pasa ziemi oddzielającego Bitynię od Pontu wzdłuż wybrzeża Morza Euksyńskiego. Świątynie Paflagonii posiadały wiele złota, którego ku rozczarowaniu komisarzy nie miał Nikomedes. Kiedy starzec uciekał przed rokiem do Rzymu, zabrał ze sobą zawartość swego skarbcza. Wylądowała ona na kontach bankowych różnych Rzymian, od Marka Emiliusza Skaurusa (który nie odmawiał przyjmowania małych upominków) do Maniusza Akwiliusza, nie licząc wielu innych chętnych rąk po drodze.

Odkrycie, że Nikomedes nie ma złota, doprowadziło do pewnych animozji wśród trzech komisarzy. Manliusz i Maliusz czuli się oszukani, a Akwiliusz wiedział, że musi ruszyć głową i znaleźć jakieś dodatkowe złoto, żeby zaspokoić ich, nie naruszając zaczątku swego majątku w Rzymie. Zapłacił za to oczywiście król Nikomedes. Trzej dostojni Rzymianie popychali go nieustannie do inwazji na Paflagonię i grozili utratą tronu, jeśli nie wykona ich poleceń. Wieści od Gajusza Kasjusza z Pergamonu umacniały postawę komisarzy, w wyniku czego Nikomedes dał za wygraną i zmobilizował swą skromną, ale dobrze uzbrojoną armię.

W końcu września komisarze i stary król Nikomedes wkroczyli do Paflagonii. Akwiliusz prowadził armię, a król robił wrażenie niechętnego tej wyprawie gościa. Żeby natrzeć solą rany króla Mitrydatesa, Akwiliusz zmusił Nikomedesa do wydania nadmorskim garnizonom i flocie Bitynii rozkazów obsadzenia Bosforu Trackiego i Hellespontu. Żaden statek pontyjski nie miał prawa przepłynąć między Morzem Euksyńskim a Morzem Egejskim. Było w tym przesłanie: spróbuj sprzeciwić się Rzymowi, królu Mitrydatesie!

Wszystko poszło tak, jak zaplanował Maniusz Akwiliusz. Armia bityńska maszerowała wzdłuż wybrzeża Paflagonii, zajmując miasta i łupiąc świątynie. Stos złotych przedmiotów i skarbów rósł. Skapitulował wielki port Amastris, a władca Paflagonii Pylajmenes przyłączył się ze swym wojskiem do rzymskich najeźdźców. W Amastris trzej komisarze uznali, że czas wracać do Pergamonu, pozostawiając biednego starego króla z armią na zimowisku gdzieś między Amastris a Synopą, niebezpiecznie blisko granic Pontu.

To w Pergamonie w połowie listopada dotarło do Rzymian poselstwo króla Mitrydatesa, który dotąd nic nie mówił i nic nie zrobił. Głównym posłem był niejaki Pelopidas, kuzyn królewski.

- Mój kuzyn król Mitrydates pokornie błaga prokonsula Maniusza Akwiliusza o nakazanie królowi Nikomedesowi i jego armii bezzwłocznego odwrotu do Bitynii - przemówił Pelopidas, który ubierał się jak Grek i przybył do Pergamonu bez żadnej zbrojnej eskorty.

- To niemożliwe, Pelopidasie - odparł Maniusz Akwiliusz, siedzący na swym kurulnym krześle z berłem z kości słoniowej w ręku i w otoczeniu dwunastu



liktorów w szkarłatnych tunikach z toporami zatknętymi w *fasces*. - Bitynia jest niepodległym krajem, Przyjacielem i Sprzymierzeńcem Ludu Rzymskiego, zgoda, ale prowadzącym własną politykę. Nie mogę niczego nakazać królowi Nikomedesowi.

- W takim razie, prokonsulu, mój kuzyn król Mitrydates, uniżenie prosi, abyś mu pozwolił bronić siebie i swego królestwa przed rozbojem Bitynii.

- Ani król Nikomedes, ani armia Bitynii nie znajdują się na terytorium Pontu - powiedział Maniusz Akwiliusz. - Zabraniam zatem surowo twemu kuzynowi królowi Mitrydatesowi, tknąć choćby palcem króla Nikomedesa i jego armię. W żadnych okolicznościach, powiedz to twemu królowi, Pelopidasie! I pod żadnym pozorem!

Pelopidas westchnął, uniósł ramiona i rozłożył szeroko dłonie w jakimś nierzymskim geście, po czym rzekł:

- Na koniec więc mam ci powiedzieć, prokonsulu, że w tych okolicznościach mój kuzyn król Mitrydates oznajmia, co następuje: „Nawet ten kto wie, że musi przegrać, stawia opór!”

- Jeśli twój kuzyn król stawia opór, przegra - powiedział Akwiliusz i skinął na liktorów, by wyprowadzili Pelopidasa.

Po wyjściu pontyjskiego wielmoży zapadła cisza. Przerwał ją zasępiony Gajusz Kasjusz.

- Jeden z pontyjskich towarzyszy Pelopidasa powiedział mi, że Mitrydates zamierza wysłać list z protestem wprost do Rzymu.

Akwiliusz uniósł brew.

- Co mu to da? Nikt w Rzymie nie znajdzie czasu na słuchanie.

Ci w Pergamonie musieli jednak słuchać miesiąc później, kiedy Pelopidas powrócił.

- Mój kuzyn Mitrydates przysłał mnie, żebym powtórzył jego błaganie o pozwolenie mu na obronę kraju.

- Jego kraj nie jest zagrożony, Pelopidasie, więc moja odpowiedź nadal brzmi: nie - odrzekł Maniusz Akwiliusz.

- A zatem mój kuzyn król nie ma innego wyboru, niż działać ponad twoją głową, prokonsulu. Złoży przed senatem i ludem rzymskim formalną skargę na rzymskich komisarzy w Azji Mniejszej, którzy popierają agresję Bitynii i jednocześnie odmawiają Pontowi prawa do stawiania oporu.

- Niech lepiej twój król tego nie robi, słyszysz? - parsknął Akwiliusz. - Dopóki chodzi o Pont i Azję Mniejszą, to ja jestem senatem i ludem rzymskim! A teraz zabieraj się stąd i nie wracaj!

Pelopidas zwlekał przez jakiś czas z odjazdem, żeby dowiedzieć się, ile zdołał, o zagadkowych ruchach wojsk, którymi rozporządzał Gajusz Kasjusz. Był jeszcze w Pergamonie, kiedy nadeszła wieść, że król Pontu Mitrydates i król Armenii Tigranes przekroczyli granice Kapadocji i że syn Mitrydatesa



Ariarates - nikt nie wiedział, który to był z kilku synów o tym imieniu - jeszcze raz próbuje zasiąść na kapadockim tronie. Maniusz Akwiliusz posłał natychmiast po Pelopidasa i kazał mu polecić Pontowi i Armenii wycofanie się z Kapadocji.

- Zrobiją, co im się mówi, bo będą się bali odwetu Rzymian - powiedział z zadowoleniem Akwiliusz do Kasjusza i zadrżał nagle. - Zimno tu, Gajuszu Kasjuszu! Nie sądzisz, że prowincję Azję stać na palenie w paru kominkach w tym pałacu?

W lutym nastroje w rezydencji namiestnika w Pergamonie poprawiły się tak znacznie, że Akwiliusz i Kasjusz wymyślili jeszcze śmielszy plan: Czemu zatrzymywać się na granicy Pontu? Czemu nie udzielić królowi Pontu nauczki, najeżdżając sam Pont? Legion prowincji Azji był w doskonałym stanie, milicja obozująca między Smyrną a Pergamonem również, a Gajusz Kasjusz wpadł na jeszcze jeden świetny pomysł.

- Możemy dodać jeszcze dwa legiony do tego zadania, jeżeli włączymy Kwintusa Oppiusza z Cylicji - mówił do Maniusza Akwiliusza.

- Wezwę go do Pergamonu na naradę o losie Kapadocji. Oppiusz ma tylko imperium propretora, moje zaś jest prokonsularne. Musi mi się podporządkować. Powiem mu, że planujemy powstrzymanie Mitrydatesa raczej poprzez nękanie go od tyłu, niż najeżdżając Kapadocję.

- Powiadają - powiedział rozmarzonym tonem Akwiliusz - że w Armenii Mniejszej jest ponad siedemdziesiąt twierdz wypełnionych po szczyty murów złotem Mitrydatesa.

Ale Kasjusz, wojownik z rodu wojowników, nie dał się odwieść od tematu.

- Wkroczymy do Pontu w czterech różnych miejscach, wzdłuż biegu rzeki Halys - mówił z ożywieniem. - Armia bityńska może zająć się Synopą i Amisos nad Euksynem, a potem pomaszerować w głąb kraju wzdłuż Halys; to im zapewni mnóstwo żywności, skoro mają większość konnicy i zwierząt jucznych. Ty, Akwiliuszu, weźmiesz mój legion posiłkowy i uderzysz na Halys w Galacji. Ja poprowadzę milicję w górę Meandru do Frygii. Kwintus Oppiusz może wylądować w Attalei i ciągnąć przez Pizydię. On i ja przybędziemy nad Halys między tobą a Bityńczykami. Mając cztery oddzielne armie na jego rzecznej drodze, doprowadzimy Mitrydatesa do szaleństwa. Nie będzie wiedział, gdzie jest i co ma robić. To mało ważny król, mój drogi Maniuszu Akwiliuszu! Więcej złota niż żołnierzy.

- Nie ma szans - powiedział Akwiliusz, uśmiechając się i marząc o siedemdziesięciu twierdzach pełnych złota.

Kasjusz chrząknął znacząco.

- Jest tylko jedna rzecz, o której musimy pamiętać.

Maniusz Akwiliusz znów był czujny.

- Tak?



- Kwintus Oppiusz jest ze starej szkoły - Rzym wiecznym miastem, honor ponad wszystko, żadnych nadprogramowych zarobków. Nie wolno nam robić ani mówić niczego, co może mu nasunąć myśl, że nie chodzi o sprawiedliwość w Kapadocji.

Akwiliusz zachichotał.

- Tym więcej dla nas!

- I ja tak myślę - powiedział z zadowoleniem Gajusz Kasjusz.



Pelopidas starał się zignorować pot ściekający mu na czoło i zalewający oczy, usiłował też ukryć drżenie rąk.

- I tak, Wielki Królu, odprawił mnie prokonsul Akwiliusz - zakończył.

Król nie poruszył nawet rzęsą, a jego twarz pozostała taka jak podczas całego posłuchania - beznamietna, bez wyrazu, prawie łaskawa. W czterdziestym roku życia, po dwudziestu trzech latach zasiadania na tronie, król Mitrydates VI, zwany Eupatorem, nauczył się ukrywać wszystko oprócz najwyższego niezadowolenia. Wieści, które przyniósł Pelopidas, nie wywoływały najwyższego niezadowolenia, były to raczej wieści oczekiwane.

Od dwóch lat żył w atmosferze rosnącej nadziei, nadziei zrodzonej w dniu, w którym dowiedział się o wojnie Rzymu ze sprzymierzeńcami italskimi. Instykt podpowiedział mu wtedy, że to jego szansa, on zaś posunął się tak daleko, że napisał do Tigranesa, uprzedzając zięcia, by był gotów. Kiedy Tigranes zapewnił go, że poprze go w każdym przedsięwzięciu, uznał, że najważniejszą rzeczą jest utrudnienie Rzymowi wojny w Italii. Wysłał zatem poselstwo do Silona i Mutilusa, do ich nowej stolicy Italiki, i zaproponował im pieniądze, broń, okręty, a nawet żołnierzy. Jednak, ku jego zdumieniu, posłowie wrócili z pustymi rękami. Silon i Mutilus odrzucili ofertę pontyjską z oburzeniem i pogardą.

- Powiedzcie królowi Mitrydatesowi, że spór Italii z Rzymem nie jest jego sprawą! Italia nie będzie wspierać żadnego zamorskiego króla w szkodzeniu Rzymowi - brzmiała ich odpowiedź.

Król Pontu wycofał się jak potrącony ślimak i wysłał Tigranesowi polecenie, by czekał, bo czas nie jest odpowiedni. Zastanawiał się, czy kiedyś nadejdzie taki czas, skoro nawet Italia, rozpaczliwie potrzebująca pomocy, by wygrać swą walkę o wolność i niepodległość, kąsa wyciągniętą przyjazną dłoń pontyjską.

Wahał się, nieco zbyt lękliwy, by podjąć decyzję i trzymać się jej. W jednej chwili był pewien, że czas już wypowiedzieć wojnę Rzymowi, w następnej nie był już tego pewien. Gryzł się tym w samotności, bo król Pontu nie miał zaufanych doradców, nawet zięcia, który sam był wielkim królem. Jego dwór istniał w próżni. Nikt nie umiał powiedzieć, jak się czuje król, jakie będzie jego



następne posunięcie i czy zanosi się na wojnę. Wszyscy by ją powitali, nikt jej nie chciał.

Po odtrąceniu jego zalotów przez Italczyków Mitrydates pomyślał o Macedonii, gdzie prowincja rzymska broniła długiej na tysiąc mil granicy przed barbarzyńskimi plemionami z północy. Wystarczyło wywołać niepokoje na tej granicy, by przyciągnąć całą uwagę Rzymian. Wysłannicy Pontu podlewali więc z dawna zasiane ziarna nienawiści do Rzymu wśród Bessów i Skordysków, i pozostałych plemion Mezji i Tracji, w wyniku czego Macedonia cierpiała najgorszy od lat okres barbarzyńskich najazdów i wypadów. W pierwszym zapale Skordyskowie dotarli aż do Dodony w Epirze. Na szczęście Macedonia rzymska miała znakomitego namiestnika w osobie Gajusza Sencjusza, którego wspierał energiczny legat Kwintus Brucjusz Sura. Kiedy niepokoje wśród barbarzyńców nie skłoniły ich do żądania pomocy od Rzymu, Mitrydates spróbował wszcząć zamieszki wewnątrz prowincji. W Macedonii pojawił się wkrótce potem niejaki Eufenes, podający się za potomka Aleksandra Wielkiego (do którego był uderzająco podobny), i zgłosił pretensje do starożytnego opustoszałego tronu Macedonii. Mieszkańcy miast, takich jak Tessaloniki i Pella, przejrzeni go natychmiast, ale prosty lud poparł jego sprawę. Na nieszczęście dla Mitrydatesa Eufenesowi brakowało prawdziwie bojowego ducha i zdolności zorganizowania swych stronników w armię. Sencjusz i Brucjusz Sura uporali się z nim własnymi siłami, nie żądając od Rzymu pieniędzy ani dodatkowych wojsk, co było celem pontyjskiego przedsięwzięcia.

Tak więc minęły dwa lata od wybuchu wojny Rzymu ze sprzymierzeńcami, a Mitrydates nie zbliżył się wcale do spełnienia swych ambitnych planów. Roztrzęsiony, chwiejny, zatruwający życie sobie i swemu dworowi, wahający się i niezdolny zwierzyć się nikomu, musiał na dodatek powstrzymywać Tigranesa, bardziej agresywnego choć mniej inteligentnego.



Król poruszył się nagle na tronie, a dworzanie poderwali się natychmiast.

- Co jeszcze odkryłeś podczas tej drugiej - i bardzo długiej - wizyty w Pergamonie? - spytał Pelopidasa.

- Namiestnik Gajusz Kasjusz postawił swój legion posiłkowy w stan gotowości, wyszkolił też i uzbroił dwa legiony milicji, o Potężny! - Pelopidas oblizał wargi. Bardzo chciał okazać, że choć jego misja okazała się porażką, jego fanatyczne oddanie sprawie króla pozostało. - Mam agenta w pałacu namiestnika w Pergamonie, Wielki Królu. Przed moim wyjazdem powiedział mi, że Gajusz Kasjusz i Maniusz Akwiliusz planują wkroczenie wiosną do Pontu we współdziałaniu z Nikomedesem z Bitynii i jego sprzymierzeńcem Pylajmenesem z Paflagonii, a także z namiestnikiem Cylicji Kwintusem Oppiuszem, który przybył do Pergamonu na naradę z Gajuszem Kasjuszem.



- Czy mają na tę planowaną inwazję zgodę senatu i ludu rzymskiego?
- Pałacowa plotka mówi, że nie mają, o Wielki!
- Po Maniuszu Akwiliuszu mogłem się tego spodziewać, jeśli szczeniak jest taki, jaki był pies za czasów mego ojca. Łasy na złoto. Moje złoto. - Pełne czerwone wargi uniosły się, odsłaniając wielkie pożółkłe zęby. - Namiestnik Azji jest chyba taki sam. I Kwintus Oppiusz z Cylicji. Żądne złota trio!
- Co do namiestnika Cylicji, chyba tak nie jest, o Wielki - powiedział Pelopidas. - Oni chcą go utrzymać w przekonaniu, że jest to akcja przeciw naszej obecności w Kapadocji. O ile wiem, Kwintus Oppiusz jest, jak to nazywają Rzymianie, człowiekiem honoru.

Król zapadł w milczenie. Poruszał wargami niczym ryba, oczy patrzyły w pustkę. „Kiedy zagrożony jest nasz kraj, rzeczy mają się inaczej”, myślał. „Muszę stanąć w obronie swoich granic. Zdaniem tamtych powinienem złożyć broń i pozwolić tym rzekomym władcom świata zniewolić mój kraj. Kraj, który mnie przygarnął, kiedy byłem dzieckiem, który kocham ponad życie i który chcę uczynić władcą świata”.

- To im się nie uda! - powiedział głośno i z siłą.

Wszystkie głowy poderwały się, ale nie powiedział nic więcej. Jego wargi poruszały się w milczeniu, poruszały się i poruszały.

„Wreszcie nadszedł czas”, myślał król Mitrydates. „Mój dwór wysłuchał wieści z Pergamonu i to mój dwór wyda wyrok. Nie na Rzymian. Na mnie. Jeśli będę pokornie siedział cicho, gdy żądni złota Rzymianie plotą, że to oni są senatem i ludem rzymskim, i mówią o naruszeniu naszych granic, moi poddani mną wzgardzą. Moja reputacja ucierpi tak mocno, że przestaną się mnie bać. A wtedy moi krewni uznają, że dojrzeli do usunięcia mnie z tronu. Mam synów w wieku odpowiednim do rządzenia. Każdego z nich popiera żadna władzy matka. Są też moi królewscy kuzyni: Pelopides, Archelaos, Neoptolemos, Leonidas. Jeśli będę siedział cicho jak kundel, za którego mnie mają Rzymianie, przestanę być królem. Będę martwy”.

A więc wojna z Rzymem. W końcu nadszedł czas. To nie mój wybór, i chyba nie ich. Wyczarowali to z niczego trzej żądni złota rzymscy komisarze. Postanowione! Ruszam na wojnę z Rzymem.

Podjąwszy decyzję, Mitrydates poczuł się, jakby mu zdjęto z ramion ogromny ciężar. Rozproszył się cień w głębi jego umysłu. Kiedy tak siedział na swym tronie, zdawał się rosnać niczym wielka złocista ropucha. Oczy mu błyszczały. Pont wyrusza na wojnę. Pont posłuży się przykładem Maniusza Akwiliusza i Gajusza Kasjusza. Pont zawładnie prowincją Azją, przekroczy Hellespont i przez wschodnią Macedonię ruszy po Via Egnatia na zachód. Pont wypłynie z Euksynu na Morze Egejskie i dalej ku zachodowi, dopóki Italia i sam Rzym nie ukażą się armii i flocie pontyjskiej. Król Pontu może zostać królem Rzymu. Król Pontu może zostać najpotężniejszym władcą w dziejach



świata, większym niż Aleksander Wielki. Jego synowie będą rządzić w miejscach tak odległych, jak Hiszpania i Mauretania, jego córki będą królowymi wszystkich krajów od Armenii do Numidii i do Galii Dalszej. Do króla świata należeć będą wszystkie skarby świata, wszystkie piękne kobiety, wszystkie kraje! Potem przypomniał sobie zięcia i uśmiechnął się. Niech Tigranes bierze królestwo Partów i rozszerza swoją władzę na wschód ku Indiom i mglistym krajom poza nimi.

Król nie powiedział jednak, że rozpoczyna wojnę z Rzymem. Powiedział:

- Wezwać Arystiona.

Zapanowało napięcie. Wszyscy poczuli, że coś się dzieje w myślach tej groźnej postaci na wysadzonym klejnotami tronie, choć nikt nie wiedział co.

Do sali wszedł wysoki i przystojny Grek w tunice i chlamidzie i z gracją upadł na twarz przed królem.

- Wstań, Arystionie. Mam dla ciebie zadanie.

Grek wstał z miną pełną uwielbienia. Wyćwiczył ją przed lustrem, które król Mitrydates umieścił przewidująco w swej komnacie. Arystion pochlebiał sobie, że umie znaleźć postawę pośrednią między pochlebstwem, którym król pogardzał, a niezależnością, którą król potępiał. Od roku mieszkał na dworze w Synopie. Zawędrował daleko od ojczystych Aten, bo jako perypatetyk, filozof ze szkoły następców Arystotelesa, myślał, że znajdzie tłustsze skrawki w krajach uboższych w filozofów niż Grecja, Rzym czy Aleksandria. Przypadkowo trafił na króla Pontu, a ten skorzystał z jego usług. Podczas swej wizyty w prowincji Azji, przed dziesięcioma laty, król przekonał się, że brak mu wykształcenia. Starając się utrzymać swe nauki w formie rozmowy, Arystion poił uszy króla opowieściami o dawnej potędze Grecji i Macedonii, o odpychającej sile Rzymu, o tym, co może się przydać w interesach i w handlu, o geografii i historii świata. W końcu Arystion zaczął myśleć o sobie jako o królewskim arbitrze elegancji, nie jako o pedagogu.

- Myśl o tym, że mogę ci się przydać, wprawia mnie w zachwyt, potężny Mitrydatesie - powiedział modulowanym głosem.

Król pokazał teraz wszystkim, że od lat myślał o wojnie z Rzymem.

- Czy jesteś dość dobrze urodzony, by zjednać sobie polityków w Atenach? - spytał nieoczekiwanie.

Arystion nie okazał zaskoczenia, robiąc zachwyconą minę.

- Tak, o Wielki - skłamał.

W rzeczywistości był synem niewolnika, ale to były stare dzieje. Nikt w Atenach tego nie pamiętał. Wygląd decydował o wszystkim, on zaś wyglądał jak arystokrata.

- Chcę zatem, żebyś zaraz wracał do Aten i zaczął zjednywać polityków. Potrzebuję lojalnego agenta w Grecji, by ożywić niechęć Greków do Rzymu. Jak to zrobisz, jest mi obojętne. Kiedy jednak armia i flota pontyjską wkroczą na



ziemie po obu stronach Morza Egejskiego, chcę mieć w ręku Ateny - i Grecję!

Głośne westchnienie i pomruk przebiegły po zebranych w sali tronowej. Potem przyszedł dreszcz podniecenia i bojowego nastroju - król nie zamierza siedzieć cicho u nogi Rzymian!

- Jesteśmy z tobą, mój królu! - krzyknął rozpromieniony Archelaos.

- Twoi synowie dziękują ci, o Wielki! - zawołał najstarszy z nich, Farnakes.

Mitrydates nadał się jeszcze bardziej z zadowolenia. Czemu wcześniej nie dostrzegł, jak niebezpiecznie zbliżył się do buntu i unicestwienia? Jego poddani i krewni pragnęli wojny z Rzymem! A on był gotów. Był gotów od lat.

- Nie wyruszymy, póki nie wyruszą rzymscy komisarze i namiestnicy prowincji. Kiedy nasze granice zostaną naruszone, uderzymy. Chcę mieć flotę obsadzoną załogami i uzbrojoną. Chcę mieć armię gotową do marszu. Jeśli Rzymianie myślą o zajęciu Pontu, ja myślę o zajęciu Bitynii i prowincji Azji. Kapadocja jest już moja i pozostanie moja, bo mam dość wojska, by pozostawić tam mego syna Ariaratesa z własną armią.

Nieco wypukłe zielone oczy spoczęły na Arystionie.

- Na co czekasz, filozofie? Ruszaj do Aten ze złotem z mego skarbcza na poparcie swojej sprawy. Uważaj jednak! Nikt nie może wiedzieć, że jesteś moim agentem.

- Rozumiem, potężny królu, rozumiem! - wykrzyknął Arystion i wycofał się z sali.

- Farnakes, Machares, Mitrydates Młodszy, Ariarates Młodszy, Archelaos, Pelopidas, Neoptolemos, Leonippos zostaną ze mną - powiedział krótko król. - Reszta może odejść.



W kwietniu, w roku konsulatu Lucjusza Korneliusza Sulli i Kwintusa Pompejusza Rufusa, zaczął się rzymski najazd na Galację i Pont. Podczas gdy Nikomedes III szlochał, załamywał ręce i błagał, by mu pozwolono wrócić do Bitynii, paflagoński książę Pylajmenes kazał armii Nikomedesa ruszać na Synopę. Maniusz Akwiliusz wyszedł w pole na czele rzymskiego legionu posiłkowego z Azji i maszerował z Pergamonu przez Frygię ku granicy Pontu, na północ od wielkiego słonego jeziora Tatta. Był to szlak handlowy, więc Akwiliusz mógł iść całkiem szybko. Gajusz Kasjusz zabrał swoje dwa legiony milicji spod Smyrny i poszedł doliną Meandru w głąb Frygii, kierując się na małą osadę handlową Prymnessos. Tymczasem Kwintus Oppiusz przyплыł z Tarsu do Attalei i wkroczył z dwoma legionami do Pizydii szlakiem wiodącym na zachód od jeziora Limna.

Na początku maja armia bityńska wkroczyła do Pontu i doszła do Amnias, dopływu rzeki Halys, płynącego równolegle do wybrzeża wokół Synopy. Strategia Pylajmenesa zakładała marsz od zbiegu rzek Amnias i Halys, na północ ku morzu, i jednoczesne uderzenie na Synopę i Amisos. Niestety, armia



bityńska, zanim dotarła do Halys, natknęła się nad Amnias na wielką armię pontyjską pod wodzą dwóch braci, Archelaosa i Neoptolemosa, i doznała druzgoczącej porażki. Obóz, rzeczy, żołnierze, broń, wszystko było stracone. Z wyjątkiem starego króla Nikomedesa. Zebrał grupę wielmożów i zaufanych niewolników i porzucił swą armię na pastwę losu, kierując swój nieomylny nos ku Rzymowi.

Prawie w tym samym czasie, gdy armia bityńska natknęła się na Archelaosa i Neoptolemosa, Maniusz Akwiliusz ze swym legionem przeszedł górski grzbiet i ujrzał daleko na południu jezioro Tatta. Nie ucieszył go jednak ten widok, bo w dole na równinie ujrzał armię rozciągniętą szerzej niż jezioro, połyskującą bronią i w szyku zdradzającym doświadczonemu oku doskonałą karność i pewność siebie. To nie była żadna barbarzyńska horda Germanów! Sto tysięcy pontyjskiej piechoty i jazdy czekało na niego, by go połknąć. Z błyskawiczną szybkością, na którą umiał się zdobyć tylko rzymski wódz, Akwiliusz zawrócił swą skromną armię i wziął nogi za pas. Kiedy zbliżył się do rzeki Sangarios w pobliżu Pesynuntu - tyle tam złota, a on nie może go zabrać! - armia pontyjską dogoniła go i zaczęła połykać. Tak jak król Nikomedes, Akwiliusz pozostawił swą armię nieuniknionemu losowi i zbiegł ze swymi starszymi oficerami i dwoma kolegami komisarzami w góry Myzji.

Sam król ruszył na Gajusza Kasjusza, ale niepewność wzięła górę, zaczął się ociągać i w rezultacie Kasjusz dowiedział się o klęsce Bityńczyków, zanim go dopadł Mitrydates. Namiestnik prowincji Azji poderwał swą armię i wycofał się na południe, do Apamei, miasta na skrzyżowaniu wielkich szlaków handlowych, gdzie skrył się za mocnymi murami. Kwintus Oppiusz, znajdujący się na południowy zachód od Kasjusza, także usłyszał o klęsce i postanowił zatrzymać się w Laodykei, akurat na drodze Mitrydatesa idącego w dół Meandru.

Tak więc armia pontyjską dowodzona osobiście przez króla wyszła na Kwintusa Oppiusza, zanim znalazła Kasjusza. Oppiusz chciał się bronić w oblężeniu, szybko jednak przekonał się, że Laodykejczycy są innego zdania. Mieszkańcy miasta otworzyli przed królem bramy, sypiąc mu pod nogi kwiaty, a jako specjalny upominek przekazali mu Kwintusa Oppiusza. Żołnierzom cylicyjskim kazano wracać tą samą drogą, którą przyszli, ale namiestnika król zatrzymał. Przywiązał go do pala na agorze w Laodykei i rycząc ze śmiechu, zachęcał ludność miasta do obrzucania go zgniłymi jajami i warzywami - żadnych kamieni ani kijów! Król pamiętał, że Pelopidas mówił o Kwintusie Oppiuszu jako o człowieku honoru. Na drugi dzień, mniej czy bardziej uszkodzony, namiestnik został uwolniony i odesłany pod eskortą do Tarsu. Była to bardzo długa droga na piechotę.

Kiedy Gajusz Kasjusz usłyszał, jaki los spotkał Kwintusa Oppiusza, porzucił swą milicję w Apamei i uciekł samotnie na jakimś marnym koniu w kierunku







Miletu, oddzielony Meandrem od Mitrydatesa. Udało mu się uniknąć pontyjskich sieci wokół Laodykei, ale w mieście Nysa został rozpoznany i zaciągnięty przed etnarchę, niejakiego Chajremona. Zdyszany i wystraszony z radością przekonał się, że Chajremon jest żarliwym stronnikiem Rzymu i zrobi wszystko, by mu pomóc. Żałując, że nie ma czasu do stracenia, Kasjusz zjadł naprędce dobry posiłek i dosiadłszy świeżego konia, pogalopował do Miletu. Tam znalazł szybki statek, który przewiózł go bezpiecznie na Rodos. Teraz czekało go najtrudniejsze z wszystkich zadań - ułożenie listu do senatu i ludu rzymskiego, w którym przekonałby Rzym o powadze sytuacji w Azji bez zwracania uwagi na własne słabości. Rzecz oczywista, że ten herkulesowy trud nie mógł być ukończony w ciągu jednego dnia - ani nawet miesiąca. Bojąc się, że jego wina wyjdzie na jaw, Gajusz Kasjusz Longinus zwlekał.

Do końca czerwca cała Bitynia i prowincja Azja wpadły w ręce króla Mitrydatesa, oprócz kilku nieustraszonych społeczności, które zaufały swoim fortyfikacjom, swej niedostępności i potędze Rzymu. Ćwierć miliona żołnierzy pontyjskich rozłożyło się na bujnych zielonych pastwiskach od Nikomedii do Mylasy. Ponieważ ich trzon stanowili barbarzyńcy z północy - Kimeryjczycy, Scytowie, Sarmatowie, Roksolanie i ludy kaukaskie - jedynie strach przed królem Mitrydatesem powstrzymywał ich przed wpadnięciem w niszczycielski szal.

Różne jońskie, eolskie i doryckie greckie miasta i porty Azji postarały się uniżenie przyjąć tego wschodniego potentata, służalczo padając na twarz, co należało się takim jak on. Czterdzieści lat znienawidzonej rzymskiej okupacji przemawiało na korzyść króla Mitrydatesa, który umacniał antyrzymskie nastroje, ogłaszając zniesienie podatków, danin i opłat spadkowych na rok obecny i na pięć następnych lat. Tym, którzy winni byli pieniądze wierzycielom rzymskim lub italskim, darowano długi. W rezultacie prowincja Azja ożyła nadzieją, że życie pod panowaniem pontyjskim będzie lepsze niż życie pod panowaniem rzymskim.

Król zjechał do ujścia Meandru i skierował się na północ wzdłuż wybrzeża do jednego ze swych ulubionych miast, Efezu. Tu obrał czasową rezydencję i zajął się wymierzaniem sprawiedliwości. Zjednał sobie ludność w prowincji Azji ogłoszeniem, że nie tylko uwalnia wszystkie oddziały milicji, które mu się poddały, ale daje im pieniądze na powrót do domów. Ci, którzy nienawidzili Rzymian najbardziej - a przynajmniej najgłośniej - uzyskali stanowiska w radach miast. Wydłużały się gwałtownie listy tych, którzy sprzyjali Rzymianom albo dla nich pracowali. Donosiciele zbierali żniwo.

Pod całym tym służalstwem i okazywaniem radości kryło się jednak przerażenie tych, którzy aż za dobrze znali okrucieństwo i zmienność wschodnich królów i wiedzieli, jak powierzchowna jest ich przychylność. W jednej chwili jesteś w łaskach, w następnej rozstajesz się z głową. I nikt nie



wie, kiedy traci równowagę.



Pod koniec czerwca król Pontu wydał w Efezie trzy rozkazy: wszystkie były tajne, a trzeci z nich ściśle tajny.

Ileż radości sprawiło mu układanie tych rozkazów! Kto, dokąd pójdzie i co zrobi - ach te wesołe tańce jego marionetek! Niech inni, mniejsi od niego, określają i dopracowują szczegóły. Jemu jedynie musi przypaść zaszczyt kierowania z dala wielkim i skomplikowanym planem. I to jakim planem! Nucąc i pogwizdując, uwijał się po pałacu, zlecając kilkuset powołanym dodatkowo skrybom pisanie tych rozkazów i ich pieczętowanie. Tę ogromną pracę wykonano w ciągu jednego dnia. A gdy ostatnia przesyłka dla ostatniego kuriera została zapieczętowana, spędził swoich skrybów na dziedzińcu pałacu i kazał swej straży przybocznej podciąć im gardła. Umarli najlepiej dochowują sekretów!

Pierwszy rozkaz poszedł do Archelaosa, który nie był obecnie w łaskach u króla; próbował zdobyć Magnezję nad Sypilem frontalnym atakiem i został dotkliwie pobity, a nawet ranny. Archelaos wciąż jednak był najlepszym wodzem, do niego więc został wysłany pierwszy rozkaz w pojedynczej przesyłce. Było to polecenie objęcia dowództwa wszystkich flot pontyjskich i wypłynięcia z Euksynu na Morze Egejskie w końcu gamelionu, czyli za miesiąc; gamelion był to rzymski kwinktylis.

Drugi rozkaz był także pojedynczą przesyłką. Został wysłany do królewskiego syna, Ariaratesa Młodszego (innego królewskiego syna, nie tego Ariaratesa, który był królem Kapadocji), z poleceniem przeprowadzenia stutysięcznej armii pontyjskiej przez Hellespont do wschodniej Macedonii w końcu gamelionu, czyli za miesiąc.

Trzeci rozkaz został rozesłany w kilkuset przesyłkach do wszystkich miast, okręgów i wspólnot, od Nikomedii w Bitynii do Knidos w Karii, i Apamei we Frygii. Adresowany był za każdym razem do najwyższego urzędnika i ogłaszał, że wszyscy Rzymianie, Latynowie i obywatele italscy w Azji Mniejszej - mężczyźni, kobiety i dzieci mają zostać zabici wraz ze swymi niewolnikami w końcu gamelionu, czyli za miesiąc.

Ten trzeci był jego ulubionym rozkazem, który przyprawiał króla o radosny chichot i pozwalał go oglądać od czasu do czasu, kiedy chodził po Efezie, uśmiechniętego od ucha do ucha. Kiedy skończy się gamelion, nie będzie więcej Rzymian w Azji Mniejszej. A kiedy on sam skończy z Rzymem i Rzymianami, wszyscy do ostatniego, od Słupów Herkulesa do pierwszej katarakty na Nilu, będą martwi. Nie będzie więcej Rzymu.



Na początku gamelionu król Pontu opuścił Efez i wyruszył na północ do Pergamonu, gdzie czekała go szczególna uczta.



Dwaj pozostali komisarze i wszyscy oficerowie Maniusza Akwiliusza zdecydowali się uciec do Pergamonu, sam jednak Maniusz Akwiliusz udał się do Mityleny na wyspie Lesbos, zamierzając wsiąść tam na statek na Rodos, gdzie według jego informacji schronił się Gajusz Kasjusz. Zanim jednak Maniusz Akwiliusz wylądował na Lesbos, zapadł na dur brzuszny i nie mógł podróżować dalej. Kiedy Lesbijczycy usłyszeli o upadku prowincji Azji (do której oficjalnie należeli), rozważnie wysłali rzymskiego pretora statkiem do Mitrydatesa jako szczególny wyraz ich szacunku.

Po przybyciu do małego portu Atameos, naprzeciw Mityleny, Maniusz Akwiliusz został przykuty łańcuchem do łąku siodła wielkiego bastarnyjskiego jeźdźca i zaciągnięty do Pergamonu, gdzie król czekał teraz niecierpliwie na swoją ucztę. Kulejąc i upadając, obrzucany nieczystościami i wyszydany, chory Akwiliusz dożył końca podróży. Kiedy jednak Mitrydates przyjrzał mu się w Pergamonie, zrozumiał od razu, że przy dalszym takim traktowaniu Akwiliusz umrze. To zaś popsułoby pewne szczególnie wymyślne plany, jakie wiązał król z Akwiliuszem!

Tak więc rzymski prokonsul został usadzony na ośle twarzą do ogona i przywiązany do siodła. Obwożono go potem bezlitośnie po całej okolicy Pergamonu, żeby pokazać obywatelom tej niegdyś rzymskiej stolicy, jak król Pontu traktuje rzymskiego prokonsula i jak mało lęka się odwetu.

W końcu, pokryty brudem i wyglądający jak cień człowieka, Akwiliusz został zaprowadzony przed sprawcę swej udręki. Siedząc na złocistym tronie, ustawionym na bogatym podwyższeniu na środku pergamońskiej agory, król patrzył z góry na człowieka, który odmówił odesłania armii bityńskiej, odmówił Mitrydatesowi prawa do obrony własnego królestwa i nie pozwolił mu na złożenie skargi wprost do senatu i ludu rzymskiego.

W tej właśnie chwili, gdy spoglądał na skuloną, cuchnącą postać Maniusza Akwiliusza, król Pontu Mitrydates stracił resztki obaw przed Rzymem. Czego się dawniej bał? Dlaczego się cofał przed tym śmiesznym słabeuszem? On, Mitrydates król Pontu, był znacznie potężniejszy niż Rzym! Cztery małe armie, mniej niż dwadzieścia tysięcy ludzi! To Maniusz Akwiliusz uosabiał Rzym - nie Gajusz Mariusz, nie Lucjusz Korneliusz Sulla. Królewskie wyobrażenie o Rzymie było mitem utrwalonym przez tych dwóch zupełnie nietypowych Rzymian! Prawdziwy Rzym stał oto u jego stóp.

- Prokonsulu! - krzyknął ostro król. - Akwiliusz podniósł wzrok, ale nie zdobył się na mówienie. - Prokonsulu Rzymu, postanowiłem dać ci to złoto, którego pożądałeś.

Straż przyboczna wciągnęła Maniusza Akwiliusza na podwyższenie i posadziła go na niskim stołku w pewnej odległości przed królem. Ręce przywiązano mu ciasno do tułowia szerokimi rzemieniami, a potem jeden ze strażników chwycił rzemienie z prawej strony, a drugi rzemienie z lewej, nie



pozwalając mu się poruszyć. Podszedł kowal, trzymając w szczypcach rozpalony do czerwoności tygiel. Sądząc po rozmiarach, mógł on pomieścić kilka czarek stopionego metalu. Unosił się z niego dym i gorzka woń spalenizny. Trzeci strażnik zaszedł od tyłu Maniusza Akwiliusza, chwycił go za włosy i odciągnął głowę, a potem palcami drugiej ręki zacisnął mu nos. Odruchowo łapiąc oddech, Maniusz Akwiliusz otworzył usta. I natychmiast wspaniała połyskująca rzeka płynnego złota wlała się do spragnionego powietrza gardła. Płynęła i płynęła, póki wrzeszczał, tupał i próbował za wszelką cenę wstać ze stołka, aż w końcu skonał. Podbródek i pierś pokrywała zastygła kaskada stwardniałego złota.

- Rozciąć go i wyciągnąć wszystko do ostatniej kropli - polecił król Mitrydates. Przyglądał się potem uważnie, jak skrupulatnie wyskrobywano złoto z wewnątrz i z zewnątrz Maniusza Akwiliusza. - Rzućcie to ścierwo psom - powiedział, wstając z tronu. Zszedł na podwyższenie i przestąpił niefrasobliwie przez powykręcane i poszarpane szczątki Maniusza Akwiliusza, prokonsula Rzymu.

Wszystko poszło wspaniale! Nikt nie wiedział tego lepiej niż król Mitrydates, gdy kroczył przez chłodzone wiatrem tarasy leżącego na szczycie góry Pergamonu i czekał na koniec miesiąca gamelionu, czyli rzymskiego kwinktylisa. Od Arystiona przyszła z Aten wiadomość, że i jemu się powiodło.

*Nic nas teraz nie powstrzyma, o Potężny Mitrydatesie, bo Ateny wskażą drogę całej Grecji. Zacząłem moją kampanię od przypomnienia dawnej przewagi i bogactwa Aten. Moim zdaniem naród, który przeżył już swój złoty okres, spogląda wstecz na dni chwały z dojmującą tęsknotą, łatwo więc uwieść go obietnicami powrotu do tych dni świetności. Tak więc przemawiałem na Agorze przez sześć miesięcy, powoli krusząc oponentów i gromadząc stronników. Przekonywałem nawet swoich słuchaczy, że Kartagina sprzymierzy się z tobą przeciw Rzymowi, a oni mi uwierzyli! Trudno nie wspomnieć tu starego powiedzenia, że Ateńczycy są najbardziej wykształceni w świecie. Nikt z nich nie wie, że Kartagina została starta przez Rzym z powierzchni ziemi ponad pięćdziesiąt lat temu. Zadziwiająca.*

*Piszę, ponieważ mam przyjemność zawiadomić Cię, że zostałem właśnie wybrany na wojskowego przywódcę Aten - piszę to w połowie posejdejonu. Dano mi też prawo doboru kolegów. Naturalnie wybrałem ludzi, którzy mocno wierzą, że zbawienie naszego greckiego świata spoczywa w twoich rękach, Wielki Królu, i nie mogą się doczekać dnia, w którym skruszysz Rzym pod swym lwim butem.*

*Ateny należą teraz do mnie, z Pireusem włącznie. Niestety, elementy rzymskie i moi zaprzysięgli nieprzyjaciele uciekli, zanim wpadli mi w ręce, ci jednak, którzy byli dość głupi, by pozostać - głównie bogaci Ateńczycy nie mogący uwierzyć w zagrożenie - zginęli. Skonfiskowałem majątki wygnanych i zabitych na fundusz*



*finansowania naszej wojny z Rzymianami.*

*Co przyrzekłem moim wyborcom, tego dotrzymam, bo muszę dotrzymać, ale nie przeszkodzi ci to w Twojej kampanii, o Wielki Królu. Obiecałem im odebranie wyspy Delos Rzymianom, którzy teraz nią władają. Jest to znakomicie prosperujące emporium, z którego wpływy utrzymywały Ateny w dostatku w czasach potęgi. Na początku gamelionu mój przyjaciel Apellikon (znakomity dowódca floty) poprowadzi wyprawę na Delos. Jak zgniłe jabłko, wyspa nie ma żadnych szans w walce z nami.*

*I to wszystko w chwili obecnej, mój Władco i Panie. Ateny są Twoje, a port w Pireusie jest otwarty dla Twych okrętów, kiedy będziesz ich potrzebował.*

Król potrzebował ich, Pireusu i Aten poza nim, połączonych Długimi Murami. Pod koniec kwinktylisa bowiem - dla Greków gamelionu - flota Archelaosa wypłynęła z Hellespontu i rozciągnęła, po zachodniej stronie Morza Egejskiego. Liczyła trzysta krytych trójrzędowców, ponad sto otwartych dwurzędowych birem i półtora tysiąca transportowców załadowanych wojskiem. Archelaos nie marnował czasu na przybrzeżne wody Azji, bo i tak były w rękach jego króla. Skupił się na utworzeniu pontyjskiej obecności w Grecji, aby Macedonia znalazła się między dwoma armiami - jego własną w Grecji i tą Ariaratesa Młodszeo we wschodniej części Macedonii.

Ariarates Młodszy również trzymał się terminów narzuconych mu przez jego ojca-króla. W końcu kwinktylisa przetransportował swoje sto tysięcy ludzi przez Hellespont i zaczął marsz przez wąski nadbrzeżny pas Macedonii trackiej, korzystając ze zbudowanej przez Rzymian Via Egnatia. Nie napotkał żadnego oporu, założył stałe bazy w Abderze nad morzem i w Filippi i maszerował dalej na zachód ku pierwszemu wielkiemu rzymskiemu miastu, Tessalonikom, siedzibie namiestnika prowincji.

W końcu kwinktylisa obywatele rzymscy, latiońscy i italscy przebywający w Bitynii, prowincji Azji, Frygii i Pizydii zostali wymordowani do ostatniego mężczyzny, kobiety, dziecka i niewolnika. W tym najtajniejszym z trzech rozkazów Mitrydates okazał ogromną przebiegłość. Zamiast użyć własnych ludzi do wprowadzenia go w życie, król polecił jego wykonanie wszystkim lokalnym społecznościom Greków eolskich, jońskich i doryckich. Wiele okręgów powitało dekret z radością i nie miało żadnych trudności ze zgromadzeniem oddziałów ochotników, gotowych pozabijać swych rzymskich ciemżycieli. Niektóre okręgi były jednak przerażone i uznały za niemożliwe namówienie kogoś do zabijania Rzymian. Etnarcha Tralles był zmuszony wynająć bandę frygijskich najemników do mordowania w imieniu Tralles, a inne niechętnie okręgi poszły za tym przykładem, mając nadzieję, że przerzucą winę na ramiona cudzoziemców.

Osiemdziesiąt tysięcy obywateli rzymskich, latiońskich i italskich wraz z



rodzinami zginęło w ciągu jednego dnia, i siedemdziesiąt tysięcy niewolników. Rzeź odbywała się od Nikomedii w Bitynii do Knidos w Karii i do odległej wyspy Apamei. Nie oszczędzono nikogo, nikogo też nie ukryto i nie udzielono pomocy w ucieczce. Strach przed królem Mitrydatesem przeważał nad ludzkim współczuciem. Gdyby Mitrydates użył do przeprowadzenia masakry własnych żołnierzy, wina obciążałaby wyłącznie jego; zmuszając jednak wspólnoty greckie do wykonania brudnej roboty, czynił je współwinnymi. Grecy doskonale rozumieli jego pobudki i życie pod władzą Mitrydatesa, króla Pontu, nagle przestało im się wydawać lepsze niż życie pod władzą Rzymu, mimo zmniejszenia podatków.

Wielu prześladowanych szukało schronienia w świątyniach, by się przekonać, że im go nie udzielią. Odciągano ich i wyprawiano na tamten świat, wciąż wzywających pomocy tego czy innego boga. Tym, którzy nie chcieli porzucić ołtarzy i posągów bóstw i czepiali się ich z nadludzką siłą, odrąbano ręce, wyciągano ze świętych okręgów i zabijano.

Najgorsza z wszystkiego była ostatnia klauzula rozkazu o egzekucji, własnoręcznie zapieczętowanego przez króla Mitrydatesa. Żaden Rzymianin, Latyńczyk ani Italczyk, ani też żaden niewolnik Rzymianina, Latyńczyka ani Italczyka nie miał być spalony ani pogrzebany. Zwłoki należało odciągnąć jak najdalej od ludzkich siedzib i porzucić w rozpadlinach, zamkniętych dolinach, na szczytach gór i na dnie morza. Osiemdziesiąt tysięcy Rzymian, Latynów i Italczyków, i siedemdziesiąt tysięcy niewolników. Sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Drapieżne ptaki i padlinożerne zwierzęta ucztowały przez cały sekstyliś, bo żadna wspólnota nie ośmieliła się pochować ofiar. Król Mitrydates z wielką przyjemnością podróżował z miejsca na miejsce, oglądając olbrzymie stosy trupów.

Tylko bardzo nieliczni Rzymianie uszli śmierci. Byli to wygnańcy pozbawieni obywatelstwa, z wyrokami zakazującymi powrotu do Rzymu. Między nimi znalazł się niejaki Publiusz Rutyliusz Rufus, przyjaciel wielkich Rzymian, obecnie szanowany obywatel Smyrny i autor złośliwych portretów literackich ludzi w rodzaju Katulusa Cezara i Metellusa Numidyjskiego Świnki-Szczecinki.

Na początku miesiąca antesterion, czyli rzymskiego sekstyliśa, król Mitrydates uważał, że sprawy nie mogły wyglądać lepiej. Jego satrapowie mieli udział w rządach od Miletu do Andramyttium w prowincji Azji i za granicą w Bitynii. W Bitynii nie było już królów. Jedyne kandydat, któremu Mitrydates pozwoliłby zasiąść na tronie, już nie żył. Kiedy Sokrates wrócił do Pontu, jego nieustanne jęki tak zirytowały króla, że kazał go zabić, by go uciszyć. Cała Anatolia na północ od Licji, Pamfilii i Cylicji należały teraz do Pontu, a reszta wkrótce miała być jego.

Nic jednak nie sprawiło królowi tyle przyjemności, co masakra Rzymian, Latynów i Italczyków. Za każdym razem, kiedy przejeżdżał obok nowego



miejsca, gdzie zwalono tysiące ciał, promieniał, śmiał się i radował. Poleciał nie robić żadnych różnic między Rzymianami a Italczykami, chociaż wiedział, że Rzym i Italia toczą wojnę. Nikt lepiej niż on nie rozumiał tego fenomenu - bratobójczej walki o władzę.

Tak, wszystko szło doskonale. Jego syn Mitrydates Młodszy był regentem w Poncie (roztropny król zabrał ze sobą do prowincji Azji żonę i dzieci, by mieć pewność, że Mitrydates Młodszy zachowa się jak należy), jego syn Ariarates był królem Kapadocji, Frygia, Bitynia, Galacja i Paflagonia były królewskimi satrapiami pod osobistymi rządami kilku jego starszych synów, a zięć Tigranes, król Armenii, miał wolną rękę na wschód od Kapadocji, o ile nie będzie deptać Pontowi po piętach. Niech Tigranes podbija Syrię i Egipt, to mu da zajęcie. Mitrydates zmarszczył brwi. W Egipcie ludność nie toleruje żadnych obcych królów. To oznaczało jakiegoś marionetkowego Ptolemeusza, jeżeli uda się kogoś takiego znaleźć. Z pewnością jednak królowe Egiptu będą potomkiniami Mitrydatesa. Córka Tigranesa nie będzie uzurpować sobie pozycji przeznaczonych dla córki Mitrydatesa.

Najbardziej imponujący był sukces królewskiej floty - jeśli pominąć żalostną porażkę Arystiona i jego „znakomitego dowódcy floty” Apellikona, bo ateńska inwazja na Delos okazała się fiaskiem. Zająwszy jednak Cyklady, admirał Archelaosa, Metrofanos, zajął następnie Delos i posłał tam na śmierć kolejne dwadzieścia tysięcy Rzymian, Latynów i Italczyków. Pontyjski wódz przekazał następnie Delos Atenom, by zapewnić Arystionowi utrzymanie się u władzy. Flota pontyjską potrzebowała Pireusu jako swej zachodniej bazy.

W rękach pontyjskich była teraz cała Eubeja, wyspa Skiantos i wielka część Tesalii wokół zatoki Pagasaj, z ważnymi portami Demetrias i Metone. Dzięki swym podbojom w północnej Grecji, siły pontyjskie mogły blokować drogi z Tesalii do Grecji Środkowej, co zadecydowało, że większa część Grecji opowiedziała się za Mitrydatesem. Peloponez, Beocja, Lakonia i cała Attyka okrzyknęły króla Pontu ich wyzwolicielem od dominacji Rzymian - i zajęły miejsca na widowni, by zobaczyć, jak armie i floty Mitrydatesa zgniotą Macedonię niczym żuka pod obcasem.

Zgniecenie Macedonii okazało się jednak - przynajmniej na razie - niemożliwością. Schwytni między nagle wrogą Grecję a pontyjskie siły lądowe, posuwające się naprzód po Via Egnatia, Gajusz Sencjusz i Kwintus Brucjusz Sura nie wpadli w panikę i nie uznali się za pobitych. Pośpiesznie powołali tyle wojsk posiłkowych, ile się dało, i zamknęli je w obozie wraz z dwoma legionami rzymskimi. Było to wszystko, co mogli przeciwstawić Mitrydatesowi, Pont będzie jednak musiał drogo zapłacić za zajęcie Macedonii.





Późnym latem król Mitrydates zaczął się trochę nudzić. Był teraz niekwestionowanym panem Azji Mniejszej i zadomowił się już w Pergamonie. Jedynym interesującym zajęciem pozostało odwiedzanie pagórków z ludzkich zwłok, ale najbardziej okazałe z tych pomników oglądał już wcześniej. Z wyjątkiem okręgu w górze rzeki Kaikos, nad którą leżał Pergamon. W prowincji Azji były dwa miasta o nazwie Stratonicea. Większe z nich, leżące w Karii, nadal uparcie opierało się oblegającym je siłom pontyjskim. Mniejsza Stratonicea leżała w głębi lądu nad Kaikosem i ślubowała całkowitą lojalność Mitrydatesowi. Kiedy król wjechał do miasta, jego mieszkańcy wylegli tłumnie, by go powitać, i sypali przed nim płatki kwiatów na drogę.

W tym tłumie wpadła mu w oko grecka dziewczyna imieniem Monima, którą kazał natychmiast przyprowadzić. Miała włosy tak jasne, że wydawały się białe, a brwi i rzęsy niewidoczne, co obdarzyło ją dziwnie przejrzystą urodą. Przyjrząwszy się jej z bliska, król dołączył ją do swych żon, tak była niezwykła ze swymi błyszczącymi ciemnoróżowymi oczami. Nie napotkał żadnego sprzeciwu ze strony jej ojca Filopojmona, zwłaszcza po tym, jak zabrał Filopojmona (i Monimę) do Efezu, gdzie uczynił swego teścia satrapą regionu.

Ciesząc się rozrywkami, z których Efez słynął - i swoją młodą żoną albinoską - król poświęcił innym sprawom dość czasu, by wysłać na Rodos krótki list z żądaniem poddania się i wydania zbiegłego namiestnika Gajusza Kasjusza Longina. Szybko dostarczona odpowiedź na oba żądania była odmowna; Rodos jest przyjacielem i sprzymierzeńcem ludu rzymskiego i dotrzyma zobowiązań do śmierci, jeśli będzie trzeba.

Po raz pierwszy od początku kampanii Mitrydates wpadł w złość. Dwór pontyjski i co bardziej przedsiębiorczy z pochlebców efeskich trzęśli się ze strachu, a król biegał tam i z powrotem po sali posłuchań, dopóki złość nie wyparowała i nie usiadł ciężko na tronie, podpierając brodę ręką i wydymając wargi. Na mięsistych policzkach miał ślady łez.

Od tej chwili stracił zainteresowanie dla wszystkich innych przedsięwzięć i skupił całą swą energię na zapewnieniu sobie uległości Rodos. Jak śmieli powiedzieć mu „nie”! Czy takie maleństwo jak Rodos może stawić opór potędze Pontu? Wkrótce zobaczą, że są bez szans.

Jego własna flota zbyt była zaangażowana po zachodniej stronie Morza Egejskiego, by ją uszczuplać dla tak nieważnej kampanii przeciw małej wyspie Rodos. Zamiast tego król zażądał, aby Smyrna, Efez, Priene, Milet, Halikarnas i wyspy Chios i Samos, dały mu wszystkie okręty, których potrzebował. Wojsk lądowych miał mnóstwo, bo zatrzymał w Azji dwie armie, ale wskutek zaciętego oporu licyjskiej Patary i Tennesos nie mógł ściągnąć tych sił na miejsce najodpowiedniejsze do inwazji na Rodos - a mianowicie na plaże i



zatoki Licji. Flota rodyjska cieszyła się zasłużenie groźną reputacją i była skupiona po zachodniej stronie Rodos, strzegąc tego morza, nad którym leżały Halikarnas i Knidos. Nie mogąc jednak wykorzystać Licji, inwazyjne siły Mitrydatesa musiały płynąć tą właśnie drogą.

Zażądał setek statków transportowych i tylu okrętów wojennych, ile się ich znajdzie w prowincji Azji, nakazując zgromadzenie ich w Halikarnasie - do tego miasta, tak ukochanego przez Gajusza Mariusza, sprowadził jedną ze swych armii dla zaokrętowania. I w końcu września odpłynął. Jego własny olbrzymi sześciorzędowiec łatwo było rozpoznać w tłoku po złotym i purpurowym tronie wzniesionym pod baldachimem na rufie. Tutaj siedział, czując się panem wszystkiego, co widział, i rozkoszując się tym widokiem.

Chociaż największe okręty były ciężkie i powolne, płynęły jednak szybciej niż statki transportowe, pstra zbieranina wszelkiego rodzaju przybrzeżnych transportowców, nie przeznaczonych do czegoś więcej niż pływanie wzdłuż brzegu. W czasie gdy czołówka floty okrążała cypel Półwyspu Knidyjskiego i wpływała na otwarte wody Morza Karpackiego, olbrzymia liczba statków rozciągnęła się wzdłuż całej drogi z Halikarnasu, gdzie ostatnie transportowce dopiero opuszczały port załadowane przerażonymi żołnierzami pontyjskimi.

Flota rodyjska, złożona z lekkich i szybkich trójrzędowców, częściowo tylko przykrytych pokładami, pojawiła się na horyzoncie i skierowała wprost na naprędce skleconą flotę pontyjską. Taktyka rodyjska nie polegała na atakowaniu wielkich okrętów w rodzaju sześciorzędowca, na którym zasiadał Mitrydates. Takie okręty flagowe przewoziły licznych żołnierzy piechoty morskiej i wiele katapult. Rodyjczycy lekceważyli przydatność katapult w bitwach morskich i nie brali na pokład piechoty morskiej. Rodyjska flota zawdzięczała swoją sławę szybkości i niezwyklej zwrotności okrętów, zdolnych do rzucania się między ociężałe okręty flagowe. Załogi tak potężnie napierały na wiosła przy uderzeniach taranami, że z nadwyżką nadrabiały szybkością niedostatek ciężaru, a okuty spizem dębowy dziób rodyjskiego trójrzędowca pograżał się głęboko w boku najcięższego sześciorzędowca. Rodyjczycy mawiali, że jedyną drogą do decydującego zwycięstwa na morzu jest dziurawienie nieprzyjacielskich okrętów.

Kiedy flota pontyjską dostrzegła rodyjską, była przygotowana na wielką bitwę. Okazało się jednak, że Rodos wykonała jedynie wypad. Przyprawiwszy Pontyjczyków o zawrót głowy szybkością swoich zwrotów, Rodyjczycy zawrócili i odpłynęli, przebijając jedynie burty dwóch szczególnie nieruchawych pięciorzędowców. Zanim jednak opuścili scenę wydarzeń, udało im się śmiertelnie wystraszyć króla Mitrydatesa. Była to jego pierwsza bitwa morska, bo dotąd żeglował tylko po Euksynie, gdzie nawet najzuchwalsi piraci nie wazyli się napadać na okręty pontyjskie.

Podniecony i zafascynowany król siedział na swym złotym i purpurowym



tronie, rozglądając się dookoła. Nie przyszło mu nawet do głowy, że mógłby znaleźć się w niebezpieczeństwie. Wychylił się na lewo, przyglądając się wspaniale prowadzonej rodyjskiej galerze za rufą, gdy nagle jego ogromny okręt przechylił się i zatrząsł konwulsyjnie, a trzask łamanych jak gałązki wiosel zmieszał się z okrzykami przerażenia.

Nagła i wszechogarniająca panika minęła prawie natychmiast, ale nie dość szybko. W krótkiej chwili całkowitego przerażenia król Pontu się zesrał. Cuchnąca, niewiarygodnie obfita, płynna zawartość jego kiszek pokryła haftowaną złotem purpurę poduszek, ściekając po nogach tronu i jego własnych nogach, na grzywy złotych lwów na językach butów i na pokład. Zerwał się. Nie było dokąd iść! Nie mógł się ukryć przed zdumionymi oczami swych przybocznych i oficerów, ani przed żeglarzami ze śródokręcia, którzy instynktownie spojrzeli w górę, sprawdzając, czy ich król jest bezpieczny.

Potem zrozumiał, że okręt wcale nie został staranowany. Jeden z jego własnych okrętów, wielki i niezwrotny sześciorzędowiec z wyspy Chios, otarł się burtą o dziób jego okrętu i strzaskał wszystkie wiosła po jednej stronie.

Czy w ich oczach było zdumienie? Czy było to rozbawienie? Wytrzeszczone oczy króla przypatrywały się z furią ich twarzom, obserwowały, jak każda z nich czerwieniała, a potem bladła, niczym przezroczysty puchar z winem nagle opróżniony.

- Jestem chory! - krzyknął. - Jestem chory! Pomóżcie mi, głupcy! - Natychmiast oprzytomnieli. Rzucili się do niego ze wszystkich stron. Ścierki zdawały się pojawiać znikąd. Dwaj najszybciej myślący chwycili wiadra i zlali króla morską wodą. Gdy chłodna zawartość wiader oblała mu nogi, król wpadł na lepszy pomysł uporania się z tą upiorną sytuacją. Zadarł głowę i ryknął ze śmiechem: - Dalej, głupcy, umyjcie mnie!

Podniósł złociste *pteryges*, połączoną kolczugę pod nimi i purpurową tunikę pod kolczugą, demonstrując potężne uda, jędrne pośladki, a z przodu mocarny instrument, którym spłodził pół setki krzepkich synów. Kiedy co najgorsze zostało zmyte z jego dolnych partii na pokład, zdarł z siebie resztę ubrania i stanął nago na wysokiej rufie, pokazując oszołomionej załodze, jakim to wspaniałym okazem męskości jest ich król. Wciąż śmiał się, żartował, a od czasu do czasu chwytał się za brzuch i jęczał dla większego efektu.

Później jednak, gdy flota rodyjska zniknęła i rozdzielono oba pontyjskie sześciorzędowce, a na starannie oczyszczonym tronie ułożono czyste poduszki, przebrany już król skinął na dowódcę swego okrętu.

- Czatownik i pilot tego okrętu, kapitanie. Chcę, by im wyrwano języki, ucięto jądra, wyłupiono oczy i odrąbano ręce. Potem puścić ich wolno z żebraczymi miseczkami. Na okręcie z Chios ta sama kara ma spotkać czatownika, pilota i dowódcę okrętu. Wszyscy inni na okręcie z Chios mają zostać zabici. I nigdy nie każ mi zbliżać się do tej nikczemnej wyspy ani do jej mieszkańców. Czy



zaczynasz rozumieć, kapitanie?

Dowódca okrętu przełknął ślinę i przymknął oczy.

- Tak, o Wielki, rozumiem. - Odchrząknął i zdławionym głosem przedstawił problem, którego nie mógł przemilczeć. - Potężny królu, muszę zawinąć gdzieś po wiosła. Nie mam wystarczająco wielu zapasowych. Nie możemy płynąć dalej w tym stanie.

Wyglądało na to, że król dobrze przyjął tę wiadomość. Spytał dość łagodnym głosem:

- Dokąd proponujesz zawinąć?

- Do Knidos albo Kos. Nigdzie dalej na południe.

Wyraz zainteresowania czymś innym niż jego publiczne poniżenie pojawił się w oczach króla.

- Kos! - wykrzyknął. - Płyn do Kos! Mam na pieńku z kapłanami Asklepiosa. Udzielili azylu Rzymianom. Chętnie też obejrzą ich skarby. I złoto. Tak, płyn do Kos, kapitanie.

- Księżę Pelopidas chce się z tobą widzieć, o Wielki.

- Jeśli chce się ze mną widzieć, na co czeka?

Nadal był niebezpieczny. Nigdy nie był bardziej niebezpieczny niż wtedy, kiedy się śmiał, nie będąc rozbawionym. Byle co mogło go wytrącić z równowagi - niewłaściwe słowo, niewłaściwe spojrzenie, nieodgadnięcie jego myśli. Gdy Pelopidas pojawił się przed tronem, zanim król zdążyłby strzelić palcami, był przerażony, bardzo się jednak starał tego nie okazać.

- I cóż, o co chodzi?

- O Wielki, słyszałem, że kazałeś skierować ten okręt do Kos dla naprawy. Czy mogę przesiąść się na inny i płynąć dalej na Rodos? Sądzę, że chcesz mnie tam mieć, gdy twoje wojska wylądują - chyba że sam chcesz się przenieść na inny okręt, a w takim razie mogę tu zostać, żeby dopilnować wszystkiego. Udziel mi, proszę, instrukcji, o Potężny królu.

- Płyn na Rodos. Zostawiam ci wybór miejsca lądowania. Niezbyt daleko od miasta Rodos, żeby nie utrudzić armii pochodem. Załóż obóz i czekaj na moje przybycie.



Gdy sześciorzędowiec zawinął do przystani w mieście Kos na wyspie Kos, król Mitrydates pozostawił dowódcy okrętu załatwienie sprawy wiosła, sam zaś popłynął na brzeg w smukłej wielowiosłowej łodzi. Potem z miejsca udał się ze swoją strażą przyboczną do świętego okręgu boga uzdrowień Asklepiosa, leżącego na przedmieściach. Poruszał się tak szybko, że nie został rozpoznany, kiedy wchodził na dziedziniec sanktuarium i głośnym rykiem pytał, kto tu rządzi - była to typowa dla niego obraźliwa odzywka, bo dobrze wiedział, że rządzi najwyższy kapłan.

- Co to za arogancki parweniusz? - spytał jeden kapłan drugiego, tak, by



dotarło to do uszu Mitrydatesa.

- Jam jest Mitrydates, król Pontu, a wy jesteście martwi.

Tak więc, zanim przybył najwyższy kapłan, dwaj jego słudzy leżeli pozbawieni głów między nim a jego gościem. Subtelny i inteligentny najwyższy kapłan odgadł, kim jest jego nieznany gość, gdy tylko usłyszał o jakiejś wielkiej małpie w złocie i purpurze przyzywającej go krzykiem.

- Witaj w świętym okręgu Asklepiosa na Kos, królu Mitrydatesie - powiedział chłodno najwyższy kapłan, nie okazując strachu.

- Słyszę, że to samo mówisz Rzymianom.

- Mówię to wszystkim.

- Nie Rzymianom, których kazałem zabić.

- Gdybyś ty tu przyszedł, prosząc o azyl, uzyskałbyś go na podobnych warunkach, królu Mitrydatesie. Bóg Asklepios nie ma ulubieńców i wszyscy ludzie potrzebują go w takim czy innym czasie. Mądrze jest o tym pamiętać. On jest bogiem życia, a nie śmierci.

- Dobrze! Niech to będzie dla ciebie karą. - Król wskazał dwóch martwych kapłanów.

- To kara dwukrotnie większa, niż powinna być.

- Nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę, najwyższy kapłanie! Pokaż mi teraz swoje księgi, i to nie te, które trzymasz dla rzymskiego namiestnika.

Asklepiejon na Kos był największą instytucją bankową w świecie, nie licząc egipskiego banku państwowego, a rozwinął się tak bardzo dzięki bystrości rozumu długiego szeregu kapłanów-administratorów. Powstał pod egidą egipskich Ptolemeuszy - Kos należała kiedyś do Egiptu - zatem jego rozwój jako instytucji zajmującej się obrotem pieniędzmi był logicznym przedłużeniem egipskiego systemu bankowego. Z początku świątynia była typowym sanktuarium, podobnym do innych. Poświęcony uzdrawianiu i higienie Asklepejon był pomysłem uczniów Hipokratesa i pierwotnie uprawiał sztukę leczenia snami i ich interpretacji, jak to nadal praktykowano w świątyniach Epidauros i Pergamonu. Po upływie pokoleń i po zajęciu Kos przez egipskich Ptolemeuszy pieniądze zastąpiły uzdrowienia jako główne źródło dochodów świątyni, a kapłani przesiąkli raczej wszystkim, co egipskie niż greckie.

Święty okrąg był ogromny, a jego budowle rozrzucone po wspaniale utrzymanym parku - gimnazjon, agora, sklepy, łaźnie, biblioteka, kolegium kapłańskie, udogodnienia dla zamieszkałych tu uczniów, domy i kwatery niewolników, pałac najwyższego kapłana, nekropolis na wydzielonym terenie, kręgi podziemnych sypialni, szpital, wielki kompleks poświęcony bankowości i świątynia boga w otoczeniu świętego gaju platanowego.

Posąg boga nie był złoty ani chryzelefantynowy. Wyrzeźbiony przez Praksytelesa w białym marmurze paryjskim, przedstawiał brodatego boga



przypominającego Zeusa, opartego na wysokiej lasce, wokół której owinięty był wąż. Wyciągnięta prawa ręka trzymała tabliczkę, a u nóg leżał wielki leniwy pies. Posąg pomalowany przez Nikiasza wyglądał jak żywy. W przyćmionym świetle szata zdawała się poruszać za sprawą drobnych ruchów mięśni. Błękitne oczy boga błyszczały całkiem ludzką radością.

Nic z tego wszystkiego nie oczarowało króla, który uznał, że posąg w świątyni boga jest lichy i niewart zrabowania. Potem zasiadł do ksiąg i powiadomił najwyższego kapłana, co zamierza skonfiskować. Całe rzymskie złoto złożone w depozycie, oczywiście, osiemset talentów złota na długoterminowym depozycie z Wielkiej Świątyni w Jerozolimie, której synod był na tyle ostrożny, by zabezpieczyć fundusz awaryjny przed zakusami Seleucydów i Ptolemeusza, a także trzy tysiące talentów złota przywiezione do świątyni przed czternastu laty przez starą królową egipską Kleopatę.

- Widzę, że królowa Egiptu powierzyła ci też opiekę nad trzema synami - zauważył Mitrydates.

Ale najwyższy kapłan martwił się bardziej o swoje złoto i starał się odpowiedzieć tonem raczej chłodnym niż gniewnym.

- Królu Mitrydatesie, nie trzymamy tu naszego złota. My je pożyczamy!

- Nie pytałem cię o to - rzekł król nieprzyjemnym tonem. - Prosiłem cię o, powiedzmy, pięć tysięcy talentów złota rzymskiego, trzy tysiące talentów egipskiego i osiemset talentów żydowskiego. Niewielki procent tego, co jest zapisane w twoich księgach, najwyższy kapłanie.

- Ależ wydanie ci prawie dziewięciu tysięcy talentów złota pozostawiłoby nas bez żadnych rezerw!

- Szkoda - powiedział król, wstając zza stołu, na którym oglądał rejestry świątyni. - Wydaj je, najwyższy kapłanie, albo będziesz oglądał twój święty okrąg starty na proch, zanim sam się w proch obrócisz. A teraz pokaż mi tych trzech egipskich chłopców.

Najwyższy kapłan ustąpił przed nieuniknionym.

- Dostaniesz złoto, królu Mitrydatesie - powiedział bezbarwnym głosem. - Czy przysłać ci tu egipskich królewiczów?

- Nie, wolę ich obejrzeć w świetle dziennym.

Mitrydates szukał oczywiście swego marionetkowego Ptolemeusza. Czekał niecierpliwie, aż przyprowadzą mu ich na miejsce, gdzie przechadzał się w cieniu pod gałęziami sosen i cedrów.

- Ustaw tych trzech tam - powiedział, wskazując miejsce o dwadzieścia stóp od siebie - a ty, najwyższy kapłanie, podejdź do mnie. Co to za jeden? - spytał, wskazując najstarszego z trójki, młodego człowieka w powiewnej szacie.

- To jest prawowity syn króla Egiptu Ptolemeusza Aleksandra i następcą tronu.

- Czemu jest tu, a nie w Aleksandrii?



- Jego babka, która go tu przywiozła, obawiała się o jego życie. Kazała nam obiecać, że zatrzymamy go tu, dopóki nie odziedziczy tronu.

- Ile ma lat?

- Dwadzieścia pięć.

- Kto był jego matką?

Wpływy egipskie w Asklepiejonie na Kos przejawiały się w tonie, jakim odpowiadał najwyższy kapłan; najwyraźniej uważał ród Ptolemeusza za znacznie dostojniejszy niż ród Mitrydatesa.

- Jego matką była Kleopatra IV.

- Ta, która go tu przywiozła?

- Nie, to była Kleopatra III, jego babka. Jego matka była córką jej i króla Ptolemeusza Brzuchacza.

- I żoną ich młodszego syna Aleksandra?

- To później. Najpierw była żoną ich starszego syna i miała z nim córkę.

- To ma więcej sensu. Najstarsza córka zawsze wychodzi za najstarszego syna, jak słyszałem.

- Tak zwykle jest, ale nie jest to konieczne. Stara królowa nie cierpiała zarówno najstarszej córki, jak i najstarszego syna. Zmusiła więc ich do rozwodu. Kleopatra Młodsza uciekła na Cypr, gdzie poślubiła swego młodszego brata i urodziła mu tego młodego człowieka.

- I co się z nią stało? - Król był żywo zainteresowany.

- Stara królowa zmusiła Aleksandra do rozwodu z nią, uciekła więc do Syrii, gdzie wyszła za Antiocha Kyzikenosa, który wojował ze swym kuzynem Antiochem Gryposem. Kiedy Kyzikenos został pokonany, zarąbano ją przy ołtarzu Apollina w Dafne. Sprawczynią tego mordy była jej własna siostra, żona Gryposa.

- Całkiem jak w mojej rodzinie - uśmiechnął się szeroko Mitrydates.

Najwyższy kapłan nie uważał tego za zabawne, ciągnął więc dalej, jakby nie słyszał tej uwagi.

- Stara królowa zdołała w końcu usunąć swego starszego syna z Egiptu i sprowadziła Aleksandra, ojca tego młodzieńca, aby rządził z nią razem jako król. Ten młody człowiek udał się wraz z nim do Egiptu. Aleksander bał się jednak matki i nienawidził jej. Przeczuwała chyba, na co się zanosi, chociaż nie wiem na pewno. Z pewnością jednak przybyła na Kos czternaście lat temu z kilkoma statkami pełnymi złota i z trzema wnukami, prosząc o opiekę nad nimi. Wkrótce po jej powrocie do Egiptu król Ptolemeusz Aleksander kazał ją zamordować. - Najwyższy kapłan westchnął. Najwyraźniej lubił starą królową Kleopatę, trzecią tego imienia. - Aleksander ożenił się potem z Bereniką, córką swego starszego brata Sotera i Kleopatry Młodszej, która była żoną ich obu,

- Więc król Ptolemeusz Aleksander rządzi Egiptem ze swoją bratanicą królową Bereniką, ciotką tego młodzieńca, a także jego siostrą przyrodnią?



- Niestety, nie! Jego poddani usunęli go pół roku temu. Zginął w bitwie morskiej, usiłując odzyskać tron.

- Zatem ten młodzieniec powinien być teraz królem Egiptu!

- Nie - odparł najwyższy kapłan, starając się nie okazać zadowolenia z dezorientacji swego nieproszonego gościa. - Starszy brat króla Ptolemeusza Aleksandra, Soter, nadal żyje. Kiedy naród usunął Aleksandra, sprowadzono Ptolemeusza Sotera, żeby rządził zamiast niego. I właśnie to robi ze swoją córką Bereniką jako królową, chociaż nie może jej poślubić, oczywiście. Ptolemeusze mogą się żenić tylko z siostrami, bratanicami albo kuzynkami.

- Czy Soter nie miał innej żony, po tym jak stara królowa zmusiła go do rozwodu z Kleopatrami Młodsza? Czy nie miał więcej dzieci?

- Tak, ożenił się ponownie. Ze swoją młodszą siostrą Kleopatrami Selene. Mieli dwóch synów.

- A jednak następcą tronu jest ten młody człowiek?

- Tak. Kiedy Ptolemeusz Soter umrze, on odziedziczy tron.

- Dobrze, dobrze! - Mitrydates zacierał ręce z radości. - Widzę, że muszę go wziąć pod swoją opiekę, najwyższy kapłanie. I dopilnować, żeby ożenił się z jedną z moich córek.

- Możesz spróbować - powiedział sucho najwyższy kapłan.

- Spróbować? Co masz na myśli?

- On nie lubi kobiet i nie chce mieć z nimi do czynienia w żadnych okolicznościach.

Mitrydates wydał odgłos irytacji i wzruszył ramionami.

- Nie będzie więc miał dziedziców! I tak go jednak biorę. - Wskazał dwóch innych, jeszcze młodzików. - Jak rozumiem, ci dwaj są synami Sotera i jego drugiej siostry-żony Kleopatrami Selene?

- Nie - odparł najwyższy kapłan. - Stara królowa przywiozła tu synów Sotera i Kleopatrami Selene, ale zmarli wkrótce potem. Ci chłopcy są młodsi.

- Kogo więc tu mamy?! - wykrzyknął wyczerpany Mitrydates.

- To są synowie Sotera i jego królewskiej konkubiny, królowny nabatejskiej Arsinoe. Urodzili się w Syrii podczas wojen Sotera z matką i z kuzynem Antiochem Gryposem. Gdy Soter opuścił Syrię, nie zabrał ze sobą tych chłopców ani ich matki; zostawił ich pod opieką swego syryjskiego sprzymierzeńca i kuzyna Antiocha Kyzikenosa. Spędzili dzieciństwo w Syrii. Potem, przed ośmiu laty, Grypos został zamordowany, a Kyzikenos stał się jedynym królem Syrii. Żoną Gryposa była wtedy Kleopatra Selene. Poślubił ją zamiast pierwszej żony, siostry średniego Ptolemeusza, która zmarła w dość okropny sposób.

- Jak okropny? - spytał król, przyjmujący to wszystko bez zdziwienia, bo dzieje jego własnej rodziny były podobne, choć nie otoczone tym blaskiem, który zawsze był udziałem Ptolemeuszy egipskich.



- Zamordowała Kleopatę Młodszą, jak ci mówiłem, przy ołtarzu Apollina w Dafne. Kyzikenos schwytał ją jednak i skazał na śmierć bardzo, ale to bardzo powolną.

- Więc młodszą siostrą Sotera, Kleopatra Selene nie była długo wdową po śmierci Gryposa. Poślubiła Kyzikenosa.

- Zgadza się, królu Mitrydatesie. Nie znosiła jednak tych dwóch chłopców. Ma to coś wspólnego z jej pierwszym małżeństwem z Soterem, do którego czuła wstręt. To ona przysłała ich tu przed pięciu laty.

- Po śmierci Kyzikenosa, niewątpliwie, poślubiła jego syna. I nadal panuje w Syrii jako królowa Kleopatra Selene.

Najwyższy kapłan uniósł brwi.

- Widzę, że całkiem dobrze znasz dzieje rodu Seleukidów.

- Trochę znam. Jestem z nimi spokrewniony - powiedział król. - W jakim wieku są chłopcy i jak się nazywają?

- Starszy to, jak należy, Ptolemeusz Filadelfos, ale nadaliśmy mu przydomek Auletes, bo kiedy do nas trafił, głos miał jak piszczałka. Z przyjemnością mogę powiedzieć, że wraz z dojrzałością i dzięki naszym naukom przestał piszczeć. Ma teraz szesnaście lat. Młodszy ma piętnaście. Wołamy go jego jedynym imieniem, Ptolemeusz. Miły chłopak, ale leni. - Najwyższy kapłan westchnął na modłę cierpliwego, ale rozczarowanego ojca. - Boję się, że lenistwo leży w jego naturze.

- W istocie więc ci dwaj młodsi chłopcy są przyszłością Egiptu - mówił w zamyśleniu Mitrydates. - Kłopot w tym, że są bękartami. To chyba oznacza, że nie mogą dziedziczyć.

- Nie są całkiem czystej krwi, to prawda - przyznał najwyższy kapłan. - Jeśli jednak ich przyrodni brat Aleksander nie zdoła się rozmnożyć, co się wydaje pewne, oni pozostaną jedynymi Ptolemeuszami. Otrzymałem list od ich ojca, króla Ptolemeusza Sotera, z prośbą o odesłanie mu ich natychmiast. Jest teraz znowu królem - nie ma jednak królowej, którą mógłby poślubić - i chce pokazać synów poddanym, którzy już okazali gotowość uznania tych chłopców za następców.

- Nie ma szczęścia - powiedział niedbale Mitrydates. - Zabieram ich ze sobą. Będę miał dzięki temu pewność, że ożenią się z moimi córkami. Ich dzieci będą moimi wnukami. - Głos mu się zmienił. - Co się stało z ich matką, Arsinoe?

- Nie wiem. Myślę, że Kleopatra Selene kazała ją zabić wtedy, kiedy przysłała jej synów do nas na Kos. Chłopcy nie są pewni, ale się tego lękają.

- A jaki jest rodowód Arsinoe? Czy dość dobry?

- Arsinoe była najstarszą córką króla Nabatei Aretasa i jego królową. Nabatejczycy tradycyjnie posyłali swoją najpiękniejszą córkę królowi Egiptu jako konkubinę. Czy może istnieć zaszczytniejszy związek dla tych mniejszych semickich rodów królewskich? Matka starego króla Aretasa była Seleucydą z



królewskiego rodu syryjskiego. Jego żona - matka Arsinoe - była córką króla Syrii Demetriusza Nikanora i partyjskiej królowy Rodogune, a więc także Seleucydką z domieszką krwi Arsacydów. Powiedziałbym, że rodowód Arsinoe jest znakomity - zakończył najwyższy kapłan.

- O tak, mam jedną z nich wśród swoich żon! - powiedział z uczuciem król Pontu. - Miłe stworzenie imieniem Antiochis, córka Demetriusza Nikanora i Rodogune. Mam z nią trzech wspaniałych synów i dwie córki. Dziewczęta będą doskonałymi żonami dla tych chłopców, doskonałymi! Piękne skupienie linii krwi.

- Sądzę, że król Ptolemeusz Soter chce ożenić Ptolemeusza Auletasa ze swoją przyrodnią siostrą i ciotką, królową Bereniką - oznajmił najwyższy kapłan. - U Egipcjan takie skupienie linii krwi będzie znacznie lepiej widziane.

- Tym gorzej dla Egipcjan - rzekł Mitrydates. - Muszą zapamiętać, że król Egiptu Ptolemeusz Soter i ja mamy w sobie tyle samo krwi Seleucydów! Moja prababka Laodike wyszła za Antiocha Wielkiego, a ich córka Laodike wyszła za mego dziadka, Mitrydatesa IV! To oznacza, że Soter jest moim kuzynem, a moje córki, Kleopatra i Berenike, również są jego kuzynkami - i podwójnymi kuzynkami jego synów z Arsinoe z Nabatei, bo ich matka jest córką Demetriusza Nikanora i Rodogune, a matka Arsinoe również! - Król zaczerpnął tchu. - Możesz napisać do króla Ptolemeusza Sotera i donieść mu, że zatroszczę się o jego synów. Powiedz Soterowi, że skoro w rodzie Ptolemeuszów nie ma kobiet w odpowiednim wieku - Berenike musi mieć ze czterdzieści - jego synowie poślubią córki króla Pontu Mitrydatesa i syryjskiej królowy Antiochis. I podziękuj swemu bogu z tą wężową laską, że jesteś mi potrzebny do napisania tego listu! W przeciwnym razie kazałbym cię zabić, starcze, za wyjątkowy brak szacunku.

Król podszedł do trzech młodych ludzi zdziwionych i zaniepokojonych.

- Przenosicie się do Pontu, młodzi Ptolemeusze - rzekł krótko. - Chodźcie teraz za mną i to szybko!

Tak więc, gdy potężna galera króla Mitrydatesa znów wypłynęła na morze, wyprowadziła kilka mniejszych statków, płynących na północ od Knidos do Efezu. W ich ładowniach było dziewięć tysięcy talentów złota, a na pokładach trzech dziedziców egipskiego tronu. Kos okazała się szczęśliwą przystanią. Dostarczyła też królowi Pontu jego Ptolemeusza.



Kiedy król przybył na miejsce wybrane przez Pelopidasa do lądowania na Rodos, przekonał się, że zjawilo się bardzo niewiele transportowców. Nie mógł więc zaatakować miasta Rodos, dopóki, jak mówił Pelopidas:

- Nie zorganizujemy transportu kolejnej armii, Wielki Królu. Rodyjski dowódca floty Damagoras dwukrotnie atakował nasze transportowce i posłał przeszło połowę z nich na dno. Z tych, które ocalały, część dołączyła tu do nas,



ale większość zawróciła do Halikarnasu. Następnym razem musimy otoczyć transportowce okrętami wojennymi, zamiast pozwolić im płynąć bez osłony.

Ta wiadomość nie ucieszyła oczywiście króla, ale że sam dotarł bezpiecznie i dobrze się spisał na Kos, nie obchodził go los pontyjskich żołnierzy, pogodził się też z koniecznością czekania na posiłki. Zajął się pisaniem listu do swego regenta w Poncie, Mitrydatesa Młodszeo, o dziedzicach egipskiego tronu.

*Wydają się wszyscy odpowiednio wykształceni, ale nie mają pojęcia o znaczeniu Pontu w świecie, mój synu, i trzeba to naprawić. Moje córki z Antiochis, Kleopatra i Berenike, mają zaraz zostać zaręczone z tymi dwoma młodszymi chłopakami, Kleopatra z Ptolemeuszem Filadelfem, a Berenike z Ptolemeuszem Bez Innego Imienia. Małżeństwa zostaną zawarte, kiedy każda z dziewcząt skończy piętnaście lat.*

*Co do tego zniewieściałego Ptolemeusza Aleksandra, trzeba wybić mu z głowy zamiłowanie do mężczyzn. Egipcjanie oczywiście woleliby go mieć za króla, bo jest prawowity. Musi więc nauczyć się kochać kobiety, jeśli chce zachować głowę na karku. Pozostawiam Ci wprowadzenie tego polecenia w życie.*

Pisanie było udręką dla króla, który zwykle korzystał ze skrybów, ten jednak list chciał napisać własnoręcznie. Ułożenie go zajęło mu wiele dni i wiele szkiców zostało spalonych.

W końcu października list był w drodze, a król Pontu poczuł się na siłach, by w końcu zaatakować Rodos. Przystąpił do ataku nocą i od strony lądu, bo w porcie stała rodyjska flota. Nikt jednak z pontyjskich dowódców nie znał się na zdobywaniu miast tak wielkich i dobrze ufortyfikowanych jak Rodos, więc atak był całkowitym niepowodzeniem. Królowi zabrakło niestety cierpliwości, by poddać Rodos długiemu oblężeniu - co było najpewniejszym sposobem zdobycia miasta. To musiał być szturm. Tym razem flota rodyjska miała zostać wywabiona z portu i ruszyć w pogoń za jakimś fałszywym celem, a główne natarcie pontyjskie nadeszłoby od wody. W czołówce miała iść sambuka.

Króla najbardziej podniecało to, że sambuka była całkowicie jego pomysłem, uznanym przez radę (z Pelopidasem na czele) za znakomity i z pewnością skuteczny. Zarumieniony z radości Mitrydates postanowił zbudować ją sam - to jest zaprojektować osobiście i nadzorować jej budowę.

Wybrał dwa jednakowe ogromne sześciornogowce zbudowane w tej samej stoczni i powiązał ich śródookręcia. Tu właśnie brak technicznej wiedzy króla źle się przysłużył jego sambuce. Powinien był powiązać zewnętrzne burty okrętów, rozkładając w ten sposób obciążenie, które zapewniłoby równomierne unoszenie całej konstrukcji. Zamiast tego powiązał burty wewnętrzne, stykające się ze sobą. Ponad okrętami zbudował pokład tak wielki, że jego zewnętrzne części wisały nad wodą, nie postarał się jednak o



solidne umocowanie pokładu do jego podstawy. Na osi tego pokładu stały dwie wieże, jedna ustawiona nad pustą przestrzenią między dziobami, druga na rufach, które były bliżej siebie. Między wieżami zbudowano szeroki pomost, który mógł być podnoszony za pomocą systemu bloków i lin z poziomu pokładu aż do szczytów wież. Wewnątrz obu wież setki niewolników miały chodzić w ogromnych kieratach, podnosząc pomost z dołu do góry. Na całej długości pomostu, od wieży dziobowej do rufowej, umocowano na zawiasach wysoką osłonę z grubych bali. Przy podnoszeniu pomostu chroniła ona przed pociskami, a po uzyskaniu największej wysokości, przewyższającej ogromny mur rodyjskiego portu, mogła zostać opuszczona na szczyt muru jako rampa.

Atak przeprowadzono pewnego spokojnego dnia pod koniec listopada, dwie godziny po wywabieniu floty rodyjskiej gdzieś na północ. Armia pontyjską uderzyła na mury od strony lądu w ich najłabszych punktach, flota zaś wpłynęła do przystani. Jej skrzydło od strony morza rozwinęło się, by powstrzymać flotę rodyjską wracającą po zwęszaniu podstępnie. W środku olbrzymiej flotyli pontyjskiej wznosiła się potężna sambuka holowana przez dziesiątki galer. Tuż za nią płynęły załadowane żołnierzami transportowce.

Wśród okrzyków zaskoczenia i gorączkowej aktywności na rodyjskich murach załogi galer z wielką zręcznością przyciągnęły sambukę pod długi mur, za którym leżała świątynia Izydy. Zaraz potem stłoczyły się wokół niej transportowce z wojskiem. Z niewielkimi stratami od rzuconych gorączkowo kamieni, włóczni i od strzał, żołnierze pontyjscy masowo wbiegali na sambukę, gdzie układali się ciasno na pomoście. Nadzorcy dźwigów strzelili biczami na niewolników w kieracie. Z przeraźliwym zgrzytem zapełniony żołnierzami pomost zaczął unosić się w powietrze. Setki głów w rodyjskich hełmach ukazało się nad przedpiersiami murów, przyglądając się z fascynacją i przerażeniem. Mitrydates przypatrywał się także ze swego sześciorzędowca w środku stłoczonych okrętów pontyjskich, czekając, aż sambuka ściągnie uwagę rodyjskich obrońców na mur przy świątyni Izydy. Inne okręty mogłyby potem rozciągnąć się wzdłuż pozostałych części murów, wysyłając żołnierzy po drabinach. Żołnierze pontyjscy znaleźliby się na szczycie umocnień wokół całej przystani.

„To się musi udać! Tym razem mam ich!”, myślał król, wpatrując się z czułością w swoją sambukę i jej pomost podnoszący się powoli pomiędzy dwiema wieżami. Wkrótce pomost będzie na poziomie szczytu muru, magiczna osłona opadnie na zawiasach i utworzy rampę, po której żołnierze zbiegną na rodyjskich obrońców. Na pomoście było dość ludzi, by powstrzymać Rodyjczyków na murach, gdy znów zostanie obniżony po nowy kontyngent żołnierzy i wciągnięty z nimi w górę. „Nie ma wątpliwości, myślał król Mitrydates, że jestem najlepszy we wszystkim!”

Kiedy jednak środek ciężkości podnosił się wraz z pomostem sambuki,



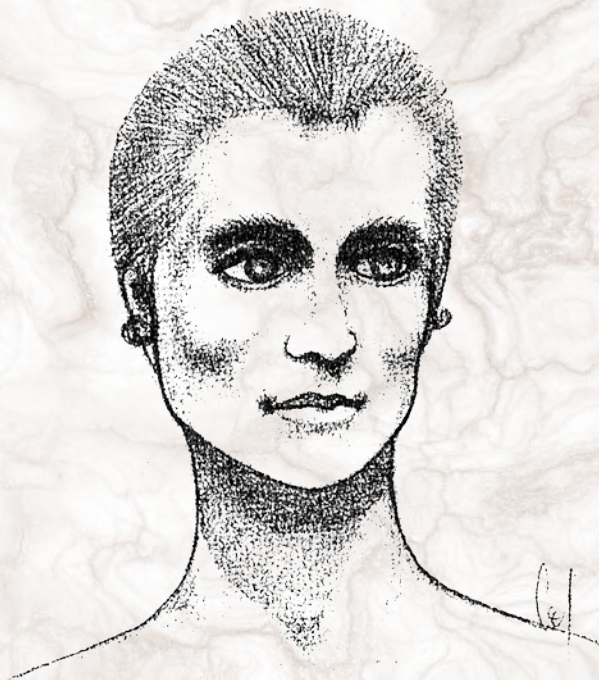
rozkład obciążeń uległ zmianie. Związane ze sobą okręty zaczęły się rozchyłać. Liny zaczęły pękać z trzaskiem, wieże drzeć, pokład zakołysał się i wykrzywił, a wznoszący się w górę pomost zaczął się skręcać niczym szal tancerki. Potem oba okręty, unoszące to wszystko, zaczęły przewracać się ku środkowi. Pokład, wieże, pomost, żołnierze, żeglarze, technicy i niewolnicy z kieratu wpadali w wodę między przechylającymi się kadłubami wśród kakofonii wrzasków, trzasków, ryków - i histerycznych wiwatów rozradowanych Rodyjczyków na murach, wiwatów przechodzących wkrótce w paroksyzmy szyderczego śmiechu.

- Nigdy więcej o Rodos nie chcę słyszeć! - mówił król, gdy jego potężny okręt odwoził go do Halikarnasu. - Zima jest zbyt blisko, by ciągnąć dalej tę kampanię przeciw gromadzie głupców. Muszę poświęcić więcej uwagi mej armii w Macedonii i flocie u wybrzeży Grecji. Chcę też zobaczyć wszystkich techników od tej śmiesznej sambuki martwych - nie, nie martwych! Wyrwać im języki, wydrzeć oczy, odrąbać ręce, uciąć jaja, i puścić wolno z żebraczymi miskami!

Król był tak wściekły po tym upokorzeniu, że wkroczył z armią do Licji i zaczął oblegać Patarę. Kiedy jednak odwiedził święty gaj Latony, matka Apollina i Artemidy ukazała mu się we śnie i kazała mu tego zaprzestać. Następnego dnia król przekazał dowództwo nieszczęsnemu Pelopidasowi i zabrał swą fascynującą młodą żonę, albinoskę Monimę, do Hierapolis. Tam, figlując w gorących źródłach wśród skamieniałych krystalicznych wodospadów, zdołał zapomnieć o śmiechu Rodyjczyków - i okrętach z Chios, które napędziły mu największego strachu w życiu.







AURELIA  
(matka Cezara Dyktatora)

## IX



**W**iadomość o wymordowaniu w prowincji Azji zamieszkałych tam Rzymian, Latynów i Italczyków dotarła do Rzymu przed wiadomością o najeździe Mitrydatesa na prowincję - i dotarła w rekordowym czasie. Zaledwie dziewięć dni od ostatniego dnia kwinktylisa prynceps senatu Lucjusz Waleriusz Flakkus zgromadził kurię w świątyni Bellony za *pomerium*, chodziło bowiem o wojnę z obcym mocarstwem. Wszystkim obecnym przeczytał list od Publiusza Rutyliusza Rufusa ze Smyrny.

*Wysłałam ten list specjalnie zamówionym szybkim statkiem do Koryntu, a potem innym równie szybkim do Brundyzjum, licząc na to, że rebelia w Grecji nie zatrzyma go po drodze. Kurier dostał polecenie jazdy galopem z Brundyzjum do Rzymu nocą i dniem. Wielką sumę pieniędzy na pokrycie kosztów tego wszystkiego wyłożył mój przyjaciel Miltiades, etnarcha Smyrny, który prosi tylko o to, by senat i lud rzymski pamiętali o jego usługach, gdy prowincja Azja znów będzie należeć do Rzymu, jak to się musi stać.*

*Być może nie wiecie jeszcze o inwazji króla Pontu Mitrydatesa, który włada teraz zarówno Bitynią, jak i naszą prowincją Azją. Maniusz Akwiliusz zginął w*



*najokropniejszych okolicznościach, a Gajusz Kasjusz uciekł, nie wiem dokąd. Ćwierć miliona żołnierzy pontyjskich stoi na zachód od Taurusu, Morze Egejskie jest w całości zajęte przez flotę pontyjską, a Grecja sprzymierzyła się z Pontem przeciw Rzymowi. Obawiam się, że Macedonia jest całkowicie odizolowana.*

*To jednak nie jest najgorsze. Ostatniego dnia kwinktylisa wszyscy Rzymianie, Latynowie i Italczycy w prowincji Azji oraz w Bitynii, Pizydii i Frygii zostali wymordowani na rozkaz króla Pontu Mitrydatesa. Wymordowano też ich niewolników. Liczba ofiar sięga, jak sądzę, osiemdziesięciu tysięcy i siedemdziesięciu tysięcy niewolników - łącznie stu pięćdziesięciu tysięcy. To, że nie spotkał mnie ten sam los, zawdzięczam pozbawieniu mnie obywatelstwa, chociaż chyba uprzedzono króla, że mnie - z nazwiska! - nie należy ruszać. Okupiłem się psu Hadesa. Czy oszczędzenie mnie wynagrodzi ćwiartowanie rzymskich kobiet i małych dzieci? Odrywano je od ołtarzy, wzywające pomocy bogów, a ich ciała wciąż leżą nie pogrzebane, znów z rozkazu króla Pontu. Ten barbarzyński potwór uważa się teraz za pana świata i chwali się, że przed końcem roku stanie na ziemi włoskiej.*

*Na wschód od Italii nie ma już nikogo, kto by mu przeszkodził oprócz naszych ludzi w Macedonii. Obawiam się jednak o Macedonię. Chociaż nie mogłem tego potwierdzić, słyszałem nowinę o wyprawie króla Mitrydatesa na Tessaloniki, która dotarła już na zachód od Filippi, prawie nie napotykając oporu. Wiem nieco więcej o zdarzeniach w Grecji, gdzie pontyjski agent Arystion zagarnął całą władzę w Atenach i przekonał większość Greków do opowiedzenia się po stronie Mitrydatesa. Wyspy egejskie są w pontyjskich rękach, a flota jest olbrzymia. Po zdobyciu Delos posłano na śmierć dalsze dwadzieścia tysięcy ludzi.*

*Proszę, błagam Cię, zrób, co możesz, by powstrzymać tego przerażającego barbarzyńcę Mitrydatesa przed ogłoszeniem się królem Rzymu. To aż tak poważne.*

- Ach, to nie było nam potrzebne! - powiedział Lucjusz Cezar do swego brata Katulusa Cezara.

- Może nie było, ale to mamy. - Oczy Gajusza Mariusza błyszcząły. - Wojna z Mitrydatesem! Wiedziałem, że musi nadejść. Zadziwiające, właściwie, że tak długo to trwało.

- Lucjusz Korneliusz jest w drodze do Rzymu - rzekł drugi cenzor, Publiusz Licyniusz Krassus. - Odetchnę, kiedy przybędzie.

- Dlaczego? - spytał ostro Mariusz. - Nie powinniśmy go wzywać! Niech zakończy wojnę włoską.

- Jest starszym konsulem - przypomniał Katulus Cezar. - Senat nie może podejmować dalekosiężnych decyzji bez jego obecności.

Mariusz zachnął się i odszedł ciężkim krokiem.

- Co mu się stało? - zapytał prynceps senatu Flakkus.



- A jak myślisz, Lucjuszu Waleriuszu? To stary bojowy rumak, który zwierzył odpowiednią wojnę, bo zamorską - odrzekł Katulus Cezar.
- Chyba nie liczy na to, że na nią pójdzie. Jest za stary i schorowany.
- Oczywiście, że na to liczy - odparł Katulus Cezar.



Wojna w Italii była skończona. Choć Marsowie nigdy się formalnie nie poddali, ponieśli największe straty spośród wszystkich ludów, które podniosły broń przeciw Rzymowi. Mało który marsyjski mężczyzna pozostał przy życiu. Kwintus Popediusz Silon uciekł do Samnium i przyłączył się do Mutilusa w Aesemii. Zastał go rannego tak ciężko, że uniemożliwiało mu to dowodzenie armią. Był sparaliżowany od pasa w dół.

- Muszę przekazać przywództwo Samnium w twoje ręce, Kwintusie Popediuszu - powiedział Mutilus.

- Nie! - wykrzyknął Silon. - Nie radzę sobie tak jak ty z żołnierzami, zwłaszcza samnickimi, ani nie jestem takim jak ty wodzem.

- Nie ma nikogo innego. Moi Samnicy postanowili słuchać ciebie.

- Czy Samnicy naprawdę chcą ciągnąć dalej tę wojnę?

- Tak, ale w imieniu Samnium, nie Italii.

- To mogę zrozumieć. Z pewnością jednak został choć jeden Samnita, który ich poprowadził!

- Nie ma takiego, Kwintusie Popediuszu. To musisz być ty.

- Dobrze więc - zgodził się z westchnieniem Silon.

Nie dyskutowali o tym, że ich nadzieje na niepodległą Italię legły w gruzach. Nie dyskutowali też o tym, co wiedzieli obaj, że jeśli przypadnie Italia, Samnium nie ma szans na zwycięstwo.

W maju ostatnia armia powstańców opuściła Aesemię pod wodzą Kwintusa Popediusza Silona. Liczyła trzydzieści tysięcy piechoty i tysiąc jazdy i została następnie powiększona o dwadzieścia tysięcy wyzwolonych niewolników. Większość piechurów była wcześniej ranna w takiej czy innej bitwie i trafiła do Aesernii, bo było to jedyne bezpieczne miejsce, jakie pozostało. Silon przyprowadził ze sobą konnicę i zdołał przedostać się przez rzymskie linie wokół miasta. Wszystko to czyniło wymarsz nieuniknionym; Aesemia nie mogła długo wyżywić tak wielu ludzi.

Wszyscy maszerujący wiedzieli, że to walka do ostatka. Nikt w istocie nie liczył na zwycięstwo. Mogli liczyć co najwyżej na to, że drogo sprzedadzą własną skórę. Gdy jednak Silon zdobył Bowianum i wybił rzymski garnizon, poczuli się lepiej. Może jednak mimo wszystko była jakaś szansa? Metellus Pius i jego armia stali pod Wenuzją na Via Appia, poszli więc pod Wenuzję.

I tam, pod Wenuzją rozegrała się ostatnia bitwa tej wojny, osobliwe zakończenie wydarzeń, które zaczęły się od śmierci Druzusa. Na polu bitwy pod Wenuzją spotkali się bowiem w pojedynku dwaj ludzie, którzy najbardziej



kochali Druzusa - jego przyjaciel Silon i jego brat Mamerkus. Podczas gdy Samnici ginęli tysiącami, nie mogąc równać się ze sprawnymi i doświadczonymi Rzymianami, Silon i Mamerkus wymieniali cios za cios, aż w końcu Silon padł. Mamerkus stał nad nim ze łzami w oczach i z podniesionym mieczem. Wahał się.

- Dobij mnie, Mamerku! - wykrztusił Kwintus Popediusz Silon. - Jesteś mi to winien za Cepiona. Nie chcę iść w triumfie Prosiaka!

- Za Cepiona - powiedział Mamerkus i dobił go. Potem zapłakał nad Druzusem, Silonem i nad swym gorzkim zwycięstwem.

- Skończone - mówił Metellus Pius Prosiak do Lucjusza Korneliusza Sulli, który przybył pod Wenuzję na wiadomość o bitwie. - Wenuzja poddała się wczoraj.

- Nie, nie skończone - odparł posepnie Sulla. - Nie będzie skończone, póki się nie poddadzą Aesemia i Nola.

- Czy nie sądzisz - zaryzykował nieśmiało Prosiak - że gdybyśmy zdjęli oblężenie z Aesernii i Noli, życie w tych miastach wróciłoby do normalności i wszyscy udawaliby zapewne, że nic się nie zdarzyło?

- Jestem pewien, że masz rację - rzekł Sulla - i właśnie dlatego nie zdejmemy oblężenia. Czemu mielibyśmy puścić im to płazem? Pompejusz Strabon też nie zrezygnował z Askulum Picentum. Nie, Prosiaku. Nola i Aesemia pozostaną w stanie oblężenia. Na całą wieczność, jeśli trzeba.

- Słyszałem, że Skaton nie żyje i Pelignowie się poddali.

- Zgadza się, ale usłyszałeś to w odwrotnej kolejności. - Sulla uśmiechnął się szeroko. - Pompejusz Strabon przyjął kapitulację Pelignów. Skaton wolał przebić się własnym mieczem, niż brać w tym udział.

- Więc to naprawdę koniec! - dziwił się Metellus Pius.

- Nie, dopóki nie poddadzą się Aesernia i Nola.



Wiadomość o wymordowaniu Rzymian, Latynów i Italczyków w prowincji Azji dotarła do Sulli w Kapui, gdzie założył swoją bazę, odsyłając Katulusa Cezara do Rzymu na zasłużony odpoczynek. Odziedziczył przy tym sekretarza Katulusa, cudownego Marka Tulliusza Cyncerona, który okazał się tak użyteczny, że Katulus przestał być potrzebny.

Cynceron uznał, że Sulla jest równie przerażający jak Pompejusz Strabon, chociaż z odmiennych powodów. I bardzo mu było brak Katulusa Cezara.

- Lucjusz Korneliuszu, czy byłoby możliwe uzyskanie zwolnienia ze służby z końcem roku? - spytał. - Nie przesłużyłem jeszcze dwóch lat, ale kiedy dodałem swoje kampanie, wyszło mi ich dziesięć.

- Zobaczymy - odpowiedział Sulla, który żywił do osoby Cyncerona bardzo podobne uczucia co Pompejusz Strabon. - Na razie nie mogę cię zwolnić. Nikt nie wie o tym miejscu tyle, co ty, odkąd Kwintus Lutacjusz wrócił do Rzymu na



odpoczynek.

„Nigdy jednak nie ma odpoczynku”, myślał Sulla, galopując do Rzymu dwukółką zaprzęzoną w cztery muły. „Kiedy tylko gasimy jeden pożar, wybucha drugi. A przy tej poźodze wojna w Italii wygląda jak dwie tłące się gałązki”.

Wszyscy starsi senatorowie zbiegli się do Rzymu na zebranie senatu w sprawie prowincji Azji, nawet Pompejusz Strabon. Około stu pięćdziesięciu ludzi zebrało się w świątyni Bellony na Polu Marsowym za *pomerium*.

- Otóż, wiemy, że Maniusz Akwiliusz nie żyje. Przypuszczalnie oznacza to, że jego dwaj koledzy komisarze też nie żyją. - Sulla powiedział to kurii tonem rozmowy. - Wydaje się jednak, że Gajusz Kasjusz uciekł, chociaż nie mieliśmy od niego wiadomości. Nie rozumiem, czemu Kwintus Oppiusz z Cylicji ani pisnął. Przypuszczalnie Cylicja także jest stracona. To przykre, że jesteśmy zależni od cywilnych wygnańców, kiedy chodzi o takie nowiny.

- To oznacza, jak sądzę, że Mitrydates uderzył jak piorun - powiedział Katulus Cezar, marszcząc brwi.

- Albo też - zauważył trafnie Mariusz - że wszystkich naszych oficjalnych przedstawicieli łączy jakaś dziwna sprawa.

To nie wywołało żadnych replik, ale skłoniło wielu do zastanowienia. Pewna lojalność łączyła zawsze senatorów. Nie można jednak, przebywając z kimś tak blisko jak członkowie senatu ze sobą, nie wiedzieć, jakim kto jest człowiekiem. Wszyscy więc znali prawdziwe oblicza Gajusza Kasjusza i trzech komisarzy.

- Zatem przynajmniej Gajusz Oppiusz powinien utrzymywać łączność. - Sulla powiedział to, o czym myśleli wszyscy. - On jest człowiekiem honoru i nie trzymałby Rzymu w niewiedzy ani chwili dłużej niż to konieczne. Musimy chyba założyć, że Cylicja jest również stracona.

- Musimy jakoś dać znać Publiuszowi Rutyliuszowi i prosić o więcej informacji - rzekł Mariusz.

- Sądzę, że jeśli jacyś nasi ludzie przeżyli, zaczną docierać do Rzymu pod koniec sekstylisa - odrzekł Sulla. - Wtedy uzyskamy więcej informacji.

- Według mnie list Publiusza Rutyliusza oznacza, że nikt nie przeżył. - Sulpicjusz z ławy trybunów ludowych jęknął i zacisnął pięści. - Mitrydates tak samo traktował Italczyków i Rzymian!

- Mitrydates to barbarzyńca - powiedział Katulus Cezar.

Ta odpowiedź była jednak zbyt prosta dla Sulpicjusza, który długo siedział jak skamieniały, kiedy prynceps senatu Flakkus przeczytał przed dwoma dniami list Rutyliusza Rufusa.

- Nie robił różnicy - powtórzył. - Dlaczego tak postępował, nie ma tu nic do rzeczy! Italczyki z prowincji Azji zapłacili tę samą cenę co Rzymianie i Latynowie z tej prowincji. Są tak samo martwi. Ich kobiety, dzieci i niewolnicy są tak samo martwi. Nie robił żadnej różnicy!



- Dajże spokój, Sulpicjuszu! - zawołał Pompejusz Strabon, który chciał przejść do sedna sprawy. - Zaczynasz się powtarzać.

- Proszę o porządek - powiedział uprzejmie Sulla. - Nie jesteśmy tu, w Bellonie, żeby zastanawiać się nad powodami i różnicami. Jesteśmy tu, żeby zdecydować, co robić.

- Wojna! - krzyknął natychmiast Pompejusz Strabon.

- Czy tak myślą wszyscy, czy tylko niektórzy? - spytał Sulla.

Kuria jednogłośnie okrzyknęła wojnę.

- Mamy dość legionów w polu - powiedział Metellus Pius - i są one odpowiednio wyposażone. Przynajmniej pod tym względem jesteśmy lepiej przygotowani niż zwykle. Możemy wysłać dwadzieścia legionów na wschód choćby jutro.

- Nie możemy - oświadczył spokojnym tonem Sulla. - W istocie wątpię, byśmy mogli wysłać jeden legion, a cóż dopiero dwadzieścia. - Kuria ucichła. - Ojcowie spisani, skąd mamy wziąć pieniądze? Skoro wojna z Italią jest skończona, nie mamy innego wyjścia, jak rozpuścić nasze legiony, bo nie możemy im płacić ani chwili dłużej! Kiedy Rzym był zagrożony w Italii, wszyscy Rzymianie i Latynowie byli zobowiązani do służby wojskowej. Możemy powiedzieć to samo o wojnie zamorskiej, zwłaszcza gdy napastnik zajął już prowincję Azję i osiemdziesiąt tysięcy naszych rodaków zginęło. Faktem jest jednak, że w tej chwili ojczyzna nie jest w niebezpieczeństwie. A nasi żołnierze są zmęczeni. Otrzymali w końcu zapłatę, ale pochłonęło to nasze wszystkie zasoby. To oznacza, że musimy ich zdemobilizować, odesłać do domów. Nie mamy bowiem żadnych widoków na zdobycie pieniędzy na nową kampanię!

Słowa Sulli utonęły w ciszy.

Potem Katulus Cezar westchnął.

- Odłóżmy na chwilę rozważania o pieniądzach. Daleko ważniejsze jest to, że musimy powstrzymać Mitrydatesa!

- Kwintusie Lutacjuszu, nie słuchałeś! - krzyknął Sulla. - Nie ma pieniędzy na kampanię!

Katulus Cezar przybrał swą najwynioślejszą minę.

- Stawiam wniosek, aby oddać dowództwo w wojnie z Mitrydatesem Lucjuszowi Korneliuszowi Sulli. Gdy sprawa dowództwa będzie załatwiona, możemy zająć się pieniędzmi.

- A ja uprzedzam, że postawię wniosek, by nie oddawać dowództwa w wojnie z Mitrydatesem Lucjuszowi Korneliuszowi Sulli! - ryknął Gajusz Mariusz. - Niech Lucjusz Korneliusz Sulla pozostanie w Rzymie, by się martwić o pieniądze! Pieniądze! Jakby to był czas na martwienie się o pieniądze, gdy Rzymowi grozi pewna zagłada! Pieniądze się znajdują. Tak zawsze jest. Król Mitrydates ma ich mnóstwo, więc to on w końcu zapłaci. Ojcowie spisani, nie



możecie oddawać dowództwa w tej kampanii człowiekowi, który martwi się o pieniądze! Musicie oddać tę kampanię mnie!

- Nie jesteś w dobrym zdrowiu, Gajuszu Mariuszu - powiedział Sulla beznamiętnym głosem i z twarzą bez wyrazu.

- W dość dobrym, żeby wiedzieć, że to nie czas na szukanie pieniędzy! - parsknął Mariusz. - Pont to jeszcze raz zagrożenie germańskie! A kto pokonał Germanów? Gajusz Mariusz! Koledzy z tego dostojnego grona, dowództwo w tej wojnie musicie oddać mnie! Jestem tu jedynym człowiekiem, który może ją wygrać!

Podniósł się prynceps senatu Flakkus, człowiek łagodny i nie słynący z odwagi.

- Gdybyś był młodszy i w dobrym zdrowiu, Gajuszu Mariuszu, nie miałbyś gorliwszego ode mnie stronnika. Lucjusz Korneliusz ma jednak rację. Nie jesteś w dobrym zdrowiu. Jesteś za stary. Miałeś dwa udary. Nie wolno nam oddać dowództwa w tej wojnie człowiekowi, który może znów być powalony chorobą w chwili, gdy jego talenty będą najbardziej potrzebne. Nie wiemy, co powoduje udar, Gajuszu Mariuszu, ale wiemy, że ktoś, kto już go miał, może spodziewać się kolejnego. Ty miałeś udar. Nie, ojcowie spisani, jako wasz prynceps senatu, powiadam, że nie możemy brać pod uwagę Gajusza Mariusza jako dowódcy w tej kampanii. Podzielam opinię, że dowództwo należy oddać naszemu starszemu konsulowi Lucjuszowi Sulli.

- Fortuna mi dopomoże - upierał się Mariusz.

- Gajuszu Mariuszu, przyjmij opinię pryncypsa senatu w duchu, w jakim została wyrażona - powiedział chłodno Sulla. - Nikt cię nie lekceważy, a ja najmniej. Fakty są jednak faktami. Ta kuria nie może zaryzykować powierzenia dowództwa w żadnej wojnie komuś, kto miał dwa udary i jest po siedemdziesiątce.

Mariusz zamilkł, ale było oczywiste, że nie pogodził się z opinią kurii. Siedział, ściskając rękami kolana, a prawy kącik jego ust wykrzywił się ku dołowi tak samo jak lewy.

- Lucjusz Korneliuszu, czy przyjmiesz dowództwo? - spytał Kwintus Lutacjusz Katulus Cezar.

- Tylko jeśli kuria odda mi je wyraźną większością, Kwintusie Lutacjusz. Nie w innym wypadku - odpowiedział Sulla.

- Podzielmy się więc na strony - polecił prynceps senatu Flakkus.

Tylko trzech ludzi stanęło w opozycji, kiedy senatorowie zeszli zeszłych prowizorycznych miejsc w tej prowizorycznej sali zebrania - Gajusz Mariusz, Lucjusz Korneliusz Cynna i trybun ludowy Publiusz Sulpicjusz Rufus.

- Nie wierzę! - mruknął cenzor Krassus do swego kolegi Lucjusza Cezara. - Sulpicjusz?

- Zachowuje się bardzo dziwnie od nadejścia wieści o masakrze - powiedział



Lucjusz Cezar. - Powtarza stale, sam zresztą słyszałeś, że Mitrydates nie robił różnicy między Rzymianami a Italczykami. Chyba żałuje teraz, że nigdy nie popierał nadania praw Italczykom.

- Czy dlatego miałby stanąć przy Gajuszu Mariuszu?

Lucjusz Cezar wzruszył ramionami.

- Nie wiem, Publiusz Licyniuszu! Naprawdę, nie wiem.

Sulpicjusz stanął przy Mariuszu i Cynnii, bo wystąpili przeciw senatowi.

To był jedyny powód. Po wysłuchaniu wiadomości Rutyliusza Rufusa ze Smyrny w Sulpicjuszu zaszła głęboka zmiana i odtąd nie potrafił już żyć bez bólu i bez poczucia winy. Cudzoziemski król nie rozróżniał Rzymian od Italczyków. A jeśli cudzoziemski król potraktował Rzymian i Italczyków tak samo, oznaczało to, że w oczach świata nie ma między nimi żadnej różnicy. Natura i zakres działania jednych były takie same jak drugich.

Jako żarliwy patriota i konserwatysta opowiedział się całym sercem po stronie Rzymu, kiedy wybuchła wojna z Italczykami. Jako kwestor w roku śmierci Druzusa został obciążony stale rosnącą liczbą obowiązków - i świetnie się z nich wywiązywał. Za jego przyczyną zginęło wielu Italczyków. Za jego zgodą mieszkańcy Askulum Picentum cierpieli bardziej, niż zasługiwali na to jacyś barbarzyńcy. Tamte tysiące małych chłopców italskich, które szły w pochodzie triumfalnym Pompejusza Strabona, zostały potem wyrzucone z miasta bez jedzenia, ubrania i pieniędzy. Mogli żyć albo umierać zdani wyłącznie na siebie. Co sobie wyobrażał Rzym, nakładając tak straszliwą karę na ludzi, którzy byli pobratymcami? Czym się różnił Rzym od króla Pontu? Jego nastawienie było przynajmniej jasne i wyraźne! On nie ukrywał swoich motywów pod pozorami słuszności i wyższości. Nie ukrywał ich i Pompejusz Strabon. To senat był dwulicowy.

Ach, co było słuszne? Kto miał słuszność? Jeśli choć jeden Italczyk, choć jedna italska kobieta, choć jedno italskie dziecko przeżyło masakrę i pojawi się w Rzymie, czy on sam, Publiusz Sulpicjusz Rufus ośmieli się spojrzeć w twarz tym nieszczęsnym pozostałym przy życiu? Czym on sam, Publiusz Sulpicjusz Rufus, różni się od króla Mitrydatesa? Czy nie zabił wielu tysięcy Italczyków? Czy nie był legatem Pompejusza Strabona i czy nie zgadzał się na okrucieństwa tamtego?

Pośród tego całego bólu i zamieszania w umyśle Sulpicjusza były jednak i myśli logiczne - albo raczej takie, które uważał za logiczne, ważne i spójne.

Rzym nie był naprawdę winny. To senat ponosił winę. Ludzie z jego własnej klasy, włączając w to jego samego. W senacie - w nim samym - leżą źródła dość powszechnych sądów na temat wyjątkowości Rzymu. Senat zamordował jego przyjaciela Marka Liwiusza Druzusa. Senat powstrzymał kiedyś rozszerzenie obywatelstwa rzymskiego w następstwie wojny z Hannibalem. Senat zaaprobował zniszczenie Fregellów. Senat, zawsze senat. Ludzie z jego własnej



klasy. Nie wyłączając jego samego.

Teraz będą musieli zapłacić. On również. Sulpicjusz uznał, że nadszedł czas, by zlikwidować senat rzymski. Nigdy więcej rodzin rządzących, nigdy więcej skupienia bogactwa i władzy w rękach tak nielicznych, co rodzi niesprawiedliwości tak ogromne, jak kwestia italska, które mogą trwać w nieskończoność. Nie mamy racji. Musimy zapłacić. Senat musi odejść. Rzym musi zostać przekazany ludowi. To nasze pionki, chociaż obstajemy przy tym, że lud to suweren. Suweren? Nie przy senacie! Dopóki istnieje senat, suwerenność ludu jest tylko pustym słowem. Nie chodzi oczywiście o Policzonych Głowami. O Lud. O ludzi z klasy drugiej, trzeciej i czwartej, którzy stanowią olbrzymią większość Rzymian, a mają najmniej władzy. Prawdziwie bogaci i potężni rycerze z klasy pierwszej nie dają się w żaden sposób odróżnić od senatu. Oni także muszą odejść.

Stojąc obok Gajusza Mariusza i Cynny (Czemu Cynna znalazł się w opozycji? Co go nagle związało z Gajuszem Mariuszem?), Sulpicjusz patrzył na tłoczących się senatorów, stojących naprzeciw niego. Stali tam jego dobrzy przyjaciele, Gajusz Aureliusz Kotta (mianowany senatorem w wieku dwudziestu ośmiu lat, bo cenzorzy wzięli sobie do serca słowa Sulli i starali się wypełnić to ekskluzywne grono, senat, odpowiednimi ludźmi) i młodszy konsul Kwintus Pompejusz Rufus, z obowiązku tłoczący się z innymi. Czy nie widzieli, że są winni? Czemu patrzyli na niego, jakby to on był winny? Był! Wiedział o tym. Oni nie mieli o tym pojęcia.

„A jeśli oni nie rozumieją, myślał Sulpicjusz, poczekam na stosowną chwilę, dopóki ta nowa wojna - ach, czemu zawsze toczymy jakąś wojnę? - nie zostanie zorganizowana. Ludzie w rodzaju Kwintusa Lutacjusza i Lucjusza Korneliusza Sulli wezmą w niej udział. Nie będą obecni w Rzymie, by mi się sprzeciwić. Poczekam na stosowną chwilę. I zniszczę senat. Zniszczę klasę pierwszą”.

- Lucjusz Korneliusz Sullo - powiedział prynceps senatu Flakkus - przyjmij dowództwo w wojnie przeciw Mitrydatesowi w imieniu senatu i ludu rzymskiego.



- Tylko skąd mamy wziąć pieniądze? - spytał później Sulla po obiedzie w jego nowym domu.

Byli z nim bracia Cezarowie, flamen *Dialis* Lucjusz Korneliusz Merula, cenzor Publiusz Licyniusz Krassus, bankier i kupiec Tytus Pomponiusz, bankier Gajusz Oppiusz, pontifex maximus Kwintus Mucjusz Scewola i Marek Antoniusz Orator, który właśnie powrócił do senatu po przewlekłej chorobie. Lista gości Sulli została ułożona, by uzyskać odpowiedź na to pytanie - jeżeli w ogóle istniała odpowiedź.

- Czy w skarbie nie ma nic? - spytał Antoniusz Orator, nie mogąc w to uwierzyć. - Wiemy wszyscy, jacy są kwestorzy miejscy i trybunowie skarbu.



Będą zawsze mówić, że skarb jest pusty, kiedy w istocie tak nie jest.

- Wierz mi, Marku Antoniuszu, że nie ma tam nic - oświadczył stanowczo Sulla. - Byłem w skarbie kilka razy i starałem się nikogo o tym nie uprzedzać.

- A co ze świątynią Ops? - spytał Katulus Cezar.

- Również pusta.

- No cóż - powiedział pontifex maximus Scewola. - Jest jeszcze złoto zgromadzone na czarną godzinę przez królów Rzymu.

- Jakie złoto? - spytał chór głosów z Sullą włącznie.

- Nie wiedziałem o nim, dopóki nie zostałem pontifexem maximusem, słowo daję! - tłumaczył się Scewola. - Leży w cokole świątyni Jowisza Najlepszego i Największego, jakieś dwieście talentów.

- Cudownie! - powiedział z ironią Sulla. - Niewątpliwie w czasach, kiedy królem Rzymu był Serwiusz Tulliusz, wystarczyłoby to na wojnę kończącą wszystkie wojny. Dziś starczy jedynie na utrzymanie czterech legionów przez pół roku. Będę się musiał śpieszyć!

- To na początek - powiedział Tytus Pomponiusz.

- Dlaczego wy, bankierzy, nie możecie pożyczyć państwu paru tysięcy talentów? - spytał cenzor Krassus, który kochał pieniądze, ale nie miał ich tyle, ile by chciał - miał koncesje na cynę w Hiszpanii, ale był zbyt zajęty, by dopilnować interesu.

- Bo nie musimy - odpowiedział spokojnie Oppiusz.

- A także, bo większość z nas przechowuje nadwyżki rezerw w bankach prowincji Azji - co niewątpliwie oznacza, że właścicielem naszych rezerw jest teraz Mitrydates - powiedział Tytus Pomponiusz i westchnął.

- Musicie mieć pieniądze i tutaj! - prychnął cenzor Krassus.

- Mamy. Ale nie tyle, żeby pożyczać państwu - oświadczył Oppiusz.

- *Res facta czy res ficta!*

- To fakt, Publiusz Licyniuszu, naprawdę.

- Czy wszyscy tu zgadzają się, że obecny kryzys jest poważniejszy niż kryzys italski? - spytał kapłan Jowisza, Lucjusz Korneliusz Merula.

- Tak, tak! - parsknął Sulla. - Rozmawiałem z nim kiedyś osobiście, flamenie *Dialis*, i zapewniam cię, że jeśli go nie powstrzymamy, Mitrydates ukoronuje się na króla Rzymu!

- Skoro więc nigdy nie dostaniemy zgody Ludu na sprzedaż *ager publicus*, jest tylko jeden sposób na uzyskanie pieniędzy, inny niż nakładanie nowych podatków - rzekł Merula.

- Jaki?

- Możemy sprzedać wszystkie nieruchomości skarbu państwa w pobliżu Forum Romanum. Nie musimy pytać Ludu o zgodę.

Zapadła trwoźna cisza.

- To najgorszy czas na sprzedawanie majątku skarbu państwa - powiedział



ponuro Tytus Pomponiusz. - Mamy dziś rynek kupującego.

- Obawiam się, że nawet nie wiem, jakie nieruchomości posiada państwo wokół Forum, oprócz domów kapłanów - rzekł Sulla - a tych chyba nie możemy sprzedać.

- Zgoda, ich sprzedaż byłaby *nefas*. - Merula sam mieszkał w jednym z tych domów państwowych. - Są jednak inne posesje. Zbocza Kapitolu za Bramą Fontinalis i te zwrócone ku Welabrum. Pierwszorzędny grunt pod duże domy. Jest też szeroki trakt obejmujący rynek i Macellum Cuppedenis. Oba te tereny mogą zostać podzielone.

- Nie zgadzam się na wyprzedaż wszystkiego - rzekł stanowczo Sulla. - Tereny rynków, owszem. To tylko rynki i pola ćwiczeń dla kolegium liktorów. Część Kapitolu - zwrócona ku Welabrum na zachód od Clivus Capitolinus - i od Bramy Fontinalis do Lautumiów. Niczego jednak na samym Forum i niczego na stronie Kapitolu zwróconej ku Forum.

- Kupuję te rynki - zgłosił się Gajusz Oppiusz.

- Tylko jeśli nikt inny nie da więcej - rzekł Pomponiusz, który myślał o tym samym. - Żeby załatwić sprawę uczciwie i dostać najlepszą cenę, trzeba na wszystko ogłosić przetarg.

- Może powinniśmy zachować rynek główny i sprzedać tylko rynek Cuppedenis - powiedział Sulla, który brzydził się myślą o licytacji tak wspaniałych rzeczy.

- Chyba masz słuszność, Lucjuszu Sullo - rzekł Katulus Cezar.

- Zgadzam się z tym - powiedział Lucjusz Cezar.

- Jeśli sprzedamy Cuppedenis, będzie to oznaczało podwyższenie opłat za dzierżawę dla handlarzy przyprawami i kwiatami - zauważył Antoniusz Orator. - Nie podziękują nam za to!

Sulla pomyślał jednak już wcześniej o innym rozwiązaniu.

- A gdybyśmy pożyczili pieniądze?

- Od kogo? - spytał podejrzliwie Merula.

- Od rzymskich świątyń. Oddamy im pieniądze ze zdobyczy wojennych. Od Junony Luciny, Wenus Libityny, Juventas, Cerery, Junony Monety, Wielkiej Matki, Kastora i Polluksa, obu Jowiszów Satorów, Diany, Herkulesa Musarum, Herkulesa Oliwariusa - wszystkie są bogate.

- Nie! - krzyknęli jednocześnie Scewola i Merula.

Rzut oka od twarzy do twarzy powiedział Sulli, że nie uzyska poparcia od nikogo.

- Zgoda więc, jeśli nie pozwolicie rzymskim świątyniom płacić za moją kampanię, co powiecie o świątyniach greckich?

Scewola zmarszczył brwi.

- *Nefas to nefas*, Lucjuszu Sullo. Bogowie są bogami, tak samo w Grecji jak w Rzymie.



- Tak, ale bogowie Grecji nie są bogami Rzymu, nieprawdaż?

- Świątynie są święte - upierał się Merula.

Nagle ujawniła się istota ukryta w Sulli. Niektórzy z obecnych widzieli ją po raz pierwszy i byli przerażeni.

- Słuchajcie - powiedział, odstawiając zęby. - Nie możecie mieć wszystkiego, i to samo odnosi się do bogów! Daruję wam bogów Rzymu, ale nie ma tu nikogo, kto by nie wiedział, ile kosztuje utrzymanie legionów w polu! Jeśli zbieramy dwieście talentów złota, mogę zabrać sześć legionów nie dalej niż do Grecji. To zbyt skromna siła, żeby się zmierzyć z ćwiercią miliona żołnierzy pontyjskich - a chciałbym wam przypomnieć, że żołnierz pontyjski to nie nagi barbarzyńca germański! Widziałem żołnierzy Mitrydatesa i są oni uzbrojeni i wyszkoleni bardzo podobnie do rzymskich legionistów. Chyba nie są tak dobrzy, ale znacznie lepsi niż nadzy barbarzyńcy germańscy, choćby dlatego, że chroni ich zbroja i wiedzą co to dyscyplina. Podobnie jak Gajusz Mariusz w polu, zamierzam zachować swych ludzi przy życiu. To oznacza pieniądze na wyżywienie i pieniądze na utrzymanie całego wyposażenia. Pieniądze, których nie mamy - pieniądze, których nie pozwalacie mi przyjąć od rzymskich bogów. Ostrzegam więc was - i odpowiadam za każde słowo! - że w Grecji wezmę potrzebne mi pieniądze z Olimpii, Dodony, Delf i zewsząd, gdzie je znajdę. Co oznacza, flamenie *Dialis* i pontifeksie maximusie, że lepiej zrobicie, biorąc się do roboty z rzymskimi bogami. Miejmy nadzieję, że mają oni obecnie większe wpływy niż bogowie greccy!

Nikt słowem nie pisnął.

Ukryta istota znikła.

- Świetnie! - powiedział wesoło Sulla. - Mam teraz dobre nowiny, nie myślcie, że to już koniec.

Katulus Cezar westchnął.

- Czekam w napięciu, Lucjuszu Korneliuszu. Mów, proszę.

- Zabiorę ze sobą swoje cztery legiony plus dwa legiony wyszkolone przez Gajusza Mariusza, z których korzysta obecnie Lucjusz Cynna. Siły Marsów się wyczerpały, więc Cynna nie potrzebuje żołnierzy. Gnejusz Pompejusz Strabon robi, co zechce, ale dopóki nie przysyła rachunków za żołd, nie zamierzam tracić czasu na wyklócanie się z nim. To oznacza, że nadal dziesięć legionów czeka na demobilizację - i zapłatę. Tych pieniędzy z pewnością nie będziemy mieli. Dlatego zamierzam przeprowadzić ustawę o zapłacie żołnierzom ziemią w tych rejonach Italii, gdzie wyniszczyliśmy ludność. Pompeje, Fesule, Hadria, Telesja, Grumentum, Bowianum. Sześć pustych miast otoczonych ziemią uprawnymi. Te rejony będą należały do dziesięciu legionów, które muszą rozpuścić.

- Przecież to *ager publicus*! - wykrzyknął Katulus Cezar.

- Nie, jeszcze nie. Ani też nie będzie to grunt państwowy - sprzeciwił się



Sulla. - Przejdzie w ręce żołnierzy. Chyba że zamierzacie zmienić swoje pobożne nastawienie do sprawy rzymskich świątyń.

- Nie możemy - rzekł pontifex maximus Scewola.

- Zatem kiedy ogłoszę swoje prawa, przekonajcie senat i lud do przejścia na moją stronę.

- Poprzemy cię - powiedział Antoniusz Orator.

- A skoro jesteśmy przy sprawie *ager publicus* - ciągnął Sulla - nie rozgłaszajcie tego pod moją nieobecność. Kiedy wrócę ze swoimi legionami, zażadam dodatkowych opustoszałych rejonów italskich, żeby ich tam osiedlić.

W końcu, kiedy finanse Rzymu nie rozciągnęły się na sześć legionów, zdecydowano, że armia Sulli liczyć będzie pięć legionów i dwa tysiące jazdy, i ani jednego człowieka czy konia więcej. Kiedy zgromadzono złoto, okazało się, że waży ono dziewięć tysięcy funtów - nawet nie dwieście talentów. Marna suma, ale na nic więcej nie mógł się zdobyć zbankrutowany Rzym. Zawartość skarbca Sulli nie wystarczyła nawet na wynajęcie choćby jednego okrętu wojennego i ledwie starczyła na pokrycie kosztów wynajęcia transportowców, które przewiozą jego armię do Grecji, bo wolał lądować tam niż w zachodniej Macedonii. Nie zamierzał jednak ogłaszać swych planów, póki nie dowie się więcej o sytuacji w Azji Mniejszej i w Grecji. Skłaniał się ku Grecji, bo tam leżały najbogatsze świątynie.

W końcu września Sulla mógł wreszcie opuścić Rzym, by się przyłączyć do swych legionów w Kapui. Spotkał się ze swym zaufanym i oddanym trybunem wojskowym Lucjuszem Licyniuszem Lukullusem i spytał go, czy zgodziłby się kandydować w wyborach na kwestora. Uradowany Lukullus zgodził się, po czym Sulla wysłał go przodem do Kapui jako swego zastępcę, dopóki sam tam nie przybędzie. Pogrążony w sprzedawaniu własności skarbu państwa i organizowaniu swoich sześciu kolonii żołnierskich, przez cały wrzesień nie zdołał się wyrwać. Udało mu się to w końcu dzięki żelaznej woli i bezlitosnemu wykorzystywaniu swych kolegów senatorów. Wszyscy oni byli zafascynowani, bo w jakiś sposób Sulla uchodził dotąd ich uwagi jako potencjalny najwyższy przywódca.

- Pozostawał w cieniu Mariusza i Skaurusa - tłumaczył Antoniusz Orator.

- Nie, po prostu nie cieszył się sławą- stwierdził Lucjusz Cezar.

- A czyja to wina? - zadrwił Katulus Cezar.

- Chyba w dużej mierze Gajusza Mariusza - powiedział jego brat.

- On z pewnością wie, czego chce - rzekł Antoniusz Orator.

- To pewne - przyznał Scewola i zadrzał. - Nie chciałbym znaleźć się po przeciwnej stronie niż on!

Dokładnie to samo pomyślał Cezar Młodszy, kiedy przysłuchiwał się z ukrycia rozmowie matki z Lucjuszem Korneliuszem Sullą.

- Odjeżdżam jutro, Aurelio, a nie chcę wyjechać, nie widząc się z tobą.



- I ja nie chciałabym, żebyś wyjechał, nie widząc się ze mną - odrzekła.
- Nie ma Gajusza Juliusza?
- Przebywa z Lucjuszem Cynną pośród Marsów.
- Wyłapując niedobitków. - Skinął głową Sulla.
- Wyglądasz znakomicie, Lucjuzu Korneliuszu, mimo wszystkich twoich trudności. Widzę, że to małżeństwo okazało się szczęśliwe.
- Albo też staję się pantoflarzem.
- Nonsens! Ty nigdy nie będziesz pantoflarzem.
- Jak przyjął Gajusz Mariusz swą porażkę?

Aurelia zacisnęła usta.

- Nie bez wyrzekania przed rodziną. Nie cieszysz się jego sympatią.
- Nie liczyłem na to. Chyba jednak przyznaje, że działałem z umiarem i nie zabiegałem o to dowództwo, schlebiając i namawiając do głosowania na mnie.

- Nie musiałeś - powiedziała - i dlatego właśnie jest taki przybity. Nie przywykł do myśli, że Rzym ma innego wojennego przywódcę. Dopóki nie zdobyłeś wieńca z trawy, on był jedyny. Ach, jego wrogowie w senacie byli zawsze bardzo potężni i gnębili go prawie przez cały czas, ale on wiedział, że jest jedyny. Wiedział, że w końcu będą musieli z niego skorzystać. Teraz jest stary i chory, i jesteś ty. Obawia się, że odbierzesz mu poparcie rycerzy.

- Aurelio, on jest skończony! Nie bez zaszczytów, nie bez wielkiej sławy. Ale dla niego to już koniec. Czy tego nie widzi?

- Myślę, że gdyby był młodszy i w lepszej kondycji umysłowej, widziałby to. Kłopot w tym, że jego udary nadwreżyły mu umysł. Tak przynajmniej myśli Julia.

- Ona z pewnością wiedziała to lepiej i wcześniej niż ktokolwiek inny. - Sulla wstał, by odejść. - Jak się ma twoja rodzina?

- Doskonale.

- A twój chłopiec?

- Niepowstrzymany. Nienasycony. Nieposkromiony. Staram się ściągać go nogami na ziemię, ale to bardzo trudne.

„Ależ ja stoję nogami na ziemi, mam!” pomyślał Cezar Młodszy, wysuwając się ze swej nory, gdy tylko Aurelia i Sulla zniknęli. „Czemu zawsze uważasz mnie za piórko, za kulę dmuchawca na wietrze?”



Publiusz Sulpicjusz wymierzył swój pierwszy cios w ustalony porządek rzeczy w połowie października, licząc na to, że Sulla nie będzie zwlekał z przerzuceniem wojsk przez Adriatyk przed nadejściem zimowych wiatrów. Nie czynił żadnych przygotowań, poza przygotowaniem duchowym. Pomyślał jednak o rozmowie z Mariuszem i prosił go o poparcie. Gajusz Mariusz nie kochał senatu! Spotkanie z nim nie rozczarowało Sulpicjusza. Po wysłuchaniu



jego propozycji Mariusz skinął głową.

- Możesz być pewien mego pełnego poparcia, Publiusz Sulpicjusz - powiedział Wielki Człowiek. Przez chwilę nie mówił nic, a potem dodał, bo najwyraźniej przyszło mu to właśnie na myśl: - Proszę cię jednak o uprzejmość; przeprowadź ustawę o oddaniu dowództwa w wojnie z Mitrydatesem mnie.

Wydawało się to niewysoką ceną. Sulpicjusz uśmiechnął się.

- Zgoda, Gajusz Mariuszu. Będziesz miał swoje dowództwo.

Sulpicjusz zwołał Zgromadzenie Plebejskie i na *contio* przedstawił mu dwa projekty odrębnych ustaw. Pierwsza domagała się usunięcia z senatu wszystkich jego członków zadłużonych na więcej niż osiem tysięcy sestercji. Druga wzywała do powrotu wszystkich skazanych na wygnanie przez komisję Wariusza w czasie, kiedy sam Wariusz oskarżał podejrzanych o popieranie obywatelstwa dla Italii.

Złotousty Sulpicjusz trafił we właściwy ton.

- Kimże oni są żeby zasiadać w senacie i podejmować decyzje, kiedy prawie każdy z nich jest ubogi i beznadziejnie zadłużony?! - wołał.

- Jeśli wy macie długi, nie ma dla was żadnych ulg - żadnej możliwości ukrycia się za senatorskim immunitetem, żadnego złagodzenia obciążeń u wyrozumiałych wierzycieli, którzy nie naciskają was zbyt, bo to nie-politycznie. A jednak dla tych zasiadających w Kurii Hostyliusza długi to drobiazgi, które można ignorować, czekając na lepsze czasy. Wiem, bo sam jestem senatorem. Słyszę, o czym mówią między sobą i widzę uprzejmości świadczone im przez wierzycieli. Wiem nawet, kto z tych w senacie pożycza pieniądze innym! Trzeba temu położyć kres! Nikt, kto jest winien innym pieniądze, nie powinien zasiadać w senacie! Nikt nie może mienić się członkiem tego wysokiego i ekskluzywnego grona, jeżeli nie jest lepszy niż cała reszta Rzymu!

Wstrząśnięci senatorowie siedzieli wyprostowani, oszołomieni, bo to Sulpicjusz działał jak demagog. Sulpicjusz! Najbardziej konserwatywny z ludzi! To przecież on w początku tego roku zawetował odwołanie z wygnania skazanych przez komisję Wariusza! A teraz stoi tu, nawołując do ich powrotu! Co się stało?

Dwa dni później Sulpicjusz zwołał ponownie Zgromadzenie Plebejskie i ogłosił trzecie prawo. Wszyscy nowi obywatele italscy i wiele tysięcy rzymskich obywateli-wyzwoleńców miało być przypisywanych do wszystkich trzydziestu pięciu *tribus*. Dwie nowe *tribus* Pizona Frugi miały zostać zlikwidowane.

- Trzydzieści pięć to właściwa liczba *tribus* i nie może ich być więcej!

- wołał Sulpicjusz. - Nie jest też słuszne, żeby niektóre *tribus* miały tylko po trzy albo cztery tysiące obywateli, a jednak rozporządzały takim samym



głosem w zgromadzeniach trybusowych, jak Eskwilina i Suburana, z których każda liczy ponad sto tysięcy obywateli! W rzymskim rządzie wszystko służy ochronie wszechmocnego senatu i klasy pierwszej! Czy senatorowie albo rycerze należą do Eskwiliny albo Suburany? Oczywiście, że nie! Oni należą do Fabii, do Kornelii, do Romilii! Zgoda, niech nadal należą do Fabii, do Kornelii, do Romilii, powiadam! Niech jednak dzielą tę Fabię, Kornelię i Romilię z ludźmi z Priferum, Buki, Wibinium - i niech dzielą Fabię, Kornelię i Romilię z wyzwoleńcami z Eskwiliny i Suburany!

To zostało powitane histerycznymi wiwatami, uzyskując całkowitą aprobatę wszystkich warstw, z wyjątkiem najwyższych i najniższych. Najwyższe obawiały się utraty władzy. Położenie najniższych nie zmieniało się w najmniejszym stopniu.

- Nie rozumiem! - wykrztusił Antoniusz Orator do Tytusa Pomponiusza, gdy stali w niecce komicjów otoczeni wrzeszczącymi stronnikami Sulpicjusza. - To przecież arystokrata. Nie miał czasu, by zebrać aż tylu stronników! Nie jest żadnym Saturninem! Nie ro-zu-miem!

- A ja rozumiem - powiedział cierpko Tytus Pomponiusz. - Zaatakował senat z powodu długów. Wiadomo, na co liczy ten tłum. Myślą, że jeśli ustanowią prawa, o które prosi ich Sulpicjusz, odwdzięczy im się ustawowym zniesieniem długów.

- Ale nie może tego zrobić, jeśli wyrzuca ludzi z senatu za osiem tysięcy sestercji długu! Osem tysięcy sestercji! To śmieszna suma! W całym mieście trudno znaleźć kogoś, kto by nie miał takiego długu!

- Kłopoty, Marku Antoniuszu? - spytał Tytus Pomponiusz.

- Nie, oczywiście, że nie! Ale to można powiedzieć tylko o nielicznych - nawet nie o takich, jak Kwintus Anchariusz, Publiusz Korneliusz Lentulus, Gajusz Bebiusz, Gajusz Atyliusz Serranus - o bogowie, o najlepszych z ludzi, Tytusie Pomponiuszu! Kto zresztą nie miał kłopotów ze znalezieniem gotówki w ostatnich dwóch latach? Popatrz na Porcjuszów Katonów z tą całą ziemią w Lukanii - i ani sestercji dochodów przez tę wojnę. To samo jest z Lucyliuszami - to znów właściciele ziemscy z południa. - Marek Antoniusz zaczerpnął tchu, a potem spytał: - Czemu miałyby ustanowić zniesienie długów, jeśli za długi wyrzuca ludzi z senatu?

- On nie ma zamiaru znosić długów - odrzekł Pomponiusz. - Klasy druga i trzecia po prostu mają na to nadzieję, i to wszystko.

- Czy im coś obiecał?

- Nie musiał obiecywać. Nadzieja to jedyne słońce na ich niebie, Marku Antoniuszu. Widzą człowieka, który nienawidzi senatu i klasy pierwszej tak samo, jak kiedyś Saturninus. Mają więc nadzieję na nowego Saturnina. Ale Sulpicjusz to coś zupełnie innego.

- Dlaczego? - jęknął Antoniusz Orator.



- Nie mam pojęcia, jaki to robak drąży mu umysł - rzekł Tytus Pomponiusz. - Wyjdźmy lepiej z tego tłumu, zanim zwróci się przeciw nam i pourywa ręce i nogi.

Na schodach senatu spotkali młodszego konsula w towarzystwie bardzo podnieconego syna, który świeżo wrócił ze służby w Lukanii i wciąż był w bojowym nastroju.

- To znowu Saturninus! - krzyknął głośno młody Pompejusz Rufus. - No cóż, tym razem będziemy gotowi. Nie pozwolimy mu zapanować nad tłumem, jak to robił Saturninus! Teraz, gdy wszyscy wrócili z wojny, nietrudno zebrać zaufaną grupę i powstrzymać go; i to właśnie mam zamiar zrobić! Następne *contio*, które zwoła, będzie wyglądało zupełnie inaczej, obiecuję wam!

Tytus Pomponiusz zignorował syna, zwracając się do ojca i pozostałych senatorów:

- Sulpicjusz nie jest ani w przybliżeniu nowym Saturninem - mówił z uporem. - Czasy są inne i motywy Sulpicjusza też są inne. Wtedy były niedobory żywności. Teraz mamy powszechne zadłużenie. Sulpicjusz nie chce jednak być królem Rzymu. Chce, żeby Rzymem rządili oni. - Wskazał palcem klasy trzecią i czwartą stłoczone w Komicjum. - A to naprawdę coś całkiem innego.

- Posłałem po Lucjusza Korneliusza - powiedział młodszy konsul do Tytusa Pomponiusza, Antoniusza Oratora i Katulusa Cezara, którzy słyszeli, co mówił Pomponiusz, i zgromadzili się przy nim.

- Sądziś, że nie zdołasz kontrolować tego, co się dzieje, Kwintusie Pompejuszu? - spytał Pomponiusz, biegly w zadawaniu niezręcznych pytań.

- Nie zdołam - przyznał szczerze Pompejusz Rufus.

- A co z Gajuszem Mariuszem? - spytał Antoniusz Orator. - On zdoła opanować każdy tłum w Rzymie.

- Nie tym razem - rzekł pogardliwym tonem Katulus Cezar. - W tym przypadku on popiera tego buntowniczego trybuna ludowego. Tak, Marku Antoniuszu, to Gajusz Mariusz popchnął do tego Publiusza Sulpicjusza!

- Ach, nie wierzę w to - oświadczył Antoniusz Orator.

- Mówię ci, że Gajusz Mariusz go popiera!

- Jeśli to rzeczywiście prawda - powiedział Tytus Pomponiusz - przewiduję, że w programie Sulpicjusza pojawi się czwarte prawo.

- Czwarte prawo? - spytał Katulus Cezar, marszcząc brwi.

- Przeprowadzi ustawę o odebraniu Lucjuszowi Sulli dowództwa w wojnie z Mitrydatesem. Potem odda je Gajuszowi Mariuszowi.

- Sulpicjusz się nie ośmieli! - zawołał Pompejusz Rufus.

- Dlaczego nie? - Tytus Pomponiusz spojrzał na młodszego konsula. - Cieszę się, że posłałeś po starszego konsula. Kiedy tu będzie?

- Jutro albo pojutrze.



Sulla przybył przed świtem następnego ranka, wyruszywszy do Rzymu zaraz po otrzymaniu listu Pompejusza Rufusa. „Czy jakiś konsul miał kiedyś tyle złych nowin naraz?”, pytał sam siebie. „Najpierw masakra w prowincji Azji, potem kolejny Saturninus. Mój kraj jest bankrutem, zdławiłem właśnie rewolucję, a przy moim imieniu w *fasti* przetrwa odium sprzedaży majątku państwa. Nic z tego nie będzie się jednak liczyło, jeśli sobie z tym poradzę. A poradzę sobie”.

- Czy jest dziś jakieś *contio*? - spytał Pompejusza Rufusa, do którego domu natychmiast zajechał.

- Tak. Tytus Pomponiusz mówi, że Sulpicjusz zamierza przedstawić ustawę o pozbawieniu cię dowództwa w wojnie z Mitrydatesem i oddać je Mariuszowi.

Wszystko w Sulli znieruchomiało, nawet oczy.

- Jestem konsulem, a ta wojna dostała mi się legalnie - powiedział. - Gdyby Gajusz Mariusz był w dobrym zdrowiu, mógłby ją mieć. Ale nie jest w dobrym zdrowiu. I nie może jej mieć. Świsnął przez nos.

- To chyba oznacza, że Gajusz Mariusz popiera Sulpicjusza.

- Wszyscy tak sądzą. Mariusz nie pojawił się dotąd na żadnym z tych *contiones*, ale widziałem kilku jego ludzi w tłumie wśród niższych klas. Jak ten straszny człowiek, który przewodzi bandzie suburskich zbirów.

- Lucjusz Dekumiusz?

- Tak, to on.

- Proszę, proszę! - powiedział Sulla. - Oto nowa strona Gajusza Mariusza, Kwintusie Pompejuszu! Nie sądziłem, że zniży się do korzystania z takich narzędzi jak Lucjusz Dekumiusz. Mocno się jednak obawiam, że jego wiek i słabe zdrowie, co mu w głos wytknięto w kurii, dały mu do zrozumienia, że jest skończony. On zaś nie chce być skończony. Chce iść na wojnę z Mitrydatesem. A jeśli to oznacza, że musi zostać Saturninem, zostanie.

- Znosi się na kłopoty, Lucjuzu Korneliuszu.

- Wiem o tym!

- Nie, mam na myśli to, że mój syn i wielu innych synów senatorów i rycerzy szykują się do usunięcia Sulpicjusza z Forum.

- Bądźmy więc lepiej na Forum, ty i ja, kiedy Sulpicjusz zwoła Zgromadzenie Plebejskie.

- Uzbrojeni?

- Stanowczo nie. Musimy starać się powstrzymać to legalnie.

Kiedy wkrótce po świcie Sulpicjusz pojawił się na Forum, okazało się, że musiał słyszeć pogłoski o bandzie prowadzonej przez syna młodszego konsula, zjawił się bowiem w silnej eskorcie młodych ludzi z klas drugiej i trzeciej, zbrojnych w pałki i małe drewniane tarcze, a dla ochrony tej wewnętrznej eskorty otoczył ich masą ludzi wyglądających na klasę piątą i na Policzonych



Głowami - byłych gladiatorów i członków kolegium rozdroży. Ta straż przyboczna była tak potężna, że małej armii młodego Kwintusa Pompejusza Rufusa prawie nie było przy niej widać.

- Lud ma najwyższą władzę! - zawołał Sulpicjusz do Komicjum wypełnionego w połowie przez samych tylko członków jego straży przybocznej. - A raczej mówi się, że lud ma najwyższą władzę! To wygodny zwrot, którym posługują się członkowie senatu i czołowi rycerze, kiedy potrzebują waszych głosów. To jednak zupełnie nic nie znaczy! To puste słowa, to szyderstwo! Jakież to obowiązki sprawujecie w rządzie? Jesteście na łasce ludzi, którzy was zwołują, trybunów ludowych! Nie układacie praw i nie przedstawiacie ich w tym zgromadzeniu - jesteście tu po to, by głosować na prawa ułożone i przedstawione przez trybunów ludowych! A od kogo zależą trybunowie ludowi, poza nielicznymi wyjątkami? Ależ od senatu i *Ordo Equester*! A co się dzieje z tymi trybunami ludowymi, którzy uważają siebie za sługi suwerennego ludu? Powiem wam, co się z nimi dzieje! Spędza się ich do Kurii Hostyliusza i masakruje dachówkami!

Sulla załamał ramiona.

- To przecież deklaracja wojny, czyż nie? Chce z Saturnina zrobić bohatera.

- Chce zrobić bohatera z siebie - powiedział Katulus Cezar.

- Słuchajcie! - uciszył ich ostro flamen *Dialis Merula*.

- Czas już - mówił Sulpicjusz - pokazać raz na zawsze senatowi i *Ordo Equester*, kto ma najwyższą władzę w Rzymie. Oto dlaczego stoję tu przed wami - wasz bojownik - wasz obrońca - wasz sługa! Przeżyliście właśnie trzy straszliwe lata, podczas których musieliście dźwigać na ramionach brzemię podatków i ograniczeń. To wy daliście Rzymowi większość pieniędzy na prowadzenie wojny domowej. Czy jednak ktoś w senacie pytał was, co myślicie o wojnie z waszymi braćmi, italskimi sprzymierzeńcami?

- Pewnie, że pytaliśmy! - powiedział ponuro pontifex maximus Scevola. - Jeszcze bardziej palili się do tej wojny niż senat.

- Teraz sobie o tym nie przypomną - rzekł Sulla.

- Nie, nie pytali was! - krzyknął Sulpicjusz. - Odmówili waszym braciom Italczykom obywatelstwa - swojego, nie waszego! Wasze jest zaledwie cieniem ich obywatelstwa, dzięki któremu rządzą Rzymem! Nie mogli pozwolić na dopisanie tysięcy nowych obywateli do ich ekskluzywnych małych wiejskich *tribus*, bo to dałoby niższym od nich zbyt wiele władzy! Nawet po nadaniu praw Italczykom dopilnowali, żeby nowe obywatelstwo, wpisane do nielicznych *tribus*, nie wpływało na wyniki wyborów! Wszystko to jednak się skończy, suwerenny ludu, z chwilą ustanowienia mego prawa o wpisywaniu nowych obywateli i wyzwolenców rzymskich do wszystkich trzydziestu pięciu *tribus*!

Podniosła się tak głośna fala wiwatów, że musiał przestać. Stał, uśmiechając



się szeroko, przystojny mężczyzna w połowie swych lat trzydziestych, o wyglądzie patrycjusza mimo swego plebejskiego urzędu - jasnowłosa i o pięknym profilu.

- Oszukiwano was jeszcze na inne sposoby, dzięki senatowi i *Ordo Equester* - ciągnął Sulpicjusz, gdy hałas umilkł. - Najwyższy czas, żeby przywilej - bo jest to zaledwie przywilej, a nie prawo! - powierzania dowództwa wojskowego i kierowania wojnami został odebrany senatowi i ukrytym panom senatu z *Ordo Equester*! Czas, żebyście wy - kościec i podstawa wszystkiego, co prawdziwie rzymskie! - otrzymali te zadania, które powinny należeć do was zgodnie z prawem. Wśród nich jest prawo decydowania, czy Rzym ma iść na wojnę czy nie - a jeśli ma być wojna, kto ma dowodzić.

- Zaczyna się - powiedział Katulus Cezar.

Sulpicjusz obrócił się, by wskazać palcem Sullę, który stał na czele tłumu na szczycie schodów senatu, wyróżniając się wyglądem.

- Tam stoi starszy konsul! Wybrany na starszego konsula przez równych sobie, a nie przez równych wam! Od kiedy to klasa trzecia głosuje w wyborach konsularnych? - Zdając sobie sprawę, że odbiega od tematu, Sulpicjusz urwał, wracając do rzeczy. - Ten starszy konsul otrzymał dowództwo w wojnie tak ważnej dla przyszłości Rzymu; jeśli nie poprowadzi jej najlepszy w Rzymie, Rzymowi grozi zagłada. Kto więc oddał dowództwo w wojnie z królem Pontu Mitrydatesem starszemu konsulowi? Kto uznał go za najlepszego w Rzymie do wykonania tego zadania?

Ależ, senat i jego ukryci panowie z *Ordo Equester*! Myśląc tylko o sobie, jak zawsze! Narażając Rzym na niebezpieczeństwo po to, by ujrzeć jakiegoś dobrze urodzonego patrycjusza w stroju wodza! Kim bowiem jest ten Lucjusz Korneliusz Sulla? Jakie wojny wygrał? Czy go znasz, suwerenny ludu? Powiem wam, kim on jest! Lucjusz Korneliusz Sulla doszedł tam, gdzie stoi, na plecach Gajusza Mariusza! Wszystko, co ma, osiągnął, jadąc na plecach Gajusza Mariusza! Mówi się, że zwyciężył w wojnie z Italczykami! Wszyscy jednak wiemy, że to Gajusz Mariusz zadał im pierwsze i najcięższe ciosy. Gdyby nie Gajusz Mariusz, ten oto człowiek, Sulla, nie doszedłby do zwycięstwa!

- Jak on śmie! - wykrztusił cenzor Krassus. - To byłeś ty i nikt poza tobą, Lucjuzu Korneliuszu! Ty zdobyłeś wieniec z trawy! Ty powaliłeś Italczyków na kolana!

Zaczerpnął tchu, by krzyknąć to do Sulpicjusza, ale zamknął usta, gdy Sulla wykręcił mu rękę.

- Zostaw to, Publiusz Licyniuszu. Jeśli zaczniemy na nich krzyczeć, rzucą się na nas i dokonają samosądu. Chcę to załatwić legalnie i pokojowo - powiedział.

Sulpicjusz kuł żelazo póki gorące.

- Czy ten Lucjusz Korneliusz Sulla może zwracać się do was, do suwerennego ludu? Oczywiście, że nie może! Jest patrycjuszem! Jest za dobry dla takich jak



wy! Żeby oddać temu cennemu patrycjuszowi dowództwo w wojnie z Mitrydatesem, senat i *Ordo Equester* pominęły dużo bardziej doświadczonego i odpowiedniego człowieka! Pominęli nie kogo innego, jak Gajusza Mariusza! Mówiąc, że jest stary, mówiąc, że jest chory! Pytam was jednak, kogóż to widywaliście codziennie przez ostatnie dwa lata chodzącego po tym mieście dla zdrowia, ćwiczącego, wyglądającego z każdym dniem lepiej? Gajusza Mariusza! Który może być stary, ale nie jest już chory! Gajusza Mariusza! Który może być stary, ale nadal jest najlepszy w Rzymie!

Wiwaty zerwały się znowu, ale już nie dla Sulpicjusza. Tłum rozdzielił się, ukazując Gajusza Mariusza schodzącego na dno niecki Komicjum, zwawo i o własnych siłach. Gajusz Mariusz nie potrzebował już więcej pomocy swego chłopca, którego zresztą przy nim nie było.

- Suwerenny ludu rzymski, proszę o zatwierdzenie czwartego prawa w moim programie legislacyjnym! - zawołał rozpromieniony Sulpicjusz, patrząc na Mariusza. - Proponuję, by dowództwo w wojnie z królem Pontu Mitrydatesem odebrać temu wyniosłemu patrycjuszowi Lucjuszowi Korneliuszowi Sulli i oddać je waszemu Gajuszowi Mariuszowi!

Sulla nie czekał, by usłyszeć więcej. Poprosił pontifexa maximusa Scewolę i flamera *Dialis* Merulę, by mu towarzyszyli, i poszedł do domu.

W zaciszu swej pracowni Sulla spojrzał na tamtych.

- A więc, co robimy?

- Czemu Lucjusz Merula i ja? - odpowiedział pytaniem Scewola.

- Jesteście głowami naszej religii - powiedział Sulla - i znacie także prawo. Znajdźcie mi sposób na przedłużanie kampanii Sulpicjusza w Komicjum, dopóki tłum nie będzie miał dość i kampanii, i jego.

- Coś delikatnego - mówił w zamyśleniu Merula.

- Jak futerko kociątka - rzekł Sulla, wypijając duszkiem puchar nie rozcieńczonego wina. - Gdyby doszło do rozstrzygającej bitwy na Forum, on wygra. To nie Saturninus! Sulpicjusz jest o wiele przebieglejszy. Pobije nas, gdyby doszło do użycia przemocy. Policzyłem z grubsza jego przybocznych i jest ich prawie cztery tysiące. Są też uzbrojeni. Noszą pałki na widoku, ale podejrzewam miecze pod ubraniem. Nie możemy wygrać z nimi żadnymi cywilnymi siłami na tak ograniczonej przestrzeni jak Forum Romanum. - Sulla urwał i skrzywił się, jakby skosztował czegoś kwaśnego i gorzkiego. Jego zimne blade oczy patrzyły w przestrzeń. - Jeśli będę musiał, prędzej postawię Pelion na Ossie, zanim pozwolę obalić nasze przywileje! Z moją pozycją włącznie! Najpierw jednak zobaczymy, czy nie zdołamy pokonać Sulpicjusza jego własną bronią - ludem.

- W takim razie - powiedział Scewola - jedyną rzeczą jaką można zrobić, jest ogłoszenie wszystkich dni zebrań od dziś do kiedy chcesz feriami.

- Świetny pomysł! - powiedział Merula z rozjaśnioną twarzą.



Sulla zmarszczył brwi.

- Czy to legalne?

- Jak najbardziej. Konsulowie, pontifex maximus i kolegium pontyfików mają swobodę w ogłaszaniu dni odpoczynku i świąt, podczas których nie mogą się odbywać zgromadzenia.

- Wywieś więc dziś ogłoszenie o feriach na rastrach i na Regii i każ heroldom ogłosić dni odpoczynku i świąt od dziś do id grudniowych. - Sulla uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Jego kadencja trybuna ludowego kończy się o trzy dni wcześniej. Z chwilą gdy ustąpi z urzędu, oskarżę Sulpicjusza o zdradę stanu i podżeganie do gwałtów.

- Będziesz go musiał sądzić bez rozgłosu - powiedział Scewola i zadrżał.

- Na Jowisza, Kwintusie Mucjuszu! Jak można to zrobić bez rozgłosu? Zażądam wyjaśnień i osądzę go, to wszystko! Gdyby chciał uwodzić tłumy gładkimi słówkami, nie uda mu się. Będzie pod działaniem narkotyków.

Tamci wytrzeszczyli oczy na Sullę. Kiedy mówił rzeczy tego rodzaju wydawał się obcy i niepojęty.



Sulla zwołał następnego ranka posiedzenie senatu i oznajmił, że konsulowie i pontyfikowie ogłosili ferie, podczas których nie mogą odbywać się zgromadzenia w Komicjum. Powitano to cichą owacją, bo Gajusz Mariusz nie był obecny w kurii, żeby się sprzeciwić.

Katulus Cezar wyszedł potem z sali z Sullą.

- Jak śmiał Gajusz Mariusz narażać państwo dla dowództwa, którego nie zdoła sprawować? - oburzał się.

- Ach, bo jest stary, bo jest w strachu, bo umysł ma nie taki jak dawniej, i chce być siedmiokrotnym konsulem - odparł ze znużeniem Sulla.

Pontifex maximus Scewola, który wyszedł przed Sullą i Katulusem Cezarem, nadbiegł nagle z powrotem.

- Sulpicjusz! - wołał. - Nie uznał ogłoszenia ferii. Nazywa to sztuczką senatu i prowadzi dalej *contio*!

Sulla nie wyglądał na zaskoczonego.

- Myślałem, że tak właśnie robi.

- Więc jaki to miało sens? - spytał z oburzeniem Scewola.

- To nam daje możliwość ogłoszenia, że wszystkie prawa, które przedstawi albo ustanowi w czasie ferii, są nieważne. To jedyna zaleta ferii.

- Jeśli ustanowi prawo usuwające zadłużonych z senatu - powiedział Katulus Cezar - nigdy nie zdołamy ogłosić nieważności jego praw. Zabraknie senatorów do utworzenia *quorum*. A to oznacza, że senat przestanie istnieć jako siła polityczna.

- Proponuję więc spotkanie z Tytusem Pomponiuszem, Gajuszem Oppiuszem i innymi bankierami w sprawie unieważnienia senatorskich długów,



nieoficjalnie, oczywiście.

- Nie możemy! - biadał Scewola. - Wierzyście senatorów żądają swoich pieniędzy, a żadnych pieniędzy nie ma! Żaden senator nie pożycza od ludzi szanowanych, jak Pomponiusz i Oppiusz! Są zbyt znani. Cenzorzy musieliby o tym wiedzieć!

- Oskarżę więc Gajusza Mariusza o zdradę i wezmę pieniądze z jego majątku - powiedział Sulla z nieprzyjemną miną.

- Ależ, Lucjuszu Korneliuszu, nie możesz! - jęknął Scewola. - Ten suwerenny lud rozedrze nas na kawałki!

- Więc otworzę moją armijną kasę i zapłacę z niej długi senatu - powiedział przez zaciśnięte zęby Sulla.

- Nie możesz, Lucjuszu Korneliuszu.

- Zaczynam mieć naprawdę dość tłumaczenia mi, czego nie mogę. Mam być pobity przez Sulpicjusza i bandę naiwnych głupców, którzy myślą, że on umorzy długi? Nie dam się! Pelion na Osse, Kwintusie Mucjuszu! Zrobię to, co będę musiał!

- Fundusz - powiedział Katulus Cezar. - Fundusz ustanowiony przez tych z nas, którzy nie mają długów dla ratowania tych, którym grozi usunięcie.

- Aby to zrobić, musielibyśmy spojrzeć w przyszłość. - Scewola był przygnębiony. - To zajęłoby co najmniej miesiąc. Ja nie mam długów, Kwintusie Lutacjuszu. Ty też nie, jak sądzę. Ani Lucjusz Korneliusz. Ale gotówka? Nie mam jej wcale! A ty? Czy możesz wykrobać więcej niż tysiąc sestercji bez sprzedawania majątku?

- Mogę, ale z trudem - powiedział Katulus Cezar.

- Ja nie mogę - oświadczył Sulla.

- Chyba moglibyśmy wspólnie utworzyć taki fundusz - rzekł Scewola - ale to wymagałoby sprzedaży majątków. Czyli rozwiązanie przyjdzie za późno. Zadłużeni senatorowie zostaną już usunięci. Kiedy jednak wyjdą z długów, cenzorzy mogą ich na nowo wprowadzić do senatu.

- Chyba nie myślisz, że Sulpicjusz na to pozwoli? - spytał Sulla. - Wymyśli jakieś nowe prawo.

- Ach, chciałbym go dostać w swoje ręce którejś ciemnej nocy - powiedział Katulus Cezar ze złością. - Jak śmiało to zrobić w czasie, gdy nie mamy nawet funduszu na wojnę, którą musimy wygrać?

- Bo Publiusz Sulpicjusz jest zręczny i zaangażowany. Podejrzewam też, że Gajusz Mariusz popchnął go do tego.

- Zapłacą za to.

- Bądź ostrożny, Kwintusie Lutacjuszu. To oni mogą kazać tobie płacić - rzekł Sulla. - Jak dotąd boją się nas. I nie bez powodu.



Musiąło upłynąć siedemnaście dni między pierwszym *contio*, na którym



omawiano prawo, a głosowaniem w zgromadzeniu nad jego ustanowieniem. Publiusz Sulpicjusz Rufus prowadził swoje *contiones*, podczas gdy dni upływały i zbliżał się termin ratyfikacji, coraz bardziej nieuniknionej.

W przeddzień głosowania nad pierwszymi dwoma prawami Sulpicjusza młody Kwintus Pompejusz Rufus i jego przyjaciele, synowie senatorów i rycerzy z klasy pierwszej, postanowili powstrzymać Sulpicjusza w jedyny możliwy obecnie sposób - siłą. Bez wiedzy ojców i urzędników kurulnych młody Pompejusz Rufus, z kilkoma innymi, zebrał ponad tysiąc ludzi w wieku od siedemnastu do trzydziestu lat. Wszyscy mieli broń i zbroje, i wszyscy do niedawna byli w polu na wojnie z Italczykami. Kiedy Sulpicjusz prowadził *contio*, dokonując ostatnich korekt swoich pierwszych dwóch praw, tysiąc ciężkozbrojnych młodych ludzi z klasy pierwszej wmaszerowało na Forum Romanum i natychmiast uderzyło na uczestników zgromadzenia Sulpicjusza.

Ta inwazja zastała Sullę całkowicie nie przygotowanego; w jednej chwili, wraz ze swym kolegą Kwintusem Pompejuszem Rufusem, przyglądał się w otoczeniu starszych senatorów Sulpicjuszowi ze szczytu schodów senatu, a już w następnej chwili całe dolne Forum zmieniło się w pole bitwy. Widział, jak młody Kwintus Pompejusz Rufus sieje spustoszenie swym mieczem, słyszał, jak ojciec tamtego wykrzykuje coś w udręce i ścisnął ramię tego ojca, nie pozwalając mu się ruszyć.

- Daj spokój, Kwintusie Pompejuszu. Nic nie możesz zrobić - rzekł krótko. - Nie zbliżysz się nawet do niego.

Na nieszczęście tłum był tak wielki, że rozciągał się daleko poza właściwą nieckę Komicjum. Nie będąc żadnym wodzem, młody Pompejusz Rufus rozwinął swych ludzi w cienką linię, zamiast trzymać ich w klinowym szyku. Gdyby to zrobił, mógłby dostać się do środka, w tym zaś stanie rzeczy przyboczni Sulpicjusza nie mieli żadnych trudności w zjednoczeniu się.

Walcząc dzielnie, Pompejusz Rufus Młodszy zdołał przebić się wokół krawędzi niecki Komicjum i dotarł do rostrów. Wpatrzony w Sulpicjusza, wdrapywał się na platformę rostrów i nawet nie zauważył tego zawadiaki w średnim wieku, najwyraźniej weterana ze szkoły gladiatorów, który wydarł mu miecz. Młody Pompejusz Rufus spadł z rostrów między przybocznych Sulpicjusza i został zatłuczony pałkami na śmierć.

Sulla usłyszał przeraźliwy krzyk ojca, poczuł raczej, niż zobaczył, że kilku senatorów odciąga go i zdał sobie sprawę, że straż przyboczna Sulpicjusza, pokonawszy już szeregi młodej elity, zwróci się teraz ku schodom senatu. Jak węgorz wywinął się z tłumy przerażonych senatorów i zeskoczył z podium kurii senatu w pandemonium poniżej, porzucając swą *toga praetexta*. Zręcznym chwytem zdarł chlamidę z jakiegoś greckiego wyzwolenca uwikłanego w walkę, narzucił ją na zdradzającą go głowę i sam zaczął udawać greckiego wyzwolenca wymykającego się z zamieszania. Dał nura pod



kolumnadę bazyliki Porcji, gdzie handlarze gorączkowo zwijali swoje stoiska i przedostał się na Clivus Argentarius. Tłum był tu rzadszy i nie walciono. Sulla skierował się na wzgórze przez Porta Fontinalis.

Wiedział dokładnie, dokąd idzie. Zobaczyć się ze sprawcą tego wszystkiego. Zobaczyć Gajusza Mariusza, który chciał dowodzić na wojnie i chciał być po raz siódmy wybrany na konsula.

Odrzucił swą chlamidę i zastukał do drzwi Mariusza ubrany tylko w tunikę.

- Chcę się widzieć z Gajuszem Mariuszem - powiedział odźwiernemu takim tonem, jakby występował w kompletnych regaliach konsula.

Nie mogąc zabronić wejścia człowiekowi, którego dobrze znał, odźwierny uchylił drzwi i wpuścił Sullę do środka.

Nadeszła jednak Julia, nie Gajusz Mariusz.

- Ach, Lucjuszu Korneliuszu, to okropne! - powiedziała i poleciła służącemu:  
- Przynieś wino.

- Chcę się widzieć z Gajuszem Mariuszem - powiedział Sulla przez zęby.

- Nie możesz, Lucjuszu Korneliuszu. On śpi.

- Więc go obudź, Julio. Jeśli tego nie zrobisz, ja to zrobię, przysięgam.

Znow zwróciła się do służącego.

- Poproś Strofantesa, żeby obudził Gajusza Mariusza i powiedział mu, że Lucjusz Korneliusz Sulla jest tutaj i chce go widzieć w pilnej sprawie.

- Czy on zupełnie oszalał? - spytał Sulla, sięgając po dzbanek z wodą. Był zbyt spragniony, by pić wino.

- Nie wiem, o co ci chodzi! - wykrzyknęła Julia, zajmując stanowisko obronne.

- Ach, daj spokój, Julio. Jesteś żoną Wielkiego Człowieka! Jeśli ty go nie znasz, nikt go nie zna! - warknął Sulla. - On ułożył celowo serię wydarzeń, które mają mu zapewnić dowództwo w wojnie z Mitrydatesem, popiera! karierę człowieka, który zamierza zniszczyć *mos maiorum*, zamienił Forum w jatkę i spowodował śmierć syna konsula Pompejusza Rufusa - że nie wspomnę o śmierci stu innych!

Julia przymknęła oczy.

- Nie mogę go kontrolować - powiedziała.

- On stracił rozum.

- Nie, Lucjuszu Korneliuszu, on jest zdrów na umyśle.

- Nie jest zatem człowiekiem, którego znałem.

- On chce tylko walczyć z Mitrydatesem!

- Czy to popierasz?

Julia znów przymknęła oczy.

- Myślę, że powinien zostać w domu i zostawić tę wojnę tobie.

Usłyszeli nadchodzącego Wielkiego Człowieka i umilkli.

- Czy coś nie w porządku? - spytał Mariusz, wchodząc. - Co cię tu sprowadza,



Lucjusz Korneliusz?

- Bitwa na Forum - powiedział Sulla.  
- To nieroztropne - rzekł Mariusz.  
- Sulpicjusz jest nieroztropny. Nie zostawił senatowi innego wyjścia, niż walczyć o istnienie jedynym sposobem, jaki im został - mieczem. Młody Kwintus Pompejusz zginął.

Mariusz uśmiechnął się i nie był to miły widok.

- Szkoda! Nie sądziłem, że jego strona wygra.  
- Miałeś słuszność, nie wygrali. To zaś oznacza, że po długiej i gorzkiej wojnie - a przed inną długą i gorzką wojną! - Rzym jest uboższy o stu najlepszych młodych ludzi - powiedział szorstko Sulla.

- Przed inną długą i gorzką wojną? Nonsens, Lucjusz Korneliusz! Pobiję Mitrydatesa w jeden sezon - oświadczył z zadowoleniem Mariusz.

Sulla spróbował.

- Gajusz Mariuszu, czemu nie chcesz zrozumieć, że Rzym nie ma pieniędzy? Rzym jest bankrutem! Rzym nie może utrzymać dwudziestu legionów! Wojna z Italczykami wpędziła Rzym w beznadziejne długi! Skarb jest pusty! I nawet wielki Gajusz Mariusz nie zwycięży takiej potęgi jak Pont w jeden sezon, mając tylko pięć legionów!

- Mogę sam opłacić kilka legionów - powiedział Mariusz.

Sulla skrzywił się.

- Jak Pompejusz Strabon? Ale kiedy opłacisz je sam, Gajusz Mariuszu, będą należały do ciebie, nie do Rzymu.

- Nonsens! To oznacza tylko tyle, że oddaję swoje środki do dyspozycji Rzymu.

- Nonsens! To oznacza, że stawiasz środki Rzymu do własnej dyspozycji - sprzeciwił się ostro Sulla. - Będziesz miał swoje własne legiony!

- Wracaj do domu i uspokój się, Lucjusz Korneliusz. Jesteś rozdrażniony z powodu utraty dowództwa.

- Jeszcze nie straciłem dowództwa - odparł Sulla. Spojrzał na Julię. - Znasz swój obowiązek, Julio z Juliuszów Cezarów. Spełnij go! Wobec Rzymu, nie wobec Gajusza Mariusza.

Odprowadziła go do drzwi z niewzruszoną twarzą.

- Nie mów, proszę, nic więcej, Lucjusz Korneliusz. Nie mogę niepokoić mego męża.

- Dla Rzymu, Julio! Dla Rzymu!

- Jestem żoną Gajusza Mariusza - powiedziała, otwierając drzwi. - Mam swój pierwszy obowiązek wobec niego.

„No cóż, Lucjusz Korneliusz, przegrałeś!”, mówił sobie Sulla, schodząc na Pole Marsowe. „On jest szalony niczym pizydyjski jasnowidz w szale prorokowania, ale nikt tego nie powie i nikt go nie powstrzyma. Chyba, że ja”.



Poszedł okreśną drogą nie do swego domu, lecz do domu młodszego konsula. Jego córka była teraz wdową z dwojgiem dzieci, nowo narodzonym chłopcem i roczną dziewczynką.

- Poprosiłem mego młodszego syna, by przyjął imię Kwintusa - mówił młodszy konsul, a łzy płynęły mu po twarzy. - I oczywiście mamy synka, mojego drogiego Kwintusa, który przedłuży starszą linię rodu.

Nie było śladu Kornelii Sulli.

- Jak się ma moja córka? - spytał Sulla.

- Ma złamane serce, Lucjuszu Korneliuszu! Ma jednak swoje dzieci, a to pewna pociecha.

- To bardzo smutne, Kwintusie Pompejuszu, ale nie przyszedłem tu, żeby go opłakiwać - powiedział oschle Sulla. - Musimy się naradzić. Nie trzeba słów, żeby wiedzieć, że w takiej chwili człowiek nie chce mieć do czynienia ze światem. Wiem, co czujesz, bo sam straciłem syna. Świat jednak nie odejdzie. Muszę cię prosić o przyjście jutro o świcie do mego domu.

Lucjusz Korneliusz Sulla dobrnął potem wyczerpany do swego pięknego nowego domu na szczycie Palatynu. Zaniepokojona żona rozplakała się z radości, widząc go całego i zdrowego.

- Nigdy się o mnie nie martw - powiedział. - Mój czas jeszcze nie nadszedł. Nie wypełniłem swego przeznaczenia.

- Nasz świat się kończy! - wykrzyknęła.

- Nie za mego życia - odparł Sulla.

Spał długo i bez snów, snem człowieka młodszego, niż był, i obudził się przed świtem, nie mając pojęcia, co właściwie miał do zrobienia. Ten stan umysłu nie martwił go wcale. „Działam najlepiej, kiedy robię, co mi w danej chwili podpowiada Fortuna”, pomyślał i poczuł, że naprawdę czeka na to, co przyniesie dzień.

- O ile mogę to ocenić, z chwilą, gdy dziś rano zostanie ustanowione prawo Sulpicjusza o długach senatorskich, liczba senatorów spadnie do czterdziestu. Nie będzie *quorum* - mówił ponuro Katulus Cezar.

- Nadal jednak mamy cenzorów, nieprawdaż? - spytał Sulla.

- Tak - potwierdził pontifex maximus Scewola. - Ani Lucjusz Juliusz, ani Publiusz Licyniusz nie mają długów.

- Musimy więc działać w założeniu, że Publiusz Sulpicjusz przeoczył, iż cenzorowie mogą się odważyć na powiększenie senatu - rzeki Sulla. - Kiedy to zauważy, wprowadzi jakieś nowe prawo, to pewne. W tym czasie możemy próbować wyciągnąć z długów naszych wydalonych kolegów.

- Zgadza się z tym, Lucjuszu Korneliuszu. - Metellus Pius, który wrócił z Aesernii, usłyszawszy, co Sulpicjusz robi w Rzymie, rozmawiał wcześniej z Katulusem Cezarem i Scewolą po drodze do domu Sulli. Teraz wyrzucił z irytacją ręce w górę. - Gdyby ci głupcy pożyczali pieniądze od ludzi własnej



klasy, uzyskaliby darowanie długów, przynajmniej na obecną chwilę! Wpadliśmy we własne sieci. Senator, który chce pożyczyć od kogoś pieniądze, musi się z tym kryć, jeśli nie może uzyskać pożyczki od kolegi senatora. Idzie więc do najgorszego lichwiarza.

- Nadal nie rozumiem, czemu Sulpicjusz tak na nas napada! - powiedział Antoniusz Orator.

- *Tace!* - odezwali się wszyscy inni.

- Marku Antoniuszu, możemy nigdy nie dowiedzieć się, czemu to robi. - Sulla okazał cierpliwość, z której zwykle nie słynął. - Tym razem to nie ma nic do rzeczy. Ważniejsze jest, jak to robi.

- Jak zatem zamierzamy wyciągnąć z długów usuniętych senatorów? - spytał Prosiak.

- Fundusz, już to uzgodniono. Musi nim kierować jakiś komitet. Kwintusie Lutacjusz, ty będziesz przewodniczącym. Nie ma senatora w długach, który miałby tupet ukrywać przed tobą prawdziwy stan swego majątku - rzekł Sulla.

Flamen *Dialis* Merula zachichotał i zaraz zatkał sobie dłonią usta.

- Przepraszam za brak powagi - powiedział, a wargi mu drżały. - Pomyślałem sobie właśnie, że gdybyśmy byli rozsądni, nie staralibyśmy się wyciągać z bagna Lucjusza Marcjusza Filipa! Jego długi równe są sumie długów wszystkich innych razem wziętych, a poza tym, pozbylibyśmy się go na zawsze z senatu. To w końcu tylko jeden człowiek. Jego nieobecność nie robi różnicy, chyba taką, że zapanuje cisza i spokój.

- Uważam, że to świetny pomysł - przyznał uprzejmie Sulla.

- Lucjuszu Korneliuszu, ta twoja polityczna nonszalancja! - oburzył się Katulus Cezar. - Nie ma znaczenia, co myślimy o Lucjuszu Marcjuszu. Pozostaje faktem, że pochodzi on ze starego i świetnego rodu. Jego miejsce w senacie musi być zachowane. Syn jest zresztą całkiem inny.

- Masz oczywiście rację - westchnął Merula.

- Dobrze więc, rzecz postanowiona. - Sulla uśmiechał się lekko. - Co do reszty, nie możemy zrobić więcej, niż czekać na rozwój wydarzeń. Chyba tylko to, że zakończymy ferie. Z religijnego punktu widzenia prawa Sulpicjusza są aż nazbyt nieważne. Sądzę też, że będzie dla nas korzystnie, gdy Gajusz Mariusz i Sulpicjusz pomyślą że zwyciężyli, że jesteście bezsilni.

- Bo jesteście bezsilni - powiedział Antoniusz Orator.

- Nie jestem o tym przekonany - odparł Sulla. Zwrócił się do młodszego konsula, milczącego i posepnego. - Kwintusie Pompejuszu, ty masz wszelkie powody, żeby opuścić Rzym. Radzę, żebyś zabrał całą rodzinę na wybrzeże. Nie rób sekretu ze swego wyjazdu.

- A co z nami pozostałymi? - spytał lękliwie Merula.

- Nic wam nie grozi - rzekł Sulla. - Gdyby Sulpicjusz chciał wyeliminować senat, zabijając jego członków, zrobiłby to wczoraj. Na szczęście dla nas



wybrał konstytucyjne środki. Czy nasz pretor miejski nie jest zadłużony? To chyba zresztą jest bez znaczenia. Urzędnik kurulny nie może być usunięty z urzędu, nawet jeśli został usunięty z senatu.

- Marek Juniusz nie ma długów - stwierdził Merula.

- Świetnie. Sprawa jest jasna. Będzie mógł rządzić Rzymem pod nieobecność konsulów.

- Obu konsulów? Nie mów mi, że zamierzasz także opuścić Rzym, Lucjuszu Korneliuszu! - zdumiał się Katulus Cezar.

- Mam pięć legionów piechoty i dwa tysiące konnicy w Kapui, czekających na swego wodza. Po moim nagłym wyjeździe zaczną krążyć plotki. Muszę wszystko uładzić.

- To naprawdę polityczna nonszalancja, Lucjuszu Korneliuszu! W tak poważnej sytuacji jeden z konsulów musi pozostać w Rzymie!

- Dlaczego? - Sulla uniósł brew. - Rzym nie jest w tej chwili pod zarządem konsulów, Kwintusie Lutacjuszu. Rzym należy do Sulpicjusza. Chcę, żeby był o tym przekonany.

Sulla nie dał się przekonać do zmiany zdania, tak więc wkrótce potem przerwano spotkanie, on zaś wyjechał do Kampanii.



Nie śpieszył się w tej podróży. Jechał na mule bez żadnej eskorty, w swym słomkowym kapeluszu i z opuszczoną głową. Przez całą drogę słuchał, o czym ludzie rozmawiają; wieści o Sulpicjuszu i o ustąpieniu senatu szerzyły się prawie tak samo szybko, jak wiadomość o masakrze w prowincji Azji. Wybrał podróż po Via Latina, jechał więc przez okolice lojalne wobec Rzymu i dowiedział się, że wielu tamtejszych ludzi uważało Sulpicjusza za italskiego agenta, a niektórzy za agenta Mitrydatesa, i że nikt nie wyobrażał sobie Rzymu bez senatu. Mimo magii nazwiska Gajusza Mariusza wrodzony konserwatyzm wieśniaków skłaniał się ku powątpiewaniu w jego możliwości dowodzenia w tej nowej wojnie. Nie rozpoznawany Sulla cieszył się tymi rozmowami w różnych zajazdach, które odwiedzał po drodze, pozostawił bowiem swych liktorów w Kapui i był ubrany jak zwykły podróżny.

W drodze rozmyślał, trzęsąc się na swym mule. Myśli wirowały bez pośpiechu, prawie nie sformułowane - ale nie całkiem. Nie całkiem. Jednego był pewien. Słusznie postąpił, decydując się na powrót do swych legionów. Bo to były jego legiony - a przynajmniej cztery z nich. Dowodził nimi prawie przez dwa lata. One mu przyznały wieniec z trawy. Ten piąty legion też był z Kampanii, dowodzony najpierw przez Lucjusza Cezara, potem przez Tytusa Dydiusza, potem przez Metellusa Piusa. Kiedy miał wybrać piąty legion na wyprawę na wschód przeciw Mitrydatesowi, przekonał się, że nie odpowiada mu pierwotny pomysł zabrania jakiegoś legionu Mariusza spod komendy Cynny i Komutusa. „A teraz naprawdę się cieszę, że nie mam w Kapui żadnego



legionu Mariusza”, myślał Lucjusz Korneliusz Sulla.

- To właśnie problem, być senatorem - mówił lojalny przyboczny Sulli, Lukullus. - Zwyczaj nakazuje, by pieniądze senatorów lokować w ziemi i nieruchomościach, a któż by zostawiał pieniądze leżące bezczynnie? Kiedy więc senator potrzebuje nagle gotówki, nie ma jej w zasięgu ręki. Przywykliśmy do zaciągania pożyczek.

- Czy ty masz długi? - spytał Sulla, nie pomyślawszy o tym wcześniej. Podobnie jak Gajusz Aureliusz Kotta, Lucjusz Licyniusz Lukullus został zapędzony do senatu po tym, jak Sulla publicznie pogonił kopniakiem cenzorów. Miał dwadzieścia osiem lat.

- Jestem zadłużony na dziesięć tysięcy sestercji, Lucjuzu Korneliuszu - odpowiedział spokojnie Lukullus. - Myślę jednak, że mój brat Warron zajmie się tym, skoro sprawy w Rzymie przybrały taki obrót. To on jest teraz blisko pieniędzy. Ja się szarpię z przeciwnościami. Dzięki jednak memu wujowi Metellusowi Numidyjskiemu i memu kuzynowi Piusowi zdołam utrzymać cenzus senatorski.

- No cóż, bądź dobrej myśli, Lucjuzu Licyniuszu! Kiedy znajdziemy się na Wschodzie, będziemy się zabawiać złotem Mitrydatesa.

- Co zamierzasz robić? - spytał Lukullus. - Gdybyśmy się pośpieszyli, zdążylibyśmy chyba odpłynąć, zanim prawa Sulpicjusza wejdą w życie.

- Nie, muszę chyba poczekać na bieg wydarzeń - rzekł Sulla. - Głupio byłoby odpływać z dowództwem podanym w wątpliwość - westchnął. - Czas chyba napisać do Pompejusza Strabona.

Szare oczy Lukullusa wpatrywały się pytająco w wodza, ale w końcu się nie odezwał. Jeśli ktoś zdawał się panować nad sytuacją, to tym kimś był Sulla.

Sześć dni później przyszedł list od pryncypsa senatu Flakkusa, nie przez oficjalnego kuriera. Sulla złamał pieczęć i uważnie przeczytał krótką treść.

- No cóż - powiedział do Lukullusa, który przyniósł list. - Wygląda na to, że w senacie pozostało tylko czterdziestu senatorów. Wezwano do powrotu wygnanych przez Wariusza, ale jeśli dłużnicy nie mają być członkami senatu, wszyscy oni są dłużnikami. Obywatele italscy i obywatele wyzwolenicy mają być wpisywani do wszystkich trzydziestu pięciu *tribus*. I - ostatnie, ale nie najmniej ważne - Lucjusz Korneliusz Sulla został zwolniony z dowództwa i zastąpiony przez Gajusza Mariusza specjalnym dekretem suwerennego Ludu.

- Ach - powiedział Lukullus.

Sulla rzucił pismo i strzelił palcami na służącego.

- Mój pancerz i miecz - polecił tamtemu, a potem Lukullusowi: - Zwołaj całą armię na zgromadzenie.

Godzinę później Sulla wszedł na podwyższenie dla mówców na obozowym forum w pełnym rynsztunku bojowym, prócz tego, że nie nosił swego kapelusza ani hełmu. „Wyglądaj znajomo, Lucjuzu Korneliuszu”, mówił sobie.



„Wyglądaj jak ich Sulla”.

- No cóż, żołnierze - powiedział czystym, donośnym głosem, nie podnosząc go jednak do krzyku - zanoszę się na to, że mimo wszystko nie pójdziemy bić Mitrydatesa! Siedzieliście tu, czekając bez końca, aż ci u władzy w Rzymie - a nie są to konsulowie! - na coś się zdecydują. Zdecydowali się właśnie. Dowództwo w wojnie z królem Pontu Mitrydatesem ma przejść na Gajusza Mariusza z rozkazu Zgromadzenia Plebejskiego. Nie ma już senatu rzymskiego, bo nie zostało w nim dość senatorów, by utworzyć *quorum*. Zatem wszystkie decyzje w sprawach wojennych i wojskowych będzie podejmował plebs pod kierownictwem swego trybuna Publiusza Sulpicjusza Rufusa.

Urwał, by pozwolić żołnierzom wymienić pomruki i przekazać jego słowa stojącym zbyt daleko, by je słyszeć. Potem zaczął mówić znowu tym zwodniczo normalnym głosem (Metrobiusz nauczył go posługiwać się nim przed laty).

- Oczywiście istotą sprawy jest, że to ja jestem legalnie wybranym konsulem - że wybór dowództwa należy z prawa do mnie - i że senat rzymski wyposażył mnie w imperium prokonsularne na czas trwania wojny z królem Pontu Mitrydatesem. I że - mając do tego prawo - wybrałem legiony mające iść ze mną. Wybrałem was. Moich ludzi na dobre i na złe, od jednej ciężkiej kampanii do drugiej. Czemu miałbym was nie wybrać? Znaćcie mnie, a ja znam was. Nie kocham was, chociaż wierzę, że Gajusz Mariusz kocha swoich ludzi. Mam nadzieję, że nie kochacie mnie, chociaż wierzę, że ludzie Gajusza Mariusza go kochają. Nigdy jednak nie uważałem za konieczne, żeby ludzie kochali innych ludzi po to, by wykonać zadanie. Czemu miałbym was kochać? Jesteście bandą cuchnących łotrów ze wszystkich nor i wszystkich ścieków w Rzymie i poza nim! Ale - o bogowie! - jakże ja was szanuję! Wiele razy żądałem od was, żebyście zrobili wszystko, co w waszej mocy - i na wszystkich bogów, zawszeście to robili!

Ktoś zaczął wiwatować, potem wiwatowali już wszyscy. Z wyjątkiem małej grupki stojącej tuż przed podwyższeniem. Trybunowie żołnierscy, wybieralni wyżsi urzędnicy dowodzący legionami konsula. Ci z poprzedniego roku, z Lukullusem i Hortensjuszem włącznie, lubili współpracować z Sullą. Tegorocznym nie znosili go, uważali za surowego pana o nadmiernych wymaganiach. Mając na nich oko, Sulla pozwolił swym żołnierzom wiwatować.

- Mieliliśmy oto, żołnierze, wyruszyć za morze, żeby bić Mitrydatesa w Grecji i w Azji Mniejszej! Nie żeby traktować plony naszej ukochanej Italii, nie żeby gwałcić italskie kobiety. Ależ by to była kampania! Wiecie, ile złota ma Mitrydates? Całe góry złota! Ponad siedemdziesiąt warowni w Małej Armenii pełnych jest złota aż po wierzchołki murów! To złoto mogło być nasze. Ach, nie zamierzam mówić, że Rzym nie dostałby swego udziału - i więcej niż swego udziału! Tam jest tyle złota, że moglibyśmy się w nim kąpać! Rzym i my! Żeby nie wspomnieć o bujnych kobietach Azji. O obfitości niewolników. O mnóstwie



rzeczy przydatnych żołnierzowi i nikomu innemu.

Wzruszył ramionami i podniósł w górę ręce, pokazując puste dłonie.

- Tak nie ma być, żołnierze. Zostaliśmy zwolnieni z naszego zadania przez Zgromadzenie Plebejskie. Nie jest to żadne ciało, od którego Rzymianin spodziewa się poleceń, z kim walczyć albo kto ma dowodzić. Jest to podobno legalne. Tak mi powiedziano. Nie mogę jednak przestać pytać sam siebie: Czy jest legalne odbierać imperium starszemu konsulowi w roku jego urzędowania?! Jestem sługą Rzymu. Wy wszyscy również. Pożegnajcie się lepiej ze swymi marzeniami o złocie i zamorskich kobietach. Bo kiedy Gajusz Mariusz ruszy na Wschód walczyć z królem Pontu Mitrydatesem, poprowadzi własne legiony. Nie zechce prowadzić moich.

Sulla zszedł z podwyższenia, przeszedł przez szeregi swych dwudziestu czterech trybunów żołnierskich, nie patrząc na żadnego z nich, i zniknął w swoim namiocie, pozostawiając Lukullusowi odprawienie ludzi.

- To było zrobione po mistrzowsku - powiedział Lukullus, meldując się w namiocie wodza. - Nie jesteś znany jako mówca i chyba nie przestrzegasz zasad retoryki. To pewne jednak, że wiesz, jak przekazać to, co masz do przekazania.

- No cóż, dziękuję ci, Lucjuszu Licyniuszu - powiedział Sulla wesoło, gdy pozbył się pancerza i *pteryges*. - Chyba i ja tak myślę.

- Co się teraz stanie?

- Zaczekam na formalne zwolnienie mnie z dowództwa.

- Czy naprawdę to zrobisz, Lucjuszu Korneliuszu?

- Zrobię co?

- Marsz na Rzym.

Sulla otworzył szeroko oczy.

- Mój drogi Lucjuszu Licyniuszu! Jak mogłeś choćby pomyśleć o takim pytaniu?

- To nie jest odpowiedź na pytanie.

- Innej nie dostaniesz - rzekł Sulla.



Cios został zadany dwa dni później. Byli pretorzy, Kwintus Kalidiusz i Publiusz Klaudiusz, przybyli do Kapui, wioząc oficjalnie zapieczętowany list od Publiusza Sulpicjusza Rufusa, nowego pana Rzymu.

- Nie możecie dawać mi tego prywatnie - sprzeciwił się Sulla. - To musi mi być wręczone w obecności mojej armii.

Raz jeszcze Lukullus otrzymał polecenie ustawienia legionów i jeszcze raz Sulla wspiął się na mównicę, ale tym razem nie sam. Towarzyszyli mu dwaj byli pretorzy.

- Żołnierze, oto są Kwintus Kalidiusz i Publiusz Klaudiusz z Rzymu - powiedział niedbale Sulla. - Zdaje się, że mają dla mnie jakiś oficjalny dokument. Wezwałem was tu na świadków.



Kalidiusz, który traktował siebie bardzo serio, urządził wielki pokaz, podając Sulli do rozpoznania pieczęć na liście, zanim ją złamał. Zaczął potem czytać:

*Concilium plebis ludu rzymskiego do Lucjusza Korneliusza Sulli:*

*Z rozkazu tego oto gremium jesteś niniejszym zwolniony z dowodzenia wojną z królem Pontu Mitrydatesem. Masz rozpuścić swoją armię i wrócić do...*

Nie zaszedł dalej. Znakomicie wymierzony kamień ugodził go w skroń i powalił. Prawie natychmiast drugi znakomicie wymierzony kamień ugodził Klaudiusza, który zachwiał się na nogach. Podczas gdy Sulla stał beztrzesko trzy kroki od niego, nadleciało jeszcze kilka kamieni, aż wreszcie i Klaudiusz osunął się na podłogę mównicy.

Kamienie przestały lecieć. Sulla pochylił się nad leżącymi i zaraz się wyprostował.

- Nie żyją - oznajmił i westchnął głośno. - No cóż, ludzie, to ostatecznie dołało oliwy do ognia! Obawiam się, że w oczach Zgromadzenia Plebejskiego jesteście teraz wszyscy *personae non gratae*. Zabiliśmy oficjalnych wysłanników Plebsu. To zaś - mówił dalej tonem rozmowy - pozostawia nam tylko dwie możliwości. Możemy zostać tutaj i czekać na proces o zdradę stanu - albo możemy wyruszyć do Rzymu i pokazać Plebsowi, co lojalni żołnierze ludu rzymskiego myślą o prawie i o poleceniu, które uznają za nie do przyjęcia i niezgodne z konstytucją. Ja w każdym razie wyruszam do Rzymu i zabieram ze sobą tych dwóch zabitych. Zamierzam osobiście przekazać ich Plebsowi. Na Forum Romanum. Na oczach tego surowego strażnika praw Ludu, Publiusza Sulpicjusza Rufusa. Wszystko to jest jego dziełem! Nie Rzymu! - Urwał i zaczerpnął tchu. - Kiedy już przyjdzie do wejścia na Forum Romanum, nie trzeba mi tam wsparcia. Jeśli jednak są tu tacy, którzy chcieliby przejść się ze mną do Rzymu, będę bardzo rad z ich towarzystwa! Dzięki temu, kiedy przekroczę świętą granicę miasta, będę miał pewność, że mam na Polu Marsowym towarzyszy, którzy mnie osłaniają. Inaczej mógłby mnie spotkać ten sam los, co syna mego kolegi w konsulacie, Kwintusa Pompejusza Rufusa.

Byli oczywiście po jego stronie.

- Trybunowie żołnierscy nie pójdą jednak z tobą - mówił w namiocie wodza Lukullus do Sulli. - Nie zdobyli się na to, by przyjść osobiście, więc wysłali mnie w ich imieniu. Mówią, że nie może być wybaczenia dla żadnej armii maszerującej na Rzym, że Rzym jest miastem nie bronionym przez wojsko, bo jedyne armie w Italii należą do Rzymu. I z jedynym wyjątkiem dla armii, która odprawia triumf, żadna rzymska armia nie stacjonowała nigdy w pobliżu Rzymu. Mówią zatem, że ty maszerujesz z armią przeciw swojej ojczyźnie, a twoja ojczyzna nie ma żadnej armii, żeby ci się przeciwstawić. Potępiają twoją akcję i będą się starali wyperswadować legionom marsz na Rzym.



- Życz im powodzenia - powiedział Sulla, przygotowując się do opuszczenia kwatery. - Mogą tu zostać i oplakiwać armię maszerującą na bezbronny Rzym. Chyba ich jednak zamknę, żeby im zapewnić bezpieczeństwo. - Popatrzył na Lukullusa. - A co z tobą, Lucjuszu Licyniuszu? Czy jesteś ze mną?

- Z tobą, Lucjuszu Korneliuszu. Aż do śmierci. Lud uzurpuje sobie prawa i obowiązki senatu. Zatem Rzym naszych przodków już dłużej nie istnieje. Nie widzę więc żadnego przestępstwa w marszu na Rzym, jakiego nie życzyłbym moim nie narodzonym synom w dziedzictwie.

- Ach, dobrze powiedziane! - Sulla przypasał miecz i włożył kapelusz. - Zaczniemy więc tworzyć historię.

Lukullus przystanął.

- Masz słuszność! - wykrztusił. - Tak się tworzy historię. Nigdy jeszcze żadna rzymska armia nie maszerowała na Rzym.

- Nigdy jeszcze żadna rzymska armia nie została tak sprowokowana - rzekł Sulla.



Pięć legionów żołnierzy rzymskich wyruszyło po Via Latina do Rzymu z Sullą i jego legatem jadącymi na czele, i z zaprzężonym w muły wozem ze zwłokami Kalidiusza i Klaudiusza z tyłu pochodu. Kurier pogalopował już wcześniej do Kwintusa Pompejusza Rufusa w Kyme. Zanim Sulla dotarł do Teanum Sidicinum, Pompejusz Rufus czekał już tam na niego.

- Ach, to mi się nie podoba! - mówił żałośnie młodszy konsul. - Nie może mi się podobać! Maszerujesz na Rzym! Na bezbronne miasto!

- Maszerujemy na Rzym - poprawił Sulla spokojnie. - Nie martw się, Kwintusie Pompejuszu. Najazd na bezbronne miasto nie będzie konieczny, sam to wiesz. Zabieram ze sobą armię po prostu dla towarzystwa w drodze. Dyscyplina nigdy jeszcze nie była tak ściśle przestrzegana - mam pod rozkazami przeszło dwustu pięćdziesięciu centurionów i nawet jedna rzepa nie zginie nikomu z pola. Ludzie mają ze sobą miesięczne racje żywnościowe i wiedzą, o co chodzi.

- Nie potrzebujemy twojej armii dla towarzystwa.

- Jak to? Dwaj konsulowie bez odpowiedniej eskorty?

- Mamy swoich liktorów.

- Tak, to ciekawe. Liktorzy postanowili iść z nami, podczas gdy trybunowie wojskowi odmówili - powiedział Sulla. - Urząd wybieralny najwyraźniej skłania do innego spojrzenia na to, kto rządzi w Rzymie.

- Z czego się tak cieszysz?! - wykrzyknął zdesperowany Pompejusz Rufus.

- Właściwie nie wiem - odrzekł Sulla, ukrywając rozdrażnienie pod maską zaskoczenia. Pora była nałożyć nieco kojącej maści na wrażliwą skórę jego sentymentalnego i pełnego wątpliwości kolegi. - Cieszę się bez powodu, chyba dlatego, że miałem dość idiotyzmów na Forum, dość ludzi, którzy myślą, że są



mądrzejsi niż *mos maiorum*, i chcą zniszczyć to, co nasi przodkowie budowali tak starannie i tak cierpliwie. Wszystko, czego chcę, to Rzymu takiego, jaki został kiedyś pomyślany. Kierowany przez senat przed wszystkimi innymi gremiami. Miejsce, gdzie ludzie, którzy chcą być trybunami ludowymi, chodzą na uwięzi, a nie biegają w amoku dookoła. Nadszedł czas, Kwintusie Pompejuszu, kiedy nie można już stać z boku i patrzeć, jak inni rujnują potęgę Rzymu. Ludzie w rodzaju Saturnina i Sulpicjusza. Ale przede wszystkim tacy jak Gajusz Mariusz.

- Gajusz Mariusz będzie walczył - powiedział ze smutkiem Pompeusz Rufus.

- Walczył czym? Nie ma żadnego legionu bliżej Rzymu niż w Albie Fucencji. Ach, wyobrażam sobie, że Gajusz Mariusz spróbuje wezwać Cynnę i jego żołnierzy. Cynnę ma w kieszeni, tego jestem pewien. Powstrzymają go jednak dwie rzeczy, Kwintusie Pompejuszu. Jedną jest naturalne u wszystkich ludzi w Rzymie powątpiewanie w szczerą intencję mego zamiaru wprowadzenia armii do Rzymu. Będzie się to wydawało jakąś sztuczką i nikt nie uwierzy, że zamierzam doprowadzić to do końca. Drugą rzeczą jest fakt, że Gajusz Mariusz to *privatus*. Nie ma urzędu ani imperium. Jeśli zażąda od Cynny żołnierzy, będzie musiał prosić go jako przyjaciel, nie zaś jako konsul czy prokonsul. Bardzo też wątpię, czy Sulpicjusz wybaczy takie działanie Gajuszowi Mariuszowi, bo Sulpicjusz jest jednym z tych, którzy uważają moją akcję za sztuczkę.

Młodszy konsul patrzył teraz na swego starszego kolegę z przerażeniem - piękne słowa! Odpowiednie słowa. Słowa, które powiedziały Kwintusowi Pompeuszowi Rufusowi, że Sulla jest zdecydowany dokonać inwazji na Rzym.



Dwukrotnie podczas marszu - raz w Arpinum i raz w Ferentinum - armia Sulli napotykała wysłanników stojących jej na drodze. Wiadomość, że Sulla maszeruje na Rzym musiała lecieć na skrzydłach wiatru. Dwukrotnie wysłannicy rozkazywali Sulli w imieniu Ludu, żeby złożył dowództwo i odesłał armię do Kapui. Dwukrotnie Sulla odmawiał, chociaż za drugim razem dodał:

- Powiedzcie Gajuszowi Mariuszowi, Publiuszowi Sulpicjuszowi i tym, co pozostali w senacie, że spotkam się z nimi na Polu Marsowym.

W to oświadczenie wysłannicy nie uwierzyli, ani też Sulla nie mówił tego poważnie.

Potem w Tuskulum spotkał Sulla pretora miejskiego Marka Juniusza Brutusa, czekającego na środku Via Latina z jeszcze jednym pretorem dla moralnego wsparcia. Ich dwunastu liktorów - po sześciu na każdego - stłoczyło się na poboczu drogi, starając się ukryć fakt, że w ich *fasces* zatknięte były topory.

- Lucjusz Korneliuszu Sullo, przysyła mnie senat i lud rzymski, żebym zakazał twej armii zbliżyć się do Rzymu choćby na stopę od tego miejsca -



rzekł Brutus. - Twoje legiony są pod bronią i nie idą na triumf. Zabraniam im iść dalej.

Sulla nie powiedział ani słowa. Siedział na swym mule z kamienną twarzą. Obu pretorów odepchnięto szorstko z drogi między wystraszonych liktorów i marsz na Rzym został podjęty. Tam, gdzie Via Latina spotykała się z pierwszą z *diverticulum* dróg okalających Rzym, Sulla zatrzymał i rozdzielił swe siły. Jeśli ktoś wierzył dotąd w jego zapewnienia, że armia pozostanie na Polu Marsowym, musiał teraz przyjąć do wiadomości, iż Sulla myśli o inwazji.

- Kwintusie Pompejusz, bierz Czwarty legion i idź do Bramy Kollińskiej - rzekł Sulla, zastanawiając się w duchu, czy jego kolega ma dość hartu, by przeprowadzić to przedsięwzięcie. - Nie wejdiesz do miasta - dodał uspokajająco - więc nie ma powodu do zmartwienia. Twoim zadaniem jest powstrzymanie legionów na Via Salaria. Zamknij swoich ludzi w obozie i czekaj na wiadomość ode mnie. Jeśli zobaczysz jakieś oddziały nadchodzące od strony Via Salaria, zawiadom mnie. Będę przy Bramie Eskwilińskiej.

Potem zwrócił się do Lukullusa:

- Lucjusz Licyniuszu, bierz Pierwszy i Trzeci i ruszaj biegiem. Macie długą drogę do przejścia. Masz przejść Tyber po Moście Mulwijskim, a potem iść przez Pole Watykańskie aż do Zatybrza, gdzie się zatrzymasz. Zajmiesz całą tę dzielnicę i obsadzisz załogami mosty - te na Wyspę Tybrową, Pons Aemilius i stary Most Palowy.

- Czy nie powinienem obsadzić Mostu Mulwijskiego?

Sulla wyszczerzył zęby w triumfującym uśmiechu.

- Nie będzie żadnych legionów na Via Flaminia, Lucjusz Licyniuszu. Dostałem list od Pompejusza Strabona, który ubolewa nad niekonstytucyjnym działaniem Publiusza Sulpicjusza i będzie bardzo rad, jeśli Gajusz Mariusz nie obejmie dowództwa w wojnie z Mitrydatesem.

Czekał na rozstajach, dopóki nie uznał, że Pompejusz Rufus i Lukullus dostatecznie go wyprzedzili, a potem zawrócił swoje dwa legiony - Drugi i legion bez numeru, nie był to bowiem legion konsula - i poprowadził je ku Bramie Eskwilińskiej. U zbiegu Via Latina z Via Appia i drogą obwodową Mury Serwiusza były jeszcze zbyt odległe, by mieć pewność, czy są na nich jacyś widzowie, ale gdy Sulla maszerował na wschód drogą prowadzącą przez zwarte szeregi grobowców rzymskiej nekropolii, mury znacznie się zbliżyły. I każdy żołnierz z obu legionów Sulli mógł zobaczyć, że ich szczyty pełne są ludzi, którzy weszli tam, by patrzeć i wykrzykiwać w niewiarygodnym zdumieniu.

Przy Bramie Eskwilińskiej nie udawał, że się waha. Kazał swemu legionowi bez numeru wtargnąć do Rzymu i nie rozpraszać się po ulicach, ale wspiąć się na Mury Serwiusza i obsadzić wielki podwójny wał Agger. Biegł on od Bramy Kollińskiej do Bramy Eskwilińskiej, co oznaczało, że żołnierze Sulli nawiązali



kontakt z żołnierzami Pompejusza Rufusa. Rozmieściwszy jeden legion wzdłuż Aggeru, wprowadził Sulla pierwsze dwie kohorty Drugiego legionu na wielki rynek za Bramą Eskwilińską, a pozostałe kohorty rozmieścił wokół niego. Rzym był opanowany. Teraz od Publiusza Sulpicjusza i Gajusza Mariusza zależało, co się dalej stanie.

Wzgórze Eskwilinu nie było miejscem odpowiednim do prowadzenia działań wojskowych. Ulice wychodzące na Forum Esquilinum były wąskie, stale zatłoczone, a każde wolne miejsce zapchane było straganami, stoiskami, wózkami i wozami. Ten wielki rynek pełen był kupców, próżniaków, praczek, niewolników noszących wodę, ludzi jedzących i pijących, wozów zaprzężonych w woły, jucznych osłów, domokrążców, tanich szkół i gąszczu straganów. Mnóstwo uliczek wbiegało na Forum Esquilinum, ale kończyły się tu również dwie wielkie ulice - Clivus Suburanus, wznosząca się z Subury, i Vicus Sabuci, biegnąca pod górę z obszaru warsztatów i manufaktur leżącego na południe i na wschód od bagniska Palus Ceroliae. Tu jednak, na tym nieodpowiednim terenie, jakąś godzinę po wkroczeniu Sulli do miasta, rozegrała się bitwa o Rzym.

Samo Forum Esquilinum zostało oczywiście bezlitośnie opróżnione. Tam, gdzie dotąd handlowano, stały teraz nieruchome i czujne szeregi żołnierzy. Sulla w pełnej zbroi siedział na swym mule przy *vexillum* swojej armii i sztandarach Drugiego legionu konsula. Po upływie godziny jakiś dziwny szum zaczął zagłuszać krzyki i hałasy dochodzące z ulic prowadzących na plac, coraz głośniejszy, gdy jego źródło się zbliżało, aż wreszcie można było go rozpoznać jako okrzyki wielkiej gromady ludzi rwących się do walki.

Wypadli na Forum Esquilinum z wylotów wszystkich ulic i uliczek, czołówka straży przybocznej Sulpicjusza oraz niewolnicy i wyzwoleńcy zgromadzeni przez Gajusza Mariusza i jego syna, głównie dzięki wysiłkom Lucjusza Dekumiusza i innych przywódców kolegów rozdroży, którymi usiany był Rzym. I stanęli jak wryci na widok szeregów za szeregami rzymskich legionistów z połyskującymi srebrnymi sztandarami, z doboszami i trębaczami, zgromadzonych przy swym wodzu i czekających - całkiem spokojnie, jak się zdawało - na jego rozkazy.

- Trębaczu, graj: „miecze w dłoń i tarcze w przód” - powiedział Sulla czystym i spokojnym głosem.

Zagrała samotna trąbka i zawtórował jej natychmiast cichy zgrzyt tysiąca mieczy dobywanych z pochew, głuche uderzenie tarcz przenoszonych do przodu.

- Dobosze, grać: „trzymać szeregi i czekać na atak” - rzekł Sulla, a jego głos bez trudu dolatywał do niezdyscyplinowanego tłumu obrońców.

Bębny zagrały, a ich głuchy, przeciągający się łomot dużo bardziej speszył ów tłum stojący naprzeciw żołnierzom, niż dokonałyby tego wojenne okrzyki.







Potem tłum rozstał się. Wystąpił z niego Gajusz Mariusz z mieczem w ręku i w hełmie, w szkarłatnym płaszczu wodza na ramionach. Przy nim stał Sulpicjusz, a za nim Mariusz Młodszy.

- Nacierać! - ryknął Mariusz i wydał przenikliwy okrzyk.

Jego ludzie spróbowali wykonać rozkaz, ale nie uzyskali dostatecznego impetu na ograniczonej przestrzeni, by zepchnąć pierwszy szereg Sulli. Żołnierze odpierali ich pogardliwie samymi tylko tarczami, trzymając miecze u boku.

- Trębacze, grać: „nawiązać walkę”. - Sulla wychylił się z siodła i sam chwycił srebrnego orła Drugiego legionu.

Z olbrzymim wysiłkiem woli i tylko po to, by zadowolić wodza - bo nikt naprawdę nie chciał przelewać krwi, gdy nadszedł czas - żołnierze Sulli unieśli miecze i ruszyli do przeciwnatarcia.

O żadnej taktyce ani manewrach nie było mowy. Forum Esquilinum zamieniło się w kłębowisko walczących w tłoku ludzi, zadających sobie ciosy i nie kierowanych przez nikogo. W krótkim czasie pierwsza kohorta wywalczyła sobie drogę do Clivus Suburanus i Vicus Sabuci. Kohorta druga poszła w jej ślady, a kolejne kohorty przechodziły w zwartych szykach przez Bramę Eskwilińską, samą swą masą i przewagą wyszkolenia odpychając cywilów walczących za Mariusza i Sulpicjusza. Sulla na swym mule posunął się naprzód, żeby zobaczyć, czy i co może zrobić. On jeden widział cokolwiek ponad morzem głów. I ujrzał, że we wszystkich ulicach i uliczkach mieszkańcy wysokich budynków zasypują jego żołnierzy gradem pocisków - glinianych garnków, belek, cegieł i stołków. Sulla, który sam kiedyś mieszkał w takiej insuli, pomyślał, że niektórzy byli naprawdę rozzłoszczeni tą inwazją na ich miasto, ale inni po prostu nie mogli oprzeć się pokusie rzucania różnych rzeczy w tę cudowną bijatykę w dole.

- Znajdź mi jakieś pochodnie - polecił akwiliferowi, którego obowiązkiem było nosić srebrnego orła swego legionu. Pochodnie znalazły się bardzo szybko, zrabowane po prostu z placu. - Grać na wszystkich trąbach i bębnach jak najgłośniej - rzekł Sulla.

W zamkniętej przestrzeni otoczonej insulami hałas był ogłuszający. Ruch ustał na parę cennych chwil potrzebnych Sulli.

- Jeszcze jedna rzucona rzecz, a spalę to miasto! - krzyknął najgłośniej, jak mógł. Wziął pochodnię i rzucił ją wysoko w powietrze. Wpadła przez okno do wnętrza, a za nią kolejne pochodnie. Wszystkie głowy znikły, a grad pocisków ustał.

Zadowolony skupił się na walce, pewien, że nie będzie dalszego rzucania. Mieszkańcy insuli zrozumieli, że to nie żaden cyrk, ale poważna sprawa. Walka to jedno, ale pożar to całkiem co innego. Wszyscy bali się ognia bardziej niż wojny.



Wezwał kohortę jeszcze nie związaną walką i posiał ją na Vicus Saliuci z rozkazem skręcenia w prawo, na Vicus Sobrius, i znowu w prawo na Clivus Suburanus, żeby zejść tłum od tyłu.

To był punkt zwrotny walki. Niezdyscyplinowany motłoch stracił ducha, przestał walczyć, a potem uległ panice, pozostawiając Mariusza krzyczącego, że każdy niewolnik, który będzie dalej walczył, zostanie wyzwolony, i Sulpicjusza - bynajmniej nie tchórza - walczącego w odwrocie wraz z Mariuszem Młodszym na Forum Esquilinum. Wkrótce jednak Mariusz, Sulpicjusz i Mariusz Młodszy także zawrócili i umknęli na Clivus Pullius. Żołnierze Sulli następowali im na pięty. Na ich czele stał Sulla ze srebrnym orłem w ręce.

Przy świątyni Tellus na Karynach - gdzie był święty okrąg, a więc nieco wolnej przestrzeni - Mariusz usiłował zatrzymać swe mieszane siły i skupić je wokół siebie do dalszej walki. Nie byli to jednak zawodowcy. Porzucając miecze i pałki, uciekali z płaczem w stronę Kapitolu. Nawet na ulicach miasta żołnierze byli górą.

Kiedy Mariusz, Mariusz Młodszy i Sulpicjusz nagle zniknęli, walki ustały całkowicie. Sulla skierował swego muła na Vicus Sandalarius ku wielkiemu obszarowi bagien pod Karynami, gdzie Via Sacra spotykała się z Via Triumphalis. Tam zatrzymał się i kazał swoim trębaczom i doboszom zwołać Drugi pod sztandary. Kilku żołnierzy przyłapanych na rabunku zostało przyprowadzonych przed Sullę przez swoich centurionów.

- Uprzedzałem was: ani jednej rzepy z pola - powiedział do nich. - Rzymski legionista nie plądruje Rzymu. - Potem kazał winnych stracić na miejscu, co było uzdrawiającą lekcją dla patrzących szeregów.

- Sprowadzić Kwintusa Pompejusza i Lukullusa - polecił, gdy pozwolił żołnierzom spocząć.

Ani Pompejusz Rufus, ani Lukullus nie mieli nic w ogóle do roboty, nie wspominając nawet o walce.

- To dobrze - powiedział im Sulla. - Ja jestem starszym konsulem, więc ja ponoszę całą odpowiedzialność. Jeśli tylko moje siły były w walce, jedynie mnie można za to obwiniać.

„Mógł być człowiekiem bez skazy, myślał Lukullus, patrząc na niego ze zdziwieniem, a potem zmienił swoje przekonania i najechał Rzym. To skomplikowany człowiek. Nie, to niezupełnie właściwe słowo. Sulla był człowiekiem o tak gwałtownych zmianach nastroju, że nigdy nie było wiadomo, jak zareaguje. Nikt też nie wiedział, co powoduje te zmiany”. Z wyjątkiem samego Sulli, jak podejrzewał Lukullus.

- Lucjusz Licyniuszu, zostaw siedem kohort z Pierwszego za rzeką dla utrzymania spokoju na Zatybrzu. Wyślij trzy kohorty z Pierwszego do pilnowania spichrzów na Awentyńskim wzgórzu i Vicus Tuscus przed grabieżami. Trzeci



obsadzi załogami najwrażliwsze miejsca nad rzeką. Postaw po jednej kohorcie w rzymskim porcie, na Campus Lanatarius, w Piscinae Publicae, w Bramie Kapeńskiej, w Circus Maximus, na Forum Boarium, na Forum Holitorium, Welabrum, w Cyrku Flaminiusza i na Polu Marsowym. Tak, to dziesięć miejsc dla dziesięciu kohort. - Zwrócił się do młodszego konsula:

- Kwintusie Pompejuszu, trzymaj Czwarty przed Bramą Kollijną i sprawdzaj, czy pilnują Via Salaria, którą mogą nadejść jakieś legiony. Sprowadź mój Drugi legion z Aggeru i rozdziel jego kohorty między wzgórza - Kwirynał, Wiminal i Eskwilin. I postaw dwie kohorty w Suburze.

- Czy obsadzamy Forum Romanum i Kapitol?

Sulla zaprzeczył energicznym ruchem głowy.

- Stanowczo nie, Lucjuszu Licyniuszu. Nie będę naśladował Saturnina i Sulpicjusza. Drugi może pełnić służbę pod zboczami Kapitolu wokół Forum - ale nie może być widoczny z tych miejsc. Chcę, żeby Lud czuł się bezpieczny, kiedy zwołam zgromadzenie.

- Czy tu zostajesz? - spytał Pompejusz Rufus.

- Tak. Lucjuszu Licyniuszu, następne zadanie dla ciebie. Każ heroldom chodzić po mieście i ogłaszać, że rzucanie pocisków z jakiejś insuli będzie traktowane jako akt wrogi wobec prawowitych konsulów i że taka insula zostanie natychmiast spalona. Każ następnym heroldom iść za pierwszymi i ogłaszać zgromadzenie całego Ludu na Forum o drugiej godzinie dnia. - Sulla urwał, by pomyśleć, czy to wszystko. Uznał, że tak, i zakończył: - Kiedy wykonacie to wszystko, obaj zameldujecie mi o tym.

Zjawił się *primus pilus* centurion Drugiego, Marek Kanulejusz, i stanął z tyłu, gdzie Sulla mógł go widzieć. Miał zadowoloną minę, Sulla zaś pomyślał z ulgą, że to dobry znak. „To znaczy, że moi żołnierze są wciąż moimi żołnierzami”.

- Czy widziano któregoś z nich, Marku Kanulejuszu? - spytał.

Centurion pokręcił przecząco głową, a poprzeczny pióropusz z jaskrawo-czerwonych końskich włosów zakołysał się na jego hełmie jak wachlarz.

- Nie, Lucjuszu Korneliuszu. Widziano Publiusza Sulpicjusza przepływającego Tyber w łódce, co może oznaczać, że kierował się do jakiegoś portu w Etrurii. Mówi się, że Gajusz Mariusz i jego syn udali się do Ostii. Uciekł też pretor miejski Marek Juniusz Brutus.

- Głupcy! - wykrzyknął Lukullus. - Jeśli naprawdę uważali, że prawo jest po ich stronie, powinni pozostać w Rzymie. Wiedzą z pewnością, że mają lepsze szanse, jeśli rozmówią się z tobą na Forum!

- Masz zupełną słuszność, Lucjuszu Licyniuszu - powiedział Sulla, rad, że jego legat w ten sposób tłumaczy wydarzenia. - To chyba panika. Gdyby Mariusz albo Sulpicjusz zastanowili się nad sposobem postępowania, zrozumieliby, że mądrzej było zostać w Rzymie. Jak jednak wiesz, rozwój wydarzeń mi zawsze sprzyja. Na szczęście dla mnie wybrali ucieczkę z miasta.



„Mariusz i Sulpicjusz wiedzieli, że gdyby zostali, nie miałbym innego wyjścia, niż kazać ich skrycie zabić”, pomyślał. „Jeśli jest coś, na co mnie nie stać, to na debatę z którymś z nich na Forum. To oni są popularnymi bohaterami, a nie ja. Ich ucieczka to jednak miecz o dwóch ostrzach. Oznacza to, że nie muszę szukać sposobu zabicia ich bez budzenia podejrzeń - muszę jednak ściągnąć na siebie odium skazania ich na wygnanie”.



Przez całą noc czujni żołnierze patrolowali ulice i otwarte przestrzenie Rzymu, ogniska płonęły we wszystkich miejscach, gdzie można je było zapalić, i słychać było tupot nabijanych gwoździami *caligae*, dźwięk, jakiego nigdy żaden Rzymianin nie słyszał dotąd za swymi oknami. Miasto udawało jednak, że śpi, i wstało, drżące o chłodnym świcie, na głos heroldów wołających, że Rzym jest pod opieką swych prawnie wybranych konsulów i że o drugiej godzinie dnia ci konsulowie poprowadzą z rostrów zgromadzenie.

Zgromadzenie miało zadziwiająco wielu uczestników, w tym nawet stronników Mariusza i Sulpicjusza z klasy drugiej, trzeciej i czwartej. Klasa pierwsza stawiała się w całości, podczas gdy Policzeni Głowami nie przyszli. Klasa piąta także nie przyszła.

- Dziesięć do piętnastu tysięcy - mówił Sulla do Lukullusa i Pompejusza Rufusa, schodząc z Welii po pochyłości Clivus Sacer. Miał na sobie togę z purpurowym szlakiem, Pompejusz Rufus również, a Lukullus nosił swą prostą białą togę z szerokim szlakiem senatorskim na prawym ramieniu tuniki. Nic nie mogło przypominać o sile zbrojnej ani żaden żołnierz nie mógł być widoczny. - Ważne jest, żeby wszyscy obecni słyszeli każde moje słowo, dopilnujcie więc rozstawienia heroldów przekazujących moje słowa na peryferiach tłumu.

Poprzedzani przez swoich liktorów konsulowie precyzyjnie się przez tłum i weszli na rostra, gdzie już czekali prynceps senatu Flakkus i pontifex maximus Scewola. Dla Sulli była to konfrontacja o ogromnym znaczeniu, bo jak dotąd nie spotkał się z żadnym członkiem szkieletowego senatu ani też nie miał pojęcia, czy ludzie tacy, jak Katulus Cezar, cenzorowie, flamen *Dialis* albo tych dwóch na rostrach, poprą go teraz, gdy wymusił zwierzchnictwo armii nad pokojowymi instytucjami rządowymi.

Nie cieszyli się wcale, to było oczywiste. Obaj byli w jakimś stopniu związani z Mariuszem; Scewola miał córkę zaręczoną z Mariuszem Młodszym, a Flakkus zdobył w swoim czasie konsulaturę i cenzurę jedynie dzięki poparciu Mariusza przy wyborach. Teraz nie było czasu na dłuższą z nimi rozmowę, nie mógł też jednak nie powiedzieć im paru słów.

- Czy jesteście ze mną? - spytał krótko.

Scewola nabrał tchu.

- Tak, Lucjuszu Korneliuszu.



- Słuchajcie więc tego, co powiem do tego tłumu. Będzie to odpowiedź na wasze pytania i wątpliwości.

Spojrzał ku schodom senatu, gdzie stał Katulus Cezar z cenzorami, Antoniuszem Oratorem i flamenem *Dialis* Merulą. Katulus Cezar posłał mu ledwie dostrzegalne mrugnięcie.

- Słuchajcie dobrze! - zawołał Sulla.

Obrócił się do dolnego Forum - stał więc plecami do kurii senatu - i zaczął mówić. Jego pojawienie się nie wywołało owacji, ale nie było też gwizdów. Oznaczało to, że stał w obliczu widzów gotowych do słuchania, i to nie tylko dlatego, że na wszystkich bocznych ulicach i pustych placach stali jego żołnierze.

- Ludu rzymski, nikt bardziej niż ja sam nie jest świadomy wagi moich poczynań - przemówił swym czystym i donośnym głosem. - Nic powinniście też myśleć, że obecność armii w Rzymie wynika z czyichś innych zamiarów, a nie wyłącznie z moich. Jestem starszym konsulem legalnie wybranym i legalnie postawionym na czele mojej armii. To ja sprowadziłem tę armię do Rzymu, nie kto inny. Moi koledzy wykonywali moje rozkazy, jak byli do tego zobowiązani, z moim młodszym konsulem Kwintusem Pompejuszem Rufusem włącznie - chociaż chciałbym wam przypomnieć, że jego syn został zamordowany tu, na naszym świętym Forum Romanum, przez kogoś z hałasty Sulpicjusza.

Mówił wolno, aby heroldowie mogli przekazywać jego słowa dalej, a teraz zamilkł, dopóki nie ucichły ostatnie okrzyki w oddali.

- Zbyt długo już, ludu rzymski, prawa konsulów i senatu do organizowania spraw i praw Rzymu były ignorowane - a w ostatnich latach nawet deptane przez nielicznych żądnych władzy samolubnych demagogów, nazywających siebie trybunami ludowymi. Ci ludzie, pozbawieni skrupułów w schlebianiu tłumom, wybierani byli jako obrońcy praw i udu, a potem działali, nadużywając tego uświęconego zaufania w sposób całkowicie nieodpowiedzialny. Ich tłumaczenie jest zawsze takie samo; działają w imieniu suwerennego Ludu! Tymczasem prawda jest taka, ludu rzymski, że działają oni wyłącznie we własnym interesie. Zwodzi się was obietnicami hojności i przywilejów ponad możliwości państwa - zwłaszcza że tacy ludzie pojawiają się zwykle w czasach, w których państwo nie jest w stanie okazać hojności. Dlatego właśnie mają oni powodzenie! Żerują na waszych pragnieniach i waszych lękach! Nie życzą wam jednak dobrze. Tego, co obiecują, nie mogą spełnić. Czy na przykład Saturninus rozdawał wam darmowe zboże? Oczywiście, że nie, bo żadne zboże nie było wtedy osiągalne. Gdyby było, dostarczyliby je wam wasi konsulowie i senat. Kiedy zboże nadeszło, to wasz konsul Gajusz Mariusz rozdzielał je - i nie za darmo, a po rozsądnych cenach.

Zamilkł znowu, dając czas heroldom.

- Czy naprawdę wierzycie, że Sulpicjusz zalegalizowałby zniesienie waszych



długów? Oczywiście, że nie zrobiłby tego! Nawet gdybym nie wkroczył ze swoją armią, nie było to w jego mocy. Nikt nie może usunąć całej klasy z należącego jej miejsca - jak to zrobił Sulpicjusz z senatem - z powodu zadłużenia, a potem dokonać całkowitego zwrotu i znieść wszystkie długi! Przypatrzcie się jego postępowaniu, a sami to zrozumiecie - Sulpicjusz chciał zniszczyć senat, znaleźć jakiś sposób dokonania tego, więc pozwolił wam myśleć, że zostanieie inaczej potraktowani niż wasi rzekomi wrogowie. Wymachiwał przynętą w postaci powszechnego zniesienia długów. Wykorzystał was jednak, ludu rzymski! Ani razu nie powiedział na żadnym publicznym zgromadzeniu, że zmierza do powszechnego zniesienia długów! Rozesłał jedynie swych agentów, by szeptali wam o tym prywatnie. Czy nie widzicie, że to nie było szczere? Gdyby zamierzał znieść długi, ogłosiłby to z rostrów. Tego nigdy nie zrobił. Wykorzystał was z całkowitą obojętnością dla waszego ciężkiego położenia. Tymczasem ja, jako wasz konsul, ująłem z brzemienia długów tyle, ile było można bez podkopywania całego systemu pieniężnego - i zrobiłem to dla wszystkich Rzymian, od najwyższych klas do najniższych. Zrobiłem to nawet dla tych, którzy nie są Rzymianami! Wydałem prawo ograniczające płatności odsetek tylko do odsetek od kapitału, i to w pierwotnie uzgodnionej wysokości. Tak więc, możecie powiedzieć, że to ja ująłem wam długów. Nie Sulpicjusz!

Obracał się, udając, że wpatruje się tu i ówdzie w tłum. Powtórzywszy to kilka razy, znów obrócił się do tłumy i wzruszył ramionami, unosząc ręce w geście rozczarowania.

- Gdzie jest Publiusz Sulpicjusz? - zapytał ze zdziwioną miną. - Czy kogoś zabiłem, wkraczając z armią do Rzymu? Kilku niewolników i wyzwolenców, i kilku byłych gladiatorów, hałastrę, nie zaś godnych szacunku Rzymian. Czemu nie ma tu Publiusza Sulpicjusza, by przemówił do was, odpierając to, co powiedziałem? Wzywam Publiusza Sulpicjusza do wystąpienia i odparcia moich słów w uczciwej i honorowej debacie; nie wewnątrz Kurii Hostyliusza, ale na oczach jego „suwerennego Ludu”! - Otoczył usta dłońmi i ryknął: - Publiusz Sulpicjusz, trybunie ludowy, wzywam cię do wystąpienia i do odpowiedzi!

Jedyną odpowiedzią było jednak milczenie tłumy.

- Nie ma go tu, ludu rzymski, bo gdy ja - legalnie wybrany konsul - wszedłem do tego miasta w otoczeniu moich jedyńskich przyjaciół, moich żołnierzy, szukać sprawiedliwości dla siebie i dla nich, Publiusz Sulpicjusz uciekł. Dlaczego jednak uciekł? Czy bał się o swoje życie? Czemu miałby się bać? Czy próbowałem zabić jakiegoś wybieralnego wyższego urzędnika albo choćby jakiegoś zwykłego mieszkańca Rzymu? Czy stoję tu w pełnej zbroi z zakrwawionym mieczem w ręku? Nie! Stoję tu w todze z purpurowym szlakiem mego wysokiego urzędu, a moi jedyni przyjaciele, moi żołnierze są



nieobecni i nie słyszą tego, co do was mówię. Nie muszą tu być obecni! Jestem ich legalnie wybranym przedstawicielem, tak samo jak jestem waszym legalnie wybranym przedstawicielem. A jednak Sulpicjusza tu nie ma! Czemu go tu nie ma? Czy naprawdę wierzycie, że się lęka o życie? Jeśli tak jest, ludu rzymski, to lęka się, bo wie, że dopuścił się naruszenia prawa i zdrady stanu. Co do mnie, wolałbym raczej mieć wątpliwości i chciałbym z całego serca, żeby tu dzisiaj był! - Czas przerwać, czas wpatrywać się w tłum z udawaną nadzieją wypatrzenia Sulpicjusza. Sulla otoczył usta dłońmi i ryknął: - Publiuszu Sulpicjuszu, trybunie ludowy, wzywam cię do wystąpienia i odpowiedzi!

Nikt się nie zjawiał.

- On odszedł, ludu rzymski! Uciekł w towarzystwie człowieka, który oszukał go tak samo, jak oszukał was - Gajusza Mariusza!

I teraz tłum zaczął się poruszać, pomrukiwać; to było nazwisko, którego nikt należący do ludu rzymskiego nie życzył sobie słyszeć wymawianego tonem potępienia.

- Tak, wiem - powiedział Sulla bardzo powoli i wyraźnie, żeby mieć pewność, że jego słowa zostaną dokładnie przekazane. - Gajusz Mariusz jest bohaterem. Uchronił Rzym przed królem Numidii Jugurtą. Ocalił Rzym i świat rzymski przed Germanami. Udał się do Kapadocji i w pojedynkę zmusił króla Mitrydatesa do odwrotu - nie wiedzieliście o tym, nieprawdaż? Stoję tu jednak, żeby wam powiedzieć coś innego o wielkich czynach Gajusza Mariusza! O wielu jego największych czynach się nie opowiada. Wiem o tym, bo byłem jego lojalnym legatem w kampaniach przeciw Jugurcie i przeciw Germanom. Byłem jego prawą ręką. Losem takich prawych rąk jest pozostanie w cieniu. I ja nie żałuję Gajuszowi ani odrobiny jego chlubnej reputacji. Jest zasłużona! Ja również byłem jednak lojalnym sługą Rzymu. Ja również udałem się na Wschód i w pojedynkę zmusiłem króla Mitrydatesa do odwrotu. Przeprowadziłem pierwszą rzymską armię przez Eufrat w nieznane kraje.

Urwał znowu, widząc z przyjemnością, że tłum się uspokoił, że udało mu się przynajmniej przekonać ludzi o swej szczerości.

- Byłem przyjacielem Gajusza Mariusza, tak samo jak jego prawą ręką. Przez wiele lat byłem jego szwagrem - do śmierci mojej żony, która była siostrą jego żony. Nie rozwiodłem się z nią. Nie było między nami żadnych animozji. Jego syn i moja córka są ciotecznym rodzeństwem. Kiedy przed niewielu dniami stronnicy Publiusza Sulpicjusza zamordowali na Forum wielu młodych ludzi wielkich nadziei i z dobrych rodzin, był wśród nich syn mego kolegi, Kwintusa Pompejusza, a mój zięć. Musiałem wtedy uciekać z Forum. I gdzie się schroniłem, mając pewność, że moje życie będzie bezpieczne? Ależ, poszedłem do domu Gajusza Mariusza, on zaś udzielił mi schronienia.

Tak, tłum zdecydowanie się uspokoił. Udało mu się wybrnąć ze sprawy Gajusza Mariusza we właściwy sposób.



- Kiedy Gajusz Mariusz odniósł swe wielkie zwycięstwo nad Marsami, znowu działałem jako jego prawa ręka. A gdy moja armia - ta armia, którą wprowadziłem do Rzymu - przyznała mi wieniec z trawy za ocalenie jej przed pewną zagładą z rąk Samnitów, Gajusz Mariusz cieszył się, że ja, jego nie doceniany przyboczny, zdobyłem sobie w końcu sławę na polu bitwy. Co do znaczenia i liczby poległych nieprzyjaciół moje zwycięstwo było większe niż jego, ale czy to było dla niego ważne? Oczywiście, że nie! Cieszył się wraz ze mną! A czy nie zdecydował się na powrót do senatu w dniu inauguracji mego konsulatu? Czy jego obecność nie przydała mi znaczenia?

Byli teraz całkowicie pochłonięci. Nikt się nie odzywał. Sulla zaczął podsumowanie swego przemówienia.

- Jednakże, ludu rzymski, musimy wszyscy, wy, ja - Gajusz Mariusz - od czasu do czasu spojrzeć w oczy niemiłym faktom. Jeden taki fakt dotyczy Gajusza Mariusza. Nie jest ani dość młody, ani na tyle zdrowy, żeby prowadzić wielką wojnę zamorską. Jego umysł szwankuje. Ten organ, jak wszyscy wiecie, nie odzyskuje sprawności tak, jak ją odzyskuje ciało, w którym zamieszkuje. Człowiek, którego widywaliście przez ostatnie dwa lata, gdy chodził, pływał, ćwiczył, leczył swe ciało z ciężkiej przypadłości, nie mógł uleczyć swego umysłu. Tej właśnie umysłowej przypadłości przypisuję jego ostatnie działania. Wybaczam mu jego ekscesy w imię miłości, jaką go darzę. I wy musicie. Rzym stoi w obliczu gorszej pożogi niż ta, z której obecnie wychodzi. Większa i dużo bardziej niebezpieczna potęga niż Germanie powstała oto w osobie wschodniego króla, z dobrze wyszkoloną i dobrze wyposażoną armią, liczącą setki tysięcy ludzi. Człowieka, który ma w swej flocie setki wielkich okrętów wojennych. Człowieka, któremu udało się zyskać współpracę zamorskich ludów chronionych i wspieranych dotąd przez Rzym - a teraz nie okazujących wdzięczności. Czyż mogę stać z boku, ludu rzymski, gdy przez swoją niewiedzę przenosisz dowództwo w tej wojnie ze mnie - człowieka u szczytu możliwości! - na niego - człowieka, który dawno już przekroczył swój szczyt?

Nie lubił przemawiać publicznie i napięcie dawało mu się we znaki. Kiedy jednak urwał, by pozwolić heroldom nadażyć za sobą, nie dawał po sobie poznać, że zaschło mu w gardle, a kolana mu drżą, i że czeka na reakcję tłumu.

- Jeśli nawet chciałem oddać swoje zgodnie z prawem przyznane dowództwo w wojnie z królem Pontu, Mitrydatesem, Gajuszowi Mariuszowi, nie życzyło sobie tego pięć legionów tworzących moją armię. Stoję tu nie tylko jako legalnie wybrany starszy konsul, ale też jako legalnie wyznaczony przedstawiciel żołnierzy Rzymu. To oni uchwalili marsz na Rzym - nie żeby podbijać Rzym i nie żeby traktować Rzymian jak wrogów - ale by pokazać ludowi rzymskiemu, co myślą o nielegalnym prawie uzyskanym od zgromadzenia cywilów przy użyciu języka o wiele zdolniejszego niż mój i z



namowy chorego starca, który przypadkiem jest też bohaterem. Zanim jednak pozwolono im na spotkanie z wami, moi żołnierze musieli uporać się z bandami uzbrojonych łotrów, którzy nie chcieli wpuścić ich po dobroci. Te bandy zbrojnych łotrów wyszły z szeregów niewolników i wyzwoleńców Gajusza Mariusza i Publiusza Sulpicjusza. To nie prawdziwi obywatele Rzymu odmawiali moim żołnierzom prawa wejścia, bo prawdziwi obywatele Rzymu są dziś tutaj i słuchają, jak przedstawiam sprawę swoją i swoich żołnierzy. Ja i oni prosimy tylko o jedno. Żeby nam pozwolono robić to, do czego zostaliśmy, zgodnie z prawem, wyznaczeni - walczyć z królem Mitrydatesem.

Nabrał tchu, a kiedy znów przemówił, w jego donośnym głosie pobrzmiwał mosiądz niczym w głosie trąbki.

- Wyruszam na Wschód ze świadomością, że nikt nie jest zdrowszy ode mnie, że nie miałem żadnych mózgowych przypadłości, że mam wszelkie dane, by zapewnić Rzymowi to, co mu się należy - zwycięstwo nad złym zamorskim królem, który chce koronować się na króla Rzymu, który zabił osiemdziesiąt tysięcy naszych mężczyzn, kobiet i dzieci, błagających przy ołtarzach bogów o obronę! Moje dowództwo jest w pełni zgodne z prawem. Innymi słowy, bogowie Rzymu powierzyli mi to zadanie. Bogowie Rzymu obdarzyli mnie swoim zaufaniem.

Zwyciężył. Gdy ustąpił miejsca znacznie lepszemu od siebie mówcy, w osobie pontifexa maximusa Kwintusa Mucjusza Scewoli, wiedział, że wygrał. Mimo bowiem swej podatności na wpływy złotoustych mówców Rzymianie byli trzeźwi i rozumni, i podatni na głos rozsądku.

- Wolałbym, żebyś znalazł inny sposób dochodzenia swoich praw, Lucjuszu Korneliuszu - powiedział Katulus Cezar, kiedy zebranie zostało ostatecznie zakończone. - Muszę cię jednak poprzeć.

- A jakie miał inne wyjście? - zapytał Antoniusz Orator. - Dalej, Kwintusie Lutacjuszu, podaj mi jakieś inne wyjście!

Odpowiedział brat tamtego, Lucjusz Cezar.

- Takim wyjściem było dla Lucjusza Korneliusza pozostanie w Kampanii ze swymi legionami i odmowa zdania dowództwa.

- Rzeczywiście! - parsknął cenzor Krassus. - A kiedy potem Sulpicjusz i Mariusz zebraliby pozostałe legiony z Italii, co by się stało, twoim zdaniem? Gdyby żadna ze stron nie ustąpiła, byłaby to prawdziwa wojna domowa, Lucjuszu Juliuszu, nie zaś wojna z jakimiś Italczykami! Wkraczając do Rzymu, Lucjusz Korneliusz zrobił jedynie to, co pozwoliło uniknąć zbrojnej konfrontacji między Rzymianami. Sam fakt, że w Rzymie nie ma żadnych legionów, był dla niego gwarancją powodzenia.

- Masz rację, Publiuszu Licyniuszu - powiedział Antoniusz Orator.

I na tym stanęło. Wszyscy ubolewali nad taktyką Sulli, ale nikt nie wymyślił żadnej alternatywy.





Przez następne dziesięć dni Sulla i przywódcy senatu codziennie przemawiali na Forum Romanum, stopniowo pozyskując sobie lud w bezlitosnej kampanii zmierzającej do zdyskredytowania Sulpicjusza i łagodnego pozbycia się Mariusza jako chorego starca, który powinien być zadowolony, mogąc spoczywać na laurach.

Po tamtych doraźnych egzekucjach za plądrowanie zachowanie się legionistów Sulli było bez zarzutu. Przypadli nawet do serca wielu cywilnym mieszkańcom i byli dokarmiani, a nawet przekarmiani - zwłaszcza po rozejściu się wieści, że są oni sławną armią spod Noli, która naprawdę wygrała wojnę z Italczykami. Sulla był jednak ostrożny, zaopatrując swych żołnierzy bez naruszania miejskich zapasów żywności. Byli też wśród mieszkańców tacy, którzy sceptycznie przyglądali się żołnierzom, pamiętając, że pomaszerowali oni na Rzym z własnej woli, gdyby zatem spotkali się ze sprzeciwem albo zostali sprowokowani, mogłoby dojść do masowej rzezi pomimo wszystkich pięknych słów ich wodza na Forum. Mimo wszystko nie odesłał ich do Kampanii. Trzymał ich wciąż w Rzymie. Tak nie postępuje ktoś, kto nie myśli o użyciu siły, jeśli nadarzy się okazja.

- Nie wierzę Ludowi - mówił Sulla do przywódców senatu, grona tak teraz małego, że pozostali w nim sami przywódcy. - Z chwilą kiedy znajdę się za morzem, pojawi się jakiś nowy Sulpicjusz. Zamierzam wprowadzić prawa, które to uniemożliwią.

Wkroczył do Rzymu w idy listopadowe, niebezpiecznie późno na wprowadzanie programu nowych praw. Skoro *lex Caecilia Didia* wymagała upływu trzech dni targowych, między pierwszym *contio* przedstawiającym nowe prawo a jego ratyfikacją istniały wszelkie szanse, że kadencja Sulli jako konsula upłynie, zanim zdoła on osiągnąć swoje cele. Co gorsza, inna *lex Caecilia Didia* zabraniała łączenia w jedno prawo nie spokrewnionych ze sobą tematów. Jedyna zaś legalna droga do zakończenia programu w terminie była prawdopodobnie najniebezpieczniejsza: przedstawienie wszystkich nowych praw Zgromadzeniu Ludowemu podczas jednego *contio* i poddanie ich pod dyskusję łącznie. To umożliwiałoby każdemu przejrzenie jego planu od samego początku.

To Cezar Strabon rozstrzygnął dylemat Sulli.

- To proste - powiedział ten zezowaty pocziwiec, kiedy się do niego zwrócono. - Dodaj jeszcze jedno prawo do swojej listy i przedstaw je pierwsze, a mianowicie prawo o udzieleniu twoim prawom odstępstwa od warunków *lex Caecilia Didia prima*.

- Komicjum nigdy się na to nie zgodzi!

- Ależ, zgodzą się, kiedy tylko ujrzą odpowiednią liczbę żołnierzy! - odrzekł wesoło Cezar Strabon.

Miał zupełną rację. Kiedy Sulla zwołał Zgromadzenie Ludowe - składające się



zarówno z patrycjuszy, jak i plebejuszy - przekonał się, że jest ono skłonne popierać ustanowienie jego praw. Pierwszym przedstawionym prawem było zatem prawo o udzieleniu jego prawom odstępstwa od warunków *lex Caecilia Didia prima*. Ponieważ odstępstwo dotyczyło i tego prawa, zostało ono ogłoszone i ustanowione tego samego dnia. Był koniec listopada.

Sulla przedstawił, jedno po drugim, sześć praw z niezmierną dbałością o kolejność ich prezentacji. Było ogromnie ważne, żeby Lud nie przejrzał jego planu, zanim nie będzie za późno, żeby się z niego wywikłać. Przez cały ten czas zabiegał wytrwale o uniknięcie choćby cienia konfrontacji między armią a mieszkańcami Rzymu, dobrze rozumiejąc, że Lud nie wierzy mu z powodu tych żołnierzy.

Skoro jednak nie zależało mu ani trochę na tym, żeby go kochano, jedynie na tym, żeby go słuchano, uznał że nie zaszkodzi przystąpić do kampanii plotek o krwawej łaźni, jaka czeka miasto, jeśli jego prawa nie zostaną ustanowione. Sulla nie cofał się bowiem przed niczym, kiedy w grę wchodziła jego pozycja. Dopóki Lud robił, co mu kazano, wolno mu było nienawidzić Sulle równie mocno, jak Sulla nienawidził Ludu. Nie mógł oczywiście dopuścić do krwawej łaźni, bo gdyby do tego doszło, jego kariera byłaby skończona. Znając jednak mechanikę strachu, nie przewidywał krwawej łaźni. I miał rację.

Jego druga *lex Cornelia* wydawała się nieszkodliwa. Ustawa polecała rozszerzenie czterdziestoosobowego senatu o trzystu nowych członków. Jej sformułowania zostały celowo ułożone tak, by uniknąć piętna związanego z prawami usuwającymi senatorów albo posyłającymi ich na wygnanie. Nowi senatorowie mieli być wyznaczani w zwykły sposób przez cenzorów. Cenzorom nie polecano przyjmować ponownie senatorów usuniętych za długi. Ponieważ fundusz wydobywania z długów usuniętych senatorów działał pod kierownictwem Katulusa Cezara równie gładko jak Kapua w czasie trwania wojny, wkrótce nie było żadnych przeszkód, by cenzorzy przywrócili usuniętym ich miejsca w senacie. Uszczerbek, jaki poniósł senat wskutek śmierci tylu swoich członków, również miał zostać w końcu naprawiony. Wywieranie presji na cenzorów miało być nieoficjalnym zadaniem Katulusa Cezara, co oznaczało, że wkrótce senat będzie aż nazbyt pełny. Sulla był tego pewien. Katulus Cezar miał potężne wpływy.

Trzecia *lex Cornelia* zaczęła ujawniać zaciśniętą złowrogo pięść Sulli. Uchyłała ona *lex Hortensia*, prawo figurujące na tablicach od dwustu lat. Zgodnie z warunkami nowego prawa Sulli, nie wolno było przedstawiać zgromadzeniom trybusowym niczego, co nie uzyskało uprzedniej aprobaty senatu. Nakładało to kaganiec nie tylko trybunom ludowym, ale także konsulom i pretorom. Bez *senatus consultum* ani Zgromadzenie Plebejskie, ani Zgromadzenie Ludowe nie mogły stanowić praw. Zgromadzenia trybusowe nie mogły też zmieniać sformułowań żadnego *senatus consultum*.



Czwarta *lex Cornelia* Sulli trafiła do Zgromadzenia Ludowego jako *senatus consultum*. Umacniała ona centurie, usuwając modyfikacje, którym ulegały one od pierwszych dni republiki. *Comitia centuriata* wróciła do formy, jaką cieszyła się za panowania króla Serwiusza Tuliusza, kiedy to podział głosów dawał klasie pierwszej prawie pięćdziesiąt procent władzy. Pod rządami nowego prawa Sulli senat i rycerze mieli odtąd być tak silni, jak byli zawsze za czasów królewskich.

Piąta *lex Cornelia* ukazywała miecz Sulli gotowy do zadania ciosu. Była to ostatnia ustawa w jego programie, która miała być omówiona i ustanowiona przez Zgromadzenie Ludowe. W przyszłości żadna dyskusja nad prawami ani głosowanie nie mogły odbywać się w zgromadzeniach trybusowych. Akty prawne miały być dyskutowane i ustanawiane przez umocnione przez Sullę Zgromadzenie Centurialne, gdzie wszystko było pod kontrolą senatu i *Ordo Equester*, zwłaszcza zjednoczonymi - jak zawsze były w opozycji wobec radykalnych zmian albo przenoszeniu jakichś przywilejów na niższe klasy. Odtąd zgromadzenia trybusowe nie miały już dosłownie żadnej władzy - ani Zgromadzenie Ludowe, ani Zgromadzenie Plebejskie. A Zgromadzenie Ludowe ustanowiło tę piątą *lex Cornelia*, wiedząc, że wydaje na siebie wyrok skazujący; mogło odtąd wybierać tych co dawniej wyższych urzędników, ale nie miało już żadnych innych praw. Prowadzenie rozprawy sądowej w zgromadzeniu trybusowym wymagało ustanowienia odpowiedniego aktu prawnego.

Wszystkie postanowienia Sulpicjusza figurowały jeszcze na tablicach i były nominalnie ważne. Jaki był z nich jednak pożytek? Jakie znaczenie miała możliwość wpisywania nowych obywateli z Italii i Galii italskiej oraz wyzwoleńców z dwóch *tribus* miejskich do wszystkich trzydziestu pięciu *tribus*? Zgromadzenia trybusowe nie mogły stanowić praw ani prowadzić procesów.

Istniała pewna słabość i Sulla miał tego świadomość. Gdyby nie śpieszył się z wyruszeniem na Wschód, zrobiłby coś, by ją opanować, nie można było jednak tego osiągnąć w tym czasie, jaki miał do dyspozycji.

Chodziło o trybunów ludowych. Udało mu się wyrwać im zęby; nie mogli stanowić praw, nie mogli stawiać ludzi przed sądem. Nie zdołał jednak wyrwać im pazurów - i to jakich pazurów! Nadal mieli tę władzę, jaką powierzył im Lud, kiedy ich powoływano. Jej częścią było prawo wetowania. We wszystkich swoich ustawach Sulla starał się nie wymierzać żadnej z nich w wyższych urzędników, a jedynie w instytucje, w których ci urzędnicy działali. Technicznie rzecz biorąc, nie zrobił niczego wywrotowego. Odebranie trybunom ludowym prawa weta mogło jednak być uznane za działalność wywrotową, jako godzące w *mos maiorum*. Władza trybunów była prawie tak stara jak republika. Byli nietykalni.

W tym czasie program praw zakończył się sam. Nie na Forum Romanum,



gdzie Lud zwykł się stawiać i gdzie Lud widział, co się dzieje. Szósta i siódma *leges Corneliae* zostały przedstawione Zgromadzeniu Centurialnemu na Polu Marsowym - otoczonym przez obozującą tam armię Sulli.

Szósta ustawa załatwiała to, co Sulla uznał za trudne do przeprowadzenia na Forum; uchylała wszystkie akty prawne Sulpicjusza na tej podstawie, że były ustanowione *per vim* - przy użyciu przemocy - i podczas legalnie ogłoszonych *feriae* - dni świątecznych.

Ostatnia ustawa była właściwie rozprawą sądową. Stawiała dwudziestu ludziom oskarżenie o zdradę stanu. Nie o tę nową zdradę stanu, z *questio de maiestate* Saturnina, ale o tę znacznie starszą i mniej elastyczną zdradę stanu centuriów, *perduellio*. Gajusz Mariusz, Mariusz Młodszy, Publiusz Sulpicjusz Rufus, pretor miejski Marek Juniusz Brutus, Publiusz Korneliusz Cetegus, bracia Graniuszowie, Publiusz Albinowanus, Marek Laetoriusz i ze dwunastu innych wymienionych było z nazwiska. Zgromadzenie Centurialne skazało ich wszystkich. A *perduellio* oznaczało wyrok śmierci. Wygnanie nie wystarczało centuriom. Co gorsza, kara śmierci mogła być wymierzona w chwili zatrzymania, i nie wymagało to żadnych formalności.



Sulla nie spotkał się ze sprzeciwem ze strony żadnego ze swych przyjaciół ani żadnego z przywódców senatu - z wyjątkiem młodszego konsula Kwintusa Pompejusza Rufusa, który był coraz bardziej przygnębiony, a w końcu oświadczył stanowczo, że nie może się zgodzić na stracenie takich ludzi, jak Gajusz Mariusz i Publiusz Sulpicjusz.

Nie mając zamiaru wykonywać wyroku śmierci na Mariuszu - chociaż Sulpicjusza miał zamiar stracić - Sulla starał się najpierw wydobyć Pompejusza Rufusa z przygnębienia. Kiedy to nie poskutkowało, przypomniał mu o śmierci młodego Kwintusa Pompejusza z rąk ludzi Sulpicjusza. Im mocniej jednak Sulla przekonywał, tym bardziej upierał się Pompejusz Rufus. Dla Sulli było niezmiernie ważne, by nikt nie dostrzegł niezgody wśród ludzi u władzy, którzy tak usilnie zabiegali o unicestwienie zgromadzeń trybusowych. Postanowił więc, że należy usunąć Pompejusza Rufusa z Rzymu i z zasięgu wzroku tych żołnierzy, którzy tak drażnili jego wrażliwe zmysły.

Jedna z najbardziej fascynujących zmian, jakie dokonywały się w Sulli, wiązała się z nowym podejściem do najwyższej władzy. Przypadła mu do smaku i wiązał z nią wielkie nadzieje. Mianowicie znajdował teraz o wiele więcej satysfakcji i wewnętrznego zadowolenia w wydawaniu praw niszczących innych ludzi, niż to bywało dawniej, kiedy musiał uciekać się do ich mordowania. Manipulowanie państwem dla zniszczenia Gajusza Mariusza było o wiele przyjemniejsze niż podanie Gajuszowi Mariuszowi jakiejś najwolniej działającej trucizny, przyjemniejsze nawet niż trzymanie za rękę umierającego



Gajusza Mariusza. Ten nowy etap kierowania nawą państwową postawił Sullę na innej płaszczyźnie, wyniósł go na takie wyżyny, że czuł się, spoglądając w dół na gorączkowe ruchy swoich marionetek, niczym bóg na Olimpie, podobnie wolny od moralnych i etycznych zahamowań.

Tak więc ułożył pozbycie się Kwintusa Pompejusza Rufusa w całkiem nowy i subtelny sposób, wykorzystując swoje zdolności umysłowe i oszczędzając sobie trosk. Czemu ryzykować przyłapanie na morderstwie, jeżeli można posłużyć się innymi do mordowania w twojej sprawie?

- Mój drogi Kwintusie Pompejuszu, potrzebny ci pobyt w polu - mówił Sulla do swego młodszego kolegi z wielkim przejęciem i serdecznością. - Nie uszło mej uwagi, że od śmierci twego drogiego chłopca jesteś przygnębiony i zbyt łatwo się denerwujesz. Straciłeś swą bezstronność, nie dostrzegasz wielkości tego dzieła, które razem tkamy na krosnach władzy. Byle drobiazg cię deprymuje. Nie sądzę jednak, żeby zaradził temu odpoczynek. Potrzebujesz ciężkiej pracy.

Przygasłe raczej oczy tamtego wpatrywały się w twarz Sulli ze szczerym uczuciem. Czy mógłby nie być wdzięczny, że jego kadencja konsula związała go z jednym z najwybitniejszych ludzi w historii? Któż by to przypuszczał w czasach, gdy zawiązywało się ich przymierze?

- Wiem, że masz słuszność, Lucjuszu Korneliuszu - powiedział. - Prawdopodobnie masz rację we wszystkim. Bardzo mi jednak trudno pogodzić się z tym, co się stało. I wciąż się dzieje. Jeśli uważasz, że mogę być w czymś użyteczny, z radością się tym zajmę.

- Jest pewna niezmiernie ważna rzecz, którą mógłbyś zrobić i którą może zrobić jedynie konsul - rzeki skwapliwie Sulla.

- Co takiego?

- Zwolnić Pompejusza Strabona z jego dowództwa.

Niemіły dreszcz przeszedł młodszego konsula, który spojrzał teraz na Sullę z obawą.

- Nie sądzę, żeby Pompejusz Strabon chciał pozbyć się swego dowództwa bardziej, niż ty tego chciałeś!

- Wprost przeciwnie, mój drogi Kwintusie Pompejuszu. Któregoś dnia dostałem od niego list. Pytał, czy można by jakoś załatwić zwolnienie go z dowództwa. Prosił szczególnie o ciebie, jako o swego zastępcę. Jesteś jego rodakiem z Picenum i w ogóle - sam wiesz! Jego żołnierze nie lubią wodzów, którzy nie są Picenami - mówił Sulla, przyglądając się twarzy młodszego konsula, na której pojawiło się zadowolenie. - Twoim głównym zadaniem będzie właściwe dopilnowanie ich zwolnienia ze służby. Na północy nie ma już żadnego oporu, nie ma więc potrzeby utrzymywania tam armii, a Rzym z pewnością nie może sobie pozwolić na dalsze jej opłacanie. - Sulla zrobił poważną minę. - To, co ci proponuję, nie jest synekurą, Kwintusie Pompejuszu.



Wiem, dlaczego Pompejusz Strabon chce tak nagle odejść. Nie chce, by przyłgnęło do niego odium zwalnającego swych żołnierzy ze służby. Niech to zrobi zatem inny Pompejusz!

- Nie mam nic przeciw temu, Lucjusz Korneliuszu. - Pompejusz Rufus wyprostował ramiona. - Będę ci wdzięczny za tę pracę.

Senat wydał następnego dnia *senatus consultum* tej treści, że Gnejusz Pompejusz Strabon ma być zwolniony z dowództwa i zastąpiony przez Kwintusa Pompejusza Rufusa. Po czym Kwintus Pompejusz Rufus opuścił natychmiast Rzym. Wiedział, że nikt ze skazanych zbiegów nie został jeszcze zatrzymany, on sam nie będzie więc mimo wszystko wmieszany w tę brudną sprawę.

- Możesz równie dobrze działać jako własny kurier - powiedział Sulla, wręczając mu rozkaz senatu. - Wyświadcz mi tylko grzeczność, Kwintusie Pompejuszu. Zanim przekażesz Pompejuszowi Strabonowi dokument senatu, daj mu wpieryw do przeczytania ten list ode mnie.

Pompejusz Strabon przebywał w tym czasie w Umbrii wśród swych legionów obozujących pod Ariminum. Młodszy konsul jechał zatem po Via Flaminia, wielkiej drodze północnej, przecinającej dział wodny Apeninów między Asyżem a Cales. Choć nie była to jeszcze zima, pogoda na tych wysokościach była mroźna, Pompejusz Rufus podróżował więc w ciepłym wnętrzu krytego *carpentum* i z bagażem wypełniającym zaprzężony w muły wóz. Wiedział, że jedzie zająć stanowisko wojskowe, zatem jego jedyną eskortą byli liktorzy i grupa własnych niewolników. Via Flaminia była dla niego drogą do domu, nie musiał więc korzystać z gospód. Znał wszystkich właścicieli dworów po drodze i u nich się zatrzymywał.

Gospodarz w Assisium, stary znajomy, prosił o wybaczenie, że nie proponuje takich wygód jak dawniej.

- Czasy się zmieniają Kwintusie Pompejuszu! - wzdychał. - Musiałem tyle sprzedać! A potem, jakby nie dość było kłopotów, nawiedziła mnie plaga myszy!

I tak Kwintus Pompejusz Rufus udał się do łóżka w pokoju, który pamiętał jako znacznie lepiej umeblowany i który był zimniejszy niż dawniej, bo jakaś przechodząca tędy armia spaliła wszystkie okiennice. Przez długi czas leżał, nie mogąc zasnąć, słuchając chrobotów i pisków, myśląc o tym, co się działo w Rzymie, i nie mogąc pozbyć się obawy, że Lucjusz Korneliusz posunął się za daleko. O wiele za daleko. Będzie mu to policzone. Zbyt wiele pokoleń trybunów ludowych przemierzało dumnie Forum Romanum w sprawach Ludu, by milczeć w obliczu zniewagi, którą wyrządzi! im Sulla. Z chwilą gdy starszy konsul znajdzie się poza krajem, wszystkie jego prawa zostaną obalone. Ludzie zaś tacy jak on sam, Kwintus Pompejusz Rufus, będą ponosić winę - i znosić prześladowania.



Oddech zamieniał się w parę w lodowatym powietrzu, gdy wstawał o świcie i szukał swych ubrań, dygocąc i szczękając zębami. Spodnie do kolan, ciepła koszula z długimi rękawami wepchnięta w spodnie, dwie ciepłe tuniki na tę koszulę i filcowe buty do kolan. Kiedy jednak znalazł skarpety i usiadł na skraju łóżka, by je włożyć, przekonał się, że myszy pożarły nocą ich dolne końce. Zdrętwiały z przerażenia patrzył na nie niewidzącym wzrokiem w szarym świetle dnia wpadającym przez pozbawione okiennic okna. Był przesądnym Picenem, wiedział więc, co to znaczy. Myszy były wysłannikami śmierci. Myszy pożarły mu stopy. Upadnie. Zginie. To była przepowiednia.

Jego osobisty służący znalazł mu inne skarpety i ukląkł, by naciągnąć je na nogi Pompejusza Rufusa, zaniepokojony milczeniem i bezruchem siedzącego na skraju łóżka. Ten człowiek rozumiał wróżebny znak i modlił się o jego odwrócenie.

- *Domine*, nie ma się czym martwić - powiedział.

- Czeka mnie śmierć - odparł Pompejusz Rufus.

- Nonsens! - zapewniał gorąco niewolnik, pomagając wstać swemu panu. - Jestem Grekiem! Wiem więcej o bogach Tamtego Świata niż jakikolwiek Rzymianin! Apollo Smintejski jest bogiem światła, życia i uzdrowień, a przecież myszy są jego świętymi zwierzętami! Nie, ten znak oznacza chyba, że uleczysz północ z jej kłopotów.

- Oznacza, że umrę - rzekł Pompejusz Rufus i nie dał się odwieść od tego wytłumaczenia.

Wjechał do obozu Pompejusza Strabona trzy dni później, bardziej lub mniej pogodzony z losem, i zastał swego dalekiego kuzyna żyjącego po wielkopańsku w jakimś chłopskim dworze.

- Cóż za niespodzianka! - ucieszył się Pompejusz Strabon, wyciągając dłoń na powitanie. - Wejdźże, wejdź, proszę!

- Przywożę dwa listy - powiedział Pompejusz Rufus, siadając i przyjmując puchar najlepszego wina, jakiego kosztował od opuszczenia Rzymu. Wyciągnął dwa zwitki papieru. - Lucjusz Korneliusz prosił, żebyś przeczytał najpierw jego list. Ten drugi jest od senatu.

Pompejusz Strabon zmienił się na twarzy, w chwili gdy młodszy konsul wspomniał o senacie, nic jednak nie powiedział ani nie ujawnił swoich uczuć. Złamał pieczęć Sulli.

*Z prawdziwym bólem, Gnejuszu Pompejuszu, zobowiązany przez senat, przysyłam Ci twego kuzyna Rufusa w takich okolicznościach. Nikt bardziej niż ja nie docenia tych wielu, wielu usług, jakie oddałeś Rzymowi. I nikt lepiej niż ja nie doceni jeszcze jednej usługi, którą możesz wyświadczyć Rzymowi - o wielkim znaczeniu dla naszych przyszłych karier.*

*Nasz wspólny kolega Kwintus Pompejusz przeżył straszliwy wstrząs. Od chwili*



*śmierci syna - mojego zięcia i ojca moich dwojga wnuków - nasz drogi przyjaciel chyli się ku upadkowi. Jego obecność sprawia mi poważny kłopot, musiałem więc się go pozbyć. Nie potrafi on zdobyć się na zaaprobowanie środków, których musiałem - powtarzam, musiałem - użyć dla zachowania mos maiorum.*

*Wiem, Kwintusie Pompejuszu, że w pełni aprobujesz te moje środki, bo informowałem Cię o nich jak należało, ty zaś regularnie się ze mną komunikowałeś. Po głębokim namyśle uważam, że zacny Kwintus Pompejusz pilnie potrzebuje bardzo długiego spoczynku. Mam nadzieję, że znajdzie ten spoczynek u Ciebie w Umbrii.*

*Mam też nadzieję, że mi wybaczysz poinformowanie Kwintusa Pompejusza o Twoim pragnieniu zdania dowództwa przed zwolnieniem ze służby Twych żołnierzy. Jest dla mnie wielką ulgą wiedzieć, że spotka go miłe przyjęcie.*

Pompejusz Strabon odłożył list Sulli i przełamał oficjalną pieczęć senatu. Nie dał po sobie poznać, co myśli, kiedy czytał. Skończywszy czytanie - podobnie jak przy liście Sulli robił to po cichu - położył list na swym roboczym stole, spojrzął na Pompejusza Rufusa i uśmiechnął się szeroko.

- No cóż, Kwintusie Pompejuszu, twoja obecność jest rzeczywiście mile widziana! - powiedział. - Przyjemnie będzie pozbyć się obowiązków.

Spodiewając się wybuchu wściekłości, rozczarowania, oburzenia, mimo zapewnień Sulli, Pompejusz Rufus rozdziawił usta.

- A więc Lucjusz Korneliusz miał rację? Nie masz nic przeciw? Szczerze?

- Dlaczego miałbym mieć coś przeciw? Jestem zachwycony - odparł Pompejusz Strabon. - Moja sakiewka czuje się ściśnięta.

- Twoja sakiewka?

- Mam dziesięć legionów w polu, Kwintusie Pompejuszu, a ponad połowie z nich sam płacę.

- Sam im płacisz?

- No cóż, Rzymu na to nie stać. - Pompejusz Strabon wstał zza stołu. - Już czas zwolnić ze służby tych, którzy nie należą do mnie, a to zadanie, które mi nie odpowiada. Lubię walczyć, a nie pisać. Mam nie najlepszy wzrok, przede wszystkim. Miałem jednak u siebie kadeta, który wspaniale pisał. Właściwie przepadał za tym! - Pompejusz Strabon objął ramieniem Pompejusza Rufusa. - Poznaj teraz moich legatów i trybunów. Wszyscy służą u mnie od dawna, więc nie przejmuj się, jeśli będą zaskoczeni. Nie mówiłem im o moich zamiarach.

Zdumienie i żal, których nie okazał Pompejusz Strabon, były wyraźnie wypisane na twarzach Brutusa Damazypa i Geliusza Poplikoli, kiedy Pompejusz Strabon przekazał im nowinę.

- Nie, nie, chłopcy, to doskonale! - wykrzyknął Pompejusz Strabon. - Mojemu synowi też dobrze zrobi służba pod kimś innym niż jego ojciec. Kiedy wiatr się nie zmienia, stajemy się zbyt zadowoleni z siebie. To wszystkich odświeży.



Tego popołudnia Pompejusz Strabon urządził paradę armii i pozwolił nowemu wodzowi dokonać inspekcji.

- To tylko cztery legiony, sami moi ludzie - mówił Pompejusz Strabon, idąc obok Pompejusza Rufusa wzdłuż szeregów. - Sześć pozostałych stoi dookoła, przeważnie próżnując. Jeden w Camerinum, jeden w Fanum Fortunae, jeden w Ankonie, jeden w Iguwium, jeden w Arretium i jeden w Cingulum. Będziesz musiał się najeździć, żeby je rozpuścić. Nie ma sensu ściągać ich tutaj tylko po to, żeby im wydać świadectwa służby.

- Nie mam nic przeciw podróżowaniu - odrzekł Pompejusz Rufus, czując się nieco lepiej. Być może jego osobisty służący miał słuszość, być może ten wróżebny znak nie oznaczał jego śmierci.

Tego wieczoru Pompejusz Strabon wydał niewielką ucztę w swoim ciepłym i wygodnym dworze. Obecny był jego bardzo przystojny syn i inni kadeci, legaci - Lucjusz Juniusz Brutus Damazyp i Lucjusz Geliusz Poplikola - i czterech niewybieralnych trybunów wojskowych.

- Cieszę się, że nie jestem już konsulem i nie muszę mieć do czynienia z tamtymi - mówił Pompejusz Strabon, mając na myśli wybieralnych trybunów żołnierskich. - Słyszałem, że odmówili pójścia do Rzymu z Lucjuszem Korneliuszem. Typowe. Głupie woły! Z ich wyobrażeń o własnej ważności niewiele pozostało.

- Czy ty naprawdę popierasz marsz na Rzym? - spytał z niedowierzaniem Pompejusz Rufus.

- Zdecydowanie. Co innego mógł zrobić Lucjusz Korneliusz?

- Pogodzić się z decyzją Ludu.

- Z niekonstytucyjnym pozbawieniem imperium konsula? Dajże spokój, Kwintusie Pompejuszu! To nie Lucjusz Korneliusz działał nielegalnie, tylko Zgromadzenie Plebejskie i ten zdradziecki *cunnus* Sulpicjusz. I Gajusz Mariusz. Chciwy stary zrzęda. Ma już wszystko za sobą, ale nie ma dość rozsądku, by to zrozumieć. Czemu miałoby się mu pozwalać bez jednego słowa sprzeciwu na działania sprzeczne z konstytucją, gdy biedny Lucjusz Korneliusz, który działa zgodnie z nią, jest obrzucany błotem ze wszystkich stron?

- Lud nigdy nie kochał Lucjusza Korneliusza, a tym bardziej nie kocha go teraz.

- Czy to go martwi? - spytał Pompejusz Strabon.

- Nie sądzę. Sądzę natomiast, że powinno go to martwić.

- Nonsens! I głowa do góry, kuzynie! Jesteś teraz poza tym wszystkim. Kiedy znajdą Mariusza i Sulpicjusza, i resztę, nie będą cię winić o ich egzekucję - powiedział Pompejusz Strabon. - Jeszcze trochę wina?

Następnego ranka młodszy konsul postanowił przejść się po obozie, żeby zapoznać się z jego rozkładem. Podsunął mu ten pomysł Pompejusz Strabon, który jednak uchylił się od dotrzymania mu towarzystwa.



- Lepiej będzie, jeśli ludzie zobaczą cię samego.

Wciąż jeszcze zdumiony serdecznością przyjęcia, Pompejusz Rufus chodził, gdzie chciał, witany przez wszystkich od centurionów do szeregowców, w najbardziej przyjacielski sposób. Pytano go o zdanie na temat tego i owego, co mu pochlebiało. Był jednak dość inteligentny, by zarzuty zachować dla siebie do czasu odjazdu Pompejusza Strabona i umocnienia się na stanowisku dowódcy. Był wstrząśnięty brakiem higieny w urządzeniach sanitarnych obozu; doły kloaczne i latryny były zapuszczone i położone o wiele za blisko studni, z której czerpano wodę. Pompejusz Rufus pomyślał, że to typowe dla prowadzących wędrowny tryb życia. Gdy jakieś miejsce stawało się zanieczyszczone, pakowali się i przenosili gdzie indziej.

Kiedy młodszy konsul zobaczył idącą ku niemu dużą grupę żołnierzy, nie poczuł lęku ani nie tknęło go żadne złe przeczucie, byli bowiem uśmiechnięci i robili wrażenie chętnych do rozmowy. Poczuci się podniesiony na duchu; może będzie mógł powiedzieć im, co myśli o higienie w obozie. Kiedy skupili się ciasno wokół niego, uśmiechnął się do nich przyjaźnie i prawie nie poczuł, jak ostrze pierwszego miecza przebija skórzany kaftan i zagłębia się między żebra. Inne miecze poszły za pierwszym, liczne i szybkie. Nawet nie krzyknął. Nie miał nawet czasu pomyśleć o myszach i skarpetach. Zanim upadł na ziemię, już nie żył. Tamci rozplłynęli się po obozie.

- Cóż za nieszczęście! - wykrzyknął Pompejusz Strabon do syna, podnosząc się z kolan. - Martwy jak głaz, biedak! Dostał ze trzydzieści pchnięć. Wszystkie śmiertelne. Dobra robota, muszą być dobrzy do miecza.

- Ale kto? - spytał inny kadet, gdy Pompejusz Młodszy milczał.

- Żołnierze, oczywiście - odrzekł Pompejusz Strabon. - Chyba nie życzyli sobie zmiany wodza. Słyszałem coś o tym od Damazypa, ale nie brałem tego poważnie.

- Co teraz zrobisz, ojcze? - spytał Pompejusz Młodszy.

- Odeślę go do Rzymu.

- Czy to legalne? Ofiarom wojny powinno się urządzać pogrzeb na miejscu.

- Wojna jest skończona, a to jest konsul - odparł Pompejusz Strabon. - Myślę, że senat powinien zobaczyć jego ciało. Gnejuszu, synu mój, dopilnuj wszystkiego. Damazyp może eskortować ciało.

Zostało to zrobione z honorami. Pompejusz Strabon wysłał gońca, by zwołać zebranie senatu, a potem dostarczył Kwintusa Pompejusza Rufusa pod drzwi Kurii Hostyliusza. Nie było żadnych wyjaśnień, poza tym, co powiedział Damazyp - że armia Pompejusza Strabona nie chciała mieć innego wodza. Senat zrozumiał przesłanie. Gnejusz Pompejusz Strabon został pokornie zapytany, czy - skoro jego wyznaczony następca nie żyje - nie zechciałby zatrzymać dowództwa na północy.

Sulla przeczytał na osobności list od Pompejusza Strabona.



*No cóż, Lucjuszu Korneliuszu, czyż to nie smutna sprawa? Obawiam się, że moja armia nie wyjawí, kto to zrobił, ja zaś nie zamierzam karać czterech dobrych legionów za coś, co wzięło na siebie trzydziestu czy czterdziestu ludzi. Moi centurionowie są zbici z tropu. Tak samo mój syn, który jest w znakomitych stosunkach z szeregowcami i zwykle wie, co się dzieje. To właściwie moja wina. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo moi ludzie mnie kochają. Mimo wszystko Kwintus Pompejusz był Picenem. Chyba nie zależało im na nim ani trochę.*

*W każdym razie mam nadzieję, że senat widzi jasno konieczność utrzymania mego dowództwa na północy. Jeśli ludzie nie pogodzili się z Picenem, z pewnością nie przyjmą cudzoziemca, nieprawdaż? My z północy jesteśmy twardzi.*

*Życzę Ci wszystkiego najlepszego w twoich staraniach. Jesteś obrońcą dawnych obyczajów, ale masz interesujący nowy styl. Można się od Ciebie wiele nauczyć. Masz moje całkowite poparcie i nie wahaj się dać mi znać, gdybym jeszcze jakoś mógł Ci pomóc.*

Sulla roześmiał się, a potem spalił list. Niewiele dostawał ostatnio tak podnoszących na duchu wiadomości. Rzym nie był uszczęśliwiony z sullańskich zmian konstytucji. Sulla nie miał teraz co do tego wątpliwości, bo Zgromadzenie Plebejskie zebrało się i wybrało dziesięciu nowych trybunów ludowych. Wszyscy wyłonieni w głosowaniu byli przeciwnikami Sulli i stronnikami Sulpicjusza. Byli wśród nich: Gajusz Miloniusz, Gajusz Papiriusz Karbon Arwina, Publiusz Magiusz, Marek Wergiliusz, Marek Mariusz Gratydianus (adoptowany bratanek Gajusza Mariusza) i nie kto inny jak Kwintus Sertoriusz. Kiedy Sulla usłyszał, że Kwintus Sertoriusz zgłasza swą kandydaturę, ostrzegł go, by tego nie robił, jeśli wie, co mu wyjdzie na dobre. Sertoriusz zdecydował się zignorować to ostrzeżenie, powtarzając, że państwu nie robi obecnie różnicy, kto zostanie wybrany na trybuna ludowego.

Ta porażka dała Sulli do zrozumienia, że musi zapewnić sobie wybór konserwatywnych urzędników kurulnych, obu konsulów i wszystkich sześciu pretorów, którzy muszą z oddaniem popierać *leges Corneliae*. Z kwestorami było łatwo. Wszyscy byli ponownie mianowanymi senatorami albo młodymi ludźmi z rodzin senatorskich, na których można było polegać, gdy szło o poparcie władzy senatu. Wśród nich był Lucjusz Licyniusz Lukullus pozostający na usługach Sulli.

Oczywiście jednym z kandydatów na konsulów musiał być siostrzeniec Sulli Lucjusz Noniusz, który przed dwoma laty był pretorem i raczej nie zaszkodziłby swemu wujowi, gdyby został konsulem. Szkoda, że był on nie wyróżniającym się człowiekiem, nie miał więc szans na przyciągnięcie wyborców. Jego kandydatura ucieszyła jednak siostrę Sulli, o której on sam prawie zapomniał, tak mało miał w sobie uczuć rodzinnych. Kiedy przybywała



do Rzymu - a robiła to co jakiś czas - nigdy nie starał się z nią spotkać. To się musi zmienić! Na szczęście Dalmatyka chętnie mu pomagała i była żoną gościnną i cierpliwą, zajęła się więc jego siostrą i beznadziejnym Lucjuszem Noniuszem, przyszłym potencjalnym konsulem.

Dwaj inni kandydaci na konsulów byli mile widziani. Gnejusz Oktawiusz Ruson, dawny legat Pompejusza Strabona, zdecydowanie opowiadał się za Sullą i za dawnymi zwyczajami, prawdopodobnie otrzymał też wcześniej stosowne polecenia od Pompejusza Strabona. Drugim obiecującym kandydatem był Publiusz Serwiliusz Watia - z plebejskich Serwiliuszów, ale z dobrej starej rodziny i bardzo poważany w klasie pierwszej. Na dodatek miał za sobą znakomitą karierę wojskową, co zawsze liczyło się u wyborców.

Był jednak pewien kandydat, który spędzał Sulli sen z powiek, głównie dlatego, że wypłynął na powierzchnię klasy pierwszej jako znakomity kandydat na konsula, popierający przywileje senatorskie - i rycerskie także - choćby i niepisane. Lucjusz Korneliusz Cynna był patrycjuszem z tej samej *gens* co Sulla, żonaty z Annią, miał świetną przeszłość wojskową i był dobrze znany jako adwokat i mówca. Sulla wiedział jednak, że jest on związany w jakiś sposób z Mariuszem - prawdopodobnie Mariusz go po prostu kupił. Przed kilkoma miesiącami miał, jak tyłu innych senatorów, znane wszystkim kłopoty finansowe - a jednak gdy innych senatorów usuwano z senatu za długi, Cynna mógł się wykazać pełną sakiewką. „Kupiony”, pomyślał ponuro Sulla. Jakże przebiegły był Gajusz Mariusz! Miało to oczywiście związek z Mariuszem Młodszym i oskarżeniem go o zabójstwo konsula Katona. Sulla wątpił, czy w zwykłych okolicznościach Cynna dałby się przekupić, bo nie wyglądał na człowieka tego rodzaju, i był to jeszcze jeden powód, dla którego mógł on przyciągnąć wyborców z Klasy Pierwszej. Gdy jednak przyszły ciężkie czasy i ruina zaczęła zagrażać przyszłości synów i kariery, nawet ludzie z zasadami mogli dać się kupić. Zwłaszcza jeśli taki ktoś z zasadami nie był zmuszony sprzeniewierzać się zasadom mimo zmiany swego położenia.

I jakby nie dość było kłopotów z wyborami kurulnymi, Sulla zdawał sobie sprawę, że jego armia jest zmęczona okupacją Rzymu. Chciała iść na Wschód walczyć z Mitrydatesem i oczywiście nie rozumiała w pełni powodów, dla których jej wódz przedłuża pobyt w Rzymie. Zaczęła też doświadczać narastającego oporu wobec jej obecności w mieście. Nie chodziło o zmniejszenie się liczby darmowych posiłków, darmowych łóżek i darmowych kobiet, a raczej o to, że ci, którzy nigdy nie pogodzili się z obecnością armii, teraz ośmielali się brać odwet, wylewając z okien zawartość nocników na bezbronne żołnierskie głowy.

Gdyby Sulla zdecydował się na grube przekupstwo, mógłby odnieść sukces w wyborach kurulnych, bo klimat był odpowiedni dla hojnie płacących. Sulla nie był jednak skłonny rozstawać się ze swym małym złotym skarbem dla



niczego i dla nikogo. Niech sobie Pompejusz Strabon opłaca swoje legiony z własnej sakiewki i niech Gajusz Mariusz mówi, że jest skłonny robić to samo, Lucjusz Korneliusz Sulla uważał płacenie rachunków za obowiązek Rzymu. Gdyby Pompejusz Rufus jeszcze żył, Sulla mógłby dostać pieniądze od bogatego Picena, nie pomyślał jednak o tym przed wysłaniem go na północ, na spotkanie śmierci.

„Moje plany są dobre, ale ich wykonanie niepewne”, myślał. „To nieszczęsne miasto jest pełne ludzi mających własne przekonania i zdecydowanych dostać to, czego chcą. Dlaczego nie widzą, jak rozsądne i właściwe są moje plany? Czy jakiś człowiek może zdobyć władzę wystarczającą, by wykonać swoje plany w nie zmienionej postaci? Ludzie zasad i ideałów rujnują ten świat!

Pod koniec grudnia odesłał swą armię do Kapui pod dowództwem zacnego i wiernego Lukullusa, teraz oficjalnie jego kwestora. Potem zdał się w sprawach nastrojów i swoich szans na Fortunę, przeprowadzając wybory.

Chociaż był przekonany, że właściwie oceniał rozmiary niechęci do siebie we wszystkich warstwach społecznych, prawdą było jednak, że nie pojmował całej głębi i całej rozciągłości tej urazy. Nikt nie powiedział mu złego słowa, nikt nie spojrzał na niego krzywo, ale też cały Rzym nie mógł zapomnieć ani wybaczyć Sulli wprowadzenia do Rzymu armii - ani też zapomnieć jego armii przedłożenia wierności Sulli ponad wierność Rzymowi.

Ta kipiąca złość sięgała od najwyższych szczytów do samych rynsztoków. Nawet ludzie tak związani z nim i zaangażowani w zapewnienie supremacji senatowi, jak bracia Cezarowie i bracia Scypionowie Nazyka, woleliby, żeby Sulla znalazł inny sposób rozstrzygnięcia dylematu senatu niż użycie armii. W umysłach zaś ludzi z klas poniżej pierwszej jątrzyły się dwa dodatkowe wrzody: oto trybun ludowy został skazany na śmierć w czasie trwania swej rocznej kadencji, a stary i niedołączny Gajusz Mariusz został wyszczuty z kraju, pozbawiony rodziny i pozycji - i skazany na śmierć.

Oznaki tego palącego niezadowolenia stały się oczywiste, gdy wybrani zostali nowi urzędnicy kurulni. Gnejusz Oktawiusz Ruson był starszym konsulem, młodszym konsulem jednak został Lucjusz Korneliusz Cynna. Pretorzy byli grupą niezależnych, wśród których Sulla nie mógł liczyć na nikogo.

Najbardziej ze wszystkiego martwiły jednak Sullę wyniki wyborów trybunów żołnierskich w Zgromadzeniu Ludowym. Byli jeden w drugiego niebezpiecznymi ludźmi, a wśród nich znaleźli się tacy, jak Gajusz Flawiusz Fimbria, Publiusz Anniusz i Gajusz Marcjusz Cenzorynus. „Gotowi traktować z góry swoich wodzów, pomyślał Sulla, gdyby jakiś wódz z taką bandą w swych legionach spróbował maszerować na Rzym! Zabiliby go bez skrupułów, jak Mariusz Młodszy zabił konsula Katona. Rad jestem, że kończę swój konsulat i nie mam ich w swoich legionach. Każdy z nich to potencjalny Saturninus”.





Mimo rozczarowujących wyników wyborów Sulla był dość zadowolony, gdy stary rok dobiegał końca. Zwłoka dała jego agentom w prowincji Azji, w Bitynii i Grecji czas na powiadomienie go o rzeczywistej sytuacji. Zdecydowanie najmądrzej było udać się do Grecji, a później myśleć o Azji Mniejszej. Nie miał wojsk, by wykonać jakiś manewr oskrzydlający. To musiała być prosta próba wypchnięcia Mitrydatesa z Grecji i z Macedonii. Pontyjska inwazja nie przebiegała w Macedonii zgodnie z planem. Gajusz Sencjusz i Kwintus Brucjusz Sura udowodnili raz jeszcze, że siła nie zawsze rozstrzyga, kiedy przeciwnikiem jest Rzymianin. Dokonali wielkich rzeczy ze swymi małymi armiami. Nie mogło to jednak trwać bez końca.

Najpilniejszym zadaniem Sulli było zatem wydostanie się ze swym wojskiem z Italii. Jedynie pokonując króla Mitrydatesa i plądrując Wschód, mógłby odziedziczyć nieporównaną reputację Gajusza Mariusza. Jedynie przywożąc do kraju złoto Mitrydatesa, mógłby wydobyć Rzym z kryzysu finansowego. Jedynie wtedy mógłby mu Rzym wybaczyć marsz przeciw sobie. Jedynie wtedy mógłby mu Plebs wybaczyć przekształcenie ich cennego zgromadzenia w miejsce, gdzie się gra w kości i kręci młynka palcami.

W ostatnim dniu swego konsulatu Sulla zwołał senat na nadzwyczajne zebranie i przemawiał z prawdziwą szczerością. Wierzył niezachwianie w siebie i w swoje nowe rozporządzenia.

- Gdyby nie ja, ojcowie spisani, już byście nie istnieli. Mogę tak powiedzieć, bo to prawda, więc to powiadam. Gdyby prawa Publiusza Sulpicjusza Rufusa pozostały na tablicach, Plebs - nawet nie Lud! - rządziłby teraz Rzymem bez żadnej kontroli ani przeciwwagi. Senat byłby tylko szczątkowym reliktem, obsadzonym przez tak niewielu ludzi, że nie można by utworzyć *quorum*. Nie można by było zalecać niczego Plebsowi ani Ludowi, ani też podejmować żadnych decyzji w naszych własnych senackich sprawach. Zanim więc zaczniecie szlochać i biadać nad losem Plebsu i Ludu, zanim zaczniecie pławić się w niezасłużonej litości dla Plebsu i Ludu, radzę, żebyście sobie przypomnieli, czym byłoby to dostojne grono w tej chwili, gdyby nie ja.

- Wiwat, wiwat! - wykrzyknął Katulus Cezar, niezmiernie zadowolony, bo jego syn, jeden z tych nowych, nieco za młodych senatorów, wrócił w końcu z wojny i zasiadł w senacie. Bardzo chciał, żeby Katulus zdążył zobaczyć Sullę w roli konsula.

- Pamiętajcie też - mówił Sulla - że jeśli chcecie zachować prawo do kierowania rządem Rzymu musicie zachowywać moje prawa. Zanim zaczniecie rozważać możliwość przewrotu, pomyślcie o Rzymie! Dla dobra Rzymu w Italii musi panować pokój. Dla dobra Rzymu musicie podjąć wysiłki, by znaleźć wyjście z naszych finansowych kłopotów i przywrócić Rzymowi jego dawny dobrobyt. Nie możemy sobie pozwolić na luksus przyglądania się, jak trybunowie ludowi sieją zamęt. Ustanowione przeze mnie status quo musi być



utrzymane! Jedynie wtedy Rzym dojdzie do siebie. Nie możemy sobie pozwolić na sulpicjańskie idiotyzmy! - Spojrzał wprost na konsulów-elektów. - Jutro, Gnejuszu Oktawiuszu i Lucjuszu Cynno, odziedziczycie mój urząd i urząd mego zmarłego kolegi Kwintusa Pompejusza. Ja sam stanę się mężem konsularnym. Gnejuszu Oktawiuszu, czy dasz mi swoje uroczyste słowo, że będziesz stać na straży moich praw?

Oktawiusz nie zastanawiał się.

- Będę, Lucjuszu Korneliuszu. Masz na to moje uroczyste słowo.

- Lucjuszu Korneliuszu z gałęzi o przydomku Cynna, czy dasz mi swoje uroczyste słowo, że będziesz stać na straży moich praw?

Cynna patrzył na Sullę bez lęku.

- To zależy, Lucjuszu Korneliuszu z gałęzi o przydomku Sulla. Będę stać na straży twoich praw, jeżeli okażą się przydatne w sprawowaniu rządów. W tej chwili nie jestem pewien, czy tak będzie. Ten mechanizm jest tak niewiarygodnie starożytny, tak oczywiście trudny do obsługi, a prawa ogromnej części naszej rzymskiej społeczności zostały - nie mogę znaleźć innego słowa - unieważnione. Bardzo mi przykro, że ci sprawiam kłopot, ale w tym stanie rzeczy muszę się wstrzymać od obietnicy.

Jakaś niezwykła zmiana dokonała się w twarzy Sulli. Jak niektórzy ludzie ostatnio, tak teraz senat został przez chwilę wyróżniony widokiem tej nagiej, szponiastej istoty żyjącej wewnątrz Lucjusza Korneliusza Sulli. I jak wszyscy inni, senatorowie nigdy nie zapomnieli tego widoku, a w przyszłych latach mieli drżeć na to wspomnienie.

Zanim Sulla zdążył otworzyć usta, wtrącił się pontifex maximus Scewola:

- Lucjuszu Cynno, daj spokój! - zawołał. Pamiętał, że po pierwszym dostrzeżeniu przez niego tej bestii w Sulli, Sulla pomaszerował na Rzym. - Zaklinam cię, udziel konsulowi obietnicy.

Potem odezwał się Antoniusz Orator:

- Jeśli zamierzasz trzymać się takiego sposobu postępowania, Cynno, radzę ci pilnować swoich pleców! Nasz konsul Lucjusz Katon zaniedbał to i zginął.

W kurii podniosły się rozmowy półgłosem, tak wśród nowych, jak i starych senatorów, a większość dawała wyraz rozdrażnieniu i obawom z powodu postawy Cynny. Ach, czemu ci wszyscy mężowie konsularni nie mogą odłożyć na bok ambicji i pozowania? Czy nie widzą, jak rozpaczliwie Rzym potrzebuje pokoju i równowagi wewnętrznej?

- Spokój! - powiedział Sulla, tylko raz i niezbyt głośno. Wciąż jednak miał tamten wyraz twarzy, więc natychmiast zapadła cisza.

- Starszy konsulu, proszę o głos - odezwał się Katulus Cezar, który pamiętał, że jego pierwsze doświadczenie z wyrazem twarzy Sulli zakończyło się odwrotem spod Tridentum.

- Mów, Kwintusie Lutacjuszu.



- Przede wszystkim chcę powiedzieć coś o Lucjuszu Cynnie - oznajmił chłodno Katulus Cezar. - Sądzę, że wymaga on nadzoru. Żałuję, że został wybrany na urząd, którego nie zdoła godnie sprawować. Lucjusz Cynna może mieć znakomitą przeszłość wojskową, ale jego wyobrażenie o rządzeniu Rzymem i jego polityczne doświadczenia są minimalne. Kiedy był pretorem miejskim, nie podjął żadnych działań, które powinny być podjęte. Obaj konsulowie byli w polu, a jednak Lucjusz Cynna - odpowiedzialny za sprawowanie rządu - nie zrobił niczego, by zapobiec klęskom gospodarczym. Gdyby podjął się tego, Rzym miałby się obecnie lepiej. A jednak mamy tu dziś Lucjusza Cynnę, teraz konsula-elekta, wahającego się, czy złożyć o wiele mądrzejszemu i zdolniejszemu od siebie mężowi obietnicę, o którą tamten prosi w prawdziwym duchu rządów senatu.

- Kwintus Lutacjusz Serwilis nie powiedział ani jednego słowa, które skłoniłoby mnie do zmiany zdania - oświadczył szorstko Cynna, nazywając Katulusa Cezara sługusem.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedział Katulus Cezar wyniośle. - Jestem nawet przekonany, że nic, co ktoś z nas - albo my wszyscy - możemy powiedzieć, nie skłoni cię do zmiany zdania. Twój umysł jest zaciśnięty niczym twoja sakiewka na pieniądzach, które Gajusz Mariusz dał ci za wybielenie reputacji jego syna mordercy! - Cynna zaczerwienił się. Nie cierpiał tej swojej przypadłości, ale nie było na nią rady i zawsze go ona zdradzała. - Jest jednak pewien sposób, ojcowie spisani, by dopilnować, aby Lucjusz Cynna stał na straży praw, które nasz starszy konsul tak starannie ułożył - rzekł Katulus Cezar. - Proponuję, żeby zażądać od Gnejusza Oktawiusza i Lucjusza Cynny złożenia uroczystej i wiążącej przysięgi, że będą popierać nasz obecny system rządów wprowadzony przez Lucjusza Sullę na tablice.

- Zgadzam się - powiedział pontifex maximus Scewola.

- I ja - rzekł prynceps senatu Flakkus.

- I ja - powiedział Antoniusz Orator.

- I ja - rzekł cenzor Lucjusz Cezar.

- I ja - powiedział cenzor Krassus.

- I ja - rzekł Kwintus Anchariusz.

- I ja - powiedział Publiusz Serwiliusz Watia.

- I ja - rzekł Lucjusz Korneliusz Sulla, zwracając się do Scewoli: - Najwyższy kapłanie, czy przyjmiesz taką przysięgę od konsula-elekta?

- Przyjmę.

- A ja złożę ją - oświadczył głośno Cynna - jeżeli ta kuria opowie się za tym wyraźną większością.

- Niech kuria głosuje - polecił natychmiast Sulla. - Kto popiera tę przysięgę, niech stanie po mojej prawej stronie. Kto nie popiera, niech stanie po mojej lewej.



Tylko nieliczni senatorowie stanęli po lewej stronie Sulli, ale pierwszym, który tam się znalazł, był Kwintus Sertoriusz, a z jego muskularnej postaci promieniował gniew.

- Kuria w głosowaniu okazała jasno swe życzenia - rzekł Sulla, a z jego twarzy znikł tamten wyraz. - Kwintusie Mucjuszu, ty jesteś pontifexem maximusem. Jak przyjmuje się taką przysięgę?

- Zgodnie z prawem - odrzekł z miejsca Scewola. - Najpierw cała kuria, wraz ze mną, musi udać się do świątyni Jowisza Najlepszego i Największego, gdzie flamen *Dialis* i ja złożymy ofiarę Wielkiemu Bogu. Będzie to dwuletnia owca, a towarzyszyć nam będą kapłani Dwóch Zębów.

- Jakie to poręczne! - powiedział głośno Sertoriusz. - Założę się, że kiedy wejdziemy na Kapitol, będą tam na nas czekać kapłani, i to zwierzę.

Scewola ciągnął dalej, gdy nikt się już nie odzywał:

- Po złożeniu ofiary poproszę Lucjusza Domicjusza, który jest synem zmarłego pontifexa maximusa i nie jest wmieszany w tę sprawę, o odczytanie wróżby z wątroby ofiary. Jeśli wróżebne znaki będą pomyślne, poprowadzę kurię do świątyni Semo Sancus Dius Fidius, boga Dobrej Wiary. Tam - pod gołym niebem, jak się tego wymaga od składających przysięgi - przyjmę od konsulów-elektów przysięgę, że będą stać na straży *leges Corneliae*.

Sulla wstał z kurulnego krzesła.

- Zrób to więc, proszę, pontifeksie maximusie.

Wróżebne znaki były pomyślne i było ich więcej po drodze z Kapitolu do świątyni Semo Sancus Dius Fidius, gdy orzeł przeleciał z lewej strony na prawą, nad Porta Sanqualis, widziany przez cały senat.

Cynna nie miał jednak zamiaru związywać sobie rąk przysięgą na wierność konstytucji Sulli i wiedział, jak ją podważyć. Gdy senatorowie wspinali się do świątyni Wielkiego Boga na Kapitolu, on celowo został z tyłu z Kwintusem Sertoriuszem i nie zauważony przez nikogo - a tym bardziej nie podsłuchiwany - poprosił Kwintusa Sertoriusza o wyszukanie mu określonego kamienia. Gdy potem senatorowie kierowali się z jednej świątyni do drugiej, Sertoriusz wrzucił niepostrzeżenie ten kamień w zanadrze togi Cynny. Nietrudno było zacisnąć na nim palce lewej dłoni, był to bowiem niewielki, gładki, owalny kamień.

Od dzieciństwa wiedział, jak każdy rzymski chłopiec, że trzeba wyjść pod otwarte niebo, kiedy składa się jedną z tych wspaniałych przysięg, za którymi przepadali chłopcy - przyjaźni i wrogości, śmiałości i wprowadzania w błąd. Przy składaniu przysięg niebiańscy bogowie musieli być świadkami, bo inaczej nie była to prawdziwa i wiążąca przysięga. Jak wszyscy towarzysze jego dzieciństwa, Cynna traktował ten rytuał ze śmiertelną powagą. Raz jednak spotkał chłopca - syna rycerza Sekstusa Perkwitienusa - który, będąc wychowany w tamtym okropnym domu, nie dotrzymywał żadnych składanych



przez siebie przysięg. Byli w tym samym wieku, chociaż syn Sekstusa Perkwitienusa nie zadawał się z synami senatorów. Spotkanie było przypadkowe i miało związek ze składaniem przysięg.

- Musisz tylko - mówił syn Sekstusa Perkwitienusa - trzymać się kości Matki Ziemi. A żeby to zrobić, trzymaj kamień w dłoni, kiedy przysięgasz. Oddajesz się wtedy w opiekę bogów Tamtego Świata, bo Tamten Świat jest zbudowany z kości Matki Ziemi. Kamień, Lucjuszu Korneliuszu. Kamień jest kością!

Tak więc Lucjusz Korneliusz Cynna przysięgał, że będzie stać na straży praw Sulli, trzymając w lewej ręce kamień. Skończywszy, schylił się ku posadzce świątyni - która, jako nie przykryta dachem, zasłana była liśćmi, kamykami i gałązkami - i udał, że podnosi swój kamień.

- A gdybym tę przysięgę złamał - powiedział czystym i donośnym głosem - niech zostanę zrzucony ze Skały Tarpejskiej tak, jak odrzucam ten kamień!

Kamień wyleciał w powietrze, uderzył w osypujący się mur i upadł na powrót na łono swej Matki Ziemi. Zdawało się, że nikt nie rozumie znaczenia tej sceny, Cynna mógł więc odetchnąć z ulgą. Najwidoczniej sekret syna Sekstusa Perkwitienusa nie był znany rzymskim senatorom. Gdyby go teraz oskarżano o złamanie przysięgi, będzie mógł wyjaśnić, że go ona nie wiąże. Cały senat widział, jak odrzuca swój kamień. Zapewnił sobie stu wiarygodnych świadków. Ta sztuczka nigdy nie będzie powtórzona - ale gdyby o niej wiedział Metellus Świnka-Szczecinka, z pewnością by z niej skorzystał!



Chociaż Sulla przyszedł obejrzeć inaugurację nowych konsulów, nie został na uczcie, tłumacząc się przygotowaniem do wyjazdu rankiem do Kapui. Był jednak obecny na pierwszym zebraniu senatu w dniu Nowego Roku w świątyni Jowisza Najlepszego i Największego, wysłuchał więc krótkiej, złowieszczej mowy Cynny.

- Nie przyniosę wstydu memu urzędowi - mówił Cynna. - Jeśli mam jakieś wątpliwości, dotyczą one odchodzącego starszego konsula, prowadzącego na Wschód armię, którą powinien prowadzić Gajusz Mariusz. Gdyby nawet odłożyć na bok sprawę nielegalnego oskarżenia i skazania Gajusza Mariusza, odchodzący starszy konsul powinien, moim zdaniem, pozostać w Rzymie, by odpowiedzieć na oskarżenia.

Oskarżenia o co? Nikt tego nie wiedział, chociaż większość senatorów wywnioskowała, że będzie to oskarżenie o zdradę stanu, podstawa oskarżenia Sulli o poprowadzenie armii na Rzym. Sulla westchnął, godząc się z nieuniknionym. Sam był człowiekiem bez skrupułów, wiedział więc, że gdyby złożył tamtą przysięgę, złamałby ją w razie konieczności.

O Cynnie nie myślał wcześniej, że będzie on taki twardy. Teraz okazał swój hart ducha. Przykra sprawa!

Zszedłszy z Kapitolu, skierował się ku insuli Aurelii w Suburze, za-



stanawiając się po drodze, jak najlepiej poradzić sobie z Cynną. Zanim dotarł do celu, znalazł odpowiedź, uśmiechał się więc szeroko, wchodząc w drzwi, kiedy otworzył je Eutychnus.

Ten uśmiech zgasł jednak na widok twarzy Aurelii. Była skrzywiona, a jej oczy nie wyrażały żadnych uczuć.

- I ty także? - spytał, rzucając się na sofę.

- I ja także. - Aurelia usiadła na krześle naprzeciw niego. - Nie powinno cię tu być, Lucjuszu Korneliuszu.

- Ach, jestem bezpieczny - powiedział niedbale. - Kiedy wychodziłem, Gajusz Juliusz ulokował się w zacisznym kącie, czekając na ucztę.

- Nie sprawiłby ci kłopotu, gdyby teraz wszedł - powiedziała. - Będę miała zresztą odpowiednie towarzystwo, ze względu na mnie, nie na ciebie. - Podniosła głos. - Wejdz proszę, Lucjuszu Dekumiuszu!

Lucjusz Dekumiusz wyszedł z jej pracowni. Twarz miał kamienną.

- Ach, tylko nie ty! - powiedział Sulla z niesmakiem. - Gdyby nie tacy jak ty, Lucjuszu Dekumiuszu, nie musiałbym wprowadzać armii do Rzymu! Jak mogłeś wpaść w całe to głupstwo ze sprawnym Gajuszem Mariuszem. On nie zdołał poprowadzić armii nawet do Wejów, a cóż dopiero do prowincji Azji.

- Gajusz Mariusz wyzdrowiał - powiedział Lucjusz Dekumiusz wyzywająco, a jednak obronnym tonem. Sulla był nie tylko przyjacielem Aurelii, którego nie lubił. Był też człowiekiem z kręgu jego znajomych, którego się obawiał. Było wiele rzeczy, które wiedział o Sulli, a o których nie wiedziała Aurelia, ale im więcej ich odkrywał, tym mniejszą miał ochotę mówienia komuś o tym. „Swój swego pozna”, myślał sobie z tysiąc razy. „Ja zaś przysięgnę, że Lucjusz Korneliusz Sulla jest równie wielkim łotrem jak ja. Tyle tylko, że ma okazje do robienia większych łotrostw. A ja wiem, że je robi”.

- To nie Lucjusz Dekumiusz jest winien temu całemu zamieszaniu tylko ty! - parsknęła Aurelia.

- Nonsens! - odparł energicznie Sulla. - Nie ja zacząłem to zamieszanie! Zajmowałem się swoimi sprawami w Kapui i planowałem wymarsz do Grecji. To głupcy w rodzaju Lucjusza Dekumiusza są winni, mieszając się do spraw, o których nic nie wiedzą, łudząc się, że ich bohaterowie są z lepszego metalu niż reszta nas! Ten twój przyjaciel zaciągnął wielką liczbę Sulpicjuszowych zabijaków, wypełnił nimi Forum i uczynił moją córkę wdową - a potem zrobił to samo, kiedy wkroczyłem na Forum Esquilinum, nie pragnąc niczego bardziej niż zaprowadzenia pokoju! To nie ja sprawiałem kłopoty! Ja tylko musiałem za nie zapłacić!

Rozgniewany teraz Lucjusz Dekumiusz stał sztywno, zaperzony.

- Ja wierzę w Lud! - powiedział z głębi serca, tonem nie przywykłym do zdawania się na czyjąś łaskę.

- A widzicie? Deklamujesz głupstwa tak puste jak twój umysł czwartej klasy!



- warknął Sulla. - „Ja wierzę w Lud”, doprawdy! Lepiej byś zrobił, wierząc w lepszych od siebie!

- Lucjusz Korneliuszu, proszę! - powiedziała Aurelia z bijącym sercem i drżącymi nogami. - Jeśli jesteś lepszy od Lucjusza Dekumiusza, postępuj jak lepszy!

- Tak! - wykrzyknął Lucjusz Dekumiusz, bo jego ukochana Aurelia walczyła za niego, a on pragnął dobrze wypaść w jej oczach. Sulla nie był jednak Mariuszem. Jego charakter sprawiał, że Lucjusz Dekumiusz czuł, jak paznokcie zgrzytają po czymś gładkim i twardym jak kamień. Spróbował jednak. Dla Aurelii. - Nie przejmujesz się, wielki i ważny mężu konsularny Sullo, że możesz po prostu dostać nożem w plecy!

Blade oczy błysnęły, wargi Sulli odsłoniły zęby. Wstał z sofy otoczony aurą prawie namacalnej groźby i ruszył ku Lucjuszowi Dekumiuszowi.

Lucjusz Dekumiusz cofnął się - nie z obawy, ale raczej jak człowiek przesądny cofający się przed czymś równie tajemniczym jak straszliwym.

- Mógłbym cię zdeptać jak słoń psa - powiedział Sulla uprzejmie. - Nie robię tego jedynie przez wzgląd na tę oto panią. Ona cię ceni, a ty jej dobrze służyysz. Mogłeś użyć noża przeciw wielu ludziom, Lucjuszowi Dekumiuszowi, ale nie łudź się, że mógłbyś przeciw mnie! Nawet we śnie. Zejdź z mojej areny i poprzestań na dowodzeniu na swojej. A teraz precz!

- Odejdź, Lucjuszowi Dekumiuszowi - rzekła Aurelia. - Proszę!

- Nie wtedy, kiedy on jest w takim nastroju!

- Dam sobie radę sama. Odejdź, proszę.

Lucjusz Dekumiusz wyszedł.

- Nie było potrzeby traktowania go tak ostro - powiedziała ze ściągniętymi nozdrzami. - On nie wie, jak postępować z tobą, a jest lojalny wobec innych, bo taki już jest. Jest oddany Gajuszowi Mariuszowi z powodu mojego syna.

Sulla przysiadł na skraju sofy, niepewny, czy ma iść, czy zostać.

- Nie gniewaj się na mnie, Aurelio. Jeśli się gniewasz, pogniewam się na ciebie. Zgadza się, on nie jest odpowiednim celem. Pomógł jednak Gajuszowi Mariuszowi postawić mnie w położeniu, którego nie chciałem, o które nie prosiłem - i na które nie zasłużyłem!

Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze z płuc.

- Tak, mogę zrozumieć, co czujesz - powiedziała. - Jak dotąd, masz trochę racji. - Zaczęła rytmicznie kiwać głową. - Wiem o tym. Wiem o tym. Wiem, że próbowałaś na wszelkie możliwe sposoby powstrzymać bieg wydarzeń legalnie, pokojowo. Nie wiń jednak Gajusza Mariusza. To był Publiusz Sulpicjusz.

- Na pozór. - Sulla poczuł odprężenie. - Jesteś córką konsula i żoną pretora, Aurelio. Wiesz lepiej niż inni, że Sulpicjusz nie mógłby zacząć swego programu, gdyby nie poparcie kogoś znacznie bardziej wpływowego niż był on sam.



Gajusza Mariusza.

- Był? - spytała ostro, a oczy jej się rozszerzyły.

- Sulpicjusz nie żyje. Schwymano go przed dwoma dniami.

Zakryła dłońmi usta.

- A Gajusz Mariusz?

- Ach, Gajusz Mariusz, Gajusz Mariusz, zawsze Gajusz Mariusz! Pomyśl, Aurelio, pomyśl! Czemu miałbym chcieć śmierci Gajusza Mariusza? Zabić bohatera Ludu? Nie jestem aż takim głupcem! Mam nadzieję, że wystraszyłem go na tyle, że będzie trzymał się z dala od Italii, dopóki ja się z niej nie wydostanę. I to nie tylko o mnie chodzi, kobieto. Chodzi też o Rzym. Nie można mu pozwolić walczyć z Mitrydatesem! - Przesunął się na sofie, wyciągając ręce, niczym adwokat usiłujący przekonać nieprzychylnie mu kolegium sędziowskie.

- Aurelio, z pewnością zauważyłaś, że odkąd wrócił do publicznego życia dokładnie rok temu, wiązał się z ludźmi, którym dawniej nie powiedziała by: *ave!* Wszyscy posługujemy się ludźmi, z którymi wolelibyśmy nie mieć nic do czynienia. Wszyscy musimy podlizywać się ludziom, na których wolelibyśmy splunąć. Ale Gajusz Mariusz od swego drugiego udaru ucieka się do narzędzi i sposobów, których nie tknęłyby dawniej nawet w obliczu śmierci! Wiem, kim jestem. Wiem, co potrafię. Nie skłamię, jeżeli powiem, że jestem bardziej nieuczciwym i daleko bardziej pozbawionym skrupułów człowiekiem niż Gajusz Mariusz. Nie tylko z winy życia, które prowadziłem. Także dlatego, że jestem takim, a nie innym człowiekiem. Ale on nigdy taki nie był! On miałby zatrudnić kogoś takiego jak Lucjusz Dekumiusz, żeby się pozbyć jakiegoś kadeta, który oskarżył jego drogiego syna o morderstwo? On miałby zatrudnić kogoś takiego jak Lucjusz Dekumiusz, żeby mu zbierał zabijaków i hołotę? Pomyśl tylko, Aurelio! Ten drugi udar zaciążył mu na umyśle.

- Nie powinieneś maszerować na Rzym - powiedziała.

- A co innego miałem do wyboru? Gdybym znalazł inny sposób, skorzystałbym z niego! A może wolałabyś, żebym nadal siedział w Kapui, aż Rzym doczekałby się drugiej wojny domowej - Sulli z Mariuszem?

Z jej twarzy uciekły kolory.

- Nigdy by do tego nie doszło!

- Ach, była jeszcze i trzecia możliwość! Żebym warował przy nodze fanatycznego trybuna ludowego i obłąkanego starca! Pozwolić Gajuszowi Mariuszowi zrobić mi to, co zrobił Metellusowi Numidyjskiemu, użyć Plebsu do odebrania należnego mi z mocy prawa dowództwa? Kiedy to zrobił Metellusowi Numidyjskiemu, tamten nie był już konsulem! Ja byłem konsulem, Aurelio! Nikt nie odbiera dowództwa urzędującemu konsulowi. Nikt!

- Tak, rozumiem twój punkt widzenia - powiedziała, a jej twarz znowu nabrała życia. Jej oczy napełniły się łzami. - Oni ci nigdy nie wybaczą, Lucjuszowi Korneliuszu. Poprowadziłeś armię na Rzym.



- Och, na miłość boską, nie płacz! - jęknął. - Nigdy nie widziałem, żebyś płakała! Nawet na pogrzebie mojego chłopca! Jeśli nie mogłaś płakać nad nim, nie możesz płakać nad Rzymem!

Głowę miała pochyloną, więc łzy nie płynęły jej po policzkach. Spadały na jej łono, a światło chwytało błyski z jej wilgotnych czarnych rzęs.

- Kiedy jestem najbardziej wzruszona, nie mogę płakać - powiedziała, ocierając nos grzbietem dłoni.

- Nie wierzę w to - wykrztusił przez ściśnięte i bolące gardło.

Podniosła wzrok. Łzy płynęły teraz po policzkach.

- Nie płaczę nad Rzymem - powiedziała ochryplym głosem. - Płaczę nad tobą.

Wstał z sofy, podał jej swoją chusteczkę i stanął przy krześle z ręką na jej ramieniu. Lepiej, żeby nie widziała jego twarzy.

- Zawsze będę cię za to kochał - powiedział, dotykając drugą dłonią jej twarzy i zbierając łzy z jej rzęs, a potem zlizując je z dłoni. - To sprawa Fortuny - mówił dalej. - Dostał mi się najgorszy z możliwych konsulatów. Miałem najgorsze życie, jakie mogło się zdarzyć. Nie jestem z tych, co się poddają, i wszystko mi jedno, jak zwyciężam. Jest mnóstwo jaj w kieliszkach i mnóstwo odwróconych delfinów. Wyścig nie skończy się jednak, dopóki żyję. - Ścisnął jej ramię. - Zachowam twoje łzy. Kiedyś wrzuciłem do ścieku szmaragd, bo nie miał dla mnie wartości. Nigdy jednak nie pozbędę się tych łez.

Puścił ramię Aurelii i wyszedł z jej domu. Stąpał dumnie, wzbogacony i podniesiony na duchu. Wszystkie łzy, które dotąd wylały z jego powodu inne kobiety, były łzami wylanymi nad ich złamanymi sercami. Nie nad jego sercem. Ta jednak, która nigdy nie płakała, zapłakała nad nim.



Być może ktoś inny zmiękłby i zastanowił się raz jeszcze, ale nie Sulla. Zanim dotarł do domu, a drogę miał długą, tamta osobista egzaltacja została ukryta w podświadomości. Zjadł w miłym nastroju wieczerzę z Dalmatyką, wziął ją do łóżka i kochał się z nią, a potem spał przez dziesięć godzin jak zwykle bez snów - albo raczej, jeśli miał sny, nie zapamiętał ich. Na godzinę przed świtem obudził się i wstał, nie budząc żony. Wziął do pracowni trochę świeżo upieczonego chleba i trochę sera i jedząc je, patrzył z roztargnieniem na jakąś skrzynkę wielkości kapliczek jego przodków. Stała na drugim końcu roboczego stołu, a zawierała głowę Publiusza Sulpicjusza Rufusa.

Reszta skazanych uciekła. Jedyne Sulla i paru jego kolegów wiedzieli, że nie podjęto żadnych szczególnych starań, by ich schwytać. Sulpicjusz musiał jednak odejść. Schwywanie go było zatem konieczne.

Przeprawa łodzią przez Tyber była podstępem. Dalej w dół rzeki Sulpicjusz przepłynął się z powrotem, minął jednak Ostię na korzyść portowego miasteczka Laurentum, o kilka mil dalej wzdłuż brzegu. Tam zbieg próbował wynająć statek - i tam, przez zdradę jednego ze swoich służących, został



dopadnięty. Najemnicy Sulli zabili go na miejscu, ale za dobrze znali Sullę, żeby prosić o zapłatę, nie dostarczając dowodu. Ucięli więc Sulpicjuszowi głowę, włożyli do szczelnej skrzynki i dostarczyli do domu Sulli w Rzymie. Wtedy otrzymali zapłatę. A Sulla dostał głowę, wciąż jeszcze w dobrym stanie. Opuściła ramiona swego właściciela zaledwie przed dwoma dniami.

Opuszczając Rzym drugiego stycznia, Sulla wezwał Cynnę na Forum. Tam do ściany rostrów przybita była długa włócznia z zatkniętą głową Sulpicjusza. Sulla chwycił Cynnę za ramię.

- Przypatrz się dobrze - powiedział. - Zapamiętaj, co widziałeś. Zapamiętaj wyraz jego twarzy. Powiadają, że kiedy ucina się komuś głowę, jego oczy jeszcze widzą. Jeśli nie wierzyłeś w to w przeszłości, uwierzysz w przyszłości. Oto jest człowiek, który widział własną głowę spadającą w proch. Zapamiętaj dobrze, Lucjusz Cynno. Nie zamierzam zginąć na Wschodzie. A to oznacza, że wrócę do Rzymu. Gdybyś zmienił coś w moich lekarstwach na obecne choroby Rzymu, i ty zobaczysz własną głowę spadającą w proch.

Odpowiedziało mu spojrzenie pełne szyderstwa i pogardy, ale Cynna mógł sobie oszczędzić fatygi. Kiedy tylko Sulla skończył mówić, szarpnął uzdę swego mularza i odjechał w górę Forum Romanum, nie oglądając się za siebie. Na głowie miał kapelusz z szerokim rondem. Nie tak wyobrażano sobie zwycięskiego wodza. Tak jednak Cynna wyobrażał sobie prywatnie Nemezis.

Odwrócił się, by spojrzeć na tę głowę, jej szeroko otwarte oczy, jej opadający podbródek. Świt ledwie wstał. Gdyby ją teraz usunąć, nikt by jej nie zobaczył.

- Nie - powiedział na głos Cynna. - Powinna tu zostać. Niech cały Rzym zobaczy, jak daleko gotów jest się posunąć człowiek, który najechał Rzym.



W Kapui Sulla zamknął się z Lukullusem i zajął się logistyką przetrzucenia swych żołnierzy do Brundyzjum. Pierwotnie zamierzał odpłynąć z Tarentu, dowiedział się jednak, że nie ma tam odpowiednich statków transportowych. To musiało być Brundyzjum.

- Popłyniesz przodem z konnicą i dwoma z pięciu legionów - mówił Sulla do Lukullusa. - Ja wyruszę za tobą z pozostałymi trzema. Nie rozglądaj się jednak za mną po drugiej stronie Morza Jońskiego. Kiedy tylko wylądujesz w Elatrii albo w Buchetium, maszeruj na Dodonę. Obdzieraj każdą świątynię w Epirze i w Akarnanii - nie będzie to wielka fortuna, ale chyba wystarczająca. Szkoda, że Skordyskowie splądrowali tak niedawno Dodonę. Nie zapominaj jednak, że greccy i epiroccy kapłani są przebiegli, Lucjusz Licyniuszu. Być może Dodona zdołała ukryć niejedno przed barbarzyńcami.

- Nie ukryją niczego przede mną - uśmiechnął się Lukullus.

- Świetnie! Każ potem maszerować na Delfy i zrób, co powinienesz. Dopóki do ciebie nie dotrę, będzie to twój teatr wojny.



- A co z tobą, Lucjuszu Korneliuszu? - spytał Lukullus.

- Będę musiał czekać w Brundyzjum, aż wrócą twoje transportowce, ale przedtem zaczekam w Kapui, póki się nie upewnię, że w Rzymie panuje spokój. Nie dowierzam Cynnie i nie dowierzam Sertoriuszowi.

Ponieważ trzy tysiące koni i tysiąc mułów nie cieszyło się popularnością w Kapui, Lukullus pomaszerował do Brundyzjum w połowie stycznia, chociaż zima zbliżała się szybko i zarówno Lukullus, jak i Sulla wątpili, czy Lukullus zdoła odpłynąć przed marcem albo kwietniem. Mimo pilnej konieczności opuszczenia Kapui Sulla wciąż się wahał. Doniesienia z Rzymu nie były obiecujące. Najpierw usłyszał, że trybun ludowy Marek Wergiliusz wygłosił z rostrów wspaniałą mowę do tłumu na Forum, unikając naruszenia ustaw Sulli, bo nie nazwał tego zebraniem. Wergiliusz wzywał do pozbawienia Sulli - już nie konsula - jego imperium i sprowadzenia go do Rzymu - siłą, jeśli to będzie konieczne - by odpowiedział na oskarżenie o zdradę stanu za zamordowanie Sulpicjusza oraz za niezgodną z prawem proskrypcję Gajusza Mariusza i osiemnastu innych, nadal przebywających na wygnaniu.

Z tej mowy nic nie wynikło, ale Sulla dowiedział się, że Cynna przekonał wielu senatorów z tylnych ław do poparcia Wergiliusza i drugiego trybuna ludowego Publiusza Magiusza, kiedy zgłosili oni w senacie wniosek o zalecenie Zgromadzeniu Centurialnemu odebrania Sulli imperium i oskarżenia go o zdradę stanu i morderstwo. Kuria odmówiła stanowczo zgody na takie sztuczki, Sulla wiedział jednak, że nie zapowiada to niczego dobrego. Wszyscy wiedzieli, że przebywa on jeszcze z trzema legionami w Kapui, więc najwyraźniej uznali, że nie odważy się pomaszerować drugi raz na Rzym. Poczuli, że mogą bezkarnie mu się przeciwstawiać.

A w końcu stycznia przyszedł list do Sulli od jego córki Kornelii.

*Ojcze, jestem w rozpaczliwym położeniu. Odkąd mój mąż i mój teść nie żyją, nowy paterfamilias - mój szwagier, który teraz nazywa siebie Kwintusem - zachowuje się wobec mnie obrzydliwie. Ma żonę, która mnie nie znosi. Dopóki żyli mój mąż i teść, nie było żadnych kłopotów. Teraz jednak ten nowy Kwintus i jego okropna żona mieszkają razem z moją teściową i ze mną. Zgodnie z prawem ten dom należy do mojego syna, ale to wydaje się zapomniane. Moja teściowa - naturalnie, jak sądzę - przeniósła swe uczucia na żyjącego syna. Wszyscy oni obwiniają Ciebie zarówno o kłopoty Rzymu, jak i ich własne. Mówią nawet, że celowo posłałeś mego teścia na śmierć do Umbrii. W rezultacie tego wszystkiego moje dzieci i ja sama zostaliśmy bez służących, dostajemy takie samo jedzenie jak służba i mieszkamy w złych warunkach. Kiedy narzekam, mówią mi, że według prawa jestem pod Twoją opieką! Tak, jak gdybym nie urodziła memu zmarłemu mężowi syna, który jest dziedzicem większej części fortuny swego dziadka! To także jest źródłem niechęci. Dalmatyka namawia mnie, żebym*



*zamieszkała z nią w Twoim domu, ale czuję, że nie powinnam tego robić bez Twojej zgody.*

*Zanim zapewnisz mi mieszkanie w swoim domu, Ojczy, chcę Cię prosić (jeśli wśród swoich własnych kłopotów znajdziesz czas, żeby pomyśleć o mnie), żebyś znalazł mi nowego męża. Pozostało mi jeszcze siedem miesięcy żałoby. Jeśli się zgodzisz, chciałabym spędzić je w Twoim domu pod opieką i w towarzystwie Twojej żony. Nie chcę jednak narzucać się Dalmatyce później. Muszę mieć swój własny dom.*

*Nie jestem taka jak Aurelia i nie chcę sama kierować swoim życiem. Nie chcę też takiego życia, jakim zdaje się cieszyć Elia, nie zważając na tyranię Marcji. Gdybyś mógł, Ojczy, znaleźć mi męża, odpowiadałoby mi to najbardziej! Małżeństwo z najgorszym z mężczyzn jest o niebo lepsze niż wtargnięcie do domu innej kobiety. Wiem, o czym mówię.*

*Czuję się całkiem dobrze, chociaż kaszlę z powodu chłodu w moim pokoju. To samo z dziećmi. Mam wrażenie, że nikt w tym domu nie zmartwiłby się zbytnio, gdyby coś się przytrafiło memu synowi.*

Rozpatrując rzecz beznamiętnie, skarga Kornelii Sulli tylko odrobinę pogorszyła sytuację, ta odrobina jednak przeważała jednak niezdecydowanie Sulli. Dopóki jej nie otrzymał, nie wiedział, jak ma postąpić. Teraz wiedział. Nie miało to nic wspólnego z Kornelią Sullą. Wpadł jednak na pewien pomysł rozwiązania i jej kłopotów. Jak śmiał jakiś piceński gbur narażać zdrowie i szczęście jego córki! I jej syna!

Wysłał dwa listy, jeden do Metellusa Piusa Prosiaka nakazujący mu przybycie z Aesernii do Kapui i sprowadzenie ze sobą Mamerka, drugi do Pompejusza Strabona. List do Prosiaka składał się z dwóch zdań. Pompejusz Strabon dostał dłuższy.

*Nie wątpię, Gnejuszu Pompejuszu, że wiesz o tym, co się dzieje w Rzymie - o nieroztropnych działaniach Lucjusza Cynny, nie mówiąc już o jego oswojonej zgrai trybunów ludowych. Myślę, mój przyjacielu i kolego na północy, że Ty i ja znamy się dość dobrze nawzajem, przynajmniej z reputacji - żałuję, że przebieg naszych karier nie pozwolił na bliższą przyjaźń - iżby się przekonać, że nasze cele i zamiary są tego samego rodzaju. Widzę, że jesteś konserwatystą i szanujesz dawne zwyczaje tak jak ja, i wiem, że nie żywisz żadnych uczuć dla Gajusza Mariusza. Ani dla Cynny, jak mocno podejrzewam.*

*Jeśli naprawdę myślisz, że Rzymowi przysłużyłoby się lepiej wysłanie do walki z królem Mitrydatesem Gajusza Mariusza i jego legionów, podrzyj ten list. Jeśli jednak wolisz widzieć w walce z Mitrydatesem mnie i moje legiony, czytaj dalej.*

*W obecnym stanie rzeczy w Rzymie jestem bezsilny. Nie mogę ryzykować próby sił, którą powinienem zaryzykować w zeszłym roku, zanim wygasł mój*



*konsulat. Zamiast odплыnąć na Wschód, musiałem zostać w Kapui z trzema legionami, by mieć pewność, że się mnie nie pozbawi imperium, nie uwięzi i nie zmusi do odpowiadania za taką zbrodnię jak umacnianie mos maiorum. Cynna, Sertoriusz, Wergiliusz, Magiusz i pozostali mówią oczywiście o zdradzie stanu i morderstwie.*

*Pozostawiając na boku moje legiony w Kapui, i dwa pod Aesernią oraz jeden pod Nolą, Twoje są jedynymi legionami stacjonującymi w Italii. Mogę polegać na Kwintusie Cecyliuszu pod Aesernią i na Appiuszu Klaudiuszu pod Nolą, że poprą mnie i moje działania jako konsula. Piszę, żeby zapytać, czy mogę polegać także na Tobie i Twoich legionach. Być może nic nie powstrzyma Cynny i jego przyjaciół, kiedy opuszczę Italię. Cieszę się na spotkanie z taką ewentualnością, kiedy nadejdzie czas. Mogę Cię zapewnić, że jeśli wrócę ze Wschodu jako zwycięzca, każę moim wrogom zapłacić.*

*Martwi mnie moje obecne położenie. Potrzebuję czasu, żeby opuścić Italię, a to (jak dobrze wiesz) może oznaczać cztery, pięć albo więcej miesięcy. Wiatry nad Adriatykiem i Morzem Jońskim są o tej porze roku kapryśne, a burze morskie częste. Nie mogę sobie pozwolić na żadne ryzyko z wojskiem, którego Rzym tak rozpaczliwie potrzebuje.*

*Gnejuszu Pompejuszu, czy podejmiesz się poinformowania w moim imieniu Cynny i jego konfederatów, że jestem legalnie skierowany na tę wschodnią wojnę? Że jeśli spróbują przeszkodzić mi w odjeździe, nie wyjdzie im to na dobre? Że muszą, przynajmniej na jakiś czas, zaprzestać kopania pode mną dołków?*

*Uważaj mnie, proszę, za przyjaciela i kolegę pod każdym względem, jeśli możesz mi odpowiedzieć twierdząco. Czekam niecierpliwie na odpowiedź.*

Odpowiedź Pompejusza Strabona dotarła do Sulli, zanim jeszcze jego legaci przybyli spod Aesernii. Pisana jego własną okropną ręką zawierała jedno krótkie, lakoniczne zdanie:

„Nie martw się, dopilnuję wszystkiego”.

Kiedy więc Prosiak i Mamerkus zameldowali się w końcu w wynajętym domu Sulli w Kapui, zastali Sullę w znacznie lepszym nastroju, niż uważali to choćby w przybliżeniu za możliwe ich informatorzy w Rzymie.

- Nie martwcie się, wszystko załatwione - powiedział szeroko uśmiechnięty Sulla.

- Jak to możliwe? - Metellusowi Piusowi zaparło dech. - Słyszałem o oskarżeniach o morderstwo i zdradę stanu?

- Napisałem do mojego przyjaciela Gnejusza Pompejusza Strabona i zwałem moje kłopoty na niego. Obiecuje, że wszystko załatwi.

- I dotrzyma słowa - powiedział Mamerkus. Na jego twarzy zagościł uśmiech.

- Ach, Lucjuszu Korneliuszu, jakże się cieszę! - wykrzyknął Prosiak. - To nie jest w porządku, jak oni cię traktują. Dla Saturnina byli znacznie bardziej



uprzejmi! Można by pomyśleć, że Sulpicjusz był półbogiem, nie demagogiem! - Urwał uderzony własną mimowolną zręcznością słowną. - Chyba nieźle mi to wyszło, czyż nie?

- Zachowaj to na Forum, kiedy będziesz się starał o konsulat - rzekł Sulla. - Dla mnie szkoda zachodu. Nie wyszedłem poza szkołę podstawową.

Uwagi w tym rodzaju zaskakiwały Mamerka, który postanowił teraz usadzić Prosiaka w jakimś kącie i kazać mu opowiedzieć wszystko, co wie albo podejrzewa, o życiu Lucjusza Korneliusza Sulli. Ach, na Forum zawsze krążyły opowieści o ludziach niezwykłych, niezmiernie utalentowanych albo w jakiś sposób sławnych, ale Mamerkus nie słuchał opowieści z Forum, uważając je za wyolbrzymienia i wymysły próżniaków.

- Zlikwiduj twoje prawa, kiedy tylko opuścisz Italię. Co zamierzasz zrobić, kiedy znowu wrócisz do kraju? - spytał.

- Zająć się tym, kiedy będzie trzeba, ani odrobinę wcześniej.

- Czy sobie z tym poradzisz, Lucjuszu Korneliuszu? Wydaje mi się, że to będzie jakaś sytuacja całkiem nie do opanowania.

- Zawsze znajdzie się jakiś sposób, Mamerku. Możesz mi wierzyć, że w tej kampanii nie będę spędzał wolnego czasu przy winie i kobietach! - zaśmiał się Sulla, nie okazując niepokoju. - Musisz wiedzieć, że należę do ulubieńców Fortuny. Fortuna ma mnie zawsze w opiece.

Usiedli, żeby pomówić o pozostałościach wojny w Italii i o uporze Samnitów. Nadal kontrolowali oni większość terytoriów między Aesernią a Korfinium, a także miasta Aesernię i Nolę.

- Nienawidzą Rzymu od stuleci, a w nienawiści są najlepsi w świecie - westchnął Sulla. - Miałem nadzieję, że Aesernia i Nola poddadzą się, zanim odpłynę do Grecji. W tym stanie rzeczy mogą się doczekać mego powrotu.

- Postaramy się, żeby tak nie było - rzekł Prosiak.

Służący poskrobał w drzwi, mówiąc półgłosem, że można podawać obiad, jeśli Lucjusz Korneliusz jest gotów.

Lucjusz Korneliusz był gotów. Wstał i poprowadził gości do jadalni. Dopóki potrawy były na stole, a służący wchodzili i wychodzili, Sulla prowadził nieobowiązującą rozmowę o tym i owym. Każdy miał dla siebie łoże biesiadne, a był to luksus dozwolony tylko starym przyjaciołom.

- Czy nie utrzymujesz stosunków z kobietami, Lucjuszu Korneliuszu? - spytał Mamerkus, kiedy służący zostali odprawieni.

Sulla wzruszył ramionami i skrzywił się.

- Masz na myśli kobiety podczas kampanii, z dala od żony?

- Tak.

- Z kobietami jest zbyt wiele kłopotu, Mamerku, więc odpowiedź brzmi: „Nie” - zaśmiał się Sulla. - Jeśli nawet było to pytanie opiekuna majątku Dalmatyki, dostałeś uczciwą odpowiedź.



- Prawdę mówiąc, pytałem nie z innego powodu, jak z czystej, ordynarnej ciekawości - odrzekł Mamerkus, bynajmniej nie zmieszany.

Sulla odstawił swój puchar i spojrział na przeciwległą sofę, na której spoczywał Mamerkus. Przyglądał się teraz swemu gościowi uważniej, niż to robił w przeszłości. Nie był to z pewnością żaden Parys ani Adonis, ani Memmiusz. Ciemne włosy, krótko przystrzyżone, nie kręciły się z natury, nad czym ubolewał jego fryzjer. Niesymetryczna twarz ze złamanym, płaskim nosem, czarne oczy głęboko osadzone, opalona lśniąca skóra. Mamerkus Emiliusz Lepidus Liwianus wyglądał na zdrowego człowieka. Zdołał zabić w pojedynku Silona - dostał za to *corona civica*. Był więc dzielny. Nie tak wybitny, by mógł stanowić zagrożenie dla państwa, ale nie był też głupcem. Według Prosiaka, był pewny i niezawodny w razie potrzeby, i godny zaufania jako dowódca. Skaurus kochał go i uczynił wykonawcą swego testamentu.

Mamerkus wiedział oczywiście, że jest poddawany szczegółowej ocenie. Czemu jednak odczuwał to, jakby go oceniał potencjalny kochanek?

- Jesteś żonaty Mamerku, nieprawdaż? - spytał Sulla.

To go przyprawiło o mruganie.

- Tak, Lucjuszu Korneliuszu.

- Masz dzieci?

- Córkę, czteroletnią.

- Zależy ci na żonie?

- Nie. To okropna kobieta.

- Myślałeś o rozwodzie?

- Myślę bezustannie, kiedy jestem w Rzymie. Poza Rzymem staram się tego nie robić.

- Jak się nazywa? Jej rodzina?

- Klaudia. Jest jedną z sióstr tego Appiusza Klaudiusza Pulchera, który teraz oblega Nolę.

- Ach, to nie był mądry wybór, Mamerku! To dziwna rodzina.

- Dziwna? Ja bym powiedział, że zupełnie dziwaczna.

Metellus Pius całkiem zapomniał o spoczynku. Siedział wyprostowany, oczy miał szeroko otwarte i utkwione w Sulli.

- Moja córka jest teraz wdową. Nie ma jeszcze dwudziestu lat. Ma dwoje dzieci, dziewczynkę i chłopca. Czyś ją kiedyś widział?

- Nie - odpowiedział spokojnie Mamerkus. - Nie sądzę, żebym ją widział.

- Jestem jej ojcem, więc nie jestem bezstronny. Mówiono mi jednak, że jest urocza. - Sulla uniósł swój puchar wina.

- Ach, jest urocza, Lucjuszu Korneliuszu! Absolutnie zachwycająca! - Prosiak rozpromienił się głupkowato.

- Masz więc oto opinię kogoś z zewnątrz. - Sulla zajrzał do swego pucharu, a potem z wprawą wytrząsnął ostatnie krople na pusty talerz. - Pięć! -



wykrzyknął uradowany. - Piątka to moja szczęśliwa liczba. - Spojrzał teraz wprost na Mamerka. - Szukam dobrego męża dla mojej biednej córki, którą źle traktują teściowie. Ma czterdzieści talentów posagu, to więcej niż ma większość dziewcząt, dowiodła swej płodności, ma syna, jest jeszcze młoda, jest patrycjuszką z obojga stron - jej matką była Julia - i ma to, co nazwałbym miłym charakterem. Nie jest z tych, które położą się i pozwolą ci wytrzeć o siebie buty, ale daje sobie radę z ludźmi. Jej zmarły mąż, młody Kwintus Pompejusz Rufus, był nią oczarowany. I co powiesz? Jesteś zainteresowany?

- To zależy - powiedział ostrożnie Mamerkus. - Jakiego koloru ma oczy?

- Nie wiem - rzekł ojciec.

- Pięknego jasnoniebieskiego - powiedział Prosiak.

- Jakiego koloru ma włosy?

- Rude, brązowe, kasztanowate? Nie wiem - rzekł ojciec.

- Koloru nieba tuż po zachodzie słońca - powiedział Prosiak.

- Czy jest wysoka?

- Nie wiem - rzekł ojciec.

- Sięga ci do czubka nosa - powiedział Prosiak.

- Jakiego rodzaju ma cerę?

- Nie wiem - rzekł ojciec.

- Jak kremowobiały kwiat, z sześcioma złotymi małymi piegami na nosie - powiedział Prosiak.

Sulla i Mamerkus obrócili się, wpatrując w poczerwieniałego nagle użytkownika środkowego łoża biesiadnego.

- Brzmi to, jakbyś to ty ją chciał poślubić, Kwintusie Cecyliuszu - rzekł Sulla.

- Nie, nie! - wykrzyknął Prosiak. - Każdemu wolno jednak patrzeć, Lucjuszu Korneliuszu! Ona jest absolutnie cudowna.

- Więc lepiej będzie, jeśli ją wezmę. - Mamerkus uśmiechnął się do przyjaciela. - Podziwiam twój dobry gust, Kwintusie Cecyliuszu. I dziękuję ci, Lucjuszu Korneliuszu. Uważaj córkę za zaręczoną ze mną.

- Jej żałoba potrwa jeszcze siedem miesięcy, nie ma więc pośpiechu - rzekł Sulla. - Dopóki się nie skończy, będzie mieszkać z Dalmatyką. Jedź i spotkaj się z nią, Mamerku. Napiszę do niej.



Cztery dni później Sulla wyruszył do Brundyzjum z trzema bardzo szczęśliwymi legionami. Kiedy tam przybyli, zastali Lukullusa obozującego nadal pod miastem. Nie miał żadnych kłopotów ze znalezieniem pastwisk dla koni i mułów, bo większa część ziemi była italska, a był to dopiero początek zimy. Pogoda była wilgotna i burzliwa, nieodpowiednia na dłuższy pobyt. Ludzie byli znudzeni i zbyt wiele czasu spędzali na grze w kości. Przybycie Sulli we własnej osobie uspokoiło ich. To Lukullusa nie znosili, nie zaś Sulli. Lukullus nie miał zrozumienia dla legionistów i nie starał się zbliżyć do ludzi



tak nisko stojących na drabinie społecznej.

W kalendarzowym marcu Lukullus odpłynął na Korcyrę. Jego dwa legiony i dwa tysiące konnicy zajęły wszystkie statki, jakie dało się znaleźć w ruchliwym porcie. Oznaczało to, że Sulla nie miał innego wyjścia, niż czekać z odpłynięciem na powrót transportowców. Na początku maja jednak - bardzo niewiele pozostało do tej pory z jego dwustu talentów w złocie - Sulla przekroczył w końcu Adriatyk z trzema legionami i tysiącem mułów.

Jako dobry żeglarz stał oparty o balustradę rufy swego statku, patrząc ponad jego śladem na wodzie na tę plamę na horyzoncie, którą była Italia. A potem Italia znikła. Był wolny. W pięćdziesiątym trzecim roku życia wyruszał w końcu na wojnę, którą mógł wygrać zaszczycie w walce z naprawdę obcym mocarstwem. Chwała, łupy, bitwy, krew.

„I tyle, co do ciebie, Gajuszu Mariuszu!”, pomyślał z uniesieniem. „Tej jednej wojny nie zdołasz mi odebrać. Ta wojna jest moja!”







LUCJUSZ KORNELIUSZ CYNNA

X



**T**o Mariusz Młodszy i Lucjusz Dekumiusz wyprowadzili Mariusza ze świątyni Tellus i ukryli go w celi świątyni Jowisza Statora na Welii. To Mariusz Młodszy i Lucjusz Dekumiusz szukali potem Publiusza Sulpicjusza, Marka Laetoriusza i innych dobrze urodzonych, którzy przypasali miecze, aby bronić Rzymu przed armią Lucjusza Korneliusza Sulli. To również Mariusz Młodszy i Lucjusz Dekumiusz przyprowadzili wkrótce potem Sulpicjusza i dziewięciu innych do świątyni Jowisza Statora.

- To wszyscy, których zdołaliśmy znaleźć, ojciec - powiedział Mariusz Młodszy, siadając na posadzce. - Słyszałem, że Marek Laetoriusz, Publiusz Cetegus i Publiusz Albinowanus wymknęli się niedawno przez Bramę Kapeńską. Po braciach Graniuszach słuch zaginął. Miejmy nadzieję, że opuścili miasto jeszcze wcześniej.

- Cóż za ironia - rzekł Mariusz z goryczą, nie zwracając się do nikogo w szczególności - żeby zagrzebywać się w świątyni boga, który powstrzymuje żołnierzy przed odwrotem. Moi nie stanęli do walki, chociaż tyle im obiecałem.

- To nie byli żołnierze rzymscy - przypomniał Mariusz Młodszy.

- Wiem o tym!



- Nie sądziłem, że Sulla doprowadzi to do końca. - Sulpicjusz dyszał ciężko jak po wielogodzinnym biegu.

- A ja tak, po tym jak go spotkałem na Via Latina w Tuskulum - rzekł Marek Juniusz Brutus, pretor miejski.

- No cóż, Sulla zajął Rzym - powiedział Mariusz Młodszy. - Co zrobimy, ojcze? Odpowiedział Sulpicjusz, którego drażnił respekt okazywany przez wszystkich Mariuszowi. Był on wprawdzie sześciokrotnym konsulem i wielką pomocą dla trybuna ludowego w walce z senatem, ale obecnie, to tylko zwykły *privatus*.

- Pójdziemy do domów i będziemy zachowywać się, jakby nic się nie stało - powiedział zdecydowanie.

Mariusz obrócił głowę, patrząc na Sulpicjusza z niedowierzaniem. Był zmęczony jak jeszcze nigdy w życiu i przeraźliwie świadomy, że jego lewa ręka, ramię i szczęka kłują go i zaczynają drętwieć.

- Ty możesz to zrobić, jeśli chcesz - powiedział, obracając dziwnie sztywnym językiem w ustach. - Ja znam Sullę. I wiem, co zrobię. Ucieknę, ratując życie.

- Chyba się z tobą zgadzam. - Brutus miał usta bardziej sine niż zwykle i wciągał głęboko powietrze. - Zabije nas, jeśli zostaniemy. Widziałem jego twarz w Tuskulum.

- Nie może nas zabić! - oświadczył stanowczo Sulpicjusz, który jako znacznie młodszy odzyskał już rozsądek wraz z oddechem. - Nikt nie wie lepiej od Sulli, że jest *nefas*. Będzie przekonywał niechętnych, że wszystko, co odtąd robi, jest legalne.

- Brednie! - rzekł pogardliwie Mariusz. - Co on, twoim zdaniem, zrobi? Przegna jutro swoich ludzi na powrót do Kampanii? Oczywiście, że nie! Będzie okupować Rzym i robić, co zechce.

- Nigdy się nie ośmieli - powiedział Sulpicjusz, zdając sobie naraz sprawę, że podobnie jak wielu innych w senacie, nie zna dobrze Sulli.

Mariusz przekonał się, że stać go jeszcze na śmiech.

- Nie ośmieli? Lucjusz Korneliusz Sulla się nie ośmieli? Bądźże dorosły, Publiusz Sulpicjusz! Sulla ośmieli się na wszystko. I już to robił w przeszłości. Co najgorsze, on działa po dokładnym przemyśleniu wszystkiego. Nie będzie nas oskarżał o zdradę stanu przed jakimś głośnym trybunałem! Nie jest aż takim głupcem. Wywiezie nas gdzieś w tajemnicy, zabije i rozgłosi, że zginęliśmy w bitwie.

- Też tak myślę, Gajuszu Mariuszu - powiedział Lucjusz Dekumiusz. - On by tak samo zabił własną matkę. - Zadrżał i uniósł prawą dłoń zaciśniętą w pięść. Palce mały i wskazujący sterczały z niej niczym dwa rogi, strzegąc przed Złym Okiem. - On nie jest jak inni ludzie.

Dziewięciu mniej ważnych siedziało na posadzce świątyni, skąd mogli przyglądać się debacie przywódców. Żaden z nich nie był nikim ważnym w



senacie ani w *Ordo Equester*, choć wszyscy należeli do jednego albo drugiego. Przedtem powstrzymanie rzymskiej armii przed wejściem do Rzymu wydawało się sprawą o którą warto walczyć, teraz jednak, po żałosnej porażce, każdy z nich uważał się za głupca. Jutro ich grzbiety znów się wyprostują, bo wszyscy wierzyli, że warto umierać za Rzym, teraz jednak, w świątyni Jowisza Statora, wyczerpani i pozbawieni złudzeń, mieli nadzieję, że Mariusz weźmie górę nad Sulpicjuszem.

- Jeśli ty odejdziesz, Gajuszu Mariuszu, ja tu nie mogę zostać - rzekł Sulpicjusz.

- Lepiej odejść, wierz mi. Ja na pewno odchodzę - powiedział Mariusz.

- A co z tobą Lucjusz Dekumiuszu? - zapytał Mariusz Młodszy.

Lucjusz Dekumiusz pokręcił przecząco głową.

- Nie, ja nie mogę odejść. Ale ja - na szczęście! - jestem nieważny. Muszę mieć na oku Aurelię i Cezara Młodszego, bo ich tata jest teraz z Lucjuszem Cynną pod Albą Fucencją. Będę miał za ciebie oko na Julię, Gajuszu Mariuszu.

- Sulla skonfiskuje wszystko, co mu wpadnie w ręce z mego majątku - powiedział Mariusz i uśmiechnął się, rad z siebie. - Miałem szczęśliwy pomysł, żeby pochować pieniądze, gdzie się da.

Marek Juniusz Brutus podniósł się.

- Muszę wrócić do domu i zabrać, ile zdołam. - Spojrzał nie na Sulpicjusza, a na Mariusza. - Dokąd idziemy? Czy każdy ma iść własną drogą czy lepiej trzymać się razem?

- Musimy opuścić Italię - powiedział Mariusz, wyciągając prawą rękę do syna, a lewą do Lucjusza Dekumiusza i podnosząc się dość łatwo. - Powinniśmy chyba opuścić Rzym osobno i trzymać się oddzielnie, dopóki się nie oddalimy. Potem będzie lepiej, jeśli się spotkamy. Proponuję spotkanie na wyspie Aenarii za miesiąc, w idy grudniowe. Nie będę miał kłopotów ze znalezieniem Gnejusza i Kwintusa Graniuszów. Miejmy nadzieję, że oni będą wiedzieć, gdzie są Cetegus, Albinowanus i Laetoriusz. Kiedy znajdziemy się na Aenarii, zostawcie resztę mnie. Załatwię statek. Z Aenarii popłyniemy chyba na Sycylię. Norbanus to mój klient, a jest tam namiestnikiem.

- Ale dlaczego Aenaria? - pytał Sulpicjusz, nadal niechętny opuszczeniu Rzymu.

- Bo to wyspa oddalona od bitych dróg, a położona blisko Puteoli. Mam wielu krewnych i mnóstwo pieniędzy w Puteoli. - Mariusz machnął ręką jakby nie chciał o tym mówić. - Mój kuzyn Marek Graniusz - on jest też kuzynem Gnejusza i Kwintusa, udadzą się więc do niego - jest bankierem. Robi użytek z dużej części mego majątku w gotówce. Kiedy my udamy się różnymi drogami na Aenarię, ten tu Lucjusz Dekumiusz pojedzie do Puteoli z moim listem do Marka Graniusza. Graniusz prześle z Puteoli na Aenarię dość pieniędzy, żeby zapewnić naszej dwudziestce przyzwoite życie za granicą. - Zatknął rękę za



swoją szarą wodzą. - Lucjusz Dekumiusz poszuka też pozostałych. Będzie nas dwudziestu, zapewniam was. Życie na wygnaniu kosztuje, ale nie martwcie się. Mam pieniądze. Sulla nie zostanie w Rzymie wiecznie. Pójdzie wojować z Mitrydatesem. Niech go diabli! A gdy zbyt się uwikła w tamtą wojnę, żeby myśleć o powrocie do Italii, my wszyscy wrócimy do domu. Mój klient Lucjusz Cynna będzie od Nowego Roku konsulem, a on już dopilnuje, żebyśmy wrócili.

Sulpicjusz zrobił zdziwioną minę.

- Twój klient?

- Mam klientów wszędzie, Publiusz Sulpicjusz, nawet w najlepszych patrycjuszowskich rodach - powiedział z zadowoleniem Gajusz Mariusz. Poczł się lepiej - albo raczej, odrętwienie ustąpiło. Ruszając ku wyjściu ze świątyni, odwrócił się do pozostałych i rzekł: - Nie traćcie ducha! Przepowiednia mówi, że mam być siedem razy konsulem Rzymu, więc ta nieobecność to tylko kwestia czasu. A gdy zostanę po raz siódmy konsulem, czeka was wielka nagroda.

- Nie trzeba mi nagrody, Gajuszu Mariuszu - oświadczył sucho Sulpicjusz. - Robię to tylko dla Rzymu.

- To samo można powiedzieć o wszystkich tu obecnych, Publiusz Sulpicjusz. Tymczasem lepiej ruszajmy. Do zmroku Sulla obsadzi wszystkie bramy. Dla nas najlepszy wybór to Kapeńska - ale bądźcie ostrożni, wszyscy, ilu was jest.

Sulpicjusz i pozostałych dziewięciu znikło, wbiegając na Clivus Palatinus, ale gdy Mariusz zaczął iść po Welii ku Forum i swemu domowi, Lucjusz Dekumiusz go zatrzymał.

- Gajuszu Mariuszu, ty i ja idziemy od razu do Bramy Kapeńskiej - powiedział mały człowiek z Subury. - Mariusz Młodszy może wpaść do domu i zabrać trochę gotówki, bo jest młodszy i zdarniejszy. Jeżeli trafi na Bramę Kapeńską obsadzoną, może znaleźć inną drogę, choćby przez mury. Może sam napisać ten list do twego kuzyna, a twoja żona dopisze coś, co go przekona.

- Julia! - powiedział Mariusz z żalem.

- Zobaczysz ją znowu, właśnie tak jak mówiłeś. Ta przepowiednia, czyż nie? Siedem razy konsulem. Ty wrócisz. Ona będzie się mniej martwiła, kiedy dowie się, że już jesteś w drodze. Mariuszu Młodszy, twój tato i ja zaczekamy przy grobowcach zaraz za bramą. Będziemy mieli na ciebie oko, ale w razie czego, tam nas szukaj.

Gdy Mariusz Młodszy zawrócił w stronę domu, jego ojciec i Lucjusz Dekumiusz poszli w górę Clivus Palatinus. W Bramie Mugiońskiej weszli w wąską uliczkę biegnącą do dawnych domów modlitw ponad Via Triumphalis, gdzie zbiegały schody z Palatium. Hałas w oddali powiedział im, że Sulla i jego oddziały posuwają się z Eskwilinu w dół, na Palus Ceroliae, ale gdy Mariusz i Dekumiusz przemknęli przez potężną Bramę Kapeńską, nie było w jej pobliżu



nikogo, kto by wyglądał na żołnierza. Odeszli kawałek drogą, zanim ulokowali się za jakimś grobowcem, spoza którego mieli dobry widok na bramę. W ciągu następnych dwóch godzin przeszło przez Kapeńską wielu ludzi. Nie wszyscy chcieli zostać w Rzymie opanowanym przez rzymską armię.

Potem zobaczyli Mariusza Młodszeo. Prowadził osła, którego trzymano do przewożenia większych zakupów z rynku albo drewna na opał z Janikulum. Przy nim szła jakaś kobieta otulona ciemnym płaszczem.

- Julio! - krzyknął Mariusz, nie dbając, że ktoś go zobaczy wychodzącego z ukrycia.

Przyśpieszyła kroku i przytuliła się do niego, zamykając oczy, gdy ją objął.

- Ach, Gajuszu Mariuszu, byłam pewna, że cię utraciłam! - powiedziała, podnosząc twarz do pocałunku, jeszcze jednego i jeszcze jednego.

Ile to już lat byli małżeństwem? A jednak wciąż pocałunek sprawiał im wielką przyjemność, nawet w tej chwili pełnej troski i niepokoju.

- Ach, będzie mi cię brak! - powiedziała, starając się nie płakać.

- To nie potrwa bardzo długo, Julio!

- Nie mogę uwierzyć, że Lucjusz Korneliusz zrobił coś takiego!

- Na jego miejscu, Julio, zrobiłbym to samo.

- Ty byś nigdy nie poprowadził armii na Rzym!

- Nie jestem taki pewien. Żeby mu oddać sprawiedliwość, ta prowokacja była przemożna. Gdyby tego nie zrobił, byłby skończony. A ludzie tacy jak Lucjusz Korneliusz i ja nie mogą przyjąć takiego losu. Po prostu nie możemy. Szczęście, że on miał i armię, i władzę. Ja nie miałem. Gdybyśmy jednak zamienili się miejscami - chyba zrobiłbym to samo co on. To było znakomite posunięcie, wiesz. I w całej historii Rzymu tylko dwóch ludzi ma odwagę, żeby to zrobić: Lucjusz Korneliusz i ja. - Pocałował ją znowu, a potem wypuścił z objęć. - Wracaj do domu, Julio, i czekaj na mnie. Jeśli Lucjusz Korneliusz zabierze nam dom, jedź do swojej matki do Kyme. Marek Graniusz ma znacznie więcej moich pieniędzy, niż od niego zażądałem, więc zwracaj się do niego, gdybyś była w potrzebie. W Rzymie szukaj pomocy u Tytusa Pomponiusza. - Odsunął ją od siebie. - Idź już, Julio, odejdz!

Odeszła, oglądając się przez ramię, ale Mariusz odwrócił się, mówiąc coś do Lucjusza Dekumiusza, i nie patrzył na nią. Jej serce pęczniało z dumy. Tak właśnie powinno być! Kiedy rzeczy ważne muszą być pilnie załatwione, męczyzna nie powinien tracić czasu, spoglądając tęsknie za swą żoną. Strofantes z sześcioma silnymi służącymi krążył przy bramie, by ją eskortować. Julia skierowała się w stronę domu i celowo przyśpieszyła kroku.

- Lucjuszu Dekumiuszu, musisz wynająć dla nas konie. Nie jeździ mi się ostatnio wygodnie, ale dwukółka zbyt rzucałaby się w oczy. - Mariusz spojrział na syna. - Czy zabrałeś ten worek złota chowany na czarną godzinę?

- Tak. I worek srebrnych denarów. Mam też list do Marka Graniusza dla



ciebie, Lucjusz Dekumiuszu.

- Świetnie. Daj też Lucjuszowi Dekumiuszowi trochę srebra.



I tak oto Gajusz Mariusz uciekał z Rzymu wraz z synem, na wynajętych koniach i prowadząc osła.

- Dlaczego nie łodzią przez rzekę i do portu w Etrurii? - spytał Mariusz Młodszy.

- Tą drogą pojedzie chyba Publiusz Sulpicjusz. Ja kierowałbym się raczej do Ostii, bo jest najbliższa - odparł Mariusz, nieco pogodniejszy, bo to okropne odrętwienie nie dawało mu się już we znaki, a może się do niego przyzwyczył?

Nie było jeszcze ciemno, kiedy wjechali na przedmieścia Ostii i zobaczyli mające przed nimi mury miasta.

- Nie ma straży przy bramie, ojciec - powiedział Mariusz Młodszy, który miał teraz lepszy wzrok od Mariusza.

- Dostaniemy się więc do środka, synu, zanim nadejdą rozkazy, by wystawić straż. Zjedźmy na nabrzeże i rozejrzyjmy się.

Mariusz wybrał porządnie wyglądającą tawernę na nabrzeżu i zostawił Mariusza Młodszego pilnującego koni i osła w najgłębszym cieniu, sam zaś poszedł wynająć statek.

Ostia najwyraźniej nie usłyszała jeszcze nowiny o zajęciu Rzymu, chociaż wszyscy mówili o historycznym marszu Sulli. Całe towarzystwo w gospodzie rozpoznało Mariusza, gdy tylko wszedł, ale nikt nie zachowywał się, jakby miał do czynienia z uciekinierem.

- Muszę pilnie popłynąć na Sycylię - powiedział Mariusz, zamawiając wino dla wszystkich. - Czy jest szansa na dobry statek gotowy do żeglugi?

- Możesz mieć mój za dobrą cenę - odezwał się ktoś o wyglądzie wilka morskiego, pochylając głowę. - Publiusz Murcjusz do twoich usług, Gajuszu Mariuszu.

- Jeśli możemy odpłynąć dziś w nocy, Publiusz Murcjuszu, umowa stoi.

- Mogę podnieść kotwicę jeszcze przed północą - zapewnił Murcjusz.

- Doskonale!

- Przydałaby się zapłata z góry.

Mariusz Młodszy wszedł zaraz po tym, jak jego ojciec dobił targu. Mariusz wstał, uśmiechnął się do wszystkich, mówiąc:

- To mój syn. - Wyprowadził Mariusza Młodszego na zewnątrz, na nabrzeże. - Nie płyniesz ze mną - powiedział, gdy tylko znaleźli się sami. - Chcę, żebyś dotarł na Aenarię inną drogą. Ryzykowałbyś więcej, płynąc ze mną. Bierz osła i oba konie i jedź do Tarracyny.

- Ojciec, czemu nie jedziesz ze mną? Tarracyna byłaby bezpieczniejsza.

- Nie jestem dość sprawny, by jechać tak daleko, Mariuszu Młodszy. Wsiądę tu na statek i mam nadzieję, że wiatr dopisze. - Pocałował przelotnie syna. -



Bierz złoto. Zostaw mi srebro.

- Pół na pół, ojczy, albo wcale.

Mariusz westchnął.

- Gajuszu Mariuszu Młodszy, czemu mi nie powiedziałeś, że zabiłeś konsula Katona? Czemu się tego wypierałeś?

Jego syn wytrzeszczył oczy oszołomiony.

- Pytasz mnie o to w takiej chwili? Czy to takie ważne?

- Dla mnie to ważne. Gdyby Fortuna mnie opuściła, możemy nie spotkać się już nigdy. Czemu wtedy skłamałeś?

Mariusz Młodszy uśmiechnął się smutno, wyglądając jak żywy obraz Julii.

- Ach, ojczy! Nigdy nie wiadomo, co chcesz usłyszeć! O to właśnie chodzi. Wszyscy staramy się mówić to, co myślimy, że chciałbyś usłyszeć. To jest cena, jaką płacisz za bycie Wielkim Człowiekiem! Wydawało mi się rozsądne wypierać się, na wypadek gdybyś był w jednym z tych twoich nastrojów, kiedy upierasz się przy robieniu wszystkiego w zgodzie z etyką. W takim przypadku nie chciałbyś, żebym się przyznał, bo - bo oznaczałoby to, że nie masz innego wyboru, jak mnie oskarżyć. Przykro mi, jeżeli źle odgadłem. Nie pomogłeś mi jednak, wiesz o tym. Zamknąłeś się w sobie niczym ślimak w skorupie w gorący dzień.

- Myślałem, że zachowujesz się jak jakiś zepsuty chłopiec!

- Ach, ojczy! - Mariusz Młodszy pokręcił głową a w oczach zabłyśły mu łzy. - Nie można być zepsutym chłopcem, kiedy jest się synem Wielkiego Człowieka. Pomyśl, z kim muszę się równać! Ty kroczysz przez świat niczym tytan, a my płączemy ci się pod nogami, zastanawiając się, czego chcesz, jak ci najlepiej dogodzić. Nikt z twojego otoczenia nie jest ci równy umysłem ani doświadczeniem. To dotyczy i mnie. Twego syna.

- Pocałuj mnie więc i jedź już. - Tym razem uścisk był serdeczny. Mariusz nigdy nie pomyślał, że aż tak lubi Mariusza Młodszego. - Miałeś zupełną słuszność, skoro o tym mowa.

- W jakiej sprawie?

- Zabijając konsula Katona.

Mariusz Młodszy machnął ręką lekceważąco.

- Wiem o tym! Do zobaczenia na Aenarii w idy grudniowe.

- Gajuszu Mariuszu! Gajuszu Mariuszu! - zawołał jakiś niespokojny głos.

Mariusz zawrócił do tawerny.

- Jeśli jesteś gotów, chodźmy zaraz na statek. - Publiusz Murcjusz mówił wciąż niespokojnym tonem.

Mariusz westchnął. Najwyraźniej jego instynkt miał słuszność, mówiąc mu, że ta podróż będzie pechowa. Ten z wyglądu wilk morski był jakimś wymoczkim, a nie pełnym wigoru piratem.

Statek jednak był dobrze zbudowany i zdatny do żeglugi, chociaż Mariusz nie



wiedział, jak radziłby sobie na otwartym morzu między Sycylią a Afryką, gdyby doszło do najgorszego i musieli płynąć dalej niż na Sycylię. Najślabszą stroną statku był niewątpliwie jego kapitan, Murcjusz, który umiał tylko narzekać. Wypłynęli jednak z rozlewisk i piaszczystych łach tego niewygodnego portu tuż przed północą i zrobili zwrot, płynąc ze stałym wiatrem z północnego wschodu, odpowiednim do żeglugi, wzduż wybrzeża. Skrzypiąc i kołyszając się, bo Murcjusz nie załadował dość balastu z braku ładunku, statek włókł się dwie mile od brzegu. Załoga była w dobrym nastroju, bo nie trzeba było korzystać z nielicznych wiosła, a dwa wielkie wiosła sterowe utrzymywały kurs.

Potem o świcie wiatr zmienił się o pół okręgu i powiał z południowego zachodu, pędząc ku brzegom wielką falę.

- I co teraz? - spytał z irytacją Murcjusz swego pasażera. - Będziemy zepchnięci z powrotem do Ostii.

- Mam tu złoto, które mówi, że nie będziemy, Publiusz Murcjuszu. I mam jeszcze więcej złota, które mówi, że popłyniesz do Aenarii.

Jedyną odpowiedzią Murcjusza było podejrzliwe spojrzenie, ale pokusa była zbyt silna, by się jej oprzeć. Tak więc żeglarze, nagle tak samo nieszczęśliwi jak ich kapitan, chwycili za wiosła, gdy tylko zrefowano wielki kwadratowy żagiel.



Sekstus Lucyliusz - który okazał się kuzynem Pompejusza Strabona - spodziewał się wyboru na trybuna ludowego na rok przyszły. Konserwatywny, jak tego wymagała rodzinna tradycja, cieszył się z góry z możliwości wetowania wszystkich tych radykałów, którzy z pewnością także zostaną wybrani. Kiedy jednak Sulla wkroczył do Rzymu i zatrzymał się przy bagniskach Palus Ceroliae, Sekstus Lucyliusz był jednym z wielu ludzi, którzy okazali zdumienie, iż tak bardzo zmieniło to ich plany. Nie miał nic przeciw akcji Sulli. Jeśli chodziło o niego samego, Mariusz i Sulpicjusz zasługiwali na uduszenie w dolnej komorze Tulianum - albo, jeszcze lepiej, na strącenie z Tarpejskiej Skały. Cóż by to był za widok, patrzeć, jak cielsko Gajusza Mariusza roztrzaskuje się o ostre jak igły głązy na dole! Albo się kocha tego starego mentule, albo się go nienawidzi, a Sekstus Lucyliusz go nienawidził. Gdyby go wypytywać o powód tej nienawiści, odpowiedziałby, że gdyby nie Gajusz Mariusz, nie byłoby Saturnina i - znacznie świeższa zbrodnia - nie byłoby Sulpicjusza.

Dostał się oczywiście do bardzo zajętego konsula Sulli i z entuzjazmem obiecał swe poparcie i usługi przyszłorocznego trybuna ludowego. Potem Sulla uczynił ze Zgromadzenia Ludowego pustą nazwę, rozwiewając na jakiś czas nadzieje Sekstusa Lucyliusza. Zbiegowie zostali jednak skazani, co kazało mu czuć się nieco lepiej - dopóki nie przekonał się, że nie podjęto żadnych starań, by ich ująć, z wyjątkiem jednego tylko Sulpicjusza. Nie ścigano nawet Mariusza - daleko większego niegodziwca niż Sulpicjusz! Kiedy Lucyliusz poskarżył się



na to pontifexowi maximusowi Scewoli, spotkał się z chłodnym przyjęciem.

- Postaraj się nie robić głupstw, Sekstusie Lucyliuszu! - powiedział Scewola. - Usunięcie Gajusza Mariusza z Rzymu było konieczne, ale chyba sobie nie wyobrażasz, że Lucjusz Korneliusz chce mieć jego śmierć na sumieniu! Skoro wszyscy ubolewamy nad użyciem przez niego armii przeciw Rzymowi, jak zareagowałyby lud rzymski na zabójstwo Mariusza, obojętne, czy z wyrokiem śmierci, czy bez? Wyrok śmierci zapadł, bo Lucjusz Korneliusz nie miał innego wyboru, niż oskarżyć zbiegów w centuriach o *perduellio*, a uznanie za winnego *perduellio* automatycznie skutkuje wyrokiem śmierci. Lucjusz Korneliusz chce mieć jedynie Rzym bez obecności w nim Gajusza Mariusza! Gajusz Mariusz jest instytucją, a nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie zabijał instytucji. Odejdź teraz, Sekstusie Lucyliuszu, i nie próbuj zawracać głowy konsulowi podobnymi głupstwami!

Sekstus Lucyliusz odszedł. Nie próbował widzieć się z Sullą. Zrozumiał nawet, co powiedział Scewola: że nikt z pozycją Sulli nie chce ponosić odpowiedzialności za śmierć Gajusza Mariusza. Pozostawało jednak faktem, że Gajusz Mariusz został uznany winnym *perduellio* przez centurie i pozostawał na wolności, podczas gdy powinien zostać schwytany i zabity. Oczywiście bezkarność! Zakładając, że nie wjedzie do Rzymu ani żadnego dużego rzymskiego miasta, będzie mógł robić wszystko, co zechce. Pewien bezpieczeństwa i świadomy, że nikt nie zabija instytucji!

„Nie wzięłeś pod uwagę mnie, Gajuszu Mariuszu!”, pomyślał Sekstus Lucyliusz. „Będę miał szczęście trafić do podręczników historii jako ten, który zakończył twoją niesławną karierę”.

Z tym postanowieniem Sekstus Lucyliusz wynajął pięćdziesięciu byłych żołnierzy konnicy potrzebujących pieniędzy - nic trudnego w czasach, kiedy wszystkim brakowało pieniędzy. Zlecił im potem poszukiwanie Gajusza Mariusza i wydał im rozkaz: Kiedy go znajdą, mają go na miejscu zabić. *Perduellio*.

W tym czasie zebrało się Zgromadzenie Plebejskie i wybrało swoich trybunów ludowych. Sekstus Lucyliusz kandydował i został wybrany, bo Plebs chciał zawsze mieć jednego czy dwóch skrajnie konserwatywnych trybunów: wtedy leciały iskry!

Ośmielony tym wyborem, chociaż jego nowy urząd był pozbawiony władzy, Sekstus Lucyliusz wezwał dowódcę swojej konnicy na rozmowę.

- Należę do nielicznych w tym mieście ludzi, którzy nie są splekani - powiedział - i jestem skłonny dołożyć dodatkową sumę tysiąca denarów za przyniesienie mi głowy Mariusza. Tylko głowy!

Dowódca konnicy, który z radością zdekapitowałby za tysiąc denarów całą swoją rodzinę, zsalutował ochoczo.

- Postaram się, Sekstusie Lucyliuszu. Wiem, że staruszka nie ma na północ od



Tybru, zacznę więc go szukać na południu.



Szesnastego dnia po opuszczeniu Ostii statek dowodzony przez Publiusza Murcjusza uległ w nierównej walce żywiołom i zawiął do portu w Cyrcejach, zaledwie pięćdziesiąt mil na południe od Ostii. Żeglarze byli wyczerpani i kończyła im się woda.

- Przepraszam, Gajuszu Mariuszu, ale musimy to zrobić - powiedział Publiusz Murcjusz. - Nie możemy walczyć dalej z południowo-zachodnim wiatrem.

Nie było sensu protestować. Gajusz Mariusz skinął głową.

- Jeżeli musicie, to trudno. Ja zostanę na pokładzie.

Ta odpowiedź wydała się Publiuszowi Murcjuszowi niezmiernie dziwna. Drapał się w głowę, ale zszedłszy na brzeg, zrozumiał. Całe Cyrceje rozmawiały o wydarzeniach w Rzymie i o uznaniu Gajusza Mariusza winnym *perduellio*. Poza Rzymem nazwiska takie jak Sulpicjusz były ledwie znane, ale Gajusz Mariusz był sławny wszędzie. Kapitan wrócił szybko na swój statek.

Murcjusz stanął przed swoim pasażerem z miną nieszczęśliwą, ale zdeterminowaną.

- Przykro mi, Gajuszu Mariuszu, ale jestem szanowanym człowiekiem, utrzymuję statek i prowadzę interesy. Nigdy w życiu niczego nie przemyślałem i nie zamierzam teraz zacząć. Płacę cło portowe i akcyzę, powie to każdy w Ostii i w Puteoli. Muszę chyba uznać ten okropny wiatr za znak bogów. Zabierz swoje rzeczy i siadaj do łodzi. Musisz znaleźć inny statek. Ja nie powiem ani słowa, ale prędzej czy później moi żeglarze zaczną gadać. Jeśli odjedziesz stąd, nie próbując wynająć tu innego statku, wszystko będzie dobrze. Udaj się do Tarracyny albo Kajety i tam spróbuj.

- Dzięki ci za to, że mnie nie wydałeś, Publiuszu Murcjuszu - odrzekł uprzejmie Mariusz. - Ile ci jestem winien za podróż do tego miejsca?

Murcjusz nie chciał dodatkowej zapłaty.

- Wystarczy to, co mi dałeś w Ostii - powiedział. - A teraz odejdz, proszę!

Z pomocą Murcjusza i dwóch niewolników pozostawionych na pokładzie, Mariusz zdołał zejść z burty do łodzi. Usiadł w niej, stary i przybity. Nie miał ze sobą żadnego niewolnika ani pomocnika, a Murcjusz zauważył, że po szesnastu dniach na pokładzie Mariusz kuleje bardziej niż przedtem. Chociaż kapitan był zrzędą i ponurakiem, nie miał serca wysadzać Mariusza na brzeg tam, gdzie mógł zostać zatrzymany, przybili więc do brzegu daleko na południe od Cyrcejów i czekali kilka godzin, aż jeden z niewolników wróci z wynajętym koniem i z torbą jedzenia.

- Naprawdę mi przykro - powiedział z żalem Publiusz Murcjusz, całkiem wyczerpany, po tym jak z dwoma niewolnikami wsadził Mariusza na siodło. - Chciałbym nadal ci pomagać, Gajuszu Mariuszu, ale nie mam odwagi. - Zamilkł na chwilę, a potem wyrzucił z siebie: - Zostałeś uznany winnym zdrady



główniej, Gajuszu Mariuszu. Jeśli cię schwytają, zginiesz.

Mariuszowi zaparło dech.

- Zdrady głównej? *Perduellio*?

- Ty i twoi przyjaciele byliście sądzeni w centuriach i centurie uznały was za winnych.

- Centurie! - Mariusz kręcił głową oszołomiony.

- Lepiej już jedź - powiedział Murcjusz. - Powodzenia!

- Powodzenie będzie teraz przy tobie, gdy pozbyłeś się kłopotu. - Mariusz uderzył piętami po bokach konia i ruszył truchtem w głąb gaju.

„Miałem słuszość, opuszczając Rzym”, myślał. „Centurie! Zdecydowały się mnie zabić! A ja od dwunastu dni zamartwiam się, że opuściłem Rzym! Przekonuję sam siebie, że Sulpicjusz miał rację! Teraz wiem, że to ja miałem rację przez cały ten czas. Nie pomyślałem nawet o procesie w centuriach. Znam po prostu Sullę, więc myślałem, że każe nas zabić po cichu. Nie miałem go za głupca, który zechce mnie sądzić”.

Gdy tylko znalazł się na pustkowiu, zsiadł z konia i zaczął iść. Jego choroba czyniła jazdę prawdziwą udręką, ale koń był potrzebny do niesienia małego skarbu w złotych i w monetach. Jak daleko do Minturnów?

Ze trzydzieści pięć mil, jeśli trzymać się z dala od Via Appia. Bagnista okolica pełna była komarów, ale za to bezludna. Postanowił ominąć Tarracynę, wiedząc, że będzie tam Mariusz Młodszy. Minturny będą najlepsze - duże, spokojne, kwitnące i nie tknięte wojną italską.

Podróż zajęła mu cztery dni, cztery dni podczas których prawie nie jadł, odkąd skończyła mu się żywność. Dostał tylko miskę grochówki od jakiejś samotnej staruszki, a jakiś samnicki włóczęga podzielił się z nim chlebem i serem i zgodził się zrobić zakupy za pieniądze Mariusza. Ani staruszka, ani Samnita nie pożałowali tego, bo Mariusz zostawił każdemu z nich trochę złota.

Lewa strona ciała była jak ołowiany ciężar, który musiał wlec ze sobą, wędrował jednak wytrwale, póki w oddali nie ukazały się mury Minturnów. Zbliżając się od strony lasu, spostrzegł na Via Appia oddział pięćdziesięciu zbrojnych jeźdźców i spoza jakichś sosen przyglądał się, jak wjeżdżają przez bramę do miasta. Na szczęście port w Minturnach leżał za murami, mógł więc dotrzeć do nabrzeży niespostrzeżenie.

Pora była pozbyć się konia. Odwiązał worek z pieniędzmi od siodła, klepnął zwierzę i patrzył, jak odbiega. Potem wszedł do małej, ale dobrze utrzymanej tawerny.

- Jestem Gajusz Mariusz. Jestem skazany na śmierć za zdradę główną, zmęczony jak nigdy w życiu, i muszę się napić wina - powiedział na cały głos.

W tawernie było tylko sześciu czy siedmiu ludzi. Wszystkie twarze obróciły się ku niemu z otwartymi ustami. Potem zgrzytnęły krzesła i stołki i ludzie otoczyli go, chcąc dotknąć na szczęście.



- Siadajże, siadaj! - mówił rozpromieniony właściciel. - Czyś ty naprawdę Gajusz Mariusz?

- Czyżbym nie pasował do opisu? Tylko pół twarzy i starszy niż Kronos, zgoda, ale nie mówcie mi, że nie poznajecie Gajusza Mariusza, kiedy go widzicie!

- Ja poznaję Gajusza Mariusza, kiedy go widzę - rzeki jeden z pijących - i tyś nim jest. Byłem na Forum Romanum, kiedy broniłeś Tytusa Tytyniusza.

- Wina. Muszę się napić wina - powiedział Mariusz.

Nalali mu wina, a potem dolali, kiedy opróżnił swój kubek jednym łykiem. Następnie dali mu jeść, a kiedy zjadł, uraczył ich opowieścią o najeździe Sulli na Rzym i o swojej ucieczce. Nie musiał mówić o implikacjach uznania go za winnego *perduellio*, bo każdy mieszkaniec półwyspu, Rzymianin, Latyńczyk czy Italczyk wiedział, co to zdrada główna. Zgodnie z prawem jego słuchacze powinni byli wydać go władzom miasta - albo sami dokonać egzekucji. Zamiast to zrobić, słuchali Mariusza, dopóki go nie zmoгло zmęczenie, a potem pomogli mu wejść po chwiejnej drabinie do łóżka. Zbieg zwałił się na nie i spał przez dziesięć godzin.

Kiedy się obudził, spostrzegł, że ktoś uprał mu tunikę i płaszcz i wyczyścił buty. Czując się lepiej, niż kiedy opuszczał statek Murcjusza, Mariusz zszedł po drabinie i zastał tawernę pełną ludzi.

- Wszyscy chcą cię zobaczyć, Gajuszu Mariuszu - wyjaśnił właściciel, podchodząc, by mu podać rękę. - Jakiż to honor dla nas!

- Jestem skazańcem, gospodarzu, i chyba szukają mnie całe setki jeźdźców. Widziałem takich wczoraj, jak wjeżdżali do miasta.

- Tak, są teraz na forum z duumwirami, Gajuszu Mariuszu. Wyspali się tak jak ty, a teraz udają ważniaków. Połowa Minturnów wie, że tu jesteś, ale nie musisz się martwić. My cię nie wydamy ani nie powiemy nic duumwirom. Lepiej, żeby nie wiedzieli, bo obaj stosują się sztywno do litery prawa.

- Dziękuję - powiedział z uczuciem Mariusz.

Jakiś mały pulchny człowieczek, którego nie było tam przed dziesięcioma godzinami, podszedł do Mariusza z wyciągniętą dłonią.

- Aulus Belajos, kupiec z Minturnów i właściciel kilku statków. Powiedz, czego ci trzeba, Gajuszu Mariuszu, a będziesz to miał.

- Trzeba mi statku, który by mnie wywiózł z Italii gdzieś w świat, gdzie znajdę azyl.

- To żaden kłopot - odrzekł z miejsca Belajos. - Mam tu coś odpowiedniego na kotwicy w zatoce. Kiedy coś zjesz, zabiorę cię na pokład.

- Czy wiesz, co robisz, Aulusie Belajosie? Im chodzi o moje życie. Jeśli mi pomożesz, narażasz własne.

- Zaryzykuję - odparł ze spokojem Belajos.

Godzinę później łódź wiosłowa wiozła Mariusza do solidnego transportowca



zboża, znacznie odporniejszego na przeciwne wiatry i wzburzone morze niż przybrzeżny handlowiec Publiusza Murcjusza.

- Jest świeżo po remoncie, po wyładowaniu transportu zboża z Afryki w Puteoli. Miałem zamiar wracać do Afryki, kiedy tylko powieje pomyślny wiatr - mówił Belajos, pomagając gościowi wejść na pokład po solidnym drewnianym trapie podobnym raczej do schodów. - Ładownie są pełne falerna na afrykański rynek towarów luksusowych, a statek jest pod balastem i zaopatrzony na drogę. Zawsze trzymam swoje statki w gotowości, bo z wiatrami i z pogodą nigdy nic nie wiadomo. - Zostało to powiedziane ze szczególnym uśmiechem przywiązania do Gajusza Mariusza.

- Nie wiem, jak ci dziękować, poza tym, że ci dobrze zapłacę.

- To zaszczyt, Gajuszu Mariuszu. Nie odbieraj mi go, próbując mi zapłacić, błagam. Do końca moich dni będę ucztował przy tej opowieści - jak to ja, kupiec z Minturnów, pomogłem wielkiemu Gajuszowi Mariuszowi wymknąć się prześladowcom.

- A ja nie przestanę być ci wdzięcznym, Aulusie Belajosie.

Belajos zszedł do łodzi, pomachał ręką na pożegnanie i kazał się wieźć na brzeg. Kiedy dobił do najbliższego nabrzeża, pięćdziesięciu rozpytujących się w mieście jeźdźców wjechało do portu. Ignorując Belajosa - którego nie skojarzyli z początku ze statkiem podnoszącym właśnie kotwicę - najemnicy Sekstusa Lucyliusza wpatrywali się przez wodę w człowieka schylonego nad burtą i ujrzeni łatwą do rozpoznania twarz Gajusza Mariusza.

Prowadzący ich jeździec wyrwał się naprzód i przez stulone dłonie krzyknął:

- Gajuszu Mariuszu, jesteś zatrzymany! Kapitanie, dajesz schronienie zbiegowi przed sprawiedliwością! W imieniu senatu i ludu rzymskiego, rozkazuję ci zawrócić i wydać mi Gajusza Mariusza!

Te wrzaski skwitowano na statku parsknięciem, a kapitan spokojnie szykował się do odpłynięcia. Mariusz wypatrzył jednak zatrzymanie zacnego Belajosa przez jeźdźców.

- Kapitanie, stać! - krzyknął. - Twój szef jest w rękach ludzi, którym chodzi o mnie. Muszę wracać!

- To nie jest konieczne, Gajuszu Mariuszu - rzekł kapitan. - Aulus Belajos potrafi się o siebie zatroszczyć. Oddał mi cię pod moją opiekę i kazał stąd wywieźć. Muszę robić, co każe.

- Zrobisz, co ja ci każe, kapitanie. Zawracaj!

- Gdybym to zrobił, Gajuszu Mariuszu, nigdy już nie będę dowodzić żadnym statkiem. Aulus Belajos robi z moich kiszek liny.

- Zawróć i wsadź mnie do łodzi, kapitanie! Jeśli nie możesz wrócić do nabrzeża, wysadź mnie gdzieś na brzegu. - Mariusz zrobił groźną minę. - Zrób to, kapitanie! Nalegam!

Wbrew temu, co mówił mu zdrowy rozsądek, kapitan ustąpił. Kiedy Mariusz



mówił, że nalega, wszyscy widzieli w nim wodza, którego rozkazów się słucha.

- Wysadzę cię więc na mokradłach - powiedział nieszczęsny kapitan. - Dobrze znam tę okolicę. Jest tam bezpieczna ścieżka, która doprowadzi cię do Minturnów. Radzę ci ukryć się tam, póki ci jeźdźcy nie odjadą. Potem wezmę cię znowu na pokład.

Zbieg znowu przeszedł za burtę do kolejnej łodzi, tym razem jednak statek zasłaniał go przed jeźdźcami, którzy wciąż wołali, że Mariusz musi być wydany. Na nieszczęście dla Mariusza bystrooki przywódca oddziału wypatrzył jego głowę wśród sześciu zginających grzbiety wioślarzy.

- Do koni! Żwawo! - krzyknął. - Zostawcie tego głupca, nie jest ważny. Jedziemy za tą łodzią wzdłuż brzegu.

Nie było to trudne, bo wyjeżdżony szlak biegł wzdłuż brzegu zatoki przez mokradła wokół ujścia rzeki Liris. Jeźdźcy szybko doganiali łódź, ale stracili ją z oczu, gdy zniknęła w trzcinach porastających rozlewiska.

- Dalej, znajdziemy starego łotra!

Najemnicy Sekstusa Lucyliusza rzeczywiście znaleźli go dwie godziny później - i w samą porę. Mariusz ugrzązł po pas w czarnym mule, bez ubrania, wyczerpany i pogrążający się coraz bardziej. Nie było łatwo go wyciągnąć, ale było mnóstwo rąk do pomocy i w końcu wsysający go muł niechętnie rozstał się ze swą ofiarą. Ktoś zdjął płaszcz i podszedł z nim do Mariusza, ale przywódca go powstrzymał.

- Niech stary kulawiec idzie nago. Minturny powinny zobaczyć, jak świetnie wygląda wielki Gajusz Mariusz! Całe miasto wiedziało, że tu był. Poniosą skutki dawania mu schronienia.

Tak więc stary kulawiec szedł nago pośród jeźdźców, potykając się, utykając, padając przez całą drogę do Minturnów, a jeźdźcom nie robiło różnicy, jak długo potrwa ta podróż. Gdy się zbliżyli do miasta i przy drodze pojawiły się domy, przywódca zachęcał głośno wszystkich do oglądania schwytanego zbiega Gajusza Mariusza, który wkrótce straci głowę na forum w Minturnach.

- Chodźcie, chodźcie wszyscy! - krzyczał.

Był środek popołudnia, gdy wjechali na forum, a towarzyszyła im większość mieszkańców miasta, zbyt oszołomionych i zbyt zdumionych, by protestować przeciw takiemu traktowaniu wielkiego Gajusza Mariusza, i świadomych, że został uznany winnym zdrady głównej. Z wolna jednak w ich umysłach zaczął narastać gniew - to pewne, że Gajusz Mariusz nie mógł popełnić zdrady głównej!

Obaj najwyżsi urzędnicy czekali u stóp schodów do sali zebrania w otoczeniu straży miejskiej. Zwołano ją pośpiesznie, by pokazać tym aroganckim urzędnikom rzymskim, że Minturny nie są zdane na ich łaskę i że jeśli trzeba, potrafią ich odeprzeć.

- Schwytaliśmy Gajusza Mariusza, gdy już prawie odpływał na waszym



statku - oznajmił złowieszczo przywódca oddziału. - Minturny wiedziały, że on tu jest, i Minturny mu pomagały.

- Minturny nie mogą odpowiadać za postępowanie kilku obywateli - odparł sztywno starszy z duumwirów. - Macie już jednak waszego więźnia. Bierzcie go i jedźcie.

- Ach, nie chcę go w całości! - Przywódca wyszczerzył zęby. - Chcę tylko jego głowy. Możecie zatrzymać resztę. Tam stoi ładna kamienna ława w sam raz do tej roboty. Przytrzymamy go nad nią, a głowa spadnie migiem.

W tłumie rozległy się westchnienia i pomruki, duumwirowie byli ponurzy, a ich straż zniecierpliwiona.

- W czym imieniu chcesz stracić na forum w Minturnach męża, który był sześć razy konsulem Rzymu, i jest jego bohaterem? - spytał starszy z duumwirów. Zmierzył wzrokiem przywódcę, a potem jego oddział, zdecydowany dać im posmakować tego, co sam czuł, kiedy tak arogancko zaczęli go wczesnym rankiem. - Nie wyglądacie jak rzymska jazda. Skąd mam wiedzieć, czy jesteście tymi, za których się podajecie?

- Zostaliśmy wynajęci specjalnie do tego zadania - odrzekł przywódca, zaczynając się niepokoić, gdy ujrzał miny tłumu i straż miejską sięgającą po miecze.

- Przez kogo wynajęci? Senat i lud rzymski? - spytał duumwir tonem adwokata.

- Właśnie tak.

- Nie wierzę ci. Udowodnij to.

- Ten człowiek został uznany za winnego *perduellio*! Wiesz, co to znaczy, duumwirze. Winien utracić życie w każdym mieście rzymskim czy łacińskim. Nie mam polecenia dostarczenia go w całości i żywego do Rzymu. Mam polecenie przywiezienia jego głowy.

- Więc będziesz musiał o nią walczyć z Minturnami - powiedział chłodno starszy duumwir. - Nie jesteśmy barbarzyńcami. Obywatel rzymski o pozycji Gajusza Mariusza nie będzie ścięty jak jakiś niewolnik albo cudzoziemiec.

- Ściślej mówiąc, on nie jest już obywatelem rzymskim! - powiedział z wściekłością przywódca. - Jeśli jednak chcecie, żeby to zostało zrobione jak należy, zróbcie to sami! Pojadę do Rzymu przywieźć wszystkie dowody, których ci trzeba, duumwirze! Wrócę za trzy dni. Lepiej, żeby Gajusz Mariusz był wtedy martwy, bo inaczej całe miasto odpowie przed senatem i ludem rzymskim. A za trzy dni zabiorę głowę Gajusza Mariusza zgodnie z moimi rozkazami.

Podczas tej rozmowy Mariusz stał, chwiejąc się na nogach pośród jeźdźców, a jego wygląd i położenie przyprawiły wielu ludzi o łzy. Jeden z jeźdźców, rozgniewany, wyciągnął miecz, by ściąć Mariusza, ale tłum wpadł nagle między konie, wyciągając zbiega z zasięgu mieczy. Ludzie byli gotowi walczyć. Straż



miejska również.

- Minturny za to zapłacą! - warknął przywódca.

- Minturny stracą tego więźnia stosownie do jego *dignitas* i *auctoritas* - rzekł starszy duumwir. - A teraz precz stąd!

- Chwileczkę! - ryknął jakiś szorstki głos. Gajusz Mariusz wystąpił z zastępu obywateli Minturnów. - Możesz zwodzić tych zacnych ludzi, ale nie mnie! Rzym nie ma żadnej jazdy do ścigania skazańców, a senat ani lud rzymski nikogo nie wynajmują. Kto was wynajął?

Tyle władzy było w głosie Mariusza - wspomnienia dawnych czasów pod sztandarami - że przywódca odpowiedział, zanim powstrzymał go rozsądek.

- Sekstus Lucyliusz.

- Dzięki! - rzekł Mariusz. - Zapamiętam.

- Szczam na ciebie, starcze! - rzucił pogardliwie przywódca i szarpnął złośliwie wędzidło swego konia. - Dałeś mi słowo, duumwirze! Chcę widzieć Gajusza Mariusza martwego, kiedy wrócę, gotowego do ucięcia mu głowy.

Gdy tylko oddział odjechał, duumwir skinął na strażników.

- Zamknijcie Gajusza Mariusza.

Jego ludzie wydostali Mariusza ze środka tłumu i odprowadzili do pojedynczej celi pod cokołem świątyni Jowisza Najlepszego i Największego, używanej zwykle do przetrzymywania przez noc awanturujących się pijaków albo zamykania szaleńców do czasu, aż zapadną decyzje o ich losie.

Gdy tylko odprowadzono Mariusza, tłum zbił się w grupy, w których wszczęły się gwałtowne rozmowy. Nie odchodziły one dalej niż do gospód na obrzeżach placu. Aulus Belajos zaś, który był świadkiem całego incydentu, zaczął przemieszczać się od grupy do grupy, włączając się do rozmów.



Minturny posiadały kilku niewolników publicznych, między którymi był jeden niezmiernie użyteczny. Miasto kupiło go przed dwoma laty od wędrownego handlarza i nigdy nie pożałowało poniesionego wydatku pięciu tysięcy denarów. Wtedy osiemnastoletni, dziś dwudziestoletni, był olbrzymim Germaninem z narodu Cymbrów o imieniu Burgundus. Był o głowę wyższy od tych niewielu mieszkańców Minturnów, którzy mieli sześć stóp wzrostu. Jego potężne mięśnie i siła zapierały dech i nie kłóciły się z błyskotliwą inteligencją ani nadwrażliwością ducha - co nie dziwiło u kogoś, kto w wieku sześciu lat został pojmany po bitwie pod Vercellae i odtąd prowadził życie barbarzyńskiego niewolnika. Nie dla niego były przywileje i zyski wykształconego Greka, który sprzedał się w niewolę, bo zwiększało to jego szanse dobrobytu. Burgundusowi płacono psie pieniądze, mieszkał w wałacej się drewnianej chacie na skraju miasta i myślał, że odwiedza go czarodziejski wóz bogini Nertus, kiedy szukała go jakaś kobieta, by się przekonać, jakim to kochankiem okaże się barbarzyński olbrzym. Nigdy nie pomyślał o ucieczce



ani nie uważał się za skrzywdzonego przez los - przeciwnie, podobały mu się dwa lata spędzone w Minturnach, gdzie czuł się ważny i wiedział, że jest ceniony. Dano mu do zrozumienia, że z czasem jego wynagrodzenie się zwiększy i będzie mógł ożenić się i mieć dzieci, a jeśli będzie dobrze pracował, jego dzieci zyskają wolność.

Innych niewolników publicznych używano do pielenia chwastów i zamiatania, malowania, czyszczenia elewacji budynków i podobnych zajęć. Jedyne Burgundus odziedziczył zajęcia wymagające ciężkiej pracy i nadludzkiej siły. To Burgundus czyścił kanały ściekowe zapchane po powodziach. To Burgundus usuwał padłe konie, osły i inne duże zwierzęta z miejsc, gdzie przeszkadzały. Burgundus łapał wściekłe psy, Burgundus w pojedynkę kopał rowy. Jak wszystkie wielkie stworzenia, Germanin był łagodny i uległy. Był świadomy swojej siły i nie musiał nikomu jej okazywać. Zdawał sobie sprawę, że jego cios zadany komuś dla żartu może tego kogoś zabić. Wypracował sobie więc własny sposób na pijanych żeglarzy i ludzi agresywnych, usiłujących go pokonać, a przez swoją powściągliwość dorobił się kilku blizn - ale też zyskał w mieście reputację.

Wmanewrowani w zadanie nie do pozazdroszczenia - egzekucję Gajusza Mariusza - i zdecydowani wykonać swój obowiązek po rzymsku (a także świadomi, że nie spotka się to z przychylnością mieszkańców), duumwirowie posłali natychmiast po Burgundusa.

Nieświadomy wydarzeń tego dnia w Minturnach układał on stos kamieni pod murami od strony Via Appia, szykując się do jakiejś naprawy. Wezwany przez innego niewolnika poszedł w stronę forum swym długim, pozornie wolnym krokiem, podczas gdy drugi sługa miasta biegł za nim.

Starszy duumwir czekał na niego w uliczce za forum, na tyłach sali zebrań i świątyni Jowisza Najlepszego i Największego. Jeśli zadanie miało być wykonane, nie wywołując zamieszek, musiało być wykonane natychmiast i bez wiedzy tłumu na forum.

- Ach, Burgundusie, właśnie ciebie mi trzeba - powiedział duumwir (którego mniej stanowczy kolega tajemniczo gdzieś zniknął). - W celi pod naszym kapitołem jest więzień. - Odwrócił się i zwałił resztę od niechcenia na ramiona Burgundusa. - Zadusisz go. To zdrajca skazany na śmierć.

Germanin stał całkiem nieruchomo, a potem podniósł ręce i spojrzał na nie ze zdumieniem. Nigdy jeszcze nie dostał rozkazu zabicia człowieka. Zabicia go tymi rękoma. Dla niego to tyle, co dla innego ukręcić kark kurczęciu. Musi oczywiście zrobić, co mu kazano, to się rozumie, ale wygodne życie, którym cieszył się w Minturnach, przeminęło z wiatrem. Miał zostać miejskim katem, wykonawcą wszystkich niewygodnych zleceń. Jego zwykle spokojne niebieskie oczy patrzyły ze zgrozą na tyły kapitolu - świątyni Jowisza Najlepszego i Największego, gdzie umieszczono więźnia, którego kazano mu zadusić. To



jakiś bardzo ważny więzień. Jeden z italskich przywódców w tej wojnie?

Burgundus nabrał tchu, a potem ciężkim krokiem obszedł świątynię. Z drugiej strony były w jej cokole drzwi prowadzące do małego labiryntu pomieszczeń. Żeby wejść w te drzwi, musiał nie tylko schylić głowę, ale zgiąć się we dwoje. Znalazł się w wąskiej kamiennej sieni z kilkoma drzwiami po obu stronach. W odległym końcu żelazna krata zamykała otwór naświetla. Mieścił się tu skarbiec i archiwum miejskie, gdzie przechowywano miejscowe prawa i statuty, a za pierwszymi drzwiami po lewej trzymano tych nielicznych mężczyzn i kobiety, którzy sprawiali kłopoty i których zwalniano, gdy spokornieli.

Te grube na trzy cale dębowe drzwi były jeszcze mniejsze niż wejściowe. Burgundus odsunął rygiel, przykucnął i wcisnął się do celi. Była, podobnie jak sień, oświetlona przez zakratowany otwór wysoko w tylnej ścianie. Odgłosy wydobywające się z celi były dzięki temu ledwie słyszalne na forum. Światła było tylko tyle, by coś dostrzec, zwłaszcza że oczy Burgundusa nie nawykły jeszcze do ciemności.

Wyprostowawszy się, na ile to było możliwe, germański olbrzym rozpoznał jakiś ciemnoszary niewyraźny ludzki kształt. Ktokolwiek to był, wstał na spotkanie ze swym katem.

- Czego chcesz? - spytał głośno więzień tonem nawykłym do rozkazywania.  
- Kazano mi cię zadusić - powiedział po prostu Burgundus.  
- Jesteś Germaninem! - rzekł ostro więzień. - Z jakiego ludu? Dalej, odpowiedz mi, niezdaro!

To ostatnie zostało wypowiedziano jeszcze ostrzej, bo Burgundus zaczął teraz lepiej widzieć, i zastanawiał się nad odpowiedzią na widok groźnych ognistych oczu.

- Pochodzę z Cymbrów, *domine*.

Wielki nagi mężczyzna o ognistych oczach napęczniał z oburzenia.

- Co takiego? Niewolnik - i to z tych, których podbiłem i zniewoliłem! - odważa się zabić Gajusza Mariusza? - Burgundus wzdrygnął się z jękiem zgrozy, zasłonił głowę rękami i wycofał się skulony. - Precz stąd! - zagrzmiął Mariusz. - Nie będę umierał w jakiejś podłej piwnicy i nie z rąk Germanina!

Burgundus uciekł, lamentując, zostawiając szeroko otwarte drzwi celi i drzwi na zewnątrz i wypadł na otwartą przestrzeń forum.

- Nie, nie! - krzyknął do obecnych na forum, a łzy zalewały mu strumieniami twarz. - Nie śmiem zabić Gajusza Mariusza! Nie śmiem zabić Gajusza Mariusza! Nie śmiem zabić Gajusza Mariusza!

Aulus Belajos nadszedł wielkimi krokami z drugiej strony forum, biorąc olbrzyma łagodnie za rękę.

- Wszystko w porządku, Burgundusie, nikt tego od ciebie nie wymaga. Przestań teraz płakać, bądź dobrym chłopcem! Wystarczy!



- Nie śmiem zabić Gajusza Mariusza! - powtórzył znów Burgundus, wycierając nos ramieniem, bo Belajos wciąż go trzymał za rękę. - I nie pozwolę nikomu zabić Gajusza Mariusza!

- Nikt nie zamierza zabić Gajusza Mariusza - powiedział stanowczo Belajos. - To nieporozumienie. Uspokój się, bo jesteś potrzebny. Podejdź do Marka Furiusza - tam po drugiej stronie - i weź tę szatę i wino, które trzyma. Zanieś to wszystko Gajuszowi Mariuszowi. Potem zaprowadź go do mego domu i tam z nim czekaj.

Olbrzym uspokoił się jak dziecko, uśmiechnął do Aulusa Belajosa i swobodnym krokiem poszedł zrobić, co mu kazano. Belajos odwrócił się do tłumu, który zgromadził się znowu. Oczy miał utkwione w duumwirach wychodzących z sali zebrań i przyjął wojowniczą postawę.

- A zatem, obywatele Minturnów, czy zamierzacie pozwolić naszemu kochanemu miastu przyjąć godne pogardy zadanie zabicia Gajusza Mariusza?

- Aulusie Belajosie, musimy to zrobić! - powiedział starszy duumwir, nadchodząc bez tchu. - To zdrada główna!

- Nie obchodzi mnie to, choćby to były wszystkie zbrodnie ze statutów! - oświadczył Aulus Belajos. - Minturny nie mogą zabić Gajusza Mariusza!

Tłum wykrzyczał swe gorące poparcie dla Aulusa Belajosa, władze zwołały więc na miejscu i natychmiast zebranie dla omówienia tej sprawy. Wynik był z góry przesądzony: Gajusz Mariusz miał zostać uwolniony. Minturny nie mogły ponosić odpowiedzialności za śmierć człowieka, który był sześciokrotnie konsulem Rzymu i ocalił Italię przed Germanami.

- Tak więc - mówił nieco później zadowolony z siebie Belajos do Mariusza - z radością zawiadamiam, że mam cię wsadzić na mój statek z najlepszymi życzeniami od całych Minturnów, z naszymi ograniczonymi władzami włącznie. I tym razem nie będzie wysadzania cię na brzeg, obiecuję.

Wykąpany i nakarmiony Mariusz czuł się znacznie lepiej.

- Spotykałem się nie raz z życzliwością, odkąd uciekłem z Rzymu, Aulusie Belajosie, ale nigdy z tak wielką, jak życzliwość okazana mi przez Minturny. Nigdy nie zapomnę tego miejsca. - Odwrócił się, by obdarzyć kręcącego się w pobliżu Burgundusa najlepszym uśmiechem, na jaki było stać jego sparaliżowaną twarz. - Nie zapomnę też, że oszczędził mnie Germanin. Dziękuję.

Belajos wstał.

- Chciałbym mieć honor goszczenia cię dłużej, Gajuszu Mariuszu, ale nie zaznam spokoju, dopóki nie zobaczę, że twój statek wypływa z zatoki. Pozwól, że cię odprowadzę zaraz do portu. Spać możesz na pokładzie.

Kiedy wychodzili frontowymi drzwiami z domu Belajosa, spora część mieszkańców Minturnów czekała, by odprowadzić ich do przystani. Wzniesiono okrzyk na cześć Gajusza Mariusza, który stał, przyjmując to z



królewską godnością. Potem wszyscy poszli na brzeg z lżejszym sercem i poczuciem wyższości, jakiej nie znali przez całe lata. Na nabrzeżu Mariusz uściskał publicznie Aulusa Belajosa.

- Twoje pieniądze są wciąż na pokładzie - powiedział Belajos ze łzami w oczach. - Posłałem ci tam dodatkowe ubrania i znacznie lepsze wino, niż zwykle pija mój kapitan! Wysyłam też z tobą niewolnika Burgundusa, skoro nie masz żadnej asysty. Miasto nie chce go zatrzymywać, na wypadek gdyby ci jeźdźcy wrócili, a jacyś miejscowi zaczęli gadać. Nie zasługuje na śmierć, więc go kupiłem na twój użytek.

- Z przyjemnością przyjmuję Burgundusa, Aulusie Belajosie, ale nie martwcie się o tamtych, w żadnym razie. Wiem, kto ich wynajął - człowiek bez żadnego autorytetu i bez żadnych wpływów, który chciał sobie zdobyć rozgłos. Z początku podejrzewałem Lucjusza Sullę i to byłoby znacznie poważniejsze. Gdyby jednak konsul wysłał za mną jeźdźców, nie dotarliby jeszcze do Minturnów. Tę bandę wynajął szukający sławy *privatus*. I będziesz ją miał, Sekstusie Lucyliuszu! - syknął przez zęby Mariusz.

- Mój statek jest twój, dopóki znów nie wrócisz do kraju - powiedział z uśmiechem Belajos. - Kapitan o tym wie. Na szczęście ładunek to falern, więc tylko zyska na wartości, jeśli się go nie uda wyładować. Życzymy ci szczęścia.

- I ja wam życzę szczęścia. Nigdy cię nie zapomnę, Aulusie Belajosie.

I wreszcie zakończył się ów pełen podniecenia dzień. Mężczyźni i kobiety z Minturnów stali na nabrzeżach i machali na pożegnanie, dopóki statek nie zapadł za horyzont, a potem poszli gromadnie do domów, czując się, jakby wygrali jakąś wielką wojnę. Aulus Belajos poszedł do domu ostatni, uśmiechając się do siebie w gasnącym świetle dnia. Wpadł wcześniej na wspaniałą pomysł. Znajdzie oto najlepszego malarza fresków na całym półwyspie i zleci mu przedstawienie przygód Gajusza Mariusza w Minturnach w serii wspaniałych obrazów. Ozdobią one nową świątynię Mariki w jej uroczym gaju. Mimo wszystko była ona boginką morską która zrodziła Latynusa - którego córka Lawinia poślubiła Eneasza i urodziła Julusa - miała więc szczególne znaczenie dla Gajusza Mariusza ożenionego z Julią. Marika była też patronką miasta. Minturny nigdy nie dokonały niczego większego niż odmowa zabicia Gajusza Mariusza, a w przyszłych latach cała Italia dowie się o tym z fresków w świątyni Mariki.



Od tego czasu Gajusz Mariusz nigdy nie znalazł się w niebezpieczeństwie, mimo że jego podróże były długie i wyczerpujące. Dziewiętnastu zbiegów spotkało się na Aenarii, i na próżno czekali potem na Publiusza Sulpicjusza. Po ośmiu dniach uznali ze smutkiem, że już nie przybędzie i odpłynęli bez niego. Z Aenarii puścili się śmiało na otwarte wody Morza Tuskańskiego i nie widzieli żadnego lądu aż do północno-zachodniego krańca Sycylii, gdzie zawinęli do



rybackiego portu w Erycinie.

Tu na Sycylii Mariusz miał nadzieję pozostać, nie chcąc oddalać się od Italii bardziej, niż to było konieczne. Choć stan jego zdrowia był nadzwyczaj dobry, zważywszy na wszystko, co go spotkało, nawet on sam zdawał sobie sprawę, że nie wszystko jest w porządku z jego umysłem. Zapominał o różnych rzeczach, a czasami zdawało mu się, że mówi się do niego językiem barbarzyńskich Scytów albo Sarmatów. Czuł jakieś nieokreślone, ale nieznośne wonie, wzrok mu się mącił, jakby go przesłaniały sieci rybackie, zastanawiał się czasem, gdzie jest, a jego opanowanie zawodziło w obliczu wyimaginowanych afrontów i zniewag.

- Cokolwiek jest w nas, co nam każe myśleć, czy mieści się to w naszej piersi, jak mówią niektórzy, czy w naszej głowie, jak powiada Hipokrates - uważam, że musi to być głowa. Myślę przecież za pośrednictwem oczu, uszu i nosa, czemu więc miałyby one być oddalone od źródła myśli, tak jak są oddalone od wątroby i serca? - mówił pewnego dnia do syna, kiedy czekali w Erycinie na wiadomość od namiestnika. Zmarszczył groźnie krzaczaste brwi. - Zaczę jeszcze raz... Coś wyjada mi po kawałeczku umysł, Mariuszu Młodszy. Znam wciąż na pamięć całe książki i kiedy się zmuszę do tego, mogę myśleć jasno; mogę prowadzić zebrania i robić wszystko, co robiłem w przeszłości. Ale nie zawsze. To się zmienia w sposób, którego nie rozumiem. Czasem nie jestem nawet świadomy zmian... Musisz mi pozwolić na te niejasności i dziwactwa. Muszę zachować siły umysłowe, bo wkrótce pewnego dnia będę konsulem po raz siódmy. Marta mówiła, że tak będzie, a ona nigdy się nie myliła. Nigdy się nie myliła... Mówiłem ci o tym, prawda?

Mariusz Młodszy zmusił się do przełknięcia tego, co mu ścisnęło gardło.

- Tak, ojcie. Mówiłeś. Wiele razy.

- A czy ci mówiłem, że przepowiedziała coś jeszcze?

Szare oczy rozwarły się szeroko wpatrzona w zniszczoną twarz ojca, ostatnio zaczerwienioną. Mariusz Młodszy westchnął cicho, zastanawiając się, czy umysł Mariusza znowu błądzi, czy też myśli on jeszcze jasno.

- Nie, ojcie.

- Otóż przepowiedziała, że nie będę największym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek wyda Rzym. Czy wiesz, o kim powiedziała, że będzie największym z wszystkich Rzymian?

- Nie, ojcie. Chciałbym jednak wiedzieć. - Mariusz Młodszy nie łudził się nadzieją. Wiedział, że nie chodzi o niego. Syn Wielkiego Człowieka zbyt dobrze znał własne słabości.

- Powiedziała, że będzie to Cezar Młodszy.

- *Edepol!*

Mariusz zachichotał, wykręcając niesamowicie twarz.

- Ach, nie martw się synu! Nie będzie! Nie pozwolę nikomu być większym



ode mnie! Dlatego właśnie chcę przybić gwiazdę Cezara Młodszeo do dna najgłębszego z mórz.

Jego syn wstał.

- Jesteś zmęczony, ojcze. Zauważyłem, że te twoje złe nastroje i zdrowotne problemy powiększają się, kiedy jesteś zmęczony. Chodź, prześpij się.



Namiestnikiem Sycylii był klient Mariusza Gajusz Norbanus. Przebywał on w Messanie w związku z groźbą najazdu na Sycylię Marka Lamponiusza na czele powstańców z Lukanii i Brucjum. Wysłany do niego po Via Valeria posłaniec Mariusza wrócił po trzynastu dniach z odpowiedzią namiestnika:

*Doskonale zdaję sobie sprawę z moich zobowiązań klienta wobec Ciebie, Gajuszu Mariuszu, jestem jednak również namiestnikiem propraetore rzymskiej prowincji i jestem związany honorem stawiać obowiązek wobec Rzymu przed obowiązkiem wobec swego patrona. Twój list przybył po tym, jak otrzymałem oficjalną dyrektywę z senatu, zabraniającą udzielania Tobie i innym zbiegom jakiegokolwiek pomocy.*

*Właściwie polecono mi ścigać Cię i zabić. Tego oczywiście nie mogę zrobić, mogę tylko rozkazać, by twój statek opuścił wody Sycylii.*

*Prywatnie życzę Ci szczęścia i mam nadzieję, że znajdziesz bezpieczne schronienie, chociaż wątpię, byś je znalazł na jakimś terytorium rzymskim. Muszę Cię zawiadomić, że Publiusz Sulpicjusz został schwytany w Laurentum. Jego głowa ozdabia rastra w Rzymie. Podły to uczynek. Lepiej jednak zrozumiesz moje położenie, gdy Ci powiem, że głowę Sulpicjusza zatknął na rostrach nie kto inny niż Lucjusz Korneliusz Sulla. Nie, nie wydał rozkazu. Zrobił to własnoręcznie.*

- Biedny Sulpicjusz! - powiedział Mariusz, ocierając łzy, które same napłynęły mu do oczu. Potem rozprostował ramiona i rzekł: - Dobrze więc, płyniemy dalej! Zobaczymy, jak nas przyjmą w prowincji afrykańskiej.

I tam jednak zabroniono im wstępu. Namiestnik Sekstyliusz także otrzymał rozkazy i nie mógł zrobić dla zbiegów nic więcej, niż radzić im, by płynęli dalej, zanim obowiązek zmusi go do pościgu.

Popłynęli do Rusykady, portu obsługującego Cyrte, stolicę Numidii. Numidią rządził teraz król Hiempsal, syn Gaudy, daleko lepszy od ojca. Król otrzymał list Mariusza na swoim dworze w Cyrcie, niedaleko Rusykady. Stanąwszy wobec największego dylematu za czasów swego królowania, król wahał się przez jakiś czas. Gajusz Mariusz osadził jego ojca na tronie, ale też Gajusz Mariusz mógł spowodować utratę tronu przez syna, bo Lucjusz Korneliusz Sulla także miał w Numidii coś do powiedzenia.

Po kilku dniach rozważań przeniósł się z częścią swego dworu do Ikozjum,



daleko na zachód od Rzymian, i zaprosił Mariusza z towarzyszami, by tam przyłączyli. Król pozwolił im wyjść na brzeg i oddał do ich użytku kilka wygodnych willi. Zapraszał ich też często do swego domu, dość dużego, by go nazywać pałacem, chociaż nawet w przybliżeniu nie tak przestronnego jak pałac królewski w Cyrcie. Ze względu na ograniczoną przestrzeń, król zostawił w stolicy kilka żon i wszystkie nałożnice, zabierając ze sobą do Ikozum jedynie królową Sofonisbę i dwie mniejsze żony, Salambo i Anno. Wychowany w najlepszych tradycjach monarchii hellenistycznych nie przestrzegając wschodniego ceremoniału, pozwalając gościom przebywać z członkami swego dworu: synami, córkami i żonami. Prowadziło to niestety do komplikacji.

Mariusz Młodszy miał teraz dwadzieścia jeden lat i stał już pewnie na własnych nogach jako mężczyzna. Jasnowłosy i bardzo przystojny, był też okazem tężyzny fizycznej. Zbyt niecierpliwy, by oddawać się pracy umysłowej, szukał rozrywki w polowaniu. Król Hiempsal nie lubił polować, ale jego młodsza żona Salambo lubiła. Równiny afrykańskie obfitowały w zwierzyne - słońce i lwy, strusie i gazy, antylopy i niedźwiedzie, pantery i gnu - i Mariusz Młodszy spędzał całe dni, ucząc się polować na zwierzyne, której nigdy dotąd nie widział. Z księżniczką Salambo jako przewodniczką i nauczycielką.

Król Hiempsal nie widział niczego złego w wysyłaniu Salambo z Mariuszem Młodszym. Być może sądził, że publiczny charakter tych wypraw i wielka liczba biorących w nich udział stanowią wystarczającą ochronę, zabezpieczającą cnotę jego młodszej żony. Może był nawet wdzięczny, mogąc pozbyć się na cały dzień tej nazbyt żywej istoty. Sam zamykał się z Mariuszem (którego myślenie znacznie się poprawiło od przybycia do Ikozum), rozmawiając o dawnych czasach i słuchając opowiadań o kampaniach w Numidii i w Afryce podczas wojny z Jugurtą. Hiempsal robił obszernie notatki do archiwów swej rodziny i pozwalał sobie marzyć o czasach, w których jakiś jego syn czy wnuk zostanie uznany za dostatecznie znakomitego, by poślubić rzymską arystokratkę. On sam nie miał złudzeń: mógł się nazywać królem, mógł władać wielkim i bogatym krajem, ale w oczach rzymskich patrycjuszy on i jego rodzina znaczyli tyle, co nic.

Nie udało się oczywiście dochować tajemnicy. Jeden z ulubieńców króla doniósł mu, że dni spędzane przez Salambo z Mariuszem Młodszym były całkiem niewinne, ale z nocami inna sprawa. To odkrycie wprowadziło króla w panikę; z jednej strony, nie mógł zignorować nieskromnego zachowania żony, z drugiej jednak, nie mógł zrobić tego, co czynił w zwykłych okolicznościach - stracić tego, kto mu przyprowadził rogi. Wybrnął z tej afery z godnością, powiadamiając Mariusza, że sytuacja jest zbyt delikatna, by zbiegowie mogli pozostać dłużej, i prosząc go o odpłynięcie, gdy tylko statek zostanie zaopatrzone jak należy.

- Głupcze! - mówił Mariusz, kiedy schodzili do przystani. - Czy brakuje tu



zwyczajnych kobiet, że musiałeś uwodzić Hiempsalowi żonę?

Mariusz Młodszy uśmiechnął się, usiłował zrobić skruszoną minę i nie zdołał.

- Była rozkoszna, ojczec. Poza tym nie uwiodłem jej - to ona mnie uwiodła.

- Powinieneś jej odmówić, sam wiesz.

- Powiniennem - przyznał Mariusz Młodszy, nie okazując skruchy - ale nie odmówiłem. Była naprawdę rozkoszna.

- Używasz właściwego czasu, mój synu. „Była” to właściwe słowo. Przez ciebie ta głupia kobieta rozstała się z głową.

Mariusz Młodszy nie przestał się uśmiechać. Wiedział, że Mariusz był rozdrażniony tylko z powodu konieczności wyjazdu i że w innym wypadku byłby rad z uwiedzenia cudzoziemskiej królowej przez syna. Los Salambo nie obchodził żadnego z nich. Wiedziała, że kara za przyłapanie spadnie na jej głowę.

- Szkoda - powiedział Mariusz Młodszy. - Była naprawdę...

- Nie mów tego! - przerwał mu ostro ojciec. - Gdybyś był mniejszy albo gdybym mógł ustać na jednej nodze, dostałbyś kopniaka w zadek, ażbyś pogubił zęby. Było nam tu naprawdę wygodnie!

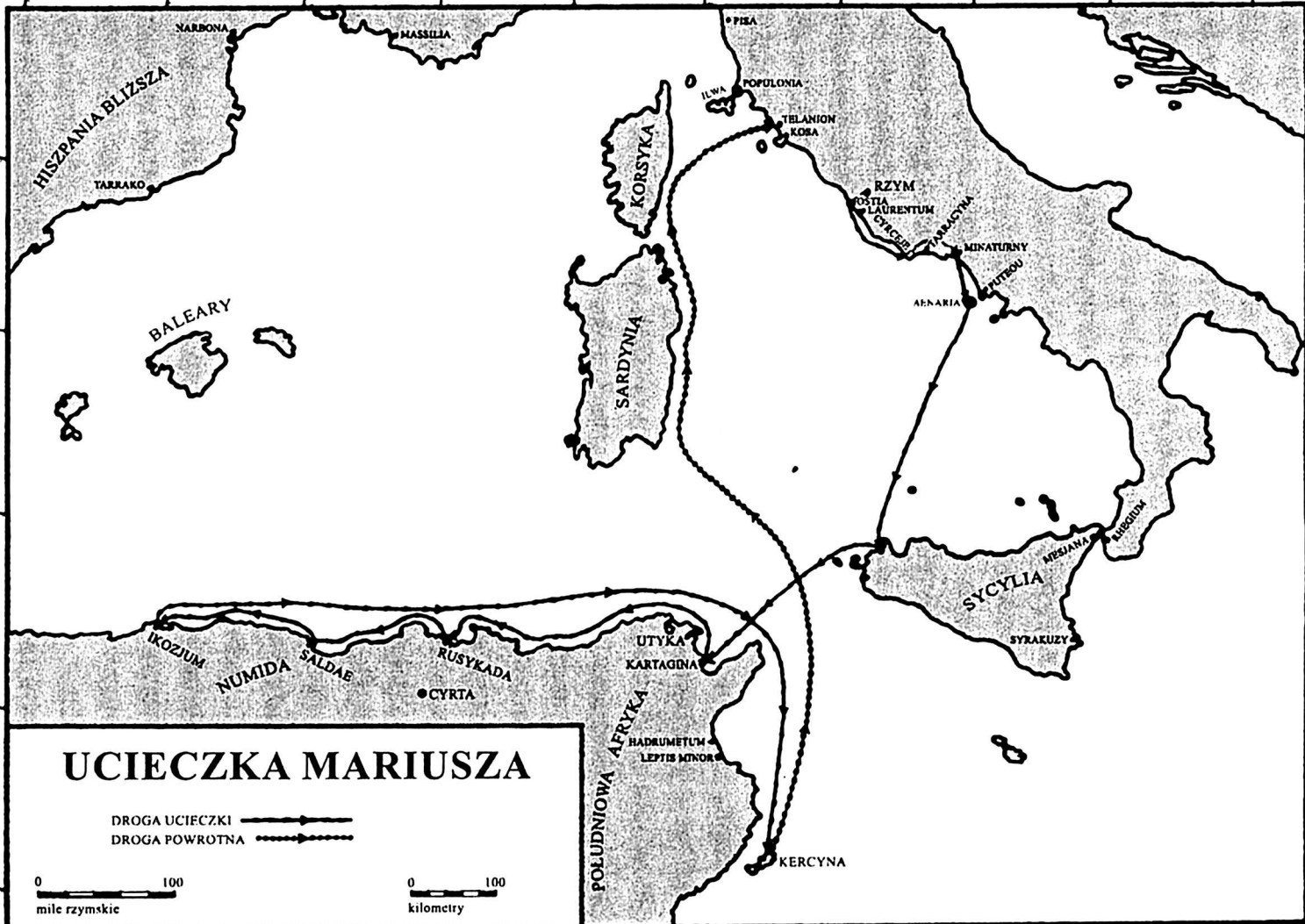
- Kopnij mnie, jeśli chcesz. - Mariusz Młodszy pochylił się, żartobliwie prezentując ojcu tyły, rozstawiwszy nogi i z głową między kolanami. Czego miał się bać? Tego rodzaju winy ojciec z przyjemnością wybaczał synowi, a poza tym Mariusz Młodszy przez całe swoje życie nie poczuł nigdy ręki ojca, nie mówiąc o nodze.

Po czym Mariusz skinął na wiernego Burgundusa, a ten chwycił go w pasie i uniósł z ziemi. Prawa noga poszła w górę i ciężki but Mariusza trafił dokładnie we wrażliwe miejsce między pośladkami syna. Jedyne duma powstrzymała Mariusza Młodszego przed zemdleniem. Ból był naprawdę okropny. Przez kilka dni żył potem w udreće, tłumacząc sobie, że postępek ojca nie był zamierzoną złośliwością i że on sam źle ocenił stosunek ojca do incydentu z Salambo.

Z Ikozjum pożeglowali na wschód, wzdłuż brzegów Afryki Północnej. Nie lądowali w żadnym zamieszkanym miejscu między Ikozjum a nowym celem Mariusza - wyspą Kercyną w Zatoce Małej Syrty. W końcu znaleźli bezpieczną przystań, bo kilka tysięcy Mariuszowych weteranów osiedliło się tu kiedyś z dala od wojen. Posiwiali weterani, nieco znudzeni uprawianiem pszenicy na stujugerowych działkach, powitali z otwartymi ramionami dawnego dowódcę, ogromnie sobie ceniąc jego i jego syna. Obiecali też, że nie wydadzą Gajusza Mariusza i nie zrezygnują z wolności, choćby Rzym Sulli wysłał przeciw nim wszystkie swoje armie.

Martwiąc się o ojca od czasu tamtego kopniaka, Mariusz Młodszy przyglądał mu się uważnie. Z żalem notował w pamięci mnóstwo drobnych przejawów







rozpadu osobowości i dziwił się, jak wiele wybaczano jego ojcu, ze względu na to, kim był, albo zdobywał się nagle na olbrzymi wysiłek woli, by zachowywać się całkiem normalnie. Tym, którzy nie widywali go często z bliska, nie wydawało się to niczym więcej niż chwilowymi zanikami pamięci albo skłonnością do odbiegania od tematu, który przestał go interesować. Mariusz Młodszy wątpił jednak, by był on zdolny dojść do siódmego konsulatu.



Przymierze między nowymi konsulami, Gnejuszem Oktawiuszem Rusonem i Lucjuszem Korneliuszem Cynną było w najlepszym razie krępujące, w najgorszym zaś zmieniało się w szereg publicznych kłótni w senacie i na Forum, co kazało całemu Rzymowi zastanawiać się, kto zwycięży. Zamiar oskarżenia Sulli został udaremniiony, gdy Pompejusz Strabon przysłał krótki prywatny list do Cynny, zawiadamiając go, że jeśli chce pozostać konsulem - a jego trybunowie ludowi chcą pozostać przy życiu - musi pozwolić Lucjuszowi Korneliuszowi Sulli wyruszyć spokojnie na Wschód. Wiedząc, że Oktawiusz jest człowiekiem Pompejusza Strabona i że jedyne legiony stojące pod bronią w Italii należą do dwóch najwierniejszych stronników Sulli, Cynna odbył burzliwą rozmowę ze swymi trybunami ludowymi, Wergiliuszem i Magiusem, którzy nie mieli ochoty wypuścić swej ofiary. Cynna musiał w końcu powiedzieć im, że jeśli tego nie zrobią przejdzie na drugą stronę, sprzymierzy się z Oktawiuszem i usunie ich z Forum i z Rzymu.

W ciągu pierwszych ośmiu miesięcy urzędowania Oktawiusz i Cynna mieli aż za wiele problemów do rozwiązania w Rzymie i w Italii. Skarbiec był stale pusty, pieniądze znikąd nie wypływały na światło dzienne, a w dodatku Sycylia i Afryka cierpiały suszę przez drugi rok z rzędu. Ich namiestnicy, Norbanus i Selinus, wysłani zostali jeszcze jako pretorzy z poleceniem zwiększenia dostaw zboża do stolicy, choćby przyszło im je kupować za obligacje i pod groźbą użycia żołnierzy. Bynajmniej nie za sprawą lobby producentów pszenicy senat i konsulowie ujrzeli wkrótce powtórzenie wydarzeń, które doprowadziły kiedyś Saturnina do krótkotrwałej chwały. Policzeni Głowami byli głodni i trzeba było ich nakarmić. Cynna poznał na nowo trudności, jakich doświadczył Sulla podczas swego konsulatu. Szukał dochodów, gdzie tylko mógł, wysyłając listy do obu namiestników Hiszpanii z poleceniem wyciśnięcia soków z ich prowincji. Namiestnik obu Galii, Publiusz Serwiliusz Watia, otrzymał polecenie uzyskania, ile się da, udając przed Galią Zaalpejską barbarzyńskiego linoskoczka, który balansuje na nosie długami wobec Galii italskiej. Kiedy nadeszły pełne oburzenia odpowiedzi, Cynna spalił je zaraz po przeczytaniu pierwszych akapitów. Marzył o dwóch rzeczach nieosiągalnych; żeby Oktawiusz zajął się trudnymi stronami rządzenia i żeby Rzym nadal miał dochody z prowincji Azji.



Rzym pozostawał też pod presją nowych obywateli italskich, którym nie odpowiadał ich trybusowy status, chociaż pod rządami *leges Corneliae* ich głosy się nie liczyły. Prawa Publiusza Sulpicjusza pobudziły ich apetyt i byli oburzeni ich uchYLENIEM. Nawet po ponad dwóch latach wojny byli jeszcze wśród Sprzymierzeńców ludzie ważni, którzy zasypywali teraz senat skargami w imieniu własnym i swoich mniej uprzywilejowanych italskich współbraci. Cynna chętnie wyświadczyłby im przysługę i ustanowił równy podział nowych obywateli między trzydzieści pięć *tribus*, ale ani senat, ani stronnictwo kierowane przez starszego konsula Oktawiusza nie były chętne do współpracy, a konstytucja sullańska wiązała Cynnie ręce.

Jednakże w sekstylisie zaświtał promyk nadziei; nadeszła wiadomość, że Sulla jest całkowicie zajęty w Grecji i nie może nawet myśleć o rychłym powrocie do Rzymu, by popierać swoją konstytucję albo jej stronników. Cynna pomyślał, że już czas ułożyć stosunki z Pompejuszem Strabonem, nadal przyznaczonym z czterema legionami w Umbrii i w Picenum. Nie mówiąc nikomu - z własną żoną włącznie - dokąd się udaje, Cynna pojechał usłyszeć, co ma do powiedzenia Pompejusz Strabon, gdy Sulla zaangażował się całkowicie w wojnę z Mitrydatesem.

- Jestem gotów zawrzeć z tobą ten sam układ, jaki zawarłem z innym Lucjuszem Korneliuszem - powiedział zezowaty władca Picenum, który nie okazał przy powitaniu gorących uczuć, ale też nie był niechętny. - Zostawisz mnie i moich w spokoju w moim kącie naszego wielkiego rzymskiego świata, a ja nie będę ci sprawiał kłopotu w wielkim mieście.

- A więc tak to było! - wykrzyknął Cynna.

- Tak to było.

- Muszę skorygować wiele postanowień, które ten drugi Lucjusz Korneliusz wniósł do naszego systemu rządzenia. - Cynna starał się mówić beznamiętnym tonem. - Chcę też przypisać nowych obywateli do wszystkich trzydziestu pięciu *tribus* i odpowiada mi pomysł podzielenia między wszystkie *tribus* rzymskich wyzwolenców. - Oburzało go, że musi uzyskać zgodę tego piceńskiego rzeźnika na to, co wymagało wprowadzenia w życie, ale stłumił oburzenie i gładko dokończył: - A co ty myślisz o tym, Gnejuszu Pompejuszu?

- Rób, co ci się podoba - odrzekł obojętnie Pompejusz Strabon - jak długo zostawisz mnie w spokoju.

- Daję słowo, że zostawię cię w spokoju.

- Czy twoje słowo jest tyle warte, co twoje przysięgi, Lucjusz Cynno?

Cynna spąsował.

- Nie złożyłem tej przysięgi - oświadczył z godnością. - Podczas jej składania trzymałem kamień w dłoni, co unieważnia przysięgę.

Pompejusz Strabon zadarł głowę i zademonstrował rżenie, którym zastępował śmiech.



- Ach, prawdziwy z ciebie adwokacik z Forum, czyż nie?
  - Tam przysięga mnie nie obowiązuje - upierał się Cynna, wciąż czerwony na twarzy.
  - Jesteś więc dużo większym głupcem niż ten drugi Lucjusz Korneliusz. Kiedy on wróci, nie przetrwasz dłużej niż płatek śniegu w ognisku.
  - Jeśli tak myślisz, dlaczego pozwalasz mi robić, co zechcę?
  - Ten drugi Lucjusz Korneliusz i ja rozumiemy się, oto dlaczego - wyjaśnił Pompejusz Strabon. - On nie będzie winił mnie za to, co się wydarzyło - będzie winił ciebie.
  - Być może ten drugi Lucjusz Korneliusz nie wróci.
- To sprowokowało kolejny wybuch radosnego rżenia.
- Nie licz na to, Lucjuzu Cynno! Ten drugi Lucjusz Korneliusz jest wyraźnie pierwszym ulubieńcem Fortuny. Ma zaczarowane życie.
- Cynna wrócił do Rzymu po tej krótkiej rozmowie, nie pozostając w lennachs Pompejusza Strabona ani chwili dłużej. Wolał przenocować u jakiegoś mniej irytującego gospodarza. W rezultacie musiał wysłuchać opowieści swego gospodarza w Asyżu o myszach, które pożarły skarpety Kwintusa Pompejusza Rufusa, przepowiadając mu śmierć.
- „Nie znoszę tych z północy!”, myślał Cynna po powrocie do Rzymu. „Są tak przyziemni, tak bliscy dawnym bogom!”



Na początku września odbyły się w Rzymie *ludi Romani*, największe igrzyska roku. Przez trzy poprzednie lata były one najmniejsze i najtańsze z możliwych - z powodu wojny w Italii i braku olbrzymich pieniędzy, które zwykle wykładali z własnych środków edyłowice kurulni. Spodziewano się wielkich rzeczy po zeszłorocznym edylu Metellusie Celerze, ale nic z tego nie wyszło. Obaj tegoroczni byli jednak bajecznie bogaci, a w sekstylisie widać już było, że dotrzymają obietnic i wydadzą naprawdę wielkie igrzyska. Po całym półwyspie rozniosło się, że igrzyska zapowiadają się wspaniale. W rezultacie wszyscy, którzy mogli pozwolić sobie na podróż, zdecydowali nagle, że najlepszym lekarstwem na wojenne niedole i smutki będą wakacje w Rzymie i oglądanie *ludi Romani*. Pod koniec sekstylista zaczęły przybywać tysiące Italczyków z nowymi prawami obywatelskimi, mających w pamięci niedawne niegodziwe traktowanie. Miłośnicy teatru, miłośnicy wyścigów rydwanów, miłośnicy walk z dzikimi zwierzętami, miłośnicy widowisk - wszyscy, którzy mogli przybyć, przybywali. Szczególnie miłośnicy teatru liczyli na prawdziwą ucztę. Stary Akcjusz dał się namówić na opuszczenie swego domu w Umbrii, by osobiście zaprezentować swoją nową sztukę.

A Cynna postanowił w końcu zacząć działać. Sprzymierzony z nim trybun ludowy Marek Wergiliusz zwołał „nieoficjalne” zebranie Zgromadzenia Plebejskiego i oznajmił tłumowi (w którym wielu było italskich gości), że



zamierza naciskać senat w sprawie należytego podziału nowych obywateli. Zebranie zostało zwołane głównie po to, by przyciągnąć uwagę zainteresowanych. Marek Wergiliusz nie mógł ogłosić ustawy przed ciałem, które nie miało już mocy stanowienia praw.

Wergiliusz przedstawił potem swoją propozycję w senacie i został stanowczo pouczony, że ojcowie spisani nie będą obecnie rozważać tej kwestii, nie bardziej niż w styczniu. Wergiliusz wzruszył ramionami i usiadł na ławce trybunów obok Sertoriusza i pozostałych. Zrobił, czego chciał od niego Cynna, wybadał nastroje kurii. Reszta należała do Cynny.

- Dobrze - powiedział Cynna do swych konfederatów. - Idziemy do roboty. Obiecamy całemu światu, że jeśli nasze ustawy o przywróceniu konstytucji w dawnej formie i o postępowaniu z nowymi obywatelami przejdą przez Zgromadzenie Centurialne, ustanowimy powszechne zniesienie długów. Obietnice Sulpicjusza budziły podejrzenia, bo układał prawa na korzyść wierzycieli, co dotyczyło senatu. My nie mamy takich obciążeń. Nam uwierzą.

W ślad za tym poszła działalność, bynajmniej nie tajna, chociaż nie podawana do wiadomości przeciwników powszechnego zniesienia długów. Większość była w tak desperackim położeniu - nawet w klasie pierwszej - że opinia i poparcie nagle przechyliły się na stronę Cynny, bo na każdego rycerza i senatora, który nie miał długów albo zajmował się pożyczaniem pieniędzy, przypadało sześciu czy siedmiu rycerzy i senatorów zadłużonych, w tym wielu tonących w długach.

- Mamy kłopot - mówił starszy konsul Gnejusz Oktawiusz Ruson do swych kolegów, Antoniusza Oratora i braci Cezarów. - Podsuwając taką przynętę, jak powszechne zniesienie długów pod nosy tak wielu chciwców i ludzi w potrzebie, Cynna dostanie wszystko, czego zechce, nawet od klasy pierwszej i od centurii.

- Trzeba mu przyznać, że jest dość przebiegły, by nie próbować zwoływać Plebsu albo Zgromadzenia Ludowego i tam forsować swoje pomysły - powiedział ze złością Lucjusz Cezar. - Jeśli przeprowadzi swoje ustawy w centuriach, będą legalne w ramach obecnej konstytucji Lucjusza Korneliusza. A przy obecnym stanie fiskusa i jeszcze gorszym stanie finansów prywatnych centurie od góry do samego dołu będą głosować tak, by dogodzić Lucjuszowi Cynnii.

- A Policzeni Głowami wywołają zamieszki - rzekł Antoniusz Orator.

Oktawiusz pokręcił jednak przecząco głową. Miał niewątpliwie najlepszą głowę do interesów wśród obecnych.

- Nie, nie *capite censi*, Marku Antoniuszu! - odparł niecierpliwie, bo w ogóle był niecierpliwym człowiekiem. - Ci z nizin nigdy nie bywają w długach; oni po prostu nie mają wcale pieniędzy. To ci z klas środkowych i wyższych zaciągają pożyczki. Najczęściej po to, by nadal piąć się w górę, ale dość często po to, by



utrzymać się na obecnym poziomie. Żaden lichwiarz nie służy tym, którzy nie dają żadnych gwarancji. Im wyżej zatem idziesz, tym więcej znajdziesz zadłużonych.

- Czy mam rozumieć, że jesteś przekonany, iż centurie będą głosowały za przyjęciem tego nonsensu nie do przyjęcia? - spytał Katulus Cezar.

- A ty nie jesteś, Kwintusie Lutacjuszu?

- Tak, obawiam się, że jestem.

- Co zatem możemy zrobić? - spytał Lucjusz Cezar.

- Ach, wiem, co robić - powiedział gniewnie Oktawiusz - ale zrobię to, nie mówiąc nic nikomu, z wami włącznie.

- Jak myślicie, co on zamierza zrobić? - spytał Antoniusz Orator, gdy Oktawiusz odszedł w stronę Argiletum.

Katulus Cezar pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. - Zmarszczył brwi. - Ach, gdyby on miał jedną dziesiątą rozumu i zdolności Lucjusza Sulli! Niestety, nie ma. To człowiek Pompejusza Strabona.

Jego brat Lucjusz Cezar wzdrygnął się nagle.

- Mam złe przeczucie. Cokolwiek on zamierza, nie należy tego robić. A niech to!

Antoniusz Orator ożywił się.

- Myślę, że spędzę najbliższe dziesięć dni poza Rzymem - powiedział.

W końcu wszyscy zdecydowali, że to najmądrzejsze, co można zrobić.



Pewny siebie Cynna wyznaczył datę swego *contio* w Zgromadzeniu Centurialnym na szósty dzień przed idami wrześnieowymi, czyli w dwa dni po rozpoczęciu *ludi Romani*. Jak powszechne było zadłużenie i jak bardzo dłużnicy pragnęli uwolnienia ich od brzemienia okazało się o świcie tego dnia, gdy jakieś dwadzieścia tysięcy ludzi przybyło na Pole Marsowe, by posłuchać *contio* Cynny. Wszyscy oni chcieli tego dnia głosować, Cynna wyjaśnił jednak zdecydowanie, że to niemożliwe - oznaczałoby to, że jego pierwsze prawo nie uwzględni *lex Caecilia Didia prima* (jak to zrobił Sulla), by przyspieszyć procedurę. „Nie!”, oświadczył twardo Cynna. Zwyczajowe oczekiwanie trzech *nundinae* musi być przestrzegane. Obiecał jednak, że przedstawi więcej projektów ustaw na innych *contiones*, zanim przyjdzie czas głosowania na to pierwsze prawo. To oświadczenie uspokoiło wszystkich, stwarzając wrażenie, że powszechne zniesienie długów nastąpi na długo przed ustąpieniem Cynny z urzędu.

Cynna zamierzał omówić tego pierwszego dnia dwie ustawy; o przypisaniu nowych obywateli do różnych *tribus* i o wybaczeniu i wezwaniu do powrotu dziewiętnastu zbiegów. Wszyscy oni, od Gajusza Mariusza do najskromniejszego z rycerzy, zachowali swoje majątki. Sulla nie zrobił niczego,



by je skonfiskować podczas ostatnich dni swego konsulatu, a nowi trybunowie ludowi - którzy nadal korzystali z prawa weta w senacie - dali jasno do zrozumienia, że każda próba doprowadzenia do konfiskaty zostanie zawetowana.

Kiedy więc dwadzieścia tysięcy członków wszystkich klas zebrało się na otwartej trawiastej przestrzeni Pola Marsowego, oczekiwali oni ogłoszenia jednego prawa, które aprobowali, tego o wezwaniu zbiegów do powrotu. Nikt nie czekał niecierpliwie na przypisanie nowych obywateli do różnych *tribus*. Wszyscy wiedzieli, że to prawo stanowi jedynie preludium do przywrócenia władzy ustawodawczej zgromadzeniom trybusowym. Cynna i jego trybunowie ludowi byli na miejscu, zanim zgromadziły się tłumy, chodząc wśród narastającego tłoku, odpowiadając na pytania i uspokajając tych, którzy wciąż mieli poważne wątpliwości co do Italczyków. Najbardziej uspokajająca była oczywiście obietnica powszechnego zniesienia długów.

To ogromne zgromadzenie było tak zajęte rozmowami między sobą, ziewaniem, biernym przygotowywaniem się do słuchania Cynny, który wraz ze swymi trybunami ludowymi wszedł już na mównicę, że nikt się nie zdziwił nagłym napływem nowo przybyłych. Nosili togi, zachowywali się spokojnie, a wyglądali na członków klasy trzeciej i czwartej.

Gnejusz Oktawiusz Ruson nie darmo był starszym legatem u Pompejusza Strabona; jego remedium na zło grożące państwu było znakomicie zorganizowane i odpowiednio pokierowane. Tysiąc weteranów, których wynajął (za pieniądze dostarczone przez Pompejusza Strabona i Antoniusza Oratora), otoczyło tłum i zrzuciło togi, odsłaniając pełne zbroje, zanim ktokolwiek z wielkiej liczby zgromadzonych spostrzegł coś złego. Podniósł się przeraźliwy świst, a potem najemnicy zaatakowali ludzką masę ze wszystkich stron, wywijając mieczami. Setki, a potem tysiące zginęły od mieczy, ale znacznie więcej było stratowanych przez ogarniętych paniką wyborców. Zaganiani przez otaczający ich mur napastników potrzebowali trochę czasu, by zebrać myśli, spróbować przebiec między mieczami i uciec z pola.

Cynna ze swymi sześcioma trybunami ludowymi nie wpadł w pułapkę jak reszta zgromadzenia. Zeskoczyli z mównicy i uciekli, ratując życie. Jedynie jakieś dwie trzecie z pozostałych miało tyle szczęścia.

Kiedy Oktawiusz przybył zobaczyć swe dzieło, kilka tysięcy członków wyższych klas i Zgromadzenia Centurialnego leżało martwych na Polu Marsowym. Oktawiusz był zły, bo liczył na zabicie w pierwszej kolejności Cynny i jego trybunów ludowych, ale nawet najemnicy mają swój kodeks. Chociaż podjęli się mordowania bezbronnych, wydawało im się zbyt niebezpieczne porywanie się na urzędujące władze.



Kwintus Lutacjusz Katulus Cezar i jego brat Lucjusz Juliusz Cezar przebywali



razem w Lanuwium. Dowiedzieli się o masakrze, którą cały Rzym już po kilku godzinach nazywał Dniem Oktawiusza, i wrócili pośpiesznie do Rzymu stawić czoło Oktawiuszowi.

- Jak mogłeś? - pytał z płaczem Lucjusz Cezar.

- To potworne, ohydne! - oświadczył Katulus Cezar.

- Oszczędźcie mi tych świętoszkowatych frazesów! Wiedzieliście, co mam zamiar zrobić - odparł pogardliwie Gnejusz Oktawiusz. - Zgodziliście się nawet, że to konieczne. I - przyjmując, że nie mieliście w tym udziału - wyraziliście milczącą zgodę. Nie przychodźcie więc do mnie z jękami! Dałem wam to, czego chcieliście - poskromione centurie. Ci, którzy przeżyli, nie będą już głosowali na prawa Cynny, bez względu na to, co im obieca.

Wstrząśnięty do głębi Katulus Cezar wbił gniewny wzrok w Oktawiusza.

- Nigdy w życiu nie stosowałem przemocy jako narzędzia polityki, Gnejuszu Oktawiuszu! Nie udzieliłem też żadnej zgody na ten gwałt, milczącej ani innej! Jeśli uznałeś za zgodę coś, co powiedział mój brat albo ja, pomyliłeś się. Przemoc jest złem - ale to! Masakra! Najwyższe potępienie!

- Mój brat ma rację. - Lucjusz Cezar otarł łzy. - Jesteśmy napiętnowani, Gnejuszu Oktawiuszu. Najbardziej konserwatywni z ludzi nie są teraz lepsi od Saturnina czy Sulpicjusza.

Widząc, że nic nie przekona tego ucznia Pompejusza Strabona o niegodziwości jego działań, Katulus Cezar przywołał całą godność, na jaką mógł się zdobyć.

- Słyszę, starszy konsulu, że Pole Marsowe jest od dwóch dni polem horroru. Krewni usiłują rozpoznać ciała i oddać im ostatnią posługę. Twój pachołkowie zgarnęli ciała, zanim krewni mogli je obejrzeć, i zwalili je do wapiennego dołu na warzywnikach przy Via Recta - ohyda! Zrobiłeś z nas kogoś gorszego od barbarzyńców! Odechciewa mi się żyć, kiedy o tym myślę.

- Więc idź i otwórz sobie żyły, Kwintusie Lutacjuszu! - zadrwił Oktawiusz. - To nie jest Rzym twoich dostojnych przodków, sam wiesz. To Rzym braci Grakchów, Gajusza Mariusza, Saturnina, Sulpicjusza, Lucjusza Sulli i Lucjusza Cynny! Wpędziliśmy sami siebie w taki chaos, że nic już nie działa jak należy; gdyby nie to, nie byłyby potrzebne masakry takie jak Dzień Oktawiusza.

Oszołomieni bracia Cezarowie zrozumieli, że Gnejusz Oktawiusz Ruson jest naprawdę dumny z tej nazwy.

- Kto ci dał pieniądze na wynajęcie zabójców, Gnejuszu Oktawiuszu? Czy to był Marek Antoniusz? - spytał Lucjusz Cezar.

- Wniósł wielki wkład, tak. I niczego nie żałuje.

- To przecież Antoniusz! - parsknął Katulus Cezar. Wstał, otrzepując dłońmi uda. - Cóż, stało się i nigdy tego nie naprawimy. Nie chcę jednak mieć z tym nic wspólnego, Gnejuszu Oktawiuszu. Czuję się jak Pandora po otwarciu puszki.

- Co się stało z Lucjuszem Cynną i trybunami ludowymi? - spytał Lucjusz



Cezar.

- Uciekli - odrzekł lakonicznie Oktawiusz. - Będą oczywiście wyjęci spod prawa. Mam nadzieję, że wkrótce.

Katulus Cezar przystanął przy drzwiach pracowni Oktawiusza i spojrzał na niego surowo.

- Nie możesz pozbawić urzędującego konsula jego imperium konsularnego, Gnejuszu Oktawiuszu. Cała ta historia zaczęła się przede wszystkim dlatego, że opozycja chciała odebrać Lucjuszowi Sulli jego konsularne prawo dowodzenia rzymską armią. Nie można zrobić czegoś takiego! Nikt nie próbował jednak pozbawić go urzędu konsula. Nie można tego zrobić. Nie ma niczego w rzymskim prawie, w konstytucji ani w precedensach, co daje wyższemu urzędnikowi albo rządzącemu gronu, albo komicjom, prawo do oskarżania przed sądem albo odsunięcia od władzy urzędnika kurulnego przed końcem jego kadencji. Możesz wyrzucić trybuna ludowego, jeśli zabierzesz się do tego prawidłowo, możesz zwolnić kwestora, jeśli zaniedbuje obowiązki, możesz usunąć ich z senatu albo pozbawić ich cenzusu. Nie możesz jednak usunąć konsula ani żadnego innego urzędnika kurulnego przed upływem jego kadencji, Gnejuszu Oktawiuszu.

Gnejusz Oktawiusz miał zadowoloną z siebie minę.

- Odkąd odkryłem tajemnicę powodzenia, Kwintusie Lutacjuszu, mogę zrobić wszystko, co zechcę.

A gdy Lucjusz Cezar ruszył w ślad za bratem do drzwi, Oktawiusz zawołał za nimi:

- Jutro jest posiedzenie senatu. Radzę wam tam być.

Nie będąc Jerozolimą ani Antiochią, Rzym nie chciał mieć do czynienia z prorokami i jasnowidzami. Augurowie odprawiali swe obrzędy w prawdziwie rzymskim duchu, dobrze wiedząc, że nie mają żadnego wglądu w przebieg wydarzeń w przyszłości, i ściśle stosując się do ksiąg i wykresów.

Istniał jednakże jeden prawdziwie rzymski okaz proroka, patrycjusz z *gens* Cornelia, Publiusz Korneliusz Kulleolus. Nikt nie pamiętał, czym sobie zasłużył na ów nieszczęsny przydomek, bo Kulleolus był starcem, który zawsze wyglądał na starca. Prowadził niepewny byt, otrzymując niewielkie wsparcie od swojej scypiońskiej rodziny. Można go było zwykle oglądać na Forum siedzącego na dwóch stopniach schodów prowadzących do okrągłej świątyni Wenus Kloaciny, starszej niż bazylika Emilia i przyłączonej do niej podczas jej budowy. Nie będąc ani Kasandrą, ani religijnym zelotą, Kulleolus ograniczał swe przepowiednie do ważnych wydarzeń politycznych i państwowych. Nigdy nie przepowiadał końca świata ani przyjścia jakiegoś nowego i nieskończonego potężnego boga. Przepowiedział jednak wojnę z Jugurtą, nadejście Germanów, Saturnina, wojnę italską i wojnę na wschodzie z Mitrydatesem - która potrwa, jak utrzymywał, całe pokolenie. Dzięki tym sukcesom cieszył się sławą, która



prawie przyćmiewała śmieszność jego przydomka. *Culleolus* to moszna.

O świcie w dniu powrotu braci Cezarów do Rzymu senat zebrał się po raz pierwszy od masakry w Dniu Oktawiusza, a jego członkowie obawiali się tego zebrania bardziej niż kiedykolwiek za ludzkiej pamięci. Aż do teraz najgorsze okropności popełniane w imieniu Rzymu były dziełem poszczególnych osób albo tłumu na Forum, masakra w Dniu Oktawiusza była jednak nieprzyjemnie bliska uznania za dzieło senatu.

Siedzący na górnym stopniu schodów świątyni Wenus Kloaciny, Publiusz Korneliusz Kulleolus był tam tak zadomowiony, że nikt z przechodzących śpiesznie obok ojców spisanych nie zwracał na niego uwagi - on jednak widział ich i zacierał ręce. Jeśli zrobi to, za co hojnie mu zapłacił Gnejusz Oktawiusz - i zrobi to z powodzeniem - nigdy więcej nie będzie musiał siedzieć na tych schodach i odpocznie wreszcie od prorokowania.

Senatorowie zwlekali w podcieniu Kurii Hostyliusza, rozmawiając w kilku grupkach o Dniu Oktawiusza i głośno zastanawiając się, jak się z tym uporać. Przerażliwy pisk zmusił wszystkich do odwrócenia głów i przyciągnął wszystkie oczy do Kulleolusa, który wspiął się na palce, rozłożył ręce o węzlastych palcach, a na jego wykrzywionych ustach pokazała się piana. Wszyscy uznali, że to atak padaczki, bo Kulleolus nie prorokował, wpadając w szal. Kilku senatorów i większość bywalców Forum przyglądała mu się zafascynowana, nieliczni zaś pośpieszyli na pomoc jasnowidzowi, usiłując położyć go na ziemi. Walczył z nimi na oślep zębami i pazurami, otwierając usta coraz szerzej, a potem krzyknął. Nie były to dźwięki lecz słowa.

- Cynna! Cynna! Cynna! Cynna! Cynna! - zawył.

I oto nagle Kulleolus zdobył sobie grono uważnych słuchaczy.

- O ile Cynna i jego sześciu trybunów ludowych nie pójdą na wygnanie, Rzym upadnie! - wrzasnął, wijąc się i chwiejąc na nogach, a potem wrzasnął znowu i znowu, i znowu, póki nie zwałił się na ziemię i nie został wyniesiony.

Wzburzeni senatorowie spostrzegli wtedy, że konsul Oktawiusz usiłuje od pewnego czasu rozpocząć swe zebranie i pośpieszyli do Kurii Hostyliusza.

Nigdy nie dowiedziano się, jak starszy konsul zamierzał wytłumaczyć straszliwe wydarzenie na Polu Marsowym. Gnejusz Oktawiusz Ruson wolał skupić swą uwagę (i uwagę kurii) na nadzwyczajnym nawiedzeniu Kulleolusa - i na tym, co Kulleolus wykrzyczał przed całym Forum.

- O ile młodszy konsul i jego sześciu trybunów ludowych nie zostaną wygnani, Rzym upadnie - powiedział w zadumie Oktawiusz. - Pontifeksie maximusie, flamenie *Dialis*, co macie do powiedzenia o tej zadziwiającej historii z Kulleolusem?

Pontifex maximus Scewola pokręcił przecząco głową.

- Chyba muszę uchylić się od komentarza, Gnejuszu Oktawiuszu.

Oktawiusz już otworzył usta, by nalegać, ujrzał jednak w oczach Scewoli coś,



co kazało mu zmienić zdanie. Oto był człowiek, którego wrodzony konserwatyzm skłaniał do wybaczenia wielu rzeczy, ale też człowiek, którego niełatwo było zastraszyć albo oszukać. Niejeden raz w tej kurii surowo potępiał skazanie Gajusza Mariusza, Publiusza Sulpicjusza i pozostałych i wzywał do wybaczenia im i odwołania ich z wygnania. Nie, lepiej nie zrażać sobie pontifexa maximusa. Oktawiusz wiedział, że flamen *Dialis* jest bardziej łatwowierny, a do tego podrzucił wcześniej temu godnemu człowiekowi przeraźliwie zły znak.

- Flamenie *Dialis*? - spytał uroczyście.

Flamen *Dialis*, Lucjusz Korneliusz Merula, wstał. Widać było, że jest głęboko wstrząśnięty.

- Pryncepsie senatu, Lucjuszu Waleriuszu, Gnejusie Oktawiuszu, urzędnicy kurulni, mężowie konsularni, ojcowie spisani! Zanim wypowiem się w sprawie słów wróżbity Kulleolusa, muszę opowiedzieć wam o tym, co się zdarzyło wczoraj w świątyni Wielkiego Boga. Sprzątałem właśnie jego celę, gdy na posadzce przy cokole posągu Wielkiego Boga znalazłem maleńką plamę krwi. Obok leżała głowa ptaka. To był kos - *merula*! Mój imiennik! Ja zaś, któremu nasze najstarsze i najświętsze prawa zabraniają przebywania ze zmarłymi, patrzyłem na... nie wiem na co! Na swoją śmierć? Na śmierć Wielkiego Boga? Nie wiedziałem, jak wytłumaczyć ten wróżebny znak, więc poradziłem się pontifexa maximusa. On także nie wiedział. Wtedy wezwaliśmy decemwirów *sacris faciundis* i poprosiliśmy ich o zasięgnięcie rady ksiąg Sybilli, które także w niczym nie pomogły. - Nie było niczym dziwnym, że otulony w podwójną wełnianą kolistą kapę swego urzędu Merula był wyraźnie spocony, chociaż zwykle się nie pocił. Jego okrągła gładka twarz pod hełmem z kości słoniowej błyszcziała od potu. Przełknął ślinę i ciągnął dalej: - Kiedy znalazłem najpierw głowę kosa, zacząłem szukać reszty ciała i odkryłem, że miał on gniazdo w szczelinie pod złotą szatą posągu Wielkiego Boga. W gnieździe było sześć martwych piskląt. O ile mogę zgadnąć, musiał się tam dostać jakiś kot, który schwytał ich matkę i pożarł ją - oprócz głowy. Ten kot nie mógł jednak dosięgnąć piskląt, które zginęły z głodu. - Flamen *Dialis* zadrżał. - Jestem nieczysty. Po tym posiedzeniu kurii muszę ciągnąć dalej obrzędy oczyszczające moją osobę i świątynię Jowisza Najlepszego i Największego. Jestem tu w wyniku moich rozważań nad tym wróżebnym znakiem - nie tyle nad śmiercią *meruli*, co nad całym tym niezwykłym zdarzeniem. Nie rozumiałem jednak właściwego znaczenia, dopóki nie usłyszałem, co mówi Publiusz Korneliusz Kulleolus w niezwykłym proroczym uniesieniu.

W kurii było cicho jak makiem zasiał. Wszystkie twarze zwróciły się ku kapłanowi Jowisza, tak powszechnie znanemu jako człowiek uczciwy, a nawet naiwny, że trzeba było przyjąć jego słowa z najwyższą powagą.

- Otóż Cynna - ciągnął flamen *Dialis* - nie oznacza kosa. Oznacza jednak



popiół i to właśnie pozostało ze spalonej przeze mnie głowy martwego ptaka i ciał jego sześciu piskląt - popioły. Spaliłem ciała zgodnie z rytuałem oczyszczenia. Choć jestem tylko dyletantem, ten wróżebny znak dziwnie mi wygląda na uosobienie Lucjusza Cynny i jego sześciu trybunów ludowych. Splamili krwią Wielkiego Boga Rzymu, który przez nich znalazł się w niebezpieczeństwie. Ta krew oznacza, że będzie więcej walk i zamieszania z powodu konsula Lucjusza Cynny i tych sześciu trybunów ludowych. Nie mam co do tego wątpliwości.

W kurii podniósł się gwar, sądzono bowiem, że Merula skończył, on jednak znów zaczął mówić:

- Jeszcze jedna rzecz, ojcowie spisani. Kiedy stałem w świątyni, czekając na pontifexa maximusa, spojrzałem w górę na uśmiechniętą twarz posągu Wielkiego Boga, szukając pocieszenia. Była niezadowolona! - Merula zadrżał i zbladł. - Uciekłem na dwór, bo nie śmiałem czekać dalej wewnątrz.

Wszystkich przeszedł dreszcz. Gwar podniósł się na nowo.

Gnejusz Oktawiusz Ruson wstał, wyglądając w oczach braci Cezarów i pontifexa maximusa Scewoli jak ten kot, który pożarł w świątyni *merulę*.

- Myślę, członkowie kurii, że musimy udać się na Forum i z rostrów opowiedzieć wszystkim, co się wydarzyło. I spytać o opinie. Potem kuria zbierze się znów na posiedzeniu.

Tak więc opowieść o niezwykłej przygodzie Meruli w świątyni i o proroctwie Kulleolusa popłynęła z rostrów, a wszyscy zebrani mieli wylęknięte miny, zwłaszcza po tym jak Merula przedstawił swoje wytłumaczenie, a Oktawiusz ogłosił, że zamierza starać się o usunięcie Cynny i sześciu trybunów ludowych. Nikt z obecnych nie zgłaszał sprzeciwu.

Wkrótce potem w kurii Gnejusz Oktawiusz Ruson powtórzył swą opinię, że Cynna i trybunowie ludowi muszą odejść.

Wtedy pontifex maximus Scewola wstał, by przemówić.

- Pryncepsie senatu, Gnejuszu Oktawiuszu, ojcowie spisani. Jak wszyscy wiecie, jestem jednym z największych znawców rzymskiej konstytucji i praw, które się na nią składają. Moim zdaniem, nie ma legalnego sposobu usunięcia konsula z urzędu przed upływem jego kadencji. Być może jednak ten sam w przybliżeniu efekt można uzyskać z pomocą religii. Nie możemy wątpić, że Jowisz Największy i Najlepszy wykazał swą troskę na dwa różne sposoby - za pośrednictwem swego flamera i za pośrednictwem starca, którego wszyscy znamy jako cenionego wróżbitę. Rozważywszy te dwa prawie jednoczesne wydarzenia, radzę ogłosić konsula Lucjusza Korneliusza Cynnę *nefas*. To go nie pozbawi urzędu konsula, ale powstrzyma przed wypełnianiem obowiązków konsula, bo ściągnie na niego powszechne odium. To samo dotyczy trybunów ludowych.

Oktawiusz zmarszczył brwi, ale był zbyt rozsądny, by przerywać. Wydawało



się, że Scewola zdołał coś wypracować. To coś jednak nie pozwalało wydać wyroku śmierci na Cynnę, a taki był cel Oktawiusza. Cynna musi być wyłączony z gry!

- To flamen *Dialis* był świadkiem wydarzeń w świątyni Jowisza Najlepszego i Największego. On także jest osobistym kapłanem Wielkiego Boga, a jego urząd jest tak starożytny, że pochodzi sprzed czasów królewskich. Nie może on prowadzić żadnych wojen ani przebywać w obecności zmarłych, ani dotykać materiałów, z których robi się narzędzia wojny. Radzę zatem mianować flamera *Dialis* Lucjusza Korneliusza Merulę konsulem *suffectus* - nie żeby zajął miejsce Lucjusza Cynny, ale raczej, by pilnował tego miejsca. Tym sposobem starszy konsul Gnejusz Oktawiusz nie będzie rządził jako konsul bez kolegi. Nikomu nie należy pozwalać być konsulem bez kolegi i mogło się to zdarzyć tylko podczas wojny z Italczykami, kiedy okoliczności nie pozwoliły na zachowanie stosownych form.

Robiąc dobrą minę, Oktawiusz skinął głową.

- Zgadzam się na to, Kwintusie Mucjuszu. Niech flamen *Dialis* zasiada na kurulnym krześle Lucjusza Cynny jako jego opiekun! Chcę teraz przeprowadzić głosowanie nad dwoma ściśle związanymi sprawami. Kto jest za zaleceniem Zgromadzeniu Centurialnemu, żeby - po pierwsze, konsul Lucjusz Cynna i sześciu trybunów ludowych zostało ogłoszonych *nefas* i wygnanych z Rzymu i wszystkich ziem rzymskich - i po drugie, żeby flamen *Dialis* został mianowany konsulem opiekunem, niech stanie po mojej prawej stronie. Kto jest przeciw, niech stanie po mojej lewej stronie. Proszę się rozdzielić.

Kuria przyjęła podwójne zalecenie bez jednego głosu sprzeciwu, a Zgromadzenie Centurialne złożone prawie wyłącznie z senatorów zebrało się na Awentynie, poza *pomerium*, ale wewnątrz murów. Nikt nie chciał spotykać się na przesiąkniętej krwią ziemi *saepty*. Zalecenia stały się prawem.

Starszy konsul Oktawiusz był usatysfakcjonowany, a rządzenie Rzymem odbywało się bez Cynny. Gnejusz Oktawiusz nie zrobił jednak nic, by umocnić swą pozycję ani by uchronić Rzym przed uznanymi za świętokradców zbiegami. Nie gromadził legionów i nie pisał do swego mistrza Pompejusza Strabona. Oktawiusz uznał, że Cynna i jego sześciu trybunów ludowych ucieknie najszybciej, jak to możliwe, by połączyć się z Gajuszem Mariuszem i osiemnastu innymi zbiegami na afrykańskiej wyspie Kercynie.



Cynna nie miał jednak zamiaru opuszczać Italii. Tak samo myślało jego sześciu trybunów ludowych. Po tym jak uciekli z rzezi na Polu Marsowym, zabrali pieniądze i rzeczy osobiste i spotkali się przy kamieniu milowym na Via Appia tuż pod Bowillami. Tam postanowili, co robić dalej.

- Zabieram Kwintusa Serwiliusza i Marka Gratydiana ze sobą do Noli - mówił



z ożywieniem Cynna. - Pod Nolą stoi legion pod bronią, a dowódcą jest Appiusz Klaudiusz Pulcher, którym żołnierze gardzą. Zamierzam zabrać ten legion Appiuszowi Klaudiuszowi i za przykładem mojego imiennika Sulli poprowadzę go na Rzym. Nie wcześniej jednak, zanim zbierzemy znacznie więcej stronników. Wergiliuszu, Miloniuszu, Arwino, Magiuszu, chcę, żebyście wyruszyli między Italczyków i zdobyli poparcie, gdzie się da. Mówcie wszystkim to samo; że senat rzymski usunął legalnie wybranego konsula, bo próbował on wpisać nowych obywateli jak należy do wszystkich *tribus* i ponieważ Gnejusz Oktawiusz dokonał masakry tysięcy porządnych prawomyślnych Rzymian zebranych na legalnie zwołanym zgromadzeniu. - Zdobył się na gorzki uśmiech. - Będziemy mieli wielką wojnę także na półwyspie! Kornutus i ja zabraliśmy tysiące zestawów zbroi i broni Marsom i pozostałym. Są złożone w Albie Fucencji. Miloniuszu, zabierzesz je i rozdzielisz. Kiedy zabiorę legion Appiuszowi Klaudiuszowi, spustoszę składy w Kapui.

Tak więc czterech trybunów ludowych wyruszyło do miejsc takich, jak Praeneste, Tybur, Reate, Korfinium, Wenafrum, Interamnia i Sora, prosząc o wysłuchanie - i wszędzie znaleźli chętny posłuch. Zmęczeni wojną Italczyki oddawali nawet oszczędności na tę nową kampanię. Powoli siły zbrojne rosły i zamykała się sieć wokół Rzymu.

Sam Cynna nie miał żadnych trudności w przejęciu legionu Appiusza Klaudiusza Pulchera stojącego pod Nolą Surowy i powściągliwy, skrycie wciąż rozpaczający nad śmiercią żony i losem sześciorga pozbawionych matki dzieci, Appiusz Klaudiusz oddał dowództwo, nie próbując nawet przekonać swych żołnierzy. Dosiadł konia i pojechał przyłączyć się do Metellusa Piusa w Aesernii.

Po dotarciu do Noli Cynna uświadomił sobie, że towarzystwo Kwintusa Sertoriusza było prawdziwym darem Fortuny. Ten urodzony wojskowy cieszył się sławą wśród szeregowych żołnierzy już prawie od dwudziestu lat. Zdobył w Hiszpanii wieniec z trawy i tuzin innych wieńców i koron w kampaniach przeciw Numidyjczykom i Germanom. Był kuzynem Gajusza Mariusza i sam prowadził zaciągi do tego właśnie legionu przed trzema laty w Galii italskiej. Żołnierze znali go i kochali. Nie kochali Appiusza Klaudiusza.

Cynna, Sertoriusz, Marek Mariusz Gratydianus i ów legion wyruszyli pod Rzym. Kiedy tylko to zrobili, Nola otworzyła szeroko swe bramy i zastęp ciężkozbrojnych Samnitów ruszył za nimi po Via Popillia - nie żeby ich atakować, ale by się do nich przyłączyć. A kiedy dotarli do połączenia dróg z Via Appia pod Kapuą wszyscy nowi rekruci, gladiatorzy i centurionowie zbiegli się pod ich orła. Armia Cynny liczyła teraz dwadzieścia tysięcy. A potem, między Kapuą a miasteczkiem Labicum, na Via Latina, spotkali się z Cynną czterej rozesłani uprzednio trybunowie ludowi, przekazując mu jeszcze



dziesięć tysięcy zdolnych do walki ludzi.

Był już październik i do Rzymu pozostało niewiele mil. Agenci Cynny donosili, że miasto ogarnęła panika, że Oktawiusz napisał do Pompejusza Strabona, błagając go, by przybył na pomoc swemu krajowi, i że - dziw nad dziwy - nie kto inny jak Gajusz Mariusz wylądował na wybrzeżu Etrurii, w okręgu Telamon, przyległym do jego rozległych włości. Ta ostatnia wiadomość wprawiała Cynnę w zachwyt, zwłaszcza gdy jego agenci i wywiad wojskowy potwierdzili, że ludzie z Etrurii i Umbrii zbiegają się do Mariusza, który maszeruje po Via Aurelia Vetus w kierunku Rzymu.

- Oto najlepsza wiadomość! - powiedział Cynna do Kwintusa Sertoriusza. - Teraz, gdy Gajusz Mariusz wrócił do Italii, cała ta sprawa zakończy się w kilka dni. Znasz go lepiej niż my pozostali, znajdź go więc i powiadom o naszych pozycjach. Dowiedz się, jakie ma plany. Czy zamierza zająć Ostię, czy minąć ją na korzyść Rzymu? Pamiętaj, żeby mu powiedzieć, jeśli będziesz mógł, że wolałbym trzymać nasze armie - bez żadnych działań wojennych! - po watykańskiej stronie rzeki. Nie cierpię myśli o żołnierzach w pobliżu *pomerium* i nie mam zamiaru skończyć jako naśladowca Sulli. Znajdź go, Kwintusie Sertoriuszu, i powiedz mu, jak jestem rad, że znowu jest w Italii! - Cynna pomyślał o czymś jeszcze. - Powiedz mu też, że wyślę mu wszystkie nadwyżki uzbrojenia, zanim dotrze do Ostii.

Sertoriusz znalazł Mariusza w pobliżu miasteczka Fregenae, kilka mil na północ od Ostii. O ile jego jazda na przełaj do Fregenae była szybka, o tyle jego galop na przełaj do Cynny pod Labicum odbył się w rekordowym tempie. Wpadł do domku, w którym Cynna założył swą czasową kwaterę główną, i zaczął mówić, zanim osłupiały Cynna zdołał otworzyć usta.

- Lucjuszu Cynno, błagam, napisz do Gajusza Mariusza i każ mu rozpuścić swoich ludzi albo oddać ich pod twoją komendę! - mówił Sertoriusz z wykrzywioną i zaciętą twarzą. - Każ mu zachowywać się jak *privatus*, którym jest, każ mu rozpuścić jego armię, każ mu wrócić do swych posiadłości i czekać jak każdy *privatus* na wynik walki.

- Co z tobą, na Matkę Ziemię? - spytał Cynna, ledwie mogąc uwierzyć własnym uszom. - Jak możesz właśnie ty mówić takie rzeczy? Gajusz Mariusz ma podstawowe znaczenie dla naszej sprawy. Jeśli stanie na czele, nie możemy przegrać.

- Lucjuszu Cynno, to Mariusz nie może przegrać! - wykrzyknął Sertoriusz. - Mówię ci otwarcie; jeśli pozwolisz Gajuszowi Mariuszowi wziąć udział w walce, będziesz przeklinał ten dzień. Bo to nie Lucjusz Cynna zwycięży i stanie na czele rzymskiego rządu - to będzie Gajusz Mariusz! Dopiero co go widziałem i mówiłem z nim. Jest stary, jest zgorzkniały, rozum mu się pomieszał.

- Rozum mu się pomieszał? Co masz na myśli?



- Właśnie to. Jest szalony.

- Niczego takiego nie donoszą moi agenci, którzy są przy nim, Kwintusie Sertoriuszu. Według nich jest tak samo świetnie zorganizowany, jak był zawsze. Maszeruje ku Ostii z rozsądnym planem w głowie. Czemu mówisz, że rozum mu się pomieszał? Mamrocze coś do siebie? Bredzi? Moi agenci nie znają go tak dobrze jak ty, ale z pewnością dostrzegliby takie oznaki - mówił Cynna z jawnym sceptycyzmem.

- Nie mamrocze do siebie. Nie bredzi. Nie zapomniał też, jak się dowodzi armią. Ja jednak znam Gajusza Mariusza od siedemnastego roku życia i mówię ci szczerze, że to nie ten Gajusz Mariusz, jakiego znam! Jest stary, jest zgorzkniały. Spragniony zemsty. Owładnięty myślami o sobie i o swoim przepowiedzianym przeznaczeniu. Nie możesz mu ufać, Lucjuszu Cynno! Skończy się na tym, że odbierze ci Rzym i pokieruje nim ku własnym celom. - Sertoriusz zaczerpnął tchu i spróbował raz jeszcze: - Mariusz Młodszy przysyła ci tę samą radę. Nie dawaj jego ojcu żadnej władzy! Jest szalony.

- Myślę, że obaj jesteście przeczuleni - rzekł Cynna.

- Ja nie jestem. I Mariusz Młodszy też nie jest.

Cynna pokręcił głową i sięgnął po arkusz papieru.

- Posłuchaj, Kwintusie Sertoriuszu, Gajusz Mariusz jest mi potrzebny! Jeśli jest tak stary i osłabiony umysłowo, jak powiadasz, czy może być zagrożeniem dla mnie albo dla Rzymu? Przyznam mu imperium prokonsularne, każę później senatowi to potwierdzić - i wykorzystam go, by mnie osłaniał na zachodzie.

- Pożałujesz tego!

- Nonsens - rzekł Cynna, zaczynając pisać.

Sertoriusz stał przez chwilę, patrząc na pochyloną głowę tamtego i zaciskając pięści, a potem wyszedł.



Otrzymawszy zapewnienie Mariusza, że zadba on o Ostię i przybędzie wzdłuż Tybru na Pole Watykańskie, Cynna podzielił swe siły na trzy dywizje, po dziesięć tysięcy ludzi każda, i wymaszerował z Labicum.

Pierwszą dywizją - z rozkazem zajęcia Równiny Watykańskiej - dowodził Gnejusz Papiriusz Karbon, kuzyn trybuna ludowego Karbona Arwiny i zwycięzca nad Lukanią. Drugą dywizją - z rozkazem zajęcia Pola Marsowego (była to jedyna część armii Cynny po tej stronie rzeki) - dowodził Kwintus Sertoriusz. Trzecia dywizja pod dowództwem samego Cynny ulokowała się na północnym skraju wzgórza Janikulum. Kiedy przybędzie Mariusz, będzie musiał wejść na południową stronę Janikulum.

Istniało jednak pewne utrudnienie. Środkową część i szczyt Janikulum zajmował zawsze rzymski garnizon, a Gnejusz Oktawiusz zachował dość rozsądku, by zebrać w mieście tylu ochotników, ilu zdołał, i posłać ich do



twierdzy Janikulum, by ją zajęli i umocnili. Tak więc między armią Cynny (która przekroczyła rzekę po Moście Mulwijskim) a siłami, które przyprowadziłby Mariusz od strony Ostii, leżała ta groźna twierdza obsadzona kilkoma tysiącami obrońców i nadzwyczaj dobrze umocniona od czasu, gdy Italii zagrażał najazd Germanów.

Jakby nie dość było tego niedostępnego garnizonu na drugim brzegu Tybru, Pompejusz Strabon przybył niespodziewanie ze swymi czterema legionami Picenów i zajął pozycję tuż przed Bramą Kolińską. Nie licząc legionu z Noli (który przeszedł w ręce Sertoriusza), armia Pompejusza Strabona była jedyną w pełni wyszkoloną, przedstawiała zatem największą siłę. Tylko wzgórze Pincius ze swymi sadami i ogrodami, oddzielało Pompejusza Strabona od Sertoriusza.

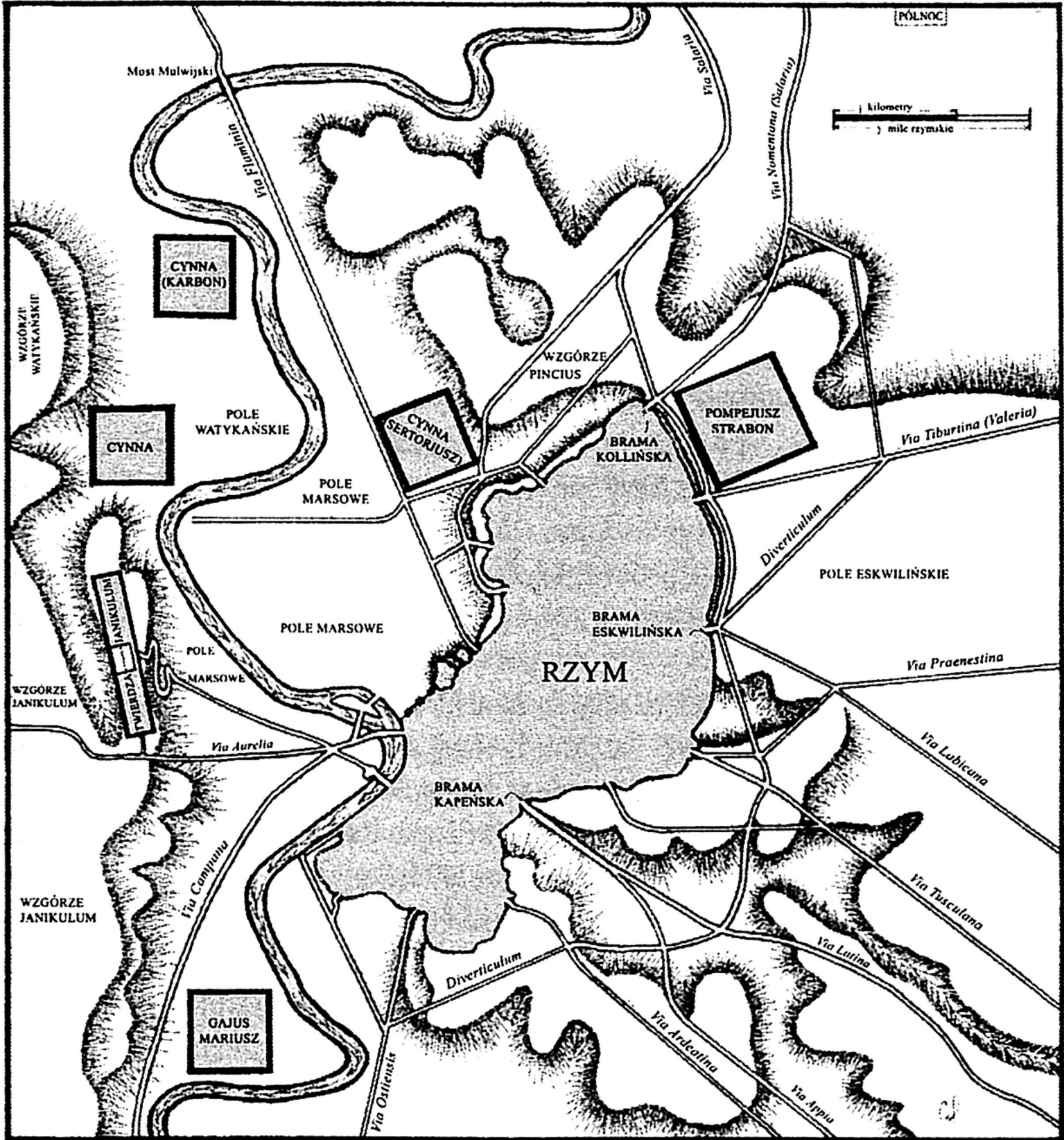
Przez szesnaście dni Cynna czekał na atak Pompejusza Strabona za okopami i palisadami trzech oddzielnych obozów. Przyjął z góry za pewnik, że Pompejusz Strabon wykona swój ruch, zanim nadciągnie Gajusz Mariusz. Kwintus Sertoriusz, który miał przyjąć pierwsze uderzenie, okopał się głęboko na Polu Marsowym. Nikt się jednak nie ruszył. Nic się nie zdarzyło.

W tym czasie Mariusz nie napotkał żadnego oporu. Za namową swego kwestora Ostia otworzyła bramy, gdy tylko pojawił się Mariusz ze swą armią, rozradowana i gotowa witać swego bohatera z otwartymi ramionami. Bohater okazał jednak brutalną obojętność i pozwolił swej armii - złożonej głównie z niewolników i byłych niewolników, co najbardziej niepokoiło Sertoriusza, kiedy odwiedził dawnego dowódcę - splądrować miasto, które straszliwie ucierpiało. Mariusz, jakby był ślepy i głuchy, nie zrobił nic, by powstrzymać okrucieństwa swych mieszanych oddziałów. Skupił swą uwagę i energię na zablokowaniu ujścia Tybru, co skutecznie powstrzymało barki ze zbożem zaopatrujące Rzym. Nawet gdy już przygotował się do wymarszu po Via Campana ku miastu, nie zrobił nic, by złagodzić niedolę Ostii.

W środkowej Italii był to suchy rok, a śniegi poprzedniej zimy na szczytach Apeninów były niezwykle skąpe. Tyber niósł zatem mało wody, a wiele zasilających go strumieni wyschło na długo przed końcem lata. W tym roku dopiero koniec października oznaczał granicę między latem a jesienią, było więc jeszcze bardzo ciepło, gdy wszystkie te małe armie utworzyły trzy czwarte koła wokół Rzymu. W Afryce i na Sycylii zebrano już plony, ale statki wiozące pszenicę miały dopiero zacząć przybywać do Ostii. Rzymskie spichrze były puste.

Zaraza wybuchła krótko po przybyciu Pompejusza Strabona pod Bramę Kolińską i rozprzestrzeniła się szybko wśród żołnierzy jego legionów, a także w samym mieście. Różne postacie duru brzuszego zbierały straszliwe żniwo, bo woda, którą pili żołnierze Pompejusza Rufusa, była skażona przez ten sam brak higieny, który zaobserwował Kwintus Pompejusz Rufus w obozie pod





OBŁĘŻENIE RZYMU



Ariminum. Kiedy źródła w mieście, na Wiminalu i Kwirynale, zostały zanieczyszczone, niektórzy mieszkańcy tych okolic poszli do Pompejusza Strabona, błagając go, by zadbał o swoje doły kloaczne. Odesłał ich, robiąc grubiańskie uwagi na temat tego, co mogą zrobić z własnymi ekskrementami. Sprawę pogarszało jeszcze to, że od Mostu Mulwijskiego, ponad Trigarium, aż do samego morza Tyber cuchnął od nieczystości, a woda nie nadawała się do niczego oprócz szerzenia zarazy. Trzy obozy Cynny i samo miasto korzystały teraz z Tybru jako kanału ściekowego.



Gnejusz Oktawiusz i jego konsularny kolega, flamen *Dialis* Merula, patrzyli, jak październik odchodzi w przeszłość bez żadnych zmian w położeniu armii, i pogrążali się w rozpacz. Ilekroć zdołali uzyskać widzenie z Pompejuszem Strabonem, zawsze znajdował jakiś powód, żeby nie móc walczyć. Oktawiusz i Merula musieli w końcu dojść do wniosku, że wolał on po prostu mieć w bitwie przewagę liczebną nad przeciwnikiem, a tym razem przewagę liczebną miał Cynna i taki był prawdziwy powód.

Kiedy miasto dowiedziało się, że Mariusz opanował Ostię i że nie będzie żadnych barek płynących w górę rzeki z nowymi plonami, zapanowało raczej przygnębienie niż nowa panika. Konsulowie spojrzeli w straszliwą przyszłość i zaczęli się zastanawiać, jak długo Pompejusz Strabon będzie odmawiał nawiązania walki z nieprzyjacielem.

W końcu Oktawiusz i Merula postanowili robić zaciągi wśród Italczyków i kazali senatowi zalecić centuriom, aby ci Italczycy, którzy poprą „prawdziwy” rząd Rzymu, zostali nagrodzeni pełnym obywatelstwem z przypisaniem do wszystkich *tribus*. Gdy prawo zostało ustanowione, heroldowie zaczęli je głosić po całej Italii, wzywając ochotników do wojska.

Prawie nikt nie przybył, głównie dlatego, że trybunowie ludowi Cynny wyprzedzili „prawdziwy” rząd Rzymu o ponad dwa miesiące, zaciągając wszystkich zdolnych do walki.

Pompejusz Strabon zauważył!, że gdyby Metellus Pius przyprowadził swoje dwa legiony z Aesernii, mogliby razem pobić Cynnę i Mariusza. Oktawiusz i Merula wysłali zatem delegację do Prosiaka pod Aesernią błagając go o zawarcie traktatu pokojowego z obleganymi Samnitami i przybycie do Rzymu najszybciej, jak się da.

Rozdarty między obowiązkiem ujarznienia Aesernii a krytyczną sytuacją w Rzymie, Prosiak wyjechał na pertraktacje ze sparaliżowanym Gajuszem Papiliuszem Mutilusem, który był - oczywiście - w pełni świadomy tego, co się działo wokół Rzymu.

- Chętnie zawrę pokój z tobą, Kwintusie Cecyliuszu - powiedział Mutilus ze swej lektyki - na następujących warunkach: oddacie Samnitom wszystko, co im zabraliście; oddacie nam zdrowych i całych samnickich dezertersów i jeńców



wojennych, których trzymacie pod strażą; nie będziecie żądać od Samnitów zwrotu zdobyczy wojennych i nadacie pełne obywatelstwo rzymskie wszystkim wolnym ludziom w Samnium.

Metellus Pius odskoczył oburzony.

- A jakże! - powiedział zjadliwie. - Dlaczego po prostu nie zażadasz, żebyśmy przeszli pod jarzmem, Gajuszu Papiuszu, jak to przed dwustu laty zrobili Samnici po bitwie w Wąwozach Kaudyńskich? Twoje warunki są absolutnie niemożliwe do przyjęcia! Miłego dnia życzę.

Z podniesioną głową i prostym karkiem odjechał do swego obozu i chłodno poinformował delegację Oktawiusza i Meruli, że nie będzie traktatu pokojowego, i w następstwie tego on nie będzie mógł wyruszyć na pomoc Rzymowi.

Samnita Mutilus wrócił w swej lektyce do Aesernii, czując się o wiele lepiej niż Prosiak. Wpadł mu wcześniej do głowy znakomity pomysł. Po nadejściu nocy jego kurier przekradł się przez rzymskie linie, niosąc list Mutilusa do Gajusza Mariusza. Mutilus pytał, czy Mariusz byłby zainteresowany zawarciem traktatu pokojowego z Samnium. Chociaż dobrze wiedział, że Cynna to zbuntowany konsul, a Mariusz to tylko zbuntowany *privatus*, przez myśl mu nawet nie przeszło pisać do Cynny. W każdym przedsięwzięciu z udziałem Mariusza on właśnie będzie przywódcą, człowiekiem o decydującym głosie.

Przy zbliżającym się do Rzymu Mariuszu był trybun żołnierski Gajusz Flawiusz Fimbria. Przedtem był z legionem pod Nolą i podobnie jak jego koledzy, Publiusz Anniusz i Gajusz Marcjusz Cenzorynus, zdecydował się pójść za Cynną. Gdy jednak usłyszał o przybyciu Mariusza do Etrurii, przeniósł się natychmiast do Mariusza, który był zachwycony jego widokiem.

- Nie ma sensu robić cię tu trybunem żołnierskim - powiedział. - W mojej armii jest niewielu rzymskich legionistów, to przeważnie niewolnicy. Daję ci więc dowództwo mojej numidyjskiej konnicy, którą przywiozłem ze sobą z Afryki.

Kiedy Mariusz otrzymał list Mutilusa, posłał po Fimbrię.

- Jedź na spotkanie z Mutilusem w Gardzieli Melfy, bo pisze, że tam właśnie będzie. - Mariusz prychnął pogardliwie. - Niewątpliwie chce nam przypomnieć, ile to razy zostaliśmy pobici w tym samym miejscu. Tym razem jednak zignorujemy jego zuchwalstwo. Spotkaj się z nim, Gajuszu Flawiuszu, i zgódź się na wszystko, czego chce, choćby to była władza nad całą Italią albo podróż do kraju Hiperborejczyków. Później ukroćmy Mutilusa i Samnitów.

Kiedy to się działo, druga delegacja z Rzymu przybyła do Metellusa Piusa pod Aesemię. Składała się ze znacznie poważniejszych ludzi: Katulusa Cezara z synem Katulusem i cenzora Publiusza Krassusa z synem Lucjuszem.

- Błagam cię, Kwintusie Cecyliuszu - zwrócił się Katulus Cezar do Prosiaka i jego legata Mamerka - pozostaw jak najmniejsze siły, by trzymać w zamknięciu



Aesernię, a sam wracaj do Rzymu! W przeciwnym razie obleganie Aesernii i tak nie będzie miało sensu. Będzie to koniec Rzymu i wszystkiego, o co Rzym walczy.

Wobec nalegań Metellus Pius się zgodził. Zostawił do trzymania w szachu Samnitów Marka Plaucjusza Sylwana z marnymi pięcioma kohortami przerażonych żołnierzy. Gdy tylko jednak pozostałe piętnaście kohort znikło na drodze do Rzymu, Samnici wypadli z Aesernii. Rozbili szkieletowe siły Sylwana, a potem zalali całe zajęte przez Rzymian Samnium. Samnici, którzy wcześniej nie poszli do Rzymu z Cynną spustoszyli teraz południowo-zachodnią Kampanię prawie aż do Kapui. Miasteczko Abella zostało splądrowane i spalone, po czym druga samnicka armia wyruszyła, żeby się przyłączyć do powstańców. Ci Italczycy nawet nie pomyśleli o Cynnii - poszli wprost do Gajusza Mariusza i ofiarowali swe usługi jemu.

Przy Metellusie Piusie byli Mamerkus i Appiusz Klaudiusz Pulcher. Piętnaście kohort, które przyprowadzili z Aesernii, weszło w skład załogi Janikulum. Dowódcą garnizonu mianowany został Appiusz Klaudiusz Pulcher. Na nieszczęście Oktawiusz upierał się przy zatrzymaniu tytułu dowódcy garnizonu, co Appiusz Klaudiusz przyjął jako zniewagę. Dlaczego miałby wykonywać całą pracę, a nie mieć z tego żadnej chwały? Trawiony pragnieniem zemsty Appiusz Klaudiusz zastanawiał się nad zmianą stron.

Senat wysłał też wiadomość do Publiusza Serwiliusza Watii, którego dwa legiony odbywające szkolenie pozostawały pod bronią. Jeden stał w Placencji, z legatem Gajuszem Celiuszem, drugi w Akwilei z Watią daleko na wschodzie. Te dwa legiony miały w założeniu służyć zastraszeniu Galów italskich. Watia obawiał się wybuchu nagromadzonej niechęci do Rzymu, który nie spłacał wojennych długów, zwłaszcza miastom pod Akwileją gdzie wytwarzano stal. Kiedy otrzymał list senatu, polecił Celiuszowi maszerować z legionem z Placencji na wschód, sam zaś wyruszył ze swoim do Rzymu, gdy tylko Celiusz zawiadomił go, że może to zrobić.

Na nieszczęście dla „prawdziwego” rządu w Rzymie, gdy Watia dotarł do Ariminum, natknął się tam na wyjętego spod prawa trybuna ludowego Marka Mariusza Gratydiana, wysłanego na północ po Via Flaminia ze wszystkimi kohortami, które Cynna mógł mu dać, na wypadek gdyby namiestnik Galii italskiej próbował przysłać posiłki Rzymowi. Ponieważ nie zaprawieni w bojach rekruci Watii sprawiali się bardzo marnie, wycofał się on do własnej prowincji i porzucił myśl o próbie wsparcia Rzymu. Usłyszawszy jakąś przekręconą wersję wydarzeń w Ariminum, bardzo przygnębiony Gajusz Celiusz uznał, że dla „prawdziwego” rządu w Rzymie wszystko stracone i odebrał sobie życie.

Oktawiusz, Merula i reszta „prawdziwego” rządu w Rzymie patrzyli, jak ich pozycja pogarsza się z godziny na godzinę. Gajusz Mariusz nadciągnął po Via



Campana i rozłożył swe oddziały tuż na południe od twierdzy Janikulum. Potem obrażony Appiusz Klaudiusz nawiązał skrycie współpracę z Mariuszem i pozwolił mu przedrzeć się przez zewnętrzną palisadę i umocnienia twierdzy. Cytadela nie upadła tylko dzięki Pompejuszowi Strabonowi, który odciągnął uwagę Cynny od Mariusza, przemaszerowując przez wzgórze Pincius i nawiązując walkę z Sertoriuszem. W tym samym czasie Oktawiusz i cenzor Publiusz Krassus przeprowadzili nowy oddział ochotników przez Most Palowy i wzmocnili załogę cytadeli w samą porę, by zapobiec jej opanowaniu. Brak dyscypliny wśród żołnierzy-niewolników zmusił Mariusza do odstąpienia, a trybun ludowy Gajusz Miloniusz zginął, usiłując przyjść mu z pomocą. Publiusz Krassus i jego syn Lucjusz zostali na stałe w Janikulum, by mieć na oku Appiusza Klaudiusza, który znów zmienił zdanie i uważał teraz, że zwycięży „prawdziwy” rząd. A Pompejusz Strabon, zawiadomiony, że twierdza jest bezpieczna, wycofał swe legiony z walki z legionami Sertoriusza i odmaszerował na drugą stronę wzgórza Pincius do swego obozu przy Bramie Kollińskiej.



Trzeba przyznać, że z Pompejuszem Strabonem nie było dobrze. Nie odstępujący go syn skłonił go do powrotu do obozu i kazał położyć do łóżka. Gorączka i biegunka zaatakowały podczas bitwy i choć Pompejusz Strabon nadal dowodził osobiście, dla jego syna i legatów było jasne, że nie jest on zdolny nadal działać z powodzeniem na Polu Marsowym. Pompejusz Młodszy był zbyt młody, by cieszyć się pełnym zaufaniem Picenów, zdecydował się więc nie obejmować samemu dowództwa, zwłaszcza w toku ciężkich walk.

Przez trzy dni władca północnego Picenum i przyległej Umbrii leżał w swym domu, walcząc ze skutkami tyfusu, podczas gdy Pompejusz Młodszy i jego przyjaciel Marek Tuliusz Cynceron opiekowali się nim z oddaniem, a żołnierze czekali na to, co się wydarzy. We wczesnych godzinach rannych czwartego dnia Pompejusz Strabon, tak silny i pełen życia, zmarł z odwodnienia i wyczerpania.

Wspierany przez Cyncerona jego płaczący syn poszedł po Vicus Sub Aggere, wzdłuż podwójnego wału Agger, do świątyni Wenus Libityny, zorganizować pogrzeb ojca. Gdyby się to działo w Picenum, w ogromnych włościach Pompejusza Strabona, uroczystości byłyby prawie tak wielkie jak pochód triumfalny zwycięskiego wodza. Syn był jednak równie bystry jak zdolny i rozumiał, że pogrzeb musi być w tych okolicznościach jak najskromniejszy. Żołnierze byli wystarczająco przygnębieni, a mieszkańcy Kwirynału, Wiminalu i górnego Eskwilinu nienawidzili ich wodza, winiąc jego obóz za dziesiątkujące ich obecnie choroby.

- Co teraz zrobisz? - spytał Cynceron, gdy ukazał się gaj cyprysowy kryjący kramy gildii grabarzy.



- Wracam do domu, do Picenum - odpowiedział wśród ciężkich westchnień zapłakany i zakatarzony Pompejusz. - Mój ojciec popełnił błąd, przychodząc tu. Mówiłem mu, żeby tego nie robił! Niech Rzym ginie, mówiłem! Nie chciał jednak słuchać. Mówił, że musi zadbać o moje prawa, że musi dopilnować, by Rzym był nadal Rzymem w dniu, gdy przyjdzie moja kolej, by zostać konsulem.

- Chodź ze mną do miasta i zatrzymaj się w moim domu. - Cynceron też był zapłakany. Chociaż nie znosił i bał się Pompejusza Strabona, nie był nieczuły na nieutulony żal jego syna. - Gnejuszu Pompejuszu, spotkałem Akcjusza! Przyjechał do Rzymu wystawić swoją nową sztukę na *ludi Romani*, a kiedy potem doszło do zatargu Lucjusza Cynny z Gnejuszem Oktawiuszem, powiedział, że jest za stary na powrót do Umbrii w tak niespokojnym czasie. Podejrzewam, że podoba mu się obecna atmosfera wielkiego dramatu! Zostań, proszę, jakiś czas u mnie. Jesteś bliskim krewnym wielkiego Lucyliusza, spodoba ci się Akcjusz. Odciągnie to twoje myśli od całego tego okropnego chaosu.

- Nie - odparł Pompejusz, wciąż szlochając. - Wracam do domu.

- Ze swoją armią?

- To armia mego ojca. Rzym może ją zatrzymać.

Dwaj młodzi ludzie przez kilka godzin zajmowali się swym smutnym zadaniem, wrócili więc do willi przy Bramie Kollińskiej, gdzie miał kwatery Pompejusz Strabon, dopiero po południu. Nikt - a najmniej pogrążony w żalu Pompejusz - nie pomyślał, by wystawić straż w rozległym wnętrzu. Wódz nie żył, a w środku nie było niczego cennego. Służących było niewielu z powodu ataków choroby, ale wodza położono już na jego łóżku, a dwie niewolnice czuwały przy nim, kiedy syn wychodził z przyjacielem.

Teraz Pompejusz i Cynceron zastali to miejsce całkowicie opuszczone - ciche, spokojne i najwyraźniej nie zaludnione. A gdy weszli do komnaty, w której leżał Pompejusz Strabon, ujrzeni, że go tam nie ma.

- On żyje! - wykrzyknął triumfalnie Pompejusz z twarzą pełną niedowierzania i radości.

- Gnejusie Pompejuszu, twój ojciec nie żyje - powiedział Cynceron, który nie żywił żadnych uczuć w stosunku do ojca przyjaciela, zachował więc zdrowy rozsądek. - Uspokój się! Wiesz, że był martwy, kiedyśmy wychodzili. Myliśmy go i ubierali. Był martwy!

Radość zgasła, ale jej miejsca nie zajął nowy wybuch łez. Młodzieńcza twarz stwardniała jak kamień.

- Więc co to znaczy? Gdzie jest mój ojciec?

- Służba chyba odeszła, nawet ci, którzy byli chorzy. Powinniśmy przede wszystkim przeszukać dom.

Poszukiwania nic nie dały, nie dostarczyły odpowiedzi na pytanie: Gdzie się podziało ciało Gnejusza Pompejusza Strabona? Pompejusz i Cynceron opuścili



willę, pierwszy z twarzą jeszcze bardziej kamienną, drugi jeszcze bardziej zdumiony, i stali przed nią na Via Nomentana, rozglądając się na obie strony.

- Idziemy do obozu czy do bramy? - spytał Cynceron.

Oba miejsca były odległe o niewiele kroków. Pompejusz zmarszczył brwi w zastanowieniu, a potem zdecydował:

- Idziemy do namiotu wodza. Może ludzie zabrali tam ciało na uroczyste wystawienie.

Zawrócili i poszli ku obozowi, kiedy ktoś krzyknął:

- Gnejuszu Pompejuszu! Gnejuszu Pompejuszu!

Obaj odwrócili się ku bramie i zobaczyli Brutusa Damazypa biegnącego z rozwianym włosiem i machającego rękami.

- Twój ojciec! - wydyszał, dopadłszy Pompejusza.

- Co z moim ojcem? - spytał Pompejusz, bardzo chłodno i bardzo spokojnie.

- Rzymianie wykradli jego ciało, mówiąc, że będą je włóczyć za osłem po wszystkich ulicach! Jedna z czuwających kobiet przysłała powiedzieć mi o tym, a ja jak głupiec pobiegłem. Chyba myślałem, że ich dogonię. Na szczęście zobaczyłem ciebie, bo w przeciwnym razie pewnie i mnie by włóczyli. - Brutus Damazyp patrzył na Pompejusza z takim samym respektem, jakim darzył jego ojca. - Co chcesz, żebym zrobił? - spytał.

- Sprowadź mi tu zaraz dwie kohorty żołnierzy - odrzekł krótko Pompejusz. - Potem wejdziemy do środka i poszukamy go.

Cynceron nie pytał dlaczego, a Pompejusz nie odzywał się, kiedy czekali. Pompejusza Strabona spotkała najwyższa zniewaga i nie było wątpliwości dlaczego. Tylko w taki sposób mogli mieszkańcy północno-wschodniej części miasta wyrazić swą pogardę i obrzydzenie wobec kogoś, kogo uważali za sprawcę swoich niedoli. Gęściej zaludnione części Rzymu otrzymywały wodę z akweduktów, ale górny Eskwilin, Wiminal i Kwirynał, mniej liczebne, polegały głównie na lokalnych źródłach wody.

Kiedy Pompejusz wprowadził swe kohorty przez Bramę Kolińską na bardzo wielki rynek poza nią, zastał cały ten rejon opuszczony. Na ulicach nie było żywej duszy, nawet na najszerzej, prowadzącej na dolny Eskwilin. Jedną po drugiej przeczesywano wąskie ulice. Damazyp prowadził swoją kohortę ku Aggerowi, a dwaj młodzi ludzie swoją w przeciwnym kierunku. Trzy godziny później kontyngent Pompejusza znalazł swego martwego wodza rozciągniętego na dolnej Alta Semita przed świątynią Salus.

Cynceron pomyślał, że miejsce, które wybrano na porzucenie go, tłumaczy wszystko. Była to świątynia Zdrowia.

- Nie zapomnę tego - powiedział Pompejusz, spoglądając na obnażone i pokaleczone ciało swego ojca. - Kiedy zostanę konsulem i wprowadzę swój program budowlany, Kwirynał nie dostanie nic!





Kiedy Cynna dowiedział się o śmierci Pompejusza Strabona, wydał westchnienie ulgi. Kiedy potem usłyszał o włożeniu ciała Pompejusza Strabona po ulicach miasta, gwizdnął cicho. A więc nie wszystko w Rzymie dobrze szło! Najwyraźniej też wojskowi broniący Rzymu nie byli popularni wśród zwykłych mieszkańców. Zadowolony postanowił czekać na poddanie się, co uważał za sprawę kilku godzin.

Tak się jednak nie stało. Najwidoczniej Oktawiusz postanowił poddać się dopiero wtedy, kiedy mieszkańcy otwarcie się zbuntują.

Kwintus Sertoriusz przyszedł pod koniec dnia z raportem. Lewe oko pokrywał mu zakrwawiony opatrunek.

- Co ci się stało? - spytał przerażony Cynna.

- Straciłem oko - odrzekł krótko Sertoriusz.

- O bogowie!

- Na szczęście lewe - stwierdził po stoicku Sertoriusz. - Wciąż mogę widzieć po stronie miecza, więc nie powinno mi to zbytnio przeszkadzać w bitwie.

- Usiądź - rzekł Cynna, nalewając wino. Przyglądał się uważnie swemu legatowi, dochodząc do wniosku, że niewiele rzeczy na tym świecie może wytrącić Sertoriusza z równowagi. Potem, kiedy tamten już siedział, Cynna usiadł sam, wzdychając. - Wiesz, Kwintusie Sertoriuszu, miałeś zupełną rację - powiedział powoli.

- Co do Gajusza Mariusza, chcesz powiedzieć?

- Tak. - Cynna obracał puchar w rękach. - Nie jestem już naczelnym wodzem. Ach, dowódcy tak mnie traktują! Chodzi mi o ludzi. O żołnierzy. Samnitów i innych italskich ochotników. To za Gajuszem Mariuszem idą nie za mną.

- To musiało się stać. Dawniej nie miałyby to znaczenia. Nigdy nie było bardziej bezstronnego i bardziej przewidującego człowieka niż Gajusz Mariusz. To jednak nie jest tamten Gajusz Mariusz - powiedział Sertoriusz. Krwawa łaza wypłynęła spod opatrunku i została otarta. - Nic gorszego nie mogło go spotkać w jego wieku i przy jego dolegliwościach niż takie wygnanie. Dostyc się go naogładałem, żeby wiedzieć, że on po prostu udaje zainteresowanie sprawą - on interesuje się naprawdę tylko zemstą na tych, którzy go wygnali. Otoczył się najgorszymi okazami legatów, jakich widziałem od lat - Fimbria! A jego osobisty legion - nazywa go strażą przyboczną i odmawia uznania za oficjalną część swojej armii - stanowi taki zbiór występnych i drapieżnych niewolników i byłych niewolników, o jakim każdy sycylijski przywódca powstań niewolniczych mógłby tylko marzyć. Nie stracił jednak bystrości umysłu, Lucjusz Cynno, w takim stopniu, w jakim stracił poczucie moralności. On wie, że panuje nad twoimi armiami! Obawiam się, że zamierza je wykorzystać dla swoich osobistych celów, nie dla dobra Rzymu. Jestem tu z tobą i twoimi wojskami tylko z jednego powodu, Lucjusz Cynno. Nie mogę wybaczyć bezprawnego usunięcia konsula w roku jego urzędowania. Nie mogę też



jednak wybaczyć tego, o co podejrzewam Gajusza Mariusza, może się więc zdarzyć, że będziemy musieli się rozstać.

Cynna poczuł, że włos mu się jeży. Wpatrywał się w Sertoriusza ze zgrozą.

- Myślisz, że on szykuje krwawą łaźnię?

- Tak uważam. I nie sędzę, żeby ktoś go mógł powstrzymać.

- Ależ, on nie może tego zrobić! To sprawa absolutnie zasadnicza, żebym wszedł do Rzymu jako prawowity konsul - przywrócił porządek - zapobiegł dalszemu rozlewowi krwi - i spróbował znów postawić nasz Rzym na nogi.

- Powodzenia - powiedział sucho Sertoriusz i wstał. - Będę na Polu Marsowym, Lucjuszu Cynno, i zamierzam tam pozostać. Moi ludzie pójdą za mną, na tyle możesz liczyć. A ja poprę przywrócenie do władzy legalnie obranego konsula! Nie poprę żadnego stronnictwa kierowanego przez Gajusza Mariusza.

- Zostań na Polu Marsowym, proszę bardzo. Proszę jednak, błagam, przybądź na negocjacje, jakiegokolwiek by były!

- Nie martw się, za nic bym nie opuścił widoku takiego fiaska. - I Sertoriusz odszedł, wciąż ocierając lewy policzek.

Następnego dnia jednak Mariusz zwinął obóz i wyprowadził swe legiony z Rzymu na równiny latyńskie. Śmierć Pompejusza Strabona była nauczką, że tymczasowe zgromadzenie tak wielu ludzi wokół tak wielkiego miasta prowadzi do straszliwej zarazy. Mariusz uznał, że lepiej będzie wyprowadzić swych ludzi na świeże powietrze i nad nie skażoną wodę okolicy i tam zabierać zboże i inną potrzebną żywność ze spichrzów i stodół rozsianych po równinach. Arycja, Bowille, Lanuwium, Ancjum, Fikana i Laurentum zostały zdobyte, chociaż żadne nie stawiało oporu.

Usłyszawszy o odejściu Mariusza, Kwintus Sertoriusz zastanawiał się w duchu, czy prawdziwym powodem tego kroku nie była odruchowa chęć zabezpieczenia się przed Cynną. Mariusz mógł być szalony, ale nie był głupcem.

Był teraz koniec listopada. Wszyscy po obu stronach - chociaż byłoby właściwsze mówić o trzech stronach - wiedzieli, że „prawdziwy” rząd Gnejusza Oktawiusza Rusona jest skazany. Armia zmarłego Pompejusza Strabona odmówiła stanowczo uznania Metellusa Piusa za swego nowego dowódcę, a potem przemaszerowała przez Most Mulwijski, by ofiarować swe usługi Gajuszowi Mariuszowi. Nie Lucjuszowi Cynnie.

Zaraza zebrała dotąd obfite żniwo - ponad osiemnaście tysięcy śmiertelnych ofiar, wiele z nich zaś z szeregów legionów Pompejusza Strabona. Spichrze w Rzymie były teraz zupełnie puste. Czując, że to początek końca, Mariusz przyprowadził znów swoją pięciotysięczną straż przyboczną, złożoną z niewolników i byłych niewolników, na południowe zbocze Janikulum. Znamienne było, że nie przyprowadził reszty swej armii, Samnitów, Italczyków



ani pozostałości wojsk Pompejusza Strabona. Kwintus Sertoriusz zastanawiał się, czy chodziło o zapewnienie sobie bezpieczeństwa. Tak, wyglądało to, jakby Mariusz rozmyślnie trzymał główne siły swoich ludzi w rezerwie.



Trzeciego dnia grudnia grupa wysłanników przekroczyła Tyber po dwóch mostach łączących się z Wyspą Tybrową. W jej skład wchodził: Metellus Pius Prosiak (który był oficjalnym przywódcą), cenzor Publiusz Krassus i bracia Cezarowie. Na końcu drugiego mostu czekał na nich Lucjusz Cynna. I Gajusz Mariusz.

- Witaj, Lucjusz Cynno! - odezwał się Metellus Pius, oburzony widokiem Mariusza, zwłaszcza że towarzyszył mu ten nędzny łotr Fimbria i jakiś olbrzymi Germanin w wystawnej złocistej zbroi.

- Zwracasz się do mnie jako do konsula czy do prywatnego obywatela, Kwintusie Cecyliuszu? - spytał Cynna chłodno.

Kiedy tylko to powiedział, Mariusz wpadł na niego z furią i warknął:

- Mięczak! Słabeusz! Idiota!

Metellus Pius przełknął ślinę.

- Do konsula, Lucjusz Cynno - powiedział.

Po czym Katulus Cezar napadł na Prosiaka z furią i warknął:

- Zdrajca!

- Ten człowiek nie jest konsulem! Jest winny świętokradztwa! - krzyknął cenzor Krassus.

- Nie potrzebuje być konsulem, bo jest zwycięzcą! - zawołał Mariusz.

Zatykając rękami uszy, by nie słyszeć ożywionej wymiany słów między wszystkimi obecnymi, prócz niego samego i Cynny, rozgniewany Metellus Pius obrócił się na pięcie i poszedł przez dwa mosty z powrotem do Rzymu.

Kiedy opowiedział Oktawiuszowi, co zaszło, ten również napadł na nieszczęsnego Prosiaka.

- Jak śmiałeś uznać go za konsula? On nie jest konsulem! Cynna jest *nefas*! - parsknął.

- Ten człowiek jest konsulem, Gnejuszu Oktawiuszu, i nadal będzie konsulem aż do końca tego miesiąca - odparł chłodno Metellus Pius.

- Świetny z ciebie negocjator! Czy nie rozumiesz, że najgorszą rzeczą jaka może nas spotkać, jest uznanie Lucjusza Cynny za prawdziwego konsula? - spytał Oktawiusz, grożąc Prosiakowi palcem niczym nauczyciel uczniowi.

Tu Prosiak stracił cierpliwość.

- Więc idź sam i zrób to lepiej! I nie wymachuj mi tu palcem! Nie podskakuj, bo jesteś nikim! Jam jest Cecyliusz Metellus i nawet sam Romulus nie będzie mi groził palcem! Czy ci się to podoba, czy nie, Lucjusz Cynna jest konsulem. Jeśli tam wrócę i spyta mnie o to samo, dostanie tę samą odpowiedź!

Złe samopoczucie i skrępowanie odczuwane od samego początku zasiadania



na kurulnym krześle stały się teraz nie do zniesienia. Flamen *Dialis* i konsul *suffectus* Merula wyprostował się i stanął naprzeciw swego kolegi Oktawiusza i rozjuszonego Metellusa Piusa z całą godnością, na jaką mógł się zdobyć.

- Gnejuszu Oktawiuszu, muszę złożyć rezygnację jako konsul *suffectus* - powiedział spokojnie. - Nie jest stosowne, żeby kapłan Jowisza był urzędnikiem kurulnym. Senat, tak. Imperium, nie.

Pozostali patrzyli oniemiała, jak Merula opuszcza dolne Forum - gdzie miała miejsce ta wymiana słów - i idzie w górę Via Sacra do swego domu państwowego.

Katulus Cezar spojrział na Metellusa Piusa.

- Kwintusie Cecyliuszu, czy zechcesz przyjąć naczelne dowództwo? Jeśli nominacja będzie oficjalna, może tchnąć nowego ducha w naszych żołnierzy i nasze miasto.

Metellus Pius stanowczo pokręcił głową.

- Nie, Kwintusie Lutacjuszu, nie zechcę. Nasi ludzie i nasze miasto stracili serce do tej sprawy pomiędzy zarazą a głodem. I przez niepewność - mówię to bez przyjemności - kto ma słuszość. Mam nadzieję, że nikt z nas nie chce nowej bitwy na ulicach Rzymu, Lucjusz Sulla stoczył o jedną za dużo. Musimy zawrzeć układ! Ale z Lucjuszem Cynną. Nie z Gajuszem Mariuszem.

Oktawiusz przyjrzał się twarzom wysłanników, wzruszył ramionami i westchnął pokonany.

- Zatem zgoda, Kwintusie Cecyliuszu. Zgoda. Wracaj i spotkaj się znów z Lucjuszem Cynną.

Prosiak wrócił. Towarzyszył mu jedynie Katulus Cezar i jego syn Katulus. Był to piąty dzień grudnia.

Tym razem zostali przyjęci bardziej uroczyście. Cynna kazał ustawić wysokie podwyższenie i zasiadł na kurulnym krześle, podczas gdy wysłannicy stali poniżej i musieli patrzeć na niego w górę. Na podwyższeniu był też Gajusz Mariusz stojący za konsulem.

- Przede wszystkim, witam cię, Kwintusie Cecyliuszu - powiedział głośno Cynna. - Po drugie, zapewniam cię, że Gajusz Mariusz jest tu jedynie obserwatorem. Zdaje sobie sprawę z tego, że jest *privatus* i nie może zabierać głosu podczas formalnych negocjacji.

- Dziękuję ci, Lucjusz Cynno - odpowiedział Prosiak równie sztywno - i zawiadamiam cię, że jestem upoważniony do układów jedynie z tobą, nie z Gajuszem Mariuszem. Jakie są twoje warunki?

- Że wejdę do Rzymu jako konsul Rzymu.

- Zgoda. Flamen *Dialis* już ustąpił.

- Żaden odwet w przyszłości nie będzie tolerowany.

- Nie będzie żadnego - rzekł Metellus Pius.

- Nowi obywatele z Italii i Galii italskiej będą wpisywani do wszystkich



trzydziestu pięciu *tribus*.

- Zgoda, oczywiście.

- Niewolnicy, którzy porzucili służbę u rzymskich właścicieli, by zaciągnąć się do moich armii, muszą mieć zapewnioną wolność i prawa obywatelskie.

Prosiak zamarł.

- Niemożliwe! - parsknął. - Niemożliwe!

- To jest warunek, Kwintusie Cecyliuszu. Musi być przyjęty wraz z innymi - obstawał Cynna.

- Nie zgodzę się nigdy na wyzwolenie i nadanie praw niewolnikom, którzy porzucili swoich prawowitych panów!

Katulus Cezar postąpił naprzód.

- Słówko na osobności, Kwintusie Cecyliuszu? - spytał dyskretnie.

Wiele czasu potrzebowali Katulus Cezar i jego syn, by przekonać Prosiaka, że ten właśnie warunek musi zostać przyjęty. Jeśli w końcu Metellus Pius ustąpił, stało się tak jedynie dlatego, że widział, iż Cynna jest nieugięty - zastanawiał się jedynie w czyjej sprawie, własnej czy Mariusza. W legionach Cynny było niewielu niewolników, ale wojsko Mariusza było ich pełne, zgodnie z doniesieniami.

- Dobrze, zgadzam się na to szaleństwo z niewolnikami - powiedział z niechęcią Prosiak. - Jest jednak pewna sprawa, w której ja muszę postawić warunki.

- O? - wyraził zdziwienie Cynna.

- Nie będzie żadnego przelewu krwi - oświadczył twardo Prosiak. - Żadnego odbierania obywatelstwa, wyjmowania spod prawa, banicji, procesów o zdradę stanu ani egzekucji. W tej dziedzinie każdy robi to, co mu dyktują jego zasady i przekonania. Nikt nie może być karany za wierność zasadom i przekonaniom, choćby wydawały się nie do przyjęcia. To dotyczy tak samo tych, którzy popierają ciebie, Lucjuszu Cynno, jak i tych, którzy popierają Gnejusza Oktawiusza.

Cynna skinął głową.

- Całkowicie się z tobą zgadzam, Kwintusie Cecyliuszu. O żadnej zemście nie może być mowy.

- Czy przysięgniesz? - spytał chytrze Prosiak.

Cynna pokręcił przecząco głową czerwieniąc się.

- Nie mogę, Kwintusie Cecyliuszu. Mogę co najwyżej zapewnić, że zrobię wszystko, by zapobiec procesom o zdradę, przelewowi krwi i konfiskatom mienia.

Metellus Pius zwrócił lekko głowę w stronę milczącego Gajusza Mariusza.

- Czy chcesz dać do zrozumienia, Lucjuszu Cynno, że ty, konsul, nie zdołasz kontrolować własnego stronnictwa?

Cynna skrzywił się, ale odpowiedział pewnym głosem:



- Zdołam.

- Więc przysięgniesz?

- Nie, nie przysięgnę - odpowiedział z godnością Cynna i tylko rumieniec zdradzał jego skrępowanie. Wstał ze swego krzesła na znak, że spotkanie jest skończone, i odprowadził Metellusa Piusa do mostu na Wyspę Tybrową. Przez kilka cennych chwil byli z Prosiakiem sami. - Jestem w stanie kontrolować swe stronnictwo! Mimo to byłbym spokojniejszy, gdyby Gnejusz Oktawiusz trzymał się z dala od Forum - gdyby całkiem zniknął z widoku! Na wszelki wypadek. To mało prawdopodobne. Jestem zdolny kontrolować swoich ludzi! Wolałbym jednak, żeby Gnejusz Oktawiusz nie rzucał się w oczy. Powiedz mu to!

- Powiem - obiecał Metellus Pius.

Mariusz utykając, podbiegł do nich, tak mu było pilno przerwać tę rozmowę. Prosiak pomyślał, że wygląda groteskowo. Było w nim coś nowego, przerażająco małego, umniejszającego tę budzącą lęk aurę władzy, którą zawsze roztaczał wokół siebie, nawet w czasach, gdy ojciec Prosiaka był jego dowódcą w Numidii, a sam Prosiak był zwykłym kadetem.

- Kiedy planujecie z Gajuszem Mariuszem wejście do miasta? - spytał Katulus Cezar Cynnę, kiedy obie grupy szykowały się do rozejścia w swoje strony.

Zanim Cynna zdołał odpowiedzieć, Gajusz Mariusz przerwał swe milczenie pogardliwym parsknięciem:

- Lucjusz Cynna może wejść jako prawowity konsul, kiedy mu się spodoba, ale ja zaczekam tu ze swoją armią aż wyroki skazujące mnie i moich przyjaciół zostaną legalnie unieważnione.

Cynna z trudem odczekał, aż Metellus Pius i jego eskorta ruszą po moście na Wyspę Tybrową zanim spytał ostro Mariusza:

- Co masz na myśli, mówiąc, że zostaniesz tu z armią dopóki nie unieważnią twego wyroku?

Starzec stał tam, wyglądając bardziej nieludzko niż ludzko; jak Mormolis albo Lamia, potworne i złośliwe dręczycielki z Tamtego Świata. Uśmiechał się, a oczy mu błyszczały spod splątanej zasłony brwi, gęstszych niż dawniej, bo weszło mu w zwyczaj ich pociąganie.

- Mój drogi Lucjusz Cynno, to za Gajuszem Mariuszem idzie armia, nie za tobą! Gdyby nie ja, dezercerzy przechodziliby na drugą stronę i Oktawiusz by zwyciężył. Pomyśl o tym! Gdybym wszedł do miasta jako wyjęty spod prawa i z wyrokiem śmierci wciąż zapisanym na tablicach, co powstrzymałoby ciebie i Oktawiusza przed pogodzeniem się i wykonaniem na mnie wyroku? Byłbym tam w niezłych opałach! Stałbym ze swoją czapką wolności w ręku jako *privatus*, czekając, aż konsulowie i senat - do którego już nie należę! - oczyszczą mnie z moich nie istniejących win. Pytam cię teraz: Czy to pozycja odpowiednia dla Gajusza Mariusza? - Poklepał Cynnę protekcyjnie po ramieniu. - Nie, Lucjusz Cynno. Będiesz miał swoją chwilę chwały tylko dla



siebie! Wejdiesz do Rzymu sam. Ja zostanę tu, gdzie jestem. Z armią, która należy do mnie. Bo nie do ciebie.

- Czy chcesz powiedzieć - zżymał się Cynna - że użyłbyś armii, mojej armii, przeciw mnie? Prawowitemu konsulowi?

- Głowa do góry! Nie byłoby aż tak źle - zaśmiał się Mariusz. - Powiedz raczej, że armia zatroszczy się o to, żeby Gajusz Mariusz dostał, co mu się należy.

- A co dokładnie należy się Gajuszowi Mariuszowi?

- W kalendy styczniowe będę nowym starszym konsulem. Ty oczywiście będziesz moim młodszym kolegą.

- Przecież nie mogę być znowu konsulem! - wykrztusił przerażony Cynna.

- Bzdura! Oczywiście, że możesz! A teraz już odejść, idź już! - powiedział Mariusz takim tonem, jakby mówił do nieznośnego dziecka.

Cynna poszedł do Sertoriusza i Karbona, którzy byli obecni przy negocjacjach i powtórzył im słowa Mariusza.

- Nie mów, że nie zostałeś ostrzeżony - powiedział ponuro Sertoriusz.

- Co możemy zrobić? - jęknął zrozpaczony Cynna. - On ma rację. Armia należy do niego.

- Nie moje dwa legiony - rzekł Sertoriusz.

- Za mało, żeby mu się przeciwstawić - stwierdził Karbon.

- Co mamy robić? - powtórzył Cynna.

- Na razie nic. Pozwól starszemu panu mieć swój dzień i jego bezcenny siódmy konsulat - mówił Karbon przez zaciśnięte zęby. - Będziemy się martwić potem, kiedy Rzym będzie nasz.

Sertoriusz nie robił dalszych uwag. Myślał o własnej przyszłości. Jakimś sposobem wszyscy oni stali się mniejsi, małoduszni, samolubni, zachłanni. Zarazili się tym od Gajusza Mariusza i przekazywali zarazę jeden drugiemu. „Co do mnie, myślał, nie jestem pewien, czy chcę należeć do tego nieczystego i nieodpowiedzialnego spisku walczących o władzę. Najwyższą władzą jest Rzym. Dzięki jednak Lucjuszowi Korneliuszowi Sulli ludziom przyszło teraz na myśl, że mogą być władcami Rzymu”.



Kiedy Metellus Pius przekazał radę Cynny, by Oktawiusz usunął się z widoku, wszyscy zrozumieli, na co się zanoszą. Była to jedna z niewielu narad, na których był obecny pontifex maximus Scewola. Zauważono, że starał się jak najdyskretniej trzymać na uboczu. Metellus Pius pomyślał, że przewiduje on zwycięstwo Gajusza Mariusza i pamięta, że jego córka wciąż jest zaręczona z Mariuszem Młodszym.

Katulus Cezar westchnął.

- Proponuję, żeby wszyscy młodzi ludzie opuścili Rzym przed wejściem Lucjusza Cynny. Będziemy potrzebować wszystkich naszych młodych *boni* w przyszłości. Kreatury w rodzaju Cynny i Mariusza nie będą rządzić wiecznie i



pewnego dnia Lucjusz Sulla wróci do kraju. - Urwał, a potem dodał: - Myślę, że my, starsi, zrobimy lepiej, zostając w Rzymie i próbując swoich szans. Ja pierwszy nie zamierzam naśladować odysei Gajusza Mariusza, choćby mi nawet oszczędzono bagien nad Liris.

Prosiak spojrział na Mamerka.

- Co o tym myślisz?

Mamerkus zastanawiał się.

- Myślę, że powinieneś koniecznie wyjechać, Kwintusie Cecyliuszu. Ja tak zrobię. Na razie jednak zostanę. Nie jestem żadną grubą rybą w rzymskim stawie.

- Dobrze więc, wyjadę - zdecydował się Metellus Pius.

- I ja wyjadę - powiedział głośno starszy konsul Oktawiusz.

Wszyscy obrócili się ku niemu zaskoczeni.

- Zasiadę na trybunie w cytadeli Janikulum i będę tam czekał na to, co się stanie. Tym sposobem, jeśli zechcą przelać moją krew, nie skazi ona rzymskiego bruku i powietrza.

Nikt nie zamierzał oponować. Masakra w Dniu Oktawiusza czyniła takie rozwiązanie nieuniknionym.

Następnego dnia o świcie Lucjusz Korneliusz Cynna ubrany w *toga praetexta* i poprzedzany przez dwunastu liktorów wkroczył do Rzymu po mostach łączących Wyspę Tybrową z oboma brzegami rzeki.

Usłyszawszy od zaufanego przyjaciela w Rzymie, dokąd udał się Gnejusz Oktawiusz Ruson, Gajusz Marcjusz Cenzorynus zebrał oddział numidyjskiej konnicy i pojechał do twierdzy Janikulum. Nikt nie upoważnił go do tego - bo właściwie nikt o tym nie wiedział, a najmniej Cynna. Zawzięci i popędliwi oficerowie Cynny doszli do wniosku, że kiedy wejdzie on do miasta, ulegnie ludziom w rodzaju Katulusa Cezara i pontifexa maximusa Scewoli. Wtedy cała kampania o przywrócenie Cynny do władzy w Rzymie zakończyłaby się jak bezkrwawe ćwiczenia. Cenzorynus przysiągł jednak sobie, że przynajmniej Oktawiusz nie ucieknie. Znalazłszy wejście do twierdzy nie bronione (Oktawiusz odesłał załogę), Cenzorynus wjechał za zewnętrzną palisadę na czele pięciuset konnych, tam zaś na trybunie na forum cytadeli siedział Gnejusz Oktawiusz Ruson, nieugięcie kręcąc głową w odpowiedzi na prośby swego głównego liktora, by uchodził. Słyszając tętent wielu kopyt, Oktawiusz odwrócił się i zasiadł we właściwej postawie na swym kurulnym krześle, a jego liktorzy pobledli ze strachu.

Gajusz Marcjusz Cenzorynus zignorował liktorów. Z wyciągniętym mieczem zsiadł z konia, wspiął się po stopniach trybuny, podszedł do siedzącego spokojnie Oktawiusza i chwycił go lewą ręką za włosy. Jedno potężne szarpnięcie i starszy konsul - który się nie bronił - upadł na kolana. Przerażeni liktorzy patrzyli bezsilnie, jak Cenzorynus podniósł oburącz miecz i opuścił go



z całą siłą, na jaką mógł się zdobyć, na odsłoniętą szyję Oktawiusza.

Dwaj jeźdźcy podnieśli krwawiącą głowę o dziwnie spokojnej twarzy i zatknęli ją na włócznie. Cenzorynus wziął sam tę włócznię i odesłał oddział do obozu na równinie watykańskiej. W jednym punkcie nie zamierzał naruszać rozkazów: edykt Cynny zabraniał żołnierzom przekraczać *pomerium*. Rzuciwszy miecz, hełm i pancerz służącemu, ubrany w swój skórzany kaftan dosiadł konia i pojechał na Forum Romanum, trzymając drzewce przed sobą niczym kopię. Tam bez słowa podniósł włócznię, podsuwając głowę Oktawiusza nie spodziewającemu się niczego Cynnie.

Konsul ze zgrozą cofnął się, odpychając wyciągniętymi dłońmi ten przerażający dar. Potem pomyślał o czekającym za rzeką Mariuszu i o wszystkich oczach patrzących na niego i na jego przybocznego Cenzoryna. Nabrał tchu, przymknął oczy z bólu - i stawił czoło konsekwencjom swego marszu na Rzym.

- Zatknij ją na rostrach - polecił Cenzorynowi. Zwracając się zaś do milczącego tłumu, zawołał: - Oto jedyny akt przemocy, który wybaczam! Ślubowałem, że Gnejusz Oktawiusz Ruson nie dożyje dnia, w którym zajmę znów swoje miejsce konsula. To właśnie on - wraz z Lucjuszem Sullą - zapoczątkował ten zwyczaj! Zatknęli głowę mego przyjaciela Sulpicjusza tam, gdzie teraz tkwi ta głowa. Oktawiusz kontynuowałby ten zwyczaj - jak Lucjusz Sulla, gdyby wrócił! Przypatrz się dobrze Gnejuszowi Oktawiuszowi, ludu rzymski! Przypatrz się dobrze głowie człowieka, który sprowadził cały ten ból, głód i cierpienie, zabijając ponad sześć tysięcy ludzi na Polu Marsowym w środku legalnie zwołanego zgromadzenia. Rzym jest pomszczony! Nie będzie więcej przelewu krwi! Krew zaś Gnejusza Oktawiusza nie została przelana w *pomerium*!

Nie całkiem było to prawdą, ale poskutkowało.



W ciągu siedmiu dni prawa Lucjusza Korneliusza Sulli zostały obalone. Zgromadzenie Centurialne, blady cień dawnego Zgromadzenia, wzięło przykład z Sulli, ustanawiając ich odrzucenie w większym pośpiechu, niż na to pozwalała *lex Caecilia Didia prima*. Przywrócone do władzy Zgromadzenie Plebejskie zebrało się, by wybrać ze znacznym opóźnieniem nowych trybunów ludowych. Poszedł za tym przyływ inicjatywy ustawodawczej: obywatele italscy i galoitalscy (ale nie rzymscy wyzwoleńcy - Cynna nie chciał ryzykować) zostali rozdzieleni pomiędzy trzydzieści pięć *tribus* bez żadnych przeszkód i zastrzeżeń. Gajusz Mariusz i inni zbiegowie zostali przywrócenii na stanowiska i odzyskali tytuły. Gajusz Mariusz otrzymał oficjalnie imperium prokonsularne. Zniesione zostały dwie nowe *tribus* Pizona Frugi. Odwołano z wygnania wszystkich skazanych przez pierwotną komisję Wariusza. Na koniec - ale nie było to najmniej ważne - Mariuszowi powierzono formalnie



dowództwo w wojnie na Wschodzie przeciw królowi Pontu Mitrydatesowi i jego sprzymierzeńcom.

Zgromadzenie Plebejskie wybrało następnie edylów ludowych, po czym zebrało się Zgromadzenie Ludowe, by wybrać edylów kurulnych, kwestorów i trybunów żołnierskich. Chociaż żaden z nich nie miał trzydziestu lat, Gajusz Flawiusz Fimbria, Publiusz Anniusz i Gajusz Marcjusz Cenzorynus zostali wybrani na kwestorów i natychmiast wprowadzeni do senatu. Żaden cenzor nie uznał za roztropne protestować.

*In odore sanctitatis* Cynna polecił centuriom zgromadzić się dla wyboru urzędników kurulnych. Zgromadzenie przeniósł na Awentyn, poza *pomerium*, bo Sertoriusz nadal obozował na Polu Marsowym ze swymi dwoma legionami. Było to smutne zgromadzenie, nie więcej niż sześciuset ludzi z wszystkich klas. Większość z nich stanowili senatorowie i starsi rycerze, którzy spełnili swój obowiązek, wybierając na konsulów jedynych dwóch kandydatów - Lucjusza Korneliusza Cynnę i Gajusza Mariusza *in absentia*. Przepisy zostały zachowane i wybory były ważne. Gajusz Mariusz był teraz konsulem Rzymu po raz siódmy, a po raz czwarty *in absentia*. Proroctwo się spełniło.

Cynna miał jednak swoją chwilę rewanżu. W wyniku wyborów to on został starszym konsulem, a Gajusz Mariusz młodszym. Potem odbyły się wybory pretorów. Tylko sześć nazwisk podano, by zapełnić sześć stanowisk, ale znów przepisy zostały zachowane, a głosowanie mogło być uznane za legalne. Rzym miał swój właściwy krąg wyższych urzędników państwowych mimo niedostatku kandydatów. Cynna mógł teraz skupić się na naprawie szkód powstałych w ciągu ostatnich miesięcy - szkód, które trudno było Rzymowi znieść po długiej wojnie z Italczykami i utracie Wschodu.

Niczym zwierzę zapędzone do rogu, miasto pozostawało ciche i czujne przez kolejne dni grudnia, podczas gdy zgromadzone wokół niego armie przemieszczały się i rozdzielały. Kontyngenty Samnitów wróciły do Aesernii i Noli, żeby zamknąć się w tej ostatniej, bo Gajusz Mariusz łaskawie pozwolił Appiuszowi Klaudiuszowi Pulcherowi powrócić ze swoim dawnym legionem do jej oblężenia. Legion podlegał Sertoriuszowi, przekonał on jednak jego żołnierzy do powrotu pod komendę dowódcy, którym pogardzali, i dopilnował, by wyruszyli do Kampanii bez żalu. Wielu weteranów, którzy zaciągnęli się, by pomóc swemu dawnemu wodzowi, powróciło teraz do domów, włącznie z dwoma kohortami, które przypląnęły z Mariuszem z Kercyny, gdy usłyszał o pochodzie Cynny.

Zredukowany do jednego legionu Sertoriusz rozłożył się na Polu Marsowym, niczym kot udający głęboki sen. Trzymał się z dala od Mariusza, który zdecydował się zatrzymać swą pięciotysięczną straż przyboczną złożoną z niewolników i byłych niewolników. „Do czego zmierzasz, straszny starcze?“, pytał sam siebie. „Rozmyślnie odesłałeś wszystkich uczciwych ludzi i



pozostałeś z takimi, którzy zdecydowani są pójść za tobą w każdą okropność”.



Gajusz Mariusz wkroczył wreszcie w dniu Nowego Roku do Rzymu jako jego prawowity konsul, jadąc na śnieżnobiałym koniu, w todzie z purpurowym szlakiem i w wieńcu z liści dębowych. Przy jego boku jechał olbrzymi cymbryjski niewolnik Burgundus we wspaniałej pozłocistej zbroi, z przypasanym mieczem i na bastarnyjskim koniu, tak wielkim, że jego kopyta były rozmiaru wiader. A za nim szło pięć tysięcy niewolników i byłych niewolników w kaftanach z twardej skóry i z mieczami - nie całkiem żołnierzy, ale i nie cywilów.

Konsul po raz siódmy! Proroctwo się wypełniło. Mariusz miał głowę zajętą całkowicie tymi słowami, gdy jechał między ścianami wiwatujących i szlochających ludzi. Jakie znaczenie miało, czy jest starszym czy młodszym konsulem, kiedy ludzie witali swego bohatera z taką miłością, z takim ślepym uwielbieniem? Czy dbali o to, że jedzie, zamiast iść? Czy dbali o to, że przybywa zza Tybru, nie ze swego domu? Czy dbali o to, że nie spędzi tej nocy na czuwaniu i wypatrywaniu wróżebnych znaków w świątyni Jowisza Najlepszego i Największego? Nie dbali ani trochę! Był Gajuszem Mariuszem. Od Gajusza Mariusza nie wymagano tego, czego wymagano od innych, mniejszych od niego ludzi.

Podążając nieugięcie ku swemu przeznaczeniu, wjechał na dolne Forum Romanum i zastał tam Lucjusza Korneliusza Cynnę, czekającego na niego na czele uroczystego pochodu złożonego z senatorów i nielicznych starszych rycerzy. Burgundus zsadził Mariusza ze śnieżnobiałego konia prawie bez zamieszania, ułożył fałdy togi swego pana - i gdy Mariusz zajął miejsce przed Cynną stanął obok niego.

- Dalejże, Lucjuszu Cynno, miejmy to z głowy! - parsknął głośno Mariusz, zaczynając iść. - Chodziłem już tak sześć razy i ty raz, więc nie róbmy z tego triumfalnego pochodu!

- Chwileczkę! - wykrzyknął były pretor Kwintus Anchariusz, występując spośród stojących za Cynną mężów w togach z purpurowymi szlakami i zachodząc szybko drogę Mariuszowi. - Stoicie w złej kolejności, konsulowie. Ty, Gajuszu Mariuszu, jesteś młodszym konsulem. Idziesz za Lucjuszem Cynną a nie przed nim. Żądam też, żebyś usunął tego barbarzyńskiego gburę z naszej uroczystej procesji do Wielkiego Boga i żebyś odprawił swoją straż przyboczną albo kazał im zdjąć miecze.

Przez chwilę wyglądało na to, że Mariusz uderzy Anchariusza albo każe swemu germańskiemu olbrzymowi odsunąć na bok byłego pretora. Potem starzec wzruszył ramionami i zajął miejsce za Cynną. Niewolnik Burgundus pozostał jednak przy nim, on zaś nie wyrzekł ani słowa, by go odprawić.



- W pierwszej sprawie, Kwintusie Anchariuszu, masz prawo za sobą, ale w drugiej i trzeciej nie ustąpię. Moje życie nie raz było zagrożone w ostatnich latach. Jestem też dotknięty niemocą. Mój niewolnik zostanie więc przy moim boku. Moi Bardyjajowie pozostaną na Forum i zaczekają by mnie odprowadzić po zakończeniu ceremonii.

Kwintus Anchariusz miał buntowniczą minę, ale w końcu skinął głową i wrócił na miejsce. Był pretorem w roku konsulatu Sulli i nieprzejednanym wrogiem Mariusza, z czego był dumny. Trzeba by go związać, by pozwolił Mariuszowi iść w pochodzie przed Cynną zwłaszcza gdy mu zaświtała myśl, że Cynna zamierza pogodzić się z taką zniewagą. To, że wrócił na swoje miejsce, było reakcją na żalosne spojrzenie, jakie mu posłał Cynna, a które go wprost zemdliło. Czemu miałby walczyć za kogoś tak słabego? „Ach, kończ tamtą wojnę i wracaj szybko do kraju, Lucjuszu Sullo!”, modlił się Anchariusz.

Ponad stu rycerzy prowadzących uroczysty pochód wyruszyło w chwili, gdy Mariusz kazał Cynninie ruszać. Dotarli do świątyni Saturna, zanim zdali sobie sprawę, że konsulowie i senat wciąż jeszcze stoją najwyraźniej o coś się kłócąc. Tak więc już sam początek pielgrzymki do domu Wielkiego Boga na Kapitolu był niezgrany i źle wróżący. Nikt, z Cynną włącznie, nie miał odwagi wytknąć Mariuszowi, że nie czuwał tej nocy, jak to powinni robić nowi konsulowie, a Cynna nie powiedział nic nikomu o czarnym kształcie jakiegoś błoniastego i szponiastego stworzenia, które widział przelatujące po ciemnym niebie, gdy czuwał, wypatrując wróżebnych znaków.

Nigdy jeszcze inauguracja konsulatu w dniu Nowego Roku nie skończyła się tak szybko jak ta, nawet tamta słynna, kiedy to Mariusz chciał rozpocząć ceremonię w stroju triumfującego wodza. Po czterech krótkich dziennych godzinach wszystko było zakończone - składanie ofiar, zebranie senatu w świątyni Wielkiego Boga i uczta na zakończenie zebrania. Nigdy też żadnej grupie ludzi w przeszłości nie śpieszyło się aż tak do odejścia. Gdy procesja schodziła z Kapitolu, wszyscy widzieli głowę Gnejusza Oktawiusza Rusona wciąż jeszcze tkwiącą na włóczy w rogu rostrów. Podziobana przez ptaki twarz obrócona była pustymi oczodołami ku świątyni Jowisza Najlepszego i Największego. Straszny znak wróżebny. Straszny!

Wynurzywszy się z uliczki między świątynią Saturna a zboczem Kapitolu, Mariusz wypatrzył przed sobą Kwintusa Anchariusza i przyśpieszył, by go dopaść. Kiedy położył dłoń na ramieniu Anchariusza, były pretor obejrzał się, a jego zaskoczenie zmieniło się w obrzydzenie, gdy zobaczył, kto go zaczepił.

- Burgundusie, twój miecz - powiedział chłodno Mariusz.

Miecz znalazł się w jego prawej dłoni, zanim jeszcze skończył mówić. Ręka uniosła się i opadła. Kwintus Anchariusz padł martwy z twarzą rozrąbaną od czoła do podbródka.

Nikt nie próbował protestować. Gdy minął wstrząs, senatorowie i rycerze



rozbiegli się w popłochu. Mariuszowy legion niewolników i byłych niewolników, stojący wciąż na dolnym Forum, ruszył w zajadłą pogoń, gdy starzec strzelił palcami.

- Róbcie z tymi *cunni*, co chcecie, chłopcy! - ryknął rozpromieniony Mariusz. - Starajcie się tylko odróżnić moich przyjaciół od wrogów!

Zdjęty zgrozą Cynna stał, przyglądając się rozpadowi swego świata, całkowicie niezdolny do działania. Jego żołnierze byli w drodze do swoich domów albo w obozie na równinie watykańskiej. Mariuszowi „Bardyajowie” - jak nazywał niewolników, którzy się do niego przyłączyli, bo wielu z nich pochodziło z tego dalmackiego plemienia Illirów - zawładnęli teraz Rzymem. A zawładnąwszy, potraktowali miasto bardziej bezlitośnie, niż oszalały pijak traktuje znienawidzoną żonę. Zabijano bez powodu mężczyzn, rabowano domy, hańbiono kobiety, mordowano dzieci. Mnóstwo było zbrodni bezsensownych i przypadkowych, ale były i inne przypadki - ludzi, których śmierci Mariusz pragnął, albo może tylko wyobrażano sobie, że pragnie ich śmierci. Bardyjowie nie byli zbyt biegli w rozpoznawaniu różnych nastrojów Mariusza.

Przez resztę tego dnia i długo w noc Rzym rozbrzmiewał krzykami i wrzaskami. Wielu poniosło śmierć albo chciałoby umrzeć. W niektórych miejscach płomienie strzelały pod niebo, a krzyki zmieniały się w przeraźliwe wysokie wrzaski.

Publiusz Annius, który ponad wszystkich innych nienawidził Antoniusza Oratora, poprowadził oddział konnicy do Tuskulum, gdzie Antoniusze mieli posiadłość, i z wielką przyjemnością dogonił uciekającego i zabił. Głowę zawieszono triumfalnie do Rzymu i zatknięto na rostrach.

Fimbria wybrał się ze swoim oddziałem konnych na Palatyn, szukając przede wszystkim cenzora Publiusza Licyniusza Krassusa i jego syna Lucjusza. Wypatrzył syna, śpieszącego wąską uliczką ku domowi. Poganiając konia, Fimbria dogonił go, i pochylając się w siodle, przebił od tyłu mieczem. Widząc, co się stało, i nie mogąc uniknąć tego samego losu, ojciec pchnął się ukrywanym w fałdach togę sztyletem. Na szczęście Fimbria nie wiedział, które drzwi w tej uliczce prowadzą do Licyniuszów Krassusów, ocalał więc trzeci syn, Marek, który nie był jeszcze w wieku senatorskim.

Pozostawiwszy swym ludziom obcięcie głów Publiusza i Lucjusza Krassusów, Fimbria zabrał kilku żołnierzy na poszukiwanie braci Cezarów. Dwóch z nich znalazł w jednym domu, Lucjusza Juliusza i jego młodszego brata Cezara Strabona. Ich głowy zachowano oczywiście dla rostrów, ale Fimbria zawlókł ciało Cezara Strabona do grobu Kwintusa Wariusza i tam „zabił” go ponownie, jakby składał ofiarę temu człowiekowi, którego Cezar Strabon kiedyś oskarżał, a który odebrał sobie życie w tak powolny i bolesny sposób. Potem wybrał się na poszukiwanie najstarszego z braci, Katulusa Cezara,



posłaniec Mariusza dopadł go jednak, zanim znalazł swą ofiarę. Katulus Cezar miał zostać oszczędzony, by stanąć przed sądem.

W świetle następnego poranka rostra były najeżone włóczniami z zatkniętymi na nie głowami - Anchariusza, Antoniusza Oratora, Publiusza i Lucjusza Krassusów, Lucjusza Cezara, Cezara Strabona, sędziwego Scewoli Augura, Gajusza Atyliusza Serrana, Publiusza Korneliusza Lentulusa, Gajusza Nemetoriusza, Gajusza Bebiusza i Oktawiusza. Ulice były zasłane ciałami. Stos mniej ważnych głów leżał w kącie, gdzie świątynka Wenus Kloaciny stykała się z bazyliką Emilia, a Rzym cuchnął skrzepłą krwią.

Obojętny na wszystko poza dokonaniem odwetu, Mariusz przyszedł do niecki komicjów posłuchać swego nowo wybranego trybuna ludowego Publiusza Popiliusza Lenasa, prowadzącego Zgromadzenie Plebejskie. Nikt oczywiście nie przyszedł, ale zebranie odbywało się, bo Bardyajowie wybrali wiejskie *tribus* dla swego nowo przyznanego obywatelstwa. Kwintus Lutacjusz Katulus Cezar i flamen *Dialis* Lucjusz Korneliusz Merula zostali niezwłocznie oskarżeni o zdradę stanu.

- Nie będę czekał na wyrok - powiedział Katulus Cezar z oczami czerwonymi od płaczu po stracie braci i tak wielu przyjaciół. Mówił to do Mamerka, którego wezwał pilnie do swego domu. - Zabierz żonę i córkę Lucjusza Korneliusza Sulli i uciekaj natychmiast, błagam cię, Mamerku! Następnym oskarżonym będzie Lucjusz Sulla, a wszyscy związani z nim zginą albo i gorzej, w przypadku Dalmatyki, i w przypadku twojej żony Kornelii Sulli.

- Myślałem o pozostaniu - powiedział Mamerkus. Wyglądał na wyczerpanego. - Rzym będzie potrzebował ludzi nie tkniętych tą okropnością, Kwintusie Lutacjuszu.

- Tak, Rzym będzie potrzebował takich ludzi. Nie znajdzie ich jednak wśród tych, którzy pozostaną, Mamerku. Nie zamierzam żyć ani chwili dłużej, niż będę musiał. Obiecuj mi, że zabierzesz Dalmatykę, Kornelię Sullę i te wszystkie dzieci i odprawisz bezpiecznie do Grecji. Pod własną eskortą. Potem będę mógł spokojnie zrobić to, co będę musiał.

Tak więc Mamerkus obiecał z ciężkim sercem i zrobił tego dnia wiele, by zabezpieczyć ruchomości i gotówkę Sulli, Skaurusa, Druzusa, Serwiliuszów Cepionów, Dalmatyki, Kornelii Sulli i własne. Z nadejściem nocy wyszedł z kobietami i dziećmi przez Porta Sanqualis, najmniej popularną z rzymskich bram, i skierował się na Via Salaria. Wydawało się to bezpieczniejsze, niż iść na południe do Brundyjum.

Co do Katulusa Cezara, wysłał on krótkie listy do flamena *Dialis* Meruli i do pontifexa maximusa Scewoli. Potem kazał swoim służącym rozpalić we wszystkich przenośnych piecykach, jakie były w domu, i ustawić je w apartamencie dla gości. Świeżo tynkowane ściany wydzielają tam jeszcze ostry zapach wapna. Pozatykawszy wszystkie otwory i szczeliny, Katulus Cezar



usiadł na wygodnym krześle i rozwinął zwój zawierający ostatnie księgi *Iliady*, jego ulubioną lekturę. Kiedy ludzie Mariusza wyłamali drzwi, znaleźli go siedzącego na krześle ze zwojem na kolanach. Komnata była pełna duszących wyziewów, a ciało Katulusa Cezara zimne.

Lucjusz Korneliusz Merula nie przeczytał listu od Katulusa Cezara, bo nie było go już wśród żywych. Ułożywszy swoje *apex* i *laena* starannie zwinięte pod posągami Wielkiego Boga w jego świątyni, Merula poszedł do domu i tam w gorącej kąpieli podciął sobie żyły kościanym nożem.

Pontifex maximus Scewola przeczytał swój list.

*Wiem, Kwintusie Mucjusz, że zdecydowałaś się połączyć swój los z Lucjuszem Cynną i Gajuszem Mariuszem. Mogę nawet zrozumieć dlaczego. Twoja córka jest zaręczona z Mariuszem Młodszym, a to zbyt piękna fortuna, by ją odrzucać. Jesteś jednak w błędzie. Gajusz Mariusz stracił rozum, a ludzie, którzy idą za nim, są niewiele lepsi od barbarzyńców. Nie mam na myśli jego niewolników. Mam na myśli takich jak Fimbria, Anniusz i Cenzorynus. Cynna pod wielu względami jest dość porządnym człowiekiem, ale nie zdoła kontrolować Gajusza Mariusza. Ty też nie.*

*Kiedy to otrzymasz, będę już martwy. Wydaje mi się znacznie bardziej pożądane umrzeć, niż przeżyć resztę życia na wygnaniu - albo zostać wkrótce jedną z wielu ofiar Gajusza Mariusza. Moi biedni bracia! Podoba mi się to, że mogę wybrać czas, miejsce i przyczynę swojej śmierci. Gdybym czekał do jutra, nie miałbym żadnego wyboru.*

*Skończyłem pisać swoje pamiętniki i bardzo żałuję, że nie usłyszę komentarzy po ich wydaniu. One jednak będą żyły, kiedy mnie już nie będzie. Aby je uchronić - nie są one bowiem pochwałą Gajusza Mariusza - wysłałem je przez Mamerka do Lucjusza Korneliusza Sulli do Grecji. Kiedy Mamerkus wróci w lepszych czasach, podejmie się ich publikacji. I wyśle kopię do Smyrny Publiusza Rutyliusza Rufusa, aby mu odwzajemnić złośliwości, które pisał o mnie w swoich listach.*

*Uważaj na siebie, Kwintusie Mucjusz. Byłoby interesujące zobaczyć, jak zdołasz pogodzić zasady z koniecznością. Ja nie umiałem. Co prawda moje dzieci już pozawierały małżeństwa.*

Ze łzami w oczach Scewola zmiął arkusik papieru w kulkę i wrzucił do płonącego piecyka. Było zimno, on zaś był już w wieku, w którym chłód odczuwa się dotkliwie. Żeby też zabijać jego sędziwego stryja Augura! Całkiem nieszkodliwego. Tamci mogą sobie mówić, aż posinieją na twarzy, że wszystko to było straszliwą pomyłką. Nic, co wydarzyło się w Rzymie w dniu Nowego Roku i później, nie było pomyłką. Grzejąc dłonie i ocierając łzy, Scewola patrzył w węgle żarzące się w trójnogu z brązu, nie domyślając się, że ostatnie wrażenia Katulusa Cezara były w większości takie same.



Głowy Katulusa Cezara i flamera *Dialis* Meruli zostały dołączone do wieńczącej rostra kolekcji przed świtem trzeciego dnia siódmego konsulatu Gajusza Mariusza. Sam Mariusz spędził długie chwile, przyglądając się głowie Katulusa Cezara - nadal przystojnej i wyniosłej - zanim pozwolił Popiliuszowi Lenasowi prowadzić kolejne Zgromadzenie Plebejskie.

To zebranie wyładowało swą złość na Sulli, który został skazany i ogłoszony wrogiem publicznym, a cały jego majątek został skonfiskowany, ale nie ku większej chwale Rzymu. Mariusz pozwolił swoim Bardyajom splądrować wspaniały nowy dom Sulli z widokiem na Circus Maximus, a potem spalić go doszczętnie. Podobny los spotkał majątek Antoniusza Oratora. Żaden z nich nie zostawił jednak wskazówek co do miejsca ukrycia swych pieniędzy i żaden nie zwracał się nigdy do żadnego rzymskiego banku, a przynajmniej nie dało się tego wyśledzić. Tak więc niewolniczy legion zagarnął bardzo wiele, z majątku Sulli i Antoniusza Oratora, podczas gdy Rzym nic na tym nie zyskał. Popiliusz Lenas był tak zły, że posłał gromadę niewolników państwowych do przekopywania wystygłych popiołów domu Sulli w poszukiwaniu ukrytych skarbów. Kiedy Bardyajowie plądrowali dom, nie było w nim szafek z podobiznami Sulli i jego przodków ani bezcennego cytrusowego stołu - Mamerkus dobrze się sprawił, i tak samo nowy rządca Sulli Chryzogonus. Ci dwaj i mała armia niewolników, którym polecono niczego po sobie nie okazywać, ogołocili w pół dnia pół tuzina najbogatszych rzymskich domów z najcenniejszych rzeczy i ukryli w miejscach, gdzie nikt nie myślał ich szukać.



W ciągu pierwszego dnia siódmego konsulatu Mariusza nie zajrzał on nawet do domu ani nie widział się z Julią. Nawet Mariusz Młodszy został odesłany z miasta przed dniem Nowego Roku i skierowany do pracy przy zwalnianiu ludzi, których Mariusz już nie potrzebował. Z początku Mariusz bał się, że Julia będzie go szukała, i krył się za swoimi Bardyajami, którym polecił odprowadzić żonę do domu, gdyby pojawiła się na Forum. Kiedy jednak minęły trzy dni bez żadnego znaku od niej, odprężył się nieco. Jediną oznaką stanu jego umysłu były nie kończące się listy, które pisał do syna, doradzając mu, by pozostał tam, gdzie jest, i by nie wracał do Rzymu.

- Jest szalony, ale jednocześnie zdrów na umyśle. Wie, że nie może spojrzeć Julii w twarz po takiej krwawej łaźni - powiedział Cynna do swego przyjaciela Gajusza Juliusza Cezara. Wrócił on właśnie z Ariminum, gdzie pomagał Mariuszowi Gratydianowi powstrzymać Serwiliusza Watię w granicach Galii italskiej.

- Gdzie zatem mieszka? - spytał poszarzały na twarzy szwagier Mariusza, siłą woli zdobywając się na spokój.

- W namiocie, jeśli możesz w to uwierzyć. O tam, widzisz? Kazał go rozstawić przy sadzawce Kurcjusza, w której zażywa kąpieli. Wydaje się, że wcale nie



sypia. Kiedy nie zabawia się z najgorszymi ze swoich niewolników i z tym potworem Fimbrią chodzi, chodzi i chodzi, wtykając nos we wszystko, niczym te stare babcie, które poszturchują laskami wszystko, co zobaczą. Nie ma dla niego nic świętego! - Cynna zadrżała. - Nie mogę go kontrolować. Nie mam pojęcia, co mu chodzi po głowie ani co może zrobić za chwilę. Wątpię, czy on sam to wie.

Pogłoski o obłędzie wewnątrz Rzymu zaczęły pojawiać się na drodze Cezara, odkąd dotarł do Wejów. Opowieści były jednak tak dziwne i tak pogmatwane, że nie dawał im wiary. Zmienił jedynie trasę. Zamiast jechać przez Pole Marsowe i odwiedzić po drodze swego powinowatego Sertoriusa, Cezar wybrał *diverticulum* przejechawszy most Mulwijski i kierując się ku Bramie Kollińskiej. Jego informacje były na tyle aktualne, że wiedział o odejściu armii Pompejusza Strabona i że Pompejusz Strabon nie żyje. W Wejach dowiedział się, że Mariusz i Cynna zostali konsulami i dlatego nie zwracał uwagi na plotki o niewiarygodnym rozpętaniu przemocy w mieście. Kiedy jednak dotarł do Bramy Kollińskiej zastał ją obsadzoną przez setkę żołnierzy.

- Gajusz Juliusz Cezar? - spytał centurion, który dobrze znał legatów Gajusza Mariusza.

- Tak - przyznał zaniepokojony Cezar.

- Mam polecenie konsula Lucjusza Cynny, byś udał się wprost do jego urzędu w świątyni Kastora.

Cezar zmarszczył brwi.

- Zrobię to z radością centurionie, ale wolałbym najpierw zajść do domu.

- Polecenie mówi: „zaraz”, Gajuszu Juliuszu. - Centurion postarał się, by zabrzmiało to zarówno grzecznie, jak i rozkazująco.

Tłumiąc niepokój, Cezar pojechał Vicus Longus wprost na Forum.

Dym szpecący doskonały błękit bezchmurnego nieba już od mostu Mulwijskiego przemienił się teraz w całun. W powietrzu unosiły się popioły. Z rosnącym przerażeniem dostrzegł martwe ciała - mężczyzn, kobiet, dzieci - porzucone tu i ówdzie na poboczach tej szerokiej prostej drogi. Kiedy dotarł do Fauces Suburae, serce biło mu jak szalone, a każda jego cząstka chciała skręcić i pogalopować w górę ku domowi, by się przekonać, że rodzinie nic nie grozi. Instynkt mówił mu jednak, że lepiej będzie dla jego rodziny, jeśli pojedzie wprost tam, gdzie mu kazano. Najwyraźniej na ulicach Rzymu toczyła się wojna, a z oddali, z gmatwaniny insuli Eskwilinu słychać było krzyki, wrzaski, wycia. Na Argiletum nie wypatrzył żywego ducha. Skręcił w Vicus Sandalarius i wjechał na Forum w jego środku, gdzie mógł ominąć budynki i przybyć do świątyni Kastora i Polluksa bez wkraczania na dolne Forum.

Znalazł Cynnę u stóp schodów świątyni i dowiedział się od niego, co się stało.

- Czego chcesz ode mnie, Lucjuszu Cynno? - spytał, patrząc na wielki namiot



rozstawiony przy sadzawce Kurcjusza.

- Nie chcę od ciebie niczego, Gajuszu Juliuszu - odrzekł Cynna.

- Więc puść mnie do domu! Wszędzie pożary; muszę się upewnić, co z moją rodziną.

- Ja nie posyłałem po ciebie, Gajuszu Juliuszu. Zrobił to Gajusz Mariusz. Kazałem tylko straży przy bramie dopilnować, żebyś przyjechał najpierw do mnie, bo nie wiedziałeś przecież, co się dzieje.

- Czego chce ode mnie Gajusz Mariusz? - spytał z drzeniem Cezar.

- Zapytajmy go. - I Cynna ruszył naprzód.

Ciała były teraz bezgłowe. Bliski zemdenia Cezar ujrzał rostra i ich wystrój.

- Ach, to przyjaciele! - krzyknął, a z oczu trysnęły mu łzy. - Moi kuzynowie! Moi koledzy!

- Zachowaj spokój, Gajuszu Juliuszu - powiedział Cynna głosem bez wyrazu. - Jeśli cenisz swoje życie, nie płacz, nie mdlej. Możesz być jego szwagrem, ale od Nowego Roku on byłby chyba zdolny kazać zabić własną żonę albo syna.

I oto stał tam, w pół drogi między namiotem a rastrami, rozmawiając z germańskim olbrzymem Burgundusem. I z trzynastoletnim synem Cezara.

- Gajuszu Juliuszu, jak miło cię widzieć! - zagrział Mariusz, biorąc Cezara w ramiona i całując z przesadnym uczuciem. Cynna spostrzegł, że chłopiec się skrzywił.

- Gajuszu Mariuszu! - wykrztusił Cezar.

- Zawsze byłeś słowny, Gajuszu Juliuszu. Twój list zapowiadał cię na dziś, i oto jesteś. W domu, w Rzymie. - Mariusz skinął na Burgundusa, który szybko odstąpił.

Oczy Cezara utkwione były jednak w jego synu, który stał wśród tych krwawych jatek, jakby niczego nie widział, ze spokojną nie pobladłą twarzą i ze spuszczoneymi powiekami.

- Czy twoja matka wie, że tu jesteś? - spytał Cezar, rozglądając się za Lucjuszem Dekumiuszem i dostrzegając go przyczajonego pod osłoną namiotu.

- Tak, ojciec, wie - odrzekł Cezar Młodszy niskim głosem.

- Twój chłopak jest już naprawdę dorosły, nie sądzisz? - spytał Mariusz.

- Tak - zgodził się Cezar, starając się nie okazać zdenerwowania.

- Tak, jest już dorosły.

- To chłop z jajami, czyż nie?

Cezar poczerwieniał, jego syn nie okazał jednak zakłopotania. Spojrzał tylko na Mariusza, jakby ubolewał nad jego grubiaństwem. Cezar zauważył z dumą że nie było w nim ani odrobiny strachu.

- Dobrze więc, mam kilka spraw do omówienia z wami dwoma - powiedział uprzejmie Mariusz, obejmując tym stwierdzeniem Cynnę. - Cezarze Młodszy, zaczekaj z Burgundusem i Lucjuszem Dekumiuszem, póki nie pomówię z twoim tatą. - Kiedy upewnił się, że chłopiec jest poza zasięgiem słyszalności,



zwrócił się do Cynny i Cezara z wesołą miną: - Pewnie pożera was ciekawość, jaką sprawę mogę mieć do was obu?

- Rzeczywiście - przyznał Cezar.

- Dobrze więc - powiedział (ten zwrot stał się jednym z jego ulubionych i regularnie używanych). - Prawdopodobnie znam Cezara Młodszeo lepiej niż ty, Gajuszu Juliuszu. Z pewnością częściej go widywałem przez ostatnie parę lat. To nadzwyczajny chłopiec. - Mariusz mówił z zamyśleniem, a w jego oczach pojawił się złośliwy błysk. - Rzeczywiście, naprawdę niezwykły chłopiec! Świetny, wiecie? Inteligentniejszy niż ktokolwiek, kogo znam. Pisze wiersze i sztuki, wiecie? Jest też jednak dobry w matematyce. Świetny, świetny. I z charakterem. I nie boi się kłopotów - ani sprawiania kłopotów, jeśli już o tym mowa. - Złośliwy błysk nasilił się, a prawy kącik ust Mariusza uniósł się nieco w górę. - Dobrze więc, powiedziałem sobie, kiedy zostałem po raz siódmy konsulem i wypełniłem proroctwo tamtej staruchy o mnie - bardzo lubię tego chłopaka! Lubię go na tyle, by mu życzyć spokojniejszego życia niż to, które sam prowadziłem. Jest bardzo uczony, wiecie. Pytałem więc sam siebie, czemu nie zapewnić mu pozycji, która umożliwi mu naukę. Czemu poddawać tego drogiego chłopca ciężkim próbom wojny, Forum, polityki?

Czując się, jakby stali na kruszącej się krawędzi wulkanu, Cynna i Cezar słuchali, nie mając pojęcia, dokąd ich Mariusz prowadzi.

- Dobrze więc - ciągnął Mariusz. - Nasz flamen *Dialis* nie żyje. Rzym nie może się jednak obejść bez tego szczególnego kapłana Wielkiego Boga, nieprawdaż? A tu oto mamy tego doskonałego chłopca, Gajusza Juliusza Cezara Młodszeo. Jest patrycjuszem. Oboje rodzice żyją. Jest zatem idealnym kandydatem na flamina *Dialis*. Poza tym, że nie jest żonaty, oczywiście. Ty jednak, Lucjuszu Cynno, masz nie zaręczoną z nikim córkę, która jest patrycjuszką i ma żyjących rodziców. Gdybyś ją wydał za Cezara Młodszeo, wszystkie kryteria zostałyby spełnione. Byliby z nich idealni flamen i flaminica *Dialis*! Nie musisz się martwić o znalezienie pieniędzy na *cursus honorum* twojego syna, Gajusza Juliuszu, a ty nie musisz się martwić o znalezienie pieniędzy na posag twojej córki, Lucjuszu Cynno. Ich potrzeby zaspokaja państwo, mieszkają na koszt państwa, a ich świetna przyszłość jest zapewniona. - Urwał, popatrzył rozpromieniony na obu osłupiałych ojców i wyciągnął prawą rękę. - Co wy na to?

- Przecież moja córka ma dopiero siedem lat! - powiedział oszołomiony Cynna.

- To żadna przeszkoda - odparł Mariusz. - Dorośnie. Mogą nadal mieszkać w swoich domach, dopóki nie będą na tyle dorośli, by żyć razem w ich domu państwowym. Małżeństwo nie może być oczywiście skonsumowane, zanim mała Kornelia Cynna Młodsza nie dojrzeje. Żadne prawo go jednak nie zabrania. - Podskoczył wesoło. - I co powiecie?



- No cóż, to mi z pewnością odpowiada - rzekł Cynna, czując ogromną ulgę, bo Mariusz nie chciał od niego niczego więcej. - Przyznaję, że trudno by mi było wyposażyć drugą córkę, kiedy pierwsza kosztowała mnie tak wiele.

- Gajuszu Juliuszu, co powiadasz?

Cezar spojrział w bok na Cynnę, którego mina mówiła jasno: zgódź się albo źle będzie z tobą i twoimi bliskimi.

- I mnie to odpowiada, Gajuszu Mariuszu.

- Świetnie! - wykrzyknął Mariusz i odtańczył mały taniec radości. Obrócił się w stronę Cezara Młodszeo i strzelił palcami. - Jeszcze jeden zwyczaj z ostatnich dni. - Chodź tu, chłopcze!

„Co za wspaniały chłopak!”, pomyślał Cynna, który pamiętał go dobrze z czasu, gdy Mariusz Młodszy był oskarżony o zabójstwo konsula Katona. „Jaki przystojny! Czemu jednak nie podobają mi się jego oczy? Czuję się nieswojo. Przypominają mi...” Nie mógł sobie jednak uświadomić, co mu przypominają.

- Tak, Gajuszu Mariuszu? - Cezar Młodszy wpatrywał się czujnie w twarz Mariusza. Wiedział oczywiście, że był przedmiotem tej rozmowy, której mu nie pozwolono słuchać.

- Ułożyliśmy plany na twoją przyszłość - powiedział z zadowoleniem Mariusz. - Masz poślubić młodszą córkę Lucjusza Cynny i zostać naszym nowym flamenem *Dialis*.

Cezar Młodszy nie rzekł nic. Twarz mu nie drgnęła. Zaszła w nim jednak głęboka przemiana, gdy słuchał słów Mariusza, chociaż nikt by nie odgadł jaka.

- Dobrze więc, Cezarze Młodszy, co powiesz? - spytał Mariusz.

Pytanie przyjęte zostało milczeniem. Oczy chłopca uciekły od Mariusza, z chwilą gdy wygłosił oświadczenie, teraz zaś były wpatrzone w stopy.

- Co powiesz? - powtórzył Mariusz z nieco gniewną miną.

Jasne, pozbawione wyrazu oczy podniosły się ku twarzy ojca chłopca.

- Myślałem, ojcze, że zostałem skazany na małżeństwo z córką bogacza Gajusza Kosucjusza.

Cezar poczerwieniał, zaciskając usta.

- Tak, rozważaliśmy małżeństwo z Kosucją. Nie było jednak żadnych ustaleń, ja zaś wolałbym dla ciebie to małżeństwo. I tę przyszłość.

- Niech pomyślę - powiedział Cezar Młodszy w zamyśleniu. - Jako flamen *Dialis* nie mogę oglądać zwłok. Nie mogę dotykać żelaza ani stali, od nożyczek i brzytwy do miecza i włóczni. Nie mogę zawiązywać na sobie żadnych węzłów. Nie mogę dotykać kóz, koni, psów, bluszczu. Nie mogę jeść surowego mięsa, chleba pszennoo ani drożdżowego, fasoli. Nie mogę dotykać skóry pochodzącej z zabitego zwierzęcia. Mam wiele ciekawych i ważnych obowiązków. Na przykład, ogłaszam winobranie na Winaliach. Prowadzę owcę podczas ofiary trzech zwierząt. Zamiatam świątynię Wielkiego Boga Jowisza. Odprawiam oczyszczenie domu, w którym ktoś zmarł. Tak, wiele ciekawych i



ważnych rzeczy!

Trzej mężczyźni słuchali, nie umiejąc odgadnąć z tonu Cezara Młodszeo, czy to sarkazm, czy naiwność.

- Co powiesz? - spytał po raz trzeci Mariusz.

Błękitne oczy podniosły się ku jego twarzy, tak podobne do oczu Sulli, że przez jedną niesamowitą chwilę Mariusz wyobraził sobie stojącego przed nim Sullę i sięgnął instynktownie po miecz.

- Powiem... Dziękuję ci, Gajuszu Mariuszu! To bardzo ładnie z twojej strony, że znalazłeś czas, by ułożyć tak starannie moją przyszłość. - W głosie chłopca nie było żadnych uczuć, ale też ani cienia urazy. - Rozumiem doskonale, wuju, czemu z taką troską zająłeś się moim skromnym losem. Nic nie ukryje się przed flamenem *Dialis*! Powiem ci też jednak, wuju, że nic nie może zmienić czyjegoś losu ani zapobiec spełnieniu jego przeznaczenia.

- Ach, nie możesz przecież ominąć warunków kapłaństwa! - wykrzyknął Mariusz z rosnącym gniewem. Bardzo pragnął ujrzeć, jak chłopiec wykręca się, prosi, płacze, rzuca się na ziemię.

- Mam nadzieję, że nie! - Cezar Młodszy był zaskoczony. - Źle mnie zrozumiałeś, wuju. Szczerze ci dziękuję za to nowe, prawdziwie Herkulesowe zadanie, które mi dałeś. - Spojrzał na ojca. - Idę teraz do domu. Chcesz iść ze mną czy masz tu jeszcze jakieś sprawy?

- Nie, idę z tobą. - Cezar wzdrygnął się, a potem spojrział na Mariusza. - Zgoda, konsulu?

- Pewnie - powiedział Mariusz, towarzysząc ojcu i synowi, gdy ruszyli przez dolne Forum.

- Lucjuszu Cynno, spotkamy się później. - Cezar podniósł dłoń na pożegnanie. - Dzięki za wszystko. Ten koń... należy do legionu Gratydiana, a ja nie mam dla niego stajni.

- Nie martw się, Gajuszu Juliuszu. Każę jednemu z moich ludzi zająć się nim - rzekł Cynna, kierując się ku świątyni Kastora i Polluksa w znacznie lepszym nastroju niż przed spotkaniem z Mariuszem.

- Myślę - powiedział Mariusz po tej wymianie uprzejmości - że jutro połączymy nasze dzieci węzłem małżeńskim. Małżeństwo może być zawarte w domu Lucjusza Cynny o świcie. Pontifex maximus, kolegium pontyfików, kolegium augurów i wszystkie pomniejsze kolegia kapłańskie zbiorą się potem w świątyni Wielkiego Boga na inauguracji naszego nowego flamera i flaminiki *Dialis*. Z konsekracją trzeba poczekać, aż nałożysz męską togę, Cezarze Młodszy, ale inauguracja spełnia wszystkie wymagania prawa.

- Jeszcze raz ci dziękuję, wuju.

Mijali rostra. Mariusz stanął, unosząc rękę ku dziesiątkom przerażających trofeów otaczających mównicę.

- Spójrzcie na to! - wykrzyknął radośnie. - Co za widok!



- Tak - rzekł Cezar. - Z pewnością.

Syn ruszył dalej wielkimi krokami, nie dbając o to, czy ktoś pójdzie za nim. Odwracając głowę, ojciec zauważył, że Lucjusz Dekumiusz trzyma się w dyskretnym oddaleniu. Cezar Młodszy nie powinien przychodzić samotnie w to okropne miejsce i choć Cezar nie lubił Lucjusza Dekumiusza, miło mu było go tu widzieć.

- Jak długo on jest konsulem? - spytał nagle chłopiec. - Całe cztery dni? Wydaje się, że całą wieczność! Nigdy przedtem nie widziałem, że matka płacze. Wszędzie zabici... płaczące dzieci... pół Eskwilinu się pali... głowy zatknięte wokół rostrów... wszędzie krew... jego Bardyajowie, jak ich nazywa, łapią kobiety za piersi i chleją wino! Cóż za chwalebny siódmy konsulat! Homer musiałby podejść do rowu na skraju Pól Elizejskich i łyknąć sobie krwi, żeby opiewać czyny siódmego konsulatu Gajusza Mariusza! Z pewnością Rzym nie poskąpi mu krwi!

Jak można odpowiedzieć na taką diatrybę? Nie znając prawie własnego domu, nie rozumiejąc własnego syna, Cezar nie wiedział, więc nie odpowiedział wcale. Kiedy chłopiec wpadł do domu z ojcem starającym się za nim nadążyć, stanął na środku sali przyjęć i krzyknął na całe gardło:

- Matko!

Cezar usłyszał stuk upuszczonego trzcinowego pióra, a potem Aurelia wybiegła ze swej pracowni z przerażoną twarzą. Z jej dawnej piękności pozostały zaledwie ślady. Była wychudzona, miała podkrążone oczy, obrzmiałą twarz i popękane wargi. Całą uwagę skupiła na Cezarze Młodszym, a gdy przekonała się, że nic mu się nie stało, odprężyła się. Potem ujrzała, kto mu towarzyszy, i ugięły się pod nią kolana.

- Gajusz Juliusz!

Pochwyił ją zanim upadła, i trzymał w objęciach.

- Ach, tak się cieszę, że wróciłeś! - powiedziała w fałdy jego jeździeckiego płaszcza. - To koszmar!

- Jeśli już skończyliście... - parsknął Cezar Młodszy.

Rodzice obrócili się ku niemu.

- Mam ci coś do powiedzenia, matko - oznajmił, nie myśląc o niczym poza własnym monumentalnym problemem.

- Co takiego? - Spytała z roztargnieniem, wciąż jeszcze dochodząc do siebie po podwójnym wstrząsie.

- Czy wiesz, co on mi zrobił?

- Kto? Twój ojciec?

Cezar Młodszy odprawił ojca szerokim gestem.

- Nie, nie on! Nie! On tylko wpadł w środek tego, czego się spodziewałem. Mam na myśli drogiego, miłego, troskliwego wuja Gajusza Mariusza!

- Co ci zrobił Gajusz Mariusz? - spytała spokojnie, dygocąc wewnątrz.



- Mianował mnie flamenem *Dialis*! Mam poślubić jutro o świcie siedmioletnią córkę Lucjusza Cynny i zaraz potem zostanę wprowadzony na urząd flamena *Dialis* - mówił przez zaciśnięte zęby Cezar Młodszy.

Aurelii zaparło dech i zabrakło jej słów. Jej pierwszą reakcją była głęboka ulga. Kiedy Mariusz wezwał Cezara Młodszeego na dolne Forum, była przerażona. Przez cały czas jego nieobecności sumowała jedną kolumnę liczb w swoim rejestrze i nie udało jej się uzyskać dwukrotnie takiego samego wyniku. Jej myśli pełne były wizji tego, o czym tylko słyszała, a co jej syn musiał teraz oglądać - tych głów na rostrach, tych martwych ciał. Tego szalonego starca.

Cezar Młodszy miał dość czekania na odpowiedź, zaczął więc odpowiadać sam sobie:

- Nigdy nie pójdę na wojnę, żeby z nim rywalizować. Nigdy nie stanę do wyborów na konsula, żeby z nim rywalizować. Nigdy nie będę miał okazji zostać Czwartym Założycielem Rzymu. Zamiast tego mam spędzić resztę życia, mamroczać modlitwy w jakimś języku, którego nikt z nas już nie rozumie... zamiatając świątynię... pozostając do dyspozycji każdego Lucjusza Utracjusza, który zechce oczyścić sobie dom... nosząc jakieś śmieszne szaty! - Piękne męskie dłonie z rozchyłonymi długimi palcami uniosły się w powietrze, szarpiąc je bezsilnie. - Ten starzec pozbawił mnie przyrodzonych praw, by zachować swą żalosną pozycję w podręcznikach historii!

Żadne z tych dwojga nie miało dotąd wglądu w myśli Cezara Młodszeego ani nie miało udziału w jego marzeniach o własnej przyszłości. Gdy tak stali, słuchając tej namiętnej mowy, szukali sposobu, by mu wytłumaczyć, że to, co zaszło, co zostało postanowione, było obecnie nieuniknione. Trzeba go było zmusić do zrozumienia, że najlepszą rzeczą w tych okolicznościach będzie pogodzenie się z losem.

Jego ojciec wybrał surowość i dezaprobatę.

- Nie bądźże śmieszny! - powiedział.

Matka poszła za jego przykładem, bo to właśnie zawsze zalecała chłopcu - obowiązkowość, posłuszeństwo, pokorę, samoograniczenie - wszystkie te rzymskie cnoty, których nie posiadał. Ona także powiedziała:

- Nie bądź śmieszny! - Dodała jednak: - Czy myślisz poważnie, że mógłbyś kiedyś rywalizować z Gajuszem Mariuszem? Nikt nie może!

- Rywalizować z Gajuszem Mariuszem? - spytał ich syn, opuszczając ręce. - Ja zgaszę jego blask, jak słońce gasi księżyc!

- Jeśli tak widzisz to wielkie wyróżnienie, Gajuszu Młodszy - powiedziała. - Gajusz Mariusz miał słuszość, przydzielając ci to zadanie. To jest kotwica, której bardzo potrzebujesz. Twoja pozycja w Rzymie jest zapewniona.

- Nie chcę zapewnionej pozycji! - krzyknął chłopiec. - Chcę walczyć o swoją pozycję! Chcę, by moja pozycja była wynikiem moich starań! Jaką satysfakcję



daje pozycja starsza niż sam Rzym, narzucona mi przez kogoś, kto chce w ten sposób chronić własną reputację?

Cezar miał posępną minę.

- Jesteś niewdzięczny - powiedział.

- Ależ, ojcze! Jak możesz być tak ślepy? To nie moja wina, tylko Gajusza Mariusza! Ja jestem taki, jak byłem zawsze! Nie jestem niewdzięczny! Wkładając na mnie to brzemie, którego będę musiał się jakoś pozbyć, Gajusz Mariusz nie zrobił niczego, co zasługiwałoby na moją wdzięczność! Jego motywy są tak samo nieczyste, jak samolubne.

- Przestań wreszcie przeceniać swe znaczenie! - zawołała zdesperowanym tonem Aurelia. - Synu, powtarzałam ci od małego, odkąd nosiłam cię na rękach, że twoje idee i ambicje są zbyt wielkie!

- I co z tego? - spytał chłopiec z jeszcze większą desperacją. - Matko, tylko ja jeden mogę to osądzić! I to dopiero pod koniec mego życia, nie zanim się zaczęło! A teraz nie zacznie się wcale!

Cezar uznał, że czas wypróbować inną taktykę.

- Gajuszu Młodszy, nie mamy w tej sprawie wyboru - powiedział. - Byłeś na Forum i wiesz, co się dzieje. Jeśli Lucjusz Cynna, który jest starszym konsulem, uważa za roztropne zgadzać się na wszystko, co mówi Gajusz Mariusz, nie mogę mu się sprzeciwić! Muszę myśleć nie tylko o tobie, ale i o twojej matce i dziewczętach. Gajusz Mariusz nie jest dawnym sobą. Jest chory na umyśle. Ma jednak władzę.

- Tak, widzę. - Cezar Młodszy nieco ochłonął. - W tym jednym nie chcę go prześcignąć ani nawet iść z nim w zawody. Z mojej przyczyny krew nie popłynie ulicami Rzymu.

Równie nieczuła, jak praktyczna, Aurelia uznała kryzys za zażegnany. Skinęła głową.

- Tak lepiej, mój synu. Czy ci się to podoba, czy nie, zostaniesz flamenem *Dialis*.

Cezar Młodszy zacisnął zęby i przeniósł posępne spojrzenie z wyniszczonej pięknej twarzy matki na zmęczoną przystojną twarz ojca. Nie dopatrzył się prawdziwego współczucia, co gorsza, nie dopatrzył się prawdziwego zrozumienia. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że jemu samemu zabrakło zrozumienia kłopotliwej sytuacji rodziców.

- Czy mogę odejść? - spytał.

- Jeśli będziesz unikać Bardyjajów i nie pójdziesz dalej niż do Lucjusza Dekumiusza.

- Idę tylko do Gajusza Matiusa.

Wyszedł drzwiami do ogrodu na podwórko insuli. Był teraz wyższy od matki, raczej szczupły niż chudy, o ramionach zbyt szerokich na jego wzrost.

- Biedny chłopak - powiedział Cezar, który trochę z tego rozumiał.



- Jest teraz na stałe uwiązany - rzekła Aurelia. - Boję się o niego, Gajuszu Juliuszu. On nie ma żadnych hamulców.



Gajusz Matius był synem rycerza Gajusza Matiusa i był dokładnie w tym samym wieku co Cezar Młodszy. Urodzili się po przeciwnych stronach podwórka oddzielającego apartamenty ich rodziców i razem dorastali. Ich przyszłe losy musiały się różnić, tak jak różniły się ich chłopięce nadzieje, znali się jednak jak bracia, a lubili się bardziej niż zwykle rodzeństwo.

Gajusz Matius był drobniejszy niż Cezar Młodszy, o jaśniejszej cerze i orzechowych oczach. Miał miłą pogodną twarz i we wszystkim przypominał ojca. Pociągał go już handel i prawo handlowe i cieszył się tym zajęciem na przyszłość. Kochał też ogrodnictwo i miał do niego szczególny dar.

Kopał właśnie ziemię w swoim kącie podwórka, gdy ujrzał wchodzącego przyjaciela i od razu wiedział, że stało się coś złego. Odłożył rydel i wstał, otrzepując ziemię z tuniki, a potem zrujnował cały efekt, wycierając brudne palce o jej przód.

- Co się dzieje? - spytał łagodnie.

- Pogratuluj mi, Pustulo! - powiedział donośnie Cezar Młodszy. - Jestem nowym flamenem *Dialis*!

- Wielki Boże - powiedział Matius, którego Cezar Młodszy od dzieciństwa nazywał Bąblem, bo zawsze był od niego mniejszy. - Pavo, to świństwo!

On sam równie długo nazywał Cezara Młodszego Pawiem. Ich matki zabrały ich kiedyś wraz z siostrami na wycieczkę na wzgórze Pincius, gdzie pawie stapały dumnie i rozkładały ogony, uzupełniając pianę migdałowych kwiatów i dywan z narcyzów. Tak właśnie stapał i puszył się mały Cezar Młodszy i odtąd został Pawiem, Pavo.

Cezar Młodszy przykucnął przy Gajuszu Matiusie i skupił się na powstrzymaniu łez, bo gniew mu przeszedł, ale żal pozostał.

- Zamierzałem zdobyć wieniec z trawy w jeszcze młodszym wieku niż Sertoriusz - mówił. - Zamierzałem zostać największym wodzem w dziejach świata, większym nawet niż Aleksander. Zamierzałem zostać konsulem więcej razy niż Gajusz Mariusz. Chciałem mieć kolosalną *dignitas*.

- Będiesz miał ogromną *dignitas* jako flamen *Dialis*.

- Nie jako ja. Ludzie szanują ten tytuł, a nie posiadacza tytułu.

Matius westchnął i odłożył rydel.

- Chodźmy do Lucjusza Dekumiusza.

To był dobry pomysł. Cezar Młodszy wstał ochoczo.

- Chodźmy.

Wyszli przez apartament Matiusa na Suburę Minor i przeszli wzdłuż budynku do wielkiego skrzyżowania ulic Subury Minor i Vicus Patricius. Tutaj, u szczytu trójkątnej insuli Aurelii, mieściła się siedziba miejscowego kolegium



rozdroży i tutaj od dwudziestu z górą lat królował Lucjusz Dekumiusz.

Był oczywiście na miejscu. Od Nowego Roku nigdzie nie wychodził, chyba tylko po to, żeby chronić Aurelię albo jej dzieci.

- To przecież Paw i Bąbel! - odezwał się wesoło zza swego stołu w głębi. - Trochę wina do wody? - Cezar Młodszy i Matius nie przepadali za winem, pokręcili więc głowami i przysiedli na ławie naprzeciw Lucjusza Dekumiusza, który nalewał im wody do kubków. - Marnie wyglądasz. Co u Gajusza Mariusza? O co chodzi? - pytał Cezara Młodszego, a jego bystre oczy pełne były uczucia.

- Gajusz Mariusz mianował mnie flamenem *Dialis*.

Chłopiec doczekał się w końcu upragnionej reakcji na tę nowinę. Lucjusz Dekumiusz najpierw osłupiał, a potem wpadł w złość.

- Mściwy stary gnój!

- Nieprawdaż?

- Doglądałeś go całe miesiące, Pavo. Aż za dobrze cię zna. Trzeba powiedzieć, że nie jest głupi, chociaż coś mu strzeliło do głowy.

- Co mam robić, Lucjuszu Dekumiuszu?

Nadzorca kolegium rozdroży przez dłuższą chwilę nie odpowiadał, gryząc wargi w zamyśleniu. Potem spojrzął bystro w twarz Cezara Młodszego i uśmiechnął się.

- Teraz tego nie wiesz, Pavo, ale się w końcu dowiesz - powiedział z ożywieniem. - Po co wyrzucać wszystko na śmietnik? Nikt lepszych nie układa planów niż ty, kiedy musisz. Przewidujesz swoją przyszłość, ale się o nią nie boisz! Czego się boisz teraz? To tylko cios, chłopcze, nic więcej. Ja cię lepiej znam niż Mariusz. Znajdziesz wyjście! To jest Rzym, nie Aleksandria, a w Rzymie zawsze się znajdzie jakiś prawny wykręt.

Gajusz Matius Pustula siedział i słuchał, ale nie mówił nic. Jego ojciec zajmował się sporządzaniem kontraktów i aktów prawnych, wiedział więc najlepiej, jak prawdziwe jest to stwierdzenie. A jednak... wszystko to było prawdą, póki chodziło o kontrakty i akty prawne. Kapłaństwo Jowisza było jednak wyższe nad wszystkie prawne wykręty, bo było starsze niż Dwanaście Tablic, a Pavo Cezar był wystarczająco inteligentny i odczytany, żeby to wiedzieć.

Wiedział to oczywiście i Lucjusz Dekumiusz. Wrażliwszy niż rodzice Cezara Młodszego, rozumiał jednak, jak ważne jest, by mu zostawić nadzieję. Pozbawiony jej mógłby się rzucić na własny miecz, którego teraz nie wolno mu było dotykać. Jak z pewnością wiedział Gajusz Mariusz, Cezar Młodszy nie był stworzony do flaminatu. Chłopiec był niezwykle przesądny, ale religia go nudziła. Takie zamknięcie w ogrodzeniu reguł i przepisów musiałyby go zabić.

- Mam ślub jutro rano przed inauguracją - powiedział Cezar Młodszy ze skrzywioną miną.



- Co takiego? Z Kosucją?

- Nie, nie z nią. Nie jest dość dobra, by zostać flaminiką *Dialis*. Miałem ją poślubić tylko dla jej pieniędzy. Jako flamen *Dialis* muszę się ożenić z patrycjuszką. Dają mi więc córkę Lucjusza Cynny. Ma siedem lat.

- No cóż, w takim razie to bez znaczenia, czy nie? Lepsze siedem niż osiemnaście, mój pawiku.

- Chyba tak. - Chłopiec zacisnął usta i skinął głową. - Masz słuszość, Lucjuszu Dekumiuszu. Znajdę jakiś sposób!

W świetle wydarzeń następnego dnia wyglądało to na pustą obietnicę. Cezar Młodszy zaczynał rozumieć, jak sprytną pułapkę zastawił na niego Gajusz Mariusz. Wszyscy bali się przejścia z Subury na Palatyn, ale w ciągu poprzednich osiemnastu godzin odbyło się wielkie sprzątanie. Lucjusz Dekumiusz poinformował o tym Cezara, który zastanawiał się właśnie, jak ominąć środek miasta. Nie chodziło o Cezara Młodszego, który widział już to, co najgorsze, ale o jego matkę i siostry.

- Wiem od Bardyjów, że nie tylko wasz chłopiec dziś się żeni. Gajusz Mariusz sprowadził wieczorem Mariusza Młodszego, żeby go ożenić. Nie dba o to, co myślą inni, z wyjątkiem Mariusza Młodszego. Możemy przejść przez Forum. Krew jest zmyta, a ciała usunięte. Tak jakby biedny chłopak nie wiedział, co zrobił jego ojciec!

Cezar patrzył z lękiem na małego człowieka.

- Czy rzeczywiście rozmawiasz z tymi strasznymi ludźmi?

- Pewnie, że tak! - odparł pogardliwie Lucjusz Dekumiusz. - Sześciu z nich należało, i chyba należy, do mojego bractwa.

- Rozumiem - powiedział oschle Cezar. - Cóż, chodźmy więc.

Małżeństwo zawarte w domu Lucjusza Cynny było związkiem na całe życie, *confarreatio*. Panna młoda - drobna nawet jak na swój wiek - nie była ani zbyt bystra, ani przedwcześnie rozwinięta. Dziwacznie wystrojona w barwy ognia i szafranu, obwieszona wełną i talizmanami, przebyła ceremonię z ożywieniem i entuzjazmem lalki. Kiedy uniesiono welon, Cezar Młodszy ujrzał jej twarz z dołeczkami na policzkach, podobną do kwiatu i przyozdobioną parą ogromnych czułych ciemnych oczu. Zrobiło mu się jej żal, więc uśmiechnął się czarująco i został nagrodzony paradą dołeczków i przebłyskiem uwielbienia.

Nowożeńcy zawarli związek małżeński w bardzo młodym wieku. Większość dobrze urodzonych rzymskich rodziców zaczęłaby dopiero myśleć o kandydatach do zaręczyn dla swych dzieci. Rodziny odprowadziły potem państwa młodych na Kapitol i do świątyni Jowisza Najlepszego i Największego, którego posąg głupkowato się do nich uśmiechał.

Nie było innych nowożeńców. Starsza siostra Cynilli, Kornelia Cynna, została pośpiesznie wydana za mąż dzień wcześniej za Gnejusza Domicjusza Ahenobarba. Pośpiech nie wynikał ze zwykłych powodów. Gnejusz Domicjusz



Ahenobarbus uznał za roztropne chronić swą głowę przez poślubienie córki kolegi Mariusza. Mariusz Młodszy przybył o zmroku poprzedniego dnia, o świcie zaś poślubił córkę pontifexa maximusa Scewoli, Mucję Tercję, zwaną tak dla odróżnienia od swych dwóch starszych kuzynek. Żadna z tych par nie robiła wrażenia szczęśliwej, ale w przypadku Mariusza Młodszego i Mucji Tercji było to szczególnie widoczne. Nigdy się przedtem nie spotkali i nie mieli możliwości skonsumowania swego związku, bo Mariusz Młodszy otrzymał rozkaz powrotu do swych obowiązków natychmiast po zakończeniu ostatnich formalności tego dnia.

Mariusz Młodszy wiedział oczywiście o okropnościach popełnionych przez ojca i spodziewał się wcześniej, że pozna je w całej rozciągłości w Rzymie. Mariusz spotkał się z nim w swym obozie na Forum i była to bardzo krótka rozmowa.

- O świcie masz się stawić w domu Kwintusa Mucjusza Scewoli na swój ślub - usłyszał. - Przepraszam, że mnie tam nie będzie. Za wiele zajęć. Będziesz ze swoją żoną na inauguracji nowego flamera *Dialis* - mówiono mi, że to bardzo wielka uroczystość - a potem pójdziesz na ucztę do domu nowego flamera *Dialis*. Kiedy tylko ucza się skończy, wracasz do służby do Etrurii.

- Jak to? Nie będę miał okazji skonsumowania swego małżeństwa? - spytał Mariusz Młodszy, starając się być beztroski.

- Przykro mi, synu. Tamto musi poczekać, aż rzeczy się ułożą - odrzekł Mariusz. - Wracasz prosto do obowiązków!

Coś w twarzy starca powstrzymywało go przed zadaniem pytania, które musiał postawić. Mariusz Młodszy zaczerpnął tchu i zapytał:

- Ojczy, czy mogę zobaczyć się z matką? Mogę tam przenocować?

Żal, ból, udręka - wszystko to naraz zapłonęło w oczach Mariusza.

Wargi mu zadrżały. Potem powiedział:

- Tak. - I odwrócił się.

Chwila, w której spotkał się z matką, była najokropniejsza w całym życiu Mariusza Młodszego. Jej oczy! Jak staro wyglądała! Jak była przybita. Jaka smutna. Była całkowicie zamknięta w sobie i niechętna do rozmowy o tym, co się stało.

- Chcę wiedzieć, mamó! Co on zrobił?

- To, czego nie robi nikt zdrowy na umyśle, Gajuszku.

- Wiedziałem, że był szalony po Afryce, ale nie wiedziałem jak bardzo. Ach, mamó, jak możemy to naprawić?

- Nie możemy. - Uniosła dłoń do głowy i zmarszczyła brwi. - Synu, nie mówmy o tym! - Oblizwała wargi. - Jak on wygląda?

- Chcesz powiedzieć, że to prawda?

- Co takiego?

- Że się z nim w ogóle nie widzisz?



- Nie widuję się z nim w ogóle, Gajuszku. Nie zobaczę się z nim nigdy więcej.

Ze sposobu, w jaki to powiedziała, Mariusz Młodszy nie odgadł, czy mówi we własnym imieniu, czy przeczuwa przyszłość, czy też zgaduje życzenie jego ojca.

- On nie wygląda dobrze, mamó. Nie jest sobą. Mówił, że nie może być na moim ślubie. Przyjdiesz?

- Tak, Gajuszku, przyjdę.

Po weselu - Mucja Tercja okazała się bardzo interesującą dziewczyną! - Julia wzięła udział w inauguracji Cezara Młodszeo w świątyni Jowisza Najlepszego i Największego, ponieważ Gajusz Mariusz był nieobecny. Miasto było wyszorowane i wypolerowane, więc Mariusz Młodszy nie dowiedział się niczego o okrucieństwach swego ojca, a jako syn Wielkiego Człowieka nie mógł zapytać nikogo.

Ceremonie w świątyni były niezwykle długie i niewiarygodnie nudne. Rozebrany do tuniki Cezar Młodszy został ubrany w szaty swego nowego urzędu - okropnie niewygodną i sztywną kolistą kapeę z dwóch warstw grubej wełny w szerokie pasy czerwone i purpurowe, w przyciasny spiczasty hełm z kości słoniowej z wełnianym krążkiem nadzianym na szpic, i w buty bez sprzączek i rzemieni. Miałyby nosić to wszystko codziennie przez całe życie? Nawykły do pięknego skórzanego pasa, podarowanego wraz ze zgrabnym sztylcikiem w pochwie przez Lucjusza Dekumiusza, brzuch Cezara Młodszeo czuł się bez niego dziwnie. Hełm z kości słoniowej robiony był na kogoś o znacznie mniejszej głowie, nie opadał więc na uszy, ale sterczał śmiesznie na włosach o tej samej barwie co kość słoniowa. Pontifex maximus Scewola zapewnił go, że wszystko jest w porządku. Gajusz Mariusz zamierza podarować mu nowy *apex*, a jego wykonawca ma przyjść jutro do apartamentu jego matki, by mu zmierzyć głowę.

Kiedy oczy chłopca ujrzały ciotkę Julię, serce zabiło mu jak młotem. Gdy przeróżni kapłani mamrotali wciąż na nowo modlitwy, on wpatrywał się w nią pragnąc, by na niego spojrzała. Wyczuła to oczywiście, ale nie spojrzała. Wyglądała na znacznie więcej niż na swoje czterdzieści lat. Cała jej uroda zniknęła za murem trosk, spoza którego nie mogła wyrzeć. Pod koniec ceremonii, gdy wszyscy podchodzili z życzeniami do nowego flamera *Dialis* i jego podobnej do lalki flaminiki, Cezar Młodszy ujrzał w końcu oczy Julii - i pożałował tego. Pocałowała go jak zawsze w usta i pochylając głowę na jego ramię, zaszlochała.

- Tak mi przykro, Cezarze Młodszy - wyszeptała. - Nie powinien robić czegoś takiego. Stara się zranić wszystkich wokół, nawet tych, których nie powinien. On jednak nie jest sobą zrozum to, proszę!

- Rozumiem, ciociu Julio! - Chłopiec powiedział to tak cicho, że nikt prócz nich nie mógł słyszeć. - Nie martw się o mnie. Poradzę sobie z tym wszystkim.



W końcu o zachodzie słońca można było się rozejść. Nowy flamen *Dialis*, niosący swój za mały *apex* w rękę, w dławiącej go *laenie* i w opadających butach, poszedł do domu z rodzicami, z niezwykle uroczystymi siostrami, ciotką Julią, Mariuszem Młodszym i jego żoną. Nowa flaminika *Dialis* Cynilla - również ubrana w szatę ze sztywnej grubej wełny, niczym nie przewiązaną ani nie spiętą - poszła do swego domu z rodzicami, bratem, siostrą Kornelią Cynną i Gnejuszem Ahenobarbem.

- Tak więc Cynilla pozostanie u swej rodziny, dopóki nie skończy osiemnastu lat - mówiła Aurelia do Julii, celowo prowadząc tak rozmowę, gdy ulokowała już wszystkich w jadalni przy spóźnionym uroczystym obiedzie. - Jedenaście lat! W tym wieku wydaje się to wiecznością. W moim, zbyt krótkim czasem.

- I ja tak myślę - odpowiedziała Julia bezbarwnym tonem, siadając między Mucją Tercją a Aurelią.

- Mnóstwo dziś wesel! - powiedział wesoło Cezar, widząc zmartwioną twarz siostry. On sam leżał na *lectus medius*, zwyczajowym miejscu gościa, odstępując honorowe miejsce nowemu flamenowi *Dialis*, który po raz pierwszy w życiu korzystał z łoża biesiadnego i uznał to za dziwaczne i niewygodne, jak wszystko w tym pełnym zamętu dniu.

- Czemu nie przyszedł Gajusz Mariusz? - spytała nietaktownie Aurelia.

Julia zaczerwieniła się i wzruszyła ramionami.

- Jest zbyt zajęty.

Aurelia miała ochotę ugryźć się w język. Zamilkła i gorączkowo szukała wzrokiem pomocy u męża. Pomoc jednak nie nadeszła, a Cezar Młodszy pogorszył jeszcze sprawę.

- Brednie! Gajusz Mariusz nie przyszedł, bo nie śmiał przyjść - powiedział nowy flamen *Dialis*, siadając nagle na swej sofie i bezceremonialnie zrzucając swą *laenę* na posadzkę, gdzie spoczęła obok niezwykle butów. - Tak jest lepiej. Okropny strój. Nie cierpię go, nienawidzę!

Korzystając z szansy wybrnięcia z kłopotu, Aurelia zmarszczyła brwi.

- Jesteś niepobożny!

- Przecież mówię prawdę. - Cezar Młodszy oparł się na lewym łokciu z miną buntownika.

W tej właśnie chwili wniesiono pierwsze danie: kruchy biały chleb, oliwki, jajka, selery i sałatę.

Nowy flamen *Dialis* poczuł, że jest bardzo głodny - nie mógł jeść podczas ceremonii - i sięgnął po chleb.

- Nie! - krzyknęła Aurelia, blednąc z przerażenia.

Chłopak zamarł, patrząc na nią.

- Czemu nie?

- Nie wolno ci dotknąć pszennego ani drożdżowego chleba - odpowiedziała. - To jest teraz twój chleb.



I oto wniesiono półmisek, który postawiono przed nowym flamenem *Dialis* - półmisek pełen cienkich, płaskich, nieapetycznych kawałków jakiejś szarej masy.

- Co to jest? - spytał, patrząc na to coś z obrzydzeniem. - *Mola salsa*?

- *Mola salsa* robi się z orkisz, czyli pszenicy - odpowiedziała Aurelia, dobrze wiedząc, że i on to wie. - To jest jęczmień.

- Nie zakwaszony chleb jęczmienny - powiedział bezbarwnym tonem Cezar Młodszy. - Nawet egipscy wieśniacy jedzą coś lepszego niż to! Będę chyba jadł zwyczajny chleb. Rozchorowałbym się od tego.

- Cezarze Młodszy, dziś jest dzień twojej inauguracji - rzekł ojciec. - Znaki były pomyślne. Jesteś teraz flamenem *Dialis*. W tym właśnie dniu, ponad inne dni, wszystko musi być skrupulatnie przestrzegane. Ty jesteś łącznikiem Rzymu z Wielkim Bogiem. Wszystko, co robisz, wpływa na stosunki Rzymu z Wielkim Bogiem. Wiem, że jesteś głodny. Przyznaję, że to jedzenie jest okropne. Od dziś nie możesz jednak stawiać siebie przed Rzymem. Jedz swój chleb.

Oczy chłopca wędrowały od twarzy do twarzy. Nabrał tchu i powiedział to, co należało powiedzieć. Nie powiedziała by tego nikt z dorosłych. Mieli zbyt wiele lat i zbyt wiele obaw przed tym i tamtym, i przed wszystkim.

- To nie jest czas na radość. Jak może ktoś z nas czuć się szczęśliwym? Jak mogę ja sam czuć się szczęśliwym? - Sięgnął po świeży, chrupki biały chleb, wziął kawałek, przełamał, umoczył w oliwie i włożył do ust. - Nikt nie trudził się, by zapytać mnie poważnie, czy chcę przyjąć to niemeńskie zadanie - mówił, żując ze smakiem. - O tak, Gajusz Mariusz pytał mnie trzy razy, pamiętam! Jaki jednak miałem wybór, powiedzcie mi? Żaden, taka jest odpowiedź! Gajusz Mariusz jest szalony. Wszyscy to wiemy, chociaż nie mówimy sobie tego otwarcie podczas rozmowy przy obiedzie. Zrobił to celowo, a jego motywy nie były pobożne ani związane z dobrem Rzymu, ani religijne, ani podobne. - Przełknął chleb. - Nie jestem jeszcze mężczyzną. Dopóki nim nie zostanę, nie będę nosić tego okropnego stroju. Będę wkładał swój pas i swoją *toga praetexta* i porządne wygodne buty. Będę jadł, na co będę miał ochotę. Będę chodził na Pole Marsowe ćwiczyć musztrę, szermierkę, jazdę konną, rzut pilum. Kiedy zostanę mężczyzną a moja panna młoda stanie się moją żoną zobaczymy. Do tego czasu nie będę zachowywał się jak flamen *Dialis* ani na łonie rodziny, ani wtedy, kiedy będzie mi to przeszkadzało wypełniać obowiązki dobrze urodzonego rzymskiego chłopca.

Po tej deklaracji niepodległości zapadła całkowita cisza. Dorośli usiłowali znaleźć jakąś stosowną odpowiedź, po raz pierwszy czując coś z bezsilności, jaką kaleki, niesprawny Gajusz Mariusz musiał czuć, kiedy zderzał się z tą żelazną wolą. „Co robić?”, zastanawiał się ojciec, porzucając zamiar zamknięcia chłopca w jego sypialni, dopóki nie zmieni on zdania, bo był pewien, że ten



środek nie skutkuje. Dużo bardziej zdeterminowana Aurelia zastanawiała się poważnie nad tym samym, wiedziała jednak lepiej niż jej mąż, że to się nie uda. Żona i syn człowieka, który spowodował całe to nieszczęście, zbyt dobrze znali prawdę, by się gniewać, i zbyt dobrze zdawali sobie sprawę z niemożności zmiany stanu rzeczy, by być sprawiedliwymi. Mucja Tercja, którą wzrost i uroda męża napełniały lękiem i która nie nawykła do szczerej rozmowy w kręgu rodzinnym, wpatrywała się w swe kolana. A siostry Cezara Młodsze, starsze od niego, a więc znające go od dziecka, spoglądały na siebie ze smutkiem.

Julia przerwała to milczenie, mówiąc uspokajająco:

- Myślę, że masz zupełną słuszość, Cezarze Młodszy. W trzynastym roku życia najrozsądniejszą rzeczą jest dobrze jeść i dużo ćwiczyć. Mimo wszystko Rzym może pewnego dnia potrzebować twego zdrowia i umiejętności, gdybyś nawet był flamenem *Dialis*. Pomyśl o biednym Lucjuszu Meruli. Jestem pewna, że nigdy nie spodziewał się zostać konsulem. Kiedy jednak musiał nim zostać, zrobił to. Nikt nie odmawiał mu wtedy pobożności, choć był kapłanem Jowisza.

Jako najstarszej z obecnych kobiet, Julii wolno było mieć własne zdanie - choćby po to, by zapobiec trwałemu rozłamowi między rodzicami chłopca a ich trudnym synem.

Cezar Młodszy zajadał biały chleb drożdżowy, jajka i oliwki, i kurczęta, aż przestał odczuwać głód, a wtedy poklepał się po brzuchu, nasycony. Nie był niejadkiem, ale jedzenie nie interesowało go zbyt i wiedział doskonale, że gdyby musiał zrezygnować z białego chleba, zadowoliliby się i tym innym. Lepiej jednak było, by rodzina wiedziała od początku, co on sam myśli o swej nowej karierze i jak zamierza do niej podejść. Jeżeli ciotka Julia i Mariusz Młodszy po wysłuchaniu czuli się winni i nieszczęśliwi, trudno. Kapłan Jowisza mógł być kimś niezmiernie ważnym dla Rzymu, ale to jego mianowanie nie było przecież wynikiem wolnego wyboru, a Cezar Młodszy czuł w głębi serca, że Jowisz ma dla niego co innego do roboty niż zamykanie świątyni.

Pomijając kryzys żywieniowy i deklarację niepodległości, był to gorzki posiłek. Wielu rzeczy nie powiedziano, bo musiały zostać nie wypowiedziane. Dla dobra wszystkich. Być może szczerłość Cezara Młodsze uratowała ucztę, bo odciągnęła myśli wszystkich obecnych od okrucieństw Gajusza Mariusza, od szaleństwa Gajusza Mariusza.

- Cieszę się, że ten dzień już minął - powiedziała Aurelia do Cezara, gdy szli do swojej sypialni.

- Oby nigdy więcej takich - odpowiedział z przekonaniem.

Przed zdjęciem szat Aurelia usiadła na skraju łóżka i spojrzała w górę na męża. Wyglądał na zmęczonego - ale zawsze tak wyglądał. Ile miał lat? Prawie czterdzieści pięć. Ominął go konsulat, on zaś nie był Mariuszem ani Sullą. Patrząc teraz na niego, Aurelia zrozumiała nagle, że on nigdy nie będzie



konsulem. „Jest w tym niemało mojej winy”, pomyślała. „Gdyby miał mniej zajętą i nie tak niezależną żonę, spędzałby więcej czasu w domu i zdobyłby sobie lepszą reputację na Forum. On nie jest wojownikiem, ten mój mąż. A czyż mógłby pójść do szaleńca i prosić go o pieniądze na kampanię wyborczą? Nie robi tego. Nie ze strachu. Z dumy. Te pieniądze są teraz lepkie od krwi. Żaden uczciwy człowiek nie mógłby z nich skorzystać. A on jest najuczciwszy z ludzi, mój mąż”.

- Gajuszu Juliuszu, co zrobimy z naszym synem i jego flaminatem? - spytała. - On tego nie cierpi!

- To zrozumiałe. A jednak... - odpowiedział z westchnieniem. - Ja już nie będę konsulem. A to oznacza, że on miałby trudną drogę do konsulatu. Przez tę wojnę w Italii nasz majątek zeszczupłał. Możesz przyjąć, że straciłem tysiąc jugerów ziemi w Lukanii. Kupiłem ją, bo była tania, ale to za daleko od miasta, żeby czuć się tam bezpiecznie. Po tym jak Gajusz Norbanus uwolnił w zeszłym roku Lukanów na Sycylii, powstańcy zajęli ziemię w posiadłościach takich jak moja. A Rzym jeszcze za życia naszego syna nie będzie miał czasu ani pieniędzy, żeby ich stamtąd wyrzucić. Pozostało mi tylko to, co miałem od początku, sześćset jugerów ziemi w Bowillach. Wystarczy to na tylną ławę w senacie, ale nie na *cursus honorum*. Mogłabyś powiedzieć, że Gajusz Mariusz zabrał sobie tę ziemię z powrotem. Jego oddziały doprowadziły ją do ruiny, kiedy ostatnio krążyły po Lacjum.

- Wiem o tym - powiedziała ze smutkiem Aurelia. - Tak więc nasz biedny syn musi zadowolić się flaminatem?

- Obawiam się, że tak.

- On jest przekonany, że Gajusz Mariusz zrobił to celowo.

- I ja tak myślę. Byłem wtedy na Forum. On był... wprost nieprzyzwoicie zadowolony z siebie.

- I takie podziękowanie otrzymał mój syn za cały ten czas poświęcony Mariuszowi po jego drugim udarze.

- Gajusz Mariusz nie wie, co to wdzięczność. Przeraził mnie strach Lucjusza Cynny. Mówił mi, że nikt nie może czuć się bezpiecznie, nawet Julia i Mariusz Młodszy. Po tym jak zobaczyłem Gajusza Mariusza, wierzę w to.

Cezar zdjął szaty i Aurelia ujrzała z niepokojem, że schudł. Wystawały mu żebra i kości biodrowe.

- Czy jesteś zdrow? - spytała nagle.

Zrobił zdziwioną minę.

- Chyba tak. Może trochę zmęczony, ale nie chory. To chyba przez ten pobyt w Ariminum. Po trzech latach przemarszów Pompejusza Strabona tam i z powrotem niewiele pozostało do jedzenia w Umbrii i w Picenum. Marek Gratydiusz i ja zaciskaliśmy pasa. Jeśli nie można wyżywić żołnierzy, sam także nie dojadasz. Większość czasu spędzaliśmy, jeżdżąc po okolicy w



poszukiwaniu żywności.

- Powinnam więc karmić cię tym, co najlepsze. - Jeden z rzadkich uśmiechów rozjaśnił jej ściągniętą twarz. - Ach, chciałabym myśleć, że wszystko idzie ku lepszemu, mam jednak okropne uczucie, że będzie jeszcze gorzej.

Wstała i zaczęła ściągać suknię.

- Podzielam to uczucie, *meum mel* - powiedział, siadając po swojej stronie łóżka i zarzucając na nie nogi. Westchnął z zadowoleniem, podkładając ręce pod głowę i uśmiechnął się. - Póki jednak żyjemy, tej jednej rzeczy nic nam nie odbierze.

Wsunęła się do łóżka przy nim i przytuliła twarz do jego ramienia. Objął ją lewą ręką.

- Bardzo miłej rzeczy - powiedziała niskim tonem. - Kocham cię, Gajuszu Juliuszu.



Kiedy zaświtał szósty dzień siódmego konsulatu Gajusza Mariusza, kazał on swemu trybunowi ludowemu Publiuszowi Popiliuszowi Lenasowi zwołać jeszcze jedno Zgromadzenie Plebejskie. Jedynie Mariuszowi Bardyajowie byli obecni w niecce komicjów, aby przysłuchiwać się procesowi. Od prawie dwóch dni kazano im zachowywać się przyzwoicie, sprzątać miasto i nie rzucać się w oczy. Mariusz Młodszy wyjechał jednak do Etrurii i rostra znów najeżyły się tymi samymi głowami. Stało na nich tylko trzech ludzi - sam Mariusz, Popiliusz Lenas i jakiś więzień zakuty w łańcuchy.

- Ten człowiek - krzyknął Gajusz Mariusz - chciał spowodować moją śmierć! Kiedy stary i chory uciekałem z Italii, znalazłem schronienie w Minturnach. Do czasu, aż oddział najemnych morderców nie zmusił władz Minturnów, by mnie skazały na śmierć. Widzicie tu mego druha Burgundusa? To Burgundus miał mnie udusić, gdy leżałem w celi pod ratuszem w Minturnach samotny, obnażony, ubłocony! Ja, Gajusz Mariusz, największy człowiek w dziejach Rzymu! Największy, jakiego kiedykolwiek wyda Rzym! Większy niż Aleksander Macedoński! Wielki, wielki, wielki! - Wyczerpał siły i oszołomiony szukał w pamięci, a potem uśmiechnął się szeroko. - Burgundus odmówił wykonania wyroku. A wtedy, za przykładem prostego germańskiego niewolnika, całe miasto Minturny odmówiło wykonania wyroku. Zanim jednak wynajęci mordercy - żalosna banda, skoro nie chcieli zrobić tego sami - opuścili Minturny, spytałem ich przywódcę, kto ich wynajął. Odpowiedział: „Sekstus Lucyliusz”.

Mariusz znów uśmiechnął się szeroko i rozstawił nogi, przytupując i najwyraźniej uważając to za taniec.

- Kiedy zostałem po raz siódmy konsulem - czy ktoś inny był siedem razy konsulem? - pozwoliłem Sekstusowi Lucyliuszowi myśleć, że nikt nie wie o wynajęciu przez niego tamtych ludzi. Był na tyle głupi, że przez pięć dni nie



opuścił Rzymu, uważając się za bezpiecznego. Dziś jednak, przed świtem, zanim wstał z łóżka, posłałem swoich liktorów, by go uwięzili. Jest oskarżony o zdradę stanu. Chciał spowodować śmierć Gajusza Mariusza!

Żaden proces nie był nigdy krótszy, żadne orzeczenie nie zostało podjęte bardziej niefrasobliwie; bez obrońcy, bez świadków, bez właściwej formy i procedury. Bardyjowie z niecki komicjów ogłosili Sekstusa Lucyliusza winnym zdrady. Potem przegłosowali zrzućenie go z Tarpejskiej Skały.

- Burgundusie, powierzam ci zadanie zrzućenia tego człowieka ze skały - powiedział Gajusz Mariusz do swego ogromnego sługi.

- Chętnie to zrobię, Gajuszu Mariuszu! - huknął Burgundus.

Całe zgromadzenie przeniosło się teraz na lepsze miejsca, z których widać było egzekucję, ale Mariusz pozostał z Popiliuszem Lenasem na rostrach, których wysokość zapewniała znakomity widok na Velabrum. Sekstus Lucyliusz, który nie powiedział nic na swą obronę ani nie okazał żadnych uczuć oprócz pogardy, poszedł dzielnie na śmierć. Kiedy Burgundus, wielki złocisty błysk w oddali, zaprowadził go na nawis tarpejski, nie czekał, aż go zrzucą. Skoczył sam i omal nie ściągnął za sobą Germanina, bo Burgundus nie wypuścił z rąk łańcuchów.

Ta wyzywająca niezależność i zagrożenie życia Burgundusa straszliwie rozgniewały Mariusza. Posiniały na twarzy, krztuszac się i bełkocąc, zaczął wylewać swoje oburzenie na przerażonego Popiliusza Lenasa.

Słabe światółko rozjaśniające wciąż jeszcze jego umysł zgasało w rwącym potoku krwi. Gajusz Mariusz zwałił się na posadzkę rostrów jak ogłuszony toporem. Liktorzy skupili się wokół niego, a Popiliusz Lenas wołał gorączkowo o nosze albo lektykę. A wszystkie głowy dawnych rywali i dawnych wrogów otaczały bezwładne ciało, odsłaniając w martwym uśmiechu zęby, bo już wcześniej ucztowały na nich ptaki.

Cynna, Karbon, Marek Gratydianus, Magiusz i Wergiliusz zbiegli ze schodów senatu, zastępując liktorów, gdy zgromadzili się przy powalanej postaci Mariusza.

- On wciąż oddycha - powiedział jego adoptowany bratanek Gratydianus.

- Szkoda - mruknął pod nosem Karbon.

- Zabierzmy go do domu - rzekł Cynna.

W tym czasie członkowie straży przybocznej Mariusza dowiedzieli się o nieszczęściu i stłoczyli się u podstawy rostrów, szlochając i po barbarzyńsku zawodząc.

Cynna zwrócił się do swego głównego liktora:

- Poślij na Pole Marsowe i wezwij tu do mnie pilnie Kwintusa Sertoriusza. Możesz mu powiedzieć, co się stało.

Podczas gdy liktorzy Mariusza wynosili go na noszach, a Bardyjowie szli za nimi pod górę, wciąż zawodząc, Cynna, Karbon, Mariusz Gratydianus, Magiusz,



Wergiliusz i Popiliusz Lenas zeszli z rostrów i czekali u ich podstawy na Kwintusa Sertoriusza. Zasiedli na najwyższej ławie w niecce komicjów i próbowali zebrać myśli.

- Nie mogę uwierzyć, że on wciąż jeszcze żyje! - powiedział Cynna ze zdumieniem.

- Wstałby chyba i chodził, gdyby mu nawet wbić dwie stopy dobrego rzymskiego żelaza pod żebra - powiedział nachmurzony Wergiliusz.

- Co zamierzasz zrobić, Lucjusz Cynno? - spytał adoptowany bratanek Mariusza, który podzielał nastawienie innych, ale nie mógł się do tego przyznać, zmienił więc temat.

- Nie jestem pewien. - Cynna zmarszczył brwi. - Dlatego czekam na Kwintusa Sertoriusza. Cenię sobie jego rady.

Sertoriusz przybył po godzinie.

- To najlepsze, co mogło się zdarzyć - zwrócił się do wszystkich, zwłaszcza jednak do Mariusza Gratydiana. - Nie czuj się nielojalny, Marku Mariuszu. Jesteś adoptowany, więc masz w sobie mniej mariańskiej krwi niż ja. Choć jednak moja matka pochodzi z Mariuszów, mogę to powiedzieć bez lęku i poczucia winy. Wygnanie wpędziło go w szaleństwo. To nie jest ten Gajusz Mariusz, którego znaliśmy.

- Co powinniśmy zrobić, Kwintusie Sertoriuszu? - spytał Cynna.

Sertoriusz miał zaskoczoną minę.

- Z czym? To ty jesteś konsulem, Lucjusz Cynno! Ty masz mówić takie rzeczy, nie ja.

Cynna poczerwieniał i machnął ręką.

- Nie pytam o obowiązki konsula, bo je znam! - parsknął. - Wezwałem cię tu, by spytać, jak się pozbyć Bardyjajów.

- Rozumiem - powiedział wolno Sertoriusz. Nadal nosił opatrunek na lewym oku, ale wydzieliną już przyschła i nie sprawiało mu to trudności.

- Dopóki Bardyjajowie nie zostaną rozpuszczeni, Rzym nadal należy do Mariusza - mówił Cynna. - Rzecz w tym, że oni nie chcą być rozpuszczeni. Zasmakowali w terroryzowaniu wielkiego miasta. Czemu mieliby przestać z powodu niesprawności Gajusza Mariusza?

- Można ich powstrzymać. - Sertoriusz uśmiechnął się złowrogo. - Mogę ich pozabijać.

- Świetnie! - ucieszył się Karbon. - Ściągnę resztę ludzi zza rzeki.

- Nie, nie! - krzyknął ze zgrozą Cynna. - Jeszcze jedna bitwa na ulicach Rzymu? Nie wściekajcie się na to, po tych sześciu dniach!

- Wiem, co robić! - Sertoriusza zniecierpliwily te głupie uwagi. - Lucjusz Cynno, jutro o świcie masz wezwać tu na rostra przywódców Bardyjajów. Powiesz im, że Gajusz Mariusz myśli o nich do końca i że dał ci pieniądze, by im zapłacić. To oznacza, że musisz być widziany, jak wchodzisz do domu



Mariusza, i musisz tam spędzić tyle czasu, żeby to wyglądało na rozmowę.

- Dlaczego muszę iść do jego domu? - Cynna wzdrygnął się na samą myśl o tym.

- Bo Bardyajowie spędzą cały dzień i całą noc na ulicy pod drzwiami Gajusza Mariusza, czekając na nowiny.

- Tak, oczywiście - powiedział Cynna. - Przepraszam, Kwintusie Sertoriuszu. Ciężko mi się myśli. Co potem?

- Powiesz przywódcom, że wszyscy Bardyajowie otrzymają zapłatę jutro o drugiej godzinie dnia w Villa Publica na Polu Marsowym. - Sertoriusz pokazał zęby. - Będę tam czekał ze swymi ludźmi. I to będzie prawdziwy koniec panowania terroru Gajusza Mariusza.



Kiedy Gajusz Mariusz został przyniesiony do swego domu, Julia patrzyła na niego ze straszliwym żalem i nieskończonym współczuciem. Leżał z zamkniętymi oczami, oddychając chrapliwie.

- To już koniec - powiedziała do jego liktorów. - Idźcie do domów, dobrzy słudzy Ludu. Teraz ja się nim zajmę.

Wykąpała go, ogoliła sześciodniowy zarost, ubrała w czystą białą tunikę z pomocą Strofantesa i położyła do łóżka. Nie płakała.

- Poślij po mego syna i całą rodzinę - poleciła rządcy. - Nie umrze przez jakiś czas, ale umrze.

Siedząc na krześle przy łóżku Wielkiego Człowieka, skąd dobiegał ten okropny chrapliwy, bulgocący oddech, dawała Strofantesowi dalsze instrukcje: trzeba przygotować odpowiednie jedzenie, dom musi wyglądać jak za najlepszych czasów. Strofantes powinien też posłać po najlepszego grabarza.

- Nie znam żadnego z nazwiska! - spostrzegła ze zdziwieniem. - Przez cały czas mojego małżeństwa z Gajuszem Mariuszem zmarł w tym domu jedynie nasz mały drugi synek, a wtedy żył jeszcze Dziadek Cezar, dopatrzył więc wszystkiego.

- On być może wyzdrowieje, *domina* - powiedział spłakany rządcą, który postarzał się w służbie Gajusza Mariusza.

Julia pokręciła przecząco głową.

- Nie, Strofantesie, on nie wyzdrowieje.

Jej brat Gajusz Juliusz Cezar, jego żona Aurelia, ich syn Cezar Młodszy i ich córki, Lia i Juju, przybyli w południe. Mając znacznie dłuższą podróż, Mariusz Młodszy nie przybył przed nadejściem nocy. Klaudia, wdowa po drugim bracie Julii, wymówiła się od przyjścia, ale przysłała swego młodszego syna - kolejnego Sekstusa Cezara - jako reprezentanta tej gałęzi rodziny. Brat Mariusza Marek nie żył już od kilku lat, ale był obecny jego adoptowany syn Gratydianus. Był także pontifex maximus Kwintus Mucjusz Scewola i jego druga żona, druga Licynia. Jego córka Mucja Tercja przebywała już oczywiście



w domu Mariusza.

Było wielu odwiedzających, ale nawet w przybliżeniu nie tylu, ilu przyszłoby przed miesiącem. Katulus Cezar, Lucjusz Cezar, Antoniusz Orator, Cezar Strabon, cenzor Krassus zamilkli na zawsze. Lucjusz Cynna zachodził kilka razy, za pierwszym razem przynosząc usprawiedliwienie Kwintusa Sertoriusza.

- On nie może w tej chwili opuścić swego legionu.

Julia spojrzała na niego przenikliwie, ale powiedziała tylko:

- Powiedz drogiemu Kwintusowi Sertoriuszowi, że rozumiem go w pełni - i zgadzam się z nim.

„Ta kobieta wszystko rozumie!”, pomyślał Cynna, czując dreszcz. Pożegnał się najszybciej, jak mógł, pamiętając, że wizyta miała być tak długa, by to wyglądało na rozmowę z Mariuszem.

Czuwanie trwało nieprzerwanie. Każdy z członków rodziny po kolei siadał przy umierającym, a Julia na swoim krześle obok niego. Cezar Młodszy odmówił jednak wejścia do pokoju, kiedy nadeszła jego kolej.

- Nie mogę przebywać w obecności umarłego - powiedział ze spokojem na twarzy i niewinnym wzrokiem.

- Przecież Gajusz Mariusz nie umarł. - Aurelia spojrzała na Scewolę i jego żonę.

- Może umrzeć, kiedy będę przy nim. Nie mogę na to pozwolić - rzekł stanowczo chłopiec. - Kiedy umrze i ciało zostanie wyniesione, zamiotę jego pokój w obrzędzie oczyszczenia.

Ślad drwiny w jego błękitnym spojrzeniu był tak lekki, że tylko matka go zauważyła. Zauważyła i poczuła, że drętwieje, bo rozpoznała w nim nienawiść doskonałą - nie nazbyt gorącą nie nazbyt zimną nie całkiem nie uświadomioną.

Kiedy Julia w końcu wyszła, by odpocząć - Mariusz Młodszy zabrał ją siłą od boku męża - to Cezar Młodszy podszedł do niej i zaprowadził do jej salonu. Aurelia już miała wstać, gdy wyczytała w oczach syna inne polecenie i natychmiast mu się podporządkowała. Straciła nad nim wszelką kontrolę, był wolny.

- Musisz coś zjeść - powiedział chłopiec do swej ukochanej ciotki, układając ją na sofie. - Strofantes już tu idzie.

- Nie jestem głodna, naprawdę - wyszeptała z twarzą bladą jak prześcieradło, które rządcą rozłożył wcześniej na sofie. Dzieliła swoje łóżko z Gajuszem Mariuszem i w tym domu nie miała innego.

- Głodna czy nie, mam zamiar nakarmić cię gorącą zupą. - Cezar Młodszy powiedział to tym tonem, któremu ulegał nawet Mariusz. - To jest konieczne, ciociu Julio. Tamto może potrwać wiele dni. On niełatwo rozstanie się z życiem.

Zjawiała się zupa wraz z kilkoma grzankami. Cezar Młodszy namówił Julię do jedzenia, siedząc na skraju jej sofy i przymilając się, czule, łagodnie, nieugięcie.



Przestał dopiero, gdy czarka była pusta, a wtedy usunął większość poduszek, przykrył ją i odsunął jej włosy z czoła.

- Jesteś dla mnie taki dobry, Gajuszku - powiedziała z oczami zamglonymi sennością.

- Dobry tylko dla tych, których kocham. - Urwał, a po chwili dodał: - Tylko dla tych, których kocham. Dla ciebie. Dla mojej matki. Dla nikogo więcej. - Pochylił się i pocałował ją w usta.

Kiedy spała - co trwało kilka godzin - siedział skulony na krześle, przyglądając się jej. Powieki mu ciążyły, ale nie pozwalał im opaść. Napawał się jej widokiem, odkładał wspomnienia w pamięci. Nigdy już nie miała należeć do niego tak, jak śpiąca wtedy tam, przy nim.

Oczywiście przebudzenie rozwiało ten nastrój. Najpierw wpadła w panikę, uspokajając się, gdy ją zapewnił, że stan Gajusza Mariusza nie uległ najmniejszej zmianie.

- Idź i weź kąpiel - polecił surowo jej pielęgniarz. - A kiedy wrócisz, dostaniesz trochę chleba z miodem. Gajusz Mariusz nie wie, czy jesteś przy nim, czy nie.

Po śnie i po kąpieli przekonała się, że jest głodna, zjadła więc ten chleb z miodem. Cezar Młodszy czekał skulony na jej krześle, dopóki nie wstała.

- Odprowadzę cię - powiedział - ale nie mogę tam wejść.

- Oczywiście, że nie. Jesteś teraz flamenem *Dialis*. Tak mi przykro, że tego nie znosisz.

- Nie martw się o mnie, ciociu Julio. Poradzę sobie.

Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała.

- Dziękuję ci za pomoc, Cezarze Młodszy. To wielka pociecha.

- Robię to tylko dla ciebie, ciociu Julio. Dla ciebie oddałbym życie - uśmiechnął się. - Można by może powiedzieć, że już oddałem.



Gajusz Mariusz zmarł w godzinie przed świtem, kiedy życie słabnie, psy wyją, a koguty pieją. Był to siódmy dzień jego zapaści, a trzynasty dzień jego siódmego konsulatu.

- Nieszczęśliwa liczba - rzekł pontifex maximus Scewola, drżąc i zacierając dłonie.

„Nieszczęśliwa dla niego, ale szczęśliwa dla Rzymu”, pomyśleli prawie wszyscy, którzy to słyszeli.

- On musi mieć pogrzeb publiczny - powiedział Cynna, gdy tylko przyszedł, tym razem w towarzystwie żony Anni i młodszej córki Cynilli, która była żoną flamena *Dialis*.

Julia jednak, spokojna i z suchymi oczami, pokręciła przecząco głową.

- Nie, Lucjuszu Cynno, nie będzie pogrzebu na koszt państwa. Gajusz Mariusz jest dość bogaty, by zapłacić za swój pogrzeb. Rzym nie jest w dobrej kondycji



finansowej, ja zaś nie chcę wielkiego zgromadzenia. Tylko rodzina. A to oznacza, że o śmierci Gajusza Mariusza nie dowie się nikt poza tym domem, dopóki nie będzie po pogrzebie. - Zadrżała i skrzywiła się. - Czy jest jakiś sposób, żeby pozbyć się tych okropnych niewolników, których zaciągnął na końcu?

- To już zostało zrobione przed sześcioma dniami - powiedział Cynna, czerwieniejąc, bo nie umiał ukrywać zmieszania. - Kwintus Sertoriusz zapłacił im na Polu Marsowym i kazał opuścić Rzym.

- Oczywiście! Zapomniałam przez chwilę. Jak to miło że Kwintus Sertoriusz uwalnia nas od kłopotów!

Trudno było powiedzieć, czy była w tych słowach ironia. Wdowa spojrzała na swego brata Cezara.

- Czy przyniosłeś testament Gajusza Mariusza od westalek, Gajuszu Juliuszu?

- Mam go tu.

- Przeczytajmy go więc. Kwintusie Mucjuszu, bądź tak dobry - poprosiła Scewolę.

Testament był krótki i, jak się okazało, niedawno napisany. Mariusz zrobił to najwyraźniej, kiedy obozował ze swą armią na południe od Janikulum. Większą część majątku zapisał synowi Mariuszowi Młodszemu, Julii zaś pozostawił maksimum tego, co mógł. Dziesiątą część przekazał swemu adoptowanemu bratankowi Markowi Mariuszowi Gratydianowi, co oznaczało, że Gratydianus stał się nagle bardzo bogaty, bo majątek Gajusa Mariusza był ogromny. Cezarowi Młodszemu pozostawił swego germańskiego niewolnika Burgundusa jako podziękowanie za cenny czas, który Cezar Młodszy poświęcił, pomagając staremu człowiekowi odzyskać władzę w lewej ręce i nodze.

„Czemu to zrobiłeś, Gajuszu Mariuszu?“, pytał sam siebie chłopiec. „Z pewnością miałeś inny powód! Może chciałeś zapewnić koniec mej kariery, gdybym zdołał pozbyć się flaminatu? Czy on ma mnie zabić, kiedy zacznę tę karierę, której sobie nie życzysz dla mnie? Cóż, staruszkule, za dwa dni zostanie po tobie popiół. Nie zrobię jednak tego, co powinien zrobić roztropny człowiek - nie zabiję tego cymbryjskiego kłoca. Kochał cię tak, jak ja kiedyś. Śmierć to nędzna nagroda za miłość - zarówno śmierć ciała, jak i ducha. Zatrzymam więc Burgundusa i sprawię, że mnie pokocha”.

Flamen *Dialis* zwrócił się do Lucjusza Dekumiusza:

- Czy zechcesz pójść ze mną do domu?

- Idziesz już? Świetnie! - rzekł Cynna. - Odprowadź, proszę, Cynillę do domu. Ma już dosyć.

Flamen *Dialis* spojrzał na swą siedmioletnią flaminikę.

- Chodźmy, Cynillo - Obdarzył ją swym czarującym kobiety uśmiechem. - Czy wasz kucharz piecze dobre ciastka?

Prowadzona przez Lucjusza Dekumiusza dwójka dzieci wyszła na Clivus



Argentarius i schodziła ze wzgórza ku Forum Romanum. Wschodziło słońce, ale jego promienie nie sięgały jeszcze dna tego wilgotnego wąwozu nadającego sens istnieniu Rzymu.

- Popatrzcie tylko! Głowy znowu zniknęły! Zastanawiam się, Lucjusz Dekumiuszu - powiedział z zadumą flamen *Dialis*, dotykając stopą pierwszego kamienia obrzeża niecki komicjów - czy ducha zmarłego wymiata się z miejsca, gdzie umarł, zwykłą miotłą czy też trzeba użyć jakiejś szczególnej. - Odskoczył i wyciągnął rękę do żony. - Obawiam się, że nic o tym nie wiadomo. Będę musiał znaleźć i przeczytać odpowiednie księgi. Byłoby okropne pomylić się choćby o drobiazg przy pogrzebie mego dobroczyńcy Gajusza Mariusza. Choćbym nie dokonał niczego więcej, muszę nas od Gajusza Mariusza uwolnić.

Lucjusz Dekumiusz posunął się do proroctwa, nie dlatego, że był jasnowidzem, ale dlatego, że kochał.

- Będziesz kimś znacznie większym niż Gajusz Mariusz - powiedział.

- Wiem - odpowiedział Cezar Młodszy. - Wiem, Lucjusz Dekumiuszu, wiem o tym.



**KONIEC**  
**tomu drugiego**





## NOTA OD AUTORKI

*Pierwszy w Rzymie*, który otwierał tę projektowaną serię powieści, rozgrywał się w dekoracjach obcego świata. Same tylko rozmiary zamierzenia narzucają konieczność ograniczenia szczegółów do zakresu niezbędnego dla rozwoju postaci i akcji. Jedno i drugie, będąc już historią jest w pewnym sensie ustalone.

Kiedy to możliwe, unikam anachronizmów, czasem jednak nie ma innego wyjścia niż użycie anachronicznego słowa lub zwrotu. Jest ich niewiele, pragnę jednak zapewnić czytelników, że nad każdym długo się zastanawiałam. Mimo wszystko piszę po angielsku dla odbiorców, których od opisywanych ludzi i zdarzeń oddzielają dwa tysiące lat. Nawet najwybitniejsi znawcy tamtego okresu muszą czasami uciekać się do anachronizmów.

Słownik terminów i nazw napisałam na nowo. Niektóre hasła zostały usunięte, inne wprowadzone. Pojawiły się nowe hasła: *Arauzjona*, *Saturninus*, *Tolosańskie Złoto*. Wydarzenia i ludzie występujący w *Pierwszym w Rzymie* stali się częścią historii dla wydarzeń i ludzi z *Wieńca z trawy*.

Niektóre rysunki zostały powtórzone, bo przedstawione na nich postacie nadal odgrywają ważne role. Inne zostały dodane. Podobizny Mariusza, Sulli, króla Mitrydatesa i Pompejusza Młodszego są autentyczne, inne natomiast zostały wzięte z anonimowych (czyli nie zidentyfikowanych) popiersi z czasów republiki. Ponieważ żaden ze sławnych Rzymian z czasów republiki nie był portretowany w młodości, Pompejusz Młodszy został na przedstawiającym go rysunku „odmłodzony”. Ze sławnego popiersia pięćdziesięcioletniego Pompejusza usunęłam nadwagę i zmarszczki. Plutarch zapewnia, że Pompejusz Młodszy uderzająco przypominał współczesnym Aleksandra Wielkiego - co naprawdę trudno dostrzec w popiersiu przedstawiającym go w średnim wieku. Jeśli mu jednak ująć trzydzieści kilka lat, można dostrzec bardzo atrakcyjnego młodego człowieka.

Zmienił się nieco wygląd map. Doświadczenie pozwala unikać błędów, ja zaś korzystam z tego luksusu.

Co do bibliografii, proszę tych, którzy pisali do mnie, by nie wpadali w rozpacz. Już wkrótce! Kłopot w tym, że napisałam dwie powieści po 400.000 słów każda, każdą w ciągu dwunastu miesięcy. Nie miałam wolnego czasu, a zestawienie bibliografii to zniechęcające zadanie.

Pragnę podziękować kilku osobom po nazwisku, a także innym, zbyt licznym, by ich wymieniać. Dziękuję mojemu wydawcy, dr Alannie Nobbs z Macquarie University z Sydney, pani Sheelah Hidden; mojemu agentowi, Frederickowi T. Masonowi; moim wydawcom, Carolyn Reidy i Adrianowi Zackheimowi; mojemu mężowi, Ricowi Robinsonowi, a także Kaye Pendleton, Rii Howell, Joe Nobbsowi i zespołowi.







## SPIS KONSULÓW

### 99 (655 a.u.c.)<sup>1</sup>

- ◆ Marek Antoniusz Orator (cenzor 97)
- ◆ Aulus Postumiusz Albinus

### 98 (656 a.u.c.)

- ◆ Kwintus Cecyliusz Metellus Nepos
- ◆ Tytus Dydiusz

### 97 (657 a.u.c.)

- ◆ Gnejus Korneliusz Lentulus
- ◆ Publiusz Licyniusz Krassus (cenzor 89)

### 96 (658 a.u.c.)

- ◆ Gnejus Domicjusz Ahenobarbus (*pontifex maximus*, cenzor)
- ◆ Gajusz Kasjusz Longinus

### 95 (659 a.u.c.)

- ◆ Lucjusz Licyniusz Krassus Orator (cenzor 92)
- ◆ Kwintus Mucjusz Scewola (*pontifex maximus* 89)

### 94 (660 a.u.c.)

- ◆ Gajusz Celiusz Kaldus
- ◆ Lucjusz Domicjusz Ahenobarbus

### 93 (661 a.u.c.)

- ◆ Gajusz Waleriusz Flakkus
- ◆ Marek Hereniusz

### 92 (662 a.u.c.)

- ◆ Gajusz Klaudiusz Pulcher
- ◆ Marek Perperna (cenzor 86)

### 91 (663 a.u.c.)

- ◆ Sekstus Juliusz Cezar
- ◆ Lucjusz Marcjusz Filip (cenzor 86)

### 90 (664 a.u.c.)

- ◆ Lucjusz Juliusz Cezar (cenzor 89)
- ◆ Publiusz Rutyliusz Rufus

---

<sup>1</sup> a.u.c.: *ab urbe condita* - od założenia miasta (w 753 r. p.n.e.)



### 89 (665 a.u.c.)

- ◆ Gnejusz Pompejusz Strabon
- ◆ Lucjusz Porcjusz Katon Licynianus

### 88 (666 a.u.c.)

- ◆ Lucjusz Korneliusz Sulla
- ◆ Kwintus Pompejusz Rufus

### 87 (667 a.u.c.)

- ◆ Gnejusz Oktawiusz Ruson Lucjusz
- ◆ Korneliusz Cynna
- ◆ Lucjusz Korneliusz Merula (flamen *Dialis*, *consul suffectus*)

### 86 (668 a.u.c.)

- ◆ Lucjusz Korneliusz Cynna (po raz drugi)
- ◆ Gajusz Mariusz (po raz siódmy)
- ◆ Lucjusz Waleriusz Flakkus (*consul suffectus*)







## SŁOWNIK TERMINÓW I NAZW

**Absolvo** - łaciński termin sądowy używany przy głosowaniu za uniewinnieniem oskarżonego.

**Aesernia** - niewielkie miasto w północno-zachodnim Samnium, które w roku 263 p.n.e. otrzymało prawa łatyńskie mające zapewnić lojalność Rzymowi.

**Afryka** - w czasach republiki rzymskiej terminu tego używano w odniesieniu do części północnego wybrzeża wokół Kartaginy, czyli dzisiejszej Tunezji.

**ager publicus** - ziemia stanowiąca publiczną własność Rzymian, w większości zdobyta w wyniku podbojów lub odebrana pierwotnym właścicielom jako kara za nielojalność (to ostatnie głównie na terenie Italii). Ziemia ta wydzierżawiana była przez państwo (reprezentowane w tym wypadku przez cenzorów), przeważnie w sposób faworyzujący wielką własność ziemską. Najśłynniejszym i najbardziej spornym obszarem italskiego *ager publicus* był *ager Campanus*, tereny należące kiedyś do miasta Kapui i skonfiskowane przez Rzym w następstwie licznych kapuańskich rebelii.

**Agger** - podwójne obwałowanie i fortyfikacje strzegące Rzymu od jego najczulszej strony, wzdłuż Pola Eskwilińskiego (*Campus Esquilinis*). Agger stanowił fragment murów serwiańskich.

**amfora** - naczynie ceramiczne z wąską szyją, dwoma dużymi uchami i stożkowatym dnem uniemożliwiającym ustawienie go na równym podłożu. Amfory używane były do masowego (przeważnie morskiego) transportu wina lub zboża, a ich spiczaste dna ułatwiały osadzenie ich w warstwie trocin wypełniających ładownię statku lub wnętrze wozu. Dzięki temu stały prosto przez całą drogę, chronione trocinami. Skośne dno ułatwiało również tragarzom przeciąganie ich po gruncie podczas załadunku i rozładunku. Zwyczajowa objętość amfory wynosiła około 25 litrów.

**amor** - dosłownie: „miłość”. Ponieważ słowo to czytane wstecz daje nazwę „Roma”, Rzymianie wierzyli, że „amor” to sekretna nazwa Rzymu.

**Antioch** - rodowe imię wielu spośród królów Syrii i innych, mniejszych królestw w tej części świata.

**Apulia** - kraina w południowo-wschodniej Italii, leżąca pomiędzy Samnium (na północy) i Kalabrią (na południu). Jej ziemie, jeśli odpowiednio nawadnianiu, były dość żyzne, region ten cierpiał jednak zawsze niedostatek deszczów. Zamieszkujący tu Apulowie byli ludem biednym i dość zacofanym. Największymi miastami Apulii były Lucernia, Wenuzja, Barium i Kanuzjum.

**Aquilifer** - stanowisko utworzone zapewne przez Gajusza Mariusza wtedy, gdy dał on swym legionom godła w postaci srebrnych orłów. Był to najlepszy żołnierz z legionu, wybrany do noszenia legionowego orła. Na znak pełnionej funkcji *aquilifer* nosił na głowie i ramionach wilczą lub lwią skórę, a także wszystkie swoje odznaczenia.

**Arauzjona**; bitwa pod Arauzjoną - 6 października 105 roku p.n.e. trzy germańskie plemiona (Cymbrowie, Teutoni i grupa złożona z Tygurynów, Markomanów i Cherusków), wędrujące od ponad piętnastu lat w poszukiwaniu nowych ziem, stoczyły bój z Rzymianami na polach pod Arauzjoną w dolinie Rodanu. Z powodu całkowitej odmowy współpracy ze strony dwóch rzymskich wodzów, Gnejusza Maliusza Maksymusa i Kwintusa Serwiliusza Cepiona, rzymskie armie zostały odcięte od siebie i stacjonowały w



miejscach prawie niemożliwych do obrony. Wynikiem takiej sytuacji była największa klęska w dziejach republiki - na polach pod Arauzjoną zginęło osiemdziesiąt tysięcy rzymskich żołnierzy.

**Arpinum** - miasto leżące w Lacjum, niedaleko od samnickiej granicy, pierwotnie zamieszkane prawdopodobnie przez Wolsków. Wraz z Formiae Fundi było ono ostatnim z miast założonych na prawie latyńskim, które otrzymało w roku 188 p.n.e. pełne obywatelstwo rzymskie, za czasów późnej republiki nie cieszyło się jeszcze jednak pełnym statusem municypalnym. Największym powodem do dumy był dla mieszkańców Arpinum fakt, iż tu właśnie urodziło się i dorastało dwóch wybitnych obywateli rzymskich, Gajusz Mariusz i Marek Tulliusz Cynceron.

**Arx** - rzymskie Wzgórze Kapitołińskie tworzyły dwa wzniesienia, oddzielone od siebie obniżeniem zwanym *asylum*. Północny z wierzchołków nosił nazwę *Arx* (zamek); tu właśnie znajdowała się świątynia Junony Monety,

**as** - bita z brązu najmniej wartościowa z rzymskich monet. Dziesięć asów stanowiło równowartość jednego denara.

**atrium** - główne pomieszczenie rzymskiego domu, przeznaczone do przyjęć i spotkań. Przeważnie miało w dachu kwadratowy otwór, pod którym znajdował się basen. Pierwotnie basen służył jako zbiornik wody potrzebnej w gospodarstwie, u schyłku republiki był już jednak tylko ozdobą.

**Attalos III** - ostatni król Pergamonu i władca całego prawie egejskiego wybrzeża zachodniej Anatolii oraz Frygii. Zmarł młodo w roku 133 p.n.e., nie pozostawiając dziedzica, a swoje królestwo zapisał w testamencie Rzymowi, wydziedziczając tym samym swych kuzynów, którzy natychmiast poderwali się do zbrojnego powstania. Kres rebelii położył w latach 129-128 p.n.e. Maniusz Akwiliusz, który z nowo nabytych ziem utworzył rzymską prowincję Azję. Zdążył on w tym czasie sprzedać większą część Frygii Mitrydatesowi V, królowi Pontu, i przywłaszczyć sobie uzyskane z tej transakcji złoto. Ujawnienie tego faktu w Rzymie na zawsze zniesławiło imię rodu Akwiliuszów.

**attycki hełm** - ozdobny hełm noszony przez dowódców rzymskich o randze wyższej od centuriona. Takie właśnie hełmy noszą przeważnie w rzymskich eposach filmowych gwiazdy Hollywood - wątpię jednak, by hełmy attyckie z czasów republiki zdobione były strusimi piórami! Pióra te były już wówczas oczywiście znane w Rzymie, jednak takie ich zastosowanie uznano by co najmniej za objaw zepsucia.

**auctoritas** - wyjątkowo trudny do przetłumaczenia termin łaciński, mający znaczenie o wiele szersze niż odpowiadające mu słowa „autorytet” i „władza”. Oznaczał on również wywyższenie, przywództwo, wpływy, a także - przede wszystkim - wywieranie wpływu na bieg wydarzeń dzięki nieskazitelnej reputacji. Wszyscy urzędnicy posiadali *auctoritas* wynikającą z natury sprawowanych funkcji, jednak *auctoritas* nie ograniczała się jedynie do urzędników; posiadał ją również prynceps senatu, najwyższy kapłan, mężowie konsulami (byli konsulowie), a nawet niektóre osoby prywatne nie zasiadające w senacie.

**augur** - kapłan, którego obowiązki polegały na wróżeniu ze znaków. Augurowie zrzeszeni byli w kolegium augurów, liczącym w czasach, w których rozgrywa się akcja tej książki, dwunastu kapłanów - sześciu plebejuszy i sześciu patrycjuszów. Do czasu wprowadzenia przez Gneusza Domicjusza Ahenobarba w roku 104 p.n.e. *lex Domitia de sacerdotiis* augurowie byli wybierani przez kapłanów już należących do kolegium. Po wprowadzeniu tego prawa musieli być wybierani publicznie. Augur nie przepowiadał przyszłości, ani też nie wybierał sobie czasu odpowiedniego jego zdaniem na wróżby. Miał za zadanie zbadać określone znaki czy przedmioty celem ustalenia, czy dane



przedsięwzięcie cieszy się przychylnością bogów, czy też nie. Przedsięwzięciem takim mogło być spotkanie, wojna, zamiar wprowadzenia nowego prawa czy też jakakolwiek inna sprawa państwowa. Kapłani mieli do dyspozycji księgę, uczącą standardowej interpretacji znaków. Strojem augura była toga *trabea* (zob. dalej), nosił też laskę zwaną *lituus*.

**Azja Mniejsza** - ogólnie biorąc dzisiejsza Turcja, Syria, Iran, Irak i Armenia. Jej północne granice wyznaczały Morze Czarne i Kaukaz.

**barbarzyńca** - wyraz dźwiękonaśladowczy pochodzenia greckiego. Grecy uważali, że określani tak przez nich ludzie mówią *bar-bar*, co kojarzyło im się ze zwierzęcym szczekaniem. Barbarzyńcami zwano ludy, zdaniem starożytnych, niecywilizowane - to znaczy kultury innej niż ta, którą sami podziwiali i kultywowali. Tak więc za barbarzyńców powszechnie uważano Galów, Germanów, Scytów, Sarmatów i Daków.

**bazylika** - duży budynek użyteczności publicznej, miejsce zebrań (np. procesów sądowych) i siedziba urzędów, i sklepów. Nawa główna bazyliki oświetlona była szeregiem okien biegnącymi nad niższymi nawami bocznymi. W czasach republiki bazyliki wznoszone były przez bogatych arystokratów, najczęściej mężów konsularnych. Pierwsza z bazylik, zbudowana przez Katona Cenzora, a znana jako Bazylika Porcja, wznosiła się obok kurii senatu przy Clivus Argentarius. Mieściła się w niej, oprócz biur bankierów, również siedziba kolegium trybunów ludowych. W czasach, w których rozgrywa się akcja tej książki, w Rzymie istniały również bazyliki Emilia, Sempronia i Opimia, wszystkie na obrzeżach dolnego Forum Romanum.

**Bellona** - rzymska bogini wojny. Jej świątynię wznosił na Polu Marsowym, poza *pomerium*, czyli świętymi granicami miasta, sam wielki Appiusz Klaudiusz Kekus w roku 296 p.n.e. Nad obrządkiem ku czci Bellony czuwali specjaliści kapłani, zwani *fetiales*. Przed wejściem do świątyni rozciągała się pusta, nie zabudowana niczym przestrzeń, symbolizująca Terytorium Wroga.

**Bitynia** - królestwo na azjatyckim brzegu Propontydy, graniczące na wschodzie z Paflagonią i Galacją, na południu z Frygią, a na południowym zachodzie z Myzją. Były to ziemie żyzne i bogate, rządzone przez dynastię królów pochodzenia trackiego, z których dwóch pierwszych nosiło imię Pruzjasz, wszyscy następni zaś - Nikomedes. Tradycyjnym wrogiem Bitynii był Pont. Od czasów Pruzjasza II Bitynia cieszyła się statusem Przyjaciela i Sprzymierzeńca Ludu Rzymskiego.

**boni** - dosłownie „ludzie dobrzy”. Termin ten, zastosowany po raz pierwszy w sztuce Plauta *Jeńcy*, nabrał znaczenia politycznego w czasach Gajusza Grakcha, który używał go dla określenia swoich stronników (to samo zresztą czynili jego wrogowie, Druzus i Opimiusz). Stopniowo wyrażenie to znalazło się w powszechnym użytku, a określano nim ludzi o zapatrywaniach skrajnie konserwatywnych. Członkowie „prawdziwego” rządu opisanego w niniejszej książce (to jest stronnictwa na którego czele stał Gnejusz Oktawiusz Ruson) tak właśnie siebie nazwali.

**Brama Kapeńska (*Porta Capena*)** - była to jedna z dwóch najważniejszych pod względem strategicznym bram w Murach Serwiańskich (drugą z nich była Brama Kolińska), położona na południe od Cyrku Największego. Z miasta wychodziła przez nią zwykła droga, która dopiero po ok. pół mili łączyła się z Via Appia i Via Latina.

**Brennus** - król Galów (Celtów), który w roku 279 p.n.e. na czele licznej grupy plemion celtyckich najechał Macedonię i Tesalię, przełamał opór greckich obrońców Termopil i zdobył Delfy, gdzie został ciężko ranny. Następnie wkroczył do Epiru i złupił niezmiernie bogatą wyrocznię Zeusa w Dodonie. Zdobył też i splądrował najbogatszą ze wszystkich



wyroczyć Zeusa w Olimpii. Wycofując się przed nękającymi go wojną podjazdową Grekami, wrócił do Macedonii, gdzie zmarł z powodu starej rany. Gdy go zabrakło, Galowie rozdzielili się. Niektórzy (Tajstobokowie, Trokmowie i część Wolków Tektosagów) przeprawili się przez Hellespont do Azji Mniejszej i osiedlili w kraju zwanym odtąd Galacją. Ta część Wolków Tektosagów, która wróciła do południowej Galii, zabrała ze sobą łupy wzięte podczas wyprawy Brennusa, by strzec wspólnej zdobyczy w oczekiwaniu na powrót reszty wojowników. Stopili oni złoto i srebro (ze srebra odlali gigantyczne młyńskie kamienie) i ukryli skarb w licznych świętych jeziorach w przybytku Herkulesa w Tolosie. Samego złota było tam podobno piętnaście tysięcy talentów (zobacz: Tolosańskie Złoto).

**Burdigala** - dzisiejsze Bordeaux w południowo-zachodniej Francji. Było to wielkie galijskie oppidum zamieszkane przez Akwitanów, położone na południowym brzegu Garumny, niedaleko ujścia. W roku 107 p.n.e. miejsce to było świadkiem klęski, którą połączone siły Germanów i Akwitanów zadały rzymskiej armii pod wodzą Lucjusza Kasjusza Longina, konsula (wraz z Gajuszem Mariuszem) tamtego roku. Zginął wówczas i sam Kasjusz, i Lucjusz Kalpurniusz Pizon Cezoninus, ocalał zaś tylko Gajusz Popiliusz Lenas z garścią żołnierzy.

**campus** - odkryta równina, pole (jednak nie w sensie rolniczym).

**capite censi** - dosłownie: Policzeni Głowami. *Capite censi* byli grupą obywateli zbyt ubogich, by mogli być zaliczeni do którejś z pięciu klas majątkowych, a więc pozbawionych prawa głosowania na Zgromadzeniu Centurialnym. Ponieważ większość *capite censi* pochodziła z miasta i tam mieszkała, należeli oni do *tribus* miejskich. Tych zaś było tylko cztery, co przy ogólnej liczbie 35 *tribus* oznaczało, że mimo swej dużej liczebności mieli oni znikomą wpływ również na wyniki głosowania na zgromadzeniach trybusowych: Ludowym i Plebejskim (zobacz też: Policzeni Głowami, proletariusze).

**Celtowie** - raczej współczesna niż starożytna nazwa barbarzyńskiego ludu, który przywędrował z północnej i środkowej Europy w początkach I tysiąclecia p.n.e. Od roku około 500 p.n.e. Celtowie podejmowali próby opanowania krajów śródziemnomorskich. Udało im się to w Hiszpanii i w Galii, Italia i Grecja stawiały im natomiast opór. Mimo to zwarte grupy ludności celtyckiej osiedliły się w północnej Italii, Macedonii, Tesalii, Ilirii oraz Mezji i z czasem przemieszały się z miejscową ludnością. Mieszkańcy Galacji w zachodniej Anatolii posługiwali się językiem celtyckim jeszcze przez pierwsze stulecia naszej ery (zob. Brennus). Celtowie byli oddzielną grupą etniczną, spokrewnioną z późniejszymi Germanami. Sami uważali się za odrębny lud. Rzymianie nazywali ich Galami, z rzadka tylko używając nazwy „Celt”.

**Celtyberowie** - członkowie tych plemion celtyckich, które przeszły przez Pireneje do Hiszpanii i osiedliły się przeważnie w jej części środkowej, zachodniej i północno-zachodniej. Do czasów Mariusza i Sulli plemiona te zdążyły się już przemieszać z ludnością miejscową i były uważane za tubylcze.

**centurion** - niższy rangą oficer w armii rzymskiej i oddziałach posiłkowych. Błędem jest porównywanie centurionów z dzisiejszymi podoficerami - byli oni po prostu doskonałymi zawodowcami, na których pozycję nie miała wpływu hierarchia społeczna. Rzymski wódz rzadko kiedy przejmował się stratą trybunów wojskowych, jednak w przypadku utraty centurionów rwał sobie włosy z głowy. Wśród centurionów istniała również pewna hierarchia: najmłodszy rangą centurio dowodził grupą osiemdziesięciu żołnierzy i dwudziestu rezerwistów, tworzących razem centurię. W armii republikańskiej zreorganizowanej przez Gajusza Mariusza każda kohorta miała sześciu centurionów,



najstarszy zaś rangą spośród nich, *pilus prior*, dowodził zarówno pierwszą centurią, jak i całą kohortą. Dziesięciu dowódców dziesięciu kohort składających się na legion było również uszeregowanych pod względem starszeństwa. Najważniejszy spośród nich, *primus pilus*, odpowiadał jedynie przed dowódcą legionu (trybunem wojskowym lub legatem głównodowodzącym). W armii republiki awansowało się zasłużonych żołnierzy szeregowych.

**cenzor** - najwyższy rangą z rzymskich urzędników, choć nie posiadający imperium, a więc nie eskortowany przez liktorów. O ten urząd mogli ubiegać się tylko mężowie konsulami, a i spośród nich do wyborów stawali tylko ci cieszący się wielką *auctoritas* i *dignitas*. Wybór na cenzora stanowił ukoronowanie kariery politycznej, sprawującego ten urząd uważano bowiem za jednego z najważniejszych ludzi w Rzymie. Cenzor (wybierano dwóch jednocześnie) sprawował swój urząd przez okres pięciu lat (zwany *lustrum*), choć aktywnie działał tylko przez pierwszych osiemnaście miesięcy swojej cenzury. Wraz z kolegą prowadził on i uaktualniał listę członków senatu, członków *Ordo Equester* (stanu rycerskiego) i listę *Equites Equo Publico* (1800 najznacześniejszych rycerzy). Do obowiązków cenzora należało dokonywanie spisu obywateli rzymskich, nie tylko mieszkańców Rzymu, ale i całej Italii, i prowincji. Cenzor przeprowadzał również spis majątkowy ludności, inicjował prowadzenie robót publicznych, a w niektórych sprawach mógł reprezentować państwo.

**cenzus** - co pięć lat cenzorzy uaktualniali spis rzymskich obywateli. Znajdowało się w nim imię każdego rzymskiego mężczyzny wraz z informacjami dotyczącymi *tribus* i klasy majątkowej, do której należał, jego majątku, dochodów i rodziny. Ani kobiety, ani dzieci nie figurowały w spisie obywateli, choć znane są nam udokumentowane przez starożytne źródła przypadki, gdy kobietom przyznawano rzymskie obywatelstwo. Cenzus dla mieszkańców Rzymu sporządzany był na Polu Marsowym w specjalnie dla tego celu wznoszonym stanowisku. Wszyscy obywatele mieszkający poza Rzymem musieli zgłosić się do odpowiedzialnego urzędnika w najbliższym mieście, a mieszkańcy prowincji - do ich namiestników. Są jednak dowody na to, że cenzorzy z roku 97 p.n.e., Lucjusz Waleriusz Flakkus i Marek Antoniusz Orator zmienili regułę sporządzania spisu obywateli mieszkających poza Rzymem, ale w granicach Italii.

**chersonez** - greckie słowo oznaczające półwysep (choć stosowane dużo swobodniej niż nakazują to reguły współczesnej geografii). Od tego właśnie terminu pochodzą nazwy własne takie, jak Chersonesz Tracki, Chersonesz Taurydzki, Chersonesz Cymbryjski, Chersonesz Knidyjski, itd.

**Chios** - duża wyspa leżąca na morzu Egejskim u wybrzeży Azji Mniejszej (rzymskiej prowincji Azji), niedaleko Smyrny. Chios słynęła głównie ze swoich niezrównanych win. Po tym jak jeden z tutejszych okrętów spowodował wypadek okrętu flagowego Mitrydatesa VI, króla Pontu, znienawidził on na zawsze Chios i jej mieszkańców.

**citocacia** - „śmierdziel”.

**clivus** - ulica biegnąca po wzniesieniu. W Rzymie, mieście położonym na wzgórzach, było ich wiele.

**cognomen** - ostatnie z imion Rzymianina pragnącego odróżnić się od innych, noszących to samo imię i nazwisko rodowe, co on. W niektórych rodzinach konieczne było posiadanie więcej niż jednego cognomen, np. Kwintus Cecyliusz Metellus Pius Scypion Nazyka: Kwintus było jego pierwszym imieniem (*praenomen*), Cecyliusz imieniem rodowym (*nomen*), a Metellus Pius Scypion Nazyka to wszystko *cognomina*. Cognomen opisywał najczęściej cechy szczególne danej osoby - odstające uszy, płaskie stopy czy garb



- albo upamiętniał jakieś wielkie wydarzenia, jak w rodzie Cecyliuszów Metellów, noszących przydomki Dalmatyński, Balearski, Numidyjski. Większość spośród tych przydomków była bardzo złośliwa albo wyjątkowo dowcipna.

**condemno** - jedno z dwóch słów używanych przy ogłaszaniu wyroku „winny”. Drugim z nich było *damno*.

**confarreatio** - najstarsza i najbardziej rygorystyczna forma rzymskiego małżeństwa. W czasach Mariusza i Sulli stosowali ją już tylko patrycjusze - nie wszyscy jednak, nie była bowiem obowiązkowa. W myśl reguł *confarreatio* oblubienica przechodziła spod władzy ojca pod władzę męża, nie uzyskując ani odrobiny niezależności. Było to jednym z powodów niepopularności *confarreatio*, w innych bowiem formach małżeństwa kobieta mogła mieć większą kontrolę nad swymi sprawami majątkowymi i posagiem. Inną przyczynę niepopularności stanowiły duże trudności z uzyskaniem rozwodu - była to ponura i przygnębiająco żmudna procedura prawna i religijna, tak uciążliwa, że decydowali się na nią tylko ci, którzy nie mieli żadnego innego wyjścia.

**consultum** - właściwa nazwa senackiego dekretu. Dekrety nie miały mocy praw - żeby ją uzyskać musiały być przedstawione któremuś ze zgromadzeń, trybusowemu lub centurialnemu, które jeśli je akceptowały, przegłosowywały jako prawa. Liczne *consulta* nie były jednak poddawane głosowaniu na zgromadzeniach, a mimo to uznawane były za prawa - na przykład decyzje senatu o obsadzaniu zarządu prowincji, o wypowiedzeniu wojny albo przyznaniu dowodzenia armią. Wszystkie sprawy zagraniczne regulowane były takimi właśnie senackimi *consulta*.

**contio, contiones** - wstępne zebrania wszystkich zgromadzeń komicjalnych, decydujące o zwoływaniu obrad nad projektami praw albo o wszczynaniu procesów. Wszystkie trzy zgromadzenia musiały być poprzedzane *contio*, zwoływanym (choć nie odbywało się na nich żadne głosowanie) przez urzędników uprawnionych do zwoływania tychże zgromadzeń.

**contubernalis** - łacińskie określenie kadeta, czyli młodszego oficera, najniższego rangą w wojskowej hierarchii (z pominięciem jednak centurionów - żaden centurion nie był nigdy kadetem, wybierano ich spośród doświadczonych żołnierzy).

**corona** - wieniec, będący przyznawaną za dzielność nagrodą honorową. W tej książce wymienia się dwa rzymskie wieńce:

**corona civica** - wieniec obywatelski, spleciony ze zwykłych liści dębowych i przyznawany temu, kto ocalił życie towarzyszy broni i do końca bitwy zdołał dotrzymać pola, na którym to się stało. Obecni na miejscu żołnierze musieli złożyć przed swym wodzem oficjalną przysięgę świadczącą o prawdziwości zdarzenia.

**corona graminea** lub **obsidionalis** - wieniec spleciony z trawy (czasem z kłosów zbóż, jeśli bitwa miała miejsce wśród pól uprawnych) zerwanej z pola bitwy i tam też wręczany. Wieniec z trawy był najrzadszym z wszystkich odznaczeń wojskowych, przyznawano go bowiem tylko komuś, kto ocalił cały legion lub całą armię.

**Cumae** - zobacz: Kyme.

**cunnus** - wyjątkowo wulgarne łacińskie określenie kobiecych narządów płciowych.

**Cuppedenis** - rynek położony na wschód od górnego Forum, pomiędzy Clivus Orbibus a krańcem dzielnicy Karyny. Handlowano tu towarami luksusowymi takimi, jak przyprawy, pieprz, kadzidło, maści, balsamy i olejki. Można tu też było kupić kwiaty w każdej postaci - bukiety, wieńce, girlandy na szyję. Teren, na którym znajdował się rynek, należał do państwa, a sprzedany został dopiero celem sfinansowania kampanii Sulli przeciw Mitrydatesowi.



**Curia Hostilia** - budynek senatu. Uważano, że zbudował go Tulliusz Hostyliusz, trzeci król Rzymu, stąd jego nazwa „dom spotkań Hostyliusza”.

**cursus honorum** - dosłownie: droga honorowa. Ten, kto pragnął zostać konsulem, musiał przejść określone szczeble kariery politycznej: najpierw zostawał przyjęty do senatu (w czasach Mariusza i Sulli odbywało się to przez wpisanie na listę przez urzędujących cenzorów lub poprzez wybór na stanowisko trybuna ludowego - wybór na kwestora nie wystarczał już, by automatycznie wejść do senatu). Będąc już senatorem, musiał zostać kwestorem, o ile nie był nim już wcześniej, potem zaś w ciągu dziewięciu lat od wejścia do senatu urzędującym pretorem. Dopiero wtedy - po dwóch latach pretury - mógł kandydować na konsula. Te cztery stopnie kariery - miejsce w senacie, kwestura, pretura i konsulat - stanowiły *cursus honorum*. Ani edylat plebejski czy kurulny, ani trybunat plebejski, ani nawet cenzura nie były częścią *cursus honorum* i były od niego zupełnie niezależne.

**custodes** - niżsi rangą urzędnicy, zajmujący się proceduralnymi czynnościami związanymi z wyborami - liczeniem głosów, zbieraniem tabliczek, itp.

**Cylicja** - kraina w południowej Anatolii, leżąca naprzeciwko Cypru (od półwyspu Kleidos aż do przeciwnego krańca wyspy) i granicząca z Pamfilią. Wschodnia granica Cylicji biegła wzdłuż gór Amanu, za którymi rozciągała się Syria. Cylicja zachodnia była krajem suchym, jałowym i bardzo górzystym, wschodnia jej część jednak (zwana Cylicja Pedia) była żyzną równiną nawadnianą przez rzeki Pyramos, Saros i Cydnos. Uczeni nie są dziś zgodni co do daty formalnego przyjęcia przez Cylicję statusu rzymskiej prowincji, według mnie jednak istnieje wystarczająco dużo dowodów na to, że przyłączył ją do Rzymu Marek Antoniusz Orator podczas swej kampanii przeciw piratom w roku 101 p.n.e. Sulla zaś został z pewnością wysłany do Cylicji w latach dziewięćdziesiątych, na długo przed Wojną Marsyjską.

**Cymbrowie** - bardzo liczny związek plemion germańskich żyjących w północnej części Chersonezu Cymbryjskiego przed rokiem 120 p.n.e., kiedy to klęska żywiołowa zmusiła ich do opuszczenia ojczyzny. Wraz z najbliższymi sąsiadami z południa, Teutonami, ruszyli na trwającą dwadzieścia lat wędrówkę, która po tysiącu przebytych mil zakończyła się starciem z Rzymianami - i Gajuszem Mariuszem - pod Vercellae w roku 101 p.n.e., w wyniku którego Cymbrowie prawie przestali istnieć.

**cytadela** - forteca na szczycie wzgórza. Czasami otoczona oddzielnymi murami, leżała wewnątrz większych umocnień, tak jak np. rzymska forteca na wzgórzu Janikulum.

**człowiek wolny** - ktoś urodzony w stanie wolnym i nigdy nie sprzedany w niewolę. Wyjątek stanowi tu *nexus*, człowiek wzięty w niewolę za długi, co choć rzadkie w czasach Mariusza i Sulli wśród rzymskich obywateli, zdarzało się wśród italskich sprzymierzeńców.

**damno** - słowo stosowane dla ogłoszenia wyroku „winny” podczas procesów przeprowadzanych przez zgromadzenia. Nie należało ono do terminologii sądowej - tam stosowano wyrażenie *condemno*. Układając słownik pierwszej książki z tej serii, nie umiałam dostatecznie dokładnie wyjaśnić zasad użycia tych słów, dlatego hasło to uważam za niepełne. Dopiero pisząc *Wieniec z trawy* i czytając ponownie książkę dr L.R. Taylor *Roman Voting Assemblies* (Zgromadzenia w starożytnym Rzymie), zdobyłam powyższe informacje. Stąd wniosek, że zdobywanie wiedzy nie ma końca, a także, iż czytając jakąś książkę po raz pierwszy, nie zawsze skorzystamy z wszystkich zawartych w niej informacji.

**Delfy** - wielkie sanktuarium Apollona położone u stóp Parnasu w środkowej Grecji. Od



najdawniejszych czasów były one ważnym ośrodkiem kultowym, choć aż do VII albo VI w. p.n.e. nie był to kult Apollona. To tu znajdował się kamień Omfalos, Pępek Świata (najprawdopodobniej meteoryt), a same Delfy uważane były za środek Ziemi. Mieściła się tu wyrocznia o budzącej grozę sławie, a przepowiednie wygłaszała wprowadzona w ekstazy kapłanka imieniem Pytia lub Pytonissa. Bajecznie bogata, dzięki nieustającemu strumieniowi kosztownych darów, wyrocznia delficka kilkakrotnie była w starożytności zdobywana i plądrowana (zobacz: Brennus), jej skarbiec jednak szybko się znów wypełniał, jako że dary płynęły tu nieprzerwanie.

**demagog** - po grecku słowo to oznaczało polityka, który starał się kierować tłumami. Rzymscy demagodzy także woleli przemawiać na Forum niż w kurii senatu, jednak ich założeniem nie było wcale „poderwanie mas”, a ich słuchacze nie zaliczali się wcale do najbiedniejszych obywateli. Określenia tego używali skrajnie konserwatywni członkowie senatu w odniesieniu do bardziej radykalnych trybunów ludowych.

**denar** - nie licząc paru rzadkich złotych monet, denar był najwyższą nominałem monetą republiki rzymskiej. Bity z czystego srebra ważyły około 3,5 grama. 6250 denarów stanowiło jeden talent.

**diadem** - biała wstążka szerokości jednego cala, o haftowanych, często ozdobionych frędzlami końcach. Noszono ją obwiązaną wokół głowy, na czole albo powyżej granicy włosów, i związywano z tyłu, tak że końce opadały na ramiona. Diadem, noszony pierwotnie przez królów perskich, stał się symbolem władzy monarchów hellenistycznych po tym, jak Aleksander Wielki zastąpił nim koronę i tiarę, uważając, że jest bliższym greckiej naturze symbolem władzy. Nosić go mógł tylko panujący władca, niekoniecznie jednak mężczyzna - kobiety również nosiły diademy.

**dignitas** - trudne do przetłumaczenia, właściwe tylko Rzymianom pojęcie. Określało ono pozycję człowieka w społeczeństwie, na którą składały się jego reputacja, reprezentowane przez niego wartości etyczne i moralne, szacunek, jakim go otaczano, i sposób, w jaki go traktowali współcześni i potomni. *Auctoritas* była miarą publicznej wartości polityka, *dignitas* natomiast zależała od jego osobistych cnót, zalet charakteru, zdolności i osiągnięć.

Ze wszystkich wartości, jakimi mógł się chlubić rzymski nobiles, *dignitas* była tą, na której punkcie był najbardziej wyczulony - gotów w jej obronie pójść na wojnę, wygnanie, popełnić samobójstwo lub zabić żonę czy syna. W tekście zdecydowałam używać tego słowa w jego łacińskim brzmieniu.

**diverticulum** - w znaczeniu używanym w tej książce - szlak łączący główne drogi wychodzące przez różne rzymskie bramy - rodzaj „obwodnicy”.

**Dodona** - świątynia i sanktuarium poświęcone greckiemu Zeusowi. Dodona leżała w górach Epira, o dziesięć mil na południowy zachód od jeziora Pamboris. Była siedzibą bardzo sławnej wyroczni, mieszczącej się w świętym dębie, w którym mieszkwały gołębice. Tak jak inne słynne wyrocznie, Dodona była niezwykle bogata dzięki hojnym darom wotywnym. W starożytności łupiona była kilkakrotnie; przez Etołów w roku 219 p.n.e., przez rzymskiego wodza Emiliusza Paulusa w 167 p.n.e., a przez Skordysków w 90 p.n.e. Za każdym razem jednak szybko zastępowała utracone bogactwa nowymi.

**dominus** - dosłownie „pan”, w wołaczu - bo tak zwracano się do siebie - *domine*. *Domina* znaczyło „pani”, a *dominilla* - „panienka”,

**drzewo cytrusowe** - najcenniejszy z gatunków drewna przeznaczonego do wyrobu eleganckich mebli, szczególnie modny w okresie późnej republiki. Uzyskiwano je z korzeni drzewa z rodziny cyprysowatych, *Callitris quadrivavis vent.*, rosnącego na wyżynach



Afryki Północnej, od Cyrenajki i Oazy Ammonium aż po dalekie góry Atlas w Mauretanii. Drzewo to, mimo swej nazwy, nie było spokrewnione ani z cytryną, ani z pomarańczą. Jego słoje, zależnie od odmiany, układały się w różne wzory - i tak drzewo o wzdłużnym i falistym układzie słojów nazywano tygrysem, o wzorze spiralnym - panterą, o słojach przypominających oka w pawim ogonie - pawiem, o nieregularnym, poszarpanym rysunku - pietruszką, itd. Za republiki meble robiono z litego drewna, nie stosując w zasadzie w ogóle okleiny, której użycie wymusiły za czasów Cesarstwa wyczerpujące się zasoby tego cennego surowca. Meble takie stały zazwyczaj na nodze lub nogach z kości słoniowej inkrustowanych złotem. Powstała nawet specjalna gildia kupców, *citrarii et eborarii*, łącząca stolarzy zajmujących się obróbką drzewa cytrusowego z rzeźbiarzami specjalizującymi się w wyrobach z kości słoniowej. Z drewna cytrusowego wyrabiano przeważnie blaty stołów, najlepiej eksponujące jego urodę, do naszych czasów jednak żaden taki stół się nie zachował. Przetrwało natomiast kilka mis, które dowodzą, że drewno cytrusowe było rzeczywiście najpiękniejszym ze wszystkich, jakie znamy.

**dwukółka**, po łacinie: *cisia* - dwukołowy odkryty pojazd, ciągnięty przez dwa lub cztery muły lub - rzadziej - konie. Dwukółka miała bardzo lekką i - jak na możliwości starożytnych, którzy nie znali sprężyn i resorów - bardzo giętką konstrukcję. Była najlepszym środkiem transportu dla kogoś, komu zależało na czasie - zwierzętom łatwo było ją ciągnąć, można więc nią było rozwijać większą szybkość niż cięższym i wolniejszym zadaszonym wozem zwanym *carpentum*.

**Ecator!** - wykrzyknik wyrażający zdumienie, uznawany za elegancki i możliwy do używania przez kobiety. Jego źródłosłów wskazuje, że było to wezwanie skierowane do Kastora.

**Edepol!** - wykrzyknik oznaczający zdumienie, używany przez mężczyzn w obecności kobiet, a więc odpowiednio grzeczny. Według źródłosłowu - wezwanie skierowane do Polluksa.

**edyl** - jeden z czterech urzędników sprawujących swe funkcje tylko na terenie miasta Rzymu. Co roku wybierano dwóch edylów plebejskich i dwóch kurulnych. Edylów plebejskich powołano po raz pierwszy (tj. w roku 493 p.n.e.) do pomocy trybunom ludowym w zarządzaniu świątynią Ceres, głównym ośrodkiem działalności plebejuszy. Wkrótce przejęli oni nadzór nad budowlami publicznymi i rejestrami plebiscytów oraz uchwał senatu dotyczących plebiscytów. Edylowie plebejscy byli wybierani przez Zgromadzenie Plebejskie. W roku 367 p.n.e. powołano dwóch edylów kurulnych, aby umożliwić patrycjuszom udział w nadzorze nad budowlami publicznymi i archiwami, później jednak urząd edyla kurulnego sprawować zaczęli zarówno patrycjusze, jak i plebejusze. Edylowie kurulni byli wybierani przez Zgromadzenie Ludowe. Od III wieku p.n.e. edylowie byli odpowiedzialni za nadzór nad stanem rzymskich ulic, kanalizacją, budowlami publicznymi i rynkami, miarami i wagami, organizacją igrzysk i publicznym rozdawnictwem zboża. Mieli prawo wymierzania grzywien za naruszenie przepisów dotyczących wymienionych dziedzin, a uzyskane fundusze przeznaczali na organizację igrzysk. Edylat plebejski i kurulny nie był częścią *cursus honorum*, stwarzał jednak dzięki igrzyskom możliwość zdobycia popularności.

**ekwici** - rycerze; członkowie *Ordo Equester*. Początki tego stanu sięgają czasów, kiedy to królowie Rzymu zaciągali najszlachetniejszych rzymskich obywateli do specjalnej jednostki kawalerii, w której otrzymywali oni konie opłacane z funduszy publicznych (zobacz: koń państwowy). W tamtych czasach dobre wierzchowce były w Italii rzadkie, a więc bardzo kosztowne. Kiedy monarchia ustąpiła miejsca młodej jeszcze republice, klasa



ta liczyła tysiąc ośmuset ludzi zgrupowanych w osiemnastu centuriach. W miarę upływu czasu liczba rycerzy wzrastała, wszyscy nowi musieli już jednak sami kupować i utrzymywać swoje wierzchowce. Tych tysiąc ośmuset, których konie utrzymywane były z publicznych pieniędzy stanowiło teraz trzon *Ordo Equester*. W II stuleciu p.n.e. Rzym nie wystawiał już jednak własnej kawalerii, *Ordo Equester* zaś przerodził się w jednostkę społeczną i ekonomiczną, niewiele mającą wspólnego z armią. Cenzorzy spisywali teraz ekwitów według kryteriów majątkowych, a choć osiemnaście pierwotnych centurii nadal liczyło po stu ludzi, to pozostałe centurie (około 71) rozrastały się tak, że wszyscy obywatele, którzy osiągnęli cenzus majątkowy ekwity, spisywani byli w pierwszej klasie majątkowej.

Do roku 123 p.n.e. także i senatorowie należeli nominalnie do *Ordo Equester* - to Gajusz Grakchus wydzielił ich jako osobną grupę, liczącą trzystu mężów. Ich synowie jednak i członkowie rodu, którzy nie byli senatorami, wciąż spisywani byli pośród ekwitów. By osiągnąć cenzus majątkowy ekwity (spisywany przez specjalny trybunał na Forum Romanum), trzeba było mieć dochód lub posiadłości przekraczające wartość 400.000 sestercji. Choć nie było to stałym zwyczajem, niektórzy cenzorzy zarządzali odbycie parady tysiąca ośmuset rycerzy dosiadających państwowych koni, chcąc upewnić się, że dbają oni odpowiednio o siebie i swe wierzchowce. Parada ta odbywała się najprawdopodobniej w idy lipcowe. Cenzorzy zasiadali wówczas na trybunie ustawionej na schodach świątyni Kastora i Polluksa na Forum Romanum, a rycerze i ich konie paradowali kolejno przed nimi. Od czasów Gajusza Grakcha aż do upadku republiki ekwici na przemian tracili i przejmowali kontrolę nad trybunałami sędzącymi senatorów za oszustwa i nadużycia w zarządzaniu prowincjami, tak więc zawsze prawie byli skłóceni z senatem. Gdy ekwici osiągnęli dochody tak wysokie, jak wymagano tego od senatorów, nie było żadnych przeszkód, by nie mogli ubiegać się o członkostwo w senacie. Jeśli tego przeważnie nie robili, to z powodu upodobania swego stanu do zajmowania się handlem, zabronionym wśród senatorów. *Ordo Equester* lubował się bowiem w interesach znacznie bardziej niż w polityce.

**Elizjum** - Pola Elizejskie. Rzymianie z czasów republiki nie wierzyli właściwie w życie po śmierci, choć wierzyli w podziemne królestwo cieni, bezrozumnych wizerunków zmarłych. Niektórzy ludzie jednak, zdaniem tak Greków, jak i Rzymian, zasłużyli sobie w oczach bogów na pośmiertny byt w miejscu zwanym Elizjum albo Polami Elizejskimi. Nawet jednak te uprzywilejowane cienie były zaledwie widmami, a ludzkich uczuć i pragnień mogły doświadczać jedynie po uczcie z ludzkiej krwi. Jeżeli ktoś z żyjących pragnął ujrzeć mieszkańca Elizjum, musiał wykopać dół w ziemi, złożyć ofiarę i wypełnić dół krwią zabitego zwierzęcia. Po wypiciu krwi zjawą powinna przemówić.

**emporium** - słowo to ma dwa znaczenia: określano tak miasto portowe silnie związane z handlem morskim (np. wyspę Delos) albo - w drugim znaczeniu - duży budynek na nabrzeżu portowym, w którym znajdowały się biura kupców lub kompanii sprowadzających i eksportujących towary.

**Eneasza** - królewicz dardański, syn króla Anchizesa i bogini Wenus (Afrodyty). Uciekł ze zdobytej przez Agamennona płonącej Troi, niosąc w ramionach sędziwego ojca, a pod pachą - Palladium. Po wielu przygodach przybył do Lacjum, gdzie osiadł na stałe i założył ród, z którego wywodzą się prawdziwi Rzymianie. Syn Eneasza Julius dał początek rodowi Juliuszy, dlatego ważne dla Rzymian było pochodzenie jego matki. Wergiliusz utrzymywał, że Julius to inne imię Askaniusza, syna trojańskiej żony Eneasza Kreuzy, którego ojciec przywiózł do Italii. Liwiusz z kolei twierdzi, że Julius to syn Eneasza z jego łatyńskiej żony



Liwii. Nie wiemy, w co wierzyli Juliusze za czasów Cezara, ja biorę jednak stronę Liwiusza, który wydaje się źródłem bardziej wiarygodnym od Wergiliusza.

**epulones** - w republikańskim Rzymie istniało Kolegium Epulonów, niższych rangą kapłanów odpowiedzialnych za organizację obrzędowych uczt towarzyszących obchodom niektórych z rzymskich świąt. Jeśli na ucztę zaproszeni byli tylko senatorzy lub inna, równie nieliczna grupa, zorganizowanie jej było dość łatwe, niektóre ucztę jednak wydawane były dla całego ludu rzymskiego! Epulonów było z początku tylko trzech, do czasów Mariusza i Sulli liczba ich wzrosła już jednak do ośmiu.

**ergastula** - baraki, w których zamykano zbrodniarzy lub niewolników. Ich zła sława rozpowszechniła się od czasów braci Grakchów, od kiedy to znacznie zwiększyła się liczba wielkich latyfundiów, na których przy wypasie zwierząt pracowali przeważnie skuci łańcuchami niewolnicy, zamykani na noc właśnie w ergastulach.

**etnarcha** - grecka nazwa urzędnika miejskiego.

**Etruria** - łacińska nazwa terytorium dawnego państwa Etrusków. Obejmowało ono szerokie nadbrzeżne równiny północno-zachodniej Italii między rzeką Arnus na północy a Tybrem na południu. W okresie późnej republiki najważniejszymi miastami Etrurii były Weje, Cosa i Kluzjum. Przez jej tereny wiodły Via Aurelia, Via Claudia i Via Cassia.

**Euksyn, Morze Euksyńskie** - dzisiejsze Morze Czarne. Zostało ono dokładnie zbadane, a jego wybrzeża skolonizowane przez Greków w VII i VI w. p.n.e. Ponieważ uchodziło do niego dużo wielkich rzek, jego wody były zawsze mniej słone niż w innych morzach, a silny prąd w cieśninach Hellespontu i Bosforze Trackim płynął od Morza Euksyńskiego ku Egejskiemu - co pomagało w wypłynięciu z Euksynu, było jednak jednocześnie wielką przeszkodą w dostaniu się na jego wody. Najpotężniejszym z państw położonych nad jego brzegami był bez wątpienia Pont - król Pontu Mitrydates VI podbił wszystkie ziemie otaczające Euksyn - jednak Bosfor Tracki, Propontyda i Hellespont znajdowały się na terenie Bitynii, która czerpała wielkie dochody z ceł i opłat, jakie narzucała przepływającym tamtędy statkom. Kontrola, jaką Bitynia sprawowała nad cieśninami, była z pewnością jedną z przyczyn wrogości pomiędzy nią a Pontem.

**fascēs** - wiązki różeg powiązanych ze sobą krzyżowym splotem za pomocą czerwonych rzemieni. Pierwotnie były atrybutem królów etruskich, przetrwały jednak przez cały okres republiki aż do czasów cesarstwa. Noszone były przez liktorów przed urzędnikami kurulnymi (a także prokonsulem i propretorem) jako symbol posiadania przez nich imperium. W granicach *pomerium* noszono jedynie wiązki różeg na znak, że urzędnik kurulny ma tutaj jedynie prawo wymierzania chłosty, podczas gdy poza *pomerium* w wiązki różeg zatknięte były topory, symbolizujące prawo urzędnika do wymierzania kary śmierci. Liczba *fascēs* określała stopień posiadanego imperium - dyktator miał ich 24, konsul lub prokonsul 12, pretor lub propretor 6, a edyl kurulny 2.

**fasti** - słowo to oznaczało pierwotnie dni, w których można było zawierać transakcje handlowe, w czasach Mariusza i Sulli miało już jednak wiele innych znaczeń: nazywano tak kalendarz, listy dni świątecznych oraz listę konsulów (zapewne dlatego, że Rzymianie z czasów republiki nie określali kolejnych lat numerami, lecz imionami urzędujących konsulów). Pełne wyjaśnienie dotyczące rzymskiego kalendarza i świąt znaleźć można pod hasłem *fasti* w słowniku do książki Pierwszy w Rzymie.

**flamen** - jeden z kapłanów służących najstarszym bogom rzymskim. Flamenów było piętnastu: trzech starszych i dwunastu młodszych. Trzej flamines *maiores* byli to: flamen *Dialis* (służył on Jowiszowi Najlepszemu i Największemu), flamen *Martialis* (służył Marsowi) i flamen *Quirinulis* (sługa Kwirynu sa). Żaden z flamenów, z wyjątkiem flamera



*Dialis*, nie miał, jak się zdaje, zbyt wielu obowiązków. Trzej starsi mieszkali w domach stanowiących własność państwa, zapewne dlatego, że instytucja flamenów była najstarszą spośród wszystkich rzymskich urzędów kapłańskich.

**Fortuna** - rzymska bogini szczęścia, jedno z najbardziej czczonych bóstw w rzymskim panteonie. Fortuna miała wiele świątyń, a w każdej czczono ją pod inną postacią. Najważniejszym jednak dla wodzów i polityków wcieleniem bogini była Fortuna Huiusque Diei, czyli „Fortuna Dzisiejszego Dnia”. Nawet ludzie tej miary, co Gajusz Mariusz, Lucjusz Korneliusz Sulla czy Gajusz Juliusz Cezar Dyktator wierzyli w nią bez zastrzeżeń i ogromnie cenili sobie jej łaskę.

**forum** - miejsce spotkań na wolnym powietrzu, gdzie załatwiano wszelkie publiczne i prywatne sprawy. Przeznaczeniem niektórych forów był handel mięsem, innymi - warzywami, rybami lub zbożem, inne z kolei były miejscem politycznych zgromadzeń i wydarzeń związanych z zarządzaniem państwem. Nawet obozy wojskowe miały swoje fora, zlokalizowane przy namiocie głównodowodzącego.

**Fregelle** - miasto na prawach latyńskich, leżące nad rzeką Liris przy Via Latina, tuż przy granicy z Samnium. Lojalne wobec Rzymu aż do roku 125 p.n.e., kiedy to podniosło bunt, zdławiony z wyjątkowym okrucieństwem przez pretora Lucjusza Opimusza. Doszczętnie zniszczone, nigdy już nie podniosło się z upadku.

**Frygia** - jedna z najdzikszych i najbardziej wyludnionych krain Azji Mniejszej, kojarząca się starożytnym z nimfami, driadami, satyrami i innymi leśnymi postaciami mitycznymi, a także z bezbronnymi wieśniakami, których łatwo było uprowadzić w niewolę. Frygia leżała na południe od Bitynii i Paflagonii i na zachód od Galacji. Górzysta i zalesiona, stanowiła część pergamońskiego królestwa Attalidów. Po wojnach spowodowanych zapisaniem Pergamonu Rzymowi prokonsul Maniusz Akwiliusz dosłownie sprzedał większą część Frygii Mitrydatesowi, królowi Pontu, zatrzymując złoto dla siebie.

**Galia Długowłosych** - z wyjątkiem rzymskiej prowincji Galii Zaalpejskiej obejmowała ona całą dzisiejszą Francję, Belgię i część Holandii leżącą na południe od Renu. Wzdłuż Renu biegła granica Galii i Germanii. Tereny nie graniczące bezpośrednio z Renem zamieszkiwali Celtowie, bliżej rzeki zaś ludność była bardziej przemieszana wskutek powtarzających się najazdów germańskich. Nazwa kraju brała się stąd, że jego mieszkańcy nosili długie, nie strzyżone włosy.

**Galia italska** - Galia Przedalpejska, Galia Cisalpińska - dosłownie: „Galia po tej stronie Alp” (Galię italską nazywam ją dla uproszczenia). Obejmowała ona wszystkie ziemie na północ od rzek Arno i Rubikon, leżące po italskiej stronie potężnego łuku Alp odcinającego Italię i Galię italską od reszty Europy. Galia italska podzielona była na linii wschód-zachód wodami Padu, a ziemie leżące po jego obu stronach znacznie się od siebie różniły. Na południe od Padu ludy i miasta były silnie zromanizowane i w dużej części objęte prawem latyńskim. Na północ od Padu miasta i zamieszkująca je ludność były dużo bardziej celtyckie niż rzymskie, a w czasach Gajusza Mariusza prawem latyńskim objęte były tylko Akwilea i Kremona. Łacina była tu w najlepszym wypadku drugim językiem - jeżeli ją w ogóle znano. *Lex Pompeia*, prawo wprowadzone przez Pompejusza Strabona w roku 89 p.n.e., przyznawało pełne rzymskie obywatelstwo wszystkim koloniom na prawach latyńskich położonym na południe od Padu, a prawa latyńskie - miastom Akwilei, Patawium i Mediolanowi, leżącym na północ od Padu. Pod względem politycznym Galia italska znajdowała się w czasach Mariusza i Sulli niejako w zawieszaniu, nie miała bowiem ani statusu prawdziwej prowincji, ani nie była częścią Italii. W czasach Wojny Marsyjskiej mieszkańców Galii italskiej po raz pierwszy zaciągnięto do rzymskiej armii - przed



wprowadzeniem *Lex Pompeia* - w charakterze oddziałów posiłkowych, potem zaś - jako regularnych legionistów.

**Galia Zaalpejska** - Gallia Transalpina, której nazwę wolałam jednak uprościć, czytelnicy nie znający łaciny mogliby bowiem mieć kłopoty z przedrostkami Cis i Trans. Prowincję tę zdobył dla Rzymu Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus przed rokiem 120 p.n.e., chcąc zapewnić rzymskim armiom bezpieczny lądowy szlak pomiędzy Italią a Hiszpanią. Na terytorium prowincji składał się wąski pas nadbrzeżny od Ligurii po Pireneje oraz sięgające głębiej w stronę lądu tereny wokół Tolosy i część doliny Rodanu aż po handlowe osiedle Lugdunum (dzisiejszy Lyon).

**Gallia Comata** - zobacz: Gallia Długowłosych.

*gens* - rzymski ród noszący wspólne imię. Juliusz, Domicjusz, Korneliusz, Emiliusz, Serwilusz, Liwiusz, Porcjusz, Juniusz czy Licyniusz, to wszystko przykłady imion rodowych. Wszyscy członkowie tej samej *gens* wywodzili swe pochodzenie od jednego wspólnego przodka - z wyjątkiem wyzwolenców, którzy również przyjmowali imiona swych byłych panów. Słowo *gens* jest rodzaju żeńskiego, stąd *gens Julia*, *gens Cornelia*, *gens Servilia*, itd.

**gladiator** - żołnierz areny, zawodowy wojownik, który prezentował swe umiejętności dla rozrywki widzów. Zawód ten, pochodzący z czasów etruskich, kwitł w całej Italii łącznie z Rzymem. Za czasów republiki gladiator był postacią ogólnie szanowaną, niemal heroiczną, cieszył się wolnością i dobrym traktowaniem. Pochodzenie gladiatora mogło być różnorakie: mógł być dezerterskim legionistą, skazańcem, niewolnikiem, a także człowiekiem wolnym, który zaciągnął się dobrowolnie. Za republiki kariera gladiatora trwała od czterech do sześciu lat, walki zaś staczał przeciętnie pięć razy w roku. Gladiator rzadko ginął w walce, a znane nam z czasów cesarstwa wydawanie wyroku poprzez podniesienie lub opuszczenie kciuka należało jeszcze do przyszłości. Po zakończeniu kariery gladiatorzy zwykli najmować się w charakterze ochrony osobistej lub stróżów porządku na przyjęciach. Posiadanie własnej szkoły gladiatorów uważane było w Rzymie za całkiem dochodowy interes.

**głosowanie** - rzymskie głosowanie nie było demokratyczne, ale raczej oligarchiczne, nie było bowiem bezpośrednie, i odzwierciedlało żądania klas najbogatszych. Nie liczył się w nim głos pojedynczego obywatela - ci, którzy głosowali w swych *tribus* lub centuriach mieli wpływ jedynie na to, jaki będzie ostateczny, zbiorowy głos ich centurii. O wyniku wyborów decydowała dopiero liczba tych właśnie zbiorowych głosów każdej *tribus* lub centurii.

Inaczej było natomiast w rzymskich sądach - członkowie trybunałów oddawali swe głosy bezpośrednio, a ponieważ była ich zawsze nieparzysta liczba, o werdykcie decydowała po prostu większość głosów. Nie znaczy to jednak, że sądy nie znajdowały się pod wpływem klas posiadających - biedniejsi Rzymianie nie mieli bowiem większych szans na zasiadanie w jakimkolwiek trybunale.

**Grakchowie** - znani jako Bracia Grakchowie. Córka Scypiona Afrykańskiego i Emilii Pauli, Kornelia, w wieku 18 lat wyszła za mąż za 45-letniego Tyberiusza Semproniusza Grakcha w roku 172 p.n.e., kiedy to jej ojciec nie żył już od dwunastu lat. Tyberiusz Semproniusz Grakchus był konsulem, roku 177 p.n.e., w roku 169 p.n.e. został obrany cenzorem, a w roku 163 p.n.e. ponownie objął konsulat. Umierając w roku 154 p.n.e., był ojcem dwanaścioro wyjątkowo chorowitych dzieci, z których Kornelia zdołała, mimo troskliwej opieki, wychować tylko trójkę. Najstarsza była córka Sempronia, poślubiona w stosownym wieku swemu kuzynowi Scypionowi Emilianusowi. Dwaj chłopcy: urodzony w



roku 163 p.n.e. Tyberiusz i Gajusz urodzony w roku śmierci swojego ojca, zawdzięczali swe wychowanie wyłącznie matce, która znakomicie wywiązała się z tego zadania. Obaj służyli pod rozkazami swojego szwagra Scypiona Emilianusa, Tyberiusz w trzeciej wojnie punickiej, Gajusz zaś pod Numancją, obaj też wykazali się niezwykłą dzielnością. W roku 137 p.n.e. Tyberiusz został wysłany jako kwestor do Hiszpanii Bliższej, gdzie na własną rękę wynegocjował uwolnienie z Numancji Hostyliusza Mancynusa i uchronił jego armię od zagłady. Scypion Emilianus uznał jednak jego poczynania za tchórzliwe i haniebne i nie pozwolił na uznanie prawomocności układów z Numancją przez senat, co na zawsze poróżniło Tyberiusza ze szwagrem.

W roku 133 p.n.e. Tyberiusz został wybrany na trybuna ludowego i postanowił naprawić zło wyrządzone przez państwo w sprawie przydziałów *ager publicus*. Udało mu się, mimo zażartej opozycji, doprowadzić do uchwalenia ustawy o reformie rolnej ograniczającej ilość dzierżawionej przez jednego człowieka ziemi państwowej do 500 jugerów (i dodatkowych 250 jugerów dla syna, jeżeli go miał). Powołał też komisję, która zajęła się podziałem uzyskanej dzięki tej ustawie nadwyżki gruntów pomiędzy rzymską biedotę. Celem tych poczynań było nie tylko uwolnienie Rzymu od jego mniej użytecznych obywateli, ale też zapewnienie państwu na przyszłość grupy obywateli dostatecznie bogatych, by móc pozwolić sobie na zakup uzbrojenia i tym samym - zasilać szeregi rzymskiej armii. Ponieważ senat postanowił nie dopuścić do żadnych zmian, Tyberiusz Grakchus przedstawił projekt ustawy Zgromadzeniu Plebejskiemu, rozpętując prawdziwą burzę, był to bowiem krok sprzeczny z przyjętą praktyką. Jeden z jego kolegów, a także kuzyn, trybun ludowy Marek Oktawiusz, zawetował projekt ustawy, został jednak natychmiast i niezgodnie z prawem odwołany z urzędu - co było kolejną obrazą uświęconego *mos maiorum*, odwiecznego obyczaju i tradycji. Kwestia legalności tych poczynań nie była więc dla przeciwników Tyberiusza Grakcha tak ważna, jak właśnie owo działanie wbrew utartej niepisanej praktyce.

Kiedy w tym samym roku zmarł Attalos III, król Pergamonu, i okazało się, że całe swoje królestwo zapisał Rzymowi, Tyberiusz Grakchus, ignorując prawo senatu do decydowania o losach tego spadku, przeprowadził prawo przyznające nowo uzyskane ziemie kolejnym rzymskim biedakom. Opozycja w senacie i na forum rosła w siłę z każdym dniem.

Wreszcie, gdy rok 133 p.n.e. dobiegł końca, nie przynosząc żadnych pozytywnych efektów prowadzonej przez niego polityki, Tyberiusz Grakchus zlekceważył kolejne niepisane prawo zabraniające sprawowania funkcji trybuna ludowego więcej niż jeden raz i zgłosił swą kandydaturę do drugiej kadencji. Wtedy to, w starciu z poplecznikami senatu, dowodzonymi przez jego własnego kuzyna Scypiona Nazykę, Tyberiusz Grakchus zginął na Kapitolu pod ciosami pałek, a wraz z nim wielu jego zwolenników. Jego szwagier Scypion Emilianus - który nie wrócił jeszcze spod Numancji - rozgrzeszył publicznie morderców, oświadczając, że Tyberiusz Grakchus chciał zostać królem Rzymu.

Spory przycichły na dziesięć lat, aż do czasu, kiedy w roku 123 p.n.e. młodszy brat Tyberiusza, Gajusz Grakchus, wybrany został na trybuna ludowego. Gajusz był godnym następcą swego brata, uczył się jednak na jego błędach i był od niego zdolniejszy. Jego reformy miały znacznie większy zasięg, obejmowały bowiem nie tylko sprawy rolne, ale także kwestię dostaw taniego zboża dla rzymskiej biedoty, uregulowanie zasad służby wojskowej, sprawę zakładania zagranicznych kolonii dla obywateli rzymskich i robót publicznych na terenie Italii. Program ten zakładał także oddanie poboru podatków w prowincji Azji w dzierżawę, na podstawie kontraktów zawieranych przez cenzorów, odebranie senatorom i oddanie w ręce ekwitów trybunałów sądzących nadużycia



namiestników prowincji oraz nadanie pełnego obywatelstwa rzymskiego posiadaczom praw laticlaviarum, a praw laticlaviarum wszystkim italskim sprzymierzeńcom. Tak szeroki program reform daleki był oczywiście pod koniec roku urzędowania Gajusza od wprowadzenia w życie, dokonał on więc niemożliwego - kandydował w wyborach na rok następny i został wybrany. Mimo narastającego oporu przeciwników walczył o ukończenie realizacji programu reform. Pod koniec roku 122 p.n.e. po raz trzeci zgłosił swą kandydaturę do urzędu trybuna ludowego, jednak zarówno on, jak i jego przyjaciel Marek Fulwiusz Flakkus zostali w wyborach pokonani.

Gdy w roku 121 p.n.e. prawa i polityka Gajusza Grakcha zostały ostro zaatakowane przez konsula Lucjusza Opimiusza i byłego trybuna ludowego Liwiusza Druzusa, Gajusz uciekł się do wywołania zamieszek. Odpowiedzią senatu było nadanie konsulom, na mocy pierwszego w historii dekretu nadzwyczajnego, specjalnych pełnomocnictw dla powstrzymania szerzącego się bezprawia. W rezultacie Fulwiusz Flakkus i jego dwaj synowie zostali zamordowani, a uciekający z miasta Gajusz Grakchus odebrał sobie życie w świątym gaju Furii na zboczu Janikulum. Zwyczaje polityczne Rzymu nigdy już odtąd nie miały być takie jak dawniej, niewzruszony bowiem i starożytny gmach *mos maiorum* zaczął pękać i drżeć w posadach.

Nad życiem prywatnym braci Grakchów ciążyło fatum nie mniej tragiczne niż nad ich karierą polityczną. Tyberiusz Grakchus poślubił Klaudię, córkę Appiusza Klaudiusza Pulchera, konsula z roku 143 p.n.e. i nieprzejednanego wroga Scypiona Emilianusa. Mieli trzech synów, z których żaden nie żył dostatecznie długo, by wkroczyć na scenę polityczną. Gajusz Grakchus również poślubił córkę swego zagorzałego stronnika Publiusza Licyniusza Krassusa, Licynię. Mieli córkę Sempronię, która wyszła za Fulwiusza Flakkusa Bambalię i urodziła mu córkę Fulwię, ta zaś była kolejno żoną Publiusza Klodiusza Pulchera, Gajusza Skryboniusza Kuriona oraz Marka Antoniusza.

**grammaticus** - bynajmniej nie nauczyciel gramatyki, ale podstaw retoryki, czyli sztuki przemawiania (zobacz: retoryka).

**Grecja** - Z początkiem I w p.n.e. odebrano jej Macedonię i Epir, Grecja, o której piszę, obejmowała więc Tesalię, Eubeę, Etoię, Beocję, Fokidę, Lokrydę, Akarnanię, Malidę, Ochrydę, Dolopię, Attykę, Korynt i małe państewka na Peloponezie. Był to kraj wyniszczony, zrujnowany i zapomniany, wicie regionów całkowicie wyludnionych, miasta opustoszałe. Tylko miejsca tak kluczowe, jak np. Ateny były w stanie wciąż funkcjonować. Stulecia nieustających wojen z zagranicznymi najeźdźcami i - przede wszystkim - pomiędzy greckimi państwami doprowadziły kraj do skrajnego ubóstwa i o połowę zmniejszyły liczbę jego mieszkańców, z których wielu (o ile mieli to szczęście, że posiadali dobry zawód lub wystarczającą wiedzę) dobrowolnie sprzedawali się w niewolę.

**Hannibal** - najsłynniejszy z władców punickich, dowodzących siłami Kartaginy w wojnach z Rzymem. Urodzony w roku 247 p.n.e. do żołnierki przyuczał się jeszcze jako dziecko w Hiszpanii, gdzie spędził również młodość. W roku 218 p.n.e. najechał Italię, stosując taktykę, dzięki której udało mu się całkowicie zaskoczyć Rzymian - przejście Alp (razem ze słoniami bojowymi!) przez przełęcz Montgenevre było wyczynem naprawdę niezwykłym. Przez szesnaście lat robił, co chciał, na terenie Italii i Galii italskiej, pokonawszy rzymskie armie nad Trebią, Jeziołem Trazymeńskim i wreszcie pod Kannami. Kwintus Fabiusz Maksymus Verrucosis Kunktator wypracował jednak taktykę, która doprowadziła ostatecznie do klęski Hannibala: nieugięcie podążał ze swą armią krok w krok za nim, nigdy jednak nie wydawał mu bitwy ani nie pozwalał się w nią wciągnąć. Ponieważ zaś Fabiusz Maksymus był zawsze w pobliżu, Hannibal nic poczuł się



nigdy na tyle bezpiecznie, by zaatakować sam Rzym. Italscy sprzymierzeńcy stopniowo go opuszczali, a gdy stracił panowanie nad Kampanią, Fabiusz nadal zmuszał go do posuwania się coraz dalej na południe. Utracił wreszcie również Tarent, a w tym samym czasie jego brat Hazdrubal poniósł klęskę nad rzeką Metaurus w Umbrii. Zepchnięty do Brucjum, czyli samego czubka italskiego buta, Hannibal w roku 203 p.n.e. ewakuował swą niepokonaną armię z powrotem do Kartaginy. Pod Zamą poniósł klęskę z rąk Scypiona Afrykańskiego, potem zaś, wciąż jako władca Kartaginy, spiskował przeciw Rzymowi wraz z Antiochem Wielkim z Syrii. U niego to musiał wreszcie szukać schronienia, kiedy zaś Rzym pokonał Antiocha, umknął znowu - podobno zawędrował do Armenii, gdzie pomógł królowi Artaksasowi wznieść nową stolicę, Artaksalę. Wschodnie obyczaje panujące na armeńskim dworze nie odpowiadały jednak Hannibalowi, który ruszył znów na zachód, tym razem do króla Bitynii Pruzjasza. Gdy w roku 182 p.n.e. Rzymianie zażądali od Pruzjasza wydania Hannibala, ten popełnił samobójstwo. Ów zatwardziały nieprzyjaciel Rzymian zyskał na zawsze ich podziw i szacunek.

**hellenistyczny** - termin określający kulturę grecką po tym, jak Aleksander Wielki wprowadził greckie zwyczaje na dwory władców państw azjatyckich i śródziemnomorskich.

**Herakles** - po łacinie: Herkules. Syn Zeusa, który, choć śmiertelny, dzięki swej nadludzkiej sile, nieugiętości i wytrwałości zasłużył na nieśmiertelną chwałę. Gdy zginął, włożywszy zatrutą koszulę, Zeus obdarzył go nieśmiertelnością. Jednak to jego czysto ludzkie zalety uczyniły z niego idealnego bohatera, którego kult sięgał od jednego krańca Morza Środkowego po drugi. Czciłi go mężczyźni, był bowiem uważany za ucieleśnienie wszystkich typowo męskich cnót - przedstawiano go zwykle w stroju triumfującego wodza. W Rzymie Herkules był też patronem kupców, szczególnie tych handlujących oliwą z oliwek. Niektóre rody wywodziły od niego swe pochodzenie - m.in. Antoniusze, a także - Mitrydates, król Pontu.

**Hiszpania Bliższa** - Hispania Citerior. Prowincja rzymska, która obejmowała równiny leżące u wybrzeży Morza Śródziemnego oraz górzyste tereny w głębi lądu, od Nowej Kartaginy na południu aż po stoki Pirenejów na północy. Granica dzieląca na południu obie hiszpańskie prowincje była mało wyraźna, wydaje się jednak, że przebiegała pomiędzy łańcuchem górskim o nazwie Orospeđa a wyższym pasmem po drugiej stronie Abdery, zwanym Solorius. W czasach Mariusza i Sulli największym tutejszym miastem była Nowa Kartagina (dzisiejsza Kartagena). Po upadku Kartaginy Rzymianie zajęli te ziemie z uwagi na bogate złoża srebra w pobliskim paśmie Orospeđa. Drugim ważnym dla Rzymian regionem Hiszpanii Bliższej była bardzo żyzna dolina rzeki Iberus (dzisiejsze Ebro) i jej dopływów. Siedzibami zarządcy prowincji były dwa miasta: Nowa Kartagina na południu i Tarrako na północy. Hiszpania Bliższa nigdy nie była dla Rzymu tak ważna jak Hiszpania Dalsza, stanowiła jednak jedyną do niej drogę lądową i dlatego utrzymanie jej miało duże znaczenie.

**Hiszpania Dalsza** - Hispania Ulterior. Dalsza - to znaczy położona dalej od Rzymu - z dwóch jego hiszpańskich prowincji. Za czasów Mariusza i Sulli granica pomiędzy Hiszpanią Bliższą a Dalszą była dość płynna, w przybliżeniu jednak dalsza z prowincji obejmowała całą dolinę Betysu, bogate w rudy góry, z których wypływały Betys i Anas, wybrzeże Atlantyku od Olisippo u ujścia Tagu aż do Słupów Herkulesa, oraz wybrzeże śródziemnomorskie od Słupów Herkulesa do portu w Abderze. Największym miastem był tu Gades (dzisiejszy Kadyks), jednak siedzibą namiestnika była Corduba. Strabon twierdzi, że ziemie uprawne Hiszpanii Dalszej były najżyźniejsze na świecie.



**Hyperborejczycy** - „Ludzie spoza wiatru północnego”- mityczny lud zamieszkujący „dalej niż Boreasz”, wiatr północy. Byli czcicielami Apollona i wiedli prawdziwie idylliczny żywot. Starożytni wierzyli niezachwianie, że kraina Hyperborejczyków naprawdę istnieje gdzieś daleko na północy.

**igrzyska** - rozrywka i obyczaj Rzymian, sięgający tradycją wstecz co najmniej do czasów wczesnej republiki, a zapewne znacznie dalej. Z początku igrzyska, czyli lud i, odbywały się tylko podczas triumfu któregoś z wodzów, jednak od roku 366 p.n.e. *ludi Romani* zaczęto obchodzić co roku, ku czci Jowisza Najlepszego, którego święto przypadało 13 września. Niedługo potem *ludi Romani* zaczęły trwać dłużej niż jeden dzień - w czasach Mariusza i Sulli tych dni było już dziesięć, święto zaczynało się więc już 5 września. Choć w programie były zapasy i pięściarstwo, rzymskie igrzyska nigdy nie miały czysto sportowego charakteru igrzysk greckich (bardzo się od nich różniących!). Z początku polegały one głównie na wyścigach rydwanów, później do programu stopniowo włączano walki z dzikimi zwierzętami i sztuki grane w specjalnie wzniesionych teatrach. Pierwszego dnia każdych igrzysk w cyrku odbywała się wspaniała procesja, po której rozgrywano jedną czy dwie kolejki wyścigów rydwanów oraz walki zapaśnicze i pięściarskie, staczane tylko tego pierwszego dnia. W następnych dniach wystawiano sztuki teatralne. Tragedie nie były ani w części tak popularne jak komedie, z których największym wzięciem cieszyły się za czasów Mariusza i Sulli mimy. Kiedy igrzyska zbliżały się ku końcowi, palmę pierwszeństwa przejmowały znów wyścigi rydwanów, przeplatane dla urozmaicenia walkami z dzikimi zwierzętami. Walki gladiatorów nie były włączane do programu igrzysk przez cały okres republiki - odbywały się one tylko podczas igrzysk żałobnych, i to raczej na Forum, a nie w cyrku, urządzano je też prywatnym kosztem, podczas gdy igrzyska opłacane były przez państwo. Ci z edylów, którym zależało na zdobyciu sobie głosów wyborców sięgali jednak do własnych kies, chcąc, by „ich” igrzyska były bogatsze i świetniejsze, niż pozwalały na to fundusze państwowe. Większość igrzysk odbywała się w Cyrku Największym, te zaś przewidziane na mniejszą skalę - w Cyrku Flaminiuszy. Wstęp na igrzyska przysługiwał wolnym obywatelom rzymskim i towarzyszącym im kobietom (nie było żadnej opłaty za wstęp). Choć w cyrku kobiety mogły siadać razem z mężczyznami, to w teatrach musiały zajmować osobne miejsca. Ani wyzwoleńcy, ani niewolnicy nie mogli przyglądać się igrzyskom - zapewne dlatego, że nawet Cyrk Największy, liczący około 150.000 miejsc, nie był dość duży, by pomieścić wszystkich ludzi wolnych i wyzwoleńców naraz.

**Ilium** - rzymska nazwa Troi.

**imago, imagines** - przepięknie malowana i ozdobiona peruką niezwykle realistyczna maska przodka rzymskiego rodu, który sprawował za życia urząd konsula lub pretora. Była ona wykonana z wosku i przechowywana w chroniącej ją przed kurzem szafce w kształcie miniaturowej świątyni. Maski i szafka były przedmiotami prawdziwego kultu, kiedy zaś jakiś mężczyzna z rodziny umierał, zatrudniano aktora, który przywdziewał maskę i odgrywał rolę sławnego przodka w czasie procesji pogrzebowej. Jeżeli ktoś został wybrany konsulem, do rodzinnego zbioru masek dołączano też jego podobiznę, czasami zaś mąż, który nie był konsulem, dokonywał czynu tak niezwykłego, że uznawano go również za godnego posiadania swej maski.

**imperator** - dosłownie: głównodowodzący rzymskiej armii. Terminem tym zaczęto jednak z czasem określać tylko tych wodzów, którzy odnieśli wielkie zwycięstwo. By ubiegać się w senacie o zgodę na odbycie triumfu, dowódca musiał udowodnić, że po bitwie jego wojska okrzyknęły go tytułem imperatora.



**imperium** - słowo to oznaczało zakres władzy posiadanej przez urzędnika kurulnego. Jeśli ktoś posiadał imperium, znaczyło to, że działa z ramienia sprawowanego urzędu i jego polecenia nie można kwestionować (o ile nie przekraczają one jego imperium i są zgodne z prawem). Imperium przyznawane było na mocy *lex Curiata* na czas jednego roku - przedłużenie tego okresu musiało być zatwierdzone przez senat i lud i dotyczyło tylko tych urzędników, którzy w ciągu roku nie zdołali wywiązać się z postawionego im zadania. Oznaką posiadania przez kogoś imperium byli towarzyszący mu liktorzy niosący *fascēs* - im więcej, tym większe imperium posiadał (zobacz: *fascēs*, liktor, urzędnicy).

**insula** - dosłownie: wyspa. Z racji tego, że ze wszystkich stron otoczone były przejściami, ulicami i alejami, insulami zaczęto nazywać kamienice czynszowe. Insule rzymskie były bardzo wysokie (do 30 m!), niektóre zaś z nich również tak obszerne, że mieściły w sobie zamiast jednego nawet kilka wewnętrznych podwórek. Tak jak i dziś, większość mieszkańców starożytnego Rzymu mieszkała w budynkach wielorodzinnych, co może znacznie przybliżyć nam odpowiedź na stale powracające pytanie: ilu ludzi mieszkało w Rzymie? Znamy rozmiary miasta opasanego murami serwiańskimi: miało nieco ponad kilometr szerokości i ponad dwa kilometry długości. Oznacza to, że w czasach Mariusza i Sulli Rzym miał około miliona, a nawet więcej mieszkańców - w przeciwnym razie insule byłyby w połowie puste, a miasto tonęłoby w zieleni parków. Rzym tymczasem roił się od ludzi, a insule były pełne po brzegi. Można więc nawet założyć, że mieszkało tu nie milion, ale prawie dwa miliony ludzi.

**interrex** - dosłownie znaczy to „pomiędzy królami”. Tytuł ten pochodzi z czasów rzymskiej monarchii, kiedy to patrycjuszowski senat wyznaczał jednego ze swoich członków, by sprawował władzę monarszą po śmierci panującego, zanim następny król zdąży wstąpić na tron. Praktyka ta utrzymana została także po ustanowieniu republiki, z tym że teraz interrex urzędował w przypadkach gdy, czy to z powodu zgonu, czy innego nieszczęśliwego wypadku, Rzym został pozbawiony konsulów, a nie zwołano jeszcze oficjalnych wyborów. Senat podzielony był od zawsze na dekurie -jednostki liczące dziesięciu senatorów, na czele których stał zawsze patrycjusz. I właśnie spośród tych przywódców dekurii pod nieobecność konsulów wybierano interreksa. Obejmował on urząd tylko na pięć dni, po czym zastępował go następny z patrycjuszy - i tak trwało to aż do momentu, kiedy nowo wybrani konsulowie mogli objąć swój urząd. Interreksowi przysługiwało pełne konsularne imperium, eskorta dwunastu liktorów i wszystkie uprawnienia konsula. Nikt, kto nie był patrycjuszem i przywódcą dekurii, nie mógł sprawować tej funkcji; pierwszy zaś w szeregu interreksów nie mógł nadzorować wyborów na konsula.

**Italia** - w książce nazwy tej używam w dwóch znaczeniach: po pierwsze, jako określenie wszystkich ziem leżących na Półwyspie Apenińskim (w rozumieniu starożytnym, a więc na południe od rzek Arno i Rubikon), po drugie zaś, w odniesieniu do ludów italskich, które w roku 91 p.n.e. powstały przeciwko Rzymowi (wydarzenia te zwane Wojną Marsyjską dopiero później otrzymały nazwę wojny ze sprzymierzeńcami).

**Italika** - stolica nowego, wymarzonego przez uczestników Wojny Marsyjskiej państwa italskiego. Nazwę tę nadano w czasie wojny miastu Korfinum.

**italscy sprzymierzeńcy** - ludy, narody lub plemiona (w różnych opracowaniach używa się na przemian tych trzech terminów), zamieszkujące Półwysep Apeniński, ale nie objęte ani pełnym obywatelstwem rzymskim, ani nawet prawem latyńskim. W zamian za wojskową ochronę i w imię pokojowej koegzystencji musiały one zasilać rzymską armię uzbrojonymi żołnierzami i płacić za ich utrzymanie. W czasach Mariusza i Sulli



sprzymierzeńcy ponosili również główne ciężary podatkowe na terenie Italii i nierzadko musieli rezygnować z części swych ziem, na rzecz powiększającego się wciąż rzymskiego *ager publicus*. Wiele spośród tych plemion albo powstawało przeciw Rzymowi (jak Samnici), albo przyłączało się do Hannibala i jemu podobnych (tak jak część Kampanii). Dążenie italskich sprzymierzeńców do zrzucenia rzymskiego jarzma lub uzyskania pełnego obywatelstwa nigdy nie zostało całkowicie stłumione, ale aż do ostatniego stulecia trwania republiki Rzymianie byli dość czujni, by działać, zanim tendencje te staną się zbyt silne. Po roku 188 p.n.e., kiedy Formiae Fundi i Arpinum otrzymały obywatelstwo, nie dostało już tego wyróżnienia, ani nawet przyznania praw latyńskich, żadne z miast italskich. Kroplą, która przebrała miarę goryczy Italskich sprzymierzeńców i popchnęła ich do otwartej wojny było przeprowadzone w roku 95 p.n.e. *lex Licinia Mucia*. Pod koniec roku 91 p.n.e. wybuchła wojna. Lojalne wobec Rzymu pozostały wtedy tylko Etruria, Umbria, Północne Picenum, Północna Kampania, Lacjum i kraj Sabinów.

Przeciwno Rzymowi pierwsi otwarcie powstałi: Marsowie (od których wzięła swą nazwę cała wojna, zwana w tamtych czasach Wojną Marsyjską), Samnici, Frentanowie, Marrucynowie, Picenowie (ci na południe od rzeki Flosis), Pelignowie, Westynowie i Hirpinowie, do których później dołączyli też Lukanowie, Apulijczycy i Wenuzianie.

Dwa regiony Italii położone najdalej na południu, Brucjum i Kalabria, sprzyjały sprawie italskiej, nie brały jednak udziału w walkach. Przywódcami italskich powstańców byli: Mars Kwintus Popediusz Silon i Samnita, Gajusz Papiusz Mutilus.

***ius Latii*** - zobacz: prawa latyńskie.

**Janikulum** - wzgórze położone na północno-zachodnim wybrzeżu Tybru, naprzeciw Rzymu. Za republiki wznosiła się tu twierdza, w czasach Mariusza i Sulli wciąż utrzymana w doskonałym stanie i w każdej chwili gotowa do obsadzenia wojskiem. Na szczycie cytadeli znajdował się maszt, z którego powiewała czerwona flaga. Opuszczenie flagi było znakiem, że Rzymowi grozi nieprzyjacielski atak.

**jarzmo** - belka spoczywająca na grzbietach pary wołów bądź innych zwierząt zaprzęgniętych do ciągnięcia ładunku. W kategoriach ludzkich jarzmo było synonimem poddania i służalczości. Gdzieś w Rzymie, na Karynach, ustawione było jarzmo zwane Tigillum, pod którym przechodziła młodzież obojga płci - być może miało to symbolizować poddanie się trudom dorosłego życia. Największe znaczenie symboliczne miało jednak jarzmo w kontekście militarnym - bardzo starym (być może etruskim) zwyczajem było zmuszenie pokonanej armii do przejścia pod jarzmem. Wbijano w tym celu w ziemię dwie włócznie, na nich zaś umieszczano poprzecznie trzecią - na tyle nisko, by przechodzący pod nią mężczyzna musiał się pochylić. Nieprzyjacielskie armie przejęły niestety ten zwyczaj i w rezultacie pod jarzmem musiała od czasu do czasu przechodzić również armia rzymska. Było to uznane za niemożliwe do zniesienia poniżenie - do tego stopnia, że senat i lud rzymski woleli, by całe armie ginęły aż do ostatniego żołnierza, niż naraziły honor i *dignitas* Rzymu, poddając się i przechodząc pod jarzmem.

**Jowisz Najlepszy i Największy** - Jupiter Optimus Maximus, władca rzymskiego panteonu i największy z rzymskich bogów. Jego wielka i wspaniała świątynia wznosiła się na szczycie Kapitolu, a służył mu jego własny kapłan, flamen *Dialis*.

**Jowisz Stator** - Jowisz Zbawca, związany z armią i sprawami wojskowymi. Jowisz w tym swoim wcieleniu dawał żołnierzom odwagę, dzięki której walczyli, nic ustępując pola i nie pozwalając im na ucieczkę. Wierny o istnieniu dwóch świątyń Jowisza Statora - jedna, bardzo starodawna, wznosiła się na rogu Welii i Via Sacra, przy Clivus Palatinus (to tu właśnie ukrył się Gajusz Mariusz, poniosłszy klęskę z rąk Sulli w roku 88 p.n.e.), druga zaś,



pierwsza z rzymskich świątyń, zbudowana wyłącznie z marmuru, stała na Polu Marsowym, niedaleko Portyku Metellów.

**juger** - jednostka, w której Rzymianie mierzyli grunty uprawne. W odniesieniu do dzisiejszych jednostek miary, juger stanowił 0,623 (albo 5/8) akra, czyli 0,252 (1/4) hektara. Współcześni czytelnicy, używający jako jednostek miary akrów powinni w przybliżeniu podzielić liczbę jugerów przez dwa, ci zaś, którzy mierzą ziemię w hektarach otrzymają bardzo zbliżony wynik, dzieląc liczbę jugerów przez cztery.

**Jugurta** - król Numidii od roku 118 p.n.e. aż do roku 105 p.n.e., kiedy to został pojmany przez Sullę. Pochodził z nieprawego łoża, a tron zdobył, mordując wszystkich tych, którzy mieli do niego większe prawa niż on, i zdołał się na nim utrzymać mimo zaciętego oporu części rzymskich senatorów, którym przewodził prynceps senatu Marek Emiliusz Skaurus. W roku 109 p.n.e., po niechlubnym akcie agresji rzymskich wojsk pod wodzą młodego Aulusa Postumiusza Albina, Jugurta najechał rzymską prowincję Afrykę. Na czele rzymskich wojsk wysłanych przeciw Jugurcie stanął konsul tamtego roku, Kwintus Cecyliusz Metellus, a w charakterze legatów pojechali z nim Gajusz Mariusz i Publiusz Rutyliusz Rufus, którzy obaj przed laty służyli wraz Jugurtą jako kadeci w Hiszpanii. Współpraca Metellusa (który dzięki tej kampanii otrzymał nowy przydomek „Numidyjski”) i Mariusza nie układała się najlepiej, wynikiem czego było to, że Mariusz zgłosił swą kandydaturę na konsula w roku 207 i wygrał, a Zgromadzenie Plebejskie przegłosowało odebranie naczelnego dowództwa w wojnie z Jugurtą Metellusowi Numidyjskiemu i przekazanie go Mariuszowi, czego tamten nigdy mu nie wybaczył. Mariusz odniósł szereg sukcesów w walce z numidyjską armią, nie udawało mu się jednak schwytać Jugurty. Dokonał tego dopiero Sulla, wówczas kwestor Mariusza, który nakłonił króla Mauretanii Bokchusa do zastawienia pułapki na Jugurtę, którego pojmano i odesłano do Rzymu. Tam szedł w pochodzie triumfalnym Mariusza w dniu Nowego Roku 104 p.n.e., po czym został wtrącony do lochu pod Tullianum i zagłodzony na śmierć.

**Junona Moneta** - Junona Dawczyni Przestróg. Ta najważniejsza z rzymskich bogiń miała wiele wcieleń, w tym i Junony Monety. To gęganie jej świętych gęsi obudziło Marka Manliusza na tyle wcześniej, że zdążył odeprzeć Galów, szturmujących stoki Kapitolu w roku 390 p.n.e. W piwnicach jej świątyni na Kapitolu znajdowała się mennica - stąd dzisiejsze znaczenie słowa „moneta”.

**Kalabria** - nazwa nieco myląca dla tych, którzy znają dzisiejsze Włochy - dziś bowiem Kalabria to czubek włoskiego buta, podczas gdy w starożytności nazywano tak piętę i obcas. Najważniejszym miastem Kalabrii było Brundyzjum, następnym zaś - Tarent. Region ten nie był bezpośrednio zamieszany w Wojnę Marsyjską, Kalabrowie jednak sympatyzowali ze sprawą italską.

**Kampania** - bajecznie żyzna i bogata nizina o wulkanicznej glebie, położona między samnijskimi Apeninami a Morzem Tyrreńskim, ciągnąca się od Tarraciny na północy aż do południowego krańca dzisiejszej Zatoki Neapolitańskiej. Nawadniana przez rzeki Licis, Woltumus, Calor, Clanius i Samus, kraina ta rodziła więcej najprzedniejszych płodów rolnych niż jakikolwiek inny rejon Italii. Skolonizowana przez Greków popadła w zależność od Etrurii, później połączyła się z Samnium, wreszcie przeszła pod panowanie rzymskie. Grecki i samnicki element czynił z ludności Kampanii niepokornych poddanych - był to zawsze kraj skłonny do buntów, przez co stracił część swych najlepszych ziem, zamienionych w rzymski *ager publicus*. Ważnymi ośrodkami lądowymi kampanii były miasta Kapua, Teanum Sidicinum, Wenafrum, Acerre, Nola i Interamna, podczas gdy porty w Puteol, Neapolu, Pompejach, Herkulanum, Surrentum i Stabiach były najważniejszymi



na całym zachodnim wybrzeżu Italii. Port w Puteol był największy i najbardziej uczęszczany w całej Italii. Przez Kampanię wiodły Via Campania, Via Appia i Via Latina.

**Kanny** - miasto w Apulii nad rzeką Aufidus. Tu w roku 216 p.n.e. Hannibal na czele armii kartagińskiej spotkał się z armią rzymską, dowodzoną przez Lucjusza Emiliusza Paulusa i Gajusza Terencjusza Warrona. Armia rzymska została całkowicie unicestwiona. Do czasu bitwy pod Arauzjoną w roku 105 p.n.e. bitwa pod Kannami uważana była za największą klęskę militarną w dziejach Rzymu. Liczba poległych szacowana jest na trzydzieści do sześćdziesięciu tysięcy. Ci, którzy ocaleli, zostali zmuszeni do przejścia pod jarzmem (zobacz: jarzmo).

**Kapadocja** - królestwo leżące w środkowej Anatolii (ziemie te do dziś noszą zresztą tę samą nazwę). Kraj ten, położony na dużej wysokości nad poziomem morza, ukształtowany był przez wybuchy licznych wulkanów, z których największym była góra Argajos. Jedyne miasto i zarazem stolica Kapadocji, Euzebia Mazaka, leżała właśnie na jej stokach. Obficie nawodnione i żyzne ziemie Kapadocji były nieustannie obiektem pożądania królów sąsiednich i potężniejszych państw - Pontu (na północy) i Syrii (na południu). Kapadocji udało się jednak utrzymać własną linię królewską, której członkowie nosili zazwyczaj imię Ariarates. Zamieszkująca tu ludność spokrewniona była z mieszkańcami Pontu. Niewielkie, aczkolwiek dość bogate, by utrzymać sześć tysięcy niewolników, państewko świątynne Ma w Komanie było zazwyczaj rządzone przez pełniącego funkcję najwyższego kapłana brata aktualnie władającego króla Kapadocji.

**Kapua** - najważniejsze miasto Kampanii. Szereg wystąpień jej mieszkańców przeciw Rzymowi zaowocowało ostrymi represjami, w wyniku których Kapua utraciła rozległe i niezmiernie bogate ziemie. Posiadłości te stały się później zarodkiem rzymskiego *ager publicus* na terenie Kampanii, a w ich skład wchodziły między innymi słynne winnice, z których pochodziło wino falerniańskie. W czasach Mariusza i Sulli gospodarka Kapui zależna była całkowicie od obozów wojskowych, szkół gladiatorów i obozów więziennych, otaczających miasto. Mieszkańcy utrzymywali się z dostaw towarów i świadczenia usług dla tych olbrzymich instytucji.

**Kartagina** - stolica i centrum kupieckiego imperium, założonego przez fenickich kolonistów w środkowej części Afryki Północnej (dzisiejsza Tunezja). Miasto położone było nad jednym z najlepszych naturalnych portów Morza Śródziemnego, potężnie umocnionym i rozbudowanym. Po tym jak Scypion Emilianus położył kres państwu Kartagińczyków w trzeciej wojnie punickiej, Kartagina właściwie przestała istnieć.

**Karyny** - jedna z najbardziej ekskluzywnych dzielnic Rzymu. Karyny leżały na zachodniej stronie północnego wierzchołka Wzgórza Oppijskiego i rozciągały się od wzgórza Welia aż do Clivus Pullius. Widok rozciągał się stąd na południowy zachód, ku Awentynowi, ponad bagnistym Palus Ceroliae.

**Kaudyński Wąwóz** - w roku 321 p.n.e. armia rzymska wpadła w zasadzkę zastawioną w jarze niedaleko samnickiego miasta Benewentum - miejscu zwanym odtąd Wąwozem Kaudyńskim. Rzymianie poddali się wówczas wodzowi Samnitów Gawiuszowi Pontiusowi, który poniżył ich, zmuszając do przejścia pod jarzmem.

**klasy** - pięć grup majątkowych, obejmujących obywateli rzymskich posiadających ziemię lub inne źródła stałego dochodu. Członkowie klasy pierwszej byli najbogatsi, piątę - najbiedniejsi. *Capite censi* jako warstwa najuboższa nie należeli do żadnej z klas, co oznaczało, że nie mogli głosować na Zgromadzeniu Centurialnym.

**klient (*cliens*)** - termin ten oznaczał człowieka wolnego lub wyzwolenca (nie musiał on być obywatelem rzymskim), który złożył przyrzeczenie swemu patronowi (*patronus*).



Klient zobowiązywał się w nim służyć interesom swego patrona i spełniać jego życzenia. W zamian mógł liczyć na poparcie i pomoc patrona - w załatwieniu posady, adwokatów w sądzie czy po prostu - wsparcie finansowe. Wyzwolony niewolnik stawał się automatycznie klientem swego dawnego pana i pozostawał nim, dopóki nie został zwolniony z tego obowiązku - co najczęściej nie następowało nigdy. Postępowanie klienta wobec patrona regulował system honorowych zobowiązań, których przestrzegano ze zdumiewającą skrupulatnością. Bycie klientem nie oznaczało bynajmniej, że nie można było być jednocześnie patronem. Znaczyło to jedynie, że klienci kogoś takiego byli zarazem klientami jego patrona. W czasach republiki stosunków między patronami a klientami nie określały żadne specjalne prawa - nie było to konieczne, nikt bowiem, ani patron, ani klient nie mogliby już liczyć na życiowe sukcesy, jeśli rozniosłoby się, że postąpili niehonorowo wobec swego klienta lub patrona. Istniały jednak prawa regulujące zależności patron-klient w stosunkach międzypaństwowych - obce państwa czy królestwa uznające Rzym za swego patrona, miały na przykład obowiązek wykupywania rzymskich obywateli, którzy na ich terytorium zostali uprowadzeni w niewolę (na którym to prawie piraci zbijali ogromne fortuny). Nie tylko bowiem osoby prywatne, ale także miasta i państwa mogły pełnić rolę klienta.

**kohorta** - po reformach Gajusza Mariusza kohorta stała się podstawową jednostką taktyczną rzymskiego legionu. W jej skład wchodziło sześć centurii, a legion w normalnych okolicznościach liczył dziesięć kohort. Przy omawianiu posunięć taktycznych liczebność armii podawano raczej w kohortach, nie w legionach (np. „dwadzieścia pięć kohort”, a nie „dwa i pół legionu” albo „pięć kohort” zamiast „pół legionu”).

**kolegium** - grupa łącząca ludzi działających w tej samej dziedzinie. W Rzymie istniały kolegia kapłańskie, kolegia polityczne (np. kolegium trybunów ludowych), kolegia religijne (np. kolegium liktorów) i zawodowe. Ludzie różnego autoramentu, z niewolnikami włącznie, łączyli się w kolegia sprawujące nadzór nad rozstajami dróg w Rzymie i urządzające doroczne Święto Rozstajów, czyli Kompitalia.

**kolumnada** - zadaszona przestrzeń pomiędzy budynkiem a biegnącym wzdłuż jego ściany rzędem kolumn, albo pomiędzy dwoma rzędami wolno stojących kolumn.

**komicja** - zobacz: Zgromadzenie.

**Komicjum** - obszerna, okrągła niecka na dolnym Forum Romanum, leżąca przy schodach kurii senatu i bazylice Emiliuszów, będąca zwyczajowym miejscem spotkań komicjów, czyli rzymskich zgromadzeń. Zbudowana była w formie stykających się ze sobą podestów o stopniowo rosnącej wysokości, a mieściło się tu nawet do trzech tysięcy ludzi. Do jednego z boków niecki komicjów przylegały rostra, czyli mównica.

**konsul** - był to najwyższy rangą rzymski urzędnik posiadający imperium, konsulat zaś uważano za najwyższy szczebel *cursus honorum*. Co roku Zgromadzenie Centurialne wybierało na roczną kadencję dwóch konsulów. Starszy z nich - ten, który pierwszy osiągnął wymaganą liczbę głosów centurii - otrzymywał *fascēs* w styczniu, co oznaczało, że to on oficjalnie sprawował urząd w tym miesiącu, podczas gdy jego młodszy kolega czekał na swoją kolej (która nadchodziła w lutym, potem zaś zmieniali się co miesiąc przez cały rok). Pierwszym dniem konsulatu był dzień Nowego Roku, pierwszego stycznia. Każdemu z konsulów towarzyszyło dwunastu liktorów, ale tylko liktorzy konsula urzędującego w danym miesiącu nieśli na ramionach wiązki różeg. Do I w. p.n.e. konsulem mógł zostać zarówno patrycjusz, jak i plebejusz, z tym że urzędu tego nie mogło sprawować dwóch patrycjuszów jednocześnie. Konsulem można było zostać w wieku 42 lat, tj. 12 lat po wstąpieniu do senatu. Imperium konsula nie miało żadnych ograniczeń i



rozciągało się nie tylko na Rzym, ale też na całą Italię i prowincje, przewyższając imperium zarządzających nimi prokonsulów. Konsul mógł dowodzić każdą armią.

**konsul zastępczy (*consul suffectus*)** - gdy urzędujący konsul umierał, bądź w jakiś inny sposób pozbawiony zostawał możliwości dalszego sprawowania swego urzędu, senat powoływał na jego miejsce zastępcę - *consul suffectus* nie był więc wyłaniany w wyborach. W zależności od nastrojów panujących akurat w senacie *suffectus* był czasami powoływany pod sam koniec roku konsularnego, czasami zaś urząd pozostawał nie obsadzony przez większą część roku. Wydaje się, że aby senat mógł powołać *suffectusa*, konieczna była obecność w kurii drugiego z urzędujących konsulów - wskazywałaby na to bezradność senatu, kiedy w roku 90 p.n.e., po śmierci konsula Katona, drugi z konsulów, Lucjusz Juliusz Cezar odmówił przybycia do Rzymu i wzięcia udziału w wyborze *suffectusa*. Imię *suffectusa* było wciągane na listę rzymskich konsulów, a on po zakończeniu swej kadencji miał prawo tytułować się konsulem.

**konsularny mąż** - zobacz: mąż konsularny.

**koń państwowy** - wierzchowiec należący do państwa - a więc do senatu i ludu rzymskiego. Od czasów, kiedy Rzymem rządili królowie, państwo na własny koszt zapewniało konie bojowe tysiącu ośmiuset najznaczniejszym rzymskim rycerzom. Działo się tak zapewne dlatego, że w dawnych czasach, kiedy wprowadzono ten zwyczaj, konie były towarem zarówno rzadkim, jak i niezwykle kosztownym. W przeciwnym razie skąpiący wiecznie na wszystko skarb państwa nie przeznaczaliby na ten cel swych cennych pieniędzy, a ekwici musieliby po prostu kupować sobie swoje konie - jak za czasów republiki, kiedy to liczba rycerzy znacznie przekraczała 1800.

W czasach Mariusza i Sulli posiadanie konia państwowego było nie byle jakim wyróżnieniem, znaczyło to w oczach opinii publicznej, że ponieważ prawo do jego posiadania przekazywane było z ojca na syna, ród szczęśliwego posiadacza takiego rumaka jest bardzo starożytny i sięga czasów królów.

Że nie zawsze było tak, w rzeczywistości wiemy np. stąd, że konia państwowego posiadał Pompejusz - prawdopodobnie więc kiedy jakiś stary ród wygasał, jego rumak przyznawany był innej, stosunkowo nowej, ale wpływowej rodzinie. Katon Cenzor na przykład, uważany za człowieka nowego, chlubił się tym, że jego pradziad (który żył w IV wieku p.n.e.) otrzymał od skarbu państwa odszkodowanie za aż pięć bojowych rumaków, które padły pod nim w czasie walki.

Gdy Gajusz Semproniusz Grakchus oddzielił od siebie senatorów i ekwitów, nie wpłynęło to w żaden sposób na podział koni państwowych - żaden z senatorów nie oddał swego rumaka tylko dlatego, że nie był już rycerzem, przeciwnie, senatorskie rody nadal szczyły się prawem do ich posiadania, czego przykładem jest znów Pompejusz Wielki, a zapewne także jego ojciec.

Choć nie było to utartym zwyczajem, niektórzy cenzorzy (m.in. Katon Cenzor) żądali, by wszyscy z tysiąca ośmiuset posiadaczy koni państwowych stawili się z nimi do Rzymu na specjalną paradę, dając tym samym dowód, że odpowiednio dbają zarówno o swego rumaka, jak i o swoją kondycję bojową. Parady takie odbywały się najprawdopodobniej w idy sierpniowe - cenzorzy zasiadali wtedy na specjalnym podium na szczycie schodów świątyni Kastora i Polluksa na Forum i przyglądali się koniom państwowym przeprowadzanym przed nimi. Jeśli uznali, że ktoś zaniedbuje zwierzę, odbierali mu prawo jego posiadania.

**Koń Październikowy** - w idy październikowe (tj. mniej więcej wtedy, kiedy w dawnych czasach kończyły się jesienne kampanie) najlepsze konie bojowe z danego roku



zaprzęgano parami do rydwanów i wystawiano do wyścigów na Polu Marsowym. Koń biegnący z prawej strony w zwycięskim zaprzęgu składany był w ofierze Marsowi na specjalnie w tym celu wzniesionym ołtarzu. Zwierzę zabijano ciosem włóczni i odrąbywano mu głowę, do której przywiązywano kawałki ciastek i chleba. Ogon i genitalia przenoszono w pośpiechu do Regiów na Forum Romanum, a krew z nich rozlewano na ołtarzu. Udekorowany ciastkami koński łeb rzucano w tłum, gdzie walkę o niego staczały dwie drużyny: mieszkańcy Subury z mieszkańcami Via Sacra. Jeśli wygrali ludzie z Via Sacra, przytwierdzali zdobytą końską głowę do zewnętrznego muru Regiów, jeśli zaś wygrała drużyna z Subury, głowę zawieszano na ścianie Turris Mamilia (najokazalszego budynku dzielnicy).

Nikt nie znał przyczyn, dla których co roku powtarzano ten rytuał, choć dzisiejsi uczeni są zdania, że jego początki sięgają czasów znacznie dawniejszych niż czasy Mariusza i Sulli, kiedy to sami Rzymianie nie umieli już wytłumaczyć jego znaczenia. Konie stające do wyścigów były, jak dziś przypuszczamy, końmi państwowymi.

**król klient** - zagraniczny monarcha, który jako klient przyrzekł swe usługi Rzymowi, uzyskując dzięki temu dla swego kraju tytuł Przyjaciela i Sprzymierzeńca Ludu Rzymskiego. Bywały jednak i takie przypadki, kiedy obcy król wybierał na swego patrona któregoś z rzymskich obywateli, co nie owocowało oczywiście tytułem przyznawanym jego narodowi.

**Królestwo Partów** - *Regnum Parthorum*. Tak starożytni nazywali rozległy obszar leżący w zachodniej Azji i rządzony przez Króla Partów. Nie należy absolutnie mylić go z Partią - Partia była bowiem niewielką krainą położoną na południowo-wschodnim wybrzeżu Morza Kaspijskiego, niedaleko Baktrii, a jej jedyną istotną rolę określał fakt, że to stąd pochodziło siedem potężnych rodów Pahlawich i dynastia Arsacydów, władających Królestwem Partów. W czasach Mariusza i Sulli pod ich panowaniem znajdowały się wszystkie ziemie pomiędzy Eufratem a Indusem. Król Partów nie rezydował w Partii, lecz rządził swym krajem z dwóch stolic: zimą z Seleucji nad Tygrysem, latem zaś z Ekbatany. Królestwo Partów podzielone było na różne krainy rządzone przez satrapów, będących jednak tylko przedstawicielami mianowanymi przez swego króla. Władza w Królestwie Partów nie była wcale scentralizowana, nie istniało też wspólne dla całego tego rozległego obszaru poczucie tożsamości narodowej, Król władał jednak swymi ziemiami niepodzielnie dzięki niezwykle sprawnej organizacji wojskowej. Armia składała się wyłącznie z jazdy, ta zaś dzieliła się na lekką jazdę złożoną z łuczników, którzy udając ucieczkę, odwracali się w siodle i razili przeciwnika słynnym „partyjskim strzałem”, oraz z ciężkiej jazdy pancерnej, katafraktów, w której zarówno jeździec, jak i koń zakuci byli w stal. Dzięki kontaktom z syryjską dynastią Seleucydów, sztywną, wschodnią atmosferą panującą na partyjskim dworze ożywiały nieco wpływy kultury hellenistycznej.

**krzesło kurulne (*sella curulis*)** - było to krzesło z kości słoniowej, zastrzeżone dla urzędników posiadających imperium. Zasiadał na nim edyl kurulny, a edyl plebejski - już nie. Krzesła kurulne były pięknie rzeźbione, a ich ozdobne nogi krzyżowały się, tworząc szeroką literę X. Miały niskie oparcia dla rąk, pozbawione były jednak oparcia z tyłu. kwestor - najniższy z urzędów *cursus honorum*. W czasach Mariusza i Sulli wybór na kwestora nie oznaczał wcale automatycznego uzyskania członkostwa w senacie, jednak cenzorzy zwyczajowo wciągali nowych kwestorów na listę senatorów, wielu zaś kandydatów do urzędu było już senatorami. Nie znamy dokładnie liczby kwestorów wybieranych w tamtych czasach, sądzą jednak, że co roku powoływano ich od dwunastu



do szesnastu. O urząd kwestora można się było ubiegać, skończywszy trzydzieści lat, co było też odpowiednim wiekiem na wstąpienie do senatu. Kwestor zajmował się przede wszystkim sprawami fiskalnymi - był przydzielony albo do państwowego skarbcza czy pomniejszych skarbców, albo do zbierania podatków i ceł portowych (tych kwestorów musiało być już wtedy co najmniej trzech: jeden dla Ostii, jeden dla Puteoli i jeden do obsługi pozostałych portów). Do obowiązków kwestorów należało też zarządzanie finansami prowincji. Konsul otrzymawszy na następny rok w zarząd którąś z prowincji, mógł poprosić imiennie o mającego mu podlegać kwestora, czyniąc mu w ten sposób ogromny zaszczyt. W normalnych okolicznościach kwestura trwała przez jeden rok, jeśli jednak kwestor został imiennie wybrany przez swego zwierzchnika, musiał pozostać z nim w prowincji tak długo, jak długo trwać będzie kadencja tamtego. Kwestorzy rozpoczynali urzędowanie piątego grudnia.

**kwirycci** - starodawne określenie rzymskich obywateli. Nie wiemy, czy słowo to nie oznaczało przypadkiem tych, którzy nie służyli nigdy w armii - mogłyby na to wskazywać słowa Cezara Dyktatora, który nazwał swych zbuntowanych żołnierzy kwirydami i uczynił to z taką pogardą, że zaczęli błagać go o wybaczenie. Wiele jednak mogło się zmienić pomiędzy czasami Mariusza i Sulli a latami dyktatury Cezara. Ja wolę wierzyć, że „kwirycci” było za Mariusza i Sulli określeniem zaszczytnym.

**Kyme** - pierwsza grecka kolonia w Italii, założona w początkach VIII w. p.n.e. Położone nad Morzem Tyrańskim po wewnętrznej stronie przylądka Misenum, nieco na północ od Zatoki Krateru, było w czasach republiki modną rzymską miejscowością wypoczynkową.

**Lacjum** - ta część Italii, w której znajdował się Rzym. Granice Lacjum wyznaczały od północy rzeka Tyber, od południa Cyrceje, od wschodu zaś terytoria zamieszkałe przez Marsów i Sabinów. Gdy Rzymianie w roku 300 p.n.e. podbili ziemie Wolsków i Ekwów, Lacjum stało się terytorium czysto rzymskim.

**lary** - jedne z bóstw najbardziej rzymskich w charakterze, pozbawionych kształtu, płci, liczby a także mitologii, tak zwane *numina*. Istniało wiele rodzajów larów, będących bóstwami czy siłami opiekującymi się danym miejscem (np. rozstajami i granicami), grupą społeczną (np. lar Familiaris, własny lar każdej rzymskiej rodziny), czynnością (np. żegluga, jak lares Permarini) bądź też całym narodem (jak w przypadku oficjalnych larów państwowych). W okresie późnej republiki zaczęto przedstawiać je (w formie małych figurek) jako dwóch młodych mężczyzn z psem, choć wątpliwe jest, by Rzymianie wierzyli rzeczywiście, że była ich dwójka i to akurat występująca w takiej formie. To raczej styl życia zaczął narzucać potrzebę ułatwienia sprawy i umownego przedstawienia larów w jakikolwiek sposób.

**latyfundia** - wielkie państwowe posiadłości ziemskie, dzierżawione przez jedną osobę i zarządzane jako jednorodne gospodarstwa - to znaczy prawie zawsze pastwiska, nie pola uprawne. Siłą roboczą w latyfundiach byli niewolnicy, traktowani wraz z upływem czasu coraz gorzej, skuwani łańcuchami i zamykani na noc w barakach zwanych ergastula.

**Lautumie** - starodawny kamieniołom w północno-wschodnim stoku Arx na Kapitolu. Wydobywano stąd wapienie, z których zbudowane były m.in. najstarsze budynki Forum, stojące tam jeszcze za czasów Mariusza i Sulli. Na terenie kamieniołomu zbudowano kiedyś więzienie, jednak ponieważ długotrwałe przetrzymywanie skazańców w zamknięciu nie leżało w rzymskim charakterze, nigdy odpowiednio go nie zabezpieczono. W Lautumiach znajdował się szereg cel, używanych jak się wydaje przeważnie do więzienia zbuntowanych urzędników czy polityków. Znacznie bardziej popularną karą za przestępstwo było jednak w Rzymie wygnanie, o wiele tańsze od więzienia.



**legat (*legatus*)** - najwyżsi rangą urzędnicy w służbie głównodowodzącego armii rzymskiej zwani byli legatami. By zostać legatem, trzeba było należeć do stanu senatorskiego, dość często zaś zdarzało się nawet, że legatami zostawali byli konsulowie, którzy zateśkniwszy do wojskowego życia, oferowali swe usługi wodzowi prowadzącemu jakąś ciekawą kampanię. Legaci odpowiadali jedynie przed głównodowodzącym i stali ponad wszystkimi trybunami wojskowymi.

**legion** - najmniejsza jednostka rzymskiej armii mogąca samodzielnie prowadzić wojnę (choć rzadko do tego dochodziło) - to znaczy całkowicie niezależna i samowystarczalna. W czasach Mariusza i Sulli armia rzymska prowadząca jakąkolwiek poważniejszą kampanię rzadko składała się z mniej niż czterech legionów - nie więcej jednak niż z sześciu. Pojedyncze legiony pełniły służbę garnizonową w miejscach, gdzie bunty miały zazwyczaj niewielki zasięg.

W skład legionu wchodziło ok. pięciu tysięcy ludzi, zgrupowanych w dziesięciu kohortach, każda po sześć centurii, a także ok. tysiąca żołnierzy nielinowych. Do legionu przypisany był też zazwyczaj niewielki oddział kawalerii. Każdy legion miał swój własny sprzęt i wyposażenie. Legiony konsulów dowodzone były przez sześciu lub mniej trybunów wojskowych, legionami wodza nie będącego akurat konsulem dowodził zaś albo jego legat, albo on sam. Funkcję regularnych oficerów pełnili w legionie centurioni - około sześćdziesięciu sześciu. Choć żołnierze jednego legionu obozowali wspólnie, to nie jedli ani nie mieszkali wszyscy razem, ale podzieleni byli na jednostki ośmioosobowe.

***leges Caecilia Didia*** - prawa wprowadzone przez konsulów roku 98 p.n.e. Pierwsze z nich nazwałam *prima*, w książce tej bowiem odgrywa dużo większą rolę niż drugie *lex Cecilia Didia*. Głosiło ono, że pomiędzy pierwszym *contio*, na którym przedstawiano projekt nowego prawa, a głosowaniem nad tym prawem na którymkolwiek ze zgromadzeń upłynąć musiały po kolei trzy dni targowe, *nundinae*. Nie wiadomo do końca, czy oznaczało to siedemnaście czy dwadzieścia cztery dni - ja wybrałam wariant krótszy. Drugie *lex Cecilia Didia* zakazywało łączenia dwóch nie związanych ze sobą problemów w jednym prawie.

***leges Corneliae*** - prawa Sulli, wprowadzone w roku jego konsulatu w 88 p.n.e.; można je z grubsza podzielić na trzy grupy, były bowiem wprowadzane w różnym czasie. Na samym początku swego konsulatu przeprowadził on dwa prawa, mające poprawić fatalny stan rzymskich finansów. Pierwsze z nich głosiło, że dłużnicy mają spłacać tylko odsetki od pożyczonej sumy w wysokości uzgodnionej przez obie strony w momencie zaciągania długu, anulowało natomiast wszystkie odsetki od niespłaconych odsetek, drugie zaś odwoływało obowiązujący w Rzymie nakaz powierzania urzędującemu pretorowi spornej sumy, o którą sądziły się dwie strony - umożliwiało to pretorom prowadzenie postępowania w takich sprawach, nikt bowiem w Rzymie nie posiadał wtedy w gotówce pieniędzy, o które mógł się potencjalnie sądzić.

Po rzezi rzymskich mieszkańców Azji Mniejszej dokonanej przez Mitrydatesa, a przed prawodawczą działalnością Sulpicjusza, Sulla wprowadził ustawę rolną przeznaczającą ziemie skonfiskowane zbuntowanym italskim miastom: Bowianum, Grumentum, Telesia, Hadria, Faesulae i Pompeje, do podziału pomiędzy weteranów Sulli po zakończeniu ich służby.

Trzecią grupę praw wprowadził Sulla po marszu swych wojsk na Rzym.

Pierwsze z nich odwoływało przerwę pomiędzy nowo wprowadzаныmi prawami, wprowadzoną przez *lex Cecilia Didia*.

Drugie prawo zwiększało skład senatu o trzystu nowych członków, których cenzorzy



mieli niezwłocznie wciągnąć na listy senatorów.

Trzecie unieważniało stare prawo *lex Hortensia* z roku 287 p.n.e. i głosiło, że żaden projekt ustawy nie może zostać przedłożony zgromadzeniom bez uprzedniej akceptacji senatu w formie specjalnego *consultum*. Zgromadzenia nie miały prawa też zmienić treści *consultum*.

Czwarte prawo przywracało strukturę Zgromadzenia Centurialnego z czasów króla Serwiusza Tulliusza, przyznając głosującym z klasy pierwszej pięćdziesiąt procent wszystkich głosów.

Piąte z praw zakazywało tak głosowania, jak i dyskutowania nad projektami ustaw na zgromadzeniach trybusowych (Plebejskim i Ludowym) - wszystkie prawa miały być w przyszłości wprowadzane wyłącznie przez Zgromadzenie Centurialne.

Szóste prawo unieważniało wszystkie *leges Sulpiciae*, powołując się na fakt, iż zostały one ustanowione w dni świąteczne.

Siódme prawo Sulli, przegłosowane na Zgromadzeniu Centurialnym, skazywało na śmierć pod zarzutem *perduellio* dwudziestu ludzi, wśród nich Gajusza Mariusza, Mariusza Młodszeo, Sulpicjusza, pretora miejskiego Brutusa, braci Graniusza, Cetegusa, Albinowanusa i Letoriusza.

***leges Sulpiciae*** - cztery prawa wprowadzone we wrześniu roku 88 p.n.e., po tym jak Sulla, konsul tego roku, objął naczelne dowództwo w wojnie z Mitrydatesem. Pierwsze z nich odwoływało z wygnania wszystkich skazanych przez komisję Wariusza, drugie głosiło, że wszyscy obywatele rzymscy oraz wyzwoleńcy powinni być równo podzieleni pomiędzy trzydzieści pięć rzymskich *tribus*, trzecie odbierało członkostwo w senacie wszystkim senatorom zadłużonym na więcej niż dwa tysiące denarów, czwarte zaś - odbierało naczelne dowództwo w wojnie z Mitrydatesem Sulla i przyznawało je Mariuszowi. Po zajęciu Rzymu przez Sullę wszystkie cztery prawa zostały unieważnione.

***lex*** - po łacinie: prawo. Określano tak również wyniki głosowań na Zgromadzeniu Plebejskim (*plebiscita*). Prawo nie było ważne, dopóki nie wyryto go w kamieniu lub brązie i nie złożono w krypcie świątyni Saturna. Tak naprawdę jednak pobyt tablicy z wyrytym na niej prawem w tejże krypcie musiał być bardzo krótki, podziemia świątyni bowiem w żaden sposób nie pomieściłyby całego zbioru rzymskich praw potrzebnych do zarządzania państwem w czasach Mariusza i Sulli - zwłaszcza że w świątyni Saturna znajdował się również rzymski skarbiec. Tablice te były bez wątpienia składane w krypcie i zaraz potem wyjmowane i składowane w jednym z wielu znanych nam dziś magazynów mieszczących zwoje rzymskiego prawa.

***lex Calpurnia de civitate sociorum*** - prawo autorstwa Pizona Frugi, wprowadzone w roku 89 p.n.e. Jego pierwotna wersja głosiła, że wszyscy, którzy otrzymali rzymskie obywatelstwo na mocy *lex Julia*, powinni należeć do dwóch nowo utworzonych *tribus*; wzbudziło to jednak tak wielki sprzeciw, że ostatecznie nowi obywatele włączeni zostali tak do dwóch nowych *tribus*, jak i do ośmiu z już istniejących.

***lex Domitia de sacerdotiis*** - prawo przeprowadzone w roku 104 p.n.e. przez Gnejusza Domicjusza Ahenobarba, sprawującego wówczas swój trybunat ludowy. Odbierało ono kontrolę nad członkostwem w kolegiach kapłańskim i augurów ich wpływowym członkom, decydującym dotychczas o naborze młodych kapłanów. W myśl nowej ustawy przyszli członkowie obu kolegiów mieli być wybierani na specjalnym zgromadzeniu siedemnastu losowo wybranych *tribus*.

***lex Julia de civitate Latinis et sociis danda*** - prawo wprowadzone przez Lucjusza Juliusza Cezara pod koniec jego konsulatu w roku 90 p.n.e., przyznające rzymskie



obywatelstwo wszystkim mieszkańcom Italii, którzy nie podjęli walki z Rzymem w czasie Wojny Marsyjskiej. Przypuszczalnie nadawało ono pełne obywatelstwo także wszystkim miastom na prawach łatyńskich na terenie Italii.

**lex Licinia Mucia** - prawo wprowadzone przez konsulów roku 95 p.n.e., w wyniku nagłego pojawienia się ogromnej liczby dodatkowych rzekomych obywateli rzymskich na listach cenzusu spisane go w roku 96 p.n.e. Na jego mocy utworzonych zostało szereg trybunałów (*quaestiones*) mających drobiazgowo zbadać pochodzenie i prawa obywatelskie wszystkich, którzy pojawili się na listach ostatniego spisu. Prawo to przewidywało też niezwykle surowe kary dla tych, którym udowodnione zostanie sfałszowanie cenzusu i nielegalne umieszczenie swego nazwiska na liście obywateli.

**lex Plautia iudiciaria** - prawo przeprowadzone na Zgromadzeniu Plebejskim w roku 89 p.n.e. Zmieniało ono diametralnie przeznaczenie tzw. komisji Wariusza, mającej odtąd sędzić wszystkich oskarżonych o utrudnianie nadania obywatelstwa mieszkańcom Italii. Odebrało też komisję ekwitom, a do członkostwa w niej dopuściło wszystkich obywateli, niezależnie od klasy i *tribus*.

**lex Plautia Papiria** - prawo przeprowadzone na Zgromadzeniu Plebejskim w roku 89 p.n.e. Przyznawało ono pełne rzymskie obywatelstwo każdemu z mieszkańców Italii (nawet powstańcom, jeśli złożyli broń), pod warunkiem że zainteresowani osobiście przedstawią swą kandydaturę miejskiemu pretorowi w Rzymie, w ciągu sześćdziesięciu dni od wprowadzenia prawa.

**lex Pompeia** - prawo wprowadzone przez konsula roku 89 p.n.e., Pompejusza Strabona. Przyznawało ono pełne rzymskie obywatelstwo wszystkim miastom na prawach łatyńskich położonym w Galii italskiej na południe od Padu oraz prawa łatyńskie - celtyckim miastom Akwilei, Patawium i Mediolanowi, leżącym na północ od Padu.

**lex Varia de maiestate** - prawo przeprowadzone na Zgromadzeniu Plebejskim przez Kwintusa Wariusza Sewera Hybrydę Sukrońskiego w roku 90 p.n.e. Powoływało ono specjalny trybunał (zwany potem komisją Wariusza), mający sędzić wszystkich oskarżonych o sprzyjanie sprawie nadania rzymskiego obywatelstwa italskim sprzymierzeńcom.

**lex Voconia de mulierum hereditatibus** - wprowadzona w roku 169 p.n.e. ustawa ta poważnie ograniczała prawo kobiet do dziedziczenia majątku. Kobieta nie mogła pod żadnym pozorem zostać ustanowiona głównym spadkobiercą, nawet jeżeli była jedynym dzieckiem swego ojca - przed nią stali zawsze najbliżsi krewni ze strony ojca. Cynceron opisuje pewien przypadek, kiedy to przytaczano argument, iż *lex Voconia* nic może być zastosowane, ponieważ majątek zmarłego nie był spisany w cenzusie, urzędujący pretor (Gajusz Verres) odrzucił jednak ten postulat i odmówił dziewczynie prawa do dziedziczenia. Ustawa ta była jednak zapewne w jakiś sposób obchodzona, wiemy bowiem o kilku bardzo bogatych dziedziczkach. Jednym ze sposobów było umrzeć, nie pozostawiawszy testamentu - wtedy dzieci dziedziczyły niezależnie od pici. Wydaje się, że do momentu, gdy Sulla za czasu swej dyktatury ustanowił specjalne, stale urzędujące *questiones*, nie istniał żaden trybunał zajmujący się sprawami majątkowymi, a więc ostateczny głos w rozsądzeniu sporów miał *praetor urbanus*.

**libero** - łaciński termin używany dla ogłoszenia uniewinnienia oskarżonego, stosowany w procesach przeprowadzanych na zgromadzeniach.

**liktor** - członek kolegium liktorów, pełniący służbę wobec senatu i ludu rzymskiego. Dokładna liczba liktorów nie jest nam znana, wiemy jednak, że było ich dosyć, by zapewnić swą sławną eskortę wszystkim urzędnikom posiadającym imperium, tak w



Rzymie, jak i poza nim, a także aby pełnić różne inne obowiązki (liczba dwustu lub trzystu wydaje mi się dość prawdopodobna). Liktor musiał posiadać pełne rzymskie obywatelstwo, pochodził jednak najpewniej z klas niższych, albowiem przysługujące mu uposażenie było niezbyt wygórowane. W dużej mierze był więc zależny od hojności urzędnika, do którego eskorty należał. Członkowie kolegium liktorów podzieleni byli na grupy po dziesięciu (dekurie), na czele których stali prefekci. Całemu kolegium przewodniczyło kilku starszych liktorów, stojących ponad prefektami. Na terenie Rzymu liktor nosił prostą, białą togę, poza miastem zaś ubierał się w szkarłatną tunikę z szerokim czarnym pasem, zdobionym mosiężnym ornamentem. Na pogrzeby wkładano czarne togi. Siedzibę kolegium liktorów umieściłam dla wygody za świątynią larów opiekuńczych, na wschodnim krańcu Forum Romanum, w sąsiedztwie dużej gospody na rogu Clivus Orbis, nie istnieje jednak żaden dowód na to, że znajdowała się ona właśnie tam.

**Lucjusz Utracjusz** - potrzebowałam tu żartobliwego imienia, jakim zwykło się obdarzać niewiele sobą reprezentujące, aczkolwiek charakterystyczne postacie. Ponieważ większość moich czytelników nie włada łaciną, słowo łacińskie nie spełniłoby tu swojej roli. Wybrałam Lucjusza Utracjusza, ponieważ brzmi to zarazem patetycznie i śmiesznie.

**lud rzymski** - słowo to obejmuje prawie wszystkich obywateli rzymskich nie należących do senatu. Odnosi się ono tak do patrycjuszów, jak i plebejuszów, do Policzonych Głowami, jak i do członków pierwszej klasy majątkowej.

***ludi Romani*** - zobacz: igrzyska.

**Lukania** - zachodnia część Półwyspu Apenińskiego na południe od Kampanii i na północ od Brucjum. Był to kraj dziki i górzysty, porośnięty wielkimi puszciami jodłowymi i piniowymi. Zamieszkująca go ludność, zwana Lukanami, była silnie związana z Samnitami, Hirpinami i Wenuzjanami, i zdecydowanie sprzeciwiała się rzymskim wyprawom w głąb Lukanii.

***lustrum*** - słowo to ma dwa znaczenia, oba jednak związane z urzędem cenzora. Oznacza ono: po pierwsze, całą pięcioletnią kadencję cenzorów, po drugie zaś - ceremonię ogłoszenia cenzusu rzymskich obywateli na Polu Marsowym.

**Luzytanie** - zamieszkivali oni ziemie leżące w południowo-zachodniej części Półwyspu Iberyjskiego, poza zasięgiem granic rzymskiej prowincji Hiszpanii Dalszej, i zdecydowanie opierali się wszelkim rzymskim próbom penetracji na te tereny. Sami z kolei regularnie najeżdżali Hiszpanię Dalszą, wprawiając Rzymian we wściekłość.

***maiestas*** - gdy Apulejusz Saturninus pierwszy zaliczył *maiestas minuta* („małą zdradę”) do przestępstw karanych prawem, zwyczaj stawiania zarzutów zdrady w dawnym stylu, *perduellio* („wielka zdrada”), został właściwie zarzucony. Saturninus podczas swego pierwszego trybunatu plebejskiego w roku 103 p.n.e. ustanowił specjalny trybunał (*quaestio*), który zajmował się rozpatrywaniem spraw o *maiestas minuta*. W trybunale tym zasiadali wyłącznie ekwici, sędził on jednak zazwyczaj senatorów.

**Marsowie** - jeden z najważniejszych ludów Italii. Zamieszkivali oni tereny wokół Jeziora Fucyńskiego, które uważali za swą własność. Ich wpływy sięgały aż w wysokie partie Apeninów - kontrolowali oni tutejsze przełęcze po zachodniej, czyli rzymskiej stronie. Marsowie byli zawsze lojalni w stosunku do Rzymu - aż do czasów Wojny Marsyjskiej. Byli oni niezwykle wojowniczy, zamożni i liczebni, wcześniej też przyjęli łacinę jako swój drugi język. Ich głównym miastem było Marruwium - większe i bardziej znaczące Alba Fucencja było założoną przez Rzymian na ziemiach Marsów kolonią na prawach latyńskich. Marsowie czcili węże i słynęli szeroko ze sztuki ich zaklinania.

**Marta** - jasnowidząca Syryjka, która przepowiedziała, iż Gajusz Mariusz będzie siedem



razy rzymskim konsulem. Wymogła ona na Mariuszu obietnicę, że sprowadzi ją do Rzymu. Aż do śmierci mieszkała w jego domu i regularnie wywoływała skandale, pokazując się na ulicach miasta w purpurowej lektyce. Aby uczynić wydarzenia w książce bardziej spójnymi i zrozumiałymi, dodałam sama do jej przepowiedni dalszy ciąg, mówiący, iż bratanek żony Mariusza, Julii, będzie większym Rzymianinem niż Mariusz, mąż konsularny - tytuł nadawany komuś, kto był już konsulem. Był on otaczany szczególnym szacunkiem przez zwykłych członków senatu i proszony o zabieranie głosu przed innymi, niższymi urzędnikami. Mógł być w każdym terminie mianowany zarządcą prowincji, mógł też zostać poproszony o sprawowanie innych obowiązków, na przykład nadzoru nad dostawami zboża.

**mentula** - wulgarna łacińska nazwa penisa.

„**mentulam caco**” - „wypróżniam się na twojego penisa”.

**merda** - wulgarne łacińskie słowo, oznaczające odchody (raczej jednak zwierzęce niż ludzkie).

**Metrobiusz** - o istnieniu tego kochanka Sulli wiemy od Plutarcha, od niego też znamy jego imię.

**modius** - rzymska miara zboża. Jeden *modius* ważył około sześciu kilogramów.

**Mormolis** - zwana też Mormo. Postać najprawdopodobniej historyczna, a na pewno mityczna, którą zwykło się straszyć dzieci. Mormo była królową kanibali-gigantów, która utraciwszy swoje dzieci, porywać miała dzieci zwykłych ludzi.

**Morze Środkowe** - tak nazwałam Morze Śródziemne, które w czasach Mariusza i Sulli nie zostało jeszcze przez Rzymian nazwane „Naszym Morzem” (*Mare Nostrum*). Mówiono o nim wtedy *Mare Internum* („Morze Wewnętrzne”).

**mos maiorum** - ustalony porządek rzeczy, coś w rodzaju niepisanej rzymskiej konstytucji. *Mos* to obyczaj, prawo, reguła, *maiores* zaś w tym kontekście oznacza przodków. *Mos maiorum* był więc po prostu zbiorem praw i obyczajów, do których stosowano się od najdawniejszych czasów.

**Most Palowy** - potoczna nazwa najstarszego, drewnianego mostu na Tybrze (*Pons Sublicius*).

**Mury Serwiańskie** - mury Serwiusza Tulliusza. Rzymianie wierzyli, że mury otaczające miasto za republiki zostały wzniesione w czasach króla Serwiusza Tulliusza. Materiał dowodowy wskazuje jednak, że mury te powstały dopiero po roku 390 p.n.e., kiedy to Galowie najechali i złupili Rzym (zobacz: Junona Moneta). Mury były skrupulatnie odnawiane aż do czasów Cezara Dyktatora.

**namiestnik** - konsul, pretor, prokonsul lub propretor, sprawujący w imieniu senatu i ludu rzymskiego rządy w rzymskiej prowincji, zazwyczaj przez okres jednego roku. Zarządcy posiadali różnego stopnia imperium, różne też były ich kompetencje. Niezależnie jednak od posiadanego imperium namiestnik taki miał w swej prowincji władzę równą królewskiej. Odpowiadał za jej obronność, administrację, pobór podatków i wiele jeszcze innych rzeczy. Prowincje uważane za trudne w prowadzeniu były zazwyczaj oddawane w zarząd konsulom, spokojne zaś i pokojowe - pretorom.

**nefas** - łacińska nazwa świętokradztwa.

**nobil** - słowa tego używano dla określenia kogoś, kto sprawował już konsulat, oraz jego potomków. Ta wtórna arystokracja urzędnicza stworzona została przez plebejuszy celem umniejszenia wagi przynależności do patrycjatu - pod koniec trwania republiki konsulat dostępowało bowiem znacznie więcej plebejuszy niż patrycjuszy. W czasach Mariusza i Sulli *nobile* cieszyli się wielkim poważaniem. Niektórzy uczeni skłonni są obejmować



nazwą nobilem również tych, którzy sprawowali jedynie urząd pretora, sądzę jednak, że zmniejszyłoby to znacznie elitarność tej grupy, i pozostaje przy zawężeniu tego terminu wyłącznie do rodzin byłych konsuli.

**nomen** - imię rodowe, takie jak: Korneliusz, Juliusz, Domicjusz, Liwiusz, Mariusz, Marcjusz, Sulpicjusz, itd. Nie używałam zbyt często nazw rodów (*gens*), były one bowiem rodzaju żeńskiego (np. *gens Julia*, *gens Aurelia*, itd.), co myliłoby czytelników nie znających łaciny, i pisałam po prostu: ród Juliuszów.

**Numidia** - starożytne królestwo w środkowej części Afryki Północnej, otaczające od zachodu, wschodu i południa Kartaginę, później zaś rzymską prowincję Afrykę. Jej rdzennymi mieszkańcami byli Berberowie, prowadzący życie na wprost koczownicze. Po upadku Kartaginy Rzym i Scypionowie popierali ustanowienie lokalnej dynastii królewskiej, której założycielem był Masynissa. Stolicą Numidii była Cyrta.

**obywatelstwo** - w znaczeniu używanym w tej książce: obywatelstwo rzymskie. Posiadanie go uprawniało do głosowania w odpowiedniej *tribus* i klasie majątkowej (jeśli miało się majątek wystarczający, by należeć do którejś z nich) we wszystkich rzymskich wyborach. Obywatela nie można było karać chłostą, należał mu się rzymski proces i miał prawo do apelacji. W pewnym okresie wymagano od niego wykazania się obojgiem rodziców posiadających obywatelstwo, w innym znowu wystarczało tylko obywatelstwo ojca (stąd cognomen Hybrida). Po wprowadzeniu w roku 91 p.n.e. *lex Minicia* rzymski obywatel żeniący się z kobietą innego pochodzenia musiał uzyskać dla swej żony tzw. *Conubium*, jeśli chciał, by jego dzieci posiadały rzymskie obywatelstwo. Obywatel zobowiązany był do służby wojskowej, do której powołany zostawał w wieku lat siedemnastu, i musiał odsłużyć sześć lat albo też dziesięć kampanii. Aż do czasów reform Mariusza rzymski obywatel musiał posiadać majątek wystarczający do zakupu broni i zbroi i utrzymania się w czasie kampanii. Od czasów Mariusza w legionach służyli zarówno ludzie odpowiednio sytuowani majątkowo, jak i *capite censi*, czyli Policzeni Głowami.

**Odys** - po łacinie Ulisses - legendarny król Itaki, jedna z głównych postaci *Iliady* i bohater *Odysei* Homera. Znany z mądrości i wielkiej przebiegłości (której starożytni Grecy nie uważali bynajmniej za wadę charakteru), był także słynnym wojownikiem, tak silnym, że jego łuku nie potrafił napiąć żaden inny mąż. Był leworęczny, miał rude włosy, szare oczy i tak krótkie nogi, że „był wyższy, gdy siedział, niż gdy stał”. Po dziesięciu latach walki w wojnie trojańskiej Odys wyruszył do domu, zabierając ze sobą starą królową Hekabe (Hecuba), wdowę po królu Troi Priamie. Wkrótce ją jednak porzucił, nie mogąc znieść jej ciągłych łez i narzekania. Po dziesięciu latach podróży po basenie Morza Śródziemnego, wypełnionej najbardziej niezwykłymi przygodami, powrócił do domu, gdzie żona Penelopa, syn Telemach i pies Argos czekali na niego wiernie od dwudziestu lat. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po powrocie, było napięcie słynnego łuku i przestrzelenie jedną strzałą rzędu głowic toporów, ustawionych otworami do siebie. Potem skierował swój łuk przeciw zalotnikom swej żony i z pomocą syna zabił ich wszystkich. Żyli potem wraz z Penelopą długo i szczęśliwie, ojcowie spisani - ustanowiony przez rzymskich królów senat składał się z setki patrycjuszów zwanych patres, czyli ojcami. Po ustanowieniu republiki i dopuszczeniu plebejuszy do senatu liczba jego członków wzrosła do trzystu, a obowiązek mianowania nowych senatorów przypadła cenzorom, którzy sporządzali ich imienną listę - wtedy to weszło w użycie określenie „spisani”. W czasach Mariusza i Sulli używano już jednak obu terminów łącznie, tak więc członków senatu nazywano „ojcami spisanyimi”.



**Oksyntas** - syn króla Numidii Jugurty, wraz ze swym bratem Iampasem szedł w pochodzie triumfalnym Gajusza Mariusza w roku 104 p.n.e. Jego ojca zaraz po tym skazano na śmierć, Oksyntas jednak został zesłany do Wenuzji, gdzie przebywał do roku 89 p.n.e. Nie wiemy, co stało się z nim po Wojnie Marsyjskiej.

**Ordo Equester** - zobacz: ekwici.

**orkisz (*Triticum spelta*)** - gatunek pszenicy, z którego uzyskiwano bardzo białą mąkę, doskonałą do wyrobu ciast (nie pieczono z niej chleba).

**pancerz** - rzymski pancerz składał się z dwóch płyt, zazwyczaj z brązu, stali lub utwardzanej skóry, z których jedna osłaniała klatkę piersiową i brzuch, druga zaś plecy. Płyty połączone były pasami lub wiązane na ramionach i z boku pod pachami. Niektóre były dokładnie dopasowane do kształtu torsu właściciela, inne znów pasowały na każdego mężczyznę przeciętnej budowy i postury. Wyżsi rangą wojskowi - a zwłaszcza wodzowie - nosili zazwyczaj pięknie zdobione pancerze ze stali lub brązu nabijane srebrnymi, a czasem złotymi płytkami. Wódz i jego legaci nosili też na pancerzach czerwone szarfy, zgodnie ze zwyczajem specjalnie układane i wiązane.

**Partia** - zobacz: Królestwo Partów.

**paterfamilias** - głowa rodziny. Według rzymskiego prawa miał on prawo uczynić wszystko, co zechciał z członkami swojej rodziny.

**patronat** - społeczeństwo rzymskie zorganizowane było w system patronatu i klienteli (zobacz: klient). Choć nie obejmował on zapewne najdrobniejszych przekupniów i robotników, to jednak był powszechny we wszystkich warstwach społecznych i nie wszyscy patroni należeli do najwyższych klas - patronami nie mogły być jednak kobiety. Patron zapewniał ochronę i przywileje tym, którzy zdeklarowali się jako jego klienci. Wyzwoleni niewolnicy byli z zasady klientami swych byłych panów. Wielu spośród patronów było także klientami osób znaczniejszych od siebie, co automatycznie czyniło z ich klientów klientów ich patronów. System patronacki nie był regulowany żadnymi prawami, obowiązywały w nim jednak reguły honorowe i nigdy prawie nie zdarzało się, by klient zdradził lub opuścił swego patrona. Patron mógł przez całe lata nie wymagać od klienta żadnej pomocy, w końcu jednak nadchodził dzień, kiedy zostawał poproszony o przysługę - oddanie głosu na swego patrona, poparcie go w kręgach politycznych czy wykonanie jakiegoś specjalnego zadania. Patron zwykł spotykać się ze swymi klientami o świcie w dni przeznaczone na interesy - klienci mogli wtedy prosić go o pomoc czy radę albo po prostu okazywali mu szacunek przez samo pojawienie się czy też zapewnienie o gotowości do oddania mu przysługi. Bogatsi patroni często na owych porannych spotkaniach rozdawali swym klientom pieniądze. Zdarzało się, że ktoś zostawał klientem swego najbardziej znienawidzonego wroga, honorowe zasady patronatu były jednak tak silne, że służył mu później z największą wiernością i oddaniem (jak w przypadku Cezara Dyktatora i Kuriona Młodszeo).

**patrycjusze** - pierwotna arystokracja rzymska. Byli oni klasą uprzywilejowaną jeszcze przed nastaniem królów rzymskich, a i za monarchii zachowali tytuły i prestiż nieosiągalny dla jakiegokolwiek plebejusza, niezależnie od tego, ilu byłych konsulów nobilitowało jego ród. Z nastaniem republiki jednak, w miarę jak rosły wpływy i majątki plebejuszy, patrycjuszom odbierano stopniowo ich przywileje, tak że w czasach Mariusza i Sulli byli już oni klasą mniej znaczącą i zbiedniałą w stosunku do nowej plebejskiej arystokracji nobilów. Nie wszystkie rody patrycjuszowskie były jednakowo starożytne - Juliusze i Fabiusze byli na przykład rodami o parę stuleci starszymi od Klaudiuszów. Patrycjusze zawierali małżeństwa w starodawnej formule *confarreatio*. Związek taki trwał



przez całe życie, a kobiety z patrycjuszowskich rodów nie cieszyły się nigdy takim równouprawnieniem jak plebejuszki. Niektóre urzędy kapłańskie (*Rex Sacrorum* i flamen *Dialis*) mogły być sprawowane jedynie przez patrycjuszy, tak jak i niektóre stanowiska w senacie: interrex i prynceps senatu. W czasach Mariusza i Sulli w senacie zasiadały wciąż następujące rody patrycjuszowskie: Emiliusze, Klaudiusze, Komeliusze, Fabiusze (ale tylko poprzez adopcje), Juliusze, Manliusze, Papiriusze, Pinariusze, Postumiusze, Sergiusze, Serwilusze, Sulpicjusze i Waleriusze.

**pedagog** - wychowawca małych dzieci. To on dbał o ich podstawowe wykształcenie: umiejętność czytania, pisania i liczenia. Pedagogiem był najczęściej niewolnik lub wyzwolenc narodowości najczęściej greckiej (choć uczyć miał tak łaciny, jak i greki), który mieszkał razem z rodziną uczonych przez siebie dzieci i był wśród niewolników domowych szczególnie uprzywilejowany.

**pedarius** - senator nie piastujący żadnego urzędu, zasiadający w tylnych ławach (zobacz: senat).

**penaty** - domowe bóstwa opiekujące się spiżarnią. Jako jedne z najstarszych, bezosobowych rzymskich bóstw (zobacz: *numen*), penaty czczone były w każdym domu razem z Westą (duchem serca) i larami rodzinnymi - szczególnym rodzajem larów, opiekującym się danym rodem. Podobnie jak lary, penaty przedstawiano w formie brązowych figurek młodzieńców. Państwo rzymskie miało swoje własne penaty (*Penates Publici*), strzegące jego pomyślności.

**Penelopa** - żona Odysa, króla Itaki (zobacz: Odys), który zdobył jej rękę w wyścigu, do którego jej ojciec, Ikarios wezwał wszystkich jej zalotników. Kiedy wyrocznia przepowiedziała, że Odys nie wróci spod Troi przez dwadzieścia lat, Penelopa z małym synkiem Telemachem postanowiła cierpliwie czekać na jego powrót. Tron Itaki był najprawdopodobniej dziedziczony po kądzieli, o rękę Penelopy bowiem natychmiast zaczęło starać się wielu zalotników, którzy uważając Odysa za zmarłego, wprowadzili się do pałacu i zamieszkali tam na dobre. Penelopa odmówiła poślubienia kogokolwiek, dopóki nie skończy tkać całunu dla swego teścia Laertes. Według Homera każdej nocy pruć to, co utkłała w dzień, i w ten sposób przez wszystkie te lata zwodziła zalotników, dopóki Odys nie powrócił do domu i nie zabił ich wszystkich.

**perduellio** - zdrada stanu. Dopóki za czasów późnej republiki nie wprowadzono pojęcia mniejszej zdrady, *maiestas* (zobacz: Saturninus), *perduellio* było jedynym zarzutem zdrady stosowanym w rzymskich sądach. Tak stare, że pojawia się w Prawie Dwunastu Tablic, wymagało sądenia oskarżonego przez Zgromadzenie Centurialne - a więc publicznego i wstydlwego procesu, w dawnych czasach bowiem głosowanie na tym zgromadzeniu było jawne. Niezwykle rzadko jednak zdarzało się, by Zgromadzenie Centurialne uznało za winnego *perduellio* kogoś, kto sam nie przyznał się publicznie do spiskowania przeciw Rzymowi - nikt zaś nie był na tyle głupi, bo karą za *perduellio* była natychmiastowa śmierć.

**permutatio** - termin bankowy. Oznaczał on operację bezgotówkowego przekazywania pieniędzy pomiędzy różnymi instytucjami, tak wewnątrz miasta Rzymu, jak i na wielkie odległości.

**perystyl** - kolumnowy krużganek otaczający wewnętrzny domowy ogród lub dziedziniec.

**Picenum** - kraina leżąca we wschodniej części Italii, dokładnie na łydce italskiego buta. Jej zachodnią granicę stanowiły Apeniny, północną Umbria, a południową Samnium. Picenum ciągnęło się wzdłuż wybrzeży Adriatyku, stąd znajdowały się tu aż dwa duże



porty, Ankona i Firmum Picenum. Głównym miastem położonym w głębi lądu było Asculum Picentum. Krainę tę zamieszkiwali pierwotnie Italikowie i Ilirowie, jednak podczas najazdu Galów pod wodzą Brennusa osiedliło się tu wielu jego celtyckich poddanych, mieszając się z tubylczą ludnością. Tradycja głosiła też, że pierwszymi mieszkańcami Picenum była grupa Samnitów, która przybyła tu z drugiej strony Apeninów.

Północna część Picenum była silnie związana z południową Umbrią i znajdowała się pod wpływem potężnej rodziny Pompejuszy, podczas gdy kraj na południe od rzeki Flosis skłaniał się bardziej ku Samnium i tamtejszym wierzeniom.

**pilum** - włócznia rzymskiej piechoty, szczególnie powszechna po reformie Mariusza. Włócznia ta miała bardzo małe ostrze, osadzone na metalowym trzonie długości około jednego metra, połączonym z wygodnym w trzymaniu kształtowanym drzewcem. Mariusz zmodyfikował pilum, osłabiając znacznie miejsce połączenia drzewca z metalem, tak że utkwivszy w ziemi, tarczy czy ciele przeciwnika, włócznia łamała się i nieprzyjaciel nie mógł już jej wykorzystać. Rzemieślnicy wchodzący w skład rzymskiej armii potrafili za to bardzo szybko naprawić pęknięte pilum.

**Pisydia** - kraina leżąca na południe od Frygii, jeszcze bardziej od niej dzika i zacofana. Była położona wśród wysokich gór, pełno tu było jezior, a klimat powszechnie uznawano za bardzo zdrowy. Niewiele tu było ludnych osiedli, jako że cały kraj porastały olbrzymie pinie. Mieszkający tu ludzie należeli do starej tubylczej rasy, blisko sprzymierzonej z Trakami, choć ich język nie był spokrewniony z żadnym z języków okolicznych krajów. Wśród Rzymian mieszkańcy Pisydii słynęli ze swych dziwnych i niespotykanych wierzeń i obrzędów.

**Plaut** - jego pełne nazwisko brzmiało Tytus Makiusz Plautus, pochodził z Umbrii i żył w III wieku p.n.e. - wiemy, że zmarł po roku 184 p.n.e. W czasie swego długiego życia napisał około 130 komedii. Pisał po łacinie, i choć wątki jego sztuk były w większości zapożyczone z utworów greckich, to wniósł on do literatury nowy, typowo rzymski rodzaj humoru - przeniósł też miejsce akcji do Rzymu, znacznie silniej zarysował postacie niewolników, nadał dialogom lekkość i uczynił je ogromnie śmiesznymi - nawet we współczesnych tłumaczeniach nie tracą one na aktualności. Zdarzało się, że wątki w sztukach Plauta rwały się lub gubiły, lubił on dygresje i często wstawiał do utworów sceny, które nie miały nic wspólnego z wydarzeniami opisanymi w sztuce - najważniejsza była bowiem dla niego ciętość języka, dowcip i błyskotliwość wypowiedzi. Choć też do naszych czasów nie dochował się ani jeden fragment melodii, wiemy, że sztuki Plauta pełne były piosenek, nierzadko z akompaniamentem na lirze lub flecie. To duże znaczenie muzyki w sztuce rzymskiej było być może dziedzictwem z czasów dominacji etruskiej - piosenki w rzymskich komediach były znacznie weselsze, lżejsze i bardziej melodyjne niż w sztukach greckich.

**plebejusze** - byli nimi wszyscy obywatele rzymscy nie należący do rodów patrycjuszowskich. U zarania republiki plebejusz nie mógł zostać kapłanem, urzędnikiem kurulnym ani senatorem. Stan taki trwał jednak bardzo krótko - patrycjusze tracili jeden przywilej po drugim, plebejusze, których było znacznie więcej, potrafili bowiem wymuszać kolejne ustępstwa, nie cofając się nawet przed groźbą secesji, tak że w czasach Mariusza i Sulli można było z czystym sumieniem powiedzieć, że to plebejusze rządili Rzymem, a z bycia patrycjuszem miało się naprawdę niewiele pożytku.

**plebiscyt** - kiedy nad jakąś ustawą głosowało Zgromadzenie Plebejskie, nie była ona nazywana prawem (*lex*), ale plebiscytem (*plebiscitum*) - stąd dzisiejsze znaczenie tego



słowa. Plebiscyty od zarania republiki uważane były za obowiązujące prawa, formalnie taki stan rzeczy zatwierdziło dopiero w roku 287 p.n.e. *Lex Hortensia*. Od tej chwili nic właściwie nie różniło pod względem prawnym *lex* od *plebiscitum*. W czasach Mariusza i Sulli żaden z urzędników spisujących prawa nie trudził się już zaznaczaniem, czy spisuje właściwe *lex* czy też *plebiscitum* - jedno i drugie było w jego oczach po prostu prawem.

**Pole Eskwilińskie** - równina położona na zewnątrz murów serwiańskich i podwójnych umocnień Aggeru, pomiędzy bramami Kolińską i Kurekwertulańską. Znajdowała się tu rzymska nekropolia.

**Pole Marsowe** - położone na północ od Murów Serwiańskich w szerokim zakolu Tybru, od południa zamknięte było Wzgórzem Kapitołińskim, od wschodu zaś - Wzgórzem Pincius. To tu stacjonowały armie czekające na tryumf swoich wodzów, tu odbywały się ćwiczenia wojskowe i szkolenie młodzieży, tu też zbierało się Zgromadzenie Centurialne. Na Polu Marsowym publiczne parki przeplatały się z zagonami warzyw, uprawianych dla potrzeb rzymskich rynków, w zakolu Tybru znajdowało się popularne miejsce kąpielowe zwane Trigarium, nieco na północ od niego zaś było Tarentum - zalecane przez medyków gorące źródło mineralne. Przez Pole Marsowe wiodła na północ Via Lata (Via Flaminia), zmierzająca do Mostu Mulwijskiego na Tybrze, a od prawej strony włączała się tu do niej Via Recta.

**Pole Watykańskie** - było położone na przeciwnym (to jest północnym) brzegu Tybru niż Pole Marsowe. Uprawiano tu warzywa sprzedawane na rzymskich targach, a w czasach Mariusza i Sulli miejsce to nie miało żadnego większego znaczenia.

**Policzeni Głowami** - terminu tego używałam w książce dla określenia najniższej warstwy rzymskich obywateli, *capite censi*, czyli tych, którzy byli zbyt ubodzy, by należeć do jednej z pięciu klas majątkowych. Cenzorzy tylko ich liczyli, dokonując spisu głów - stąd ich nazwa. Wolałam określenie Policzeni Głowami od słów „proletariat” i „masy” ze względu na współczesne, po- marksistowskie skojarzenia dzisiejszych czytelników, zupełnie nieadekwatne w odniesieniu do czasów starożytnych (zobacz: *capite censi*, proletariusze).

**pomerium** - uświęcone granice miasta Rzymu. Oznaczone kamieniami zwanymi *cippi*, według legendy zostały one określone przez króla Serwiusza Tulliusza i pozostały nie zmienione aż do czasów dyktatury Sulli. *Pomerium* nie pokrywało się dokładnie z zasięgiem Murów Serwiańskich, co jest kolejnym powodem, by powątpiewać, czy mury te zostały rzeczywiście wzniesione przez Serwiusza Tulliusza (on z pewnością wyznaczyłby je na tej samej linii co *pomerium*). W zasięgu *pomerium* mieściło się całe starożytne miasto Romulusa na Palatynie, nie obejmowało ono już jednak ani Awentynu, ani Kapitolu. Według tradycji *pomerium* mogło być rozszerzone tylko przez kogoś, kto znacznie powiększył granice rzymskich posiadłości. W sensie religijnym Rzym zamykał się wewnątrz *pomerium* - poza nim rozciągało się jedynie rzymskie terytorium.

**pons** - most.

**Pont** - duże państwo leżące na południowo-wschodnim wybrzeżu Morza Czarnego. W pasie nadmorskim graniczyło ono na zachodzie z Paflagonią, na wschodzie z Kolchidą (w pobliżu Apsaros). W głębi lądu Pont stykał się na wschodzie z Armenią właściwą, na południowym wschodzie z Armenią Mniejszą, na południu - z Kapadocją, na zachodzie zaś z Galacją.

Pont był krajem dzikim, górzystym i bardzo pięknym, na jego żyznych wybrzeżach leżały stare greckie miasta: Synopa, Trapezunt, Amisos. Tutejszy klimat musiał być wyjątkowy - wiemy, że stąd właśnie pochodzą wiśnie i rododendrony. Trzy bardzo



wysokie pasma górskie, biegnące równoległe do wybrzeża morskiego, dzieliły Pont na krainy bardzo słabo ze sobą powiązane - tutejsi królowie pobierali więc co jakiś czas daniny w miejsce regularnych podatków i zezwalali na dużą niezależność w zarządzaniu sprawami wewnętrznymi poszczególnych części kraju. Pontyjska dynastia Mitrydatydów słynęła z wielkich bogactw, Pont bowiem był krajem obfitującym w drogie kamienie, złoto, srebro, rudy żelaza i cyny.

**pontifex** - kapłan. Wielu filologów sądzi, że we wczesnym okresie dziejów Rzymu pontifex był odpowiedzialny za budowę mostów, uważanych za budowle magiczne. Za republiki jednak kapłani, zrzeszeni w kolegiach, służyli jedynie poradą w kwestiach religijnych rzymskim urzędnikom - rzymska religia bowiem była nierozzerwalnie spleciona ze strukturami państwowymi. Z początku wszyscy kapłani musieli pochodzić z patrycjatu, jednak wprowadzone w roku 300 p.n.e. *Lex Ogulnia* stanowiło, że połowa składu kolegium musi wywodzić się spośród plebejuszy.

**pontifex maximus** - najwyższy kapłan rzymskiej religii państwowej. Wydaje się, że tytuł ten został ustanowiony przez młodą republikę, dzięki czemu w typowy dla Rzymian sposób, obchodząc przeszkodę i nie raniąc niczyich uczuć, rozwiązano problem starego tytułu Rex Sacrorum (noszonego przez rzymskich królów), oznaczającego dotąd najwyższego z kapłanów. Aby nie gniewać ludu obaleniem starego urzędu, senat stworzył po prostu stanowisko nowego pontifexa, od którego Rex Sacrorum był teraz zależny. Pontifex maximus miał być obieralny, co umacniało jeszcze jego pozycję polityczną. Z początku musiał być zapewne patrycjuszem, jednak później częściej wywodził się spośród plebejuszy. Był przełożonym wszystkich kolegiów kapłańskich - właściwych *pontifices*, augurów, fecjałów i innych pomniejszych kapłanów, a także westalek. W czasach republiki wraz z westalkami zamieszkiwał on najważniejszy rzymski Domus Publicus, czyli dom państwowy. Miejscem zaś, w którym oficjalnie sprawował swój urząd były starodawne Regia na Forum Romanum.

**posiłkowe oddziały** - wchodzące w skład armii rzymskiej legiony (a także oddziały kawalerii), których żołnierze, zwani również „posiłkowymi”, nie mieli rzymskiego obywatelstwa. W czasach Mariusza i Sulli większość posiłkowych oddziałów piechoty stanowili mieszkańcy Italii, w kawalerii zaś służyli Numidyjczycy, Galowie, Trakowie i żołnierze innych krajów, w których - w przeciwieństwie do Rzymu - w armii używało się koni.

**praefectus fabrum** - jeden z najważniejszych ludzi w rzymskiej armii, mianowany przez głównodowodzącego, chociaż był cywilem. *Praefectus fabrum* był odpowiedzialny za wyekwipowanie i zaopatrzenie armii we wszystkie potrzebne jej produkty, od rumaków po żywność. Ponieważ to on zawierał kontrakty z dostawcami, był postacią niezwykle wpływową i - o ile nie miał silnej woli - bardzo łatwo było mu się wzbogacić.

**praenomen** - pierwsze imię Rzymianina. W użytku było ich bardzo niewiele - w czasach Mariusza i Sulli około dwudziestu, z czego połowa była mało popularna. Każdy ród miał w dodatku swoje ulubione praenomina, wybór więc był bardzo niewielki. (Uczeni potrafią dziś określić tylko na podstawie *praenomen*, czy ktoś naprawdę należał do rodu, którego imię rodowe nosił!) Juliusze na przykład faworyzowali imiona: Sekstus, Gajusz i Lucjusz, tak więc ktoś, kto nazywał się Marek Juliusz nie należał najprawdopodobniej do patrycjuszowskiej *gens* Julia. Ulubionymi imionami Licyniuszów były: Publiusz, Marek i Lucjusz, członkowie rodu Pompejuszów nazywali się Gnejusz, Kwintus albo Sekstus, a Korneliuszów - Publiusz i Lucjusz.

Niektóre imiona były właściwe tylko pewnym rodom - na przykład imię Appiusz



należało wyłącznie do rodu Klaudiuszów, a Mamerkus - Emiliuszów Lepidusów. Jedną z nie rozwiązanych dotąd przez uczonych zagadek jest postać Lucjusza Klaudiusza, Rex Sacrorum z czasów późnej republiki. Lucjusz nie jest imieniem Klaudiuszów, jednak z racji piastowanego urzędu Lucjusz Klaudiusz był na pewno patrycjuszem i musiał należeć do *gens* Claudia. Ja założyłam, że istniała gałąź rodu Klaudiuszów, w której noszono *praenomen* Lucjusz, a tytuł Rex Sacrorum przechodził tradycyjnie z ojca na syna.

**prawa latyńskie** - pośrednia forma rzymskiego obywatelstwa, stojąca w hierarchii pomiędzy statusem sprzymierzeńców italskich a pełnymi prawami obywatelskimi. Ci, którzy objęci byli prawami latyńskimi, cieszyli się wieloma przywilejami na równi z rzymskimi obywatelami: łupy wojenne dzielone były równo, mogli zawierać chronione prawem kontrakty i małżeństwa z pełnoprawnymi obywatelami, a także wnosić apelacje odnośnie do wyroków śmierci. Nie posiadali oni jednak prawa *suffragium*, czyli głosowania w rzymskich wyborach, ani też zasiadania w rzymskim trybunale. Po powstaniu Fregellów (miasta na prawach latyńskich, któremu znudziło się czekanie na przyznanie pełnego obywatelstwa) w roku 125 p.n.e., nie znany nam z imienia trybun plebejski przeprowadził w roku 123 p.n.e. prawo, przyznające urzędnikom miast objętych prawami latyńskimi oraz ich potomkom pełne obywatelstwo rzymskie. Było to posunięcie w typowo rzymskim stylu - załagodziło ono niezadowolenie najznacznějších i najbardziej wpływowych obywateli tych miast, nie zmieniając jednocześnie niczego w sytuacji wszystkich zwykłych mieszkańców.

**prawo o luksusach (*lex sumptuaria*)** - było to prawo regulujące stan posiadania luksusowych przedmiotów i artykułów żywnościowych, na jakie mógł pozwolić sobie rzymski obywatel - niezależnie od tego, jak był bogaty. Najprawdopodobniej dotyczyło ono tylko towarów pochodzących z importu. Za republiki prawa takie wymierzone były często przeciw kobietom, określając ściśle liczbę klejnotów, jakie mogły one nosić, czy zakazując im poruszania się w powozach i lektykach w obrębie Murów Serwiańskich. Ograniczane w ten sposób damy potrafiły być wyjątkowo złośliwymi przeciwnikami, o czym przekonało się kilku spośród cenzorów.

***praetor peregrinus*** - zajmował się tylko tymi sprawami, w których jedna ze stron nie posiadała rzymskiego obywatelstwa. W czasach Mariusza i Sulli zajmował się on wymierzaniem sprawiedliwości, podróżując po całej Italii albo i poza nią. Zajmował się też procesami toczonymi na terenie miasta wówczas, gdy jedna ze stron nie miała rzymskiego obywatelstwa.

***praetor urbanus*** - pretor miejski. W czasach Mariusza i Sulli jego obowiązki polegały niemal wyłącznie na rozstrzyganiu spraw spornych, nadzorował też działalność trybunałów na terenie Rzymu. Jego imperium było ważne tylko do piątego kamienia milowego od Rzymu i nie wolno mu było opuszczać miasta na dłużej niż dziesięć dni. Jeśli obu konsulów nie było akurat w Rzymie, on był najwyższym urzędnikiem i miał prawo zwołać posiedzenie senatu lub - w wypadku zagrożenia - zorganizować obronę miasta.

Od jego decyzji zależało, czy dwie spierające się ze sobą strony wносиły sprawę do sądu, najczęściej jednak on sam wcześniej rozstrzygał spór, nie pobierając za to opłaty.

**prerogata** - przedłużenie urzędniczej kadencji, stosowane w przypadkach zarządzania prowincją lub dowodzenia armią - dotyczyło więc prokonsulów i propretorów. Tak na przykład Metellus Numidyjski został wysłany do Afryki, by walczyć z Jugurtą, będąc konsulem, ale nie zdążył zakończyć wojny do końca swego roku konsularnego. Okres sprawowania przez niego naczelnego dowództwa został jednak przedłużony na rok następny, potem zaś na jeszcze jeden.



**pretor** - pretura była drugim pod względem ważności urzędem *cursus honorum* (z pominięciem szczególnego urzędu cenzora). U zarania republiki pretorami nazywano dwóch najwyższych rangą urzędników w Rzymie, pod koniec IV w p.n.e. zastępują ich już jednak konsulowie. Od tego czasu w Rzymie był już tylko jeden pretor - najpewniej był nim *praetor urbanus*, jako że zakres jego obowiązków ograniczał się tylko do spraw miasta (tak że wojnami zajmowali się tylko konsulowie). W roku 242 p.n.e. utworzony został urząd drugiego pretora - *praetor peregrinus*. W związku z późniejszym rozszerzeniem rzymskiego terytorium w roku 227 p.n.e. powołano dwóch nowych pretorów, mających za zadanie zarządzać Sycylią i Sardynią. W roku 197 p.n.e. ogólną liczbę pretorów rozszerzono do sześciu, zarządzania wymagały bowiem także obie Hiszpanie. W następnych latach nie powoływano już jednak żadnych dodatkowych stanowisk, tak że w czasach Mariusza i Sulli pretorów było wciąż sześciu - tak przynajmniej zdecydowała się przyjąć w tej książce (choć muszę dodać, że sprawa ta nie jest do końca rozstrzygnięta w kręgach naukowych: niektórzy twierdzą, że to dopiero Sulla rozszerzył liczbę pretorów do ośmiu, inni zaś są zdania, że stało się to już za czasów braci Grakchów).

**primus pilus** (później zwany *primipilus*) - centurion dowodzący pierwszą centurią pierwszej kohorty rzymskiego legionu, czyli najważniejszy centurion w całym legionie. Pozycję swą osiągał dzięki kolejnym awansom i uważany był za najzdolniejszego w legionie. W czasach Mariusza i Sulli centurie pierwszej kohorty były, jak się zdaje, tej samej liczebności co wszystkie inne.

Marek Emiliusz Skaurus został wybrany pryncypsem senatu w stosunkowo młodym wieku, sprawując jeszcze wciąż urząd konsula roku 115 p.n.e. Jako że nie było w zwyczaju wybierać kogoś pryncypsem senatu, zanim nie został on wybrany cenzorem (Skaurus zaś został cenzorem dopiero w roku 109 p.n.e.), to albo wybór Skaurusa na to stanowisko był wyrazem uznania dla człowieka rzeczywiście niezwykłego, albo (jak sądzą niektórzy uczeni) był on w roku 115 p.n.e. najstarszym z patrycjuszy, którzy nadawali się do tej roli. Jakkolwiek było, Skaurus pozostał pryncypsem senatu aż do swej śmierci w roku 89 p.n.e. Jego następcą został Lucjusz Waleriusz Flakkus, konsul roku 100 p.n.e. i cenzor z roku 97 p.n.e.

**privatus** - po prostu osoba prywatna, w tej książce jednak użyłam tego słowa dla określenia członka senatu nie sprawującego żadnego urzędu.

**prokonsul** - urzędnik mający władzę konsula. Takie imperium było zazwyczaj przyznawane tym, którzy zakończywszy swój konsulat, mieli zarządzać prowincją lub dowodzić armią w imieniu senatu i ludu rzymskiego, wciąż więc mieli władzę konsularną. Kadencja prokonsula była zazwyczaj jednoroczna, przedłużano ją jednak, jeśli w momencie jej zakończenia był on w trakcie prowadzenia kampanii wojennej. Jeśli nie można było akurat znaleźć odpowiedniego konsulara, a prowincja była na przykład na tyle niespokojna, że wymagała imperium prokonsula, a nie propretora, wysyłano tam jednego z pretorów danego roku, nadając mu imperium prokonsularne.

Imperium prokonsula ograniczone było zasięgiem jego prowincji lub zakresem powierzonego mu zadania i przestawało być ważne, w momencie kiedy wkraczał on w granice rzymskiego *pomerium*.

**proletariusze** - inna nazwa najniższej klasy rzymskich obywateli, *capite censi*, czyli Policzonych Głowami. Samo słowo pochodzi od łacińskiego *proles*, czyli dzieci albo młodzież, a proletariuszy zwano tak dlatego, że dzieci były jedynym dobrem, jakie mogli oni zaoferować Rzymowi. Staralam się nie używać tego słowa w książce, czytelnikom kojarzyłoby się bowiem ono z proletariatem marskistowskim, co nie ma na czasy



starożytne absolutnie żadnego przełożenia.

**propretor** - urzędnik mający władzę pretora. Imperium to nadawano pretorowi aktualnie urzędującemu lub temu, który zakończył już swą kadencję, aby mógł on zarządzać prowincją albo w razie potrzeby prowadzić wojnę. Podobnie jak w przypadku prokonsula, propretor tracił swe imperium, przekraczając rzymskie *pomerium*. Urząd ten stał w hierarchii poniżej urzędu prokonsula i był zazwyczaj przyznawany zarządcom spokojnych prowincji. Propretor nie miał więc okazji angażować się w wojnę - jedyną, jaką mógł prowadzić, to wojna obronna, w której był on stroną zaatakowaną. Nie zmieniło to jednak faktu, że propretorzy tacy jak Gajusz Mariusz prowadzili wojny w swych prowincjach.

**prowincja** - pierwotnie: zakres obowiązków, do którego stosowało się posiadane przez kogoś imperium - najczęściej używane w odniesieniu do konsula lub pretora, tak w Rzymie, jak i poza nim. Z czasem słowo to zaczęło oznaczać terytorium, na którym imperium to obowiązywało - czyli po prostu terytorium rzymskie, wymagające zarządzania przez obecnego na miejscu urzędnika. W czasach Mariusza i Sulli wszystkie rzymskie prowincje leżały poza Italią i Galią italską.

**prowincja Afryka** - ziemie w Afryce, należące do Rzymu. Była ona bardzo mała - obejmowała tylko Utykę i Kartaginę. Terytorium prowincji otoczone było przez znacznie większą Numidię.

**prowincja Azja** - ziemie zapisane Rzymowi w spadku przez Attalosa III, króla Pergamonu. Prowincja ta obejmowała zachodnie wybrzeże i ziemie w głębi dzisiejszej Turcji, od Troady i Myzji na północy do Chersonezu Knidyjskiego na południu - obejmowała więc Karię, ale Licję - już nie. W czasach republiki stolicą prowincji był Pergamon i tu rezydował namiestnik, ale znaczeniem dorównywały mu duże miasta takie, jak Smyrna, Efez czy Halikarnas. W skład prowincji wchodziły też wyspy położone blisko jej wybrzeży: Lesbos, Samos, Chios i inne. Wykształceni i cywilizowani mieszkańcy prowincji byli potomkami Dorów, Jonów i Eolów, którzy skolonizowali te tereny. Azja nie była zarządzana centralnie, ale każde z większych miast, w dużym stopniu samorządne, podlegały bezpośrednio Rzymowi.

**prynceps senatu** - przywódca senatu. Zgodnie z zasadami *mos maiorum* cenzorzy wybierali spośród senatorów patrycjusza o nieposzlakowanej opinii, przewodzącego swojej dekurii, sprawującego funkcję *interrexa* częściej niż wszyscy inni, o największej *dignitas* i *auctoritas*. Tytuł pryncypsa senatu nie był dożywotni, lecz nadawany co pięć lat, kiedy nowa para cenzorów obejmowała swój urząd i mogła nadać tytuł komuś innemu, jeśli obecny pryncypes senatu nie spełniał powszechnych oczekiwań.

**publicani** - poborcy podatków. Podatki z różnych części rosnącego rzymskiego imperium zbierały zarządzane z Rzymu wielkie kompanie prywatne, zatrudniane przez cenzorów, którzy spisywali z nimi, opiekujące na pięcioletnie okresy, kontrakty. Przedstawiciele tychże kompanii, dokonujący fizycznego poboru podatków w prowincjach, zwani byli *publicani*, tak samo jak i całe kompanie.

**punicki** - przymiotnikiem tym określano Kartaginę i jej mieszkańców, w szczególności zaś trzy kolejne wojny pomiędzy Kartaginą a Rzymem. Samo słowo jest pochodzenia fenickiego.

**repetundae** - wyłudzenie lub szantaż. Aż do czasów Gajusza Grakcha nie było zwyczaju karania namiestników prowincji, którzy bogacili się, nadużywając swej władzy. Dla ukarania konkretnych namiestników ustanowiono jeden czy dwa specjalne trybunały, to było jednak wszystko - w trybunałach tych zasiadali zresztą sami senatorowie i cała



sprawa szybko zamieniała się w farsę, senatorowie bowiem nie skazali żadnego ze swych kolegów zarządzających prowincjami. Wreszcie w roku 122 p.n.e. Mamiusz Acyliusz Glabrio, bliski towarzysz Gajusza Grakcha, przeprowadził *Lex Acilia*, ustanawiając stały trybunał dla sądzenia spraw o nadużycia w prowincjach, obsadzony wyłącznie przez ekwitów, i typując imiennie 450 członków stanu rycerskiego, którzy mogli w tym trybunale zasiadać. W roku 106 p.n.e. Kwintus Serwiliusz Cepion oddał wszystkie trybunały, włącznie z tym, o którym mowa, w ręce senatorów. W roku 101 p.n.e. z kolei Gajusz Serwiliusz Glaucja przywrócił ekwitom wyłączne prawo zasiadania w trybunale sądzącym za nadużycia, a także wprowadził wiele ulepszeń, które miały odtąd obowiązywać we wszystkich sądach. Wszystkie znane nam sprawy toczone przed tym trybunałem dotyczą namiestników prowincji, myślę jednak, że w myśl *Lex Acilia* trybunał do spraw nadużyć mógł sądzić wszelkie przypadki nielegalnego bogacenia się. Obywatele świadczący w tych procesach byli nagradzani, mieszkańcy prowincji zaś, którym udało się dowieść komuś, iż wyłudzał pieniądze, otrzymywali prawa obywatelskie.

**republika** - nazwa ta składała się początkowo z dwóch słów, *res publica*, czyli rzecz publiczna. W dzisiejszych czasach słowem tym określamy ustrój, w którym zamiast monarchy rządzi obieralny rząd, wątpię jednak, by Rzymianie ustanawiając swą republikę, myśleli tymi samymi kategoriami. Faktem jednak jest, że rzymska republika powstała jako ustrój alternatywny w stosunku do monarchii.

**retoryka** - sztuka przemawiania, z której Grecy i Rzymianie uczynili coś w rodzaju nauki. Wykształcony mówca wyrażał się zgodnie z dokładnie określonymi zasadami i wzorcami, które dotyczyły zresztą nie tylko tego, co mówił, ale i ruchów jego rąk i ciała. W okresie wczesnej republiki w pogardzie miano greckich nauczycieli retoryki, czasem nawet wypędzano ich z Rzymu. Zaciekłym wrogiem greckich retorów był na przykład Katon Cenzor. Zamiłowanie jednak do kultury greckiej, jakie cechowało krąg młodych wykształconych Rzymian skupionych wokół Scypiona Emilianusa, przełamało te opory, tak że w czasach Braci Grakchów większość młodzieży pobierała nauki u retorów greckich, łacińscy zaś z kolei popadli w niełaskę. Już wtedy rozpoznawano cztery różne style retoryczne - Lucjusz Licyniusz Krassus faworyzował na przykład styl azjatycki, tzw. azjanizm, bardziej kwiecisty i dramatyczny od stylu attyckiego. Musimy pamiętać, że słuchacze, którzy gromadzili się, by wysłuchać przemówienia (niezależnie od tego, czy dotyczyło ono kwestii prawnych czy politycznych), byli koneserami sztuki retoryki, słuchali więc i przyglądali się mówcy pełni krytycyzmu, znali bowiem reguły i zasady tej sztuki i niełatwo ich było zadowolić.

**Roma** - Rzym.

**Romulus i Remus** - bliźniaczy synowie Rei Sylwii, córki króla miasta Alba Longa i boga Marsa. Amuliusz, wuj Rei Sylwii, który strącił z tronu jej ojca, włożył bliźnięta do kosza z sitowia i rzucił do Tybru. Rzeka wyrzuciła kosz na brzeg u stóp świętego drzewa figowego u podnóża Palatynu, gdzie znalazła je wilczyca, która wykarmiła je w pobliskiej jaskini. Potem przygarnął je niejaki Faustulus i jego żona Akka Larencja, którzy wychowywali chłopców aż do pełnoletności. Bliźniacy dorósłszy, zgładzili Amuliusza, przywrócili tron Alby Longi swemu dziadowi i założyli pierwsze osiedle na Palatynie. Kiedy Remus przeskoczył przez jego świeżo wzniesione mury, Romulus zabił go - najprawdopodobniej pod zarzutem świętokradztwa. Potem zaczął gromadzić wokół siebie grupę mężczyzn, ustanawiając w obniżeniu między dwoma wierzchołkami Kapitolu azyl i przyjmując tu przeróżnych uchodźców - w dużej części zapewne przestępców. By zdobyć dla nich żony, które zamieszkałyby w jego mieście, zaprosił wszystkich mieszkańców pobliskiego



osiedla Sabinów na Kwirynale na ucztę i pokonawszy Sabinów, wprowadził ich kobiety. Romulus rządził długie lata, aż pewnego dnia wybrał się na polowanie na Kozie Bagna na Polu Marsowym i tu zaskoczyła go straszliwa burza. Gdy nie wrócił do domu, przyjęto, że bogowie wzięli go do siebie i uczynili nieśmiertelnym.

**rostra** - od *rostrum*, co oznaczało okuty brązem lub wzmocniony dębiną dziób okrętu. W czasie bitwy uderzano nim jak taranem w burtę nieprzyjacielskiego okrętu. Gdy w roku 338 p.n.e. konsul Gajusz Maniusz rozbił doszczętnie flotę Wolsków pod Ancjum, przywiózł dzioby zatopionych lub zdobytych okrętów do Rzymu i przyozdobił nimi wznoszącą na Forum mównicę. Od tego czasu mównicę tę zwano Rostra, czyli „dzioby”.

**Rubikon** - rzeka stanowiąca granicę pomiędzy Galią italską a właściwą Italią po wschodniej stronie Apeninów (tak jak Arno na zachodzie). Nikt nie wie dziś na pewno, która z rzek nosiła w starożytności tę nazwę - uczeni sądzą, że była to mało interesująca i krótka rzeczka, nazywana dziś zresztą Rubikonem, ja jednak jestem innego zdania. Rubikon musiał według mnie mieć źródła blisko źródeł Arno; wiemy też, że w starożytności granice wytyczano wzdłuż wyraźnych granic naturalnych - dlaczegóż by bowiem inaczej granica Galii italskiej podążała wzdłuż ogromnej pętli, zataczanej przez Arno? Sądzę więc, że Rubikon nie był niewielką rzeczka, ale długą rzeką, wypływającą z Apeninów gdzieś w pobliżu źródeł Arno. Stawiałabym na dzisiejszą rzekę Ronco, uchodzącą do Adriatyku pomiędzy Rawenną a Rimini (Ariminum). Dlaczegóż bowiem ludzie tak praktyczni jak Rzymianie mieliby wytyczać granicę na maleńkiej rzeczce, gdy w pobliżu płynęła rzeka znacznie szersza i dłuższa? Wokół Rawenny jednak od setek lat prowadzono tyle prac przy osuszaniu grantów i budowie kanałów, że nie jesteśmy dziś w stanie dotrzeć do żadnego materiału dowodowego.

**rycerze** - zobacz: ekwici.

**saepa** - dosłownie: owczarnia. Za republiki była to po prostu otwarta przestrzeń niedaleko od Via Lata i Villa Publica na Polu Marsowym. Nie wznosiły się tu żadne zabudowania, to tu jednak zbierały się Zgromadzenie i Komicje Centurialne. Ponieważ na Zgromadzeniu Centurialnym odbywały się zazwyczaj głosowania, *saepa* dzielona była na sektory tymczasowymi ogrodzeniami, tak że każda z pięciu klas głosowała w swoich centuriach.

**sagum** - długi aż do ziemi ciepły żołnierski płaszcz. Tkano go z nie odtłuszczonej wełny, aby był jak najmniej przemakalny, i krojono z całego koła, wycinając jedynie dziurę na głowę. Najlepsze sagum pochodziły z Ligurii, gdzie hodowano owce o gęstej i tłustej wełnie.

**saltatrix tonsa** - dosłownie: ogolona tancerka, czyli po prostu mężczyzna o skłonnościach homoseksualnych, który oferował swe usługi w kobiecym przebraniu.

**Samnium** - ziemie leżące pomiędzy Lacjum, Kampanią, Apulią a Picenum. Większa część Samnium była górzysta i niezbyt żyzna, zaś tutejsze miasta (m.in. Bowianum, Caieta i Aeclanum) były małe i dość biedne. Dwa większe miasta, Aesernia i Benewentum były rzymskimi koloniami na prawach latyńskich. Na terenie Samnium zamieszkiwało kilka różnych plemion: Pelignowie, Marucynowie, Westynowie i Frentanowie żyli na swoich terytoriach, Samnici zaś zajmowali wszystkie pozostałe ziemie. Od najdawniejszych czasów Samnici byli zawsze zaprzysięgłymi nieprzyjaciółmi Rzymu i kilka razy, we wczesnym okresie dziejów republiki, zadali jej armiom druzgocące klęski. Nie mieli jednak dość ludzi i środków do życia, by długo odpierać rzymskie ataki. Około roku 180 p.n.e. Samnici nie zdołali już zapobiec osiedleniu na ich ziemiach czterdziestu tysięcy Liguryjczyków, wysiedlonych przez Rzymian ze swej ojczyzny za sprawianie Rzymowi



nadmiernych kłopotów na północy. Wydawało się to wtedy Rzymianom mądrym posunięciem, jednak nowi osadnicy zostali szybko wchłonięci przez ludność samnicką i nie mniej niż ona nienawidzili Rzymu. Opór w Sannium znowu się więc nasilił.

**satrapa** - tytuł nadawany przez perskich królów zarządcom prowincji. Przejął go i stosował Aleksander Wielki, a także późniejsi królowie Partii z dynastii Arsacydów. Terytorium rządzone przez satrapę nosiło nazwę satrapii.

**Saturninus** - Lucjusz Apulejusz Saturninus urodził się ok. roku 135 p.n.e. w szanowanej rodzinie związanej w jakiś sposób z Picenum (wiemy, że mężem jego siostry był Tytus Labienus, kolega Saturnina z czasów jego ostatniego trybunatu). Wybrany na kwestora w roku 105 p.n.e. otrzymał zadanie nadzorowania dostaw zboża do portu w Ostii. Kiedy jednak ceny zboża nagle wzrosły, Marek Emiliusz Skaurus, prynceps senatu, oskarżył Saturnina o rozmyślne zawyżanie cen, w wyniku czego został on usunięty ze swego urzędu i pozbawiony członkostwa w senacie. Nie przyjął jednak tego ciosu ze spuszczoną głową, wręcz przeciwnie, w roku 103 p.n.e. stanął do wyborów na trybuna ludowego i został wybrany. W czasie tego pierwszego trybunatu związał się z Gajuszem Mariuszem i wprowadził kilka praw, na których Mariuszowi szczególnie zależało - m.in. prawo nadające jego weteranom ziemie w Afryce zdobyte w wojnie z Jugurtą. Ustanowił też specjalny trybunał, mający sędzić oskarżonych o „mniejszą zdradę” - *maiestas minuta*.

W roku 102 i 101 p.n.e. Saturninus nie sprawował żadnego urzędu, jednak swym trudnym do zniesienia zachowaniem tak zraził do siebie ówczesnego cenzora Metellusa Numidyjskiego, że ten próbował znów usunąć go z senatu. Saturninus w odpowiedzi wywołał zamieszki, w czasie których Metellus Numidyjski został dotkliwie pobity. Pozostając wciąż w porozumieniu z Mariuszem, kandydował ponownie na trybuna plebejskiego w roku 100 p.n.e. i ponownie został wybrany. Jego kolejne prawo, nadające weteranom Mariusza z wojny z Germanami ziemie w Galii Zaalpejskiej, wywołało wielkie niezadowolenie w senacie. Senatorowie zostali więc zmuszeni do złożenia przysięgi, że nie będą próbowali go obalić - przysięgali też wszyscy oprócz Metellusa Numidyjskiego, który wolał zapłacić karę i udać się na wygnanie. Od tego czasu związek z Saturninem zaczął stawać się dla Mariusza coraz większym ciężarem, pozbył się go więc w końcu, chcąc ratować swą i tak nadszarpniętą reputację.

Saturninus skierował teraz swą uwagę na rzymską biedotę, Policzonych Głowami, których zaczął zwodzić obietnicami darmowego rozdawnictwa zboża - był to bowiem w Rzymie czas głodu. W roku 99 p.n.e. Saturninus po raz trzeci wysunął swą kandydaturę w wyborach na trybunów, tym razem jednak przegrał. Jego przyjaciel Gajusz Serwiliusz Glaucja polecił jednak swym zausznikom zamordowanie jednego z nowo wybranych trybunów, tak że Saturninus, który był następny w liczbie otrzymanych głosów, został dokooptowany do grona trybunów na jego miejsce. Wrzenie na Forum osiągnęło tymczasem takie rozmiary, że Rzymowi zaczął poważnie grozić przewrót. Mariusz i Skaurus, zjednoczeni w chwili zagrożenia, zdołali opanować sytuację dzięki wydanemu przez senat Dekretowi Nadzwyczajnemu. Saturninus i jego poplecznicy, którzy schronili się na Kapitolu, zostali pojmani po tym, jak Mariusz odciął dopływ wody do całego wzgórze. Zamknięto ich następnie dla bezpieczeństwa w budynku senatu, nie uchroniło ich to jednak przed śmiercią - w nocy wszyscy zginęli, ukamienowani gradem dachówek zerwanych z dachu kurii.

Wszystkie prawa Saturnina zostały wtedy unieważnione.

**Scytowie** - lud pochodzenia najprawdopodobniej germańskiego, mówiący językiem z grupy języków indoeuropejskich. Zamieszkiwał on azjatyckie stepy na wschód od Donu



(Tanais), sięgające na południu aż do Kaukazu. Ich organizacja społeczna była na tyle zaawansowana, że mieli oni swych królów, najbardziej znani zaś byli ze swych utalentowanych złotników.

**senat** - Rzymianie wierzyli, że senat został ustanowiony przez Romulusa, który powołał radę doradczą liczącą stu patrycjuszy, którym nadał tytuł *patres* (ojcowie). Naprawdę był on zapewne tworem któregoś z późniejszych, mniej mitycznych królów Rzymu. Po nastaniu republiki senat zachowano jako nadrzędne ciało doradcze, liczące teraz trzystu członków, wciąż jednak wywodzących się jedynie spośród patrycjuszy. Niewiele lat później jednak do grona senatorów przyjmować zaczęto także i plebejuszy, którzy z czasem uzyskali prawo piastowania wszystkich wyższych urzędów.

Z racji tego, że senat był tworem bardzo starożytnym, wszelkie definicje jego kompetencji, praw i powinności są dość płynne i na pewno niekompletne, a regulowały je przede wszystkim prawa *mos maiorum*. Wiemy, że członkostwo w senacie było dożywotnie, co tworzyło idealne warunki do powstania oligarchii - co też prędko nastąpiło. Senatorowie walczyli też zawsze o podkreślenie swej przodującej roli w państwie. Za republiki przyznanie członkostwa w senacie (a także jego ewentualne odebranie) leżało w gestii cenzorów. Senat składał się z trzydziestu dekurii liczących po dziesięciu senatorów, każdej z nich przewodził patrycjusz - co znaczyło, że w senacie musiało być zawsze co najmniej trzydziestu patrycjuszy. W czasach Mariusza i Sulli w zwyczaj weszło już, iż od przyszłego senatora wymagało się posiadania dochodów rzędu co najmniej miliona sestercji - i choć jak większość obyczajów było to prawo niepisane, to ściśle go przestrzegano.

Przywilejem przysługującym wyłącznie senatorom było prawo do noszenia tuniki zdobionej szerokim purpurowym szlakiem (*latus clavus*), a także zamkniętych butów z barwionej skóry i pierścienia (z początku żelaznego, później złotego). Senat mógł zbierać się tylko w miejscach odpowiednio do tego celu wyświęconych, jako że posiedzenia odbywały się nie tylko w kurii senatu (*Curia Hostilia*). Ceremonie noworoczne na przykład miały miejsce w świątyni Jowisza Najlepszego i Największego, a zebrania mające na celu omówienie spraw wojennych zwoływano w świątyni Bellony, poza granicami *pomerium*. Obrady mogły trwać tylko od wschodu do zachodu słońca i nie mogły odbywać się w dniach, w których zwyczajowo zbierało się któreś z komicjów (chyba że żadne zebranie nie miało akurat miejsca).

W łonie samego senatu obowiązywała ścisła hierarchia dotycząca kolejności, w jakiej uprawnieni do tego senatorowie mogli wygłaszać swe przemówienia - za czasów Mariusza i Sulli pierwszym na tej liście był prynceps senatu, patrycjusze zaś stali zawsze przed plebejuszami, nawet jeśli we wszystkich innych kwestiach byli sobie równi. Nie wszyscy oczywiście członkowie senatu byli uprawnieni do zabierania głosu - *senatores pedarii* (o których w książce piszę po prostu jako o zajmujących tylne ławy, zasiadali bowiem za mówcami) mieli jedynie prawo do głosowania. W kwestii długości przemówienia czy zwięzłego trzymywania się tematu mówcy nie byli w żaden sposób ograniczani - stąd zwyczaj wygłaszania mów w sposób niezwykle emocjonalny.

Posiedzenia senatu mogły trwać tylko od świtu do zmierzchu i nie można ich było zwoływać, w czasie kiedy zbierały się komicja - choć jeśli w przeznaczonym na obrady komicjów dniu nie miało się odbyć żadne głosowanie, senat mógł obradować bez przeszkód.

W sprawach mniejszej wagi lub wtedy, gdy senat był raczej jednomyślny, głosowanie mogło odbywać się ustnie lub przez podniesienie ręki, jednak w kwestiach formalnych



głosowano, przechodząc na wybraną stronę sali zebrań. Będąc ciałem doradczym, nie ustawodawczym, senat wszystkie swoje dekryty (*consulta*) wydawał jako prośby, przedkładane różnym zgromadzeniom. W ważnych sprawach głosowano, tylko jeśli zebrało się *quorum* (nie znamy dokładnej liczby senatorów stanowiących *quorum* w czasach Mariusza i Sulli - może była to jedna czwarta składu senatu?). Większość zebrań nie cieszyła się oczywiście specjalnie wysoką frekwencją - nie było bowiem żadnego prawa, które zobowiązywałoby senatora do regularnego uczęszczania na posiedzenia. W niektórych dziedzinach życia państwowego senat, pomimo braku uprawnień prawodawczych, rządził niepodzielnie - zarządzał finansami państwa, sprawując pieczę nad skarbcem, decydował o polityce zagranicznej i wojnie bądź pokoju. W sprawach cywilnych senat mógł (po doświadczeniach z czasów Gajusza Grakcha) unieważnić decyzję każdego innego organu państwowego, ogłaszając *Senatus consultum de republica defendenda*, dekret o niepodważalnej mocy.

**sestercja** - najpowszechniejsza rzymska moneta. To w sestercjach dokonywano oficjalnych spisów księgowych i rozliczeń - jest ona monetą dominującą we wszystkich źródłach pisanych z okresu republiki. Nazwa jej pochodzi od łacińskich słów *semis tertius*, czyli [dwa i ] „pół trzeciego” (asa). Sestercja była niewielką, srebrną monetą, równą wartością jednej czwartej denara. W łacińskich napisach oznaczona była skrótem HS.

**„siano na rogu”** - wszystkie hodowane w starożytności woły obdarzone były imponującymi rogami i, pomimo kastracji, wcale nie wszystkie były łagodne. Zwierzę, które bodło, było dla ostrzeżenia znaczone: róg, którym bodło (lub oba, jeśli bodło oboma), owijano sianem. Piesi przechodnie umykali na widok wołu z sianem na rogu ciągnącego wóz ulicami Rzymu. Powiedzeniem „ma siano na rogu” zwykło się określać dużego, z pozoru łagodnego człowieka, wtedy gdy okazywało się, że potrafi on nagle i z wielką siłą odparować każdy cios.

**sinus** - dosłownie: wgłębienie, fałda. Słowo to używane było w przeróżnych znaczeniach, w książce jednak używam go tylko w dwóch z nich: raz w kontekście geograficznym, kiedy oznacza ono zatokę - Sinus Arabicus (Morze Czerwone) itd. Drugie znaczenie słowa *sinus* odnosi się do fałdy togi, którą drapowano na lewym ramieniu, tak że tworzyła zagłębienie, którego Rzymianin mógł używać tak jak my dziś kieszeni.

**Skordyskowie** - związek plemion celtyckich, iliryjskich i trackich, zamieszkujący w Mezji, pomiędzy doliną Dunaju a górami Macedonii. Liczni i niezwykle waleczni, najeżdżali oni raz po raz rzymską Macedonię, będąc postrachem kolejnych zarządców tej prowincji.

**Sozjusz** - imię łączone z handlem książkami w starożytnym Rzymie. Dwóch braci Sozjuszów prowadziło działalność wydawniczą za pryncypatu Augusta. Użyłam tego samego imienia, przenosząc je w czasie, w Rzymie bowiem zawody były często dziedziczone w rodzinie, a handel książkami kwitł już za czasów Mariusza i Sulli.

**sponsio** - w cywilnych kwestiach spornych, kiedy sprawy nie wnoszono do sądu lecz przedkładano do rozpatrzenia pretorowi miejskiemu, mógł on rozpocząć przesłuchania tylko wtedy, kiedy strony powierzyły mu na czas trwania procesu sumę pieniędzy zwaną *sponsio*, stanowiącą albo równowartość ewentualnego odszkodowania, albo sumę sporną w sprawie. Tak więc w sprawach o niepłacenie długów w przypadku bankructwa, to dług, o który chodziło, stanowił *sponsio*. Znaczyło to, iż jeśli żadna ze stron nie zdołała wyłożyć takiej sumy w gotówce, pretor miejski nie mógł rozpocząć przesłuchania w tej sprawie. W czasie kryzysu, gdy niemal nikt w Rzymie nie miał gotówki, kwestia wyłożenia *sponsio* stanowiła poważną przeszkodę w sądownictwie cywilnym - stąd klauzula unieważniająca obowiązek dostarczenia *sponsio*, zawarta w prawie Sulli dotyczącym odsetek za długi.



**sprzymierzeńcy** - dość wcześnie w historii republikańskiego Rzymu urzędnicy sprawujący władzę zaczęli nadawać tytuł Przyjaciół i Sprzymierzeńców Ludu Rzymskiego państwom i narodom, które stanęły u boku Rzymu w potrzebie (przeważnie wojennej). Z czasem ludy całej Italii, nie objęte obywatelstwem rzymskim bądź znajdujące się na drodze do jego uzyskania, otrzymawszy prawa łatyńskie, zostały sprzymierzeńcami. Rzym zapewniał im militarną ochronę i pewne koncesje handlowe, w zamian za oddziały wojskowe dostarczane przez sprzymierzeńców na każde żądanie. Tytuł ów zaczęto nadawać również ludom spoza Italii - sprzymierzeńcami zostali Eduowie z Galii oraz królestwo Bitynii. Gdy inne narody zaczęły otrzymywać status sprzymierzeńców, ludy Italii zostały przy tej właśnie nazwie, podczas gdy państwa zamorskie używały pełnego tytułu Przyjaciół i Sprzymierzeńców Ludu Rzymskiego.

**stal** - termin „epoka żelaza” jest w odniesieniu do starożytności dosyć mylący, czyste żelazo nie było bowiem wówczas szczególnie popularnym metalem. Zastąpiło wprawdzie brąz, kiedy tylko starożytni nauczyli się je hartować i odtąd wykonywano z niego narzędzia i broń, które musiały być zarazem twarde, ostre i trwałe. Arystoteles i Teofrast, obaj żyjący w Grecji w IV w. p.n.e., piszą jednak o stali, nie o żelazie. Cały zresztą proces uzyskiwania z rud żelaza metalu przebiegał w całkowitej nieznanomości zachodzących podczas niego procesów chemicznych. Żelazo wytapiano głównie z rudy hematytowej - piryków prawie nie używano z powodu wysokiej toksyczności ich produktów ubocznych. Strabon i Pliniusz Starszy opisują metodę wypalania (utleniania) rudy, dużo skuteczniejszym sposobem było jednak wytapianie jej w piecach szybowych. W większości starożytnych hut stosowano obie te metody, uzyskując surówkę mocno zanieczyszczoną żużlem. Surówka ta była następnie powtórnie topiona i w procesie wykuwania mieszana z węglem drzewnym. Pozwalało to na pozbycie się części żużla, jednak starożytna stal nigdy nie była od niego całkowicie wolna. Rzymscy kowale znali doskonale różne techniki obróbki żelaza, takie jak wyżarzanie, rozpuszczanie, hartowanie czy nawęglanie. Każdy z tych procesów zmieniał właściwości metalu, tak że uzyskana dzięki niemu stal przydatna była do wyrobu różnego rodzaju przedmiotów i narzędzi - brzytw, kling mieczy, toporów, pił, dłut, przecinaków, gwoździ itp. Stal dość twarda, by wyrabiać z niej tnące ostrza, była tak cenna, że cienką warstwę takiej stali zgrzewano z innym, tańszym metalem (Rzymianie znali dwa sposoby zgrzewania: spawanie i zgrzewanie ciepłe). Ostrza rzymskich mieczy były jednak w całości wykuwane ze stali (w temperaturze ok. 280 C°), a więc były wyjątkowo ostre (starsi czytelnicy pamiętają może jeszcze noże z rdzewiejącej stali węglowej i w naszej epoce stali nierdzewnej z nostalgią wspominają, jakie były one ostre i łatwe w ostrzeniu. Ostrza te bardzo przypominały właściwościami rzymskie klingi). Starożytni kowale powszechnie używali narzędzi, takich jak szczypce, kowadła, młoty, miechy, tygle czy cegły ogniotrwałe, jednak wiele z uznawanych przez nich teorii miało się z prawdą. Wierzono na przykład, że rodzaj płynu używanego przy rozpuszczaniu stali miał wpływ na jego przebieg, nikt zaś nie wiedział, że z rudy wydobywanej w Norikum uzyskiwano najlepszą stal dlatego, że zawierała ona niewielkie ilości manganu, nie zanieczyszczonego fosforem, arsenem ani siarką, stanowiła więc idealny surowiec do wyrobu stali manganowej.

**stibium** - czarny puder wyrabiany na bazie antymonu, którego po rozpuszczeniu w wodzie używano do barwienia rzęs i brwi i rysowania kresek wokół oczu.

**stips** (zwane też *peculium*) - łacińskie słowo oznaczające w tej książce wypłatę, jaką niewolnik otrzymywał od swego pana.

**stronnictwo** - termin stosowany przez dzisiejszych uczonych w odniesieniu do



politycznych ugrupowań republikańskiego Rzymu. Nie chodzi tu w żadnym wypadku o partie polityczne, granice między tymi ugrupowaniami były bowiem niezwykle płynne, a przynależność do któregoś z nich mogła często ulegać zmianie. Rzymskie stronnictwa nie powstawały w oparciu o żadną ideologię, ale formowały się wokół konkretnych ludzi posiadających odpowiednią *dignitas* i *auctoritas*. Nie używałam w książce terminów „optymaci” i „popularzy”, nie chcąc implikować istnienia jakichkolwiek partii politycznych.

**Subura** - najbiedniejsza i najgęściej zaludniona dzielnica Rzymu. Leżała na wschód od Forum Romanum, w obniżeniu pomiędzy oppijskim wierzchołkiem Eskwilinu a Wiminalem. Biegnąca przez całą jej długość główna ulica miała kilka różnych nazw: na samym dole, tam gdzie łączyła się z Argilentum, nazywała się Fauces Suburae, następny odcinek nazywano po prostu Suburą Większą, końcową zaś, stromą część wspinającą się na stoki Eskwilinu - Clivus Suburanus. Od Subury Większej odgałęziały się w kierunku Wiminalu Subura Mniejsza i Vicus Patricii. Zabudowę Subury stanowiły wyłącznie insule, wśród których jedynym wyróżniającym się punktem orientacyjnym była Turrus Mamilia - nie znanego nam przeznaczenia wieża. Ludność Subury mówiła wieloma językami i była bardzo niezależna - mieszkało tu na przykład wielu Żydów i stała tu jedyna w czasach Mariusza i Sulli synagoga w mieście. Od Swetoniusza wiemy, że w Suburze mieszkał Cezar Dyktator.

**suffectus** - zobacz: konsul zastępczy.

**suovetaurilia** - szczególny rodzaj ofiary, w której składano świnie (*su*), owcę (*ove*) i byka lub wołu (*taur*).

Ofiarę tę składano w sytuacjach wielkiego zagrożenia konkretnym bogom - jednym z nich był Jowisz Najlepszy i Największy, drugim Mars, tożsamość pozostałych zaś nie jest nam znana. Zanim ofiary zostały zabite, prowadzono je w specjalnej uroczystej procesji. *Suovetaurilia*, poza sytuacjami szczególnymi, składano przy dwóch okazjach: pod koniec każdego maja, kiedy dwunastu kapłanów (*Arvalis Fratres*) obchodziło uroczyste pola uprawne i dokonywało ich oczyszczenia, oraz raz na pięć lat, kiedy to cenzorzy ustawiali swe stoły na Polu Marsowym i przygotowywali się do dokonania spisu majątkowego rzymskich obywateli.

**Sybilla, księgi Sybilli** - w posiadaniu państwa rzymskiego znajdowały się przepowiednie, zwane księgami Sybilli, spisane po grecku, pierwotnie na palmowych liściach, potem przepisane na papier. Wierzono, że od Sybilli otrzymał je sam Tarkwiniusz Starszy. Księgi te były już otoczone taką czcią, że pieczę nad nimi sprawowało specjalne kolegium złożone z dziesięciu kapłanów, *decemviri sacris faciundis*, a w czasach kryzysów pośród wierszy przepowiedni szukano rozwiązania bieżących kłopotów.

**szmaragd** - osadzony na rączce i służący jako szkło powiększające był w starożytności przedmiotem ekscentrycznym i luksusowym, dokładnie tak samo, jak monokle używane na przełomie XIX i XX wieku. Stanowił też jednak duże udogodnienie dla osób cierpiących na starczą dalekowzroczność w czasach, gdy nie wynaleziono jeszcze okularów. Nie znano jeszcze wówczas soczewek wytwarzanych specjalnie w celu powiększania np. pisma, niektóre kamienie szlachetne jednak z natury posiadały takie właśnie właściwości - i z tego to powodu były niezwykle cenne. Wiemy, że cesarz Neron miał szmaragdowy monokl a sądząc z dużej liczby szmaragdów przywożonych z Azji Mniejszej, można przyjąć, że królowie Pontu mieli do nich łatwy dostęp.

**tablinum** - łacińska nazwa pomieszczenia (będącego często także sypialnią), które wraz z przyległym mniejszym pokoikiem, używanym jako garderoba, stanowiło w



rzymskim domu domem ojca rodziny. Tłumacz używa dla jego określenia słowa „pracownia”.

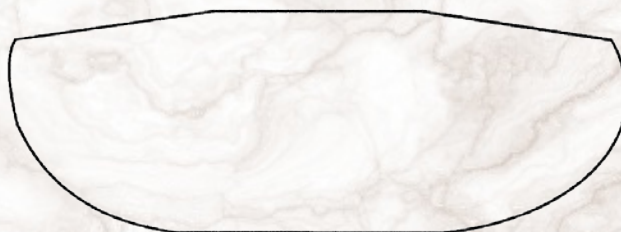
**talent** - jednostka wagi, mająca wynosić tyle, ile zdoła unieść człowiek. Wielkie sumy pieniędzy wyrażano w talentach, termin ten nie odnosił się jednak generalnie do pieniędzy ani kruszców. Według dzisiejszych miar talent ważył ok. 25 kg.

**Tarpejska Skala** - nie znamy jej dokładnej lokalizacji, wiemy jednak, że widać ją było dobrze z Forum Romanum - być może stanowiła więc jeden ze skalistych obrywów Kapitolu. Urwisko to musiało znajdować się bezpośrednio nad terenem równie skalistym i nieprzyjaznym, wysokość jego bowiem wynosiła nie więcej niż osiemdziesiąt stóp, a było to tradycyjne miejsce, z którego strącano rzymskich zdrajców i morderców.

**tata** - identyczne z polskim łacińskie zdrobnienie słowa ojciec. Zdecydowałam się też używać bardziej dziś powszechnego zdrobnienia *mama*, chociaż jego łacińska wersja brzmiała *mamma*.

**Tellus** - rzymska bogini ziemi, prawie zapomniana po sprowadzeniu z Pesynuntu kultu Wielkiej Matki. Duża świątynia Tellus wznosiła się na Karynach - w czasach Mariusza i Sulli była już jednak zaniedbana i utraciła swą dawną świetność.

**toga** - strój noszony wyłącznie przez pełnoprawnych obywateli rzymskich. Wykonana z cienkiej wełny, miała ona przedziwny kształt (dlatego właśnie Rzymianie rodem z Hollywood nigdy nie wyglądają tak, jak należy - hollywoodzka wiedza, przynajmniej ta dotycząca starożytnego Rzymu, jest dosyć skromna). Po wyczerpujących, lecz genialnych niemal badaniach, dr Lillian Wilson ustaliła ostatecznie kształt i rozmiary doskonałej togi. Toga odpowiednia dla mężczyzny mającego 175 cm wzrostu i mierzącego 89 cm w pasie miała szerokość ok. 4,6 m i długość ok. 2,25 m. Nie była jednak prostokątna! Wyglądała mniej więcej tak:



Dopóki nie wytnie się jej tak, jak wskazuje rysunek, toga absolutnie nie da się udrapować w sposób, jaki obrazują starożytne posągi. Republikańska toga z czasów Mariusza i Sulli była bardzo obszerna (jej rozmiary zmieniały się znacznie na przestrzeni tysiąca lat, jakie upłynęły między panowaniem rzymskich królów a rokiem 500 n.e.). Pewna uwaga, dotycząca togi, wynika z moich własnych obserwacji: noszący ją Rzymianie z całą pewnością nie mieli pod spodem bielizny. Ułożenie togi całkowicie uniemożliwiało bowiem jakiegokolwiek manipulacje lewej dłoni i ramienia - precyzyjnie udrapowane na lewym ramieniu fałdy opadłyby wówczas i trzeba by je było układać od nowa. Jeśli jednak toga była włożona prawidłowo, prawa ręka zupełnie swobodnie wystarczała, by, odsunąwszy fałdy, Rzymianin mógł oddać mocz w pozycji wyprostowanej, oczywiście pod warunkiem, że nie musiał borykać się z żadną bielizną! Wspominam o tym interesującym fakcie tylko dlatego, że w niektórych współczesnych książkach wciąż pisze się o noszonej przez Rzymian bieliźnie - z pewnością było to jednak niemożliwe, jeśli miało się na sobie togę.

**toga alba** - (*toga pura* albo *toga virilis*) całkowicie biała toga, którą mógł nosić każdy pełnoletni obywatel. (Zapewne bardziej kremowa niż śnieżnobiała).



**toga candida** - specjalnie wybielana toga, noszona przez wciąganego na listę chętnych kandydata do sprawowania urzędu (nasze słowo kandydat pochodzi właśnie od nazwy *toga candida*). Kandydat taki nosił swą *toga candida*, także chodząc po mieście i zabiegając o głosy wyborców oraz stojąc przy umi w dniu wyborów. Lśniącą biel togi uzyskiwano, bieląc ją na słońcu przez wiele dni, a następnie wcierając w nią sproszkowaną krede.

**toga pieta** - purpurowa toga odbywającego triumf wodza, bogato haftowana (zapewne złotem) w motywy przedstawiające ważne wydarzenia i postacie. Togę tę nosili rzymscy królowie, a także posąg Jowisza Najlepszego i Największego ze świątyni na Kapitolu.

**toga praetexta** - toga z purpurowym szlakiem, noszona przez aktualnie urzędujących i byłych urzędników kurulnych, a także przez dzieci obojga płci.

**toga pulla** - toga żałobna, z wełny o barwie tak zbliżonej do czerni, jak to tylko było możliwe. Senatorowie w żałobie nosili także rycerską tunikę z wąskim szlakiem - *augustus clavus* - na ramieniu.

**toga trabea** - według Cycerona „toga półkolorowa” - pasiasta toga augurów, a najprawdopodobniej także kapłanów. Podobnie jak *toga praetexta* miała ona na brzegu purpurowy szlak, była też jednak w całości pokryta pionowymi pasami, na przemian czerwonymi i purpurowymi.

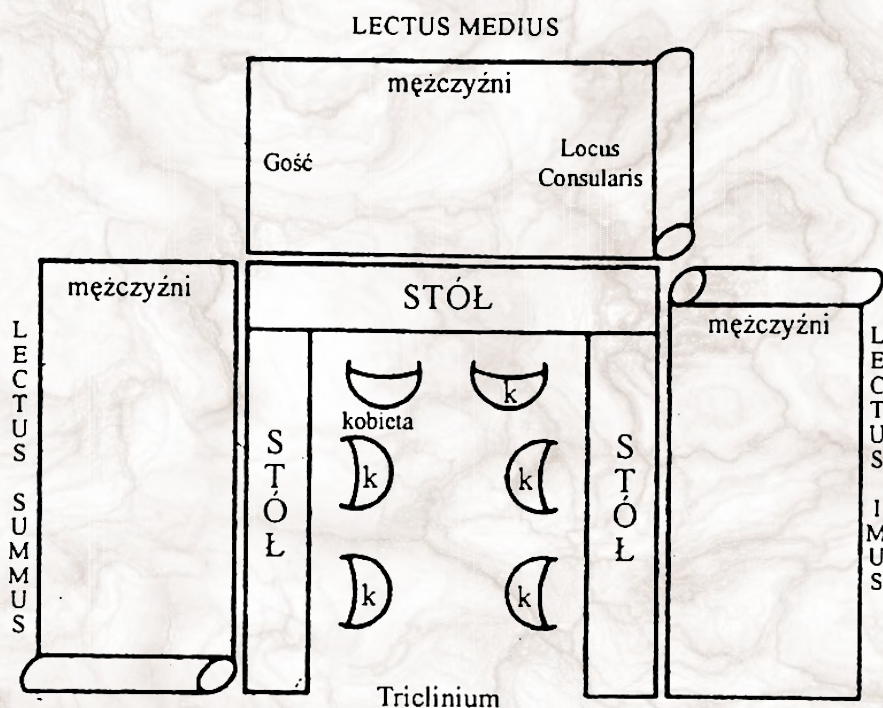
**Tolosańskie Złoto** - kilka lat po roku 278 p.n.e. duża grupa Wolków Tektosagów powróciła z Macedonii na ojczyste tereny wokół Tolosy w Akwitanii, wioząc ze sobą ogromnie bogate łupy z wielu greckich świątyń zdobytych podczas wyprawy Brennusa (zobacz: Brennus). Skarb przetopiono i ukryto w sztucznych świątynnych jeziorkach Tolosy. Złoto pozostawiono zatopione na dnie, srebro natomiast, z którego odlano wielkie młyńskie kamienie, regularnie wydobywano z wody i używano do mielenia zboża. W roku 106 p.n.e. konsul Kwintus Serwiliusz Cepion został wraz z armią wysłany w okolice Tolosy, by powstrzymać pochód wędrujących Germanów, którzy zatrzymali się w tej okolicy. Gdy przybył na miejsce, przekonał się, że Germanie odeszli, pokłóciwszy się z Wolkami Tektosagami. Zamiast więc stoczyć bitwę, Cepion stacjonując w Tolosie, odnalazł olbrzymi skarb w postaci złota i srebra zatopionego w świątynnych jeziorkach. Było tam 10.000 talentów srebra (łącznie z młyńskimi kamieniami) i 15.000 talentów złota. Srebro przetransportowano do portu w Narbonie i drogą morską przewieziono do Rzymu, wozy zaś, które je tu przywiozły, zawróciły do Tolosy, gdzie zostały załadowane złotem i wysłane lądem. Złoto eskortowane było przez jedną rzymską kohortę - około 520 legionistów. W pobliżu fortecy Carcasso orszak został zaatakowany przez bandę rozbójników. Wszyscy żołnierze z eskorty zginęli, a wozy ze złotem uprowadzono w nieznanym kierunku. Nigdy więcej nie widziano Tolosańskiego Złota.

**tribus** - u zarania republiki nie było to już dla Rzymianina pojęcie etniczne, ale wyłącznie polityczne. Wszystkich *tribus* było trzydzieści pięć, w tym trzydzieści jeden wiejskich i zaledwie cztery miejskie. Szesnaście naprawdę starych *tribus* nosiło nazwy wzięte od patrycjuszowskich rodów, co wskazywało, iż należący do nich obywatele byli albo członkami *gens*, albo zamieszkiwali kiedyś na posiadanych przez ten ród ziemiach. W czasach wczesnej republiki, kiedy rzymskie posiadłości w Italii zaczęły się powiększać, ustanawiano kolejne *tribus*, by objąć rzymskim systemem politycznym nowych obywateli, zaczątkami nowych *tribus* stawały się też kolonie o pełnych prawach obywatelskich. Cztery *tribus* miejskie, ustanowione zostały ponoć jeszcze przez króla Serwiusza Tulliusza (choć w rzeczywistości stało się to zapewne nieco później, w pierwszych latach republiki), ostatnią z wszystkich *tribus* ustanowiono zaś w roku 241 p.n.e. Każdy członek *tribus* miał prawo oddać jeden głos na Zgromadzeniu Trybusowym - choć głos taki nie miał sam w



sobie żadnego znaczenia. Wyniki głosowania zliczano najpierw w obrębie danej *tribus*, po czym każda z nich oddawała jeden wspólny głos. Oznaczało to, iż członkowie czterech bardzo licznych *tribus* miejskich nie mieli żadnych szans, by wpłynąć na wynik głosowania w zgromadzeniu, głosy ich mogły być bowiem zawsze przeważone przez głosy pozostałych trzydziestu jeden *tribus* wiejskich, choćby tam do głosowania stanęło tylko po dwóch ludzi w każdej. Członkowie wiejskich *tribus* nie musieli zaś wcale mieszkać na wsi - wszyscy niemal senatorowie i ekwicy zamieszkujący w Rzymie należeli właśnie do *tribus* wiejskich.

**triclinium** - rzymska jadalnia. W domu zwykłej rzymskiej rodziny w pomieszczeniu tym (najczęściej budowanym na planie kwadratu) ustawiano trzy łoża biesiadne w kształt litery U. Łoże stojące na lewo od wejścia zwane było *lectus summus*, łoże stojące naprzeciw wejścia - *lectus medius*, a łoże po prawej - *lectus imus*. Każde z nich było bardzo szerokie, około 1,25 m albo więcej, i co najmniej dwa razy dłuższe. Po jednej stronie łoże takie miało oparcie pod głowę. Przed każdym łożem, nieco poniżej jego poziomu, ustawiony był wąski stół, równy mu długością. Biesiadnicy wspierali się na lewym łokciu, oparli na wałkach i poduszkach. Byli boso i mogli zażądać umycia im stóp. Gospodarz zajmował miejsce po lewej stronie *lectus medius*, czyli u stóp łoża, podczas gdy po prawej stronie, tej z oparciem, zasiadał najbardziej szanowany spośród gości - miejsce to nosiło nazwę *locus consularis*. W czasach Mariusza i Sulli kobiety nic zajmowały miejsc na łożach, obok uczujących mężczyzn - chyba że było to męskie przyjęcie, a damy były wątpliwej cnoty. Kobiety należące do rodziny zasiadały jednak wewnątrz litery U na prostych krzesłach. Wchodziły do jadalni w momencie podania pierwszego dania, a opuszczały ją w chwili, gdy uprzątnięto ostatnią potrawę, piły też zazwyczaj jedynie wodę, jako że kobiety pijące wino uważane były za rozwiązłe.



**triumf** - dzień największej chwały dla zwycięskiego rzymskiego wodza. W czasach Mariusza i Sulli wódz musiał zostać przez swych żołnierzy okrzyknięty imperatorem, by móc ubiegać się w senacie o pozwolenie na odbycie triumfu. Zgodę taką mógł wydać jedynie senat - czasem zresztą (choć rzadko) niesprawiedliwie jej odmawiał. Sam triumf



był pełną przepychu, imponującą paradą, wiodącą ściśle określonym traktem, od Villa Publica na Polu Marsowym przez specjalną bramę w Murach Serwiańskich, zwaną Porta Triumphalis, dalej przez Welabrum, Targ Bydłęcy, Cyrk Największy i przez Via Triumphalis aż do prowadzącej do Forum Romanum Via Sacra. Ostatecznym celem pochodu były schody wiodące do świątyni Jowisza Najlepszego i Największego na Kapitolu. Triumfujący wódz w towarzystwie liktorów wchodził do świątyni i składał w ofierze swój wieniec laurowy, po czym rozpoczynała się wielka uczta.

**triumfator** - wódz odbywający triumf.

**trybun** (*tribunus*) - urzędnik reprezentujący interesy konkretnej grupy politycznej w Rzymie. Nazwa ta pochodzi od pierwotnych reprezentantów plemion (*tribus*), za republiki jednak zaczęła oznaczać urzędnika związanego z konkretnymi instytucjami, nie poszczególnymi *tribus*.

**trybun ludowy** (plebejski) - urząd ten powstał niedługo po ustanowieniu republiki, kiedy to plebejusze toczyli w Rzymie zacięty bój z patrycjuszami. Wybierani przez grupujące plebejskie *tribus* Zgromadzenie Plebejskie (*Concilium Plebis*), trybuni ludowi przyrzekali bronić życia i dóbr plebejskich. Około roku 450 p.n.e. wybierano dziesięciu trybunów ludowych. W czasach Mariusza i Sulli dziesiątka ta była już bardziej utrapieniem senatu niż tylko patrycjuszy, choć jako urzędnicy wyłonieni w wyborach stawali się oni automatycznie członkami senatu. Ponieważ nie zostali wybrani przez cały rzymski lud (tak patrycjuszy, jak plebejuszy), to w świetle niepisanego przeważnie rzymskiego prawa nic mieli oni żadnej faktycznej władzy. Ich siła leżała w uświęconej tradycją osobistej nietykalności reprezentantów stanu plebejskiego, a władza trybuna polegała na tym, że miał on prawo zawetować każde niemal przedsięwzięcie rzymskiego rządu - mógł zgłosić weto wobec poczynań innych trybunów ludowych, a także wszystkich innych urzędników, mógł zawetować zwołanie wyborów, przegłosowanie jakiegoś prawa czy plebiscytu, a nawet dekrety senatu, włącznie z tymi dotyczącymi wojny i polityki zagranicznej. Tylko dyktator (i prawdopodobnie interrex) nie podlegał weto trybunów ludowych. Na zgromadzeniu Plebejskim trybun ludowy miał władzę niczym nie ograniczoną: mógł zwołać Zgromadzenie, zarządzić odbycie dysputy zwanej *contio*, ogłosić plebiscyt, a nawet skazać na karę śmierci kogoś, kto przeszkodził mu w pełnieniu jego zadań.

W początkowym okresie dziejów republiki trybunowie ludowi nie należeli do senatu, nawet wtedy gdy przyznano im prawo zwoływania posiedzeń senatu. Dopiero na mocy ustanowionego ok. roku 149 p.n.e. *lex Atinia* trybun ludowy stawał się automatycznie członkiem senatu. Oznaczało to, że wybór na urząd trybuna ludowego był teraz alternatywną drogą wstąpienia na łono senatu - do tej pory o członkostwie decydowali wyłącznie cenzorzy. Mimo tego jednak, że za czasów Gajusza Mariusza trybunat ludowy uznawany był za najbardziej legalny urząd, nie wiązało się z nim posiadanie imperium, a władza trybuna ważna była tylko do pierwszego milowego kamienia od granic Rzymu. Według prawa zwyczajowego trybunem ludowym było się tylko jeden raz, obejmując urząd dziesiątego dnia grudnia, a opuszczając go dziewiątego grudnia następnego roku. Zwyczaj nie miał jednak pełnej mocy prawnej, czego dowiódł Gajusz Grakchus, zostawszy po raz drugi wybranym na trybuna ludowego.

Prawdziwą siłą trybunów było prawo weta - przez co działalność ich była często bardziej destruktywna niż twórcza.

**trybun wojskowy** - trybunami wojskowymi nazywano tych młodych ludzi, którzy nie zostali wyłonieni w wyborach na trybunów żołnierskich, jednak w hierarchii wojskowej



plasowali się poniżej legata, ale ponad kadetem. Jeśli głównodowodzący nie był aktualnie urzędującym konsulem, trybuni wojskowi mogli dowodzić jego legionami. Jeśli było inaczej, zajmowali się na polecenie wodza sprawami organizacyjnymi. Trybunowie wojskowi mogli także dowodzić oddziałami kawalerii.

**trybun żołnierski** (*tribunus militum*) - co roku Zgromadzenie Ludowe wybierało dwudziestu czterech młodych ludzi w wieku od dwudziestu czterech do ok. dwudziestu dziewięciu lat, by służyli jako *tribuni militum* w legionach konsulów. Jako wybrani przez *Comitia Populi Tributa*, czyli cały rzymski lud, byli oni prawdziwymi urzędnikami. Przydzielano ich do czterech legionów konsularnych, po sześciu do każdego, gdzie pełnili funkcje dowódcze. W przypadku gdy w polu znajdowało się więcej niż sześć legionów (jak pod Arauzjoną), dowodzonych przez konsula, *tribuni militum* rozdzielani byli tak, by w każdym legionie znalazł się któryś z nich.

**trybunowie skarbu** (*tribuni aerarii*) - wciąż zagadką jest dla nas to, czym naprawdę zajmowali się *tribuni aerarii*. Z początku chyba wypłatami żołdu dla żołnierzy, jednak w późniejszym okresie republiki jego wypłacaniem zajmowali się kwestorzy. W czasach Mariusza i Sulli trybunowie skarbu tworzyli już jednak grupę tak liczną i bogatą, że na Zgromadzeniu Centurialnym głosowali w szeregach drugiej klasy majątkowej, a więc niewiele brakowało im już do osiągnięcia rycerskiego minimum majątkowego. W mojej opinii byli oni urzędnikami w służbie publicznej administrującymi skarbem, choć bowiem senat i lud rzymski niechętnie patrzyli na rozbudowę aparatu biurokratycznego, to w powiększającym się wciąż imperium jedna szczególnie dziedzina państwowa wymagała ciągłej aktywności rosnącej liczby biurokratów. Dziedziną tą był oczywiście skarb państwa (*aerarium*). W czasach późnej republiki liczba starszych rangą urzędników, zarządzających licznymi oddziałami skarbu i pełniącymi cały szereg dodatkowych związanych z tym zadań, musiała już być znaczna (a po czasach Mariusza i Sulli z pewnością wielokrotnie wzrosła!) Należało przecież sprawować kontrolę nad poborem wielu różnych podatków, tak w kraju, jak za granicami, należało też znaleźć pieniądze na wszystko - od zakupu publicznego zboża, przez budowlane przedsięwzięcia cenzorów, aż do świąń rozdawanych w Rzymie przez pretora miejskiego w czasie Kompitaliów (święta larów). Kiedy urzędnicy państwowi zarządzali takie czy inne przedsięwzięcia, nie zajmowali się z pewnością praktyczną stroną wprowadzenia ich w życie. Nad procesem tym czuwać musieli ludzie pełniący służbę publiczną, wyżsi jednak rangą od zwykłych pisarzy i pracowników biur, pochodzący z pewnością z szanowanych rodzin i dobrze opłacani. Możemy z pewnością zakładać istnienie takiej warstwy za czasów Katona Uttyckiego, który w 64 roku p.n.e. dał się wszystkim we znaki, pełniąc funkcję kwestora skarbu - najwyraźniej bowiem kwestorzy od dawna już nie zajmowali się w ogóle sprawami skarbu.

**tunika** - podstawowy element stroju u wszystkich chyba ludów śródziemnomorskich, w tym oczywiście Greków i Rzymian. Tunika noszona w Rzymie za czasów Mariusza i Sulli miała kształt prostokąta, otwór na głowę był zapewne dla wygody wykrojony półkoleście, a rękawy tkano jako prostokątne przedłużenie ramion albo wszywano. Starożytni krawcy umieli z całą pewnością wszywać rękawy, znamy bowiem wzmianki o rękawach długich, a takie na pewno musiały być wszyte. Tuniki szlachetnych mężów, jakie oglądać możemy na posągach, nic wyglądają wcale na zszyte po bokach prostokąty z dziurami na ramiona, a na posągach mężów w strojach wojskowych widać wyraźnie tuniki z porządnymi krótkimi rękawami. Tunikę ściągano skórzanym pasem lub związywano sznurem. Z przodu była ona zawsze nieco dłuższa niż z tyłu o jakieś siedem, osiem centymetrów. Tuniki ekwitów



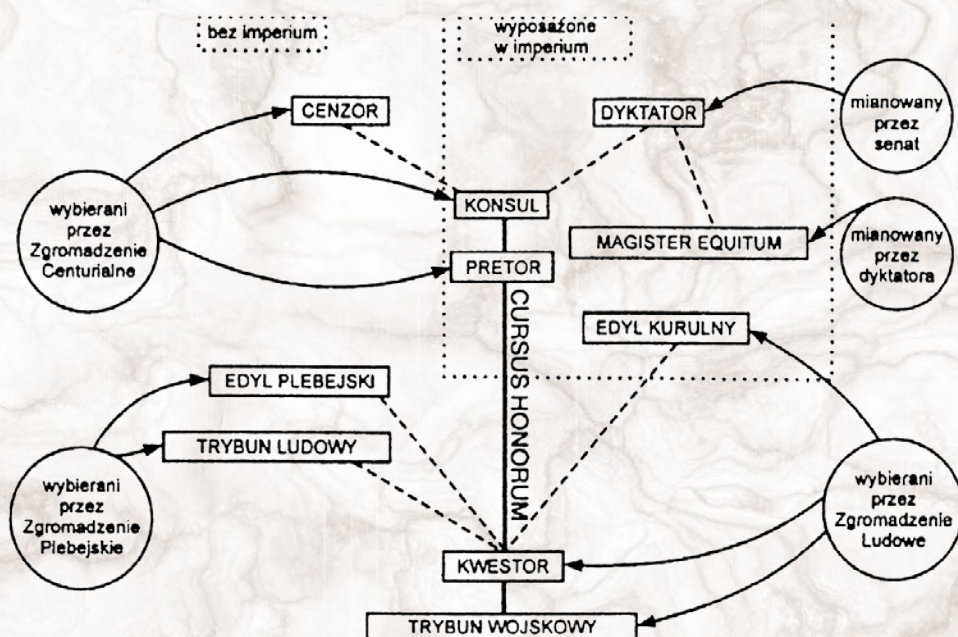
były zdobione wąskim, pionowym szlakiem, tuniki senatorów zaś - szerokim. Szlak taki znajdował się moim zdaniem na prawym ramieniu, nie na środku tuniki. Na malowidle ściennym z Pompejów, przedstawiającym mężczyznę noszącego *toga praetexta*, widać taki właśnie szeroki szlak na prawym ramieniu tuniki.

**Tusculum** - miasto leżące przy Via Latina, jakieś 15 mil (24 km) od Rzymu. Ono pierwsze spośród miast łatyńskich otrzymało w roku 381 p.n.e. pełne rzymskie obywatelstwo i było zawsze niezmiennie lojalne wobec Rzymu. Z Tusculum pochodził Katon Cenzor, a rodowi jego, co najmniej na trzy pokolenia wcześniej, przysługiwało prawo dosiadanania ekwickiego konia państwowego.

**urzędnicy** - wyłaniani w wyborach, sprawowali władzę wykonawczą w imieniu senatu i ludu rzymskiego. W okresie środkowej republiki wszyscy urzędnicy byli członkami senatu (ci wybrani na kwestorów byli zazwyczaj wciągani na listę senatorów przez nowych cenzorów). Dawało to senatowi znaczną przewagę nad ludem - dopóki lud (uosobiony przez plebejuszy) nie wziął w swe ręce prawodawstwa. Najniższym rangą urzędnikiem był trybun wojskowy, zbyt młody, by należeć do senatu, zgodnie z literą *lex Villia annalis*. Następny był kwestor, potem trybun plebejski, edyl plebejski, edyl kurulny, pretor, konsul i cenzor. Tylko edyl kurulny, pretor i konsul posiadali imperium. Tylko zaś kwestura, pretura i konsulat składały się na *cursus honorum*. Trybuni wojskowi, kwestorzy i edylowie kurulni wybierani byli przez Zgromadzenie Ludowe, trybuni ludowi i edylowie plebejscy - przez Zgromadzenie Plebejskie, pretorzy, konsulowie i cenzorzy zaś - przez Zgromadzeni Centurialne.

W czasach zagrożenia senat mógł ustanawiać jeszcze jeden urząd, dyktatora, który choć sprawował swą funkcję zaledwie przez sześć miesięcy, przed nikim nie odpowiadał za działania, jakie podjął w tym czasie. Dyktator mianował osobiście *magistra equitum*, który był jego zastępcą i wodzem jego armii. W przypadku śmierci bądź niekompetencji konsula, senat mógł mianować konsula zastępczego bez zwoływania wyborów.

Wszyscy urzędnicy, z wyjątkiem cenzora, sprawowali swe urzędy przez jeden rok.



Wyższe urzędy rzymskie



**vexillum** - flaga lub sztandar.

**via** - bita droga, trakt lub ulica miasta.

**vir militaris** - wojskowy, człowiek, którego cała kariera toczyła się wokół armii i który odsłużywszy swą obowiązkową liczbę kampanii, pozostawał w wojsku i na stanowisku starszego oficera. Ludzie tacy wkraczali na scenę polityczną na fali popularności, jaką cieszyli się wśród wyborców dzięki swym wyczynom wojennym. Wielu z nich w ogóle nie angażowało się w politykę, jednak jeśli chcieli dowodzić armią musieli sprawować urząd co najmniej pretora. Gajusz Mariusz, Kwintus Sertoriusz, Tytus Dydiusz, Gajusz Pomptinus i Publiusz Wentidiusz byli wszyscy takimi wojskowymi, nie był nim jednak nigdy największy wojownik z nich wszystkich, Gajusz Juliusz Cezar Dyktator.

**Watykan** - nazwę tę nosiło zarówno Pole Watykańskie (*Campus Vaticanus*), jak i Wzgórze Watykańskie (*Mons Vaticanus*), oba położone na północnym brzegu Tybru, naprzeciwko Pola Marsowego. Za czasów Mariusza i Sulli na Polu Watykańskim uprawiano warzywa sprzedawane na rzymskich rynkach, wzgórze zaś nie miało żadnego specjalnego przeznaczenia.

**Wenus Libitina** - Wenus, bogini życia, miała wiele wcieleń; Wenus Libitina opiekowała się tymi, którzy to życie utracili, i jako bogini świata podziemnego zajmowała poczesne miejsce w rzymskim panteonie. Jej świątynia wznosiła się poza granicami Murów Serwiańskich, gdzieś w samym środku rzymskiej nekropolii leżącej na Polu Eskwilińskim. Nie znamy dziś jej dokładnego położenia, ponieważ jednak musiałam ją gdzieś umieścić, zdecydowałam się na rozstaje dróg, tam gdzie Via Labicana przecinała się z drogą opasującą wokoło Rzym (*diverticulum*). Świątynia była jak na warunki rzymskie dość duża, a otaczał ją gaj - najprawdopodobniej cyprysowy (cyprysy bowiem wiąże się na ogół ze śmiercią). To tu przechowywano spisy rzymskich zmarłych - dzięki temu świątynia była bardzo bogata, za zarejestrowanie zgonu trzeba bowiem było zapłacić. Tu też mieściły się siedziby właścicieli zakładów pogrzebowych - zapewne w specjalnie wzniesionych budkach czy stoiskach. Tu wreszcie, na specjalnej poduszce wewnątrz świątyni, przechowywano *fascēs*, jeśli Rzym nie miał akurat konsula, przed którym by je noszono, a także topory, które zatykano w wiązki różeg tylko wtedy, kiedy konsul opuszczał miasto.

**Westa** - pradawna rzymska bogini, jak inne bóstwa bezcielesna i pozbawiona mitologii. Związana z ogniskiem, szczególnie ważna była w domu i kręgu rodzinnym - czczono ją tu na równi z penatami i larami rodowymi. Nie mniej istotny był jednak należny Weście kult publiczny - czuwał nad nim sam Najwyższy Kapłan. Świątynia Westy stojąca na Forum Romanum była bardzo stara, niewielka i zbudowana na planie koła. Sąsiadowała z Regiami, źródłem Juturny i domem publicznym Najwyższego Kapłana. Płonął tu stale święty ogień, który w żadnym wypadku nie mógł wygasnąć.

**westalki** - Weście służyło specjalne kolegium złożone z sześciu kapłanek zwanych westalkami. Wybierano je, gdy miały siedem lub osiem lat, wtedy też składały śluby całkowitej czystości i przez następne trzydzieści lat służyły bogini. Po upływie tego okresu zwalniano je ze ślubów i jeśli chciały, mogły wyjść za mąż - niewielu się to jednak udało, poślubienie westalki uważano bowiem za pechowe, to przecież ich czystość zapewniała Rzymowi powodzenie. Westalki oskarżonej o utratę cnoty nie sądzono od razu, lecz zwoływano specjalny trybunał. Sądzone także jej domniemanych kochanków, jednak już przed innym trybunałem. Jeśli uznano ją za winną, zamurowano ją w specjalnie wykopanej ziemiance i pozostawiano ją tam, aż zmarła. Za republiki westalki



mieszkały w tym samym domu publicznym co Najwyższy Kapłan, choć byli od siebie oddzieleni.

**willa** - wiejska rezydencja, całkowicie samowystarczalna, pierwotnie o przeznaczeniu czysto rolniczym. Budynek willi otaczały perystyl, czyli dziedziniec. Od frontu znajdowały się stajnie, z tyłu - budynki mieszkalne. Jednak bogaci Rzymianie okresu późnej republiki budowali sobie wille raczej jako nadmorskie letnie rezydencje niż gospodarstwa rolne, w związku z czym zasadniczo zmieniła się także ich architektura, wyzwolenie - było aktem nadania wolności niewolnikowi. Jeśli jego pan był rzymskim obywatelem, wyzwolenie oznaczało automatycznie przyznanie niewolnikowi obywatelstwa. Przyjmował on wtedy imię swego pana, dodając do niego swoje stare imię jako cognomen. Niewolnika można było wyzwolić na kilka sposobów: kupując jego wolność z zarabianych przez niego pieniędzy, po upływie umówionej liczby lat, testamentem lub w formie szczególnego gestu właściciela, np. z okazji jego dośnięcia do pełnoletności. Choć teoretycznie wyzwolony niewolnik stawał się równy swemu panu, to zazwyczaj zostawał on jego klientem, chyba że został z tego formalnie zwolniony. Mało miał on też pożytku z nowo nabytego prawa wyborczego, w świetle prawa bowiem stawał się członkiem jednego z dwóch *tribus* miejskich - Esquilina bądź Suburana i głos jego stawał się w zasadzie bezużyteczny. Niskie dochody sprawiały, że nie kwalifikował się też do żadnej z pięciu klas majątkowych, tak więc nie mógł głosować również na Zgromadzeniu Centurialnym. Wielu niewolników pożądało mimo to rzymskiego obywatelstwa, nie tyle nawet dla siebie, co dla swoich potomków. Uwolniony niewolnik zwany był wyzwoleniec i do końca życia musiał nosić stożkowatą Czapkę Wolności, wyzwoleniec - wyzwolony niewolnik, pozostający pod patronatem swego byłego pana, posiadający nawet obywatelstwo, jeśli jego dawny właściciel był obywatelem rzymskim. W czasach Mariusza i Sulli wyzwolenicy mieli małe szanse, by wykorzystać swój głos w wyborach, należeli bowiem do dwóch *tribus* miejskich - Esquilina i Suburana. Wyjątkowo uzdolnionym albo pozbawionym skrupułów wyzwolencom udawało się czasem zdobyć majątek i wpływy wystarczające, by zaliczać się do którejś z klas majątkowych i móc głosować na Zgromadzeniu Centurialnym. Bogaci wyzwolenicy mogli też kupić sobie przynależność do któregoś z *tribus* wiejskich i cieszyć się w ten sposób pełnią obywatelstwa.

**Zatoka Krateru** - nazwą tą Rzymianie określali dzisiejszą Zatokę Neapolitańską. Choć więc źródła starożytne zapewniają nas, że wybuch Wezuwiusza w roku 79 n.e. był pierwszym w historii, nazwa Zatoka Krateru sugeruje, że w czasach przedhistorycznych musiał mieć miejsce inny, o wiele potężniejszy wybuch, który ukształtował dzisiejszą zatokę.

**zębacz** - słodkowodna ryba z rodziny okoniowatych, żyjąca w Tybrze. Można go było złowić tylko pomiędzy Mostem Palowym a Mostem Emiliuszów, gdzie żerował w pobliżu odpływów miejskich ścieków. Był dzięki temu tak dobrze odżywiony, że złowienie go było niezwykle trudne - i zapewne dlatego uważany był za wielki rarytas.

**zgromadzenie** (comitia) - zebranie ludu rzymskiego zwołane w celu obradowania nad sprawami rządu, prawodawstwa albo nad wyborami. W czasach Mariusza i Sulli istniały trzy zgromadzenia: Centurialne, Ludowe i Plebejskie.

**Zgromadzenia Centurialne** (*Comitia centuriata*) - gromadziło lud, tak patrycjusz jak i plebejuszy, a zorganizowane było według podziału na klasy majątkowe i zajmowało się głównie sprawami gospodarczymi. Jako że było to pierwotnie zgromadzenie o charakterze wojskowym, każda klasa zbierała się w centuriach (które w czasach Mariusza i Sulli wbrew nazwie liczyły już znacznie ponad stu ludzi, postanowiono bowiem nie



zmieniać liczby centurii w obrębie jednej klasy). Zgromadzenie to zbierało się, by wybierać konsulów, pretorów i (co pięć lat) cenzorów. Mogło ono także sądzić oskarżonych o zdradę stanu i ustanawiać prawa, nie zwoływano go jednak zazwyczaj w tych celach, ze względu na pewną uciążliwość w jego organizowaniu - jako zebranie wojskowe nie mogło się ono odbywać w granicach *pomerium*, trzeba więc było za każdym razem ustawiać *saepta* na Polu Marsowym.

**Zgromadzenie Ludowe (*comitia populi tributa*)** - pełen udział mogli w nim brać patrycjusze, jako że zbierało się ono według *tribus*. Gromadziło 35 *tribus*, obejmujących wszystkich rzymskich obywateli. Zwoływane przez konsula lub pretora, wybierało ono edylów kurulnych, kwestorów i trybunów wojskowych, mogło prowadzić procesy sądowe i formułować prawa. Zwyczajowym miejscem spotkań Zgromadzenia Ludowego była niecka komicjów na Forum Romanum.

**Zgromadzenia Plebejskie (*comitia plebis tributa* albo *concilium plebis*)** - nie dopuszczało udziału patrycjuszy, a spotykało się także według 35 *tribus*. Jedynym urzędnikiem, który mógł je zwołać, był trybun ludowy. Miało ono moc stanowienia praw przez uchwały, zwane plebiscytami, oraz prowadzenia procesów, wybierało edylów i trybunów ludowych, a spotykało się w niecce komicjów na Forum.

Na żadnym z rzymskich zgromadzeń obywatele nie mogli głosować bezpośrednio. Na Zgromadzeniu Centurialnym liczyły się głosy poszczególnych centurii danej klasy, a głos centurii oddawany był zgodnie z wolą większości jej członków.

W trybusowych Zgromadzeniach Plebejskim i Ludowym głos poszczególnego obywatela zaliczany był do ogólnego głosu jego *tribus*, znów oddawanego zgodnie z wolą większości.



**Księgozbiór DiGG**



**2012**